

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRAŁ PIERWSZY

Przełóżył Jerzy Pomianowski

TOM PIERWSZY

1

Ażurowe strzałki wskazywały pięć po czwartej.

W ślepowym, gasnącym ćmieniu grudniowego dnia brąz zegara stojącego na etażerze wydawał się całkiem ciemny.

Szyby wysokiego okna, sięgającego aż do podłogi, pozwalały dojrzeć gdzieś w dole pośpieszną uliczną krzątanicę i dozorców zgarniających spod nóg przechodniów śnieg, już ciężki i burobrunatny, choć dopiero co spadł.

Widząc to wszystko i nic z tego nie widząc, radca stanu drugiej klasy, Innocenty Wołodin, oparty o kant framugi okiennej pogwizdywał sobie jakiś pasaż finezyjny i długi. Końcami palców przebierał lśniące i kolorowe stronice zagranicznego pisma. Ale wcale nie patrzył na nie.

Radca stanu drugiej klasy, to znaczy podpułkownik służby dyplomatycznej; wysoki, szczupły, nie w mundurze, ale w garniturze ze śliskiego w dotknięciu materiału, Innocenty Wołodin, mógł ująć raczej za majątnego, młodego obiboka niż za odpowiedzialnego pracownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Czas było zapalić światło w gabinecie, jednak nie zapalał go, mógł też jechać do domu, ale nie ruszał się z miejsca.

Godzina czwarta nie oznaczała końca całego dnia pracy, lecz tylko jego mniejszej, dziennej części. Teraz wszyscy pojedą do domu - żeby coś zjeść i zdrzemnąć się, a o dziesiątej wieczór znów zapalą się tysiące i tysiące okien czterdziestu pięciu ministerstw ogólnozwiązkowych i dwudziestu - republiki rosyjskiej. Jeden jedyny człowiek źle sypia nocami za tuzinem fortecznych murów - i oto przyzwyczaił całą urzędniczą Moskwę, aby czuwała z nim razem do trzeciej, do czwartej nad ranem. Znając nocne narowy władcy, wszystkich sześćdziesięciu ministrów czeka, jak uczniowie, na wyrwanie do tablicy. Aby sen zbyt nie morzył, wzywają z kolei swoich zastępców, zastępcy wyciągają z pościeli dyrektorów, referenci pną się do kartotek po drabinkach, kanceliści kłusują przez korytarze, stenotypistki łamią ołówki.

I nawet dziś, gdy na Zachodzie święci się Wigilię (wszystkie poselstwa już od dwóch dni ucichły, zamarły, nie telefonują), w ich ministerstwie tak czy owak będzie się urzędować w nocy.

A tam ci zaczną dwutygodniowe ferie. Łatwowieczne dzieciaki. Osły kłapouche!

Nerwowe palce Wołodina wertowały pismo pośpiesznie i bezmyślnie, a tymczasem drobny dygot w środku to wzbierał i przyprawiał o gorączkę, to opadał i wtedy robiło się zimno.

Innocenty cisnął czasopismo i obszedł gabinet, zżymając się raz po raz.

Zadzwoić czy nie zadzwoić? Koniecznie teraz? A może lepiej już stamtąd? Nie za późno będzie w czwartek? W piątek?

Za późno...

Czasu tak mało! I kogo tu się poradzić?

Czy naprawdę są sposoby, żeby wykryć, kto telefonował z automatu? A może mówić tylko po rosyjsku? A jeżeli nie zatrzymywać się i szybko wyjść? Czy można rozpoznać głos zmieniony, głos telefoniczny? Nie może być takich urządzeń.

Za trzy, cztery dni poleci tam sam. Logiczniej byłoby - poczekać. Tak byłoby rozsądniej.

Ale może być za późno.

Diabli! - dreszcz przeniknął mu barki, nie nawykłe do noszenia ciężarów. Już lepiej byłoby nic nie wiedzieć. Nie miał tej informacji. Nie miał pojęcia...

Pozgarniał wszystko z biurka i zaniósł do kasy pancерnej. Denerwował się coraz bardziej i bardziej. Oparł czoło o żelazną ścianę szafy i dał sobie chwilę folgi z zamkniętymi oczyma.

I nagle, jakby poczuł, że to ostatnia chwila, nie wzywając szofera, nie zamykając kałamarza, zatrzasnął drzwi, oddał klucz dyżurnemu, tkwiącemu u wylotu korytarza, zbiegł prawie pędem ze schodów, mijając tutejszych bywalców, całych w złotych szamerunkach i akselbantach. Na parterze zdążył narzucić tylko palto, wcisnąć na głowę czapkę i już wybiegł w mrok zmierzającego się dnia.

Lżej mu się zrobiło od szybkiego ruchu.

Francuskie półbuty nurzały się w brudnej śnieżnej breji.

Przechodząc półotwartym dziedzińcem ministerstwa obok pomnika Worowskiego, Innocenty podniósł oczy i drgnął. Przywidział mu się jakby inny sens w kształtach nowego gmachu Wielkiej Łubianki, wychodzącego na Furkasowski zaułek. To szaro-czarne, dziewięciopiętrowe cielsko było pancernikiem i osiemnaście filarów jak osiemnaście działobitni wznosiło się wzdłuż jego prawej burty. A samotną, kruchą łódeczkę Innocentego

ciągnęło coś na tamtą stronę placyku, pod sam dziób ciężkiego, szybkobieżnego okrętu.

Nie, jaka tam krucha łódeczka - był teraz torpedą szturmującą pancernik!

Rozpierało go! Szukając ratunku skręcił na prawo, na Kuźniecki Most. Przy samym krawężniku stała właśnie taksówka, szykując się do odjazdu. Innocenty wszedł do niej, kazał jechać Kuźnieckim w dół, tam zaś skręcić w lewo, pod rozbłysłe dopiero co latarnie Pietrowki.

Wciąż jeszcze się wahał - skąd ma dzwonić, żeby mu nikt nie pukał kantem monетки w szybę. Ale szukać ustronnej, cichej budki - to jeszcze bardziej podpada. Czy nie lepiej gdzieś w gęstym tłumie, tylko żeby kabina była dobrze izolowana, w głębi muru? Pomyślał jeszcze, że głupio byłoby kluczyć i mieć potem szofera za świadka. Przetrzasał szybko kieszenie, szukając piętnastu kopiejek, mając nadzieję, że ich nie znajdzie. Miałby wtedy prosty powód, żeby rzecz odłożyć.

Przed sygnałem świetlnym na Ochotnym jego palce trafiły wreszcie na dwie piętnastokopiejkowe monетки i wydobyły obie naraz.

Innocenty nagle przestał się niepokoić: poczuł jasno, że nie ma innego wyjścia. Niebezpieczne to czy nie, ale jeśli tego nie uczynić...

Czy wciąż wystrzegając się czegoś - można w ogóle pozostać człowiekiem?

Wcale sobie tego nie zamierzył - ale właśnie minął ambasadę, jadąc wzdłuż Mochowej. Cóż, tak widać sądzono. Przysunął się do szyby i obrócił głowę pragnąc zobaczyć, jakie też okna się świecą. Nie zdążył.

Minęli Uniwersytet - Innocenty kazał skręcić w prawo. Jego torpeda zataczała krąg, jakby chciała wyjść z wirażu na prosty tor.

Polecieli w górę, w stronę Arbatu. Innocenty dał dwie monетки i wkroczył na plac, starając się miarkować swoje kroki.

Zaschło mu w gardle, czuł w ustach tę suchość, na którą żadne picie nie pomoże.

Arbat cały już lśnił od świateł. Przed kinem gęstniała kolejka - siedł film „Miłość tancerki”.

Czerwoną literę „M” nad metrem zaciągała niebieskawa mgielka. Podobna do Cyganki kobieta sprzedawała żółciutkie kwiatki.

Skazaniec nie widział teraz swojego pancernika, ale pierś rozpierała mu czysta desperacja.

Żeby tylko nie zapomnieć: ani słowa po angielsku. Tym bardziej po francusku.

Żeby ogary nie znalazły ani piórka, ani włoska.

Innocenty szedł bardzo wyprostowany. Już się wcale nie spieszył. Przechodząca obok dziewczyna podniosła na niego oczy.

Teraz znowu ta... Bardzo sympatyczna. Życz mi ocalenia, panienko.

Jaki szeroki jest świat, ile w nim dróg! - a ty masz tylko jedną, w głąb tego wąwozu.

Jedna z drewnianych, zewnętrznych budek była pusta, ale chyba miała wybitą szybę. Innocenty poszedł dalej w stronę metra.

Wszystkie cztery, te w ścianie, były zajęte. Ale w pierwszej z lewa kończył rozmowę jakiś chamowaty facet, trochę zalany, właśnie odwieszał słuchawkę. Uśmiechnął się do Innocentego, chciał nawet z nim zagadać. Innocenty szybko zajął jego miejsce, starannie zamknął i przytrzymał jedną ręką grubo szklone drzwi, drugą zaś, drżącą trochę, nie ściągając zamszowej rękawiczki, wrzucił w otwór monetę i nakręcił numer.

Po kilku długich sygnałach ktoś podniósł słuchawkę.

- Czy to sekretariat? - starał się mówić zmienionym głosem.

- Tak jest.

- Proszę połączyć mnie z ambasadorem. Sprawa pilna.

- Z ambasadorem rozmawiać nie można - odpowiedziano mu doskonałą ruszczyzną. -

A pan w jakiej sprawie?

- No to niech będzie charge d'affaires! Albo attache wojskowy! Proszę nie kazać mi czekać!

Z tamtej strony przewodu ktoś się zastanawiał. Innocenty pomyślał sobie: jak powiedzą - nie, to pal sześć, nie będzie drugiego razu.

- W porządku, łączę z attache.

Trzask przełącznika.

Za polerowaną szybą, opodal rzędu kabin ludzie dreptali, mijali się, biegli. Ktoś oderwał się od tłumu i stanął w kolejce do kabiny Innocentego, pełen niecierpliwości.

W słuchawce syty, leniwy głos odezwał się z silnym akcentem:

- Słucham pana. Co wy chceć?

- Jest pan attache wojskowym? - ostro zapytał Innocenty.

- Yes, aviation - bąknął ktoś z tamtej strony.

I co tu robić? Przesłaniając ręką wlot słuchawki, głosem cichym, ale stanowczym, Innocenty wypalił:

- Panie attache! Proszę zanotować i natychmiast przekazać na ręce ambasadora...

- Czekać moment - powiedziano z tamtej strony leniwie. - Ja zawołam tłumacz.

- Ja nie mogę czekać! - wybuchnął Innocenty. (Już nie starał się mówić innym głosem!) - I nie będę rozmawiał z waszymi sowieckimi pracownikami! Niech pan się nie rozłącza! Chodzi o los pańskiego kraju! I nie tylko pańskiego! Słuchaj pan: w tych dniach w Nowym Jorku sowiecki agent Gieorgij Kowal ma odebrać w sklepie części radiowych na ulicy...

- Ja pana nie rozumiem - odparł attache z całym spokojem. Siedział, to jasne, na miękkiej kanapie i nikt go nie gonił. Z głębi pokoju dochodziły kobiece głosy, pełne ożywienia.

- Niech pan zadzwoni do Embassy of Canada, tam dobrze rozumiem ruski.

Podłoga budki płonęła pod stopami Innocentego, a słuchawka, czarna słuchawka na ciężkim, stalowym łańcuchu, topiła mu się w dłoni. Ale każde słowo w obcym języku mogło go zgubić!

- Niech pan słucha! Niech pan słucha! - krzyczał już w rozpacz. - W tych dniach sowiecki agent Kowal ma odebrać w tym sklepie techniczne dane, ważne dla produkcji bomby atomowej...

- Jak? Na jakiej avenue? - zdziwił się attache, ale zaraz wpadł w zadumę. - Ale skąd ja wiem, że pan mówić prawdę?

- A pan rozumie, czym ja ryzykuję? - bluznął Innocenty.

Zdaje się, że ktoś już pukał w szybę.

Attache milczał, może zaciągał się papierosem.

- Atomowa bomba? - wymówił z niedowierzaniem. - A pan kto jest? Nazwisko proszę.

W słuchawce coś szcęknięło głucho. Wypełniła ją wata milczenia, bez szumów i pisków.

Połączenie urwało się.

2

Są takie instytucje, w których nad drzwiami z napisem „Pokój służbowy” zobaczyć można ciemnoszkarłatną lampkę albo, według nowszej mody, okazałą tabliczkę z napisem: „Osobom postronnym wstęp surowo wzbroniony”. A czasem nawet groźny strażnik siedzi przy stoliczku i sprawdza przepustki. I jak to zawsze bywa z tym, co objęte zakazem, wydaje się człowiekowi, że Bóg wie, co się dzieje za tymi niedostępnymi drzwiami.

A tam jest tylko taki sam zwykły korytarz, może trochę lepiej zamieciony. Środkiem snuje się parciany chodniczek w urzędowym, czerwonym kolorze. Posadzka froterowana, ale bez przesady. Spluwaczek też w miarę.

Tylko że nie widać tu ludzi. Nikt tu nie chodzi od drzwi do drzwi. Drzwi zaś - całe obite czarną skórą, czarną skórą wzdętą od pakuł, poprzebijaną białymi świeczkami, ozdobioną owalnym numerkiem pod szkłem.

Nawet ci, co pracują w jednym z tych pomieszczeń, wiedzą o tym, co dzieje się w sąsiednim pokoju mniej, niż o tym, co plotą baby na targu na wyspie Madagaskar.

Tego chmurnego grudniowego wieczoru bez mrozu, w gmachu moskiewskiej automatycznej centrali telefonicznej, w jednym z takich tajnych korytarzy, w jednej z tych niedostępnych komnatek, która w spisie komendanta nosiła numer 194, zaś w IX oddziale 6-go Zarządu Głównego MBP znana była jako „posterunek A-I” - dyżurowało dwóch lejtnantów. Co prawda, nie nosili mundurów, tylko cywilne ubrania; przyzwoiciej było tak wchodzić i wychodzić z gmachu centrali telefonicznej.

Na jednej ze ścian pokoju widoczne były deski rozdzielcze i urządzenia sygnałowe; czerniał bakelit i błyszczał metal telefonicznych i akustycznych aparatów. Na innej ścianie przyspilona była do szarej tektury wielopunktowa instrukcja.

Zgodnie z tą instrukcją, w której przewidziane były w trybie prewencji wszystkie możliwe wypadki odchylenia od normy i wypaczeń w czasie podsłuchiwania i zapisywania rozmów telefonicznych amerykańskiej ambasady, dyżurnych zawsze powinno być dwóch: jeden miał obowiązek słuchać, ani na chwilę nie zdejmując słuchawek, drugiemu zaś nie wolno było wychodzić z pokoju, chyba że do toalety; co pół godziny następowała zmiana ról.

Trzymając się tej instrukcji, nie sposób było się omylić.

Ale z winy tragicznego rozdźwięku pomiędzy idealną doskonałością państwowych urządzeń a żalną niedoskonałością ludzkiej natury, instrukcja tym razem została zlekceważona. Wcale nie dlatego, że dyżurowali tu dzisiaj jacyś nowicjusze, lecz właśnie dlatego, że byli to ludzie doświadczeni i wiedzieli, że nigdy nic szczególnego się nie zdarza. Tym bardziej w ichnię Wilię.

Jednego z nich, grubonosego lejtnanta Tiukina, miano w najbliższy poniedziałek musowo przepytac na szkoleniu politycznym na temat - „kim są tzw. przyjaciele ludu i jak walczą z socjaldemokratami”, a także - dlaczego na Drugim Zjeździe trzeba było się

podzielić, co było bardzo słuszne, na Piątym natomiast znów się zjednoczyć, co także było słuszne, poczynając zaś od Szóstego Zjazdu, znów trzeba było trzymać się osobno, co również było pełne słuszności. Tiukin zwykle za żadne skarby nie brał się do kucia już w sobotę, nie bardzo licząc na swoją pamięć, zaś w niedzielę, po dyżurze, zmówił się już ze szwagrem, że zaleją robaka, wobec czego w poniedziałek rano, na kacu, te bzdury na pewno by mu do łba nie wlażyły, ale sekretarz partii już się Tiukina czepiał, że go wezwą na egzekutywę. Zresztą najważniejsza była nie ustna odpowiedź, tylko odpowiedź pisemna. Przez cały tydzień Tiukin nie znalazł na to czasu, dziś też cały dzień odkładał na później, więc teraz uprosił kolegę, żeby słuchał sam, przysiadł w kątku obok stołowej lampy i przepisywał sobie do zeszytka to jeden cytat z „Krótkiego kursu”, to drugi.

Nie zdążyli jeszcze zapalić górnej lampy. Palila się tylko dyżurna lampka przy magnetofonach. Lejtnant Kuleszow, kędzierzawy, o pulchnym podbródku, siedział ze słuchawkami na uszach i nudził się. Rano to jeszcze zamawiali coś telefonicznie w sklepie, ale po obiedzie ambasada jakby zasnęła, ani jednego dzwonka.

Siedząc tak dłuższy czas, Kuleszow postanowił obejrzeć sobie lewą nogę, bo miał na niej wrzody. Ciągłe nowe mu się otwierały z niewiadomych przyczyn; smarowano je zielenią brylantową, maścią cynkową i streptocydową, ale wcale się nie goiły, tylko mnożyły się pod strupami. Ból przeszkadzał mu w chodzeniu. W klinice MBP miał już wyznaczoną konsultację u profesora. Niedawno zaś Kuleszow dostał nowe mieszkanie, żona była w ciąży - i te wrzody zatruwały mu to składne życie.

Kuleszow zdjął z głowy ciasne słuchawki tłoczące mu uszy, podszedł do lampy, zakasał lewą nogawicę spodni i gaci, zabierając się do ostrożnego obmacywania i odłamywania brzegów strupa. Przy naciskaniu sączyła się z niego bura surowica. Tak go bolało, że aż czuł klucie w czaszce, to klucie zaprzątnęło całą jego uwagę. Po raz pierwszy aż wzdrygnął się od myśli, że to nie wrzody, tylko... i przyszło mu do głowy to straszne, zasłyszane gdzieś słowo: gangrena... i jeszcze jakoś...

W ten sposób nie od razu zauważył, że szpulki magnetofonu kręcą się bez szmeru; włączały się automatycznie. Nie zdejmując gołej nogi ze stołka Kuleszow sięgnął po słuchawki, przyłożył je do jednego ucha i usłyszał:

- Ale skąd ja wiem, że pan mówić prawdę?
- A pan rozumie, czym ja ryzykuję?
- Atomowa bomba? A pan kto jest? Nazwisko proszę.

BOMBA ATOMOWA!!! Siłą odruchu, tak samo bezwiednego, jak ten, co każe padającemu szukać oparcia, Kuleszow wyrwał wtyczkę z gniazdka, przerywając tym ruchem rozmowę - i w tejże chwili zdał sobie sprawę, że - wbrew instrukcji - nie rozpoznał i nie zapisał numeru abonenta.

W pierwszym odruchu - obejrzał się. Tiukin skrobał swój konspekt i niczego nie zauważył. Owszem, Tiukin to przyjaciel, ale przecież do obowiązków Kuleszowa należało kontrolowanie Tiukina, co znaczy, że Tiukin też to miał robić.

Drżącymi palcami puścił szpulę wstecznym biegiem, włączając jednocześnie zapasowy magnetofon w obwód ambasady. Z początku chciał już skasować zapis, żeby nikt nie dowiedział się o jego niedopatzeniu. Ale zaraz mu się przypomniało, jak naczelnik nieraz powtarzał, że cała robota ich posterunku jest dublowana automatycznie w jakimś innym miejscu - więc zaraz odrzucił tę głupią myśl. No pewno, że każdy ruch jest dublowany, zaś za próbę ukrycia takiej rozmowy - ani chybi rozstrzelają!

Taśma cofnęła się do punktu wyjścia. Włączył podsłuch. Przestępca bardzo się spieszył, był zdenerwowany. Skąd mógł mówić? Nie z prywatnego mieszkania, to jasne. I chyba nie z miejsca pracy. Do ambasad zawsze starają się mówić z automatu.

Kuleszow otworzył książkowy spis automatów i pośpiesznie wytypował telefon przy wejściu na schody stacji metra „Sokolniki”.

- Gienek! Gienek! - zawołał schrypniętym głosem, opuszczając nogawkę. - Alarm! Dzwon do operacyjnej! Może go jeszcze złapią!...

3

- Nowi! - Nowych przywieziono!

- Wy skąd, towarzysze?

- Kochani, skąd jesteście? - A co to macie na piersiach, na czapkach, takie jakieś plamy?

- Mieliśmy tu nasze numery. I jeszcze na grzbiecie i na kolanie. A jak nas przenoszono z obozu, to trzeba było spruć.

- Jak, jak? Numery?

- Przepraszam panów, w jakim to właściwie stuleciu żyjemy? Numery na ludziach? Może Lew Grigoriewicz pozwoli mi zadać pytanie - czy to może postęp?

- Walentula, po co ten hałas, kolacja czeka.

- Ależ jak ja mogę jeść kolację, kiedy tu ludzie chodzą z numerami na czole!

- Przyjaciele! Wydają „Bielomory” po 9 paczek na drugą połowę grudnia. Macie szansę. Fart z punktu!
- „Bielomor” z fabryki „Jawa” czy „Dukat”?
- Pół na pół.
- Ale gady, „Dukatami” nas duszą. Ministrowi się poskarżę, słowo.
- A co to za kombinezony nosicie? Coście to, spadochroniarze?
- A bo nas umundurowali. Zaciskają obrożę, ścierwa. Dawniej wydawali garnitury z wełny i sukienne palta.
- Patrzaj, nowi!
- Przywieźli nowych!
- Ej, sokoły! Coście to, żywych zeków nie widzieli? Cały korytarz pełen!
- Ba! Kogo widzę! Dof-Donskoj!? Gdzie pan się podziewał? Toć w czterdziestym piątym po całym Wiedniu pana szukałem, po całym Wiedniu!
- Jacy oberwani, jacy zarośnięci! Z jakiego łagru, przyjaciele?
- Z rozmaitych. Z Rieczłagu... Z Dubrowłagu...
- Dziewiąty rok siedzę, a jakoś takich nazw nie słyszałem...
- A bo to nowe łagry. Specobozy. Dopiero w zeszłym roku je otwarto, w 48-ym.
- Przy samym wjeździe do wiedeńskiego Prateru zagarnęli mnie do karetki.
- Chwileczkę, Mitia, posłuchajmy lepiej, co nowi mówią...
- Nie, spacer, spacer! Na świeże powietrze! Niech się wali i pali, ale rozkład zajęć najważniejszy! Nowych przepyta Lew, nic się nie bój.
- Druga zmiana! Do kolacji!
- Ozierłag, Ługłag, Steplag, Kamyszłag...
- Można by pomyśleć, że w MSW siedzi jakiś nieznany poeta, na poematy go nie stać, wierszy nie próbuje, ale za to daje poetyckie nazwy łagrom.
- Ha-ha-ha! Śmieszne, co? Jakie to właściwie stulecie?
- No, cicho już, Walentula!
- Przepraszam, jak pan się nazywa?
- Lew Grigoriewicz.
- Pan też jest inżynierem?
- Nie, jestem filologiem.
- Filolog? Tu nawet filologów się trzyma?

- Niech się pan spyta, kogo tu się nie trzyma? Są tu matematycy, fizycy, chemicy, inżynierowie-radiowcy, inżynierowie od łączności przewodowej, konstruktorzy, artyści, tłumacze, introligatorzy, budowniczy, nawet jednego geologa pomyłkowo tu wsadzili.

- I co też on robi?

- Nic takiego, zadekował się w laboratorium. Jest nawet architekt. I jeszcze jaki! - nadworny architekt samego Stalina. Wszystkie dachy mu budował. A teraz siedzi z nami.

- Słuchaj, Lew! Uważasz się za materialistę, a karmisz tu ludzi samą strawą duchową. Uwaga! Jak was zaprowadzą do stołówki - to znajdziecie tam na ostatnim stole pod oknem ze trzydzieści porcji, zostawiliśmy dla was. Wbijajcie w krzyże, nie popękajcie tylko!

- Dziękujemy bardzo, ale dlaczego odejmujecie sobie od ust?

- Nie ma za co. Kto dziś jada śledzie z beczki i jagłankę? To trywialne!

- Jak pan mówi? Trywialne? Jagły są trywialne? Ja z pięć lat jagieł nie widziałem!

- Na pewno nie jagły, tylko poślad!

- Zwariował pan chyba, poślad! Spróbowaliby tylko dać nam poślad! Zaraz byśmy...

- A jak tam teraz z wyżywieniem na etapach?

- W Czelabińskim etapowym...

- W Czekbińskim - nowym czy Czelabińskim starym?

- Zaraz widać znawcę. W nowym.

- Co tam, po dawnemu klozetów na piętrach szcędzą, a zeki muszą załatwiać się do kibla i znosić z dwóch pięter?

- Po dawnemu.

- Pan powiedział - szaraszka. Co to znaczy szaraszka?

- A po ile tu chleba się dostaje?

- Kto jeszcze nie jadł kolacji? Druga zmiana!

- Białego chleba po czterysta gramów, a czarny - na stole.

- Zaraz, jak to - na stole?

- A no zwyczajnie, w kromkach, chcesz, to bierz, jak nie, to nie.

- Pozwólcie, że zapytam - czy tu może Europa?

- Dlaczego Europa? W Europie jedzą biały, a nie razowy.

- No tak, ale za to maselko i za te „Biełomory” my tu harujemy po dwanaście i po czternaście godzin na dobę.

- E, też mi harówka! Jak się przy stole siedzi, to już nie harówka! Haruje ten, kto

kilofem macha.

- Diabli wiedzą, w tej szaraszce człowiek ugrzązł jak w bagnie - kontakt z życiem całkiem się traci. Panowie słyszeli? - podobno kryminalnych przycisnęli i nawet na Krasnej Presni już tak wszystkim nie trzęsą.

- Profesorowie dostają po czterdzieści gramów masła, inżynierowie po dwadzieścia. Od każdego wedle zdolności, każdemu wedle możliwości.

- Więc pan pracował na Dnieprostroju?

- Tak, u Wintera. Właśnie za ten Dnieproges¹ tu siedzę.

- Niby jak to?

- A bo widzi pan, ja go sprzedałem Niemcom.

- Dnieproges? Przecież go nasi wysadzili w powietrze.

- No to co, że wysadzili? A ja im sprzedałem taki wysadzony.

- Słowo honoru, jakby wiatr wolności powiał! Translokacje! Stołypinki! Łagry! Ruch!

Ech, teraz by się człowiek przejechał do Sowgawani²!

- I z powrotem, Walentula, i - z powrotem!

- Tak! I z powrotem - jak najprędzej oczywiście!

- Wie pan, od tego nadmiaru wrażeń, od tej gonitwy nastrojów aż mi się w głowie kręci. Przeżyłem swoje pięćdziesiąt dwa lata, wykaraskałem się ze śmiertelnych chorób, żeniłem się parę razy z pięknymi niewiastami, zostałem ojcem kilku synów, przyznawano mi nagrody naukowe - a nigdy nie byłem tak bardzo szczęśliwy, jak dziś! Gdzież to się znalazłem? Jutro nikt mnie nie zapędzi do lodowatej wody! Czterdzieści gramów masła śmietankowego! Czarny chlebek - na stole! Nie zabrania się czytania! Można się golić samemu! Nadzorcy nie biją zeków! To jest wielki dzień! To jest szczyt! A może już umarłem? Może śnię? Bo wydaje mi się, że jestem w rajku!

- Nie, szanowny panie - powiedział Rubin - po dawnemu jest pan w piekle, ale wdrapał się pan do jego najwytworniejszego, najwyższego kręgu. Pyta pan, co to takiego szaraszka? Wymyślił ją, jeśli chce pan wiedzieć, Dante. Pamięta pan, Dante łamał sobie głowę, gdzie ma powsadzać starożytnych mędrców? Obowiązek chrześcijański kazał mu wtrącić ich, jako pogan, do piekła. Ale sumienie humanisty nie mogło pogodzić się z tym,

1 Dnieprostroj - nazwa elektrowni wodnej na Dnieprze w okresie jej budowy 1927-33. Dnieproges - nazwa tejże elektrowni w okresie eksploatacji aż do 1941 r. , kiedy to w przededniu wkroczenia Niemców została wysadzona w powietrze; odbudowana w 1947 roku. (*Wszystkie przypisy tłumacza.*)

2 Sowgawań - Sowietskaja Gawań, port we wschodniej Syberii.

aby mężów tak świątłych trzymać razem z innymi grzesznikami i poddawać torturom. Wymyślił więc dla nich Dante specjalne miejsce w piekle. Zaraz... to brzmi mniej więcej tak:

Do stóp my doszli wspaniałego grodu...

- ... popatrzcie tylko, jakie tu stare sklepienia!

... Otoczonego murem siedmiorakim...

Potem bram siedmią...

- ... Przywieźli was karetką, toście tych bram nie widzieli!

... Gdzieśmy się z nowym spotkali orszakiem.

Lud był szanownej, dostojnej postawy,

Powściągliwego, poważnego wzroku,

A mowy cichej, skąpej i niezważnej...

... Było daleko jeszcze, lecz dość blisko,

Ażebym poznał w pomroków prześwicie,

Że zacne duchy miały tam siedlisko.

„Mistrzu mój, wiedzy i sztuki zaszczycie,

Któż oni i czym dostąpili prawa,

Że wiodą tutaj wywyższone życie?”³

- E, panie Lwie, całkiem się już pan na poetę przekabacił. Ja znacznie przystępniej potrafię towarzyszyć wyjaśnić, co to takiego szaraszka. Trzeba czytać artykuły wstępne „Prawdy”. „Zostało dowiedzione, że tym więcej owca daje wełny, im lepszą ma paszę i opiekę”.

4

Choinką była gałązka sosny, wetknięta między deski taboretu. Splątany warkocz różnokolorowych żaróweczek niskiego napięcia okręcał się dookoła niej dwukrotnie i sięgał mlecznymi, winylowymi przewodami aż do bateryjki na podłodze.

Taboret stał w przejściu między piętrowymi narami w kącie pokoju, a jeden z górnych materaców osłaniał cały ten kąt i maleńką choinkę przed ostrym blaskiem lamp, bijącym spod sufitu.

Sześciu mężczyzn w grubych, granatowych kombinezonach spadochroniarskich stało dookoła choinki i pochylając głowy słuchało, jak jeden z nich, dziarski Maks Adam, recytował ewangelicką modlitwę wigilijną.

3 Przekład Edwarda Porebowicza.

W całej dużej izbie, ciasno zastawionej takimi samymi piętrowymi narami o przyspawanych nóżkach, nie było nikogo więcej: po kolacji i godzinnym spacerze wszyscy poszli na wieczorną zmianę.

Maks skończył modlitwę i cała szóstka usiadła. Pięciu z nich poczuło gorzkie i słodkie tchnienie ojczystych stron - uładzonego, solidnego kraju, miłych sercu Niemiec, gdzie pod czerwoną dachówką tak jaśniej i wzrusza to najważniejsze w roku święto. Szósty zaś z nich - duży mężczyzna z okazałą czarną brodą biblijnego proroka - był Żydem i komunistą.

Los Lwa Rubina zrósł się z losem Niemiec zarówno zielonymi pędami pokoju, jak suchymi cierniami wojny.

W cywilu był filologiem-germanistą, władał biegle nowoczesnym *hochdeutsch*, gdy trzeba było, swobodnie posługiwał się średnio-, staro- i górnoniemieckim. Każdego Niemca, którego nazwisko kiedykolwiek pojawiło się w druku, wspominał bez trudu, jak dobrego znajomego. O małych nadreńskich miasteczkach potrafił opowiadać tak, jakby niejedną raz przechadzał się po ich czystych, cienistych uliczkach.

Zawadził zaś wszystkiego tylko o Prusy - i to, gdy był na froncie.

Służył jako major „Wydziału d/s moralnego rozkładu wojsk npla”. Z obozów jenieckich wyławiał takich Niemców, którzy nie chcieli tkwić za drutem kolczastym i godzili się na pomoc w tej akcji. Zabierał ich stamtąd i przenosił do specjalnej szkoły, gdzie niczego im nie brakowało. Część z nich przerzucał potem z powrotem przez front; z trotylem, z fałszywymi reichsmarkami, z podrobionymi zaświadczeniami o urlopie i książeczkami wojskowymi. Mogli wysadzać mosty, mogli też jechać do domu i zażyć swobody - aż do chwili aresztowania. Z innymi Rubin dyskutował o Gothem i Schillerze, omawiał propagandowe teksty i za pomocą zmechanizowanych gigantofonów namawiał ich braci na froncie, aby obrócili karabiny przeciw Hitlerowi. Ci spośród jego pomocników, którzy okazali się najbardziej podatnymi na wpływ ideologii, najłatwiej przeskakując od hitleryzmu do komunizmu, przechodzili później do rozmaitych niemieckich „wolnych komitetów”, aby tam zaprawiać się do działalności w przyszłych socjalistycznych Niemczech; z innymi zaś, chłopakami prostszeo, żołnierskiego typu, Rubin pod koniec wojny ze dwa razy przeszedł przez linię frontu, aby siłą perswazji zdobywać tam umocnione punkty i oszczędzić w ten sposób krew sowieckich batalionów.

Ale nie sposób było agitować Niemców, nie wkorzeniając się samemu w ich masę, nie ucząc się ich lubić, a w dniach ich klęski - nie litując się nad nimi. Za to też wsadzono

Rubina do więzienia: jego wrogowie z Zarządu Politycznego⁴ zarzucili mu, że po styczniowej ofensywie 1945 roku agitował przeciw hasłu „krew za krew, śmierć za śmierć”.

To także miał na sumieniu, nie przeczył. Tylko że wszystko to było niepomiernie zawilsze, niż da się opisać w gazecie i niż napisane było w jego akcie oskarżenia.

Obok taboretu, na którym jarzyła się gałązka sosny, stały obok siebie dwie szafki, tworząc rodzaj stołu. Zaczął się poczęstunek: dzielono się konserwami rybnymi (zekom z szaraszki wolno było na rachunek depozytów robić zakupy w stołecznych sklepach), stygnącą już kawą i tortem własnej roboty. Nawiązała się też powściągliwa rozmowa. Maks starał się ją kierować na tematy bardziej pokojowe: stare obyczaje ludowe, wzruszające opowieści wigilijne. Niedouczony fizyk, student z Wiednia, okularnik Alfred włączył się do rozmowy ze swoim zabawnym austriackim akcentem. Nie śmiejąc prawie zabierać głosu przy starszych, wybałuszał oczy na wigilijne lampki puciołowaty chłopak, z uszami różowymi i prześwitującymi jak u prosiaka, Gustaw, wyrostek z Hitlerjugend (trafił do niewoli w tydzień po zakończeniu działań wojennych).

Mimo to rozmowa zboczyła na inne tory. Ktoś wspomniał Wigilię czterdziestego czwartego roku, sprzed pięciu lat i ówczesne natarcie w Ardenach, z którego Niemcy dumni byli jak jeden mąż: było w nim dla nich coś antycznego - pokonani pędzili przed sobą zwycięzców. I przypomnieli sobie, że tamtego wieczoru wigilijnego całe Niemcy słuchały Goebbelsa.

Rubin przytaknął, palcami jednej ręki skubiąc kosmyk szorstkiej, czarnej brody. Owszem, pamięta to przemówienie. Było udane. Goebbels mówił z takim wewnętrznym wysiłkiem, jakby dźwigał na sobie wszystkie ciężary, pod którymi padały Niemcy. Przeczuwał już zapewne swój koniec.

Obersturmbannführer SS Reinhold Simmel, którego długie ciało ledwie mieściło się pomiędzy szafką a piętrowym łóżkiem, nie docenił dyskretnej uprzejmości Rubina. Nieznośna była dla niego już sama myśl, że ten Żyd w ogóle ośmiela się coś mówić o Goebbelsie. Nigdy by nie poniżył się do tego stopnia, by zasiąść z nim do jednego stołu, gdyby potrafił odmówić sobie wspólnej wigilijnej wieczerzy z rodakami. Ale wszyscy pozostali Niemcy koniecznie chcieli, żeby Rubin też był. Dla tego małego niemieckiego ziomkostwa, zapędzonego do złoconej klatki szaraszki w samym sercu dzikiego i pogrążonego w bałaganie kraju, jedynym człowiekiem bliskim i zrozumiałym był właśnie

4 Chodzi o Zarząd Polityczny Armii Czerwonej (PUR), kierujący wywiadem i kontrwywiadem.

tylko ten major nieprzyjacielskiej armii, który przez całą wojnę siał wśród nich niezgodę i chaos. Tylko on mógł objaśnić im porządki i zwyczaje tutejszych ludzi, doradzić odpowiednie zachowanie albo przetłumaczyć ostatnie wiadomości zza granicy.

Szukając słów, którymi mógłby Rubina jak najbardziej zlekceważyć, Simmel powiedział, że w Rzeszy w ogóle było na kopy błyskotliwych mówców; ciekawe, dlaczego u bolszewików woli się uzgadniać zawczasu teksty i dukać mowy z papierka.

Zarzut był słuszny, więc tym dotkliwszy. Ale tłumacz tu, człowieku, temu wrogowi i mordercy, że kwitło u nas krasomówstwo, i to jakie, ale uwiędło w partyjnych komitetach. Właśnie do Simmela czuł Rubin wstręt nie do przewyciężenia. Przypomniał sobie, jak przywieźli go do szaraszki z Butyrek - w skrzypiącej, skórzanej kurtce, na której dopatrzeć się można było śladów po odprutych dystynkcjach esesowca służby pozafrontowej - najgorszego z esesowców. Nawet więzienie nie potrafiło złagodzić wyrazu okrucieństwa zakrzepłego w rysach Simmela. Katowskie piętno zostało na nich. Właśnie ze względu na Simmela Rubinowi nie bardzo chciało się przyjść dziś na tę wieczerzę. Ale pozostali prosili go bardzo, żal mu było ich, samotnych, zagubionych tutaj, i niesporo było psuć im święto odmową.

Tłumiąc w sobie wybuch, Rubin przytoczył w niemieckim przekładzie poradę, jakiej Puszkina udzielił wierszem pewnemu szewcowi: aby krytykując portrety ograniczał się do butów.

Zatroskany Maks szybko wtrącił się do grożącego sporu: a bo właśnie on sam, to jest Maks, dzięki pomocy Lwa już sylabizuje po rosyjsku Puszkina. A dlaczego Reinhold wziął sobie tort bez kremu? A gdzie był Lew w czasie tamtych świąt Bożego Narodzenia?

Reinhold wziął trochę kremu. Lew przypomniał sobie, że był wtedy na froncie nad Narwią, pod Różanem, w swoim bunkrze.

I podobnie jak tych pięciu Niemców wspominało dziś swój zdeptany i rozdarty kraj, malując go najpiękniejszymi barwami duszy, tak samo w myślach Rubina nagle ożyły wspomnienia - naprzód o przyczółku narewskim, później o podmokłych lasach nad jeziorem Ilmeń.

Kolorowe lampki odbijały się w ludzkich oczach.

Dziś także zapytano Rubina o nowiny. Ale trudno mu było zrobić przegląd wydarzeń z grudnia. Nie mógł sobie pozwolić na występowanie w charakterze bezpartyjnego informatora i zrezygnować z nadziei na wychowanie tych ludzi. Nie potrafił zarazem

przekonać ich, że w naszej tak skomplikowanej epoce prawdziwa treść socjalizmu przebija sobie szlak czasami okólną, błędną na oko drogą. Dlatego też należało wybierać dla nich, podobnie, jak dla Historii (nieświadomie dokonywał takiej samej selekcji na własny użytek) - tylko te z bieżących wydarzeń, które nie przeczyły kierunkowi generalnemu, pomijając zaś te, które mąciły obraz.

Ale akurat w grudniu jakoś nic pozytywnego się nie wydarzyło - prócz rozmów sowiecko-chińskich, też zresztą ciągnących się nad miarę, no i prócz siedem-dziesięciolecia urodzin Gospodarza. Opowiadać zaś Niemcom o procesie Trajczko Kostowa, gdzie tak ordynarnie zlazła farba z całej sądowej dekoracji, gdzie korespondentom już po całej zabawie wręczono sfalszowane przyznanie się do winy, rzekomo napisane przez Kostowa w celi śmierci - było Rubinowi wstyd i nie najlepiej służyło celom wychowawczym.

Dlatego Rubin zatrzymał się dziś raczej na historycznym i wszechświatowym zwycięstwie chińskich komunistów.

Maks słuchał Rubina i kiwał potakująco głową. Jego oczy miały niewinny wyraz. Maks był przywiązany do Rubina, ale od czasu blokady Berlina zaczął mu jak gdyby mniej ufać i (o czym Rubin nie wiedział) z narażeniem życia, u siebie, w pracowni fal decymetrowych jął to montować, to znów rozkładać na drobne części - po wysłuchaniu audycji - składany, miniaturowy odbiornik, ani trochę nie przypominający zwykłego radia. W ten sposób nasłuchiwał się już wiadomości nadawanych z Kolonii i przez BBC po niemiecku - nie tylko o Kostowie, że odwołał na procesie te fałszywe samooskarżenia, które wymusili na nim w śledztwie, lecz również o umacnianiu się Sojuszu Atlantyckiego, a także o rozkwicie Zachodnich Niemiec. Wszystko to, rzecz jasna, już dawno powtórzył pozostałym Niemcom i tylko tę jedną mieli nadzieję, że Adenauer ich stąd wyciągnie.

Ale Rubinowi wszyscy przytakiwali.

Zresztą, dawno już był czas na niego - przecież wcale nie dostał zwolnienia z dzisiejszej wieczornej szycy. Rubin pochwalił smak tortu (ślusarz Hildemuth ukłonił się z wdzięcznością) i przeprosił resztę towarzystwa. Przez chwilę jeszcze nie pozwalali mu odejść, dziękując za towarzystwo, on też im podziękował. Niemcy mieli teraz chęć pośpiewać półgłosem kolędy.

Tak jak przyszedł, trzymając w ręku słownik mongolsko-fiński i tomik Hemingwaya w oryginale, Rubin wyszedł na korytarz.

Korytarz - szeroki, z niemalowaną podłogą z wytartych już desek, pozbawiony okien,

dzień i noc oświetlony lampami - był tym samym korytarzem, gdzie przed godziną Rubin z innymi łowcami nowin, w czasie gwarnej przerwy na kolację, wypytywał nowych zeków, przybyłych z obozów. Wychodziły nań jedne drzwi z wewnętrznej, więziennej klatki schodowej i kilkoro drzwi z izb-cel. Izb, bo drzwi nie miały rygla, ale i cel, bo w drzwiach umieszczono judasze - szklane wzierniki. Z tych judaszy miejscowi dozorczy nigdy nie korzystali, ale pozakładano je w zgodzie z regulaminem wszystkich innych więzień, już dlatego, że w urzędowych papierach szaraszka nosiła nazwę „Specwięzienia Nr 1 MBP”.

Przez takiego judasza można było w innej izbie zobaczyć inną Wigilię, urządzoną przez Łotyszów, którzy też zdołali zwolnić się z pracy.

Wszyscy inni więźniowie pracowali i Rubin bał się, żeby go nie zatrzymano, nie zaciągnięto do *opera* i nie kazano tam pisać usprawiedliwień.

Korytarz z obu stron kończył się drzwiami na całą szerokość: jedne były drewniane, czwórdzielne i prowadziły pod półkolistym sklepieniem do dawnej absydy domowej cerkwi w starym dworze, przekształconej także w izbo-celę; drugie, dwudzielne, okute od dołu do góry żelazem, zawsze były zamknięte; aresztanci zwali je „carskie wrota”.

Rubin podszedł do tych żelaznych drzwi i zapukał w okienko. Z drugiej strony szyby pojawiła się skupiona i nieruchoma twarz dozorczy. Klucz obrócił się cicho. Dozorcą był dziś ktoś niezbyt gorliwy.

Rubin wyszedł na paradne schody starej budowli, których stopnie zbiegały się i rozbiegały z dwóch stron, przeciął mroczny podest z dwiema staroświeckimi, obecnie służącymi już tylko do ozdoby, lampami. Na tej samej kondygnacji wszedł do korytarza laboratoryjnego. Pchnął drzwi z napisem: „Pracownia Akustyki”.

5

Pracownia akustyki mieściła się w izbie wysokiej, przestronnej, kilku-okiennej, zastawionej ciasno i bezładnie aparatami fizycznymi na drewnianych stojakach i na podstawkach z białego, błyszczącego aluminium, stołami montażowymi, nowiutkimi moskiewskimi szafkami ze sklejki i zgrabnymi biurkami, które odsłużyły już swoje w berlińskiej siedzibie firmy radiowej „Lorenz”.

Mocne żarówki w matowych kulistych kloszach rzucały z góry blask niedrażniący, biały i rozproszony.

W odległym kącie pokoju wznosiła się prawie do sufitu izolowana akustycznie budka. Wyglądała jak nie dokończona: z zewnątrz obita była zwykłym workowym płótnem, pod

które napchano słomy. Jej drzwi, grube na łokieć, ale puste wewnątrz, jak ciężary cyrkowych kłownów, były teraz otwarte, a wełniana kotara była znad nich odrzucona - dla lepszej wentylacji. Zaraz obok budki lśniła miedź rzędu kontaktów na czarnej tarczy tablicy rozdzielczej.

Przy samej budce, obrócona do niej plecami, otuliwszy wąskie barki wełnianą chustką, siedziała przy biurku wątpa i bardzo drobna dziewczyna o surowym wyrazie bledziutkiej twarzy.

Reszta obecnych, jakichś dziesięciu, byli to mężczyźni, wszyscy w takich samych granatowych kombinezonach. W blasku lamp górnych i w plamach światła ze stołowych lamp na giętkich nóżkach, także przywiezionych z Niemiec, całą czeredą krzatali się, chodzili, pukali młotkami, lutowali, siedzieli przy stołach montażowych i biurkach.

Raz po raz i bez żadnego ładu rozlegał się w pokoju jazz, muzyka fortepianowa i pieśni krajów demokracji ludowej, nadawane przez trzy odbiorniki radiowe, zmontowane naprędce, na byle jakich, aluminiowych płytkach, pozbawione osłon.

Rubin szedł przez pracownię do swego biurka powoli, ze słownikiem mongolsko-fińskim i Hemingwayem w opuszczonej dłoni. Białe okruchy ciasta pozostały mu na czarnej, kędzierzawej brodzie.

Chociaż wszyscy aresztanci dostali kombinezony jednakowego kroju, ale nosili je na różny sposób. Rubin miał urwany jeden guzik, pas rozluźniony, jakieś fałdy na brzuchu.

W przeciwieństwie do niego, zastępujący mu właśnie drogę młody mężczyzna o kasztanowatej, zwichrzonej czuprynie, nosił podobny, granatowy kombinezon z widocznym szykiem, parciany pas ściągnięty był klamrami obcisłej, a w rozcięciu pod szyją widać było niebieską, jedwabną koszulę, wyblakłą wprawdzie od częstego prania, ale za to przyozdobioną kolorowym krawatem. Młody mężczyzna zatarasował sobą całe boczne przejście, którym szedł Rubin. Wymachiwał gorącą kolbą lutowniczą, którą trzymał w prawej ręce, postawił lewą nogę na stołku, wsparł łokieć na kolanie i - wpatrując się bacznie w schemat instalacji radiowej w leżącym na stole angielskim piśmie - nucił jednocześnie:

Boogie-woogie, boogie-woogie,

Samba! Samba!

Rubin nie mógł przejść i przez dobrą chwilę stał z demonstracyjnie potulną miną. Młody mężczyzna jakby go nie widział.

- Walentula - odezwał się Rubin. - Mógłby pan może zabrać na chwilę swoją zadnią

łapę?

Walentula, nie odrywając oczu od rysunku, odparł rąbiąc słowa energicznie:

- Kochany! Znikaj pan! Zmiataj pan stąd! Po co pan tu przychodzi wieczorem? Co pan tu ma do roboty? - i podniósł na Rubina pełne zdziwienia, jasne chłopięce oczy. - Na diabła nam tu jeszcze filolog?! Cha-cha-cha! (mówił to z pauzami). - Przecież nie jest pan inżynierem!! Wstyd!

Zabawnie układając mięsiste wargi w ryjek i otwierając oczy niesłychanie szeroko, Rubin zaseplenił dziecinnym tonem:

- Ale inżynierowie bywają rozmaici, synku! Niektórzy handlują wodą sodową!

- To nie w moim stylu! Ja jestem inżynierem pierwszej klasy! Weź to, chłopie, pod uwagę! - powiedział ostro Walentula, odłożył kolbę na drucianą podstawkę i wyprostował się, odrzucając na kark swoje lekkie i miękkie włosy, tegoż koloru, co leżący na stole okruch kalafonii.

Było w nim coś z dobrze umytego dziecka; cerę miał świeżą, nie poznaczoną jeszcze śladami lat, ruchy chłopięce - i w żaden sposób nie można było domyślić się, że dyplom zrobił jeszcze przed wojną, że był w niewoli u Niemców, objechał Europę i że teraz już piąty rok siedzi w ojczystym więzieniu.

Rubin westchnął:

- Bez urzędowo potwierdzonych zaświadczeń od pańskiego byłego pracodawcy z Belgii administracja nie jest w stanie...

- Zaświadczenia!? - Walenty wysoko podniósł brwi. - Pan chyba rozum stracił! No pomyśl pan sam - przecież ja przepadam za kobietami!!

Surowa, drobna dziewczyna nie mogła pohamować uśmiechu.

Jeszcze jeden więzień, siedzący pod oknem, do którego zmierzał Rubin, przestał pracować i z wyrazem sympatii słuchał słów Walentego.

- Coś mi się zdaje, że tylko teoretycznie - odparł Rubin demonstracyjnie tłumiąc ziewnięcie.

- I szalenie lubię wydawać pieniądze!

- Ale ich pan jakoś nie miewa...

- Więc jak mogę być złym inżynierem? Niech pan sam pomyśli: żeby kochać kobiety - i to wciąż inne - trzeba mieć huk pieniędzy! Żeby mieć huk pieniędzy - trzeba ich dużo zarabiać! Żeby dużo zarabiać, będąc inżynierem - trzeba znać się świetnie na swojej robocie!

Cha-cha! Zrzedła panu mina, co?

Pociągła twarz Walentuli jaśniała szczerym przekonaniem. Zadarł ją zaczepnie w górę.

- Aha! - zawołał zek spod okna, siedzący przy stole przysuniętym bezpośrednio do biurka dziewczyny. - O, nareszcie złapałem głos Walentuli! Ma głos dzwonopodobny! Tak go też sklasyfikuję, co? Taki głos można poznać przez każdy telefon. Choćby nie wiem co przeszkadzało.

I rozłożył duży arkusz, na którym widniały rządki określeń, siatka typologiczna i klasyfikacja w kształcie drzewa.

- Ach, co za bzdura! - zachnął się Walentula, chwycił kolbę i zaczął dymić kalafonią.

Można już było przejść i Rubin, po drodze do swojego stolika, też pochylił się nad klasyfikacją głosów. W milczeniu patrzyli teraz obaj.

- Spory postęp, Glebie - powiedział Rubin. - Jeżeli dodać jeszcze mowę optyczną, to mamy w ręku dobrą broń. Prędko już zrozumiemy, od czego zależy ton głosu w telefonie... Co to nadają?

W pokoju najlepiej słyszeć było jazz, ale już brał górę domowej roboty odbiornik spod okna, z którego płynęła perlita muzyka koncertowa, a w niej uparcie znów uciekała i znów wybijała się na wierzch, żeby znowu zniknąć w głębi, wciąż ta sama melodia. Gleb odpowiedział:

- To siedemnasta sonata d-moll Beethovena. Dziwne, że o niej nigdy... Ale słuchaj, słuchaj...

Obaj pochylili się w stronę odbiornika, lecz jazz bardzo przeszkadzał.

- Valentine! - powiedział Gleb. - Niech pan ustąpi. Okaż pan wspaniałomyślność.

- Już ją okazałem - odgryzł się Walenty. - Zrobiłem wam przecież odbiornik. A teraz urwę wam cewkę tak, że nigdy jej nie znajdziecie.

Drobna dziewczyna zmarszczyła swoje poważne brewki i wtrąciła się:

- Panie Walenty! Doprawdy, niemożliwe już jest to słuchanie trzech rzeczy naraz. Niech pan wyłączy swoje radio, przecież ludzie pana proszą. (Radio Walentego grało slow-foxa, a dziewczyna bardzo to lubiła...).

- Panno Serafimo! To niesłychane! Walenty miał na drodze wolne krzesło, wsparł się na nim i mówił, nachylony, jak z trybuny: - Więc normalnemu, zdrowemu człowiekowi może nie podobać się energiczny, dynamiczny jazz?! To i na panią chcą rozciągnąć rozkładowe działanie wszelkiej starzyzny?! Czy pani nie tańczyła nigdy Błękitnego Tanga?

Czy to może być, żeby nigdy pani nie widziała rewii Arkadego Rajkina? A więc nie zna pani tego, co ludzki duch stworzył najlepszego! Więcej - widzę, że nie była pani nigdy w Europie! Skąd więc ma pani wiedzieć, co to jest życie?... Dobrze, oj, dobrze pani radzę: musi pani w kimś się zakochać! - perorował Walenty nad oparciem krzesła, nie widząc gorzkiej zmarszczki w kącie ust dziewczyny. - W kimś, ale *ca depen!* Blask wieczornych lamp! Szelest balowych sukien!

- Oho, znów mu faza przeskoczyła! - powiedział z troską Rubin. - Trzeba więc użyć władzy!

I sam wyłączył jazz za plecami Walentuli.

Walentula odwrócił się jak oparzony:

- Kto panu pozwolił?

Nachmurzył się i starał się mieć groźny wygląd.

Swobodna teraz, żywa melodia siedemnastej sonaty połała się czystą strugą, ścierając się już tylko z brutalną pieśnią z odległego kąta.

Rubin rozluźnił się cały, w jego twarzy widać było tylko spokorniałe, czarne oczy i brodę z okruchami ciasta.

- Inżynierze Priancykow! Pan wciąż jeszcze powołuje się na Kartę Atlantycką? Czy sporządził pan już testament? Komu pan zapisał swoje nocne papucie?

Twarz Priancykowa przybrała poważny wyraz. Spojrzał bez gniewu Rubinowi w oczy i zapytał cicho:

- A bo co, do diabła? Przecież przynajmniej w ciupie powinna być wolność!

Zawołał go któryś z montażystów i Walenty odszedł przybity.

Rubin bezszelestnie usiadł na swoim krześle, plecami dotykał pleców Gleba i przygotował się do słuchania, ale kojąco-falująca melodia nagle się urwała, jak przemówienie ucięte w pół słowa - taki był skromny, nieefektowny koniec siedemnastej sonaty.

Rubin zaklął po szewsku, ale tak, że tylko Gleb mógł słyszeć.

- Przeliteruj, nie słyszę - powiedział Gleb, wciąż odwrócony plecami do Rubina.

- Zawsze ten pech - powiedział chrypliwie Rubin, też się nie odwracając. - Masz, przegapiłem sonatę...

- Bo żyjesz bez planu, ile razy ci do łba to pakuję! - odparł mu przyjaciel. - A sonata bardzo dobra. I - nie ma zakończenia, jak w życiu. Gdzieś był?

- U Niemców. Uczciłem Boże Narodzenie - uśmiechnął się Rubin.

Rozmawiali nie patrząc na siebie, zetknięci plecami.

- Zuch chłopak. - Gleb zamyślił się. - Podoba mi się twój stosunek do nich. Godzinami uczysz tego Maksa po rosyjsku. A przecież miałbyś powody, żeby ich nienawidzić.

- Nienawidzić? Nie. Ale uczucie, jakie dawniej dla nich miałem, przygasło. Weźmy choćby tego bezpartyjnego Maksa - czy nawet on nie dzieli jakoś odpowiedzialności z oprawcami? Przecież - nie próbował im przeszkadzać?

- No, tak jak my tu nie przeszkadzamy w robocie ani Abakumowowi, ani Myszkinowi-Szyszkinowi...

- Słuchaj, Gleb, koniec końców jestem Żydem nie bardziej niż Rosjaninem? I nie bardziej Rosjaninem niż obywatelem świata?

- Pięknieś to powiedział. Obywatel świata! - to brzmi czysto, nie ma krwi na tym słowie.

- To znaczy - kosmopolita. Mieli rację, że nas tu wsadzili.

- A pewno, że mieli. Chociaż ty cały czas wykazujesz Sądowni Najwyższemu, że nie mieli.

Spiker z parapetu zapowiedział za pół minuty „Biuletyn współzawodnictwa przemysłowego”.

Gleb przez te pół minuty zdążył z wyrachowaną powolnością podnieść dłoń do odbiornika i obrócić gałkę wyłącznika, nie pozwalając spikerowi nawet chrząknąć, całkiem jakby mu kark skręcił. Znużona jego twarz już poszarzała.

A Priancykow wziął się z zapalem do kolejnego problemu. Wyliczając parametry nowego wzmacniacza, śpiewał głośno i beztrąsko;

Boogie-woogie, boogie-woogie,

Samba! Samba!

6

Nierzyn był rówieśnikiem Priancykova, ale wyglądał starzej. Chociaż jego płuwe włosy, trochę opadające na skronie, jeszcze się nie przerzedziły ani nie posiwiały, na pociągłej twarzy już znaczyły się liczne, głębokie zmarszczki - całe wianki zmarszczek koło oczu, koło ust i poprzeczne bruzdy na czole. Wskutek braku świeżego powietrza cerę miał ziemistą. Szczególnie zaś go postarzała pewna oszczędność w ruchach - ta przemysłna nieruchawość, przy pomocy której sama natura broni zamierających w obozie sił aresztanta.

To prawda, że w bardziej liberalnych warunkach szaraszki, z mięsnym jedzeniem i bez wyczerpującej resztki sił pracy fizycznej nie było powodu do oszczędzania się przy każdym ruchu, ale Nierzyn starał się w trakcie tej - jak uważał - czasowej przerwy więziennej wyćwiczyć i przyswoić sobie raz na zawsze zasadę oszczędnej gospodarki siłami.

Na dużym biurku Nierzyna stały prawdziwe barykady z książek i skoroszytów, mały zaś kawałek wolnego miejsca pośrodku był z kolei zapchany teczkami, plikami maszynopisów, książkami, obcymi i krajowymi czasopismami; wszystkie były pootwierane. Gdyby tu wszedł ktoś nie żywiący podejrzeń, mógłby pomyśleć, że ma przed sobą zastygły na chwilę orkan myśli badawczej.

A tymczasem wszystko to były czary-mary.

Nierzyn wieczorami puszczał zasłonę dymną na wypadek nagłej wizyty zwierzchników.

W istocie zaś wcale nie widział tego, co przed nim leżało. Odsunął jasną, jedwabną frankę i patrzył w szyby czarnego okna. Za głębiami nocnych przestrzeni zaczynały się wielkie i różnobarwne ognie Moskwy i całe miasto, niewidoczne za pagórem, biło w niebo niezmiernym słupem bladego, rozproszonego światła barwiąc nieboskłon ciemnoburym odcieniem.

Specjalne krzesło Nierzyna, ze sprężynującym oparciem, wygodnie uginającym się przy każdym ruchu pleców, i jego specjalny stół z żebrowanymi, zasuwanymi żaluzjami, jakich się u nas nie robi, i wygodne miejsce przy oknie na południe - dla człowieka zorientowanego w dziejach marfińskiej szaraszki wszystko to było dowodem, że Nierzyn jest jednym z jej założycieli.

Szaraszka nosiła nazwę marfińskiej od wsi Marfino, niegdyś tu istniejącej, ale od dawna już włączonej do obszaru miasta. Założono ją przed jakimiś trzema laty, pewnego lipcowego wieczoru. Do starego budynku podmoskiewskiego seminarium, zawczasu ogrodzonego drutem kolczastym, przywieziono półtora dziesiątka zeków, powyciąganych z obozów. Ten okres, zwany w szaraszce kryłowski, był wspomniany później niemal jak wiek arkadyjski. Można było wtedy w więziennym internacie włączyć BBC (nikt nie umiał go jeszcze zagłuszać), wieczorami samemu spacerować po zonie, wylegiwać się na wilgotnej od rosy trawie, nie koszonej - wbrew przepisom (trawę należy kosić do goła, żeby zeki nie podpełzali do drutów); i gapić się do woli - już to na nieśmiertelne gwiazdy, już to na zwykłego śmiertelnika, starszego sierżanta MSW Żwakuna, jak się poci, kradnąc w czasie

nocnego dyżuru belki przeznaczone na remont i jak przetacza je pod drutami, żeby mieć czym palić w domu.

Szaraszka jeszcze wtedy nie zdawała sobie sprawy, że pisane są jej badania naukowe, i zajęta była rozpakowywaniem licznych skrzyń, które tu zwieziono dwoma pociągami z Niemiec; wyłuskiwała co wygodniejsze krzesła i stoły; sortowała przestarzałą i potłuczoną przy transporcie aparaturę telefoniczną, ultrakrótkofalową, akustyczną; konstatowała, że najlepsze urządzenia i najnowszą dokumentację Niemcy zdążyli rozszabrować albo zniszczyć, podczas gdy kapitan MSW, wysłany dla przetransportowania zakładów „Lorenza”, dobry specjalista od mebli, ale nie od radia i języka niemieckiego - zajęty był pod Berlinem wyszukiwaniem kolekcji sprzętów do moskiewskich mieszkań zwierzchności i swojego własnego.

Od tego czasu trawę nie raz już koszone, drzwi na spacerzy otwierały się tylko na sygnał, szaraszkę przekazano z resortu Berii do resortu Abakumowa i kazano jej zajmować się problemem tajnej techniki telefonicznej.

Problem ten miano nadzieję rozwiązać w ciągu roku, ale rzecz ciągnęła się już dwa lata, rozrastała się, komplikowała, zahaczała wciąż o nowe kwestie poboczne i tu właśnie, na biurkach Rubina i Nierżyna dojrzała aż do sprawy rozpoznawania głosów przez telefon, do pytania - co decyduje o specyficznych cechach głosu poszczególnych ludzi.

Nikt, jak się zdaje, nie zajmował się dotąd podobnymi badaniami. W każdym razie nie udało im się natrafić na żadne prace. Dostali na te badania pół roku, potem jeszcze pół, ale sprawa mało co posunęła się naprzód; teraz terminy bardzo już nagliły.

Czując to niemiłe ciśnienie zaległości, Rubin poskarżył się, wciąż nie odwracając głowy:

- Jakoś nie mam dziś wcale nastroju do pracy...

- To zadziwiające - burknął Nierżyn. - Byłeś na wojnie, zdaje się, tylko cztery lata, nie siedzisz nawet pięciu. I już zmęczony? Postaraj się o wczasy na Krymie.

Chwilę milczeli.

- Piszesz to s w o j e ? - cicho zapytał Rubin.

- Mhm.

- A kto zajmie się głosami?

- Prawdę mówiąc, liczyłem na ciebie.

- Co za traf! A ja liczyłem na ciebie.

- Nie masz sumienia. Ileś ty pod tą flagą wypisał już sobie książek z Leninki⁵? Przemówienia słynnych obrońców. Wspomnienia adwokata Koni. „Praca aktora nad sobą”. I wreszcie, to całkiem już trzeba nie mieć wstydu, studium o księżniczce Turandot. Jakież zek w całym GUŁagu może się pochwalić takimi lekturami?

Rubin złożył grube wargi w ryjek, przez co twarz jego zawsze przybierała wyraz głupawy i śmieszny:

- Dziwne. A z kim to czytałem w czasie pracy te wszystkie książki, nawet tę o księżniczce Turandot? Czy aby nie z tobą?

- Ja bym nawet pracował. Pracowałbym z całym zapamiętaniem. Ale przeszkadzają mi w robocie dwie okoliczności. Po pierwsze, dręczy mnie sprawa posadzek.

- Jakich posadzek?

- Za Kałuską rogatką, dom MSW, półokrągły, z basztą. Nasz obóz budował go w czterdziestym piątym, pracowałem tam jako podręczny posadzkarza. A dziś się dowiaduję, że Rojtman, jak się okazuje, mieszka właśnie w tym domu. I zaczęło mnie dręczyć, no, wręcz sumienie twórcze albo, jeśli wolisz, kwestia prestiżu: czy skrzypią tam te moje podłogi, czy nie skrzypią? Bo jeżeli skrzypią, to znaczy - tandetna robota! A ja tu nic już nie mogę poradzić!

- Słuchaj, ależ to dramat!

- Socrealistyczny. Po drugie: czy to nie świństwo pracować tu w sobotni wieczór, jeżeli człowiek zdaje sobie sprawę, że w niedzielę będą mieć wychodne tylko frajerzy?

Rubin westchnął.

- Już w tej chwili faceci rozpełzli się po różnych rozrywkowych instytucjach. Może to nie zwykłe chamstwo?

- Ale czy aby właściwe rozrywki sobie wybierają? To jeszcze pytanie, czy więcej mają z życia niż my.

Więziennym, wymuszonym zwyczajem rozmawiali szeptem, tak że nie słyszała ich nawet Serafima Witaliewna siedząca naprzeciw Nierzyna. Siedzieli teraz półodwróceniu i mieli całą resztę pokoju za plecami, a przed oczyma okno, latarnie żony, wieżę strażniczą, której kształt odgadywali w ciemności, rzadkie ognie dalekich szklarni i ćmiący w głębi nieba płowy słup światła nad Moskwą.

Nierzyn, chociaż matematyk, był za pan brat z lingwistyką i od czasu, gdy fonetyka

⁵ Leninka - Biblioteka Leninowska w Moskwie, największy księgozbiór publiczny.

mowy rosyjskiej stała się przedmiotem badań Marfińskiego Instytutu Naukowo-Badawczego, Nierżyna stale kojarzono przy pracy z jedynym tu filologiem Rubinem. Już dwa lata siedzieli ramię w ramię po dwanaście godzin dziennie. Od pierwszej chwili wyjaśniło się, że obaj są frontowcami, że razem byli na froncie Północno-Zachodnim i razem na Białoruskim, i obaj mieli „mały gentlemański komplecik” orderów, że aresztował ich w tym samym miesiącu ten sam oddział SMIERSZA⁶ - i obydwaj na podstawie tego samego ogólnego (to znaczy - nie związanego z cenzusem wieku, wykształcenia, majątku ani z dostępem do zasobów materialowych) dziesiątego paragrafu⁷ - oberwali tak samo podzięciaku (zresztą wszyscy dostawali tyleż samo). Różnica wieku między nimi wynosiła tylko sześć lat, a ich rangi różniły się zaledwie o jeden stopień - Nierżyn był kapitanem.

Sympatię Rubina budził ten fakt, iż Nierżyn trafił do więzienia nie za to, że był w niewoli, a zatem nie był zarażony antysowieckimi, zagranicznymi miazmatami. Nierżyn był człowiekiem naszym, sowieckim, ale przez całą swoją młodość ślęczał nad książkami aż do zawrotu głowy i z tych lektur wyciągnął wniosek, że Stalin wypaczył rzekomo zasady leninizmu. Jednak Nierżyn pozostał w gruncie naszym człowiekiem i dlatego to Rubin potrafił wysłuchiwać cierpliwie jego bzdurnych, zawitych i niewczesnych uwag.

Patrzyli jeszcze chwilę w ciemność.

Rubin cmoknął z żalem:

- Jakiś ty jednak ubogi duchem. To mnie martwi.

- A ja nie usiłuję nałapać wszystkiego: mądrego na świecie dużo, tylko dobrego mało.

- No więc masz tu dobrą książkę, poczytaj!

- Czy to znów o biednych, skołowaciałych bykach?

- Nie.

- Więc o zaszczytanych lwach?

- Ależ nie!

- Słuchaj, nie mogę się w ludziach połapać, po co mi jeszcze byki?

- Powinieneś ją przeczytać!

- Nic już nie p o w i n i e n e m , zapamiętaj sobie! Ze wszystkimi powinnościami jestem kwita na blank, jak powiada Spiridon.

- Marny człeczyno! To jedna z najlepszych książek dwudziestego wieku!

6 SMIERZ (skrót od *śmierć szpionom*, „śmierć szpiegom”) - kontrwywiad wojskowy.

7 Chodzi o Art. 58, § 10 KK RFSRR.

- I co, naprawdę znajdę w niej to, co wszyscy powinni zrozumieć? W którym momencie ludzie zeszli z drogi?

- Mądry, zacny, bezgranicznie rzetelny pisarz, żołnierz, myśliwy, rybak, pijak i kobieciarz, mocno i szczerze nie znoszący fałszu, wytrwale dążący do prostoty, bardzo ludzki, genialnie naiwny...

- A idźże do licha - zaśmiał się Nierzyn. - Całkiem uszy mi zamulisz swoim żargonem. Wyżyłem trzydzieści lat bez Hemingwaya, wyżyję jeszcze trochę. Już i tak mam życie w kawałkach. Daj mi się o g r a n i c z y ć. Pozwól mi chociaż obrócić się w jakąś stronę...

I pochylił się nad swoim biurkiem.

Rubin westchnął. W dalszym ciągu nie znajdował w sobie nastroju do pracy.

Zaczął przyglądać się mapie Chin, opartej przed nim o półeczkę na biurku. Mapę tę wyciął kiedyś z gazety i nakleił na karton. Przez cały zeszły rok czerwonym ołówkiem zaznaczał na niej postępy wojsk komunistycznych, a teraz, po ostatecznym zwycięstwie, zostawił ją na dawnym miejscu, żeby w chwilach zmęczenia i depresji podtrzymywała go na duchu.

Ale dziś gryzł Rubina natrętny smutek i nawet czerwony masyw zwycięskich Chin nie dawał rady zgryzocie.

A Nierzyn, od czasu do czasu ssąc w zamyśleniu ostry koniec plastikowej obsadki, drobniutkim pismem, jakby wcale nie stalówką, ale czubkiem igły, pisał na maleńkim karteluszkach, tonącym wśród urzędowego kamuflażu:

„Dla matematyka nie ma żadnych niespodzianek w historii 17-go roku. Przecież tangens przy parametrze 90-ciu stopni wznosząc się w nieskończoność, natychmiast wpada w przepaść nieskończoności ujemnej. Podobnie też Rosja, która po raz pierwszy wzniosła się na wyżyny nie znanej przedtem wolności, natychmiast runęła w przepaść najgorszej tyranii.

Nikomu to się zresztą nie udało za pierwszym zamachem.

Duża izba pracowni akustyki spokojnie oddychała swoim powszednim życiem. Warczał silniczek elektro-ślusarza. Padały polecenia: „Włączyć!”, „Wyłączyć!”. Nadawano przez radio jakąś kolejną sentymentalną bzdurę. Ktoś domagał się głośno lampy radiowej „sześć-ka-siedem”.

Wykorzystując chwilę, gdy nikt na nią nie patrzył, Serafima Witaliewna bacznie przyglądała się Nierzynowi, który wciąż notował coś mikroskopijnym pismem na karteluszkach.

Oficer operacyjny, major Szykin, kazał jej mieć na oku tego więźnia.

7

Tak drobna, że trudno było nie nazywać jej zdrobniale - Simoczka, Serafima Witaliewna, nosząca dziś batystową bluzkę i opatulona ciepłą chustką, była lejtnantem MSW.

Wszyscy wolni pracownicy w tym budynku byli oficerami MSW. Wolni pracownicy, zgodnie z konstytucją - mieli najrozszybsze prawa, a w ich liczbie - prawo do pracy. Jednakże prawo to ograniczone było do ośmiu godzin dziennie, a nadto praca ich nie polegała na pomnażaniu dóbr, lecz sprowadzała się do pilnowania zeków. Zeki zaś, pozbawieni wszystkich innych praw, mieli za to o wiele szersze prawo do pracy - przez dwanaście godzin na dobę. Tę różnicę, z dodatkiem przerwy na kolację - razem od szóstej wieczorem do jedenastej w nocy - wolni pracownicy każdego laboratorium musieli po kolei nadrabiać dyżurami, nadzorując pracę zeków.

Dziś była więc kolej Simoczki. W pracowni akustyki ta malutka, przypominająca ptaszka dziewczyna była teraz jedyną władzą i jedyną zwierzchnością.

Zgodnie z instrukcją powinna była baczyć, aby więźniowie pracowali i nie próżnowali, aby nie wykorzystywali miejsca pracy do produkcji broni albo dla podkopu, aby też - korzystając z obfitości części radiowych - nie majstrowali sobie krótkofalówek. Za dziesięć jedenasta powinna była też przejąć od nich całą supertajną dokumentację, zamknąć w kasie pancерnej i opieczetować drzwi pracowni.

Nie minęło jeszcze pół roku od chwili, gdy Simoczka, po ukończeniu Instytutu Łączności, została - dzięki swej kryształowej ankiecie personalnej - skierowana do tego specjalnego, tajnego, zaszyfrowanego instytutu naukowo-badawczego, który więźniowie nazywali w swoim zuchwałym i prostackim języku szaraszka. Skierowanym tu frajerom od razu dawano oficerskie szlify, wypłacano gażę dwukrotnie wyższą, niż należało się zwykłemu inżynierowi (za stopień wojskowy, na sorty mundurowe) - a wymagano za to przede wszystkim wierności i czujności, a dopiero później - fachowości i doświadczenia.

To było Simoczce na rękę: nie tylko ona, lecz także liczne jej koleżanki nie wyniosły z instytutu fachowych umiejętności. Wiele było przyczyn tego stanu rzeczy. Dziewczęta kończąc już szkołę nie bardzo wyznawały się na matematyce i fizyce (jeszcze w starszych klasach przewąchały, że dyrektor na radach pedagogicznych beszta nauczycieli za dwóje i że maturę zawsze dadzą, choćby się człowiek wcale nie uczył). A w instytucie, kiedy łąpały w

końcu wolną chwilę i siadały do zadań - przedzierały się przez tę matematykę i radiotechnikę jak przez nieprzebyte, mroczny bór, całkiem im obcy. Ale najczęściej nie miały po prostu czasu. Każdej jesieni na cały miesiąc, albo i na dłużej, studentów zapędzano do kołchozów na kopanie kartofli i wskutek tego później przez cały rok musieli słuchać wykładów po osiem i po dziesięć godzin dziennie, a potem nie było już czasu na odcyfrowanie notatek. Każdego poniedziałku były zajęcia z nauk politycznych i przynajmniej raz w tygodniu jakieś zebranie, to już obowiązkowo; trzeba też było znaleźć czas na pracę społeczną, na gazetkę ścienną, na występy patronackie; a także i w domu pomóc, i do sklepów pójść, i umyć się, i odziać. A kino? a teatr? a klub? Jeżeli podczas studiów człowiek sobie nie poskacze, nie potańczy - to kiedy? Po co się trapić, pókiśmy młodzi! W rezultacie Simoczka i jej koleżanki zaopatrywały się przed egzaminami w większą ilość ściągawek, chowały je w niedostępne dla mężczyzn zakamarki damskiej odzieży, a na egzaminie wyciągały co trzeba, rozkładały na pulpicie i mówiły, że to brudnopis. Egzaminatorzy mogli, oczywiście, za pomocą paru dodatkowych pytań zdemaskować brak wiadomości u swoich słuchaczek, ale sami byli do granic wytrzymałości obciążeni posiedzeniami, zebraniem, różnorakimi planami i formularzami sprawozdań dla dziekanatu i dla rektoratu, powtarzać więc egzamin było im zbyt trudno, a jeszcze karcono ich za brak postępów na kursie jak za braki produkcyjne, opierając się na sławetnym cytacie, chyba z Krupskiej, że nie ma złych uczniów, są tylko źli nauczyciele. Dlatego też egzaminatorzy nie usiłowali wcale konfundować egzaminowanych, przeciwnie, starali się zaliczyć egzamin jak najpomyślniej i jak najszybciej.

Pod koniec studiów Simoczka i jej koleżanki przekonały się z żalem, że swojego fachu nie polubiły i nawet zdążyły go sobie uprzykrzyć, ale było już za późno. Simoczka z drżeniem myślała - jak to będzie w pracy?

Ale oto trafiła do Marfina. Tu najbardziej spodobało jej się to, że nie kazano jej robić żadnych samodzielnych badań. Ale nie tylko takiemu maleństwu jak ona straszno było przekroczyć z onę tego samotnego, podmoskiewskiego zamku, gdzie dobrana straż i sztab nadzorców pilnowali szczególnie niebezpiecznych więźniów stanu.

Instruowano je razem - wszystkie dziesięć absolwentek Instytutu Łączności. Wytłumaczono im, że otrzymały skierowanie - nie to, żeby na front, ale wręcz do gniazda węzłów, gdzie byle nieostrożny ruch grozi zagładą. Powiedziano im, że napotkają tu najgorsze kanale, ludzi niegodnych tej mowy rosyjskiej, którą, niestety, władają. Ostrzeżono je, że ludzie ci są szczególnie niebezpieczni dlatego, iż nie pokazują otwarcie swoich

wilczych kłów, lecz noszą stale fałszywą maskę uprzejmości i dobrego wychowania, jeśli zaś zacząć wypytywać o ich przestępstwa (czego kategorycznie się zabrania!) - to postarają się kłamliwymi, zawiłymi sposobami dowieść, że są niewinnymi ofiarami. Zwrócono im uwagę, że one też nie powinny okazywać tym gadom całej swojej nienawiści, ale - ze swej strony - trzymać się formalnych nakazów grzeczności, nigdy jednak nie wdając się w prywatne rozmowy, nie przyjmując żadnych próśb ani zleceń związanych ze światem zewnętrznym, przy pierwszym zaś wykroczeniu, podejrzeniu o zamiar wykroczenia albo możliwości podejrzenia o zamiar wykroczenia - natychmiast zwierzać się oficerowi operacyjnemu, majorowi Szykinowi.

Major Szykin - czarniawy, niziutki, nadęty, z siwiejącą szczotką włosów na wielkiej głowie, z malutkimi nóżkami obutymi w dziecinne trzewiki, dał wówczas wyraz takiej myśli: że chociaż on i inni doświadczeni ludzie widzą jak na dłoni całą gadzią naturę tych złoczyńców, to jednak wśród takich niedoświadczonych dziewcząt, jak tu obecne, może wszak znaleźć się jedna, w której zadrga współczujące serce i w rezultacie pozwoli na jakieś wykroczenie - na przykład da do czytania książkę z pozawięziennej biblioteki (major nawet nie wspomina tu już o wrzuceniu listu, bo każdy list, niezależnie od niewinnego adresu, właściwie przeznaczony jest dla amerykańskich central szpiegowskich). Major Szykin usilnie prosi dziewczęta, będące świadkami takiego nieszczęścia swej przyjaciółki, aby okazały jej koleżeńską pomoc, a mianowicie, by natychmiast zawiadomiły majora Szykina o wypadku.

W zakończeniu pogadanki major nie ukrywał, że bliższy kontakt z więźniami jest prawnie karany, zaś kodeks karny, jak wiadomo, to rzecz rozciągliwa i przewiduje nawet dwadzieścia pięć lat ciężkich robót.

Nie można było sobie bez dreszczu trwogi wyobrazić tej beznadziejnej przyszłości, która je czekała. Niektóre z dziewcząt miały aż łzy w oczach. Ale nieufność już została zasiana. I rozchodząc się po instruktażu rozmawiały nie o tym, co usłyszały, ale na tematy obojętne.

Ledwie dysząc weszła Simoczka w ślad za inżynierem Rojtmanem do pracowni akustyki i nawet w pierwszej chwili omal nie zmrużyła powiek.

Minęło już od tego czasu z pół roku - i coś dziwnego stało się z Simoczka. Nie, wcale nie zachwiała się w niej wiara w krecią robotę imperialistów. Z tą samą łatwością zakładała, że więźniowie pracujący w sąsiednich izbach są straszliwymi zbrodniarzami. Ale spotykając

się co dzień z tuzinem zeków z akustyki, daremnie usiłowała w tych ludziach - tak mrocznie zubożniętych na sprawy dziejące się na wolności, na własny los, na swoje wyroki po dziesięć lat i po ćwierć wieku, w tych doktorach, inżynierach i monterach zajętych od rana do nocy wyłącznie pracą, obcą im, niepotrzebną, nie przynoszącą ani grosza zarobku, ani kruszyny sławy - rozpoznać tych bezlitosnych bandytów, których tak łatwo rozpoznawał w kinie widz, a tak zręcznie wyłapywał kontrwywiad.

Simoczka nie czuła przed nimi lęku. Nie mogła też znaleźć w sobie nienawiści do nich. Ludzie ci budzili w niej jedynie prawdziwy szacunek swoją wszechstronną wiedzą, swoją wytrzymałością w znoszeniu nieszczęścia. I chociaż kom-somolski obowiązek głośno się tego domagał, chociaż patriotyzm twardo nakazywał donosić oficerowi operacyjnemu o każdym wykroczeniu i wyczynie aresztowanych - nie wiadomo czemu zaczęło się to wydawać Simoczce czymś podłym i niemożliwym do spełnienia.

Jeszcze bardziej niemożliwe było to w stosunku do najbliższego sąsiada i współpracownika - Gleba Nierżyna, siedzącego naprzeciw niej w odległości dwóch biurkowych blatów.

Cały ten czas Simoczka ściśle z nim współpracowała, oddana pod jego dowództwo dla przeprowadzenia badań art y k u l a c y j n y c h . W marfińskiej szaraszce co i rusz trzeba było przeprowadzać oceny słyszalności na rozmaitych liniach telefonicznych. Mimo sprawności urządzeń pomiarowych nie było jeszcze takiego, które wskazywałoby stopień słyszalności po prostu strzałką. Tylko głos lektora, wymawiającego poszczególne zgłoski, słowa czy zdania - i uszy słuchaczy, odbierające tekst na końcu badanej linii mogły wysnuć właściwy wniosek z odsetka omyłek. Takie badania nosiły nazwę art y k u l a c y j n y c h .

Nierżyn zajął się - a raczej winien był się zajmować według planów zwierzchności - matematyczną organizacją tych badań. Rozwijały się pomyślnie i Nierżyn zdobył się nawet na trzynomową monografię o ich metodyce. Kiedy gromadziło się dużo roboty naraz, Nierżyn z punktu orientował się w stopniu pilności rozmaitych czynności, podejmował decyzje z całą pewnością siebie, twarz jego stawała się wtedy młodsza i Simoczka, znająca wojnę z filmów, w takich chwilach wyobrażała sobie, jak to Nierżyn w mundurze kapitana, wśród dymu eksplozji, z rozwianym płowym włosiem rozkazuje baterii: „Ognia!” (To właśnie najczęściej widziało się na ekranie).

Ale cała ta sprawność potrzebna była Nierżynowi po to, by - odwaliwszy powierzchowną część pracy - wymigać się od samego działania. Tak też powiedział pewnego

dnia do Simoczki: „Działam tak czynnie dlatego, że nienawidzę działania”. „A co pan lubi?” - zapytała go nieśmiało. „Rozmyślania” - odparł. I rzeczywiście, po kolejnym odpływie fali zajęć - Nierzyn godzinami siedział nie zmieniając prawie pozycji, twarz mu wtedy szarzała, bruzdziły ją zmarszczki. Gdzie wtedy znikala jego pewność siebie? Stawał się nieruchawy i bezwolny. Namyslał się długo, by wreszcie zanotować kilka zdań, dodając coś do drobniutkich, szpileczkowych notatek, które Simoczka dziś też wyraźnie widziała na jego stole wśród natłoku technicznych kompendiów i artykułów. Zauważyła nawet, że wtykał je gdzieś w głąb lewej szafki swego biurka, jakby wcale nie do szuflady. Simoczka umierała z ciekawości, by dowiedzieć się, co też on pisze i dla kogo. Nierzyn, sam o tym nie wiedząc, znalazł się w centrum jej współczucia i zachwytu.

Panieński żywot Simoczki układał się, jak dotąd, bardzo niefortunnie. Nie była ładna: twarz jej szpecił zbyt długi nos, włosy nie wiedzieć czemu niezbyt gęste, rosły marnie i zebrane były na karku w chudy węzełek. Wzrostu była nawet nie niskiego, ale wprost nikczemnego i sylwetka jej przypominała raczej uczennicę siódmej klasy niż dorosłą kobietę. Do tego była jeszcze surowa, nieskłonna do żartów, do pustych zabaw - a to też młodych mężczyzn nie przyciągało. I tak jakoś wypadło, że w wieku dwudziestu trzech lat nikt jeszcze się do niej nie zalecał, nikt nie objął i nikt nie pocałował.

Niedawno, przed jakimś miesiącem, mikrofon w budce zaczął szwankować i Nierzyn zawołał Simę, by pomogła w naprawie. Weszła ze śrubokrętem w rękę: w głuchoj ciasnocie budki, gdzie dwoje ludzi ledwo się mieściło, pochyliła się nad mikrofonem, który już oglądał Nierzyn, i wtedy właśnie, nie zdając sobie z tego sprawy, przytuliła policzek do jego policzka. Przytuliła i zastygła ze zgrozy - co teraz będzie? Powinna była przecież się odsunąć - ale dalej bezmyślnie wpatrywała się w mikrofon. I tak ciągnęła się ta długa, najstraszniejsza w życiu chwila - ich policzki płonęły, przytulone - a on ani się ruszył! Potem nagle chwycił ją oburącz za głowę i pocałował w usta. Ciało Simoczki przeniknęła radosna słabość. Nie odezwała się w tej chwili ani słowem o Komsomole, ani o patriotyzmie, tylko powiedziała:

- Drzwi nie zamknięte!

Lekka, granatowa portiera oddzielała ich od gwaru dnia, od spacerujących, rozprawiających, zdolnych w każdej chwili odsunąć firankę ludzi. Aresztant Nierzyn nie ryzykował niczym, prócz dziesięciu dni karceru - dziewczyna ryzykowała ankietą, karierą, może nawet wolnością, ale nie miała sił, aby oderwać się od rąk obejmujących jej głowę.

Po raz pierwszy w życiu całował ją mężczyzna!

Tak to łańcuch, przemyślnie i przewrotnie spleciony ze stali, pękł tam, gdzie ogniwo ukute miał z kobiecego serca.

8

- Czyja tam łysina bodzie mnie z tyłu?

- Dziecino, jednak wpadłem w liryczny nastrój. Pogwarzmy sobie.

- Tak w ogóle to jestem zajęty.

- Zajęty - dobryś!... Czuję, że mnie muli, Glebie. Siedziałem przy tej zaimprovizowanej niemieckiej choince, zacząłem coś mówić o mojej ziemiance na przyczółku, na północ od Pułtuska, i masz - front! - stanął przed oczyma - front! i tak żywo, tak cudownie... Słuchaj, wojnę też można wspomnieć dobrym słowem, co?

- Dawno już takie rzeczy czytałem w niemieckich pisemkach dla żołnierzy; wpadały nam czasem w ręce: „Hygiena duszy”, „Soldatentreue”.

- Ty łotrze. Ale mów, co chcesz, jest w tym jakieś racjonalne ziarno...

- Nie wolno sobie na to pozwalać. Etyka taoistów głosi: „Oręż nie jest narzędziem cnoty, lecz zbrodni. Mędrzec odnosi zwycięstwa niechętnie”.

- Cóż słyszę? Ze sceptyka przemieniłeś się w taoistę?

- Nie ma jeszcze decyzji w tej sprawie.

- Z początku przypominałem sobie swoich najlepszych fryców - jakeśmy to razem układali teksty ulotek. Matka obejmująca dzieci - później jasnowłosa, płacząca Gretchen, to była nasza koronna ulotka z wierszowanym tekstem.

- Pamiętam, wpadła mi w ręce.

- Wspomnienia... Nie opowiadałem ci o Miłce? Była studentką Instytutu Języków Obcych, skończyła go w 41-szym i od razu posłano ją do naszego oddziału jako tłumaczkę. Nosek trochę zadarty, ostre ruchy.

- Chwileczkę, czy to nie ta, co razem z tobą przyjmowała kapitulację twierdzy w Grudziądzu?

- Aha-ha. Dziewczyna była niesłychanie ambitna, bardzo lubiła pochwały za dobre wyniki (a żeby kto zganił - broń Boże!) i wnioski na odznaczenia.

Pamiętasz, na Północno-Zachodnim, zaraz za jeziorem Łowat', jak iść od Rachlic na Nowe Swiniuchowo, trochę na południe od Podcepoczja - jest las, nie?

- Lasów tam dużo. Na tym brzegu Redii czy na tamtym?

- Na tym.

- No, to już wiem.

- Więc po tym właśnie lesie snuliśmy się z nią kiedyś cały dzień. Była wiosna... Jeszcze nie wiosna! - marzec! - nogi całe w wodzie, buciorzy ze sztucznej skóry chlupią po kałużach, a głowa pod futrzaną czapką znowu cała mokra z gorąca - i ten odwieczny zapach budzącego się lasu, wiesz. Snuliśmy się z nią jak pierwszy raz zakochani, jak nowożeńcy. Dlaczego to tak bywa, że kiedy kobieta jest ci jeszcze nie znana, to przeżywasz z nią wszystko na nowo, od samego początku, rośniesz, człowieku, jak to pacholę i... co?... więc las bez końca! Gdzieniedzie dymek z ziemianki, bateryjka siedemdziesiątek szóstek na polanie. Staraliśmy się je omijać. Takeśmy się wałęsali aż do wieczora - wilgotnego i różowego. Cały dzień mnie tak wodziła. A tu nad naszymi pozycjami zaczęła krążyć „rama” i Miłka nagle mówi: nie chcę, żeby ją stracili, co tu złego. Jeżeli nie strącą - to już dobrze, zostaniemy na noc w lesie.

- No, to już była z jej strony kapitulacja! Kto to widział, żeby nasza przeciwlotnicza trafiła kiedyś „ramę”.

- No tak... nie wiem, jakie tam zenitówki stały na jednym i na drugim brzegu Łowati, ale fakt, że dobrą godzinę waliły do niej i nie trafiły.

- A wieczorem... znaleźliśmy pusty bunkierek...

- Pamiętasz? Właśnie. Przez tamten rok sporo takich nabudowano, jakby nory zwierzęce.

- Bo tam grunt mokry, nie można iść w głąb.

- Ano właśnie. Wnętrze wymoszczone świerczyną, belki pachną smoliście, kopeć od ognia - bo pieców nie było, więc palili tak, po prostu. Tylko w dachu dziura. No i, oczywiście, ciemności... Póki nasz ogienek się palił - cienie na belkach... Glebie! To jest życie, co?!

- To już stwierdzone: w opowieściach więziennych jest tak, że jeżeli mowa o jakiejś paninie, to wszyscy słuchacze, ze mną włącznie, gorąco sobie życzą, żeby w końcu opowieści ona nie była już panną. I w tym właśnie zeki widzą najbardziej interesujący punkt opowiadania. Jest w tym tęsknota do powszechnej sprawiedliwości, nie uważasz? Niewidomy szuka u widzających potwierdzenia, że niebo dalej jest niebieskie, a trawa zielona. Zek musi wierzyć, że teoretycznie zostały jeszcze na świecie żywe kobiety i że oddają się one szczęściarzom... Patrzcie go, jaki mu się wieczór przypomniał! - z kochanką, w

smolistym bunkrze, i jeszcze w takiej chwili, kiedy nie strzelali! Też mi wojna!!... A twoja żona tego samego wieczoru zdobywała w sklepie na cukrowe kartki pozlepiane, sprasowane razem z papierkami karmelki i wyliczała, jak je porozdzielać między córki na trzydzieści dni!...

- A gań mnie, gań... Glebku, mężczyzna nie może znać tylko jednej kobiety, bo to znaczy nie znać kobiet wcale. To zuboża nas duchowo.

- Nawet duchowo? A któż to powiedział: skoroś poznał dobrze jedną kobietę...

- Bzdura.

- A jeżeli dwie?

- Dwie - to też jeszcze niczego nie daje. Żeby cokolwiek zrozumieć, trzeba mieć materiał do wielu porównań. Ani to nasza wada, ani grzech, tylko składnik planów przyrody.

- Wracając więc do wojny... W Butyrkach, pod siedemdziesiątą trzecią celą...

- ... na trzecim piętrze, w tym wąskim korytarzu...

- ... właśnie! - młody moskiewski historyk, profesor Razwodowski, dopiero co wsadzony, człowiek, który, rzecz jasna, nigdy prochu nie wachał, bardzo rozumnie, z całym zapałem i przekonaniem, przy pomocy argumentów społecznych, etycznych i historycznych dowodził, że wojna ma też swoje dobre strony. A u nas pod celą byli chłopaki-straceńcy, natłukli się już po wszystkich frontach, przeszli przez wszystkie armie - no i o mało nie zagryźli tego profesora, wściekli się wprost - że wojna nie ma w sobie nic dobrego, ani krzty! Słuchałem i milczałem. Razwodowski przytaczał mocne dowody, chwilami wydawało mi się, że ma rację, a też moje wspomnienia podpowiadały mi to i owo nie najgorsze - ale nie ośmielałem się oponować żołnierzom: to coś niecoś, w czym zgadzałem się z profesorem-cywilem, było właśnie tym czymś, co różniło mnie, artylerzystę Odwodu Dowództwa Naczelnego, od piechura. Stary, zrozum, z ciebie był na froncie - prócz tam może tej twierdzy, coś ją zdobywał - właściwie migacz, skoroś nie miał swojego szeregu, poza który nie wolno było ci się cofnąć - i to za cenę własnej głowy! Ja też byłem po części migaczem, skoro nie szedłem na bagnety i nie podrywałem ludzi do ataku. I oto w tej naszej ludzkiej pamięci ginie wszystko, co okropne...

- Toć ja nic nie mówię...

- ... a to, co miłe, wypływa na wierzch. Ale od jednego takiego dnia, kiedy nurkujące „Junkersy” omal mnie na kawałki nie poszatkowały pod Orłem - jakoś w żaden sposób nie mogę dokołatać się w sobie satysfakcji. Nie, stary, wojna tam dobra, gdzie nas nie ma!

- Toć ja nie mówię, że dobra, tylko, że wspominać miło.

- W ten sposób łagry też może będziemy kiedyś wspominać mile. I etapy.

- Etapy? Gorkowski? Kirowski? Niecee...

- Tak mówisz, bo ci tam administracja walizkę zachachmęciła i nie możesz zdobyć się na obiektywizm. A znów inny był tam grubą rybą - magazynierem albo łaziebnym i żył sobie na kocią łapę z szaląsówką-noi teraz gotów wszystkim opowiadać, że nie ma nic lepszego niż z b o r n i a k. I w ogóle całe pojęcie szczęścia - to umowność, zmyślenie.

- Przemądra etymologia w samym tym słowie zawarła aluzję do ulotności i nietrwałości pojęcia. Słowo szczęście, rosyjskie *szczęście*, pochodzi od *sie-czastie*, to znaczy coś, co dotyczy tylko *siego czasu*, tej chwili, tego mgnienia.

- Nie, panie magistrze, bardzo przepraszam! Proszę poczytać słownik Włodzimierza Dala. „Szczęście” wywodzi się od formy z-części, to znaczy - komu tam jaka część, czyli dola przypadnie, kto sobie jaką cząstkę zdąży urwać. Przemądra etymologia daje nam bardzo przyjemne wyjaśnienie pojęcia szczęścia.

- Chwileczkę! Toć moja interpretacja też jest z Dala!

- Dziwne. Moja też.

- Warto by zbadać, jak jest w innych językach. Zanotuję!

- Maniak!

- Od głupiszona słyszę. Wiesz, moglibyśmy się trochę zająć językoznawstwem porównawczym!

- Wszystko pochodzi od r ę k i? Znowu ten Marr?

- No, pies z tobą tańczył, słuchaj - czytałeś drugą część „Fausta”?

- Zapytaj, czy czytałem pierwszą? Wszyscy mówią, że genialne, tylko nikt nie czyta. Albo studiują według opery Gounoda.

- Nie, część pierwsza jest łatwa, co znowu!

Cóż mam wam rzec o słońcu i wszechświecie, - Cierpienie ludzkie wszystko mi przesłania...

- To jakoś do mnie nie przemawia!

- Albo to:

Co nam potrzebne - to i niewiadome, A co wiadome - to się nie zda na nic*

- Dobrze!

- Druga część jest przyciężka, to prawda. Ale za to co za głębia myśli! - wiesz

przecież, na czym polegała umowa Fausta z Mefistofelem - że tylko wtedy Mefistofeles dostanie duszę Fausta, kiedy ten zawoła: „Zatrzymaj się, chwilo, * Wszędzie tam, gdzie nie zaznaczono inaczej, cytaty w przekładzie J. Pomianowskiego. Jesteś piękna!” Ale cokolwiek Mefistofeles Faustowi serwuje - przywrócenie młodości, miłość Małgorzaty, łatwe zwycięstwo nad rywalem, olbrzymie bogactwo, przeniknięcie zagadek bytu - nic z tych rzeczy nie wyrywa z piersi Fausta wyczekiwanego okrzyku. Mijają długie lata, Mefistofeles sam już ma po dziurki w nosie ugania się za tym nienasyceńcem, widzi, że nie sposób uczynić człowieka zupełnie szczęśliwym, i chce już wyrzec się swego bezpłodnego zamiaru. Faust, powtórnie już postarzały, oślepy, każe Mefistofelesowi sprowadzić tysiące robotników i zabrać się do kopania kanałów, by osuszyć bagna. W jego mózgu, który dwakroć już pogrążył się w starość i który cyniczny Mefistofeles uważa za przyćmiony i szalony, błysnęła wielka myśl - Faust chce uszczęśliwić ludzkość. Na zew Mefistofelesa zjawiają się sługi piekieł - lemury i zaczynają kopać Faustowi mogiłę. Mefistofeles chce go po prostu pogrzebać, żeby raz na zawsze mieć spokój, już rezygnując z jego duszy. Faust słyszy łomot mnogich kilofów. Co to? - pyta. Mefistofelesa nie opuszcza duch ironii. Roztacza przed Faustem kłamliwy obraz prac nad osuszaniem moczarów. Nasza krytyka lubi podkreślać socjalno-optimistyczny sens tej sceny: że niby widząc, iż przyniósł ludzkości dobro i w tym dopiero upatrując szczyt szczęścia, Faust woła:

Zatrzymaj więc się, chwilo! Jesteś piękna!

Ale jak się przyjrzeć bliżej - to czy Goethe nie wyśmiał ludzkich wyobrażeń o szczęściu? Przecież w gruncie rzeczy nie ma tu żadnego dobra i żadnej tam ludzkości. Tak długo wyczekiwane, sakramentalne zdanie Faust wykrzykuje o krok od mogiły, oszukany, a może naprawdę już oszalały? - i lemury nie zwlekając spychają go do jamy. Więc co to jest - hymn na cześć szczęścia czy drwina z niego?

- Ach, Lewku, właśnie takim najbardziej cię lubię - kiedy rozprawiasz sobie z całego serca, kiedy mądrość przez ciebie przemawia i kiedy nie przyklejasz tych swoich złośliwych etykietek!

- Ty żaloszny epigonie Pirrona! Wiedziałem, czym ci sprawić przyjemność, słuchaj dalej. Wychodząc z tego urywka z „Fausta”, na jednym z moich przedwojennych wykładów - diablo były śmiałe jak na tamte czasy! - rozwinąłem dosyć elegijną myśl, że szczęścia nie ma, że jest ono albo nieosiągalne, albo iluzoryczne... I oto podają mi nagle karteluszek wyrwany z miniaturowego notesika w drobną kratkę.

„A ja się zakochałam - i jestem szczęśliwa! Co też na to odpowiecie, towarzyszu?”

- I coś odpowiedział?...

- A jaka jest na to odpowiedź?...

9

Tak byli zajęci rozmową, że wcale nie słyszeli laboratoryjnych hałasów i natrętnego radia, grającego w kącie. Na swoim obrotowym krześle Nierzyn znów odwrócił się do pracowni plecami, Rubin zaś przechylił się, kładąc brodę na skrzyżowanych na oparciu fotela ramionach. Nierzyn mówił z uczuciem, tak jak się zwierza myśli dawno hołubione:

- Kiedy dawniej, na wolności, czytywałem w książkach, co jacyś mędracy myśleli o sensie życia, albo o tym, czym jest szczęście - nie bardzo te miejsca rozumiałem. Odnosiłem się zresztą do nich z całym uznaniem: myśliciele z urzędu są po to, aby myśleć! Ale sens życia? Żyjemy - i w tym jest cały sens. Szczęście? Kiedy człowiek czuje się dobrze, ale to bardzo dobrze - to znaczy, że osiągnął szczęście, wiadomo... Niech będzie błogosławione więzienie!! Pozwoliło mi zebrać myśli. Żeby zrozumieć, czym jest w istocie szczęście, zastanówmy się naprzód, jeśli pozwolisz, nad pojęciem sytości. Przypomnij sobie Łubiankę albo kontrwywiad. Przypomnij sobie tę rzadziuchną, półwodnistą - bez jednej gwiazdki tłuszczu! - jęczmienną albo owsianą kaszkę! Albo to ją człowiek je? Albo się to ją spożywa?- Przystępuje się do niej jak do komunii, wchłania się ją jak jakąś prane jogów! Je ją człowiek powoli, je czubkiem drewnianej łyżki, je, oddając się całkiem procesowi jedzenia, kontemplacji tego procesu - ona zaś rozchodzi się jak nektar po ciele, człowiek drży z rozkoszy, która mu się objawiła w tych rozgotowanych krupkach i w mętnej cieczy, która je łączy. Tak oto, właściwie niczym się nie żywiąc - żyjesz sześć miesięcy, albo i dwanaście! Czy można z tym porównać chamskie żarcie schabowych kotletów?

Rubin nie lubił i nie umiał długo słuchać. Każdą rozmowę pojmował w ten sposób (zresztą na to zwykle wychodziło), że właśnie on powołany był do roztaczania przed przyjaciółmi skarbów ducha, które dzięki swej chłonności zdobył. Teraz też chciał już przerwać, ale Nierzyn wszystkimi pięcioma palcami wpił się w kombinezon na jego piersi i szarpał, nie dając dojść do słowa:

- W ten sposób na twojej nieszczęsnej skórze i na biednych naszych towarzyszach uczymy się poznawać istotę sytości. Sytość wcale nie zależy od tego, ile, ale od tego, jak jemy! To samo ze szczęściem, to samo, Lewku, ono wcale nie zależy od ilości dóbr ziemskich, któreśmy zdołali sobie wywojować. *Zależy* jedynie od naszego stosunku do nich!

Tak o tym mówi etyka taoistów: „Kto potrafi zadowalać się małym, ten zawsze będzie zadowolony”.

- Eklektyk z ciebie. Zewsząd wyrywasz po kolorowym piórku i wszystkie wplatasz sobie w ogon.

Nierzyn ostro pokręcił głową i dłonią. Włosy opadły mu na czoło: dyskusja wydała mu się interesująca, wyglądał jak osiemnastolatek.

- Nie gmatwaj, Lewku, to całkiem co innego! Wyciągam wnioski nie z filozoficznych lektur, tylko z ludzkich biografii, co się ich człowiek nasłuchał po więzieniach. Kiedy zaś później mam formułować swoje własne wnioski, to po co mam jeszcze raz odkrywać Amerykę? Na planecie filozofii wszystkie lądy dawno już zostały odkryte! Wertuję starożytnych mędrców i odnajduję u nich moje myśli najświeższej daty. Nie przerywaj! Chciałem ci dać przykład: w obozie, a tym bardziej tu, w szaraszce, niech zdarzy się taki cud: spokojna niedziela, bez harówki; założmy, że przedtem człowiekowi dusza odtajała i trochę się człek odprężył; nie na tyle, żeby coś się zmieniło na lepsze w całej sytuacji, tyle tylko, żeby jarzmo więzienne wydało się trochę lżejsze; przyjmijmy jeszcze, że miałem z kimś serdeczną rozmowę albo przeczytałem sobie stroniczkę rzetelnie napisaną - i oto już czuję się jak na grzbiecie fali! Prawdziwego życia nie miałem już od tylu lat, ale nie pamiętam o tym! Jestem w stanie nieważkości, szybuję w powietrzu, jestem niematerialny! Leżę tam, u siebie, na górnej pryczy, patrzę z bliska na sufit, sufit jest goły, źle pobielony - a ja dygocę aż z radości istnienia! Zасыpiam, uskrzydłony błogością. Żaden prezydent, żaden premier nie zasypia tak szczęśliwy z udanej niedzieli!

Rubin wyszczerzył zęby z satysfakcją. W tym grymasie było trochę aprobaty i trochę pobożania w stosunku do zbłąkanego młodszego przyjaciela.

- A co mówią na ten temat wielkie księgi Wed? - zapytał wysuwając wargi na kształt zabawnego ryjka.

- Co do ksiąg Wed, to nie wiem - zareplikował Nierzyn z przekonaniem - ale za to księgi Sankhya mówią: „Ten, kto potrafi rozróżniać - uważa ludzkie szczęście za rodzaj cierpienia”.

- Wykuł na blachę - burknął Rubin z głębi brody.

- Idealizm? Metafizyka? Co? Czemu nie przyklejasz swoich etykietek?

- To Mitiaj tak ci we łbie maści?

- Nie, Mitiaj to całkiem inna parafia. Ty brodo kudłata! Słuchaj! Szczęście

nieustannych zwycięstw, szczęście triumfalnego zaspokojenia pożądań, szczęście zupełnej sytości - jest cierpieniem! To upadek duchowy, to jakby ustawiczna moralna zgaga! Nie filozofowie Wed czy tam Sankhya, tylko ja, ja we własnej osobie, więzień, piąty rok w kieracie, Gleb Nierzyn, osiągnąłem już taki stopień rozwoju, kiedy zło zaczyna się rozpatrywać jako rodzaj dobra - i ja osobiście zgadzam się z twierdzeniem, że ludzie sami nie wiedzą, czego pragną. Tracą siły w pustej szarpaninie o szczyptę dóbr ziemskich i umierają nie ogarnawszy myślą swego własnego bogactwa duchowego. Kiedy Lew Tołstoj marzył, aby wsadzono go do więzienia - rozumował jak prawdziwie dalekowzroczny, zdrowy duchem człowiek.

Rubin roześmiał się. Często śmiał się w trakcie sporów - kiedy całkowicie odrzucał racje przeciwnika (a w więzieniu zwykle tak właśnie było).

- Nadstaw ucha, pachole! Zaraz widać w tobie całą wiotkość młodej duszy. Swoje osobiste doświadczenie przekładasz nad kolektywne doświadczenia ludzkości. Zatruty jesteś wonnymi oparami więziennego kibla - i tylko przez te opary chcesz oglądać świat. Prawda, osobiście ponieśliśmy klęskę, nasz los osobisty źle się układa - ale jak może mężczyzna pozwolić, by tylko dlatego uległy całkowitej zmianie jego przekonania?

- A ty taki dumny jesteś ze swojej stałości?

- Tak! *Hier steh' ich nun und kann nicht anders.*

- Zakuty łeb! O, to jest właśnie metafizyka! Zamiast żeby tu, w więzieniu uczyć się, wchłaniać żywe życie...

- Jakie tam znowu życie? Zatrutą zółć pechowców?

- ... Zakleiłeś sobie świadomie oczy, zatkałeś uszy, przybrałeś pozę - i w tym widzisz mądrość? W negowaniu prawa do rozwoju ma być mądrość? Ty zmuszasz się do wiary w triumf waszego piekielnego komunizmu, ale przecież nie wierzysz!

- Ależ nie chodzi o wiarę - to pewnik naukowy, głuptasie. Trzeba być bezstronnym.

- Ty?! Ty jesteś bezstronny?

- Absolutnie! - z godnością oznajmił Rubin.

- Ależ w życiu nie widziałem kogoś bardziej od ciebie stronniczego!

- Wyjdź trochę poza swoje podwórko! Spójrz na rzecz z historycznej perspektywy! Prawidłowość! Rozumiesz to słowo? Niepodważalna, konsekwentna prawidłowość! Wszystko dąży w przewidzianym kierunku. Materializm historyczny nie mógł stracić nagle swojego słusznego charakteru tylko dlatego, że my dwaj siedzimy w mamrze. I nie ma co

nosem kręcić ani bawić się w jakiś zmurszały sceptycyzm!

- Nie myśl, Lewku, że mi łatwo. Nie z żadną radością, tylko z bólem serca zrywałem z tymi przekonaniem. Przecież to w nich była cała muzyka i cały patos mojej młodości, to dla nich odrzekłem się i przekląłem wszystko inne! Jestem teraz jak źdźbło, rosnące w leju po bombie, która zdruzgotała drzewo wiary. Ale odkąd zobaczyłem, że nie potrafię wyjść cało z żadnego więziennego sporu...

- Bo ci rozumnych argumentów nie starczało, durniu!

- ... sama uczciwość kazała mi odrzucić wasze chwiejne konstrukcje. I poszukać sobie innych. Ten mój sceptycyzm jest może tylko jak szopa przy drodze, żeby przeczeć słońce.

- Ele mele dudki! Też mi sceptyk! Bo też z ciebie będzie kiedy prawdziwy sceptyk? Sceptyk powinien powstrzymać się od osądów - a ty wyrokujesz o wszystkim. Sceptykowi przystoi niewzruszony spokój - a ty z byle powodu zaraz się wściekasz!

- Tak! Masz rację! - zdesperowany Gleb chwycił się za głowę. - Marzę o tym, by zachować powściągliwość, staram się rozwijać w sobie tylko... lotną myśl - a niech się tylko coś w życiu zakałapućka, zaraz rzucam się, szczerzę zęby, oburzam się...

- Lotna myśl! A mnie gotów w gardło wpić się przez to, że w Dżekazganie nie ma dosyć wody do picia!

- Dobrze by tam ciebie wsadzić, wywłoko! Przecież z nas wszystkich ty jeden powtarzasz, że MBP i jego metody są koniecznością...

- Tak! Bez rozbudowanego systemu penitencjarnego państwo nie może istnieć...

- O, należy ci się ten Dżekazgan, ciekawe, co byś tam zaśpiewał!

- Jesteś głupiec i tyle! Mógłbyś chociaż poczytać sobie, co mówią o sceptycyzmie wielcy ludzie: Lenin!

- Ano? Co mówi Lenin? - Nierzyn zamilkł.

- Lenin powiedział: „Wśród rycerzy liberalnego gadulstwa sceptycyzm jest formą przechodzenia od demokracji do lokajskiego, brudnego liberalizmu”.

- Że jak? Nie przekręciłeś tam czego?

- Dosłownie tak. To cytat z „Pamięci Hercena” i odnosi się do...

Nierzyn objął głowę rękoma, jakby go ktoś po niej zdzielił.

- No co? - powiedział Rubin łagodniejszym tonem. - Połapałeś się?

- Tak, tak - Nierzyn kiwnął kilkakrotnie. - Ani słowa. A ja się modliłem do tego człowieka!...

- O co ci chodzi??

- O co? To ma być język wielkiego filozofa? Kiedy argumentu brak - to zaraz do kija. Rycerze gadulstwa! - aż mdli od tych słów. Liberalizm to przecież pragnienie wolności, otóż nie, dla niego to brud i lokajstwo. A znów owacje na rozkaz - to skok w królestwo wolności, prawda?

Pogrążeni po uszy w sporze, przyjaciele zapomnieli o ostrożności i okrzyki ich już dochodziły do uszu Simoczki, spoglądającej na Nierżyna z surową dezaprobatą. Czuła żal, że miał się ku końcowi jej wieczorny dyżur, a on zupełnie z tych sprzyjających okoliczności nie skorzystał i nawet nie raczył spojrzeć w jej stronę.

- Nie, jednak masz kielbie we łbie - powiedział Rubin z desperacją. - Może byś wyraził ściślej tę myśl.

- Chyba należałoby tak to ująć: sceptycyzm jest sposobem na łagodzenie fanatyzmu. Sceptycyzm jest formą uwalniania się umysłów od dogmatyzmu.

- Dogmatyzmu? Bo to ze mnie dogmatyk? - duże, ciepłe oczy Rubina pełne były wyrzutu. - Jestem takim samym aresztantem z poboru czterdziestego piątego roku. I cztery lata frontu siedzą mi odłamkiem w boku, i pięć lat więzienia mam na karku. Widzę nie mniej niż ty. Toż gdybym dał się przekonać, że wszystko jest zgniłe aż do szpiku, to pierwszy bym krzyknął: trzeba znów wydawać hercenowski „Dzwon”! Trzeba bić na alarm! Trzeba burzyć! Już ja tam nie chowałbym się za krzakiem i powstrzymywał od osądów! Nie osłaniał się figowym liściem sceptycyzmu!... Ale ja wiem, że zgniłe jest tylko to, co widać z wierzchu, korzeń zaś jest zdrowy i trzon też cały zdrowy, więc trzeba ratować go, a nie rąbać!

Na pustym dziś biurku inżyniera-majora Rojtmana, kierownika akustyki, zadzwonił wewnętrzny telefon. Simoczka wstała i podeszła do niego.

- Zrozum nareszcie i uznaj żelazne prawo naszej epoki: są dwa światy i dwa systemy i nic trzeciego nie ma. I nie wolno żadnym dzwonom dzwonić na cztery wiatry, to niedopuszczalne! Bo przecież trzeba wybierać: są dwie siły na świecie; którą wybierasz?

- A idźże do cholery! To Pachan tak lubi rozumować, w to mu graj! Tą teorią „dwóch światów” wszystkich wziął za kark.

- Gleb Wikientiewicz!

- Słuchaj, słuchaj! - teraz Rubin chwycił mocno w garść kombinezon Nierżyna. - To wielki człowiek!

- Tępak! Tępy knur!

- Kiedyś sam to zrozumiesz! To zarazem Robespierre i Napoleon naszej rewolucji. On jest mądry! On jest naprawdę mądry! On patrzy tam, gdzie nasze słabe oczy nie sięgną!

- I jeszcze ma czelność traktować nas jak durniów, wtykać nam te swoje wypociny...

- Gleb Wikientiewicz!

- Co? - ocknął się Nierzyn, odrywając się od Rubina.

- Telefon! Nie było słyhać?! - bardzo surowo marszcząc brwi zawołała go po raz trzeci Simoczka, stając przy swoim biurku i obciążając na krzyż rogi brązowej wełnianej chusty. - Antoni Nikołajewicz wzywa was do swego gabinetu.

- Rzeczywiście?... - na twarzy Nierzyna zgasł ferwor sprzeczki, zmarszczki znów wróciły na swoje miejsce. - Dobrze, dziękuję bardzo. Słyszałeś, Lewku - Antoni. Co się stało?

Wezwanie do gabinetu dyrektora instytutu o dziesiątej wieczór, w sobotę - było nadzwyczajnym wydarzeniem. Chociaż Simoczka starała się udawać oficjalną obojętność, jej spojrzenie, jak to wyczuł Nierzyn, pełne było lęku.

I gdzie też podziiała się niedawna zawziętość! Rubin z troską patrzył na przyjaciela. Kiedy jego oczu nie kaziła pasja dyskusyjna, zjawiała się w nich kobieca miękkość.

- Nie lubię, kiedy interesują się nami panowie władza - powiedział Rubin.

- I na co mu to? - wzruszył ramionami Nierzyn. - Nasze zadania są drugorzędne, jakieś tam głosy...

- Toteż nam Antoni da prędzej po łbie. Wyjdą nam bokiem wspomnienia Stanisławskiego i mowy słynnych obrońców - zaśmiał się Rubin. - A może coś w związku z artykulacją dla Siódemki?

- Przecież wyniki już podpisane, nie ma odwołania. Na wszelki wypadek, gdybym miał nie wrócić...

- Co za głupstwa!

- Dlaczego głupstwa? Takie już nasze życie... spalisz to tam, już wiesz, gdzie.

Z rumorem zatrzasnął drewniane żaluzje bocznych szafek, klucze nieznacznie wetknął Rubinowi do ręki i wyszedł powolnym krokiem aresztanta piąty rok chodzącego w kieracie, który dlatego nigdy się nie spieszy, że oczekuje zawsze tylko zmian na gorsze.

10

Wysłanymi czerwonym chodnikiem schodami, wyludnionymi o tak późnej porze, w blasku bijącym od miedzianych kandelabrow i wysokiego, zdobnego sztukaterią plafonu,

Nierzyn wszedł na trzecie piętro, starając się kroczyć swobodnie, minął biurko frajera dyżurującego przy miejskim telefonie i zapukał do drzwi dyrektora instytutu, inżyniera-pułkownika bezpieczeństwa państwowego, Antoniego Nikołajewicza Jakonowa.

Gabinet był rozległy, wysoki, wysłany dywanami, zastawiony fotelami i kanapami, niebieszczył się w środku jaskrawolazurowym obrusem na długim stole konferencyjnym i brunatniał w najdalszym kącie, gdzie biurko i fotel Jakonowa rozpieierały się krągłe. Wśród tych przepychów Nierzyn bywał tylko parę razy i raczej na zebraniach niż z własnej inicjatywy.

Inżynier-pułkownik Jakonow, lat przeszło pięćdziesięciu, ale wciąż kwitnący z wyglądu, wzrostu wspaniałego, z twarzą jakby jeszcze z lekka przypudrowaną po goleniu, w złotych binoklach na nosie, tuszy okazałej niby jakiś książ Oboleński czy Dołgorukow, o ruchach majestatycznych i pełnych pewności siebie - wyróżniał się spośród wszystkich dygnitarzy swojego resortu.

Zaprosił szerokim gestem:

- A, Gleb Wikientiewicz! Proszę siadać!

Takie powitanie miało być dowodem łaskawości i uprzejmości, nic jednocześnie pana pułkownika nie kosztując, bo pod szkłem na jego biurku leżał spis z wyszczególnieniem imion wszystkich więźniów oraz imion ich ojców (kto o tym nie wiedział, ten podziwiał pamięć Jakonowa). Nierzyn uklonił się milcząco, nie opuszczając rąk służbiście, ale też nie wymachując nimi, i usiadł w wyczekującej pozie przy zgrabnym, lakierowanym stoliku.

Jakonow mówił, sam się napawając brzmieniem swego głosu. Człowiek zawsze się dziwił, że ten panisko nie cierpi na wytworną wadę wymowy i nie grasejuje:

- Wie pan, panie Glebie, przed pół godziną akurat padło tu pańskie nazwisko i pomyślałem sobie - jakim właściwie cudem znalazł się pan w akustyce, u tego... Rojtmana?

Jakonow wymówił to nazwisko z jawnym lekceważeniem, nie dodając nawet do niego - i to w obecności podwładnego owego Rojtmana! - tytułu majora. Stosunki wzajemne między dyrektorem instytutu a jego pierwszym zastępcą tak się pogorszyły, że nikt już nie zważał, aby rzecz ukrywać.

Nierzyn sprężył się wewnętrznie. Jak przeczuwał, rozmowa brała zły obrót.

Z taką samą niedbałą ironią krzywiąc wargi - nie za wąskie i nie za grube - Jakonow przed kilku dniami powiedział do Nierzyna, że być może on, to jest Nierzyn, w sprawach artykulacji jest obiektywny, ale do Siódemki odnosi się nawet nie jak do śmiertelnych

szczątków drogiego zmarłego, tylko jak do zwłok bezimiennego pijaka, znalezione go gdzieś pod płotem. Siódemka była najulu-bieńszym konikiem Jakonowa, starowała jednak słabo.

- ... Ja, rzecz oczywista, bardzo cenię osobiste zasługi pańskie w zakresie wiedzy o artykulacji...

(Kpi sobie!) - ... Diabło mi żal, że pańska oryginalna monografia wydrukowana jest w małym, nie podlegającym rozpowszechnieniu nakładzie, co pozbawia pana laurów rosyjskiego Johna Fletchera...

(Bezczelnie sobie kpi!) - ... Jednakże pragnąłbym z pańskiej działalności móc nieco więcej *to enjoy*, jak mówią Anglosasi. Wie pan wszak, że przy całym moim szacunku dla wiedzy oderwanej, jestem człowiekiem praktyki.

Inżynier-pułkownik Jakonow znajdował się już na takich wyżynach - a jednocześnie nie tak jeszcze blisko Wodza Narodów - że mógł pozwolić sobie na zbytek nieukrywania ani swoich wiadomości, ani samodzielnych swoich sądów.

- No, a gdyby tak, powiedzmy, spytał kto pana otwarcie - co wy tam właściwie robicie teraz, w tej akustyce?

Nie sposób było wymyślić okrutniejszego pytania! Jakonowowi po prostu nie starczało czasu na wszystko, bo już by dawno poznał się na rzeczy.

- Po kiego licha traci pan czas na te papuzie skrzeki - „styr”, „smyr”? Jest pan matematykiem? Skończył pan uniwersytet? Proszę się odwrócić.

Nierzyn obejrzał się i podniósł się z krzesła: było ich w gabinecie nie dwóch, lecz trzech! Z kanapy wstał skromny jegomość w czarnym, cywilnym garniturze. Okrągłe, jasne okulary połyskiwały na jego nosie. W szczodrym blasku żyrandola Nierzyn rozpoznał Piotra Trofimowicza Wiereniowa, przedwojennego docenta tej samej uczelni. Jednakże na mocy więziennego odruchu zachował milczenie i nie pozwolił sobie na najmniejszy nawet ruch, sądząc, że ma przed sobą aresztanta, i bojąc się zaszkodzić mu pochopnym przyznaniem się do znajomości. Wiereniow uśmiechał się, ale też wydawał się zmieszany. Jakonow zagruchał uspokajająco:

- Zaiste, sekta matematyków przestrzega zazdrości godnego rytuału powściągliwości. Matematycy całe życie wydawali mi się jakimiś kawalerami róży i krzyża, zawsze żałowałem, że nie miałem okazji zostać jednym z wtajemniczonych. Nie krępujcie się, panowie. Podajcie sobie dłonie i czujcie się jak u siebie w domu. Zostawię was tu samych na pół godzinki dla wymiany miłych wspomnień i dla przekazania z ust profesora Wiereniowa

informacji o zadaniach, jakie przed panami postawiono.

Tu Jakonow dźwignął z nienaturalnie wielkiego fotela swój okazały, ciężki korpus, uskrzydłony srebrno-błękitnymi epoletami i krokiem nieoczekiwanie lekkim ruszył do drzwi. Kiedy Wiereniow z Nierżynem uścisnęli sobie wreszcie dłonie, byli już w gabinecie sami.

Ten blady jegomość w okularach w jasnej oprawie wydawał się obytemu z więzieniem Nierżynowi upiorem, który bezprawnie wrócił tu z dawno zapomnianego świata. Między tym a tamtym światem legły lasy nad jeziorem Ilmeń, pagóry i parowy Orłowszczyzny, piaski i błota Białorusi, dostatnie polskie folwarki, rozbite dachówki niemieckich miasteczek. W tym samym dziesięcioletnim interwale zmieściły się też nieznośnie gołe „boksy” i cele Wielkiej Łubianki. Szare, śmierdzące więzienia etapowe. Duszne ciupki *stofypinek*. Kłujący wiatr stepowy nad tłumem głodnych, zziębniętych zeków. Wszystko to sprawiało, że nie można było rozbudzić w sobie tego uczucia, z jakim człowiek wypisywał niegdyś cyferki funkcji zmiennych rzeczywistych na miękkim linoleum tablicy.

Obaj zapalili - Nierżyn z niepokojem - i usiedli, dzielił ich mały lakierowany stolik.

Wiereniow nie po raz pierwszy stykał się z jednym ze swoich dawnych słuchaczy - bądź to z uniwersytetu moskiewskiego, bądź z uczelni w R. , dokąd posłano go przed wojną w okresie walki szkół teoretycznych - aby wprowadzić twardą linię. Ale dla niego też to i owo w dzisiejszym spotkaniu było nie całkiem zwyczajne: klimat odosobnienia, jaki czuło się w tej podmoskiewskiej instytucji, owianej mgłą najgłębszej tajemnicy, osnutej wielorzędowym drutem kolczastym, dziwaczny, granatowy kombinezon zamiast zwykłego, ludzkiego ubioru.

Tak właśnie, jakby jemu to się z prawa należało, pytania zadawał młodszy z tej dwójki, pechowiec bez tytułu, krzywiąc usta tak, że zaostrzyły się bruzdy w ich końcach - starszy zaś odpowiadał wstydliwie, krępując się jakby, że bieg jego kariery naukowej tak był niezawily: ewakuacja, powrót, pracował trzy lata u K. , robił habilitację z topologii... Nieuprzejmie roztargniony Nierżyn nie zapytał nawet o temat rozprawy habilitacyjnej z tej samej przecież oschłej dziedziny, którą sam niegdyś obrał dla własnego projektu dyplomowego. Raptem zrobiło mu się żal Wiereniowa... Szeregi uporządkowane niezupełnie, szeregi zamknięte... Topologia! Stratosfera myśli ludzkiej! W dwudziestym czwartym wieku przyda się może komuś, ale tymczasem... Tymczasem...

Cóż mam wam rzec o słońcu i wszechświecie? Cierpienie ludzkie wszechświat mi przysłania...

Jak trafił do tego resortu? Dlaczego porzucił uniwersytet?... No bo dali skierowanie... I nie można było odmówić?... Owszem, można było, tylko że... Tu zresztą stawki podwójne... Czy ma dzieci?... Tak, czworo...

Nie wiedzieć czemu zaczęli sobie przypominać po kolei studentów z roku Nierżyna, ostatni ich egzamin przypadł na pierwszy dzień wojny. Ci, co mieli więcej talentu - pokaleczeni, pozabijani. Tacy zawsze pchają się na pierwszą linię, nie dbają o siebie. Ci zaś, po których nikt niczego nie oczekiwał - albo kończą studia, albo już są adiunktami. Tak, no a co robi nasza chluba, Dymitr Dymit-rowicz? Goriainow-Szachowskoj?

Goriainow-Szachowskoj! Drobniutki staruszek, niechlujny już z winy głębokiej starości. To wysmaruje sobie kredą swój czarny, welwetowy żakiet, to znowu szmatę do tablicy wsadzi sobie w kieszeń zamiast chustki do nosa. Żywa anegdota, sama esencja z niezliczonych „profesorskich” anegdot, dusza warszawskiego imperatorskiego uniwersytetu, przeniesionego w dziewięćset piętnastym do handlowego Rostowa jak na cmentarz. Pół wieku pracy naukowej, pełna taca depech gratulacyjnych - z Milwaukee, Kapsztadu, z Jokohamy. Zaś w 1930 roku, kiedy uniwersytet przekabacano na „instytut przemysłowo-pedagogiczny”, proletariacka komisja kontroli wyczyściła go jako element burżuazyjny i wrogi. Pojechał więc do Moskwy i przywiózł od Kalinina karteczkę: dać spokój temu starowinie! (powiadano, że ojciec Kalinina był chłopem pańszczyźnianym u ojca profesora Goriainowa).

Wtedy dopiero dano spokój. Dano go tyle, że niewtajemniczonym robiło się czasem straszno: to napisze rozprawę z dziedziny biologii zawierającą matematyczny dowód istnienia Pana Boga. To na publicznym wykładzie o swoim ulubieńcu Newtonie zadudni spod pozółkłych wąsów:

- Tu mi nadesłano pytanie na kartce: „Marks napisał, że Newton jest materialistą, a wy powiadacie, że był idealistą”. Odpowiadam: Marks nie miał racji. Newton wierzył w Boga, jak każdy wybitny uczony.

Notowanie jego wykładów było męką. Doprowadzał do rozpaczki stenotypistki! Ledwie już trzymający się na nogach, siadał przy samej tablicy, twarzą do niej, a plecami do audytorium i pisząc prawą ręką, lewą zaraz ścierał napisane, cały zaś czas mamrotał coś sam do siebie. Zrozumienie toku jego myśli w trakcie wykładu było czymś wręcz niemożliwym. Ale kiedy Nierżynowi udawało się z jakimś kolegą zanotować wykład, dzieląc między siebie tę pracę, i gdy wieczorem wprowadzili już ład w notatki - wtedy duszę rozjaśniało coś, jakby

migotanie wygwieżdzonego nieba.

Więc co z nim?... Podczas bombardowania miasta staruszek został kontuzjowany. Półżywego zawieziono go do Kirgizji. Co zaś do synów-docentów i wojennych ich losów, to Wiereniow dokładnie nie wie, ale coś tam było dosyć brudnego, jakaś zdrada. Młodszy, Stiwka, pracuje teraz podobno w nowojorskim porcie jako tragarz...

Nierzyn uważnie patrzył na Wiereniowa. Ileż w tych głowach mądrości. Jak łatwo poruszacie się w entym wymiarze, ale po życiu innych ludzi chodzicie tylko przetartymi korytarzami. Nad myślicielem pastwiły się jakieś chamy i łotry - a dla was to było małe niedociągnięcie, objaw przejściowej nadgorliwości; dzieci wyciągnęły wnioski z poniżenia ich ojca - i zaraz gładzą o ich brudnej zdradzie. I kto tam wie - tragarz czy nie tragarz? Gliniarz ugniata opinię publiczną...

Ale za co w końcu... Nierzyna wsadzili?

Nierzyn uśmiechnął się.

- No, ale w końcu jednak za co?

- Za sposób myślenia, panie Piotrze. W Japonii istnieje prawo, wedle którego można człowieka sądzić za jego myśli, nawet nie wypowiedziane.

- W Japonii! Ale przecież u nas nic ma takiego prawa?...

- A właśnie, że jest i nazywa się pięćdziesiąt osiem - dziesięć.

I Nierzyn przestał jakoś słyszeć dokładnie te, tak ważne właśnie racje, dla których Jakonow zetknął go tu z Wiereniowem. Szósty Zarząd Główny przysłał tu Wiereniowa dla pogłębienia i systematyzacji tutejszych prac z dziedziny krypto-logii i kryptografii. Potrzebni są matematycy, kupa matematyków i Wiereniow strasznie rad jest widzieć wśród nich swego studenta, przy tym tak obiecującego, co już wtedy było widoczne.

Nierzyn prawie bezwiednie zadawał uściślające pytania, Piotr Trofimowicz zaś, wpadając w coraz większy ferwor matematyczny, jął z zapałem wyjaśniać cel pracy, wyliczając, jakie to trzeba będzie przeprowadzić badania i jakie formuły zrewidować. Nierzyn natomiast myślał o tych gęsto zapisanych arkusikach, które tak spokojnie można było sobie zapełniać notatkami za wałem ochronnym z książek, pod okiem skrycie zakochanej Simoczki, w takt dobrodusznych pomruków Rubina. Te arkusiki były pierwszym świadectwem dojrzałości trzydziestolatka.

Oczywiście, przyjemniej byłoby osiągnąć dojrzałość we własnej, najbliższej mu dziedzinie. Po co właściwie sam, z dobrej woli wrażać ma łeb w tę paszczę, od której

samego widoku fachowi historycy uciekają w zacisze pogodnej przeszłości? Co każe mu roztrząsać zagadkę tego ponurego, rozdętego kolosa, któremu starczy tylko mrugnąć - i już Nierzyn jest krótszy o głowę? Jak to się mówi - wciąż ci jeszcze za mało? Musisz mieć więcej niż inni?

Więc wpakować się w macki kryptograficznej ośmiornicy?... Czternaście godzin dziennie, bez żadnych przerw, głowa jego będzie we władaniu teorii prawdopodobieństwa, teorii liczb, teorii błędów... Martwica mózgu. Usychanie duszy. Co mu zostanie dla własnych myśli? Co mu zostanie dla badania spraw życia?

Ale za to - szaraszka. Za to - przecież nie obóz. Mięso na obiad. Masło śmietankowe na śniadanie. Skóra na rękach nie poraniona, nie zgrubiała. Palce - nie odmrożone. Nie pada człowiek na dechy jak martwy, jak pień, bez czucia, w brudnych łachach - tylko kładzie się do łóżka, śpi w białej pościeli.

Ale po co się żyje? Aby żyć? Żyć tylko po to, aby ciału móc dalej dogadzać?

Ach, to dogadzanie! Na coś sobie sam się zdał, jeżeli nic prócz siebie samego nie jest ważne?...

Wszystkie argumenty rozumowe - za, tak jest, zgoda, panie dyrektorze!

Wszystkie fibry duszy - precz ode mnie, szatanie!

- Panie Piotrze! A czy pan... potrafi robić buty?

- Przepraszam, co pan powiedział?

- Powiadam właśnie: nie nauczyłby mnie pan może szycia butów? Chciałbym się szewskiej roboty nauczyć.

- Wybacz pan, nie rozumiem...

- Panie Piotrze! Żyje pan jak w kokonie! Przecież jak skończy mi się ten termin, to pojedę do tajgi, na dożywotnie zesłanie. Rękoma nic porządnie zrobić nie potrafię - więc jak dam sobie radę? Toć tam bure niedźwiedzie. Toć tam funkcje Leonarda Eulera nie będą nikomu potrzebne jeszcze przez trzy epoki mezozoiczne.

- Co pan tu gada? Przecież jeżeli to się uda, to pan, jako kryptograf, będzie zwolniony przedterminowo, skreślą pana z rejestru karanych, dadzą panu mieszkanie w Moskwie...

- Ech, panie Piotrze, przytoczę panu powiedzonko jednego zacności chłopca, mego obozowego przyjaciela: „ta sama d i a k a czy za rybę, czy za raka”. *Diaka* - to po ukraińsku podziękowanie. No więc nie chcę od nich żadnej *diaki*, nie proszę o darowanie win i rybek dla nich łowić nie będę!

Drzwi się otwarły. Wszedł majestatyczny możnowładca ze złotymi binoklami na okazałym nosie.

- No, jak tam nasi różokrzyżowcy? Dogadali się panowie?

Nie wstając z miejsca, twardo patrząc Jakonowowi w oczy, Nierzyn odparł:

- To już jak pan chce, dyrektorze, ale ja uważam swoje zadanie w pracowni akustyki za jeszcze nie skończone.

Jakonow stał już przy swoim biurku opierając się o szklaną płytę knykciami miękkich dłoni. Tylko ci, którzy go znali, mogli usłyszeć nutę gniewu w tym, co teraz powiedział:

- Matematyka! - i artykulacja... Zamienił pan ambrozię na polewkę z soczewicy. Proszę już iść.

I dwukolorowym, grubym ołówkiem napisał w leżącym na stole notatniku: „Nierzyna - skreślić”.

11

Od wielu już lat - podczas wojny i po wojnie - Jakonow zajmował bardzo solidne stanowisko naczelnego inżyniera Departamentu Techniki Specjalnej MBP. Z godnością nosił srebrne epolety z błękitną lamówką i trzema dużymi gwiazdami inżyniera-pułkownika. Stanowisko miał tego rodzaju, że kierować mógł wszystkim z dala i w ogólnych zarysach, mógł wygłosić niekiedy uczony i solidny referat przed dygnitarskim audytorium, czasem pogadać mądrze i kwieciście z inżynierem demonstrującym swój gotowy projekt, a w ogóle uchodzić za erudyte, za nic nie odpowiadać i pobierać co miesiąc wielotysięczną pensję. Stanowisko miał takie, że na skrzydłach swego krasomówstwa unosił się nad wszystkimi naraz technicznymi przedsięwzięciami Departamentu; ulatywał jak najdalej od nich w okresie ich trudnego dzieciństwa i chorób wieku dojrzewania: zaszczycił natomiast swoją uwagą już to dłubane koryta ich czarnych trumien, już to złociste koronacje ich bohaterów.

Antoni Nikołajewicz nie był tak młody i tak zarozumiały, żeby uganiać się samemu za złudnym blaskiem Złotej Gwiazdy albo odznaką laureata nagrody stalinowskiej, bądź żeby własnymi rękoma chwytać w lot każde zlecenie resortu czy nawet samego Gospodarza. Antoni Nikołajewicz był już wystarczająco doświadczony i niemłody, aby unikać tego splotu trosk, tryumfów i upadków. Trzymając się takich właśnie zasad, Jakonow żył sobie bez kłopotów aż do stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku. W tym właśnie miesiącu ktoś podszeptał Ojcu Narodów Zachodu i Wschodu pomysł stworzenia specjalnej tajnej sieci telefonicznej - takiej, żeby nikt nigdy nie mógł zrozumieć, co się mówi, nawet

gdyby podsłuchał rozmowę na linii. Takiej, żeby można było z willi w Kuncewie rozmawiać z Mołotowem, siedzącym w Nowym Jorku. Najłaskawszym palcem z żółtą plamą nikotyny koło paznokcia Ojciec Narodów wskazał na mapie obiekt Marfino, gdzie aż do tej chwili wyrabiano portatywne nadajniki radiowe dla milicji. Historyczne zaś słowa, wypowiedziane z tej okazji, brzmiały jak następuje:

- Na diabła mi te nadajniki? Do łapania włamywaczy?

I wyznaczył termin - do pierwszego stycznia czterdziestego dziewiątego roku. Potem pomyślał chwilę i powiedział:

- Dobrze, do pierwszego maja.

Było to zadanie szczególnie odpowiedzialne i wręcz wyjątkowe ze względu na krótki termin. W ministerstwie pomyślano chwilę - i kazano Jakonowowi zająć się obiektem Marfino osobiście. Na niczym spełzły usiłowania Jakonowa, by wykazać, jak jest zajęty i jakim absurdem jest jeszcze jeden dodatkowy obowiązek. Dyrektor departamentu, Foma Gurianowicz Oskołupow, popatrzył na Jakonowa kocimi, zielonkawymi oczyma - Jakonow przypomniał sobie hak w swojej ankiecie (przesiedział sześć lat w więzieniu) i zamilkł.

Od tego czasu, a wkrótce będzie już dwa lata, gabinet naczelnego inżyniera departamentu w salonach ministerstwa świecił pustką. Inżynier naczelny dnie i noce spędzał poza miastem, w budynku dawnego seminarium uwieńczonym sześciokątną basztą, wznoszącą się nad miejscem, gdzie niegdyś był ołtarz.

Z początku było nawet miło pokierować trochę osobiście: znużonym gestem zatraskiwać drzwiczki przydzielonej „Pobiedy”, dać jej się kołysać aż do Mar-fina, mijać w otoczonym kolczastym drutem przejściu salutującego wartownika, przechadzać się w otoczeniu całej świty kapitanów i majorów pod stuletnimi lipami marfińskich lasków. Zwierzchność niczego jeszcze nie żądała od Jakonowa - prócz planów, planów, planów i socjalistycznych zobowiązań. Natomiast na instytut w Marfinie wysypał się istny róg obfitości: aparatura zakupiona w Anglii i Ameryce; niemiecka - łupów wojennych; rodacy - więźniowie wyreklamowani z obozów; biblioteka techniczna - 20 tysięcy tomów ostatnich nowości; najwy-trawniejsi oficerowie operacyjni i archiwiści, prawdziwe żubry od spraw tajnych; wreszcie ochrona - łubiańskiego chowu. Trzeba było wyremontować stary budynek seminarium i wznieść kilka nowych - dla sztabu specwizczenia, dla warsztatów doświadczalnych - więc w porze żółtawego kwitnienia lip, kiedy ich zapach przepajał wszystko, w cieniu potężnych drzew dała się słyszeć melancholijna mowa niemrawych

niemieckich jeńców, przyodzianych w poniszczone, jaszczur-cze mundury. Ci leniwi faszyści, w czwartym, powojennym roku swojej niewoli, jakoś wcale nie chcieli pracować. Dla rosyjskiego oka nieznośny wprost był widok, jak rozładowywali ciężarówki z ceglami: powolutku, ostrożnie, jakby to były kryształły, podawali sobie każdą cegiełkę z ręki do ręki i układali je w równe stosy. Montując kaloryfery pod oknami, zmieniając przegniłe klepki w posadzkach, Niemcy snuli się po supertajnych gabinetach, patrząc ponuro na niemieckie czy angielskie napisy na aparaturze; nawet niemiecki uczeń mógłby się domyślić, jaki profil ma to laboratorium! Wszystko to podkreślone zostało w raporcie, jaki drogą służbową więzień Rubin skierował do inżyniera-pułkownika - i było zupełnie słuszne, ale bardzo nie w smak oficerom operacyjnym - Szykinowi i Myszynowi (w aresztanckiej gwarze zwanych Szyszkin-Myszkin), no bo i co teraz począć? Posyłać w górę raport o własnym niezgulstwie czy co? A na wszystko i tak było za późno, jeńców bowiem odesłano już do ojczyzny; ten zaś z nich, który pojechał do Zachodnich Niemiec, mógł, gdyby to kogoś obchodziło, opisać komu należy rozplanowanie całego instytutu i poszczególnych laboratoriów. Kiedy zaś oficerowie innych pionów MBP mieli jakieś sprawy do inżyniera-pułkownika, ten ostatni nie miał prawa podawać im adresu swojej instytucji i dla zachowania tajemnicy służbowej - jeździł na spotkania z nimi aż na Łubiankę.

Niemców zatem odesłano, zaś na ich miejsce dla zakończenia robót remontowych i budowlanych przywieziono takich samych zeków jak ci z szaraszki, tylko chodzących w brudnej, podartej odzieży i nie pobierających białego chleba. Pod lipami dudniły teraz przy każdej okazji i bez okazji zawiesziste obozowe wyzwiska, przypominające zekom z szaraszki o ich prawdziwej ojczyźnie i nieuniknionym losie; cegły z ciężarówek zlatywały jak zdmuchnięte wiatrem, tak że potem prawie wcale nie było całych, tylko gruz: zeki zaś, pokrzykując „heej-rup!”, zarzucali na ciężarówkę budę z dykty, następnie - żeby łatwiej było ich upilnować - sami się pod nią pchali, wesoło podmacując wymyślające im dziewczuchy; budę potem zatrzasowano i wieziono ich moskiewskimi ulicami - do obozu, na nocleg.

Tak oto w tym czarodziejskim zamku, odseparowanym od stolicy i jej niedomyślnych mieszkańców zaklętym kręgiem szybkostrzelnej żony, lemury w czarnych kaftanach wprowadzały baśniowe innowacje: wodociągi, kanalizację, centralne ogrzewanie i parkowe klomby.

Tymczasem zaś tak chlubnie poczęty obiekt rósł i rozwijał się. Do Instytutu Marfino wcielono w pełnym składzie jeszcze jeden instytut badawczy, pracujący już nad podobnymi

zagadnieniami. Instytut ów zjechał tu ze swymi biurkami, krzesłami, szafami, segregatorami, aktami, aparaturą, starzejącą się zresztą nie z roku na rok, lecz z miesiąca na miesiąc - oraz ze swym dyrektorem, inżynierem-majorem Rojtmanem, który został zastępcą Jakonowa. Niestety, twórca nowo przybyłego instytutu, jego animator i protektor, pułkownik Jaków Iwanowicz Mamurin, szef całej łączności tajnej i specjalnej MSW, jeden z najwybitniejszych mężów stanu, zginął tuż przed tym w tragicznych okolicznościach.

Dnia pewnego Wódz Całej Postępowej Ludzkości rozmawiał z prowincją Jań-Nań w Chinach i doznał przykrych sensacji na skutek zgrzytów i szumów w słuchawce. Zadzwoił tedy do Berii i rzekł po gruzińsku:

- Ławrentij! Co to za dureń siedzi u ciebie w łączności? Zabierz go.

No i Mamurina zabrano - to znaczy wsadzono do Łubianki. Zabrano go, ale nie wiadano, co robić z nim dalej. Brak było zwykłych w takich razach wskazówek - czy dać go pod sąd - i za co - i jaki wyrok mu dać. Gdyby to był ktoś spoza branży, to dano by mu dwudziestkę piątkę posłano do Norylska. Ale mając na względzie zasadę: „dziś mnie, jutro tobie”, władcy z MSW przetrzymali Mamurina w ukryciu, kiedy zaś przekonali się, że Stalin o nim zapomniał - bez śledztwa i bez wyroku wyekspediowali na podmiejską daczę.

Pewnego letniego wieczoru czterdziestego ósmego roku przywieziono więc do marfińskiej szaraszki nowego zeka. Był to fakt niezwykły pod każdym względem: i dlatego, że przywieziono go nie suką, lecz osobowym samochodem, i dlatego, że towarzyszył mu nie zwykły klawisz, tylko sam dyrektor Departamentu Więziennictwa MBP, dlatego wreszcie, że pierwszą kolację przyniesiono mu pod serwetką z gazy do gabinetu naczelnika specwięzienia.

Słyszano (zekom niczego słyszeć nie wolno, ale słyszą oni zawsze wszystko) - słyszano więc, jak nowo przybyły oznajmił, że „na kiełbasę nie ma ochoty”(?!), dyrektor zaś Departamentu Więziennictwa namawiał go, by zechciał „skosztować”. Usłyszał to na własne uszy z za przepierzenia zek, który poszedł po proszki do lekarza. Po rozpatrzeniu tych wstrząsających nowin tubylcza ludność szaraszki doszła w końcu do wniosku, że przybysz jest mimo wszystko zekiem, i nie bez satysfakcji udała się na spoczynek.

Gdzie przybysz spędził pierwszą noc - tego historycy szaraszki nie wyjaśnili. Ale wczesnym rankiem, na rozległym marmurowym ganku (gdzie już później więźniów nie dopuszczano), pewien całkiem zwykły zek, niezdarny ślusarz, spotkał się z tym nowym oko w oko.

- No co, bratku - powiedział ślusarz, dając mu sójkę w bok - skądżeś to? Za co wpadłeś? Siadaj, zapalimy.

Ale przybysz z lęklwym obrzydzeniem odsunął się od ślusarza. Bładocyt-rynowa jego twarz skrzywiła się w grymasie. Ślusarz patrzył chwilę na te białe oczy, na rzednące jasne włosy, na obłązłą czaszkę i powiedział rozsierzdzony:

- Uch, ty gadzie ze słoika! Kij ci w oko, nie szkodzi, jak cię po apelu zamkną z nami - to będziesz rozmowniejszy!

Ale „gad ze słoika” nie trafił jednak do ogólniaka. W laboratoryjnym korytarzu na trzecim piętrze znaleziono dla niego małą izdebkę, gdzie dawniej była ciemnia fotograficzna, wciśnięto tam jakoś łóżko, stół, szafę, donicę z kwiatem, kuchenkę elektryczną i zerwano karton, zasłaniający dotąd zakratowane okienko, które wychodziło nawet nie na świat boży, tylko na klatkę schodową, same zaś te kuchenne schody były od północy, tak że w celi uprzywilejowanego aresztanta światła nawet we dnie było co kot napłakał. Rzecz jasna, można było spokojnie zdjąć kraty, ale kierownictwo więzienia po pewnych wahaniach postanowiło jednak krataczek nie usuwać. Nawet ono nie rozumiało tej zagadkowej historii i nie mogło wypośrodkować słusznej linii postępowania.

Wówczas to nadano przybyszowi miano „Żelaznej Maski”. Długi czas nikt nie znał prawdziwego jego imienia. Nikt nawet nie mógł się z nim porozumieć; widać było przez okno, jak siedział przybity w swej pojedynce albo snuł się bladym cieniem pod lipami w godzinach, kiedy zwykłym zekom nie pozwalano na spacer. Żelazna Maska był żółty i chudy, całkiem jak zek-muzułmanin po solidnym dwuletnim śledztwie - jednakże szaleńcza odmowa jedzenia kiełbasy przeczyła takiej wersji.

Znacznie później, kiedy Żelazna Maska zaczął wychodzić już do roboty w Siódemce, zeki dowiedzieli się od frajerów, że był to ten właśnie pułkownik Mamurin, który w Dziale Łączności Specjalnej MSW zabraniał chodzenia po korytarzu inaczej niż na palcach; gdy zaś ktoś naruszył zakaz, wypadał z wściekłością z gabinetu przez pokój sekretarki i wrzeszczał:

- Ty, koło czyjzego gabinetu tak tupiesz, chamie? Nazwisko!?

Znacznie później wyjaśniło się też, że przyczyna cierpienia Mamurina była natury moralnej. Świat ludzi wolnych odepchnął go, do świata zeków sam wzdragał się przyłgnąć. Z początku w tej swojej samotności wciąż czytał - takie nieśmiertelne utwory jak „Wojna o pokój”, „Kawaler Złotej Gwiazdy”, „Sławni synowie Rosji”, dalej - wiersze Prokofiewa, Gribaczowa - i oto! - zaszła w nim cudowna przemiana - sam zaczął układać wiersze!

Wiadomo, że poeta rodzi się w człowieku pod wpływem niedoli i cierpień dusznych, cierpiał zaś Mamurin srożej niż inni aresztanci. Siedząc drugi rok bez śledztwa i bez sądu, żył on po dawnemu tylko ostatnimi dyrektywami partyjnymi i po dawnemu ubóstwiał Mądrego Wodza. Mamurin zwierzył się Rubinowi, że to, co tu najokropniejsze, to nie więzienna bryja (nawiasem mówiąc, gotowano mu oddzielnie) ani rozłąka z rodziną (mówiąc nawiasem, wożono go potajemnie raz na miesiąc do domu, gdzie spędzał noc), w ogóle - nie te elementarne, przyziemne braki - tylko poczucie, że straciło się zaufanie Josifa Wissarionowicza, ten ból, że jest się już nie pułkownikiem, tylko kimś zdegradowanym, oczernionym. Oto dlaczego komunistom nieskończenie trudniej jest znieść więzienie niż tutejszemu bezideowemu ścierwu.

Rubin był komunistą. Ale posłuchawszy zwierzeń swego niby to sojusznika ideowego, posłuchawszy jego wierszy, szybko się odstrychnął od nowego kolegi, jął unikać Mamurina, nawet ukrywać się przed nim - zaś cały swój czas starał się spędzać wśród ludzi niesprawiedliwie go atakujących, ale za to dzielących z nim ten sam los.

Mamurina zaś pochłaniało dążenie, natrętne jak ból zęba - zrehabilitować się przed partią i rządem. Niestety, cała jego wiedza o łączności kończyła się na umiejętności trzymania przy uchu słuchawki telefonicznej. Dlatego pracować w ścisłym sensie nie mógł, mógł tylko kierować. Ale byle kierowanie, kierowanie sprawą bez przyszłości, nie mogło jeszcze przywrócić mu zaufania Najlepszemu Druhu Pracowników Łączności. Należało kierować sprawą mającą zapewnione z góry powodzenie.

W tym okresie w Instytucie Marfino zarysowały się dwa takie przedsięwzięcia z przyszłością: wokoder i Siódemka.

Z jakiegoś nieznanego powodu, wymykającego się wszelkiej logice, ludzie lgną do siebie albo się nie znoszą już od pierwszego wejrzenia. Jakonow i jego zastępca Rojtman nie dobrali się. Z każdym miesiącem stawali się dla siebie wzajem coraz bardziej nieznośni: zaprzęgnięci tą samą ciężką ręką do wspólnego dyszła, nie mogli wyrwać się, tylko ciągnęli, każdy w swoją stronę. Kiedy tajną sieć telefoniczną zaczęto realizować metodą równoległych eksperymentów, Rojtman ściągnął kogo tylko mógł do pracowni akustyki dla opracowania systemu „wokoder”, szyfrant głosu, który otrzymał rosyjskie miano „aparatu do sztucznej mowy”. Jakonow za to ograbił wszystkie pozostałe grupy: najbystrzejszych inżynierów i najlepsze aparaty z importu ściągnął do Siódemki, pracowni numer 7. Cherlawe pędy pozostałych inicjatyw zginęły w nierównej walce.

Mamurin wybrał sobie Siódemkę: po pierwsze dlatego, że nie wypadło mu zostać podwładnym byłego swego podwładnego, Rojtmana, po drugie dlatego, że w ministerstwie także uważano za słuszne, by za plecami bezpartyjnego Jakonowa z hakiem w ankiecie płoństwo czyjeś bezsenne, czujne oko.

Od tej chwili Jakonow mógł sobie bywać nocami w instytucie, albo i nie bywać; zdegradowany pułkownik MSW, który poskromił w sobie namiętność do rymo-twórstwa na rzecz postępu technicznego w kraju, samotny więzień o rozpalonych do białości oczach, o monstrialnie zapadłych policzkach, wzgardziwszy pokarmem i snem, nie szczczędząc sił kierował cudzą pracą do drugiej w nocy, narzucając Siódemce piętnastogodzinny dzień roboczy. Warunki tak korzystne mogły powstać tylko w Siódemce, Mamurina bowiem nie musiał kontrolować żaden frajer i zbędne były ich nocne dyżury.

Właśnie do Siódemki udał się Jakonow, gdy zostawił w swoim gabinecie Wiereniowa z Nierżynem.

12

Podobnie jak prości żołnierze - chociaż nikt im nie komunikuje generalskich dyrektyw - zawsze zdają sobie sprawę, czy znaleźli się na linii głównego natarcia, czy nie - tak też wśród trzystu zeków marfińskiej szaraszki ugruntowało się słuszne przekonanie, że na linię głównego natarcia wysunięta jest właśnie Siódemka.

Wszyscy w instytucie znali jej właściwą nazwę: „laboratorium klippingu fo-nemów”, ale udawali, że nie znają sekretu. Słowo klipping wzięte było z angielskiego i oznaczać miało przycinanie części mowy. Nie tylko każdy inżynier i tłumacz instytutu, lecz również monterzy, tokarze, frezerzy, wszyscy chyba aż do przygłuchego i głupawego stolarza włącznie - wiedzieli, że całe to urządzenie powstaje według amerykańskich wzorów, ale w mocy była powszechna umowa, że istnieją tylko wzory krajowe: dlatego też amerykańskie pisma fachowe ze schematami i teoretycznymi artykułami o klippingu, które sprzedawano w New Yorku w kioskach gazetowych, tu były ponumerowane, spięte sznurkami, opatrzone tajną klauzulą i chowane pod pieczęcią w kasach ogniotrwałych - żeby ich właśnie amerykański szpieg nie wziął do ręki.

Klipping, damping, sprzężenie amplitud, elektroniczne różniczkowanie i całkowanie swobodnej ludzkiej mowy było takim samym pastwieniem się nad nią, jak gdyby ktoś zechciał rozbić na molekuly Nowy Atos albo Gurzuf*, wtłoczyć te cząstki do miliarda pudełek zapalczanych, wymieszać je dobrze, przetrzucić samolotem do Nerczyńska, tam

posegregować i złożyć na powrót w identyczną całość, dodając nadto podzwrotnikową atmosferę, szum przyływu, wiatr z południa i blask księżyca.

To samo trzeba było zrobić z ludzką mową, dzieląc ją na molekuly-impulsy, później zaś odtwarzając ją tak, żeby nie tylko wszystko było zrozumiałe, ale żeby jeszcze Gospodarz mógł poznać po głosie, z kim mówi.

W szarazkach, gdzie pędziło się życie półjedwabne i dokąd nie przenikało, zdawałoby się, zgrzytanie zębów z łągów, z pola walki o byt, od dawna już

* Nowy Atos - słynny klasztor prawosławny wzorowany na greckim monasterze z góry Atos. Gurzuf - uzdrowisko na południowym wybrzeżu Krymu. trzymano się zasady raz na zawsze przez zwierzchność wprowadzonej: jeżeli badania doprowadziły do pomyślnych wyników, grupka zeków bezpośrednio z nimi związana otrzymywała wszystko: wolność, czysty paszport, mieszkanie w Moskwie, pozostali zaś nie dostawali nic - ani dnia darowanego, ani stu gramów wódki na cześć zwycięzców.

Nie było wypadków pośrednich.

Dlatego więźniowie, którzy najlepiej przyswoili sobie ową szczególną obozową chwytność, dzięki której zek potrafi, jak się zdaje, utrzymać się pazurami na lustrzanej ścianie, otóż najobrotniejsi więźniowie starali się trafić do Siódemki, aby z niej wyłabudać się na wolność.

W ten sposób znalazł się tu inżynier Markuszew, człowiek bez skrupułów: z jego krostowatej twarzy wyczytać można było oddanie na śmierć i życie dla każdej myśli inżyniera-pułkownika Jakonowa. Tak też znaleźli się tu i inni o podobnym nastawieniu.

Ale przezorny Jakonow wybierał do Siódemki także tych, którzy wcale się o to nie starali. Takim był inżynier Amantaj Bułatów, kazański Tatar w dużych, rogowych okularach, otwarty, śmiejący się ogłuszająco, skazany na dziesięć lat za to, że znalazł się w niewoli, i za kontakty z wrogiem ludu, Musą Dżalilem*. (Nazywano Amantaja żartem „najstarszym pracownikiem firmy”, a to dlatego, że po ukończeniu wyższej uczelni radiotechnicznej w czerwcu czterdziestego pierwszego posłany został na front, na straconą smoleńską pozycję, a później Niemcy wyciągnęli go z obozu jeńców jako Tatara i posłali od razu na praktykę do zakładów tej samej firmy „Lorenz”, której kierownicy podpisywali jeszcze w owych czasach swoje listy formułą „Mit Heil Hitler!”.) Takim był też Andrzej Andriejewicz Potapow, specjalista wcale nie od niskich napięć, tylko od wysokich i od budowy elektrowni. Do Marfina trafił dzięki omyłce dyletanta segregującego dossiers w kartotece GUŁagu. Ale że

był z niego wybitny inżynier i człowiek bez reszty oddany pracy, Potapow dał sobie radę w Marfinie i stał się niezastąpionym znawcą aparatury do najbardziej dokładnych i zawiłych pomiarów radiowych.

Był tu jeszcze inżynier Chorobrow, znakomity radiowiec. Do grupy Nr 7 wyznaczony został na samym początku, kiedy była to zwykła sobie grupa. Ostatnio Siódemka już mu ciążyła, nie mógł pogodzić się z jej wściekłym tempem - a Mamurin też już miał go dość.

Wreszcie „przejmując dreszczem wielorakim zarówno ludzi jak rumaki” sprowadzony był do Siódemki aż spod Salechardu, ze sławetnej 501 budowy, z karnej

* Znakomity poeta tatarski, organizator ruchu oporu w niemieckich obozach jeńców i jednostkach muzułmańskich ochotników. W latach późniejszych zrehabilitowany.

brygady katorżnego łagru ponury więzień i genialny inżynier Aleksander Bobynin - i z punktu postawiono go na czele. Bobynin został wyrwany z pazurów śmierci. Bobynin był też pierwszym kandydatem na zwolnienie - w razie sukcesu. Dlatego przesiadywał w pracowni grubo po północy, ale pracował z wyrazem takiej wzdorliwej dumy, że Mamurin lękał się go i jemu jednemu nie ośmielał się robić uwag.

Siódemka była taką samą salą jak akustyka, tylko że piętro wyżej. Była tak samo zapełniona aparaturą i zbieraniną mebli, ale nie miała w kącie budki akustycznej.

Jakonow kilka razy dziennie wpadał do Siódemki, dlatego jego odwiedziny nie były tu uważane za wizyty oficjalne. Jedynie Markuszew z paroma lizusami postarał się wpaść mu w oczy i zakrzętnął się jeszcze żwawiej i weselej, Potapow zaś dostawił sobie jeszcze miernik częstotliwości, by zasłonić puste miejsce na półce do przyborów, odgradzającej go od reszty pracowni. Pensum swoje wykonywał metodycznie, nie miał zaległości i teraz spokojnie majstrował sobie papierośnicę z czerwonej przejrzystej masy, żeby mieć jakiś upominek na jutro.

Mamurin wstał na widok Jakonowa i przywitał się jak równy z równym. Miał na sobie nie granatowy kombinezon zwykłego zeka, lecz garnitur z drogiej wełny, ale i ten strój nie dodawał urody jego zniszczonej twarzy i kościstej figurze.

To, co malowało się teraz na jego czole koloru cytryny i bezkrwistych wargach umrzyka, oznaczać miało radość i tak zostało przez Jakonowa zrozumiane.

- A, Antoni Nikołaicz! Przystawiliśmy na co szesnasty impuls i jest o wiele lepiej. Niech pan posłucha, ja panu poczytam.

„Czytanie” i „słuchanie” - były to zwykle sposoby sprawdzania jakości telefonicznego

traktu: trakt zmieniano kilka razy dziennie przez dodanie, usunięcie albo zamianę jakiegoś ogniwa. Ale żeby za każdym razem zmienić równoległe artykulację - to byłoby za dużo roboty, nie nadążyłyby się za konstruktywnymi pomysłami inżynierów, zresztą nie było sensu orientować się na mało pocieszające dane cyfrowe, płynące ze źródła niegdyś obiektywnego, teraz zaś opanowanego przez tego rojtmanowskiego faworyta, Nierżyna.

Przyzwyczajony już do chodzenia w koleinie, o nic nie pytając, nic nie objaśniając, Mamurin ruszył do odległego kąta sali, tam odwrócił się, przysunął słuchawkę do policzka i zaczął czytać przez telefon gazetę, Jakonow zaś, stojąc obok półki z instrumentami, nałożył słuchawki włączone na drugim końcu traktu i zaczął słuchać. W słuchawkach działy się straszne rzeczy: każdemu dźwiękowi towarzyszyły trzaski, łoskot, zgrzyty. Lecz podobnie jak matka zakochanym okiem patrzy na kalectwo swego dziecka, tak samo Jakonow nie tylko nie zrywał słuchawek ze swych torturowanych uszu, ale wciąż uważniej wsłuchiwał się i dochodził do wniosku, że to okropieństwo było lepsze od okropieństwa, które słyszał przed obiadem. Mamurin przy tym wcale nie mówił zwyczajnie, jak mówią żywi ludzie, lecz recytował ze szczególną wyrazistością, nadto zaś czytał artykuł o bezczelności jugosłowiańskich wojsk pogranicznych i o skrajnym rozwydrzeniu krwawego kata Jugosławii, Rankowicza, który przekształcił ten miłujący wolność kraj w jedno wielkie więzienie - dlatego też Jakonow bez trudu odgadywał wszystko, czego nie mógł usłyszeć, świadom, że to zgadywanka, i zarazem ukrywając to przed sobą, coraz bardziej w końcu wierząc, że słyszalność jest teraz lepsza niż poprzednim razem.

Chciał jakoś podzielić się tą wiarą z Bobyninem. Masywny, szeroki w barach, z głową demonstracyjnie ogoloną, chociaż w szaraszce wolno było czesać się wedle woli - Bobynin siedział opodal. Nawet się nie odwrócił przy wejściu Jakonowa do laboratorium i pochylony nad długą wstęgą fotooscylogramu, coś mierzył ostrzami cyrkla.

Z Bobynina był marny robak, nędzny zek, człowiek najniższej kasty. Jakonow był możnowładcą.

I oto Jakonow nie ośmielał się oderwać Bobynina od roboty, chociaż bardzo miał na to ochotę.

Można zbudować Empire State Building. Wymusztrować pruską armię. Spiętrzyć hierarchię państwową ponad tron Stwórcy.

Nie można zaś przemóc dziwnej wyższości duchowej pewnych ludzi.

Są szeregowcy, których boją się dowódcy kompanii. Zwykli robotnicy - przed którymi

truchleją majstrowie. Oskarżeni budzący lęk u prowadzących śledztwo.

Bobynin wiedział o tym i celowo taką właśnie obrał sobie taktykę wobec nadzorców. Rozmawiając z nim, Jakonow za każdym razem chwycił się na tchórzliwej chęci, żeby przypodobać się temu zekowi, żeby go nie drażnić: buntował się przeciw temu uczuciu, ale wiedział, że inni też tak samo rozmawiają z Bobyninem.

Zdejmując słuchawki, Jakonow przerwał Mamurinowi:

- Znacznie lepiej, panie Jakubie, znacznie! Dobrze by było, żeby Rubin posłuchał, on ma dobre ucho.

Ktoś tam kiedyś, rad z opinii Rubina, oznajmił, że Rubin ma dobre ucho. Zgodzili się z tym bezwiednie wszyscy i jęli odtąd powtarzać. Rubin trafił do szaraszki przypadkiem i przedł tu cienko jako tłumacz. Lewe ucho miał takie jak wszyscy, zaś w prawym słuch dobrze przytępiony po kontuzji na Północ-no-Zachodnim froncie, co musiał ukrywać, od chwili gdy go pochwalono. Sława jego „dobrego ucha” pozwoliła mu mocniej poczuć się w siodle, póki ostatecznie nie ugruntował swojej pozycji trzytomową kapitalną pracą pt. „Rosyjski język kolokwialny w świetle analizy audiosyntetycznej i elektroakustycznej”.

Zatelefonowano tedy do akustyki po Rubina. Czekając na niego, zaczęli znów słuchać sami, już chyba po raz dziesiąty. Markuszew, marszcząc mocno brwi i natężając wzrok,trzymał chwilę słuchawkę przy uchu i oznajmił stanowczo, że jest lepiej, nieco lepiej (pomysł przestawienia na szesnaście impulsów pochodził od niego i Markuszew jeszcze przed początkiem próby wiedział, że będzie lepiej). Bułatów wrzasnął na całe laboratorium, że trzeba uzgodnić rzecz z szyfrantami i przejść z kolei na trzydzieści dwa impulsy. Dwóch skorych do usług elektromonterów, podzieliwszy się parą słuchawek, zaczęło słuchać - każdy jednym uchem - i natychmiast z wybuchem radości potwierdzili, że oczywiście, że teraz jest znacznie wyraźniej.

Bobynin nie podnosząc głowy dalej namierzał swój oscylogram.

Czarna wskazówka dużego elektrycznego zegara ściennego przeskoczyła na pół do jedenastej. Wkrótce już we wszystkich laboratoriach - oprócz Siódemki - miano kończyć pracę, składać tajne dzienniki robót w kasach pancernych, zeki mieli iść spać, frajerzy zaś - bieć do przystanku, skąd autobusy odchodziły już rzadziej o tej porze.

Ilija Terentiewicz Chorobrow, tyłami pracowni, żeby nie wpaść zwierzchności w oko, podszedł do siedzącego za półką Potapowa. Chorobrow był z wiatskiego, z najdalszych okolic, gdzie diabeł mówi dobranoc - spod Kaja, gdzie na dobry tysiąc wiorst, po lasach i

moczarach, rozciągało się królestwo GUŁagu, większe od kilku Francji razem wziętych. Chorobrow napatrzył się i nauczył więcej niż inni i czasami tak mu już się przykrzyło, że gotów był choćby łbem walić o żelazny słup ulicznej szczekaczki radiowej. Obowiązek stałego ukrywania swoich myśli, tłumienia swego poczucia sprawiedliwości - zgiął mu grzbiet, uczynił spojrzenie niemiłym, wyorał ciężkie zmarszczki w kątach ust. Wreszcie - podczas pierwszych powojennych wyborów - nie wytrzymał i na kartce wyborczej dopisał chłopskie wyzwisko do imienia kandydata, którego właśnie skreślił. Było to w czasach, kiedy brak rąk do pracy uniemożliwiał siewy i odbudowę zrujnowanych domostw. Niemniej, kilku fachowych tajniaków przez cały miesiąc badało charakter pisma wszystkich wyborców rejonu - i Chorobrow doczekał się aresztowania. Do obozu jechał z naiwną satysfakcją, że przynajmniej się tam wywnętrzy do syta. Ale obóz wcale nie okazał się wolną republiką! - na Chorobrowa posypały się donosy szpicli i musiał znów zamilknąć.

Rozsądek nakazywał mu teraz zmieszać się z tłumem pracujących w Siódemce i zapewnić sobie jeśli nie wolność, to przynajmniej życie bez kłopotów. Ale obrzydzenie wobec niesprawiedliwości, nawet nie jemu osobiście zadawanej, dławiło mu gardło z siłą, która odbiera człowiekowi chęć do życia.

Wszedł za półkę Potapowa, pochylił się nad jego stołem i cicho powiedział:

- Andreicz! Dosyć tego dobrego. Toć sobota.

Potapow dopasował właśnie do przejrzystej, czerwonej papierośnicy jasnoró-żowe wieczko. Pochylił głowę patrząc na swoje dzieło i zapytał:

- No jak, Terenticz, kolory pasują?

Nie doczekawszy się pochwały ani przygany, Potapow rzucił na Chorobrowa znad okularów w drucianej oprawie babcine spojrzenie i powiedział:

- A po co drażnić bestię? Czas pracuje na naszą korzyść. Jak tylko Antoni sobie pójdzie, wyniesiemy się w tejże chwili.

Miał zwyczaj dzielić na sylaby i podkreślać mimiką ważniejsze słowa w zdaniu.

Tymczasem nadszedł Rubin, akurat teraz, około jedenastej, kiedy roboczy dzień miał się ku końcowi, Rubin, który tego wieczoru był już i tak w lirycznym nastroju - miał tylko jedno pragnienie - czym prędzej wrócić do więzienia i czytać Hemingwaya. Mimo to postarał się nadać swojej twarzy wyraz jak największego zainteresowania innowacjami Siódemki i poprosił, aby czytał koniecznie Mar-kuszew, bowiem jego wysoki głos o tonie zasadniczym w paśmie 160 Hz powinien dawać stosunkowo najniższą słyszalność (taki

stosunek do sprawy od razu zdradzał w nim specjalistę). Nałożywszy słuchawki Rubin parokrotnie kazał Markuszewowi czytać to głośniej, to ciszej, to znów powtarzać zdania: „Żywe leszcze szły pod prąd” i „Wspiął się na wspak spory szpak” - formuły te wymyślił sam Rubin dla sprawdzenia słyszalności poszczególnych grup zgłosek i wszyscy w szaraszce je znali. Wreszcie doszedł do wniosku, że daje się zauważyć ogólna tendencja dodatnia, samogłoski można już słyszeć po prostu świetnie, nieco gorzej ze spółgłoskami bezdźwięcznymi, niepokoi go dźwięk „z”, w ogóle zaś niedobrze jest z tak typową dla języków słowiańskich grupą spółgłosek „wsp”, nad czym też warto popracować.

Od razu rozległ się chór głosów wyrażających radość, że przewodnictwo, jak widać, się polepszyło. Bobynin podniósł głowę znad oscylogramu i tubalnym swoim basem powiedział z drwiną:

- Bzdury! Raz hejta, raz wista. Co pomoże szukanie po omacku, trzeba znaleźć metodę.

Zapanowało niezręczne milczenie: Bobynin nie odwracał twardego spojrzenia.

Za swoją półką Potapow przyklejał acetonem różowe wieczko do papierośnicy. Całe trzy lata niemieckiej niewoli Potapow wytrzymał w obozach głównie dzięki swojej nadprzyrodzonej wręcz umiejętności majstrowania pięknych zapalniczek, papierośnic i fajeczek z byle śmiecia, nadto bez żadnych narzędzi.

Nikt nie przerywał jednak pracy! I to w przeddzień skradzionej im niedzieli!

Chorobrow rozprostował grzbiet. Położył swoje tajne wykresy na stole Potapowa, aby ten mógł oddać je do kasy - twardym krokiem wyszedł z półki i bez pośpiechu skierował się w stronę drzwi, mijając tych, którzy stłoczyli się przy klipperze. Mamurin zamajaczył blade za jego plecami i zawołał:

- Ilia Terenticz! A czemu to p a n nie posłucha? I w ogóle, dokąd to?

Chorobrow odwrócił się z tą samą powolnością, uśmiechnął się krzywo i odparł dzieląc sylaby:

- Wolałbym o tym głośno nie mówić. Ale skoro pan nalega, proszę bardzo: w danej chwili idę do ustępu, czyli wychodka. Jeżeli tam pójdzie mi gładko, to skieruję się następnie do więzienia, żeby wreszcie sobie pospać.

Zapadła pełna napięcia cisza i wtedy Bobynin roześmiał się gromko: nikt dotąd nie słyszał jego śmiechu.

To był bunt na pokładzie! Z gestem takim, jakby chciał Chorobrowa uderzyć,

Mamurin ruszył w jego stronę i zapytał zmienionym, piskliwym głosem:

- Co to znaczy - spać? Wszyscy dookoła pracują, a ten chce spać?

Biorąc już za klamkę, Chorobrow odparł, ledwie nad sobą panując:

- A no - po prostu spać! Przepracowałem swoje konstytucyjne dwanaście godzin - i mam dosyć! - Już się zapiekł i miał dodać jeszcze coś całkiem nie do naprawienia, ale właśnie drzwi się otwały i wkroczył dyżurny:

- Pułkowniku! Do miejskiego telefonu, pilne!

Jakonow podniósł się pospiesznie i wyszedł przed Chorobrowem.

Wkrótce Potapow też zgasił lampę na swoim biurku, przeniósł na stół Bułatowa tajne papiery swoje i Chorobrowa, po czym spokojnym krokiem, bez żadnych kłopotów, pokuszył do wyjścia. Przypadał na prawą nogę po katastrofie motocyklowej, którą miał jeszcze przed wojną.

Do Jakonowa dzwonił wiceminister Seliwanowski. Wzywał go do ministerstwa na Łubiankę na dwunastą w nocy.

I to miało być życie!

Jakonow wrócił do swego gabinetu, gdzie zostawił był Wiereniowa z Nierzynem, odesłał tego ostatniego, zaproponował gościowi, że odwiezie go własnym autem, wdział płaszcz i już w rękawiczkach wrócił do biurka i pod notatką: „Nierzyna - skreślić” dodał jeszcze:

„Chorobrowa - również”.

13

Czując, że stała się rzecz nieodwracalna, ale jeszcze tego nie rozumiejąc, Nierzyn wrócił do pracowni akustyki - i nie zastał w niej Rubina. Reszta była bez zmian: Walentula tkwił w przejściu i dłubał coś przy podstawce z ponawtykanymi w nią tuzinami lamp radiowych. Zerknął bystro na wchodzącego.

- Spokojnie, chłopaczku! - zatrzymał Nierzyna podnosząc dłoń, jak gdyby zatrzymywał samochód. - Nie wie pan czasem, dlaczego nie ma napięcia w trzecim obwodzie? - I przypomniał sobie: - Aha! Po co pana wzywano? *Kes kese pase?*

- Tylko bez chamstwa - uchylił się Nierzyn od odpowiedzi. Sposepniał. Temu kapłanowi wiedzy nie mógł przecież się przyznać, że wyparł się, że dopiero co wyparł się matematyki.

- Jeżeli ma pan kłopoty - doradził Walenty - to mam sposób: trochę muzyki tanecznej.

Pan czytał tego? no, tego tam... no, papieros w zębach, na raz palimy, na dwa - won!... sam nie ruszy łopata, innych namawia... no, aha, mam:

Własna milicja Pilnuje mnie stale! Ach, jak w obozie Jest wspaniale!

Ale nie czekając na odpowiedź, zajęty nową myślą, Walentula wołał do montera:

- Wadka! Włącz no oscylograf!

Nierzyn podszedł do swego biurka, ale jeszcze zanim usiadł, już spostrzegł, że Simoczka była cała w nerwach.

- A gdzie nasz brodacz, pani Serafimo?

- Też go wezwał Antoni Nikołajewicz, do Siódemki - odparła głośno Simoczka. I podchodząc do centralki telefonicznej poprosiła jeszcze głośniejsze, tak, aby każdy słyszał:

- Glebie Wikientiewiczu! Niech pan sprawdzi, jak ja odczytuję te nowe tablice. Mamy jeszcze pół godziny.

Simoczka była jednym ze stałych lektorów przy badaniach artykulacyjnych. Należało dbać o to, aby wszyscy lektorzy recytowali teksty według jednakowego standardu.

- Gdzież ja tu sprawdzę w takim hałasie?

- A... pójdziemy do budki. - Zerknęła znacząco na Nierzyna, wzięła tablice nakreślone tuszem na kalce kreślarskiej i poszła do budki.

Nierzyn wszedł tam za nią. Zaryglował z początku za sobą grube na łokieć, puste w środku drzwi, następnie przesunął się przez wewnętrzne, wąziutkie drzwiczki, zamknął je także, opuścił story. Sima zawisła na jego szyi, wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

Wziął na ręce leciutką dziewczynę - było tak ciasno, że noski jej pantofli stuknęły o ściankę - usiadł na jedynym krześle przed koncertowym mikrofonem i posadził ją na swoich kolanach.

- Po co Antoni pana wzywał? Coś złego się stało?

- A wzmacniacz nie włączony? My tu gadamy, a tam - gigantofony...

- Coś złego?

- Dlaczego zaraz coś złego?

- Od razu poczułam, jak tylko zadzwonili. I po pańskiej minie widać.

- Ile razy mam powtarzać, żebyś mówiła mi „ty”?

- Lepiej jeszcze nie... Co się stało?

Ciepło jej nieznanego ciała udzielało się jego kolanom, jego rękom, pięło się w górę całego korpusu. To była rzecz nieznaną, to była zagadka, bo wszystko stało się niewiadome

dla więźnia i żołnierza po upływie tylu lat. A nie każdy ma jakiś zapas w pamięci.

Simoczka była zadziwiająco lekka. Jakby kości wewnątrz były puste, jakby może cała była z wosku - wydawała się nieważka aż do śmieszności, jak ptak, który więcej ma piór niż ciała.

- Tak, przepióreczko... Zdaje się... że niedługo stąd wyjadę.

Zwinęła mu się w rękę i, gubiąc chustkę, co ją miała na ramionach, małutkimi dłońmi objęła go.

- Dokąd?

- Jak to - dokąd? My jesteśmy ludzie otchłani. Wracamy zawsze tam, skądśmy wyszli - do obozu - wyjaśnił Nierżyn spokojnie.

- Miły mój! Za co? - to były nie słowa, lecz jęk.

Gleb patrzył z bliska, ze zdumieniem w rozszerzone oczy tej nieładnej dziewczyny, której miłość tak niespodzianie i bez wysiłku mu przypadła. Przejęta była jego losem bardziej niż on sam.

- Można było nawet tu zostać. Ale w innej pracowni. I tak bylibyśmy rozdzieleni...

(Powiedział to teraz tak, jakby właśnie z tej przyczyny wymówił się od nowej propozycji w gabinecie Antoniego. Ale powiedział to mechanicznie, głosem wokodera. W istocie zaś taki już był los więźniarski, że nawet po przeniesieniu do innego laboratorium Gleb zaraz by zaczął szukać kontaktu z kobietą pracującą przy sąsiednim stole, a gdyby został w akustycznym - to z byle jaką inną, o byle jakim wyglądzie, z tą, którą posadzono by na miejscu Simy przy sąsiednim biurku.) Tuliła się do niego całym drobnym ciałkiem, całowała go.

Więc czemu ją szczenił przez te wszystkie minione tygodnie, po pierwszym pocałunku - dlaczego żal mu było jej złudnego przyszłego szczęścia? Toż nie znajdzie chyba narzeczonego, weźmie ją w końcu pierwszy lepszy tak sobie, mimochodem. Dziewczyna sama się naprasza - i z takim lęklwym naprężeniem wali im obojgu coś w piersi... Czemu odmawiać sobie - i jej? Tuż przed pogrążeniem się w obozowy odmęt, gdzie na pewno nic podobnego się nie zdarzy, za nic, przez wiele lat...

- Szkoda mi będzie jechać... tak... Chciałbym zabrać ze sobą choć wspomnienie o... o twoim... o twojej... No, chciałbym, żebyś została... z dzieckiem...

Gwałtownie opuściła poczerwieniałą twarz i jęła opierać się jego palcom, którymi próbował znów podnieść jej głowę.

- Przepióreczko... no, nie chowaj się... No, podnieś główkę... Czemu nic nie mówisz?

A ty - chcesz tego?

Podniosła wtedy głowę i powiedziała z głębi serca:

- Ja będę czekać na pana! Zostało jeszcze pięć lat? - to będę czekać pięć lat! A kiedy nadejdzie wolność - to wróci pan do mnie?

Tego jej nie przyrzekał. Tak z nim teraz mówiła, jakby nie miał nigdy żony. Więc tak chciała wyjść za mąż, biedactwo długonose!

Żona Gleba mieszkała gdzieś tutaj, w Moskwie, ale to było tak, jakby mieszkała na Marsie.

Prócz Simoczki na kolanach i żony na Marsie były przecież jeszcze ukryte w biurku jego etiudy o rosyjskiej rewolucji, które kosztowały go tyle wysiłku i tyle najlepszych myśli. Jego pierwsze własne sformułowania.

Ani strzępka notatek nie wolno było wynieść z szaraszki. A przy byle rewizji podczas tranzytu tym papierkom mógłby zawdzięczać nowy wyrok.

Teraz właśnie trzeba było skłamać! Zełgać, naobiecować, jak się zawsze obiecuje. I w razie wyjazdu zostawić swoje notatki w bezpiecznym miejscu - u Simoczki.

Ale nawet w imię takiej sprawy nie miał sił okłamać tych oczu, patrzących z taką nadzieją.

Uciekając przed nimi zaczął całować jej chude, kanciaste ramiona, które sam wyłuskał spod bluzki.

- Pytałaś mnie kiedyś, co takiego wciąż piszę - powiedział z oporem.

- No i co? Co ty piszesz? - z żywą ciekawością spytała Simoczka.

Gdyby nie przerwała mu i nie zapytała tak natarczywie - to chyba by jej teraz wszystko powiedział. Ale spytała niecierpliwie - i zaraz cały się napiął. Przez tyle już lat żył w świecie pociętym przemyślnymi drutami min, drutami, których trącenie zaraz powodowało wybuch.

Także i te ufne, zakochane oczy mogły odwalać tu robótkę dla oficera operacyjnego.

Bo też od czego się zaczęło? Nie on, tylko ona pierwsza przycisnęła wtedy policzek do jego twarzy. To wszystko mogło być ukartowane!...

- Takie historyczne kawałki - powiedział. - Historia, wiesz, okres Piotra Pierwszego... Ale mi na tym zależy. Póki mnie Antoni nie posłał do diabła - spróbuję pisać jeszcze. No i gdzież ja to podzieję, jak będę miał jechać?

I podejrzliwie zajrzał jej w oczy. Simoczka uśmiechnęła się pogodnie.

- Jak to - gdzie? Ja ci to przechowam. Pisz, kochany. - I znów spojrzała na niego badawczo: - A powiedz, czy bardzo ładna ta twoja żona?

Zadzwonił indukcyjny telefon polowy, który łączył budkę z pracownią. Sima podniosła słuchawkę: nacisnęła w niej klawisz, dzięki czemu można było usłyszeć, co mówi, ale nie podniosła mikrofonu do ust, tylko - cała w pasach, z niedopiętą bluzką, zaczęła beznamiętnym, miarowym tonem czytać formuły z tablicy ar-tykulacyjnej:

- ... dier... fskop... sztap... tak, słucham. Walenty Martynycz? O co chodzi? Podwójna dioda-trioda?... Sześć-G-siedem brak, ale mamy, zdaje się, sześć-G-dwa... Zaraz skończę tablicę i wyjdę... zan... druć... - Puściła klawisz. Otarła się włosami o głowę Gleba.

- Trzeba już iść, zwracają uwagę. No, niech pan puści, błagam...

Ale w jej głosie nie słychać było stanowczości.

Jeszcze mocniej ją objął i przycisnął do siebie głowę, nogi, całą.

- Nie!... Szczędziłem cię - tylko po co? Ale teraz - nie przepuszczę!...

- Proszę się opamiętać, tam na mnie czekają, czas zamykać pracownię!

- Tu! W tej chwili!

I nie przestawał całować.

- Tylko nie dziś!

- A kiedy?

Spojrzenie miała uległe:

- W poniedziałek. Będę znów mieć dyżur. Zamiast Liry. Proszę przyjść podczas przerwy na kolację, będziemy mieć dla siebie całą godzinę. Jeżeli tylko ten wariat Walentula nie wymyśli sobie roboty...

Zanim Gleb otworzył pierwsze drzwi i odryglował drugie, Sima już zdążyła zapiąć się i uczesać, po czym wyszła pierwsza, nieprzystępna, chłodna.

14

- Tę niebieską żarówkę to jeszcze kiedyś butem rąbnę, tak mnie drażni.

- Nie trafisz.

- Pięć metrów - i nie trafię? Zakład o jutrzejszy kompot?

- Toż zzułeś but na dolnym posłaniu, dodaj z metr.

- No to sześć. Widziałeś, co za gady, czego to nie wymyślą, żeby dokuczyć zekom.

Całe noce oczy nam gniecie.

- Niebieskie światło?

- A pewno. Światło ma swoje ciśnienie. Odkrycie Lebediewa. Aristip Iwanycz nie śpi? Niech pan będzie tak dobry i zechce podać mi na górę jeden z moich butów.

- But mogę podać, panie Wiaczesławie, ale niech pan odpowie najpierw, co panu zawiniło niebieskie światło?

- A choćby to, że ma fale krótkie, za to kwanty duże. Kwanty mnie po oczach leją - Świeci sobie łagodnie, a mnie osobiście przypomina wieczną lampkę, którą nam w dzieciństwie zapalała na noc mama.

- Mama! Z niebieskimi pagonami! Proszę, macie przykład, czy można ludziom dać nieograniczoną demokrację? Widzę przecież: w każdej celi, na najgłupszy temat, niech to będzie - mycie misek czy zmiatanie podłogi - zaraz ujawniają się wszystkie możliwe odcienie najzupełniej przeciwstawnych opinii. Wolność oznaczałaby zgubę dla ludzkości. Niestety, tylko pałka może wskazać jej słuszną drogę.

- A co myślicie, wieczna lampka byłaby tu na miejscu? Przecież to dawny ołtarz.

- Nie ołtarz, tylko kopała nad absydą. Dodali tylko powalę między piętami.

- Panie Dymitrze! Co pan robi! Otwierać okno w grudniu! Dosyć tego.

- Panowie! Tylko tlen zapewni zekom nieśmiertelność. W izbie jest nas dwudziestu czterech, na dworze ani mrozu, ani wiatru. Otwieram na szerokość Erenburga.

- Co najmniej na półtora! Na górnych łózkach duszno jak diabli!

- Jak pan liczy Erenburga - na grubość?

- Nie, proszę panów, na długość, akurat mieści się między futrynami.

- Zwariować można, gdzie mój waciak z łagru?

- Tych wszystkich miłośników tlenu posłałbym na Oj-Miakon, do o g ó l n i a - k a. Jakby przepracowali sobie dwanaście godzin przy sześćdziesięciu stopniach poniżej zera - toby do chlewa wpełzli, byleby trochę ciepła poczuć!

- W zasadzie nie mam nic przeciw tlenowi, ale dlaczego ma być zawsze zimny? Głosuję za tlenem, ale ciepłym.

- ... Ki diabeł? Dlaczego tak ciemno? Tak wcześnie wyłączyli białe światło?

- Walentula, frajerze! Mógłbyś dłużyć sobie jeszcze do pierwszej! Jakie światło ma być o północy?

- Ze mnie frajer, a z ciebie goguś!

Leży goguś Nad moją pryczą, Tylko w łagrze Żyje się byczo!*

- Znów nadymione? No i po co palicie? Fe, ohyda... Ee, imbryk też już zimny.
- Walentula, gdzie Lew?
- A bo co, nie leży już w łóżku?
- A leży tam ze dwadzieścia książek, ale Lwa nie ma.
- No to pewno koło dwóch zer.
- Dlaczego - koło?
- A bo tam wkręcono białą żarówkę i ściana od kuchni grzeje. Pewno tam słodszy nad książką. Idę się myć. Co mu powiedzieć?

- No więc... Ścieli ci mnie na podłodze, a sobie zaraz obok na tapczanie. A kawał baby, powiadam ci, dobry kawał...

- Przyjaciele, bardzo proszę - o wszystkim innym, byle nie o babach. W szaraszce, przy tej mięsnej diecie, to wręcz niebezpieczny społecznie temat.

- I w ogóle, dosyć, mołojcy, już po dzwonku.

- Mało, że po dzwonku, już słycać hymn na dobranoc.

- Jak ci się zechce spać, to i tak zaśniesz.

- Ani szczypty poczucia humoru: grają ten hymn już od pięciu minut. Flaki się przewracają. Kiedy to się skończy? Czy nie wystarczyłaby jedna strofa?

- A te sygnały? Żeby w takim kraju jak Rosja?!... Dobrze dla żab.

- Służyłem w Afryce. U Rommla. Jedno tam złe, że bardzo gorąco i wody nie ma...

- Na Oceanie Lodowatym jest taka jedna wyspa, Machotkina. A sam ten Machotkin, polarny lotnik, siedzi za antysowiecką agitację.

- ... Panie Michale, co pan się tam wciąż kręci?

- Co, nie wolno mi już obrócić się z boku na bok?

- Wolno, ale niech pan pamięta, że każdy pański mały ruch na dole odbija się na górze w o wiele większym zasięgu.

* Walentula parodiuje tu poemat W. Majakowskiego *Choroszo!* („Byczo jest!”; w polskim tłumaczeniu A. Sandauera - „Dobrze!”).

- Iwana Iwanycza widać minął obóz. Tam w a g o n i k i są poczwórne, jeden się obróci, to trzej się trzęsą. A jak jeszcze kto na dole zasłoneę ze szmat zmajszuje, babę sprowadzi i zacznie zasuwać!... Sztorm na dwanaście stopni Beauforta! No i nic, śpi się jakoś.

- Panie Grzegorzu, a kiedy pan pierwszy raz trafił do szaraszki?

- ... Zamierzam włączyć tam pentodę i malutki opornik...

- ... Był z niego facet zaradny, pedant. Jak ci na noc zzuje buty, to nie zostawi nigdy na podłodze, tylko pod kark sobie podłoży.

- W tych latach spróbowałbyś zostawić!

- ... W Oświęcimiu też byłem. Najstraszniejsze w tym Oświęcimiu to, że prosto z dworca szło się do pieca - i muzyka przy tym grała.

- ... Ryby tam cudowne, to raz, a po drugie - polowanie. Jesienią człowiek godzinę sobie pospaceruje i zaraz ma u pasa kupę bażantów. Pójdzie w szuwały - a tam dziki, w pole - to ma zające...

- ... Te wszystkie szaraszki zaczęły się w trzydziestym pierwszym, kiedy zaczęto inżynierów wyłapywać całymi stadami. Pierwsza była w zaułku Furkasowskim, tam opracowano projekt Kanału Białomorskiego. Następną kierował inżynier Ramzin. Eksperyment się spodobał. Na wolności nie sposób powołać do jednej grupy projektowej dwóch wybitnych inżynierów albo znakomitych uczonych: jak ci zaczną walczyć o rozgłos, o sławę, o nagrodę stalinowską, to jeden drugiego zagryzie, jak pić dać. Dlatego też wszystkie biura projektowe tam - to tylko bledziutkie aureole dookoła jednej dobrej głowy. A w szaraszce? Ani sława, ani pieniądze nikomu tu nie zagrażają. Nikołaj Nikołajewicz dostaje pół szklanki śmietany i Piotr Pietrowicz drugie pół. Tuzin niedźwiedzi z Akademii żyje sobie zgodnie w jednym barłogu, bo gdzie się podzieją? Pograją sobie w szachy, pykną sobie z fajeczki - nuda! A może by tak coś wynaleźć? Dlaczego nie? W ten sposób niemało się zrobiło! Na tym właśnie polega podstawowa zasada szaraszki.

- Przyjaciele! Nowina! Bobynina dokądś zabrali!

- Wałek, nie ujadaj, bo poduszką dostaniesz!

- Dokąd, Walentula?

- Jak go zabrali?

- Minor przyszedł i kazał mu wdziać palto, czapkę.

- To z rzeczami?

- Bez rzeczy.

- Na pewno do jakichś ważniaków.

- Do Fomy?

- Foma by sam przyjechał, mierz, bracie, wyżej.

- Herbata zimna, co za świństwo!...

- Walentula, a pan to zawsze łyżką o szklankę stuka po dzwonku, jak mi się to uprzykrzyło!

- Chwileczkę, a jak mam cukier mieszać?

- Bez fonii.

- Bez fonii odbywają się tylko kosmiczne katastrofy, bo w przestrzeni pozaziemskiej dźwięki się nie rozchodzą. Gdyby za naszymi plecami eksplodowała właśnie jakaś Nowa Gwiazda, to nic byśmy nie usłyszeli. Ruska, kołdra ci spada, nie czujesz? Nie śpisz? A wiesz ty, że nasze Słońce należy do gwiazd nowych i że Ziemia skazana jest na zagładę w najbliższym już czasie?

- Nie chcę w to wierzyć. Jestem młody i chcę żyć!

- Cha-cha! Prymityw... Jaka zimna herbata! *Sole mio!* On chce żyć!

- Walek! Dokąd zabrali Bobynina?

- Skąd mam wiedzieć? Może do Stalina?

- A co by pan zrobił, Walentula, gdyby tak pana wezwano do Stalina?

- Mnie? Ho-ho! Dziecino! Założyłbym mu protest, punkt po punkcie!

- Na przykład?

- No, za wszystko, wszystko, wszystko. Parekselians - dlaczego żyjemy tu bez kobiet?

To zmniejsza nasze twórcze możliwości!

- Priancyk! Stul buzię! Wszyscy dawno już śpią - czego wrzeszczysz?

- A jeśli nie mogę spać?

- Koledzy, kto tam pali, gasić, bo idzie minor.

- A ten tu po co, ścierwo?... Niech się tylko obywatel młodszy lejtnant nie potknie - tu łatwo nos rozbić.

- Priancykowi!

- Co?

- Gdzie jesteście? Jeszcze nie śpicie?

- Już śpię.

- Ubierać się, ubierać. Palto, czapka.

- Z rzeczami?

- Bez rzeczy. Samochód czeka, prędeż.

- Czy jadę razem z Bobyninem?

- Już pojechał, jest inny wóz.

- A jaki wóz, obywatelu - suczka?
- Szybciej, szybciej, „Pobieda”.
- A kto wzywa?
- No, Priancykow, no co ja wam będę tu wszystko tłumaczyć? Sam nie wiem, szybciej.
- Walek, a powiedz im tam!
- Powiedz o widzeniach! Co, gady, z pięćdziesiątego ósmego artykułu raz na rok się należy?
- Powiedz o spacerach!
- O listach!
- O przyodziewku!
- Rot front, chłopaki! Cha-cha! Adje!
- Towarzyszu, gdzie macie tego Priancykowa?
- Już go daję, towarzyszu majorze, już, już! Już tu jest!
- Walek, wszystko im wyrąb, nie krępuj się!
- Widziałeś, jak te psy po nocy!
- Co się stało?
- Nigdy jeszcze tego nie było...
- Może wojna się zaczęła? Pod ściankę prowadzą?
- Wypluj to słowo, durniu! Kto by tam nas po jednym wozil? Skoro wojna się zacznie, to nas całą hurmą rozwałą, albo dzumy zadadzą w kaszy, jak to Niemcy zrobili z obozami w czterdziestym piątym...
- No dobra już, spać, chłopaki. Jutro się dowiemy.
- ... owszem, zdarzało się - w trzydziestym dziewiątym, w czterdziestym - że jak Borysa Pietrowicza Steczkina zawezwie z szaraszki sam Beria, to już ci Steczkin z pustymi rękoma nie wróci: albo komendanta więzienia zmieniają, albo spacery przedłużają... Steczkin znieść nie mógł tego systemu korupcji, tych kategorii żywienia, kiedy członkowie Akademii dostają śmietanę i jajka, profesorowie - czterdzieści gramów masła, a robocze bydełko - po dwadzieścia... Porządny człowiek był z Borysa Pietrowicza, zasłużył sobie na żywot wieczny...
- Umarł?
- Nie, skąd, wyszedł na wolność... został laureatem.

Ucichł w końcu również monotony, pełen znużenia głos weterana Abramsona, który poznał szaraszki jeszcze podczas swojej pierwszej odsiadki. Z dwóch kątów dochodziły jeszcze ostatnie szept. Ktoś chrapał głośno i wstrętne; zdawało się, że zaraz nastąpi eksplozja.

Mdła, niebieska żarówka nad szerokimi, poczwórnymi drzwiami wypełniającymi cały łuk wejściowy ledwie oświetlała tuzin piętrowych, pospawanych łóżek rozstawionych wachlarzowato w dużej, półkolistej izbie. Izba ta - jedyna może tego typu w Moskwie - miała średnicy dwanaście dobrych męskich kroków, w górze - wysoką, obszerną kopułę zbiegającą się stożkowato pod powalą sześciokątnej baszty, a wzdłuż okręgu - pięć foremnych, łukowato wyciętych okien. Okna były zakratowane, ale nie miały b l i n c ó w i we dnie widać było przez nie po drugiej stronie szosy park, ogromny jak las, letnimi zaś wieczorami słyhać było mącące spokój duszy śpiewy niezamężnych dziewczyn z moskiewskiego przedmieścia.

Nierzyn nie spał na swoim górnym pościeli pod środkowym oknem: nie starał się zresztą zasnąć. Inżyniera Potapowa na dolnym łóżku dawno już zmorzył zdrowy sen człowieka pracy. Na sąsiednich górnych narach - z lewej strony za przejściem ufnie rozrzucił ręce i posapywał krągłolicy technik o przezwisku „Ziemiela” (niżej ziało pustką łóżko Priancykowa), z prawej zaś strony, tuż obok, miotał się bez snu Ruska Doronin, jeden z najmłodszych zeków szaraszki.

Teraz, gdy minął już jakiś czas od rozmowy w gabinecie Jakonowa, Nierzyn coraz jaśniej widział: wymówienie się od pracy w grupie kryptograficznej - to nie był wcale epizod z ankiety służbowej, tylko punkt zwrotny całego życia. Powinien był nastąpić po nim - i może już wkrótce - ciężki, długi przerzut etapem gdzieś na Sybir albo w głąb Arktyki. Miała to być droga do śmierci albo do zwycięstwa nad nią.

Chciał wmyślić się w ten moment przełomu. Czego dokonał w ciągu tych ulgowych trzech lat w szaraszce? Czy wystarczająco zahartował swój charakter przed nowym skokiem w otchłań?

I akurat tak wypadło, że jutro Gleb skończy trzydzieści jeden lat (naturalnie wcale nie miał ochoty wspominać przyjacielom o tej dacie). Czy to środek jego życiowej drogi? Czy może koniec już blisko? Czy to tylko początek?

Ale myśli się mąciły. Nie udawało mu się spojrzeć na rzecz z punktu widzenia

wieczności. Dawała znać o sobie słabość: Przecież jeszcze nie za późno wszystko naprawić, zgodzić się na tę kryptografię. To znów zgała pamięć krzywda - już od jedenastu miesięcy wciąż odkładają i odkładają mu widzenie z żoną, a czy dadzą właśnie teraz, przed odjazdem?

Ale też budził się w nim i podnosił głowę ten sam chwyt, który niegdyś zrodzić się musiał w dziecku stojącym w kolejkach po chleb za czasów pierwszej pięciolatki, a którego później hartowały warunki życia w tym kraju, a zwłaszcza już - obóz. Ten zaradny aliant wewnętrzny już obliczał sobie zwawo, jakie to czekają go kipsze - przy wyjściu z Marfina, podczas przyjęcia do Butyrek czy na Krasną Presnię - i jak schować w waciaku kawałki pokruszonego sztyftu do cyrkli, jakim sposobem zabrać ze sobą stary kombinezon (kto pracuje, ten rad by mieć siedem skór), jak dowieść, że aluminiowa łyżeczka do herbaty, noszona za pazuchą od chwili aresztu, jest własna, nie kradziona, nie z majątku szaraszki, gdzie były takie same?

I już świerbiło - żeby zaraz, choćby przy niebieskiej lampce - wstawać z łóżka i brać się za przygotowania, za pakowanie i za małe pogrzeby pamiątek.

Tymczasem Ruska Doronin raz po raz przewracał się na łóżku: to padał na brzuch, wciskając łeb w poduszkę aż po barki, naciągając koc i zdzierając go z nóg; później obracał się na wznak, zrzucał koc, tak że widać było całą białą poszwę i szarawe prześcieradło (przy okazji każdorazowej kąpieli w łaźni zmieniano jedno lub drugie, ale teraz, przed końcem roku, specwienie przekroczyło limit mydła i łaźni już dawno nie było). Usiadł nagle na łóżku i odsunął się razem z poduszką wstecz, ku żelaznej poręczy: na rogu materaca leżał z nim razem opasły tom Mommsena „Dzieje starożytnego Rzymu”. Widząc, że Nierżyn nie śpi i oczy wlepił w sinawą lampkę, Ruska chrapliwym szeptem poprosił:

- Gleb! Masz tam gdzie blisko papierosa? Daj.

Ruska zwykle nie palił. Nierżyn sięgnął do kieszeni kombinezonu, wiszącego u wezglowia, wyjął dwa papierosy i zapalili obaj.

Ruska palił w skupieniu, nie patrząc na Nierżyna. Twarz miał zmienną, raz była to twarzyczka naiwnego chłopca, kiedy indziej - twarz natchnionego łgarza; teraz pod strzechą ciemnopłowych włosów nawet w cmentarnym świetle niebieskiej lampki wydawała się pociągająca.

- Masz tu - Nierżyn podstawił mu pustą paczkę po „Bielomorach” zamiast popielniczki.

Obaj strząsnęli do niej popiół.

Ruska latem przybył do szaraszki. Spodobał się Nierzynowi bardzo: od pierwszej chwili budził chęć opieki nad sobą.

Ale okazało się, że Ruska, chociaż miał dopiero dwadzieścia trzy lata (a wrzepili mu dwadzieścia pięć lat obozu) wcale nie potrzebował opieki: zarówno charakter jego, jak i poglądy ukształtowały się całkowicie z biegiem krótkich, ale burzliwych lat, wśród galimatiasu wydarzeń i wrażeń - nie tyle w trakcie dwóch tygodni studiów na moskiewskim uniwersytecie ani dwóch tygodni na leningradzkim, ile podczas dwóch lat życia na podrabianych papierach, gdy rozesłano za nim listy gończe po całym państwie (zwierzył się z tego Glebowi w głębokim sekrecie) - a także podczas dwóch ostatnich lat spędzonych w więzieniu. Błyskawicznie, jak to powiadają - z marszu, przejął i przyswoił sobie wilcze prawa GUŁagu, zawsze miał się na baczności, tylko wobec nielicznych był szczery, wobec innych udawał młodzieńczą otwartość. Był zresztą pełen energii, starał się jak najwięcej zrobić w jak najkrótszym czasie - i książki były jedną z takich jego pasji.

Gleb, nierad ze swoich małosłownych i chaotycznych myśli, nie chciał teraz wcale spać i nie sądził, aby Ruska bardziej był senny od niego, spytał więc szeptem, bo cała izba pogrążona już była w ciszy:

- No? Jak tam teoria cyklów?

Teorię tę przedyskutowali niedawno i Ruska podjął się znaleźć dowody jej słuszności u Mommsena.

Ruska odwrócił się słysząc szept, ale wzrok miał nieprzytomny. Twarz marszczyła mu się, zwłaszcza czoło, rysował się na niej wysiłek zrozumienia treści pytania.

- Jak tam z teorią cyklów, powiadam?

Ruska westchnął głęboko: razem z westchnieniem opuściło go to napięcie i ten wyraz niepokoju, z jakim palił przed chwilą. Oklapł, oparł się ciężko na łokciu, rzucił zimny niedopałek do podsunętego mu pustego pudełka i powiedział niechętnie:

- Wszystkiego mam potąd. I książek. I teorii.

I znów zamilkli. Nierzyn chciał się już był obrócić na drugi bok, kiedy Ruska nagle uśmiechnął się i zaczął szeptać, zapalając się coraz to bardziej i mówiąc coraz szybciej:

- Historia tak jest nudna, że aż mdli przy czytaniu. Jak przy lekturze „Prawdy”. Im człowiek szlachetniejszy i uczciwszy, tym bardziej po chamsku postępują z nim rodacy. Spuriusz Kassjusz chciał, żeby plebs dostał ziemię - i właśnie plebs wydał go na śmierć. Spuriusz Manliusz chciał dać chleb głodującemu popółstwu - i został stracony, bo dążył

rzekomo do królewskiej korony. Marek Manliusz, dowódca, ten sam, którego obudziło gęganie sławetnych gęsi, dzięki czemu uratował Kapitol - dał w końcu głowę jako zdrajca stanu! Co?...

- Nie może być!

- Wystarczy zajrzeć do podręcznika historii - i zaraz człowiek ma ochotę samemu zostać draniem, to najlepszy interes! Wielkiego Hannibala, bez którego nie chcielibyśmy nawet słyszeć o Kartaginie - ta nędzna Kartagina wygnała, konfiskując mu cały dobytek i burząc jego dom! Wszystko już było... Już w tamtych czasach Gnejusza Newiusza zakuto w dyby, żeby odechciało mu się pisać odważne i bezkompromisowe sztuki. Już Etołczycy wymyślili fałszywą amnestię, żeby ściągnąć emigrantów do kraju i móc ich pozabijać. Już w Rzymie wykryto prawo, zapomniane dzisiaj w GUŁagu - że nie opłaca się niewolnika głodzić i że trzeba go karmić. Cała historia - to jedno wielkie kurewstwo! Jak złapiesz kogo za głowę - już masz pieczone gotowe. Nic w niej nie jest słuszne ani niesłuszne! I nie ma czego ludziom wskazywać! I nie ma żadnych celów!...

W martwym, sinym blasku osobliwie drażniący był grymas niewiary krzywiący te młode usta.

Do myśli takich doprowadził Ruśkę częściowo sam Nierzyn, ale teraz, gdy głosił je Ruska, budziły chęć protestu. Wśród swoich starszych kolegów Gleb lubił szargać świętości, ale poczuwał się do odpowiedzialności za młodszego wiekiem aresztanta.

- Chciałbym zwrócić ci uwagę - powiedział Nierzyn bardzo cicho, schyliwszy się do samego ucha swojego sąsiada - że wszystkie teorie sceptycyzmu czy tam agnostycyzmu albo pesymizmu, bez względu na to jak zmyślne i bezpardonowe - są, zrozum to wreszcie, już w samym założeniu skazane na bezpłodność. Nie mogą przecież wskazywać ludziom drogi do działania - bo ludzie nie mogą zatrzymać się w drodze, a zatem nie mogą też wyrzec się teorii utwierdzających ich w czymś, wskazujących im jakąś drogę.

- Choćby nawet w trzęsawiska? Aby tylko leżeć dokądś? - odparł Ruska ze złością.

- A choćby nawet... No, diabli wiedzą - zawahał się Gleb. - Zrozum, ja sam uważam, że sceptycyzm bardzo jest ludzkości potrzebny. Potrzebny jest, aby wbić klina w te zakute łby, żeby zatkać te fanatyczne gęby. Na rosyjskiej glebie jest szczególnie potrzebny, chociaż nadzwyczaj trudno go tu zaszczepić. Ale sceptycyzm nie może stać się twardym gruntem dla ludzkości. A jakiś grunt jest chyba potrzebny?

- Daj jeszcze szluga! - poprosił Rościsław. Zapalił: był cały w nerwach.

- Słuchaj, jak to dobrze, że MBP nie dało mi się uczyć - mówił gromkim, wyraźnym szeptem. - No, skończyłbym ten uniwersytet, nawet, powiedzmy, asystenturę i dalej kawał idioty. I zostałbym w końcu, przypuśćmy, uczonym, przypuśćmy, że nie jakimś sprzedajnym, choć trudno to założyć. Napisałbym jakiś gruby tom. Po raz osiemset trzeci poruszyłbym kwestię nowogrodzkich podatków albo wojny Cezara z Helwetami. Na świecie jest tyle kultur! języków! krajów! a w każdym kraju tylu mądrych ludzi i jeszcze więcej mądrych książek - jaki więc dureń to wszystko przeczyta? Jakiś to cytował? - „To, co jedni badacze z największym trudem wymyślą - inni, jeszcze wybitniejsi znawcy, uznają z czasem za iluzję”.

- Prawda?

- No i proszę - powiedział Nierzyn karcącym tonem - tracisz wszelki grunt pod nogami i wszelki cel sprzed oczu. Wątpliwości są dobre i potrzebne. Ale czy człowiek nie musi w końcu czegoś kochać?

- Tak, tak, kochać! - solennym, chrapliwym szeptem przerwał mu Ruska. - Kochać! - ale nie historię, nie teorię, tylko dziew-czy-nę! - Pochylił się nad leżącym obok Nierzynem i chwycił go za łokieć. - Aczegóż to nas właściwie pozbawiono, zastanów się! Prawa do siedzenia na zebraniach? Do podpisywania się na pożyczki? Jedyne, co nam Pachan mógł zrobić złego - to pozbawić nas kobiet! I to właśnie zrobił. Na dwadzieścia pięć lat! Sukinsyn! Kto sobie może wyobrazić - walnął się pięścią w pierś - czym jest kobieta dla więźnia?

- Ty... ty uważaj, żeby nie zwariować! - próbował bronić się Nierzyn, ale jego też przeniknęła fala nagłego gorąca, bo pomyślał o Simie i o jej obietnicy, że w poniedziałek wieczór... - Porzuć te myśli, zaćmią ci rozum. Wpędzą we freudowski kompleks czy simpleks albo jak tam to diabelstwo się zowie. I w ogóle - sublimacja. Przenieś całą tę energię w inne regiony! Zabierz się do filozofii - i nie trzeba ci będzie ani chleba, ani wody, ani ciepła kobiecego.

(Aż się wzdrygnął, wyobrażając sobie w szczegółach, co też to będzie pojutrze - i ta myśl, tak straszna i słodka, odebrała mu ochotę na dalszą rozmowę.) - Już mi rozum zaćmiło! Nie zasnę już tej nocy! Dziewczyna! Dziewczyna każdemu jest potrzebna! Żeby drżała, kiedy jej dotkniesz! Żeby... e, co tam!

- Ruska opuścił palącego się jeszcze papierosa na koc, ale nawet tego nie zauważył, odwrócił się raptem, z łomotem padł na brzuch i szarpnięciem naciągnął sobie koc na głowę, zrywając go z nóg.

Nierzyn ledwie zdążył schwycić i zgasić papierosa, staczającego się już między ich

łózkami w dół, na Potapowa.

Zachwalał filozofię Ruśce jako schronienie, ale sam w tym schronie już dawno był. Ruska ścigany był listami gończymi na całym terytorium Związku, teraz trzymało go w pazurach więzienie. Ale co trzymało w ryzach Gleba, kiedy miał siedemnaście czy dziewiętnaście lat i kiedy gorące szkwały biły w niego, precz zaćmiewając i porywając ze sobą rozsądek? - on zaś przemagał się, trzymał krótko samego siebie i swój prosięcy ryjek pchał a pchał w tę całą dialektykę, chrząkając i chłepcząc, pełen strachu, że nie zdąży. Wszystkie te swoje przedmażeńskie lata, swoją niepowrotną i straconą młodość, wspominał teraz w celi więziennej jako najgorszą część życia. Nie umiał dać sobie rady w chwilach tamtej zaćmy. Nie znał słów, którymi zjednać można kobietę, nie znał tonu, który skłania do ustępstw. Ponadto krępowała mu ręce wbijana do głowy od wieków troska o cześć niewieścią. I żadna bardziej doświadczona, mądra kobieta nie położyła mu nigdy miękkiej dłoni na ramieniu. Nie, była taka jedna, co go wołała, ale nie zrozumiał tego wtedy! dopiero na więziennej podłodze przyjrzał się tym wypadkom po kolei, i zrozumiał - zarówno tę straconą okazję, jak całe lata stracone, cały utracony świat - i czuł, jak rozpalony nóż go przebija.

Co tam, byle przeżyć te niecałe dwie doby, do poniedziałkowego wieczoru.

- Ruska! A masz ty kogoś? Kto ona?

- Tak! Mam! - wyszeptał z udręką Rościsław, leżąc krzyżem na zmiętej poduszce. Dyszał w nią - i gorący dech poduszki i cały żar młodości, tak podle i bezpłodnie marnującej się w więzieniu - wszystko to paliło bezustannie jego młode, rwące się do świata i nie znające świata ciało. Powiedział „mam” i już sam chciał uwierzyć, że ma swoją dziewczynę, a miał tylko coś nieuchwytnego - nie żaden pocałunek, nawet nie obietnicę: miał tylko tyle, że dziewczyna z wyrazem współczucia i zachwyty słuchała dziś wieczorem, jak opowiadał o sobie, i to spojrzenie kazało Ruśce pierwszy raz zobaczyć siebie samego jako bohatera, a swój życiorys - jako niezwykły. Nic jeszcze między nimi nie zaszło - i jednocześnie coś się przecież stało, coś, dzięki czemu mógł jednak powiedzieć, że ma dziewczynę.

- Ale kto to jest, powiedz - dopytywał się Gleb.

Spod ledwo uniesionego koca Ruska odparł w ciemnościach:

- Ćśśś... Klara...

- Klara?? Córka prokuratora?!

Dyrektor Departamentu Zadań Specjalnych kończył właśnie składanie raportu w gabinecie ministra Abakumowa. (Chodziło o uzgodnienie terminów i wytypowanie konkretnych wykonawców zabójstw, jakie miały być dokonane za granicą w nowym, 1950 roku; podstawowy zaś plan owych mordów politycznych zatwierdzony został przez samego Stalina jeszcze przed terminem urlopu.) Postawny (tym bardziej, że nosił buty na wysokich obcasach), z czarnymi, odrzuconymi z czoła włosami, w mundurze z dystynkcjami generalnego komisarza drugiego stopnia, Abakumow butnie rozpierał się na blacie swego potężnego biurka. Był dorodny, ale nie grzeszył tuszą (umiał dbać o linię i grywał nawet w tenisa). Oczywiście miał niegłupie: mieniła się w nich ruchliwie podejrzliwość i przenikliwość. Abakumow tu i ówdzie wtrącał swoje poprawki i dyrektor natychmiast je notował.

Gabinet Abakumowa nie był wprawdzie wielką salą, ale też nie przypominał zwykłego pokoju. Był tu nieczynny, marmurowy kominek i wysokie, stojące lustro. Plafon był wysoki, ze sztukateriami i z żyrandolem, wymalowany w kupi-dyny i nimfy ścigające się wzajem (minister pozwolił zostawić bez zmiany wszystkie kolory prócz zielonego, ten zaś kazał zastąpić innym, bo go nie znosił). Były tu drzwi na balkon, nie otwierane nigdy ani zimą, ani latem; były duże okna, wychodzące na plac, również zamknięte na głucho. Były także zegary - stojący, w okazałej szafce; kominkowy - z figurką i dworcowy, elektryczny, na ścianie. Zegary te wskazywały nie całkiem tę samą godzinę, ale Abakumow nigdy nie dawał się zwieść, bo miał jeszcze dwa złote zegarki przy sobie: jeden na włochatym przegubie, drugi w kieszonce, z budzikiem. W gmachu tym rozmiary gabinetów rosły proporcjonalnie do rang ich właścicieli. Rosły też biurka. Rosły stoły do posiedzeń, zasłane granatowym, purpurowym i malinowym sukniem. Ale najbujniej rosły portrety Inspiratora i Organizatora Zwycięstw. Nawet w gabinetach zwykłych oficerów śledczych wizerunek jego postaci przekraczał znacznie rozmiary naturalne, w gabinecie zaś Abakumowa Wódz Ludzkości odmalowany został przez malarza-realistę na płótnie pięciometrowej wysokości, w całej okazałości, od butów z cholewami po marszałkowską czapkę, w blasku wszystkich orderów (których nigdy nie nosił), otrzymanych po większej części z własnego nadania, częściowo zaś - od innych królów i prezydentów: tylko jugosłowiańskie odznaczenia uległy starannemu zamalowaniu na kolor frenceza.

Wszelako, czując jakby niedosyt w obliczu tego pięciometrowego wizerunku i pragnąc bezustannie pławić się w blasku obecności Najlepszego Przyjaciela Pracowników

Kontrwywiadu, nawet wtedy gdy trzeba było pochylić się nad blatem - Abakumow miał jeszcze na biurku płaskorzeźbę Stalina rżniętą w rodoni-cie.

Na innej jeszcze, pustej ścianie widniał kwadratowy portret słodkawego jegomościa w binoklach, któremu Abakumow podlegał bezpośrednio.

Po wyjściu dyrektora departamentu śmierci w drzwiach gabinetu pojawili się jeden za drugim i tak samo gęsiego przeszli po wzorzystym dywanie - wiceminister Seliwanowski, dyrektor Departamentu Techniki Specjalnej generał Oskołupow i naczelny inżynier tegoż departamentu, inżynier-pułkownik Jakonow. Pilnie przestrzegając etykiety służbowej i manifestując osobliwy szacunek wobec właściciela gabinetu - kroczyli, starając się nie zboczyć ani o krok ze środkowego szlaczka na dywanie, gęsiego, po indiańsku, trop w trop, ale tak, że słyhać było tylko stąpania Seliwanowskiego.

Ten chuderlawy starzec ze strzyżonymi na jeża włosami koloru pieprzu z solą, w szarym garniturze cywilnego kroju, zajmował wśród dziesięciu wiceministrów szczególną pozycję: uchodził jakby za nieliniowego. Seliwanowski nie kierował organami operacyjnymi czy śledczymi, tylko łącznością i technicznymi subtelnościami. Dlatego podczas narad i w komunikatach wewnętrznych omijał go najczęściej gniew ministra i teraz, w tym gabinecie czuł się mniej skrępowany, toteż zaraz siadł sobie na pulchnym skórzanym fotelu przed biurkiem.

Gdy Seliwanowski usiadł, ukazał się przed ministrem Oskołupow. Jakonow trzymał się za nim, wstydząc się jakby swojej okazałej postury.

Abakumow popatrzył na Oskołupowa, którego widział nie więcej niż trzy razy w życiu - i znalazł w nim coś sympatycznego. Oskołupow miał skłonność do tycia, szyja rozpierała mu kołnierz munduru, podbródek zaś, teraz służbiście wypięty, już mu trochę zwisał. Zgrubiała jego twarz, pokryta dziobami po ospie jeszcze gęściej **78** niż u samego Wodza, była twarzą prostego, rzetelnego wykonawcy rozkazów, nie zaś przemądrzałą gębą zarozumiałego inteligenta.

Zerknąwszy nad jego ramieniem na Jakonowa, Abakumow przymrużył oczy i zapytał:

- A tyś co za jeden?

- Ja? - Oskołupow zgiął się aż, zgnębiony że go nie poznano.

- Ja? - Jakonow przesunął się trochę w bok. Wciągnął, na ile mógł, swój przesadnie bezczelny brzuch, który rozrósł się nie bacząc na wszystkie jego wysiłki - a jego duże niebieskie oczy nie zdradzały żadnej myśli w chwili, gdy meldował swoje nazwisko.

- Ty, ty - sapnął potakująco minister. - Ty masz obiekt Marfino, co? Dobra, siadajcie.

Usiedli.

Minister wziął do ręki nóż do papieru zrobiony z rubinowego pleksiglasu, poskrobał się nim za uchem i powiedział:

- Ogólnie biorąc... ile czasu już mi głowę kręcicie? Dwa lata? A według planu, toście mieli piętnaście miesięcy, co? Kiedy będą gotowe chociaż dwa aparaty? - i dodał z groźbą w głosie: - Tylko mi tu nie łągać! Nie znoszę łągania!

Na to właśnie pytanie przygotowali się trzej dostojni łągarze, gdy dowiedzieli się, że wezwani zostali równocześnie. W ustalonej z góry kolejności zaczął Oskołupow. Wyrывая się jakby z własnych, podanych wstecz ramion i żarliwie patrząc prosto w oczy wszechmocnego ministra, Oskołupow oznajmił:

- Towarzyszu ministrze!... Towarzyszu generale-pułkownik! - (Abakumow wołał ten tytuł od zwrotu „towarzyszu komisarzu generalny”) - Raccie przyjąć zapewnienie, że kadry naszego departamentu nie będą żałować wysiłków...

Na twarzy Abakumowa odmalowało się zdziwienie:

- Co to? Czy to wiec, czy co? Co mi po waszych wysiłkach? Tyłek mam nimi podetrzeć, czy co? Pytam jasno - kiedy?

Ujął wieczne pióro ze złotą stalówką i podniósł je nad kalendarzem-agendą.

Wówczas - zgodnie z umową - zabrał głos Jakonow, już samym tonem i spokojnym brzmieniem dając do zrozumienia, że przemawia nie jako administrator, lecz jako specjalista:

- Towarzyszu ministrze! W paśmie częstotliwości do dwóch tysięcy czterystu herców włącznie, przy średnim poziomie nadawania zero całych dziewięć dziesiątych nepera...

- Herc, herc! Zero całych, herc dziesiątych - tylko tyle potraficie! Na cholerę mi te twoje zero całych? Dałbyś tu lepiej ze dwa aparaty! Kompletne! Więc kiedy? Co? - I każdemu z nich zajrzał kolejno w oczy.

Teraz włączył się Seliwanowski - spokojnie, gładząc jedną ręką swój popielato-siwy czub.

- Czy wolno wiedzieć naprzód, co macie na myśli, ministrze? Łączność dwustronna nie jest jeszcze wsparta absolutną szyfracją...

- W konia mnie robisz, czy co? Jak to - bez szyfracji? - minister wbił w niego bystre spojrzenie.

Przed piętnastu laty, gdy Abakumow nie tylko nie był ministrem, ale kiedy to się

jeszcze nie śniło nikomu - został zaś feldjegrem NKWD, jako chłop słusznego wzrostu - silny, długoręki i długonogi - wystarczało mu zupełnie jego dwuklasowe wykształcenie elementarne. Doksztalał się tylko w zakresie ju-jitsu, uznawał zaś ćwiczenia jedynie w salach „Dynamo”.

Gdy wyjaśniło się natomiast - już później, w epoce rozbudowy i odmładzania kadry oficerów śledczych - że Abakumow dobrze radzi sobie w tym zawodzie, zręcznie i dziarsko kując badanych w mordę tymi długimi rękoma - gdy zaczęła się jego wielka kariera i gdy w ciągu siedmiu lat został szefem kontrwywiadu SMIERSZ, teraz zaś nawet ministrem - okazało się równocześnie, że na tej niebosiężnej trasie ani razu nie dał mu się we znaki brak wykształcenia. Starczało mu tu, na górze, orientacji na tyle, by podwładni nie mogli go nabierać.

Abakumow już zaczynał się wściekać i podniósł nad blatem zaciśniętą pięść wielkości brukowca - gdy otwarły się wysokie odrzwia i bez pukania wszedł Michał Dmitriewicz Riumin - niziutki, okrągłutki cherubinek z sympatycznym rumieńcem na policzkach, którego całe ministerstwo nazywało Minka, rzadko jednak kto mówił mu tak prosto w oczy.

Szedł jak kot - bez szmeru. Podszedł, niewinnym, jasnym spojrzeniem obrzucił siedzących, uściśnął na przywitanie dłoń Seliwanowskiego (wiceminister podniósł się z krzesła), podszedł do węższego brzegu ministerskiego biurka, pochylił główkę i, lekko gładząc krawędź blatu, zamruczał głosem pełnym zadumy i troski:

- Ministrze, jeżeli mamy w ogóle podejmować się wykonania takich zadań, to trzeba je poruczyć Seliwanowskiemu. Bo niby za co im się płaci? Mieliby nie rozpoznać głosu, jak się im da taśmę nasłuchu? Toż lepiej rozpedzić ich wtedy na cztery wiatry!

I uśmiechnął się tak słodko, jakby częstował panienkę czekoladkami. I spojrzał na wszystkich trzech przedstawicieli departamentu.

Riumin sporo lat spędził jako człowiek zupełnie nic nie znaczący - był księgowym w spółdzielni spożywców w obwodzie archangielskim. Różowiutki, pulchny, o wargach cienkich i skrzywionych z pretensją, dręczył, jak tylko mógł, swoich rachmistrzów uszczypliwymi uwagami, ssał wciąż miętowe cukierki, częstował nimi ekspedytora, rozmawiał z kierowcami w tonach dyplomatycznych, z woźnicami - wyniośle. Nader starannie układał akta na biurku przewodniczącego.

Ale podczas wojny wzięto go do marynarki i przeszkolono na funkcjonariusza śledczego Wydziału Specjalnego. I tu właśnie Riumin znalazł swoje właściwe powołanie! - z

gorliwością i dobrym skutkiem (może właśnie do tego skoku sposobił się całe życie?) opanował on sztukę montowania spraw. Gorliwości może było trochę nadto - tak topornie sklecił materiały w sprawie pewnego korespondenta przydzielonego do Floty Północnej, że prokuratura - zwykle tak pokorna wobec Organów, nie wytrzymała i - ależ nie, wcale nie przecięła biegu sprawy! - tylko ośmieliła się zawiadomić Abakumowa. Mizerny śledczy ze SMIERSZa Floty Północnej wezwany został przed oblicze Abakumowa na mycie głowy. Nieśmiało wkroczył do gabinetu, gdzie miał zostać unicestwiony. Drzwi się zamknęły. Gdy otwarły się po godzinie, Riumin wyszedł z dumną miną i nominacją na starszego śledczego do spraw specjalnych w aparacie centralnym SMIERSZa. Od tej chwili jego gwiazda bezustannie szła w górę (na zgliszcza Abakumowa, ale nikt z nich jeszcze o tym nie wiedział).

- Bez tego też ich rozpędzę, kochany, możesz mi wierzyć. Taki popęd im dam, że gnaty sobie połamią! - odparł Abakumow i groźnie spojrzał na całą trójkę.

Wszyscy trzej opuścili ze skruchą oczy.

- Ale o co ci właściwie chodzi - też nie bardzo rozumiem. W jaki sposób można przez telefon rozpoznać kogoś, kogo się nie zna?

- Toć dam im taśmę, rozmowa jest nagrana. Niech ją puszcza w ruch, niech porównają.

- No, a czyś już kogo zatrzymał?

- A jakże - uśmiechnął się Riumin ze słodyczą. - Z punktu wzięto czterech koło metra „Sokolniki”.

Ale twarz jego przebiegł cień. Zdawał sobie w gruncie rzeczy sprawę, że tych czterech wzięto za późno, że to nie oni. Ale skoro już zostali wzięci - to nic mogli być zwolnieni, nie było takich zwyczajów. Zresztą może któregoś z nich trzeba będzie w końcu zaszeregować do tej sprawy, żeby nie nazywało się, że brak winowajcy. W przymilnym głosie Riumina dało się słyszeć rozdrażnienie:

- Ja im tu zaraz pół Ministerstwa Spraw Zagranicznych nagram, bardzo proszę. Ale to zbędne. Trzeba szukać wśród tych pięciu-siedmiu, nie więcej, co mogli znać tę sprawę.

- To wyaresztuj ich wszystkich, sukinsynów, po co to zawracanie głowy? - oburzył się Abakumow. - Siedmiu facetów! Rosja jest duża, nie zbiedniejemy!

- Nie da rady, ministrze - rozważnie wtrącił Riumin - MSZ to nie przemysł spożywczy, w ten sposób można wszystkie nasze nitki pozrywać; jak się dowiedzą w naszych ambasadach, zaraz paru facetów poda tyły. Tu trzeba dokładnie wiedzieć - kto? I to jak

najszybciej.

- Hmmm - zamyślił się Abakumow. - Jakoś nie rozumiem - co tu z czym trzeba porównywać?

- Taśmę z taśmą.

- Taśmę z taśmą?... Kiedyś przecież trzeba tę technikę opanować. Seliwanowski, dacie radę?

- Jeszcze nie całkiem rozumiem, o co chodzi.

- A co tu jest do rozumienia? Tyle co nic. Jakiś drań, gadzina jakaś, z pewnością dyplomata, boby inaczej nie mógł znać sprawy, dziś przed wieczorem zadzwonił z automatu do amerykańskiej ambasady i sygnął naszych agentów w Stanach. Chodzi o bombę atomową. A teraz - zgadnij, kto taki, a będziesz cacy.

Seliwanowski ominął wzrokiem Oskołupowa i spojrzał na Jakonowa. Jakonow lekko podniósł brwi, prostując jakby ich łuki. Chciał przez to powiedzieć, że sprawa jest nowa, że metodyki brak, doświadczenia - także, a kłopotów mają dosyć i bez tego, że w ogóle nie warto się podejmować. Seliwanowski miał dość bystrości, aby zrozumieć i ten ruch brwi, i całą sytuację. Już był więc gotów skomplikować tę prostą sprawę w sposób możliwie największy.

Ale Foma Gurianowicz Oskołupow myślał przez ten czas na własny rachunek. Wcale nie chciał na swoim dyrektorskim stanowisku być tylko pałą w cudzym ręku. Od czasu, gdy otrzymał tę nominację, nabrał poczucia godności i sam wierzył już niezachwianie, że opanował wszystkie problemy i że potrafi orientować się w nich nie gorzej niż inni - bo inaczej by przecież nie został na to stanowisko powołany. I chociaż swego czasu nie skończył nawet siedmiolatki, to dziś w ogóle nie pozwalał sobie na przypuszczenie, że ktokolwiek z podwładnych mógłby znać się na rzeczy lepiej niż on - chyba w jakichś tam drobiazgach albo w schematach, które wymagają po prostu skrupulatności. Niedawno był w pewnym pierwszorzędym sanatorium, w cywilu, bez munduru i przedstawiał się jako profesor elektroniki. Poznał tam pewnego bardzo znanego pisarza, Kazakiewicza, który formalnie oka nie spuszczał z Fomy Gurianowicza, wciąż coś notował w brulionie i twierdził, że obierze go za prototyp postaci współczesnego uczonego w swoim nowym dziele. Po tej kuracji Foma ostatecznie poczuł się uczonym.

I oto teraz z punktu zorientował się, o co chodzi, i ruszył z kopyta:

- Towarzyszu ministrze! To da się zrobić!

Seliwanowski obejrzał się ze zdziwieniem:

- Na jakim obiekcie? W jakim laboratorium?

- A na telefonicznym, w Marfinie. Przecież mówiono przez telefon. No więc?

- Ale Marfino zajęte jest znacznie ważniejszymi zadaniami.

- Nie szkodzi! Znajdą się ludzie! Trzystu chłopów tam mamy - co, może nie znajdziemy?

I wbił w twarz ministra wzrok pełen służbistego oddania.

A Abakumow, nie to żeby się uśmiechnął, ale na jego twarzy zjawił się wyraz pewnej sympatii do generała. Taki właśnie był sam Abakumow, kiedy szedł w górę - ślepo gotowy pokrajać na sieczkę każdego, kogo mu zwierzchność wskaże. Zawsze miły jest widok kogoś młodszego, kto cię przypomina.

- O, to jest zuch! - pochwalił go. - Tak właśnie trzeba! Przede wszystkim interes państwa, a dopiero potem wszystko inne. Prawda?

- Tak jest, towarzyszu ministrze! Tak jest, towarzyszu generale!

Riumin nie wydawał się wcale zdziwiony i ofiarność dziobatego generała-majora nie zrobiła na nim pozornie żadnego wrażenia. Popatrzył pobieżnie na Seliwanowskiego i powiedział:

- No to rano wam to przywiozą.

Porozumiał się wzrokiem z Abakumowem i wyszedł bez szmeru. Minister podłubał palcem w zębach: utkwilo mu tam mięso z kolacji.

- No więc kiedy? Zwodzą mnie i zwodzą - to że na pierwszego sierpnia, to na rocznicę rewolucji, to na nowy rok - a teraz?

I wlepił wzrok w Jakonowa, zmuszając właśnie jego do odpowiedzi.

Jakonow poczuł coś w rodzaju ucisku w okolicach szyi. Pokręcił nią lekko w lewo, potem w prawo. Spojrzał na ministra swoimi chłodnymi, niebieskimi oczyma - i zaraz je opuścił.

Jakonow uważał się za człowieka naprawdę utalentowanego. Wiedział też, że ludzie jeszcze bardziej utalentowani, dobre głowy, nie zaprzątnięte przy tym niczym innym prócz tej roboty, po czternaście godzin dziennie, bez jednego wolnego dnia w roku ślęczą nad tym przeklętym wynalazkiem. I nieprzezorni, szczodrzy Amerykanie, publikujący swoje odkrycia w czasopiśmie, mają swój udział w konstruowaniu tego urządzenia. Jakonow znał także tysiączne trudności, już przewyciężone i dopiero rosnące, wśród których jego inżynierowie

przemykali się jak pływacy wśród raf. Owszem, za sześć dni mijał najostateczniejszy z ostatnich terminów, wyżebrany u tej sztuki mięsa przyobleczonej w mundur. Ale też zebrać i wyznaczać bzdurne terminy trzeba było tylko dlatego, że tę pracę, wymagającą lat najmniej dziesięciu, Koryfeusz Wszech nauk zaraz na początku rozkazał wykonać w ciągu jednego roku.

Tam, w gabinecie Seliwanowskiego ustalili wspólnie, że będą prosić jeszcze o dziesięć dni zwłoki, że obiecują dostarczyć dwa pierwsze aparaty na dziesiątego stycznia. Tego domagał się wiceminister. Tego chciał Oskołupow. Liczyli na to, że przyniosą tu rzecz niedopracowaną, ale świeżo malowaną. Absolutnej, czy też nieabsolutnej ścisłości szyfrowania nikt teraz nie zechce i nie potrafi sprawdzać - zanim zaś poddadzą próbom zasadniczą wartość projektu i zanim dojdzie do seryjnej produkcji, póki też rozwiozą te aparaty do naszych ambasad za granicą - minie jeszcze pół roku i będzie czas na ulepszenie mechanizmu szyfrowania czy jakości dźwięku.

Ale Jakonow wiedział, że przedmioty martwe nie liczą się z ludzkimi terminami i że dziesiątego stycznia też będzie z aparatu rozlegać się nie ludzki głos, tylko sieczka. I że z Jakonowem zajdzie nieuchronnie ten sam wypadek, co z Mamuri-nem: Gospodarz wezwie Berię i spyta: co za dureń robił tę maszynę? *Zabierz go*. I Jakonow też zostanie - w najlepszym wypadku - Żelazną Maską, a może nawet znów zwyczajnym zekiem.

I czując, jak nieubłaganie zaciska się pętla na jego szyi, Jakonow pokonał upokarzający lęk - i z tą samą bezwiednością, z jaką człowiek wciąga powietrze do płuc, powiedział chrapliwie:

- Jeszcze miesiąc! Jeszcze jeden miesiąc! Do pierwszego lutego!

I błagalnie, prawie po psiemu spojrzał ministrowi w oczy.

Ludzie utalentowani są często niesprawiedliwi wobec bliźnich. Abakumow był rozumniejszy, niż to sobie Jakonow wyobrażał, tyle że rozum - wskutek długiego nieużywania - przestał mu być potrzebny: cała jego kariera tak się składała, że myślenie prowadziło go do klęsk, natomiast ślepe posłuszeństwo zapewniało sukcesy. I Abakumow starał się jak najrzadziej robić użytek z własnej głowy.

W głębi duszy mógł zdawać sobie sprawę, że nie pomoże sześć dni i nie pomoże miesiąc tam, gdzie nie pomogły dwa lata. Ale w jego oczach wina była po stronie tej trójki łgarzy, to oni sami sobie byli winni - ten Seliwanowski, Oskołupow i Jakonow. Jeżeli to zadanie takie trudne, to dlaczego - podejmując się go dwadzieścia trzy miesiące temu -

zgodzili się na roczny termin? Dlaczego nie zażądali trzech lat? (Już zdążył zapomnieć, jak bezlitośnie sam ich wtedy popędzał). Gdyby wtedy się przed nim uparli, on sam z kolei uparłby się przed Stalinem, dwa lata udałoby się wytargować, a jeszcze jeden rok - jakoś zmitrężyć.

Ale odruch strachu, ukształtowany w nich przez długoletnią dyscyplinę, był tak potężny, że żadnemu z nich, ani wówczas, ani teraz nie starczyło odwagi, aby bronić swego zdania wbrew zwierzchności.

Sam Abakumow trzymał się znanego, ordynarnego powiedzonka, że trzeba mieć zawsze coś pod pasem na zapas - i zawsze dodawał parę miesięcy referując terminy prac. Tak było też tym razem: Josif Wissarionowicz miał obiecać, że jeden aparat będzie stał przed nim pierwszego marca. Ostatecznie więc można było pofolgować im i dodać jeszcze miesiąc - ale żeby to był naprawdę tylko miesiąc.

I biorąc znowu wieczne pióro, Abakumow spytał całkiem po prostu:

- Co to znaczy - miesiąc? Miesiąc - po ludzku, czy znowu łżecie?

- Na. pewno! Na pewno! - Oskołupow, uradowany ze szczęśliwego obrotu sprawy, tak promieniał, że mogło się zdawać, iż prosto z gabinetu rzuci się do Marfina, aby tam własnoręcznie brać się za kolbę lutowniczą.

Abakumow skrzywnął piórem i zanotował w biurkowym kalendarzu:

- No więc. Na rocznicę śmierci Lenina. Wszyscy dostaniecie po nagrodzie stalinowskiej. Seliwanowski - mur?

- Mur! Mur!

- Oskołupow! Bo łeb ukręcę! Mur?

- Ależ towarzyszu komisarzu generalny, tam przecież zostało całej parady...

_ A - ty? Wiesz, czym ryzykujesz? Będzie, czy nie?

Dobytując z siebie resztkę odwagi, Jakonow raz jeszcze się upomniał:

- Miesiąc! Do pierwszego lutego!

- A jeżeli na pierwszego nie zdążycie? Pułkowniku! Radzę się zastanowić! Cyganisz!

Oczywiście, Jakonow cyganił. I - rzecz jasna - trzeba było prosić o dwa miesiące. Ale już klamka zapadła.

- Zdążymy, towarzyszu komisarzu generalny - obiecał smętnym głosem.

- No, uważaj tylko, ja cię nie ciągnąłem za język! Wszystko mogę wybaczyć, prócz oszustwa! Idźcie już.

Z wyrazem ulgi, gęsiego, tak jak przyszli, trop w trop, wyszli z gabinetu, skromnie opuszczając wzrok przed obliczem pięciometrowego Stalina.

Ale cieszyli się przedwcześnie. Nie wiedzieli wcale, że minister zastawił już na nich pułapkę.

Ledwie ich wyprowadzono, minister odebrał meldunek:

- Inżynier Priancykow już doprowadzony!

17

Na rozkaz Abakumowa tej nocy najsampierw Seliwanowski wezwał Jakonowa, później zaś, już w tajemnicy przed nimi, do obiektu Marfino wysłano dwa telefonogramy: wzywano do ministerstwa zeka Bobynina, a potem jeszcze zeka Priancyko-wa. Bobynina i Priancykowa wsadzono do dwóch oddzielnych samochodów i kazano im czekać w dwóch rozmaitych pokojach, by zapobiec jakiejś zmowie. Ale Priancykow chyba w ogóle nie był zdolny do spiskowania, a to z uwagi na swoją nadprzyrodzoną wprost szczerłość, którą trzeźwe dzieci epoki uważały za brak piątej klepki. W szaraszce nazywano to „przeskokiem fazy u Walentuli”. Tym bardziej teraz nie był on zdolny do udziału w jakiegokolwiek zmowie ani w ogóle do żadnych działań świadomych. Całą duszę rozkołysały mu dopiero co oglądane widoki Moskwy, migające raz po raz za szybami „Pobiedy”. Po połaci przedmiejskich mroków, otaczającej żonę Marfina, tym bardziej uderzał ten wjazd na lśniącą, szeroką szosę, wiodącą ku wesołemu chaosowi placu dworcowego i dalej - ku neonowym witrynom Sretienki. Priancykow zapomniał o kierowcy i o dwóch konwojujących go tajniakach - zdawało mu się, że nie powietrze wdycha i wydycha, lecz żywy ogień. Nie mógł oderwać się od szyby. Nigdy jeszcze nie wieziono go przez Moskwę za dnia, wieczornej zaś Moskwy nie oglądał jeszcze żaden więzień, jak szaraszka szaraszka!

Przed Bramą Sretieńską samochód zatrzymał się: ludzie tłumnie wychodzili z kina, potem zapaliło się jeszcze czerwone światło na jakimś przejściu.

Wszystkim tym milionom więźniów wydawało się, że życie na wolności stanęło w miejscu pod ich nieobecność, że mężczyzn w ogóle nie ma, że samotne kobiety posypały głowy popiołem z nadmiaru nie dzielonej z nikim, nikomu niepotrzebnej miłości. A tu przewalał się syty, ożywiony tłum stołeczny, migaly kapelusze, woalki, srebrne lisy - i Walenty czuł wszystkimi rozedrganymi zmysłami, jak przez szczelne blachy samochodu smagają go raz po raz perfumy przechodzących kobiet. Chłonał słuchem śmiech, niewyraźny gwar, strzępy zdań. Walenty miał ochotę rozbić choćby własnym łbem nietłukącą się szybę z

masy plastycznej i krzyknąć tym kobietom, że jest młody, że się dręczy, że siedzi nie wiadomo za co. Po klasztornej klauzurze szaraszki to była jakaś feeria, część tego wytwornego życia, z którego nic dotąd nie udało mu się uszczknąć, bo studencka bieda, bo niewola, bo więzienie.

Siedząc już w poczekalni Priancykow nie widział wcale, stojących tam krzesel i stołów, przepelniające go uczucia i wrażenia nie chciały mu dać spokoju.

Jakiś młody, wyglansowany podpułkownik kazał mu iść za sobą. Priancykow - ze swoją chudziutką szyją, cienkimi przegubami rąk, wąskimi barkami i długimi nogami - nigdy jeszcze nie zdawał się tak szczupły i wąły, jak w tym ogromnym gabinecie, na progu którego zostawił go adiutant.

Priancykow nie zorientował się nawet, że to gabinet (tak był duży) i że para złotych epoletów w odległym końcu sali - to gospodarz gabinetu. Pięciometrowego Stalina za swoimi plecami też nie zauważył. Przed jego oczyma wciąż jeszcze kroczyły piękności moskiewskiej nocy i wirowała wieczorna Moskwa. Walenty czuł się jak po wódce. Trudno mu było pojąć, skąd wziął się w tej sali, co to w ogóle za sala. Nie zdziwiłby się wcale, gdyby weszły tu wystrojone damy i gdyby zaczęły się tańce. Jeszcze dziwniejsza była myśl, że w jakiejś półokrągłej izbie, pod mżeniem niebieskiej lampki - chociaż pięć lat już minęło od końca wojny - stoi jego nie dopita szklanka zimnej herbaty.

Nogi sunęły po dywanie, szczerze tu rozścielonym. Dywan był miękki, puszysty, człowiek chciałby się po nim po prostu tarzać. Z prawej strony rząd ogromnych okien, z lewej od sufitu do samej podłogi ogromne lustro.

Frajerzy niczego nie potrafią docenić! Dla zeka, korzystającego - i to nie zawsze - z lichego lusterka mieszczącego się w dłoni - zobaczyć się w dużym zwierciadle - to całe święto.

Priancykow zatrzymał się przed lustrem jak wryty. Podszedł do niego bardzo blisko, z satysfakcją przyglądając się swojej czystej, świeżej twarzy. Poprawił krawat i kołnierzyk niebieskiej koszuli. Potem zaczął stopniowo się cofać, wciąż wpatrując się we własne odbicie - z przodu, z ukosa, z profilu. Podreptał w miejscu, wykonał półtaneczne pas, znów podszedł do lustra i przyjrzał się sobie z bliska. Doszedłszy do wniosku, że - nie bacząc na granatowy kombinezon - jest całkiem przystojny i elegancki, co wprawiło go w znakomity nastrój, ruszył dalej nie dlatego, że oczekiwała go tu ważna rozmowa (Priancykow zupełnie o tym zapomniał), ale po prostu dlatego, że chciał kontynuować zwiedzanie.

Ten zaś, który na przestrzeni jednej połowy globu mógł każdego wsadzić do więzienia, a na drugiej jego połowie - każdego zamordować, wszechwładny minister, na widok którego bledli generałowie i marszałkowie, patrzył teraz z ciekawością na tego chudego, granatowego zeka. Wyaresztował i skazał miliony ludzi, ale dawno już nie widział ich z bliska.

Spacerowym kroczkiem Priancykow podszedł bliżej i spojrział na ministra z takim zdziwieniem, jakby wcale nie spodziewał się go tu ujrzeć.

- To wy jesteście inżynier... - Abakumow zajrzał dla pewności do notatek...

- Priancykow?

- A tak - niedbale potwierdził Walenty - owszem.

- Jesteście naczelnym inżynierem zespołu... - znów zajrzał do notatek - ... aparatu sztucznej mowy?

- Jakiego znów aparatu sztucznej mowy! - zachnął się Priancykow. - Co za bzdura! U nas nikt tej nazwy nie używa. Przewali go tak w ramach walki z czołobitnością wobec zachodu. Wo-koder. *Voice coder*.

- Ale to wy jesteście głównym inżynierem?

- To swoją drogą. A o co chodzi? - Priancykow zaniepokoił się.

- Proszę siadać.

Priancykow usiadł z ochotą, zręcznie podciągając zaprasowane nogawki swojego kombinezonu.

- Proszę rozmawiać ze mną zupełnie szczerze, nie lękając się żadnych represji ze strony bezpośrednich zwierzchników. Kiedy będzie gotów ten wokoder? Tylko szczerze! Za miesiąc? Ale może jednak potrzeba ze d w a miesiące? Mówcie bez żadnych obaw.

- Wokoder? Gotowy? Cha-cha-cha! - Priancykow roześmiał się dźwięcznym, młodzieńczym śmiechem, jaki nigdy wśród tych ścian się nie rozlegał, opadł plecami na miękkie, skórzane oparcie i klasnął w dłonie.

- Co też panu do głowy?... Co pan?! Pan widać po prostu nie rozumie, co to takiego wokoder! Zaraz to panu wyjaśnię!

Zerwał się sprężysto z wyściełanego fotela i rzucił się do biurka Abakumowa.

- Ma pan tu kawałek papieru? O, jest! - wyrwał arkusz z czystego bloku leżącego na biurku ministra, chwycił jego pióro koloru świeżego mięsa i żwawo, choć byle jak, zaczął rysować splot sinusoid.

Abakumow wcale się nie przestraszył: tyle dziecinnej otwartości i bezpośredniości było w głosie i we wszystkich ruchach tego dziwnego inżyniera, że spokojnie zniósł ten napór i z ciekawością patrzył na Priancykowa, wcale go nie słuchając.

- Trzeba panu wiedzieć, że na ludzki głos składa się kilka szeregów harmoniczych - mówił Priancykow, zachłystując się prawie chęcią powiedzenia wszystkiego i to jak najprędzej. - Pomysł wokodera sprowadza się więc do sztucznej reprodukcji głosu ludzkiego... Co, u licha! Jak pan może pisać takim nędznym piórem?... reprodukcji drogą symulowania - jeśli nie wszystkich, to przynajmniej zasadniczych - składników harmoniczych; każdy z nich może być wysyłany przez osobny nadajnik impulsów. No, układ współrzędnych Kartezjusza jest panu, rzecz jasna, znany, to każdy uczeń wie, ale czy zna pan szeregi Fouriera?

- Chwileczkę - otrząsnął się Abakumow - proszę powiedzieć mi tylko to jedno: kiedy to będzie gotowe? Kiedy będzie skończone?

- Gotowe? Hmm... Nad tym się jeszcze nie zastanawiałem.

Euforia, w jaką wprowadził Priancykowa widok stołecznego wieczoru, przeszła już, drogą bezwładu w nastrój towarzyszący zwykle ulubionemu jego zajęciu, toteż trudno mu było się teraz zatrzymać. - Najciekawsze, że sprawa znacznie się ułatwia, kiedy się idzie na celowe obniżenie rejestrów głosowych. Przy niskich tembrach ilość składników...

- Dobra, ale jaki termin? Na kiedy? Na pierwszego marca? Na pierwszego kwietnia?

- Oj, co też pan mówi! Kwietnia?... Bez kryptografów będziemy gotowi za... no, za cztery miesiące, za cztery, za pięć, nie wcześniej. A ile trzeba dodać na szyfrację i deszyfrację impulsów? Przecież przy tych operacjach jakość jeszcze bardziej się obniży! Ale po co bawić się w prorocstwa! - przekonywał Abakumowa ciągnąc go za rękaw. - Zaraz panu wyjaśnię. Sam pan wszystko zrozumie i na pewno się zgodzi, że właśnie dla dobra sprawy nie wolno się spieszyć!

Ale Abakumow, zastygłym wzrokiem wpatrując się w bezmyślną plątaninę krzywych linii na wykresie, już zdążył nacisnąć guzik na biurku.

Zjawił się ten sam wyglansowany podpułkownik i poprowadził Priancykowa w stronę drzwi.

Priancykow szedł bez oporu, zaskoczony, z półotwartymi ustami. Najbardziej przygnębiło go to, że nie dopowiedział swojej myśli do końca. Później, już idąc ku drzwiom, cały stężał, zrozumiałwszy, z kim właściwie dzisiaj mówił, i przypomniał sobie, że koledzy

prosili go, aby się poskarżył, żeby czegoś zażądał... Obrócił się więc na pięcie i chciał ruszyć w stronę biurka:

- Aha! Niech pan posłucha! Zupełnie zapomniałem, że...

Ale podpułkownik zagroził mu drogę i jął wypychać za drzwi, dygnitarz zaś przy biurku ani myślał słuchać - i w tej oto chwili zamieszania z pamięci Priancykowa - dawno już zapełnionej do ostatka schematami radiotechnicznymi - ulotniły się, jak na złość, wszystkie bezprawia, wszystkie więzienne dolegliwości; jedno sobie tylko przypomniał i krzyknął w drzwiach:

- Bo na przykład ten wrzątek! Wraca człowiek późno wieczorem z pracy - a gdzie wrzątek! Nawet herbaty nie można się napić!...

- Sprawa wrzątku? - zapytał ten dygnitarz, pewno jakiś generał. - Dobra. Zajmiemy się tym.

18

W takim samym granatowym kombinezonie, ale rosły, rudy, z ogoloną katorżniczą głową wszedł z kolei Bobynin. Okazał właśnie tyle uwagi wspaniałościom tego gabinetu, jakby tu bywał sto razy dziennie, podszedł do fotela nigdzie się nie zatrzymując i usiadł, nawet się nie witając. Wybrał sobie jeden z głębokich foteli, stojących nie opodal ministerskiego biurka i wysmarkał się gruntownie w chustkę - nie najbielszą, wypraną własnoręcznie podczas ostatniej bytności w łaźni.

Abakumow, trochę zdezorientowany po wizycie Priancykowa i nie traktujący całkiem serio niepoważnego młodzieńca, był teraz zadowolony, Bobynin miał bowiem wygląd bardzo solidny. Nie krzyknął też po prostu „wstać!”, ale sądząc, że wezwany nie wyznaje się na dystynkcjach wojskowych i nie wie, dokąd trafił po przebyciu całej amfilady komnat - zapytał nieomal życzliwie: - A dlaczego to siadacie bez pozwolenia?

Bobynin zerknął od niechcienia na ministra kończąc jeszcze manewry z chustką i odparł całkiem po prostu:

- A bo, widzicie, istnieje takie chińskie przysłowie: stać jest lepiej niżli chodzić, siedzieć - lepiej niżli stać, a najlepiej to już leżeć.

- A czy zdajecie sobie sprawę, z kim macie do czynienia?

Wygodnie rozpierając się na fotelu Bobynin przyjrzał się teraz ministrowi i dał wyraz leniwemu domysłowi:

- Bo ja wiem - z kim? Chyba z kimś w rodzaju marszałka Goeringa?

- W c z y i m rodzaju?

- Marszałka Goeringa. Zwiedzał on kiedyś fabrykę samolotów koło Halle, gdzie musiałem pracować. Tamtejsi generałowie skakali przed nim na paluszkach, a ja tam nawet się nie obejrzałem na niego. Postał sobie, popatrzył i poszedł dalej.

Twarz Abakumowa przebiegł grymas spokrewniony z uśmiechem, ale zaraz oczy mu spochmurniały: aresztant był nadto już bezczelny. Mrugnął z napięcia i spytał:

- Więc niby jak? Nie widzicie różnicy między nami?

- Między wami? Czy między nami?- głos Bobynina dudnił jak kute żelazo.

- Różnicę między nami widzę doskonale: ja jestem wam potrzebny, a wy mnie - wcale!

Abakumow miał głos, co się zowie, piorunowy i potrafił nim napędzić strachu niejednemu. Ale czuł teraz, że krzyk byłby tutaj czymś bezradnym i niesolidnym. Zrozumiał, że to t r u d n y więzień.

Więc tylko zagroził:

- Słuchajcie, no! Ja tu z wami łagodnie, ale wy się lepiej nie zapominajcie...

- Gdybyście próbowali ze mną po chamsku, to bym nawet nie odezwał się do was, obywatelu ministrze. Krzyczcie sobie na swoich pułkowników i generałów, oni za dużo mają z życia, im tego wszystkiego za bardzo żal!

- Jak będzie trzeba - to was też potrafimy zmusić.

- Omyłka, ministrze! - w ostrym spojrzeniu Bobynina błysnęła nienawiść. - Ja już nie mam niczego, rozumiecie - niczego nie mam! Do mojej żony i do mojego dziecka już się nie dobierzecie - zabrała je bomba. Moi rodzice - już zmarli. Cały mój majątek na tym świecie - to chustka do nosa, a ten kombinezon i ta bielizna bez guzików, co pod nim (szarpnął odzież na piersi i obnażył ją) - to państwowe. Wolność dawnoście mi zabrali, a zwrócić mi jej nie możecie, bo wam samym jej brak. Mam czterdzieści dwa lata, od was dostałem dwadzieścia pięć odsiadki, na katordze już byłem, numer nosiłem, i kajdanki znam, i pieski strażnicze, i brygadę karną - czym jeszcze możecie mi zagrozić? Czego jeszcze pozbawić? Inżynierskiej roboty? Sami więcej przez to stracie... Zapaliłbym sobie.

Abakumow otworzył pudełko papierosów „Trojka” specjalnego gatunku i podsunął je w stronę Bobynina. - Proszę, weźcie sobie.

- Dziękuję. Nie zmieniam marki. Kaszel. - I wyłuskał „Biełomora” z papierošnicy własnej roboty. - A w ogóle, to zrozumcie nareszcie - i powiedzcie tam wyżej komu należy,

że jesteście mocni tylko o tyle, o ile zabieracie ludziom nie wszystko. Człowiek, któremu zabraliście w s z y s t k o, już wam nie podlega, już znowu jest wolny.

Bobynin zamilkł i skoncentrował się na paleniu. Miał satysfakcję z tego, że rozdrażnił ministra, i miło mu było wylegiwać się na takim wygodnym fotelu. Żałował tylko, że dla efektu wyrzekł się wytwornych papierosów.

Minister zajrzał do papierka.

- Inżynierze Bobynin! Jesteście naczelnym inżynierem zespołu klippingowego?

- Tak.

- Proszę, abyście określili mi jak najdokładniej termin, w którym wasz aparat gotów będzie do eksploatacji.

Bobynin podniósł gęste, ciemne brwi.

- Co to za nowa moda? To już nie znalazł się nikt ważniejszy ode mnie, żeby wam to powiedzieć?

- Chcę wiedzieć właśnie z waszych ust. Będzie gotowe w lutym?

- W lutym? Kpicie, czy co? Jeżeli tylko dla sprawozdawczości, żeby się nazywało, ale żeby lepiej nie tykać - no, jak dobrze pójdzie... za jakieś pół roku. Ale ze stuprocentową szyfracją? Nie mam pojęcia. Może za jakiś rok.

Abakumow był ogłuszony. Stało mu przed oczyma gniewne i niecierpliwe drgnięcie wąsów Gospodarza - i zgroza go zdjęła na myśl o tych obietnicach, które mu dał, opierając się na słowach Seliwanowskiego. Wszystko w nim się zapadło, jak u człowieka, który przyszedł wykurować się od chrypki i dowiedział się, że ma raka krtani.

Minister podparł głowę oburącz i powiedział przez ściśnięte gardło:

- Bobynin! Proszę, abyście dobrze zważyli, co mówicie. Jeżeli da się jednak szybciej, to powiedzcie, co trzeba zrobić w tym celu?

- Szybciej? Nie da rady.

- Ale dlaczego? Z jakiej przyczyny? Kto winien? Powiedzcie, nie bójcie się! Wymieńcie mi tu winnych, mniejsza, co tam mają na epoletach! Ja z nich te epolety pozrywam!

Bobynin odrzucił głowę wstecz, wpatrując się w plafon, na którym igrały nimfy opiekuńcze towarzystwa asekuracyjnego „Rosja”.

- Przecież to zanosi się na półtrzecia roku, może na trzy lata! - pieniał się minister. - A wam dano roczny termin!

Bobynin już nie wytrzymał.

- Co to znaczy - dano t e r m i n? Jak wy sobie wyobrażacie naukę: Złota rybko, płyn tu szybko, zbuduj mi, rybko kochana, pałac do jutra rana? A jeśli problem w ogóle źle jest postawiony? A jeśli pojawią się całkiem nowe zjawiska? Dano wam termin! A przychodzi wam czasem do głowy, że prócz rozkazów potrzebni są jeszcze spokojni, syci, wolni ludzie? I bez tej całej atmosfery podejrzeń?! Dopiero co przenosiliśmy z miejsca na miejsce taką niedużą tokarenkę - i nie wiadomo, czy w trakcie tego, czy może już w innych rękach - pękł jeden wspornik. Diabli wiedzą, dlaczego pękł! Żeby ją naprawić - wystarczy spawaczowi godzina czasu. Zresztą, sama tokarka - już do dupy, może mieć ze sto pięćdziesiąt lat, bez silnika, napęd otwarty, na skórzany pas! Ale przez to pęknięcie wasz operacyjny, major Szykin, dwa tygodnie już wszystkich nęka, bada, szuka, węszy - komu by tu wrzepić drugi wyrok - za sabotaż. Przy pracy jeden taki o p e r-darmozjad, w więzieniu też jeszcze jeden o p e r-darmozjad, nerwy tylko ludziom szarpia, wciąż jakieś protokoły, jakieś kruczki - a na diabła ta cała opera? Wszyscy przecież gadają, że pracujemy nad tajnym systemem telefonicznym dla Stalina, że sam Stalin tu pili - i nawet na takim odcinku nie potraficie zapewnić robocie technicznego zaplecza, zaopatrzyć jak należy - to brak potrzebnych kondensatorów, to lampy radiowe nie takie jak trzeba, to znów za mało elektronicznych oscylografów. Mizeria! Wstyd! „Kto winien”! A czy pomyśleliście o ludziach? Harują na was po dwanaście, niektórzy po szesnaście godzin dziennie - a wy mięso wydzielacie tylko najlepszym inżynierom, inni dostają kości!... A widzeń z rodziną dlaczego nie dajecie tym, co siedzą z artykułu pięćdziesiąt osiem? Należy się co miesiąc, a wy pozwalacie raz na rok! Co, może nastrój przez to wszystko robi się lepszy? A może wam suk nie starcza do wożenia więźniów? Albo za mały macie budżet, żeby płacić nadzorcom za te wychodne? Rygor! Rygor wam łby zagwoździł, niedługo całkiem skołowaciejecie przez te rygory. Dawniej można było w niedzielę wyjść na spacer, kiedy wola - teraz zabronione. No i po co? Żeby ludzie lepiej pracowali? Zbieracie śmietanę na wyrób gówna? Przez to, że ludzie duszą się bez powietrza - wcale robota nie pójdzie sporzej. Ale co tu gadać! Po coście mnie, na przykład, zrywali po nocy? Dnia wam za mało? Ja muszę przecież rano iść do roboty. Mnie jest sen potrzebny.

Bobynin wyprostował się, pełen gniewu, ogromny. Abakumow dyszał ciężko, wsparty o krawędź biurka. Było za pięć pół do drugiej w nocy. Za godzinę, o pół do trzeciej, Abakumow powinien był stawić się z gotowym meldunkiem u Stalina, na dacy w

Kuncewie. Jeżeli ten inżynier mówi prawdę - to jak teraz wybrnąć? Stalin - nie wybacza... Odsyłając Bobynina, Abakumow przypomniał sobie naraz tę trójkę łgarzy z Departamentu Techniki Specjalnej. Owładnęła nim ślepa wściekłość. I zadzwonił, żeby mu ich przysłano.

19

Pokój był ani duży, ani wysoki. Drzwi miał dwoje, okna zaś tak, jakby nie było; zaciągnięte storami na głucho, zlewało się z murem. Mimo to powietrze było świeże, przyjemne (specjalny inżynier odpowiadał za wentylację i za chemiczną nieszkodliwość składu atmosfery).

Sporo miejsca zajmowała miękka, ciemna otomana, zarzucona poduszkami w kwiaty.

Na ścianie nad nią świecił się podwójny brademur osłonięty klosikami z różowego szkła.

Na otomanie spoczywał człowiek, którego wizerunek tyle razy był rzeźbiony, malowany olejnymi farbami, akwarelami, gwaszem, sepią, rysowany węglem, tłuczoną cegłą, układany ze żwiru, muszli morskich, płytek mozaikowych, z ziaren pszenicznych i sojowych bobów, rżnięty w kości, hodowany z traw, tkany na dywanach, zestawiany z lecących samolotów, utrwalany na filmowej taśmie - jak niczyj inny w ciągu trzech miliardów lat istnienia skorupy ziemskiej.

A on leżał sobie po prostu, lekko podkurczywszy nogi w miękkich, kaukaskich butach, przypominających obcisłe skarpety. Nosił frencz z czterema dużymi kieszeniami - po bokach i na piersiach, stary, dobrze znoszony, jeden z tych dawnych, koloru khaki, czarnych bądź białych frenczów, jakie miał zwyczaj nosić od czasów wojny domowej, a zamienił na marszałkowski uniform dopiero po Stalingradzie.

Imię tego człowieka odmieniały gazety całego globu, międlify usta tysięcy spikerów w setkach języków, wykrzykiwali je mówcy na początku i końcu swoich przemówień, wyśpiewywały wysokie głosiki, intonowali je archijereje w modlitewnych pieniach. To imię stygło na martwiejących wargach jeńców, na obrzmiałych dziąsłach więźniów. Imię to nadano niezliczonym miastom i placom, ulicom i promenadom, uczelniom, sanatoriom, łańcuchom górskim, morskim kanałom, fabrykom, kopalniom, sowchozom, kołchozom, pancernikom, lodołama-czom, rybackim barkom, spółdzielniom szewskim i żłobkom, grupa zaś moskiewskich dziennikarzy proponowała, aby to imię nosiły odtąd Wołga i Księżyc.

A to był tylko krępy, żółtooki starzec o rudawych (na jego podobiznach miały skądinąd kolor smolisty), przeredzonych już włosach (wyobrażano je zaś jako gęste); z

dziobami po ospie na szarawej twarzy, z suchą torbielą skórą na szyi (czego w ogóle nie było widać na wizerunkach); z poczerniałymi, nierównymi zębami, zagiętymi gdzieś w głąb jamy ustnej, przesyconej odorem tytoniu; z wilgotnymi palcami, zostawiającymi tłuste plamy na papierach i książkach.

Na dobitkę, czuł się dziś nie najlepiej: w ciągu tych jubileuszowych dni zmęczył się i przejadł, czuł kamienny ciężar w brzuchu, odbijało mu się stęchlizną, nie pomagał salol z belladoną (a brać na przeczyszczenie nie lubił). Dziś w ogóle zrezygnował z obiadu i bardzo wcześnie, bo koło północy, już sobie leżał. Choć powietrze było ciepłe, czuł jakiś chłód w plecach i barkach, więc narzucił na nie budy szal z wielbłądziej wełny.

Głuchoniema cisza wymościła cały gmach, całą okolicę, cały świat.

W tej ciszy nie słyszało się prawie miarowych drgnień skradającego się czasu i trzeba było po prostu przetrzymać go, jak chorobę, jak niedomaganie, wynajdując sobie co noc jakieś zajęcie czy rozrywkę. Nietrudno było uniezależnić się od przestrzeni, choćby szcędząc sobie ruchu. Nie sposób było jednak wyzwolić się spod władzy czasu.

Wertował właśnie niewielką książeczkę w twardej, brązowej oprawie. Z przyjemnością patrzył na fotografie, tu i ówdzie zaglądał do tekstu, który znał prawie na pamięć, po czym znów przerzucał stronicę. Książeczka była poręczna, mogła bez zginania zmieścić się w kieszeni płaszcza, mogła wszędzie towarzyszyć ludziom w ich życiu. Miała ze ćwierć tysiąca stron, ale czcionka była wyraźna, duża i gruba, tak że mogli ją bez trudu czytać nawet półpiśmienni i starzy ludzie. Na okładce wytłoczone były złote litery: „Josif Wissarionowicz Stalin. Krótki życiorys”.

Proste, uczciwe słowa składające się na tę książkę zapadały w ludzką duszę spokojnie i nieodwołalnie: Geniusz strategii. Jego przewidująca mądrość. Jego mocarna wola. Jego żelazna wola. Od 1918-go był rzeczywistym zastępcą Lenina. (A tak, a tak, tak właśnie było!) Rewolucyjny wódz, zastał na froncie rozgardiasz, bezhołowie. To wskazania Stalina legły u podstaw operacyjnego planu Fmznego...

(Słusznie, słusznie). To nasze całe szczęście, że podczas trudnych lat Ojczyźnianej Wojny prowadził nas mądry i doświadczony Wódz - Wielki Stalin (Tak, ten naród miał szczęście...). Wszyscy znają miażdżącą siłę stalinowskiej logiki, kryształową jasność jego umysłu... (Bez fałszywej skromności - to wszystko prawda). Jak miłuje on lud. Jak zważa na ludzkie potrzeby. Jak nie znosi uroczystej pompy. Jak zadziwiająco jest skromny (Skromność - jakież to prawdziwe).

Nieomyślne znawstwo ludzkich dusz pozwoliło jubilatowi zgromadzić dobry zestaw piór, godnych napisać taką biografię. Ale choćby starali się nie wiem jak, choćby stawali na głowach - nikt z nich nie potrafi przecież pisać o twoich czynach, o twoich talentach przywódczych, o twoich zaletach tak rozumnie, tak otwarcie i tak trafnie jak ty sam. I dlatego Stalin zmuszony był wzywać przed swoje oblicze tego lub owego członka zespołu autorskiego, aby spokojnie z nim porozmawiać, przejrzeć jego rękopis, łagodnie wytknąć pomyłki i podpowiedzieć takie lub inne sformułowania.

I oto teraz książka idzie podobno jak woda. Drugie wydanie, właśnie to, wyszło w pięciu milionach egzemplarzy. Jak na taki kraj - to przymało. Trzeci nakład powinien mieć jakieś dziesięć, dwadzieścia milionów. Sprzedawać wprost po fabrykach, w szkołach, w kołchozach. Można też rozprowadzić ją bezpośrednio według spisu kadr danej instytucji.

Nikt lepiej od samego Stalina nie wiedział, jak bardzo potrzebna jego ludowi jest ta książka. Tego ludu nie wolno puszczać samopas ani szczędzić mu ciągłych i słusznych pouczeń. Nie wolno tego ludu utrzymywać w stanie niepewności. Rewolucja wydała ten lud na pastwę sieroctwa i bezbożnictwa, a to niebezpieczne. Już dwadzieścia lat Stalin starał się w miarę sił naprawić ten stan rzeczy. Dlatego potrzebne są te miliony jego portretów w całym kraju (bo na cóż one samemu Stalinowi? jest przecież skromny), dlatego właśnie konieczne jest ciągle i głośnie wymienianie jego okrytego chwałą nazwiska, bezustanne wspomnianie go w każdym artykule. Nie było to wcale potrzebne wodzowi, już go to nie cieszyło, dawno już mu się to sprzykrzyło - było za to niezbędne poddanym, zwykłym sowieckim ludziom. Jak najwięcej portretów, jak najwięcej cytowania, samemu zaś należy pojawiać się rzadko i mówić mało - tak, jakbyś nie zawsze był tu z nimi, na ziemi, lecz bywał okresami jeszcze gdzie indziej. I wtedy ich zachwyty, ich uwielbienie nie będą miały granic.

Nie czuł mdłości, tylko jakieś ciężkie parcie w żołądku. Sięgnął do wazy z obranymi już owocami i wybrał sobie fejhóa.

Trzy dni temu skończyły się huczne obchody jego urodzin, tego siedemdziesięciolecia pełnego chwały.

Wedle kaukaskich pojęć - siedemdziesięciolatek - to jeszcze dżygit! - jeszcze da radę górze, koniowi, kobiecie! I Stalin też jeszcze cieszy się zdrowiem, musi koniecznie dożyć do dziewięćdziesiątki, tak to sobie zamierzył, bo sprawa tego wymaga. Co prawda, pewien lekarz ostrzegł go, że... (zresztą chyba go już rozstrzelano). Ani śladu jakiejś poważnej,

prawdziwej choroby. Żadnych zastrzyków, żadnych kuracji, na lekarstwach zna się sam i potrafi je wybrać. „Jak najwięcej owoców!” - ucz kaukaskiego człowieka, co to są owoce!...

Possał miękisz fejhoa, mrużąc oczy. Na języku został lekki smak jodu.

Owszem, jest zdrow, ale w miarę upływu lat coś się przecież zmienia. Już nie rozkoszuje się smacznym jadłem z dawną, a wciąż nową ochotą - całkiem, jakby wszystkie aromaty uprzykrzyły się i przytępiły. Podziały się gdzieś żywe emocje przy wyborze i mieszaniu win. Gdy sobie podchmieli, zaraz przychodzi ból głowy. I jeżeli po dawnemu biesiaduje ze swoimi stalinkami aż do późnej nocy, to nie dlatego, że tak mu to smakuje, a dlatego, że trzeba jakoś przeorać te puste długie godziny.

Również kobiety, z którymi tak sobie używał po śmierci Nadii, potrzebne mu były już nieczęsto, i nie bardzo; czuł wtedy nie żadne tam dreszcze, tylko mął jakiś. Sen też nie dawał mu młodzieńczej lekkości; budził się osłabiony, z ciężką głową, i wcale nie chciało mu się wstawać.

Założywszy, że dożyje do dziewięćdziesiątki, Stalin z żalem myślał, że te lata nie przysporzą mu osobistych radości, że po prostu zobowiązany jest pomęczyć się jeszcze dwadzieścia lat dla dobra ludzkości.

Tak oto święcił swoje siedemdziesięciolecie. 20-go wieczorem zatłuczono na śmierć Trajczko Kostowa. Dopiero kiedy już zastygło szkliwo na tych sobaczych oczach - mogło zacząć się prawdziwe święto. 21-go w Teatrze Wielkim odbyła się uroczysta akademія, przemawiał Mao Tse-tung, Ibarruri i inni towarzysze. Później był wielki bankiet. Jeszcze później - bankiet w ściślejszym gronie. Pito stare wina z hiszpańskich piwnic, przysłane niegdyś w zamian za dostawy broni. Wreszcie - już sam na sam z Berią - pili sobie kachetyńskie i śpiewali gruzińskie pieśni. 22-go było wielkie przyjęcie dla dyplomacji. 23-go oglądał filmy o sobie - drugą serię „Stalingradzkiej bitwy” Wirty i „Niezapomniany rok 1919” Wiszniewskiego.

Chociaż pokaz go zmęczył, ale te utwory bardzo mu się podobały. Teraz to już o wiele bliższe sedna staje się ujęcie jego roli - nie tylko w Wielkiej Ojczyźnianej, ale również w wojnie domowej. Każdy widzi, jak wielkim był on już wtedy człowiekiem. I na ekranie, i na scenie zostało teraz uwidocznione, jak często musiał surowo przestrzegać i korygować opieszałego, powierzchownego Lenina. Jakąż to szlachetną myśl dramaturg włożył mu w usta: „Każdy człowiek pracy ma prawo mówić, co myśli!” A u Wirty dobra jest ta nocna scena z Przyjacielem. Chociaż takiego oddanego, wielkiego Przyjaciela Stalin wcale nie miał

- ci ludzie tak są przecież dwulicowi i podstępni (zresztą nigdy w życiu nie miał takiego Przyjaciela! No, tak się składało, że nigdy nie miał!), mimo to, oglądając na ekranie scenę napisaną przez Wirtę, Stalin poczuł rzewne ściśnienie w gardle i łzy w oczach (o, to jest artysta, co się zowie!) - ach, jakby chciał mieć takiego rzetelnego, bezinteresownego Przyjaciela i móc zwierzać mu na głos te myśli, które człowiekowi całymi nocami, w samotności, przychodzą do głowy.

Ale nie sposób mieć takiego Przyjaciela, bo musiałby to być człek niezwykle wielkiego formatu. A gdzież by wtedy żył? jakie też stanowisko by zajmował?

A ci tam wszyscy - od Wiaczesława Kamiennej Dupy do Nikity Od Hołubców - bo to ludzie? Siedząc z nimi przy stole można zdechnąć z nudów, nikt z nich pierwszy z żadnym konceptem się nie wyrwie, a jak człowiek sam coś powie, to od razu święta zgoda. Woroszyłowa Stalin kiedyś trochę lubił, za Carycyn, za polską kampanię, a później za tę kisłowodzką grotę (doniósł o naradzie zdrajców Kamie-niewa, Zinowiewa i Frunzego), ale to też tylko wieszak na czapkę i order; bo to człowiek?

Nikogo nie mógł sobie teraz przypomnieć jako prawdziwego przyjaciela. Bo też kto mu zostawił w darze więcej dobrego niż złego?

Przyjaciela nie ma i mieć nie może, ale za to prości ludzie kochają swego Wodza, rozumieją go i kochają, to fakt. Widać to i z gazet, i z filmów, a choćby z wystawy darów. Dzień jego urodzin stał się świętem dla całego narodu, to duża radość, móc sobie to uprzytomnić. Ile powinszowań nadeszło! - życzenia od instytucji, życzenia od organizacji, życzenia od fabryk, życzenia od poszczególnych obywateli! „Prawda” prosiła o pozwolenie drukowania ich nie naraz, tylko po dwie szpalty w każdym numerze. Cóż, rozciągnie się to na kilka lat, nie szkodzi, to nawet nieźle.

A dary nie zmieściły się w dziesięciu salach Muzeum Rewolucji. Żeby nie przeszkadzać mieszkańcom Moskwy w podziwianiu ich za dnia, Stalin przyjechał oglądać je w nocy. Dzieła kroć tysięcy mistrzowskich rąk, najlepsze dary ziemi stały, leżały i wisiały przed jego oczami, ale nawet tu dopadła go ta sama obojętność, ten sam zanik zainteresowania. Na co mu te wszystkie upominki?... Znudził się prędko. A jeszcze jakieś niemiłe wspomnienie dało znać o sobie w muzeum, ale, jak to często mu się ostatnio przytrafiało, myśl nie zdołała się wyklarować, nie nadażył za nią i tylko tyle z niej zostało - że coś przykrego. Stalin zwiedził trzy sale, niczego nie wybrał, postął chwilę przed dużym telewizorem z wygrawerowanym napisem „Wielkiemu Stalinowi - od czekistów” (był to

największy sowiecki telewizor, unikalny egzemplarz wykonany w Marfinie) - odwrócił się i odjechał.

Ale ogółem biorąc, święto było wspaniałe - tyle chwały! tyle zwycięstw! sukcesy, jakich nie zaznał żaden polityk świata - a przecież zabrakło jakoś uczucia pełnego tryumfu.

Coś go drażniło i piekło, jak zadra w tchawicy.

Odgryzł jeszcze kęs owocu i ssał go chwilę.

Tak, masy go kochały, to fakt, ale te masy same były jeszcze pełne wad. A w czterdziestym pierwszym - z czyjej winy doszło do odwrotu? Któż się wtedy cofał, jeśli nie naród?

Oto dlaczego nie świętować teraz trzeba było, nie wylegiwać się, tylko wracać do roboty. Wytężyć myśl.

Myślenie - to był jego obowiązek. Jego fatum, jego skaranie. Musiał żyć jeszcze dwa dziesięciolecia, jak więzień z dwudziestoletnim wyrokiem, a spać nie więcej niż osiem godzin na dobę, więcej się nie da. A przez całą resztę doby trzeba brnąć jak po ostrych kamieniach, wlec po nich niemłode już, bezbronne ciało.

Najprzykrzejszy był dla Stalina czas poranny i pora południa: podczas gdy słońce wschodziło, jarzyło się, sięgało zenitu, Stalin spał w ciemnościach, osłonięty storami, odgradzony, zamknięty. Budził się, gdy słońce już ciążyło ku zachodowi, miarkowało swój bieg i sposobiło się do zakończenia krótkiego, jednodniowego żywota. Koło trzeciej po południu Stalin siadał do śniadania i dopiero pod wieczór, o zmierzchu zaczynał się ożywiać. Jego umysł przez te godziny wdrażał się do działania opornie, chmurnie, rodząc same tylko odmowne decyzje i zakazy. Koło dziesiątej wieczór zaczynał się obiad, na który zwykle zapraszano najbliższych mu członków biura politycznego i zagranicznych działaczy komunistycznych. Pośród mnogich dań, toastów, anegdot i pogaduszek zbiegało jakoś cztery czy pięć godzin, jednocześnie zaś brał człowiek rozpęd i gromadził bodźce do twórczych, prawodawczych pomysłów drugiej połowy nocy. Wszystkie najważniejsze dekry, wyznaczające bieg spraw wielkiego państwa, formowały się w głowie Stalina jedynie między drugą w nocy a brzaskiem.

Właśnie nadchodziła ta godzina myśli i dojrzywał już dekret, którego wyraźnie brakowało w księdze praw. Niemal wszystko w tym kraju udało się raz na zawsze ująć w karby, zahamować wszelki ruch, wszystkie strumienie przegrodzić zaporami. Całe dwieście milionów znało swoje miejsce i tylko młodzież z kołchozów przeciekała przez palce. Tym

dziwniejsze to było, że w kołchozach działo się jak najlepiej. Wynikało to dowodnie z filmów i powieści. Zresztą Stalin sam gawędził z kołchoźnikami zasiadającymi w prezydiach rozmaitych zjazdów i zlotów. Ale, jako przenikliwy i zawsze gotowy do samokrytyki działacz państwowy, Stalin chciał sięgnąć jeszcze głębiej. Któryś z sekretarzy obkomu (pono już go rozstrzelano) wygadał się przed nim, że sprawa kołchozów ma też pewną ciemniejszą stronę: w kołchozach pracują sprawnie starcy i staruchy, którzy zapisali się jeszcze w trzydziestym roku, natomiast nieświadomiona część młodzieży zaraz po szkole stara się podstępem zdobyć paszport i umknąć do miasta. Stalin to usłyszał - i natychmiast coś zaczęło mu drążyć mózg.

Oświata!... Coś tu nie gra z tym powszechnym siedmioletnim nauczaniem, z powszechną szkołą dziesięcioletnią, z dziećmi kucharek, pchającymi się na uniwersytety. To Lenin lekkomyślnie tu namieszał; bez żadnego namysłu sypał obietnicami, a teraz Stalin musi je dźwigać na barkach, jak nieznośny, krzywy garb. „Każda kucharka powinna mieć możliwość rządzenia państwem!... „, - jak on to sobie konkretnie wyobrażał? Żeby kucharki co piątek nie gotowały obiadów, tylko chodziły na posiedzenia rady wykonawczej? Kucharka - to kucharka, ma umieć gotować i tyle. A rządzić ludźmi - to wielka sztuka, tę misję można powierzyć tylko specjalnej kadrze, kadrze troskliwie dobranej, kadrze zahartowanej, kadrze wdrożonej do dyscypliny. Kierować zaś tą kadrą może tylko jedna para rąk, i mogą to być tylko doświadczone ręce Wodza.

A gdyby tak włączyć do statutu spółdzielni rolniczych zasadę, wedle której - podobnie jak ziemia należy do kołchozu po wieczne czasy - tak samo każdy, kto urodził się w danej wsi, zostanie automatycznie przypisany do kołchozu już w dniu narodzin? Nadać temu charakter zaszczytnego wyróżnienia. I od razu - kampania agitacyjna: „Nowy krok w stronę komunizmu”, „Młodzi dziedzice złotokłósej schedy”, zresztą literaci już tam wymyślą odpowiednie wyrażenia.

Ale - co na to nasi przyjaciele na Zachodzie?

Ale - kto w końcu w tych kołchozach będzie odwał robotę?...

Nie, jakoś nie kleiło się dzisiaj. Nie czuł się najlepiej.

Jego uszu doszły cztery lekkie puknięcia w drzwi - nie puknięcia nawet, tylko cztery miękkie głośnięcia, jak gdyby to pies zaskrobał do drzwi.

Stalin przekręcił wmontowaną koło otomany rączkę cięgła, prowadzącego aż do zamka w drzwiach, bezpiecznik szczęknął i drzwi się uchylily. Nie było na nich portier

(Stalin nie lubił zasłon, fałdzistych kotar, niczego takiego, za czym można by się ukryć) i widać było, jak gładkie drzwi otwały się tylko na tyle, by mógł przez nie przecisnąć się pies. Jednak nie w dolnym, lecz w górnym ich segmencie zjawiała się twarz niby młodego, ale już łysiejącego Poskriobyszewa: jak zawsze, malował się na niej wyraz budującej wierności i zupełnego oddania.

Popatrzył, jak Gospodarz leży sobie, półprzykryty wielbłądzim szalem, pełen troski o jego samopoczucie, ale nie zagabnął o zdrowie (Stalin nie lubił takich pytań), tylko zapytał cicho:

- Jo-Sarionycz! Zamówiliście dziś na pół do trzeciej Abakumowa. Będzie przyjęty? A może nie?

Josif Wissarionowicz odpiął klapę górnej kieszeni i wyciągnął zegarek na łańcuszku (jak wszyscy ludzie starszej daty nie znosił zegarków na rękę).

Nie było jeszcze drugiej. Wcale mu się nie chciało wstawać, przebierać się, iść do gabinetu. Ale nie wolno też folgować nikomu: popuścić tylko trochę wędzidła, zaraz to wyczują.

- Zobaczymy - powiedział Stalin ze znrzeniem w głosie i zamrugał. - Jeszcze nie wiem.

- No to niech sobie przyjeżdża. Zaczeka! - przytaknął Poskriobyszew i skinął głową trzy razy, z przesadą. I znów zastygł, patrząc uważnie na Gospodarza: - Będą jeszcze jakieś zlecenia, Jo-Sarionycz?

Stalin patrzył na Poskriobyszewa niemrawym, półżywym okiem, w którym nie sposób było wyczytać żadnego rozkazu. Ale pytanie sekretarza wykrzesало raptem z dziurawej pamięci nagłą iskrę - i zapytał o coś, co dawno chciał wiedzieć, tylko wciąż zapominał:

- Słuchaj, a jak tam z cyprysami na Krymie? Karczują?

- Karczują! Karczują - Poskriobyszew zakiwał głową gorliwie, jakby tylko na to pytanie czekał, jakby dopiero co telefonował na Krym dla kontroli.

- W okolicach Massandry i Liwadii już masę ich wyrąbano, Jo-Sarionycz!

- Mimo to każ im przysłać sprawozdanie z dokładną liczbą. Czy aby nie ma sabotażu?
- w żółtych, niezdrowych oczach Wszechmocnego błysnął niepokój.

Powiedział mu w tym roku pewien lekarz, że cyprysy są dla niego szkodliwe, że lepiej by mu zrobiły eukaliptusy. Dlatego też Stalin kazał wyrąbać wszystkie cyprysy i sprowadzić eukaliptusy z Australii.

Poskriobyszew odniósł się do sprawy z entuzjazmem i zadeklarował ochoczo, że zajmie się również kwestią eukaliptusów.

- Dobrze - Stalin mruknął z zadowoleniem. - Tymczasem możesz iść, Sasza.

Poskriobyszew przytaknął, cofnął się, jeszcze raz przytaknął, cofnął głowę i szczelnie domknął drzwi. Josif Wissarionowicz znowu zamknął zdalnie kierowany zatrząsk i obrócił się na drugi bok, przytrzymując ręką pled.

I znów jął wertować swój „Życiorys”, ale długie leżenie, gorączka i niestrawność tak go osłabiły, że bezwiednie dał folgę złym myślom. Nie ów olśniewający sukces, wieńczący jego polityczne wysiłki, stanął mu przed oczyma, ale właśnie ten pech, który mu życie zatruwał, ta niesprawiedliwość losu, która tyle przeszkód i tylu wrogów mu przysporzyła.

20

Dwie trzecie stulecia, to mgława dał; u jej początków naj - śmielsze nawet marzenie nie mogło odgadnąć końca, gdy się zaś od owego końca na cały ciąg zdarzeń patrzy - to trudno uwierzyć w ten początek i ożywić go w pamięci. Jego żywot zaczął się pod znakiem beznadziei. Nieślubny syn, przypisany ubogiemu, zapijaczonemu szewcowi. Ciemna matka. Kocmołuch Soso taplał się wiecznie w gliniankach pod wzgórzem królowej Tamary. Co tu gadać o władzy nad światem, kiedy nie wiadomo, jak podobny chłopak mógł w ogóle wyrwać się z tak nędznej zapadni.

Jednakże prawdziwy jego rodzic dołożył starań i chłopiec bez popa w rodzinie został, wbrew cerkiewnym przepisom, przyjęty z początku do konwiktów, a później nawet do seminarium duchownego.

Bóg Sabaoth z wysokości poczerniałego ikonostasu surowo powołał kleryczkę, leżącego krzyżem na zimnych, kamiennych płytach. O, jak gorliwie ten chłopiec zaczął służyć Bogu! jak mu zaufa! Całe sześć lat wkuwał ze wszystkich sił Stary i Nowy Testament, żywoty świętych i dzieje Kościoła, żarliwie służył do mszy.

O, tu, w „Życiorysie” jest to zdjęcie: alumn seminarium duchownego Dżu-gaszwili w szarej, wdziewanej pod sutannę rubaszce z krągłą stójką; matowy, naznaczony wyczerpaniem od długich modłów, pacholący owal twarzy; włosy długie, jak przystoi przyszłemu kapłanowi, gładko przylizane, pokornie wysmarowane oliwą do lampek, zaczesane na uszy - i tylko z oczu i napiętych brwi odgadnąć można, że ten uległy nowicjusz zostanie może nawet metropolitą.

Ale Bóg wyprowadził go w pole... Senne, uprzykrzone miasteczko, leżące wśród

zielonych wzgórz w meandrach Medždudy i Liachwy, okazało się siedliskiem zacofania: w hałaśliwym Tyflisie mądrzy ludzie śmieli się już z Pana Boga. I oto wyszło na jaw, że drabina, po której Soso uporczywie się wspinał, prowadziła nie do nieba, tylko na poddasze.

Kipiąca, zawadiacka młodość domagała się przecież czynów! Czas mijał - a on niczego jeszcze nie dokonał! Nie było pieniędzy na uniwersytet, na starania o państwową posesję, na rozpoczęcie jakichś interesów - był za to socjalizm, przygarniający każdego, socjalizm, dla którego to był nie pierwszy seminarzysta. Można było nie mieć zdolności do wiedzy ani do sztuki, do rzemiosła czy do złodziejstwa, nie znaleźć okazji, aby zostać kochankiem bogatej damy - ale Rewolucja brała wszystkich w szerokie objęcia, wszystkich przyjmowała i wszystkim obiecywała miejsce w życiu.

Sam doradził, aby włączyć do życiorysu fotografię z tamtego okresu, jego ulubioną. Oto on, ujęty prawie z profilu. Nie nosi brody ani wąsów, ani faworytów (bo jeszcze nie wybrał), po prostu dawno się nie golił i cała twarz malowniczo pokryła się bujnym, męskim zarostem. Jest gotów do lotu, tylko jeszcze nie wie, w jaką stronę. Jakież to miły młodzieniec! Otwarty, rozumny, energiczny wyraz twarzy, ani śladu po tym fanatycznym nowicjuszu. Wolne już od oliwy włosy wzbily się, gęste kędziory zdobią tę głowę i opadając zakrywają to, co niezupełnie jest doskonałe: czoło niewysokie i cofnięte. Młodzieniec jest biedny, zakiecik ma kupiony z drugiej ręki, tani, kraciasty szalik otula szyję z artystycznym niedbalstwem i zasłania wąskie, wątłe piersi, które obejść się muszą bez koszuli. Czy temu tyfliskiemu plebejuszowi nie grożą suchoty?

Ilekoć Stalin patrzy na tę fotografię, serce wypełnia mu współczucie (nie ma bowiem serca niezdolnego do współczucia). Jak mu było ciężko, jak wszystko obracało się przeciw temu miłemu chłopcu, który znalazł bezpłatny przytułek w zimnej komórce przy obserwatorium, a już był relegowany z seminarium! (Chciał dla pewności połączyć jedno z drugim, cztery lata uczęszczał na zebrania kółek socjaldemokratycznych i cztery lata dalej się modlił, dalej komentował katechizm - lecz mimo to został wyrzucony.) Jedenaście lat bił pokłony i modlił się nadaremnie; jak żał tego straconego czasu! Z tym większą stanowczością przeweksłował bieg swoich młodych lat na tor rewolucji!

Ale rewolucja też wyprowadziła go w pole... Bo też co to była za rewolucja - te chełpliwe gierki tyfliskich zarozumiałców, te spory w piwniczkach przy winie? Tu się człowiek zmarnuje, w tym rojowisku zer; ani myśleć o karierze w tych szeregach, o zaliczeniu tego stażu, tu ważne jest tylko - kto kogo przegada. Dla byłego seminarzysty te

gadudy stają się bardziej nienawistne niż gubernatorowie i policjanci (Bo też o co mieć do nich pretensję? - uczciwie pracują na swoje gaże i muszą się bronić, to naturalne, ale tamtych parweniuszy nic nie usprawiedliwia!). Rewolucja? wśród gruzińskich sklepikarzy? On zaś stracił dorobek seminarium, zeszedł z bitej drogi.

I w ogóle, po diabła mu ta rewolucja, ta hołota, ci wyrobnicy, przepijający cały zarobek, te jakieś tam chore staruchy, te nie dopłacone komuś kopiejki? Dlaczego to kochać ma ich, nie zaś siebie, takiego młodego, mądrego, pięknego - i tak pominiętego przez los?

Dopiero w Batumi, gdy po raz pierwszy poprowadzi ulicą w pochodzie ze dwustu ludzi, licząc zresztą gapiów, Koba (taki miał teraz pseudonim) poczuje, że ziarno wschodzi i że władza to siła. Ludzie szli za nim! - próba się udała i smaku tej chwili Koba nigdy już nie zapomni. Oto co mu w życiu odpowiadało i tylko takie życie mógł zrozumieć: rozkazujesz - a ludzie mają to wykonać, pokażesz kierunek - i ludzie mają iść za tobą. Nie ma w świecie nic lepszego, nic ważniejszego. To więcej niż bogactwo.

Po miesiącu policja wzięła na kiel i aresztowała go. Aresztów nikt się wtedy nie bał: też mi coś! Zamkną na dwa miesiące, potem wypuszczą i już jesteś męczennikiem. Koba trzymał się świetnie w ogólnej celi i podbechtywał współwięźniów do robienia wstrętów strażnikom.

Ale policja uczepliła się go. Inni powychodzili już z celi, on zaś dalej siedział. Co zrobił takiego strasznego? Za bagatelne demonstracje nikogo tak nie karano. Minął rok! - i przeniesiono go do więzienia w Kutaisi, do ciemnej, wilgotnej pojedynki. Upadł wtedy na duchu: czas mijał, a tymczasem on nie tylko nie wspinał się w górę, ale spadał coraz niżej. Kaszlał boleśnie przez tę więzienną wilgoć. I miał jeszcze więcej słusznych powodów, żeby nienawidzić tych zawodowych krzykaczy, pieszczochów życia: dlaczego dla nich rewolucja jest taka łatwa, dlaczego i c h tak długo nie trzyma się w ciupie?

Do więzienia w Kutaisi wpadał czasami oficer żandarmerii, którego Stalin znał już z Batumi. No i co, miał pan czas do namysłu, panie Dzugaszwili? To dopiero początek, Dzugaszwili. Będziemy tu trzymać pana dopóty, dopóki nie zeżrą pana suchoty, chyba że pańskie postępowanie się zmieni. Chcemy tylko ratować pana i pańską duszę. Toż z pana pop bez pięciu minut, ojcie Józefie! Czemu to ojcaszek związał się z tą bandą? Znalazł się pan wśród nich z przypadku. Wystarczy powiedzieć, że pan tego żałuje.

A żałował naprawdę, i to jak! Szła ku końcowi jego druga więzienna wiosna, wlokło się drugie lato więzienne. Ach, dlaczego porzucił swoją skromną, duchowną karierę? Jak

można było tak szybko, bez namysłu!... Najdziksza nawet fantazja nie mogła wyobrazić sobie rewolucji w Rosji wcześniej niż za pięćdziesiąt lat; Dżugaszwili miałby wtedy siedemdziesiąt trzy lata... Na diabła tu rewolucja.

Zresztą, nie tylko o to chodzi. Zdążył już sam siebie poznać i rozszyfrować swój charakter, charakter stateczny, trzymający się gruntu, wsparty zamiłowaniem do solidnego porządku. Otóż imperium rosyjskie stało porządkiem, statecznością, gruntownością swoich niespiesznych poczynań, swoją solidnością - po cóż więc je rozwalać?

Tymczasem oficer z pszenicznymi wąsami przyjeżdżał raz po raz (Jego żandar-mski, czysty mundur z pięknymi epoletami, stosownymi guzikami, sprzączkami, zaprasowanymi kantami bardzo podobał się Kobie). Bo w końcu to, co ja tu panu proponuję - jest państwową posadą. (Państwową posadę Dżugaszwili dawno by już przyjął bez sprzeciwu, tylko sam, sam sobie naknocił w Tyflisie i w Batumi). Będziemy panu wypłacać regularną gażę. Przede wszystkim liczymy na pańską pomoc w środowisku rewolucjonistów. Proszę wytypować najskrajniejszy odłam. W tym kręgu musi się pan coraz bardziej wyróżniać. Zawsze i wszędzie odnosić się będziemy do pana oględnie. Swoje meldunki będzie nam pan przekazywał tak, aby nie padł na pana nawet cień podejrzeń. Jaki pseudonim pan wybiera?... A teraz, właśnie dla lepszej konspiracji, zostanie pan zesłany bardzo daleko; proszę stamtąd zaraz uciec, wszyscy przecież tak robią.

I Dżugaszwili poszedł na to! Na trzecim etapie swojej młodości postawił na kartę tajnej policji!

W listopadzie zesłano go do irkuckiej guberni. Zesłańcy dali mu tam do przeczytania list niejakiego Lenina; czytywał go już w „Iskrze”. Lenin przeszedł do najbardziej skrajnego odłamu, teraz szukał stronników, pisał listy. Jasne, że trzeba było właśnie z nim się związać.

Już na Boże Narodzenie Dżugaszwili uciekł przed strasznymi irkuckimi mrozami i, zanim jeszcze zaczęła się japońska wojna, znalazł się na słonecznym Kaukazie.

Zaczął się teraz dla niego długi okres bezkarności: odbywał konspiracyjne spotkania, pisał ulotki, zwoływał wiece - ale zamykano tylko innych (zwłaszcza tych, do których nie czuł sympatii), jego zaś jakby nie widziano, nie łapano. Nie posłano go też na wojnę.

I raptem! - a nikt nie oczekiwał jej tak prędko, nikt jej nie przygotował, nie organizował - nadeszła O n a! Ciągnęły tłumy przez Petersburg, niosły polityczne petycje, zabijano wielkich książąt i wielkorządców, strajkował Iwanowo-Woznie-sieńsk. Powstała Łódź, zbuntował się „Potiomkin” - i bardzo prędko z carskiego gardła wydarto manifest, a

wciąż jeszcze stukotały cekaemy na Presni, zamarły koleje.

Koba był zdumiony, oszołomiony. Czyżby jeszcze raz się pomylił? Jak to jest, że nigdy nie udaje mu się przewidzieć wypadków? Ochrana wywiodła go w pole!... Trzeci raz jego karta jest bita! Ach, gdybyż mu oddali jego wolną, rewolucyjną duszę! Toć to błędne koło: - wyławiać w Rosji rewolucjonistów tylko po to, żeby na drugi dzień po Jej nadejściu ktoś wyłowił twoje donosy z archiwów ochrany.

Żadnej tam s t a l i nie było w nim wtedy, jego wola uległa rozdwojeniu, całkiem się zagubił i nie widział przed sobą wyjścia.

Ale po całej tej strzelaninie, rejuwachu i wieszaniu człowiek rozejrzał się - i gdzie też podziała się rewolucja! Rozwiała się!

W tym okresie bolszewicy wypracowali znakomitą rewolucyjną metodę eksów czyli ekspropriacji. Podrzucało się jakiemuś ormiańskiemu bogaczowi pisemko ze wskazówką, gdzie ma położyć dziesięć, piętnaście, dwadzieścia pięć tysięcy. I adresat kładł gotówkę, żeby tylko nikt nie wysadził mu w powietrze jego sklepu albo nie pozabijał dzieci. To była dopiero metoda walki, taaaka metoda! - nie scholastyka, nie żadne ulotki i demonstracje, tylko prawdziwy akt rewolucyjny. Mienszewickie czyścioszki sarkały, że to grabież i terror, że to sprzeczne z marksizmem. Ach, jak szydził z nich Koba, ach, jak ich traktował, no, jak insekty. Za to właśnie nazwał go Lenin „cudownym Gruzinem”! Eksy - to grabież, a sama rewolucja - to nie grabież? Ach, wy czyścioszki polerowane! A skąd brać pieniądze na partię, skąd na utrzymanie samych rewolucjonistów? Lepszy wróbel w rękę niż cietrzew na sęku.

Z całej rewolucji Koba polubił najbardziej właśnie te eksy. I nikt lepiej od Koby nie potrafił wybrać tych najwierniejszych, takich jak Karno, co to będą posłuszni, potrafią wymachiwać rewolwerem, zabrać kiesę ze złotem i przynieść ją samemu Kobie ria całkiem inną ulicę, i to bez ociągania. Udało się wydrzeć trzysta czterdzieści tysięcy w złocie ekspedytorom tyfliskiego banku - to właśnie był przykład proletariackiej rewolucji, chwilowo w miniaturze; tylko durnie czekają na inną rewolucję. A policja tego nie widziała i wytworzyła się jakaś taka sympatyczna linia demarkacyjna między rewolucją i policją. Pieniądze to już miał zawsze.

Rewolucja zaś wozila go po Europie pociągami i parowcami, pokazywała mu wyspy, kanały, średniowieczne zamki. To już nie była śmierdząca cela w Kutaisi. W Tammerforsie, Sztokholmie, Londynie Koba przyglądał się bolszewikom i temu opętańcowi, Leninowi. Później, w Baku, nadyszał się oparów podziemnej czarnej mazi, wrzącego, czarnego gniewu.

Starano się go ustrzec od przykrości. Z biegiem lat i w miarę wzrostu jego znaczenia w partii policja deportowała go do coraz bliższych okolic, już nie nad Bajkał, tylko do Solwyczegodska i nie na trzy lata, tylko na dwa. Między jednym zesłaniem a drugim nikt mu nie przeszkadzał bełtać w rewolucyjnej kadzi. W końcu, po trzech ucieczkach z deportacji na Syberię i za Ural, zesłano tego nieprzejednanego, niezmordowanego buntownika do... Wołogdy, gdzie zamieszkał na stacji u policjanta i skąd w ciągu jednej nocy mógł dojechać do Petersburga.

Ale pewnego lutowego wieczoru 1912 roku przyjechał do Wołogdy z czeskiej Pragi jego młodszy towarzysz Ordżonikidze, poznany w Baku, i krzyknął, potrząsając go za ramiona: „Soso! Soso! Zostałeś dokooptowany do KC!”.

Tej księżycowej nocy, trzydziestodwuletni Koba, opatulony kożuchem, długo chodził po dziedzińcu w kłębiącej się, mroźnej mgle. Znów się zawahał. Członek KC! Przecież taki Malinowski, członek bolszewickiego KC, jest deputatem parlamentu. Niech tam, Lenin ma słabość do Malinowskiego. Ale w Rosji panuje jeszcze car! Podczas gdy po rewolucji - dzisiejszy członek KC na pewno będzie ministrem. To prawda, nie ma co czekać na rewolucję teraz, póki my żyjemy. Ale nawet bez rewolucji członek KC też ma jakąś władzę. A co człowiek może zyskać z pracy dla tajnej policji? Nie żaden z niego członek KC, tylko mały szpicel. Nie, trzeba się rozstać z żandarmerią. Upiór Azefa jak ogromna, straszna mara chybotął się nad każdym jego dniem, każdą jego nocą.

Rankiem poszli we dwójkę na dworzec i pojechali do Petersburga. Tam też ich schwytano. Młodemu, niedoświadczonemu Ordżonikidze wlepiono trzy lata szlis-selburskiej twierdzy, a później jeszcze deportację. Stalina, jak zwykle, dotknęło tylko zesłanie na trzy lata. Co prawda, dość daleko! Do Kraju Narymskiego, to miała być przestroga. Ale komunikacja w rosyjskim imperium działała nieźle i pod koniec lata Stalin bez kłopotów wrócił do Petersburga. Teraz położył nacisk na pracę partyjną. Jeździł do Lenina, do Krakowa (nawet dla zesłańca nie była to rzecz trudna). Drukarnie, majówki, ulotki, aż wreszcie został nakryty na jakimś wieczorku, na Kałasznikowie (sypnął go Malinowski, ale to wyszło na jaw znacznie później). Ochrańca wpadła w furję, więc zesłany teraz został całkiem serio - pod Koło Polarne, do stancy Kurejka. I wyrok dostał - carska władza potrafiła karać bezlitośnie! - na c z t e r y lata, aż strach powiedzieć.

Stalina znów ogarnęło wahanie: dlaczego i dla kogo wyrzekł się swojego spokojnego, pomyślnego życia i opieki władzy, dlaczego dał się zapędzić do tej dziury piekielnej?

„Członek KC” - to brzmi ładnie dla durniów. Miał teraz koło siebie kilkuset zesłańców ze wszystkich partii, ale kiedy im się przyjrzał, to aż się zachnął: jakaż to wstrętna zgraja ci zawodowcy rewolucji - charkotliwe gaduły, pirotechnicy, niesamodzielnicy, niesolidni. Nie tyle Koło Polarne nieznośne było dla tego człowieka z Kaukazu, ile towarzystwo tych letkiewiczów, chwiejnych, nieodpowiedzialnych, nieporządnych. I żeby z punktu oddzielić się od nich i odróżnić - toż lepiej by się czuł wśród niedźwiedzi - zaraz ożenił się z Sybiraczką o kształtach mamuta i piskliwym głósie. Ale już lepsze jej „chi-chi” i kuchnia na śmierdzącym łożu niż chodzenie na te ich spotkania, dyskusje, spory i sądy koleżeńskie. Stalin dał im do zrozumienia, że są sobie wzajemnie obcy. Odciął się od nich wszystkich i w ogóle od rewolucji. Dosyć. Trzydzieści pięć lat to nie za wiele, aby rozpocząć uczciwe życie, bo trzeba w końcu przestać być wietrznikiem, używając kieszeni zamiast żagli. (Sam sobą gardził, że tyle lat zadawał się z tymi lekkoduchami.) Żył więc sobie całkiem na uboczu, nie zadawał się ani z bolszewikami, ani z anarchistami. Bierz ich licho. Już nie chciał uciekać, miał zamiar zostać do końca na zesłaniu. Zresztą, zaczęła się wojna i tylko tu, jako zesłaniec, mógł być spokojny o swoje życie. Zaszły więc się głęboko ze swoją Sybiraczką; urodził im się syn. Wojna zaś nie chciała się kończyć. Rad by człowiek choć pazurami wydrzeć od władzy jeszcze roczek zesłania - ale ten niezguła car nie umiał dawać nawet porządnych wyroków!

Nie, wojna nie chciała się kończyć. I oto urząd policji, z którym tak się człowiek zżył, przekazał jego teczkę i jego duszę władzom wojskowym, te zaś, zielonego pojęcia nie mając ani o socjaldemokratkach, ani o członkach KC, wezwały Józefa Dżugaszwili, rocznik 1879, nie objętego dotychczas poborem, do stawienia się w szeregach carskiej armii w charakterze szeregowca. W ten sposób przyszedł wielki marszałek rozpoczął swoją karierę wojskową. Miał już za sobą trzy rodzaje służby, teraz miał spróbować czwartego.

Po zamierzonym Jeniseju senną sanna zawieziono go do Krasnojarska, a stamtąd do koszar w Aczyńsku. Miał trzydzieści siedem lat i był nikim: gruziński poborowy, zjeżony, w chudym szynelu, bo mróz był syberyjski, jechał na front jako mięso armatnie. I całe jego wspaniałe życie miało być przecięte pod jakimś białoruskim futorem albo żydowskim miasteczkiem. Ale jeszcze nie zdążył się nauczyć, jak zwijać szynel w obręcz i ładować karabin (gdy już był komisarzem, a później marszałkiem, też nie wiedział, jak to się robi, a spytać jakoś nie wypadało), gdy na taśmach telegraficznych nadeszły z Petersburga wiadomości, które kazały nieznanym obejmować się na ulicach i - dysząc kłębami pary -

krzyżeć na lutowym mrozie: „Chrystus zmartwychwstał! Car abdykował!” Skończyło się imperium.

Jak? Skąd? Toż zapomnieli już o nadziei, toż nikt już na to nie liczył. A przecież uczono Józefa w dzieciństwie: „Niezbadane są twoje drogi, Panie!”

Nie sposób zapomnieć tej jednomyślnej radości, jaka ogarnęła całe rosyjskie społeczeństwo i partie wszelkich rodzajów. Ale żeby Stalin mógł się radować, potrzebny był jeszcze jeden telegram, bez którego zjawia Azefa wciąż kołysała się nad głową jak cień wisielca. Minął jeszcze dzień i ta depesza nadeszła: departament ochrony spalono i rozwalono, wszystkie dokumenty zostały zniszczone!

Rewolucjoniści wiedzieli, co ma pójść na pierwszy ogień. Z pewnością, jak to już wiedział Stalin, było tam sporo takich, sporo takich jak on.

Ochraha została spalona, ale przez całe życie Stalin wciąż rozglądał się podejrzliwie. Własnymi rękoma przewertował dziesiątki tysięcy papierków w archiwach i ciskał do ognia całe teczki, nawet ich nie przeglądając. I mimo to coś przegapił, omal nie wyszło to na jaw w roku 37-ym. Każdego starego członka partii, który trafił ongiś pod sąd, Stalin kazał oskarżać, że był agentem. Wiedział dobrze, jak łatwo było się załamać, i trudno mu było wyobrazić sobie, żeby inni też nie starali się o to zabezpieczenie.

Rewolucji lutowej Stalin odmówił później miana wielkiej, bo zapomniał, jak sam cieszył się i śpiewał i jak niósł się z Aczyńska niby na skrzydłach (teraz dezercja już była możliwa), jak oszalał z uciechy i jak z jakiejś prowincjonalnej dziury wysłał telegram do Lenina, do Szwajcarii.

Przyjechał do Piotrogradu i od razu zgodził się z Kamieniewem: to jest to; właśnie o tym marzyliśmy w konspiracji. Nadeszła rewolucja i teraz trzeba umacniać się na zdobytych pozycjach. Nadszedł czas dla ludzi statecznych i solidnych (szczególnie, jeśli są to członkowie KC). Trzeba poprzeć na wszelki sposób Rząd Tymczasowy!

Było to dla nich oczywiste, póki nie przyjechał ten wichrzyciel, nie znający Rosji, zupełnie pozbawiony pozytywnego, miarodajnego doświadczenia, który krztusząc się, grasejując, cały w drgawkach wykrzyczał te swoje tezy kwietniowe, gmatwając wszystko bez ratunku! I udało mu się zauroczyć partię, popchnąć ją do lipcowego przewrotu! Rozróżba się rypla, jak to słusznie przepowiadał Stalin, i partia omal nie została unicestwiona. I gdzież się podziało wtedy kogucie zuchwalstwo tego bohatera? Uciekł do Razliwu, bojąc się o własną skórę, podczas gdy bolszewików wyklinano od ostatnich. Czy jego wolność

ważniejsza była niż autorytet partii? Stalin otwarcie to powiedział na Szóstym Zjeździe, ale nie miał jeszcze za sobą większości.

A w ogóle, rok siedemnasty to był nieprzyjemny rok: za dużo wieców; kto ładniej umie łąć, tego noszą na rękach, Trocki wręcz nie wychodził z cyrku. I skąd ich się tyle nazleciało, tych bajczarzy, jak much do miodu? Na zesłaniu nikt ich nie widział, na eksach też nie, wałęsali się po zagranicy, a teraz przyjechali, żeby się wydzierać i pchać do pierwszego rzędu. I o wszystkim mają własne zdanie, a bystrzy - jak woda w klozecie. Problem jeszcze się nie pojawił, nikt go nie podniósł, a ci już wiedzą, jak go rozwiązać! Stalina wyśmiewali, nawet się z tym nie kryjąc. W porządku, Stalin nie wtrącał się do ich sporów, nie pchał się na trybuny, wolał milczeć do czasu. Stalin nie lubił i nie umiał iść w zawody z tym, kto więcej i głośniej krzyknie. Nie tak sobie rewolucję wyobrażał. Rewolucję wyobrażał sobie tak: zająć kluczowe punkty i robić, co należy.

Wyśmiewały go te szpicbródki, ale czemu to uważano za stosowne, żeby zwalać na niego właśnie najcięższe i najniewdzięczniejsze zadania? Wyśmiewali go, ale czemu to w pałacu Krzesińskiej wszystkich ich nagle brzuchy rozboleły i do Twierdzy Pietropawłowskiej posłano nie kogo innego, tylko właśnie jego, bo trzeba było przekonać marynarzy, żeby oddali twierdzę bez walki Kierenskiemu, a sami wycofali się do Kronsztadu.

A dlatego, że Grizkę Zinowiewa marynarze by kamieniami zatłukli. Dlatego, że z ruskimi ludźmi trzeba umieć rozmawiać.

Październikowy przewrót to była awantura, ale powiodła się, niech będzie. Przewrót się udał. W porządku. Można za to dać Leninowi piątkę. Co tam dalej będzie, jeszcze nie wiadomo, ale chwilowo byczo jest. Ma być komisarzem do spraw narodowości? Dobra, niech tam. Redagować konstytucję? W porządku. Stalin chwilowo się przyglądał.

To dziwne, ale wyglądało na to, że rewolucja w ciągu jednego roku nieźle się udała. Nie sposób było tego oczekiwać - a jednak się udała! Ten błazen Trocki wierzył nawet w światową rewolucję, nie chciał brzeskiego pokoju, zresztą Lenin też wierzył; ach, ci książkowi fantaści! Trzeba być osłem, żeby wierzyć w europejską rewolucję; tyle lat tam mieszkali i niczego nie zrozumieli, Stalin zaś przejechał się tylko jeden raz - i zrozumiał wszystko. Toć trzeba Bogu dziękować, że powiodła się własna, rosyjska. I siedzieć spokojnie. Mieć trochę rozsądku.

Stalin rozglądał się trzeźwym, nieuprzedzonym okiem. Z namysłem. I rozumiał

jasno, że taką ważną rewolucję ci krzykacze zmarnują frazesami. I że tylko on jeden, właśnie Stalin, potrafi nadać jej właściwy kierunek. Szczerze i uczciwie: tylko on byłby tu prawdziwym przywódcą. W sposób całkiem bezstronny porównując siebie samego z tymi komediantami i podskakiewiczami, widział jasno przewagę swojego życiowego doświadczenia, widział ich chwiejność i własną stałość. Tym się od nich wszystkich różnił, że rozumiał ludzi.

Dobrze rozumiał, na czym ludzie się opierają, gdzie jest ich b a z a, wiedział, bez czego człowiek nie utrzyma się na powierzchni i nie wytrzyma nacisku, a ta cała reszta, te wszystkie pozory i ozdoby, to jest właśnie nadbudowa, która o niczym nie decyduje.

To prawda, Lenin miał ten orli rozmach, było co podziwiać: ot, w ciągu jednej nocy wymyślił hasło - „Ziemia chłopom!” (a co dalej, to jeszcze się zobaczy), w ciągu jednego dnia wykoncypował pokój brzeski (przecież nie tylko Rosjanina, ale nawet Gruzina zabol, kiedy pół Rosji oddaje się Niemcom; a Lenina nie zabol). Nie mówiąc już o NEP-ie; to był najsprytniejszy wybieg, takich manewrów warto się uczyć.

Najważniejsze, najbardziej godne podziwu było w Leninie jednak to, że wodze prawdziwej władzy trzymał mocno tylko we własnych rękach. Zmieniały się hasła i tematy dyskusji, zmieniali się sojusznicy i przeciwnicy, ale pełnia władzy pozostawała wciąż w tych samych dłoniach! A jednak nie miał ten człowiek w sobie prawdziwej twardości, dlatego miał tyle kłopotów w swoim życiu, wszystko mu się w rękach wikłało. Stalin wyczuwał w Leninie jakąś wątłość charakteru, skłonność do kapryśnych zmian, a także nieznamość ludzi, zupełny brak orientacji (sprawdził to na własnym przykładzie. Wystawiał Leninowi tylko jeden swój polec - i tylko w tym aspekcie Lenin go widział). Nie, ten człowiek nie nadawał się do bijatyki w ciemno, a przecież na tym polega prawdziwa polityka. Siebie samego Stalin uważał za człowieka o tyle twardszego i mocniejszego niż Lenin, o ile 66 stopni szerokości północnej (na której leży Turuchań, miejsce jego zesłania) to więcej niż 54 stopnie posiołka Szuszenskoje (gdzie mieszkał na zesłaniu Lenin). I jakie też miał życiowe doświadczenie ten książkowy teoretyk? Nie przeżył cierpień niskiego pochodzenia, upodlenia, nędzy, prawdziwego głodu; chociaż chudopacholek, ale przecież z ziemian pochodził. Ani razu nie uciekał ze swego zesłania, taki przykładny był! Nie wiedział, co to prawdziwe więzienie, nie wiedział nawet, co to prawdziwa Rosja. 14 lat szwendał się na emigracji. A co napisał - tego Stalin nie przeczytał nawet do połowy, nie wierzył, że znajdzie tam coś mądrego (Owszem, zdarzały mu się wyborne sformułowania, na przykład: „Czym

jest dyktatura? Jest to władza nieograniczona, nieskrępowana żadnym prawem”. Stalin napisał na marginesie: „Doskonale”). Toż gdyby Lenin miał naprawdę trzeźwe rozeznanie, to już od pierwszych dni wybrałby Stalina jako najbliższego towarzysza i powiedziałby: „Pomóż mi, znam się na polityce, na walce klasowej, ale nie znam się na żywych ludziach!”. A tymczasem nie przyszło mu do głowy nic lepszego, jak mianować Stalina jakimś tam pełnomocnikiem od zaopatrzenia miast w chleb i posłać go na krańce Rosji. Stalin najbardziej by mu się przydał właśnie w stolicy, ale on go posłał do Carycyna...

I całą wojnę domową Lenin przesiedział sobie na Kremlu, dbał o własną skórę. Tymczasem Stalin musiał przez trzy lata koczować, szastać się po całym kraju, czasem wierzchem, czasem na taczance, marznąć, grzać się przy ogniskach. No, owszem, Stalin tamtych lat podobał się sam sobie: był jak młody generał bez stopnia, szykowny, z fasonem; skórzana czapka z gwiazdeczką, dwurzędowy oficerski szynel z miękkiego sukna, z tyłu rozcięty po kawaleryjsku, rozpięty; chromowe buty z cholewami, szyte, na miarę; twarz pełna mądrości, młoda, wygolona, tylko te wąsy lite; żadna kobieta się nie oprze (zresztą jego trzecia żona to istna piękność).

Szabli nie tykał, rzecz jasna, i pod kule się nie pchał, jego życie ważniejsze było dla rewolucji; toć nie był pospolitakiem, jak jakiś Budionny. Przyjedzie człowiek do nowej miejscowości - do Carycyna, do Permu czy do Piotrogradu - to musi z początku pomilczeć, ograniczyć się do paru pytań, musnąć wąsy. A kiedy później na jednej liście napisze „rozstrzelać”, kiedy na drugiej liście też to słowo napisze - to zaraz go ludzie zaczynają bardzo szanować.

Nie ma co gadać, wykazał się już wtedy jako wielki dowódca, ojciec zwycięstw.

Całej tej szajce, która pchała się na szczyty, otaczając Lenina ścisłym kółkiem, chodziło tylko o władzę; wszyscy oni chcieli błysnąć swoją mądrością, subtelnością, bogactwem duchowym. Chełpili się zwłaszcza tym bogactwem. Gdzie dwa razy dwa dawało cztery, oni wrzeszczeli chórem, że jest tam jeszcze jedna dziesiąta i dwie setne. Ale najgorszy, najobrzydliwszy ze wszystkich był Trocki. Drugiego takiego łajdaka Stalin nie spotkał w całym swoim życiu. W nikim nie znalazł tyle pychy i tyle pretensji do krasomówstwa; a jak dyskutował, to nigdy uczciwie nie powiedział - „tak” to „tak”, a „nie” to „nie”, tylko zawsze: i tak - i tak albo ani tak, ani tak! Ani pokój, ani wojna - jaki rozsądny człowiek potrafi to zrozumieć? A jego zarozumiałstwo? Miotał się po Rosji w salonce, jak sam car. Jak ci mogło strzelić do łba, żeby zostać głównodowodzącym, skoro nie masz,

bydlaku, żyłki strategicznej?

Tak mu ten Trocki dojadł, że tocząc z nim walkę, Stalin z początku się omsknął. Sprzeniewierzył się bowiem naczelnej zasadzie wszelkiej polityki: nie okazywać w ogóle wrogości, nie pokazywać, że przeciwnik cię drażni. Stalin zaś otwarcie sprzeciwiał się Trockiemu, łątał go ustnie i na piśmie, skarżył się na niego Leninowi przy każdej okazji. I gdy tylko dowiadywał się, że w jakiejś sprawie Trocki podjął decyzję czy wyraził swoją opinię - Stalin natychmiast udowadniał, że ma być wręcz przeciwnie. Ale w ten sposób nie można osiągnąć przewagi. I Trocki tłukł go jak stójkowy pałką. Wypędził go z Carycyna, przepędził z Ukrainy. Pewnego razu Stalin otrzymał nawet surową nauczkę; przekonał się, że nie wszystkie sposoby walki są skuteczne, że istnieją chwytty niedozwolone: wspólnie z Zinowiewem oskarżyli Trackiego przed Politbiurem, że samowolnie każe ludzi rozstrzeliwać. I wówczas Lenin wziął kilka czystych blankietów, u spodu każdego napisał „Aprobuję z góry!” - i w ich obecności wręczył je Trackiemu.

To była dobra lekcja! Wstyd! Bo na co właściwie się skarżył?! Nawet w najbardziej zaciętej walce nie wolno apelować do czyjejś wspaniałomyślności. Rację miał Lenin i nawet Trocki wyjątkowo miał tu rację: jak się nie chce rozstrzeliwać bez żadnego sądu - to się w ogóle do niczego w historii nie dojdzie. Wszyscy jesteśmy ludźmi i nasz rozum ustępuje przed lada odruchem uczuciowym. Każdy człowiek ma swój zapach i to decyduje o twoim stosunku do niego, zanim jeszcze rozum ci opinię podpowie. Oczywiście, pomylił się, przedwcześnie ujawniając swój stosunek do Trackiego (nigdy więcej tej pomyłki nie powtórzył). Ale podobne odruchy uczuciowe jak najśluszniej zdecydowały o jego podejściu do Lenina. Gdyby kierował się rozumem - to powinien był Leninowi się przypo-chlebiać, wołać: „Ach, jakie to słuszne! Jestem za!”. Jednakże, nieomylny instynkt pchnął Stalina na zupełnie inną drogę, każąc odpowiadać coraz bardziej po grubiarisku i upierać się przy swoim zdaniu jak osioł - że niby taki ze mnie nieokrzesany, niewykształcony, chamowaty facet, chcecie, to mnie bierzcie, a jak nie, to nie. Nie dość, że zwracał się do Lenina w sposób opryskliwy; dochodziło nieraz do zwykłego chamstwa („Mogę być na froncie jeszcze dwa tygodnie, potem muszę mieć urlop, róbcie, co chcecie” - komu jeszcze mógłby to Lenin wybaczyć?), ale właśnie taki - przekorny, nieustępliwy, zyskał sobie szacunek Lenina. Lenin poczuł, że ten „cudowny Gruzin” to silna postać, że tacy ludzie są bardzo potrzebni, a w przyszłości będą jeszcze potrzebniejsi. Lenin chętnie słuchał Trackiego, ale przysłuchiwał się także temu, co mówi Stalin. Jak się szturchnie Stalina, to trzeba szturchnąć także Trackiego.

Jeden dostaje naganę za Carycyn, więc drugi musi dostać - za Astrachań. „Musicie nauczyć się współpracy” - wciąż ich namawiał, ale godził się także z tym, że nie ma między nimi zgody. Trocki przybiegł ze skargą, że w całej republice obowiązuje prohibicja, a tymczasem Stalin spija wina z carskiej piwnicy na Kremlu i że jeżeli front się o tym dowie... - Stalin wykręcił się żartem, a Lenin się roześmiał i Trocki wyszedł z niczym, kręcąc swoją szpicbródką. Stalin został zdjęty z Ukrainy - ale zaraz dostał inny komisariat: Kontroli Robotniczo-Chłopskiej. To było w marcu 1919 roku. Stalin miał trzydzieści dziewięć lat. W czyichś innych rękach Komisariat Kontroli pozostałby jakimś mizernym urzędem od inspekcji, ale w rękach Stalina przeistoczył się w najważniejszy resort! (Lenin właśnie tego sobie życzył. Zrozumiał, że Stalin jest twardy, nieugięty, nieprzekupny.) Właśnie Stalinowi zlecił Lenin pieczę nad sprawiedliwością w sprawach Republiki, nad uczciwością działaczy partyjnych, do najwybitniejszych włącznie. Sam charakter tej pracy, oczywiście jeśli ma się o niej właściwe pojęcie, jeśli składa jej się całą duszę w ofierze i nie szczędzi się dla niej zdrowia, zmuszał teraz Stalina, aby w sekrecie, (ale też w majestacie prawa) kolekcjonować kompromitujące materiały, dotyczące wszystkich odpowiedzialnych działaczy, rozsyłać kontrolerów i gromadzić donosy po to, aby w następstwie móc kierować czystkami. Należało w tym celu stworzyć aparat i dobrać sobie zewsząd ludzi tak samo ofiarnych, tak samo nieugiętych, do niego właśnie podobnych, gotowych do pracy w cieniu i bez chwały. Praca to żmudna, wymagająca cierpliwości i czasu, ale Stalin był do niej przygotowany.

Słusznie ludzie powiadają, że człowiek dorośleje dopiero po czterdziestce. Dopiero wtedy rozumie, jak żyć trzeba i jak trzeba postępować. I dopiero wtedy Stalin zrozumiał, że najsilniejszym jego orężem jest siła nieujawnionych decyzji. Wewnętrznie człowiek decyzję już podjął, ale czyjej głowy ta decyzja dotyczy - tego jej właściciel nie powinien wiedzieć przed czasem (Kiedy ta głowa spadnie - wtedy niech się przekona). I druga potencja - to nie wierzyć niczyim słowom, a do własnych słów nie przywiązywać żadnego znaczenia. Nie mów nigdy z góry, co masz zamiar zrobić (może nawet sam tego nie wiesz, jeszcze zobaczymy), tylko mów o tym, co twego rozmówcę uspokoi. Trzecia rękojmia mocy: jeżeli ktoś cię zdradził - nie wolno mu nigdy wybaczyć, a jeśli sam kogo ugryzłeś - to nie wolno go wypuścić z kłów, za żadną cenę mu nie popuścić, choćby słońce bieg odwróciło i kije z nieba leciały. I czwarta potencja: nie zawracać sobie głowy teoriami, to jeszcze nikomu nie pomogło (jakąś teorię zawsze da się później dorobić), tylko wciąż zważać na jedno: z kim masz teraz po drodze i do jakiego zakrętu.

Takim właśnie sposobem odkręciła się stopniowo ta historia z Trackim - z początku dzięki pomocy Zinowiewa, a później również Kamieniewa (Stosunki z tą parką stały się isticie serdeczne). Stalin uświadomił sobie, że niepotrzebnie tak się Trackim przejmował: takich ludzi jak Trocki wcale nie trzeba spychać do jamy; tak długo będą skakać, aż sami do niej wpadną. Stalin swoje wiedział, pracował bez rozgłosu: powoli dobierał sobie kadry, kontrolował ludzi, zapisywał sobie w pamięci każdego, kto miał mu się kiedyś przydać, i czekał na okazję, aby poprzeć go i awansować. Minęło trochę czasu - i jakże inaczej! - Trocki potknął się o sprawę związków zawodowych; namieszał, nagadał bzdur, rozgniewał Lenina - toć partii nie docenił! - a Stalin miał już w zapasie tych, co powinni byli zastąpić ludzi Trackiego: Zinowiewa na miejsce Kriestinskiego, Mołotowa - na stanowisko Priobrażenskigo, Jarosławskiego zamiast Sieriebriakowa. Weszli do KC i Woroszyłow, i Ordżonikidze, sami swoi. I wielki dowódca naczelny zachwiał się na swoich żurawich nóżkach, a Lenin zrozumiał, że jedność partii opiera się tylko na Stalinie, jak na skale, na Stalinie, który niczego nie chce dla siebie, o nic nie prosi. Prostoduszny, sympatyczny Gruzin tym ujmował ludzi, że nie pchał się na trybunę, nie dbał o popularność, o rozgłos, w przeciwieństwie do tamtych, że nie pysznił się znajomością dzieł Marksa, nie popisywał się cytatami, tylko skromnie pracował, dobierając ludzi do aparatu partyjnego - zawsze na uboczu. Towarzysz stanowczy, bardzo uczciwy, ofiarny, gorliwy, to prawda, że nie najlepiej wychowany, chamowaty i nie za bystry. I kiedy Iljicz się rozchorował - wybrano Stalina na generalnego sekretarza, tak jak niegdyś Miskę Romanowa obrano carem, bo nikt go się nie bał.

Było to w maju 1922 roku. Kto inny by się tym zadowolił i przysiadł na stołku pełen uciechy. Ale nie Stalin. Kto inny zabrałby się do lektury „Kapitału”, robiłby z niego wypisy. Stalin zaś tylko nosem pociągnął i zaraz się połapał: moment jest przełomowy, zdobycze rewolucji są w niebezpieczeństwie, nie wolno tracić ani chwili; Lenin władzy nie utrzyma i sam jej nie przekaże w odpowiednie ręce. Lenin traci zdrowie i może to nawet lepiej. Gdyby został na dłużej u steru władzy, to za nic nie można by ręczyć. Rozkojarzony, porywczy, a jeszcze chory, działał teraz na nerwy, po prostu przeszkadzał w pracy. Wszystkim przeszkadzał w pracy! Był zdolny skłąć człowieka bez żadnego powodu, spiorunować, usunąć ze stanowiska.

Pierwszy pomysł był taki, żeby posłać Lenina na przykład na Kaukaz, na kurację. Powietrze tam dobre, prawdziwa głusza, połączenia telefoniczne z Moskwą nie ma,

depesze idą powolutku; tam jego nerwy uspokoją się z dala od państwowych problemów. I zdrowia jego miał pilnować wypróbowany towarzysz, były specjalista od eksów i rozbojów - Karno. Lenin już wyraził zgodę, już rokowano w tej sprawie z Tyflisem, ale coś za długo to trwało. A tu jeszcze Kamo wpadł pod samochód (za dużo gadał o tych eksach).

Wówczas, niepokojąc się bardzo o życie wodza, zaprzął do pracy Komisariat Zdrowia i profesorowie od chirurgii przypomnieli, że przecież kula Dory Kapłan nie została usunięta, że zatrąwa organizm i że trzeba zrobić jeszcze jedną operację, aby ją wyjąć. Lekarzy już przekonał. Wszyscy powtarzali, że to konieczne, sam Lenin też się zgodził - ale sprawa się ciągnęła i skończyło się na wyjeździe na daczę rządową we wsi Górki.

„Wobec Lenina konieczna jest stanowczość!” - pisał Stalin do Kamieniewa. Kamieniew zaś i Zinowiew, jego najlepsi przyjaciele w tym okresie, zupełnie się z tym zgadzali. Trzymać się ściśle planu kuracji, surowy reżym, stanowczy zakaz zajmowania się sprawami państwa - wszystko po to, by zachować to bezcenne życie. I ściśle odseparowanie od Trackiego. Krupską też trzymać krótko, traktować ją jak zwykłego towarzysza partyjnego. „Odpowiedzialnym za zdrowie towarzysza Lenina” został Stalin i nie uważał wcale za czarną robotę osobistych kontaktów z lekarzami, a nawet pielęgniarkami; klarował im, jaki właściwie reżym jest dla Lenina najodpowiedniejszy. Najlepiej to wszystkiego mu zabraniać, nawet jeśli się denerwuje. Również w dziedzinie polityki. Nie podoba mu się projekt ustawy o Czerwonej Armii - a więc doprowadzić do uchwały, nie podoba mu się projekt Wszechrosyjskiego Komitetu Wykonawczego - przegłosować, bo ustępować nie wolno, przecież Lenin jest chory i nie wie, co lepsze. Jeżeli żąda przyspieszenia jakiejś sprawy - to właśnie trzeba zwolnić jej bieg, odroczyć. I wolno nawet odmawiać bardzo ostro, po grubiańsku - bo towarzysz gensek jest już taki prostolinijny, to sprawa charakteru.

Jednakże, mimo wszystkich wysiłków Stalina, Lenin jakoś nie mógł wyzdrowieć, choroba przeciągnęła się aż do jesieni, a tymczasem zaostrzył się jeszcze spór w sprawie komitetów wykonawczych; Lenin stanął na nogi, ale nie na długo. Podniósł się z łoża boleści tylko po to, żeby w grudniu 22-go roku znów zawrzeć serdeczny sojusz z Trackim; przeciw Stalinowi, rzecz jasna. Nie było może po co wstawać, lepiej znowu wrócić do łóżka. Nadzór lekarski stał się jeszcze surowszy, nie wolno mu było czytać, pisać, wiedzieć, co się dzieje; ma jeść kaszkę mannę i tyle. Drogi Iljicz postanowił w tajemnicy przed gensekiem napisać polityczny testament - znów przeciw Stalinowi. Wolno mu było dyktować pięć minut dziennie, ani chwili dłużej (Stalin nie pozwolił). Ale sekretarz generalny uśmiechał się tylko

pod wąsem: stenografistka stuk-puk obcasikami i zaraz przynosiła mu kopię. Zdarzyło mu się wtedy ofuknąć Krupską, bo zasłużyła - a nasz najdroższy Iljicz strasznie się zirytował, no i masz - trzeci udar! Tak oto spełzły na niczym wszystkie wysiłki, aby uratować mu życie.

Lenin umarł w bardzo stosownej chwili: Tracki akurat był na Kaukazie i Stalin kazał podać mu mylną datę pogrzebu. Bo też po co ma przyjeżdżać: znacznie lepiej i o wiele poważniej brzmić będzie przysięga wierności, jeśli nad trumną wygłosi ją generalny sekretarz.

Ale Lenin zostawił testament. Mógł on wywołać wśród towarzyszy niesnaski, mógł nie być właściwie zrozumiany, już tam ktoś chciał odebrać Stalinowi stanowisko generalnego sekretarza. Wówczas Stalin zawarł jeszcze ściślejszy alians z Zinowiewem; tłumaczył mu, że najprawdopodobniej on teraz zostanie przywódcą partii, a na XIII Zjeździe odczyta referat w imieniu KC, jako przyszły I wódz. Stalin zaś zostanie sobie skromnym gensekiem, niczego więcej mu nie trzeba. I Zinowiew rozpuścił pawi ogon na trybunie, przeczytał sprawozdanie (i na sprawozdaniu się skończyło, bo też nie miało być żadnych wyborów, toć nie ma takiego stanowiska - „wódz partii”); a za ten bilet wstępu na trybunę Zinowiew namówił KC, żeby nie czytać na zjeździe testamentu i nie usuwać Stalina, bo już się chłopak poprawił.

Wszyscy w Politbiurze byli wtedy bardzo jednomyślni i wszyscy byli przeciw Trockiemu. Sprawnie odrzucali jego propozycje i usuwali ze stanowisk jego zwolenników. Jakiś inny gensek poprzestałby na tym. Ale nieznużony, wiecznie czujny Stalin wiedział, że pokój jeszcze za siódmą górą.

Czy to dobrze, że Kamieniew został zamiast Lenina przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych? (Kiedy razem z Kamieniewem chadzali w odwiedziny do chorego Lenina, Stalin gęsto tłumaczył się w „Prawdzie”, że bywał tam czasem sam, bez Kamieniewa. Na wszelki wypadek. Ale wiedział, że Kamieniew też nie jest nieśmiertelny). Czy nie lepiej zrobić premierem Rykowa? I sam Kamieniew się zgodził, i Zinowiew też, proszę, co to znaczy przyjaźń!

Ale wkrótce tą przyjaźnią wstrząsnął silny cios: okazało się, że Zinowiew-Kamieniew to dwulicowi obłudnicy, że chodzi im tylko o władzę, że leninowskie idee mają za nic. Musiał człowiek im dać po łapach. Stali się „nową opozycją” (do spółki z tą pleciugą - Krupską); Trocki chwilowo siedział cicho, liżąc rany. Wytworzyła się bardzo sympatyczna sytuacja. I tu akurat nawiązała się nadzwyczaj serdeczna przyjaźń między Stalinem a tym

miłym Bucharczykiem, co to biegał za głównego teoretyka partii. Bucharczyk przemawiał, Bucharczyk podsuwał teoretyczne uzasadnienia (tamci wołają - „Natarcie na kułaka!”, a my z Bucharinem zalecamy „Współpracę wsi z miastem!”). Sam Stalin wcale nie dbał o rozgłos ani o kierowanie tą kampanią, tylko patrzył, kto jak głosuje i komu należy się odpowiedzialne stanowisko. Już wielu odpowiednich towarzyszy zajmowało wiele odpowiednich stanowisk i głosowało odpowiednio. Odsunięto Zinowiewa od kierowania Kominternem, odebrano im Leningrad.

Powinni byli przycupnąć teraz pokornie, tymczasem nic podobnego: połączyli się z Trockim. Ten kabotyn też się połapał, zresztą ostatni raz, i rzucił hasło: „Uprzemysłowienie”. Ale my z Bucharczykiem wołamy, że przede wszystkim - jedność partii! Jak jedność, to posłuszeństwo przede wszystkim! Zesłano Troc-kiego do Ałma-Aty, a Zinowiew z Kamieniewem musieli zamknąć pyski.

Bardzo wtedy przydał się leninowski werbunek, masowy pobór do partii po śmierci wodza: teraz większość partii złożona była z ludzi nie zarażonych inteligenckim bakcylem, wolnych od zarazy sporów, przyniesionej z konspiracji czy emigracji, ludzi, dla których nic już nie znaczył dawny autorytet przywódców, a jedynie ich dzisiejsze oblicze. Z dołów partyjnych wypływali na wierzch ludzie zdrowi, ludzie oddani i zajmowali ważne stanowiska. Stalin nigdy nie wątpił, że się znajdą i że to oni uratują zdobycze rewolucji.

Ale znowu zdarzyła się fatalna niespodzianka: wyszło na jaw, że Bucharin, Tomski i Ryków to też obłudnicy, że nie zależało im na jedności partii! I Bucharin zdemaskował się jako główny mąciwoda; też mi teoretyk. I to jego sprytne hasło „sojusz miasta ze wsią” maskowało tylko chęć restauracji, gotowość do kapitulacji wobec kułaków, groziło załamaniem się procesu uprzemysłowienia!... Ale nareszcie pojawiły się właściwe hasła. Tylko Stalin potrafił je sformułować: atakować kułaka i forsować uprzemysłowienie! I - nade wszystko - jedność partii! A całe to nikczemne „prawicowe” towarzycho zostało odsunięte od władzy.

Bucharin popisywał się cytatką z jakiegoś mądrali: „intelekty tuzinkowe nadają się lepiej do sprawowania władzy”. Ale tu omsknął się nasz Bucharczyk razem ze swoim mądralą: nie t u z i n k o w e, tylko zdrowe. Zdrowy rozum, ot co.

A jakie były te wasze intelekty - to pokazaliście na swoich procesach. Stalin siedział na galerii w zamkniętej loży, patrzył na nich zza siatki i tylko się uśmiechał: cóż to byli kiedyś za krasomówcy! jacy wydawali się silni! i co z nich teraz się porobiło? mokra miazga.

Tak, tak, znajomość natury ludzkiej, rzeczowość przy jej ocenie zawsze pomagały Stalinowi. Rozumiał tych, których miał przed oczyma. Ale rozumiał też takich, których nie widział. Kiedy pojawiły się trudności w 31-ym, w 32-im, kiedy w całym kraju nie było co włożyć ani na grzbiet, ani do gęby, wówczas mogło się wydawać, że starczy pchnąć tylko ten kraj z zewnątrz, a wszyscy polecimy na łeb. Partia więc rzuciła hasło: bić na alarm, grozi nam zagraniczna interwencja! Ale Stalin nigdy nie wierzył w to ani trochę, bo miał zawczasu wyrobione pojęcie także o tych gadułach z Zachodu.

Trudno objąć rozumem, ile sił, ile zdrowia, ile cierpliwości trzeba było, żeby oczyścić od wrogów partię i państwo, żeby oczyścić leninizm - tę bezbłędną teorię, której Stalin zawsze był wierny: wykonywał jak najściślej to, co zamierzał Lenin, tyle, że trochę łagodniej i bez hałasu.

Ileż wysiłku - a mimo wszystko nigdy nie było prawdziwego spokoju, zawsze ktoś musiał leżeć w paradę.

A to rzucał się ten krzywousty szczeniak, Tuchaczewski, że niby z winy Stalina nie wziął Warszawy. A to - nie najlepiej skończyła się sprawa operacji Frunzego, cenzor był gapa. A to w jakiejś szmatławej książeczynie Stalin wystąpił jako umarły, stojąc sztorcem na szczycie góry; nawet to ci idioci przegapili. To znów Ukraina ukrywała ziarno, Kubań strzelała z obrzynów, nawet Iwanowo strajkowało.

Ale Stalin ani razu nie stracił panowania nad sobą; po tej historii z Trockim - nigdy więcej tego błędu nie popełnił. Wiedział, że żarna historii mielą powoli, ale przecież się obracają. Bez żadnego tam paradnego hałasu i tak wszyscy jego wrogowie, wszyscy zawistnicy pójdą precz, zginą, zmieleni będą na nawóz (Krzywdzili Stalina autorzy tych książek, ale jakkolwiek starali się go skrzywdzić - Stalin nie mścił się, nie za t o się mścił, nie byłoby to budujące. Czekał na inną okazję i okazja zawsze się zdarzała).

I to też prawda: ktokolwiek podczas wojny domowej dowodził choćby tylko batalionem, choćby nawet kompanią w oddziałach, które nie Stalinowi były wierne - zniknął, podziewał się gdzieś. Także delegaci XII, XIII, XIV, XV a także XVI i XVII Zjazdu - zupełnie jakby według spisu szli tam, gdzie nie ma żadnych głosowań ani przemówień. Dwa razy przeorały czystki Leningrad, miasto niebezpieczne, co to lubi stawać okoniem. I trzeba było poświęcić nawet niejednego druha, jak Sergo Ordżonikidze. Nawet gorliwych pomocników, takich jak Jagoda czy Jeżów, też musiał człowiek się pozbywać.

Ale w końcu dopadli Trockiego, rozłukli mu czachę.

Zniknął z powierzchni ziemi najgorszy wróg i zdawało się, że czas już na zasłużony wypoczynek. Zatrąła mu go Finlandia. Za to sromotne dreptanie w miejscu na przesmyku wstyd było po prostu przed Hitlerem, który tymczasem spacerował po Francji z laseczką! Ach, ta plama na honorze genialnego dowódcy! Tych Finów, to na wskroś burżuazyjne, wrogie plemię trzeba by zesłać na pustynię Kara-Kum, co do jednego, nie wyłączając niemowląt, pociągami; gotów był sam siedzieć przy telefonie i zapisywać meldunki: ilu już rozstrzelano i zakopano, a ilu jeszcze zostało.

A kłopoty, a nieszczęścia zaczęły spadać na Stalina jak ta lawina. Oszukał go Hitler, wziął i napadł, taka wspaniała koalicja się rozsypała; co za nieporozumienie! I przed mikrofonem zadrżały Stalinowi wargi, wyrwało się z nich to „bracia i siostry!”, nie da się już tego z historii wytrawić. A ci bracia z siostrami uciekali jak barany i nikt nie chciał trwać na posterunku kosztem życia, chociaż zostało im jasno powiedziane, żeby właśnie kosztem życia. Dlaczego właściwie nie bronili kosztem życia? dlaczego nie od razu zaczęli bronić?... Jakie to przykre.

A jeszcze ta ucieczka do Kujbyszewa, do pustego schronu. Nieraz bywał w trudnych sytuacjach i nigdy się nie ugiął, a tu raz wpadł w panikę i to bez powodu. Chodził po tych pokojach i przez tydzień telefonował: czy Moskwa już skapitulowała? już ją oddali? nie, nie oddali!! Nie sposób było uwierzyć, że potrafią ich zatrzymać, a jednak zatrzymali! Zuchy, owszem. Zuchy. Ale niejednego trzeba było usunąć: co to będzie za zwycięstwo, jeśli rozejdzie się pogłoska, że Dowódca Naczelny na jakiś czas wybył (Dlatego właśnie trzeba było siódmego listopada zaaranżować dla fotografów niedużą paradę na Placu Czerwonym).

A berlińskie radio prało brudną bieliznę: wciąż gadało o zabiciu Lenina, Frunzego, Dzierżyńskiego, Kujbyszewa, Gorkiego - pleć pleciugo! Stary wróg, tłusty Churchill, świnia w sam raz na szaszłyk, przyleciał, żeby nacieszyć się cudzym nieszczęściem i wypalić na Kremlu parę cygar. Zdradzili Ukraińcy (w 44-ym roku roił mu się taki zamiar, żeby wysiedlić całą Ukrainę na Sybir, tylko kto by ich zastąpił, za dużo ich); zdradzili Litwini, Estowie, Tatarzy, Kozacy, Kał-mucy, Czeczeńcy, Ingusze, Łotysze - nawet Łotwa, ta podpora rewolucji! I nawet swoi, to znaczy Gruzini, których chronił przed mobilizacją - też jakby czekali na Hitlera. I wiernymi swojemu Ojcu okazali się jedynie Rosjanie i Żydzi.

W ten sposób nawet kwestia narodowa, jego specjalność, zadrwiła sobie z niego...

Ale, chwała Bogu, również te kłopoty się skończyły. Sporo zyskał, gdy udało mu się obegrać Churchilla i tego świętoszka Roosevelta. Tak, jak teraz z tymi dwoma niedorajdami,

udało mu się tylko raz, na początku lat dwudziestych. Kiedy miał odpowiadać na ich listy albo kiedy w Jałcie przerywał rozmowy i wracał do swoich komnat - to ledwie tłumił śmiech. Działacze państwowi! Uważają się za mędrców - a tymczasem głupi jak oseski. Wciąż wypytyują: a jak to będzie p o w o j n i e, jak to będzie? Wysyłajcie tymczasem samoloty, przysyłajcie konserwy, a jak się później świat urządzi, to dopiero zobaczymy. Rzuci im człowiek jakieś słówko, byle jakie słówko, a ci już się cieszą, już je wpisują do protokołu. Zrobi człowiek wzruszoną, życzliwą minę, a ci rozplývają się w dwójnasób. Dostał od nich za bezdurno, za funt kłaków: Polskę, Saksonię, Turyngię, własowców, kozaków Krasnowa, Wyspy Kurylskie, Sachalin, Port Artura, pół Korei, omotał ich nad Dunajem i na Bałkanach. Przywódcy chłopskich stronnictw zwyciężali w wyborach i od razu szli do więzienia. Żwawo załatwiono Mikołajczyka, Beneszowi serce nawaliło, Masaryk wyleciał przez okno, kardynał Mindszenty przyznał się do zbrodni, a Dymitrow w kremlo wskim szpitalu, na kardiologii, wyrzekł się swojego głupiego pomysłu Federacji Bałkańskiej.

I posłano do obozów wszystkich sowieckich ludzi, którzy zasmakowali europejskiego życia. I wrzepiono następne dziesięć lat wszystkim, którzy tylko raz siedzieli.

No, teraz już wszystko zaczynało dobrze się toczyć, tak się zdawało.

Ale oto, kiedy nawet wśród szelestów tajgi nie sposób było nic usłyszeć o żadnym innym rodzaju socjalizmu - wypełził skądś ten czarny smok Tito i zasłonił nowe horyzonty.

Jak baśniowy bohater, Stalin ostatnie siły tracił na ścinanie łbów hydrze, a te wciąż odrastały na nowo... Jak to? Jak mógł dać się tak zwieść temu skorpionowi? On! Taki znawca dusz ludzkich! Przecież w 36-tym roku już go nasi trzymali za gardło - a jednak pozwolili ujść cało!... Ajajajajaj...

Stalin ze stęknieniem opuścił nogi z otomany i objął oburącz swoją łysiejącą głowę. Toczyła go nieuleczalna zgryzota. Zwalił w życiu całe góry - a tu potknął się o byle śmierdzącą kępę.

Josif potknął się o swojego imiennika.

Nic nie wadził Stalinowi Kierenski, gdzieś daleko czekający na kres swego żywota. Niechby wstał z grobu nawet Mikołaj Drugi czy Kołczak - Stalin osobiście nic przeciw nim nie miał: to jawni wrogowie, nigdy nie usiłowali nikomu wkręcić jakiegoś tam własnego, nowego, lepszego socjalizmu.

Lepszy socjalizm! Żeby i n a c z e j niż u Stalina! Pęta! Socjalizm bez Stalina - to

przecież zwyczajny faszyzm.

Nie chodzi o to, że Ticie może cokolwiek się udać - będą z tego nici! Jak stary konował - co to rozpruł krocie kałdunów, co odrąbał mnóstwo kończyn - w kurnych chatach i przy drogach - patrzy na śnieżnobiałą praktykantkę-medyczkę, tak właśnie patrzył Stalin na Titę.

Ale Tito znów zadzwonił w stare brzękadła dla durniów: „kontrola robotnicza”, „ziemia dla chłopów”, wszystkie te bańki mydlane pierwszych lat rewolucji.

Już trzykrotnie korygowano zbiorowe wydanie Lenina, dwukrotnie zaś - Twórców Doktryny. Dawno już zamknęli oczy ci wszyscy, którzy toczyli spory, ci cytowani w starych przypisach, ci, co to chcieli budować socjalizm inaczej. I dzisiaj, kiedy dla wszystkich jest jasne, że nie ma żadnej innej drogi i że nie tylko socjalizm, ale nawet komunizm dawno by już mógł być zbudowany - - gdyby nie pycha wielkorządców; gdyby nie ich kłamliwe raporty; gdyby nie bezduszność biurokratów; gdyby nie obojętność wobec wspólnej sprawy - - gdyby nie braki pracy organizacyjno-uświadamiającej wśród mas; gdyby nie puszczanie oświaty partyjnej samopas; gdyby nie zbyt wolne tempo w budownictwie - - gdyby nie przestoje w fabrykach. Tolerowanie bubli. Złe planowanie. Opory wobec nowej techniki. Stagnacja w instytucjach naukowo-badawczych. Niedokształcenie młodych specjalistów. Uchylenie się młodzieży od wyjazdów w głęboki teren. Sabotaż więźniów. Straty ziarna przy zbiorach. Defraudacje w księgowości. Kradzieże z magazynów. Machlojki administratorów. Lewe kursy kierowców - - gdyby nie ślepotą prowincjonalnych władz! Gdyby nie liberalizm i łapówki w milicji! Gdyby nie nadużycia przy rozdziale mieszkań! Bezczelni spekulanci! Chciwe baby! Rozpuszczone dzieci! Tramwajowe plotkarstwo! Czarnowidztwo w literaturze! Wypaczenia w kinematografii! - - kiedy więc dla wszystkich jest już jasne, że komunizm kroczy słuszną drogą i że jest już nie za górami - właśnie wtedy wyskakuje ten kretyn Tito ze swoim talmudystą Kardeljem i oświadcza, że komunizm trzeba budować nie w ten sposób!!!

Tu dopiero Stalin spostrzegł się, że krzyczy głośno, że macha ręką, że serce w piersi mu galopuje, że ćmi mu się w oczach i że we wszystkich członkach wzbiera przykry dygot.

Odetchnął głęboko. Przesunął dłonią po twarzy, po wąsach. Powtórzył ten gest. Nie wolno tak się przejmować.

Tak, trzeba przyjąć Abakumowa.

Chciał wstać, ale tu jego wzrok, już rozjaśniony, padł na tanią broszurę w czarno-

czerwonej okładce, leżącą na stolyczku obok telefonu. Sięgnął po nią z satysfakcją, podłożył sobie jeszcze parę poduszek i znów na nich przyległ na kilka chwil. Był to egzemplarz sygnałny publikacji, tłoczony w wielomilionowym nakładzie, w dziesięciu naraz europejskich językach: „Tito - marszałek zdrajców” Renaud de Jouvenela (Dobrze się składa, że autor nie jest stroną w sporze, ot, obiektywny Francuz, na domiar jeszcze ze szlacheckim „de”). Stalin przeczytał już uważnie tę książeczkę przed paru dniami (zresztą konsultował autora w trakcie jej pisania), lecz - jak to bywa z miłą lekturą - nie chciało się człowiekowi z nią rozstawać. Iluż ludziom otworzy ona oczy na tego zarozumiałego, egoistycznego, okrutnego, tchórzliwego, ohydneho, obłudnego, podłego tyrana! nędznego zdrajcę! beznadziejnego durnia! Toż nawet komuniści na Zachodzie dali się zbić z pantalątku; jakby zeza dostali, nie wiedzą, komu ufać. Ten stary dureń Andre Marty! jego też za obronę Tity trzeba będzie wylać z partii.

Przerzucił parę stronic. Proszę! Niech nie kreują Tity na bohatera: dwa razy tak się zląkł, że chciał się już poddać Niemcom, ale szef sztabu Arso Jovanović z m u s i ł go do pozostania na czele armii. Szlachetny Arso! Zabity! A Petricević? „Zabity, jedynie za to, że kochał Stalina”. Szlachetny Petricević! Tych najlepszych zawsze ktoś morduje, a Stalin musi wykańczać najgorszych.

Wszystko tu jest, wszyściutko. I że Tito był pewno angielskim szpiegiem, i że pysnił się, kiedy zafasował gacie z królewską koroną, i że fizycznie jest odrażający, podobny do Goeringa, i że na wszystkich palcach nosi brylantowe pierścienie, i że chodzi obwieszony medalami i orderami (żałosna to pycha u człowieka wyzutego z geniuszu dowódczego).

Obiektywna, pryncypialna książka. Czy aby Tito nie jest impotentem? O tym też by warto napomknąć.

„Jugosłowiańska kompartia w rękach morderców i szpiegów”. „Tito jedynie dlatego mógł dorwać się do kierowniczych funkcji, że ręczył za niego Bela Kun i Trajczko Kostow”.

Kostow!! Stalina aż dźgnęło. Fala wściekłości buchnęła mu do głowy, wierzgnął butem z całej siły - w mordę Trajczko, w ten krwawy pysk! - szare powieki Stalina drgnęły z satysfakcji, z poczucia, że sprawiedliwości stało się zadość.

Przeklęty Kostow! Brudny łajdak!

Zadziwiające, jak po jakimś czasie stają się jasne intrygi tych łotrów! Wszyscy byli trockistami - ale jak potrafili się maskować! Kuna przynajmniej udało się rąbnąć w 37-ym, ale Kostow jeszcze przed dziesięciu dniami lżył socjalistyczny trybunał. Ileż to znakomitych

procesów Stalin wytoczył, jakich to wrogów zmusił do plucia sobie samym w pyski - a tu taka kraksa na procesie Kostowa! Wstyd przed całym światem! Jakież to podły krętacz! Oszukiwać w czasie śledztwa, tarzać się u stóp - żeby potem na sesji publicznej wszystko odwołać! Wobec zagranicznych korespondentów! Gdzie tu lojalność? gdzie sumienie partyjne? gdzie solidarność proletariacka? - skarżyć się imperialistom?! No dobrze, przypuśćmy, że jesteś niewinny - ale giń tak, żeby komunizm miał z tego jakąś korzyść!

Stalin odrzucił książkę. Nie, nie wolno się wylegiwać. Walka wzywa!

Wstał, nie od razu mogąc grzbiet rozprostować. Otworzył (i zamknął za sobą na klucz) drugie drzwi, nie te, do których pukał Poskriobyszew. Lekko szurając miękkimi podeszwami szedł teraz przez niziutki, wąski, kręty korytarzyk, też bez okien, minął luk tajnych wrót, wychodzących na podziemną autostradę, zatrzymał się obok lustrzanych okien, przez które można było niepostrzeżenie widzieć poczekalnię. Patrzył chwilę.

Abakumow już tam był. Z dużym notesem w rękach siedział w napięciu, czekając na wezwanie.

Coraz twardszym krokiem, już bez szurania, Stalin wszedł do sypialni, także niewysokiej, ciasnawej, bez okien, wyposażonej w klimatyzację. Pod dębową boazerią ściany sypialni opancerzone były stalowymi płytami, dopiero pod nimi był kamień.

Malutkim kluczykiem, który wisiał mu u paska, Stalin otworzył zameczek metalowej pokrywki i nalał sobie z karafki szklankę ulubionej, rzeźwiącej nalewki; wypił, a karafkę znów zamknął na klucz.

Zbliżył się do lustra. Jasno, z nieprzekupną twardością patrzyły te oczy, których spojrzenia bali się zagraniczni premierzy. Wygląd miał surowy, prosty, marsowy.

Zadzwonił na ordynansa-Gruzina, by pomógł mu się ubrać.

Nawet przed oczyma najbliższych chciał stawać jak przed obliczem historii.

Jego żelazna wola... nieubłagana wola...

Jeżeli górskim orłem być, to bez ustanku.

21

Nie żeby za oczami, ale nawet w głębi duszy nikt nie ośmielał się nazwać go „Saszka”, tylko „Aleksander Nikołajewicz”. „Dzwonił Poskriobyszew” to znaczy, że dzwonił On sam. „Poskriobyszew kazał” znaczyło, że był to J e g o rozkaz. Aleksander Nikołajewicz Poskriobyszew utrzymywał się na stanowisku szefa kancelarii osobistej Stalina już z piętnaście lat. To znaczy - bardzo długo i kto go nie znał, ten miał prawo się dziwić, że

dotąd jeszcze ta głowa nie rozstała się z szyją. Tymczasem zagadka była wcale prosta: był ordynansem z powołania - i to właśnie umacniało jego pozycję. Nawet wtedy, gdy otrzymywał nominacje na generała-lejtnanta, członka KC i szefa specgrupy dla obserwacji członków KC - Poskriobyszew uważał się w stosunku do Gospodarza dalej za nędzny pyłek. Ze szczęśliwym chichotem stukał się z nim kieliszkami, gdy ten wznosił toast za rodzinną wieś Poskriobyszewa, Soplaki. Stalin nigdy nie wyczuł intuicyjnie w Poskriobyszewie żadnych wątpliwości ani sprzeciwów. Nazwisko pasowało do niego; był jakby wypieczony z wyskrobków, jakby nie starczyło już dla niego zalet rozumu i charakteru.

Ale w stosunkach z niższymi rangą ten łysiejący dworak o chamowatym wyglądzie nosił się nader godnie. Gdy mówił z nimi przez telefon, ledwie raczył gębę otwierać; trzeba było omal całą głowę wtlaczać w głąb słuchawki, żeby cokolwiek usłyszeć. Niewykluczone, że czasem można było sobie z nim pozwolić na jakiś błahy żart, ale spytać go-jak tam dzisiaj?- nie, tu każdemu język kołczał.

Tej nocy Poskriobyszew powiedział do Abakumowa:

- Josif Wissarionowicz pracuje. Może nawet was nie przyjmie. Kazał czekać.

Odebrał mu teczkę (kto szedł do Stalina, musiał przed wejściem oddawać teczkę), wprowadził do poczekalni i wyszedł.

W ten sposób Abakumow nie ośmielił się nawet spytać o to, co chciał wiedzieć najbardziej: w jakim dziś Gospodarz jest nastroju. Został w poczekalni sam; serce ciężko mu biło.

Ten rosły, silny, stanowczy człowiek, idąc na audiencję za każdym razem konał ze strachu - wcale nie inaczej niż byle szary obywatel, gdy w czasie epidemii aresztowań słyszał nocne kroki na schodach. Ze strachu uszy mu najpierw lodowaciały, a później zaczynały płonąć - i Abakumow jeszcze tego zawsze się bał, że te jego wieczne czerwone uszy wzbudzą podejrzenia u Gospodarza. Byle głupstwo mogło nasunąć Stalinowi podejrzenia. Nie lubił, na przykład, gdy ktoś sięgał przy nim do swojej wewnętrznej kieszeni. Dlatego Abakumow poprzekładał do zewnętrznej kieszonki na piersi wszystkie trzy wieczne pióra, jakie zawsze miał w pogotowiu.

W codziennej robocie wszystkie dyrektywy dla Bezpieczeństwa Państwowego szły przez Berię, za jego to pośrednictwem Abakumow dostawał większość zleceń. Ale raz na miesiąc Jedynowładca chciał mieć osobisty kontakt z żywą istotą, której powierzył ochronę ustalonego przez siebie ładu.

Te godzinne audyencje były lichwiarską ceną, jaką Abakumow płacił za całą swoją władzę, za całą potęgę. Żył i cieszył się życiem tylko od posłuchania do posłuchania. Gdy nadchodził fatalny termin - wszystko w nim drętwiało, uszy lodowaciały, oddawał swoją tekę w sekretariacie, nie wiedząc, czy dostanie ją z powrotem, i zginał uniżenie jeszcze przed progiem swój byczy kark, nie mając pojęcia, czy wyprostuje go za godzinę.

Stalin dlatego właśnie budził przerażenie, że możliwe z nim były tylko omyłki saperskie, nie do poprawienia, jak z materiałem wybuchowym. Budził przerażenie, bo nie słuchał żadnych usprawiedliwień, nie wysuwał nawet oskarżeń - ot, unosił się lekko czubek jednego wąsa - i gdzieś tam, w głębi, zapadał wyrok; oskarżony nie znał go wcale, wychodził sobie spokojnie, w nocy go zabierano, a nad ranem już był rozstrzelany.

Najgorsze było to milczenie i dręczące domysły. Jeżeli Stalin natomiast ciskał w człowieka czymś ciężkim lub ostrym, przydeptywał mu czubki butów swoją podeszwą, pluł albo wydmuchiwał gorący popiół z fajki prosto w twarz - o, ten gniew jeszcze nie był ostateczny, to był gniew przemijający! Jeśli Stalin kłął i wymyślał mu, choćby od ostatnich, Abakumow tylko się cieszył: to znaczyło, że Gospodarz ma nadzieję, że jego minister jeszcze się poprawi i że da się z nim w końcu pracować.

Jasne, dziś Abakumow rozumiał już dobrze, że w zapale skoczył trochę za wysoko; na niższym stanowisku byłoby bezpieczniej; wobec dalszych współpracowników Stalin był dobroduszny, miły nawet. Ale wyrwać się z kręgu najbliższych - nie było sposobu.

Pozostawało tylko wyczekiwanie na śmierć. Własną. Albo... nie, tego wymówić nie sposób.

I jakoś tak się składało, że stając przed oczyma Stalina, Abakumow zawsze był w strachu, iż coś tam zostanie wykryte.

Musiał się lękać choćby już tego jednego, by nie wyszła na jaw historia jego wzbogacenia się w Niemczech.

... Pod koniec wojny Abakumow był szefem wszechzwiązkowego SMIERSZA, podporządkowane mu były oddziały kontrwywiadu wszystkich frontów i armii na wszystkich teatrach wojny. Był to czas osobliwy, okres, w którym można było wzbogacić się bez żadnej kontroli. Aby zadać Niemcom cios ostatni i niechybny, Stalin zapożyczył od Hitlera instytucję paczek z frontu na zaplecze. Stalin opierał się na swoim pojęciu o żołnierskiej duszy, na tym, co sam by czuł, gdyby był żołnierzem; za honor Ojczyzny - to dobrze, za Stalina - jeszcze lepiej, ale żeby chcieli nadstawiać łba w najprzykrzejszej chwili,

pod sam koniec wojny - czy nie lepiej dać im mocne materialne bodźce, a mianowicie - prawo do posyłania rodzinie: szeregowcom - pięciu kilogramów łupów miesięcznie, oficerom - dziesięciu, a generałom - puda? (Proporcja taka była sprawiedliwa, żołnierzowi bowiem worek nie powinien ciążyć w marszu, generał zaś ma przecież zawsze samochód do dyspozycji). Ale kontrwywiad SMIERSZ był w sytuacji nieporównanie lepszej. Nie dolatywały doń wrogie kule. Nie groziły mu bomby z samolotów. Zawsze znajdował sobie przystań w tym paśmie na tyłach armii, skąd ogień już się wyniósł, zaś kontrolerzy skarbowi jeszcze nie zawitali. Oficerowie jego otoczeni byli nimbem tajemnicy. Nikt nie ośmielał się dochodzić, co takiego trzymają w opieczętowanym wagonie, co wywieźli ze skonfiskowanego folwarku, koło czego postawili swoich wartowników. Ciężarówki, pociągi i samoloty przeniosły w głąb Rosji nowe majątki oficerów SMIERSZA. Lejtanci mogli zagarnąć tysiące, pułkownicy - setki tysięcy, Abakumow - miliony.

Inna rzecz, że nie potrafił wyobrazić sobie nawet tak niezwykłych okoliczności, przy których fotel ministerialny by utracił, a jednocześnie mógł ratować się złotem, choćby nawet ukrytym w szwajcarskim banku. Wydawało się jasne, że żadne kosztowności nie pomogą ministrowi, któremu łeb już ucięto. Jednak nie potrafił wprost patrzeć obojętnie, jak podwładni obrastają w majątek - i samemu nic sobie nie brać. Nie wolno wymagać takiej ofiary od żywego człowieka. Porozsyłał więc we wszystkie strony specoddziały - na poszukiwania. Nie mógł sobie odmówić nawet jakichś dwóch waliz męskich szelek. Grabił jak w transie.

Ale te skarby Nibelungów nie dały się wykorzystać swobodnie i stały się dla Abakumowa źródłem ciągłego strachu przed zdemaskowaniem. Nikt z wtajemniczonych nie ośmieliłby się chyba zadenuncjować wszechwładnego ministra, za to byle jaka przypadkowa okoliczność mogła wyjść trafem na jaw i zaraz by się trzeba żegnać z własną głową. Co nagrabił - to mu nie dawało żadnego pożytku, ale co teraz - może ma składać zeznanie podatkowe ministerstwu finansów?

... Przyjechał o pół do trzeciej w nocy, ale po trzech kwadransach wciąż jeszcze spacerował po poczekalni z dużym, niezapisanym notesem w ręku i przechodził katusze, czując, jak flaczeje ze strachu i jak uszy coraz mocniej mu płoną. Najbardziej by go teraz ucieszyło, gdyby Stalin nie chciał odrywać się od pracy i w ogóle odmówił mu dziś posłuchania; Abakumow bał się gniewu z powodu tajnej sieci telefonicznej. Nie wiedział, jak się teraz wyłgać.

Ale tu ciężkie drzwi otwały się, zresztą nie więcej niż do połowy. Cicho, prawie na palcach pojawił się w nich Poskriobyszew i nic nie mówiąc zrobił ręką zapraszający gest. Abakumow ruszył, starając się dotykać podłogi nie całą powierzchnią swojej dużej, ciężkiej stopy. Przez następne, również półotwarte drzwi, Abakumow przecisnął swój tęgi tułów, starając się nie otwierać ich szerzej, przytrzymując usłużnie błyszczącą, brązową klamkę. Stojąc w progu powiedział:

- Dobry wieczór, towarzyszu Stalin. Czy można?

Zapomniał odkaszlnąć sobie zawczasu i teraz głos miał chrapliwy, nie dość wiernopoddańczy.

Stalin, we frenczu ze złotymi guzikami, z kilkoma rzędami baretek orderowych, ale bez epoletów, pisał coś przy biurku. Dopisał zdanie do kropki i dopiero wtedy podniósł głowę, obracając na wchodzącego swoje złowieszcze spojrzenie.

I nic nie powiedział.

Bardzo zły znak! - nie odezwał się ani słowem...

I znów zabrał się do pisania.

Abakumow zamknął drzwi za sobą, ale nie ośmielił się zrobić ani kroku bez zapraszającego skinienia czy gestu. Stał, trzymając długie ręce wzdłuż szwów, zgięty trochę w skłonie, z powitalnym, uprzedzającym uśmiechem na mięsistych wargach - a uszy mu płonęły.

Czy to minister bezpieczeństwa nie znał i nie stosował sam tego najprostszego z chwytów, używanych w śledztwie: witać wchodzącego pełnym wrogości milczeniem? Ilekroć Stalin jego samego witał w ten sposób - Abakumow, chociaż znał to dobrze, zawsze czuł w bebechach jakby tąpnięcie ze strachu.

Tu, w nocnym gabinecie, wtulonym w ziemię, nie było ani obrazów, ani ozdób, okna też były małe. Pod niewysokimi ścianami, krytymi dębową boazerią, stały tylko cztery niskie szafki i biurko odsądzone nieco od ściany. Był jeszcze adapter w kącie, a koło niego - etażerka z płytami. Stalin lubił nastawiać sobie płyty ze swoimi starymi przemówieniami i słuchać ich.

Abakumow czekał zgięty w proszalnej pozie.

Owszem, był cały w rękach Wodza, ale w pewnym sensie - również Wódz był w jego rękach. Zdarza się na froncie, że zbyt raptowne natarcie jednego z przeciwników powoduje przetasowanie jednostek bojowych, które wzajemnie biorą się w kleszcze, tak że nie

wiadomo, kto kogo oblega; podobnie i tutaj. Stalin sam siebie i całe KC włączył do systemu ministerstwa bezpieczeństwa - wszystko, co wdziewał, jadł, pił, na czym siedział czy leżał - dostarczane mu było przez bezpieczeństwo, nie mówiąc już o jego ochronie. Tak oto, w pewnym pokraccznie ironicznym sensie Stalin sam był podwładnym Abakumowa. Tylko że Abakumow nigdy by nie zdążył skorzystać pierwszy z tej władzy.

Rosły minister stał, gnąc grzbiet i czekał. Stalin zaś pisał. Zawsze tak siedział i pisał, ilekroć Abakumow stawiał się u niego. Można było pomyśleć, że Stalin nigdy nie śpi i nie wstaje zza biurka, tylko wciąż pisze z taką stanowczością i namaszczeniem, jakby każde słowo spływające z pióra od razu zasilało nurt dziejów. Lampa na biurku oświetlała tylko papiery, górne zaś, ukryte żarówki dawały światła niewiele. Stalin pisał nie bez pauz, odrywał się niekiedy od blatu, czasem spojrzał gdzieś w bok, na podłogę, to znów zerkał złowróźnie na Abakumowa, jak gdyby nasłuchując czegoś, chociaż znikąd żaden szelest nie dochodził.

Skąd się bierze ten dar rozkazywania, ta solenność, widoczna w najmniejszym geście? Czy nie tak samo przebierał palcami, ruszał rękoma, podnosił brwi i wodził oczyma młody Koba? Ale wtedy to w nikim nie budziło strachu, nikt nie domyślał się w tych ruchach ich straszego sensu. Dopiero po którymś z rzędu strzale w potylicę ludzie zaczęli dopatrywać się w tych właśnie drobnych gestach Wodza - aluzji, przestrogi, gróźb i rozkazów. I widząc to w cudzych oczach, Stalin zaczął przypatrywać się sobie samemu, by dostrzec wreszcie we własnych ruchach i spojrzeniach ten groźny sens wewnętrzny - po czym już świadomie zaczął je szlifować, co nadało im jeszcze większą sprawność i skuteczność.

W końcu Stalin spojrzał bardzo surowo na Abakumowa i krótkim skinieniem cybucha wskazał mu krzesło.

Abakumow drgnął radośnie, zwawo ruszył z miejsca i usiadł - ale nie na całym siedzeniu, chociaż było mu niewygodnie - tylko na brzeżku, żeby łatwiej było wstawać.

- No? - zapytał Stalin nie odrywając wzroku od swoich papierów.

Teraz był odpowiedni moment! Nie wolno było tracić inicjatywy! Abakumow przeczyścił sobie gardło chrząknięciem, po czym zatokował spiesznie i prawie frenetycznie. (Sam się później przeklinał za tę służalczą gadatliwość w gabinecie Stalina, za przesadne obietnice - ale tak jakoś zawsze było, że im niechętniej witał go Wszechmocny, tym żarliwiej starał się go Abakumow zapewnić o swoim oddaniu, a to popychało go do coraz to nowych zobowiązań).

Stałą okrasą nocnych raportów Abakumowa, tym, co najbardziej w nich Stalina ciekawiło, było zawsze zdemaskowanie jakiejś bardzo niebezpiecznej, bardzo rozgałęzionej grupy wrogich elementów. Bez takiej unieszkodliwionej - a za każdym razem innej - grupy Abakumow w ogóle nie ośmieliliby się przybyć na posłuchanie. Na dzisiaj też przygotował sobie taką grupkę, umiejscowioną w Akademii Sztabu Generalnego imienia Frunzego - i mógł długo ten temat rozwijać.

Ale teraz wolał opowiedzieć przede wszystkim o postępach (sam nie wiedział - faktycznych czy zmyślonych) przygotowań do zamachu na Titę. Zameldował, że bomba z opóźnionym zapłonem będzie zainstalowana na jachcie Tity przed jego odjazdem na wyspę Brioni.

Stalin podniósł głowę, wetknął zgasłą fajkę w usta i ze dwa razy dmuchnął w cybuch. Nie zrobił żadnego więcej ruchu, nie wykazał żadnego zainteresowania, ale Abakumow, coś niecoś już przecież wiedzący o swoim szefie, poczuł, że trafił w samo sedno.

- A - Ranković? - zapytał Stalin.

Ależ tak, tak! Żeby tylko nie przegapić odpowiedniej chwili, żeby tylko wszyscy naraz - i Ranković, i Kardelj, i Mosze Pijade - wylecieli w powietrze! Według wszelkiego prawdopodobieństwa ma do tego dojść nie później niż na wiosnę! (A że przy wybuchu zginie też cała załoga statku, o tym minister w ogóle nie wspominał, a jego rozmówca wcale o to nie pytał).

Ale o czym właściwie myślał posapując przez wygasłą fajkę, niemrawo patrząc na ministra znad swojego oklapłego, zwisającego nosa?

Z pewnością nie o tym, że kierowana przezeń partia narodziła się z negacji terroru indywidualnego. I nie o tym, że sam niegdyś nie wzdragał się wcale przed terrorem, by osiągnąć to czy owo. Cmokając fajkę i patrząc na tego rumianego, nazartego junaka o rozpalonych uszach, Stalin myślał o tym, o czym zawsze myślał na widok swoich gorliwych, gotowych na wszystko, nadskakujących mu podwładnych. Przy tych spotkaniach pierwszym jego odruchem było: w jakim stopniu można jeszcze temu człowiekowi ufać? I zaraz pojawiała się druga myśl - czy aby nie pora już pozbyć się tego człowieka?

Stalin wiedział doskonale, że Abakumow obłowił się w czterdziestym piątym roku. Ale karać go wcale mu nie było pilno. Stalin był rad, że Abakumow okazał się właśnie taki. Takimi lżej rządzić. Stalin zawsze najbardziej miał się na baczności przed bezinteresownymi idealistami w typie Bucharina. To najsprytniejsi komedianci - trudno ich rozgryźć.

Ale nawet człowiekowi tak nieskomplikowanemu jak Abakumow nie można było ufać, jak w ogóle nikomu na świecie.

Nie ufał własnej matce. Bogu też nie. Nie wierzył swoim towarzyszom partyjnym. Nie wierzył chłopom, że zechcą siać ziarno i żąć zboże, jeżeli nikt ich nie będzie do tego zmuszał i kontrolował. Nie wierzył robotnikom, że będą pracować, jeżeli nie ustali się dla nich norm. I tym bardziej nie ufał inżynierom. Nie wierzył żołnierzom i generałom, że pójdą się bić nawet bez karnych kompanii i oddziałów bezpieczeństwa wewnętrznego. Nie ufał swoim powiernikom. Nie ufał swoim żonom i kochankom. Dzieciom swoim też nie ufał... I zawsze się okazywało, że miał rację!

Zaufał zaś - jednemu tylko człowiekowi, jemu jedynemu w ciągu całego swego, pełnego podejrzeń, życia. Ten człowiek na oczach całego świata okazał tyle zdecydowania i w przyjaźni, i w nienawiści, z takim rozmachem obrócił hołoble, żeby podać przyjazną dłoń wczorajszemu wrogowi. To nie był gaduła, to był człowiek czynu.

I Stalin mu wierzył.

Człowiekiem tym był Adolf Hitler.

Z aprobatą i złośliwą uciechą Stalin przyglądał się, jak Hitler gromił Polskę, Francję, Belgię, jak jego samoloty zaścielały niebo nad Anglią. Mołotow wrócił z Berlina wystraszony. Wywiad donosił, że Hitler ściąga wojska ku wschodniej granicy. Hess uciekł do Anglii. Churchill uprzedził Stalina o zbliżającym się ataku. Wszystkie kawki na białoruskich osikach i galicyjskich topolach skrzeczały o wojnie. Wszystkie baby na wszystkich rynkach całego jego własnego kraju przepowiadały wojnę, nie dziś to jutro. Jeden tylko Stalin zachowywał niezmałony spokój. Słał do Niemiec surowce, pociąg za pociągiem i nie starał się obwarować granicy, żeby tylko nie urazić kolegi.

Bo ufał Hitlerowi!

Za tę wiarę omal nie zapłacił wtedy własną głową.

Tym bardziej teraz już nikomu nie ufał!...

Tę wyczuwalną presję nieufności Abakumow mógłby odeprzeć paroma gorzkimi słowami, ale nie śmiał. Bo też i po co ta cała zabawa w ołowiane wojsko, na diabła było wzywać tego osła Popiwodę* i omawiać z nim jakieś felietoniki przeciw Ticie? A znów tych dzielnych chłopaków, których Abakumow wyznaczył, żeby skłuli niedźwiedzia w jamie - nie trzeba było dyskwalifikować na podstawie teczek personalnych, tylko przyjrzeć im się własnym okiem - i zaufać. No pewno, teraz to licho już wie, co z tego całego zamachu

wyjdzie. Abakumowa samego gniewał taki brak giętkości.

Ale on znał swojego Gospodarza! Należało mu służyć jakąś częścią sił, może większą częścią, ale nigdy - ich pełnią. Stalin nie tolerował jawnej opieszałości. Ale zbyt efektownego wykonania zadań - wprost nienawidził. Nikt, prócz niego samego, nie powinien był niczego wiedzieć, umieć i robić bez zarzutu!

I Abakumow - nie on jeden zresztą! - pozornie pchał swój ministerialny wózek aż poty nań biły, w istocie zaś wysiłek na poły markował.

Podobnie, jak król Midas przemieniał w złoto wszystko, czego tylko dotknął, tak Stalin swoim dotknięciem wszystko zamieniał w przeciętność.

Ale dzisiaj twarz Stalina - tak się ministrowi wydawało - rozjaśniała się w miarę, jak słuchał raportu. Zreferowawszy więc dokładnie projekt zamachu, przeszedł do spisku w Akademii Teologicznej, naświetlił z kolei sprawę Akademii

* Generał Piotr Popiwoda uciekł z Jugosławii do Moskwy po ekskomunice Tity przez konferencję komunistyczną w Szklarskiej Porębie.

imienia Frunzego, omówił pracę wywiadu w portach Korei Południowej i tak dalej, i tak dalej.

Gdyby słuchał głosu obowiązku i rozsądku, to powinien by teraz zameldować o dzisiejszym telefonie do ambasady amerykańskiej. Na dobrą sprawę mógłby nic nie mówić: miałby prawo przypuszczać, że już powiedział o tym Stalinowi Beria albo Wyszynski. Albo - to byłoby najprostsze, że jemu samemu nie zdążono o tym jeszcze zameldować. Właśnie dlatego, że Stalin, nikomu nie ufając, kazał dublować wszystkie funkcje tego rodzaju, każdy zainteresowany mógł pracować na pół pary. Lepiej było nie wychylać się chwilowo i obiecywać, że uda się wykryć zbrodniarza środkami spectechniki. Wszelkiej zaś aluzji do telefonu bał się dzisiaj w dwójnasób, jako że Gospodarz mógł przypomnieć sobie sprawę tajnej sieci telefonicznej. I Abakumow starał się nie patrzeć nawet na telefon stojący na stole, żeby nie przywabić tym spojrzeniem wzroku Wodza.

A Stalin coś właśnie chciał sobie przypomnieć! Właśnie szukał czegoś w pamięci! - żeby tylko nie tych tajnych telefonów! Zebrał skórę na czole w grube bruzdy, uwydatniły się chrząstkowate skrzydełka jego dużego nosa, wlepił w Abakumowa ciężkie spojrzenie (minister starał się nadać swemu obliczu wyraz maksymalnie szczerej, uczciwej prostoty) - ale pamięć nie dopisywała! Myśl, i tak ledwie uchwytna, już gdzieś umknęła. Bruzdy na szarym czole rozpełzły się bezradnie.

Stalin westchnął, nabił fajkę i zapalił ją. Aha! - przypomniał sobie przy pierwszym pyknięciu, ale tylko mimochodem - i nie to, co usiłował sobie przypomnieć. - Czy Gomułka aresztowany?

Gomułka nie tak dawno został usunięty w Polsce ze wszystkich stanowisk; staczał się teraz gładko aż na samo dno.

- Aresztowany! - zapewnił z ulgą Abakumow, podnosząc się lekko z krzesła (zresztą Stalinowi już o tym fakcie meldowano).

Stalin nacisnął guzik na biurku, górne światła rozjarzyły się, lampy na ścianach zapłonęły i zrobiło się bardzo jasno. Wstał z fotela i zaczął przechadzać się, kurząc fajkę. Abakumow domyślił się, że raport jest skończony i że teraz zacznie się dyktowanie instrukcji. Rozłożył duży blok na kolanach, wyjął wieczne pióro i przygotował się do notowania. (Wódz lubił, żeby każde jego słowo było utrwalone).

Ale Stalin chodził od gramofonu do biurka i z powrotem, pykał fajkę i nic nie mówił, tak jakby zapomniał o Abakumowie. Szara, dziobata jego twarz stężała od męczącego wysiłku pamięci. Kiedy mijał bokiem Abakumowa, minister widział, jak zgięty już jest grzbiet Wodza, jak staje się on przez to jeszcze niższy, prawie karłowaty. I Abakumow pomyślał sobie (zwykle odpędzał takie myśli w obawie przed jakimiś aparatami w ścianach, które tu mogłyby je odczytać) - pomyślał więc, że Bafka nie przeżyje więcej niż dziesięć lat, że mu się zemrze. Abakumow bardzo chciał nawet, żeby to zdarzyło się jak najszybciej; wydawało się, że życie ich wszystkich, zaufanych, dopiero wtedy stanie się łatwiejsze.

A Stalin był zgnębiony nową luką w pamięci - głowa odmawiała mu już posłuszeństwa!

Idąc tu z sypialni, specjalnie sobie obmyślił, o co ma dziś pytać Abakumowa - i macie, wypadło mu z pamięci! Zupełnie bezradny, nie wiedział już, jak marszczyć czoło, jaką część mózgu natężyć, żeby sobie przypomnieć.

Nagle podniósł głowę - spojrzał na szczyt przeciwległej ściany - i przypomniał sobie! - ale nie to, co chciał teraz - tylko to, czego nie mógł sobie przypomnieć onegdajszej nocy w Muzeum Rewolucji, to, co tak go tam nękało.

... To było w trzydziestym siódmym roku. Na dwudziestolecie rewolucji, kiedy to na jedno jego skinienie tak bardzo zmieniła się jej interpretacja, Stalin zdecydował się osobiście skontrolować, jak wygląda nowa wystawa - czy aby czegoś tam nie pokręcono. W jednej z sal - tej właśnie, gdzie stał teraz olbrzymi telewizor - już od progu ujrzał - oczami, z których

jakby nagle łuski spadły - duże, zawieszane wysoko na przeciwległej ścianie portrety Żelabowa i Pierowskiej*.

Twarze mieli otwarte, nieulekłe, w ich spojrzeniu była nieugiętość i każdy wchodzący mógł słyszeć ich zew: „Zabij tyrana!”.

Rażony spojrzeniami narodowolców jak dwiema strzałami wbitymi w samo gardło, Stalin rzucił się wtedy wstecz, zacharczał, zaniósł się kaszlem i w tym kaszlu trząsł tylko palcem, wciąż wskazując na portrety.

Zdjęto je natychmiast.

A z muzeum w Leningradzie usunięto wtedy pierwszą relikwię rewolucji - szczątki karety Aleksandra II.

Od tego właśnie dnia Stalin rozkazał budować dla siebie schrony i tajne kwatery w rozmaitych punktach, każąc - jak na Zimnej Rieczce - całe góry przewiercać tunelami. I nie znajdując już smaku w miejskiej ciasnocie i tłoku - doszedł aż do tej zamiejskiej daczki, do tego niskiego gabinetu nocnego, sąsiadującego z dyżurką jego własnej lejbgwardii.

Im więcej było tych, których zdołał pozbawić życia, tym bardziej go nękał nieustanny lęk o życie własne. W umyśle jego rodziło się wiele cennych ulepszeń systemu ochrony osobistej - jak to na przykład, że skład oddziału wartowniczego

* Przywódcy „Narodnej Woli”, sławni rewolucjoniści z siedemdziesiątych i osiemdziesiątych lat XIX wieku, wyznawcy socjalizmu niemarksistowskiego, autorzy słynnych zamachów na cara Aleksandra II.

ogłaszany był zaledwie godzinę przed początkiem dyżuru, a każda zmiana składała się z żołnierzy, zakwaterowanych w rozmaitych i daleko od siebie położonych koszarach: spotykając się po raz pierwszy na warcie, na okres jednej tylko doby - nie mogli wejść w żadną znowę. Daczkę też kazał sobie zbudować na kształt pułapki - labiryntu z trzech płotów: bramy ich nie znajdowały się w jednej linii. Miał też kilka sypialni, a w której ścieścić dzisiaj - mówił dopiero przed samym pójściem na spoczynek.

Wszystkich tych wybiegów wcale nie uważał za tchórzostwo, tylko za przejaw rozsądku. Życie jego bowiem było skarbem nieocenionym dla biegu dziejów ludzkich.

Inni mogli jednak źle rzecz zrozumieć. Żeby więc nie wyróżniać się pod tym względem - kazał również pomniejszym przywódcom w stolicy i w terenie trzymać się tych samych przepisów: zabronił chodzić bez ochrony nawet do klozetu, zalecił, żeby zawsze i wszędzie jeździli gęsiego, w jednym z trzech zupełnie jednakowych aut...

Teraz też, pod wpływem piekącego wspomnienia o portretach narodowolców, Stalin zatrzymał się na środku pokoju, obrócił się do Abakumowa i zapytał, lekko potrząsając podniesioną w górę fajką:

- A coś ty nowego wprowadził po linii bezpieczeństwa kadry partyjnej?

I spojrzał zaraz tak wrogo, tak złowroźnie! I ta głowa przechylna w bok!

Z otwartym, czystym notesem w ręku Abakumow uniósł lekko tyłek nad krzesłem (ale niezupełnie, bo wiedział, że Stalin lubi tylko niezbyt ruchliwych rozmówców), po czym bardzo zwięźle (długie wywody Gospodarz uważał za nieszczerze) - i z ochotą, z całą ochotą zaczął mówić o tym, czego wcale nie zamierzał poruszać (ta ochocza gotowość była tym, co najbardziej liczyło się na audyencji, wszelkie zakłopotanie Stalin gotów byłby uznać za dowód złych zamiarów).

- Towarzyszu Stalin! - głos Abakumowa drgał w poczuciu niezasłużonej krzywdy. Z całego serca chciałby powiedzieć „Josifie Wissarionowiczu”, ale nie godziło się tak mówić; to by wyglądało na próbę wejścia z Wodzem w zażyłość, próbę wdrapania sięomalże na jego poziom... - Przecież właśnie po to istniejemy my - organy - całe nasze ministerstwo, abyście wy, towarzyszu Stalin, mogli spokojnie pracować, rozmyślać, kierować państwem!...

(Stalin powiedział „bezpieczeństwo kadry partyjnej”, ale oczekiwał odpowiedzi dotyczącej tylko jego; Abakumow to wiedział!) Toż nie ma wprost dnia, żebym czegoś nie sprawdził, żebym kogoś nie aresztował, żebym nie wgłębił się w jakąś sprawę!...

Stalin przyglądał mu się uważnie, stojąc wciąż w pozie kruka z ukreconym łbem.

- Słuchaj no - spytał w zamyśleniu - a jak tam? Dużo masz spraw o terror, co? Nie ubywa?

Abakumow gorzko westchnął.

- Rad bym wam powiedzieć, towarzyszu Stalin, że nie ma spisków terrorystycznych. Ale kiedy są! Wykrywamy je nawet w miejscach najmniej oczekiwanych.

Stalin przymknął jedno oko, w drugim błysnęła satysfakcja.

- To dobrze - skinął głową. - To znaczy, że pracujecie.

- Ale, towarzyszu Stalin - Abakumow nie mógł jednak usiedzieć, gdy Wódz przed nim stał - uniósł się więc znowu, lecz kolana miał wciąż półzgięte (a już w butach z wysokimi obcasami nigdy nie ośmielał się tu zjawić) - tym wszystkim sprawom nie pozwalamy dojrzeć do stadium otwartych przygotowań, dusimy je w zarodku! kiedy istnieją tylko w zamiarze, na podstawie paragrafu dziewiętnaście!

- Dobrze, dobrze - Stalin uspokajającym gestem skłonił Abakumowa do dalszego siedzenia. (Żeby takie cielsko jeszcze się nad nim wywyższało!) - Więc ty uważasz, że są jeszcze malkontenci wśród mas?

Abakumow znów westchnął. Odparł ze skruchą:

- Tak jest, towarzyszu Stalin. Jest jeszcze pewien procent... (Ładnie by wyglądał, gdyby powiedział, że nie! Na diabła wtedy ten cały jego sklepik?...) - Dobrze mówisz - powiedział Stalin serdecznym tonem. W jego głosie przeważały teraz tony chrapliwe nad czystymi. - Z tego widać, że masz dane, że możesz pracować w bezpieczeństwie. A ja znów często słyszę, że nie ma już więcej niezadowolonych, że wszyscy, co głosują w wyborach za - dają dowód, że są zadowoleni. Dobrze, co? - Stalin uśmiechnął się. - Polityczna ślepotą! Wróg się zaczął, głosuje za - ale wciąż jest przeciw! Jakież pięć procent, co? A może osiem?...

(Właśnie tę trzeźwą przenikliwość, ten zmysł samokrytyczny, tę swoją odporność na wszelkie kadzidło Stalin szczególnie w sobie cenił!) - Tak jest, towarzyszu Stalin - z przekonaniem przytaknął Abakumow. - Tak to właśnie jest, jakieś pięć procent. Albo i siedem.

Stalin kontynuował spacer po gabinecie, teraz okrążył biurko.

- Trudno, już taki jestem, towarzyszu Stalin - zdobył się na odwagę Abakumow; uszy całkiem już mu ostygły. - Nie umiem sam sobie mydlić oczu.

Stalin lekko puknął fajką w popielniczkę.

- A nastroje wśród młodzieży?

Pytania, jak te noże, co jedno, to ostrzejsze, a starczy tylko raz się zaciąć! Powiedz tu, człowieku, że dobre - ślepotą polityczną. Powiedz, że złe - nie Wierzysz w naszą przyszłość. Abakumow wymownie rozcapierzył palce, ale od słów na razie się powstrzymał. Stalin, wcale na odpowiedź nie czekając, powiedział z naciskiem, wciąż pukając fajką:

- Młodzież należy otaczać jeszcze większą troską. W stosunku do wad młodzieży trzeba więc przejawiać szczególną surowość!

Abakumow spostrzegł się w porę i zaczął notować.

Stalin dał się ponieść własnej myśli, w oczach zapalił mu się tygrysi blask. Nabił fajkę świeżym tytoniem, zapalił i znów ruszył z miejsca, o wiele teraz żwawiej:

- Należy wzmóc nadzór nad środowiskiem studenckim i jego nastrojami! Trzeba wykorzeniać wrogie elementy nie po jednemu - tylko całymi grupami! I trzeba wreszcie

korzystać z pełni tych możliwości, jakie nam daje prawo - dwadzieścia pięć lat, nie żadne dziesięć! Dziesięć - to szkółka, to nie więzienie! Dziesięć - to dla uczniów ze szkół. A komu już wasy się sypią - temu dwadzieścia pięć! Młodzi są! Jakoś to przeżyją!

Abakumow pisał, aż się kurzyło. Pierwsze kółka wielkiej maszynerii wprawione zostały w ruch.

- I trzeba skończyć z sanatoryjnym reżymem w politycznych zakładach karnych! Słyszałem od Berii: w politycznych więzieniach po dziś dzień zezwala się na paczki żywnościowe?

- Położymy kres! Zabronimy! - bolesnym tonem zawołał Abakumow nie przerywając pisania. - To był właśnie nasz błąd, towarzyszu Stalin, darujcie nam!!

(To już faktycznie było niedopatrzenie! Mógł się sam przecież zorientować!) Stalin stanął przed Abakumowem w szerokim rozkroku.

- Ile razy trzeba wam tłumaczyć?! Przecież musicie nareszcie zrozumieć...

Mówił bez gniewu. Oczy mu złagodniały, wyczerała z nich pewność, że przecież Abakumow zrozumie i zapamięta. Abakumow nie przypominał sobie, żeby Stalin kiedykolwiek mówił z nim w sposób tak bezpośredni i życzliwy. Poczucie lęku całkiem się rozwiało, mózg zaczął pracować spokojnie, jak u normalnego człowieka. I pewna troska zawodowa, która dawno już stała mu kością w gardle, teraz właśnie znalazła sobie ujście. Abakumow powiedział z wyrazem ożywienia:

- My rozumiemy, towarzyszu Stalin! My (mówił w imieniu całego ministerstwa) rozumiemy; walka klasowa będzie się zaostrzać! Ale wobec tego tym bardziej - towarzyszu Stalin, musicie zrozumieć, jak nam krępuje ręce w naszej robocie to skasowanie kary śmierci! Przecież tak się już borykamy dwa i pół roku; formalnej podkładki przy rozstrzelaniach dawać nie wolno. W rezultacie - wyroki trzeba pisać w dwóch redakcjach. Dalej - wypłaty dla w y k o n a w c ó w też nie mogą iść przez księgowość ot tak, po prostu, stąd bałagan przy bilansie. Wreszcie - w obozach nie ma czym ich postraszyć. Ach, jak nam ta kara śmierci potrzebna! Towarzyszu Stalin, oddajcie nam karę śmierci!!- prosił z całego serca Abakumow przykładając dłoń do piersi i z nadzieją podnosząc oczy na ciemne oblicze Wodza. I Stalin - jakby się leciutko uśmiechnął. Jego szorstkie wasy drgnęły miękko.

- Wiem - powiedział cicho, ze zrozumieniem. - Już nad tym myślałem.

Zadziwiający człowiek! Wiedział o wszystkim! O wszystkim myśli! - jeszcze zanim zdąży mu się coś powiedzieć. Jak bóstwo nadziemskie, przewiduje zawczasu bieg myśli

ludzkich.

- Już niedługo będziecie znowu mieli karę śmierci - powiedział w zadumie, patrząc przed siebie, jakby zaglądał w głąb przyszłości na lata, na lata. - To będzie dobry środek wychowawczy.

Mało to on myślał o tym! Bardziej niż oni wszyscy razem dręczył się przez te dwa lata, że uległ na chwilę chęci olśnienia tych z Zachodu, że sam sobie się sprzeniewierzył - i przyjął, że ludzie nie są zepsuci aż do szpiku kości.

A przecież ten właśnie rys był przez całe życie charakterystyczny dla niego jako działacza państwowego i dowódcy; ani degradacja, ani nagonka publiczna, ani dom wariatów, ani dożywotnie więzienie, ani zesłanie wcale mu się nie wydawały wystarczającym środkiem zapobiegawczym wobec człowieka, który uznany został za niebezpiecznego. Tylko śmierć była wyjściem godnym zaufania, zupełnie pewnym.

I jeżeli czubek jego wąsa drgnął z oburzenia, to jeden tylko zapadał wyrok: śmierć.

Jego skala po prostu nie przewidywała niższej kary.

Oczy Stalina odwróciły się od odległych, jasnych dali, w które dopiero co zaglądał, wparły się w Abakumowa i zmrużyły się nagle chytrze:

- A ty nie boisz się, że my właśnie ciebie pierwszego rozstrzelamy?

Tego „rozstrzelamy” prawie nie wymówił, powiedział to na wydechu, miękko, jak coś, co powinno być rozumiane samo przez się.

Ale w Abakumowa to słowo zapadło lodowatym ciężarem. Najbardziej Kochany i Wielbiony stał teraz nad nim, trochę tylko poza zasięgiem ręki - i przyglądał się uważnie najmniejszej zmarszczce na twarzy ministra, ciekaw, jaka też będzie jego reakcja na żarcik.

Nie ośmielając się ani wstać, ani siedzieć, Abakumow dźwignął się krzynę na zgiętych nogach; zadrżały mu w kolanach z natężenia.

- Towarzyszu Stalin!... Jeżeli zasługuję na to... Jeżeli trzeba...

Stalin spozierał mądrze, przenikliwie. Przymierzał się teraz po cichu do drugiej swojej stałej myśli o każdym zaufanym. Niestety, poznał już tę nieuchronność ludzkich losów: trzeba w jakiejś chwili koniecznie odstrychnąć się od najgorliwszych swoich pomocników, wyrzec się ich, bo przecież się kompromitują.

- Słusznie! - powiedział Stalin z życzliwym uśmiechem, chwając go jakby za pojętność. - Kiedy sobie zasłużysz, to cię też rozstrzelamy.

I skinął ręką w powietrzu, każąc ministrowi siadać, siadać. Abakumow znów usiadł.

Stalin zadumał się i przemówił teraz tak ciepło, jak nigdy jeszcze nie mówił do ministra bezpieczeństwa.

- Niedługo będziecie mieć dużo roboty, Abakumow... Jeszcze raz przeprowadzimy taki zabieg jak w trzydziestym siódmym. Przed porządną wojną potrzebna jest porządna czystka.

- Ależ, towarzyszu Stalin! - ośmielił się wtrącić Abakumow. - A bo to my teraz mało wsadzamy?

- Takie to tam i wsadzanie!... - Stalin machnął ręką lekceważąco i uśmiechnął się dobrodusznie. - Teraz dopiero zaczniemy wsadzać - zobaczysz!... A jak rozpocznie się wojna i pójdziemy naprzód - to zaczniemy pakować do ciupy Europę! Wzmacniaj organy! Wzmacniaj organy! Etaty, fundusz osobowy - niczego ci nie pożałuję!

I pożegnał go dobrotliwie:

- No, idź już sobie.

Abakumow nie wiedział wcale, czy idzie, czy też na skrzydłach leci przez poczekalnię - do Poskriobyszewa, po swoją teczkę. Teraz to już nie tylko można było spokojnie oddychać przez cały miesiąc, ale czy aby nie zaczynała się nowa era w jego stosunkach z Gospodarzem?

Zapowiedziano mu co prawda, że sam też zostanie rozstrzelany - ale to przecież były żarty.

22

Tymczasem Władca, podniecony swoimi wielkimi zamysłami, chodził dużymi krokami po nocnym gabinecie. Jakaś wewnątrz - na muzyka w nim rosła, jakaś ogromna orkiestra dęta grała mu marsza. Malkontenci? A niech tam. Zawsze byli i będą.

Ale - przyswoiwszy sobie niezawilą wersję historii powszechnej, Stalin wiedział, że z czasem ludzie wybaczą wszystko, co złe, że nawet zapomną, ba, że będą to wspominać jako największe dobro. Narody są podobne do królowej Anny, wdowy z szekspirowskiego „Ryszarda III” - ich gniew jest nietrwały; wola ich nie jest silna, pamięć mają krótką - i zawsze będą gotowe oddać się zwycięzcy.

Czerń jest jakby rudą historii. (Zanotować!) Ile jej w jakimś punkcie ubędzie, tyle samo jej przybędzie w innym punkcie. Zatem nie ma co jej szczerzyć.

Właśnie dlatego musi dożyć do tych dziewięćdziesięciu lat, że walka nie jest skończona, że dom jeszcze nie pod dachem, że czasy są niepewne - i że nie ma kto go zastąpić.

Poprowadzić i wygrać ostatnią wojnę światową. Wybrać jak raki z saka zachodnich socjaldemokratów i wszystkich niedorzętnych w całym świecie. Później, rzecz jasna, podnieść wydajność pracy. Rozwiązać te tam problemy gospodarcze. Jednym słowem - zbudować komunizm, jak to się mówi.

Warto dodać, że zapanował zupełny zamęt w poglądach na tę sprawę. Stalin ostatnio rzecz przemyślał i wyrobił sobie jasne zdanie. Krótkowzroczni naiwniacy wyobrażają sobie komunizm jako królestwo obfitości i wolności od tego, co konieczne. Ale takie społeczeństwo byłoby nie do przyjęcia, każdy by ci na głowę włożył, taki komunizm byłby gorszy od burżuazyjnej anarchii! Podstawową i naczelną cechą prawdziwego komunizmu powinna być dyscyplina, zupełne podporządkowanie się władzy i ściśle wykonywanie wszystkich jej poleceń. (A szczególnie surowo powinna być kontrolowana inteligencja.) Następną cechą: podaż dóbr powinna być nader umiarkowana, nawet niedostateczna, ponieważ ludzie zupełnie syci wpadają w rozgardiasz ideologiczny, jak to widzimy na Zachodzie. Jeżeli człowiek nie będzie musiał troszczyć się o codzienny chleb, to wyrwie się spod wpływu materialnych sił historii, byt przestanie określać świadomość i wszystko pójdzie w diabły.

Na dobrą sprawę można by zatem powiedzieć, że prawdziwy komunizm Stalin już zbudował.

Jednakże obwieszczać tego wszem i wobec nie należy, no bo dokąd jeszcze miałyby się dążyć? Czas kroczy naprzód, wszystko dokądś zmierza, więc dążyć dokądś też się musi.

Jak widać - nigdy nie będzie można oznajmić, że komunizm jest już zbudowany, z punktu widzenia metody byłby to błąd.

Bonaparte, tak, to był zuch. Nie przestraszył się ujadania z jakobińskich podwórek, sam się ogłosił imperatorem i tyle.

W słowie „imperator” nie ma nic złego, to znaczy tylko - rozkazodawca, przywódca. Nie ma w tym żadnej sprzeczności z międzynarodowym komunizmem.

Jak by to brzmiało - imperator planety! Imperator globu ziemskiego!

Chodził i chodził po gabinecie, a orkiestry mu grały.

A tymczasem może odkryty zostanie jakiś środek, jakiś taki lek, żeby chociaż jednemu człowiekowi zapewnić nieśmiertelność?... Nie, nie zdążą.

No i jak tu zostawić ludzi własnemu losowi? I kto go zastąpi? Nabałaganą, narobią furę błędów.

Niech tam. Ponastawiać więc sobie samemu pomników - jeszcze więcej, jeszcze wyższych (technika przecież pójdzie naprzód). Postawić pomnik na Kazbeku i drugi, taki sam - na Elbrusie - i niech ta głowa zawsze nad obłoki sięga. I wtedy można już będzie umrzeć, niech tam - jako Największy z Wielkich, nie mający sobie równych w całych dziejach świata.

I nagle przystanął.

No, a... tam, wyżej? Równych mu, rzecz jasna, nie ma, ale - jeżeli podnieść oczy wyżej, nad obłoki jeszcze, to tam?...

Znow ruszył z miejsca, ale wolniejszym krokiem.

Właśnie ta mglista kwestia niepokoiła czasem Stalina.

Już dawno poparte zostało niezbitymi dowodami wszystko to, co mogło się przydać, co zaś stało na przeszkodzie - to zostało naukowo obalone.

A jednak nie wszystko tu jest jasne.

Szczególnie jeśli dzieciństwo spędził człowiek w cerkwi. I wpatrywał się w oczy ikon. I śpiewał w cerkiewnym chórze. Nawet dziś „Nynie odpuszczajesz” Strokina zaśpiewa bez jednego fałszu.

Nie wiedzieć czemu te wspomnienia bardzo się ostatnimi czasy ożywiły w duszy Josifa.

Matka umierając powiedziała mu: „Szkoda, że nie zostałeś popem”. Wódz światowego proletariatu. Jednoczyciel Słowian, a matka myślała, że pechowiec...

Stalin na wszelki wypadek nigdy nie występował przeciw Panu Bogu; obeszło się, oratorów było dość. Lenin pluł na krzyż, deptał krucyfiksy, Bucharin z Troc-kim natrząsał się - a Stalin ani słowa.

Inspektora diecezjalnego, Abakadze, tego samego, który wypędził młodego Dżugaszwili z seminarium, Stalin nie dał ruszyć. Niech sobie stary żyje.

A kiedy trzeciego lipca* przed mikrofonem ścisnął mu wyschłe gardło łęk i łzawy żal nad samym sobą, nie przypadkiem wyrwało mu się z ust owo „bracia i siostry”. Ani Lenin, ani żaden inny przywódca nie byłoby zdolni do takiego przejęzyczenia, nawet trafem.

Jego zaś usta powtórzyły tylko to, do czego przywykły w młodości.

Nikt tego nie widział, nikt nie wie, nikomu tego nie mówił: w tamte dni zamykał się w swoim gabinecie i modlił się, modlił się naprawdę, tyle że w stronę pustego kąta, na kolanach się modlił. Nie było w jego życiu miesięcy gorszych niż tamte.

Właśnie wtedy poprzysiągł Bogu: że jeżeli niebezpieczeństwo minie i władza pozostanie w jego rękach, to przywróci w Rosji Cerkiew, zezwoli na odprawianie nabożeństw i nie pozwoli na szykany ani na sadzanie za kraty. (Może i dawniej nie warto było tego robić, ale za Lenina to weszło w zwyczaj). I kiedy niebezpieczeństwo istotnie minęło, kiedy udało się pod Stalingradem - Stalin swą obietnicę wypełnił.

Jeżeli Bóg istnieje - to On jeden wie, o co chodzi.

Ale czy aby naprawdę istnieje? Bo wydaje się jakiś taki niefrasobliwy, jakiś leniwy, czy co. Mieć taką władzę - i wszystko tolerować? i ani razu nie wtrącić się do spraw tego świata - no, jak to możliwe?... Jeśli pominąć to wybawienie w 41-ym roku, Stalin nie zauważył ani razu, żeby ktoś prócz niego decydował o biegu rzeczy. Bóg ani razu nie szturchnął łokciem ani nie ruszył palcem.

Ale jeśli mimo wszystko Bóg istnieje, jeśli rządzi duszami - to warto było z nim się pogodzić, póki jeszcze czas. Nie bacząc na swoją nadrzędną pozycję - Stalin tym bardziej czuł tę potrzebę, bo przecież otacza go pustka, nie ma nikogo przy boku ani w pobliżu i cała ludzkość mrowi się gdzieś w dole. I najbliżej już mu chyba tylko do Boga. On też jest samotny.

W ostatnich zaś latach było już mu po prostu miło, że cerkiew w swoich modłach mieni go - Wodzem z Bożego Rozkazu. Toć za to właśnie kazał przenieść Ławrę* na kremłowskie zaopatrzenie. Żadnego premiera największych nawet mocarstw nie witał Stalin tak, jak swego pokornego, stareńkiego patriarchę: wychodził mu na spotkanie aż do najdalszych drzwi i prowadził do stołu podtrzymując za łokieć. Przychodziło mu nawet do głowy, że warto by poszukać gdzie jakiegoś majątku czy tam folwarku - i podarować patriarsze. No, tak jak dawniej dawano ofiary za spokój duszy.

Dowiedział się Stalin o pewnym pisarzu, że jest synem popa, ale że to ukrywa. „Jesteś prawosławny?” - zapytał go, gdy byli sami. Literat pobladł i cały zamarł. „No to się przeżegnaj! Potrafisz?” literat przeżegnał się i pomyślał, że już po nim. „Itoawof” - powiedział Stalin i poklepał literata po ramieniu.

Koniec końców w trakcie tak długich i ciężkich walk Stalin w tym i owym (lochę przeholował. I dlatego przydałoby się ściągnąć na pogrzeb chór cerkiewny; niechby już odśpiewał „Nynie odpuszczajeszi... „

W ogóle Stalin czuł dziwną skłonność nie tylko do prawosławia, lecz również do innych składników i pojęć starego świata - tego świata, z którego sam był wychodzącą i który

z tytułu swego stanowiska burzył już od czterdziestu lat.

* 3 VII 1941 r. Stalin przemawiał przez radio - pierwszy raz po wybuchu wojny.

* Chodzi o Ławrę Trojce-Siergijewską w Zagorsku.

W latach trzydziestych, z przyczyn czysto politycznych przywrócił do życia zapomniane, od piętnastu lat nie używane i mające posmak prawie wstydlivy słowo-ojczyzna. Ale w miarę upływu lat zaczęło sprawiać mu prawdziwą przyjemność używanie takich słów jak „Rosja”, „Ojczyzna”. Jego własna władza nabierała przy tym cech większej trwałości. A nawet świętości.

Kiedy dawniej wprowadzał w życie decyzje partii, nie liczył, ilu tych tam Rosjan przy tym szło na rozkurz. Ale stopniowo zauważył, że bardzo mu stał się sympatyczny naród rosyjski - ten naród, który nigdy go nie zawiódł, który głodował tak długo, jak długo było potrzeba, który spokojnie szedł na wojnę i do obozów, który gotów był do wszelkich wyrzeczeń i nigdy się nie buntował. I po Zwycięstwie Stalin oświadczył zupełnie szczerze, że naród rosyjski odznacza się trzeźwym rozumem, mocnym charakterem i cierpliwością.

Z biegiem lat Stalin czuł coraz większą chęć, by jego też uważano za Rosjanina.

Miła mu była nawet sama gra słów kojarząca się z dawnym światem: żeby mówić nie „kierownik szkoły”, tylko dyrektor, nie „kadra dowódców”, tylko - korpus oficerski, nie WCIK*, tylko - Wierchownyj Sowiet, Rada Najwyższa (najwyższy - to bardzo miłe słowo); i żeby oficerowie mieli ordynansów; i żeby pensjonarki uczyły się oddzielnie od gimnazjalistów i żeby nosiły pelerynki i płaciły za naukę; i żeby każdy cywilny resort miał własny rodzaj mundurów oraz odznak; i żeby ludzie sowieccy wypoczywali, jak wszyscy chrześcijanie - w niedzielę, a nie byle jak, w dowolne dni; nawet żeby uznawać za ważne tylko małżeństwa zawarte formalnie, jak było za cara - chociaż sam swego czasu miał grube nieprzyjemności z tego powodu - i chociaż Engelsowi nigdy by to w głowie nie postało; doradzano mu, żeby rozstrzelać Bułhakowa, a białogwardyjskie „Dni Turbinów” spalić, lecz jakaś siła popchnęła jego rękę i napisał na egzemplarzu: „Zezwolić na wystawienie w jednym moskiewskim teatrze. „

Tu właśnie, w nocnym gabinecie, pierwszy raz przyłożył przed lustrem stare, rosyjskie pagony do swego frencza - i znalazł, że sprawia mu to przyjemność.

Koniec końców, w koronie, jako w najwyższym insygnium, także nie było niczego zdrożnego. Koniec końców cały ów świat trzymał się mocno i pewnie przez trzysta lat, dlaczego więc nie wziąć z niego tego, co najlepsze?

I chociaż kapitulacja twierdzy Port Artur mogła swego czasu tylko cieszyć go, jako zesłańca, uciekiniera z Irkuckiej guberni - to jednak chyba szczerze powiedział po klęsce Japonii, że Port Artur przez czterdzieści lat był ciemną plamą na godności zarówno jego, jak innych Rosjan starszego pokolenia.

* WCIK - *Wsiesojuznyj Centralnyj Ispolnitielnyj Komitet* - Wszechzwiązkowy Centralny Komitet Wykonawczy.

Tak, tak, Rosjan starszego pokolenia! Stalin nieraz sobie to mówił, że przecież nie przypadkiem on właśnie utrzymał władzę nad tym krajem i skłonił ku sobie wszystkie serca - właśnie on, nie zaś ci wszyscy złotouści krzykacze, nie ci brodaci talmudyści - nie zrośnięci z tą ziemią pochodzeniem, korzeniami, związkami krwi.

Oto są tu wszyscy, oto stoją na tych półkach - zakneblowani, rozstrzelani, starci na mierzwę w obozach, otruci, spaleni, zabici w katastrofach samochodowych i doprowadzeni do samobójstwa! Zewsząd usunięci, wy karczowani, wyklęci, zepchnięci do apokryfów - tu znaleźli się w jednym szeregu! Co noc podsuwają mu te swoje stronice, trzęsą bródkami, załamują ręce, plują na niego, chrypią, krzyczą z tych półek: „Przecież ostrzegaliśmy!”, „Trzeba było inaczej!” - nie trzeba rozumu, żeby zobaczyć źdźbło w oku bliźniego. Właśnie po to Stalin tu ich wszystkich zebrał, żeby w chwilach nocnych decyzji mieć w sobie jak najwięcej zawziętości.

(Nie wiadomo czemu zawsze się okazywało, że jego zgładzeni już przeciwnicy w pewnych sprawach miewali rację. Stalin czujnie nasłuchiwał ich wrogich, dochodzących zza grobu głosów i czasami brał je pod uwagę).

Ich pogromca w mundurze generalissimusa, człowiek o niskim i pochyłym czole pitekantropa, mozolnie włókł się wzdłuż półek i szukał oparcia artretycznymi palcami, przebijając nimi, przebijając po grzbietach swoich wrogów.

Niewidzialna, wewnętrzna orkiestra, która mu grała marsza, rozprzegła się w nim i zamilkła.

I poczuł takie łamanie w nogach, jakby za chwilę miało mu je odjąć. Czuł w głowie ciężkie łomotanie, słabnący łańcuch myśli rozpadał się - i całkiem już zapomniał, po co właściwie podszedł do tych półek? i o czym myślał jeszcze przed chwilą?

Usiadł na stojącym obok krześle, wcisnął twarz w dłonie.

To była sobacza starość... Starość bez przyjaciół. Starość bez miłości. Starość bez wiary. Starość bez pragnień.

Nawet córka, ulubienica, nie była już mu potrzebna, stała się obca. Ta świadomość, że pamięć stała się kaleka, że rozum ćmi się, że dzieli go mur od istot żyjących - wszystko to napełniało go bezradną zgrozą.

Mętym spojrzeniem potoczył po gabinecie, nie zdając sobie już sprawy, czy ściany są daleko, czy blisko.

Miał na stoliczku pod ręką jeszcze jedną karafkę z kłódką. Stalin domacał się klucza, wiszącego u pasa na długim sznurku (czując się niedobrze mógłby go jeszcze upuścić i długo szukać), otworzył karafkę i napił się rzeźwiącej nalewki. Chwilę jeszcze siedział z zamkniętymi oczyma. Poczul się trochę lepiej, jeszcze lepiej, całkiem dobrze.

Przytomnym już okiem zerknął na telefon i to, co wymykało mu się przez cały wieczór, nagle drasnęło mu pamięć koniuszkiem ogona żmii.

Trzeba było o coś zapytać Abakumowa... Czy Gomułka aresztowany?...

Ależ tak! No pewno! Szurając butami podszedł do biurka, ujął w palce pióro i napisał w kalendarzu: „Tajna sieć telefoniczna”.

A raportowali, że zgromadzono najlepsze siły, że materialna baza skompletowana, że entuzjazm, że prześcigają się tam w socjalistycznych zobowiązaniach - czemuż więc nie kończą?! Abakumow, bezczelny typ, przesiedział tu, sobaka, bitą godzinę - i ani słowa!

I tacy oni są wszyscy, we wszystkich resortach - każdy stara się tylko oszukać swojego Wodza! Jak im tu wierzyć? Jak tu można spać spokojnie i nie pracować po nocach?

Jeszcze dziesięć godzin musi minąć do śniadania.

Zadzwoił, żeby przyniesiono mu szlafrok.

Beztroski kraj może sobie spać, ale jego Ojciec spać nie może.

23

Zdawać by się mogło, że niczego już nie brak, by zapewnić mu nieśmiertelność.

Ale Stalin miał wrażenie, że jego współcześni - choć nazywają go Mędrcom nad Mędrkami - jednak podziwiają go wciąż jeszcze nie wedle zasług, że w swoich zachwytach są powierzchowni i dalecy jeszcze od zrozumienia prawdziwej głębi jego geniuszu.

Nie dawała mu ostatnio spokoju myśl: nie tylko wygrać trzecią wojnę światową, lecz nadto dokonać jakiegoś odkrycia naukowego, aby wnieść swój wiecznotrwały wkład do jakiejś jeszcze dziedziny wiedzy - nie do samej filozofii i historii. Ma się rozumieć - mógł to zrobić bez trudu w dziedzinie biologii - ale tam już działał z jego upoważnienia Łysenko, ten zacyjny i energiczny przedstawiciel mas ludowych. Zresztą bardziej pociągająca wydawała się

Stalinowi matematyka albo choćby fizyka. Wszyscy Ojcowie Teorii odważnie próbowali swoich sił w tych dziedzinach wiedzy. Nie mógł czytać bez uczucia zawiści rozważań Engelsa o zerze albo podnoszeniu liczby minus jeden do kwadratu w „Dialektyce przyrody”. Stalin zachwycał się wprost śmiałością Ixnina, z jaką ten prawnik zapuścił się aż do matecznika fizyki i tam z punktu wystawił na pośmiewisko wszystkich uczonych, dowodząc, że materia nie może przekształcić się w żadną tam energię. Ale nie bacząc na to, że tyle razy wertował podręcznik algebry Kisielowa i „Fizykę” Sokołowa dla starszych klas - jakoś nie mógł w żaden sposób znaleźć tam natchnienia do odkryć.

Znalazł je za to - co prawda w zupełnie innej dziedzinie, w językoznawstwie - dzięki sprawie profesora Czikobawy z Tbilisi. Tego Czikobawę Stalin zachował w odległej pamięci, podobnie jak wszystkich wyróżniających się Gruzinów: uczonego bywał w domu Ignatoszwili-juniora, tyfliskiego adwokata, mienszewika, a zresztą, sam też się kumał z froną, rzecz możliwa już tylko w Gruzji.

Ostatnio - jako że dożył do sędziwego wieku i do tak sceptycznego sposobu myślenia, który pozwala nie bardzo liczyć się z bliźnimi - Czikobawa wyskoczył, jak Filip z konopi, z publikacją najoczywiściej antymarksistowską, z której wynikało, że język to nie żadna nadbudowa, tylko po prostu język i że język nie jest ani burżuazyjny, ani proletariacki, tylko zwyczajnie, narodowy; tym samym Czikobawa ośmielił się publicznie podnieść rękę na samego Marra.

Zarówno Czikobawa, jak Marr byli Gruzinami, odpowiedź pojawiła się też na łamach gruzińskiego czasopisma uniwersyteckiego; szarawy, zbroszurowany jego numer, ozdobiony charakterystyczną ornamentyką gruzińskiego alfabetu, leżał właśnie na biurku Stalina. Kilku naraz językoznawców-marrystów wystąpiło przeciw bezczelnemu Czikobawie z oskarżeniami, po których wypadało mu już tylko spokojnie czekać na nocne pukanie funkcjonariuszy MBP. Ktoś już dawał do zrozumienia, że Czikobawa jest agentem amerykańskiego imperializmu.

I nic by Czikobawy nie uratowało, gdyby Stalin nie podniósł słuchawki i nie darował mu życia. Czikobawie darował życie, jego zaś naiwniutkie, prowincjonalne myśli postanowił unieśmiertelnić i genialnie rozwinąć.

Wprawdzie lepszy by to miało wydźwięk, gdyby tak udało się obalić kontrrewolucyjną teorię względności albo mechanikę falową, ale przy nawale spraw państwowej wagi nie ma na to po prostu czasu, no nie ma! Językoznawstwo sąsiaduje zaś z

gramatyką, gramatyka natomiast zawsze wydawała się Stalinowi dyscypliną nie mniej trudną niż matematyka.

Będzie można to napisać dosadnie, z pazurem (już siedział i pisał): „Jakikolwiek z języków, jakimi posługują się sowieckie narody, zaczniemy rozpatrywać - rosyjski, ukraiński, białoruski, gruziński, uzbecki, kazachski, ormiański, estoński, łotewski, litewski, mołdawski, tatarski, azerbejdżański, baszkirski, turkmeński... (ki-diabeł, z biegiem lat coraz trudniej miarkować się przy podobnych wyliczeniach. Ale czy w ogóle warto? W ten sposób lepiej wchodzi czytelnikowi do głowy, odehciewa mu się sprzeciwów)... zaraz stanie się jasne dla każdego... „. No, a tu przyjdzie coś, co jest jasne dla każdego.

Ale co mianowicie? Nic nie jest jasne... Zjawiska gospodarcze - to baza, procesy społeczne - to nadbudowa. I trzeciej możliwości nie ma, jak to zawsze w marksizmie.

Ale doświadczenie życiowe nauczyło Stalina, że bez czegoś trzeciego daleko się nie zajędzie. Na przykład - państwa niezaangażowane - mogą wszak istnieć (załatwimy się z nimi później), podobnie jak neutralne partie (nie u nas, rzecz jasna). Spróbowałby człowiek za Lenina powiedzieć na zebraniu: „Kto nie z nami, ten jeszcze nie musi być przeciw nam”? I z zebrania by cię wylano i z szeregów.

A jednak wychodzi na to, że... Dialektyka.

Tu też to samo. Artykuł Czikobawy dał jednak Stalinowi do myślenia. Zaskoczyła go rzecz, która nigdy mu do głowy nie przychodziła: jeżeli język należy do nadbudowy, to dlaczego nie zmienia się przy zmianie epok? Jeżeli zaś nie należy do nadbudowy, to czym jest właściwie? Częścią bazy? Składnikiem procesu produkcji?

Właściwie, to jest tak: na zjawisko produkcji składają się siły wytwórcze i stosunki produkcji. Nazwać język - stosunkiem - nie, chyba nie można. Ale siły wytwórcze składają się z kolei z narzędzi produkcji, środków produkcji i ludzi. Ale chociaż człowiek używa jakiegoś języka - to jednak sam język nie jest identyczny z człowiekiem. Diabli nadali, ślepy zaułek.

Chcąc być uczciwym, trzeba by wyciągnąć wniosek, że język jest narzędziem produkcji, no, powiedzmy, jak maszyny, jak koleje, jak poczta. Też przecież jest środkiem łączności. Przecież Lenin powiedział: „bez poczty nie może być socjalizmu”. A więc nie może go być także bez języka...

Ale jeżeli wysunąć otwarcie tezę, że język jest narzędziem produkcji, to zaczną się chichoty. Nie u nas, to jasne.

I nie ma się kogo poradzić.

No, można będzie na przykład tak, trochę oględniej: „Z tego punktu widzenia, język - różniąc się samą swoją istotą od innych składników bazy, nie różni się jednak w zasadzie od narzędzi produkcji, dajmy na to - od maszyn, które tak samo obojętne są w stosunku do istniejących klas, jak język”.

„Obojętne w stosunku do istniejących klas!”

Takie rzeczy też by dawniej nie przeszły przez usta...

Postawił kropkę. Założył dłonie za kark, ziewnął i przeciągnął się. Nie tak bardzo dziś jeszcze myślnął, a już się zmęczył.

Stalin wstał i przeszedł się po swoim małym, ulubionym nocnym gabinecie. Zbliżył się do małego okienka, gdzie zamiast szyby były dwie warstwy przezrystego, żółtawego szkła pancernego, przedzielone warstwą mocno sprężonego powietrza. Za tym oknem był jedynie malutki, otoczony murem ogródek; tylko rankami zjawiał się w nim ogrodnik pod dozorem wartowników, przez całą zaś dobę nikogo więcej nie było... I Za pancernymi szybami kładła się mgła na ogród. Nie było widać ani ziemi, ani reszty wszechświata.

W czasie tych nocnych godzin, wśród zupełnej ciszy i zupełnego bezludzia, Stalin nie całkiem mógł być pewien, że jego kraj w ogóle jeszcze istnieje.

Kiedy po wojnie jeździł kilkakrotnie na południe, widział wokół siebie samą tylko pustą, jakby wymarłą przestrzeń; ani śladu żywej Rosji, chociaż przejechał tysiące kilometrów po jej obszarach (samolotom swojej osoby nigdy nie powierzył). Gdy jechał samochodem - szosa zawsze była pusta, a jej dalekie pobocza zawsze bezludne. Gdy jechał pociągiem - pustoszały dworce, a na każdym przystanku po peronie snuła się tylko jego świta i bardzo dokładnie sprawdzona kadra kolejarska (prawdopodobnie to też byli czekaści). I pogłębiało się w nim wrażenie, że jest zupełnie sam nie tylko na swojej dacy w Kuncewie, lecz w ogóle w całej Rosji, że cała ta Rosja jest zmyślona (dziwne, że cudzoziemcy wierzą w jej istnienie). Na szczęście ten nieżywy obszar dostarcza jednak państwu całkiem sprawnie chleba, warzyw, mleka, węgla, żeliwa - a wszystko na czas i w zaplanowanej ilości. A także wybornych żołnierzy ten obszar dostarcza. (Swoich dywizji Stalin również nigdy własnymi oczyma nie oglądał, ale zdobyte miasta, których też nie widział - dowodziły, że te dywizje niewątpliwie istniały).

Stalin był tak samotny, że już z nikim nie mógł się zmierzyć, do nikogo porównać.

Zresztą, połowa wszechświata mieściła się w jego własnej piersi i była domeną

jasności oraz ładu. Tylko ta druga połowa - obiektywnie istniejąca rzeczywistość, wiała się w tumanach kosmicznej mgły.

Ale tu, w opancerzonym, dobrze strzeżonym, obronnym gabinecie nocnym Stalin wcale się nie bał tej drugiej połowy - i czuł w sobie moc ugniatania jej wedle swojej woli. Tylko wtedy, gdy trzeba było własnymi nogami przekroczyć próg tej obiektywnie istniejącej rzeczywistości - na przykład pojechać na bankiet do Sali Kolumnowej*, własnymi nogami przebyć przeraźliwie wielką przestrzeń między samochodem a wejściem, a później tymiż nogami pokonywać stopnie schodów, przecinać wielkie foyer i widzieć ze wszystkich stron - pełnych zachwyty i szacunku, ale przecież zbyt licznych gości - tak, wtedy Stalin czuł, że mu niedobrze, że jest zupełnie bezbronny, i nie wiedział nawet, co zrobić z własnymi rękoma, dawno już niezdolnymi do żadnej skutecznej obrony. Splatał je na brzuchu i uśmiechał się. Oni myśleli, że Wszechpotężny uśmiecha się, bo łaskaw jest dla nich, a on uśmiechał się z kontuzji...

Przestrzeń została przez niego samego uznana za podstawowy warunek

* Sala Domu Związków poza terenem Kremla, w centrum Moskwy.

istnienia materii. Ale zawładnąwszy szóstą częścią ziemskiej przestrzeni lądowej Stalin zaczął czuć przed nią lęk. Dlatego właśnie tak lubił swój nocny gabinet, że tu nie czuło się przestrzeni.

Stalin zasunął stalową *żaluzję* i ruszył ciężko w stronę stołu, zażył tabletkę i znów usiadł.

Nie wiodło mu się w życiu, ale trzeba się trudzić. Przyszłe pokolenia to docenią.

Jak do tego doszło, że w językoznawstwie panuje arakczejewski reżym? Nikt nie śmie słowa nawet pisać przeciw Marrowi. Dziwni ludzie! Tchórze! Uczy ich człowiek, uczy demokracji, wprost na talerz im wszystko wyklada - nie chcą brać!

Wszystko trzeba - samemu, to nawet też.

I z nowym zapałem zanotował kilka zdań:

„Nadbudowa p o t o właśnie stwarzana jest przez bazę, a ż e b y... „

„Język p o t o właśnie jest stworzony, a ż e b y... „

Swoją szarobrunatną twarz z dziobami po ospie, z dużym lemieszowatym nosem, Stalin pochylił nisko nad arkuszem.

Ten l'afargue, też mi teoretyk! - „raptowna rewolucja językowa między 1789 a 1794 rokiem”. (Chyba tego z Marksem, swoim teściem, nie uzgadniał).

Jaka tam rewolucja! Był sobie francuski język - i został francuskim językiem.

Trzeba wreszcie skończyć z tym paplaniem o rewolucjach!

„I w ogóle warto, aby zanotowali to sobie towarzysze skłonni do nadmiernych zachwyków z powodu różnych wybuchowych zmian, że prawo przechodzenia od starej jakości do nowej jakości drogą skoku, wybuchu - nie znajduje zastosowania nie tylko w historii rozwoju języka - lecz również rzadko może być stosowane do innych społecznych zjawisk”.

Stalin opadł na oparcie fotela, przeczytał tekst. To wyszło niezłe. Agitatorzy powinni w przyszłości objaśniać ten fragment szczególnie troskliwie: że od pewnej określonej chwili poczynając - każda rewolucja ulega zawieszeniu i dalszy rozwój odbywa się tylko drogą ewolucyjną. I że - być może - ilość wcale już nie przechodzi w jakość. Ale o tym - już innym razem.

„Rzadko”?... Nie, chwilowo tak jeszcze pisać nie bardzo wypada.

Stalin przekreślił „rzadko” i napisał - „nie zawsze”.

Jaki by tu dać przykładzik?

„Przeszliśmy od burżuazyjnego, indywidualno-właściańskiego systemu (nowy termin! i bardzo dobrze wypadł!) do socjalistycznego, kołchozowego”.

I postawiwszy tu, jak każdy by to zrobił, kropkę, Stalin namyślił się chwilę i dodał: „systemu”. Był to jego ulubiony chwyt stylistyczny, jeszcze jedno stuknięcie w główkę już wbitego gwoźdźca. Po powtórzeniu możliwie największej ilości słów, zdanie wydawało mu się jakoś zrozumialsze. Natchnione pióro sunęło dalej po papierze: „Jednakże ten przewrót nastąpił nie skutkiem wybuchu, to znaczy nie przez obalenie władzy dotąd istniejącej (ten punkt powinien być ze szczególną starannością objaśniany przez agitatorów) - i uformowanie nowej władzy” (to nikomu nie powinno strzelić do łba!!).

Z lekkiej ręki Lenina w sowieckiej historiografii uznaje się tylko rewolucje oddolne, każdą zaś rewolucję narzuconą przez władzę z góry uważa się za półśrodek, plód poroniony, za rzecz poniekąd w złym tonie. Ale czas już nazywać rzeczy po imieniu:

„Udało się to zaś przeprowadzić dlatego, że była to rewolucja z góry, że przewrót był dokonany z inicjatywy istniejącej władzy”.

Zasępił się. Stop, coś tu brzmiało nie najlepiej. Wynika więc z tego, że inicjatywa kolektywizacji wysunięta była nie przez samych chłopów?...

Stalin rozsiadł się wygodniej, ziewnął - i nagle zgubił wątek, a nawet wszystkie wątki

w ogóle. Zapalająca się na chwilę pasja badawcza zagasła.

Mocno przygarbiony, płacząc się w długich połach szlafroka, szurając nogami, władca połowy świata podszedł do wąskich drzwi, ledwie dających się odróżnić od ściany i znalazł się znów w krzywym, wąskim korytarzyku. Minąwszy ten labirynt wszedł do niskiej sypialni bez okien, ze ścianami z żelazobetonu.

Kładąc się spać postękiwał i próbował podeprzeć się wewnętrznie ulubioną swoją myślą: że ani Napoleon, ani Hitler nie mogli zdobyć Anglii dlatego, że mieli na kontynencie przeciwnika. On zaś nie będzie go miał. Z linii Łaby - pomaszerować od razu w stronę Kanału, Francja rozsypie się jak kawał próchna (francuscy komuniści już pomogą), Pireneje - wziąć szturmem z rozbiegu. Blitzkrieg - to awantura, ma się rozumieć, ale bez błyskawicznej kampanii nie można się obejść.

Wystartujemy, kiedy bomb atomowych będziemy mieć ile trzeba i kiedy zaplecze będzie wyczyszczone jak należy.

Z policzkiem przytulonym do poduszki przebierał jeszcze w myśli ostatnie, rozproszone wątki: że w Korei też trzeba błyskawicznie, że mając nasze czołgi, działa i samoloty będziemy mogli chyba się obejść bez Rewolucji Światowej.

I w ogóle najprostsza droga do wszechświatowego zwycięstwa komunizmu prowadzi przez Trzecią Wojnę Światową: najprzód trzeba zjednoczyć cały świat i dopiero wtedy budować sobie komunizm. Inne drogi są zanadto zawile.

Już nie trzeba więcej żadnych rewolucji! Wszystkie rewolucje mamy już za sobą! Przed nami nie ma już żadnej!

I zapadł w sen.

24

Kiedy inżynier-pułkownik Jakonow wyszedł z ministerstwa przez paradny portal od strony ulicy Dzierżyńskiego i okrążył marmurowo-czarny węgiel gmachu skręcając pod kolumnowy krużganek na Furkasowskim - nie od razu rozpoznał swoją „Pobiedę” i nawet chwycił już za klamkę jakiegoś cudzego samochodu.

Gęsta mgła stała przez całą, kończącą się już noc. Śnieg, który wieczorem zaczął padać, z początku zaraz tajał, a później całkiem zniknął. Teraz, o brzasku, mgła przypadła nisko do ziemi, świeże zaś kałuże znowu ściałał kruchy lód. Szedł mróz.

Była już prawie piąta, ale w niebie była noc czarna, bez jednej iskry. Przeszedł obok świeżo upieczony studencik (całą noc stał w bramie ze swoją ukochaną) i popatrzył z

zazdrością na wsiadającego do samochodu Jakonowa. Z westchnieniem pomyślał, czy dochrapie się kiedy własnego auta. Nawet nie po to, żeby zaimponować jazdą dziewczynie. Sam znał samochody tylko stąd, że jeździł ciężarówką do kołchozu na kampanię zniwną. Ale nie wiedział, komu zazdrości... Kierowca zapytał:

- Do domu?

Jakonow bezmyślnie trzymał na otwartej dłoni kieszonkowy zegarek, nie zdając sobie sprawy, jaką wskazuje godzinę.

- Do domu? - zapytał kierowca.

Jakonow spojrzał na niego nieprzytomnie.

- Co? Nie.

- Do Marfina? - zdziwił się szofer. Chociaż czekał tu w filcowych butach i półkożuszkach, jednak przemarzył cały i chciało mu się spać.

- Nie - odpowiedział inżynier-pułkownik przyciskając rękę do piersi trochę powyżej serca.

Kierowca obejrzał się i zerknął na twarz szefa widoczną w mętnej plamie światła ulicznej latarni, zagładającej przez zamglone okienko.

To nie był jego szef. Miękkie, beznamietne, czasem tylko wyniośle zaciśnięte usta Jakonowa teraz drżały bezradnie.

Wciąż jeszcze trzymał w dłoni zegarek, nie widząc godziny.

I chociaż kierowca naczekał się od północy, wściekły na pułkownika, klnąc w barani kołnierz, wypominając szefowi wszystkie jego winy za dwa lata wstecz - teraz, o nic więcej nie pytając - pojechał prosto przed siebie. I złość mu jakoś minęła.

Było tak późno, że już robiło się wcześnie. Na pustkowiu stołecznych ulic nie spotykało się prawie samochodów. Nie było już ani milicji, ani tych co r o z - b i e r a j ą, ani też tych, których się rozbiera. Już niedługo miały ruszyć trolejbusy. Kierowca kilkakrotnie oglądał się na pułkownika; jakiś cel trzeba było jednak wybrać. Już przejechał Bramę Miasnicką, dojechał bulwarem Sretienskim i Roż-diestwienskim aż do placu Trubnego, skręcił na Nieglinną. Ale nie mógł przecież tak jeździć aż do rana.

Jakonow patrzył przed siebie, w pustkę, wzrokiem zupełnie nieruchomym i bezmyślnym.

Mieszkał na Wielkiej Sierpuchowce. Licząc na to, że widok sąsiadujących z jego mieszkaniem okolic skłoni inżyniera-pułkownika do powrotu w domowe pielesze, kierowca

postanowił jechać na Zamoskworieczje. Minął Ochotnyj Riad, skręcił koło Maneżu i wypadł na surowy, pustynny Plac Czerwony.

Blanki murów i szczyty błękitnych świerków pod murami pokryte były sędzielizną. Asfalt był szary i śliski. Mgła cisnęła się jakby pod koła samochodu, pod asfalt.

Przemknęli o jakieś dwieście metrów od muru, od blanków, od posterunków, pod których ochroną - jak mogli sądzić - kończył właśnie samotną swoją noc największy człowiek na ziemi.

Ale nie pomyśleli nawet o nim, przejeżdżając.

I dopiero, kiedy zjechali w dół, obok Wasyla Błogosławionego i skręcili na lewo nabrzeżem Moskworieckim, kierowca przyhamował i znów spytał:

- Może jednak do domu, towarzyszu pułkowniku?

Prawdę mówiąc, trzeba było właśnie jechać do domu. Może już tych nocy domowych zostało człowiekowi mniej niż palców. Ale tak jak pies szuka samotności, żeby zdechnąć spokojnie, podobnie Jakonow chciał się teraz znaleźć gdziekolwiek, byle z dala od rodziny.

Zebrawszy poły skórzanego płaszcza, wyszedł z „Pobiedy” i powiedział do kierowcy:
- Jedź już sobie do domu, bratku, prześpij się, ja sam jakoś dojdę.

Mówił tak czasem do szofera, bratku. Ale miał w głosie taki smutek, jakby serio z nim się żegnał.

Rzeka Moskwa aż po kamienne burty pokryta była ruchomą pierzyną mgły.

W nie zapiętym płaszczu, w pułkownikowskiej papasze na bakier, Jakonow ruszył nabrzeżem ślizgając się co krok.

Kierowca chciał zawołać go, pojechać w ślad za nim, ale potem przyszło mu na myśl, że dygnitarze nie skaczą do wody, jakoś nic takiego się nie słyszało, zawrócił więc i odjechał.

Jakonow zaś poszedł przed siebie długim nabrzeżem, bez przecznic, między jakimś nie mającym końca drewnianym płotem z lewej strony, a rzeką z prawej. Szedł samym środkiem asfaltowej jezdni, patrząc uporczywie, bez mrugnięcia w ogień dalekich latarni.

I oto przeszedłszy tak spory kawałek, uświadomił sobie, że pogrzebowy ten marsz w zupełnej samotności sprawia mu zwyczajną i dawno nie odczuwaną przyjemność.

Kiedy ich wezwano do ministra po raz wtóry - zaszły wypadki nie do naprawienia. Zdawało się, że wszechświat runął. Abakumow miotał się jak dziki zwierz. Rzucił się na nich, porozganiał ich po całym gabinecie, wymyślał od ostatnich, pluł omalże prosto w

twarze i wymachując pięścią prawie na oślep przed samym nosem Jakonowa szturchnął go - niby niechący - w ten miękki, biały nos, tak że aż krew poszła.

Seliwanowskiego zdegradował do stopnia lejtnanta i posłał w lasy, za koło podbiegunowe, na pół etatu; Oskołupowa odesłał w randze szeregowego strażnika z powrotem do więzienia Butyrskiego, gdzie ten zaczynał karierę w 1925 roku; Jakonowa zaś „za oszustwo i recydywę prób sabotażu” aresztował i kazał wyekspediować go w granatowym kombinezonie do Siódemki, do Bobynina, żeby własnymi rękoma zrobił coś nareszcie z aparatem do klippingu. Dopiero później, gdy już trochę ostygł - dał im jeszcze jeden, ostatni już termin - do leninowskiej rocznicy.

Ogromny, urządzony bez smaku gabinet chybotął się i rozpląwał cały przed oczyma Jakonowa. Próbował osuszyć nos chusteczką. Stał zupełnie bezbronny twarzą w twarz z Abakumowem i myślał cały czas tylko o tych, z którymi spędzał ledwie godzinę dziennie, ale dla których wił się jak piskorz, użerał i gnębił innych przez wszystkie pozostałe godziny: o dwóch dziewczynkach, ośmio - i dziewięcioletniej, i o żonie Wariuszy, drogiej mu tym bardziej, że ożenił się z nią tak późno. Wzięli ślub, gdy miał trzydzieści sześć lat, zaraz po wyjściu stamtąd, dokąd go teraz pchała żelazna pięść ministra.

A potem Seliwanowski zabrał Oskołupowa i Jakonowa do siebie i zagroził, że raczej obu ich pośle za kraty, ale nie pozwoli z siebie samego zrobić podbiegunowego lejtnanta.

Następnie Oskołupow zabrał Jakonowa do swojego gabinetu i wyjawiał mu bez ogródek, że teraz już raz na zawsze skojarzył sobie więzienną przeszłość Jakonowa z jego terażniejszym sabotażem.

... Jakonow zbliżył się do wysokiego betonowego mostu prowadzącego na prawo, za rzekę Moskwę. Ale nie wyminął łukiem jego przyczółka ani nie wszedł nań po stopniach, tylko przeszedł pod nim tunelem, w którym przechadzał się milicjant.

Milicjant długim podejrzliwym spojrzeniem odprowadził dziwnego pijaka w binoklach i z pułkownikowską papachą na głowie.

To było ujście Jauzy. Jakonow przeszedł przez krótki mostek, wciąż tak samo nie próbując nawet zorientować się, gdzie jest.

Tak, to była gra do upadłego, do zachłyśnięcia się - i oto zbliżał się jej koniec. Jakonow znał dobrze i to z własnego doświadczenia tę szaloną, niemożliwą do wytrzymania gonitwę, w którą wpędzony został cały kraj - jego komisariaty ludowe i komitety partyjne, jego uczeni, inżynierowie, dyrektorzy i kierownicy robót, kierownicy działów, brygadierzy,

robotnicy i zwykłe baby z kolchozów. Ludzi popędzano wziętymi z sufitu, absurdalnymi, niszczącymi wszelki sens terminami. To było parcie, nacisk, śruba, żeby wycisnąć więcej, prędzej, jeszcze, jeszcze, całą normę, ponad normę, trzy normy, dodatkową wachkę honorową, zobowiązanie, kontr-zobowiązanie, wykonanie przedterminowe, jeszcze bardziej przedterminowe! Tam, gdzie stosowano taką metodę - waliły się domy, nie trzymały się mosty, pękały dźwigary, zboże gniło na pniu albo w ogóle nie wschodziło. Ci, którzy znaleźli się w takim wirze, nie mieli, jak się zdaje, innego wyjścia, niż rozchorować się, wsadzić palec w tryby, ulec wypadkowi - i znaleźć dopiero wtedy schronienie w szpitalu czy w sanatorium, dać o sobie zapomnieć, nadyszeć się leśnego powietrza, tylko po to, żeby to samo chomąto można było wcisnąć człowiekowi na kark.

Jak dotąd jednak, Jakonowowi udawało się wyplątywać z takich spraw, którym groziło zaćwiczenie na śmierć - w ten sposób, że umiał przeskakiwać w porę do innych przedsięwzięć, jeszcze bardziej dyskusyjnych albo dopiero rozpoczętych.

Ale tym razem czuł, że już się nie wyrwie. Nie można było w tak krótkim czasie uratować sprawy klippingu. Nigdzie też nie mógł przeskoczyć.

Choroby też sobie w porę nie wymyślił.

Stał przy parapecie nabrzeża i patrzył w dół. Mgła legła już na samym lodzie, obnażając go - i pod samymi nogami Jakonowa widniała czarna plama wygniłej w lodzie przerębli.

Czarna otchłań przeszłości - więzienie - znów się przed nim otwierała, wzywała go z powrotem.

Sześć lat spędzonych tam Jakonow uważał za gnijącą ranę, straszną chorobę, hańbę, za największą klęskę swego życia.

Poszedł siedzieć w trzydziestym drugim roku jako młody inżynier radiowiec, mający za sobą już dwa wyjazdy na zagraniczne praktyki (wsadzili go właśnie przez te wyjazdy). Wówczas to znalazł się w liczbie pierwszych zeków, z których sformowano jedną z pierwszych szaraszek.

Jak bardzo chciał zapomnieć o więziennej przeszłości - chciał tego sam! I żeby inni zapomnieli! I żeby sam los zapomniał! Jak bardzo unikał tych, którzy mogli przypomnieć mu ten przeklęty okres, którzy pamiętali go jako skazańca!

Odepchnął się od parapetu, odszedł od niego, przeciął nabrzeże i pobrnął przed siebie, gdzieś w górę, bardzo stromo. Wiodła tam ścieżyna wzdłuż płotu jakiegoś innego jeszcze

placu budowy; była udeptana i utrzymała się na niej warstewka niezbyt śliskiego lodu.

Tylko centralnej kartotece MBP było wiadome, że w mundurze MBP parady niejedni byli zek.

Prócz Jakonowa, jeszcze dwóch takich znalazło się w instytucie Marfina.

Jakonow unikał ich, jak mógł najstaranniej, na wszelki sposób wykręcał się od rozmów pozasłużbowych i nigdy nie zostawał z żadnym z nich sam na sam w gabinecie, aby czasem komuś nie dać zera.

Jednym z nich był Kniażeniecki, siedemdziesięcioletni profesor chemii, ulubieniec Mendelejewa z okresu studiów. Odsiedział swoje przepisowe dziesięć lat. Później z uwagi na długi spis zasług dla nauki posłany został do Marfina jako wolny, by przepracować tu powojenne trzy lata, ale świszczący bat Dekretu o Konsolidacji Zaplecza także go tu dosięgnął. Któregoś dnia, w trakcie pracy, został wezwany do ministerstwa i już stamtąd nie wrócił. Jakonow dobrze zapamiętał, jak Kniażeniecki ze swoją trzęsącą się, srebrną głową szedł w dół po czerwonym chodniku wyściełającym schody instytutu, nie wiedząc jeszcze, po co to wzywają go na pół godzinki - a za jego plecami, na górnym podejściu tych samych schodów oper Szykin już odrywał z pomocą scyzoryka fotografię profesora z tablicy honorowej instytutu.

Drugi - Ałtynow, nie był wybitnym naukowcem, tylko przedsiębiorczym fachowcem. Po pierwszej swojej odsiadce stał się podejrzliwy, zamknięty; żywił przewidującą nieufność właściwą więziennej braci. I gdy tylko Dekret o Konsolidacji rozpoczął pierwsze swoje obroty po stołecznej orbicie, Ałtynow poszedł po rozum do głowy i wkrótce znalazł się w klinice chorób serca. A zrobił to w sposób tak naturalny, tak gruntowny, że teraz już lekarze nie obiecywali żadnej poprawy, przyjaciele zaś zaprzestali szeptów na jego temat, zrozumiałwszy, że to po prostu nie wytrzymało dłużej serce, nawykłe do tyloletniego kluczenia.

Tak też Jakonow, już przed rokiem naznaczony piętnem zagłady, jako były zek, teraz po raz wtóry trafiał na czarną listę jako sabotażysta.

Otchłań znów przyzywała ku sobie swoje dzieci.

... Jakonow brnął przez pustkowie w górę, nie wiedząc nawet, dokąd idzie, nie czując, że się wspina coraz wyżej. Nareszcie zadyszał się i musiał stanąć. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa; powykręcał stopy na grudzie.

I wtedy, z tych wyżyn, na które się wdrapał, trzeźwymi już oczyma rozejrzył się, aby

zrozumieć, gdzie jest właściwie.

W ciągu godziny, która minęła od chwili, gdy wyszedł z auta, zmieniła się nie do poznania ta noc, konająca na coraz większym mrozie. Cała mgła przyłgnęła do ziemi i znikła. Chociaż nie było śniegu - ale i ziemia pod nogami, cała w ceglanym gruzie, w kruszynie, w odłamkach szkła, i jakaś wałca się szopa z tarcic, i budka obok niej, i ocalały płot gdzieś niżej, opasujący duży plac, gdzie niegdyś miano rozpocząć budowę - wszystko to ledwie majaczyło w półmroku, białe od szronu.

A na szczyt tego pagórka opustoszałego tak dziwnie, jak na okolice centrum stolicy - prowadziły białe stopnie; było ich około siedmiu, później kończyły się, a jeszcze wyżej znów się chyba zaczynały.

Głuche jakieś wspomnienie obudziło się w Jakonowie na widok tych białych stopni. Zaskoczony wspinał się po nich w górę; dalej była dróżka z ubitego żużlu i znowu stopnie. Prowadziły do stojącego na szczycie budynku, słabo widocznego w ciemnościach, staroświeckiego z wyglądu, sprawiającego wrażenie ruiny, która przecie swój charakter zdołała ocalić.

Czy to zniszczenie było dziełem niemieckich bomb? Ale takich pozostałości w Moskwie nie tolerowano. Jaka więc siła doprowadziła wszystko do ruiny?

Jeden ciąg stopni oddzielony był od następnego kamiennym podestem. Spore odłamki kamienia leżały teraz na stopniach, przeszkadzając przy wspinaczce, same zaś schody przypominały wejście na cerkiewny portal.

Dochodziły aż do szerokich żelaznych wrót, zamkniętych na głucho i zasypanych po kolana ubitym śniegiem.

No tak! Tak! Ostre wspomnienie smagneło Jakonowa. Obejrzał się za siebie. Posiekana rzędami latarni, daleko w dole wiała się rzeka, dziwnie znany łukiem wchodząc pod most i dalej, ku Kremlowi.

Ale dzwonnica? Nie ma jej. A może te zwały kamienne - to dzwonnica?

Jakonow poczuł falę gorąca w oczach. Musiał je zmrużyć.

Cicho przysiadł na kamieniach, walających się przed wrotami. Dwadzieścia dwa lata temu stał na tym samym miejscu z dziewczyną, która nazywała się Agnieszka.

25

Wymówił to imię - Agnieszka i wietrzyk zupełnie innych, zapomnianych skojarzeń owionął jego ciało - syte wszelkich dostatków.

Miał wtedy dwadzieścia sześć lat, ta dziewczyna - dwadzieścia jeden.

Była jakby nie całkiem z tego świata. Na swoje nieszczęście była subtelna i wymagająca w stopniu takim, który przeszkadza już żyć.

W trakcie rozmowy jej brwi i nozdrza czasem tak zaczynały trzepotać, jakby zamierzała wzbić się w górę z ich pomocą. Nikt nigdy nie powiedział Jakonowowi tylu surowych słów, nikt mu tak nie wytykał uczynków, zdawałoby się, całkiem zwyczajnych - w których ona upatrywała jednak coś niskiego, nieszlachetnego. Im zaś więcej znajdowała braków w Antonim, tym większe - dziwna rzecz - czuł do niej przywiązanie.

A trzeba było być z nią bardzo ostrożnym w sporach. Była wątlutka, męczyło ją wchodzenie pod górę, bieganie, nawet - zbyt ożywiona rozmowa. Nadzwyczaj łatwo było ją dotknąć.

Skądinąd - znajdowała w sobie jednak siły, aby całymi dniami samotnie chodzić po lesie. Ale wbrew wszelkim wyobrażeniom o zachowaniu się miejskiej panny - nigdy nie brała tam ze sobą książek; książka by jej przeszkadzała, odrywałaby ją od lasu. Brodziła tam po prostu i przesiadywała godzinami, na własny sposób ucząc się leśnych sekretów. Opisy przyrody u Turgieniewa opuszczała: raziły ją swoją powierzchownością. Kiedy Antoni jej towarzyszył - bywał zaskoczony jej spostrzeżeniami: a to - dlaczego pień brzoźki tak się pochylił, to znów - jak zmienia się pod wieczór odcień leśnej trawy. Sam nie umiał dopatrzeć się tu niczego podobnego: ot, las jak las, świeże powietrze, zieleń.

Leśny Strumyk - tak przezywał ją Jakonow latem dwudziestego siódmego roku; spędzili je na letnisku, w sąsiadujących domach. Zjawiali się wszędzie razem i wszyscy naokół brali ich za narzeczonych.

Ale w istocie bardzo daleko było do tego.

Nie była ani ładna, ani brzydka. Twarz miała zmienną: raz uśmiechniętą i wdzięczną, to znów ponurą, odpychająco wydłużoną. Dość wysoka, była jednak szczupła i krucha, a chód tak miała lekki, jakby w ogóle nie musiała dotykać stopą ziemi. I chociaż Antoni miał już jakie takie doświadczenie, a w kobiecym ciele cenił ponętne kształty - w tej dziewczynie co innego go pociągało, gdy zaś już się do tej sytuacji przyzwyczał - sam ją się przekonywać, że podoba mu się ona również jako kobieta i że z czasem rozkwitnie.

Towarzysząc jednak chętnie Antoniemu przez całe długie letnie dni, zagłębiając się razem z nim w zielone bezdroża na wiele wiorst, leżąc tuż obok niego na polankach - Agnieszka z wielką niechęcią pozwalała brać się za łokieć, pytała: „I po co to?”, próbując

uwolnić ramię. I nie chodziło tu o wstyd przed ludźmi; gdy wracali do letniskowej osady, ustępowała mu i potulnie pozwalała prowadzić się pod rękę.

Doszedłszy do wniosku, że jest zakochany, Antoni wyznał jej miłość; padł jej do kolan na leśnej polance. Ale głęboka desperacja ogarnęła Agnieszkę. „Jakie to smutne - powiedziała. - Mam wrażenie, że cię oszukuję. Nie mam ci nic do dania w zamian. Nie ma we mnie żadnego uczucia. Do tego stopnia, że aż mi się żyć odechciewa. Ty jesteś mądry i błyskotliwy, powinnam się tylko cieszyć - a mnie się żyć odechciewa... „

Mówiła tak - a przecie każdego ranka przyglądała się z trwogą, czy nie ma zmiany w jego twarzy, w jego stosunku do niej.

Mówiła tak - ale mawiała też co innego: „W Moskwie jest mnóstwo dziewcząt. Na jesieni poznasz jakąś inną, piękniejszą i przestaniesz mnie kochać”.

Pozwalała się obejmować, a nawet całować, ale jej usta i ręce były wtedy jak nieżywe. „Co za gorycz! - mówiła z męką. - Myślałam, że miłość - to jakby anioł ognisty zstąpił na ziemię. I oto kochasz mnie, i nigdy nie znajdę nikogo lepszego niż ty - a wcale się nie cieszę i wcale mi się nie chce żyć”.

Zostało w niej dużo z dziecka. Bała się tych wszystkich sekretów, które łączą mężczyznę i kobietę w małżeństwie i żalonym głosem pytała: „Czy to takie konieczne?” - „To jest wcale nie najważniejsze, wcale! - odpowiadał jej Antoni w zapale. - To tylko uzupełnienie naszego związku duchowego!” Wówczas to jej wargi po raz pierwszy drgnęły lekko przy pocałunku i powiedziała: „Dziękuję ci. Bo inaczej po co byłoby żyć? Zdaje mi się, że już zaczynam cię kochać. Będę się bardzo starała pokochać cię”.

Tejże jesieni szli któregoś wieczoru przez zaułki w okolicach placu Tagańskiego i Agnieszka powiedziała swoim cichym, leśnym głosem, ledwo słyszalnym wśród miejskiego hałasu:

- A chcesz, to ci pokażę jedno z najpiękniejszych miejsc w Moskwie?

I zaprowadziła go pod ogrodzenie malutkiej ceglanej cerkwi, pomalowanej na biało i obróconej absydą w stronę krętego, bezimiennego zaułka. Wewnątrz ogrodzenia było ciasno, tyle że wiodła dookoła cerkiewki dróżka dla procesyj, na której ledwie mogli zmieścić się obok siebie pop z diakonem. Przez zakratowane okienka błyskały z głębi ciche ogienki świec na ołtarzu i kolorowych lampek wotywnych. Tuż obok, w samym rogu, rósł stary wielki dąb; był wyższy od cerkwi i gałęzie jego, już pożółkłe, ocieniały zarówno kopułę, jak cały zaułek, przez co cerkiew wydawała się zupełnie już maleńka.

- To jest cerkiew Nikity Męczennika - powiedziała Agnieszka.
- Ale to chyba nie najpiękniejsze miejsce w Moskwie?
- A poczekaj tylko.

Przeprowadziła go między dwoma słupkami furtki. Na kamiennych płytach podwórca leżały żółte i pomarańczowe liście dębów. Stareńka dzwonnica w kształcie graniastego stożkaomal nie mieściła się cała pod koroną tegoż dębu. Dzwonnica i budynek zakrystii za ogrodzeniem zasłaniały niskie już, zachodzące słońce. W otwartych, dwudzielnych, żelaznych wrotach północnego przedsionka zgarbiła się stara żebraczka i zegnała się w rytm dochodzącego z jasnożółtego wnętrza śpiewu mszalnego.

- „Słysnęła zaś ta cerkiew wielce pięknościami swymi i nieziemskim blaskiem... „ - powiedziała Agnieszka prawie szeptem, stojąc przy nim blisko, ramię przy ramieniu.

- Z jakiego to wieku?
- Koniecznie potrzebny ci wiek? A jeżeli bez wieku? Może nie miła?
- Ma się rozumieć, że miła, ale nie...

- No to popatrz! - i puszczając jego łokieć, a biorąc go wyciągniętą dłonią za przegub, Agnieszka szybko pociągnęła Antoniego za sobą - ku głównemu wejściu; weszła w sam środek słonecznego strumienia i przysiadła na niskim kamiennym parapecie, gdzie kończyło się ogrodzenie i otwierał się widok przez wrota.

Antoni aż jęknął. Było tak, jakby wyrwali się naraz z miejskiej ciasnoty i weszli na strome wzniesienie z rozległym otwartym widokiem. Od cerkiewnych wrót droga spływała w dół przełamując się przez ogrodzenie i przechodząc w długie białokamienne schody, które kilkoma ciągami, przerywane podestami, zbiegały po zboczu aż do samej rzeki Moskwy. Rzeka płonęła w słońcu. Z lewej strony leżało Zamoskworieczje, oślepiając żółtym blaskiem swoich szyb, przed nimi czarne kominy moskiewskiej elektrowni zasnuwały dymem niebo zachodu, prawie pod ich nogami wpadała do rzeki Moskwy lśniąca Jauza, na prawo od niej ciągnęły się zabudowania Zakładu Wychowawczego, za nim wznosiła się wysmukła sylwetka Kremla, a jeszcze dalej paliło się w słońcu pięć dukatowo-złoty kopców cerkwi Zbawiciela.

I w całym tym złotym lśnieniu Agnieszka, też zdając się złotą w swoim złotym szalu na ramionach, siedziała mrużąc oczy w słońcu.

- Tak! To jest dopiero Moskwa! - powiedział z zachwytem Antoni.
- Jak też dawni Rosjanie potrafili wybierać miejsca na cerkwie, na monastery! -

mówiła Agnieszka rwącym się głosem. - Pływałam niedawno statkiem po Wołdze i po Ocie i widziałam, że wszędzie stawiano je w takich miejscach, gdzie najwięcej majestatu. Architekci byli pobożni, zaś murarze - świątobliwi.

- Tak, to jest dopiero Moskwa! - powtórzył Antoni.

- Ale ona przemija - śmiałym głosem powiedziała Agnieszka. - Ta Moskwa - przemija!

- Jak to, przemija? Fantazja.

- Antoni, tę cerkiew zburzą - powiedziała Agnieszka z przekonaniem.

- Skąd wiesz, że zburzą? - rozsierdził się Antoni. - To zabytek sztuki, dadzą jej spokój.

- Patrzył właśnie na maleńką stożkową dzwonnice; przez jej szpary okienne zaglądały do dzwonów dębowe gałęzie.

- Zburzą! - twierdziła Agnieszka siedząc wciąż nieruchomo w żółtym blasku i w swoim żółtym szalu.

Nikt jej w rodzinie nie uczył wiary w Boga, wręcz przeciwnie: jej matka i babka - w tych latach, kiedy chodzenie do cerkwi było jeszcze obowiązkiem - wcale tam nie chodziły, nie przestrzegały postów, nie spowiadały się i nie czyniły pokuty, lekcewały popów i gdzie mogły, tam wyśmiewały religię, która tak grzecznie współżyła z pańszczyźnianą niewolą. Babcia, matka i ciotki Agnieszki trzymały się twardo własnego swojego wyznania: być zawsze po stronie tych, komu zadają gwałt, na kogo polują, kogo prześladują, kogo gnębi władza. Babkę znali chyba wszyscy moskiewscy narodowolcy, ponieważ dawała im schronienie i pomagała czym mogła. Córki, jej wzorem, udzielały opieki i kryjówek członkom nielegalnych partii, eserowcom i socjaldemokratom. Malutka Agnieszka też zawsze drżała o zajaca, żeby go myśliwi nie zastrzelili, i o każdego konia, żeby go nie bito. Ale tymczasem rosła i - nieoczekiwanie dla starszych - wyjaśniło się nagle, że stoi po stronie cerkwi, bo ją pono prześladują.

Twierdziła stanowczo, że t e r a z byłoby niską rzeczą unikać kontaktów z cerkwią i - ku przerażeniu matki i babki - zaczęła uczęszczać do niej, przez co zaczęła z kolei bezwiednie poddawać się urokowi nabożeństwa.

- Ale gdzież ty masz dowody tego prześladowania! - dziwił się Antoni. - Nikt nie przeszkadza bić w dzwony i wypiekać opłatki, procesje - prosimy bardzo, dookoła cerkwi, a w mieście i w szkole i tak nie mają nic do roboty.

- Ma się rozumieć, że prześladują - odpowiadała Agnieszka, jak zawsze cicho, ledwie dosłyszalnie. - Skoro przeciw cerkwi wolno pisać i mówić, co kto chce, a jej nie wolno się

bronić, skoro sekwestrują sprzęty liturgiczne, skoro duchowni idą na zesłanie - to może nie są prześladowania?

- Gdzieś ty widziała, że idą na zesłanie?

- Na ulicach się tego nie widzi.

- A nawet, jeżeli prześladowają! - atakował Antoni. - Prześladowują cerkiew dziesięć lat, a jak długo ona prześladowała innych? Dziesięć wieków!

- Nie było mnie jeszcze wtedy na świecie - wzruszyła wąskimi barkami Agnieszka. - Za to teraz jestem... Widzę to, co się teraz dzieje.

- Ale trzeba znać historię! Ignorancja nie jest żadnym usprawiedliwieniem! A nie zastanawiałaś się ty przypadkiem, jak udało się naszej cerkwi przeżyć dwieście pięćdziesiąt lat tatarskiej niewoli?

- Chyba dlatego, że ludzie wierzyli tak głęboko? - próbowała się domyślić.

- To znaczy chyba, że prawosławie okazało się duchowo silniejsze od mahometanizmu?... - Mówiła to raczej tonem pytającym niż twierdzącym. Antoni uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Fantasmagorie! Czy w głębi duszy nasz kraj był kiedykolwiek chrześcijański? Czy w naszym kraju w ciągu tysiąca lat jego istnienia ktoś kiedykolwiek darował winy swoim winowajcom? Czy kto kiedy odpłacał miłością za nienawiść? Nasza cerkiew dlatego się ostała, że po najeździe tatarskim metropolita Cyryl jako pierwszy z Rosjan poszedł bić czołem przed chanem, aby wyprosić listy żelazne dla duchowieństwa. Tatarska szabla! - oto czym broniło rosyjskie duchowieństwo swoich gruntów, swoich dusz pańszczyźnianych i swojej liturgii! I, jeśli ci o to chodzi, metropolita Cyryl miał rację, to był realista w polityce. Właśnie tak trzeba robić. Tylko w ten sposób można dopiąć swego.

Kiedy Agnieszka czuła się przedmiotem ataków, nie podejmowała sporów. Spojrzała tylko na swego narzeczonego, jakby czymś zaskoczona.

- Na takim właśnie gruncie zbudowane są wszystkie te piękne cerkwie z tak wspaniałym wybranym położeniem! - grzmiał Antoni. - I jeszcze na popiołach spalonych raskolników! I na kościach zasieczonych na śmierć sekciarzy! Też masz kogo żałować - Cerkiew prześladowana!...

Usiadł obok niej na gorącym kamieniu parapetu:

- I w ogóle niesprawiedliwa jesteś dla bolszewików. Nie zadałaś sobie trudu, aby przeczytać ich podstawowe dzieła. Do kulturalnego dorobku odnoszą się z troską zupełnie

wyjatkową. Chodzi im o to, żeby skończył się wyzysk człowieka przez człowieka, i właśnie, żeby zapanowało królestwo rozumu. A przede wszystkim - chodzi im o równość. Wyobraź sobie tylko: powszechna, całkowita, absolutna równość. Nikt nie będzie mieć przywilejów w stosunku do innych, nikt nie będzie zarabiał więcej od innych ani nikt nie będzie mógł się nad innymi wywyższać. Czy może być coś wspanialszego niż takie społeczeństwo? Czyż nie jest warte ono ofiar?

(Niezależnie od uroków tej organizacji społecznej, Antoni miał takie pochodzenie socjalne, że konieczne było dla niego jak najszybsze i jak najzręczniejsze włączenie się - póki jeszcze był czas).

- A tymi swoimi krygami zamkniesz sobie sama drogę na wyższą uczelnię. I w ogóle jakie znaczenie mają twoje protesty? Co właściwie możesz nimi zwojować?

- A co w ogóle może zrobić kobieta? - jej cienkie warkoczyki (nikt już w tych latach nie nosił warkoczy, wszystkie obcinały włosy, ona zaś nosiła je z ducha przekory, chociaż nie było jej do twarzy), jej warkoczyki rozplotły się, jeden opadł na kark, drugi na piersi. - Kobieta zdolna jest jedynie do tego, aby przeszkadzać mężczyźnie w spełnieniu wielkiego czynu. Nawet taka, jak Natasza Rostowa. Nie mogę jej znieść.

- Za co? - zdumiał się Antoni.

- Za to, że nie pozwoliłaby Pierre'owi zostać dekabrystą! - Jej słaby głos znów się załamał.

Cała była utkana z takich drobnych wyskoków. Przejrzysty żółty szal otulający jej barki zawisł na półwzniesionych łokciach i przypominał błoniaste, złote skrzydła. Antoni oburącz ujął jej łokieć, tak jakby bał się go złamać.

- A jak ty? Ty byś pozwoliła?

- Tak - powiedziała Agnieszka.

Antoni nie miał zresztą w perspektywie żadnego wielkiego czynu, na który trzeba by mu udzielać błogosławieństwa. Prowadził niezwykle czynne życie, robotę miał interesującą i szedł od sukcesu do sukcesu.

Przechodzili obok nich i zegnali się przed otwartymi wrotami cerkwi spóźnieni parafianie napływający z dołu od nabrzeża. Wchodząc na cerkiewny cmentarz mężczyźni zdejmowali czapki. Mężczyzn było zresztą niewiele i nie widać było wśród nich młodzieży.

- A nie boisz się, że zauważą cię koło cerkwi? - zapytała Agnieszka bez drwiny, ale zabrzmiało to jak drwina.

Bo i rzeczywiście, zaczęły się już czasy, kiedy dostrzeżenie kogoś koło cerkwi przez kolegów z pracy stawało się niebezpieczne. Antoni zaś już miał się za kogoś na świeczniku.

- Uważaj, Agnieszko - przekonywał ją, już trochę podrażniony. - Trzeba umieć wreszcie dostrzec w porę to, co nowe; kto nie potrafi, ten zostaje w tyle i to w sposób beznadziejny. Ty dlatego zaczęłaś Ignąć do Cerkwi, że znajdujesz tu coś, co schlebia twojej niechęci do życia. Powinnaś w końcu otrząsnąć się, zainteresować się - nawet na siłę - no, choćby samym procesem życia, skoro już o tym mowa.

Agnieszka opuściła głowę. Bezwładnie opadła jej dłoń ze złotym pierścionkiem, podarunkiem od Antoniego. Wydawała się teraz kanciasta i bardzo chuda.

- Tak, tak - zgodliwie powiedziała strapionym głosem. - Doskonale zdaję sobie czasem sprawę, że bardzo trudno mi jest żyć, że wcale mi się żyć nie chce. Takie jak ja - są zupełnie niepotrzebne na świecie...

Poczuł ciężar w piersi. Ona robi wszystko, żeby go sobie zrazić! Męska decyzja, aby wypełnić obowiązek i ożenić się z Agnieszką, zdawała się coraz trudniejsza do wykonania.

Przyjrzała mu się pytająco, bez uśmiechu.

„A przecież właściwie jest brzydka” - pomyślał Antoni.

- Na pewno czeka cię sława, wszelka pomyślność, sukcesy - powiedziała ze smutkiem. - Ale czy będziesz kiedy szczęśliwy?... Ty też uważaj. Interesując się procesem życia możemy utracić... utracić... no, jak ci to powiedzieć... - Pocierała opuszki palców szukając potrzebnego słowa. Męka tego poszukiwania odbiła się na jej twarzy bolesnym uśmiechem. - O, widzisz, dzwon przestał dzwonić, śpiewne dźwięki rozpląnęły się - już ich nic nie wróci, a w nich to właśnie jest cała muzyka. Rozumiesz?... - Dalej szukała właściwych słów. - A wyobraź sobie chwilę własnego konania; co, jeżeli wtedy poprosisz: pochowajcie mnie tak, jak się prawosławnych chowa?...

W końcu namówiła go i weszli jednak do środka. Pod niskim sklepieniem ciągnęła się wkrąg galeryjka z okienkami zdobnymi w starorosyjską kratę. Pod niskim łukiem przechodziło się do środkowej nawy.

Przez okienka w kopule zachodzące słońce wlewało się blaskiem i rozbiegało złotymi iskrami po okładzinach ikon w ołtarzu i po mozaice wyobrażającej Boga Ojca.

Wiernych było niewielu. Agnieszka postawiła cieniutką świeczkę na dużym mosiężnym stojaku i stanęła poważnie, prawie się nie zegnając, zacisnąwszy dłonie na wysokości piersi, i patrząc przed siebie uduchowionymi oczyma. Rozproszone światło

zachodu i pomarańczowy odblask świec przywróciły jej twarzy życie i ciepło.

Za dwa dni przypadało święto Narodzin Najświętszej Marii Panny i czytano długą litanię maryjną. Litania była bajecznie ozdobna, lawiną sypały się epitety i atrybuty Panny Marii - i po raz pierwszy Jakonow wczuł się w ekstazę i poezję tej modlitwy. Litanię pisał nie bezduszny bigot, tylko wielki, anonimowy poeta wtrącony za klasztorne mury; i natchnęła go nie przemijająca męska żądza, tylko to zachwycenie wyższego rzędu, jakie potrafi wywołać w nas kobieta.

Jakonow oprzytomniał. Tyłtając w błocie skórzany płaszcz siedział na kupie ostrych kamieni przed wrotami cerkwi Nikity Męczennika.

Tak, bezmyślnie zburzyli stożkowatą dzwonnice i rozwalili schody zbiegające do rzeki. Wcale nie chciało się nawet wierzyć, że tamten słoneczny wieczór i ten grudniowy przedświt przeżył ktoś na tych samych niewielu metrach moskiewskiego gruntu. Ale wciąż tak samo rozległy był widok ze wzgórza i tak samo biegły zakręty rzeki powtórzone przez linię ostatnich latarni...

... Wkrótce potem wyjechał na praktykę zagraniczną. A kiedy wrócił, kazano mu napisać, a na dobrą sprawę - tylko podpisać artykuł dla gazety o degeneracji Zachodu, jego społeczeństwa, moralności, kultury, o fatalnej sytuacji zachodniej inteligencji, o niemożności rozwoju nauki. Było to nie całkiem prawdziwe, ale jakby i nie całkiem zełgane. Podobne fakty miały miejsce, chociaż nie tylko takie się trafiały. Chociaż był bezpartyjny, wezwano go do komitetu i bardzo nalegano, żeby tylko o takich faktach napisał. Wahania ze strony Jakonowa mogły wywołać podejrzenia, zostawić plamę na jego reputacji. Zresztą, komu właściwie mógł zaszkodzić taki artykułik?

Został więc wydrukowany.

Agnieszka przesyłką pocztową zwróciła mu pierścionek; przymocowała doń nitką karteczkę: „Metropolicie Cyrylowi”.

Antoni poczuł ulgę.

Podniósł się, wspiął się na palce aż do zakratowanego okienka galerii i zajrzał do środka. Doszedł go stamtąd zapach wilgotnej cegły, wiew chłodu i butwienia. Nie bez trudu można było dostrzec, że wewnątrz też jest pełne kamiennych szczątków i śmiecia.

Jakonow oderwał się od okienka i czując, że serce bije mu nierówno, przypadł do futryny zardzewiałych żelaznych wrót, od wielu lat już nie otwieranych.

Znów poczuł w sobie lodowaty ciężar groźby Abakumowa.

Jakonow znajdował się na samych szczytach tego, co zwykle się uważać za potęgę. Należał do najwyższych urzędników wszechmocnego ministerstwa. Był rozumny i utalentowany - i miał też opinię rozumnego i utalentowanego. W domu czekała na niego kochająca żona. W łóžeczkach spały jego rumiane dzieci. Wysokie komnaty z balkonami w starym moskiewskim domu składały się na jego wykwintne mieszkanie. Miesięczna jego gaża liczyła się na tysiące. Specjalnie przydzielone auto miał na każde zawołanie. A on tu stał wbijając łokcie w martwe głązy i nie miał wcale chęci do życia. I taką beznadzieję czuł w sercu, że nie znajdował dość siły, żeby ruszyć choćby palcem. Nie chciało mu się wcale patrzeć na uroki poranka.

Świtało.

Przemarzłe powietrze pełne było solennej czystości. Obfity szorstki szron omszył szeroki pień zrąbanego dębu, gzymsy zrujnowanej cerkwi, wzorzyste kraty na jej oknach, druty ciągnące się do sąsiedniego domku i krawędź długiego kolistego płotu, zakreślonego wokół miejsca, gdzie stanąć miał nowy wieżowiec.

26

Świtało.

Suty, królewski szron omszył słupy z o n y i pasa ochronnego, druty kolczaste plecione z dwudziestu nitek i zadzierzgnięte w tysiące gwiazdzistych węzłów, stromy dach wieży strażniczej i nie koszone burzany na ugorze za drutami.

Dymitr Sołogdin patrzył na te cuda szeroko otwartymi oczyma i cieszył się nimi. Stał obok kozłów do piłowania drzewa. Miał na sobie roboczą Majkę obozową, wdział ją na granatowy kombinezon, głowę - z pierwszymi siwymi nitkami we włosach - miał gołą. Był mizernym, bezprawnym niewolnikiem. Siedział już od dwunastu lat, ale że złapał w obozie drugi wyrok, więc nie spodziewał się doczekać końca swojej kary. Jego młodą żonę wysuszyły lata bezpłodnego oczekiwania. Żeby nie wyrzucono jej ze zdobytej ostatnio pracy, tak jak już wyrzucano z niejednej, musiała skłamać, że nie ma już męża i przerwała z nim korespondencję. Jedyne go syna Sołogdin nigdy nie oglądał na oczy; żona była w ciąży, gdy go aresztowano. Sołogdin przebrnął przez czerdyńskie lasy, przez workuckie kopalnie, przez dwa śledztwa - półroczne i roczne - z bezsennością, z utratą wszystkich sił, wszystkich soków. Dawno już wdeptano w błoto jego imię i jego przyszłość. Cały jego majątek stanowiły stare watowane portki, które były teraz w depozycie więziennym w oczekiwaniu nowych lat chudych. Płacono mu miesięcznie trzydzieści rubli, równowartość 3 kg cukru, i

zresztą też nie gotówką. Oddychać świeżym powietrzem mógł tylko w pewnych określonych godzinach, za zezwoleniem więziennej władzy.

Ale dusza jego pełna była niewzruszonego spokoju. Oczy błyszczały jak u młodzieńca. Pierś, pomimo mrozu obnażoną, rozpierało mu poczucie pełni życia.

Jego mięśnie, które w czasie śledztwa przekształciły się w suche sznurki - teraz znowu nabrały kształtów, nabrzmiały i spragnione były ruchu. Dlatego też Sołogdin całkiem dobrowolnie i bez żadnej zapłaty wychodził co rano, aby rąbać i piłować drwa dla więziennej kuchni.

Jednak topór i piła, jako narzędzia w ręku zeka nader niebezpieczne, nie od razu i nie tak łatwo były mu powierzone. Zwierzchność więzienna, której płacono właśnie za to, by w każdym najniewinniejszym postępku zeków doszukiwała się jakiejś intrygi, a może też mierząca innych własną miarą, w żaden sposób nie chciała uwierzyć, że ktoś chce dobrowolnie pracować bez wynagrodzenia. Dlatego Sołogdin był przedmiotem stałych podejrzeń, że przygotowuje ucieczkę albo powstanie zbrojne, tym bardziej, że w jego więziennym dossier były dowody: myślał i o jednym, i o drugim. Wydano więc zarządzenie, by o pięć kroków od pracującego Sołogdina stał strażnik, który miał bezustannie śledzić każdy jego ruch i zarazem trzymać się przezornie z dala od zdradzieckiego topora. Chętni do służby tak niebezpiecznej oczywiście byli, i nawet ta proporcja - jeden nadzorca na jednego pracownika - nie wydawała się wcale przesadna zwierzchności wychowanej w kulcie dobrych obyczajów GUŁagu. Ale tu stanął okoniem (tym samym wzmagając podejrzania) Sołogdin: z całą zuchwałością oświadczył, że nie będzie pracować przy szpiclu. Na jakiś czas skończyło się w ogóle rąbanie drzewa (zmusić do tego zeków naczelnik więzienia nie mógł, to nie był łagier; ci skazańcy zajęci byli pracą umysłową i to nie w jego pionie). Niestety chcieli, że instancje planujące i księgowość w ogóle nie przewidziały konieczności takich prac przy kuchni. Dlatego frajerki, które gotowały stawę dla więźniów, wcale nie chciały brać się do rąbania, jako że im za to nie płacono osobno. Próbowano kierować do tej roboty strażników ze zmiany mającej właśnie przerwę w pracy, odrywając ich od gry w domino w dyżurce. Wszyscy strażnicy byli chłopakami na schwał i dobierano ich starannie, także pod względem zdrowia. Jednakże w ciągu lat służby w straży więziennej oduczyli się jakby roboty - szybko zaczynało ich łamać w krzyżu, zresztą domino też nie lubiło czekać. Jakoś w żaden sposób nie mogli narąbać tyle drzewa, ile było trzeba. W końcu więc naczelnik więzienia musiał się poddać: zezwolił Sołogdinowi oraz innym więźniom

chętnym do wspólnej z nim roboty (najczęściej byli to Nierzyn i Rubin) na piłowanie i rąbanie bez dodatkowego nadzoru. Widać ich było zresztą z wieżyczki strażniczej jak na dłoni, ponadto kazano dyżurnym oficerom mieć na nich oko zza węgła.

W pierzchających ciemnościach, w blednym blasku lamp, z którym łączyło się już światło dzienne, ukazała się krępa postać stróża Spirydona; wyszedł zza rogu budynku w swoim grubym kaftanie i w uszatej czapie, przydzielonej tylko jemu jednemu. Stróż był także zekiem, ale podlegał administratorowi instytutu, nie zaś kierownictwu więzienia i tylko dla uniknięcia zatargów ostrzył dla więzienia piłę i siekiery. Gdy się zbliżył, Sołogdin rozpoznał w jego ręku piłę, której brak było na miejscu.

O każdej porze dnia, od porannego apelu do wieczornego Spirydon Jegorow kręcił się bez żadnego konwoju po obstawionym karabinami maszynowymi dziedzińcu. Zwierzchność zdecydowała się na ten śmiały krok także dlatego, że Spirydon był ślepy na jedno oko, drugim zaś widział tylko na trzy dziesiąte. Chociaż szaraszka według planu etatów powinna była mieć trzech stróżów, podwórzec jej bowiem składał się z kilku połączonych placów i miał ze dwa hektary powierzchni, ale Spirydon, nic o tym nie wiedząc, pracował za trzech i wcale mu z tym nie było źle. Najważniejsze - że mógł tutaj jeść popuszczając pasa, razowca - nie mniej niż półtora kilograma, bo chleba to już było po dziurki w nosie, a kaszy też mu wiara podrzucała. Spirydon najwyraźniej przybrał tu na wadze i podciągnął się, jeśli porównać z Siewurallągiem, gdzie trzy zimy pracował przy wyrębie, a trzy wiosny przy spławianiu i gdzie przeholował wiele tysięcy pni.

- Hej! Spirydon! - z niecierpliwością powitał go Sołogdin.

- A co znowu?

Twarz Spirydona z siwo-rudymi wąsami, takimiż brwiami i ceglastą cerą była bardzo ruchliwa; często przy odpowiedziach przybierała wyraz chętniej gotowości, tak jak teraz. Sołogdin nie wiedział, że zbyt wielka gorliwość była u Spirydona formą kpiny.

- Jak to, co znowu? Przecież piła już tępa!

- Z czego by to jej przyszło? - zdumiał się Spirydon. - Który to już raz w tę zimę to słyszę? Ano, posuniemy razik, drugi!

I podał mu jedną z rękojeści piły.

Zaczęli piłować. Piła ze dwa razy wyprysnęła zmieniając miejsce, jakby jej było niewygodnie, ale później wżarła się i poszła gładko.

- Nie trzeba aż tak mocno trzymać jej w ręku - ostrożnie doradził Spirydon. - Najlepiej

rączkę objąć trzema paluszkami, niby pióro, i prowadzić swobodnie, płynnie... o... właśnie, właśnie... a jak się ją do siebie ciągnie, to byle nie szarpać...

Każdy z nich był przekonany o swojej wyższości nad drugim: Sołogdin - dlatego, że znał mechanikę teoretyczną, naukę o oporze materiałów i wiele jeszcze innych nauk, a nadto miał ugruntowane poglądy na życie społeczne. Spiridon dlatego, że wszystkie przedmioty były mu posłuszne. Ale Sołogdin nie taił swojej pobłażliwej wyższości w stosunku do stróża, Spiridon zaś ukrywał swój pobłażliwy stosunek do inżyniera.

Nawet po przegryzieniu się przez połowę grubości pnia piła wcale się nie zatarła i biegła z lekkim brzękiem, strzykając żółtawymi sosnowymi opiłkami na nogawki kombinezonów, które obaj nosili.

Sołogdin roześmiał się:

- Spiridon, ale z ciebie kawalarz! Nabrałeś mnie. Musiałeś wczoraj tę piłę naostrzyć i wyklepać.

Spiridon, bardzo kontent, przygadywał do taktu:

- Źre drewno, żre, drobno żuje, drobno, sobie ani kęsa, wszystko innym daje...

Wparł się dłonią i odwalił dopiłowany prawie do końca kloc.

- Wcalem nie ostrzył - i obrócił piłę zębami do góry. - Starczy spojrzeć na zęby, jakie były wczoraj, takie i dzisiaj.

Sołogdin pochylił się i rzeczywiście nie zobaczył świeżych rys po pilniku. Jednak musiał ten spryciarz coś tu zrobić.

- No, jeszcze jeden klocek, Spiridonie.

- Nieee... - Spiridon złapał się za krzyże. - Jużem się zmachał. Co dziady i pradziady nie zdążyli dokończyć, to wszystko na mnie spadło. Toć zaraz przyjaciół wasze nadejdą.

Jednak przyjaciół jakoś nie było widać.

Rozjaśniło się już zupełnie. Nadszedł ranek cały w uroczystym szronie. Szron pokrył nawet rynny i całą ziemię, a siwe jego pasma jaśniały na czubkach lip w oddali, na dziedzińcu do więziennych spacerów.

- Powiedz no, Spiridonie, jakieś trafił do szaraszki? - zagadnął Sołogdin uważnie przyglądając się stróżowi.

Pytał, bo nic innego nie było do roboty. W ciągu wielu obozowych lat Sołogdin zadawał się zawsze tylko z inteligentami, nie sądząc, aby cokolwiek mógł skorzystać na rozmowie z człowiekiem niewykształconym.

- Ano - powiedział Spiridon i cmoknął. - Nazwozili tu kupę uczonych ludzi - a ja na przyprzążkę. W mojej karcie stało napisane: „hutnik szklany, dmuchacz”. Żeby prawdę powiedzieć, to pracowałem kiedyś przy szkle, byłem majstrem od miechów w naszej hucie pod Briańskiem. Ale dawno to było, oczy człowiek stracił i taka robota, to nie tutaj, tu potrzebny uczony dmuchacz, taki jak Iwan. W naszej fabryce takiego nigdy nie było. Ale trzymali się tej karty i przywieźli. Jak się na mnie poznali - to chcieli pchnąć mnie z powrotem. Chwalić Boga, że mnie rządca na stróża wziął.

Zza węgła, od strony dziedzińca do przechadzek i stojącego oddzielnie parterowego budynku „sztabu więziennego” pojawił się Nierzyn. Kroczył w niedopiętym kombinezonie, w niedbale zarzuconej na ramiona Majce, z przydziałowym (i dlatego tak krótkim, że prawie kwadratowym) ręcznikiem na szyi.

- Dzień dobry, przyjaciele - powitał ich krótko, rozbierając się od razu; opuścił do pasa górną część kombinezonu i ściągnął z siebie podkoszulek.

- Oszalałeś, kochany, gdzie ty widzisz śnieg? - Sołogdin spojrzał na niego z ukosa.

- A tu go masz - powiedział Nierzyn mrocznym tonem, wdrapując się na dach lamusa. Leżała na nim puszysta, cienka, dziewicza warstwa ni to śniegu, ni to szronu. Nierzyn nabrał go pełne garście i zaczął zawzięcie nacierać sobie pierś, barki i boki. Przez całą zimę nacierał się śniegiem do pasa, chociaż nadzorcy, jeśli tylko byli blisko, nie pozwalali.

- Ale cię, widać, rozebrało - pokiwał głową Spiridon.

- A listów wciąż nie macie, co, Spiridonie Daniłyczu? - powiedział na to Nierzyn.

- A kiedy właśnie nadszedł!

- No, to czegoś nie przyniósł do czytania! Wszystko w porządku?

- Nadszedł, ale w ręku nie miałem. Leży u Gada.

- U Myszyzna? Nie dał ci? - Nierzyn przerwał na chwilę nacieranie.

- Wywiesił mnie w spisie, ale rządca kazał strych rozbierać. Zanim sobie poradziłem - Gad już zamknął okienko. Teraz dopiero w poniedziałek.

- Ech, dranie! - westchnął Nierzyn szczerząc zęby.

- Diabeł jest na to, żeby popów sądzić - machnął ręką Spiridon zerkając bokiem na Sołogdina, którego mało znał. - No, ja już lecę.

W swojej czapie z uszami śmiesznie opadającymi na boki, jak u kosmatego psa, Spiridon poszedł w stronę wartowni, gdzie żaden zek prócz niego nie miał przystępu.

- A topór? Spiridon! Gdzie topór? - krzyknął za nim Sołogdin.

- Dyżurny przyniesie - odkrzyknął Spiridon i zniknął.

- No - powiedział Nierzyn, silnie rozcierając szorstką szmatą pierś i grzbiet - nie dogodziłem naszemu Antoniemu. Odniosłem się do Siódemki jak do zwłok pijaczyny, co zdechł pod marfińskim płotem. Wczoraj wieczorem zaproponował mi przejście do grupy kryptograficznej, ale odmówiłem.

Sołogdin pokręcił głową, uśmiechnął się. Przy uśmiechu, między jego płowymi, lekko siwiejącymi, starannie podstrzyżonymi wąsami a taką samą bródką, perłowo błysnęły wydłużone i wypukłe, krzepkie, zdrowe, a przecież przerzedzone w obozach zęby:

- Zachowujesz się nie jak licznik, lecz jak wierszotwórca. - Nierzyn wcale się nie zdziwił. Było to jedno z ogólnie znanych dziwactw u Sołogdina: stosowanie J ę z y k a Krańcowej Jasności, bez użycia ptasich określeń, to znaczy terminów pochodzenia obcego.

Nierzyn, wciąż jeszcze półgoły, kończył nacieranie ręcznikiem.

- Owszem, to nie w moim stylu - powiedział niewesoło. - Ale tak mam dość tego życia, że mi już wszystko jedno. Na Sybir, to na Sybir... Z przykrością widzę, że Lewek ma rację, żaden ze mnie sceptyk. Widocznie sceptycyzm to nie tylko sprawa poglądów, ale przede wszystkim - charakteru. A mnie wciąż korci, żeby do wszystkiego wtrącić swoje trzy grosze. A może nawet komuś... dać w mordę.

Sołogdin, opierają się o kozły, przybrał wygodniejszą pozę.

- To dobrze, przyjacielu. Twoje umniactwo wszechwątpienia -(w Języku Pozornej Jasności tak nazywano filozofię sceptycyzmu) - było czymś koniecznym na drodze ucieczki od... szatańskiego zaćmienia - (chciał powiedzieć „od marksizmu”, ale nie wiedział, czym zastąpić ten nierosyjski termin) - do światła prawdy. Nie jesteś już dzieckiem - (Nierzyn był o pięć lat młodszy od Sołogdina) - i powinieneś dokonać wewnętrznego wyboru, zrozumieć wzajemny stosunek dobra i zła w ludzkim życiu.

Słowa Sołogdina brzmiały podniośle, ale Nierzyn jakoś nie przejawiał chęci natychmiastowego wnikięcia w odwieczne, wielkie zagadnienia dobra i zła. Gleb wdział za ciasną koszulkę i odpowiedział szukając dłońmi rękawów kombinezonu:

- A dlaczego, mówiąc tak ważne rzeczy, nawet nie wspomnisz, że twój rozum też jest słaby i że też jesteś „źródłem błędów”? - podrzucił głowę i zerknął na przyjaciela, jakby go pierwszy raz widział: - Ależ ty czasem powiesz... „Światło prawdy!” albo „prostytcja jest moralnym dobrodziejstwem”. Albo że w pojedynku z Puszkinem rację miał d’Anthes.

Sołogdin uśmiechnął się z zadowoleniem, szczerząc cały rząd swoich migdałowych,

ale szczerbatych zębów.

- Wydaje mi się, że potrafiłem nieźle obronić te poglądy?

- Powiedzmy; ale żeby w jednym czerepie, w jednej piersi...

- Takie jest życie, ucz się. Wyznam ci, że chyba przypominam drewniane, rozkładane jajo. Mam w sobie - jedną w drugiej - dziewięć sfer.

- Sfera - to ptasie słowo!

- Przepraszam. Widzisz, jak mało jestem wynalazczy. Jest więc we mnie dziewięć... kulistych obrębów. Rzadko komu pozwalam zobaczyć te, co są wewnątrz. Nie zapominaj, że żyjemy z opuszczoną cały czas przyłbicą! Zmusili nas do tego. A ludzie w ogóle, nawet bez tego, są składu zawilszego, niż nam to wmawiają powieści. Pisarze starają się bowiem objaśnić kształt swoich postaci aż do końca, bez reszty, w życiu zaś zawsze zostaje jakaś reszta nieobjaśniona. Właśnie dlatego tak lubię Dostojewskiego: Stawrogin! Swidrygajłow! Kiryłłow!

- co to za ludzie? Im lepiej ich poznajesz, tym mniej rozumiesz.

- Stawrogin - to z jakiej książki?

- Z „Biesów”! Nie czytałeś? - zdziwił się Sołogdin.

Wilgotny, przykrótki, szorstki ręcznik Nierzyn przerzucił sobie przez kark, niby szalik, a na głowę wcisnął starą frontową czapkę oficerską, już rozłazącą się w szwach.

- „Biesy”?... Ależ moje pokolenie... Coś ty! Bo to można było je kupić? Toż to kontrrewolucyjna literatura! Bardzo, po prostu! Wdział również waciak. - Ale w zasadzie wcale się z tobą nie zgadzam. Kiedy jakiś nowicjusz przekracza próg celi i kiedy wlepiasz w niego oczy, wychylony ze swojej pryczy - bo to już wtedy, w pierwszym okamgnieniu nie formułujesz sądu o tym, co najważniejsze: czy to **wróg**, czy może przyjaciel? I zawsze jest to sąd nieomylny, popatrz, jakie to dziwne! A ty powiadasz, że tak trudno człowieka zrozumieć. Proszę bardzo - przypomnij sobie nasze pierwsze spotkanie. Przyjechałeś do szaraszki jeszcze **wtedy**, kiedy ceber z wodą do mycia stał na podeście paradnych schodów, pamiętasz?

- Owszem. Jest rano, schodzę po tych schodach i pogwizduję jakąś lekkomyślną melodię. A ty wycierasz twarz i w półmroku podnosisz ją znad ręcznika. I tu mnie zatkało! Zdawało mi się, że to twarz prosto z ikony! Później zorientowałem się, że z ciebie wcale nie święty, ani myślę ci schlebiać...

Sołogdin roześmiał się.

- ... w twojej twarzy nie ma żadnej podniosłej miękkości, ale jednak jest coś niebanalnego... Więc natychmiast poczułem do ciebie zaufanie i już po pięciu minutach tyle ci naopowiadałem...

- Twoja nieostrożność mnie zaskoczyła.

- Ale człowiek z takimi oczyma nie może być kapusiem.

- To bardzo źle, że tak łatwo mnie rozgryźć. W obozie trzeba wydawać się kimś bardzo zwyczajnym.

- I tego samego dnia, kiedy już nasłuchiwał się twoich ewangelicznych wynurzeń, zadałem ci pewne pytanko...

- ... rodem z „Braci Karamazow”.

- A więc pamiętasz! - co robić z knajakami? I coś ty odpowiedział? - Wystrzelać do nogi! Ha?

Nierzyn, podobnie jak wtedy, przyglądał się Sołogdinowi z nieufnym oczekiwaniem: może się chłop wycofa?

Ale błękit oczu Dymitra Sołogdina niczym się nie zaćmił. Skrzyżowawszy ręce na piersi, jakby pozował do obrazu, powiedział nie bez emfazy:

- Przyjacielu, tylko ci, którzy pragną zguby chrześcijaństwa, starają się przekształcić je w wiarę rzezańców. Ale chrześcijaństwo - to wyznanie ludzi silnych duchem. Trzeba mieć odwagę, aby widzieć zło tego świata i żeby je karczować. Cierpliwości, ty też znajdziesz drogę do Boga. Twoja „niewiara w nic na świecie” to nie gleba dla myślącego człowieka, tylko objaw ubóstwa duchowego.

Nierzyn westchnął.

- Wiesz przecież, że nie mam nic przeciw temu, aby uznać istnienie Stwórcy, obecność Wyższego Rozumu we wszechświecie. Powiem także, że odczuwam tę obecność, jeśli chcesz. Ale gdybym nawet przekonał się, że Boga nie ma - czyby mi od tego ubyło zasad moralnych?

- Bezwarunkowo!!

- Nie sądzę. I dlaczego ty chcesz koniecznie, dlaczego wy zawsze chcecie, żeby zaaprobować bezwzględnie nie tylko Boga w ogóle, ale bezwarunkowo tylko tego konkretnego, chrześcijańskiego razem z Trójcą Świętą i niepokalanym poczęciem... A co mi ubędzie z mojej wiary, z mojego filozoficznego deizmu, jeżeli się przekonam, że nie było żadnego z tych cudów, o których mówi Ewangelia? Toć nic nie ubędzie!

Sołogdin podniósł rękę z groźnie wyciągniętym palcem:

- Nie ma innej drogi! Jeżeli zwątpisz w jeden choćby dogmat wiary, w jedno tylko słowo Pisma - wszystko zawali się w gruzy!! Bezbożnik!

I tak machnął ręką, jakby w niej trzymał szablę.

- O! Właśnie w ten sposób odpychacie ludzi! Wszystko albo nic! Żadnych kompromisów, żadnego pobłażania. A jeżeli nie mogę uznać czegoś ryczałem? Co mam wtedy powiedzieć? Czym się bronić? Dlatego powtarzam: wiem tylko tyle, że nic nie wiem.

Jako prawy czeladnik Sokratesa wziął piłę i jej drugi uchwyt podsunął Sołogdinowi.

- Dobra, o tym pogadamy nie przy drwach.

Już ich obu przejmował ziąb, więc rażno wzięli się do piłowania. Spod piły bryznęła kora brunatnym prochem. Piła biegła nie tak szybko jak w ręku Spirydo-na, ale przecież wartko. Przyjaciele zgrali się ze sobą w ciągu kolejnych poranków i nie musieli się już wzajemnie pouczać. Piłowali z tym osobliwym zapałem i zadowoleniem, jakie towarzyszą tylko pracy dobrowolnej i podjętej nie z nędzy.

Raz tylko, przed czwartym klockiem, dobrze już zarumieniony Sołogdin mruknął:

- Żeby tylko o sęk nie zaczepić...

A po czwartym klocku Nierzyn burknął:

- Tak, sękate ścierwo.

Pachnące, to białe, to znów żółte trociny w takt każdego syknięcia piły sypały się na spodnie i buty traczy. Rytmiczny wysiłek dawał spokój i wnosił w myśli ład.

Nierzyn, który zbudził się dzisiaj w złym humorze, myślał sobie teraz, że obóz tylko w pierwszym roku mógł ogłuszyć go, że teraz złapał już drugi oddech, że nie będzie wciskać się między dekowników, nie będzie bać się kryminalistów - tylko będzie powolutku, ze znajomością praw życia głębinowego, wychodzić na poranny apel w usmolonym tynkiem lub smarem waciaku i z należnym hartem porać się z całym dwunastogodzinnym roboczym dniem - i tak przez całe pięć lat, jakie mu zostały do końca wyroku. Pięć lat - to nie dziesięć. Pięć lat jeszcze można wytrzymać. Trzeba tylko wciąż sobie powtarzać: nie tylko przekleństwem jest więzienie, ale też błogosławieństwem.

Tak rozmyślał wodząc piłę. I ani przypuszczał, że jego partner, ciągnąc teraz piłę w swoją stronę, myśli właśnie o więzieniu jako o miejscu tylko przeklętym, z którego trzeba będzie kiedyś się wyrwać.

Sołogdin myślał teraz o pewnym wielkim i rokującym mu wolność postępie w

badaniach, który udało mu się osiągnąć w największej tajemnicy w ciągu ostatnich miesięcy, i o tej ocenie swoich wysiłków, którą spodziewał się usłyszeć dopiero po śniadaniu, ale której charakter już teraz mógł odgadnąć. Z rozpierającą pierś dumą myślał teraz Sołogdin o swoim mózgu, wycieńczonym przez tyle lat śledztwa i łagrowego głodu, tyle lat pozbawionym fosforu - a przecież dającym sobie radę z tak poważnym zagadnieniem! Jak to się rzuca w oczy u mężczyzn koło czterdziestki - ten nagły przybór sił życiowych! Szczególnie, jeśli ich nadmiaru nie trwoni się na uciechy zmysłowe, tylko przetapia się tajemniczym sposobem w świetne myśli.

27

Tymczasem wciąż piłowali. Rozgrzali się, żar buchał im z policzków, waciaki dawno zrzucone były na pnie, kloce utworzyły już sporą górkę obok kozłów, ale siekiery dalej nie było. - Może starczy? - spytał Nierżyn. - Bo nie damy rady z rąbaniem.

- To odpocznijmy - zgodził się Sołogdin i odstawił piłę; zabręczczała.

Obaj zdjęli czapki. Para szła z gęstej czupryny Nierżyna i rzednących włosów Sołogdina. Oddychali głęboko. Powietrze zdawało się przenikać do najgłębszych zakątków ich ciał.

- Ale jak cię teraz pošlę do obozu - spytał Sołogdin - to co też będzie z twoją pracą dotyczącą Nowego Okresu Zamętu? (Miało to znaczyć - okresu rewolucji).

- A jak ma być? Wcale mnie tu nie rozpieszczono. Za jedną bodaj linijkę takich notatek grozi karcer, taki sam tu, jak tam. Tutaj też nie mam dostępu do biblioteki publicznej, a do archiwów nie wpuszczą mnie pewno aż do samej śmierci. Jeżeli chodzi o papier do pisania, to brzozową korę, albo i sosnową znajdę sobie nawet w tajdze. A jednego przywileju żaden szpicel mi nie odbierze. Te nieszczęścia, które poznałem na własnej skórze i których inni zaznali, mogą mi przecież podsunąć niejedno wyjaśnienie sensu historycznych wypadków, prawda? Jak myślisz?

- Że wspa-nia-le! - zawołał Sołogdin; para waliła mu z ust. - To znaczy, że już coś niecoś zrozumiałeś. To znaczy, że już nie chcesz czytać wstępnie przez piętnaście lat wszystkiego, co napisano na ten temat?

- Częściowo nie chcę, a częściowo - skąd bym to wziął?

- Żadne tam „częściowo”! - krzyknął Sołogdin. - Zrozum: myśl!! - tu podniósł rękę i głowę. - Leżąca u podłoża tęga myśl przesądza o powodzeniu każdego przedsięwzięcia! I jak drzewo życia, daje ona owoce tylko w przypadku swobodnego rozwoju. Książki i obce

poglądy - są to nożyce przecinające żywot myśli! Najprzód trzeba dorobić się myśli własnym wysiłkiem! - a dopiero później można przymierzać ją do książek.

Sołogdin badawczo spojrział na przyjaciela:

- A te trzydzieści czerwonych tomików chcesz dalej czytać od deski do deski?

- A pewno! Zrozumieć Lenina - to zrozumieć połowę rewolucji. A gdzie go lepiej widać, niż w jego książkach? A nadto wszędzie je znajdę, w każdej czytelnicy.

Sołogdin zasępił się, wdział czapkę i boczkiem przysiadł na kozłach.

- Szalenię. Całkiem sobie głowę zaszpunktujesz. Do niczego własnego nie dojdiesz! Ostrzegam cię! To mój obowiązek.

Nierzyn też zdjął czapkę z drąga i przysiadł na kupce polan.

- Bądź chociaż wierny swojej... nauce o liczbach. Użyj sposobu punktów węzłowych. Jak zaczyna się badać każde nieznanne zjawisko? Jak określasz bieg jeszcze nie wykreślonej krzywej? Od razu, w całości? Czy od punktu do punktu?

- Już rozumiem! - ponaglił go Nierzyn; nie znosił rozwlekłości. - Szukamy punktu odcięcia, punktu nawrotu, punktów skrajnych i wreszcie punktów zerowych. I całą krzywą mamy w ręku.

- Więc dlaczego nie zastosować tego do postaci dziejowej? - (Historycznej, przetłumaczył sobie Nierzyn na Język Pozornej Jasności). - Ogarnij życie Lenina jednym spojrzeniem, zauważ, gdzie są w nim przerwy w ciągłości, gdzie nagłe zmiany kierunku, i staraj się czytać tylko to, co się do tych zmian odnosi. Jak on zachowywał się w tych właśnie chwilach? W nich przejawia się istota danej postaci. A reszta jest ci zupełnie niepotrzebna.

- To znaczy, że kiedy zapytałem cię, co robić z knajakami, to nieświadomie zastosowałem wobec ciebie metodę punktów węzłowych?

Wymijający uśmiech zwęził jasne oczy Sołogdina. Troskliwie otulił się waciakiem i usiadł na kozłach w inny, ale tak samo niewygodny sposób.

- Niepokoję się o ciebie, Glebie. Twój wyjazd może teraz nastąpić nagle. Rozstaniemy się. Jeden z nas zginie, albo zginiemy obaj. Czy doczekamy chwili, kiedy ludzie będą mogli swobodnie spotykać się i rozmawiać? Chciałbym zdążyć przekazać ci choćby... choćby kilka moich przemyśleń o sposobach wytyczania wspólnego celu, o wykonawcy i o jego pracy. Mogą ci się przydać. Oczywiście, bardzo przeszkadzać mi tu będzie mój nieskładny sposób mówienia, słabość mojego umysłu...

O, to było w stylu Sołogdina! Gdy miał zamiar czymś błysnąć, zawsze przedtem

przesadzał w skromności.

- Twoja nędzna pamięć - podpowiadał mu Nierżyn. - I to, że w ogóle jesteś „naczyniem błędu”...

- A właśnie, właśnie - Sołogdin uśmiechnął się. - Zdając więc sobie sprawę z własnej niedoskonałości, przez wiele moich więziennych lat starałem się wypracować te zasady, które trzymają w kupie klepki woli, jak żelazna obręcz. Te zasady - to jakby rys ogólny dróg postępowania przy pracy.

„Metodyka”, przetłumaczył sobie Nierżyn z Języka Krańcowej Jasności na Język Pozornej Jasności. On też wdział waciak.

Z narastania jasności dziennej poznać można było, że wkrótce trzeba będzie zostawić już drwa i pójść na poranny apel. W dali, przed sztabem specwięzienia, w cieniu pysznie ubielonych lip już migały postacie spacerujących skazańców. Wśród wyprostowanych i przygarbionych figur wyróżniał się swoim wzrostem, chudością i sztywną posturą pięćdziesięcioletni malarz Kondraszew-Iwanow i przygarbiony, ale także bardzo wysoki, dawny faworyt Stalina, teraz już zapomniany, architekt Mierzanow. Widać było też, jak Lew Rubin, który zasnął, próbował teraz wymknąć się do rąbania, ale strażnik już go nie puszczał: było za późno.

- Patrzaj, Lewek z rozczochraną grzywą.

Zaśmiali się.

- Więc jeśli chcesz, każdego ranka będę ci przekazywał którąś z tych zasad?

- Oczywiście, Mitia! Wal!

- No, na przykład: jak odnosić się do trudności?

- Nie tracić otuchy?

- To za mało.

Sołogdin patrzył nie na Nierżyna, lecz na żonę, na niskie gęste zarośla, całe oszronione i tknięte niepewną różowością świtania: słońce wahało się, czy ukazać się, czy też nie. Twarz Sołogdina, skupiona, szczupła, z jasną, kędzierzawą bródką i krótkimi jasnymi wąsami miała w sobie jakiś pierwiastek staroruski i przypominała oblicze Aleksandra Newskiego.

- Jaki mieć więc stosunek do trudności? - perorował. - W dziedzinie jeszcze nie znanej trudności winny być rozpatrywane jak ukryty skarb! Tak jest na ogół: im rzecz trudniejsza, tym większa korzyść. Mniejszą to ma cenę, jeżeli trudności są wynikiem twojej walki z

samym sobą. Ale jeśli trudności mają źródło w rosnącym oporze przedmiotu - to wspaniale!! - i jakby różowy blask przemknął po zarumienionej twarzy Aleksandra Newskiego, blask bijący z owych pięknych, jak słońce, trudności. - Najbardziej opłacalny sposób prowadzenia badań: „największy opór zewnętrzny, przy najmniejszym wewnętrznym”. Porażki należy rozpatrywać jako nakazy dalszego zwiększenia wysiłków i skupienia woli. A jeżeli wysiłki już były bardzo znaczne - tym bardziej radować powinny cię porażki! To znaczy, że nasz oskard uderzył w żelazną skrzynię ze skarbami!! I pokonanie spotęgowanych trudności tym większą ma cenę, że porażki warunkują rozwój wykonawcy, odpowiadający wielkości napotkanego oporu!

- Byczo! Mocno powiedziane! - odezwał się Nierzyn ze swoich kłoców.

- To znaczy, że nigdy nie wolno wymawiać się od dalszych wysiłków. Nasz oskard mógł również trafić na skałę. Mając tę pewność albo nie mając dosyć środków, albo znajdując się w bardzo wrogim otoczeniu, wolno nawet wyrzec się samego celu. Ale trzeba mieć koniecznie oczywisty powód!

- Ja bym się z tym nie zgodził - odparł z wolna Nierzyn. - Gdzie jeszcze masz otoczenie bardziej wrogie niż w więzieniu? Gdzie masz mniej środków? A jednak robimy swoje. Zrezygnować teraz - toby znaczyło zrezygnować może na zawsze.

Kolory wschodu przeciągnęły już po zaroślach i zgasiły je teraz idące ławą szare obłoki.

Odrywając jakby oczy od tablicy przykazań, Sołogdin nieuważnie spojrział w dół na Nierzyna. I znów zaczął perorować, nawet z zaśpiewem:

- Posłuchaj teraz: zasada ostatnich piędzi! Dziedzina ostatnich piędzi! - w Języku Krańcowej Jasności od razu jest jasne, co to znaczy. Praca zbliża się ku końcowi, cel jest prawie osiągnięty, wszystko wydaje się już gotowe i dokonane, ale jakość tego dokonania - jeszcze nie taka jest, jak byś chciał! Potrzebne są uzupełnienia, może jeszcze jakieś nowe badania. W tej chwili znużenia i zadowolenia z własnych wysiłków szczególnie chce się człowiekowi dać już spokój całej pracy, nie dbając o nadanie jej najwyższego blasku. Praca na obszarze ostatnich piędzi jest bardzo, bardzo zawila, ale też osobliwie cenna, wykonać ją bowiem można tylko za pomocą najdoskonalszych chwytów! Zasada ostatnich piędzi na tym właśnie polega, aby nie wymawiać się od tej pracy! I nie odkładać jej na później, bowiem myśli wykonawcy zdążą wymknąć się poza obszar ostatnich piędzi. I nie żałować czasu, wiedząc, że cel zawsze polega nie na szybkim, lecz zupełnym i doskonałym zakończeniu

działań!!

- Doobre! - szepnął Nierżyn.

Zupełnie innym, szorstkim i drwiącym głosem Sołogdin powiedział nagle:

- A, młodszy lejtnant! A co to znowu? Wcale was nie poznaję. Czemu to tak późno z tym toporem? Już nie starczy nam czasu na rąbanie.

Podobny do księżyca w pełni, młodszy lejtnant Nadielaszyn jeszcze niedawno był chorążym. Po awansowaniu go na oficera, zeki z szaraszki, mający do niego ciepły stosunek, nadali mu żartobliwą rangę m i n o r a.

Stąpając spiesznie, drobnymi kroczkami i zabawnie posapując, podał im topór, uśmiechnął się przepaszając i odparł z żywością:

- Nie, ja was bardzo, bardzo proszę, Sołogdin, narąbcie tych polan! W kuchni już nie ma, nie mają na czym gotować obiadu. Nie wyobrażacie sobie, ile mam bez tego pracy!

- Czego? - parsknął Nierżyn. - Pracy? Lejtnancie! A bo to wy pracujecie?

Dyżurny oficer obrócił do Nierżyna swoją krągłą jak miesiąc w pełni twarz. Zmarszczywszy czoło, przytoczył z pamięci:

- „Praca jest to pokonywanie oporu”. Chodząc szybko, pokonywam opór powietrza, to znaczy, że też pracuję. - Chciał zachować obojętny wyraz twarzy, ale rozjaśnił ją uśmiech, kiedy Sołogdin z Nierżynem ryknęli zgodnie. - Więc narąbcie, proszę was!

Odwrócił się i ruszył drobnymi krokami do sztabu specwężenia, gdzie właśnie w tej chwili mignęła opięta w przepisowy płaszcz figura naczelnika, podpułkownika Klimentiewa.

- Kochany - powiedział ze zdziwieniem Sołogdin - czy mnie oczy mylą? Klimentiadis? - (W tym roku gazety wiele miejsca poświęcały aresztowanym w Grecji, którzy telegrafowali ze swoich cel do wszystkich parlamentów i do ONZ o przeżywanych niedolach. W szaraszce, skąd więźniowie - nawet żonom, nawet pocztówkę - nie zawsze posłać mogli, nie mówiąc już o zagranicznych parlamentach - stało się modne przerabianie nazwisk więziennych zwierzchników na grecki sposób - Myszynopulos, Klimentiadis, Szykinidi). - Co tu robi Klimentiadis przy niedzieli?

- Jak to, nie wiesz? Sześciu ludzi mają zawieźć na widzenie.

Nierżyn przypomniał sobie o tym - i jego serce, które taką jasnością się nappełniło podczas porannego piłowania, znów zalała gorycz. Prawie rok minął od ostatniego widzenia, osiem miesięcy od momentu, kiedy złożył podanie - a nie miał wciąż ani odmowy, ani zezwolenia. Przyczyna tego zjawiska była - między innymi - taka, że starał się nie narazić

aspirantury żony na uniwersytecie i dlatego nie zdradzał jej adresu w bursie studenckiej, tylko chciał posyłać listy na poste restante, a takiego adresu więzienie nie uznawało. Nierzyn wolny był od uczucia zawiści dzięki temu, iż skupił się na swoim życiu wewnętrznym; ani wysokość zarobków, ani racje żywnościowe innych, wybitniejszych zeków nie mąciły jego spokoju. Ale świadomość niesprawiedliwości przy tych widzeniach, myśl, że kto inny jeździ na nie co dwa miesiące, a jego tak wrażliwa, delikatna żona wzdycha i snuje się pod fortelnymi murami więzień - ta myśl wciąż go gnębiła.

Ponadto dziś były jego urodziny.

- Mają zawieźć? No taaak... - Sołogdin zareagował z podobną goryczą. - Kapusiów wożą co miesiąc. A ja już teraz mojej Ninki nigdy więcej nie zobaczę...

(Sołogdin nie używał wyrażenia „aż do końca kary”, bo dawno już dane mu było zrozumieć, że kara może nie mieć końca).

Patrzył, jak Klimentiew porozmawiał z Nadielaszynem i wszedł do sztabu. I nagle powiedział prędko:

- Glebie! Przecież twoja żona zna moją. Jeżeli pojedziesz na widzenie, to postaraj się poprosić Nadię, żeby odszukała Ninkę i żeby przekazała jej tylko trzy słowa o mnie: (tu spojrzął w niebo) - kocha! Ufa jej! Nie traci nadziei!

- Ależ mnie odmówiono widzenia, co też ty? - zachnął się Nierzyn ustawiając sobie kloc do rąbania.

- A spójrz tylko!

Nierzyn obejrzał się. Minor szedł ku nim i z daleka kiwał na niego palcem. Gleb rzucił topór, przewrócił z brzękiem opartą o sąg piłę i pobiegł jak mały chłopak.

Sołogdin ujrzał, jak minor wprowadza Nierzyna do sztabu, później postawił kloc sztorcem i z taką zawziętością wziął rozmach, że nie tylko rozrąbał pień na dwoje, lecz ponadto wbił ostrze w ziemię.

Zresztą topór był państwowy.

28

Przytaczając definicję pracy ze szkolnego podręcznika fizyki, młodszy lejtnant Nadielaszyn nie fantazjował. Choć pra - cował tylko dwanaście godzin raz na dwa dni - praca jego była pełna fadygi oraz bieganiny po piętrach i nader odpowiedzialna. Szczególnie uciążliwy dyżur wypadł mu minionej nocy. Ledwie tylko objął służbę punkt dziewiąta wieczór, ledwie obrachował, że wszyscy więźniowie w liczbie dwieście osiemdziesiąt jeden

głów znajdują się na miejscu, ledwie wyprawił ich do wieczornej pracy i rozprowadził posterunki (na podeście schodów, w korytarzu sztabu, a do tego jeszcze patrol pod oknami specwięzienia) - kiedy już oderwano go od karmienia i rozmieszczania nowo przybyłych, otrzymał wezwanie do pełnomocnika operacyjnego, majora Myszyzna, który jeszcze do domu nie pojechał.

Nadieżaszyn był istnym wyjątkiem nie tylko wśród strażników więziennych (albo - jak ich teraz nazywano - pracowników więziennictwa), lecz w ogóle pośród swoich współplemieńców. W kraju, gdzie wódka także kształtem swojej nazwy prawie nie różni się od wody, Nadieżaszyn nie pił jej nawet na przeziębienie. W kraju, gdzie co drugi obywatel przeszedł obozową albo frontową wyższą szkołę przeklinania, gdzie nie tylko pijani sypią kurwami bez żadnej krępacji w obecności dzieci (dzieci zaś - w trakcie niewinnych swoich zabaw), nie tylko pasażerowie przy wsiadaniu do podmiejskiego autobusu, ale często również uczestnicy najintymniejszych rozmów, otóż Nadieżaszyn nie potrafił ani kłąć, ani nawet używać takich słów jak „licho” i „bydlę”. Kiedy był zły, używał jednego tylko wyrażenia - „a niech cię byk tryknie!”, najczęściej zresztą po cichu.

Tak samo tym razem, szepnąwszy do siebie „a niech cię byk tryknie!”, minor pośpieszył do majora. Operacyjny pełnomocnik, major Myszyn, którego Bobynin w rozmowie z ministrem zupełnie bezpodstawnie nazwał darmozjadem - chorobliwie otyły jegomość o fioletowej twarzy, został przy pracy tego sobotniego wieczoru na skutek wyjątkowych okoliczności. Wydał Nadieżaszynowi takie zlecenia:

- sprawdzić, czy inwigilowani zaczęli już obchody niemieckiego i łotewskiego Bożego Narodzenia;
- sporządzić podzielony na grupy spis wszystkich świętujących Wigilię;
- sprawdzić osobiście, a także przy pomocy szeregowych strażników, wysyłanych co dziesięć minut, czy wymienieni nie piją przy tym alkoholu, czy nie wykonują podkopów, o czym rozmawiają i najważniejsze - czy nie prowadzą antysowieckiej agitacji;
- posłużyć się - w miarę możliwości - jakimkolwiek przekroczeniem regulaminu więziennego z ich strony i postarać się przerwać ten oburzający obrządek religijny.

W zleceniu nie było mowy, aby przerwać, lecz by uczynić to „w miarę możliwości”. Spokojne świętowanie Wigilii nie należało do czynności bezpośrednio zakazanych, jednakże partyjne serce towarzysza Myszyzna nie mogło się z tym pogodzić.

Młodszy lejtnant Nadieżaszyn o twarzy przypominającej beznamiętny zimowy księżyc w pełni, zameldował majorowi, że ani on sam, ani tym bardziej podlegli mu strażnicy nie

znają języka niemieckiego, jak również łotewskiego (język rosyjski też nie wszystkim był znany).

Myszyn przypomniał sobie, że on sam w czasie czterech lat służby na stanowisku komisarza kompanii wartowniczej w obozie dla jeńców niemieckich nauczył się tylko trzech słów: „halt!”, „curiuk” i „wek!” - i skrócił nieco instrukcję.

Wysłuchawszy rozkazu Nadielaszyn niezgrabnie zasalutował (od czasu do czasu musiano z nim powtarzać musztrę) i poszedł, żeby rozlokować nowy transport. Także w tej sprawie oficer operacyjny udzielił mu instrukcji na piśmie: kogo umieścić w jakiej izbie i jakie mu dać leże. (Myszyn przywiązywał znaczną wagę do planowego i scentralizowanego rozdziału miejsc w sypialniach więziennych, gdzie miał odpowiednio porozstawianych swoich konfidentów. Wiedział, że ludzie najszczerzej rozmawiają ze sobą nie za dnia, w natłoku zajęć, lecz przed samym snem, najbardziej zaś posępne antysowieckie uwagi wygłaszane są rankami i dlatego szczególnie cenna jest możliwość śledzenia ludzi w pościeli).

Później Nadielaszyn bardzo skrupulatnie wstąpił jeden raz do każdej izby, w której świętowano Wigilię, niby sprawdzając, ile też watów mają wiszące tam żarówki. Strażnikowi też kazał raz zajrzeć do każdej. A do spisu wciągnął wszystkich.

Następnie wezwał go do siebie jeszcze raz major Myszyn i Nadielaszyn wręczył mu swój spis. Myszyzna szczególnie zainteresowało, że Rubin znalazł się w pokoju Niemców. Wciągnął ten fakt do kartoteki.

Następnie nadeszła godzina zmiany warty i trzeba było rozstrzygnąć spór dwóch strażników - który z nich miał dłuższy dyżur zeszłym razem i kto teraz komu jest dłużny.

Następnie przyszła pora ciszy nocnej, scysji z Priancykowem na temat wrzątku, wizytacji wszystkich cel, gaszenia białych lampek i zapalania niebieskich. Tu wezwał go ponownie major Myszyn, który w żaden sposób nie mógł wybrać się do domu (w domu miał chorą żonę i nie chciało mu się wysłuchiwać jej skarg przez cały wieczór). Major Myszyn siedział w fotelu, Nadielaszyna zaś trzymał w postawie zasadniczej i wypytywał, z kim, według jego obserwacji, Rubin zwykle odbywa spacer i czy nie zdarzyło się w ciągu ostatniego tygodnia, aby odzywał się w sposób wyzywający o administracji więziennej, bądź też wysuwał jakieś żądania w imieniu reszty więźniów.

Nadielaszyn zajmował szczególną pozycję wśród kolegów, oficerów MBP, kierowników strażniczej wachty. Besztano go ostro i często. Wrodzona poczciwość długo przeszkadzała mu w pracy w organach. Gdyby się w końcu nie przystosował, to dawno by

go stąd wypędzono albo nawet oddano pod sąd. W zgodzie ze swoimi naturalnymi skłonnościami, Nadielaszyn nigdy nie zachowywał się po grubiańsku wobec więźniów, uśmiechał się do nich z niepodrabianą dobroduszością i w rozmaitych drobnych sprawach szedł na ustępstwa, jeżeli to tylko od niego zależało. Więźniowie lubili go za to, nigdy się na niego nie skarżyli, nic mu nie robili na przekór i nawet nie krępowali się już jego obecnością. On zaś był spostrzegawczy, słuch też miał dobry, także wykształcenie, nadto zapisywał wszystko dla pamięci w specjalnym notesie - i materiały z tego notesu przekazywał w meldunkach zwierzchności, rehabilitując się tym za swoje służbowe niedopatrzania.

Teraz też wyciągnął swój notesik i powiadomił majora, że siedemnastego grudnia więźniowie hurmą wracali przez dolny korytarz z poobiedniego spaceru - on zaś trop w trop szedł za nimi. I że więźniowie sarkali, że niby jutro niedziela, a kierownictwo nawet dodatkowej przechadzki im nie daje, Rubin zaś powiedział wtedy: „kiedy nareszcie zrozumiecie, moi drodzy, że na litość tych gadów nie ma co liczyć?”

- Właśnie tak się wyraził: „tych gadów”? - rozpromienił się fioletowy Myszyn.

- Tak właśnie powiedział - przytaknął Nadielaszyn i na jego księżycowej twarzy wykwitł dobrotliwy uśmiech.

Myszyn znów otworzył tę samą teczkę, wprowadził do niej nowy zapis i kazał ponadto, żeby Nadielaszyn złożył osobny meldunek.

Major Myszyn nienawidził Rubina i gromadził przeciw niemu obciążające materiały. Gdy przystąpił do pracy w Marfinie i dowiedział się, że Rubin, były komunista, wszędzie się przechwala, że pozostał nim dalej w głębi ducha, nie bacząc na to, że go wsadzili - Myszyn wezwał go celem rozmowy o życiu w ogóle i o współpracy w szczególności. Ale nie spotkał się ze zrozumieniem. Myszyn naświetlił zagadnienie dokładnie tak, jak to zawsze zalecano na zebraniach instruktażowych:

- jeżeli jesteście człowiekiem sowieckim - to na pewno nam pomożecie; - jeżeli nam nie pomożecie - to nie jesteście sowieckim człowiekiem; - jeżeli nie jesteście człowiekiem sowieckim - to jesteście człowiekiem antysowieckim i zasługujecie na nowy wymiar.

Tymczasem Rubin zapytał: „A czym trzeba będzie pisać te donosy - atramentem czy ołówkiem?” - „Pewno, że lepiej atramentem” - doradził mu Myszyn. - „No to ja swego oddania dla sowieckiej władzy dowiodłem już krwią, więc atramentem nie muszę”.

W ten sposób Rubin z punktu zdradził się przed majorem ze swoją nieszczęrością i dwulicowością.

Major wezwał go jednak jeszcze raz. I wówczas to Rubin w sposób jawnie obłudny jął się wykręcać - że skoro go wsadzono, to znaczy, że okazano mu brak politycznego zaufania i że póki ten stan rzeczy trwa, to nie może pójść na współpracę z pełnomocnikiem operacyjnym. Od tej chwili Myszyn zagiął na niego parol i zbierał w teczce, co tylko mógł.

Rozmowa majora z młodszym lejtnantem nie dobiegła jeszcze końca, gdy nagle z ministerstwa bezpieczeństwa przyjechał samochód po Bobynina. Pragnąc wykorzystać tak fortunny dla kariery zbieg okoliczności, Myszyn - jak wybiegł w samym frenczu, tak nie odstępował już od drzwi samochodu, zapraszał eskortującego oficera do ciepłego wnętrza, zwracał uwagę na to, że przesiaduje tu nocami, pił i strofował Nadielaszyna, a na wszelki wypadek zapytał nawet Bobynina, czy aby ciepło jest ubrany (Bobynin zaś umyślnie włożył nie przyzwoite palto, które mu na tę drogę dano, lecz obozowy waciak).

Ledwie Bobynin pojechał, zaraz wezwano Priancykowa. Tym bardziej major nie mógł sobie pozwolić na pójście do domu! Aby wypełnić czymś oczekiwanie, czy ktoś jeszcze zostanie wezwany i kiedy tamci wrócą - major poszedł sprawdzić, jak spędza czas ta zmiana strażników, która ma właśnie przerwę (rżnęli w domino), i zaczął egzaminować ich z historii partii (odpowiedzialny był bowiem za ich poziom polityczny). Strażnicy najczęściej wysypiali się w czasie, gdy mieli pracować, teraz więc ciągnęło ich do łomotania kostkami o stół i ze zrozumiałą niechęcią odpowiadali na pytania majora. Ich odpowiedzi miały nader żaloszny charakter: ci wojacy nie tylko nie umieli sobie przypomnieć ani jednego tytułu dzieł Lenina albo Stalina, ale twierdzili nawet, że Plechanow był carskim ministrem i że to on strzelał do robotników 9 stycznia 1905 roku. Za to wszystko Myszyn dobrze nagadał Nadielaszynowi, który tak pozwolił rozpuścić się swojej wachcie.

Później wrócili Bobynin i Priancykow - tym samym samochodem i, nie chcąc nic powiedzieć majorowi, poszli spać. Rozczarowany i bardziej jeszcze zaniepokojony major pojechał tym samym autem, żeby nie iść piechotą: autobusy już nie kursowały.

Strażnicy nie pełniący właśnie służby puścili w ślad za majorem wiązkę wyzwisk i już zabierali się do spania, Nadielaszyn też już chciał zdrzemnąć się choć na jedno oko, ale gdzie tam: zadzwonił telefon z wartowni oddziału pełniącego służbę na wieżach strażniczych dookoła obiektu. Dowódca warty, cały w nerwach, zakomunikował, że dzwonił wartownik z południowo-zachodniej narożnej wieży. W gęstniejącej mgle zobaczył wyraźnie kogoś ukrywającego się za węglem drewnianej szopy; osobnik próbował podpełznąć do drutów pasa ochronnego, ale przestraszył się ostrzegawczego krzyku wartownika i uciekł w głąb

podwórca.

Dowódca warty oznajmił, że będzie zaraz telefonować do sztabu swojego pułku i że napisze raport o tym nadzwyczajnym wydarzeniu, chwilowo zaś prosi dyżurnego specwiężenia o przeprowadzenie obławy na podwórku.

Chociaż Nadielaszyn był święcie przekonany, że wszystko to wartownikowi tylko się przywidziało i że więźniowie są wystarczająco mocno zamknięci za nowymi żelaznymi drzwiami i starymi, mocnymi murami poczwórnej grubości, ale sam fakt napisania raportu przez dowódcę warty już wymagał od niego energicznych działań i wystosowania podobnego raportu. Dlatego zarządził alarm dla pauzującej wachty, uzbroił ludzi w latarki typu „Nietoperz” i poprowadził ich po dużym, zasnutym mgłą dziedzińcu. Następnie sam przeszedł się jeszcze raz po wszystkich celach i - nie chcąc zapalać białego światła (żeby uniknąć zbytecznych skarg), a niewiele widząc przy świetle niebieskim - mocno potłukł sobie kolano o róg czyjejś koi, zanim udało mu się przy świetle lampki kieszonkowej policzyć śpiących więźniów i stwierdzić, że jest ich dwustu osiemdziesięciu i jeden.

Wówczas udał się do kancelarii i napisał - charakterem pisma okrągłym i jasnym, w którym było coś z przejrzystej jasności jego duszy - raport o zaszłych wypadkach na ręce naczelnika specwiężenia, podpułkownika Klimentiewa.

I oto nadszedł już ranek, czas było zlustrować kuchnię, skontrolować jakość stawy i zarządzić pobudkę.

Tak spędził noc młodszy lejtnant Nadielaszyn - i miał prawo powiedzieć Nierzynowi, że nie dostaje swojego chleba za darmo.

Nadielaszyn przekroczył już trzydziestkę, ale wyglądał młodziej, bo twarz miał świeżą, bez zarostu.

Dziad Nadielaszyna i jego ojciec byli krawcami - nie żadnymi tam wytwornymi, ale fachowymi; obsługiwali ludzi przeciętnych, nie wymawiali się od nicowania albo od przeróbek, kiedy trzeba było coś przefasonować z ojca na syna, albo i załatać, jak się komuś spieszyło. Chłopak też miał iść tą drogą. Od dzieciństwa podobała mu się ta gładka, miła praca, przygotowywał się do niej, przyglądał się i pomagał. Ale był to koniec NEP-u. Ojcu przynieśli doroczny nakaz podatkowy - i zapłacił go zaraz. Po dwóch dniach przynieśli jeszcze jeden nakaz roczny. Ojciec to też zapłacił. Całkiem beczelnie, po następnych dwóch dniach przynieśli roczny domiar już trzykrotnej wysokości. Ojciec podarł swój patent, zdjął sztyld i wstąpił do spółdzielni. Syn zaś wkrótce został powołany do wojska, stamtąd

skierowano go do oddziałów MSW, później zaś przeniesiono go do straży.

W czasie służby nie wybijał się. W ciągu tych czternastu lat inni nadzorcy już go przeskoczyli o trzy albo cztery szczeble, niektórzy byli teraz kapitanami, on zaś ledwie przed miesiącem dostał ze skrzypem swoją pierwszą gwiazdkę.

Nadieżaszyn rozumiał o wiele więcej, niż ujawniał w rozmowach. Rozumiał, że ci skazańcy pozbawieni ludzkich praw w istocie byli często ludźmi o wiele większej miary niż on sam. Prócz tego, zgodnie z właściwością każdego człowieka, by dopatrywać się w innych podobieństwa do siebie, Nadieżaszyn nie mógł wyobrazić sobie więźniów jako tych krwawych zbrodniarzy, którymi mieli być, jeśli wierzyć wykładowcom z kursów politycznych dla straży.

Z jeszcze większą ostrością niż ową definicję pracy z kursu fizyki w szkole wieczorowej Nadieżaszyn zapamiętał każdy zakręt pięciu więziennych korytarzy Wielkiej Łubianki i wewnątrz każdej z jej stu dziesięciu cel. Regulamin Łubianki przewidywał, że strażnicy zmieniali się co dwie godziny, przechodząc z jednej części korytarza do drugiej (po to, by zapobiec zawieraniu znajomości z aresztantami i próbom kontaktu lub przekupstwa; mówiąc nawiasem, strażnicy otrzymywali gage wyższe od nauczycieli albo inżynierów). Strażnik miał obowiązek uchylenia każdego judasza nie rzadziej niż co trzy minuty. Nadieżaszyn, obdarzony wyjątkową zdolnością zapamiętywania twarzy, miał wrażenie, że pamięta wszystkich co do jednego aresztantów, którzy przewinęli się przez jego więzienne piętro między 1935 a 1947 (kiedy to przeniesiono go stamtąd do Marfina) - i słynnych przywódców, jak Bucharin, i zwykłych oficerów frontowych, jak Nierżyn. Miał wrażenie, że każdego z nich poznałby teraz na ulicy w dowolnym przebraniu - tylko że nie można było ich na ulicach nigdy spotkać. Jedynie tutaj, w Marfinie, spotkał niektórych z dawnych swoich podopiecznych spod klucza - nie dając im, jasna rzecz, do zrozumienia, że ich poznał. Pamiętał ich, zacządziałych od przymusowej bezsenności w oślepiająco jaskrawych boksach o powierzchni metra kwadratowego; dzielących nitką czterystugramową porcję wilgotnego razowca; zaczytanych w pięknych starych księgach, w które obfitowała więzienna biblioteka; wychodzących gęsiego do ustępu; zakładających ręce do tyłu, kiedy ich wzywano na badanie; rozmawiających weselej przez ostatnie pół godziny przed wieczornym dzwonkiem; i leżących w zimowe noce pod ostrą żarówką z rękoma na kołdrze, owiniętymi rącznikiem, bo zimno - a regulamin wymagał, aby tych, co chowali ręce pod kołdrę, budzono i zmuszano do kładzenia rąk na wierzchu.

Nadieżaszyn najbardziej lubił przysłuchiwać się dyskusjom i rozmowom wszystkich tych białobrodych profesorów, duchownych, starych bolszewików, generałów i pociesznych cudzoziemców. Podśluchiwać wypadało z obowiązku służbowego, ale Nadieżaszyn podśluchiwał także dla własnej przyjemności. Miał wielką ochotę, co mu się nigdy nie udawało z uwagi na charakter służby, wysłuchać czyjś opowiadania od początku do końca, bez przerw; jak wyglądało życie tego człowieka i za co go wsadzili? Zdumiewało go najbardziej, że ci ludzie w trakcie pełnych grozy miesięcy, kiedy ich los się decydował, a całe życie szło na złom - znajdowali w sobie odwagę, by mówić nie o swoich mękach, ale o byle czym: o włoskich malarzach, o obyczajach pszczół, o polowaniu na wilki albo o tym, jak buduje domy jakiś tam Corbusier - a przecież nie dla nich budował te domy.

Pewnego zaś razu zdarzyło mu się usłyszeć rozmowę, która go zainteresowała osobliwie. Siedział w tylnym przedziale wartowniczym s u k i i eskortował dwóch aresztantów zamkniętych w środku. Przewożono ich z Wielkiej Łubianki na Suchanowską Dacę - do ponurego więzienia pod Moskwą, skąd nie było wyjścia, chyba do grobu albo domu wariatów. Sam Nadieżaszyn tam nie pracował, ale słyszał, że nawet posiłki były tam rodzajem wyrafinowanej tortury; więźniom nie dawano, jak gdzie indziej, ordynarnej ciężkiej strawy, tylko przynoszono sanatoryjne, aromatyczne, delikatne dania. Tortura polegała na porcjach: więzień dostawał pół spodeczka bulionu, ósmą część kotleta, dwie frytki kartoflane. Nie karmiono, tylko przypominano, co człowiek stracił. Było to o wiele trudniejsze do zniesienia niż miska częściej wodzianki i też przyczyniało się do obłądu.

Tak się zdarzyło, że tych dwóch aresztantów w suce nie rozdzielono, tylko wieziono ich razem, nie wiedzieć czemu. O czym rozmawiali z początku, tego Nadieżaszyn nie słyszał, bo przeszkadzał mu warkot silnika. Ale potem silnik się zepsuł, kierowca po coś poszedł, oficer zaś został w szoferce i Nadieżaszyn usłyszał cichą aresztancką rozmowę przez kratkę w tylnych drzwiach. Tamci dwaj pomstowali na rząd i na cara - tylko nie na obecny rząd i nie na Stalina - złorzeczyli... imperatorowi Piotrowi Pierwszemu. Co im zawinił? - dość, że łajali go na wszelkie sposoby. Jeden z nich wyrzekał na niego także i za to, że Piotr ien zniszczył i wykorzenił rosyjskie ludowe stroje i w ten sposób pozbawił swój naród tego, czym różnił się on od innych. Więzień wymienił po kolei, z wielką znajomością rzeczy, jakie to były stroje, jak wyglądały, z jakich je wdziewano okazji. Zapewniał, że dziś jeszcze nie jest za późno wskrzesić pewne składniki tych strojów, w należyty i wygodny sposób kojarząc je ze współczesną odzieżą - zamiast ślepo kopiować paryską modę. Drugi więzień

zazartował - oni mieli jeszcze ochotę do żartów! - że potrzeba do tego dwóch ludzi: genialnego krawca, który potrafiłby wszystko to połączyć, i modnego tenora, który chciałby nosić te stroje i sfotografować się w nich, a wtedy już cała Rosja będzie go naśladować.

Rozmowa ta szczególnie zainteresowała Nadielaszyna dlatego, że krawiectwo pozostało nadal jego tajną namiętnością. Po dyżurach we wrzących obłędem korytarzach centralnego więzienia politycznego - przywracał mu spokój szelest tkaniny, miękka ustępliwość fałd, łagodność tego zajęcia.

Szył ubranka swoim dzieciom, suknie dla żony, szył sobie sam garnitury. Tylko krył się z tym.

Wojskowemu nie wypadało.

29

Podpułkownik Klimentiew miał włosy - co się zowie - krucze, lśniącoczarne, jak z lanej smoły: przylegały do głowy gładko, były przedzielone pośrodku i miały swój odpowiednik w wą - sach. Nie miał brzuszka i w czterdziestym piątym roku życia wyglądał jak smukły młody żołnierz. Na służbie nigdy się nie uśmiechał, przez co ciemna jego twarz stawała się jeszcze mroczniejsza.

Mimo, że była to niedziela, podpułkownik przyjechał nawet wcześniej niż zwykle. W trakcie aresztanckiej przechadzki przeciął dziedziniec do spacerów. Starczyło mu zerknięcia, aby zauważyć nieporządek, ale ceniąc sobie swoją godność do niczego się nie wtrącał, tylko wkroczył do sztabowego budynku specwięzienia. Po drodze kazał dyżurnemu Nadielaszynowi wezwać więźnia Nierżyna i zameldować się samemu. Przechodząc przez podwórzec podpułkownik zanotował sobie, że mijający go więźniowie starali się albo przyspieszyć kroku, albo iść wolniej czy skręcić, byleby tylko nie zetknąć się z nim jeszcze raz oko w oko i nie być zmuszonym do powitania. Klimentiew zarejestrował ten fakt z zimnym spokojem i nie poczuł się obrażony. Wiedział, że tylko po części działa tu prawdziwa pogarda dla jego funkcji, przeważa zaś skępowanie wobec kolegów, obawa, by nie wydawać się serwilistą. Prawie każdy z tych więźniów, wezwany pojedynczo do jego gabinetu zachowywał się uprzejmie, niektórzy zaś przypoehlebnie. Za kratami byli tu ludzie rozmaici i różną mieli wartość. Klimentiew dawno to zrozumiał. Szanując ich prawo do godności, nieustępliwie przestrzegał swego prawa do surowości. Jako urodzony żołnierz mniemał, że wprowadził w tym więzieniu dyscyplinę nie sadystyczną, lecz rozumną, wojskową.

Wszedł do gabinetu. Było tu gorąco i niemile pachniało farbą smażącą się na kaloryferach. Podpułkownik otworzył lufcik, zdjął płaszcz, usiadł w swoim obcisłym frenczu przy biurku i spojrzał na jego blat. Na stroniczce kalendarza, otwartego na minionej sobocie, widniał napis:

„Choinka?!”

W tym półpustym gabinecie, gdzie jedynymi przedmiotami były - szafa pancerna z aktami więziennymi, pół tuzina krzeseł, telefon i przyciski kilku dzwonek, podpułkownik Klimentiew bez żadnych widocznych transmisji, przekładni i zębatych kółek sprawnie kierował zewnętrznym biegiem życiowych spraw dwustu osiemdziesięciu jeden ludzi oraz służbą pięćdziesięciu strażników.

Nie bacząc na to, że przyjechał tu w niedzielę (miał wolny od pracy jeden z dni powszednich), a jeszcze pół godziny przed czasem, Klimentiew zachowywał zwykły spokój i równowagę.

Młodszy lejtnant Nadielaszyn zameldował się nieśmiało. Na jego policzkach wykwitły rumieńce. Bardzo bał się podpułkownika, chociaż Klimentiew nigdy nie wprowadził mu żadnego haczyka do teczki personalnej, mimo tylu niedopatrzeń. Śmieszny, pyzaty, nie mający w sobie nic wojskowego, Nadielaszyn daremnie starał się stanąć w prawidłowej postawie zasadniczej.

Zameldował, że nocny dyżur minął zupełnie spokojnie, wykroczeń nie było żadnych, zaszły natomiast dwa wydarzenia nadzwyczajne: o jednym mowa jest w raporcie (położył przed Klimentiewem raport na rogu biurka, ale papier zaraz zdmuchnęło; poszybował sobie kreśląc skomplikowaną krzywą aż pod daleko stojące krzesło. Nadielaszyn rzucił się za nim i z powrotem położył na biurku), drugim zaś było wezwanie więźniów Bobynina i Priancykowa do ministra bezpieczeństwa państwowego.

Podpułkownik zmarszczył brwi i zadał kilka szczegółowych pytań, interesując się okolicznościami wezwania i powrotu więźniów. Nowina była raczej nieprzyjemna, a nawet budziła niepokój. Być komendantem tego właśnie specwizji, to znaczyło żyć na wulkanie, znajdować się zawsze w polu obserwacji ministra. To nie był jakiś tam sobie odległy leśny punkt łagrowy, którego naczelnik mógł mieć harem, własnych trefnisiów i samemu ferować wyroki, jak pan feudalny. Tu trzeba było być strażnikiem prawa, balansować na linii instrukcji i nie pozwalać sobie ani na szczyptę osobistego gniewu czy prywatnej litości. Ale Klimentiew był właśnie taki. Nie sądził, ażeby Bobynin lub

Priancykow mogli dzisiejszej nocy znaleźć 181 w jego postępowaniu cokolwiek zasługującego na skargę. Długie zaś służbowe doświadczenie kazało mu nie obawiać się oszczerstw ze strony więźniów. Oczernić mogli. go już prędzej współpracownicy.

Następnie przejrzał raport Nadielaszyna i zorientował się, że chodzi o bzdury. Właśnie dlatego trzymał tu Nadielaszyna, że miał pewien poziom i był niegłupi.

Ale zarazem - ileż miał braków! Podpułkownik udzielił mu też nagany. Przypomniał mu szczegółowo, jakich dopuścił się przeoczeń jeszcze w czasie poprzedniego dyżuru: więźniowie wyszli do pracy z dwuminutowym opóźnieniem; wiele łóżek zaścielono niedbale i Nadielaszyn nie przejawiał wystarczającej surowości - nie odwołał winowajców z pracy i nie zmusił ich do prawidłowego zaścielenia. O tym wszystkim mówiono już nieraz. Ale mówić z Nadielaszynem - to tyle, co rzucanie grochem o ścianę. A co się dzieje na dzisiejszym spacerze? Młody Doronin stał nieruchomo na samej linii granicznej placu spacerowego i bardzo uważnie przyglądał się żonie oraz przestrzeni ciągnącej się za żoną w stronę cieplarni - a przecież teren to falisty, ciągnie się nim jar, miejsce jest bardzo wygodne dla ucieczki. A Doronin ma dwudziestopięcioletni wyrok, ma na koncie podrabianie dokumentów i szukano go listami gończymi dwa lata, po całym terytorium związkowym! I nikt z obecnych przy tym strażników nie zarządał, żeby Doronin nie zatrzymywał się, tylko kontynuował spacer. Dalej - gdzie był w czasie spaceru Gierasymowicz? Przechadzał się z dala od innych, za wielkimi lipami, obok warsztatów mechanicznych. A co to za p r z y p a d e k, ten Gierasymowicz? Dodano mu drugi wyrok, ma w aktach paragraf pięćdziesiąt osiem punkt jeden a łamane przez dziewiętnaście - to znaczy zdrada kraju zamierzona. Nie dopuścił się zdrady, ale nie dowiódł też, że przyjechał do Leningradu w pierwszych dniach wojny nie po to, aby doczekać się wkroczenia Niemców. Czy Nadielaszyn pamięta aby, że trzeba bez ustanku prowadzić studia nad więźniami zarówno drogą bezpośredniej obserwacji, jak na podstawie ich akt? I wreszcie, jak Nadielaszyn właściwie wygląda? Bluza wybrzusza się nad paskiem (Nadielaszyn obciągnął bluzę), gwiazdka na czapce przekrzywiona (Nadielaszyn poprawił gwiazdkę), salutuje jak baba - co dziwnego, że na dyżurach Nadielaszyna więźniowie nie ścielą łóżek? Nie zaścielone zaś łóżko - to niebezpieczna rysa w dyscyplinie więziennej. Dziś nie zaścielą łóżek, a jutro się zbuntują i nie pójdą do roboty.

Następnie podpułkownik przeszedł do poleceń: strażników odkomenderowanych do eskorty przy widzeniach należy zgromadzić w pokoju numer trzy celem przeprowadzenia instruktażu. Więzień Nierzyn niech jeszcze postoi w korytarzu. Odmaszerować.

Nadieżaszyn wyszedł spocony jak mysz. Słuchając dowódców, za każdym razem z całą szczerością uznawał słuszność wszystkich zarzutów i wskazań, przysięgał też sobie, że już ich nie przekroczy, ale służba była służbą, napotykał w niej na dziesiątki przejawów skazańczych pragnień, każdy ciągnął w swoją stronę, każdy chciał urwać sobie choć strzęp swobody, Nadieżaszyn zaś nie mógł odmówić im tych strzępów, mając nadzieję, że może nikt tego nie zauważy.

Klimentiew wyjął pióro i przekreślił notatkę „Choinka?!” w kalendarzu. Decyzję podjął jeszcze poprzedniego dnia.

Choinki nikt nigdy w specjówkach nie urządzał, takich cudów Klimentiew nie przypominał sobie. Ale więźniowie nie raz, a przy tym bardzo solidni więźniowie, prosili go uporczywie, aby w tym roku urządzić choinkę. I Klimentiew pomyślał - a dlaczego by w końcu na to nie pozwolić? Było jasne, że żadnych złych skutków taka choinka mieć nie może, że pożaru nie spowoduje - dookoła sami profesorowie od elektryczności. A bardzo ważne jest, aby na Sylwestra, kiedy wolni pracownicy instytutu pojedą do Moskwy na zabawę - ci tutaj też mieli chwilę odprężenia. Klimentiew wiedział, że przedświąteczne wieczory są dla więźniów najcięższe do zniesienia; jeden z drugim może jeszcze posunąć się do czynów szalonych albo bezmyślnych. Zadzwoił więc wczoraj do Naczelnego Zarządu Więziennictwa, któremu podlegał bezpośrednio, żeby uzgodnić sprawę choinki. W instrukcjach było wyraźnie napisane, że zabronione są wszelkie instrumenty muzyczne, natomiast nie znaleziono żadnego przepisu odnoszącego się do choinek, wobec czego zgody nie wyrażono, ale też nie wydano bezpośredniego zakazu. Długi i nienaganny staż służbowy dodawał pewności i powagi decyzjom podpułkownika Klimentiewa. Więc jeszcze wieczorem na schodach ruchomych kolei podziemnej, w drodze do domu Klimentiew postanowił - dobrze, niech mają choinkę!

I wchodząc do wagonu kolejki myślał o sobie samym z satysfakcją, że przecież jest w istocie mądrym gospodarzem, nie żadnym biurokratą, nawet więcej, że jest człowiekiem dobrym, tylko że więźniowie nigdy tego nie docenią i nigdy się nie dowiedzą, kto nie chciał im pozwolić na choinkę, a kto chciał.

Klimentiewowi, nie wiedzieć czemu, tak miło było teraz z poczuciem własnej zacności, że wcale nie chciało mu się pchać razem z innymi do wagonu, i wszedł do niego jako ostatni, przed samym zamknięciem drzwi pneumatycznych. Nie starał się bynajmniej zdobyć miejsca, tylko chwycił się niklowanego słupka i patrzył na niejasno migające odbicie

swojej męskiej postaci w zwierciadlanej szybie, za którą uciekała czerń tunelu i, zdające się nie mieć końca, grube kable. Później przeniósł spojrzenie na młodą kobietę, siedzącą opodal. Ubrana była przyzwoicie, ale bardzo skromnie: miała na sobie czarny paltocik ze sztucznych karakułów i podobny toczek na głowie. Na kolanach trzymała wypchaną teczkę. Klimentiew zerknął na nią i pomyślał sobie, że twarz ma miłą, tylko znużoną i spojrzenie nie licujące z młodym wiekiem, bo nie zwracające uwagi na otoczenie.

Akurat w tej chwili kobieta skierowała wzrok w jego stronę i patrzyli na siebie wzajem nie dłużej, niż przyglądają się sobie bez żadnego wyrazu przypadkowi towarzysze podróży. W ciągu tej krótkiej chwili w oczach kobiety pojawił się wyraz napięcia i mignęło w nich jakby niepewne, pełne niepokoju pytanie. Klimentiew miał zawodową umiejętność zapamiętywania twarzy; od razu poznał tę kobietę i nie zdążył odwrócić wzroku, aby ukryć, że ją poznał, ona zaś zauważyła jego wahanie i zapewne umocniła się w swoim domyśle.

To była żona więźnia Nierżyna, Klimentiew widywał ją w czasie widzeń na Tagance.

Sposepniała, odwróciła wzrok, ale potem znowu spojrzała na Klimentiewa. Patrzył już na ścianę tunelu, ale kątem oka wyczuwał przecie, jak ona mu się przygląda. I wtedy kobieta szybko podniosła się z miejsca i przysunęła do niego tak, że zmuszony był znów na nią spojrzeć.

Podniosła się z miejsca pełna zdecydowania, ale zaraz tę stanowczość utraciła. Gdzieś podziiała się niezależność samowystarczalnej kobiety jadącej sobie metrem i tak to z boku wyglądało, jakby ze swoją ciężką teczką chciała ustąpić miejsca podpułkownikowi. Ciężyło na niej złowrogie fatum wszystkich żon więźniów politycznych, to znaczy żon wrogów ludu - gdziekolwiek by się zwrócili, dokądkolwiek by poszły - jeśli tylko wiadano tam, czyimi są żonami - wszędzie wlokła się za nimi niezmyta hańba, którą okryci byli mężowie, w oczach ogółu padała na nie jakby część okropnych win jednego z tych zbrodniarzy, którym nigdy ludzie nieostrożnie zaufali swoje losy. I kobiety te poczęły naprawdę uważać się za współwinne, do czego sami owi wrogowie ludu - ich udręczeni mężowie - wcale się nie poczuli.

Przysunąwszy się tak, aby im łoskot kół nie przeszkadzał, kobieta zapytała:

- Towarzyszu podpułkowniku, ja bardzo, bardzo przepraszam! Ale pan jest przecież... zwierchnikiem mojego męża? Chyba się nie mylę?

Przed Klimentiewem w ciągu wielu lat jego służby w więziennictwie stała już niejedna taka kobieta i nie było dla niego nic osobliwego w ich nieśmiałym i pokornym

wyglądzie. Ale tu, w metrze, chociaż pytanie miało formę bardzo ostrożną - przecież ta stojąca w prozalnej pozie kobieca postać budziła wręcz zażenowanie.

- Dlaczego... dlaczego pani wstała? Proszę siadać, proszę siadać - mówił czując skrępowanie i próbując pociągnąć ją za rękaw w stronę ławki.

- Nie, nie, to nie ma znaczenia! - powiedziała patrząc cały czas na podpułkownika bez mrugnięcia, jak urzeczona. - Proszę tylko powiedzieć, dlaczego już cały rok nie mam wi... nie mogę go zobaczyć? Kiedy będzie mi wolno, proszę mi powiedzieć?

Ich spotkanie było wynikiem takiego samego przypadku, jak trafienie jednym ziarnkiem piasku w drugie z czterdziestu kroków. Przed tygodniem Zarząd Więziennictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego nadesłał między innymi także dla więźnia Nierżyna zezwolenie na widzenie się z żoną w niedzielę dwudziestego piątego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku w więzieniu na Lefortowie. Ale zezwolenie zaopatrzone było w uwagę, że na adres poste restante, jak prosił o to więzień, zawiadomienia o widzeniu żonie posyłać się zabrania.

Właśnie wtedy Nierżyn został wezwany i zapytano go o właściwy adres żony. Wydusił z siebie, że nie zna go. Klimentiew nawykły do stosowania regulaminowej zasady więziennej, by nigdy skazanym prawdy nie ujawniać - nie spodziewał się wcale szczerości z ich strony. Nierżyn, ma się rozumieć, znał adres, ale nie chciał powiedzieć i było oczywiste, z jakiej przyczyny nie chciał - z tej samej, dla której Zarząd Więziennictwa nie uznawał adresu poste restante: zawiadomienia o widzeniach wysyłane były na kartach pocztowych. Było tam napisane: „Zezwala się wam na widzenie z waszym mężem w takim a takim więzieniu”. Nie dość, że adres żony podlegał rejestracji w Ministerstwie Bezpieczeństwa - ministerstwo starało się nadto, ażeby jak najmniej było amateerek takich kartek pocztowych, żeby wszyscy sąsiedzi wiedzieli, kto jest żoną wroga ludu, żeby takie żony były demaskowane, izolowane, żeby czuły dookoła siebie reakcję zdrowej opinii społecznej. Żony tego się właśnie bały. A żona Nierżyna nosiła nawet inne nazwisko. Wyraźnie ukrywała się przed Bezpieczeństwem. I Klimentiew oznajmił wtedy Nierżynowi, że wobec tego widzenie się nie odbędzie. I wcale nie wysłał zawiadomienia.

A teraz ta kobieta zerwała się w tak żenujący sposób i stała przed nim, podczas kiedy sąsiedzi już przyglądali się im w milczeniu.

- Nie wolno pisać na poste restante - powiedział takim głosem, żeby tylko ona usłyszeć mogła wśród łoskotu. - Trzeba podać adres.

- Ale ja wyjeżdżam! - powiedziała z żywością i twarz jej zmieniła wyraz. - Ja niedługo wyjeżdżam i nie mam już stałego adresu - kłamała prawie otwarcie.

Klimentiew zamierzał już wyjść na najbliższym przystanku, a jeśli ta kobieta za nim pójdzie, to w hali stacyjnej, gdzieś, gdzie ludzi będzie mniej, wyjaśnić, że takie rozmowy na terenie pozasłużbowym uważa za niedopuszczalne.

Żona wroga ludu zdawała się nie pamiętać o swojej niezmazanej winie! Patrzyła podpułkownikowi w oczy suchym, gorącym, proszącym, niepoczytalnym wzrokiem. Klimentiewa zdumiało to spojrzenie - jakaż to siła przykuła ją z taką stałością i z taką beznadziejnością do człowieka, którego latami przecież nie widuje i który rujnuje tylko całe jej życie?

- To mi jest bardzo, bardzo potrzebne! - zapewniała, goniąc rozszerzonymi oczyma za śladem wahania na twarzy Klimentiewa.

Podpułkownik przypomniał sobie o papierze leżącym w ogniotrwałej kasie specwizowania. Dokument ten, stanowiący rozwinięcie „dekretu o konsolidacji zaplecza”, był nowym ciosem w rodziny przestępców, uchylające się od podawania swoich adresów. Treść tego papieru - według propozycji majora Myszyńca - miano zakomunikować więźniom w poniedziałek. Ta kobieta będzie mogła zobaczyć męża tylko jutro i ostatnie to będzie widzenie, jeżeli dalej adresu nie zdradzi. Jeżeli zaś jej teraz powie, to formalnie żadne zawiadomienie nie było wysłane, przez dziennik nie przeszło, ona zaś zjawi się w Lefortowie niby przypadkiem.

Kolejka zaczęła zwalniać.

Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę podpułkownika Klimentiewa bardzo szybko. Wiedział, że największymi wrogami więźniów są oni sami. Wiedział też, kto jest największym wrogiem każdej kobiety - ona sama. Ludzie nie potrafią milczeć, nawet gdy chodzi o ich własny, ostatni ratunek. Zdarzało się już w czasie jego kariery, że okazywał komuś głupią ustepliwość, że pozwalał na coś, co było zabronione, i nikt by nigdy o tym nie wiedział, gdyby nie rozgadali właśnie ci sami, którzy korzystali z chwili jego słabości.

Nie wolno było ustępować także w tym wypadku!

Jednakże w takt zamierającego stukotu pociągu, widząc już migające za oknami kolorowe marmury stacji, Klimentiew powiedział do kobiety:

- Macie pozwolenie na widzenie. Bądźcie jutro o dziesiątej rano...

Nie powiedział „w Lefortowskim więzieniu”, bo pasażerowie już ich otoczyli przed

wyjściem - Lefortowski Wał, wiecie, gdzie to jest?

- Wiem, wiem - radośnie kiwnęła głową.

I nie wiadomo skąd w jej oczach, całkiem dotąd suchych, zebrało się pełno łez.

Broniąc się tym łzom, wyrazom wdzięczności i wszelkim innym bzdurom, Klimentiew wyszedł na peron, aby przesiąść się do następnego pociągu tej samej linii.

Sam był zdziwiony i zagniewany, że tak mu się to powiedziało.

Podpułkownik kazał Nierzynowi odczekać swoje w korytarzu sztabu więziennego, bo Nierzyn w ogóle był więźniem zuchwałym i lubił dochodzić swoich praw.

Przewidywania podpułkownika sprawdziły się: po długim wyczekiwaniu w korytarzu Nierzyn nie tylko stracił nadzieję, że pozwolą mu na widzenie, ale, nawykły do wszelkich klęsk, oczekiwał już tylko jakiegoś nowego kłopotu.

Tym bardziej zaskoczyła go wiadomość, że za godzinę jedzie na widzenie. Zgodnie z kodeksem surowej więźniarskiej etyki, którą sam wszędzie wszczepiał, nie należało okazać żadnej radości, ani nawet ukontentowania, tylko obojętnie poinformować się, o której godzinie trzeba być gotowym - i wyjść. Ale przeskok był tak nagły, a radość tak ogromna, że Nierzyn nie wytrzymał, cały się rozpromienił i z całego serca podziękował podpułkownikowi.

Podpułkownik nawet brwią nie ruszył.

I zaraz poszedł instruować strażników jadących w eskorcie.

Instruktaż przewidywał: przypomnienie o znaczeniu i szczególnej tajności ich obiektu; wyjaśnienie, jak zapamiętałymi przestępcami są zdrajcy stanu jadący dzisiaj na widzenie; podkreślenie, że ich jedynym, najgłębszym życzeniem jest wykorzystanie tego widzenia dla przekazania tajemnic państwowych, z którymi mają styczność - wprost do Stanów Zjednoczonych, a to z pomocą żon (sami strażnicy nawet najpobieżniej się nie orientowali, co właściwie jest przedmiotem badań w czterech ścianach laboratoriów, i łatwo było wzbudzić w nich zabobonny strach, że świstek papieru, przemycony stąd na zewnątrz, może doprowadzić do zguby cały kraj). Dalej następowało wyliczenie schowków, które aresztanci najczęściej sobie robią w odzieży i obuwiu, oraz sposobów ich wykrywania (odzież, nawiasem mówiąc, wydawano w ostatniej godzinie przed widzeniem; była to odzież specjalna, na pokaz). Następnie, przy pomocy odpowiednich pytań trzeba było sprawdzić, czy dobrze została zapamiętana instrukcja dotycząca rewizji; i wreszcie omawiane były w formie przykładów tematy, jakich dotyczyć może rozmowa podczas widzenia, metody jej

podsluchiwania i konieczność jej przerywania, gdy tylko wyjdzie poza sprawy osobiste i rodzinne.

Podpułkownik Klimentiew znał regulamin i lubił porządek.

30

Nierzyn o mało nie przewrócił w półciemnym sztabowym korytarzu minora Nadielaszyna i pokłusował do mieszkalnej części więzienia. Wciąż jeszcze na jego karku wisiał pod rozchylonym waciakiem krótki bawełniany ręcznik. Zgodnie z pewną zadziwiającą cechą ludzkiego charakteru wszystko uległo w Nierzynie nagłemu przeobrażeniu. Jeszcze przed pięcioma minutami, kiedy czekał w korytarzu na wezwanie, całe jego trzydziestoletnie życie wydawało mu się bezmyślnym łańcuchem przygnębiających klęsk, z których nie miał siły się wyłabudać. Najgorszymi z tych klęsk były, jak to teraz widział - tak prędkie pójście na wojnę, zaraz po ślubie, a później areszt i tyloletnia już rozłąka z żoną. Wzajemna miłość, która go z żoną łączyła, wydawała mu się z całą oczywistością uczuciem tragicznym, skazanym na podeptanie.

Ale teraz dowiedział się, że w południe będzie miał widzenie - i całe trzydziestoletnie jego życie stanęło przed nim w nowym słońcu: życie naprężone jak cięciwa; życie pełne sensu w ogóle i w każdym szczególe; życie rozpięte między jednym szaleńczym darem fortuny a drugim, gdzie najbardziej nieoczekiwanymi stopniami do celu były - pójście na wojnę i areszt, i tyloletnia już rozłąka z żoną. Pozornie nieszczęśliwy - dla niewtajemniczonych, Gleb był w głębi ducha szczęśliwy wśród swoich klęsk. Pił z nich jak ze źródła, poznawał tu takich ludzi i takie wypadki, których nigdzie indziej na świecie nie można było poznać - w każdym razie, nie wśród spokojnej sytości zamkniętego ogniska rodzinnego. Od wczesnej młodości Gleb najbardziej się bał, że ugrzęźnie w piaskach powszedniego bytowania. Jak mówi przysłowie: Prędeż w kałuży się tonie niż w morzu.

I na pewno wróci do żony! Przecież ich więź duchowa nie jest zerwana! Widzenie! Właśnie w same urodziny! Akurat po wczorajszej rozmowie z Antonim! Może już nigdy więcej mu nie dadzą widzenia, ale to dzisiejsze jest najważniejsze! Myśli eksplodowały i śmigły jak strzały ogniste: żeby tylko o tym nie zapomnieć! I żeby jeszcze tamto powiedzieć! I tamto! I jeszcze tamto!

Wbiegł do półkolistej celi, po której więźniowie snuli się w ciągłym hałasie; jedni wracali ze śniadania, inni dopiero szli się myć, a Walentula siedział w samej bieliźnie, odrzucił kołdrę, wymachiwał rękoma i ze śmiechem opowiadał o swojej rozmowie z nocnym

dygnitarzem, który, jak to się później wyjaśniło, był ni mniej, ni więcej, tylko ministrem. Dobrze byłoby wysłuchać opowiadania Walentuli!

- Nierzyn przeżywał tę wspaniałą chwilę, kiedy coś rozsadza od środka grającą klatkę zeber, kiedy zdaje się człowiekowi, że stu lat nie starczy, żeby wszystko zacząć od nowa. Ale nie wolno było przepuścić śniadania; więziarska doła wcale nie zawsze szafuje takimi darami jak śniadanie. Ponadto opowiadanie Walentuli zbliżało się do niesławnego swojego końca: cela już wydała wyrok, że jest z niego zdzira i pętaczyna, bo nie powiedział ministrowi, czego więźniom najbardziej potrzeba. Teraz wyrywał się i pisał, ale z pięciu oprawców-ochotników ściągnęło już z niego kalesony i przy akompaniamencie ogólnego pohukiwania, krzyku i chichotu gonili go po całej izbie łojąc paskami i polewając z łyżek gorącą herbatą.

Na dolnym posłaniu, w przejściu między środkiem izby a centralnym oknem, pod koją Nierzyna a naprzeciw pustej teraz koi Walentuli, pił swoją poranną herbatę Andrzej Potapow. Patrząc, jak wszyscy się bawią, śmiał się do łez, ocierając je okularami. Łóżko Potapowa było już w chwili pobudki zasłane w formie prostokątnego graniastosłupa z ostrymi kantami. Chleb do herbaty smarował masłem bardzo cienko: niczego sobie nie dokupywał w kantynie więziennej, odsyłając wszystkie zarobione pieniądze swojej „starej”. (Płacili mu w proporcjach szaraszki nawet sporo - sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie, trzy razy mniej, niż pobierała wolna sprzątaczką, a to dlatego, że był niezastąpionym fachowcem i cieszył się uznaniem zwierzchności). Nierzyn już przy wejściu zdjął waciak, rzucił go na górę, na swoją pościel - wciąż jeszcze nie zasłaną, przywitał się z Potapowem, ale nie dosłuchał już jego odpowiedzi, bo pobiegł na śniadanie.

Potapow był właśnie tym inżynierem, który zeznał na śledztwie, podpisał w protokole i przyznał się przed sądem, że osobiście i za psie pieniądze sprzedał Niemcom pierworodne dziecko stalinowskich pięciolatek - Dnieproges, co prawda - już po wysadzeniu go w powietrze. I za tę niesłychaną, nie mającą sobie równych zbrodnię, jedynie dzięki humanitarnej łaskawości trybunału Potapow dostał tytułem kary tylko dziesięć lat więzienia oraz pięć lat późniejszego pozbawienia praw, co w języku więziennym nosiło nazwę: „dycha i piątka na przytarcie rogów”.

Nikommu, kto znał Potapowa w młodości, tym bardziej zaś jemu samemu nie mogłoby nawet przyśnić się, że zostanie po czterdziestce wsadzony do więzienia za politykę. Przyjaciele Potapowa z całą słusznością nazywali go robotem. Na życie Potapowa składała

się jedynie praca. Nawet trzydniowe ferie świąteczne męczyły go, urlop zaś wziął tylko raz w życiu - kiedy miał się żenić. W pozostałych latach jakoś nie można było znaleźć dla niego zastępstwa, więc chętnie zrzekał się urlopu. Kiedy były trudności z chlebem, z warzywami czy z cukrem - Potapow mało zwracał uwagi na te odległe sprawy; robił sobie w pasie jeszcze jedną dziurkę, zaciskał go mocniej i zajmował się dalej jedyną w świecie kwestią interesującą - prądami wysokiego napięcia. Potapow - to nie żarty - bardzo mętnie wyobrażał sobie tych wszystkich innych, którzy zajmowali się czymkolwiek poza prądami wysokiego napięcia. Tych zaś, którzy do niczego rąk nie przykładali, tylko zarabiali na swój chleb pyskowaniem, Potapow w ogóle nie miał za ludzi. Kierował wszystkimi rodzajami pomiarów elektrycznych na Dnieprostroju, tam się też ożenił i życie żony, tak samo jak swoje własne, rzucił na nienasycony stos tej epoki.

W czterdziestym pierwszym roku budował już inną elektrownię. Potapow nie podlegał mobilizacji do wojska, był wyreklamowany. Ale dowiedziawszy się, że Dnieproges, dzieło ich młodości, został wysadzony w powietrze, powiedział do żony:

- Katia! Trzeba jednak iść.

Ta odpowiedziała:

- No tak, Andrzejku, idź!

I Potapow poszedł - w okularach ze szklami minus trzy, ze skrzyconym paskiem, w sfałdowanej, pomarszczonej bluzie, z pustą kaburą, chociaż miał na kołnierzu jeden k u b i k* - w drugim roku wojny, do której tak starannie się przygotowywano, nie starczyło broni dla oficerów. Pod Kastorną, w dymach z palącego się żyta, w lipcowej spiekocie, Potopów trafił do niewoli. Z niewoli uciekł, ale zanim mu się udało dotrzeć do swoich - złapano go po raz drugi. I uciekł jeszcze raz, ale wśród pustego pola prosto na głowę spadł mu desant spadochronowy - i tak dostał się do niewoli po raz trzeci.

W ten sposób przeszedł przez ludożercze obozy w Nowogrodzie Wołyńskim i w Częstochowie, gdzie żarło się korę drzewną, trawę i ciała zmarłych towarzyszy. Z takiego właśnie obozu Niemcy zabrali go nagle i przywieźli do Berlina, a tam pewien jegomość (grzeczny, ale „kawał drania”), znakomicie władający rosyjskim, zapytał, czy to możliwe, że ma do czynienia z tym sławnym inżynierem Potapowem z Dnieprostroju? Czy może on na dowód tego narysować, no, powiedzmy, schemat połączeń tamecznego generatora?

Schemat ów był kiedyś publikowany i Potapow narysował go bez wahania. Później w czasie śledztwa sam to opowiedział, chociaż mógł wcale nie mówić.

To nazywało się w jego sprawie „zdradą tajemnic Dnieprogesu”. Do sprawy nie zostały jednak włączone dalsze wypadki: tajemniczy Rosjanin, przekonawszy się w ten sposób o tożsamości Potapowa, zaproponował mu podpisanie dobrowolnego oświadczenia o chęci odbudowy Dnieprogesu - za co miał natychmiast być zwolniony z obozu, otrzymać kartki żywnościowe, pieniądze i skierowanie do ulubionej pracy.

Gdy siedział nad tym kuszącym arkusikiem papieru, cień ciężkiej myśli przesunął się przez pooraną już zmarszczkami twarz robota. I nie bijąc się w piersi, nie wydając patetycznych okrzyków, nie zamierzając wcale zostać pośmiertnie bohaterem Związku Sowieckiego - Potapow powiedział skromnie ze swoim południowym akcentem:

- Widzi pan, składałem przecież przysięgę. Jeżeli to podpiszę - to będzie jednak sprzeczność, co?

W ten oto spokojny, pozbawiony teatralności sposób Potapow wybrał śmierć, mogąc wybrać dostatnie życie.

- Cóż, pańskie przekonania są godne szacunku - powiedział tajemniczy Rosjanin i kazał odesłać Potapowa do ludożerczego obozu.

* Kubik - czerwony, emaliowany kwadracik oznaczający młodszego lejtnanta w okresie przed przywróceniem epoletów i gwiazdek.

Za to już sowiecki sąd Potapowa nie sądził, tylko dał mu w sumie dziesięć lat.

Inżynier Markuszew natomiast podpisał takie oświadczenie i zgodził się współpracować z Niemcami - za co sąd dał mu także dziesięć lat.

Poznawało się w tym rękę Stalina! - w tym pełnym rozmachu zrównaniu przyjaciół z wrogami, które zapewniło mu osobne miejsce w całych ludzkich dziejach!

I jeszcze za to Potapow nie był sądzony, że w czterdziestym piątym roku, siedząc na skorupie sowieckiego czołgu ciągle w tych samych swoich popękanych i powiązanych drutem okularach, wdarł się do Berlina z automatem w rękę.

Tak oto Potapow wykręcił się sianem, otrzymawszy tylko dychę i piątkę na przytarcie rogów.

Nierzyn wrócił ze śniadania, zzuł buty i wdrapał się na górę, kołysząc zarówno własną koją, jak łóżkiem Potapowa. Zabierał się teraz do wykonania codziennego swojego ćwiczenia akrobatycznego: miał zaścielić łóżko bez jednej zmarszczki stojąc nogami na pościeli. Ale kiedy odrzucił poduszkę, znalazł pod nią papierośnicę z ciemnoczerwonej przejrzystej masy plastycznej, wypełnioną ciasno ułożonymi w jeden rząd dwunastu

papierosami „Bielomorkanał” i owiniętą paskiem zwykłego papieru, na którym drukowanymi literami napisane było:

Tak oto spędził dziesięć lat i stracił swej młodości kwiat.

Nie można się było omylić. Jeden tylko Potapow łączył tu w sobie wybitne rzemieślnicze talenty ze zdolnością do cytowania całego „Eugeniusza Oniegina”, którą wyniósł jeszcze z gimnazjum.

- Andreicz! - Gleb zwiesił głowę ze swojej koi.

Potapow już skończył swoją herbatę, rozwinął gazetę i czytał ją nie kładąc się, aby nie pognieść pościeli.

- No, co się stało? - mruknął.

- Przecież to pańska robota!

- Nie mam pojęcia. Znalazł pan? - i powściągnął uśmiech.

- Andre-icz! - przeciągnął Nierzyn.

Zmarszczki poczciwej przebiegłości pogłębiły się i wydłużyły na twarzy Potapowa. Poprawił okulary i powiedział:

- Kiedy siedziałem na Łubiance we dwójkę z księciem Esterhazym, wynosząc, jak pan może sobie wyobrazić, kibel w dni parzyste, a on w nieparzyste i ucząc go rosyjskiego według „Regulaminu więziennego” na ścianie - podarowałem mu na urodziny trzy guziki z chleba - bo mu poobcinali wszystkie, co do jednego - i wtedy mi przysięgał, że nawet od nikogo z Habsburgów nigdy nie dostał prezentu bardziej na czasie.

Głos Potapowa figurował w „Klasyfikacji głosów” jako „głuchy z trzaskami”.

Z głową wciąż zwieszoną w dół Nierzyn patrzył ciepłym wzrokiem na prostą nieco, szarawą twarz Potapowa. W okularach wyglądał na swoje czterdzieści pięć lat, nie więcej, i sprawiał nawet wrażenie człowieka energicznego. Ale kiedy zdejmował okulary - stawały się wtedy widoczne głębokie ciemne oczodoły, zapadłe niemal jak u umarłego.

- Andreicz, ale jakoś mi nieporęcznie. Przecież nie mogę panu podarować niczego podobnego w zamian, nie mam takich złotych rąk... Jak pan też zapamiętał, że dziś moje urodziny?

- No, no - odparł Potapow. - A jakież to jeszcze wyjątkowe daty zostały nam w życiu do zapamiętania?

Obaj westchnęli.

- Może herbaty? - zaproponował Potapow. - Mam specjalną esencję.

- Nie, nie mam głowy do herbaty, zaraz mam widzenie.
- Świetnie! - ucieszył się Potapow. - Ze staruszką?
- Aha.
- Najwyższy czas. Ależ, Walentula, dosyć tego hałasowania nad samym uchem!
- A jakie prawo ma jeden człowiek do znęcania się nad innym człowiekiem?...
- Andreicz, co w gazecie? - zapytał Nierżyn.

Potapow zmrużył oko, jego twarz przybrała wyraz chachłackiej drwiny. Chytrze zerknął w górę na zwieszoną głowę Nierżyna:

Brytyjska muza sen dziewoi Banialukami niepokoi...

Ci bezwstydnicy twierdzą, że...

Cztery lata już minęły od czasu, jak Nierżyn i Potapow spotkali się w hałaśliwej, niespokojnej, zatłoczonej i nawet w lipcowe dni półmrocznej celi w Butyrkach; było to drugie lato po wojnie. Krzyżowały się tam naówczas kolorowe drogi życiowe, szlaki najróżniejsze. Przechodzili przez tę celę nowicjusze z dalekiej Europy. Przechodzili przez celę nowicjusze, którzy zachowali w sobie jeszcze okruchy europejskiej wolności. Przechodzili przez celę zatwardziali rosyjscy jeńcy, którzy dopiero co zdążyli zamienić niemiecką niewolę na ojczyście więzienie. Przechodzili przez celę zahartowani w łagrach wyjadacze, których z jakichś GUŁagów przesyłano do szaraskowych oaz. Zaraz po wejściu do celi Nierżyn wpełził tylnym przejściem pod nary (były tak niskie, że nie można było wleźć pod nie na czworakach, tylko trzeba było czołgać się po trapersku) i tam, na brudnej asfaltowej podłodze, nie rozejrzawszy się jeszcze w ciemnościach, zapytał wesoło:

- Kto ostatni w kolejce, przyjaciele?

I głos głuchy, jak z pękniętego garnka, odpowiedział mu:

- Ku-ku! Proszę ustawić się za mną.

Później, dzień po dniu, w miarę tego, jak brano ludzi z celi do transportów, przesuwali się pod narami „od kibla do okna” i wreszcie po trzech tygodniach zaczęli przesuwać się z powrotem, „od okna do kibla”, ale już na narach. A jeszcze później po górnych narach przesuwali się znowu w stronę okna. Tak połączyła ich przyjaźń, nie bacząc na różnicę wieku, życiorysów i zamiłowań.

Tam też, w trakcie wielomiesięcznych, długich rozmyślań po wyroku, Potapow przyznał się Nierżynowi, że nigdy w życiu nie zainteresowałby się polityką, gdyby sama polityka nie zaczęła gnieść i łamać mu żeber.

Tak oto, pod narami butyrskiego więzienia robot po raz pierwszy poczuł, że się gubi, co, jak wiadomo, jest dla robotów niewskazane. Nie, dalej wcale nie żałował, że odtrącił niemieckie dostatki, nie żał mu było trzech lat spędzonych o głodzie w morderczej niewoli. I po dawnemu uważał za wykluczone, aby cudzoziemcy mieli być sędziami naszych wewnętrznych trosk.

Ale iskra zwątpienia została w nim posiana i wciąż się tliła. Nie mógł w żaden sposób zrozumieć: jaki sens miało zbudowanie Dnieprogesu?...

31

Za pięć dziewiąta w celach specwięzienia odbywał się apel. Operacja ta, trwająca w łagrach całymi godzinami, ze staniem zeków na mrozie, z przepędzaniem ich z miejsca na miejsce, z liczeniem to pojedynczo, to piątkami, to secinami, to znów brygadami - tu, w szaraszce, miała przebieg szybki i bezbolesny: więźniowie pili herbatę przy swoich nocnych stolikach, dwóch dyżurnych oficerów - kończący dyżur i obejmujący go z kolei - wchodziło do izby, więźniowie wstawali (poniektórzy zaś nie wstawali), nowy dyżurny w skupieniu rachował głowy, następnie ogłaszano nowe zarządzenia i niechętnie wysłuchiowano skarg.

Obejmujący dziś dyżur w więzieniu starszy lejtnant Szusterman był mężczyzną wysokim, czarnowłosym i nie tyle ponurym, co nigdy nie okazującym żadnych ludzkich emocji, jak przystoi nadzorcom łubiańskiego chowu. Razem z Nadiełaszynem przysłano go tu z Łubianki dla wzmożenia więziennej dyscypliny. Kilku tutejszych zeków pamiętało z Łubianki ich obu. W randze chorążych* obaj służyli jakiś czas jako wyprowadzający, to znaczy brali aresztanta stojącego już twarzą do ściany obok drzwi swojej celi i przeprowadzali go po sławetnych wydeptanych stopniach na półpiętro między czwartą a piątą kondygnacją (było tam przebite przejście z więzienia do korpusu śledczego i przez ten przełaz już od przeszło trzydziestu lat prowadzono po kolei wszystkich więźniów centralnego więzienia: kadetów, eserowców, anarchistów, monarchistów, październikowców, mienszewików, bolszewików, Sawinkowa, Kutiepowa, metropolitę Piotra, Szulgina, Bucharina, Rykowa, Tuchaczewskiego, profesora Pletniowa, prezesa Akademii Nauk Wawilowa, feldmarszałka Paulusa, generała Krasnowa, uczonych światowej sławy i początkujących poetów, naprzód - samych tych zbrodniarzy, następnie - ich żony, wreszcie - ich córki); podprowadzali ich potem do nie mniej słynnego stołu, gdzie w grubej Księdze Rejestracji Przeznaczeń każdy wchodzący tu aresztant musiał podpisać się przez okienko wycięte w arkuszu blachy, nie widząc ani poprzedzającego, ani następującego po nim

nazwiska; później wchodzili z nimi po schodach, przy czym luk klatki schodowej miał na wysokości każdej kondygnacji naciągniętą siatkę drucianą, jak w cyrku przy salto mortale, co zabezpieczało przed próbami samobójstwa; potem prowadzili ich bardzo, bardzo długimi korytarzami ministerstwa, gdzie duszno było od elektrycznego światła i zimno - od złotego blasku pułkownikowskich epoletów.

Więźniów śledczych żarła wtedy pierwsza rozpacz, jednak szybko dostrzegali różnicę - Szusterman (nazwiska jego wówczas, rzecz jasna, nie znali) rzucał na nich mroczne błyskawice spod zrosniętych gęstych brwi, wpijał się w łokieć aresztanta, jakby miał szpony, i po grubiańsku ciągnął go, tracącego prawie dech, po schodach na górę. Księżycowy zaś Nadielaszyn, wyglądający trochę na rze-zańca, kroczył sobie z boku, nawet człowieka nie dotykając, i grzecznie uprzedzał, gdzie trzeba skręcić.

Za to dzisiaj Szusterman, chociaż młodszy, miał już trzy gwiazdki na epoletach.

Nadielaszyn obwieścił: ci, co jadą na widzenie, mają zameldować się w sztabie o dziesiątej rano. Na pytanie, czy będzie dzisiaj film, odparł, że nie będzie. Rozległy się szemrania, ale z kąta odezwał się Chorobrow:

- Jeżeli takie gówno jak „Kubańscy Kozacy”, to niech lepiej wcale nie pokazują.

* Po rosyjsku - *starszym*. W polskiej hierarchii rang wojskowych ten najwyższy rosyjski stopień podoficerski znalazł nieścisły odpowiednik w stopniu chorążego. Szusterman szybko odwrócił się i zdążył zauważyć, kto mówi, przez co stracił rachubę i musiał zacząć na nowo liczyć. W zupełnej ciszy ktoś powiedział szeptem, ale wyraźnie:

- No to koniec, już mu wpisali do akt.

Chorobrow (górną wargą mu drgała) odparł:

- A prac ich mać, niech piszą. Na mnie tyle już ponawypisywali, że nie mieści się w tece.

Inżynier Abramson, siedzący na sąsiednim łóżku w swoich dużych, kwadratowych okularach, zapytał:

- Obywatelu młodszy lejtnancie! Robiliśmy starania o choinkę. Będzie więc czy nie?

- Będziecie mieli choinkę! - odparł minor i widać było, że jemu samemu jest przyjemnie. - O, właśnie tu postawimy, w półkolistej.

- To już można robić ozdoby? - krzyknął z górnej koi wesóły Ruska. Siedział tam, na górze, po turecku, postawił na poduszce lustro i wiązał sobie krawat. Za pięć minut miał zobaczyć się z Klarą, która już weszła przez wartownię na dziedziniec, widział to przez

okno.

- Trzeba będzie zapytać, nie mamy instrukcji.
- A na co wam tu instrukcje?
- Co to za choinka bez ozdób?... Cha-cha-cha-cha!
- Koledzy! Robimy gwiazdki i bombki!
- Spokój, dziecino! A jak tam ze sprawą wrzątku?
- Minister już mu zaparzy!

Cała cela rozgadała się wesoło na temat choinki. Dyżurni oficerowie już odwrócili się i mieli wyjść, ale zawołał za nimi Chorobrow zagłuszając wszystkich swoim ostrym głosem z wiackim akcentem:

- Tylko tam zameldujcie, żeby choinkę nam postawiono przed prawosławnym Bożym Narodzeniem! Choinka - to Boże Narodzenie, a nie Nowy Rok!

Dyżurni wyszli udając, że nie słyszą.

Mówili prawie wszyscy naraz. Chorobrow czegoś tam jeszcze nie zdążył powiedzieć dyżurnym i teraz mełł to w milczeniu, pokrzywiając się komuś całą twarzą. Nigdy nie obchodził ani Godów, ani świąt Wielkanocnych, ale w więzieniu zaczął je świętować z samego ducha przekory. W czasie tych dni nie było przynajmniej ani nagłych rewizji, ani obostrzeń regulaminu. A na rocznicę rewolucji i na pierwszego maja urządzał sobie pranko albo łatanie dziur.

Abramson dopił herbatę, przetarł swoje zamglone okulary w grubej ebonitowej oprawie i powiedział do Chorobrowa:

- Ilia Terenticz! Zapominasz o drugim więziennym przykazaniu: nie podskakuj.

Chorobrow rzucił na Abramsona twarde spojrzenie:

- To stare przykazanie, to wasza martwa fala go słuchała. Byliście potulni, to i wygubili was wszystkich.

Zarzut był właśnie niesprawiedliwy. Ci bowiem, których zamknięto razem z Abramsonem, kierowali strajkami na Workucie. Ale ich koniec był taki sam, bez różnicy. Nie było sensu wyjaśniać tego właśnie teraz. Przykazanie zaś - rozpowszechniło się samo. Zwyczajna kolej rzeczy.

- Będziesz się awanturować, to cię stąd wyślą - Abramson wzruszył tylko ramionami - do jakiegoś katorżnego łagru.

- A ja, kochany, właśnie się o to staram! Katorżny, to katorżny, prac ich mać,

przynajmniej kompanię będę miał weselszą. Może tam chociaż nie będzie kapusiów.

Spóźniający się dziś wszędzie Rubin, który nie dopił jeszcze nawet herbaty, stał ze swoją skudłaconą brodą obok prycz Potopowa i Nierżyna. Mówił ciepłym tonem zadzierając głowę w stronę górnej pościeli:

- Serdeczne życzenia dla młodego Montaigne'a, dla mojego niezguły...

- Bardzo jestem wzruszony, Lewku, ale po co to...

Nierżyn klęczał na swoim posłaniu i trzymał w ręku tekę na papiery. Teką była zrobiona po więziennemu - to znaczy najstaranniej w świecie, bo przecież więźniowi nigdzie się nie spieszy. Wnętrze teki, wyklejone angielskim płótnem koloru bordo, pełne było kieszonek, przegródek, zatrząsków - i znakomitego papieru, jeszcze z łupów wojennych. Wszystko to wykonane było, rzecz jasna, w czasie pracy.

- A prócz tego, tu nie pozwalają pisać praktycznie nic poza donosami...

- I życzę ci... - wydatne, grube wargi Rubina wyciągnęły się w śmieszny ryjek - żeby sceptyczno-eklektyczny twój umysł poznał wreszcie światło prawdy.

- Ach, jaka tam prawda, chłopie! Bo to w ogóle można wiedzieć, co jest prawdą... - Gleb westchnął. Jego twarz, którą krzątanina przed bliskim widzeniem już odmłodziła, znów teraz pokryła się popiołem zmarszczek. Płowe włosy opadły na skronie.

Na sąsiednim górnym posłaniu, nad Priancykowem, łysy, tęgi inżynier, już niemłody, wykorzystywał ostatnie sekundy wolnego czasu na pośpieszną lekturę gazety, którą pożyczył od Potapowa. Rozwinął ją szeroko, odsunął od oczu i czytał marszcząc się niechętnie, poruszając czasem wargami. Gdy zaś w korytarzu rozdzwonił się gromko elektryczny dzwonek, inżynier ze złością złożył gazetę byle jak, załamując rogi:

- No i na diabła, urwana nać, pieprzą o pozycji mocarstwowej, bez przerwy o tej pozycji mocarstwowej?...

I rozglądnął się, gdzie by tu cisnąć gazetę.

Olbrzymi Dwojetiosow, który w drugim końcu izby też zwiesił ze swojej koi wielkie niezgrabne stopy, zapytał basem:

- Kto właściwie pieprzy?

- A ci wszyscy, co tam siedzą.

- A cóż to ty, Ziemiela, nie palisz się do władzy nad światem? Nie zależy ci?

- Niby ja? - zdziwił się Ziemiela, udając, że bierze pytanie na serio. - Eee, tam - uśmiechnął się szeroko - a to mi po co? Do chrzanu tarcia? Nie zależy!... - i zabrał się z

postękiwaniem do złączenia na dół.

- No, to pójdziemy młócić słomę! - powiedział Dwojetiosow i całym ciężarem skoczył na podłogę, aż jęknęły deski. Do niedzielnej pracy szedł nieczesany, niemyty i niedopięty.

Dzwonek brzęczał długo. Wzywał ludzi na niedzielną szychtę. Oznajmiał, że apel skończony i otwarte już są „carskie wrota” instytutu, przez które szybko się przeciskał gęsty tłum zeków.

Większość już była w drodze. Doronin wybiegł pierwszy. Sołogdin, który zamykał okno przy wstawaniu i porannej herbacie, teraz znów je uchylił, zabezpieczył tomem Erenburga i szybko wyszedł na korytarz, aby nie przegapić momentu, w którym profesor Czelnow wyjdzie z „profesorskiej” celi. Rubin, który jak zwykle nie zdążył rano zrobić niczego na czas, w pośpiechu odstawił do nocnej szafki to, czego już nie mógł zjeść i dopić (coś przy tym poprzewracał), i krzątał się koło swojej garbatej, rozkopanej, beznadziejnej pościeli, daremnie próbując tak ją ułożyć, aby go później nie wzywano do ponownego ślania.

Nierzyn zaś przebierał się w maskaradowy garnitur. Niegdyś, za dawnych czasów, zeki z szaraszki, chodząc na co dzień w przyzwoitych garniturach i płaszczach, jeździli też w nich na widzenia. Obecnie - poprzebierano ich w granatowe kombinezony, bo tak było wygodniej strażnikom (chodziło o to, aby wartownicy na wieżyczkach dobrze mogli odróżnić zeków od wolnych pracowników i wiedzieli, do kogo mają strzelać). Przed widzeniami zaś zwierzchność więzienna kazała im się przebierać, wydając czyjeś, wcale nie nowe, garnitury i koszule, być może nawet - skonfiskowane przy sekwestrze majątku. Jednym zekom miło było, że chociaż raz są dobrze ubrani, nawet na tak krótko, inni na pewno woleliby uniknąć tego ohydneho przebierania się w odzież zabitych, ale w kombinezonach w ogóle nie chciano zabierać na widzenia: rodziny nie powinny być niczego złego pomyśleć o więzieniu. Odmówić zaś sobie widzenia z rodziną - nikt nie miał serca. Dlatego też przebierali się wszyscy.

Półkolista izba opustoszała. Zostało dwanaście par prycz pospawanych w dwie kondygnacje i zasłanych po szpitalnemu: z wykładaniem wierzchniego prześcieradła na koc, żeby cały kurz i brud prędeż w nie wchodził. Ten pomysł mógł zrodzić się tylko w urzędniczej - i to wyłącznie w męskiej - głowie, w domu by go nie zastosowała nawet żona samego wynalazcy. Wymagała tego jednak instrukcja więziennego nadzoru sanitarnego.

W pokoju zapanowała błogosławiona, tak rzadka tutaj, cisza, której nie chciało się mącić.

Czterech ich zostało w pokoju: przebierający się Nierzyn, Chorobrow, Abramson i łysy konstruktor.

Konstruktor należał do tych cichutkich zeków, którzy - mimo lat spędzonych w więzieniu - w żaden sposób nie potrafili nauczyć się więziennej czelności. Nigdy by nie ośmielił się odmówić udziału nawet w niedzielnej robocie, ale dziś słabował jakoś, wziął specjalnie od więziennego lekarza zwolnienie - więc teraz na swojej pościeli rozłożył kupę dziurawych skarpetek, nici, grzybek własnoręcznie wykonany z tektury i ze zmarszczonym czołem namyślał się, od czego zacząć cerowanie.

Grzegorz Borysowicz Abramson, który w całym majestacie prawa już o d w a - lił swoją dychę (nie licząc sześciu lat poprzedzającego ją zesłania) i wsadzony na następne dziesięć lat w trybie dokładki - nie żeby zupełnie odmawiał pracy w niedzielę, ale starał się tego unikać, o ile możliwości. Niegdyś, za komsomolskich czasów, nie można go było za uszy oderwać od udziału w *woskriesnikach*. Ale ta dobrowolna praca w dni wolne była rozumiana wtedy jako szturmowy wysiłek, konieczny dla rozruchu gospodarczego: roczek, drugi, myślano sobie, a wszystko się rozkręci i zacznie się ogólny rozkwit. Jednakże mijały dziesięciolecia i te dni szturmowej pracy stały się nudną pańszczyzną, zasadzone drzewa jakoś nie chciały kwitnąć, a nawet większa ich część przetrącona została gąsienicami ciągników. Po wielu więziennych latach, spędzonych na przyglądaniu się i rozmyślaniu, Abramson doszedł do zupełnie odmiennego wniosku: że człowiek z samej swojej natury ma wrogi stosunek do pracy i za nic w świecie nie zabrałby się do niej, gdyby nie popędzała go pałka albo konieczna potrzeba. I chociaż w zasadzie, w perspektywie wciąż jeszcze aktualnego i jedynie możliwego komunistycznego celu ludzkości, wszystkie te wysiłki i nawet *woskriesniki* były bez wątpienia niezbędne - sam Abramson nie czuł już w sobie siły, aby w nich brać udział. Teraz zaś był jednym z nielicznych tutaj, którzy już odsiedzieli i przesiedzieli te straszne dziesięć lat w całej rozciągłości; wiedział, że to nie mit, nie majaczenie sędziów, nie anegdota, opowiadana aż do pierwszej amnestii, w którą zawsze nowicjusze wierzą - tylko całutkie dziesięć, i dwanaście, i piętnaście morderczych lat ludzkiego życia. Abramson dawno już nauczył się oszczędzać siły przy każdym ruchu, w każdej chwili wytchnienia. I wiedział, że najlepsza rzecz, jaką można zrobić w niedzielę - to leżeć nieruchomo w samej bieliźnie.

Teraz wyjął tomik, którym Sołogdin zaklinał okno, przymknął je, bez pośpiechu zrzucił kombinezon, włożył pod koc, podetkał go sobie starannie pod boki i nogi, przetarł

okulary specjalną irchową szmatką, włożył do ust miętówkę, poprawił poduszkę i wy dostał spod materaca jakąś opasłą książkę, obłożoną dla niepoznaki papierem. Wystarczyło spojrzeć na niego z boku - i już miał człowiek wrażenie przytulności.

Tymczasem Chorobrow się trapił. W niewesołej zadumie leżał w ubraniu na zasłanym łóżku, opierając obute stopy na poręczu. Taki już miał charakter, że długo i ciężko gryzł się tym, co po innych spływało jak woda po gęsi. Co soboty, w zgodzie ze znaną zasadą zupełnej dobrowolności, wszyscy więźniowie, których nawet o to nikt nie pytał, trafiali do spisu niedzielnych ochotników, spis zaś szedł do więziennej kancelarii. Gdyby zgłoszenia były naprawdę dobrowolne, Chorobrow zgłaszałby się zawsze i chętnie, by wszystkie święta spędzać przy warsztacie. Ale właśnie dlatego, że zapisy te miały charakter jawnej kpiny - Chorobrow musiał teraz leżeć i kołowacieć w celi więziennej.

Zek w łagrze może tylko marzyć o tym, żeby przeleżeć całą niedzielę pod ciepłym dachem, ale zeka z szaraszki przecież nie łupie w krzyżu.

Nie mógł znaleźć zupełnie nic do roboty. Wszystkie gazety, co do jednej, przeczytał jeszcze poprzedniego dnia. Na taborecie koło jego pościeli zwalone były na kupę otwarte i zamknięte książki z więziennej biblioteki. Jedną z nich była antologia szkiców publicystycznych najwybitniejszych pisarzy. Chorobrow zawahał się, ale poszukał artykułu Aleksego Tołstoja, który tego nazwiska nie powinien był używać, gdyby miał trochę sumienia. Znalazł słowa pisane w czerwcu czterdziestego pierwszego roku: „Niemieckie żołdactwo, zmuszone do walki terrorem i ogarnięte szaleństwem, natknęło się na granicy na mur żelaza i ognia”. Chorobrow zaklął szeptem, zatrzasnął i odrzucił tom. Do jakiegokolwiek książki zaglądał, zawsze dostawał z niej dziucha w punkt najbardziej bolesny; wszystko dokoła stało się jednakowo bolesne. Na swoich podmoskiewskich, świetnie urządzonych daczach, gdzie lodówki elektryczne zainstalowano jeszcze przed wojną, ci rządcy dusz pozwalali sobie na ton wszechwiedzącej wyroczeni, chociaż słuchali tylko radia i widzieli tylko swoje klomby. Półpiśmienny kołchoźnik wiedział o życiu więcej od nich.

Pozostałe książki należały do beletrystyki, ale Chorobrow nie chciał brać ich nawet do ręki. Jedną z nich był ostatni szlagier wydawniczy „Daleko od Moskwy”, którym zaczytywano się na wolności. Ale po przeczytaniu ledwie paru stron Chorobrow poczuł, że go mdli. Książka ta była jak pieróg bez nadziewki, jak pusta skorupa po jajku, przypominała wypchanego ptaka: mowa w niej była o budowie wykonywanej rękami zeków i o łagrach, ale nigdzie nie nazwano tych łagrów po imieniu i nie powiedziano, że ci budowniczo- - to

zeki, że dostają żreć z kotła i że wsadza się ich do karceru. Występowali w książce jako komsomolcy, dostatnio ubrani, dobrze obuci i pełni zapału. Jednocześnie doświadczony czytelnik mógł się zorientować, że sam autor zna się na rzeczy, że widział, że dotykał prawdy własną ręką, że może nawet był w obozie, kto wie, czy nie jako oper - ale że kłamie z zimną krwią i w żywe oczy.

Trzypiętrowe przekleństwo wysnęło mu się samo przez się i Chorobrow odrzucił wydawniczy szlagier.

Następna książka była wyborem pism znanego pisarza Gałachowa. Wyróżniając go trochę spośród innych, czegoś jednak spodziewając się po nim, Chorobrow już się zabrał do czytania tego tomu, ale przerwał lekturę czując, że kpią tu sobie z niego tak jak przy układaniu spisu ochotników do niedzielnej pracy. Nawet ten Gałachow, tak dobrze skądinąd umiejący pisać o miłości, w stanie jakiegoś paraliżu duchowego stoczył się aż do tej szeroko i nawet coraz szerzej stosowanej manieri pisania jakby nie dla ludzi, tylko dla głuptasków nic o życiu nie wiedzących i w tępej swojej naiwności radych każdej błyskotce.

Wszystko, co naprawdę wstrząsało, co szarpało ludzkie serca - w tych książkach było nieobecne. Gdyby nie wybuch wojny - wszyscy oni mieliby tylko jedno wyjście: pisanie panegiryków. Wojna dała im dostęp do prostych i powszechnie zrozumiałych ludzkich emocji. Ale nawet w tych okolicznościach podnosili oni do hamletowskich wyżyn jakieś zupełnie nierzeczywiste, niemożliwe w życiu konflikty - na przykład, że komsomolec na tyłach wroga wysadza dziesiątkami w powietrze pociągi z amunicją, ale że nie ma go w spisie członków żadnej podstawowej organizacji, więc dniem i nocą dręczy go myśl, czy jest aby prawdziwym komsomolcem, bo wszak nie płaci składek członkowskich.

Tym razem Chorobrow podniósł swoje ulubione wyzwisko do trzeciej potęgi.

Miał jeszcze jedną książkę na taborecie - „Opowiadania postępowych pisarzy amerykańskich”. Opowiadań tych Chorobrow nie mógł przymierzyć do znanego sobie życia, ale dziwił go już sam ich dobór: w każdym z tych opowiadań musiało koniecznie tkwić jakieś paskudztwo o Ameryce. Te jady zebrane do kupy składały się na obraz tak koszmarny, iż można było tylko się dziwić, że Amerykanie jeszcze się nie rozbiegli na wszystkie strony albo nie powiesili wszyscy razem.

Nie było nic do czytania!

Chorobrow przypomniał sobie o paleniu. Wyjął papierosa i zaczął gnieść go palcami. W zupełnej ciszy słychać było, jak w jego palcach szeleści tego nabita - tutka. Miał ochotę

zapalić od razu, bez wychodzenia, tak jak leżał z nogami na poręczu. Więźniowie-nałogowcy wiedzą, że prawdziwą przyjemność daje papieros tylko wypalony na leżąco, na swoim kawałku nar, na swoim wagoniku - papieros palony niespiesznie, ze wzrokiem wbitym w sufit, po którym przepływają obrazy bezpowrotnej przeszłości i niezbadanej przyszłości.

Ale łysy konstruktor nie palił i nie lubił dymu, zaś Abramson, choć sam palił, był zwolennikiem fałszywej teorii, wedle której powietrze w izbie powinno być czyste. Mając dobrze wbitą w głowę zasadę, że wolność zaczyna się od poszanowania cudzych praw, Chorobrow z westchnieniem opuścił nogi na podłogę i skierował się ku drzwiom. Zobaczył wtedy grubą książkę w rękach Abramsona i od razu uprzytomnił sobie, że nie ma takiej książki w bibliotece więziennej, to znaczy, że przyszła ona z wolności, a stamtąd złej książki nikt nie przyniesie.

Jednak nie tracąc kontroli nad sobą, Chorobrow nie zapytał głośno, jak byle frajer: „co czytasz?” albo „skąd to wzięłeś?” (odpowiedź Abramsona mógł jeszcze usłyszeć konstruktor albo Nierzyn). Podszedł tylko do Abramsona bardzo blisko i cicho zapytał:

- Grzegorz, daj no zerknąć na tytułik.
- No, zerkaj sobie - zgodził się Abramson bez entuzjazmu.

Chorobrow odwinął okładkę i przeczytał, cały wstrząśnięty: „Hrabia Monte Christo”. Gwizdnął tylko.

- Borysycz - zapytał przymilnie. - Już ktoś na to czeka? Ja nie zdążę?

Abramson zdjął okulary i namyślił się.

- Zobaczymy. A ostrzyżesz mnie dzisiaj?

Więźniowie nie lubili odwiedzającego ich fryzjera-stachanowca. Ochotnicy z własnego grona strzygli ich nożyczkami szanując każdy kaprys i czynili to bez pośpiechu, bo nie tak prędko mieli opuścić więzienie.

- A od kogo wziąć nożyczki?

- Pożyczę u Zięby.

- Jak tak, to ostrzygę.

- Dobra. Tu można wyjąć parę arkuszy do sto dwudziestej ósmej, niedługo ci dam.

Widząc, że Abramson czyta już sto dziesiątą, Chorobrow już w całkiem innym, wesołym nastroju wyszedł palić na korytarz.

Gleba zaś wypełniał przed spotkaniem nastrój coraz bardziej świąteczny. Gdzieś daleko, zapewne w miasteczku studenckim na Stromynce, Nadia też się tak denerwuje w

ostatniej godzinie przed widzeniem. W czasie widzenia zaczyna się gonitwa myśli, wypada ci z pamięci to, co chciałeś powiedzieć, trzeba to zaraz zapisać na papierku, powtórzyć, aż się zapamięta, papierek zniszczyć (nie wolno mieć przy sobie notatek) i pamiętać tylko, że osiem punktów, osiem - że chyba ten wyjazd; że koniec wyroku to wcale nie koniec, bo jeszcze zesłanie, że...

Zszedł na dół do magazynu, żeby wyprasować gors. Gors był wynalazkiem Ruski Doronina i wielu już go stosowało. Była to biała szmatka (z prześcieradła pociętego na trzydzieści dwie części, czego magazynier nie wiedział) z przyszytym do niej białym kołnierzykiem. Szmatki tej starczyło tylko na tyle, żeby w dekolcie kombinezonu zasłonić spodnią koszulę z czarnym stemplem „MBP-Specwężenie nr... „. Szmatka miała jeszcze dwa sznurki w dolnych rogach, które wiązało się na plecach. Ten gors pomagał zaspokoić ogólną potrzebę pozorów zupełnej pomyślności. Łatwy w praniu, służył zekom wiernie na co dzień i w święta i dzięki niemu nie było im wstyd przed wolnymi pracownikami instytutu.

Później, na schodach Nierzyn daremnie próbował przywrócić blask swoim starym butom przy pomocy czyjś wyschniętego, pokruszonego szuwaksu (butów z okazji widzeń nie wydawano, jako że pod stołem nie było ich widać).

Kiedy zaś wrócił do pokoju, żeby się ogolić (brzytwy wolno było tu mieć, nie tylko żyletki, takie były kaprysy instrukcji), Chorobrow czytał już jak urzeczony. Konstruktor swoimi przygotowaniami do cerowania ogarnął już nie tylko całe łóżko, lecz również część podłogi, kroił tam szmatki i wciąż je przekładał, robiąc znaki ołówkiem. Abramson zaś wychyliwszy trochę głowę zza książki przyglądał się temu z wysokości poduszki i takie dawał rady:

- Cerowanie tylko wtedy ma swój cel, kiedy robione jest sumiennie. Broń was Bóg przed formalnym stosunkiem do cerowania. Nie spieszcie się, kładźcie ścieg po ściegu równomiernie i każde miejsce przechodźcie na krzyż dwa razy. Do bardzo rozpowszechnionych błędów należy wykorzystywanie zbutwiałych nitek na skraju dziury. Nie trzeba śledziarskich oszczędności, nie ma co żałować wiszących strzępków, trzeba wyciąć dziurę dookoła. Znacie może takie nazwisko: Bierkałow?

- Co? Bierkałow? Nie.

- Jak to możliwe! Bierkałow - to stary inżynier, artylerzysta, wynalazca tych, może wiecie, dział BS-3, znakomite działa, dają szaloną szybkość początkową. Więc ten Bierkałow - też w niedzielę, także w jakiejś szaraszce - siedział i cerował skarpetki. A radio

było włączone. „Generał-lejtnant Bierkałow otrzymał nagrodę stalinowską pierwszego stopnia”. Przed aresztowaniem był z niego tylko generał-major. A no, tak. Więc co robić, zacerował te skarpetki i zaczął smażyć sobie racuchy na maszynie elektrycznej. Tu wchodzi nadzorca, złapał go przy tej robocie, odebrał maszynkę, bo niedozwolona, i napisał raport do naczelnika więzienia z wnioskiem na trzy doby karceru. A naczelnik właśnie wlatuje, jakby go kto gonił: „Bierkałow! Z rzeczami! Na Kreml! Kalinin wzywa!”...

Ot, i macie rosyjskie losy...

32

Znany w wielu szarazkach, stary profesor matematyki Czeł - now, pisząc w rubryce „narodowość” nie „Rosjanin”, tylko „zek”, i w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku mający obchodzić właśnie osiemnastą rocznicę uwięzienia, przyłożył ostrze swego ołówka do wielu odkryć technicznych - od kotła nagrzewu bezpośredniego* do silnika odrzutowego, niektórym zaś z nich w ogóle oddał część swojej duszy.

Nawiasem mówiąc, profesor Czełnow utrzymywał, że wyrażenie - „oddać część duszy” powinno być używane z należytą ostrożnością, tylko zek bowiem ma na pewno nieśmiertelną duszę, f r a j e r o m zaś często nie dane jest jej mieć, z uwagi na czczość ich żywota. W przyjacielskiej, więźniarskiej pogwarce nad miską wystygłej sałamachy albo nad szklanką parującej czekolady Czełnow nie ukrywał, że koncepcję tę zapożyczył u Pierre’a Bezuchowa z „Wojny i pokoju”. Kiedy go francuski żołnierz nie chciał przepuścić przez drogę, Pierre, jak wiadomo, powiedział ze śmiechem: - „Cha-cha! Nie przepuścił mnie ten żołnierz. Kogo? Mnie? Mojej duszy nieśmiertelnej nie przepuścił!”.

W marfińskiej szarazce profesor Czełnow był jedynym zekiem, któremu wolno było nie nosić kombinezonu (w tej kwestii zwracano się osobiście do Abakumo-wa). Zasadniczą podstawą dla takiej ulgi było, że Czełnow nie zaliczał się do stałych zeków Marfina, był tu tylko przejazdem: jako niegdysiejszy członek-korespondent Akademii Nauk i dyrektor Instytutu Matematyki znajdował się w bezpośredniej gestii Berii i przerzucany był każdorazowo do tej szarazki, w której miano do czynienia z najtrudniejszym i najpilniejszym problemem matematycznym. Gdy już znalazł jego rozwiązanie ogólne i wskazał metodykę dalszych prac, zaraz przenoszono go dokądś dalej.

Ale swojego prawa dowolnego wyboru ubrań profesor Czełnow nie wykorzystywał jak człowiek próżny: garnitur miał dość liche, przy tym marynarka i spodnie były właściwie różnych kolorów; na nogach miał walonki; na głowę, porośniętą resztkami siwych, bardzo

już rzadkich włosów, naciągał jakąś włóczkową szlaf-mycę, przypominającą już to czapkę łyżwiarską, już to damski czepek; szczególnie zaś charakterystyczny był jego dziwaczny, wełniany pled, też przypominający trochę kobiecą chustę.

Jednakże ten pled i ten czepek umiał Czełnow tak nosić, że czyniły one jego postać nie śmieszną, tylko majestatyczną. Podłużny owal twarzy, ostry profil, władczy ton, jakim rozmawiał z więzienną administracją, i jeszcze ten bladoniebie* Wynalazek Ramzina, dzięki któremu udała się ewakuacja przemysłu zachodniej Rosji w 1941 roku i jego uruchomienie za Uralem. ski kolor wyblakłych oczu, który właściwy jest tylko ludziom zdolnym do abstrakcyjnego myślenia - wszystko to dziwnie upodabniało Czełnowa do Kartezjusza albo Archimedesesa.

Przysłano tu Czełnowa celem rozpracowania matematycznych podstaw aparatu do absolutnej szyfracji, to znaczy takiego przyrządu, który potrafiłby w mechaniczny sposób zapewnić włączanie i przełączanie mnóstwa przekaźników, tak z kolei zmieniających i tasujących porządek emisji impulsów głosowych, aby nawet setki ludzi z pomocą setek podobnych przyrządów nie mogły potem odcyfrować rozmowy właśnie nadawanej po drutach.

W biurze konstrukcyjnym próbowano z kolei *znaleźć* praktyczne możliwości zbudowania takiego przyrządu. Zajmowali się tym wszyscy konstruktorzy, wyjąwszy Sołogdina.

Zaledwie przyjechał tu z Inty, zaledwie się rozejrzył, Sołogdin zaraz wszystkim oznajmił, że pamięć jego osłabiona jest na skutek długiego głodowania, że zdolności uległy stopniowi i w ogóle ograniczone są od samego urodzenia, przeto podjąć się może tylko jakiejś roboty pomocniczej. Mógł pozwolić sobie na taką śmiałość dlatego, że w Incie nie był skierowany do robót ogólnych, tylko miał dobre inżynierskie stanowisko, więc nie bał się powrotu. (Właśnie dlatego mógł pozwolić sobie w szaraszce w rozmowach służbowych z administracją na zastępowanie obcych słów, nawet takich jak „inżynier” czy „metal” - rodzimymi, zmuszając ich do czekania, aż znajdzie odpowiednik. Nie byłoby to możliwe, gdyby zależało mu na awansie albo na lepszej kategorii wikt).

Nie odesłano go jednak z powrotem, chociaż można było, tylko zostawiono na próbę. Z głównego nurtu prac, gdzie panowało napięcie, pośpiech, nerwowość, Sołogdin przepłynął takim sposobem do cichej bocznej odnogi. Nie świadczone mu tam za bardzo, ale też i nie dokuczano, zwierzchność mało go kontrolowała, miał wystarczająco wiele wolnego czasu,

toteż - bez nadzoru, w tajemnicy, wieczorami - zaczął swoim systemem pracować nad konstrukcją aparatu do absolutnej szyfracji.

Sołogdin był zdania, że wielkie koncepcje tworzyć mogą tylko samotne umysły w chwilach natchnienia.

I rzeczywiście, w ciągu ostatniego półrocza znalazł takie rozwiązanie, którego żadnym sposobem nie udawało się zyskać dziesięciu innym inżynierom, specjalnie wyznaczonym, ale bez ustanku popędzanym i skazanym na szarpaninę. (A słuch miał czujny, wiedział, na czym polega problem i dlaczego inni nie potrafili go rozwiązać). Przed dwoma dniami Sołogdin dał swój projekt profesorowi Czeł-nowowi do przejrzania - też nieoficjalnie. Teraz kroczył schodami w górę obok profesora, z szacunkiem podtrzymując go za łokieć w tłumie innych zeków i oczekując wyroku.

Ale Czełnow był zwolennikiem ścisłego rozgraniczania pracy i wypoczynku.

Na tym krótkim odcinku, który przebyli idąc wspólnie korytarzami i schodami, profesor ani słowem się nie zająknął na temat oceny, której tak zachłannie oczekiwał Sołogdin, tylko z uśmiechem opowiadał o porannej swojej przechadzce z Lwem Rubinem. Rubin, kiedy go nie puszczono do rąbania drzewa, zarecytował profesorowi swój wiersz na temat wzięty ze Starego Testamentu. W rysunku rytmicznym wiersza są wszystkiego jakieś dwa załamania, dużo świeżych rymów, na przykład „Ozyrysa - o zarysach” i w ogóle trzeba powiedzieć, że wiersz jest niezły. Co zaś do treści, jest on balladą o tym, jak Mojżesz przez całe czterdzieści lat prowadził Żydów przez pustynię wśród wszelakich wyrzeczeń, o głodzie i pragnieniu, jak lud ten szalał i buntował się, ale nie miał racji, rację bowiem miał Mojżesz, który wiedział, że w końcu dotrą przecież do Ziemi Obiecanej. Rubin ze szczególnym naciskiem podkreślał, że wszak nie minęło jeszcze lat czterdzieści.

A co mu Czełnow odpowiedział?

Czełnow zwrócił uwagę Rubina na geografię marszu Mojżesza: od Nilu do Jerozolimy Żydzi mieli do pokonania nie więcej niż czterysta kilometrów drogi, to znaczy, że nawet biorąc pod uwagę wypoczynek sobotni, mieli możliwość swobodnego przejścia tej trasy w ciągu trzech tygodni! Czy nie należy więc sądzić, że przez ostatnie czterdzieści lat Mojżesz nie wiódł ich, tylko wodził tędy i owędy po Pustyni Arabskiej po to, aby zdążyli wymrzeć wszyscy, którzy pamiętali sytą niewolę egipską i żeby ci, którzy ocaleją, mogli wyżej sobie cenić ów skromny raj, który Mojżesz był w stanie im obiecać?

Od cywilnego dyżurnego, który urzędował w instytucie przed drzwiami Jakono-wa,

profesor Czełnow wziął klucz do swego pokoju. Zaufanie takie okazywane było jeszcze tylko Żelaznej Masce - i więcej nikomu z więźniów. Ani jeden zek nie miał prawa, choćby na sekundę, zostać w swoim pokoju do pracy bez nadzoru sprawowanego przez jakiegoś frajera, czujność bowiem kazała przypuszczać, że tę właśnie sekundę więzień na pewno by wykorzystał na włamanie się - przy pomocy ołówka - do kasy pancерnej z tajnymi dokumentami i sfotografowanie ich za pośrednictwem guzika od spodni.

Ale Czełnow pracował w izbie, gdzie stała tylko szafa i dwa puste stoły. Dlatego zdecydowano się (uzgodniwszy ten krok z ministerstwem) usankcjonować wydanie klucza wprost do rąk profesora Czełnowa. Od tej chwili jego pokój był przedmiotem stałego niepokoju pełnomocnika operacyjnego instytutu, majora Szykina. W godzinach, kiedy aresztanci siedzieli w więzieniu za podwójnymi, okutymi drzwiami, ten doskonale opłacany towarzysz z nienormowanym czasokresem pracy, sam, we własnej osobie zjawiał się w pokoju profesora, opukiwał ściany, skakał po deskach podłogi, zaglądał w zakurzoną szparę za szafą i chmurnie kiwał głową.

Ale klucz - to nie było jeszcze wszystko. Kiedy minęło się pierwsze czworo, pięcioro drzwi w korytarzu trzeciego piętra, dochodziło się do punktu kontrolnego Oddziału Supertajnego. Punkt kontrolny składał się ze stolika ze stołkiem, na którym siedziała sprzątaczką, ale nie zwyczajną sprzątaczką od zamykania podłogi czy gotowania herbaty (tym zajmowały się inne), tylko sprzątaczką obarczona misją specjalnej wagi: jej zadaniem było sprawdzanie przepustek u osób wchodzących do Oddziału Supertajnego. Przepustki, tłoczone w głównej drukarni ministerstwa, były trzech rodzajów: stałe, jednorazowe i tygodniowe, ściśle według wzorów opracowanych przez majora Szykina (on też był autorem pomysłu ulokowania Oddziału Supertajnego w końcu ślepego korytarza).

Praca na punkcie kontrolnym nie była łatwa; przechodzących tędy było niewielu, ale za to szydełkowania kategorycznie zabraniały instrukcje wywieszane tuż obok, a także częste przestrogi osobiście wygłaszane przez majora Szykina. Sprzątaczkę więc (przypadało ich dwie na dobę) w ciągu dyżurów borykały się ze snem do siódmych potów. Samemu pułkownikowi Jakonowowi istnienie tego kontrolnego posterunku też było bardzo nie na rękę, bowiem całymi dniami odrywano go raz po raz do podpisywania przepustek.

Niemniej, punkt kontrolny istniał. Żeby zaś zyskać pokrycie na pensję rzeczonych sprzątaczek - zamiast trzech stróżów, przewidzianych w siatce etatów, trzymano tylko jednego, właśnie Spirydona.

Chociaż Czełnow wiedział doskonale, że siedząca teraz w przejściu kobieta nazywa się Maria Iwanowna (przepuszczała tego siwowłosego starca przez korytarz co rano), ta drgnęła na jego widok i powiedziała:

- Przepustka.

Czełnow pokazał więc kawałek tektury, Sołogdin zaś kawałek papieru.

Minęli punkt kontrolny, jeszcze kilkoro jakichś drzwi, dalej - zabite gwoździami i bielone wapnem szklane wyjście na tylne schody, gdzie znajdowała się niegdyś pracownia pańszczyźnianego malarza, następnie przeszli obok drzwi prywatnej celi Żelaznej Maski, by dojść wreszcie do pracowni Czełnowa.

Była to przytulna izdebka z jednym oknem, przez które widać było dziedzińczyk do więziennych spacerów i stuletni lipowy lasek. Tych drzew los także nie oszczędził i włączył je do żony; były w zasięgu ognia z automatów.

Na lipach zawisł suty szron; przysypał ze szczętem ich wysokie wierzchołki.

Białe niebo mętnie błyszczało w górze.

Na lewo od lip, już za granicą żony, widać było poszarzały ze starości, teraz biały od zamrozu, piętrowy drewniany dom z dachem przypominającym okręt: tutaj mieszkał niegdyś, w pobliżu seminarium, sam archijerej, cerkiewny władcyka i dlatego wiodąca tu ulica zwała się Władykińska. Dalej widoczne były dachy wioski Marfino, jeszcze dalej ciągnęły się pola, a bardzo daleko, tam gdzie biegła kolej, w brudnawej bieli poranku ostro rysował się srebrny łańcuszek pary z lokomotywy, jadącej z Leningradu.

Ale Sołogdin nie bardzo zwracał uwagę na piękne widoki. Mimo zaproszenia nie usiadł, tylko - prężny, czując napięcie w mięśniach swoich młodych nóg - oparł się ramieniem o futrynę okienną i przywarł oczyma do rulonu leżącego na stole Czełnowa.

Profesor poprosił, aby Sołogdin otworzył mu lufcik, po czym usiadł na drewnianym fotelu, z prostym, wysokim oparciem, poprawił pled przerzucony z ramienia na ramię, wy dostał tezy zanotowane na karteluszkach, ujął w palce długi zaostrowany ołówek przypominający lancę, surowo spojrział na Sołogdina i - od razu wydał się niedopuszczalny ów żartobliwy ton, który do tej chwili brzmiał w ich rozmowie.

Było tak, jakby dwoje skrzydeł plasnęło i załopotowało w małej izdebce. Czełnow mówił tylko przez jakieś dwie minuty, ale tak treściwie, że między jedną myślą a drugą nie sposób było złapać tchu.

Z tych słów wynikało, że Czełnow zrobił więcej, niż Sołogdin prosił. Dokonał

przybliżonej kalkulacji realnych szans konstrukcji proponowanej przez Sołogdina z punktu widzenia teorii prawdopodobieństwa i teorii liczb. Projekt konstrukcyjny pozwalał spodziewać się wyników niezbyt odległych od wielkości zadanych, przynajmniej aż do chwili, w której można już będzie przejść do urządzeń czysto elektronicznych. Niezbędne jest jednak:

- znalezienie sposobu na uczynienie aparatury nieczułą na bodźce o niepełnym ładunku energetycznym; - ściślejsze określenie górnej wielkości granicznej sił bezwładu w samym mechanizmie, tak aby móc oznaczyć wystarczające warunki skuteczności działających bodźców.

- Następnie zaś... - Czełnow spojrział na Sołogdina rozjaśnionym okiem - następnie proszę też nie zapominać: szyfrowanie wedle pańskiego projektu odbywać się ma na zasadzie zamierzonego chaosu, ale chaos raz zaprojektowany, chaos usystematyzowany - już jest porządkiem. Dobrze byłoby rozwinąć pański projekt w ten sposób, by chaotyczny porządek podlegał stałym zmianom również chaotycznego charakteru.

Tu profesor zamyślił się, złożył kartkę we dwoje i zamilkł. Sołogdin zaś przymknął oczy, jakby światło mu przeszkadzało, i stał tak nic nie widząc...

Już przy pierwszych słowach profesora poczuł bijącą weń falę gorąca. Teraz zaś ramię i cały bok wparł w okienną witrynę, aby nie wzbić się aż po sam sufit z radości. Bieg jego życia zbliżał się teraz do zenitu.

... Pochodził ze starej rodziny szlacheckiej, która i tak już tajała jak gromnica, zaś w ogniu rewolucji rozprysła się do szczętu: bo jednych rozstrzelano, inni uciekli za granicę, jeszcze inni poukrywali się, próbując bodaj skórę zmienić. W młodości Sołogdin długo się wahał, nie wiedząc jak się zachować wobec rewolucji. Nienawidził w niej pierwiastka buntu zawistnej i rozzuchwalonej czerni, ale w jej bezlitosnej prostolinijności i niewyczerpanej energii wyczuwał coś, co było mu bliskie. Z rozplómiętym po starorusku wzrokiem modlił się w uga-sających moskiewskich kapliczkach. W półwojskowej koszuli, jaką wszyscy nosili, z kołnierzem rozpiętym po proletariacku, zapisał się do komsomolskiej jacejki. Kto mógł mu wtedy doradzić, czy szukać jakiego obrzyna na tę szajkę, czy też robić komsomolską karierę? Był szczerze religijny i zarazem bezdennie próżny. Był pełen ofiarności, ale też chciwy grosza. Jakie młode serce nie pragnie ziemskich dostatków? Uważał za słuszne twierdzenie bezbożnego Demokryta: „Ten jest szczęśliwy, kto posiada i rozum, i majątek”. Rozumu nigdy mu nie brakowało - brak było majątku.

Mając tedy lat osiemnaście (a był to ostatni rok NEP-u!) Sołogdin założył sobie, że przede wszystkim i bezwarunkowo trzeba zdobyć milion, właśnie milion, ściśle i bezwzględnie milion, za wszelką cenę milion. Chodziło nawet nie o bogactwo, nie o środki do dyspozycji. Zdobyć miliona miał to być egzamin na człowieka czynu, dowód, że ten młódzian nie jest czczym fantastą i że ma prawo wytyczać sobie dalsze, realne cele.

Zamierzał dojść do tego miliona dzięki jakiemuś olśniewającemu wynalazkowi, ale nie pogardziłby również inną pomysłową drogą, niekoniecznie zgodną ze sztuką inżynierską, za to wiodącą na skróty. Trudno było jednak znaleźć okoliczność mniej sprzyjającą marzeniom o milionie niż stalinowska pięciolatka. Ze swojego rajzbretu Sołogdin wyciskał tylko kartkę na chleb i nędzną tygodniówkę. I gdyby nawet z dnia na dzień potrafił dostarczyć państwu projekt cudownego, uniwersalnego pojazdu albo dochodowej rekonstrukcji całego przemysłu, też by na tym nie dorobił się ani miliona, ani sławy, lecz tylko nieufności i prześladowań.

Ale o dalszym biegu rzeczy zdecydował fakt, że Sołogdin stał się za duży jak na standardowe rozmiary oczek niewodu i w trakcie jednego z kolejnych połowów znalazł się w sieci, dostał pierwszy wyrok, a w obozie dodano mu następny.

Już dwanaście lat nie wychodził zza drutów. Musiał zarzucić plan zdobycia miliona, zapomnieć o nim. I jakaż to dziwna, kręta droga znów doprowadziła go do progów zaklętej wieży! I oto już przebierał drżącą ręką w pęku kluczy, żeby otworzyć stalowe wrota!

Komu ten Kartezjusz w damskim czepku prawi takie komplementy?...

Czelnow złożył kartkę z tezami we czworo, później w ósemkę.

- Jak pan widzi, sporo jeszcze zostało do roboty - powiedział. - Ale ze wszystkich już zaproponowanych - pańska konstrukcja wydaje się optymalna. Jej pan będzie zawdzięczał wolność. I skreślenie z rejestru skazanych. A jeżeli góra wszystkiego nie zagarnie - to i część nagrody stalinowskiej.

Czelnow uśmiechnął się. Uśmiech jego był ostry i subtelny, jak wszystko w tej twarzy.

Uśmiech ten był adresowany do samego siebie. Jemu, siedzącemu już w rozmaitych szarazkach i w różnych okresach o wiele dłużej, niż miał jeszcze siedzieć Sołogdin, nie zagrażała ani amnestia, ani skreślenie z rejestru skazanych - zresztą nigdy nie był skazany prawnie; pewnego dnia nazwał Przemądrego Ojca nędzną gadziną - i oto osiemnasty już rok siedział bez wyroku, bez terminu, bez żadnej nadziei.

Sołogdin otworzył swoje rozbłysłe, błękitne oczy, wyprostował się młodzieńczo i

powiedział tonem odrobinę teatralnym:

- Włodzimierzu Erastowiczu! Panu zawdzięczam grunt pod nogami i poczucie pewności! Nie mam słów, aby podziękować panu za tyle uwagi. Jestem pańskim dłużnikiem! Ale miał już na wargach niedbały uśmiech.

Oddając rulon Sołogdinowi profesor jeszcze coś sobie przypomniał:

- Muszę panu jednak wyznać coś ze skruchą. Prosił mnie pan, aby Antoni Nikołajewicz nie zobaczył tego projektu. Ale tak się zdarzyło, że wszedł do pokoju pod moją nieobecność, swoim obyczajem rozwinął arkusz - i rzecz jasna, zorientował się od razu, o co chodzi. Musiałem zdradzić mu pańskie incognito...

Z ust Sołogdina ulotnił się nagle uśmiech. Twarz mu sposepniała.

- Czy to takie dla pana istotne? - tonowi zdziwienia towarzyszyła lekka zmiana wyrazu twarzy Czełnowa. - Ale dlaczego? Dzień wcześniej, dzień później...

Sołogdin sam był zaskoczony. Pochylił głowę. Bo czy nie nadszedł właśnie czas, aby dać to z kolei Antoniemu?

- Jak to panu wytłumaczyć, profesorze... Czy nie sądzi pan, że mamy tu wypadek trochę drażliwy moralnie?... Przecież to nie most, nie żuraw, nie obrabiarka. Jest to zadanie nie tyle przemysłowe, ile... dworskie. Robiłem to chwilowo dla... wypróbowania własnych sił. Dla samego siebie.

Dla siebie.

Czełnow dobrze znał tę formę działania. Ogólnie biorąc - była to najdoskonalsza forma pracy badawczej.

- Ale... w danych okolicznościach... czy to nie za duży zbytek dla pana?

Czełnow przyglądał mu się bladymi, spokojnymi oczyma.

- Przepraszam - wyprostował się i poprawił szybko. - Myślałem tylko głośno, to wszystko. Niech pan sobie nie robi żadnych wyrzutów. Jestem panu nieskończenie wdzięczny!

Z szacunkiem potrzymał przez chwilę w ręku słabą, delikatną dłoń Czełnowa i wyszedł z rulonem pod pachą.

Dopiero co wchodził do tego pokoju jako swobodny pretendent.

I oto wychodził teraz stąd - jako obarczony brzemieniem zwycięzca. Już nie był więcej gospodarzem własnego czasu, własnych zamiarów i wysiłków.

Czełnow zaś siedział z przymkniętymi oczyma, nie dotykając plecami oparcia.

Siedział długo, wyprostowany, mizerny, w swojej włóczkowej czapeczce na głowie.

33

Kipiąc tą samą radością, Sołogdin wkroczył do pracowni konstrukcyjnej; otworzył drzwi z przesadnym rozmachem. Ale zamiast spodziewanego tłumu ujrzał w tej wielkiej, huczącej zawsze od rozmów izbie, jedną tylko tęgawą postać kobiecą koło okna.

- Nikogo więcej nie ma, pani Laryso? - zdziwił się Sołogdin, przecinając pokój szybkim swoim krokiem.

Larysa Nikołajewna Jomina, kreślarka, dama po trzydziestce, odwróciła się od okna, przy którym stał jej rajzbret, i uśmiechnęła się przez ramię do zbliżającego się Sołogdina.

- O, Dymitr Aleksandrowicz? A już myślałam, że cały dzień będę się tu nudzić sama.

Sołogdin rzucił błyskawiczne spojrzenie na rozłożystą jej postać w jaskrawozielonym wełnianym kostiumie robionym na drutach, miarowym krokiem przeszedł nie podejmując rozmowy w stronę swojego biurka i od razu, zanim jeszcze usiadł, postawił kreskę na leżącym z boku arkuszu różowego papieru. Następnie, stojąc prawie tyłem do Jominy, umocował przyniesiony wykres na ruchomej, pochylej powierzchni rysownicy.

Pracownia konstrukcyjna - obszerny, jasny pokój na trzecim piętrze z trzema wielkimi oknami na południe - zastawiona była nie tylko zwykłymi biurkami, lecz również dobrym dziesiątkiem takich rajzbretów, ustawionych już to prawie pionowo, już to pochyło, już to całkiem na płask. Rajzbret Sołogdina znajdował się pod bocznym oknem, tym samym, koło którego siedziała Jomina. Rajzbret stał pionowo i był w takiej pozycji, aby zupełnie odgradzać Sołogdina od zwierzchników i od drzwi wejściowych, a równocześnie zapewniać rysunkom jak najwięcej światła dziennego. Nareszcie Sołogdin zapytał oschle:

- Czemuż to nie ma tu nikogo?

- To właśnie od pana czekam odpowiedzi - odparła śpiwnie.

Szybkim ruchem obrócił ku niej samą tylko głowę i powiedział drwiąco:

- Ode mnie może się pani dowiedzieć jedynie, gdzie jest czterech bezprawnych zeków, zeków pracujących w tej izbie. Proszę uprzejmie. Jednego wezwano na widzenie, Hugo Ixonardowicz obchodzi łotewskie Boże Narodzenie, ja - jestem tu, Iwan Iwanowicz zaś wyprosił sobie wolny dzień na cerowanie skarpetek. Ale ja, swoją drogą, chciałbym wiedzieć, gdzie szesnastu panów z wolności, to znaczy - towarzyszy o wiele bardziej odpowiedzialnych niż my?

Obrócony był do Jominy profilem: mogła widzieć dobrze jego pobłażliwy uśmiech,

starannie rozczesane wąsiki i francuską bródkę.

- Jak to? To pan nie wie, że nasz major wczoraj wieczór uzgodnił z Antonim Nikołajewiczem, żeby pracownia konstruktorska miała dzisiaj wolny dzień? A ja mam dyżur, jak na złość...

- Wolny dzień? - nachmurzył się Sołogdin. - A to z jakiego powodu?

- Jak to z jakiego? Z powodu niedzieli.

- Od kiedy to niedziela jest u nas wolnym dniem?

- Ale major powiedział, że nie ma u nas teraz nic pilnego do roboty.

Sołogdin obrócił się ostro w jej stronę.

- U nas nie ma nic pilnego? - krzyknąłomalże z gniewem. - Niczego sobie! U nas nie ma nic pilnego do roboty! - Różowe wargi Sołogdina skrzywiły się niecierpliwie. - Chce pani, to tak zrobię, że już od jutra wasza cała szesnastka a będzie tu przesiadywać dzień i noc i nic, tylko kopiować? Chce pani?!

Słowa „cała szesnastka” krzyknął z uciechą prawie złośliwą.

Nie bacząc na przerażającą perspektywę kopiowania dzień i noc, Jomina zachowała opanowanie, bardzo licujące z jej spokojną, szczodłą urodą. Dziś nie podniosła jeszcze nawet ochronnego arkusza kalki, leżącego na lekko pochyłej powierzchni jej stołu; arkusz przyciśnięty był kluczem, którym Jomina otworzyła drzwi do pokoju. Teraz wygodnie podparła się łokciami (naciągnięty rękaw włóczkowego zakietu bardzo podkreślał pulchność jej ramienia), lekko kiwała się na krześle i przyglądała się Sołogdinowi dużymi, pełnymi życzliwości oczyma:

- A broń nas Boże! Byłby pan zdolny do czegoś tak okropnego?

Sołogdin spojrzał na nią chłodno i zapytał:

- Czemu wzywa pani Boga? Przecież jest pani żoną czekisty?

- To co takiego? - zdziwiła się Jomina. - Na Wielkanoc też pieczemy kołaczki, no i co?

- Ko-ła-cze?!

- A pewno!

Sołogdin popatrzył na siedzącą Jominę z góry na dół. Zieleń jej włóczkowego kostiumu była ostra, zuchwała. I spódnica, i zakiet były obcisłe, uwydatniały jej sute wdzięki. Zakiet rozpięła na piersi, a kołnierzyk białej batystowej bluzki był wyłożony.

Sołogdin postawił kreskę na różowym arkusiku i powiedział wrogim tonem:

- Ale sama pani mówiła, że mąż jest podpułkownikiem MSW!

- To tylko mąż! A my z mamą jesteśmy wszystkiego dwie baby! - uśmiechnęła się rozbijając Jomina. Jej grube, jasne warkocze okręcone były dookoła głowy majestatycznym wieńcem. Uśmiechnęła się i rzeczywiście zrobiła się podobna do wiejskiej dorodnej baby - ale w interpretacji estradowej aktorki.

Sołogdin nic jej nie odpowiedział i usiadł bokiem przy swoim rajzbracie tak, żeby nie widzieć Jominy. Lekko mrużąc oczy zaczął przyglądać się przyszpilone-mu rysunkowi.

Cały był jeszcze pod wrażeniem pochwał profesora Czełnowa. Czuł radosne uniesienie i nie chciało mu się rozpraszać tego nastroju.

Toć w którymś momencie trzeba rozpocząć prawdziwe, Wielkie Życie.

To jest ten moment.

Jesteśmy w zenicie.

A jednak tli się jeszcze jakaś wątpliwość...

Oto ona. Odporność przyszłego swego dziecięcia na bodźce o niepełnym ładunku i oznaczenie wystarczających warunków skuteczności, Sołogdin uważał intuicyjnie za rzeczy już zapewnione, chociaż trzeba będzie, rzecz jasna, wszędzie dodać w rachunku po dwa znaki dziesiętne. Ale ostatnia uwaga Czełnowa o chaosie uporządkowanym - nie dawała mu spokoju. Nie wskazywało to na błąd w pracy, tylko na jej odległość od ideału. Prócz tego czuł niejasno, że jest gdzieś w jego pracy jakiś nie zauważony przez Czełnowa, nie wykryty jeszcze przez niego samego, ale wymagający znacznego wysiłku obszar ostatnich szlifów. Dobrze byłoby teraz, w tej spadłej z nieba ciszy niedzielnej, wykrzyć, gdzie też on leży - i przystąpić do ostatniego szlifowania. Tylko wtedy można będzie pokazać projekt Antoniemu i rozpocząć drażnienie betonowej ściany.

Dlatego teraz skoncentrował się na tym, aby oderwać się od wszelkich myśli o sąsiadce i powrócić do kręgu zakreślonego przez profesora Czełnowa. Jomina już przez pół roku siedziała obok niego, ale nigdy nie zdarzyło im się porozmawiać trochę dłużej. Znaleźć się zaś sam na sam jeszcze dotąd nie mieli okazji. Sołogdin czasami z nią żartował, kiedy sam sobie wyznaczał pięć minut odpoczynku. Służbowo była tylko przydzieloną mu kreślarką, towarzysko zaś - damą należącą do najwyższych kręgów. Uczucie wrogości powinno było być jedyną i właściwą ich więzią.

Sołogdin wpatrywał się w rysunek, Jomina zaś - wciąż kiwając się leciutko na krześle - w niego. I nagle usłyszał pytanie:

- Panie Dymitrze! A kto panu ceruje skarpetki?

Uniósł brwi.

- Skarpetki? (ciągle wpatrywał się w rysunek) Iwan Iwanowicz nosi skarpetki dlatego, że jest jeszcze nowicjuszem, nie siedzi nawet trzech lat. Skarpetki - to czkawka tak zwanego... (zakrztusił się, ponieważ musiał użyć ptasiego słowa)... kapitalizmu. Ja po prostu nie noszę skarpetek. - I postawił kreskę na białym arkuszu.

- No to... Co pan nosi?

- Pani Laryso, przekracza pani granice określone przez skromność - Sołogdin nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. - Noszę kwiat naszej rosyjskiej mody - onuce!

Powiedział to ze smakiem.

- Ale to przecież... coś dla żołnierzy?

- Prócz żołnierzy są jeszcze dwa inne rodzaje zwolenników onuc: więźniowie i kołchoźnicy.

- Ale przecież trzeba je też... prać, cerować...

- Jakże się pani myli! Kto by dzisiaj prał onuce? Po prostu nosi się je rok bez żadnego prania, a potem wyrzuca, kiedy zwierzchność raczy przydzielić nowe.

- Nie może być?! Poważnie? - Jomina patrzyła prawie z lękiem.

Sołogdin wybuchnął młodzieńczym, beztroskim śmiechem.

- W każdym razie istnieje taki pogląd. Zresztą za jakież to ciałki miałbym kupować te skarpety? Pani, powiedzmy, jako kreślarką MBP - ile też pani dostaje miesięcznie?

- Półtora tysiąca.

- Taak! - zawołał Sołogdin z triumfem. - Półtora tysiąca! Ja zaś, przyrządotwórca (w Języku Krańcowej Jasności znaczyło to inżynier) - trzydzieści rubelków miesięcznie. Akurat starczy, żeby się szastać na skarpetki!

Oczy Sołogdina błyszczały wesoło. Wcale nie Jomina była tego przyczyną, ale rozkwitła pod tym spojrzeniem.

Mąż Larysy Nikołajewny był, mówiąc po prostu - safandulą. Rodzina dawno już była dla niego czymś w rodzaju miękkiej poduszki, on zaś dla żony - częścią umeblowania. Kiedy przychodził z pracy, to naprzód długo delectował się obiadem, a potem kładł się spać. Ledwo przetarł oczy, zabierał się do czytania gazet i kręcenia gałką radioodbiornika (swoje radia wciąż zmieniał na coraz nowsze modele). Jedynie mecze piłki nożnej (zgodnie ze swoją przynależnością służbową był wiernym kibicem klubu „Dynamo”) budziły w nim żywsze odruchy, a nawet namiętności. We wszystkim jednak tak był bezbarwny, tak

jednostajny. Zresztą inni znani jej mężczyźni też potrafili tylko opowiadać o swoich sukcesach służbowych, grać w karty, chlać aż do czerwonych pysków, po pijanemu zaś - zaraz brać się do macania.

Sołogdin znów odwrócił się w stronę rajzbretu. Larysa Nikołajewna wciąż nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy, raz po raz zerknęła na jego wąsy, na bródkę, na soczyste wargi. Miała ochotę poczochnąć się o tę brodę, pokłuć się o nią.

- Panie Dymitrze! - znów przerwała milczenie. - Czy bardzo panu przeszkadzam?

- Odrobinę, żeby rzec prawdę... - odparł Sołogdin. Ostatnie szlify wymagały zupełnego wyłączenia się i skupienia. Tymczasem sąsiadka mu przeszkadzała. Sołogdin oderwał się więc od projektu, odwrócił się do biurka (a tym samym od Jominy) i jął wertować jakieś nie najważniejsze papiery.

Słysząc było drobne tykanie jej ręcznego zegarka.

Korytarzem przeszła grupa kilku rozmawiających półgłosem ludzi. Zza drzwi sąsiedniej Siódemki doszedł ich sepleniący trochę głos Mamurina: „No, oddacie prędzej ten transformator czy nie?”. I gniewny krzyk Markuszewa: „A po co im było dawać, panie Jakubie!”

Larysa Nikołajewna położyła obie ręce na biurku, skrzyżowała je, oparła się o nie podbródkiem i tak z dołu w górę patrzyła czule na Sołogdina.

Sołogdin czytał.

- Dzień w dzień! Od rana do nocy! - mówiła nabożnym szeptem. - Żeby tak wysilać umysł w więzieniu!... Pan jest człowiekiem niezwykłym, panie Dymitrze!

Sołogdin zaraz podniósł głowę.

- No to co, że więzienie, pani Laryso? Kiedy mnie wsadzili, miałem dwadzieścia pięć lat. Będę miał czterdzieści dwa lata, kiedy wyjdę, jeżeli to tylko prawda. Ale wcale w to nie wierzę. Na pewno dodadzą mi jeszcze. Zmarnuję w łagrach najlepsze lata mojego życia, stracę najlepsze siły. Nie wolno poddawać się naciskowi warunków zewnętrznych, to poniżające.

- Pan wszystko sobie układa w system!

- Przez siedem lat w obozie jadłem tylko wodziankę, cały mój wysiłek umysłowy obywat się bez cukru i bez fosforu. Gdyby móc to wszystko pani opowiedzieć...

Ale czy to pojmie ktoś, kto tego nie przeżył?

Było obozowe więzienie śledcze wykute w zboczu skalnym. Był kum-oper w obozie,

starszy lejtnant Kamyszan, który przez jedenaście miesięcy typował go sobie na drugi w y m i a r, na nową dychę. Kamyszan lubił bijać ludzi pałką po wargach, tak żeby pluli krwią i zębami. Jeżeli przyjeżdżał do obozu konno (dobrze trzymał się w siodle), bił tego dnia grubszym końcem pejcza.

A wojna trwała. Nawet na wolności wszystko było na kartki. A w obozach? Nie - jak to było w łagrze Gornaja Zakrytka?

Sołogdin niczego nie podpisywał, nauczył się tego po pierwszym śledztwie. Ale dostał jeszcze więcej niż za pierwszym razem - dziesięć lat. Wprost z sądu odniesiono go do szpitala. Był konający. Ani chleba, ani kaszy, ani wodzianki nie przyjmował już jego organizm, skazany na nieuchronny rozpad.

Był taki dzień, kiedy go już zrzucano na nosze i zaniecono do kostnicy, żeby tam rozwalić mu głowę wielkim drewnianym młotem i później wrzucić do wspólnego dołu. Ale jeszcze się poruszył...

- Niech pan opowie!...

- Nie, pani Laryso! To są rzeczy zupełnie nie do opisania - swobodnie i wesoło odparł jej Sołogdin.

I z takiej głębi! - Z takiej głębi! - O, potęgo życia! - przez lata niewoli, przez lata harówki! - dokąd też wzbił się on teraz!

- No, niech pan opowie! - błagała korpulentna dama, wciąż patrząc na niego z dołu w górę i splatając dłonie.

Chyba tylko to jedno mogłaby zrozumieć: kobieta też była wplątana w jego historię. Decyzję Kamyszana przyśpieszyła zazdrość; chodziło o pielęgniarkę, zeczkę. Kamyszan był o nią zazdrosny i to nie bez przyczyny. Pielęgniarkę tę Sołogdin aż do dzisiaj wspominał z uczuciem dotykanej, przeszywającej całe ciało wdzięczności, i to tak, że prawie nie żałował tego nowego wyroku, który przez nią dostał. Ta kreślarka przypominała mu czymś ową pielęgniarkę: obie były kobietami rozkwitłymi; szczupłe i drobne kobiety uważał Sołogdin za potworki, pomyłki natury.

Wskazującym palcem, doskonale wymyтым, z wypukłym, lakierowanym na malinowo paznokietkiem, Jomina bez potrzeby i skutku starała się rozprostować zmięty rożek papieru kreślarskiego na powierzchni stołu. Opuściła głowę całym prawie ciężarem na skrzyżowane ramiona, tak że mógł widzieć wysoki wieniec jej grubych warkoczy, i powiedziała z namysłem:

- Zgrzeszyłam ciężko wobec pana, panie Dymitrze...

- W jaki sposób?

- Pewnego razu stojąc przy pańskim biurku opuściłam przypadkiem wzrok i zauważyłam, że pisze pan list... Zupełnie przypadkiem, wie pan przecież, jak to bywa... Następnym razem też...

- Też zupełnym przypadkiem wpadło coś pani w oczy?..

- Tak, i zobaczyłam, że pan znowu pisze list - i jakby wciąż ten sam...

- ... Ach, więc zdążyła pani stwierdzić, że ten sam? A potem jeszcze raz? Co?

- ... Owszem...

- Taak... Jeżeli, pani Laryso, to będzie się powtarzać, to zmuszony będę wyrzec się pani pomocy przy kreśleniu. A szkoda byłaby, bo kreśli pani nieźle.

- Ale to przecież było tak dawno! Już pan potem więcej nie pisał.

- Niemniej, doniosła pani o tym natychmiast majorowi Szykinidi?

- Dlaczego Szykinidi?

- Dobrze, Szykinowi. Ale doniosła pani?

- Jak pan mógł tak pomyśleć?

- A tu nie ma nic do myślenia. Czyż to nie major Szykinidi rozkazał pani szpiegować wszystkie moje czynności, słowa i nawet myśli? - Sołogdin wziął ołówek i dorysował kreseczkę na białym arkuszu. - Przecież zlecił to pani? Proszę powiedzieć uczciwie!

- Owszem... Zlecił...

- I wiele też pani napisała donosów?

- Panie Dymitrze! Czy ja byłabym zdolna? I właśnie w stosunku do pana? Wręcz przeciwnie, dawałam tylko najlepsze charakterystyki!

- Mhmm... No, uwierzmy w to tymczasem. Ale moje ostrzeżenie pozostaje w mocy. Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z przypadkiem czysto kobiecej ciekawości bez cech występku. Zaspokoję pani ciekawość. Zdarzyło się to we wrześniu. Nie trzy, tylko pięć dni pod rząd pisałem list do mojej żony.

- O, właśnie o to chciałam zapytać! Pan ma żonę? Ona na pana czeka? To do niej pan takie długie listy pisze?

- Mam żonę - powoli i poważnie odparł Sołogdin - ale jest tak, jakbym jej nie miał. Nawet listów nie mogę jej teraz pisać. Kiedy zaś pisywałem - to wcale nie pisałem listów długich, tylko szlifowałem je tak wolno. Pani Laryso, sztuka pisania listów jest sztuką

trudną. Piszemy listy często zbyt niedbale, a później dziwimy się, że tracimy bliskich sobie ludzi. Przez wiele już lat żona mnie nie widziała i dawno nie czuła już dotknięcia mojej ręki, listy to jedyna więź, z której pomocą trzymam ją przy sobie już dwanaście lat.

Jomina ostrym ruchem przesunęła łokcie w przód, aż do krawędzi jego biurka, i podparła obiema dłońmi swoją twarz pokrytą już teraz rumieńcem.

- I pewien pan jest, że ją pan trzyma przy sobie? A po co, panie Dymitrze, po co? Dwanaście lat minęło, zostało jeszcze pięć, to razem siedemnaście! Kradnie jej pan młodość! Po co? Niech jej pan pozwoli żyć!

W głosie Sołogdina zabrzmiał ton uroczysty:

- Istnieje pewien szczególny rodzaj kobiet, pani Laryso. Są to owe towarzyszkę życia Wikingów, owe jasności Izoldy o duszach jak z diamentu. Otacza panią występny dostatek i nie może pani znać takich kobiet...

Życie tej kobiety upływało wśród obcych, wśród wrogów.

- Niech pan pozwoli jej żyć - powtórzyła Larysa Nikołajewna.

Trudno było uwierzyć, że to ta sama dama z towarzystwa, która przepływała niekiedy po korytarzach i schodach więzienia. Siedziała cała przegięta w stronę Sołogdina i słucać było, jak dyszy. Jej rozpalona twarz coraz bardziej upodabiała ją do chłopki.

Sołogdin zerknął na nią spod oka i dodał jeszcze kreskę na różowym arkuszu.

- Panie Dymitrze! Jeszcze jedno. Już męczę się od tyłu tygodni, co to za kreseczki pan wciąż rysuje? A po paru dniach znów je pan wykreśla. Co to znaczy?

- Obawiam się, że znów przejawia pani skłonności tajniackie. - Wziął do ręki biały arkusz. - A więc proszę: te kreski robię za każdym razem, kiedy użyję bez koniecznej potrzeby jakiegoś obcego słowa. Ilość tych kreseczek jest miarą mojej niedoskonałości. Tak więc za słowo „kapitalizm”, którego nie zastąpiłem od razu słowem kiesorząd i za słowo „szpiegostwo”, którego nie chciało mi się od razu zastąpić słowem tajniaczyć - postawiłem sobie dwie krechy.

- A te na różowym arkuszu? - pytała dalej.

- Więc to też pani zauważyła?

- Tam nawet częściej niż na białym. To też jakaś miara pańskiej niedoskonałości?

- Też - rzucił Sołogdin. - Na różowym wystawiam sobie karne kreski i później wymierzam sobie za nie pokutę zależną od ich liczby. Przy piłowaniu drzewa.

- Karne - ale za co? - spytała cicho.

Tak właśnie powinno być! Skoro znalazł się w zenicie - to kapryśny i skruszony los posyła mu również kobietę. Już taki jest ten los: albo wszystko zabiera, albo daje wszystko.

- Po co to pani?

- Za co? - jeszcze ciszej spytała Larysa.

Oto była zemsta na nich wszystkich, na całym klanie bezpieki. Zemsta i podbój, tortura i podbój - coś je przecież łączy.

- Zauważyła pani, k i e d y je stawiam?

W pokoju było zupełnie cicho i Larysa powiedziała jakby samym oddechem:

- Zauważyłam.

Klucz do drzwi, z numerem pokoju wybitym na blaszanej przywieszce, leżał na arkuszu jej kalki. Duża, ciepła i krągła bryła, opięta zieloną wełenką, poruszała się w miarę oddechu przed oczyma Sołogdina.

Czekała na rozkaz.

Sołogdin zmarszczył brwi i zawołał:

- Zamknij drzwi! Ale już!

Larysa oderwała się od biurka, jej krzesło upadło z łoskotem.

Coś ty narobił, rabie zbuntowany! Ona teraz pójdzie na skargę?!

Chwyliła klucz, kołyszącym krokiem podeszła do drzwi i zamknęła je.

Sołogdin pośpiesznie nakreślił na różowym arkuszu od razu pięć krech.

Nie zdążył więcej.

34

Nikt nie miał chęci do pracy w niedzielę - wolni pracownicy również. Wlekli się do roboty niemrawo, chociaż tego dnia nie trzeba się było gnieść w autobusach, i jedno tylko mieli w głowie - jak tu wytrzymać do szóstej wieczór. Ale ta niedziela okazała się grubo niespokojniejsza niż byle dzień powszedni. Około dziesiątej rano pod bramę główną zajechały trzy bardzo drugie limuzyny o kształtach bardzo opływowych. Wartownicy zasalutowali służbiście. Minawszy wrota, a zaraz za nimi gapiącego się przymrużonym okiem rudego stróża Spirydo-na z miotłą, limuzyny potoczyły się zwirowaną, wolną od śniegu drogą w stronę paradnych drzwi instytutu. Ze wszystkich trzech samochodów zaczęły się sypać dygnitarze błyszcząc złotem pagonów i nie tracąc ani chwili, nie czekając na powitania, od razu ruszyli wprost na trzecie piętro, do gabinetu Jakonowa. Nikt nie zdążył przyjrzeć im się jak należy. Przez część pracowni poszły słuchy, że przyjechał sam minister

Abakumow, a z nim ośmiu generałów. Inne pracownie zażywały dalej spokoju, nie mając pojęcia o nadciągającej burzy.

Prawda była pośrodku - przyjechał jedynie wiceminister Seliwanowski, a z nim czterech generałów.

Ale stała się rzecz niebywała - inżyniera-pułkownika Jakonowa wciąż jeszcze nie było. Zanim nastraszony dyżurny (udało mu się zrećcznie zasunąć szufladę biurka, w której trzymał otwarty kryminał) zdołał dodzwonić się do mieszkania Jakonowa, zanim zameldował wiceministrowi, że pułkownik Jakonow leży w domu, ponieważ miał atak serca, ale już ubiera się i zaraz tu będzie - zastępca Jakonowa, major Rojtman, szczuplutki, cienki w pasie, zdążył wyskoczyć z pracowni akustycznej i poleciał zameldować się zwierzchnikom, poprawiając w biegu przekrzywiony pasek koalicyjny i raz po raz potykając się na kokosowych chodnikach, bo był bardzo krótkowzroczny. Spieszył się nie tylko dlatego, że takie były wymagania regulaminu, lecz także po to, aby zdążyć wreszcie wziąć w obronę interesy wewnętrznej opozycji, której był głową; Jakonow zawsze potrafił odsunąć go od pertraktacji z wyższymi władzami. Znając już szczegóły nocnej rozmowy, jaką miał Priancykow, major postanowił poprawić sytuację i przekonać prześwietną komisję, że stan wokodera nie jest tak beznadziejny jak - powiedzmy - klippera. Mimo swoich trzydziestu lat, Rojtman był już laureatem nagrody stalinowskiej i bez zbytnich obaw wpychał swoje laboratorium w samo oko cyklonu kłopotów, związanych z nadmiarem uwagi ze strony najwyższej władzy.

Jego wywodom zaczęło przysłuchiwać się jakichś dziesięciu nowo przybyłych, z której to liczby dwóch wyznawało się trochę na technicznej stronie sprawy, pozostali zaś tylko nadrabiali miną. Jednakże, wezwany przez Oskołupowa, żółty, jękający się z wściekłości Mamurin zdążył przybiec niedługo po Rojtmanie i zaczął bronić klippera, już p r a w i e gotowego do produkcji. Wkrótce przybył też Jakonow - z podkutymi, zapadłymi w głąb oczyma, z twarzą tak bladą, że aż niebieskawą - i opadł na krzesło pod ścianą. Rozmowa zaplątała się w szczegółach i wkrótce nikt już nie mógł zrozumieć, jaka istnieje możliwość uratowania zaprzepaszczonego przedsięwzięcia.

A nieszczęście chciało jeszcze, że serce i sumienie instytutu - pełnomocnik operacyjny, towarzysz Szykin, i sekretarz organizacji partyjnej, towarzysz Stiepa-now, tej właśnie niedzieli pozwolili sobie na zupełnie naturalną chwilę słabości - nie przyjechali mianowicie do pracy i nie mogli z uwagi na to znaleźć się na czele kolektywu, którego

działalnością kierowali w dni powszednie (krok tym bardziej wybaczalny, że, jak wiadomo, przy odpowiednim poziomie roboty uświadamiającej i organizacyjno-masowej - obecność samych kierowników w czasie pracy wcale nie jest konieczna). Strach i poczucie nagle zmaterializowanej odpowiedzialności ogarnęły dyżurnego oficera. Stawiając wszystko na jedną kartę, zostawił telefony na łasce losu i odbył bieg po laboratoriach, szeptem zawiadamiając ich kierowników o przyjeździe nadzwyczajnych gości - po to, aby mogli odpowiednio zwiększyć czujność. Ale ponieważ był bardzo zdenerwowany i chciał jak najprędzej wrócić do swoich telefonów, nie przypisał szczególnego znaczenia temu, że drzwi pracowni konstruktorskiej były zamknięte; nie zdążył też dotrzeć do laboratorium próżniowego, gdzie dyżurowała Klara Makarygina, a poza nią żaden z wolnych pracowników dziś nie przyszedł.

Kierownicy pracowni też niczego nie obwieścili na głos - niesporo bowiem było prosić ludzi głośno, żeby nadali sobie wygląd bardziej dziarski i zapracowany ze względu na przyjazd przedstawicieli władz - tylko obeszlą po kolei wszystkie stoły i wstydliwym szeptem dali znać każdemu z osobna.

Tak oto cały instytut przycupnął w oczekiwaniu nadzwyczajnej wizyty kierownictwa. Kierownictwo zaś, pogadawszy między sobą, częściowo zostało w gabinecie Jakonowa, częściowo udało się do Siódemki i tylko sam Seliwanowski z majorem Rojtmanem zeszli po schodach do Akustycznej: aby mieć jeszcze ten nowy kłopot z głowy, Jakonow wskazał Akustyczną jako najlepszą bazę do wykonania polecenia Riumina.

- No i w jaki sposób zamierzacie wykryć tego faceta? - zapytał po drodze Seliwanowski Rojtmana.

Rojtman niczego nie zamierzał, jako że sam dowiedział się o zleceniu przed pięcioma minutami; zamierzył to za niego minionej nocy Oskołupow, kiedy podjął się wykonania bez chwili namysłu. Ale w ciągu tych pięciu minut Rojtman już coś niecoś zdołał wykombinować.

- Widzicie - powiedział, zwracając się do wiceministra bez tytułowania i bez żadnej uniżoności - mamy tu przecież specjalny przyrząd, fonowizor, odbijający od razu wykresy, tak zwane fonogramy - i mamy człowieka, który te fonogramy potrafi odczytywać, niejakiego Rubina.

- To więzień?

- Tak. Docent filologii. Ostatnio zajmuje się u mnie identyfikacją - na tych właśnie

fonogramach - indywidualnych cech głosu poszczególnych ludzi. Mam więc nadzieję, że kiedy przeniesiemy tę rozmowę telefoniczną na papier fonogramu i kiedy porównamy go z kolei z fonogramami podejrzanych...

- Hmm... Trzeba będzie jeszcze kandydaturę tego filologa uzgodnić z Abakumowem - pokiwał głową Seliwanowski.

- Z punktu widzenia tajności?

- Właśnie.

Tymczasem w Akustycznej wszyscy już wiedzieli o przyjeździe władz, ale w żaden sposób nie mogli przewyciężyć w sobie męczącego bezwładu niezdecydowania, dlatego też markowali robotę, leniwie grzebali w skrzynkach z lampami radiowymi, oglądali schematy w czasopiśmie, gapili się przez okno. Dziewczęta-frajerki zebrały się razem w kątku i plotkowały szeptem, pomocnik Rojtmana wciąż je rozpędzał. Simoczki, na jej szczęście, nie było dziś przy pracy - miała kiedyś dodatkowy dyżur, więc dziś była wolna, i dzięki temu oszczędzone jej zostały męki oglądania Nierżyna w przyzwoitym ubraniu, promieniejącego na myśl o bliskim spotkaniu z kobietą, która miała większe do niego prawo niż Simoczka.

Nierżyn czuł się jak solenizant, do Akustycznej wpadał już po raz trzeci, nic tam nie mając do roboty - tylko dlatego, że był cały w nerwach, bo czekał na karetkę więzienną, a ta się spóźniała. Usiadł nie na swoim krześle, tylko na parapecie okiennym, z rozkoszą zaciągał się dymem „Bielomora” i słuchał, co Rubin mówi. Rubin zaś, nie znalazłszy u profesora Czelnowa spodziewanego uznania dla swojej ballady o Mojżeszu, recytował ją teraz Glebowi po cichu, ale z całym zapalem. Rubin nie był poetą, ale często improwizował wiersze pełne prawdziwego uczucia i rozumu. Niedawno Gleb bardzo go pochwalił za rozległość poglądów przejawioną w poemacie o Aloszy Karamazowie; w utworze tym bohater Dostojewskiego bronił Perekopu w mundurze białogwardzisty i jednocześnie szturmował Perekop w szynelu krasnoarmiejca. Rubin miał teraz wielką chęć, aby Gleb przeczytał i ocenił balladę o Mojżeszu i żeby sam doszedł do wniosku, że warto czekać i nie tracić wiary przez czterdzieści lat, że to słuszne i konieczne.

Rubin nie mógł istnieć bez przyjaciół, dusił się bez nich. Samotności tak bardzo nie znosił, że nie dawał nawet własnym myślom dojrzeć spokojnie, tylko - mając w głowie choćby jakąś cząstkę, zaczątek jakiejś myśli - już chciał się nią z kimś podzielić. Przez całe życie mógł poszczycić się mnóstwem przyjaciół, ale w więzieniu jakoś tak się składało, że przyjaciele nie zgadzali się z nim w poglądach, zaś ci, co się zgadzali - nie byli jego

przyjaciółmi.

Tak więc, nikt jeszcze w Akustycznej nie zabrał się do roboty i tylko Prian-czykow, jak zawsze rzeński i czynny, nie rozpraszaając się już więcej na wspomnienia o nocnej Moskwie i o szalonej jeździe, obmyślał nowe ulepszenie schematu, nucąc:

Benzy-benzy-benzy-bar, Benzy-benzy-benzy-bar...

Właśnie wtedy wkroczył Seliwanowski z Rojtmanem. Rojtman kontynuował:

- Fonogramy dają jakby trójwymiarowy obraz ludzkiej mowy; częstotliwość impulsów odczytuje się wszerz, trwanie - oblicza się wzdłuż taśmy, o amplitudzie drgań daje pojęcie gęstość utrwalonych linii. Przy tym każdy dźwięk ma swój odpowiednik graficzny tak niepowtarzalny, oryginalny, że łatwo go zidentyfikować, i w ten sposób można z wykresu odczytać wszystko, co człowiek powiedział. Proszę...

Poprowadził Seliwanowskiego w głąb laboratorium.

- ... to jest fonowizor, skonstruowano go w naszej pracowni (Rojtman sam już zapomniał, ile tu było zapożyczeń), a to... - delikatnie obrócił wiceministra w stronę okna - ... jest doktor nauk filologicznych Rubin, jedyny w Związku Radzieckim człowiek, który potrafi odczytywać słowa zapisane w formie wykresu. (Rubin wstał z miejsca i uklonił się milcząco).

Ale już w chwili kiedy Rojtman na progu pracowni wypowiedział słowo fonogram, Rubin i Nierżyn drgnęli; ich praca, z której wszyscy dotychczas prawie zawsze się śmieli, wypłynęła oto na światło dzienne. W ciągu tych czterdziestu pięciu sekund, których trzeba było Rojtmanowi, aby zaprowadzić Seliwanpwskiego do biurka Rubina, Rubin i Nierżyn z błyskawiczną spostrzegawczością i zdolnością do szybkich decyzji, właściwą jedynie zekom, już się zorientowali, że za chwilę odbędzie się pokaz umiejętności Rubina, że trzeba będzie odczytać fonogram - i że wyrecytować przed mikrofonem zdanie, które się później podda badaniom, może tylko jeden ze stałych „standardowych” lektorów - jedynym zaś obecnym w tej chwili był Nierżyn. Z tą samą jasnością zdali sobie obaj sprawę, że chociaż Rubin rzeczywiście odcyfrowuje fonogramy, ale na egzaminie można o byle co się potknąć, a tu nie może być mowy o potknięciu - bo to by oznaczało strącenie z szaraszki na samo dno obozowych piekieł.

Ale o tym wszystkim nikt z tych dwóch nie powiedział ani słowa. Spojrzeli tylko na siebie porozumiewawczo.

Rubin szepnął:

- Jeżeli - ty i tekst twój, to mów: „Fonogramy pozwalają głuchym rozmawiać przez telefon”.

A Nierzyn szepnął:

- Jeżeli tekst jego - zgaduj według dźwięków. Jak dotknę włosów - dobrze, jak poprawię krawat - źle.

Właśnie w tym momencie Rubin wstał i uklonił się w milczeniu.

Rojtman kontynuował tym sumiutującym się, zająkliwym tonem, który mógł być przypisany tylko inteligentowi, nawet gdyby go się słuchało wcale nie widząc rozmówcy:

- Więc teraz Lew Grigoriewicz zademonstruje wam swoje umiejętności. Któryś z naszych lektorów... no, powiedzmy, Gleb Wikientiewicz... wyrecytuje w budce akustycznej do mikrofonu jakieś zdanie, fonowizor je zanotuje, a Lew Grigoriewicz spróbuje potem odcyfrować.

Stojąc o krok od wiceministra Nierzyn spojrzał mu prosto w oczy na zuchwały, lagrowy sposób:

- Tekst wy nam podacie? - spytał ostrym tonem.

- Nie, nie - odwracając wzrok odparł grzecznie Seliwanowski - już tam coś sami wymyślicie.

Nierzyn zgodliwie wziął arkusz papieru, zamyślił się na chwilę, następnie napisał coś, jak w natchnieniu, i w panującej dookoła, pełnej napięcia ciszy podał arkusz Seliwanowskiemu, tak że nikt nie mógł doń zajrzeć, nie wyłączając Rojtmana:

„Fonogramy pozwalają głuchym rozmawiać przez telefon”.

- I tak jest naprawdę? - zdziwił się Seliwanowski.

i

- Owszem.

- Więc proszę to nagrać.

Fonowizor zaszumiał. Nierzyn wszedł do budki (ach, jak okropnie wyglądała teraz workowa tkanina, którą budka była obciążona!... Ach te wieczne braki materiałowe!). I zamknął się tam szczelnie. Mechanizm zazgrzytał i dwumetrowa, mokra taśma, pokryta mnóstwem pasemek tuszu i czarnych plam, została przeniesiona na biurko Rubina.

Całe laboratorium przerwało pracę i wpatrywało się z napięciem. Rojtman wyraźnie się denerwował. Nierzyn wyszedł z budki i obojętnie przyglądał się z dala Rubinowi. Wszyscy dookoła stali, tylko Rubin siedział, pobłyskując swoją prześwitującą już łysiną. Nie

chcąc wystawiać na próbę cierpliwości obserwatorów, nie robił żadnego sekretu ze swoich kapłańskich obrzędów i zaraz na miejscu podzielił mokrą taśmę na sektory chemicznym ołówkiem, jak zwykle, źle zatemperowanym.

- Proszę spojrzeć, pewne dźwięki pozwalają się odczytywać bez żadnego trudu, na przykład niektóre samogłoski, zwłaszcza akcentowane. W pierwszym słowie doskonale widać dwa razy „o”. W słowie tym akcent przypada na samogłoskę „a”, przed nią mamy ostre „r”. W pierwszych dwóch sylabach znaleźliśmy już „o”, ale warto pamiętać, że w języku rosyjskim „o” nieakcentowane brzmi prawie jak „a”, i możliwe, że zachodzi tu ten drugi wypadek. Za to „y” nie zmienia swojej wartości dźwiękowej, nawet kiedy nie jest akcentowane, i na pewno tą samogłoską pierwsze słowo się kończy. Trzeci dźwięk pierwszego słowa to na pewno „n”. Pierwszy zaś jest głuchy, wargowy, będzie to „f” albo „w”. Pierwsza część brzmi „fono” albo „wono”, przed odnalezionym już „r” mamy gardłowe „g”. Przedostatni jest niewyraźny, mogę przypuścić, że to „b”, ale sens podpowiada mi, że chodzi o „m”, zresztą wskazuje na to rezonansowy charakter drgań. A więc pierwsze słowo to - „fonogramy”. Idźmy dalej. W drugim słowie widzimy standardowe, czasownikowe zakończenie „ają”, przed tym mamy typową zbitkę dźwiękową „zw”, takie samo „o”, jakie mieliśmy dwukrotnie w pierwszym słowie, i dwa podobne, ale odmienne nieco od „o” dźwięki samogłoskowe „a” przedzielone typowym, czystym „l” - razem „zwalają”, „ozwalają”, w sumie więc najpewniej... pani Antonino, czy to nie pani wzięła moją lupę? Można prosić na chwilę?

Lupa była mu zupełnie niepotrzebna, tym bardziej, że fonowizor dawał wykresy zamaszyste, ale trzeba to było zrobić - według łagrowej zasady - dla p i c u, i Nierżyn zarykiwał się wewnętrznie, gładząc w roztargnieniu swoje i tak już gładko przyczesane włosy. Rubin rzucił na niego przelotne spojrzenie i wziął podaną sobie lupę. Ogólne napięcie wzrastało, tym bardziej że nikt nie wiedział, czy Rubin rzeczywiście dobrze odgaduje tekst. Seliwanowski szeptał zafrapowany:

- To zadziwiające... to zadziwiające.

Nikt nie zauważył wchodzącego na palcach do pokoju starszego lejtnanta Szustermana. Nie miał prawa tu wchodzić, dlatego zatrzymał się zaraz za progiem. Dał znak Nierżynowi, że powinien iść jak najprędzej, ale nie wyszedł w ślad za nim, tylko czekał dalej, żeby wywołać Rubina. Rubin był mu potrzebny: chciał go zmusić do ponownego zaścielenia łóżka, miał to zrobić jak się należy. Szusterman nie pierwszy już raz dręczył

Rubina tym słaniem.

Tymczasem Rubin już odcyfrował słowo „głuchym” i analizował czwarty wyraz. Rojzman promieniał - nie tylko dlatego, że był to także jego tryumf: Szczerze cieszył go każdy sukces w pracy.

W tym momencie Rubin, zerknąwszy przypadkiem w stronę drzwi, napotkał nie rokujące niczego dobrego, spode łba rzucone spojrzenie Szustermana. I domyślił się, po co ten tu przybył. Błysnął mu w odpowiedzi okiem pełnym złośliwej uciechy: „Sam dziś pościelesz!”

- Ostatni człon - „przez telefon”, jest to kombinacja tak często u nas spotykana, że jestem do niej przyzwyczajony i od razu ją rozpoznaję. To byłoby wszystko.

- To zadziwiające! - powtarzał Seliwanowski. - Przepraszam, jak wasza godność?

- Lew Grigoricz.

- Lwie Grigoriczu, a indywidualne cechy ludzkich głosów potrafilibyście rozróżnić na tych fonogramach?

- Nazywamy to indywidualnym układem cech mowy. Owszem! To jest właśnie przedmiotem naszych aktualnych badań.

- To się doskonale składa! Zdaje się, że otrzymacie in-te-re-su-ją-ce zadanie.

I Szusterman wyszedł na palcach.

35

Silnik w karetce, która miała dziś wozić więźniów na widzenia, zepsuł się. Zanim dodzwoniono się gdzie trzeba i wyjaśniono, co czynić - zrobiło się późno. Około jedenastej, kiedy Nierzyn, wezwany z Akustycznej, trafił wreszcie na rewizję - pozostałych sześciu jadących już tam było. Jednych właśnie kipiszowano, inni już byli po kipiszu i czekali w rozmaitych pozach - ten legł całą pierśią na dużym stole, ów spacerował po izbie za linią rewizji. Na samej linii, pod ścianą, stał podpułkownik Klimentiew - wyszczotkowany, wyprostowany, zapięty na ostatni guzik, jak stary wojak przed defiladą. Od jego czarnych krótkich wąsów i czarnej wyglansowanej fryzury bił zapach wody kolońskiej.

Z rękoma założonymi do tyłu stał tak, jakby nic z tym nie miał wspólnego, w istocie zaś obecnością swoją zobowiązywał nadzorców do szczególnie sumiennej rewizji.

Na kipiszowej linii natknął się Nierzyn na jednego z najbardziej złośliwych i przyczepnych nadzorców o przezwisku Różanousty. Różanousty wyciągnął ręce w stronę Nierzyna i od razu zapytał:

- Co w kieszeniach?

Nierzyn dawno już wyzbył się tej usługowej skwapliwości, do której mają skłonność więźniowie-nowicjusze w stosunku do strażników i konwojentów. Nie wysiłał się wcale na odpowiedź i nie zabierał się do wywracania kieszeni w tym cudzym, szewiotowym garniturze. Spojrzeniu, jakie rzucił na Różanoustego, postarał się nadać senny wyraz i uniósł odrobinę łokcie na boki, pozwalając strażnikowi spenetrować kieszenie. Po pięciu latach więzienia, po niezliczonej ilości takich właśnie przygotowań i rewizji, Nierzyn nie uważał tego wszystkiego - jakby uczynił to nowicjusz - za brutalny akt gwałtu, nie zdawało mu się, że czyjeś brudne palce obmacują jego krwawiące serce, bynajmniej; pogodnego, coraz gorętszego nastroju nie mogło zaćmić nic, co się działo przez ten czas z jego ciałem.

Różanousty otworzył papierošnicę, dopiero co podarowaną przez Potapowa, zajrzał do ustników wszystkich papierosów, czy aby czegoś tam nie schowano, podłubał palcem między zapałkami w pudełku, czy nie ma czegoś pod nimi, sprawdził stębnowany brzeg chusteczki do nosa, by się przekonać, czy coś tam nie jest zaszyte - i nic innego w kieszeniach nie odnalazł. Wówczas nadzorca wsunął rękę między rozpiętą marynarkę a koszulę i przebiegł palcami po całym tułowi Nierżyna, sprawdzając, czy nie ma czegoś pod koszulą albo między koszulą i gorsem. Następnie wykonał przysiad i ciasnym chwytem ujął w obie dłonie naprzód jedną nogę Nierżyna, później drugą, obmacując je od pachwiny do kostki. Kiedy Różanousty przysiadł, w polu widzenia Nierżyna ukazał się nerwowo spacerujący więzień, grawer z zawodu. Nierzyn domyślił się, dlaczego grawer tak się niepokoi: odkrył on w sobie w więzieniu zdolność do pisania opowiadań i jął pisać: o niemieckiej niewoli, później o znajomych z celi, o sądach. Jedną czy dwie takie nowele już zdołał przekazać na zewnątrz z pomocą żony, ale tam nie było komu ich pokazać. Tam również trzeba je było chować. Tutaj też musiały być ukrywane. I nigdy nie można będzie zabrać stąd ze sobą ani strzępka zapisanego papieru. Ale pewien staruszek, przyjaciel rodziny, przeczytał te opowiadania i oznajmił autorowi za pośrednictwem żony, że nawet u Czechowa rzadko spotkać można rzeczy tak wykończone i wymowne. Opinia ta bardzo podniosła grawera na duchu.

Przed dzisiejszym widzeniem też mu się udało napisać nowelę, jak sądził - wspaniałą. Ale akurat w momencie rewizji zdjął go strach właśnie przed Różanoustym, odwrócił się i połknął kawałek kreślarskiej kalki, na której mikroskopijnymi literkami napisana była nowela. A teraz złość go brała, że zjadł tę nowelę, bo może mógłby ją był jakoś

przeszmuglować?

Rózanousty powiedział do Nierżyna:

- Zdjąć buty.

Nierżyn postawił nogę na taborecie, rozsznurował but i ruchem przypominającym wierzgnięcie odrzucił go, nie patrząc nawet, dokąd but leci; miał dziurawą skarpetkę. Rózanousty podniósł but, wsadził rękę do środka, później wygiął podeszwę. Z niewzruszonym wyrazem twarzy, tak jakby robił to codziennie, Nierżyn zrzucił z nogi drugi but i pokazał drugą dziurawą skarpetkę. Może dlatego, że skarpetki były bardzo dziurawe, Rózanousty nie sądził, aby tam mogło być coś schowane i nie kazał ich zdjąć.

Nierżyn wzuł buty z powrotem. Rózanousty zapalił.

Klimentiewa aż podrywało, kiedy Nierżyn zrzucał z nóg buty. Był to przecież zamierzony afront wobec jego strażnika. Jeśli zaś nie ująć się za strażnikiem, to więźniowie siądą w końcu na głowie samej administracji. Klimentiew znów pożałował, że okazał zbyt dobrą, i był już prawie zdecydowany znaleźć jakiś pretekst, żeby zabronić widzenia temu zuchwalcowi, który nie wstydy się, że jest przestępcą, tylko niemal upaja się tą sytuacją.

- Uwaga! - powiedział surowo, a siedmiu więźniów i siedmiu nadzorców obróciło się ku niemu. - Czy znany jest wam regulamin? Krewnym niczego dawać nie wolno. Od krewnych nie wolno niczego przyjmować. Wszelkie przesyłki - wyłącznie za moim pośrednictwem. W rozmowach nie wolno wspominać o charakterze pracy i sposobie jej wykonywania, o warunkach życiowych i o rozkładzie dnia, o usytuowaniu obiektu. Nie wolno wymieniać żadnych nazwisk. O sobie wolno powiedzieć tylko tyle, że wszystko w porządku i że nic wam nie potrzeba.

- O czym więc mówić? - krzyknął ktoś. - O polityce?

Klimentiew nawet nie silił się na odpowiedź, tak śmieszne było pytanie.

- O swojej winie - doradził ponuro ktoś z aresztantów. - O wielkiej skrusze.

- O przedmiocie śledztwa nie wolno, to tajemnica państwowa - odparł Klimentiew niewzruszenie. - Pytajcie o rodzinę, o dzieci. Dalej. Nowy przepis: Od dzisiejszego widzenia włącznie zabrania się pocałunków i podawania ręki.

Tu Nierżyn, którego nie wytrącił z równowagi ani kipisz, ani tępą instrukcja, bo wiedział, jak ją ominąć - słysząc o zakazie całowania poczuł nagle, jak ciemnieje mu w oczach.

- Raz na rok ludzie się widują... - krzyknął chrapliwie w stronę Klimentiewa i

Klimentiew odwrócił się w jego stronę ucieszony, czekając tylko na dalszy ciąg okrzyku.

Nierzyn już słyszał prawie, jak Klimentiew za chwilę mu ryknie:

- Odwołuję widzenie!!

I zachłysnął się w pół słowa.

O widzeniu dowiedział się w ostatniej chwili, wszystko to wyglądało nie całkiem regulaminowo; tak łatwo je było odwołać...

Zawsze jakaś myśl podobna staje na drodze tych, którzy mogliby wykrzyczeć całą prawdę albo wywalczyć sprawiedliwość.

Jako stary więzień musiał być panem własnego gniewu.

Nie widząc więc objawów buntu, Klimentiew dodał tonem beznamiętnym i nie zostawiającym wątpliwości:

- W przypadku pocałunku, uścisku albo innego wykroczenia widzenie natychmiast zostanie przerwane.

- Ale przecież żona nie wie! Ona mnie pocałuje! - zapalczywie krzyknął grawer.

- Krewni również zostaną uprzedzeni! - Klimentiew wszystko przewidział.

- Takich porządków nigdy jeszcze nie było!

- A teraz będą.

(Głupcy! I głupie jest całe to ich oburzenie - jakby to on sam wprowadził te przepisy, a nie najnowsza instrukcja!) - Jak długo wolno rozmawiać?

- A jeżeli matka przyjdzie - nie puścicie matki?

- Widzenie trwa trzydzieści minut. Wpuszcza się tylko tę osobę, na której imię opiewa wezwanie.

- A pięcioletnia córeczka?

- Dzieci do lat piętnastu wchodzą z dorosłymi.

- A jak ma szesnaście?

- To nie może być wpuszczona! Są jeszcze pytania? Zaczynamy. Do samochodów!

Kierować się w stronę wyjścia!

Niesłychane rzeczy! - mieli ich wieźć nie w suce, jak ostatnio, tylko w niebieskim autobusie, takim jak miejskie, tylko mniejszym.

Autobus stał przed drzwiami sztabu. Trzech nadzorców, jakichś nowych, poprzebieranych za cywilów, w miękkich kapeluszach, z rękoma w kieszeniach (mieli tam pistolety) weszło zaraz do autobusu i zajęło trzy jego kąty. Dwaj z nich wyglądali na byłych

bokserów, a może gangsterów. Nosili bardzo eleganckie palta.

Poranny szron już niknął w oczach. Nie było ani mrozu, ani odwilży. Siedmiu więźniów weszło do autobusu przez jedyne, umieszczone z przodu drzwi. Rozsiedli się w nim. Weszło jeszcze czterech nadzorców w mundurach. Kierowca zatrzasnął drzwi i zaraz dodał gazu. Podpułkownik Klimentiew zajął miejsce w osobowym samochodzie.

36

Nadeszło południe, ale Jakonow wciąż jeszcze nie zawadził o swój gabinet pełen aksamitnej ciszy i polerowanej przytulności; musiał błogosławić w Siódemce związek małżeński między klipperem a wokoderem (pomysł skojarzenia tych dwóch urządzeń zrodził się dzisiejszego ranka w ambitnej głowie inżyniera Markuszewa i doczekał się poparcia z wielu stron, chociaż z rozmaitych powodów! sprzeciwiali mu się tylko Bobynin, Priancykow i Rojzman, ale ich nie posłuchano).

W gabinecie siedzieli: Seliwanowski, generał Bulbaniuk z biura Riumina, lejtnant Smołosidow z załogi instytutu oraz więzień Rubin.

Lejtnant Smołosidow był trudnym człowiekiem. Mając nawet przekonanie, że w każdej istocie tkwią dobre pierwiastki, nie można było doszukać się czegokolwiek dobrego w jego żelaznym spojrzeniu, w którym nie błyskał nigdy uśmiech, w ponurym i szpetnym grymasie grubych warg. Stanowisko, które zajmował w jednej z pracowni, było zupełnie podrzędne - nieco wyżej poziomu zwykłego radiomontera, pensję pobierał taką, jak najmłodsza z praktykantek - mniej niż dwa tysiące miesięcznie, i chociaż tam jeszcze jakiś tysiąc dokradał sobie z instytutu, sprzedając na czarnym rynku deficytowe części radiowe - to jednak każdy rozumiał, że zarówno pozycja, jak gaża Smołosidowa nie ograniczają się do tego.

Wolni pracownicy szaraszki bali go się - nawet ci jego koledzy, którzy grywali z nim w siatkówkę. Strach budziła jego twarz, której nigdy nie rozjaśnił blask szczerości. Strach budziło to szczególne zaufanie, jakie okazywało mu najwyższe kierownictwo. Gdzie właściwie mieszkał? i czy w ogóle miał swój dom? czy miał rodzinę? Nigdy nie chodził w gości do kolegów z pracy ani nie spędzał dni wolnych w towarzystwie któregokolwiek z nich. Nic nie było wiadomo o jego przeszłości, świadczyły o niej tylko trzy ordery wojskowe na piersi - oraz jeden jedyny moment, kiedy pozwolił sobie na nieostrożne samochwalstwo mówiąc, że marszałek Rokossowski w ciągu całej wojny nie wymówił ani jednego słowa, którego by on, Smołosidow, nie słyszał. Kiedy go spytano, jak to być mogło, odparł, że

służył jako osobisty radiotelegrafista u tego właśnie marszałka.

Zaraz też powstała kwestia, komu z wolnych pracowników powierzyć obsługę magnetofonu z taśmą przyslaną z gabinetu ministra Smołosidowowi.

Teraz właśnie Smołosidow ustawiał na małym lakierowanym stoliku magnetofon, zaś generał Bulbaniuk, którego głowa wyglądała jak potwornie rozdęty kartofel z naroślami w kształcie nosa i uszu, tak mówił:

- Jesteście więźniem, Rubin. Ale byliście kiedyś komunistą i być może znów nim kiedyś będziecie.

„Teraz też jestem komunistą!” - chciał krzyknąć Rubin, ale przekonywać o tym Bulbaniuka byłoby rzeczą poniżającą.

- No więc, nasze organy uznały, że można by okazać wam zaufanie. Za chwilę poznacie tajemnicę państwową międzynarodowej wagi, utrwaloną na tej taśmie. Mamy nadzieję, że pomożecie nam schwytać tego łotra, który chce, żeby przed nosem jego ojczyzny ktoś wymachiwał atomową bombą. Rozumie się samo przez się, że przy najmniejszej próbie wygadania się z tym zostanie z was mokra plama. Jasne?

- Jasne - przerwał mu Rubin, bojąc się teraz najbardziej, żeby czasem nie odsunięto go od taśmy. Dawno już machnąwszy ręką na własne sukcesy, Rubin żył problemami ogólnymi, tak jakby chodziło o sprawy rodzinne. Ta - jeszcze nie znana mu - taśma już go obchodziła osobiście.

Smołosidow nacisnął klawisz.

W ciszy gabinetu rozległ się, z lekką domieszką szumów, dialog nierozgar-niętego Amerykanina z rosyjskim zuchwalcem.

Rubin wpił się wzrokiem w kawałek kolorowej tkaniny zasłaniającej otwór głośnika, jakby chciał tam zobaczyć twarz osobistego wroga. Kiedy Rubin w ten sposób na coś patrzył, rysy mu się ścięgały i twarz przybierała wyraz srogości. Nie, «można było spodziewać się pardonu od człowieka z taką twarzą.

Po słowach:

- A pan kto jest? Nazwisko proszę - Rubin wyprostował się na krześle; był już innym człowiekiem. Zapomniał o rangach obecnych tu ludzi i o tym, że od dawna na jego własnych pagonach nie błyszczy już gwiazdka majora. Zapalił papierosa, który zdążył mu już zgasnąć w palcach, i powiedział rozkazująco:

- No tak. Jeszcze raz.

Smołosidow nacisnął klawisz cofania szpuli.

Wszyscy milczeli. Wszyscy czuli, jak przetacza się przez nich ogniste koło.

Rubin palił, żując i mnąc ustnik papierosa. Wzbierało w nim coś, rozrywało piersi. Zdegradowany, wyzuty z czci - a jednak okazał się potrzebny! Nawet on będzie mógł teraz w miarę sił pociągnąć wóz tej staruchy-Historii. Znowu jest w szeregach, znowu staje w obronie Rewolucji Światowej!

Nienawistnik Smołosidow siedział nad magnetofonem jak posepny pies. Pyszałek Bulbaniuk, za wielkim biurkiem Antoniego, z wyniosłą powagą podpierał dłonią-swój kartoflany łeb i grube fałdy skóry z jego byczej szyi wypierały spomiędzy palców. Kiedy i w jaki sposób rozmnożyła się ta chełpliwa zgraja, ta hałastra nie do wyplenienia? Te chwasty? Gdzież ci dawni, bystrzy, zmyślni towarzysze! Jak to się stało, że właśnie tacy dostali do rąk a p a r a t i teraz całą resztę kraju pchają do przepaści?

Rubina brało obrzydzenie na ich widok. Nie chciał wcale na nich patrzeć. Ach, rąbnąć by w nich tu - w tym gabinecie - ręcznym granatem!

Ale tak się złożyło, że obiektywnie na tym skrzyżowaniu ścieżek historii to oni reprezentują jej konstruktywne siły, to oni są uosobieniem dyktatury proletariatu oraz jego ojczyzny.

Prócz tego trzeba umieć wznieść się ponad własne emocje! I pomóc im.

Właśnie takie same knury, tylko że z wydziału politycznego armii, wepchnęły Rubina do więzienia, nie mogąc dłużej znieść jego zdolności i uczciwości. Właśnie tacy sami rzeźnicy, tylko z naczelnej prokuratury wojskowej, w ciągu czterech lat wrzucili do kosza dobry dziesiątek skarg Rubina, pełnych krzyczących dowodów jego niewinności.

Trzeba też było wznieść się ponad myśl o własnej niedoli! Ratować ideę. Ratować sztandar. Służyć najbardziej postępowemu z ustrojów.

Taśma się kończyła.

Rubin ukręcił niedopałkowi spopielony łeb, utopił go w popielniczce i starając się patrzeć tylko na Seliwanowskiego, który miał całkiem pocziwy wygląd, powiedział:

- Cóż. Spróbujemy. Ale jeżeli nikogo nie podejrzewacie, to nie potrafię odgadnąć, o kogo chodzi. Nie można przecież zarejestrować głosów wszystkich mieszkańców Moskwy. Z czymś głosem trzeba to porównać.

Bulbaniuk uspokoił go:

- Czterech od razuśmy capnęli koło automatu. Ale chyba to nie oni. A w ministerstwie

mogło wiedzieć tylko tych pięciu. Ma się rozumieć, nie zaliczam tu Gromyki i jeszcze tam paru. Ja ich tu wypisałem, krótko, bez tytułów, i w ogóle tu nie są zaznaczone ich stanowiska, żebyście czasem nie mieli stracha, jak trzeba będzie pokazać palcem.

I podał mu kartkę z notesu. Było na niej napisane:

1. Piętro w 2. Siagowityj 3. Wołodin 4. Szczewronok 5. Zawarzin Rubin przeczytał i chciał zatrzymać kartkę.

- Nie, nie! - szybko wtrącił się Seliwanowski. - Spis będzie u Smołosidowa.

Rubin oddał kartkę. Ten środek ostrożności nie dotknął go, tylko rozbawił.

Przecież te pięć nazwisk zapisane już były w jego pamięci płonącymi zgłoskami: Pietrow! - Siagowityj! - Wołodin! - Szczewronok! - Zawarzin! Długie studia lingwistyczne tak się wzały w sposób myślenia Rubina, że nawet teraz mimochodem określił już sobie w myśli źródłosłowy tych nazwisk: „siagowityj” - od „siagaf” „sięgać daleko, daleko skakać, „szczewronok” - to zniekształcone „żaworonok”, skowronek.

- Proszę - powiedział oschle - przeprowadzić jeszcze na taśmie rejestrację rozmów telefonicznych tej całej piątki.

- Jutro to wam dostarczą.

- Jeszcze coś: proszę koło każdego nazwiska zaznaczyć wiek. - Rubin pomyślał chwilę. - I napiszcie mi, jakimi językami każdy z nich włada.

- Słusznie - poparł go Seliwanowski. - Ja też sobie pomyślałem, dlaczego nie użył jakiegoś obcego języka? Jaki z niego w takim razie dyplomata? Albo może taki sprytny?

- Ale mógł wydać polecenie jakiemuś prostaczkowi! - Bulbaniuk plasnął po stole swoją miękką łapą.

- Żeby takie rzeczy zlecać komuś innemu?...

- No, właśnie to musimy jak najprędzej ustalić, wiecie - powiedział Bulbaniuk. - Czy ten zbój jest wśród tych pięciu, czy może nie? Jeżeli nie, to zagarniemy jeszcze pięciu, jeszcze dwudziestu pięciu!

Rubin wskazał dłonią na magnetofon:

- Ta taśma będzie mi potrzebna ciągle i to już dzisiaj.

- Będzie ją miał lejtnant Smołosidow. Dostaniecie we dwóch osobny pokój w Oddziale Supertajnym.

- Już go dla nas zwalniają - powiedział Smołosidow.

Wieloletnie doświadczenie kazało Rubinowi unikać niebezpiecznego słowa „kiedy” -

aby czasem ktoś jemu takiego pytania nie zadał. Wiedział, że trzeba tu będzie tygodnia pracy albo i dwóch, jeżeli zaś spytać kierownictwa „na kiedy to potrzebne?” - to zawsze usłyszy się odpowiedź: „na jutro rano”. Zapytał tylko:

- Z kim jeszcze wolno mi mówić o tej pracy?

Seliwanowski wymienił spojrzenia z Bulbaniukiem i odparł:

- Wolno mówić tylko z majorem Rojtmanem. Z Fomą Gurianowiczem. I z samym ministrem.

Bulbaniuk zapytał:

- Pamiętacie moje ostrzeżenie? Może powtórzyć?

Rubin wstał bez pozwolenia i lekko zmrużonymi oczyma spojrzał na generała jak na coś bardzo niedużego.

- Muszę już iść, mam sporo do przemyślenia - powiedział, nie zwracając się do nikogo osobiście.

Nikt się nie sprzeciwił.

Rubin wyszedł z gabinetu zamyślony, przeszedł obok dyżurnego i nic przed sobą nie widząc, zaczął schodzić po stopniach wysłanych kokosowym, czerwonym chodnikiem.

Trzeba będzie Gleba też wciągnąć do tej nowej grupy. Bo i jak można pracować, nie naradzając się z nikim?... Zadanie będzie bardzo trudne. Opracowanie typologii głosów jest dopiero w stadium początkowym. Pierwsza klasyfikacja. Pierwsze ustalenia terminologiczne.

Już się w nim zapalił hazard badawczy.

Właściwie - to całkiem nowa dyscyplina: wykrywanie przestępców na podstawie śladów ich głosów.

Dotychczas wykrywano ich, badając ślady palców. Nazywało się to - daktylo-skopia, ogląd palców. Formowała się przez całe stulecia.

A tę nową naukę można będzie nazwać głoso-ogładem (jak by powiedział Sołogdin) - fonoskopia. I stworzyć ją trzeba w ciągu paru dni.

Pietrow. Siagowityj. Wołodin. Szczewronok. Zawarzin.

37

Nierzyn zajął miejsce pod oknem rozkoszując się miękkością siedzenia, oparcia i pierwszych łagodnych kołysań samochodu. Na podwójnej kanapce obok niego siedział Hilary Pawłowicz Gerasymowicz, fizyk-optyk, szczupły, niewysoki człowiek o rysach

typowo inteligentnych, noszący przy tym binokle - dokładnie takie, jakie mieli szpiecy na plakatach.

- Myślał człowiek, że przyzwyczał się już do wszystkiego - zwierzył mu się Nierzyn półgłosem. - Mogę bez szczególnej przykrości sięść gołą dupą na śniegu. Dwudziestu pięciu ludzi w jednym stołypinowskim przedziale, walizki połamane przez konwojentów - nic już nie może mnie zmartwić ani zdenerwować. Ale wiąże serce z życiem jeszcze ta jedna, żywa i jakoś nie chcąca umierać strunka - miłość do żony. Nie mogę znieść, kiedy ktoś ją trąca. Widzieć się raz do roku na jedne pół godziny - i nawet nie pocałować? Duszę ci oplują za to jedno widzenie.

Gerasymowicz zmarszczył cienkie brwi. Nadawało to twarzy bolesniwy wyraz, nawet wtedy, gdy po prostu zastanawiał się nad fizycznymi wzorami.

- Istnieje chyba - odparł - tylko jeden sposób na osiągnięcie zupełnej odporności: unicestwić w sobie wszystkie afekty i wyrzec się wszystkich pragnień.

Gerasymowicz przybył do Marfina zaledwie przed kilkoma miesiącami i Nierzyn nie zdążył jeszcze zawrzeć z nim bliższej znajomości. Ale Gerasymowicz dziwnie mu się podobał.

Nie ciągnęli dalej tej rozmowy, zamilkli obaj; wyjazd na widzenie jest zbyt poważnym wydarzeniem w życiu więźnia. Przychodzi czas na cucenie swojej zapomnianej, anielskiej duszy, śpiącej już w grobowcu. Podnoszą głowę wspomnienia, którym nie daje się upustu na co dzień. Czyni się rachunek uczuć i myśli zgromadzonych w ciągu całego roku czy wielu lat, aby je teraz wtopić w krótkie chwile kontaktu z najbliższym człowiekiem.

Przed wartownią autobus się zatrzymał. Sierżant z warty wszedł na stopnie, zajrzał przez drzwi autobusu i dwukrotnie po cichu przeliczył wyjeżdżających więźniów. (Starszy nadzorca już wcześniej pokwitował w wartowni wyjazd siedmiu osób). Następnie wgramolił się pod autobus, sprawdził, czy ktoś tam nie wisi na resorach (nawet bezcielesny duch piekielny nie potrafiłby tam utrzymać się dłużej niż minutę!), wrócił do wartowni - i dopiero wtedy otworzyła się pierwsza brama, a za nią druga. Autobus przekroczył magiczną linię i z wesołym szmerem opon pomknął oszronioną Szosą Władykińską wzdłuż parkanu ogrodu botanicznego.

Supertajność ich obiektu była przyczyną, dla której zeków z Marfina na widzenie wożono: krewni nie powinni byli wiedzieć, gdzie gnieźdzą się te żywe trupy, czy wiozą ich ze stukilometrowej odległości, czy też zza Spaskich Wrót Kremla, czy przywożą z lotniska,

czy może aż z tamtego świata - mieli widzieć tylko sytych, przyzwoicie ubranych ludzi o białych rękach, którzy stracili gdzieś dawną swoją rozmowność i ze smutnym uśmiechem powtarzają teraz, że wszystkiego mają pod dostatkiem i nic im nie brak.

Widzenia te przypominały czymś starogreckie stele - płaskorzeźby na płytach grobowych, na których rozpoznać można zarówno samego nieboszczyka, jak żywych jeszcze fundatorów pomnika. Ale na tych płaskorzeźbach dała się zawsze odróżnić cienka linia oddzielająca świat od zaświatów. Żywi spozierali ciepło na umarłego, umarli zaś spoglądali w głąb Hadesu okiem ani wesołym, ani smutnym, tylko przejrzystym, które zbyt wiele już widziało.

Nierzyn odwrócił się, aby ze wzniesienia zobaczyć to, czego nigdy prawie nie oglądał: budynek, w którym mieszkali i pracowali, ciemnoceglasty gmach seminarium z kulistą, rdzawoczną kopułą nad ich półokrągłą cud-komnatą, nad którą wznosił się wyżej sześciorak, jak niegdyś nazywano sześciokątne baszty staroruskich budowli. Na południowej fasadzie, na którą wychodziły Akustyczna, albo:

Siódemka, pracownia konstruktorska i gabinet Jakonowa - regularne rzędy nigdy nie otwieranych okien miały wygląd spokojny i obojętny; mieszkańcy tych podmiejskich okolic i przybysze z Moskwy, którzy w niedziele zjeżdżali tu na wycieczki do lasu, nie mogli sobie nawet wyobrazić, ile też niezwykłych życiorysów, rozdeptanych porywów, spiętrzonych namiętności i tajemnic państwowych zgromadziło się pod ciśnieniem, splotło i rozпалиło do czerwoności w tym samotnym, staroświeckim podmiejskim budynku. Nawet wewnątrz tej budowli naszpikowane było tajemnicami. Jeden pokój nie miał pojęcia o drugim, sąsiad o sąsiedzie. A pełnomocnicy operacyjni nie mieli wcale pojęcia o kobietach, o dwudziestu dwóch nierozsądnych, szalonych kobietach, wolnych pracownikach, którym pozwolono znaleźć się w tym budynku - podobnie, jak te kobiety nie miały pojęcia jedna o drugiej, nie wiedziały o tym, co wiadome miało być tylko niebu, a później może historii, że mianowicie wszystkie dwadzieścia dwie te istoty, nie zważając na grożący miecz ani na złowrogi szwargot instrukcji - albo znalazły już tutaj przedmiot potajemnego przywiązania, kochały kogoś i całowały ukradkiem, albo też zlitowały się nad kimś i pomogły nawiązać łączność z rodziną.

Gleb otworzył ciemnoczerwoną papierośnicę i zapalił z tą szczególną satysfakcją, którą dają papierosy w niecodziennych chwilach.

I chociaż myśl o Nadii była myślą nadrzędną, wszechogarniającą - jego ciało,

delektujące się niezwykłością tej jazdy, chciało tylko jechać, jechać, a jechać... Żeby czas stanął i żeby tylko autobus mknął naprzód, żeby mknął i mknął po tej zaśnieżonej drodze, porzniętej wzdłuż czarnymi śladami opon, obok tego białego parku, gdzie szron osnuł gęstowłose korony drzew, obok migających tu i ówdzie dzieci, których głosu Nierzyn nie słyszał chyba od samego początku wojny. Dziecięcych głosów nie zdarza się słyszeć ani żołnierzom, ani więźniom.

Nadia z Glebem żyli ze sobą zaledwie rok. Rok ten zbiegł im na ciągłej lataninie z teczkami. I on, i ona uczyli się na piątym roku, pisali prace roczne i zdawali egzaminy dyplomowe.

Zaraz potem zaczęła się wojna.

A teraz inni mają te śmieszne, przebierające krótkimi nogami dzieci.

A oni - nie mają...

Jakiś malec chciał przebiec przez szosę. Kierowca ostro skręcił, żeby go nie przejechać. Malec przestraszył się, stanął i przyłożył rączkę w granatowej rękawicy do zarumienionej twarzyczki.

I Nierzyn, który całymi latami ani o dzieciach pomyślał, zrozumiał nagle jasno, że Stalin okradł z dzieci jego i Nadię. Nawet jak skończy się wyrok, nawet jeżeli znowu się spotkają - to żona będzie miała może koło czterdziestki. I za późno już na dziecko.

Znowu parędziesiąt pstrych dziecięcych figurek ślizgających się po zamarzniętym stawie. Autobus skręcił w płataninę uliczek i trzął się na kocich łbach.

Opisy więzień zwykle starano się możliwie nasycić okropnościami. A czy to nie straszniejsze, kiedy okropności brak? Kiedy cała okropność mieści się w szarej regularności, z jaką biegną lata? W tym, że człowiek zapomina, iż złamane zostało jedyne i niepowtarzalne życie, które zostało mu dane. I kiedy gotów już nawet wybaczyć to komuś tam, o tępym pysku. I kiedy marzy się już tylko, żeby wziąć z więziennej tacy nie zwykłą kromkę, tylko przylepkę, żeby zdobyć po kolejnej kąpieli bieliznę całą i nie za małą.

To wszystko trzeba przeżyć. Wymyślić tego nie sposób. Żeby napisać sobie:

Umarł w więzieniu, w ponurym tym lochu Więzień w rozkwicie swych lat...

Hej, otwórzcie mi ciemnicę, dajcie cudną mi dziewicę -

nie trzeba na dobrą sprawę siedzieć w więzieniu, łatwo to sobie wszystko wyobrazić.

Ale to prymityw. Tylko w miarę upływu nieskończonych, nieprzerwanych lat rozwija się w człowieku więzienna znajomość rzeczy...

Nadia pisze w liście: „kiedy wrócisz... „ To właśnie jest najstraszniejsze, że powrotu nie będzie. Nie można już wrócić. W ciągu czternastu lat frontu i więzienia nie została się może w człowieku ani jedna z tych komórek, które składały się niegdyś na jego ciało. Można tylko przyjść na nowo. Przyjdzie do niej nowy, nieznaną człowiek noszący nazwisko dawnego jej męża i zobaczy wtedy ona, że tego jej pierwszego i jedyne, na którego czternaście lat czekała w samotności - że tego człowieka już nie ma, że zniknął, cząstka po cząstce.

Dobrze będzie, jeżeli w tym drugim życiu zdołają jeszcze raz się wzajemnie pokochać.

A jeżeli nie?...

Ale czy po tylu latach będzie człowiek chciał wyjść na tę wolność, zanurzyć się w ten wir oszalały, wrogi ludzkiemu sercu, niszczący spokój ducha? Jeszcze na więziennym progu człowiek zatrzyma się i zmruży oczy - czy to konieczne?

Za oknami ciągnęły się już moskiewskie ulice przedmiejskie. Nocami mglista luna na dalekim niebie budziła w nich, siedzących w takim odosobnieniu, wrażenie, że cała Moskwa jarzy się, że olśniewa światłami.

A tu tymczasem szły po kolei parterowe i jednopiętrowe, proszące się o remont, odrapane domy i krzywe drewniane płyty. Chyba jeszcze od czasów wojny nikt ich nie naprawiał, widać gdzie indziej potrzebne były ręce, tu nie sięgnęły. No, a tam, 1 między Riazaniem a Ruzajewką - gdzie cudzoziemców się nie puszcza; toż tam można trzysta kilometrów przejechać i widzi człowiek tylko przegniłe słomiane strzechy.

Opierając głowę o zaparowaną, drgającą szybę, i ledwie słysząc samego siebie, bo silnik huczał, Gleb szeptał półgłosem:

Ruś, moje wszystko! Nie dość tej udręki? Cary, Sybiry, Jermaki i turmy... *

Autobus wyrwał się na duży, zatłoczony plac przed Dworcem Ryskim. Wśród mętnej, mglistej, dziennej ośmy sunęły po szronie tramwaje, trolejbusy, samochody, przechodnie, ale rzucał się w oczy tylko krzyczący kolor nowych, czer-wono-fioletowych mundurów, których nigdy przedtem Nierżyn nie widział.

Gerasymowicz, mimo że pogrążony w myślach, też zwrócił uwagę na te papuzie mundury, podniósł brwi i powiedział głośno:

- Patrzcie! Pojawili się stójkowi! Znowu - stójkowi.

Ach, to oni? Gleb przypomniał sobie, jak to we wczesnych latach trzydziestych ktoś z

przywódców Komsomołu powiedział: „Wam, towarzysze pionierzy, nigdy już nie zdarzy się zobaczyć żywego carskiego stójkowego”.

- No i zdarzyło się... - uśmiechnął się Gleb.

- Co? - Gerasymowicz go nie zrozumiał.

Nierżyn szepnął mu do ucha:

- Ludzie tak są już zacukani, że gdyby ktoś stanął teraz pośrodku ulicy i krzyknął: „Precz z tyranem! Niech żyje wolność!” - to nikt by nie zrozumiał, o jakim tyranie i o jakiej wolności mowa.

Czoło Gerasymowicza wygładziło się.

- A skąd pewność, że na przykład pan to rozumie?

- Tak sędzę - krzywiąc usta powiedział Nierżyn.

- Czy nie za prędko na takie sądy? Jaka wolność potrzebna jest mądrze urządzoneму społeczeństwu - to ludziom rysuje się bardzo mgliście.

- A jak się rysuje to mądrze urządzone społeczeństwo? Czy jest ono w ogóle możliwe?

- Myślę, że tak.

- Nawet pobieżnego szkicu mi pan nie narysuje. Nie udało się to jeszcze nikomu.

- Ale kiedyś przecież się uda - ze skromnym uporem powiedział Gerasymowicz.

Aleksander Błok, „Ojczyzna”.

Patrzyli teraz na siebie badawczym wzrokiem.

- Dobrze by o tym pogadać - powiedział Nierżyn bez nacisku.

- Może kiedyś - Gerasymowicz kiwnął swoją niedużą, wąską głową.

I dalej trzęśli się, pochłaniając wzrokiem ulicę i supłając rwące się myśli.

... To nie do pojęcia, jak Nadia może tyle lat czekać na niego? Obracać się wśród tego zabieganego, wciąż za czymś uganiającego się tłumu, czuć na sobie cały czas męskie spojrzenia - i nigdy się nie ugiąć? Gleb zdawał sobie sprawę, że gdyby stało się odwrotnie, gdyby Nadię wsadzono do więzienia, a on sam został na wolności - to może nawet roku by nie wytrzymał. Nie zakładał dawniej takiej granitowej stałości w swojej towarzyszce losu. Pierwszego, drugiego i trzeciego roku więzienia pewien był, że Nadia zmieni się, odwróci się od niego, oderwie, odejdzie. Ale tak się nie stało. Teraz już mu się zdawało, że oczekiwanie stało się dla Nadii nie takie znowu trudne.

Kiedy - jeszcze w przejściowym więzieniu na Krasnej Presni - otrzymał po półtorarocznym śledztwie po raz pierwszy prawo napisania listu - ogryzkiem sztyftu na

starym papierze pakowym, złożonym w trójkącik, pozbawionym znaczka, to tak do Nadii napisał:

„Moje kochanie! Przez cztery lata wojny czekałaś na mnie - i nie żałuję, że to było daremne czekanie, bo teraz ma być jeszcze dziesięć lat. Przez całe życie będę nasze krótkie szczęście wspominać jak słońce. Ale ty czuj się od tego dnia wolna. Nie ma powodu, żeby także twoje życie szło na marne. Wyjdź za mąż za kogoś innego”.

Z całego tego listu Nadia tylko jedno zrozumiała: „A więc przestałeś mnie kochać! Jak mógłbyś oddać mnie innemu?” Wezwał ją do siebie nawet na front, na zadnieprowski przyczółek - z fałszywym biletem wojskowym, narażając na rewizje ze strony oddziałów bezpieczeństwa wewnętrznego. Na tym przyczółku, jeszcze niedawno pełnym śmierci, a teraz, w biernej defensywie, zarosłym już beztruską trawą, kradli losowi króciutkie dni swojego poszarpanego szczęścia.

Ale armie zbudziły się, przeszły do natarcia i Nadia musiała wracać do domu - znowu w tej samej niezgrabnej bluzie, z tym samym podrabianym biletem wojskowym w ręku. Półtoratonówka wiozła ją leśnym duktem, a ona machała mu jeszcze długo, długo ręką spod plandeki.

... Na przystankach gromadziły się nieporządne kolejki. Kiedy nadjeżdżał trolejbus, jedni stali dalej w ogonku, inni przepychali się łokciami. Na rogu Sadowej, półpusty, nęcący oczy autobus zatrzymał się przed czerwonym sygnałem, I minąwszy miejski przystanek. I jakiś nieprzytomny od czekania obywatel rzucił się za nim biegiem, wskoczył na stopień, kołatał w drzwi i krzychał:

- Na Kotelnickie Wybrzeże idzie? Na Kotelnickie?!...

- Nie wolno! Nie wolno! - wymachiwał ręką nadzorca.

- Idzie! Siadaj, chłopie, podwieziemy! - krzychał Iwan-szklarz i śmiał się głośno (Iwan był kryminalny i widzenia miewał co miesiąc bez kłopotu).

Roześmieli się wszyscy więźniowie. Dobijający się nie mógł zrozumieć, co to za autobus i dlaczego tu nie wolno. Ale już był przyzwyczajony, że często czegoś nie wolno, więc zeskoczył. Cofnęło się też jakichś pięciu innych, którzy już zdążyli nadbiec.

Niebieski autobus skręcił Sadową w lewo. To znaczy, że nie jechali jak zwykle, do Butyrek. Chyba więc na Tagankę.

... Idąc z całym frontem na zachód, Nierzyn w zburzonych domach, w spustoszonych miejskich bibliotekach, w jakichś szopach, w piwnicach, na strychach znajdował książki, te

zakazane, wyklęte i palone na terenie Związku. Z ich zetknięcia stronic rwał się do oczu czytelnika alarm, niemy, ale niepokonany.

U Wiktora Hugo, w „Roku dziewięćdziesiątym trzecim” Lantenacque siedzi na wydmie. Widzi z niej kilka dzwonnicy naraz, na każdej z nich coś się dzieje, wszystkie dzwony biją na trwogę, ale huragan unosi dźwięki w inną stronę i słychać tylko głos ciszy.

Tak oto, dziwnym jakimś słuchem chwycił Nierzyn od dzieciństwa ten niemy alarm - wszystkie żywe dźwięki, jęki, krzyki, wołania, wrzaski ginących, które jakiś uparty, niezmordowany wiatr odpędzał precz od ludzkich uszu.

Życie Nierzyna minęłoby spokojnie wśród całek, różniczek i równań, gdyby nie urodził się on w Rosji i nie w tych właśnie latach, kiedy dopiero co pozbawione zostało życia i wywiezione w Kosmiczną Pustkę pewne wielkie i drogie ciało.

Ale jeszcze ciepłe było to miejsce, gdzie leżało ono. I Nierzyn wziął na swoje barki brzemień, którego nikt nigdy mu nie narzucił: zapragnął odtworzyć ową zniszczoną istotność z nikłych resztek jej zachowanego ciepła, pokazać wszystkim, jaka też była ona, i nie dać innym przedstawiać jej taką, jaką nie była.

Gleb wyrósł nie mając w ręku ani jednej książki Mayne Reida, ale już jako dwunastoletni chłopak rozwinął olbrzymią płachtę „Izwestii”, którą mógłby się okryć od stóp do głów, i przeczytał sprawozdanie z procesu inżynierów-sabo-tażyistów. Chłopak nie uwierzył ani w jedną literę tego sprawozdania. Gleb nie wiedział dlaczego, nie mógł tego ogarnąć rozsądkiem, ale czuł jasno, że wszystko to tylko łgarstwo, tylko łgarstwo. Widywał już inżynierów ze znajomych rodzin i nie mógł sobie wyobrazić, żeby ci ludzie zajmowali się nie budowaniem, tylko szkodnictwem.

Kiedy Gleb miał już trzynaście, a potem czternaście lat, po odrobieniu lekcji nie wybiegał na ulicę, tylko siadał do czytania gazet. Wiedział, kto jest naszym ambasadorem w każdym kraju i jak nazywają się ambasadorzy tych krajów w Związku Sowieckim. Czytał wszystkie przemówienia na zjazdach. Zresztą przecież w szkole, już w czwartej klasie, omawiano podstawy ekonomii politycznej, a poczynając od piątej lekcji wychowania społecznego odbywały się prawie codziennie. Kazano mu czytać coś tam Feuerbacha, a także kolejne wersje historii partii - zmieniło się ich kilka i różniły się między sobą.

Wcześniej rozwinęła się w tym chłopcu wrażliwość i zdolność wyczuwania omackiem historycznego fałszu. Był zaledwie w dziewiątej klasie, kiedy pewnego grudniowego poranka przecisnął się do gazetowej witryny i przeczytał, że Kirów został zabity. I nagle -

jakby doznał olśnienia - zrozumiał jasno, że Kirowa zabił Stalin, nikt inny. Dlatego, że tylko dla niego mogło to być korzystne! I ogarnęło go dręczące poczucie samotności - bo dorośli mężczyźni, stłoczeni dookoła, nie rozumieli takiej prostej rzeczy!

I oto właśnie ci weterani partyjni zjawiali się przed sądem i - co było nie do pojęcia - kajali się za swoje winy, w długich przemówieniach obsypywali się sami najokropniejszymi wyzwiskami, przyznając się, że są na służbie wszystkich możliwych zagranicznych wywiadów. To było takie przesadzone, takie prostackie, tak przekraczało wszelką miarę - że kłamstwa mógł nie słyszeć tylko ten, komu słoń nastąpił na ucho!

Ale z ulicznego głośnika rozlegał się aktorski recytatyw spikera i obywatele skupiali się pod nim jak stada owiec.

Rosyjscy pisarze, mający czelność wywodzić swój ród od Puszkina i Tołstoja - teraz ekliwie i monotennie pielili dytyramby na cześć tyrana. A rosyjscy kompozytorzy, wychowani w konserwatorium przy ulicy Hercena, jeden przez drugiego ślali tyranowi pod stopy swoje hymny hołdownicze.

Dla Gleba Nierżyna przez całą młodość biły na trwogę nieme dzwony!

- i wżarła się korzeniami w mózg chęć, której nie dało się już wyrwać: wszystkiego się dowiedzieć i wszystko zrozumieć! Dowiedzieć się i zrozumieć! Odkopać i przypomnieć!

I wieczorami, po bulwarach rodzinnego miasta, gdzie raczej godziło się wzdychać do dziewcząt, Gleb spacerował marząc sobie, jak to kiedyś wszystko pojmie i być może dotrze do Największego i Najważniejszego więzienia kraju - aby tam znaleźć ślady pomarłych i klucz do ich zagadki.

Nie wiedział jeszcze wtedy, że to więzienie nosi nazwę Wielka Łubianka.

I że nasze pragnienia spełniają się zawsze, jeżeli są naprawdę mocne.

Mijały lata. Wszystko spełniło się i ziściło w życiu Gleba Nierżyna, chociaż okazało się wcale nie łatwe ani miłe. Schwytali go i przywieźli - właśnie tam - i spotkał tych ludzi, takich, którzy jeszcze ocaleli; nie zdziwiły ich jego domysły i byli w stanie zasięg ich poszerzyć stokrotnie.

Wszystko spełniło się i ziściło, ale za to Nierżynowi nic nie zostało - ani wiedzy, ani czasu, ani nawet - miłości do żony. Wydawało mu się, że na całym świecie nie znalazłby dla siebie lepszej żony, a zarazem zanadto jej nie kochał. Kiedy wielka namiętność ogarnia naszą duszę, z całą bezwzględnością wypiera z niej wszystko inne; nie ma w nas miejsca na dwie pasje.

... Autobus zatrząsł się na wybojach mostu i wciąż jeszcze jechał przez jakieś nie kończące się, krzywe, niegościnne ulice.

Nierzyn oprzytomniał:

- Więc na Tagankę też nie? No to dokąd? Nic nie rozumiem.

Gerasymowicz, oderwawszy się od tak samo niewesołych myśli, powiedział:

- To Wał Lefortowski. Dojeżdżamy do Lefortowskiego więzienia.

Otwarto bramę przed autobusem. Samochód wjechał na służbowy dziedziniec i zatrzymał się przed piętrową dobudówką wysokiego gmachu więziennego. W drzwiach stał już podpułkownik Klimentiew - bez płaszcza i czapki, młodzieńczy.

Co prawda, mróz był niewielki. Pod gęstym, zachmurzonym stropem niebieskim wisiała zimowa szarość, nie zmacona wiatrem.

Na znak dany przez podpułkownika nadzorcy wyszli z autobusu, stanęli szeregiem (tylko tych dwóch z tyłu siedziało dalej z pistoletami w kieszeniach) i więźniowie, nie mając czasu na przyjrzenie się głównemu gmachowi więzienia, weszli do wnętrza w ślad za Klimentiewem.

Ciągnął się tam długi, wąski korytarz, w którym stało otworem siedmioro drzwi. Podpułkownik szedł przodem i wydawał rozkazy bez chwili wahania, jak podczas bitwy:

- Gerasymowicz - tu! Łukaszenko - tam! Nierzyn - do trójki!...

I więźniowie znikali po kolei w drzwiach.

W ten sam sposób Klimentiew przydzielił każdemu po nadzorcy. Nierzynowi trafił się przebrany gangster.

Wszystkie te pokoiki były gabinetami do przesłuchań: małe, ciemne, a nadto jeszcze zakratowane okno; fotel i biurko dla śledczego pod oknem; mały stoliczek i taboret dla przesłuchiwanego.

Fotel przeniósł Nierzyn bliżej drzwi i zostawił go tam dla żony, sobie zaś wziął niewygodny, mały taborecik ze szparą między deskami, która mogła człowieka szczygnąć. Na podobnym taborecie, przy takim samym nędznym stoliku odsiedział kiedyś sześć miesięcy swojego śledztwa. Drzwi były dalej otwarte. Nierzyn usłyszał stuk lekkich obcasików żony na korytarzu, rozległ się jej miły głos: - To te drzwi? I weszła do pokoju.

38

Gdy roztrzęsiona ciężarówka, podskakując na gołych korzeniach sosen i wyjąc na piaszczystych odcinkach, zabierała Nadię z frontu, zaś Gleb został daleko na dukcie i ten

dukt go pochłaniał wydłużając się, ciemniejąc i zwężając się coraz bardziej - kto by powiedział wtedy, że ta rozłaka nie skończy się razem z wojną, że właśnie wtedy dopiero się zacznie?

Czekać na powrót męża z wojny - zawsze jest ciężko, ale najciężej w ostatnich miesiącach przed zakończeniem; przecież odłamki i kule nie zastanawiają się, ile ten człowiek już się nawojował.

Właśnie w tym okresie listy od Gleba przestały nadchodzić.

Nadia wybiegała z domu na spotkanie listonosza. Wciąż pisała do męża, do jego przyjaciół, do jego dowódców - wszyscy milczeli jak zakłęci.

Ale nie nadchodziło nawet zawiadomienie o śmierci.

Wiosną czterdziestego piątego roku co wieczora rznąły w niebo artyleryjskie saluty, zdobywano, zdobywano, zdobywano miasto po mieście - Królewiec, Wrocław, Frankfurt, Berlin, Pragę.

A listów nie było. Świat szarzał. Nie chciało jej się brać do żadnej roboty. A nie wolno było tak się załamywać! Jeżeli Gleb żyje, to kiedy wróci - będzie miał jej za złe stracony czas. Więc Nadia pracowała całymi dniami aż do utraty sił, przygotowywała się do aspirantury z chemii, uczyła się obcych języków, kuła materializm dialektyczny - i płakała tylko nocami.

Nagle rejonowa komenda uzupełnień przerwała wypłacanie Nadii zasiłku dla rodzin oficerów.

To znaczyło - że został zabity.

I zaraz potem skończyła się ta czteroletnia wojna. I oszaleli z radości ludzie wybiegli na rozszalałe ulice. I ktoś strzelał z pistoletu w powietrze. Wszystkie głośniki Związku Sowieckiego grzmiały zwycięskimi marszami nad okrytym ranami, głodnym krajem.

Ale nie powiedziano jej, że zabity, tylko że zaginął bez wieści. Państwo bardzo było chybkie na areszty, ale bardzo marudne, gdy chodziło o wyznanie prawdy.

I ludzkie serce, nigdy nie zdolne do pogodzenia się z okrutną koniecznością, zaczęło zmyślać sobie bajki - może go posłano na głęboki zwiad, na zaplecze wroga? Może wykonuje jakąś misję specjalną? Pokoleniu wychowanemu w atmosferze podejrzeń i tajemnic zwidywały się sekrety nawet tam, gdzie ich nie było.

Na dworze było upalne lato, ale słońce wdowom nie świeciło.

Ona zaś wciąż tak samo wkuwała chemię, obce języki i materializm, bojąc się, że mu

się nie będzie podobała, kiedy wróci.

I minęły cztery miesiące od końca wojny. I czas już było pogodzić się z tym, że ten człowiek z taką męką kochany, już nie żyje. Wtedy nadszedł zmięty trójkącik z Krasnej Presni: „Kochanie moje! Teraz czekanie potrwa jeszcze dziesięć lat!”

Najbliżsi nie całkiem mogli ją zrozumieć: dowiedziała się, że mąż w więzieniu - i zaczęła promienieć, poweselała. Bo znowu nie była już sama na świecie! Co za szczęście, że nie dwadzieścia pięć i nie piętnaście! Tylko z grobu się nie wraca, z katorgi ludzie wracają! W tej nowej sytuacji było nawet coś romantycznego, co uwznioślało ich dawny, tuzinkowy, studencki związek.

Teraz, kiedy nie było już mowy o śmierci, kiedy już nie bała się, że ją porzucił, kiedy była już tylko ta pętla na szyi, tylko ten ciężar na barkach - nowe siły wstąpiły w Nadię. Trzymali go w Moskwie - więc trzeba było jechać do Moskwy i tam go ratować! (Wydawało się, że wystarczy być niedaleko, a już można będzie uratować).

Ale jak j e c h a ć? Potomni nigdy nie będą w stanie wyobrazić sobie, co to znaczyło wtedy - jechać, a zwłaszcza - do Moskwy. Naprzód (jak to już było w latach trzydziestych) obywatel musiał z pomocą dokumentów wykazać, dlaczego właściwie nie może usiedzieć na miejscu, jaka to konieczność służbowa zmusza go do przysporzenia swoją osobą kłopotu kolejom państwowym. Dopiero potem otrzymywał przepustkę, która dawała mu prawo przez dobry tydzień sterczeć w ogonkach na dworcu, spać na zaplutej podłodze albo wtykać swoje drżące kubany przez tylne drzwi kasy.

Nadia wpadła na pomysł - żeby starać się o nieosiągalną moskiewską aspiranturę. I zapłaciwszy potrójną cenę za bilet, poleciała samolotem do Moskwy, trzymając na kolanach teczkę z podręcznikami i filcowe walonki dla męża, na tę tajgę, co go czekała.

Trafiła wtedy na najlepszą w życiu, natchnioną passę, która wynosi na sam szczyt, gdzie pomagają nam jakieś przyjazne siły i wszystko się nam udaje. Najwyższa komisja aspirancka kraju przyjęła nikomu nie znaną prowincjuszkę bez nazwiska, bez pieniędzy, bez stosunków, bez żadnych telefonów...

I okazało się, że to było łatwiejsze, niż dostać widzenie w etapowym więzieniu Krasnaja Presnia. Widzenia jej nie udzielono. Widzeń w ogóle nie udzielano: wszystkie kanały GUŁagu były pozapychane - płynął przez nie z zachodu potok więźniów przekraczający granice wyobraźni.

Ale raz, wyczekując pod drewnianą wartownią odpowiedzi na swoje daremne

podania, Nadia była świadkiem, jak zza niemalowanych desek więziennych wrót wyprowadzano kolumnę aresztantów do roboty w porcie rzeczny. I nagle błyskawica szczęśliwego domysłu olśniła Nadię: powiedziała sobie na oślep - Gleb musi tu być!

Prowadzono jakichś dwustu ludzi. Wszyscy oni znajdowali się w tym stadium pośrednim, kiedy człowiek rozstaje się ze swoim „wolnym” ubiorem i zaczyna wrastać w czarno-szarą, złachmanioną odzież zeka. Każdy z nich miał na sobie jeszcze coś, co przypominało o przeszłości: wojskową czapkę z kolorowym otokiem, ale już bez paska i gwiazdki, albo chromowe buty, dotychczas nie zamienione jeszcze na chleb i nie zabrane przez urków, albo jedwabną koszulę, która się już rozlazła na grzbiecie. Wszyscy byli ostrzyżeni do skóry, chronili głowy przed letnim słońcem byle czym, wszyscy zarośnięci, wszyscy chudzi, niektórzy aż do zupełnego wynędznienia.

Nadia nie szukała wśród nich wzrokiem - od razu wyczuła, gdzie jest Gleb - i zaraz go też zobaczyła: kroczył z rozpiętym kołnierzem wełnianej bluzy, która zachowała jeszcze na kantach czerwone wypustki artylerzysty, a na piersi - nie wypełzłe jeszcze ślady noszonych tu orderów. Trzymał ręce do tyłu, jak wszyscy. Nie patrzył ani na widoczne z górki słoneczne rozłogi, które powinny tak przyciągać wzrok więźnia, ani na boki, gdzie stały kobiety z paczkami (w etapowym więzieniu nie dostawało się listów i Gleb nie wiedział, że Nadia jest w Moskwie). Taki sam poźółkły, taki sam wychudły jak jego towarzysze, promieniał jednak cały i z widoczną chęcią, z upojeniem słuchał, co mówił sąsiad, siwobrody, dorodny starzec.

Nadia zaczęła biec obok kolumny i wykrzykiwać imię męża - ale nic nie słyszała, przeszkadzała rozmowa i bezustanne ujadanie policyjnych psów. Biegła bez tchu, żeby jeszcze raz i jeszcze móc zajrzeć mu w twarz. Tak jej było go żal, że miesiącami gnije w ciemnej, śmierdzącej celi! To było takie szczęście - widzieć go tak blisko! Taką dumę czuła, że go nie złamali! Tak jej było gorzko, że nie wygląda na zrozpaczonego, pewno zapomniał już o żonie! I pierwszy raz zabolęło ją, że on przecież ją unieszczęśliwił, że ofiarą jest nie on, tylko ona.

I wszystko to trwało tylko przez chwilę!... Wrzasnął na nią konwojent, straszne tresowane psy-ludojady rwały się na smyczach sprężone, rozszczekane, czerwono-okie. Nadię odpędzono. Kolumna wpełzła w wąski, spadzisty zaułek - i nie było możliwości precyzyjnie się obok niej. Konwojenci zaś z tylnej straży trzymali się tak daleko od ostatniego szeregu, że biegnąc wciąż za nimi Nadia już nie dogoniła kolumny - oddział zszedł w dół i skrył się za jakimś szczelnym płotem.

Wieczorem i w nocy, kiedy mieszkańcy Krasnej Presni, słynnego z walk o wolność moskiewskiego przedmieścia nie mogli tego widzieć - całe zestawy bydłych wagonów wekslowane były pod rampę więzienia; plutony konwojentów z wielkim wymachiwaniem latarniami, przy akompaniamencie gęstego psiego ujadania, krótkich wrzasków, przekleństw i razów - upychali więźniów po czterdziestu do każdego wagonu i tysiącami wywozili nad Peczorę, nad Intę, Workutę, do Sowgawani, do Norylska, do irkuckich, czytyjskich, krasnojarskich, nowosybirskich, środkowoazjatyckich, karagandzkich, dżezkazgańskich, nadbałchaskich, irtyskich, tobolskich, uralskich, saratowskich, wiackich, wołogodzkich, permskich, solwyczegodzkich, rybińskich, pofmińskich, suchobezwodzińskich i jeszcze wielu innych, bezimiennych, pomniejszych obozów. Małymi zaś grupkami, po stu, po dwustu - wożono ich we dnie krytymi ciężarówkami do Srebrnego Boru, do Nowej Jerozolimy, do Parszyna, do Chowrina, do Beskudnikowa, do Chimek, Dmitrowa i Sołnecznogorska, nocami zaś do bardzo licznych punktów w granicach samej Moskwy, gdzie za szczelnymi dechami drewnianych płotów, zwieńczonych splotami drutu kolczastego, wznosili zręby wielkiej stolicy...

Los подарował Nadii nieoczekiwaną, ale zasłużoną nagrodę: tak się stało, że Gleba nie wywieziono za koło podbiegunowe, tylko przesłano do malutkiego obozu w samej Moskwie, budującego dom dla kierownictwa MBP i MSW, zatoczony półkołem dom przy Kałuskiej rogatece.

Kiedy Nadia jak na skrzydłach biegła tam do niego na pierwsze widzenie - miała takie uczucie, jakby Gleb już był na poły wolny.

Po Wielkiej Kałuskiej płynęły limuzyny, niejedna należała do jakiegoś dyplomaty; autobusy i trolejbusy miały przystanek akurat tam, gdzie kończyło się ogrodzenie Parku Nieskucznego i gdzie była wartownia obozu, przypominająca zwyczajną portiernię placu budowy; wysoko, na szczycie ściany z kamiennych ciosów grzebali się jacyś tam ludzie w brudnym, złachmanionym odzieniu - ale budowlani zawsze tak wyglądali i nikt z przechodniów, nikt z przejeżdżających tamtędy ani się domyślał, że to są zeki.

Kto zaś się domyślał - milczał.

Był to czas tanich pieniędzy i drogiego chleba. Nadia sprzedawała swoje rzeczy i nosiła mężowi paczki. Paczki przyjmowano zawsze. Widzenia zaś dawano nieczęsto - Gleb nie wykonywał normy.

Na widzeniach był nie do poznania. Jak każdy człowiek ambitny stał się lepszy pod

wpływem nieszczęścia. Złagodniał, całował żonę po rękach i wypatrywał iskierek w jej oczach. Co tam obóz, przynajmniej to nie było już więzienie! Tak, zginało mu grzbiet obozowe życie prześcigające swoim okrucieństwem wszystko, co wiadomo o życiu ludożerców i szczurów. Ale starał się świadomie dotrzeć do tej granicy, za którą już siebie nie żał, i ze szczerym uporem powtarzał:

- Kochana! Sama nie wiesz, jaki ciężar na siebie bierzesz. Tak, będziesz na mnie czekać rok, nawet trzy lata, nawet pięć - ale im bliżej końca, tym trudniej ci będzie go się doczekać. Najbardziej nieznośne będą ostatnie lata. Nie mamy przecież dzieci. Więc nie marnuj swojej młodości - zostaw mnie! Wyjdź za innego.

Sam to zaproponował, ale bez wiary. Nadia odparła słowami, w które też nie chciała wierzyć:

- Szukasz pretekstu, żeby się mnie pozbyć?

Więźniowie gnieździli się w tym samym domu, który budowali, w jego nie wykończonym skrzydle. Kobiety z paczkami, wychodząc już z trolejbusu, widziały nad płotem dwa, trzy okna izby dla mężczyzn oraz ich samych, stłoczonych za szybami. Czasami wśród mężczyzn migają również obozowe szalasówki. Jedna taka objęła kiedyś w oknie swojego obozowego męża i krzyknęła przez płot do żony:

- Co się tu wciąż wałęsasz, prostytutko? Oddaj jeszcze tę paczkę - i fora ze dwora! Jak cię znowu kiedy na wartowni zobaczę - to całą mordę rozdrapię!

Zbliżały się pierwsze powojenne wybory do Rady Najwyższej. Szykowano się do nich w Moskwie nader gorliwie, tak jakby naprawdę ktoś mógł głosować na kogoś tam. Trzymać w Moskwie skazanych z artykułu 58 nie miano ochoty (choć ci właśnie dobrze pracowali) i bano się kłopotów (czujność mogła ulec przytępieniu). Aby więc wszystkim napędzić strachu, trzeba było chociaż część stąd wywieźć. Po obozach poszły groźne szept o niedalekich już etapach na Północ. Więźniowie piekli na drogę kartofle, jeśli kto miał.

Dbając o spokój wyborców, zabroniono przed wyborami wszelkich widzeń w moskiewskich obozach. Nadia przesłała Glebowi ręcznik z wszytym grypsem:

„Ukochany! Ilekolwiek lat minie i jakiegokolwiek czekają nas burze (Nadia lubiała wyrażać się wzniosie), twoja dziewczyna będzie ci wierna póki życia. Wciąż się słyszy, że wasz «paragraf» ma być stąd wywieziony. Znajdziesz się w dalekich okolicach, będziesz oderwany na długie lata od naszych widzeń, od naszych spojrzeń rzucanych ukradkiem przez druty. Jeżeli w tym beznadziejnie ponurym życiu jakieś przyjemności będą mogły ująć ci

trochę ciężaru - cóż, pogodzę się z tym, pozwalam ci, mój kochany, a nawet żądam tego - masz mnie zdradzić, masz szukać sobie innych kobiet. Bylebyś tylko nie załamywał się! Nie boję się o nic! Przecież tak czy inaczej ty wrócisz do mnie, prawda?”

39

Nie znając jeszcze nawet dziesiątej części Moskwy Nadia poznała już dobrze dyslokację moskiewskich więzień - tę geografię nieszczęścia. Były one, jak się okazało, rozmieszczone na planie stolicy w sposób przemyślany i bardzo regularny, tak że z każdego punktu Moskwy zawsze było blisko do jakiegoś więzienia. Chodząc z paczkami albo po informacje czy wreszcie na widzenia, Nadia stopniowo nauczyła się rozróżniać wszechzwiązkową Wielką Łubiankę - i Małą, obwodową, dowiedziała się, że więzienia śledcze istnieją przy każdym dworcu i nazywają się KPZ, była nieraz na Butyrkach i na Tagance, wiedziała, jakie tramwaje (choć nie uwidoczniło tego na tabliczkach wskazujących ich trasę) dochodzą do Lefortowskiego więzienia, jakimi zaś można dojechać do więzienia Krasnaja Presnia. Co zaś do więzienia Matrosskaja Tiszyna, które spustoszone zostało w siedemnastym roku, a później - odrestaurowane i umocnione - to Nadia mieszkała w bliskim jego sąsiedztwie. Od chwili, gdy Gleba znowu przywieźli z dalekiego łagru do Moskwy, tym razem nie do obozu, tylko do jakiegoś przedziwnego zakładu - do specwizienia, gdzie więźniów karmiono dobrze i kazano zajmować się badaniami - Nadia znów zaczęła czasami widywać męża. Ale żony nie miały prawa wiedzieć, gdzie właściwie przebywają ich mężowie, więc na rzadkie widzenia przywożono ich do różnych moskiewskich więzień.

Najpogodniejsze były widzenia na Tagance. Było to więzienie nie polityczne, tylko złodziejskie i porządki były tam raczej zachęcające. Widzenia odbywały się w klubie straży więziennej, więźniów przywożono bezludną ulicą Kamieniarzy otwartym samochodem, żony wyglądały już ich na trotuarze i jeszcze przed oficjalnym widzeniem każdy mógł objąć swoją kobietę, zatrzymać się przy niej chwilę, powiedzieć to, na co instrukcja nie pozwalała, i nawet przekazać z rąk do rąk to i owo. Samo widzenie też odbywało się w sposób niewymuszony, siedziało się obok siebie i tylko jeden nadzorca przysłuchiwał się rozmowom każdych czterech par.

Butyrki - to w gruncie łagodne, wesołe więzienie, wydawało się żonom czymś mrozącym krew w żyłach. Więźniów, którzy trafiali do Butyrek z Łubianki, cieszyło tu widoczne od razu powszechne lekceważenie dyscypliny: w boksach nie było rażącego

oświetlenia, po korytarzach można było chodzić bez trzymania rąk do tyłu, w celi wolno było rozmawiać pełnym głosem, wyglądać przez kawałek okna nie zasłonięty kagańcem, leżeć we dnie na narach, a pod narami - nawet spać. To jeszcze było dobre w Butyrkach, że można było w nocy chować ręce pod płaszcz, że nie odbierali na noc okularów, że pozwalali zabierać zapałki do celi, nie patroszyli każdego papierosa w paczce, a chleb z paczek rozcinali tylko na cztery części, nie na drobne kawałeczki.

Żony nie wiedziały o tych wszystkich dobrodziejstwach. Widziały tylko forteczny mur, wysoki na czterech chłopów, ciągnący się wzdłuż ulicy Nowosłobodzkiej od jednej przecznicy do drugiej. Widziały żelazną bramę między potężnymi betonowymi filarami, przy tym brama też była niezwykła: rozsuwana, powoH odmykająca i zamykająca swoją paszczę, żeby przepuścić więzienną karetkę. A kiedy wpuszczano wreszcie kobiety na widzenie, to naprzód trzeba było przejść przez furtkę w kamiennym murze dwumetrowej grubości, a potem dać się prowadzić między głuchymi ścianami wielosąźniowej wysokości, żeby obejść dookoła straszną Basztę Pugaczowa. Widzenia dawano: dla zwykłych zeków - przez podwójne kraty, między którymi przechadzał się nadzorca, zamknięty jakby we własnej klatce; dla zeków zaś z lepszego towarzystwa - z szaraszek - był szeroki stół ze szczelną przegrodą pod spodem, która nie pozwalała siedzącym naprzeciw siebie ludziom stykać się nogami i dawać sobie sygnałów; przy węższym boku stołu siedział nadzorca jak pomnik czujności i wsłuchiwał się w rozmowy. Ale najbardziej przygnębiającą w Butyrkach rzeczą było, że mężowie pojawiali się jakby z samych głębin więzienia, na półgodzinne widzenie wyłaniali się z tych wilgotnych grubych murów, uśmiechali się widmowo, zapewniali, że żyje im się dobrze, że nie brak im niczego, po czym znowu wsiąkali w te ściany.

W Lefortowie widzenie miało się dziś odbyć po raz pierwszy.

Wartownik odfajkował jej nazwisko w spisie i wskazał Nadii parterowy długi budynek.

W pustym pokoju z dwiema ławami i gołym stołem czekało już kilka kobiet. Na stole stał już pleciony koszyk i zwyczajne torby na zakupy ze sztucznej skóry: widać było, że są pełne prowiantów. I chociaż więźniowie z szaraszki wcale nie cierpieli głodu, Nadii, która przyszła z leciutkim chrustem w torebce, zrobiło się przykro i żal, że nawet raz w roku nie może dogodzić mężowi i przynieść mu jakiegoś smakołyku. Ten chrust usmażyła raniutko, kiedy w bursie jeszcze wszyscy spali, usmażyła z resztek białej mąki i cukru, na ostatnich szczyptach masła. Dokupić zaś cukierków albo ciastek już nie zdążyła, zresztą nie starczało

już pieniędzy do następnej wypłaty. Akurat tego dnia przypadają też urodziny męża i nie miała dla niego żadnego podarunku! Miała chęć dać mu w upominku jakąś dobrą książkę, ale było to niemożliwe po ostatnim widzeniu: przyniosła mu wówczas Nadia, cudem zdobyty, tom wierszy Jesienina. Dokładnie taki sam Gleb miał na froncie i zabrano mu go przy areszcie. Robiąc do tego aluzję, Nadia napisała na tytułowej stronie:

„Tak samo będzie ci przywrócone wszystko, coś utracił”.

Ale podpułkownik Klimentiew jeszcze w jej obecności wyrwał tę stronicę z dedykacją i zwrócił mówiąc, że żadnych tekstów w przesyłkach być nie może, że teksty muszą iść oddzielnie do cenzury.

Dowiedziawszy się o tym Gleb zgrzytnął zębami i powiedział: „Żadnych więcej książek mi nie dawaj!”

Dookoła stołu siedziały cztery kobiety, jedna z nich, młoda jeszcze, przyszła z trzyletnią córeczką. Nadia nie знаła żadnej. Przywitała się, tamte odpowiedziały i zaraz wróciły do przerwanej rozmowy.

Pod przeciwległą ścianą, na krótkiej ławie siedziała osobno kobieta lat trzydziestu pięciu albo czterdziestu, w bardzo już zniszczonym futrze; na głowie miała szarą chustkę, której puch zupełnie się już wytarł i widać było wyswiechtane oczka gołej włóczki. Założyła nogę na nogę, splótła dłonie, wyciągnęła ręce i z napięciem wpatrywała się w podłogę. Cała jej poza wyrażała zdecydowaną niechęć do podjęcia rozmowy i kontaktu z kimkolwiek. Nie miała w ręku ani obok siebie niczego, co przypominałoby paczkę.

Kobiety gotowe były przyjąć Nadię do towarzystwa, ale Nadia nie miała na to ochoty - ona też ceniła sobie swój dzisiejszy, osobliwy nastrój. Podeszła więc do siedzącej samotnie kobiety i nie chcąc jej przeszkadzać na krótkiej ławce, zapytała:

- Czy można?

Kobieta podniosła oczy. Były zupełnie bezbarwne. Nie można było zorientować się, czy zrozumiała pytanie Nadii. Patrzyła na Nadię, ale jej nie widziała.

Nadia usiadła, schowała dłonie w rękawach, przechyliła głowę w bok, wtuliła policzek w swój kołnierz z podrabianych karakułów. I zastygła, jak tamta.

Nie miała teraz chęci słyszeć niczego ani myśleć o niczym innym, tylko o Glebie, o rozmowie, którą za chwilę mieli rozpocząć, i o tej tak dawno ciągnącej się sprawie, niknącej we mgle przeszłości i we mgle przyszłości, która nie była tożsama z nim ani z nią, lecz była nią i nim zarazem i nazywana była zwykle wyblakłym słowem „miłość”.

Ale nie udawało się jej całkiem oderwać i nie słyszeć rozmów przy stole. Mówiono tam właśnie, co dają jeść mężom - co się jada rano, co wieczorem, jak często pierze się bieliznę w więzieniu - skąd wiedziały to wszystko! Czy to możliwe, żeby tracić na to minuty widzenia, cenne jak perły? Obliczały, ile też gramów i kilogramów jedzenia przyniosły w swoich paczkach. W tym wszystkim było mnóstwo zapobiegliwej kobiecej troski, która czyni z rodziny - rodzinę i przedłuża trwanie gatunku ludzkiego. Ale Nadia nie myślała tak, tylko przyszła jej do głowy refleksja: jak żałosna jest ta codzienność, jak można tak rozdzielać wielkie chwile na drobne! Czy tym kobietom nie przychodziło do głowy, że lepiej by się zastanowić - kto właściwie śmiał wtrącić do więzienia ich mężów? Przecież mogli być w tej chwili nie za kratą - i nie byłoby im potrzebne to więzienne jedzenie!

Czekanie okazało się długie. Wyznaczono im widzenie o dziesiątej, ale o jedenastej też się jeszcze nikt nie zjawiał.

Najpóźniej ze wszystkich, cała zadyszana, przyszła siódma kobieta, już siwawa. Nadia pamiętała ją, poznały się na jednym z poprzednich widzeń. To była żona grawera - jego trzecia i zarazem pierwsza żona. Sama opowiadała swoją historię bez żadnych oporów; swego męża zawsze ubóstwiała i uważała za wielki talent. Ale on powiedział, że nie urządza go jej psychologiczny kompleks, zostawił ją z dzieckiem i znalazł sobie inną. Z tą rudą wytrzymał trzy lata, ale zabrali go na wojnę. Na wojnie zaraz trafił do niewoli, ale w tych Niemczech żył całkiem swobodnie i tam, bardzo to przykre, też miał jakieś romanse. Kiedy wracał z niewoli, to go na granicy aresztowali i wlepili dziesięć lat. Z Butyrek zdążył zawiadomić rudą, że siedzi i że prosi o paczki, ale ruda powiedziała: „Już by lepiej było, gdyby zdradził mnie, a nie naszą ojczyznę! Łatwiej bym mu wtedy wybaczyła”. I wtedy on zaniósł błaganie do niej, do tej pierwszej żonki - a ona zgodziła się przynosić mu te paczki i chodzić na widzenia - i teraz on już uprasza o przebaczenie i przyrzeka jej wieczną miłość.

Nadia zapamiętała sobie, jak przy tej relacji żona grawera z goryczą mówiła: wychodzi na to, że jeżeli mężowie siedzą w więzieniu, to najlepiej byłoby ich zdradzać, bo wtedy będą nas bardziej cenić, kiedy już wyjdą. Inaczej sobie jeszcze pomyślą, żeśmy nikomu nie były przez ten czas potrzebne, że po prostu nikt nas nie chce. Nadia zapamiętała te słowa, bo czasami jej też to przychodziło do głowy.

Nowo przybyła zmieniła zaraz kierunek rozmowy przy stole. Zaczęła opowiadać o swoich tarapatach z adwokatami w poradni prawnej na ulicy Nikolskiej. Poradnia ta długi czas nosiła tytuł „wzorcowej”. Adwokaci tej poradni ściągali z klientów grube tysiące i byli

częstymi gośćmi moskiewskich restauracji, nie nadając sprawom swoich klientów żadnego biegu. W końcu jednak przebrali miarkę. Wszystkich aresztowano, wszystkim wlepiono po dziesięć lat, zdjęto szyldzik „wzorcową”, ale - już nie w charakterze wzorcowej - poradnia wypełniła się nowymi adwokatami, a ci znów zaczęli ściągać grube tysiące i znów sprawy ich klientów wcale się nie posuwały. Rozmiary tych żądań adwokaci w cztery oczy usprawiedliwiali tym, że muszą dzielić się z kimś, że biorą nie tylko dla siebie. Jak tu było sprawdzić, może oni tam z nikim się nie dzielili, tylko robili przejrzyste aluzje, że się dzielą, że sprawy przechodzą ponoć przez wiele rąk? Przed betonową ścianą prawa bezsilne kobiety stały jak przed butyrskim murem wysokim na czterech chłopów - nie miały skrzydeł, aby wzbić się i przelecieć nad nim, mogły więc tylko kłaniać się nisko przed każdą otwierającą się furtką. Bieg spraw urzędowych za tym murem wydawał im się tajemniczym wirowaniem kół olbrzymiej maszyny, z której jednak wbrew oczywistości winy, wbrew całej sprzeczności interesów oskarżonego i tych, którzy go wsadzili - mogą jednak, jak na loterii, cudem po prostu wyskakiwać szczęśliwe losy. Toteż nie za taki los, lecz za marzenie o wygranej kobiety płaciły adwokatom.

Żona grawera wierzyła niezachwianie, że w końcu wygra. Z jej słów wynikało, że zgromadziła czterdzieści tysięcy - ze sprzedaży pokoju, z tego, co krewni pomogli - i że wszystkie te pieniądze wyszastała na adwokatów. Adwokaci zmieniali się już cztery razy, złożono trzy prośby o łaskę i pięć skarg kasacyjnych; śledziła bacznie tok tych skarg, a tu i ówdzie obiecano już jej nawet przychylnie rozpatrzenie sprawy. Znała z nazwiska wszystkich dyżurnych prokuratorów trzech naczelnych prokuratur, nadyszała się powietrza poczekalni Sądu Najwyższego i Rady Najwyższej. Jak to bywa z wieloma łatwowiernymi ludźmi, zwłaszcza z kobietami, przeceniała znaczenie każdego słowa otuchy i każdego mniej surowego spojrzenia.

- Pisać trzeba! Trzeba do wszystkich pisać! - powtarzała energicznie namawiając inne kobiety do pójścia tą samą drogą. - Nasi mężowie tu się dręczą. Wolność nie przyjdzie do nich sama. Trzeba pisać!

To opowiadanie też wytrąciło Nadię z nastroju i też ją zabolalo. Te, które słuchały pełnych zapału słów starzejącej się żony grawera, bezwiednie musiały dojść do wniosku, że prześcignęła i przechytryła je wszystkie, że uda jej się na pewno wyciągnąć swojego męża z więzienia - i zaraz rodził się wyrzut: a ja? Dlaczego ja nie potrafiłam? Czemu to ja nie okazałam się tak wierną towarzyszką losu?

Nadia tylko raz miała do czynienia z „wzorcową” poradnią, napisała pod okiem adwokata tylko jedną prośbę, zapłaciła mu tylko dwa i pół tysiąca - chyba więc za mało, bo obraził się i palcem nie kiwnął.

- No tak - powiedziała półgłosem, jakby tylko do siebie - czy zrobiłyśmy wszystko? Czy nasze sumienie jest czyste?

Przy stole nie usłyszano jej, rozmowa toczyła się dalej. Ale sąsiadka nagle obróciła głowę ostrym ruchem, tak jakby Nadia ją szturchnęła albo obraziła.

- A co w ogóle można zrobić? - powiedziała z nieprzyjazną dobitnością. - Przecież to wszystko nie ma sensu! Pięćdziesiąty ósmy artykuł - to trzymać podkluczem bezterminowo. Pięćdziesiąty ósmy to nie przestępca, tylko wróg! Z pięćdziesiątego ósmego - nie da się wykupić nawet za miliony!

Twarz miała całą w zmarszczkach. W jej głosie słychać było wystawę, czyste już cierpienie.

Nadia poczuła przyływ serdeczności do tej starszej kobiety. Tonem, który miał zrównoważyć podniosłość słów, odezwała się:

- Chciałam tylko powiedzieć, że nie jesteśmy dość ofiarne... Przecież żony dekabrystów nie pożałowały niczego, zostawiały wszystko, co miały, i szły... Jeżeli nie ma mowy o zwolnieniu - to może chociaż można wyjednać zesłanie? Wystarczyłoby mi, gdyby go zesłali choćby w głąb tajgi, za koło podbiegunowe, tam, gdzie nigdy nie widać słońca - pojechałabym za nim, wszystko bym zostawiła... Kobieta o surowej twarzy zakonnicy, w wytartej szarej chustce, ze zdziwieniem i szacunkiem spojrzała na Nadzię:

- Pani ma jeszcze siły na tajgę? Jaka pani szczęśliwa! Ja nie mam sił na nic. Myślę, że gdyby pierwszy lepszy dobrze sytuowany staruch zgodził się teraz ożenić ze mną - to zaraz bym poszła.

Nadia drgnęła:

- I pani byłaby w stanie porzucić?... A on... za kratą?...

Kobieta wzięła Nadzię za rękaw płaszcza:

- Miła moja! Łatwo było kochać w dziewiętnastym wieku! Żony dekabrystów! Czy to w ogóle było z ich strony bohaterstwo? Czy personalni wzywali je może i kazali wypełniać ankiety? Czy musiały może kryć się ze swoim małżeństwem jak z wstydliwą chorobą? - żeby nie przepędzono z pracy, żeby nie wyzuto z tych jedynych pięciuset rubli miesięcznie? Czy może były bojkotowane we wspólnych mieszkaniach? Czy może na podwórzu, przy

studni syczano na nie, że są wrogami ludu? Czy rodzone matki i siostry skłaniały je może do rozsądku i popychały do rozwodu? Ależ przeciwnie! Gdziekolwiek stąpnęły, snuł się za nimi szmer zachwyty najlepszego towarzystwa. Łaskawie obdarzały poetów legendami o swoich bohaterskich czynach. Ruszając na Sybir we własnych, zbyt kownych karetach, nie traciły razem z moskiewskim meldunkiem nieszczęsnych dziewięciu metrów kwadratowych, ostatniego swojego schronienia i nie myślały nawet o takich drobiazgach, jak plama w książce pracy, jak mieszkanie w komórce - i że garnka nie ma, i że czarnego chleba brak!... Łatwo to powiedzieć - w tajgę! Pani chyba jeszcze bardzo krótko czeka!

Omiał już nie traciła głosu. Tyle pasji było w tych porównaniach, że łzy napłynęły Nadii do oczu.

- Niedługo będzie pięć lat, jak mąż siedzi - sumitowała się - a jeszcze front...

- Frontu proszę nie liczyć! - sprzeciwiła się kobieta ostro. - Na froncie to co innego! To nie tak ciężko czekać! Wszyscy wtedy czekają. Można chociaż otwarcie mówić, czytać listy! A jeżeli trzeba czekać i jeszcze to ukrywać, co??

Tu przerwała. Zobaczyła, że Nadii nie trzeba tego tłumaczyć.

Było już pół do dwunastej. Wszedł nareszcie podpułkownik Klimentiew w towarzystwie tęgiego, patrzącego wilkiem chorążego.

Chorąży zaczął przyjmować paczki, patrosząc fabryczne pudełka biszkoptów i przełamując na pół każdy pasztecik domowego wyrobu. Chrust Nadii też cały połamał, szukając listu albo pieniędzy, czy może trucizny. Klimentiew odebrał od wszystkich zawiadomienia, zapisał odwiedzających do wielkiej księgi, następnie wyprostował się po wojskowemu i oznajmił dobitnie:

- Uwaga! Regulamin jest wam znany? Widzenie - trzydzieści minut. Więźniom niczego dawać nie wolno. Od więźniów niczego nie wolno przyjmować. Zabrania się pytać więźniów o pracę, o warunki życiowe, o rozkład dnia. Wykroczenie przeciw tym przepisom jest prawnie ścigane. Dalej - od dzisiejszego widzenia włącznie zabrania się podawania ręki i pocałunków. W razie przekroczenia tego przepisu - widzenie natychmiast zostanie przerwane.

Przybite kobiety milczały.

- Gerasymowicz Natalia Pawłowna! - wywołał Klimentiew pierwszą z nich. Sąsiadka Nadii wstała z miejsca i twardo postukując przedwojennymi, żelowanymi walonkami, wyszła na korytarz.

Mimo wszystko, mimo że w trakcie oczekiwania musiała sobie popłakać, Nadia wchodziła do pokoju widzeń w świątecznym nastroju.

Kiedy zjawiła się w drzwiach, Gleb już podniósł się z miejsca na jej spotkanie i uśmiechał się. Ten uśmiech trwał tyle co jeden krok jego i jeden krok jej, ale wystarczył, aby wszystko w niej się rozradowało: jest jej tak samo bliski jak dawniej! Nic się między nimi nie zmieniło!

Facet z byczym karkiem, w miękkim, szarym garniturze, przypominający emerytowanego gangstera, podszedł do małego stoliczka i przegrodził w ten sposób wąski pokój, nie pozwalając im zbliżyć się do siebie.

- Ależ chociaż za rękę! - oburzył się Nierzyn.

- Niedozwolone - odparł strażnik, ledwie racząc poruszyć swoją ciężką szczęką.

Nadia uśmiechała się bezradnie, ale dała znak mężowi, żeby nie wszczynał sporu. Usiadła na przygotowanym dla niej foteliku: spod jego skórzanego obicia wyłaziły kłakami pakuły. Krzesło to przeżyło już kilka pokoleń oficerów śledczych, którzy doprowadzili do grobu setki ludzi i sami wkrótce podążyli za nimi.

- No, więc przyjmij najlepsze życzenia! - powiedziała Nadia, starając się mówić z ożywieniem.

- Dziękuję.

- Co za traf - że właśnie dzisiaj!

- Dobra gwiazda...

(Przyzwyczajali się do rozmawiania ze sobą).

Nadia zrobiła wysiłek, żeby nie zwracać uwagi na wzrok nadzorcy i na jego przygniatającą obecność. Gleb starał się siedzieć w ten sposób, żeby chwiejny taboret nie uwierał go.

Mały stoliczek dla podejrzanych rozdzielał ich.

- Żeby już więcej o tym nie mówić: przyniosłam ci tam trochę chrustu, wiesz, takiego, jak mama robiła. Daruj, że nic więcej.

- Głuptasku, tego też nie trzeba! Mamy wszystko.

- Ale chyba chrustu nie ma? A książek nie kazałeś przynosić... Czytasz Jesienina?

Nierzyn spochmurniał. Minął przeszło miesiąc od chwili, gdy ktoś doniósł Szykinowi o Jesieninie. Szykin zabrał książkę twierdząc, że Jesienin jest zabroniony.

- Czytam.

(Wszystkiego pół godziny, gdzie tu czas na detale!) Chociaż w pokoju wcale nie było gorąco, raczej przeciwnie - bo nie palono, Nadia rozpięła i rozchyliła kołnierz - chciała, żeby mąż zobaczył nie tylko uszytą w tym roku szubkę, o której jakoś słowa nie powiedział, lecz również nową bluzkę - i żeby pomarańczowy kolor tej bluzki ożywił trochę jej cerę, na pewno ziemistą w mętnym świetle padającym z tego okna.

Jednym płynnym ślizgiem spojrzenia Gleb ogarnął postać żony - jej twarz i szyję, i wycięcie bluzki. Nadia drgnęła pod tym spojrzeniem - najważniejszym w całym spotkaniu - i cała podała się jakby w jego stronę.

- Masz nową bluzkę. Pokaż.

- A futerko? - zrobiła smutną minkę.

- Futerko?

- Futerko jest nowe.

- A, rzeczywiście! - domyślił się wreszcie Gleb. - Nowe futerko! - i przyjrzał się lepiej czarnym, karbowanym barankom, nie wiedząc nawet, że to karakuły, mniejsza, sztuczne czy prawdziwe, i w ogóle będąc ostatnim spośród tych, którzy potrafiliby odróżnić imitację za pięćset rubli od futra za pięć tysięcy.

Obsunęła teraz futerko z ramion. Zobaczył jej szyję, po dawnemu krągłą i panięską, szczupłe ramiona, które niegdyś ścisnął w objęciach, a pod marszczeniami bluzki - piersi zwiotczałe w ciągu tych lat.

I krótka, przykra myśl, że ona ma - jakby nigdy nic - nowe stroje, nowe znajomości, na widok tych zwiotczonych piersi ustąpiła miejsca gryzącemu współczuciu; koła szarej karetki więziennej stłamsiły także jej życie.

- Jesteś chudziutka - powiedział z ubolewaniem - powinnaś się lepiej odżywiać. Nie możesz jadać lepiej?

„Jestem nieładna?” - mógł przeczytać w jej spojrzeniu.

„Jesteś wciąż tak samo cudowna” - odpowiedział jej wzrokiem. (Chociaż te słowa nie należały do zakazanych przez podpułkownika, ale nie sposób było wymówić je przy kimś obcym...) - Dobrze się odżywiam - skłamała. - Po prostu życie takie niespokojne, ciągle szarpanina.

- Opowiedz, jak to jest.

- Nie, naprzód ty.

- Ach, co tam ja? - uśmiechnął się Gleb. - Jako tako.

- Bo widzisz... - zaczęła ze skrepowaniem.

Nadzorca stał o pół metra od stolika i - tęgi, podobny do buldoga - patrzył z góry na dół na tę parę z takim skupieniem i taką pogardą, jaką widać na mordach kamiennych lwów patrzących sprzed wrót na przechodniów.

Koniecznien trzeba było *znaleźć* jakiś ton niedostępny jego rozumieniu, skrzydlaty język półaluzji. Wyższość ich inteligencji, z której oboje zdawali sobie dobrze sprawę, powinna była im zapewnić znalezienie tego tonu.

- To twój garnitur? - przerzuciła się na inny temat.

Nierzyn zmrużył oko i komicznie potrząsnął głową.

- Gdzie tam! Pełni potiomkinowskie funkcje. Na trzy godziny. Nie przejmuj się sfinksem.

- Kiedy nie mogę - wysunęła smutnie wargi z dziecięcą kokieterią, już pewna, że dalej mężowi się podoba.

- Mamy już zwyczaj rozpatrywać to w aspekcie humorystycznym.

Nadia przypomniała sobie rozmowę z panią Gerasymowicz i westchnęła.

- A my nie.

Nierzyn spróbował objąć kolanami kolana żony. Ale poprzeczka stolika - umieszczona na takiej wysokości, aby podejrzany nie mógł wyprostować nóg - nie pozwoliła mu na to. Stolik zachwiał się. Opierając się na nim łokciami, pochylony w stronę Nadii, Gleb powiedział z rozdrażnieniem:

- No i tak wszędzie. Same przeszkody.

„Jesteś moja? Moja?” - pytał spojrzeniem.

„Jestem tą, którą kochałeś. Nie zmieniłam się na gorsze! Wierz mi!” - błyszczało w jej szarych oczach.

- A jak tam z kłopotami przy pracy? No, opowiadaj. Więc już nie jesteś na aspiranturze?

- Nie.

- Więc obroniłaś już pracę dyplomową?

- Też nie.

- Jak to możliwe?

- A tak... - i zaczęła mówić bardzo szybko, przestraszona, że dużo już czasu minęło. -

Nikommu trzech lat nie starcza na obronę pracy, więc przedłużają, dają dodatkowe terminy. Na przykład jedna z aspirantek pisała dwa lata rozprawę „Problemy żywienia zbiorowego” i kazali jej zmienić temat... (Ach, po co to wszystko? To w ogóle nieważne!...) - ... Moja rozprawa jest gotowa i przepisana, ale wciąż jakieś nowe przeróbki... („Walka z czołobitnością wobec Zachodu” - ale czy to człowiek zdoła tu wyjaśnić?...) - ... i te różne odbitki, fotografie, jeszcze nie wiadomo, jak i gdzie oprawię. Trzeba tylu zabiegów...

- Ale stypendium dostajesz?

- Nie.

- Z czego się więc utrzymujesz?

- Z pensji.

- Więc pracujesz? Gdzie?

- Też tam, na uniwersytecie.

- Kim tam jesteś?

- Nieetatowe, przyszywane stanowisko, rozumiesz? W ogóle, wszędzie na ptasi sposób... W bursie też jestem ptasim prawem. Ja właściwie...

Zerknęła bokiem na strażnika. Miała zamiar powiedzieć, że na milicji powinni byli już dawno ją wymeldować ze Stromynki i tylko omyłkowo przedłużyli jej moskiewski meldunek jeszcze na pół roku. To mogło wyjść na jaw każdego dnia! Ale tym bardziej nie można tego było mówić w obecności sierżanta MBP...

- ... przecież dzisiejsze widzenie też dostałam... to było tak...

(Ach, ale w ciągu pół godziny wszystkiego nie opowie!...) - Zaczekaj, o tym potem. Chcę cię zapytać, czy nie masz kłopotów związanych ze mną?

- Są nawet bardzo ewidentne, kochany... Dają mi... chcą mi dać spectemat... Próbuję się wymówić...

- Co to znaczy - spectemat?

Westchnęła bezradnie i znów zerknęła na strażnika. Jego gęba, napuczona tak, jakby czyhał na okazję do nagłego szczeknięcia albo odgryzienia jej głowy, wisiała nie dalej niż o metr od ich twarzy.

Nadia rozłożyła ręce. Musiałaby wyjaśnić, że nawet na uniwersytecie prawie nie prowadzono już badań nie poufnych. Powierzenie zaś komuś zadania poufnego oznaczało nową, jeszcze bardziej szczegółową ankietę, dotyczącą męża, krewnych męża i powinowatych tych krewnych. Jeśli napisze tam: „Mąż skazany na podstawie

pięćdziesiątego ósmego artykułu”, to nie tylko nie dadzą tego tematu, ale nawet nie pozwolą bronić pracy dyplomowej. Jeżeli poda fałszywe dane - „mąż zginął bez wieści”, to będzie musiała tak czy owak wymienić jego nazwisko - a wtedy wystarczy sprawdzić w kartotece MSW i będzie sądzona za wprowadzenie władzy w błąd. Istniała jeszcze trzecia możliwość. Ale starając się nie myśleć o niej, bo czuła na sobie uważne spojrzenie Gleba, Nadia zaczęła opowiadać z ożywieniem:

- Wiesz, jestem w uniwersyteckim kółku dramatycznym. Wciąż nas posyłają na jakieś występy. Niedawno grałam w Sali Kolumnowej i to w programie z udziałem Jakuba Żaka, tego pianisty...

Gleb uśmiechnął się i pokiwał głową, jakby nie mógł uwierzyć.

- ... W ogóle to był wieczór dla związków zawodowych, przypadkiem tak się złożyło, no, ale jednak... i wiesz, śmieszna historia - najlepszą moją suknię odrzucili, powiedzieli, że nie mogę w niej wyjść na scenę, zadzwonili do teatru, przywieźli mi inną, wspaniałą, do samej ziemi.

- Zagrałaś w niej - i zaraz kazali zdjąć?

- Aha. I w ogóle, to dziewczęta mają mi za złe, że interesuję się muzyką. A ja im powiadam: lepiej interesować się czymś niż kimś...

Nierzyn patrzył na żonę z wdzięcznością i niepokojem.

- Chwileczkę, ale jak z tym spectematem...

Nadia zacięła się i schyliła głowę.

- Chciałam ci powiedzieć... Tylko się nie przejmuj - to *nicht wahr* - kiedyś sam tak nalegałeś, żebyśmy się... rozwiedli... - dokończyła zdania zupełnie cicho.

(To była właśnie ta trzecia możliwość - jedyna, dająca jakąś szansę w życiu!...

- to znaczy, żeby pisać nie „rozwódka”, bo w ankiecie i tak, rzecz jasna, trzeba by podać nazwisko byłego męża i obecny adres byłego męża i nazwiska rodziców byłego męża, a nawet ich rok urodzenia, zawód i adres - tylko, żeby pisać „niezamężna”. A w tym celu trzeba było przeprowadzić rozwód skrycie, w jakimś innym mieście.) Owszem, kiedyś nalegał... A teraz aż zadrżał. I dopiero w tej chwili zauważył, że Nadia nie ma na ręku obrączki, z którą nigdy się nie rozstawała.

- Ależ tak, oczywiście - powiedział bardzo stanowczym tonem.

Tą dłonią bez obrączki Nadia tarła stół tak, jakby mięła ręką twarde ciasto na kluski.

- Więc czy... czy ty będziesz miał coś przeciw temu... jeżeli... trzeba będzie tak

zrobić?... - podniosła głowę z wysiłkiem. Miała rozszerzone oczy. W jej szarych, promieniście cętkowanych tęczówkach paliła się prośba o łaskę, o zrozumienie.

- To tylko pseudo - dodała bezdźwięcznie, samym tylko oddechem.

- Brawo. Najwyższy czas! - powiedział Gleb z akcentowaną stanowczością, nie mając w głębi duszy ani pewności, ani przekonania i odsuwając na później, po widzeniu wszelkie refleksje.

- Może to się okaże zbędne! - powiedziała błagalnym tonem i naciągnęła znów palto na ramiona; miała w tej chwili wygląd zmęczony, udręczony. - Ja tylko tak, na wszelki wypadek, żeby uzgodnić samą zasadę. Może obejdzie się bez tego.

- Nie, dlaczego, masz słuszną rację, brawo - powtarzał Gleb wciąż to samo, wewnątrz zaś przygotowywał się już do powiedzenia jej wreszcie o tej najtrudniejszej sprawie z jego spisu.

- Najważniejsze, kochana, żebyś miała jasną świadomość rzeczy. Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei w związku z końcem mojego wyroku!

Sam Nierzyn był kompletnie przygotowany do dalszego, bezterminowego siedzenia w więzieniu, co stało się już udziałem wielu jego towarzyszy. Nie mógł o tym żadną miarą jej napisać, więc musiał powiedzieć teraz. Na twarzy Nadii pojawił się wyraz lęku.

- Wyrok, termin - to pojęcia umowne - tłumaczył jej Gleb oschle i szybko, akcentując w zdaniu zupełnie przypadkowe wyrazy, żeby nadzorcę zbić z tropu. - Przeszłość może wrócić - po spirali. Historia zna mnóstwo przykładów. A jeżeli nawet rzecz cudem znajdzie swój finał, to nie trzeba myśleć, że wrócimy razem do naszego miasta, do naszego dawnego życia. W ogóle zrozum to, uświadom to sobie i zapamiętaj, że do krainy przeszłości nie sprzedaje się już biletów. Ja, na przykład, najbardziej żałuję, że nie jestem szewcem. Jak to się może przydać w jakiejś, powiedzmy, osadzie wśród tajgi, gdzieś za Krasnojarskiem czy w dolnym biegu Angary! Trzeba szykować się tylko do takiego życia.

Cel został osiągnięty: emerytowany gangster nawet nie drgnął, zdążył tylko spłoszonymi mrugnięciami kwitować wypowiedziane przez Gleba myśli.

Ale Gleb zapomniał - nie, nie zapomniał, nie rozumiał (jak nie rozumeli oni wszyscy), że ci, co przyzwyczaili się do stąpania po ciepłej, szarej ziemi - nie potrafią tak raptownie wzbić się nad zamarźnięte skały, nie potrafią. Nie rozumiał, że jego żona - dziś tak samo jak na początku - niestrudzenie i metodycznie liczyła dni i tygodnie jego kary. We własnym pojęciu otwierała się przed nim jasna, chłodna nieskończoność, ona zaś liczyła, że

zostało jeszcze dwieście sześćdziesiąt cztery tygodnie, sześćdziesiąt jeden miesięcy, nieco więcej niż pięć lat - znacznie więc mniej, niż minęło od chwili, gdy wymaszerował na wojnę, żeby już z niej nie wrócić.

Jego słowa sprawiły, że lęk na twarzy Nadii zamienił się w przerażenie.

- Nie, nie! - zaczęła wykrzykiwać szybko. - Nie mów tak do mnie, kochany! (już zapomniała o nadzorcy, już nie wstydziła się swoich uczuć). Nie odbieraj mi nadziei! Nie chcę w to uwierzyć! Nie mogę uwierzyć temu! To się po prostu nie może zdarzyć!... Czy ty mogłeś przypuścić, że ja cię naprawdę porzucę?!

Jej górna warga drgnęła, twarz skaził grymas, jej oczy pełne były oddania, samego tylko oddania.

- Wierzę, wierzę, kochaneńka ty moja! - Glebowi głos się załamał. - Tylko tak to rozumiałem.

Zamilkła, wyczerpało ją to podniecenie.

W otwartych drzwiach pokoju zjawił się zuchowaty, czarniawy podpułkownik, bacznie przyjrzał się trzem pochylonym ku sobie głowom i skinął na strażnika.

Były gangster odszedł od stolika z taką niechęcią, jakby odrywano go od deseru, i zbliżył się do podpułkownika. O cztery kroki za plecami Nadii zamienili zaledwie kilka słów, ale Gleb zdążył przez ten czas zapytać przyciszonym głosem:

- Znasz żonę Sołogdina?

Nadia, mając już długą zaprawę, szybko się dostosowała:

- Znam.

- Wiesz, gdzie mieszka?

- Wiem.

- Nie dają mu widzeń, powiedz jej, że on...

Gangster wrócił do stolika.

- ... kocha! Wierzy w nią! Nie traci nadziei! - dzieląc sylaby powiedział Gleb już w jego obecności. Nie wiedzieć czemu, właśnie w obecności tego gangstera, słowa Sołogdina przestały mu dźwięczeć zbyt podniośle.

- Kocha - wierzy w nią - nie traci nadziei - powtórzyła Nadia ze smutnym westchnieniem. I spojrzała na męża z nową uwagą. Obserwowała go latami, z całą kobiecą wnikliwością, znała już w nim wszystko, ale teraz zobaczyła go jakby na nowo.

- Do twarzy ci - powiedziała z odcieniem żalu.

- Z czym?

- Ze wszystkim. Z tym, co tu jest, z całym tym życiem - starała się zamaskować sens, zmieniając ton i barwę głosu tak, aby zmylić nadzorcę.

Ale ta aureola nie czyniła go jej bliższym.

Nadia także obiecywała sobie, że dopiero później, po widzeniu, przemyśli sobie i zgłębi wszystko, co teraz zobaczyła i czego się dowiedziała. Nie miała jeszcze pojęcia, czym to się skończy, ale już teraz, zawczasu, szukała intuicyjnie w nim słabości, zmęczenia, niemocy, wołania o pomoc - tego wszystkiego, co dla kobiety jest powodem, by poświęcić resztę życia, czekać choćby jeszcze drugie dziesięć lat i pojechać w ślad za nim w głąb tajgi.

Ale on uśmiechał się! Uśmiechał się z taką samą pewnością siebie, jak wtedy na Krasnej Presni! Zawsze był samowystarczalny, nigdy nie było mu potrzeba niczyjego współczucia. Na gołym, malutkim taborecie tak siedział, jakby mu było całkiem wygodnie, rozglądał się tak, jakby doznawał satysfakcji, że tu też znajduje materiał do swoich wniosków. Wyglądał zdrowo, oczy mu błyszczały. Czy w ogóle potrzebne mu było jej oddanie?

To wszystko nie zdążyło jeszcze stać się świadomą myślą.

Gleb zaś nie odgadł, o jakie ona myśli się otarła.

- Już czas! - powiedział Klimentiew stając w drzwiach.

- To już? - zdumiała się Nadia.

Gleb zmarszczył czoło, starając się przypomnieć sobie, co jeszcze tak ważnego zawarte było w spisie, który wbił sobie w pamięć przed widzeniem.

- Aha! Nie dziw się, jeżeli mnie stąd przeniosą gdzieś daleko, jeżeli zupełnie przestaną nadchodzić listy.

- To możliwe? Dokąd?! - zawołała Nadia.

Taką nowinę mówi dopiero teraz!

- Bóg wie - powiedział poważnie i wzruszył ramionami.

- Cóż to, w Boga zacząłeś wierzyć!?

(O niczym nie zdążyli pomówić!) Gleb uśmiechnął się:

- Pascal, Newton, Einstein...

- Komu było powiedziane - żadnych nazwisk! - wrzasnął nadzorca. - Kończyć, kończyć już!

Mąż i żona podnieśli się z miejsc równocześnie i teraz, już bez ryzyka, że pozbawią go

widzenia - Gleb nad stolikiem objął Nadię za szczupły kark, pocałował ją w szyję i wpił się w miękkie wargi, których całkiem już zapomniał. Nie miał nadziei, że za rok będzie jeszcze w Moskwie i że znów je ucałuje. Głos drgnął mu z przyływu czułości:

- Rób wszystko tak, żeby dla ciebie było najlepiej. A ja...

I nie skończył zdania.

Patrzyli sobie z bliska w oczy.

- Co to ma być? Co ma być? Odbieram widzenie! - wrzeszczał nadzorca i odciągał Nierżyna za ramię.

Nierżyn oderwał się od stołu.

- A odbieraj, lichy cię weź - mruknął prawie niedosłyszalnie.

Nadia cofała się tyłem do drzwi, podniosła dłoń i samymi tylko palcami bez pierścionka kiwała mężowi na pożegnanie. I zniknęła tak za futryną. Państwo Gerasymowicz pocałowali się na powitanie.

Mąż był niziutki, ale żona obok niego wcale nie wydawała się wyższa.

41

Nadzorował ich chłopak prosty i cichy. Wcale im tego pocałunku nie żałował. Krępowoło go nawet, że musiał zawadzać im przy spotkaniu. Już by wolał nawet odwrócić się do ściany i postać tak przez te pół godziny, ale gdzie tam: podpułkownik Klimentiew kazał pootwierać wszystkie siedmioro drzwi na korytarz, aby stamtąd samemu nadzorować nadzorców.

Podpułkownikowi też wcale nie zależało na zabranii ludziom pocałunków, wiedział dobrze, że nie zostaną przy tej czynności zdradzone żadne sekrety państwowej wagi. Ale sam miał się na baczności przed własnymi nadzorcami i własnymi więźniami - niektórzy z nich byli informatorami - i mogli kapować na samego Klimentiewa.

Państwo Gerasymowicz pocałowali się więc.

Ale nie był to jeden z tych pocałunków, które kazały im drzeć niegdyś, w młodości. Pocałunek ten, skradziony władzom i losowi, był pocałunkiem bez barwy, bez smaku i zapachu - pocałunkiem bladym, takim, jakim obdarza się umarłego, który zjawił się nam we śnie.

A potem usiedli, przedzieleni stolikiem dla podejrzanych; stolik miał blat ze sfałdowanej sklejki.

Ten mały, byle jak sklecony stolik miał historię bogatszą niż niejedna ludzka istota.

Przez wiele lat z rzędu siedzieli przy nim, płakali przy nim, mdleli ze strachu, walczyli z niszczycielską bezsennością, rzucali dumne i gniewne słowa albo podpisywali nędzne donosy na bliźnich - aresztanci, mężczyźni i kobiety. Nie dawano im zwykle do rąk ołówków ani piór - chyba tylko dla pisania osobistych wersji zeznań, co zdarzało się rzadko. Ale nawet piszący te zeznania potrafili pozostawić na nierównym blacie ślady swojej bytności - dziwne, faliste albo kanciaste linie i figurki, jakie rysuje się bezwiednie i w których odbijają się tajemniczym sposobem sekrety ludzkich dusz.

Gerasymowicz przyglądał się swojej żonie.

Jego pierwszą myślą było - jak też zbrzydła! Oczy w głębokich obwódkach, zmarszczki koło ust i oczu, cera zwiotczała; wydawało się, że Natasza zupełnie już o nią nie dba. Paletko nosiła przedwojenne jeszcze, dawno już prosiło się choćby o przeniecie, futro na kołnierzu wytarło się i wyliniało, a chustka - chustka była przedpotopowa, zdaje się, kupiona jeszcze w Komsomolsku nad Amurem, na przydział, w Leningradzie chodziła w niej po wodę, do Newki.

Ale Gerasymowicz zdusił w sobie tę podłą myśl, że żona zbrzydła, myśl podnoszącą łeb z samych nizin świadomości. Siedziała przed nim kobieta jedyna na świecie, jego druga połowa. Miał przed sobą kobietę, z którą splatało się wszystko, co jego własna pamięć zachowała. Jakaż inna dziewczyna, najładniejsza nawet, ale z obcą, niedostępną jego rozumieniu duszą, pełną zupełnie innych, króciutkich wspomnień - mogłaby przesłonić mu żonę?

Natasza nie miała jeszcze osiemnastu lat, kiedy poznali się w pewnym mieszkaniu na Średniej Podjaczskiej, koło Lwiego Mostku, w samą noc noworoczną tysiąc dziewięćset trzydziestego roku. Za sześć dni minie dwudziesta rocznica. Teraz, patrząc wstecz, widać wyraźnie, czym był dla Rosji rok Dziewiętnasty albo Trzydziesty. Ale każdy nowy rok staje w różowej masce przed ludzkimi oczyma i nie sposób odgadnąć, co będzie kojarzyło się w pamięci ludu z tą kolejną cyfrą. Tak samo wierzono więc w rok Trzydziesty.

Natasza skończyła zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy aresztowano go po raz pierwszy. Za sabotaż...

Pierwsze lata pracy inżyniera Hilarego Pawłowicza Gerasymowicza zbiegły się z okresem, kiedy termin „inżynier” jeszcze jakoś mało się różnił od terminu „wróg”. Do dobrego tonu należało widzieć w każdym inżynierze - sabotażystę. A ponadto Gerasymowicz takie odebrał wychowanie, że kłaniał się każdemu grzecznie, czy trzeba, czy nie trzeba, i

mówił „przepraszam najmocniej” bardzo unizonym tonem. A na zebraniach wołał wcale się nie odzywać i siedział cicho jak myszka. Sam nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wszystkich drażni.

Ale chociaż bardzo chciano przyszyć mu cokolwiek, sprawa w żaden sposób nie dała się naciągnąć na więcej niż na pięć lat. A nad Amurem - zaraz uwolniono go spod konwoju. I narzeczona przyjechała w ślad za nim na zesłanie, aby wziąć tam ślub.

Rzadko której nocy nie śnił się wtedy im obojgu Leningrad. I już mieli wracać tam, w trzydziestym piątym. Ale wtedy właśnie zaczęły walić im na spotkanie całe tłumy: to była nowa branka, po zamordowaniu Kirowa.

Natalia Pawłowna też teraz wpatrywała się w męża. Ta twarz zmieniała się kiedyś w jej oczach, twardniały te wargi, błyskały przez szkła tych binokli coraz chłodniejsze, coraz surowsze spojrzenia. Hilary zaprzestał kłaniania się na wsze strony, przestał powtarzać swoje „najmocniej przepraszam”. Ciągle mu wytykano teraz przeszłość, tu go wyrzucano z pracy, ówdzie - dawano etat niższy niż pozwalały kwalifikacje, jeździli wciąż z miejsca na miejsce, klepali biedę, stracili córeczkę, stracili synka. I machnąwszy już na wszystko ręką postanowili wrócić do Leningradu. Akurat w czerwcu czterdziestego pierwszego roku...

Tym bardziej tutaj nie mogli urządzić się znośnie. Ankieta wisiała nad Gerasymowiczem. Ale on, to widmo laboratoryjne, wcale nie cherłał od takiego życia, tylko zmęźniał. Zniósł dobrze jesienne kopanie umocnień. A gdy spadł pierwszy śnieg, został grabarzem.

Złowieszcze to rzemiosło było w oblężonym mieście zajęciem najbardziej niezbędnym i najbardziej dochodowym. Żeby oddać ostatnią posługę swoim zmarłym - pozostali przy życiu gotowi byli wyrzec się swojej nędznej kromki chleba.

Nie można było jeść tego chleba bez dreszczu! Ale Hilary znalazł takie oto usprawiedliwienie - nas nikt nie żałował, to i my nie będziemy żałować nikogo!

Udało im się obojgu uratować życie. Tylko po to, aby jeszcze przed końcem blokady Hilary został aresztowany za zamiar zdrady kraju (w Leningradzie wzięto wielu właśnie tak - za z a m i a r, bo nie można było przecież przypisywać zdrady komuś, kto nie był nawet pod okupacją. A Gerasymowicz, ho, ho, już był w łagrze i przyjechał do Leningradu na początku wojny - ani chybi po to, żeby znaleźć się u Niemców. Żonę też by przytrzasnęli, ale akurat była śmiertelnie chora.

Natalia Pawłowna przyglądała się teraz mężowi, ale - rzecz dziwna - nie dostrzegła w

nim śladów tych ciężkich lat. Zza błyszczących binokli oczy jego spoglądały z rozumną powściągliwością. Nie miał zapadłych policzków, nie widać było zmarszczek, garnitur miał z dobrego materiału, krawat - starannie zawiązany.

Można było pomyśleć, że to nie on, tylko ona siedziała w więzieniu.

I jej pierwszą niedobłą myślą było, że w tym specwężeniu nieźle mu się widać żyje, pewno, przecież on nie wie, co to szykany, zajęty jest swoją działalnością naukową i nawet nie pomyśli, co żona musi wycierpieć.

Ale teraz odpędziła od siebie tę złą myśl.

I zapytała słabym głosem:

- No, jak tam u ciebie?

Tak, jakby trzeba było przez dwanaście miesięcy czekać na to widzenie, przez trzysta sześćdziesiąt nocy wspominać męża na wychłodłym wdowim łóżku, żeby spytać: „No, jak tam u ciebie?”

I Gerasymowicz, z zamkniętym w wąskiej piersi całym tym życiem, które nigdy nie pozwoliło siłom jego umysłu rozprężyć się i rozkwitnąć, z całym światem więźniarskiego żywota w tajdze i na pustyni, w śledczych pojedynkach, a teraz - wśród wygod zakładu zamkniętego, odpowiedział:

- Tak sobie...

Mieli przydzielone dla siebie pół godziny. Ziarenka sekund niecofnioną strużką sypały się w szklane gardło Czasu. Dziesiątki pytań, życzeń, skarg szukały sobie ujścia przed innymi - Natalia Pawłowna zaś zapytała:

- Kiedyś dowiedział się o widzeniu?

- Przedwczoraj. A ty?

- We wtorek... Podpułkownik zapytał mnie przed chwilą, czy nie jestem przypadkiem twoją siostrą.

- Bo to samo imię ojca?

- Właśnie.

Kiedy byli jeszcze narzeczeństwem, a także później, nad Amurem, wszyscy brali ich za rodzeństwo. Mieli w sobie to szczęśliwe zewnętrzne i wewnętrzne podobieństwo, które czyni z męża i żony coś więcej niż stadło małżeńskie.

Hilary Pawłowicz zapytał:

- Jak tam z twoją pracą?

- Dlaczego pytasz? - drgnęła cała. - To już wiesz?

- Bo co takiego?

Wiedział coś niecoś, ale nie miał pojęcia, czy wie to, co wie ona.

Wiedział, że na wolności żony więźniów są prześladowane.

Ale skąd miał wiedzieć, że zeszłej środy żonę wyrzucono mu z pracy, bo była jego żoną? Przez te trzy dni, wiedząc już o zbliżającym się terminie widzenia, nie szukała sobie nowej pracy - czekała na spotkanie z mężem, jakby zdarzyć się mógł jakiś cud i nowe światło mogło opromienić na tym widzeniu jej całe życie, wskazując właściwą drogę.

Ale jakąż drogę mógł jej wskazać on, tyle lat już siedzący za kratą i wcale nie orientujący się w stosunkach zewnętrznych?

A chodziło też o niebłahą radę: wyrzec się go czy nie wyrzec...

W tym szarym, źle opalonym gabinecie, w mętnej jasności zakratowanego dnia - mijały minuty widzenia i gasła nadzieja na cud.

I Natalia Pawłowna rozumiała, że w ciągu tej biednej pół godziny nie zdoła dać mężowi pojęcia o swojej samotności i udręce, że jego życie toczy się po jakichś własnych torach, na swój uregulowany sposób i że i tak on nic nie zrozumie, a może lepiej wcale go nie denerwować.

Nadzorca odszedł na bok i jął przyglądać się tynkowanej ścianie.

- Powiedz, powiedz coś o sobie - mówił Hilary Pawłowicz trzymając nad stołem dłonie żony w swoich dłoniach i w jego oczach świeciła się ta sama serdeczność, która zapalała się dla niej nawet podczas najokrutniejszych miesięcy blokady.

- Larku! A nic ci tu się nie... będzie... zalicza ć?...

Chodziło jej o stosowany w obozie nad Amurem tryb zaliczania każdego dnia przepracowanego - jako dwóch dni kary, przez co jej odsiadywanie kończyło się wcześniej.

Hilary pokiwał głową przecząco:

- Skąd! Tu nigdy żadnych zaliczeń nie było, sama wiesz przecież. Tu trzeba mieć na koncie jakiś wielki wynalazek - tak, wtedy skracają karę. Ale sęk w tym, że tutejsze wynalazki... - zerknął spod oka na nadzorcę, który stał już w półobrocie - mają charakter... nader niepożądany...

Litera instrukcji wprawdzie bezpośrednio nie zabraniała łez, ale jej prawdziwy duch nie dawał na nie prawa.

Nie był w stanie mówić jaśniej!

Wziął obie dłonie żony i ocierał się o nie lekko policzkami. Tak, w skutym lodem Leningradzie brał bez jednego drgnienia dzienną rację chleba za pochówek od kogoś, kto jutro już sam miał być pochowany. A teraz - nie mógł...

- Smutno ci samej? Bardzo smutno, co? - pytał pieszczotliwie i muskał policzkiem dłoń żony.

Smutno?... już w tej chwili drętwiała przecież na myśl, że widzenie przecieknie między palcami, że zaraz się skończy, że wyjdzie z pustymi rękoma na Wał Lefortowski, na ponure ulice - sama, sama, sama... Otepiająca bezcelowość każdego zajęcia i każdego dnia. Ani słodkie to, ani ostre, ani gorzkie - życie jak szara wata.

- Natałko! - gładził jej ręce. - Jeżeli porównać z tymi dwoma wyrokami, to przecież całkiem mało już zostało. Tylko trzy lata. Tylko trzy...

- Tylko trzy?! - przerwała mu ze wzburzeniem, poczuła, że głos jej drży i już przestała nad nim panować. - Tylko trzy?! Dla ciebie to tylko! Dla ciebie to dosyć, Bogu dziękować, że charakter niepożądany! Ty jesteś tu wśród przyjaciół! Ty masz tu swoją ulubioną pracę! Ciebie tu nie zapraszają do gabinetów, za drzwi obite materacem! A ja - dostałam wymówienie! Nie mam już pieniędzy na życie! Nigdzie mi nie dadzą pracy! Ja już nie mogę dłużej! Nie mam już sił! Nie przeżyję już tak nawet miesiąca! Miesiąca! Lepiej, żebym zaraz umarła! Sąsiedzi pomiatają mną, jak im się żywnie podoba, wyrzucili moją walizkę, zerwali moją półkę ze ściany - wiedzą, że nie śmiem pisnąć... że mogę być wysiedlona z Moskwy! Przestałam chodzić w odwiedziny do sióstr, do cioci Żeni, one wszystkie robią sobie ze mnie pośmiewisko, mówią, że takiej drugiej idiotki nie ma pewno na świecie! Wciąż mnie tylko namawiają, żebym się z tobą rozwiodła i wyszła za mąż. Kiedy to się skończy? Spójrz, co się ze mnie zrobiło! Mam trzydzieści siedem lat! Za trzy lata będę już stara! Wracam do domu - i nie gotuje obiadu, nie sprzątam pokoju, zniecierpliwiłam go, padam na kanapę i leżę tak bez sił. Larku, rodzony, no zrób coś, żeby wypuścili cię wcześniej! Toć masz genialną głowę! No wymyśl im coś! Ra-tuj mnie! - Ra-tuj! Ra-tuj!

Wcale nie chciała tego mówić, już tego żałowała!... Trzęsąc się od łkań i całując drobną dłoń mężowską, przypadła głową do nierównej, szorstkiej powierzchni stolika, który widział już wiele takich łez.

- No, niech się obywatelka uspokoi, nie trzeba - powiedział strażnik skruszonym tonem, z bojaźnią zerkając na otwarte drzwi.

Twarz Gerasymowicza zastygła w grymasie, za binoklami coś zalśniło. Łkanie

rozlegało się aż w korytarzu. Podpułkownik stał w drzwiach z groźną miną, spojrzał pogardliwie na plecy siedzącej kobiety i sam zamknął drzwi.

42

- Ależ nic nadzwyczajnego: trzeba rozcieńczyć trochę zwykłego chlorku do prania i pędzelkiem po paszporcie szast-prast... Trzeba tylko wiedzieć, ile minut ma działać - i zaraz zmyć.

- No, a później co?

- A jak wyschnie, to ani śladu - czysty, jak nowy, można zaraz siadać i znów naskrobać tuszem, że Sidorow albo jaki Pietruszyn, urodzony we wsi Kryuszy...

- I ani razu panu noga się nie powinęła?

- Przy tej robótce? Klaro PietrownaL. Albo może... Tylko czy pani wybaczy mi taką śmiałość?... _ 7

- ... i pozwoli mi mówić - póki nikogo tu nie ma - po prostu Klara?...

- ... Niech pan mówi...

- Więc rozumie pani, Klaro, pierwszy raz wpadłem tylko dlatego, że byłem bezbronnym i naiwnym pacholęciem. Ale za drugim razem - hoho! I wytrzymałem mimo tych ogólnokrajowych listów gończych nie w byle jakim czasie, tylko od końca czterdziestego piątego do końca czterdziestego siódmego, to znaczy, że musiałem podrabiać nie tylko paszport i nie tylko stemple meldunkowe w nim, ale też zaświadczenie z miejsca pracy, zaświadczenie na kartki żywnościowe i dowód przydziału do sklepu! Jeszcze nawet dodatkowe kartki na chleb udało mi się dostawać - sprzedawałem je i z tego żyłem.

- Ale to przecież... bardzo niedobra rzecz...

- A kto mówi, że dobra! Zmuszono mnie do tego, nie ja to wymyśliłem.

- A nie mógł pan po prostu pracować?

- „Po prostu” wiele człowiek nie zarobi. Cierpliwością i pracą ludzie zdrowie tracą, wie pani? I kim bym właściwie był? Nie pozwolili mi zdobyć fachu... Wpadać - nie wpadałem, ale zdarzały mi się omyłki. Na Krymie jedna dziewczyna z wydziału paszportowego... tylko proszę zaraz nie pomyśleć, że coś tam nas łączyło... po prostu taka litościwa dusza, więc zdradziła mi tajemnicę, że w samej serii mego paszportu, wie pani, te wszystkie ŻS, LC - zawarte są poufne wskazówki, że byłem pod okupacją.

- Ale przecież pan nie był!

- Fakt, ja nie byłem, ale paszport przecież był nie mój! I musiałem przez to kupować

nowy.

1

- Gdzie?

- Klaro, mieszkała pani w Taszkencie, bywała pani na Tiozykowym bazarze i pyta pani - gdzie?! Miałem tam chęć kupić sobie jeszcze order Czerwonego Sztandaru, dwóch tysięcy mi zabrakło, miałem przy sobie osiemnaście, a on się uparł - dwadzieścia mu daj i tyle!

- A na co panu był order?

- A na co innym ordery? Tak sobie, po prostu chciałem zadać trochę szyku, że też byłem na froncie. Ba, gdybym to ja miał taką trzeźwą głowę jak pani...

- Skąd pan to wziął, że taka jestem trzeźwa?

- Trzeźwa, chłodna i jeszcze to spojrzenie, takie... rozsądne.

- Akurat!

- Całe życie marzyłem, żeby spotkać dziewczynę obdarzoną trzeźwym rozsądkiem.

- A po co panu taka?

- A bo sam jestem wartogłów, więc żeby mi nie pozwalała robić głupstw.

- No, niech pan dalej opowiada, proszę.

- Na czym to stanąłem? Aha! Kiedy wyszedłem z Łubianki, to aż mi się w głowie kręciło ze szczęścia. Ale gdzieś został i siedzi dalej taki mały stróż i wciąż pyta: co za cuda? Jak to możliwe? Przecież nikogo nigdy nie puszczają wolno, to już mi pod celą dokładnie wyjaśnili: winien, nie winien - dziesięć w zęby, piątka na przy tarcie rogów - i jazda do obozu.

- Co to znaczy na przytarcie rogów?

- No, namordnik na pięć lat.

- A co to jest namordnik?

- Boże mój, jaka niewykształcona osoba. I to ma być córka prokuratora! Że też pani nie zainteresuje się, co właściwie tatuś robi? „Namordnik” - to znaczy, że gryźć nie można. Pozbawienie praw cywilnych. Nie można ani wybierać, ani być wybranym.

- Chwileczkę, ktoś idzie...

- Gdzie? Nie ma co się obawiać, to Ziemiela. Niech pani siedzi, jak siedziała, bardzo proszę! Proszę się nie odsuwać. Proszę otworzyć ten skoroszyt. O, tak, niech pani to przegląda... Od razu wtedy skapowałem, że puścili mnie tylko, żeby dalej śledzić - z kim z

chłopaków się będę spotykać, czy nie pojedę znów na daczę do Amerykanów, no i widzę, że to nie życie, wsadzą tak czy siak znowu. Więc ich wystawiłem do wiatru! Pożegnałem się z mamą, wyszedłem z domu nocą - i pojechałem do jednego typu. To on właśnie nauczył mnie tego wszystkiego. I przez dwa lata listy gończe latały za Rościsławem Doroninem po całym kraju. A ja pod obcymi nazwiskami - do Azji Środkowej, nad Issyk-Kul, na Krym, do Mołdawii, do Armenii, na Daleki Wschód... Ale później okropnie zatęskniłem za mamą. A tu wracać do domu ani-ani! Pojechałem więc do Zagorska pod Moskwą, nająłem się na fabrykę za jakiegoś tam pajaca, za pomocniczą siłę, mama do mnie przyjeżdża, co niedziela. Popracowałem tak sobie parę tygodni - i zasnęłem raz, spóźniłem się do roboty. Pod sąd! Miałem sprawę!

- I wszystko się wykryło?

- Nic się nie wykryło! Pod cudzym nazwiskiem oberwałem trzy miesiące, siedzę na kolonii karnej, a tu po całym kraju listy gończe: Rościsław Doronin! Oczy niebieskie, nos prosty, włosy blond puszyste, brodawka na lewym ramieniu. Wykosztowali się na mnie! Odpękałem te swoje trzy miesiące, odebrałem paszport od obywatela komendanta i posunąłem na Kaukaz!

- Znowu w celach turystycznych?

- Hm! Nie wiem, czy można pani wszystko powiedzieć...

- Można!

- Z jaką to pewnością pani mówi... Bo w ogóle, to lepiej milczeć. Pani jest z zupełnie innej sfery, nie może pani zrozumieć.

- Na pewno zrozumiem! Też miałam niełatwe życie, niech pan sobie nie myśli!

- I wczoraj, i dziś patrzy na mnie pani tak życzliwie... Słowo daję, człowiek ma ochotę wszystko pani powiedzieć... No więc, ja w ogóle chciałem dać nogę. Jak najdalej od tego interesu.

- Jakiego interesu?

- No, od tego całego socjalizmu! Już mam zgage od niego. Już dosyć.

- Od socjalizmu?

- No, bo jak nie ma sprawiedliwości, to na co mi taki socjalizm?

- Ależ to tylko z panem tak się zdarzyło! Pewno, że to przykre. Ale dokąd by pan pojechał? Przecież tam reakcja, imperializm, jak by pan tam mógł żyć?

- A pewno, racja. Słuszna racja! Ale ja nie myślałem tego na serio. Zresztą, trzeba

wiedzieć, jak to się robi.

- No i w jaki sposób pan znowu...

- Wpadł? Jak mi się studiów zachciało!

- Widzi pan - jednak ciągnęło pana do uczciwego życia. Studiować trzeba, to ważne, to czysta sprawa.

- Boję się, Klaro, że nie zawsze taka czysta. Już później, w więzieniach, w łagrach przemyślałem to sobie. Jeżeli twój profesor nic, tylko drży o swoją pensję i wierzy tylko w najnowszą gazetę? I to na wydziale humanistycznym? Nie uczą, tylko robią wodę z mózgu. Pani przecież uczyła się na technicznym?

- Na humanistyce też już byłam.

- I dała pani spokój? Potem mi pani opowie. Więc powinienem był poczekać trochę, wydostać jakieś świadectwo ukończenia dziesięciolatki, nawet nietrudno było je kupić, ale - lekkomyślność, oto, co nas gubi! Myślę sobie: co za idiota może mnie jeszcze szukać, takiego szczeniaka! Na pewno już dawno zapomnieli! Wziąłem stare, własne świadectwo - i złożyłem na uniwersytecie, tylko już na leningradzkim i na wydział geografii.

- A w Moskwie był pan na historii?

- Nabrałem smaku do geografii przez te wędrowki. Diabło ciekawe! Pojeździ sobie człowiek - i tylko się rozgląda... No, więc cóż? Pochodziłem sobie na uniwersytet jakiś tydzień, a tu - chaps! - i znów mnie mają! I teraz to już dwadzieścia pięć lat! I w tundry, na praktykę uniwersytecką, tam jeszcze mnie nie było!

- I pan śmieje się, mówiąc o tym?

- A co tu płakać? Jakby nad wszystkim człowiek płakał, Klaro, to łez by nie starczyło. Czy to ja jeden taki! Posłali mnie na Workutę, a tam już kupa takich mołojców! Węgiel kopia! Cała Workuta na zekach się trzyma! Cała Północ! To przecież spełnienie marzeń Thomasa More'a, wie pani?

- Czyich marzeń?... Wstyd mi, tylu rzeczy nie wiem.

- Thomasa More'a, tego dziadźki, co „Utopię” napisał. Miał facet sumienie twierdzić, że w najdoskonalszym nawet społeczeństwie pozostaną jakieś poniżające albo szczególnie ciężkie prace do wykonania. I że nikt nie zechce ich się podejmować. Więc komu by tu je poruczyć? Po chwili namysłu More wpadł na świetny koncept: chyba w społeczeństwie socjalistycznym też trafiać się będą sprawcy wykroczeń przeciw porządkowi publicznemu. Im tedy trzeba poruczyć wykonanie tych poniżających i szczególnie ciężkich prac. I w ten

sposób łagry wymyślił Thomas More, bardzo stara koncepcja!...

- Nie mogę jakoś tego zrozumieć. Żeby ktoś tak żył w naszej epoce, żeby podrabiać paszporty, jeździć z miasta do miasta, płynąć jak łupinka po morzu... Nigdy nie spotkałam jeszcze nikogo w tym rodzaju.

- Klaro, ja też nie jestem w tym rodzaju! Warunki mogą człowieka zamienić w diabła! Wie przecież pani - byt określa świadomość! Ja właśnie byłem grzecznym chłopczykiem, słuchałem mamy, czytałem Dobrolubowa „Promień światła w państwie mroku”. Wystarczyło, że milicjant kiwnie na mnie palcem, już mi serce zamiera. Człowiek w to wszystko wrasta stopniowo. A co miałem robić? Czekać jak królik, aż mnie powtórnie wsadzą?

- Nie wiem, co innego jeszcze zostawało, ale tak żyć?... Wyobrażam sobie, jak to dręczy - być stale wyłączonym ze społeczeństwa! Być jakimś wyrzutkiem, kimś zbędnym...

- No, czasem dręczy. A czasem, wie pani, wcale nie tak bardzo dręczy. Bo jak człowiek przejdzie się po takim Tiozykowym bazarze, jak popatrzy... Bo jeżeli są na sprzedaż nowiutkie ordery z jeszcze nie wypełnionymi zaświadczeniami - to przecież chyba gdzieś musi pracować jakiś przekupny facet, nie? I to jeszcze w jakiej organizacji?! Wyobraża pani sobie?... I w ogóle, tak pani powiem, Klaro: osobiście głosuję za uczciwym życiem, bezwzględnie, ale żeby wszyscy, rozumie pani? - żeby wszyscy, co do jednego!

- Ale jeżeli każdy będzie czekał, aż inni zaczną, to nigdy się nie doczekamy. Każdy powinien...

- Każdy powinien, ale nie każdy chce. Niech pani posłucha, Klaro, powiem to prościej. Przeciw czemu zrobiono rewolucję? Przeciw przywilejom! Co ruskiego człowieka najbardziej muliło? Przywileje. Jeden chodził w łachmanach, a drugi - w sobolach, jeden kusztykał na pieczęć, a drugi w faetonie, jedni gnali na gwizdek do fabryki - a drudzy mordy sobie paśli po restauracjach. Racja?

- Oczywiście.

- Słusznie. Ale dlaczego to dzisiaj ludzie nie uciekają od przywilejów, tylko starają się o nie? I co tu mówić o takich szczeniakach jak ja? Czy to się ode mnie zaczęło? Ja przecież zawsze tak jak starsi. I napatrzyłem się też, jej! Mieszkam w niedużym miasteczku, w Kazachstanie. I co widzę? Żony miejscowych ważniaków może chodzą kiedy do sklepu? A nigdy! Mnie samego posłano raz do pierwszego sekretarza rejkomu ze skrzynką makaronu. Z całą skrzynką. Jeszcze z pieczęciami. Można się domyślić, że nie tylko ta skrzynka była i

nie tylko tego dnia...

- Tak, to okropne! Mnie samą zawsze obrzydzenie brało, jak to widziałam, pan uwierzy?

- Czemu nie, uwierzę. Dlaczego nie wierzyć żywemu człowiekowi? Prędzej uwierzę niż książce, co ma milion egzemplarzy nakładu... I właśnie te przywileje - to się szerzy wśród ludzi jak zaraza. Jeżeli ktoś może tylko nie kupować w tym sklepie, co wszyscy - to na pewno z tego skorzysta. Jeżeli ktoś może leczyć się w specjalnej klinice - to na pewno będzie tam się leczyć. Jeżeli może jeździć specjalnie przydzielonym samochodem - to na pewno będzie nim jeździć. Jeżeli dowie się, że gdzieś miód kapie i że tam potrzebna przepustka - to na pewno zacznie zaraz starania o tę przepustkę.

- Co to, to racja! To okropne!

- A jeżeli może od innych odgrodzić się płotem - to musi się odgrodzić. I sam przecież, sukinsyn, jak był mały, to przełaził przez kupieckie płoty, żeby narwać cudzych jabłek - i miał rację! A teraz stawia sobie sam płot wysoki na dwóch chłopów, i do tego szczelny, żeby czasem nikt nie zajrzał, bo tak mu jakoś przytulniej, uważa pani! - i myśli, że znowu ma rację. A w Orenburgu na bazarze inwalidzi wojenni, którym tam rzucają ogryzki, grają sobie tymczasem w orła i reszkę medalem Zwycięstwa. Rzucają w górę i wrzeszczą: „Morda czy Zwycięstwo?”.

- Jak, jak?

- No, bo tam z jednej strony jest napis „Zwycięstwo”, a z drugiej - Wizerunek. Niech pani popatrzy u taty.

- Panie Rościsławie...

- Jaki ja tam Rościsław, do licha? Ruska i tyle.

- Trudno mi jakoś tak mówić do pana.

- No, to wstanę i pójdę sobie. O, właśnie dzwonią na obiad. Dla wszystkich jestem - Ruska, a dla pani... tym bardziej... Nie życzę sobie inaczej.

- No, dobrze... Ruska... Ja też nie jestem taka głupia. Wiele już przemyślałam. Z tym trzeba walczyć! Ale nie pańską metodą, ma się rozumieć.

- A ja wcale jeszcze nie zacząłem walczyć. Ja tylko tak sobie pomyślałem - jak równość, to równość dla wszystkich, a jak nie - to pies to je... Och, niech mi pani wybaczy... Och, przepraszam, ja wcale nie chciałem... No i od samego dzieciństwa widzi człowiek, co następuje: w szkole mówią mu takie ładne rzeczy, a zaraz za jej progiem - kroku nie robi

bez znajomości, a czasem i bez łapówki, no i rośnie taki człowiek na cwaniaka - tylko cwany wygrywa!

- Nie! Nie! Tak nie wolno! W naszym ustroju społecznym jest tyle rzeczy sprawiedliwych! To już pan przesadził! Tak nie wolno! Pan dużo widział, to prawda, wiele przeżył, ale „tylko cwany wygrywa” to nie może być życiową filozofią. Tak nie można!

- Ruska, był dzwonek na obiad, słyszałeś?

- Dobra, Ziemiela, idź, ja za chwilę... Klaro! Mówię to pani z całą powagą, uroczyście: z duszy - serca bym chciał żyć zupełnie inaczej! Ale gdybym miał przyjaciela obdarzonego trzeźwym rozsądkiem... albo przyjaciółkę... Gdybym mógł z nią wszystko obmyślić jak należy. Jak urządzić sobie życie według słusznych zasad. A tak w ogóle, to przecież tylko zewnętrznie tak się zdaje, że więzień, że dwadzieścia pięć lat i że to wszystko. Ja... O, gdybym mógł pani powiedzieć, na jakim ostrzu noża teraz właśnie balansuję... Każdy normalny człowiek już by dawno umarł na atak serca... Ale to kiedyś indziej... Klaro! Chcę pani powiedzieć, że mam w sobie wulkaniczne zapasy energii! Dwadzieścia pięć lat, to głupstwo, mogę raz-dwa stąd dać nogę! Nawet dziś rano już sobie kombinowałem, jak bym to wszystko mógł urządzić tu, w Marfinie. Od tego samego dnia, w którym by moja narzeczona - gdyby tylko istniała taka na świecie - powiedziała mi: Ruska! Uciekaj! Czekam na ciebie! - przysięgam pani, nie minęłyby nawet trzy miesiące, a już bym uciekł, i tak bym paszport wyszykował, ^k żeby nikt się za Boga nie domyślił! Zabrałbym ją do Czyty, do Odessy, do Wielkiego Ustiuga! I tam rozpoczęlibyśmy nowe, uczciwe, rozumne, wolne życie!

- Ładne życie!

- Pamięta pani, jak u Czechowa bohaterowie zawsze powtarzają: zobaczcie za dwadzieścia lat, za trzydzieści! za dwieście lat!... Pracować by ciężko cały dzień w cegielni, a wieczorem wracać, czując to zmęczenie! Też marzenia!... Nie, to wszystko żarty! Nie, ja całkiem serio! Ja całkiem poważnie chcę się uczyć, chcę pracować! Tylko nie sam! Klaro! Proszę popatrzeć, jak cicho, wszyscy już poszli. Chcę pani ze mną do Wielkiego Ustiuga? To prastare miasto, historyczne. Jeszcze mnie tam nie było.

- Zdziwiający z pana człowiek!

- Szukałem jej sobie na leningradzkim uniwersytecie. Ale ani się spodziewałem, gdzie w końcu znajdę.

- Kogo?

- Klaro, kochanie! Kobieca ręka może ulepić ze mnie jeszcze, kogo tylko zechce - wielkiego hochsztaplera, genialnego szulera albo najznakomitszego specjalistę od wykopalisk etruskich czy od promieni kosmicznych. Chce pani, to nim zostanę?

- Sfałszuje pan dyplom?

- Nie, zostanę naprawdę! Kim pani każe mi być, tym będę. Tylko pani jest mi potrzebna! Potrzebna mi jest ta głowa, którą tak wolno ku mnie obraca pani, gdy wchodzi do pracowni...

43

Generał-major Piotr Afanasjewicz Makarygin, kandydat praw, dawno już czynny był jako prokurator do spraw szczególnej wagi, to znaczy takich, których treść nie powinna być znana opinii i które dlatego rozpatrywano w trybie tajnym. (Miliony politycznych spraw, co do jednej, tu się zaliczały.) Do takich spraw - po to, aby nadzorować słuszny bieg śledztwa i wspierać konstrukcję oskarżenia - nie wszyscy prokuratorzy mieli dostęp; ów dostęp regulowany był przez same organa śledcze, to znaczy przez Ministerstwo Bezpieczeństwa, mające tu podlegać kontroli. Ale Makarygin miał dostęp zawsze gwarantowany: oprócz dawnych znajomości chlubił się jeszcze tym, że z wielkim taktem potrafił kojarzyć swoją niewzruszoną wierność dla prawa z pełnym wyczuciem specyfiki Organów oraz ich pracy.

Miał trzy córki, wszystkie trzy z pierwszego małżeństwa. Pierwsza jego żona, frontowa towarzyszka z czasów wojny domowej, zmarła przy narodzinach Klary. Wychowywała córki już macocha, która zresztą godnie zastąpiła im prawdziwą matkę. Córki nosiły imiona: Dinera, Dotnara i Klara. Dinera znaczyło *Dltia Nowoj ERY*, Dotnara - *DOcz Trudowego NARoda**.

Różnica wieku między córkami wynosiła po dwa lata. Średnia, Dotnara, skończyła dziesięć lat w czterdziestym roku, wyprzedziła Dinerę i wyszła za mąż miesiąc wcześniej niż ona, wiosną czterdziestego pierwszego. Ojciec sarkał, że za wcześnie, ale co miał robić. Wprawdzie zięć trafił się jak należy - absolwent Wyższej Szkoły Dyplomatycznej, błyskotliwy, cieszący się poparciem możliwych protektorów, syn znanego działacza, który zginął w czasie wojny domowej. Nazywał się Innocenty Wołodin.

Starsza córka, Dinera - podczas gdy matka jeździła do szkoły, żeby odkręcać jej dwójki z matematyki - kołysała nóżką diabła na kanapie i zdążyła przeczytać całą literaturę powszechną - od Homera do Claude Farrere'a. Po maturze, nie bez pomocy ojca, wstąpiła na

wydział aktorski Instytutu Kinematografii, zaraz na drugim roku wyszła za mąż za dosyć znanego reżysera, ewakuowała się z nim do Ałma-Aty, zagrała główną rolę w jego filmie, później rozwiodła się z nim na skutek różnicy w poglądach na sztukę, wyszła za mąż za żonatego już generała z intendentury i wyjechała z nim na front - właśnie na te pozycje trzeciego rzutu, najlepsze miejsce na wojnie, gdzie nie dolatują pociski wroga i nie docierają też gorzkie troski zaplecza. Tam poznała pewnego wchodzącego w modę pisarza, korespondenta frontowego Gałachowa, jeździła z nim na front zbierać dla gazety materiały o bohaterstwie, zwróciła generała jego pierwszej żonie, sama zaś z literatem wyjechała do Moskwy.

Od ośmiu więc lat tylko Klara była jeszcze przy rodzicach.

Dwie starsze siostry podzieliły się całym rodzinnym przydziałem piękności i dla Klary nie starczyło już ani urody, ani nawet wdzięku. Miała nadzieję, że z czasem to się da naprawić, ale tak się nie stało. Miała czystą, pełną prostoty twarz, o męskim jednak charakterze. Jakaś twardość rysowała się w kątach czoła i podbródka. Tu Klara nic nie mogła poradzić, nie dbała zresztą o to, pogodziła się z tym. Także ruchy jej rąk były przyciężkie. I w jej śmiechu też pobrzmiwały twarde tony. Dlatego nie lubiła śmiechu. Ani tańca.

Kończyła właśnie dziewiątą klasę, kiedy posypało się wszystko naraz: zamąż-pójście obu sióstr, wybuch wojny, wyjazd z macochą do Taszkientu, na ewakuację (ojciec wysłał je już dwudziestego piątego czerwca) i odjazd ojca do wojska w randze prokuratora dywizji.

Trzy lata spędziły w Taszkencie w domu starego przyjaciela ojca - zastępcy

* Dziecię Nowej Ery oraz Córa Ludu Pracującego.

jednego z naczelników prokuratorów Uzbekistanu. Do spokojnego ich mieszkania - w pobliżu Okręgowego Klubu Oficerskiego, na pierwszym piętrze, z oknami dobrze zabezpieczonymi i zasłoniętymi - nie docierał ani południowy skwar, ani nieszczęścia, których pełne było miasto. Z Taszkientu wzięto na wojnę wielu mężczyzn, ale dziesięciokrotnie więcej ich tu przyjechało. I chociaż każdy z nich mógł wykazać za pomocą przekonywających dokumentów, że jego miejsce jest tu, nie zaś na froncie, Klara nie mogła opanować wrażenia, że zalewa ją potok brudów, duch zaś sięgał wyżyn i spełniała się czysta ofiara tam - za pięcioma tysiącami wiorst. Nieubłaganie dawało tu o sobie znać odwieczne prawo wojny; chociaż ludzie nie szli na front ochotniczo, jednak wszyscy najzapaleńsi i najlepsi znajdowali tam drogę i tam też oni ginęli najęściej.

W Taszkencie skończyła dziesięciolatkę. Nie było zgody co do kierunku jej

przyszłych studiów. Jej samej jakoś nigdzie specjalnie nie ciągnęło, nic się w niej jeszcze nie wyklarowało. Ale ktoś z takiej rodziny nie mógł nie studiować. Zdecydowało zdanie Dinery: bardzo, bardzo nalegała w listach i osobiście, kiedy wpadła przed wyjazdem na front, żeby Klarcia poszła na literaturoznawstwo.

Więc wstąpiła, chociaż jeszcze ze szkolnych czasów dobrze wiedziała, że nudna ta cała literatura; u Gorkiego wszystko bardzo słuszne, ale jakieś nie bardzo pociągające; Majakowski - bardzo na linii, ale jakiś taki sztywny; Sałtykow-Szczedrin bardzo postępowy, ale można szczękę wywichnąć, zanim się doczyta do końca; następnie szedł Turgieniew ze swoimi ograniczonymi przez szlacheckie pochodzenie ideałami; związany z początkami rosyjskiego kapitalizmu Gonczarow; Lew Tołstoj wciąż przechodzący na pozycje patriarchalnego chłopstwa (powieści Tołstoja nauczycielka czytać im nie radziła, jako że są one szalenie długie i tylko mącą pojęcia wyniesione z jasnych, krytycznych artykułów o tym pisarzu); a później to już był tylko przegląd twórczości jakichś Stiepaniaków-Krawczyńskich, Dostojewskich i Suchowo-Kobylinów, o których nikt już nie miał żadnego pojęcia, ale przynajmniej nie trzeba było wkuwać tytułów ich dzieł. Nad całym tym tyle lat omawianym szeregiem chyba jeden tylko Puszkina błyszczał jak słońce.

Przy tym cała ta literatura polegała w szkole na forsownym kuciu, co pisarz chciał powiedzieć, z jakich pozycji przemawiał i czyje zamówienie społeczne wypełniał. Dotyczyło to nie tylko tych właśnie pisarzy, lecz również późniejszych, sowieckich, piszących po rosyjsku i w językach bratnich narodów. I aż do samego końca Klara i jej przyjaciółki jakoś nie mogły pojąć, za co w ogóle tym ludziom należy się tyle uwagi: wcale nie byli najmądrzejsi (ich krytycy, publicyści, a tym bardziej działacze partyjni - byli wszyscy mądrzejsi od nich), często się mylili, wikłali się w sprzecznościach tam, gdzie byle uczeń rozumiał, o co chodzi, wpadali pod cudze wpływy - i mimo to właśnie o nich trzeba było pisać wypracowania, drzeć o każdą literę i bać się każdego źle postawionego przecinka. Niczego, prócz nienawiści, nie mogły budzić te wampiry ciągnące soki z młodych dusz.

O, Dinera całkiem inaczej patrzyła na literaturę, dla niej to była jakaś ostra, wesoła sprawa, zapewniała też siostrę, że w instytucie będzie mowa o takiej właśnie literaturze. Ale Klarze wcale w instytucie nie było weselej. Na wykładach roiło się od ćwiczeń z gramatyki historycznej, kronik klasztornych, szkół - mitologicznej i porównawczo-historycznej, wszystko to zresztą jak widłami po wodzie, a na zebraniach kółka dukano referaty o Aragonie, o Howardzie Faście i jeszcze raz o Gorkim oraz jego wpływie na literaturę

uzbecką. Siedząc zaś na wykładach i chodząc początkowo na zebrania kółek, Klara czekała, że ktoś powie jej wreszcie coś bardzo ważnego o życiu albo choćby nawet o tym mieście na tyłach, o Taszkencie.

Brat koleżanki z dziesiątej klasy został przejechany przez tramwajową przyczepę na chleb, kiedy próbował z kompanami ściągnąć w biegu skrzynkę... Któregoś dnia Klara wyrzuciła na pauzie nie dojedzoną kanapkę do kosza stojącego w korytarzu instytutu. I oto zaraz zbliżył się student z jej kursu, członek tego samego kółka studiów nad Aragonem, niezręcznie się maskując wydobyl kanapkę ze śmieci i schował ją do kieszeni... Jedna z koleżanek prosiła Klarę o radę, co ma kupić, i zabrała ją na słynny Tiozykowy bazar - największy rynek Azji Środkowej, a może nawet całego Związku. Już na dwa rogi przed wejściem kłębił się tłum; szczególnie wiele było w nim kalek, już z tej wojny - kuszykali na szczudłach, wymachiwali kikutami rąk, czołgali się bez nóg na deszczułkach, handlowali czymś, wróżyli z kart, zebrali, domagali się czegoś - a Klara rozdawała im, co mogła, i serce jej się krajało. Wśród tych inwalidów najstraszniejszym był samowar, jak go tu nazywali: bez obu rąk i obu nóg. Wiecznie pijana żona nosiła go na plecach w koszu i do tegoż kosza ludzie rzucali mu pieniądze. Gdy już uzbierali dosyć, kupowali wódkę, pili i na cały głos przeklinali państwo w ogóle i w szczególności. Im dalej - tym było tłoczniej. Nie sposób się było już przecisnąć wśród bezczelnych spekulantek i spekulantów z murowanymi dokumentami w kieszeni. I nikogo nie dziwiły, dla wszystkich były naturalne i przez wszystkich honorowane tysiąckrotne tutejsze ceny, zupełnie niewspółmierne z zarobkami. Sklepy w mieście były puste, ale tu można było dostać wszystko, co można zjeść, wszystko, co można wdziać na siebie albo pod spód, wszystko - aż do amerykańskiej gumy do żucia, do pistoletów, do podręczników czarnej i białej magii włącznie.

Ale o tym życiu wcale w instytucie nie mówiono i wyglądało na to, że nic o nim nie wiadomo. Tak tam studiowano literaturę, jakby wszystko na świecie było realne, prócz tego właśnie, co człowiek widzi własnymi oczyma.

I zrozumiałwszy z goryczą, że za pięć lat wszystko to skończy się skierowaniem do pracy w szkole, gdzie z kolei ona będzie zadawać dziewczynkom zniecierpliwione wypracowania i pedantycznie tropić w nich literki i przecinki - Klara jeła coraz więcej czasu poświęcać grze w tenisa i wyrobił się u niej silny wolej.

Tenis okazał się dla niej zajęciem fortunnym; całe ciało napelniał radością ruchu; celność podań rzutowała na pewno siebie w każdym innym działaniu; tenis pomógł jej

także odstrychnąć się od wszystkich rozczarowań uczelnianych i od życiowych zawikłań na tym ich zapleczu; jasne granice kortu, jasny lot piłki.

Ale co ważniejsze - tenis przyniósł jej radość, którą daje uwaga i podziw otoczenia, rzeczy zupełnie niezbędne dla dziewczyny, zwłaszcza nieładnej. Masz, jak się okazuje, dar zręczności! szybkiej reakcji! dobrego oka! Masz w sobie to wszystko, a myślałaś, że nic nie masz. Można godzinami płaść po korcie bez wytchnienia, jeżeli kilku choćby widzów siedzi i gapi się na twoje ruchy. I biały strój tenisowy z krótką spódniczką na pewno dobrze leżał na Klarze.

Ta sprawa stała się zresztą dla niej przedmiotem prawdziwych cierpień: co by tu wdziac na siebie? Kilka razy na dzień musi się człowiek przebierać i za każdym razem jest to męcząca łamigłówka: co tu wzuć na te duże stopy? i jaki kapelusz nie będzie na tej głowie śmieszny? i jaki kolor będzie najodpowiedniejszy? i materiał w jaki deseń? i jaki kołnierzyk pasuje do tego twardego podbródka? Klara pozbawiona była najmniejszej orientacji w tych sprawach; chociaż środków jej nie brakowało, zawsze ubrana była fatalnie.

I w ogóle: co to jest powodzenie? co to znaczy - mieć powodzenie? dlaczego ja nie mam powodzenia? Tu można głowę stracić, a nikt ci nie pomoże i nikt cię nie wyręczy. Gdzie jest ta twoja wada, dziewczyno? Czego ci nie dostaje? Jeden, dwa, trzy niepowodzenia można uznać za dzieło przypadku, nieporozumienia, nie-doświadczenia - ale w końcu to niewidoczne, gorzkie żdźbło cały czas trafia ci pod ząb, czujesz je przy każdym przełknięciu. Jak walczyć z tą niesprawiedliwością? Nie jestem przecież winna, że właśnie taka przyszedłam na świat!

A do tego jeszcze ta literacka gadanina tak się Klarze uprzykrzyła, że na drugim roku porzuciła swoje studia; po prostu przestała chodzić na uczelnię.

A następnej wiosny front był już na Białorusi, wszyscy wracali z ewakuacji. Oni także wrócili więc do Moskwy.

Ale nawet tam Klara nie mogła zdecydować się ostatecznie na jakiś kierunek studiów. Szukała po prostu takiego, gdzie jest jak najmniej gadania, a jak najwięcej konkretności. A więc - techniczny. I żeby nie było to jednak związane z ciężkimi, brudnymi maszynami. W ten sposób trafiła do instytutu łączności.

Znów popełniła omyłkę, tym razem bez niczyjej pomocy, ale nikomu się do niej nie przyznała, uparcie postanawiając skończyć studia i pracować, gdzie każą. Zresztą, wcale nie była jedyna na swoim kursie (chłopców było niewielu), takie zaczynały się czasy: każdy

starał się złapać rajskiego ptaka, zdobyć dyplom, i ci, których nie przyjęto do instytutu lotniczego, przynosili dokumenty na weterynarię; nie dopuszczeni na technologię chemiczną zostawali paleontologami.

Po wojnie ojciec Klary miał jeszcze sporo roboty w Europie Wschodniej. Zwolnił się z szeregów dopiero jesienią i od razu dostał pięciopokojowe mieszkanie w nowym domu MSW na Kałuskiej rogatce. Jednego z pierwszych dni po powrocie zawiózł żonę z córką na oględziny nowego locum. Samochód minął ostatnie pręty ogrodzenia parku Nieskucznego i zatrzymał się, nie dojeżdżając do wiaduktu nad obwodnicą kolejową. Było to przed południem, ciepłego październikowego dnia, babie lato jakoś nie chciało się kończyć. Zarówno matka, jak córka były w lekkich paltach. Ojciec miał na sobie generalski płaszcz, rozpiął go, widać było kolekcję jego orderów i medali.

Dom budowany był półkolem, frontem do Kałuskiej rogatki, z jednym skrzydłem wzdłuż Wielkiej Kałuskiej, a z drugim - wzdłuż Obwodnicy. Miał siedem pięter, a w projekcie była szesnastopiętrowa wieża z solarium na dachu i z figurą kołchoźnicy dwunastometrowej wysokości. Gmach obudowany był jeszcze rusztowaniami, od strony ulicy i placu mury wciąż nie sięgały najwyższej kondygnacji. Jednakże - wobec ciągłych monitów zamówieniodawcy (czyli Bezpieczeństwa) - przedsiębiorstwo budowlane pospiesznie przekazywało część wykończonego już skrzydła ze strony Obwodnicy - jeden segment z gotową klatką schodową i przylegającymi do niej mieszkaniami.

Plac budowy ogrodzony był, jak to zwykle bywa na ruchliwych ulicach, szczelnym drewnianym płotem - a że nad deskami ciągnęło się jeszcze kilka rzędów drutu kolczastego i że gdzieś wznosiły się nieforemne wieżyczki strażnicze - to jakoś nie rzucało się w oczy przejeżdżającym tamtędy, dla tutejszych zaś mieszkańców było widokiem już znanym, więc również nie zwracającym uwagi.

Prokurator z rodziną przeciął plac i obszedł dom dookoła. Z tamtej strony zdjęte już były druty kolczaste i gotowy segment został wydzielony z z o n y. Na dole, przy frontowym wejściu czekał na nich ugrzeczniony kierownik robót; opodal stał żołnierz, na którego Klara nie zwróciła uwagi. Wszystko było już wykończone: farba na poręczach wyschła, klamki błyszcząły, numery nad mieszkaniami były przybite, szyby na klatce schodowej wymyto do czysta i tylko jakaś kobieta w brudnych łachach, z głową tak pochyloną, że nie było widać twarzy, szorowała stopnie schodów.

- Ej! Halo! - rzucił krótko kierownik; kobieta przerwała szorowanie i przesunęła się w

bok, tak żeby mogła przejść jedna osoba. Nie podniosła twarzy znad wiadra ze ścierką.

Przeszedł obok niej prokurator.

Przeszedł kierownik robót.

Szeleszcząc plisowaną pachnącą spódnicą, musnąwszy nią prawie twarz sprzątaczkii, przemknęła się żona prokuratora.

I kobieta, nie mogąc już chyba wytrzymać tych jedwabi i tych perfum - dalej nisko pochylona, podniosła przecież głowę i obejrzała się, ile też i c h jeszcze.

Jej piekące, pogardliwe spojrzenie spopielilo Klarę. Cała w bryzgach brudnej wody, to była wyrazista twarz inteligentki.

Nie, to nie było zażenowanie, które czuje się zawsze przechodząc obok kobiety szorującej podłogę - nie, wobec tej wystrzępionej spódnicy, wobec tego dziurawego waciaka, Klara poczuła jakiś inny jeszcze wstyd, nie ten zwykły, i strach! - i zdrętwiała - i otworzyła torebkę - i chciała już wywrócić ją na nice, oddać tej kobiecie wszystko - i nie ośmieliła się.

- No, proszę już przejść! - powiedziała kobieta gniewnie.

Przytrzymując podolek swojej modnej sukni i połę płaszcza koloru bordeaux, przyciskając się całym ciałem do poręczy, Klara tchórzliwie pobiegła po stopniach w górę.

W mieszkaniu podłóg nie myto. Była tam świeża posadzka.

Mieszkanie uznano za ładne. Matka Klary udzieliła kierownikowi wskazówek co do paru poprawek; nie podobało jej się zwłaszcza, że parkiet w jednym z pokojów skrzypi. Kierownik pobalansował na dwóch, trzech klepkach i obiecał usunąć usterkę.

- A kto tutaj to wszystko robi? Kto to buduje? - ostro zapytała Klara.

Kierownik uśmiechnął się i nic nie powiedział. Ojciec odparł:

- Więźniowie, a kto by!

Kiedy wracali, kobiety już nie było.

Żołnierz też już zniknął sprzed wejścia.

Po kilku dniach odbyły się przenosiny.

Minęły cztery lata od tamtej chwili, ale Klara wciąż nie mogła zapomnieć tej kobiety. Wryło jej się w pamięć to miejsce na przedostatnim stopniu wysokiej rampy schodowej i za każdym razem, jeśli nie jechała windą, przypominała sobie tę szarą, zgiętą postać i obróconą w górę twarz, pełną nienawiści.

I zawsze zabobonnie tuliła się do poręczy, jakby bojąc się tracić nogą sprzątaczkę. Był to odruch niezrozumiały i nie do zwalczania.

Ani z ojcem, ani z matką nigdy jednak o tym nie mówiła, nie napomknęła, nie była w stanie. Po wojnie jej stosunki z ojcem w ogóle stały się jakieś nieskładne, niemiłe. Ojciec pieklił się i krzyczał, że Klara ma przewrócone w głowie, że ma skłonność do myślenia, owszem, ale na opak. Jej taszkienckie wspomnienia, jej moskiewskie, bieżące obserwacje ojciec uważał za nietypowe, szkodliwe, sposób zaś, w jaki wyciągała z nich wnioski - za oburzający.

Że ta sprzątaczką do dziś stoi na ich schodach - w żaden sposób nie mogła wyznać. Ani ojcu, ani macosze. Zresztą, komu by mogła?

I oto pewnego dnia, zbiegając ze schodów w towarzystwie szwagra, Klara nie mogła się powstrzymać i prawie bezwiednie pociągnęła go ku sobie za rękaw w tym miejscu, gdzie trzeba było ominąć bokiem niewidzialną kobietę. Innocenty zauważył to i zapytał, o co chodzi. Klara speszyła się, mógł przecież pomyśleć, że zwariowała. Ponadto widywała go bardzo rzadko, przecież mieszkał stale w Paryżu, odziewał się jak galant, miał kpiący sposób bycia i odnosił się do niej z pobłażaniem, jakby była jeszcze dziewczynką.

Ale zdecydowała się, przystanęła - i nagle wyznała mu, rozkładając ręce, co się wtedy wydarzyło.

Innocenty bez żadnej kpiarskiej pozy, bez europejskiego nimbu nad głową, zatrzymał się na tym samym stopniu i słuchał - przyciszony, jakby zagubiony; z kapeluszem w ręku.

Zrozumiał wszystko.

Od tej chwili stali się przyjaciółmi.

44

Aż do ubiegłego roku Nara ze swoim Innocentym byli dla rodziny Makaryginów jakimiś zamorskimi, niezupełnie realnymi krewnymi. Rokrocznie wpadali do Moskwy na jakiś tydzień, no i przysyłali upominki na święta. Gałachowa, męża najstarszej siostry, Klara z przyzwyczajenia nazywała „Kola” i była z nim na ty, przy Innocentym zaś czuła skrępowanie; była zacukana. Poprzedniego jednak lata zamorska para przyjechała na dłużej. Nara zaczęła bywać częściej w rodzinnym domu, skarżąc się macosze na męża; jej pożycie małżeńskie zaćmiło się, zaczęło się psuć, a jeszcze niedawno było tak szczęśliwe. Wiodła długie rozmowy z Aleu-tiną Nikanorowną. Klara nie zawsze była wtedy w domu, ale przy okazji przysłuchiwała się temu otwarciu albo skrycie; inaczej zresztą nie mogła i nie chciała. Przecież najważniejsza zagadka życia właśnie na tym polegała: dlaczego ludzie się kochają i dlaczego nie mogą się kochać?

Siostra mówiła o wielu drobnych wypadkach z ich życia, o sporach, starciach, podejrzaniach, a także o potknięciach Innocentego w jego pracy, o tym, że tak się zmienił, że nie zależy mu już na opinii wpływowych osób, że to wszystko odbija się na ich sytuacji materialnej, że muszą teraz sobie wielu rzeczy odmawiać. Sądząc z tych opowieści, Nara zawsze miała rację, a Innocenty nie miał jej nigdy. Ale Klara doszła do zupełnie odwrotnego wniosku: że Nara nie potrafi docenić swego szczęścia, że chyba już Innocentego nie kocha, że kocha tylko siebie; że ceni nie jego pracę, tylko pozycję, jaką w związku z tą pracą zyskała; że ma na względzie nie jego poglądy i pasje, niechby tam zmienne, tylko swoją władzę nad nim, swego czasu dla wszystkich oczywistą. Dziwiło Klarę, że siostra miała największe pretensje nie o to, że mąż ją chyba zdradza, lecz o to, że w obecności innych pań nie dość wyraźnie podkreśla główną rolę żony i jej kapitalne znaczenie dla niego samego.

Jak to bywa z młodszymi siostrami, Klara, porównując się do starszej, już zamężnej, dochodziła do przekonania, że nigdy by tak się sama nie zachowała. Jak w ogóle można zadowalać się czymś, co nie stanowi całości z jego szczęściem?... Nie mieli dzieci i ten fakt komplikował i pogarszał jeszcze sprawę.

Po tamtym, niosącym ulgę wyznaniu na schodach, stosunki Klary z Innocentym stały się tak bezpośrednie, że dziewczyna miała teraz ciągłą i niezwalczoną chęć widzenia szwagra. Co najważniejsze, miała w głowie tyle pytań, na które tylko Innocenty mógłby jej odpowiedzieć! Jednakże obecność Nary albo innych krewnych, nie wiedzieć czemu, zamykała jej usta.

Właśnie wtedy Innocenty zaproponował jej nagle wspólną, całodzienną wyprawę za miasto; Klara z porywu serca natychmiast się zgodziła bez namysłu, bez zastanowienia. Tylko żadnego tam zwiedzania dworków, muzeów i sławnych ruin - powiedział Innocenty ze słabym uśmiechem.

- Też tego nie lubię! - odparła stanowczo Klara.

Jego wąły uśmiech wzbudził w Klarze odruch współczucia; znała teraz jego kłopoty.

- Mąci się we łbie od tych wszystkich Szwajcarii - tłumaczył się Innocenty - poszukajmy kawałka siermiężnej Rosji, co? Może jeszcze się znajdzie?

- Spróbujemy! - energicznie przytaknęła Klara - już znajdziemy!

Ale nie powiedziane było jasno, czy jechać mają w trójkę, czy we dwoje.

Innocenty wybrał jednak dzień powszedni, umówił się z nią na Dworcu Kijowskim, uprzedził, że już nie zadzwoni, i nie przyjedzie po nią na Kałuską. Wynikało z tego jasno, że

nie tylko pojedą sami, ale że rodzice też chyba nie muszą o niczym wiedzieć.

Co do siostry, Klara czuła, że jest w swoim prawie. Nawet gdyby tamto małżeństwo było zupełnie szczęśliwe - to przecież należała się jej ta rodzinna dywidenda. A przy tym stanie ich stosunków cała wina spadała na Narę.

Dzień dzisiejszy miał być może najpiękniejszym w życiu Klary - ale jakie też czekały ją męki: w co tu się odziać?! Gdyby miała wierzyć przyjaciółkom - to w żadnym kolorze nie było jej do twarzy, ale jakiś kolor trzeba przecież wybrać! Wdziała więc brunatną suknię, a płaszcz narzuciła niebieski. Najwięcej zaś miała udręki z woalką - w przeddzień wycieczki przez dwie godziny przymierzała ją i zdejmowała, przymierzała i zrywała... Że też są takie dzieci szczęścia, które decydują się z punktu! Klara szalenie lubiła woalki, zwłaszcza u gwiazd ekranu: dają one kobiecie znamię zagadki, wznoszą ją na wyżyny, gdzie krytyka nie sięga. Ale w końcu wyrzekła się woalki! Innocentemu uprzykrzyły się te wszystkie francuskie wymysły, zresztą dzień zapowiadał się słoneczny; ale czarne ażurowe rękawiczki jednak wdziała, ażurowe rękawiczki to ładna rzecz.

Trafił im się bez czekania osobowy do odległego Małojarosławca, z lokomo-tywką; no i dobrze, bilety wykupili aż do ostatniej stacji, na wszelki wypadek, bo planu nie mieli i wcale nie znali przystanków.

Do tego stopnia ich nie znali, że aż wzdrygnęli się oboje, kiedy sąsiad wykrzyknął nazwę stacji - Nara! Może Innocenty wybrałby inny dworzec, gdyby wiedział, a Klara zupełnie zapomniała.

Jeszcze parokroć wspominali po drodze tę Narę. Jakby unosiła się nad nimi...

Sierpniowy ranek był chłodnawy. Spotkali się oboje w nastroju dziarskim i wesołym. Rozmowa ich też stała się od razu swobodna i lekka, tylko oboje parę razy zapominali, że mówią już sobie po imieniu, więc reagowali śmiechem, co jeszcze bardziej upraszczało sytuację.

Innocenty miał na sobie jakieś zachodnie, półsportowe wdzianko, ale gniótł je i tarmosił tak niedbale, jakby to była odzież robocza.

Chociaż mieli przed sobą cały dzień, Klara od razu zaczęła go wypytywać na wrywki to o życie na Zachodzie, to znów o to, jak rozumieć nasze życie. Sama nie wiedziała dobrze, czego chce, co właściwie powinna zrozumieć, ale coś trzeba było! Tak szczerze chciała zmańdrzeć, taką miała potrzebę rozeznania!

Innocenty żartobliwie kręcił głową:

- Pani myśli... ty myślisz, że ja sam cokolwiek z tego rozumiem?

- Przecież siedzisz w dyplomacji, wy nam pokazujecie, którądy droga, i nagle mówisz, że nie rozumiesz?

- Ależ nie, moi koledzy wszystko rozumieją, tylko ja nic nie mogę zrozumieć. Owszem, ja też rozumiałem jeszcze jakiś rok, dwa lata temu.

- Co się wtedy stało?

- No właśnie, tego też nie rozumiem - zaśmiał się Innocenty. - A poza tym, Klarciu, nie wiadomo, od czego zaczynać te wszystkie wyjaśnienia, trzeba by wracać do samego abecadła. Wyobraźmy sobie, że spod ławki wylezie tu człowiek jaskiniowy i poprosi, żeby mu w pięć minut wyjaśnić, jak to jest, że elektryczność pcha pociągi. No, jak to wyjaśnić? Z początku trzeba go w ogóle nauczyć czytania i pisania, później arytmetyki, algebry, kreślenia, elektrotechniki... I czego jeszcze?

- No, nie wiem... co to jest magnetyzm...

- Widzisz, nawet ty nie wiesz; a jesteś przed dyplomem! Więc proszę uprzejmie, wróć tu człowieku za piętnaście lat, wtedy wszystko ci objaśnię w ciągu pięciu minut, zresztą sam już będziesz wiedział.

- W porządku, chętnie będę się uczyć, ale gdzie? Od czego tu zacząć?

- No... choćby od naszych gazet.

Korytarzem wagonów szedł gazeciarz ze skórzaną torbą. Innocenty kupił „Prawdę”.

Już przy wsiadaniu, przewidując, że nie będzie to zwyczajna rozmowa, Klara postarała się zająć ze swoim towarzyszem podróży niewygodną, dwuosobową ławeczkę przy samych drzwiach; Innocenty nie widział powodów, ale tylko tutaj można było swobodniej rozmawiać.

- No, to zaczynamy naukę - Innocenty rozłożył gazetę. - Spójrz na ten tytuł: „Pełne entuzjazmu kobiety przekraczają normy produkcji!”. Pomyśl, po co im te normy? Co, mało roboty w domu? A to znaczy, że wspólnych zarobków męża i żony nie starcza na utrzymanie rodziny. A powinny wystarczać same męzowskie zarobki.

- Czy tak jest we Francji?

- Wszędzie tak jest. Spójrz tu niżej: „We wszystkich krajach kapitalistycznych razem wziętych nie ma tylu żłobków dla dzieci, ile jest u nas”. Czy to prawda? Owszem, to chyba prawda. Tylko że nie ma mowy o pewnej drobnostce: w innych krajach matki mają czas wolny, same wychowują dzieci i żłobki nie są im potrzebne.

Wagon turkotał. To jechał, to przystawał.

Innocenty bez wysiłku znajdował w gazecie, co chciał, podkreślał palcem i poprzez ten turkot kładł jej do ucha:

- Dalej, spójrz na te drobne wzmianki: „Taki a taki deputowany francuskiego parlamentu oświadczył... „ i potem jest mowa o nienawiści francuskiego narodu do Amerykanów. Czy to powiedział? Ależ powiedział, dlaczego nie? My piszemy prawdę! Tylko zapomnieli dodać, do jakiej to partii należy nasz deputowany. Gdyby to nie był komunista, to na pewno by napisali, tym cenniejsza byłaby ta wypowiedź! A zatem to komunista. Ale tego nie mówią! I tak jest ze wszystkim, Clarette. Piszą, dajmy na to, o śnieżycach, że tysiące samochodów śnieg zasypał, kataklizm! A kawał na tym polega, że aut jest tam nadmiar, że nie starcza garaży... Wszystko to składa się na wolność o d informacji. Nawet w dziale sportu to samo, o, proszę: „Zawody przyniosły zasłużone zwycięstwo... „, dalej możesz nie czytać, bo jasne, że naszym. „Kolegium sędziowskie w sposób dla widzów niepojęty uznało za zwycięzcę... „ - to jasne: nie naszego zawodnika.

Innocenty rozejrzał się, gdzie by tu wyrzucić gazetę. Ten człowiek nie rozumie, jaki to zagraniczny gest! Już i tak na nas patrzą! Klara odebrała mu pismo, zacisnęła je w ręce.

- W ogóle sport - to opium dla ludu - zakończył tyradę Innocenty.

Nie spodziewała się tego i było jej przykro. I dźwięczało całkiem nieprzekony-wająco w ustach takiego słabeusza.

- A ja gram często w tenisa i bardzo to lubię! - Klara potrząsnęła czupryną.

- Grać? Dlaczego nie? - zgodził się od razu Innocenty. - Okropny jest ten pęd do sportowych masówek. Sportowe widowiska piłkarskie, czy tam hokejowe, robią właśnie z nas durniów.

Turkot i dygot. Koła się toczą. Patrzyli przez okno.

- To znaczy, że tam u nich jest dobrze? - zapytała Klara. - Lepiej niż tu?

- Lepiej - skinął głową Innocenty. - Ale nie dobrze. Nie dobrze. To różnica.

- Czego więc brak?

Innocenty spojrział na nią poważnie. Nie było już w nim owego początkowego ożywienia, patrzył teraz spokojnie.

- Tego nie da się tak łatwo powiedzieć. Sam się dziwię. Czegoś jednak brak. I to niejednej rzeczy.

A Klara tak dobrze się przy nim czuła, tak jej było po ludzku dobrze i to nie dzięki

jakimś muśnięciem, głaśnieciem czy szczególnym tonikom, bo nic z tych rzeczy nie było - że z tej wdzięczności chciała, aby jemu też było miło, żeby się wewnętrznie wzmocnił.

- Przecież pan... przecież ty masz taką interesującą pracę! - próbowała go pocieszać.

- Ja? - zdumiał się Innocenty; policzki mu się zapadły, a że był w ogóle szczupły, wyglądał teraz jak zadreńczony głodomór. - Być naszym dyplomatą, Klarciu, to znaczy mieć dwie przegródki w piersi i dwa czoła. I dwie pamięci.

Nic nie próbował wyjaśniać, tylko westchnął, patrząc przez okno.

A czy jego żona to rozumie? Jak go tu pocieszyć, jak podeprzeć?

Klara wpatrywała się w niego i doszukała się pewnej osobliwości: górna część jego twarzy miała dość ostry zarys, dół zaś był miękki, jakby czyjś inny. Pod szerokim rozległym czołem twarz zwężała się skośnymi liniami, zbiegającymi się pod ustami. Usta były małe i wrażliwe, ich miękkość nadawała tej twarzy wyraz bezradności.

Dzień płonął już pełnym blaskiem, wesoło migały przylaski, dużo lasów było wzdłuż tej drogi.

Im dalej pociąg dążył, tym więcej było w pasażerach wsiowej prostoty i tym bardziej wśród tych ludzi ci dwoje wyróżniali się, jak teatralni przebierańcy. Klara zdjęła rękawiczki.

Wysiedli na jakimś leśnym przystanku. Prócz nich wyszło z sąsiedniego wagonu jeszcze tylko parę bab objuczonych torbami z miejskimi zakupami; nikogo więcej nie było na peronie. Innocenty z Klarą wybierali się do lasu. Po jednej i drugiej stronie torów rósł las, tylko że gęsty, ciemny, nieładny. Gdy tylko ogon pociągu zamiótł szyny, baby wszystkie razem przeszły szparko przez tory, kierując się gdzieś na prawo od lasu. Klara z Innocentym też poszli ich śladem.

Od razu za torami rosły trawy i polne kwiaty, wysokie do ramion. Dalej ścieżynka dawała nura w kilka rzędów brzozowej drągowiny. Potem była ścierni, na niej nieduży stóg, na podrosłej już trawie pasła się i nie pasła zamyślona koza, długą linką uwiązana do kołka. Teraz las rozciągał się z lewej strony, ale baby żwawo dyrdały w prawo, wprost na słońce, tam, gdzie zza krzaków otwierał się widok na rozległe pola.

Klara z towarzyszem zgodzili się od razu, że do lasu jeszcze zdążą, ale w ten jaśniejący obszar muszą wejść zaraz.

Prowadziła tam polna droga, prężna i zarosła trawą. Między tą drogą a torami złościło się zboże - ciężkie kłosa na krótkich, krzepkich źdźbłach; nie wiedzieli, co to za rodzaj zboża, ale na urodę pola nie miało to wpływu. Po drugiej zaś stronie drogi, na całym niemal

obszarze, jak okiem sięgnąć ciągnęła się rozorana, goła, deszczami zmyta już ziemia, gdzieś tam ciemna od wilgoci, gdzie indziej już sucha - i na całym tym bezmiarze nic nie rosło.

Ich przystanek był za węglem i dopiero teraz wyszli na te obszary - tak szerokie, że nie sposób było od razu ogarnąć ich wzrokiem, trzeba było dobrze kręcić szyją. Wszystko wokół zakreślone było linią ścisłego lasu, linią drobno w górze ząbkowaną. Chyba to właśnie chcieli zobaczyć, bezwiednie, nie zważając się wcale! Poszli przed siebie powolutku, potykając się, bo zadarli głowy ku niebu. Przystawali, kręcąc tymi głowami. Już nie widzieli torów, zasłoniły je zarośla i tylko daleko przed nimi, za całą przestrzenią tej pustej ziemi, przez którą brnęli, z jakiejś zapadliny wykwitowała po pas ciemnoceglasta cerkiew z dzwonnica. Idące przed nimi baby znikwały już w dali i na całym tym rozdole nie było więcej ani ludzkiej postaci, ani osady, ani ciągnika z przyczepą, ani zapomnianej kosiarki, no, niczego i nikogo. Tylko ciepłe tokowisko dla wiatru i słońca - i przestwory pełne szybujących ptaków.

Po dwóch chwilach nie zostało śladu po ich troskach i po rzeczowym tonie ich rozmowy. - Więc to jest Rosja? To właśnie jest Rosja? - pytał uszczęśliwiony Innocenty; to mrużył powieki, to rozglądał się po tych przestrzeniach, to przystawał i patrzył na Klarę.

- Słuchaj, jestem przecież przedstawicielem Rosji, ale takie miałem o niej pojęcie, jak o teatralnym przedstawieniu! Nigdy po tej ziemi tak sobie, normalnie, nie chodziłem, wciąż tylko samoloty, pociągi, stolice... - Wyciągnął ku niej ramię i wziął ją palcami za palce, jak to robi się z dzieckiem albo z bardzo bliskim człowiekiem. I tak poszli przed siebie, prawie nie patrząc pod nogi. Wolną ręką on trzymał swój kapelusz, a ona swoją torebkę.

- Słuchaj, sestro! - powiedział. - Jak to dobrze, że poszliśmy nie do lasu, tylko w tę stronę. Przecież właśnie tego brak mi w życiu: żeby móc widzieć wszystko dokoła i żeby lżej było oddychać!

- A bo to nie widzisz wszystkiego? - Tak ją wzruszył, że własne oczy by oddała, gdyby mogło mu to pomóc.

- Nie - pokręcił głową - nie. Kiedyś wszystko było widać, a teraz się wszystko zagmatwało.

Co się zagmatwało? Jeżeli wszystko jest tak strasznie zagmatwane, to nie chodzi przecież tylko o poglądy, ale na pewno o sprawy rodzinne. A gdyby Innocenty dodał jeszcze parę słów, Klara nabrałaby śmiałości i powiedziałaby wyraźnie, że jest po jego stronie i że to

on ma rację, i że nie trzeba desperować!

Ale Innocenty nic więcej nie dodał. Milczał teraz.

Zrobiło się upalnie. Zdjęli płaszcze.

Nikogo więcej nie było widać na całej równinie. Nikt nie szedł im na spotkanie, nikt ich nie mijał. Za pasmem zarośli przejeżdżał czasem pociąg z odległym szumem, niemal bezdźwięcznie, tyle, że dymek za nim się snuł.

Grupka bab dawno skręciła już z drogi i teraz była hen, w środku szerokich pól, ledwie majacząc w słońcu. Innocenty z Klarą doszli do zakrętu. Miękkie skiby przecinała wydeptana, jaśniejsza dróżka, nurkująca w bruzdach wyżłobionych przez ciągniki. Ciągnąc na przełaj przez rządowe pola, maleńcy ludzie przecierali drogi swoim drobnym sprawom.

Szlak wiódł do tej wsi z cerkwią, ale po drodze, w samym środku pustaci, prowadził do dziwnie ściślej, odosobnionej, zadrzewionej kępy. Ta kępa stała pośród pól, z dala od lasów, daleko też od wioski - dziwna, bujna i świeża kępa śmigłych, wysokich pni. Była niewielka, ale zdołała sobą cały ten obszar, stanowiła jego środek. Co to było takiego? Dlaczego i po co te drzewa stały tu pośród pól?

Skręcili w ich stronę.

Ich ręce rozplotły się, ścieżka była zbyt wąska, teraz Klara szła przodem.

Idzie za tobą i patrzy ci w plecy. Przygląda ci się. Mąż twojej siostry? Czy twój brat? Czy może...

Żeby coś powiedzieć, Klara musiała teraz przystawać i oglądać się za siebie:

- A jak teraz będziesz mnie nazywał? Nie mów mi „Clarette”!

- Już więcej nie będę. Przecież wcale cię nie znałem. Na Zachodzie to w ogóle lubią skracać imiona, żeby dwie, trzy sylaby, nie więcej.

- Będę ci mówiła „Ink”, dobrze?

- Dobrze. To mi się podoba.

- Nikt tak do ciebie nie mówi?

Nie, to pole nie było całkiem płaskie, niedostrzegalnie opadało w lewo, właśnie tam, dokąd szli. Okolica rozpościerała się jeszcze szerzej, a potem wznosiła się w stronę owej kępy drzew.

Teraz już było widać, że to brzozy, przy tym stare, wysokie, sadzane jak pod sznur, w czworokąt, a później rozplenione jeszcze wewnątrz jego obrębu. Dziwna to była kępa, zostawiona jakby sama sobie, z niczym innym na tej polaci nie złączona.

- Jak się to wszystko u ciebie zaczęło? - zapytała Klara.

To wszystko? Te słowa miały wiele znaczeń.

Ale odpowiedział bez wahania:

- A wiesz, kiedy? Kiedy zabrałem się do porządkowania szaf mojej mamy. Nie, może nawet wcześniej, chyba jakiś rok przedtem, w każdym razie, kiedy zacząłem bobrować w tych szafach.

- Po jej śmierci?

- Dłuższy czas po jej śmierci. Zresztą to nie było dawno. Ja przecież... tylko proszę, tego też nikomu nie mów, Dotti tego nie rozumie, może to do niej nie dociera...

(A ja zrozumieję!... Mów jeszcze o Dotti, mów, dopiero teraz zacznie się rozmowa! I zaraz będzie ci lżej!) - ... Widzisz, ze mnie był bardzo niedobry syn, Klarcu. Póki mama żyła, to jej tak naprawdę nigdy nie kochałem. Przecież podczas wojny, kiedy byłem w Syrii, to nawet na jej pogrzeb... Słuchaj no, czy to aby nie cmentarz?

Przystanęli oboje. I zadrżeli, chociaż był upał, i zrozumieli od razu, że to właśnie był cmentarz! Jak można było wcześniej tego nie zrozumieć? Niczym innym nie mógł być ten niezbadany obszar cienia, zalegający pośród ornych pól.

Co prawda, nie widać było jeszcze ani krzyży, ani grobów. Jeszcze byli na dnie zapadliny, przeskakiwali przez kałuże na bagnisku (Innocenty skoczył raz nie tak zręcznie jak Klara, uwiązał jednym półbutem w grząskiej ziemi, ale dziewczyna nie wyciągnęła do niego pomocnej ręki, żeby go nie urazić). Teraz szli pod górę, bo nagle okazało się stromo.

Ani płotem, ani palikami, ani rowem, ani sypanym wałem nie był cmentarz ogrodzony, stały tylko rzędem stare brzozy, splatając się czubami, a ziemia dookolnych pól płynnie i szeroko, jak tchnienie w tchnienie przechodziła w gęstą, piękną murawę, bez chwastów i - nie wiedzieć czemu - niską, chociaż nie była strzyżona, ani deptana. Trawa tu była taka jak trzeba, jak to się godzi na cmentarzu.

Jak tu było cieniście, jak cicho! Na całej przestrzeni tych planowo wykreślonych pól nie było tyle czystości i życia, co w tym przytulisku!

Niektóre mogiłki miały ogrodzenia. Ale przeważnie były to bezimienne kopczyki, porośnięte trawą, niektóre nawet świeże.

- Ile tu miejsca! - zdziwił się Innocenty. - Tu będzie ze sto grobów, a zmieści się jeszcze co najmniej pięćdziesiąt. I na pewno każdy może tu przyjść i wykopać dół, bez żadnych podań. Tymczasem w Moskwie, gdzie leży mama, trzeba było starać się w

Mossowiecie, dyrektorowi cmentarza też trzeba było dać w łapę, a między dwoma grobami nie ma gdzie nogi postawić i nowe mogiły usypują na starych.

Właśnie te wiekowe brzozy uchroniły cmentarną oazę od traktorów.

Płaszcz same rzuciły się na ziemię i jakoś tak samo im się siadło - twarzami w stronę Bezmiaru. Z tego cienia i zza słońca wszystko lepiej było widać. Ledwie mieniła się białą odległą już budka stacyjki. I dymek włókł się nad drągowiną, co ciągnęła się wzdłuż torów. Rozglądali się w milczeniu, ledwie dysząc. Dobrze było tak siedzieć. Ink położył głowę na swoich podkurczonych kolanach. Klara patrzyła na jego wątły, chłopięcy kark; włosy na nim przycięte były ręką dobrego fryzjera.

- Jak czysto na tym cmentarzu! - zdziwiła się Klara. - Ani krowich placzków, ani śladów mazi.

- A tak - westchnął Innocenty z ulgą. - Chciałby tu człowiek leżeć po śmierci! Ale nic z tego, stracona okazja. Wetkną cynkową trumnę w brzuch samolotu, a potem zawiozą autem licho wie dokąd...

- Inku, masz jeszcze czas o tym myśleć!

- Wiesz, Klarciu, pośród tych łgarstw człowiek prędko traci siły, bardzo prędko, dwa razy prędeżej. - Powiedział to ze znużeniem, słabym głosem.

Mogło chodzić o jego pracę, ale może - miał na myśli w ogóle swoje życie. A może tylko życie małżeńskie? Nie, nie mogła go o to zapytać.

- I co tam było w tej szafie?

- W szafie? - wzrok Innocentego, zawsze niespokojny i zatroskany, nabrał skupienia. - Wiesz, co było w szafie... - Ale ledwie przystąpił do wyjaśnień, już go cała rzecz, jak się zdaje, znużyła. - Nie, to dłuższa historia... lepiej kiedy indziej...

Jeżeli to za długie nawet na taką chwilę, to kiedyż będzie mógł jej opowiedzieć?... Albo może ma taki charakter, że wciąga go tylko to, co nowe, co pierwszy raz się zdarza?

Przejąć by w lot jego brzemień! Kiedy jeszcze trafi się taka chwila?

- A więc nie masz już nikogo z rodziny?

- Jest, wystaw sobie, jeszcze jeden wujek, brat mamy. Ale o nim też nic nie wiedziałem aż do zeszłego roku.

- Nigdyś go nie widział?

- Owszem, widziałem, kiedy byłem mały, ale nic mi w pamięci nie zostało.

- Gdzie mieszka?

- W Twerze.

- Gdzie?

- Teraz Twer nazywa się Kalinin. Dwie godziny koleją, ale dotąd nie znalazłem czasu. Zresztą kiedy, skoro właściwie nie ma mnie w Rosji?... Posłałem mu list, stary się ucieszył.

- Słuchaj, Inku, trzeba tam pojechać, bo później będzie ci żal.

- Owszem, mam właśnie taki zamiar, mam! Pojadę w tych dniach, daję słowo!

Chłodny cień dodał mu rzeźkości po spiekocie, wyglądał już lepiej.

Dokąd mieli teraz się udać? Do lasu daleko, zresztą nie ma dróg, za cmentarzem z jednej strony słoneczniki, z drugiej buraczysko. Była tylko jedna ścieżka, ta sama, którą baby poszły w stronę wsi. Może stamtąd będzie bliżej do lasu. Poszli więc tam.

Innocenty zdjął nawet kurtkę, został w lekkiej, białej koszuli. Sterczały mu spod niej ostre łopatki; plecy miał kościste, nie gładkie. Przed słońcem osłonił głowę kapeluszem.

- Wiesz, do kogo jesteś podobny? - zaśmiała się Klara. - Do Jesienina, jak wrócił do rodzinnej wsi z europejskich wojaży.

Innocenty uśmiechnął się, spróbował zacytować:

- Ojczyzno, ach, i com ja tu odnalazł?... Jaki też stałem ci się obcy... Ani już kośby nie pamiętam, ani orki...

Już się znaleźli na bezludnej ulicy. Droga między chałupami miała nie więcej niż dziesięć metrów, ale tak beznadziejnie, tak niepoprawnie była rozkopana, poszarpana gąsienicami i kołami, tak pełna - ówdzie wysokich grud, ówdzie kałuż ołowianego błota, któremu żaden upał letni nie dałby rady - że dzieliła obie strony ulicy nie gorzej niż jakaś rzeka. Wąziutkie ścieżki biegły tylko wzdłuż ścian i trzeba było od razu decydować się na jedną z nich.

Taką ścieżką szła szybko w ich stronę dziewczynka z koszykiem w ręku.

- Dziewczynko... - zaczął Innocenty, ale zaraz się spostrzegł, że to nie dziecko. - Panienko! - Ale kiedy podeszła blisko szybkim krokiem, okazało się, że to kobieta, chyba czterdziestoletnia, dziwnie drobna, z bielkami na obu oczach. Innocenty nie miał już czasu na sprostowanie tego, co wyglądało na głupi żart. - Jak się ta wieś nazywa?

- Boże Narodzenie - łypnęła na nich chorymi oczyma i poszła dalej szparko.

- Boże Narodzenie? - młodzi ludzie spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. - Jaka dziwna nazwa. - Krzyknęli w stronę oddalającej się kobiety: - Skąd ta nazwa?

- A tak nazwali. Skąd mam wiedzieć? - odkrzyknęła im przez ramię i podreptała dalej.

I gdzie też się rozpełzły te wszystkie zaradne baby z pociągu? Nie było śladu życia ani na ulicy, ani w obejściach. Wypaczone i nędzne drzwi, jakie bywają w kurnikach, a nie w domach i nigdy nie otwierane, raz na zawsze wprawione w dubeltowe ramy, malutkie okna bez wywietrzników, też chyba nie mogły przesłaniać sobą ludzkiego życia. Nie było widać i słyhać ani klasycznych świniaków, ani drobiu. Tylko mizerne szmaty i koce, porozwieszane w którymś obejściu na sznurach, służyły za dowód, że ktoś tu był rano.

Słoneczne światło wlewało się w tę ciszę do pełna.

Zauważyli ruch w głębi jakiegoś podwórza. Szurając po suchej grudzie kaloszami, zbliżała się rosła starucha, przypatrując się czemuś, co trzymała w dłoni.

- Hej, gospodyni!

Nie usłyszała.

- Gospodyni!

Podniosła głowę.

- Źle słyszę - krzyknęła. Głos był suchy i płaski. W jej oczach nie widać było żadnego zdziwienia na widok dobrze ubranych przybyszów.

- Może byście nam sprzedali trochę mleka? - zapytała Klara.

Mleko nie było im potrzebne, ale po paru wypadach do kolchozów wiedziała, że tak najlepiej rozpocząć rozmowę.

- Krów tu nie ma - odparła starucha z godnością.

Trzymała w ręce zdechłego żółto-białego kurczaka, ptaszek już nie wyrywał się i nie ruszał.

- Gospodyni, jak się ta cerkiew nazywała? - zapytał Innocenty.

- Jak to tak n a z y w a ł a się? - spojrzała na niego jak przez błonę. Jej twarz, cała w obwisłych fałdach, pełna była samoistnej powagi.

- Przecież każda cerkiew... ma jakąś nazwę?

- Tylko też nazwa została - powiedziała starucha. - Zamknęli już nie pamiętam kiedy, będzie ze dwadzieścia lat. Autobusem godzina drogi. Bliżej to cerkwi nie ma. Letnia kaplica stała obok - to jeńcy ją rozebrali.

- Jacy jeńcy?

- Niemcy.

- A dlaczego?

- Cegłę do Nary wywozili. Kurczęta mi zdychają. To już czwarte, nie wiadomo

dlaczego.

Klara z Innocentym wzruszyli ramionami ze współczuciem.

- Może je sama kwoka przydusiła? - powiedziała starucha i szurając kaloszami weszła przez niskie drzwi do chaty.

Aż do końca wiejskiej drogi nie zobaczyli więcej żywej duszy. Nic się nie ruszało. Nie pojawił się i nie zaszczekał żaden pies. Tylko dwie, trzy kury grzebały w piachu. Skradając się, jak na łowach, wyszedł z burzanów kot, już nie domowego jakby chowu, ani spojrzał na ludzi, powąchał parę grudek po drodze i podyrdał w stronę głównej ulicy, tak samo martwej, jak ta, którą szli.

Właśnie na skrzyżowaniu, na szerszym placyku, stała ta cerkiew: przysadzista świątynia krzepkiej budowy; przemyślnie stawiane mury zdobione były nakładanymi krzyżami z cegieł, a nad nimi wznosiła się dzwonnica z wąskimi przeziera-mi na wysokość dwóch kondygnacji. Parapety zarosły mchem i trawą, a mnóstwo jaskółek i jakichś jeszcze mniejszych ptaszków bezustannym, niemym kołowrotem krążyło na wysokości otworów okiennych, to wlatując, to wylatując z wnętrza. Kopała dzwonnicy, jako że trudno było do niej się dostać, wyglądała na całą, dach nawy zaś obdarty był z blaszanej łuski aż do sterczących żeber. Oba krzyże też jakoś przetrwały na swoich miejscach dwa dziesięciolecia. Drzwi u stóp dzwonnicy otwarte były na oścież, w ciemnym wnętrzu paliła się naftowa lampa, stały baniaki na mleko; ludzi nie było widać. Otwarte też były drzwi do krypty, widać było worki stojące na stopniach, ale tam też nie było nikogo.

Nie uchowało się ani ogrodzenie, ani przycerkiewny majdan; powszędy, z lewa, z prawa, między nawą a dzwonnica wszystko było rozbebeszone traktorami i ciężarówkami; szarpały się tu zawsze gorączkowo, żeby nie ugrzęznąć, żeby chociaż raz bez kłopotu dobrnąć do składu i wyrwać się stąd. Dlatego pokaleczona, pokiereszowana, chora ziemia cała była w szarych, pokracznych strupach, w grudach, w ołowianych gnojówkach pełnych błotnistej mazi.

Cerkiew była tuż, ale młodzi ludzie długo szukali sposobu, żeby suchą nogą przejść na drugą stronę ulicy. Trzeba było nałożyć kawał drogi, a jeszcze tam musieli długo kluczyć i skakać.

W błocie wśród kolein leżały duże kawały rozbitych flizów. A pod cerkiewnym murem lśniło usypisko z drobniejszych kawałków białego, żółtego i różowego marmuru.

Innocenty czuł, że słońce piecze, ale na jego twarzy nie rumieniec się pojawił, tylko

bladość. Wysmykujące się spod kapelusza włosy miał mokre.

Podeszli pod samą cerkiew. W nieruchomym, gorącym powietrzu stał ciężki cuch, jakby gnijącej wody, bydłęcego ścierva, a może jakichś odpadków. Innocenty z Klarą już mieli sobie za złe, że tu przyszli, już nie chcieli zwiedzać cerkwi, zresztą* co tu było do zwiedzania. Tam, za budynkiem kościelnym, zaczynał się upłaz i widać było niżej obłe korony rosnących wierzb, całe królestwo wierzbowe. Tylko tam, w tej zieleni, mogli się schronić, tylko tam uciec. Ale tu ich ktoś zawołał:

- Macie się może czym sztachnąć, obywatele?

Nieduży chłopina, z głową wciągniętą między barki - jakby z nieustannego strachu czy zimna - a przecież zadziorny z wyglądu, wynurzył się nagle i obmacywał ich oczyma. Innocenty z wyrazem żalu poklepał się po kieszeniach, tak jakby miał nadzieję, że jednak ma tam paczkę.

- Jestem niepalący, towarzyszu.

- Szkoooda - zasumował się chłop, ale dalej stał i uważnie przyglądał się dziwnym przybyszom. Nie wiedział, jakim tu przyjechali samochodem, ale widział w nich wyraźnie osobliwych przedstawicieli gatunku panów.

- Jak się nazywała ta cerkiew?

- Narodzenia Pańskiego - odpowiedział chłopina już bez szacunku, bo poznał się na nich z pierwszego słowa i tak jak się pojawił, tak też pospiesznie zniknął.

Ale po drodze w dół spotkali jeszcze jakiegoś kalekę z przytroczonym do nogi gołym, struganym szczudłem. Nosił granatową płócienną koszulę, całą w białych łatach; odpoczywał sobie na kamieniu pod lipą.

- Skąd tu marmur? - zagabnął go Innocenty.

- Co takiego? - powiedział łatany chłop.

- A ten tam kolorowy kamień.

- Aaa... bo rozwalili ołtarz. - Pomyślał chwilę. - Ikonostas.

- A po co?

Chwila namysłu.

- Żeby gościniec brukować.

- Dlaczego tu u was taki... zapach?

- Co takiego? - zdziwił się jednonogi i powiedział po namyśle: - A... to od obory, ani chybi. Obora tu u nas zaraz obok.

Machnął w tę stronę ręką, ale tych oboje nawet się nie obejrzało; chcieli jak najprędzej wyrwać się - tam, w dół, do tych wierzb.

- A tam co będzie? - zapytali go jeszcze.

- Tam? Nic tam nie ma. - Pomyślał chwilę. - Tylko rzeczka.

Prowadziła tam bita ścieżynka. Klara chciała puścić się biegiem, ale zobaczyła, jaki Innocenty jest blady; przestraszyła się i ruszyła razem z nim powoli.

- Jak człowiek widział taką wieś, to naprawdę cmentarz mu będzie miłszy - pokręciła głową. - Utykasz?

- Coś mnie tam uwiera.

Zatrzymali się w rozłożystym cieniu ogromnej pierwszej wierzby i obejrzeliby za siebie. Teraz, kiedy nie czuć było smrodu, kiedy musnęła ich już zielona, wilgotna świeżość, kiedy okazało się, że cerkiew stoi na wzgórzu, kiedy nie widać było strasznych szram wiejskiej ziemi, a tylko skrzydlate drobinki miały się i szybowały dookoła dzwonnicy - widok stąd był wcale miły.

- Jesteś bardzo znużony! - zatrwożyła się Klara. - Powinieneś odpocząć i obejrzeć tę nogę.

Rzucił płaszcz i usiadł na ziemi opierając się o pochyły pień. Przymknął oczy. Podniósł głowę i spojrzał w górę, na cerkiew.

- No i masz, Klarcu, dwa Narodzenia Pańskie.

- Dlaczego dwa?

- Nasze i zachodnie. Jakie jest nasze - toś teraz widziała. A na Zachodzie - całe niebo w neonach, na wszystkich ulicach gęstwa samochodów, tłok w sklepach, wszyscy wszystkim kupują upominki. I na jakiejś tam biednej wystawie zapomnianego sklepiku - żłobek i święty Józef z osiołkiem.

- Co za Józef, jaki znowu osiołek?

Teraz dopiero zobaczyli nad urwiskiem koło cerkwi, tam gdzie uchowało się kilka lip, jakąś mogiłę z obeliskiem, która przedtem uszła ich uwagi.

- Nie obejrzeliliśmy tego, jaka szkoda.

- Zaraz tam polecę! - zawołała Klara i pobiegła na przełaj. Biegła, jak dla zabawy, ale wcale nie było jej wesoło.

Stała tam chwilę, przeczytała napis i z tą samą lekkością zbiegła w dół, swoimi silnymi nogami szukając oparcia w bruzdach.

- No i - jak myślisz?

- Jakiś duchowny?

- „Wieczna chwała bohaterom Czwartej Dywizji pospolitego ruszenia, którzy padli broniąc mężnie honoru, niepodległości i tak dalej... Ministerstwo Finansów. „

- Finansów? - Innocenty zdumiał się, aż drgnęły jego wydłużone, chrząstkowate uszy.

- A więc finansów też! Biedni urzędnicy... Ilu ich tu padło?... I ciekawe, ilu tych pospolitaków wypadło na jeden karabin? Czwarta dywizja pospolitego ruszenia?

- Tak.

- Dywizja bez broni! I do tego aż czwarta... Jedna z potworności tej wojny - pospolite ruszenie...

- Jaka w tym potworność? - nie mogła zrozumieć Klara.

Innocenty westchnął i opuścił głowę.

- Źle się czujesz?... może już lepiej wracać? Nie idźmy dalej.

Jeszcze raz westchnął.

- Nie, nic takiego, źle znoszę upał i niedobre buty wzułem. Nie na tę okazję.

- Ja też żałuję, że nie obułam starych. Gdzie masz to otarcie? Podłóżmy kawałek gazety pod piętę i zaraz będzie lepiej.

Zajęli się butem.

Na niebie tam i siam pojawiły się zwiewne obłoczki. Przesłaniały czasem słońce i łagodziły żar.

- No i co? Ruszamy dalej? Powinniśmy byli iść do lasu, prawda? Jeżeli chcesz, przejdziemy się brzegiem rzeki, tam też będzie trochę cienia.

Już poczuł się lepiej i powiedział z uśmiechem:

- Ale zdechlak, co? Całe życie samochodem... A z ciebie zuch dziewczyna. Chodźmy, chodźmy, tylko którym brzegiem?

Przez płynącą w dole rzeczkę przerzucona była kładka, przywiązana grubym drutem do wierzbowych pni, żeby jej powódź nie uniosła.

Przejsć czy nie przejść? Każda z tych dwóch dróg jest inna i dlatego odmienne na nich muszą być rozmowy, bo inaczej się chodzi po każdej z tych dróg. Przejsć czy nie przejść?

Przeszli na drugą stronę. Na stoku nad drugim brzegiem stały drzewa sadzone równym rzędem. Oprócz wierzb, które samosiewem gromadziły się nad wodą, były tu jeszcze młodziaki brzozowe i świerkowe. Był też staw zapuszczony, pełen żab i opadłego listowia -

też chyba wykopany umyślnie, bo miał równe brzegi. Co tu było kiedyś? Jakiś opuszczony majątek? Nie było kogo spytać.

Patrzącym z tego miejsca poprzez krągłe korony wierzbowe cerkiew na wzgórzu wydawała się jeszcze piękniejsza; to do niej szło się na zew dzwonu tą drogą z drugiej, sąsiedniej wsi, już stąd widocznej. Ale wsi mieli dosyć, woleli iść brzegiem rzeki.

Miło było tak kroczyć, ta okolica żyła własnym cienistym i soczystym życiem. Na płyciznach woda bulgotała i marszczyła się; w miejscach głębszych - co i rusz tajemnicze drzenie przenikało jej nieruchomą z pozoru powierzchnię. Wszędzie sunęły po niej wodne pająki, muskały wazki; na pewno są tu i ryby, i raki. Najlepiej byłoby wejść do tej wody po kolana i brnąć przed siebie po jej dnie, jak to robią chłopcy, właśnie raków szukając. Tym bardziej, że na brzegu trafiali to na pokrzywy, to znów na olchowe zarośla.

Napotkali ogromną wierzbę, której krzywy pień nawisał aż nad tamtym brzegiem, jak most; nawet miał coś w rodzaju poręczy z poskręcanych poziomo gałęzi.

- Baobab! - plasnęła dłońmi Klara. - Jaki piękny! Przejdźmy po tym pniu na tamten brzeg! Zdaje się, że tamta droga lepsza.

Innocenty pokręcił głową z niedowierzaniem, ale Klara już wskoczyła śmiało na pochyły pień i wyciągnęła do mężczyzny silne swoje ramię.

Innocenty z wahaniem podał jej wątłą dłoń.

Wierzbowy pień, acz łagodnie, podnosił się przecież wysoko. Innocenty stąpał po nim drobnymi kroczkami i chyba nawet bał się zerknąć w dół. A tu jeszcze jakaś gałąź, której się uchwycił, przegrodziła im obojgu drogę, trzeba było gramolić się z trudem. Wszystko to robił z wyrazem skupienia, zamilkł na amen. Ale jakoś doszli bez uszczerbku. Widać było jednak, że Innocentego ta przeprawa nie zachwycała.

Na nowym brzegu wcale nie było lepiej. To, co teraz mówili, nie bardzo już było ważne. Słychać było warkot traktorów zza górki. Prędko też skończyła się ścieżka nadbrzeżna. Musieli więc wyrzec się cienia i pójść jedyną możliwą drogą w dal od rzeki. Innocenty utykał coraz bardziej.

Znaleźli się w końcu na szerokim folwarcznym dziedzińcu; stał na nim domek i jeszcze jakaś mała szopa. W domku zapewne było biuro: na daszku łopotała bezwładnie bladoporóżowa flaga, już postrzępiona. Szopa była szeroka tylko na tyle, że na jej ścianie mieścił się napis: „Naprzód, do zwycięstwa komunizmu!”. Na dziedzińcu stało mnóstwo maszyn niewiadomego przeznaczenia, ceglanych od rdzy, pokrytych wypełzłymi plackami

błękitnego i zielonego lakieru, maszyn ze słoniowymi trąbami, szczękami i hakami, kilka polowych kuchni i przyczep ze sterzącymi albo zwisającymi dyszlami - a wszystko to porozrzucane było i zapomniane na rozległym boisku, wybebeszonym i rozoranym tak, że nie było gdzie nogą stąpać. Tylko jeden człowiek, w czarnym od smaru kombinezonie, brnął od maszyny do maszyny i to pochylał się, to podnosił głowę, jakby czegoś szukał. Więcej nie było nikogo.

Na wzgórzu, opodał, terkotał traktor.

Ale nie mieli innej drogi. Z trudem przeskakując z kępy na kępę przecięli ten folwarczny podwórzec. Innocenty już kulał. Znowu zrobiło się gorąco. Wrócili w stronę rzeki. Zdażała teraz pod betonowy most. Zwyczajny, nudny, mocny most łączył oba brzegi, równał oba przeznaczenia. Chyba tam, w górze biegła szosa.

- Spróbujemy może autostopu - powiedział Innocenty. - Nie będziemy przecież wracać na stację.

Dzień był w zenicie, ich przechadzka miała się ku końcowi. Skąd bierze się nagle między ludźmi ta przesłona? A widać przez nią i słychać, jaka pomoc jest drugiemu człowiekowi potrzebna! Ale to nie było im dane. Tego być nie mogło.

Obok mostu znaleźli źródółko. Przysiedli więc, napili się, chcieli nawet obmyć nogi w tej wodzie. Ale tu usłyszeli w górze potężny warkot. Wyszli spod mostu i zobaczyli, co się dzieje w górze, nad nasypem. Szosą sunął wąż jednakowych, nowych ciężarówek, obciążonych nowiutkim brezentem. Nie było widać jego końca za wzgórzem z lewa, a czoło tego węża zniknęło za prawym wzniesieniem. Były tam samochody z antenami, wozy obsługi technicznej, samochody z napisem „Ładunek łatwopalny”, przyczepne kuchnie polowe. Pędzące wozy przestrzegały ściśle dwudziestometrowego dystansu i mknęły miarowo, tak że drzenie mostu nie milkło ani na chwilę. W każdej kabinie obok kierowcy siedział sierżant albo oficer. Pod brezentem jechało mnóstwo wojska: przez uchylone zasłonki nawet z daleka widać było żołnierskie twarze, obojętne, bo wszystko jedno skąd, którędy i dokąd wiozą ich, ujętych w ryzy służby.

Klara z Innocentym naliczyli ze sto samochodów od ich pojawienia się aż do chwili, gdy wszystko ucichło.

I znów zaszemrała woda, opłukując drewniane pale pozostałe po starym mostku.

Innocenty przysiadł na kamieniu nad źródółkiem i powiedział bezradnie:

- Życie poszło na rozkurz.

- Jak to? Jaki rozkurz? Powiedz! - krzyknęła zdesperowana Klara. - Przecież obiecałeś, że mi wszystko wyjaśnisz - i nic, nic nie wyjaśniłeś!

Spojrzał na nią zbolałym wzrokiem. Znalazł jakiś złamany patyk, ujął go jak ołówek. I nakreślił koło na wilgotnej ziemi.

- Widzisz to kółko? To jest nasza ojczyzna. To - pierwszy krąg. A tu masz drugi. - Nakreślił drugie koło, szersze. - To jest ludzkość. I wydaje ci się, że ten pierwszy mieści się w drugim? Nic podobnego! Tu masz mur przesądów. Masz tu nawet zasieki z kolczastego drutu, z karabinami maszynowymi. Ani ciałem, ani sercem nie sposób prawie przebić się przez te przegrody. I wydaje się, że żadnej ludzkości wcale nie ma. Tylko te ojczyzny, te ojczyzny, a dla każdego inna...

Chyba właśnie w tych dniach wydział specjalny przysłał Klarze blankiety ankiet. Wypełniła je z łatwością: pochodzenie miała bez zarzutu, życiorys krótki i niczym nie obciążony, pławiący się w blaskach pomyślności i wolny od jakichkolwiek uczynków hańbiących obywatela.

Przez ileś tam miesięcy te ankiety krążyły i wszystkie otrzymały pozytywną ocenę. Klara zdążyła tymczasem skończyć instytut i przekroczyła progi wartowni tajemniczej żony Marfina.

45

W gronie swoich koleżanek, absolwentek instytutu łączności, Klara przeszła budzący grozę instruktaż u ciemnoliciego majora Szykina.

Dowiedziała się, że będzie musiała pracować wśród najbardziej osławionych agentów - psów światowego imperializmu i amerykańskiego wywiadu, za psi grosz kupujących własną ojczyznę.

Klara otrzymała przydział do Laboratorium Próżniowego. Taką nazwę nosiło laboratorium, gdzie wytwarzano niezliczone ilości elektronowych rurek próżniowych na zamówienia pozostałych pracowni. Rurki naprzód wydmuchiowano w sąsiedniej malutkiej dmuchalni szkła, a następnie we właściwej pracowni próżniowej, w dużej, półciemnej izbie z oknami na północ, usuwały z nich powietrze trzy sapiące pompy próżniowe. Pompy stały pośrodku pokoju jak szafy i przegradzały go. Nawet we dnie paliło się tu elektryczne światło. Podłoga wyłożona była kamiennymi płytkami i wciąż tu rozlegało się dudnienie, gdy ktoś chodził albo przestawiał krzesło. Koło każdej pompy siedział lub krążył specjalny laborant, więzień. Dwóch-trzech innych więźniów siedziało przy pozostałych stolikach.

Wolnymi pracownikami byli tylko Klara i pewna dziewczyna imieniem Tamara oraz kierownik laboratorium, noszący dystynkcje kapitana.

Kierownikowi temu Klara została przedstawiona w gabinecie Jakonowa. Był to tęgawy, niemłody Żyd z jakimś tonem obojętności w zachowaniu. Wcale już nie starając się nastraszyć Klary, skinieniem wskazał jej drogę, na schodach zaś zapytał:

- Ma się rozumieć, pani nic nie umie i nic nie pamięta?

Klara mruknęła coś niewyraźnie w odpowiedzi. Do tego całego strachu brakowało jeszcze tylko wstydu - żeby została zaraz zdemaskowana jako ignorantka i żeby wszyscy z niej się śmieli.

Jak do klatki pełnej dzikich zwierząt weszła tedy Klara do laboratorium, w którym gnieździły się potwory w granatowych kombinezonach. Bała się nawet podnieść wzrok.

Trzech laborantów rzeczywiście krążyło, jak zwierzęta w klatce, dookoła swoich pomp - bo dostali pilne zamówienie i drugą już dobę nie pozwalano im iść na spoczynek. Ale przy środkowej pompie mężczyzna po czterdziestce, łysawy, dawno nie golony, zatrzymał się, uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Ooo! Ale uzupełnienie!

I cały strach nagle się rozplątał. Tyle sympatycznej prostoty było w tym okrzyku, że Klara tylko całym wysiłkiem, do jakiego zdolna jest dziewczyna, powściągnęła uśmiech.

Najmłodszy z laborantów - miał pod swoją pieczęją najmniejszą z pomp - też się zatrzymał. Był to zupełnie jeszcze młody chłopak o wesołej twarzy spryciarza i dużych niewinnych oczach. Patrzył na Klarę jakby zupełnie zaskoczony jej widokiem. Nigdy jeszcze żaden młody człowiek tak na Klarę nie patrzył.

Za to starszy laborant, Dwojetiosow - jego to ogromna pompa w głębi izby robiła najwięcej hałasu - wysoki, niezdarny mężczyzna, chuderławy, ale z obwisłym brzuchem, pogardliwie zerknął z dala na Klarę i schował się za szafą, jakby nie chciał patrzeć na coś tak wstrętnego.

Później Klara dowiedziała się, że taki miał on stosunek do wszystkich z wolności, przy wizycie zaś kogoś z kierownictwa włączał specjalnie jakieś dodatkowe ryki, żeby goście musieli je przekrzykiwać. Najwyraźniej nie zwracał uwagi na swój wygląd, mógł przyjść do pracy z guzikiem przy rozporoku wiszącym na drugiej nitce, z dziurą na grzbiecie, bądź też nagle przy kobietach zaczynał skrobać się pod kombinezonem. Lubił pogadywać:

- Jestem w swojej ojczyźnie czy nie? Co się mam krępować we własnym kraju?

Tego średniego wszyscy więźniowie, nie wyłączając młodzieży, przezywali Ziemiela, co go wcale nie obchodziło. Należał do tych, których psychologowie nazywają naturami słonecznymi, a wśród ludu mawia się o takich „gęba od ucha do ucha”. Obserwując go w ciągu następnych tygodni, Klara zauważyła, że człowiek ten nigdy nie żałuje niczego, co stracił, mniejsza, czy chodzi o zgubiony ołówek, czy o całe jego zatracone życie, że na nikogo i na nic się nie gniewa - a także nikogo i niczego się nie boi. Był inżynierem z prawdziwego zdarzenia, tylko specjalistą od motorów lotniczych, do Marfina przywieziono go omyłkowo, ale znalazł tu sobie ciepły kąt i nigdzie mu nie było pilno, bo słusznie zakładał, że gdzie indziej wcale mu nie będzie lepiej.

Wieczorem, kiedy pompy przestawały szumieć, Ziemiela lubił w ciszy kogoś posłuchać albo coś komuś opowiedzieć:

- Można było nawet zjeść śniadanie za piąta. I w ogóle, kupuj, czego dusza zamarzy, na każdym kroku wtykają ci w ręce - uśmiechał się szeroko. - Byle głównem nikt nie handlował, w pysk by mu ludzie plunęli. Buty - to były buty, dziesięć lat można nosić bez żelowania, a jak z żelowaniem - to piętnaście. Skóry na noskach nie obcinali, jak teraz, tylko ściągali ze wszystkich stron ku środkowi podeszwy, żeby schodziła się dookoła pod stopą. Były jeszcze te... no, jak tam?... palone, na spirytusowej podeszwie - to nie buty, tylko jakby drugą duszę człowiek dostał! - cały tajał w uśmiechu i mrużył oczy, jak od blasku słabego, ciepłego słoneczka. - Albo, na przykład, dworce... Możesz przyjść minutę przed gwizdkiem, kupujesz sobie bilet, wsiadasz, dlaczego nie, zawsze jest miejsce. Pociągów było dużo, na tym nie robiono oszczędności... Życie było proste, bardzo proste...

Starszy laborant, przewalając się ciężko z nogi na nogę i trzymając ręce w kieszeniach, wypelzał wtedy z ciemnego kąta, gdzie jego biurko ukryte było dobrze przed okiem kierownictwa. Stawał pośrodku pokoju, patrzył jakoś bokiem, wytrzeszczając oczy i opuściwszy okulary na czubek nosa:

- O czym ty mówisz, Ziemiela? Pamiętasz carskie czasy?

- Coś niecoś pamiętam - mówił Ziemiela i uśmiechał się skonfundowany.

- A szkoda - kiwał głową Dwojetiosow. - Staraj się zapomnieć. Przecież trzeba budować socjalizm.

- Kostia, przecież socjalizm jest tak jakby zbudowany - nieśmiało odparł Ziemiela.

- Faktycznie? - starszy laborant wybałuszył oczy.

- A pewno. Jest już gotów chyba od trzydziestego trzeciego roku.

- Kiedy na Ukrainie był taki głód? Chwileczkę, chwileczkę, to co my tu teraz dzień i noc odwalamy?

- Teraz? Chyba komunizm - rozpromienił się Ziemiela.

- Faktycznie?!... A to dopiero!... - beknął głupkowato starszy laborant i wrócił do swego kąta szurając podszwami.

Czy takie rozmowy prowadzili specjalnie dla Klary, czy dla siebie - tak czy owak dziewczyna nikomu o tym nie meldowała.

Obowiązki Klary okazały się niezawile, na zmianę z Tamarą powinna była przychodzić jednego dnia rano i dyżurować do szóstej wieczór, drugiego zaś dnia - po obiedzie, zostając już aż do jedenastej w nocy. Kapitan przychodził tylko na ranną zmianę, bo we dnie mógł być potrzebny komuś z kierownictwa. Wieczorem nie przychodził nigdy, bo nie zależało mu na awansie. Główne zadanie obu dziewcząt polegało po prostu na dyżurowaniu, to jest - śledzeniu więźniów. Prócz tego „dla podniesienia kwalifikacji” kierownik zalecał im drobniejsze i mniej pilne prace. Z Tamarą Klara widywała się tylko przez dwie godziny dziennie. Tamara pracowała tu już przeszło rok i z więźniami łączyły ją stosunki dość bliskie. Klarze zdawało się nawet, że jednemu z nich Tamara przynosiła książki, ale ich przekazywanie z rąk do rąk odbywało się w sposób niezauważalny. Prócz tego, w instytucie Tamara chodziła na kursy języka angielskiego, uczęszczane przez wolnych pracowników, na których wykładowcami byli (oczywiście bezpłatnie, na tym polegała cała wygoda) tutejsi więźniowie. Tamara szybko rozproszyła obawy Klary, że ze strony tych ludzi grozić może coś okropnego.

W końcu sama Klara pozwoliła sobie na rozmowę z pewnym więźniem. Co prawda, nie był to zdrajca stanu, tylko zwykły sobie kryminalista, jakich w Mar-finie było bardzo niewiele. Był to Iwan, dmuchacz z huty szklanej, znakomity specjalista - na swoje nieszczęście. Jego stara teściowa mawiała, że pracować umie za dwóch, ale pić co najmniej za dziesięciu. Zarabiał dużo, dużo też przepijał, a po pijanemu bijął żonę i sąsiadów też nie żałował. Ale wszystko to nic by nie szkodziło, gdyby na drodze nie stanęło mu MBP. Jakiś bardzo odpowiedzialny towarzysz w cywilu przysłał mu wezwanie i zaproponował posadę z pensją trzy tysiące rubli miesięcznie. Iwan pracował zaś w takiej instytucji, która płaciła mu co prawda mniej, ale dzięki premiom zarobki jego przekraczały proponowaną sumę. Iwan zapomniał, z kim ma do czynienia, i zażądał czterech tysięcy miesięcznie. Odpowiedzialny towarzysz dodał tylko dwieście rubli. Iwan się uparł. Pozwolono mu iść z Bogiem. Zaraz po

pierwszej wypłacie znów się upił i zaczął awanturować się na podwórzu, a milicja, której dotąd nie można było uświadczyc, tym razem zjawiała się od razu i licznie, żeby zabrać Iwana. Zaraz następnego dnia go sądźli, dostał roczny wyrok, a po wyroku zaprowadzono go do tego samego odpowiedzialnego towarzysza, który wyjaśnił, że Iwan będzie teraz pracować na proponowanym mu stanowisku, tylko już bez żadnego wynagrodzenia. Jeżeli te warunki także mu nie odpowiadają, to może zająć się wydobywaniem węgla za kołem podbiegunowym. Teraz więc Iwan siedział sobie i wydmuchiwał bańki do lamp anodowych, niezwykłych i coraz to innych kształtów. Roczny wyrok mu się kończył, ale teraz już był sądownie karany, więc - aby nie zostać wysiedlonym z Moskwy - bardzo uprzejmie prosił władze, aby pozwolono mu dalej pracować na tym samym stanowisku, już jako wolnemu pracownikowi, nawet za półtora tysiąca.

I chociaż nikogo w szaraszce nie mogła zadziwić tak niezawila historia z tak pozytywnym zakończeniem - wśród więźniów byli tutaj ludzie, którzy pięćdziesiąt dni siedzieli w celi śmierci, ludzie którzy osobiście znali papieża i Alberta Einsteina - Klara była wstrząśnięta tym opowiadaniem. Wychodziło na to, że Iwan miał rację mówiąc „robią z człowiekiem, co chcą”.

Od politycznych starała trzymać się z dala, zachowując ostrożnie oficjalny dystans. Ale po rozmowie z dmuchaczem błysnęło jej w głowie podejrzenie, że wśród tych ludzi w granatowych kombinezonach mogą być również zupełnie niewinni. A skoro tak - to czy jej ojciec nie wtrącił kiedyś do więzienia jakiegoś zupełnie niewinnego człowieka?

Ale o to też nie miała kogo zapytać - ani w domu, ani w miejscu pracy. Przyjaźń z Innocentym i wspólna ich wycieczka też nie miały dalszego ciągu, może dlatego, że wkrótce on i Nara znowu wyjechali za granicę.

Jednakże tego właśnie roku Klara zyskała sobie wreszcie przyjaciela. Zwał się Ernest Gołowanow. Nie pracował z nią razem, był krytykiem literackim i to Dinera wprowadziła go któregoś dnia do ich domu. Nienadzwyczajny był z niego zalotnik, wzrostu ledwie tego samego, co Klara (a gdy stali osobno, to wydawał się jeszcze niższy), miał prostokątnie ciosane czoło i głowę, a korpus też prostokątny. Choć był od Klary niewiele starszy, wyglądał już na człowieka w średnim wieku, miał brzuszek, nie miał natomiast żadnej sportowej zaprawy. (Mówiąc prawdę, w jego paszporcie widniało nazwisko Sauńkin, Gołowanow - był to jego pseudonim). Był za to człowiekiem odczytanym, rozgarniętym, interesującym i był też kandydatem do Związku Literatów.

Któregoś dnia Klara poszła z nim do Teatru Małego. Grano „Wassę Żelazno-wą” Gorkiego. Przedstawienie sprawiało wrażenie przygnębiające. Dobra połowa miejsc na widowni była pusta. Deprymowało to zapewne artystów. Pojawiali się na scenie tak znudzeni, jak urzędnicy przychodzący do biur, i wychodzili za kulisy z widoczną przyjemnością. Wstyd im może było grać przy świecącej pustkami widowni: i charakteryzacja, i wynikające z roli repliki wydawały się zgrywą niegodną dorosłych ludzi. Miało się wrażenie, że ciszę na widowni przerwie za chwilę ktoś z widzów i powie spokojnie, jak w rodzinnej rozmowie: „No, kochani, dosyć, starczy tego błaznowania!” - i przedstawienie trzeba będzie przerwać. Uczuciem poniżenia aktorzy zarażali z kolei widzów. Wszystkim w końcu już się zdawało, że biorą udział w jakiejś wstydlivej grze i przykro aż było patrzeć sobie w oczy nawzajem. Dlatego w czasie antraktów było tak samo cicho jak w trakcie przedstawienia. Pary wymieniały uwagi półgłosem i starały się przechadzać po foyer bezszelestnie.

Klara i Ernest też przespacerowali w ten sposób pierwszą przerwę; Ernest starał się znaleźć usprawiedliwienie dla Gorkiego i dla teatru. Urągał Żarowowi, który nosił tytuł artysty ludowego, a dziś partaczył całkiem otwarcie. Ale jeszcze ostrzej łąał ogólną rutynę w ministerstwie kultury, która podrywała zaufanie sowieckiego widza do naszego realistycznego teatru. Ernest nie tylko pisał dorzecznie, ale też poprawnie mówił, nie międląc i nie łykając słów, nawet gdy się denerwował.

Podczas drugiej przerwy Klara poprosiła, aby zostali w łoży. Powiedziała wtedy:

- Dlatego mi się przykrzy oglądanie Ostrowskiego i Gorkiego, że nudzi mnie już to demaskowanie potęgi kapitału, patriarchalnych stosunków rodzinnych, tego, że jakiejś młodej każą wyjść za starego, znudziła mnie ta cała walka z widmami. Minęło już pięćdziesiąt, nawet sto lat, a my wciąż wygrażamy pięściami, wciąż demaskujemy to, czego nie ma już dawno. A o tym, co istnieje - ani słowa.

- Dużo racji - Gołowanow spojrział na Klarę z uśmiechem i zaciekawieniem. Nie omylił się. To nie była wyjątkowa piękność, ale człowiek się przy niej nie nudził. - O czym więc?

Nie było nikogo ani w sąsiednich łożach, ani pod nimi, w fotelach parteru. Klara, starając się nie bardzo narazić na szwank tajemnicę państwową i ukryć swoje współczucie dla tych ludzi, opowiedziała mu, że pracuje z więźniami, o których jej mówiono, że są to psy imperializmu, ale po bliższym poznaniu *inn* okazało się, że są to ludzie, jak ludzie. I teraz

dreńczy ją pytanie - może Ernest pomoże jej rozstrzygnąć, czy to możliwe, że są wśród nich również niewinni? Gołowanow wysłuchał jej słów uważnie i odparł spokojnie:

- Są, rzecz jasna. To nieuniknione w każdym penitencjarnym systemie.

Klara nie zrozumiała, o jaki system chodzi, i odpowiedź ta jej nie zastanowiła; koczyło ją, żeby powtórzyć to, co jej dmuchacz powiedział:

- Ależ Erneście, przecież... przecież wychodzi na to, że robią z człowiekiem, co chcą! To okropne!

Silna dłoń tenisistki zacisnęła się w pięść na purpurowym aksamicie barierki. Gołowanow położył na płask swoją rękę o krótkich palcach tuż obok, ale nie przykrył nią piąstki Klary; wolał nie improwizować tego rodzaju lekkomyślnych chwytów.

- Nie - powiedział miękko, ale z przekonaniem - nie „robią z człowiekiem, co tylko chcą”. Kto właściwie - „robi”? I kto właściwie „chce”? Historia. Nam to się może wydawać okropne, ale czas już pogodzić się z tym, Klaro, że istnieje prawo wielkich liczb. Na im większym... materiale przeprowadza się jakieś historyczne doświadczenie, tym, rzecz jasna, większe jest prawdopodobieństwo poszczególnych, indywidualnych omyłek - sądowych, taktycznych, ideologicznych czy ekonomicznych. Ten proces uchwytany jest dla nas tylko w swoich zasadniczych, głównych zarysach i najważniejsza rzecz - to znaleźć podstawy do przekonania, że jest konieczny i potrzebny. Owszem, czasem ktoś musi przez to cierpieć. Nie zawsze zasłużenie. A zabici na froncie? A zupełnie bezsensowne ofiary trzęsienia ziemi w Aszchabadzie? A poszkodowani w wypadkach drogowych? Ruch uliczny staje się coraz gęstszy - rezultatem musi być coraz większa ilość śmiertelnych wypadków. Mądrość życiowa polega na tym, aby akceptować życie w procesie jego rozwoju, widząc, jak pnie się w górę po stopniach nieuniknionych ofiar.

Cóż, w tym rozumowaniu było sporo racji. Klara zamyśliła się. Było już po drugim dzwonku i ludzie wracali na salę. W trzecim akcie wybiła się na czoło aktorka Rójek - i nagle jakby ktoś w struny uderzył - grała młodszą córkę Wassy i zaczęła ciągnąć całe przedstawienie.

Prawdę mówiąc, Klara sama nie rozumiała, że interesował ją nie jakiś tam niewinny skazaniec, który dawno już może zgnił za kołem podbiegunowym zgodnie z prawem wielkich liczb - tylko ten młodszy technik od pomp, niebieskooki, z matowym złotem na policzkach, dzieciak jeszcze, pomimo swych dwudziestu trzech lat. Od pierwszego spotkania nie ukrywał wcale w swoim spojrzeniu zachwyty dla Klary; bardzo ją to bulwersowało.

Klara tego nie pojmowała, że Rościsław przybył z obozu, gdzie przez dwa lata nie widział kobiety. Ona zaś pierwszy raz w życiu czuła, że jest przedmiotem czyjegoś zachwytu.

Ale ten zachwyt nie opanował Ruski bez reszty. W tej klauzurze, w laboratoryjnym półmroku, gdzie prawie zawsze trzeba było palić światło, ten chłopak pędził jakieś pełne wydarzeń i pośpiechu życie; to majstrował przy czymś - z dala od oczu nadzorców; to uczył się ukradkiem angielskiego w godzinach pracy; to telefonował do swoich przyjaciół z innych pracowni i wybiegał na korytarz, żeby z nimi pogadać. Ruchy miał zawsze gwałtowne i zawsze, w każdej chwili, a zwłaszcza teraz wydawało się, że jest szalenie zainteresowany jakimiś bardzo ciekawymi sprawami. I zachwyt dla Klary był jedną z takich jego bardzo absorbujących pasji.

Jednocześnie nie zapominał dbać o swoją powierzchowność, a w wycięciu kombinezonu widać było nie tylko pstry krawat, lecz również coś nieskazitelnie białego (Klara nie wiedziała, że był to sławetny gors - wynalazek Rościsława, jedna trzydziesta druga państwowego prześcieradła).

Młodzi mężczyźni, z którymi Klara widywała się na wolności, zwłaszcza Ernest Gołowanow, robili już karierę, odziewali się, poruszali i rozmawiali pamiętając zawsze, aby nic nie stracić ze swojej powagi. W towarzystwie zaś Rościsława Klara czuła, że ubywa jej lat, że też ma ochotę na jakieś psoty. Przypatrywała mu się ukradkiem, z rosnącą wciąż sympatią. Wcale nie chciało się jej wierzyć, że właśnie on i ten dobroduszny Ziemiela są owymi psami łańcuchowymi, przed którymi przestrzegał je major Szykin. Bardzo chciała wiedzieć - za jakież to przestępstwo siedzi właśnie ten Rościsław? I czy długo jeszcze ma siedzieć? (Że nie miał żony - to było jasne). Nie mogła się zdecydować, aby zapytać go wprost, wyobrażając sobie, że pytania takie powinny sprawiać wielką przykrość człowiekowi, stawiając mu przed oczyma tę ohydną przeszłość, którą chciałby przecież odrzucić, aby móc się poprawić.

Minęły jeszcze jakieś dwa miesiące. Klara zupełnie zżyła się tu ze wszystkimi, wiele już razy rozmawiano przy niej o wszelkich pozasłużbowych drobiazgach. Rościsław czatował na chwilę, kiedy na wieczornych dyżurach Klara zostawała w laboratorium sama, podczas gdy więźniowie jedli kolację. Zaczął stale wpadać do pracowni właśnie wtedy - bo albo czegoś zapomniał, albo chciał uczyć się korzystając z ciszy.

W trakcie tych jego wieczornych wizyt Klara zapominała o wszystkich ostrzeżeniach pełnomocnika operacyjnego...

Wczorajszego wieczoru wywiązała się nagle rozmowa, jedna z tych, które łamią żalosne przegrody między ludźmi, jak napór wezbranych wód.

Żadnej ohydnej przeszłości ten chłopak nie musiał z siebie zrzucać. Miał za plecami tylko młodość zmarnowaną nie wiadomo za co i przepelniała go żarłoczna chęć dowiedzenia się i przeżycia wszystkiego, czego jeszcze nie zdążył poznać.

Okazało się, że mieszkał z matką na wsi pod Moskwą, nad kanałem. Akurat skończył dziesięć lat, kiedy Amerykanie z ambasady wynajęli sobie letni dom w tej wsi. Ruska i jego dwaj koledzy mieli nieostrożność (no, ciekawość też tu zrobiła swoje) ze dwa razy pójść z Amerykanami na ryby. Zdawało się, że nie pociągnęło to żadnych przykrych skutków, Ruska wstąpił na moskiewski uniwersytet, ale we wrześniu został aresztowany - tajnym sposobem, na drodze, tak że matka długo nie wiedziała, gdzie się podział. (Okazuje się, że MBP zawsze stara się aresztować człowieka tak, żeby niczego nie zdążył schować i żeby nie był w stanie przekazać bliskim jakiegoś hasła czy znaku). Znalazł się na Łubiance (Klara nawet nazwę tego więzienia usłyszała po raz pierwszy w Marfinie). Zaczęło się śledztwo. Starano się wycisnąć z Rościsława zeznanie - jakie zadanie dostał od amerykańskiego wywiadu i na jaki punkt miał dostarczyć informacje. Jak sam to określił - Ruska był jeszcze cielęciami, wciąż tylko otwierał gębę ze zdumienia i płakał. I nagle zdarzyło się coś niebywałego: Ruškę wypuścili stamtąd, skąd nikogo nie puszczają po dobremu.

To było jeszcze w czterdziestym piątym roku.

Do tego właśnie miejsca doszedł wczoraj.

Przez całą noc Klarę dręczyło to nie dokończone opowiadanie. Dzisiejszego dnia, zapomniawszy o resztkach czujności i nawet o przyzwoitości, Klara usiadła otwarcie obok Rościsława przy jego małej, posapującej cicho pompie. Zaczął się dalszy ciąg rozmowy.

Gdy zadźwięczał dzwonek na przerwę obiadową, byli już serdecznymi przyjaciółmi, jak dzieci gryzące po kolei jedno duże jabłko. Wydawało im się teraz aż dziwne, że w ciągu tylu miesięcy nie doszło między nimi do takiej rozmowy. Ledwie dążyli dawać na przemian wyraz myślom, których natłok nagle w sobie poczuli. Przerывая jej niecierpliwie, chwycił ją za dłonie i ona nic już w tym złego nie widziała. A kiedy wszyscy wyszli na przerwę - nabrało raptem nowego znaczenia to, że siedzieli przecież blisko siebie i że ich dłonie się stykały. Klara zobaczyła nagle z bliska wpatrzone w siebie i mdlejące, niebieskie jasne oczy.

Rwącym się głosem Rościsław powiedział:

- Klaro! Kto wie, czy jeszcze kiedyś będziemy tak siedzieć obok siebie? Dla mnie to cud! Nie chce mi się w to wierzyć! Uwielbiam cię! Gotów jestem umrzeć choćby w tej chwili! - (Już ścisnął i głaskał jej dłonie.) - Klaro! Całe życie może będę się poniewierał po więzieniach. Uczyń mnie szczęśliwym, aby wspomnienie tej chwili dodawało mi sił nawet w jakimś karczerze! Pozwól mi tylko raz! tylko jeden raz! - pocałować cię!

Klara czuła się jak bogini, schodząca w głąb piekieł, gdzie czeka na nią biedny potępieniec. Rościsław przyciągnął ją do siebie i wycisnął na jej wargach pocałunek miążdzący, pocałunek więźnia zadręczzonego przymusową wstrzemięźliwością. I Klara odpowiedziała mu pocałunkiem.

Oderwała się od niego, odchyliła się w bok, wstrząśnięta, z szumem w głowie.

- Niech pan wyjdzie... - poprosiła.

Rościsław podniósł się. Stał nad nią chwiejąc się na nogach.

- Niech pan wyjdzie teraz, chociaż na chwilę! - zażądała Klara.

Zawahał się. Później posłuchał rozkazu. Od progu spojrzął jeszcze żałośnie, błagalnie na Klarę, zachwiał się i tak zniknął za drzwiami.

Wkrótce wszyscy wrócili z przerwy.

Klara nie śmiała podnieść oczu na Ruškę, w ogóle na nikogo. To, co ją teraz paliło, to wcale nie był wstyd, a jeśli radość - to wcale nie pogodna.

Z toczącej się rozmowy mogła wyrozumieć, że więźniom pozwolono na choinkę.

Siedziała bez ruchu trzy godziny, ruszając tylko palcami; plotła z różnokolorowych chlorowinylowych przewodów mały koszyczek, podarunek pod choinkę.

A Iwan-szklarz po powrocie z widzenia wydmuchał dwóch śmiesznych szklanych diabełków, jakby z karabinami, uplotł klatkę ze szklanych pręcików i powiesił w niej na srebrnej nitce szklany, smutno brząkający jasny miesiąc.

46

Przez pierwszą połowę dnia nisko wisiało nad Moskwą mętne niebo i nie było chłodno. Przed obiadem zaś, kiedy siedmiu więźniów wyszło z niebieskiego autobusu na więzienny po - dworzec - pierwsze niecierpliwe śnieżynki już tu i ówdzie mignęły, jeszcze nieliczne.

Jeden taki płatek, sześciopromienna, regularna gwiazdka, spadła Nierzynowi na rękaw starego, frontowego, zrudziałego płaszcza. Zatrzymał się pośrodku podwórca i wdychał głęboko powietrze.

Starszy lejtnant Szusterman, który zjawił się zaraz, zwrócił mu uwagę, że to nie jest czas na spacer i że należy wejść do budynku.

To było przykre. Nie miał ochoty, zresztą uważał wprost za niemożliwe opowiadać komukolwiek o widzeniu, zwierzać się, szukać czyjegokolwiek współczucia. W ogóle nie chciał mówić. Ani słuchać. Chciał być sam i bardzo powoli przebierać w myślach wszystko to, co przywiózł w duszy - zanim się rozplynie, zanim stanie się tylko wspomnieniem.

Ale właśnie samotności nie było w szaraszce, jak zresztą w żadnym obozie. Wszędzie i zawsze były cele i przedziały wagonów dla zeków, i bydłące wagony, i obozowe baraki, i sale szpitalne - wszędzie byli ludzie, ludzie, obcy i bliscy, brutalni i subtelni, ale zawsze ludzie, ludzie.

Nierzyn wszedł do budynku (dla więźniów było osobne wejście - w dół po drewnianej schodni, a później przez korytarz w suterenie) i zaraz zatrzymał się w niepewności - dokąd iść właściwie.

Wpadł na pomysł.

Po tylnych, kuchennych schodach, których nikt prawie nie używał, mijając zwalone tam na kupę połamane krzesła, zaczął wspinać się na podest trzeciego piętra.

Podest ten przydzielony był jako atelier malarzowi-zekowi Kondraszowowi-Iwanowowi. Z zasadniczymi zadaniami szaraszki nie miał on nic wspólnego, trzymany zaś był tutaj niejako w charakterze nadwornego malarza; westybule i sale departamentu miały znaczne rozmiary i wymagały obrazów dla ozdoby. Nie tak wielkie, za to o wiele liczniejsze były mieszkania wiceministra Fomy Gurianowicza oraz innych pracowników resortu z jego otoczenia i dlatego rzeczą jeszcze bardziej niezbędną było przyozdobienie tych mieszkań dużymi, pięknymi i bezpłatnymi obrazami.

Co prawda Kondraszow-Iwanow nie najlepiej odpowiadał tym świątym wymogom: obrazy jego były wprawdzie duże, były też bezpłatne, ale nie były piękne. Pułkownicy i generałowie, którzy przyjeżdżali, aby rozejrzeć się wśród jego obrazów, daremnie próbowali mu wytłumaczyć, jak trzeba malować, jakimi farbami, i w końcu z westchnieniem brali to, co było pod ręką. Zresztą po oprawieniu w złote ramy obrazy trochę zyskiwały.

Nierzyn minął na przedostatniej kondygnacji gotową już pracę przeznaczoną do hallu departamentu - „A. S. Popów demonstruje admirałowi Makarowowi pierwszy radiotelegraf” - skręcił na ostatnie półpiętro i zobaczył przede wszystkim wprost na górze, na głuchej ścianie pod sufitem „Zraniony dąb”, płótno dwumetrowej wysokości, już dawno gotowe,

którego jednak nie chciał brać zaden z klientów.

Na ścianie wzdłuż schodów wisiały także inne, mniejsze płótna. Niektóre stały jeszcze na sztalugach. Światło padało tu z dwóch okien - od północy i od zachodu. Na ten sam podest wychodziło okienko Żelaznej Maski, nie mające bezpośredniego kontaktu ze światem Bożym.

Niczego tu więcej nie było, nawet krzesła. Zastępował je niski pieńek.

Chociaż klatka schodowa prawie że nie była ogrzewana i panował tu zadawniony, wilgotny ziąb, waciak Kondraszowa-Iwanowa leżał na podłodze, on sam zaś, w przymalym kombinezonie, z którego śmiesznie sterczały ręce i nogi, stał nieruchomo, wysoki, sztywny i zdawało się, że nie czuje chłodu. Duże okulary, przez które twarz jego wydawała się większa i surowsza, mocno trzymały się na nosie, dobrze założone za uszy, tak, aby nie przeszkadzały przy ostrych zwrotach i ruchach. Wzrok wlepił w jakiś punkt przed sobą. Pędzel i paletę trzymał w rękach luźno opuszczonych wzdłuż ciała.

Obejrzał się, słysząc ciche kroki.

Ich spojrzenia zetknęły się i widać było, że każdy goni jeszcze za jakąś własną myślą.

Malarz nie miał teraz ochoty na przyjmowanie wizyt - potrzebna mu była samotność i cisza.

Niemniej jednak - ucieszył się. I bez żadnej obłudy, nawet z niezwykłą jakąś radością, taki już miał zwyczaj, zawołał:

- Gleb Wikientiewicz?! Proszę serdecznie!

I rozłożył zapraszająco ręce z pędzlem i paletą.

Życzliwość jest dla artysty cnotą obosieczną: daje strawę wyobraźni, ale jednocześnie burzy porządek dnia.

Nierzyn zatrzymał się na przedostatnim stopniu, czuł skrępowanie. Powiedział prawie szeptem, tak jakby bał się obudzić jeszcze jakąś trzecią osobę:

- Nie, nie, panie Hipolicie! Przyszedłem tylko... pomilczę tu... trochę... jeżeli pan pozwoli.

- Ach tak! Ach tak! No pewno! - tak samo cicho odpowiedział malarz, może już po oczach widząc i przypominając sobie, że Nierzyn jeździł na widzenie. Cofnął się jakby w ukłonie i wskazał pędzlem na niski pieńek.

Podciągnąwszy długie poły płaszcza, które udało mu się w obozie uratować przed obcięciem, Nierzyn przysiadł na pieńku, oparł plecy o pręty poręczy - i - ach, jak chciało mu

się palić! - nie zapalił. Malarz wpatrywał się wciąż w ten sam punkt obrazu.

Milczeli.

Nierzyn czuł ostre i ciche ćmienie rozbudzonego uczucia.

Wciąż miał ochotę przypaść do tych miejsc na swojej dłoni, którymi na pożegnanie dotykał rąk, szyi, włosów żony...

Całymi latami żyje się bez tego, co dane jest człowiekowi na tym świecie.

Tak, został ci rozum (jeżeli stać cię na rozum). Przekonania (jeżeliś dojrzał do przekonań). I aż po uszy masz swej ofiarności i troski o dobro społeczne. Na oko - Ateńczyk, ideał człowieka.

Tylko tej pestki nie ma.

I miłość kobieca, której cię pozbawiono, przeważa na szalach ciężar całej reszty świata.

I proste słowa:

„Kochasz?”

„Kocham. A ty?”

Wypowiedziane samym spojrzeniem albo niemym ruchem warg, teraz całą duszę wypełniają świątecznym dzwonem.

W tej chwili Gleb nie mógł sobie nawet wyobrazić ani przypomnieć jakichkolwiek wad swojej żony. Wydawała mu się utkaną z samych cnót. Na osnowie wierności.

Jaka szkoda, nie ośmielił się pocałować jej od razu, na początku spotkania! Teraz już się tego pocałunku nie nadrobi.

Wargi miała nie takie jak dawniej, tylko odwykłe, słabe. I jaka była znużona! A o rozwodzie mówiła jak zaszczuta.

Rozwód wobec prawa? Cóż, Gleb bez żadnego żalu myślał o podarciu kawałka papieru stemplowego. Bo w ogóle co ma państwo do związku dwóch dusz? A także do związku ciał?

Ale - ciężko już doświadczony przez życie - wiedział, że sprawy i rzeczy mają swoją nieubłaganą logikę. W codziennej krzątaninie ludzie nigdy nie wyobrażają sobie nawet, jakie - odwrotne do zamierzonych - skutki mogą mieć ich uczynki. Na przykład taki Popów, co to wynalazł radio, czy przypuszczał, że wynajduje wszechświatową szczekaczkę, rykliwie torturującą myślące jednostki? Albo tacy Niemcy: przepuścili przez swoje terytorium Lenina, żeby mógł rozpieprzyć Rosję, a doczekali się w rezultacie, po trzydziestu latach,

rozbicia Niemiec? Albo Alaska. Zdawało się, że ta jej sprzedaż za bezcen to był fatalny błąd - a tymczasem sowieckie tanki nie mogą dzięki temu wtargnąć suchą nogą do Ameryki! I oto głupi szczegół decyduje o losach planety.

Tak samo z Nadią. Rozwodzi się, żeby uniknąć prześladowań. A gdy już będzie po rozwodzie, to nawet się sama nie spostrzeże, jak wyjdzie za mąż.

Nie wiedzieć czemu przez to jej pożegnalne kiwanie palcami bez obrączki serce ścisnęło mu się przecuciem, że teraz to się już żegnają na zawsze...

Nierzyn długo siedział w milczeniu, zanim się ocknął. Ocknął się w momencie, gdy reszta radości po widzeniu rozplynęła się gdzieś, wyparta przez trzeźwe, mroczne myśli. Ale tym samym odzyskał równowagę duchową i znów zaczął wpełzać w swoją zwykłą, aresztańską skórę.

„Do twarzy ci z tym wszystkim” - powiedziała mu.

To znaczy - z więzieniem.

Jest w tym coś z prawdy. Czasem wcale mu nie żał pięciu lat spędzonych za kratą. Stały się jakby jego własne, rodzone.

Skąd jeszcze lepiej widać rosyjską rewolucję niż spoza krat przez nią wykutych?

Gdzie lepiej można poznać ludzi niż tu?

I zastanowić się nad samym sobą?

Od iluż to błędów młodości, od ilu fałszywych kroków uchroniła go ta żelazna, wyznaczona raz na zawsze, nie zostawiająca innego wyboru ścieżka więzienna?

Jak powiada Spirydon: „Własna wola to skarb, tylko diabli go strzegą”.

Albo ten marzyciel, obojętny wobec drwin otoczenia - czy i co mianowicie stracił, kiedy go zamknęli? No, nie może teraz wędrować z kasetą farb po wzgórzach, po gajach. No, nie może ustawiać sobie martwych natur na stole. Wystawy? Toć nie potrafił ich sobie nigdy urządzić i w ciągu całego pół wieku ani jednego obrazu nie wystawił w porządnej sali. Pieniądze za obrazy? Tam też ich nie dostawał. Wielbiciele? Tu ich częściej chyba widuje niż tam. Pracownia? Ależ na wolności nie miał nawet tego zimnego podestu. Mieszkał i malował swoje obrazy w długiej wąskiej izbie przypominającej raczej przedpokój. Kiedy miał zabrać się do pracy, ustawiał krzesła jedno na drugim, a materac zwijał w rolkę, tak że goście pytali: „Co to, przenosi pan się gdzie?” Mieli w majątku tylko jeden stół i kiedy rozkładał na nim modele do martwej natury, to aż do końca pracy musiał jadać z żoną na krzesłach.

Kiedy podczas wojny zabrakło oleju - brał kartkowy olej jadalny i rozprowadzał nim

farby. Żeby mieć kartki żywnościowe, trzeba było pracować w jakiejś instytucji, posłali go więc do dywizjonu obrony przeciwgazowej, żeby rysował portrety przodownic przysposobienia wojskowego i politycznego. Zamówiono u niego dziesięć takich portretów, ale z dziesięciu przodownic wybrał tylko jedną i zupełnie ją zadręczył długim pozowaniem. Narysował ją w końcu wcale nie tak, jak życzyło sobie dowództwo i nikt później nie chciał wziąć tego portretu, który nosił nazwę „Moskwa, czterdziesty pierwszy”.

A rok czterdziesty pierwszy był przecież w tym obrazie. Namalował dziewczynę w ubiorze przeciwperytowym. Nie rude, ale miedzianokasztanowe, bujne włosy wylewały się na wszystkie strony spod pilotki i niespokojnym konturem okalały głowę. Głowa była zadarta, pełne zgrozy oczy widziały przed sobą coś przeraźliwego, nie do zapomnienia, i pełne były gniewnych łez. Ale ta postać nie była panieńska i słaba! Ręce, gotowe walczyć, zaciskały się na rzemieniach maski gazowej, a czarno-szary ubiór ochronny porznięty był ostrymi, bezlitosnymi fałdami, srebrzyste pasmo łamało się na jego powierzchni i cały przypominał stary rycerski pancerz. Srogość i szlachetność były razem z twarzy tej gotowej na wszystko kałuskiej komsomołki, wcale zresztą nieładnej - ale Kondraszow-Iwanow zobaczył w niej i pokazał Dziewicę Orleańską!

Wcale to nie było chyba dalekie od plakatu „Nie zapomnimy! Nie wybaczymy!”, tyle, że obraz pokazywał coś nie mieszczącego się w ramach, nie dającego się ująć w karby - a jednak przestraszano się tego obrazu, nie wzięto go, nie wystawiono nigdzie ani razu, przez lata stał w jego pokoiku odwrócony do ściany. Aż do samego aresztowania.

Daniel, syn Leonida Andrejewa napisał powieść i zaprosił dwadzieścia osób, żeby ją odczytać. Literacki czwartek w stylu dziewiętnastego wieku... Ta powieść kosztowała każdego ze słuchaczy dwadzieścia pięć lat obozów pracy karnej. Słuchaczem buntowniczej powieści był również Kondraszow-Iwanow, prawnuk dekabrysty Kondraszowa, skazanego za udział w powstaniu na dwadzieścia pięć lat i znanego dzięki wzruszającej wędrówce na Syberię zakochanej w nim francuskiej guwernantki.

Co prawda Kondraszow-Iwanow nie pojechał do obozu, tylko zaraz po tym, gdy pokwitował odbiór wyroku - orzeczonego przez OSO*, przywieziony został do Marfina, gdzie kazano mu malować obrazy, po jednym miesięcznie, bo taką normę wyznaczył mu Foma Gurianowicz. Kondraszow malował rozwieszane tu dziś i już pozabierane obrazy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. I cóż? Mając w dorobku pięćdziesiąt lat, a w perspektywie dwadzieścia pięć - nie przeżył zwyczajnie tego spokojnego, więziennego roku,

tylko przegalopował go, nie wiedząc, czy trafi mu się w życiu jeszcze jeden taki. Nie wiedział dobrze, co mu dawano jeść, a w co kazano się ubrać, czy i kiedy liczono jego głowę przy ogólnym apelu.

Wyzuty tu był z prawa do spotkań i rozmów z innymi malarzami. A także do oglądania ich dzieł. A również do informacji o stanie i kierunkach rozwoju zachodniego malarstwa, wiadomości pobieranych choćby z albumów reprodukcji, jakie przemknęły się przez zawory celne.

Ale jakkolwiek by się tam rozwijało owo malarstwo - w żaden sposób nie mogło wpływać na pracę Kondraszowa-Iwanowa, nie miało z nim żadnego związku, ponieważ w tym magicznym pięciokącie, w którym wszystko rodziło się i zamykało, ani jeden z pięciu kątów nie był już wolny: dwa kąty - to była linia i kolor, i to taki, jaki tylko on mógł widzieć, dwa inne kąty - to było powszechne Dobro i powszechne Zło, a piątym cyblem był sam malarz.

Nie mógł teraz wrócić własnymi nogami do tych pejzaży, które nieraz widział, i nie mógł swoimi rękoma odbudować tych martwych natur, ale przejrzał na oczy i zobaczył to wszystko, a zwłaszcza owe prawdziwe kolory, w półmroku cel o przesłoniętych bliricami oknach - i teraz z pamięci malował i martwe natury, i pejzaże, których wcześniej wymalować nie zdążył.

* OSO (*Osoboje Sowieszczanije NKWD*) - tajny, wewnętrzny sąd służby bezpieczeństwa, zaocznie wyrokujący w sprawach przeważającej masy skazanych na obozy w tzw. trybie administracyjnym podczas lat terroru w ZSRR.

Jedna z tych martwych natur wisiała zresztą w celi Mamurina obok okna; miała kształt egipskiego kwadratu, cztery na pięć (Kondraszow wielką wagę przywiązywał do geometrycznych proporcji). Połowę powierzchni obrazu zajmowała ustawiona sztorcem, wypolerowana, okrągła miedziana taca. Była to zwykła taca, ale sprawiała wrażenie gorejącej, rycerskiej tarczy. Obok widniał dzban z ciemnego metalu, cały w szmelcowanych, drobnych nacięciach, dzban nie na wino, tylko raczej na świeżą wodę. Tło stanowiła zasłona z żółto-złotego brokatu (wszystkie odcienie żółci przeważały teraz w obrazach Kondraszowa); sprawiała wrażenie opończy, należącej do kogoś niewidzialnego. Było coś takiego w zespole tych trzech przedmiotów, że patrzącemu udzielał się duch męstwa i nieustępliwości.

(Żaden z pułkowników nie chciał przyjąć tej martwej natury; wszyscy domagali się,

żeby tacę położyć jak należy i umieścić na niej choćby kawałek arbuza.) Kondraszow malował kilka obrazów naraz, po wielokroć odstawiając płótna na bok i wracając do nich znowu. Żadnego z nich nie doprowadził do stadium, w którym artysta ma już wrażenie pełni. Nie wiedział nawet, czy takie stadium w ogóle istnieje. Dawał im spokój wtedy, kiedy przestawał już w nich cokolwiek rozróżniać, kiedy oczy już nie dawały sobie rady ze szczegółami. Dawał im spokój dopiero wtedy, kiedy przy każdym kolejnym nawrocie coraz drobniejsze mógł już wprowadzać do nich poprawki i kiedy czuł, że psuje już je, zamiast poprawiać.

Dawał im spokój, odwracał w stronę ściany, zasłaniał byle czym. Obrazy oddziaływały się od niego samego, oddalały się - a kiedy znów spoglądał na nie świeżym okiem, wtedy gdy bez żadnej zapłaty i raz na zawsze zabierano mu je, aby wisiały odtąd wśród pretensjonalnego luksusu - pożegnalny dreszcz zachwyty przenikał malarza. Niechby ich nawet nikt więcej nie zobaczył, ale to on jednak je stworzył.

... Już z napiętą uwagą Nierzyn zaczął teraz oglądać ostatni obraz Kondraszowa.

Zamarzający strumień zajmował główną część obrazu. W jaką stronę płynął - nie można było się prawie zorientować: prąd w nim zamarł, powierzchnia gotowa była już pokryć się lodem. Gdzie miało być płycej, tam malarz kładł brązowe plamy - jakby cień zwiędłych liści opadłych na dno. Pierwszy śnieg znaczył białymi plamami oba brzegi, między tą bielą żółto-brunatnymi maźnię-ciami namalowana była trawa wyściełająca odwilgłe jamy. Dwa krzaki rokiciny rosły przy brzegu, zwiewnie mgliste, mokre od zebranego na nich grudkami i tającego śniegu. Ale nie to było najważniejsze; w głębi, jak czarno-oliwkowe przedpiersie lasu, stały gęste świerki - a wśród nich, w pierwszym zaraz rzędzie, płonęła buntem jedyna, purpurowa brzoza. W jej samotnym, cichym płomieniu jeszcze bardziej mroczna i zwarta wydawała się iglasta gwardia, grożąca niebu swoimi groźnymi czubami. Niebo całe było w beznadziejnych, płowych kłębach, takim samym chmurnym ćmieniem dławiło się zachodzące słońce, nie mając dość sił, aby przebić się choćby jednym promieniem. Ale nie, nawet nie to było najważniejsze, tylko wyziębła woda drętwiącego strumienia. Miała ciężar i głębię. Była w niej ołowiana przejrzystość i wielki chłód. Wchłonęła w siebie i utrzymywała równowagę między jesienią a zimą. I nie tę jedną chyba równowagę.

W ten właśnie obraz był teraz wpatrzony Kondraszow.

Twórczość posłuszna była pewnemu nadrzędnemu prawu. Kondraszow znał je dawno

i dobrze, próbował z nim walczyć, ale znów mu się poddał, nie miał rady. To prawo głosiło, że nic, co dawniej malował, nie miało znaczenia, nie liczyło się, nie mogło być uznane za zasługę autora. Tylko to jedyne płótno, które malował dzisiaj, było pępkiem całego jego życia, całego doświadczenia, szczytem jego zdolności i umiejętności, pierwszym kamieniem probierczym jego talentu.

A tak często mu się nie udawało!

Z każdym z jego dawnych płócien także tak było, że - zanim mu się w końcu udało, też miał je za spartaczone, ale zapominał o dawnych swoich rozterkach i teraz to jedyne - było pierwszym, na którym uczył się prawdziwego malarstwa! - jeśli to też nie chciało się udać, to całe życie było zmarnowane i nigdy nie miał żadnego talentu!

Na przykład ta woda - miała na oko ciężar, głębię, chłód i nieruchawość - ale to wszystko było nic nie warte, jeżeli nie było w niej zarazem głębszej syntezy przyrody. Zjawiska tej syntezy - rozumu, spokoju, wszechwładzi - Kondraszow we własnych doznaniach, w głębi swej istoty nigdy znaleźć nie mógł, ale znał je i wielbił je w przyrodzie. Więc czy jego woda dawała, czy nie dawała pojęcia o tym spokoju - w głębszym sensie słowa? Dręczył się już i nie miał nadziei, że znajdzie odpowiedź - dawała pojęcie, czy nie?

- A wie pan, panie Hipolicie - odezwał się Nierżyn bez pośpiechu. - Zdaje się, że zaczynam zgadzać się z panem - te wszystkie krajobrazy - to Rosja.

- A nie Kaukaz? - Kondraszow obrócił się gwałtownie, ale okulary ani drgnęły, jak przylutowane.

Kwestia ta, chociaż nie najważniejsza, też nie była bez znaczenia. Niejeden patrzył na pejzaże Kondraszowa-Iwanowa ze zdziwieniem; wydawały się nie tyle rosyjskimi, co kaukaskimi, za wiele w nich było rozmachu i niezwykłości.

- Można znaleźć takie okolice w Rosji - z coraz większą pewnością powtarzał Nierżyn. Wstał z pieńka i zaczął spacerować, oglądając „Poranek niezwykłego dnia” i inne pejzaże.

- No, pewno! No, pewno! - malarza ponosiło. - Nie tylko mogą być w Rosji, ale są! Zawiózłbym pana nawet, gdyby nie konwój! Zrozum pan, publiczność pozwoliła Lewitanowi narzucić sobie sposób patrzenia! W ślad za Lewitanem przyzwyczailiśmy się uważać naszą rosyjską przyrodę za ubożuchną, pokrzywdzoną, miłą tylko dlatego, że skromną. Ale gdyby nasza przyroda była tylko taka, to powiedzże pan, skąd by się wzięli u nas sekciarze, co sami skakali w płomienie? strzelcy-buntownicy? Piotr Pierwszy?

dekabryści? narodowolcy?

- O-ho-ho! - powiedział z uznaniem Nierżyn. - Ma pan rację, a jednak, niech pan mówi co chce, ja nie rozumiem pańskiego pociągu do tych wszystkich skrajności. Na przykład, ten rozdarty dąb. Dlaczego ustawił go pan nad samą przepaścią? Przepaść jest, rzecz jasna, bezdena, nic skromniejszego panu nie odpowiada. I to niebo - czy to tylko niebo przed burzą? Ono w ogóle nigdy słońca nie widziało, takie to jest niebo! I wszystkie huragany, które przez dwa stulecia gdzieś szalały - wszystkie rwały tędy i wyłamywały te dębowe konary, i odrywały pazurami to drzewo od skały. Wiem, że pan cały siedzi w Szekspirze, że jak podłość, to dla pana musi już być najczarniejsza. Ale to przestarzałe; ujmując rzecz statystycznie, takie sytuacje rzadko komu się przytrafiają. I po co te wielkie litery, kiedy chodzi o dobro czy zło?

- Ależ to niesłychane!! - zirytowany malarz aż machnął swoimi długimi ramionami. - Co jest dla pana przestarzałe?! Podłość??? Toż dopiero w naszym stuleciu pierwszy raz objawiła się w całej okazałości. Za czasów Szekspira to była kaszka z mlekiem! Dobro i Zło trzeba pisać nie dużymi, ale pięciopiętrowymi literami, i żeby błyskały jak latarnie morskie! Wśród tych niuansów zabłąkaliśmy się do szczytu! Statystyka mówi, że rzadko? A każdy z nas? A ile też milionów takich jak my?

- W zasadzie racja... - Nierżyn skinął głową. - Jeżeli w łagrze trzeba oddać ostatnie resztki sumienia za dwieście gramów razowca... Ale to wszystko odbywa się jakby cichcem, nie tak okazale...

Kondraszow-Iwanow jakby jeszcze bardziej się wyprostował, jeszcze bardziej wyrósł, choć już i tak nieliczego był wzrostu. Patrzył wzwyż i przed siebie, jak Egmont, gdy prowadzono go na szafot:

- Toć żaden obóz nie zdoła złamać mocy ducha w prawdziwym człowieku!

Nierżyn uśmiechnął się z niedobrą trzeźwością:

- Może i nie powinien - ale niszczy! Pan nie był jeszcze w obozach, co pan ma do gadania? Pan nie wie, jak trzeszczą tam nasze kostki. Trafiają tam ludzie tacy a tacy, wychodzą zaś - jeżeli w ogóle wychodzą - zupełnie inni, nie do poznania. Zresztą, wiadoma rzecz, byt określa świadomość.

- Nie!! - Kondraszow rozwarł długie ramiona, jakby gotów był wziąć się za bary z całym światem. - Nie! Nie! Nie! Ależ to byłoby poniżające! Po co miałyby się wtedy żyć! Jeżeli tak, to niech pan powie, dlaczego jednak zakochani do1 chowują sobie wierności, choć

ich się rozdzieli? Przecież byt wymaga, aby zdradzali się! A dlaczegóż to tak różnymi okazują się ludzie, którzy znaleźli się w jednakowych warunkach, powiedzmy - w tym samym obozie? Jeszcze nie wiadomo, kto kogo kształtuje: czy byt - człowieka, czy też silny i szlachetny człowiek - ten cały byt?

Nierzyn był zupełnie przekonany o wyższości swojego doświadczenia życiowego nad fantastycznymi urojeniami tego nie starzejącego się idealisty. Ale nie można wprost było nie podziwiać go, gdy wołał:

- Człowiek już w momencie urodzenia obdarzony zostaje pewną mocą! Jest to jakby sedno jego istoty, jego Ja! I jeszcze nie wiadomo, kto kogo określa! A ponadto, każdy człowiek nosi w sobie Wzór Doskonałości, który czasami bywa zaćmiony, ale czasem tak jasno się rysuje i przypomina mu o jego rycerskich obowiązkach!

- Aha, jeszcze jedno - Nierzyn poskrobał się w kark, znów siadając na stołku. - Dlaczego u pana tak często występują rycerze i cały ten sprzęt rycerski? Wydaje mi się, że tu pan trochę przesadza, chociaż Sołogdinowi to się podoba, rzecz jasna. Dziewucha z baterii zenitówek staje się u pana rycerzem, miedziana tacka - rycerską tarczą...

- Co... ? - zdumiał się Kondraszow. - To się panu nie podoba? Przebrałem miarkę? Ha, ha, ha! - zaśmiał się tak grzmiąco, że echo tego śmiechu stoczyło się po schodach jak po skałach. I jak pikę z wysokości konia wymierzył w stronę Nierzyna rękę z wyciągniętym wskazicielem. - A kto przepędził rycerzy z naszego życia? Amatorzy pieniędzy i handlu! Miłośnicy bachanalii! A kogóż to brak nam dzisiaj? Członków partii? Nie, szanowny panie. Brak właśnie rycerzy! W rycerskich wiekach nie było łagrów! Nie było komór gazowych!

Tu zamilkł nagle i schodząc jakby z wysokości swojego rumaka, przysiadł miękko w kucki obok swego gościa, błysnął szklami okularów i zapytał szeptem:

- Może panu pokazać?

I tak zawsze kończą się dyskusje z malarzami!

- Oczywiście, niech pan pokaże!

Kondraszow, wciąż jeszcze trochę pochylony, przecisnął się aż do odległego kąta, wy dostał mały obrazek naciągnięty na blejtram i przyniósł go, pokazując Nierzynowi tylko odwrotną stronę płótna.

- Zna pan legendę o Parsifalu? - spytał głucho.

- To coś w związku z Lohengrinem?

- To jego ojciec. Strażnik Świętego Graala. Wyobrażam sobie właśnie tę chwilę. Taka

chwila może zdarzyć się każdemu człowiekowi, kiedy nagle zobaczy Wzór Doskonałości...

Kondraszow zamknął oczy, ściągnął i zagryzł wargi. Sam się przygotowywał.

Nierzyn był zdziwiony dlaczego to, co ma teraz zobaczyć, jest takie małe.

Malarz otworzył oczy:

- To tylko szkic. Szkic najważniejszego obrazu w moim życiu. Chyba nigdy go nie namaluję. Chodzi o tę chwilę, kiedy Parsifal po raz pierwszy zobaczył - zamek! Świętego!! Graala!!!

Odwrócił się, aby postawić szkic na sztalugach przed Nierzynem. I już odtąd sam patrzył na obraz, nie odrywając wzroku. I podniósł odwróconą dłoń ku oczom, jakby zasłaniając się przed światłem bijącym stamtąd. I cofając się, cofając, żeby lepiej ogarnąć całość, potknął się na ostatnim stopniu schodów i o mało z nich nie spadł.

Obraz miał mieć wysokość dwa razy większą od wymiaru poprzecznego. Widać było na nim klinowatą szczelinę między dwoma urwiskami górskimi. Na obu urwiskach, z prawa i z lewa, wchodziły w pole widzenia ostatnie drzewa boru - nieprzebytego, pierwotnego. Jakieś ścielące się nisko paprocie, jakieś chwytniwe, złowrogie, poskręcane krzaki przywarły do samych skrajów, a nawet do stromych zboczy z obu stron. W górze, z lewej strony wychynał z lasu na jasnosiwym koniu jeździec w hełmie i szkarłatnej oponczy. Koń nie przestraszył się przepaści, podniósł tylko kopyto nie kończąc stąpania, gotów na rozkaz jeźdźca i cofnąć się, i przebyć otchłań skokiem - a zdolny był do takiego skoku.

Ale jeździec nie patrzył w przepaść. Zaskoczony, zadziwiony patrzył w dal, w głąb obrazu, gdzie cały nieboskłon zalany był gorącą żółtością blasku wysyłanego przez słońce albo coś czystsze jeszcze od słońca, co kryło się za konturami zamku. Wyrastając z górskich uskoków, sam cały w skarpach i basztach, widoczny z głębi wąwozu i z góry, między szczytami urwisk porośniętych paprocią i lasem, wznosząc się iglastym klinem na całą wysokość płótna, aż do zenitu - nierzeczywisty, jakby z obłoków utkany, rozkołysany, mglisty, a jednak wyrazisty w szczegółach swojej nietutejszej doskonałości - stał w tej poświacie liliowy zamek Świętego Graala.

47

Dzwonek na przerwę obiadową rozległ się we wszystkich zakątkach gmachu seminarium przekształconego w szarazkę i dotarł aż do odległego podestu tylnych schodów.

Nierzyn wybiegł na dwór.

Chociaż przestrzeń spacerownika była szczupła, Nierzyn lubił układać sobie na niej taką

trasę, którą nie szedł nikt. Kroczył nią sobie jak w celi - trzy kroki naprzód i trzy wstecz, ale sam. W ten sposób osiągał na krótko błogosławione poczucie samotności i świadomość wytrwania.

Chowając cywilne ubranie pod długimi połami swojego artyleryjskiego szynela nie do zdarcia (pozostawanie po pracy w cywilnym garniturze było groźnym wykroczeniem przeciw dyscyplinie więziennej, za które mogli człowieka przepędzić ze spacernika, ale żał było tracić chwilę spaceru na przebieranie się) - Nierzyn szybkimi krokami doszedł do swojej wydeptanej, krótkiej dróżki od lipy do lipy, już na samym skraju wyznaczonego obszaru, obok tego płotu, za którym stał archijerejski dwór, podobny do okrętu.

Nie chciał teraz uronić ani kropli na puste rozmowy.

Dokoła szybowały białe płatki, rzadkie i nieważkie. Nie były jeszcze śniegiem, ale na ziemi już nie chciały tajać.

Nierzyn zaczął przechadzkę prawie po omacku, z zadartą ku niebu głową. Oddychał tak głęboko, że czuł, jak całe ciało mu się przemienia. Dusza zaś znajdowała więź ze spokojem nieba, nawet takiego mętnego i brzemiennego śniegiem.

Ale tu usłyszał, jak ktoś go woła:

- Glebku...

Obejrzał się.

W podobnym oficerskim szynelu, w zimowej czapce (jego też zgarnęli z frontu zimą), półschowany za pniem lipy, stał Rubin.

W stosunku do kolegi i bliskiego przyjaciela czuł teraz rodzaj zakłopotania, tak jakby popełnił nietakt, bo przyjaciel wciąż jeszcze przeżywał chyba swoje widzenie z żoną - i w takiej uroczystej chwili nie trzeba było mu przeszkadzać. Zakłopotanie swoje Rubin okazywał tym, że wychylał się zza lipy nie całkiem, tylko do pół brody.

- Glebku! Jeżeli bardzo ci psuję nastrój - to powiedz i już mnie tu nie ma. Ale muszę z tobą koniecznie pomówić.

Nierzyn popatrzył Rubinowi w pełne błagania oczy, później spojrzął na białe konary lip - i znów na Rubina. Choćby nie wiem jak długo kroczył tutaj po swojej samotnej ścieżce, niczego więcej już nie wycisnie z tego szczęścia-nieszczęścia, co ma w duszy. Już tam wszystko stygło.

Życie toczyło się dalej.

- Dobra, Lewku, wal!

Więc Rubin wszedł na tę samą ścieżynkę. Z uroczystego wyrazu jego twarzy bez uśmiechu Gleb zmiarkował, że zaszło coś ważnego.

Nie sposób było wystawić Rubina na większą pokusę: obarczyć go sekretem międzynarodowego znaczenia i żądać, żeby nie śmiał napomknąć o nim nikomu, i nawet najbliższej osobie! Gdyby teraz amerykańscy imperialiści wykradli go z szaraszki i zaczęli krajać na kawałki - też by nie zdradził im swojego super-zadania! Ale być pośród zeków szaraszki jedynym posiadaczem tak piorunującej tajemnicy i nie zdradzić się z tym nawet przed Nierzynem - to było wymaganie przekraczające ludzkie siły!

Powiedzieć to Glebowi - to tak, jakby nikomu się tego nie powiedziało, bo przecież Gleb nie powie nikomu. Zwierzyć mu ten sekret było nawet rzeczą bardzo naturalną, ponieważ tylko on znał na bieżąco stan badań nad klasyfikacją głosów i tylko on mógł zrozumieć zarówno trudności, jak interesujący charakter zadania. I nawet więcej - trzeba było koniecznie powiedzieć mu o tym i dogadać się z nim właśnie teraz, póki jest jeszcze czas, bo potem gonitwa, człowiek nie będzie mógł oderwać się od nagrań, zakres robót się rozszerzy, a i tak trzeba będzie mieć kogoś do pomocy...

Tym samym zwykła służbowa dalekowzroczność usprawiedliwiała rzekome pogwałcenie tajemnicy państwowej.

Dwie wyliniałe czapki frontowe i dwa wytarte szynele, trącąc się barkami, a stopami przecierając i rozszerzając wydeptaną ścieżkę, zaczęły powoli posuwać się po niej.

- Drogi chłopczyno! Ta rozmowa będzie nosić sygnaturę trzy zera. Nawet w Radzie Ministrów wiedzą o tym dwie, trzy osoby, nie więcej.

- Ja w ogóle milczę jak grób. Ale jeżeli to tajemnica taka okropna - to może nie gadaj nic, może nie trzeba? Kto mniej wie, ten lepiej śpi.

- Mato! Ja bym gęby nie strzepił, bo mi łeb utną, jeżeli się dowiedzą. Ale potrzebna mi będzie twoja pomoc.

- No to wal.

Oglądając się wciąż spod oka - czy aby nie ma kogo w pobliżu, Rubin opowiedział po cichu o nagranej rozmowie telefonicznej i o celu powierzonych mu pracy.

Jakkolwiek Nierzyn odzwyczaił się w więzieniu od ciekawości, słuchał teraz z wyraźnym zainteresowaniem i ze dwa razy przystawał, dopytując się szczegółów.

- Zrozum, zacny chłopino - zakończył Rubin - że to jest nowa nauka, *fonoskopia*, że ma swoje metody i swoje horyzonty. Nudno mi i trudno wgłębiać się w nią samemu. Czy to

nie byczy pomysł, żeby pchnąć ten wóz we dwójkę?! Czy to nie zaszczyt być twórcami całkiem nowej gałęzi wiedzy?

- Bogać tam - stęknął Nierzyn - też mi dyscyplina! Psu pod ogon!

- No dobrze, Arkezylaos tego by nie uznał. No, a przedterminowe zwolnienie już ci nie jest potrzebne? Gdyby nam się udało - to masz pełnotłuste I zwolnienie i czyściutki paszport. A nawet jak się wcale nie uda, to twoja pozycja w szaraszce się wzmocni. Niezastąpiony specjalista! Żaden Antoni nie tknie cię już palcem.

Jedna z lip, do których wiodła ścieżynka, miała pień rozszczepiony na wysokości piersi. Tym razem Nierzyn nie zawrócił przed pniem, tylko oparł się plecami i wtulił kark w rozszczep. Czapka opadła mu na czoło, co nadało mu wygląd półknajacki. Popatrzył na Rubina.

Drugi raz w ciągu tej doby podsuwano mu deskę ratunku i po raz wtóry nie cieszył go taki ratunek.

- Słuchaj no, Lwie... wszystkie te bomby atomowe, rakiety „V” i ta twoja nowo narodzona fonoskopia... - mówił z roztargnieniem, jakby nie wiedząc jeszcze dobrze, co ma odpowiedzieć - ... to przecież smocza jama. Tych, co za dużo wiedzieli, jak świat światem zamuroywano żywcem. Jeżeli o fonoskopii będą wiedzieć dwaj członkowie Rady Ministrów, więc oczywiście Stalin i Beria, i jeszcze dwóch takich kretynów jak ty i ja, to przedterminowo możemy dostać tylko kulę w potylicę. A propos, dlaczego w CzK-KGB mają zwyczaj strzelania właśnie w potylicę? Na mój gust to świństwo. Jak już - to prosto w oczy, salwa w piersi! Chodzi o to, że oni boją się patrzeć ofiarom w oczy. Toż roboty huk, trzeba oszczędzać nerwy oprawców...

Zakłopotany Rubin zamilkł. Nierzyn też milczał, wciąż przytulony grzbietem do lipy. Zdawało się, że tysiąc razy już obgadali wzdłuż i w poprzek wszystko w świecie, że wszystko już im było wiadome, ale ich oczy - ciemnopiwnie i ciemnoniebieskie - patrzyły teraz na siebie badawczo.

Zrobić ten krok?...

Rubin westchnął:

- Ale taki telefon - to jakiś węzeł historii. Udawać, że go nie było, nie mamy moralnego prawa.

Nierzyn ożywił się:

- No to bierz byka za rogi! A po co mi tu wciskasz, że nowa dyscyplina, że

przedterminowe? Ty masz cel - żeby złapać tego zucha, prawda?

Oczy Rubina zwężyły się, rysy twarzy stwardniały:

- A tak! Taki jest mój cel! Ten podły moskiewski bażant, karierowicz, stanął na drodze socjalizmu, więc trzeba go usunąć.

- A dlaczego myślisz, że to bażant i karierowicz?

- Bo słyszałem jego głos. Bo chce wysługiwać się tamtym bossom.

- Czasem nie zagłuszasz swoich wątpliwości?

- Nie rozumiem.

- Jest to facet zapewne dość wysokiej rangi, więc czy nie łatwiej byłoby mu wysługiwać się Wyszyńskiemu? Czy to nie dziwny sposób wysługiwania się - nie dbać o granice i nie wymieniać nawet własnego nazwiska?

- Prawdopodobnie on liczy, że sam za granicą się znajdzie. Żeby wysługiwać się na miejscu, musiałby kontynuować szare, nienagane urzędnicze życie. Za dwadzieścia lat dostałby jakiś medalik, jakiś tam nowy listek palmowy na mankiecie, czy ja wiem? A na Zachodzie - z punktu skandal na cały regulator i milion w kieszeni.

- Nnno... tak... a jednak oceniać moralne motywy na podstawie drgań głosu w paśmie od 300 do 2400 Hz... A jak myślisz - czy on powiedział prawdę?

- To znaczy, co do tego sklepu z częściami radiowymi?

- Tak jest.

- W pewnym stopniu zapewne - tak.

- „Jest w tym pewne racjonalne ziarno” - przedrzeźnił Nierzyn. - Ajajaj, Lewku, Lewku, to znaczy, że przeszedłeś na stronę złodziei?

- Nie złodziei, tylko agentów wywiadu!

- Co za różnica? Takie same bażanty i karierowicze, tylko nowojorscy, kradną tajemnicę bomby atomowej, żeby dostać ze Wschodu trzy miliony do kieszeni. Chociaż nie, tyś nie słyszał ich głosów.

- Dureń! Jesteś beznadziejnie zatruty oparami kibla! Więzienie zamąciło ci wszystkie pojęcia o przyszłości świata. Jak można porównywać ludzi, którzy socjalizmowi szkodzą, z ludźmi, którzy mu służą? - na twarzy Rubina rysowało się cierpienie.

Nierzyn odrzucił czapkę z rozgrzanego czoła i znowu wtulił głowę w szczelinę pnia:

- Słuchaj, a czyjeż to piękne wiersze o dwóch Aloszach czytałem tak niedawno?

- To było na innym etapie, kiedym sobie jeszcze nie potrafił zróżnicować pojęć ani

zobaczyć jasno własnych ideałów. Wtedy - to mogło się zdarzyć.

- A teraz je zobaczyłeś jasno? W postaci GUŁagu?

- Nie! W postaci moralnych ideałów socjalizmu. W kapitalizmie ich nie ma, jest tylko żądza zysku!

- Słuchaj no - Nierzyn wtulił się już całym grzbietem w rozdartą lipę, sposobiąc się do dłuższej rozmowy. - Gdzież ty widzisz jakieś moralne ideały socjalizmu, powiedz? Nie tylko nie widzimy ich na tej ziemi - no, założmy, że ktoś sknocił ten eksperyment - ale gdzie i kiedy ta obietnica była sformułowana, co jest jej treścią? Co? Przecież wszelki socjalizm jest tylko karykaturą Ewangelii. Socjalizm obiecuje nam jedynie równość i sytość, i to też pod przymusem.

- Tego ci mało? W jakim społeczeństwie na całej przestrzeni dziejów to się spełniło?

- Ależ w każdym porządnym chlewie masz i równość, i sytość! Też mi łaska - równość i sytość. Dajcie nam społeczeństwo moralnie rzetelne!

- Toteż damy! Tylko nie przeszkadzajcie! Nie stójcie nam na drodze!

- W czym - nie przeszkadzajcie? W kradzieży bomb?

- Ach, macie źle w głowie! Dlaczego więc wszyscy rozumni, trzeźwo myślący ludzie...

- Jacy? Jakub Iwanowicz Mamurin? Grigorij Borysowicz Abramson?... - śmiał się Nierzyn.

- Wszystkie oświecone głowy! wszyscy najwybitniejsi myśliciele Zachodu, taki Sartre! - wszyscy są za socjalizmem! wszyscy przeciwko kapitalizmowi! To już truizm! I tylko dla ciebie to nie jasne! Ty małpo człekokształtna!

Rubin nacierał na Nierzyna całym ciałem, potrząsając rozczapierzonymi dłońmi. Nierzyn odpychał go oburącz:

- Dobrze, niech będzie małpa! Ale nie chcę używać w rozmowie twoich terminów - jakiś tam „kapitalizm”, jakiś tam „socjalizm”! Ja tych słów nie rozumiem i nie chcę używać!

- Wolisz Język Skrajnej Jasności? - roześmiał się Rubin; napięcie rozładowało się.

- Owszem, jeśli sobie życzysz.

- No a co ty rozumiesz?

- Ja rozumiem takie terminy: własna rodzina! nienaruszalność osoby ludzkiej!

- Nieograniczona wolność?

- Nie, moralne samoograniczenie.

- Ach, ty filozofie spod pieca! Bo to można żyć w dwudziestym wieku z tymi rozlazłymi, amebowatymi poglądami? Przecież to wszystko są pojęcia o klasowych konotacjach! Przecież one zależą od...

- Od żadnej cholery nie zależą! - Nierżyn oderwał się od swojej wneki i wyprostował.
- Sprawiedliwość od niczego nie zależy!

- To klasowe pojęcie! Klasowe! - Rubin wciąż potrząsał dłonią nad jego głową.

- Sprawiedliwość - to kamień węgielny, to podstawa ładu wszechświata! - Nierżyn też zaczął machać ręką. Z daleka można było pomyśleć, że za chwilę się pobiją. - Urodziliśmy się z pojęciem sprawiedliwości w duszy, żyć bez niej człowiek nie ma ani chęci, ani powodu! Pamiętasz, jak car Fiodor Iwanowicz mawiał: nie jestem mądry ani nie jestem silny, oszukać mnie nietrudno, ale *białe od czarnego* odróżnić potrafię! Zwróć mi moje klucze, bojarze Godunow!!

- Nie uda ci się umknąć, nie uda! - groźnie krzyczał Rubin. - Musisz mi odpowiedzieć, jaką stronę barykady wybierasz?!

- Mało mi jeszcze fanatyków było, ścierwa twoja mać! Już nam cały świat i barykadami pozagradzali! - Nierżyn też już się wściekł. - To jest właśnie najgorsze! Człowiek chce być obywatelem świata, chce być aniołem na tym padole - ale gdzie tam, zaraz go łaps za nogi: *kto nie z nami, ten przeciw nam!* Zostawcie trochę miejsca dla mnie! Zostawcie trochę! - parował atak Nierżyn.

- My ci zostawimy, ale t a m c i, t a m c i nie zostawią, ci z drugiej strony!

- To wy macie zostawić! Komuście zostawili?! Cały czas jak nie bagnety, to czołgi...

- Dziecino - Rubin złagodniał - w perspektywie historycznej...

- A na cholere mi perspektywa! Ja mam żyć teraz, a nie w perspektywie! Wiem, co mi odpowiesz! - że biurokratyczne wypaczenie, okres przejściowy, tymczasowe struktury - ale te tymczasowe struktury żyć mi nie dają, duszę mi tłamszą te wasze tymczasowe struktury - i ja nie będę ich bronić, jeszcze nie zwariowałem!

- To był błąd, że napadłem na ciebie zaraz po widzeniu - całkiem łagodnie powiedział Rubin.

- Co ma do tego widzenie! - Nierżyn nie ochłonął z gniewu. - Ja tak myślę zawsze. Drwimy sobie z chrześcijan - głuptaski, czekacie na raj, a na tym świecie wszystko cierpliwie znosicie - a my na co czekamy? A my dla kogo znosimy to wszystko? Dla mitycznych potomków? Co za różnica - szczęście dla potomków albo szczęście na tamym

świecie? Nie widać ani jednego, ani drugiego.

- Ty nigdy nie byłeś marksistą!

- Niestety, byłem.

- Pieskie nasienie! To ci jucha!... Toż razem klasyfikowaliśmy te głosy... No i co teraz mam sam pracować?

- Znajdziesz sobie kogoś.

- Koogooo? - Rubin nastroszył się i aż dziw brał, kiedy widziało się grymas dziecięcej twarzy na tym mężnym, pirackim obliczu.

- Chłopie, nie miej do mnie urazy. Ci olewają mnie dobrze znanym żółto-brunatnym płynem, a ja mam im za to podsuwać bombę atomową? O, nie!

- Jakim tam i m - to nam, głupolu!

- Jakim - nam? Potrzebna ci bomba atomowa? Bo mnie - niepotrzebna. Bo ja, tak samo jak Ziemiela, nie dbam o panowanie nad światem.

- Ale bez żartów! - Rubin znów sobie przypomniał. - Więc niech ten gnojek odda bombę Zachodowi?

- Coś ci się pomyliło, Lewku - Gleb czule głośną klapę jego szynela. - Bomba już jest na Zachodzie, tam ją wynaleziono, a wy ją kradniecie.

- Tam wynaleziono i tam już rzucono! - błysnął karym okiem Rubin. - A ty gotów jesteś z tym się pogodzić? Sprzyjasz temu gnojkiowi?

Nierzyn odpowiedział tym samym, pełnym troski tonem:

- Lewku! Niechaj poezja i proza życia staną się dla ciebie jednością. Za cóż to gniewasz się tak na tego młodzieńca? Toć to twój Alosza Karamazow, toć on broni Perekopu. Chcesz go łapać, to go łap.

- A ty nie chcesz? - spojrzenie Rubina znów stwardniało. - Zgadzasz się na nową Hiroszimę? Na rosyjskiej ziemi?

- A ty wolisz - kraść bombę? Tę bombę trzeba izolować moralnie, a nie kraść ją- - Jak izolować?! Idealistyczne majaczenia!

- To bardzo proste: trzeba uwierzyć serio w ONZ! Proponowano wam plan Barucha - i trzeba było podpisać! Ale nie, Pachan chciał mieć bombę!

Rubin stał tyłem do spacernika i dróżki, Nierzyn zaś mógł widzieć podchodzącego do nich szybkim krokiem Doronina.

- Cicho, idzie Ruska. Nie odwracaj się - ostrzegł szeptem Rubina. I kontynuował już

na głos, całkiem spokojnie:

- Słuchaj, czyś tam przypadkiem nie natknął się na sześćset osiemdziesiąty dziewiąty pułk artylerii?

- A kogoś ty tam znał? - odpowiedział Rubin nie bez oporu, bo jeszcze nie zmienił rejestru.

- Majora Kandybę. Zdarzyła się z nim ciekawa historia...

- Panowie! - zawołał Ruska Doronin tonem wesołym i szczerym.

Rubin stęknął, odwrócił się i spojrzał na niego mrocznie:

- Co powiesz, książę?

Rościsław patrzył na Rubina wzrokiem pełnym otwartości. Na twarzy miał wypisane najczystsze zamiary:

- Panie Lwie! Przykro mi, że ja tu biegnę z duszą na ościerni, a właśnie ludzie, którym ufam, patrzą na mnie wilkiem. Jak ma więc patrzeć cała reszta? Panowie! Mam dla was pewną propozycję: jeżeli sobie życzycie, to jutro w czasie przerwy obiadowej oddam w wasze ręce wszystkich judaszów w tej właśnie chwili, kiedy będą odbierać swoje trzydzieści srebrników.

48

Jeżeli nie liczyć grubaska Gustawa z różowymi uszami, to Doronin był najmłodszym zekiem w szaraszce. Zjednywał so - bie wszystkie serca zgodliwością, wiarą w swoją szczęśliwą gwiazdę, bystrością. W tych rzadkich chwilach, kiedy zwierzchność pozwalała na siatkówkę, Rościsław oddawał się grze bez reszty; jeżeli gracze stojący bliżej siatki puszczali piłkę, Ruska rzucał się od samej tylnej linii autowej robiąc „jaskółkę”, odbijał piłkę i padał na ziemię rozbijając do krwi kolana i łokcie. Podobało się też wszystkim jego niecodzienne imię - Ruska. Jeszcze bardziej się spodobał, gdy w dwa miesiące po przyjeździe jego golona w łagrze głowa pokryła się jasnymi kędziorami.

Przywieźli go z workuckich łagrów dlatego, że w kartotece GUŁagu figurował jako frezer, w istocie zaś okazał się frezerem tylko na lipę i wkrótce musiał być zastąpiony przez fachowca. Ale przed odesłaniem do obozu uratował go Dwojetio-sow, który przyjął go do nauki i pomocy w obsłudze najmniejszej pompy próżniowej. Pojętny Ruska szybko dał sobie radę. Szarazkę cenił jako swoisty dom wczasowy - w łagrach dość się nabiedował i o swoich przejściach opowiadał teraz z wesołym zawadiactwem: jak konał już z wycieńczenia w mokrej kopalni, jak zaczął temperaturę sobie podbijać, nagrzewając obie pachy

kamieniami jednakowej wielkości, żeby dwa termometry nigdy nie wykazywały różnicy większej niż dziesiąta część stopnia (chciano go wziąć na fundusz tymi dwoma termometrami!).

Ale wspominając ze śmiechem swoją przeszłość, która nieuchronnie miała powrócić w przyszłości, w ciągu dwudziestu pięciu lat, jakie dostał - Ruska tylko nielicznym, też zresztą w sekrecie, pokazywał się w swojej głównej roli - szemranego cwaniaka, który przez dwa lata wodził za nos aparat śledczy MBP. Jako godny chrześniak tej instytucji, nie dbał wcale o rozgłos, podobnie jak ona sama.

W różnobarwnym tłumie mieszkańców szaraszki nie wyróżniał się zresztą niczym szczególnym - aż do pewnego wrześnieowego dnia. Dnia tego Ruska z tajemniczą miną odwiedził dwudziestu najbardziej wpływowych zeków szaraszki, przedstawicielei jej opinii publicznej i każdemu z nich w cztery oczy powiedział z wielkim podnieceniem, że dzisiejszego ranka pełnomocnik operacyjny major Szykin chciał zrobić z niego kapusia i że on, to jest Ruska, zgodził się, mając nadzieję wykorzystać pozycję donosiciela dla dobra ogółu.

Nie bacząc na to, żeteczka personalna Rościława Doronina upstrzona była pięcioma różnymi nazwiskami, haczykami, literkami i szyfrowanymi znaczkami, zwracającymi uwagę na niebezpieczny charakter więźnia, jego skłonność do ucieczek i konieczność przewożenia go wyłącznie w kajdankach - major Szykin, w chęci maksymalnego zwiększenia ilości swoich informatorów, doszedł do wniosku, że Doronin jest młody, dlatego nie ma jeszcze stałych przekonań, że zależy mu na pozostaniu w szaraszce i że z tych powodów będzie człowiekiem oddanym.

Wezwany w sekrecie do gabinetu Szykina (wzywano na przykład do sekretariatu, tam zaś dopiero mówiono: „aha, proszę wstąpić do majora Szykina”), Rościław przesiedział u niego trzy godziny. W tym czasie, słuchając nudnych pouczeń i objaśnień kuma, Ruska swoimi bystrymi, spostrzegawczymi oczyma zdążył nie tylko dokładnie obejrzeć sobie rozdętą głowę majora posiwiąłą przy kompletowaniu donosów i kalumnii, czarniawą jego twarz, malutkie jego dłonie, jego stopki w dziecinnych kamaszkach, marmurowy komplet na biurku i jedwabne firanki na oknie, lecz również przeczytał - do góry nogami - nagłówki na papierach leżących pod szkłem, chociaż siedział o półtora metra od stołu, a nawet zakonotował sobie, jakie dokumenty Szykin może trzymać w sejfie, jakie zaś zamyka w szufladzie biurka.

Od czasu do czasu Doronin z naiwną szczerością zaglądał majorowi w oczy i potakująco kiwał głową. Za tą błękitnooką jego naiwnością skrywały się jednak najbardziej desperackie koncepty, ale pełnomocnik operacyjny nawet się tego nie domyślał, zmylony szarą monotonią przejawów ludzkiej pokory.

Ruska zdawał sobie sprawę, że Szykin rzeczywiście może go posłać na Wor-kutę, jeżeli nie zgodzi się zostać jego konfidentem.

Nie tylko Ruśkę, ale całe jego pokolenie nauczono uważać „litość” za uczucie poniżające, „dobroć” - za coś śmiesznego, „sumienie” zaś za pojęcie z popowskiego słownika. Przekonywano ich natomiast, że donosicielstwo jest obowiązkiem patriotycznym, a zarazem najskuteczniejszym aktem pomocy dla osoby, na którą robi się donos, i że w ogóle uzdrawia stosunki społeczne. Może i nie wszystko z tego przyszło do Ruski, ale też nie zostało bez wpływu. I najważniejszym dla niego problemem było w tej chwili nie to, czy i o ile podjęcie się roli kapusia jest rzeczą godną albo niegodną, tylko - jakie tego mogą być skutki? Mając już spory bagaż doświadczeń, więziennych spotkań i pilnie wysłuchanych ostrych dyskusji więźniarskich, młodzian nasz nie zapominał także o takiej możliwości, że wszystkie te archiwa MBP zostaną wydobyte na światło dzienne, a wszyscy tajni współpracownicy postawieni publicznie pod pręgierz.

Dlatego uważał, że zgoda na współpracę z kumem byłaby w dalszej perspektywie tak samo niebezpieczna - jak odmowa w bliskiej.

Ale niezależnie od tych wszystkich kalkulacji, Ruska był artystą awanturnictwa. Czytając do góry nogami interesujące papierki leżące pod szkłem u Szykina, zadrzał w przeczuciu pasjonującej gry. Był już znękanym bezczynnością w ciasnym zaciszu szaraszki.

I wypytawszy jeszcze - dla większego prawdopodobieństwa - ile też będą mu płacić, Ruska zgodził się z całym zapalem.

Po jego wyjściu Szykin, zadowolony ze swego zmysłu psychologicznego, zaczął przechadzać się po gabinecie zacierając malutkie rączki - taki informator obiecywał obfite plony donosów. W tym samym zaś czasie - wcale nie mniej zadowolony Ruska chodził od jednego zaufanego zeka do drugiego i spowiadał się im, że zgodził się ś w i r o w a ć dla sportu, dla bliższego zbadania metod pełnomocników oraz w celu zdemaskowania prawdziwych kapusiów.

Podobnego wyznania nie słyszał jeszcze nikt, nawet najstarsi zekowie. Pytano Ruśkę nieufnie - czemu to chwali się taką rzeczą, kładąc głowę pod Ewangelię? Ruska odpowiadał:

- A bo kiedy tej całej sforze urzędzą proces norymberski - wy będziecie moimi świadkami obrony.

Z dwudziestu wtajemniczonych każdy przekazał jeszcze tę wiadomość jednemu czy dwóm innym - ale nikt nie poszedł do kuma z donosem! Już to jedno stawiało pół setki ludzi poza wszelkimi podejrzeniami.

Wypadek Ruski jeszcze długo pasjonował szaraszkę. Wszyscy uwierzyli w wersję chłopca. Wierzyli mu jeszcze długo. Ale, jak to zawsze, wypadki miały swoją własną wewnętrzną logikę. Szykin domagał się m a t e r i a ł ó w, to znaczy donosów. Ruska musiał mu podrzucać cokolwiek. Chodził znów od jednego wtajemniczonego do drugiego i użalał się:

- Panowie! Wyobraźcie sobie, ile muszą kapować tamci, jeżeli Szykin tak pili mnie, co jeszcze nawet miesiąca nie jestem w branży? No, zrozumcie moją sytuację, podrzućcie trochę materiału!

Jedni machali tylko ręką, inni podrzucali. Zapadło jednogłośnie postanowienie, aby zadać chleba pewnej damie, która najęła się do pracy tylko z chciwości, aby pomnożyć jeszcze tysiące przynoszone przez męża. Zeków traktowała z pogardą, powtarzała, że najlepiej byłoby ich wystrzelać (mówiła tak tylko w gronie wolnych pracowników, ale szybko to doszło do zeków) i sama sypnęła dwóch - jednego, że romansuje z frajerką, drugiego - że zrobił sobie walizkę z państwowych materiałów. Ruska całkiem bezpodstawnie oczernił ją, meldując, że wynosi ona listy zeków na pocztę i że kradnie kondensatory z szafy. I chociaż nie dostarczył Szykinowi żadnego dowodu, a mąż tej damy, pułkownik MSW głośno protestował, to na mocy - niczym nie zwalzonego w naszej ojczyźnie - prawa donosu, dama dostała wypowiedzenie i poszła z płaczem.

Czasami Ruska kapował też na zeków - wybierając jakieś drobnostki i uprzedzając ich zresztą o tym. Później przestał uprzedzać, zamilkł. Oni też przestali go pytać. Chcąc nie chcąc, wszyscy przyjęli, że widać donosi nadal, tylko o takich sprawach, o których woli nie mówić.

W ten sposób Ruska podzielił los podwójnych graczy. O jego grze dalej nikt władzom nie doniósł, ale zaczęto go unikać. Jego informacje, jak choćby ta, że pod szkłem u Szykina leży specjalny rozkład godzin przyjęć dla kapusiów, dzięki któremu wchodzi tam bez wezwania - i mogą być też przyłapani bez omyłki, jakoś nie bardzo równoważyły fakt, że sam powiększył ich grono.

Również Nierzyn nie podejrzewał - a lubił chłopca i podobały mu się jego pomysły - że o jego Jesieninie nakapał też Ruska. Utrata książki sprawiła Glebowi duży ból, którego Ruska nie mógł przewidzieć. Zakładał, że książka jest własnością Nierzyna, że to się musi wyjaśnić i że nikt wtedy książki nie odbierze - a tymczasem może dać Szykinowi strawę duchową w postaci doniesienia, iż Nierzyn chowa w walizce książkę, którą zapewne dostał od jakiejś wolnej pracownicy.

Czując jeszcze na wargach słono-słodki smak pocałunku Klary, Ruska wyszedł na podwórzec. Śnieg na lipach wydał mu się białym kwieciami, powietrze zaś ciepłe jak na wiosnę. W czasie swej dwuletniej wędrówki i chowanki całą swoją chytryść i energię obracał na zmylenie wywiadowców i zupełnie nie miał czasu na szukanie kobiecych łask. Wsadzili go też za kraty w dziewiczym stanie i dlatego wieczorami tak mu było smutno i ciężko.

Ale po wyjściu na dwór zerknął na długi, niski budynek sztabu specwężenia i przypomniał sobie, że jutro podczas obiadu miał tu przecież zamiar dać pewne przedstawienie. Był już czas, aby kogoś o tym uprzedzić (wcześniej nie mógł, jeszcze by się wydało). I, owiany wciąż zachwytem bijącym z oczu Klary, czując się przez to po trzykroć pewniejszy sukcesu i mądrzejszy, rozejrzał się, zobaczył Nierzyna i Rubina na skraju spaceru, pod dużą lipą z rozdwojonym pniem - i śmiało skierował się w ich stronę. Czapkę nosił na bakier i odsądził ją z czoła, tak że kąt ciemienia z wywiniętym lokiem wystawiony był ufnie na rzeńskie powiewy.

Szedł, widząc plecy Rubina i twarz Nierzyna. Nie mówili o głupstwach, bo Nierzyn był chmurny i poważny. Ale to, co Ruska miał usłyszeć przy spotkaniu było tylko nic nie znaczącym zdaniem, rzuconym na odczepne, nie miał wątpliwości.

Przełknął tę przykrość i przeszedł do rzeczy:

- No, znacie chyba główną zasadę sprawiedliwości społecznej - że za każdą pracę należy się płaca? Jutro wszyscy Judasze będą dostawać swoje srebrniki za usługi w trzecim kwartale bieżącego roku.

- Śledziarze! - oburzył się Nierzyn. - W czwartym już wszystkie plany wykonane, a oni dopiero za trzeci! Skąd takie opóźnienie?

- Listę wypłat tyle razy trzeba sprawdzać - wyjaśnił Ruska tonem usprawiedliwienia. - Ja też będę jutro brać należność.

- Tobie też już płacą za trzeci? - zdziwił się Rubin. - Przecie jesteś dopiero pół kwartału zatrudniony?

- Za to się wyróżniam! - Ruska spojrział na nich ze szczerym, czarującym uśmiechem.

- I gotówką, tak po prostu?

- Uchowaj Boże! Fikcyjny przekaz pocztowy z prawem przeniesienia sumy na rachunek osobisty. Pytali mnie tam - w którym imieniu mają mi to przekazać? Chcecie, żeby było od Iwana Iwanowicza Iwanowa? A ja na to - może by tak od Klaudii Kudriawcew? Miło wszak sobie wyobrazić, że troszczy się o ciebie jakaś niewiasta.

- Ile wypada za kwartał, co?

- O, na tym polega cały dowcip! Informator dostaje według listy brutto sto pięćdziesiąt rubli kwartalnie. Ale trzeba przecież dla niepoznaki przesłać pocztą. A bezlitosna poczta zdziera trzy ruble za tę operację. K u m o w i e są wszyscy tacy chciwi, że żaden nie dopłaci z własnej kieszeni, i tacy leniwi, że żaden nie złoży wniosku, by podnieść stawkę dla seksotów o te trzy ruble. Dlatego wszystkie przekazy bez wyjątku będą na 147 rubli. Ponieważ normalny człowiek nigdy takiej sumy nie pošle - te brakujące trzydzieści razy po dziesięć kopiejek - to właśnie jest judaszowe znamię. Jutro podczas obiadu trzeba zebrać ludzi koło sztabu i każdemu, kto wychodzi od opera - zajrzeć do przekazu. Ojczyzna powinna znać swoich szpiclów, jak panowie myślą?

49

Podczas gdy rzadkie, pojedyncze śnieżynki złuszczały się z nie - boskłonu, by spaść na jezdnię ulicy Matrosskaja Tiszyna, wyli - zana przez samochodowe opony z ostatnich resztek starego śniegu - w 318-tym pokoju miasteczka studenckiego na Stro-mynce toczyło się zwykłym, przedwieczornym trybem niedzielne życie aspirantek. Pokój 318, położony na drugim piętrze, swoim szerokim, kwadratowym oknem wychodził właśnie na ulicę Matrosskaja Tiszyna. Był podłużny, od drzwi do okna wzdłuż lewej i prawej ściany stały gęsiego po trzy łóżka, przedzielone koszykowymi etażerkami na książki. Pośrodku, zostawiając tylko wąskie przejścia wzdłuż łóżek, jeden za drugim stały dwa stoły; bliżej okna - „dysertacyjny”, na którym wysoko piętrzyły się książki, zeszyty, rysunki, pliki maszynopisów, dalej - „ogólny”, przy którym właśnie prasowała Oleńka, Muza pisała teraz list, a Luda rozkręcała papiloty przed lusterkiem. Łóżka nie dochodziły aż do ściany, gdzie były drzwi, zostawało więc nieco miejsca - z jednej strony na wieszaki, z drugiej zaś - dla miednicy do mycia, odgradzonej zasłonką (łazienka była na końcu korytarza, ale dziewczętom było tam zimno, nieprzytulnie i daleko).

Na pierwszym łóżku od umywalki leżała Węgierka Erzsika i czytała. Leżała w

szlafroku, który miał w pokoju przezwisko „brazylijski sztandar”. Miała jeszcze inne niezwykle szlafroki, od których dziewczętom dech zapierało, ale do wyjścia ubierała się bardzo skromnie, jakby się starała nigdy nie zwracać niczyjej uwagi. Przywykła do tego w latach, gdy była w konspiracji na Węgrzech.

Kolejna pościel należała do Ludy i była rozkopana (Luda dopiero niedawno wstała), kołdra i prześcieradło zwisały aż na podłogę, za to z wezglowia aż na poduszkę opadała - starannie rozłożona i wyprasowana - niebieska jedwabna suknia oraz pończochy. Nad łóżkiem wisiał też perski kilimek. Sama Luda siedziała przy stole i referowała historię flirtu z pewnym hiszpańskim poetą, którego wywieziono z jego kraju, gdy jeszcze był chłopcem. Szczegółowo opisywała urządzenie restauracji, skład orkiestry, dania, jarzyny i trunki.

Żelazko Oleńki włączone było do gniazdka zwanego „złodziejką”, przyczepionego do lampy nad stołem (dla oszczędności prądu zakazane były na Stromynce wszelkie żelazka i kuchenki, gniazdek w ścianie nie było, a „złodziejek” poszukiwała cała zwierzchność). Oleńka słuchała opowieści Ludy, śmiała się czasem, ale zajmowało ją głównie prasowanie. Ten żakiet i spódnica to był jej cały majątek. Wolałaby raczej własną skórę przypalić niż ten kostium. Na utrzymanie Oleńka miała tylko swoje aspiranckie stypendium, żywiła się kaszą i ziemniakami, jeśli mogła w trolejbusie nie zapłacić tych dwudziestu kopiejek, to nie płaciła, na ścianie nad jej łóżkiem wisiała tylko mapa - za to ten jej strój wieczorowy był bardzo zadbany i niczego w nim nie musiała się wstydzić.

Muza, nazbyt tęga, z pospolitymi rysami i okularami na nosie, wyglądająca, jakby miała grubo ponad swoją trzydziestkę - przy akompaniamencie tego natrętnego, ubliżającego jej opowiadania próbowała pisać list. Prośba o milczenie wydawała jej się czymś niedelikatnym. Przerwanie jej przemowy jeszcze bardziej by Ludę podnieciło - mogła nawet obraźliwie się odszczeknąć. Luda była ich nowym nabytkiem, nie była aspirantką, tylko przyjechała na kursy dla wykładowców ekonomii politycznej po ukończeniu instytutu finansowego, zresztą przybyła tu raczej dla rozrywki. Jej ojciec, generał w stanie spoczynku, zasypywał ją paczkami z Woroneża.

Pierwiastkowym przekonaniem Ludy było, że jedyny sens życia kobiecego zawiera się w spotkaniach i kontaktach z mężczyznami. Ale w dzisiejszej opowieści kładła nacisk na to, co wydawało jej się szczególnie pikantne. W swoim Woroneżu była już trzy miesiące czyjaś żoną i sypiała później z byle kim, ale nosiła w sobie żal, że dziewictwo utraciła jakby mimochodem. I dlatego od pierwszej chwili tej znajomości z hiszpańskim poetą grała rolę

niepokalanej nowicjuszki, z drzeniem i wstydem reagowała na każde dotknięcie, nawet w ramię czy łokieć, a gdy wstrząśnięty poeta doprosił się wreszcie pierwszego w jej życiu pocałunku, zadygotała wpadając to w zachwyt, to w rozpacz, aż wreszcie poeta napisał w natchnieniu dwudziestoczworowierszowy poemat, szkoda tylko, że nie po rosyjsku.

Muza pisała list do swoich sędziwych rodziców, których zostawiła w dalekim prowincjonalnym miasteczku. Tatko i mama aż po dziś dzień kochali się nawzajem jak młoda para i każdego ranka, idąc do pracy, ojciec aż do samego rogu odwracał się i machał mamie ręką, a mama kiwała mu dłonią przez lufcik. I córka tak samo ich kochała, przywykła do tego, aby pisać im często i drobiazgowo o wszystkich swoich przeżyciach.

Ale w tej chwili była całkiem zagubiona. Dwa dni temu, w piątek wieczorem, zdarzyło się z nią coś takiego, co zmąciło w niej nawet chęć pracy nad Turgieniewem, pracy niestrudzonej, bezustannej, która wypełniała jej całe życie i zastępowała wszystkie inne sposoby wyżycia się. Miała ohydne samopoczucie - jakby powalało ją coś brudnego, wstydliwego, czego nie sposób było zmyć ani ukryć, ani pokazać nikomu, a żyć z tym też nie było można.

Rzecz miała się tak, że tego piątkowego wieczoru, kiedy chciała już kłaść się spać po powrocie z biblioteki, wezwana została do kancelarii akademika, gdzie powiedziano jej: „aha, aha, proszę wstąpić do tego pokoju”. Siedziało tam już dwóch ichmościów w cywilu: z początku zachowywali się uprzejmie, jeden przedstawił się jako Mikołaj Iwanowicz, drugi - jako Sergiusz Iwanowicz. Mało zważając na późną porę trzymali ją tam godzinę, później dwie i trzy. Zaczęli od pytań, z kim mieszka, z kim współpracuje (choć wiedzieli to nie gorzej od niej). Toczyli z nią bez pośpiechu rozmowę o patriotyzmie, o społecznym obowiązku każdego pracownika naukowego, który polega na tym, aby nie zasklepić się w ramach swojej specjalności, lecz służyć narodowi na wszelki możliwy sposób. Muza wcale nie oponowała, wszystko to było zupełnie słuszne. Wówczas bracia Iwanowicze zaproponowali, aby zechciała pomagać im, to znaczy - w określonym z góry czasie spotykać się z którymś z nich właśnie tu, w kancelarii albo w agitpunkcie, albo w pokoju klubowym, w końcu nawet na uniwersytecie - to już jak woli - i odpowiadać tam na pewne pytania albo dzielić się swoimi własnymi spostrzeżeniami na piśmie.

I tu zaczęła się ta rzecz przeraźliwa, bez końca! Zaczęli mówić z nią coraz bardziej pochamsku, krzyżyć na nią. Przeszli na „ty”: „no i co się upierasz? Przecież nie zagraniczny wywiad chce cię zwerbować!” „Potrzebnaś ty zagranicznym wywiadam jak psu piąta noga...

„. Później oświadczyli wprost, że nie pozwolą jej na obronę pracy doktorskiej (a to były ostatnie miesiące przed czerwcowym terminem i rozprawa była już niemal gotowa) i złamią jej karierę naukową, bo takie uczone wymoczki wcale nie są krajowi potrzebne. Bardzo ją to przestraszyło, uwierzyła im bez wahania, że zostanie przepędzona z aspirantury, dla nich to żadna fatyga. Ale w tym momencie jeden z nich wyjął pistolet, zaczęli go sobie podawać z ręki do ręki i niby niechcący wzięli Mużę na muszkę. Na widok pistoletu strach nagle Mużę opuścił. Dlatego że w końcu gorzej byłoby zostać przy życiu, ale bez aspirantury i z ujemną opinią z miejsca pracy. O pierwszej w nocy Iwanowicze pozwolili jej odejść i przemyśleć sprawę do wtorku, do tego właśnie wtorku dwudziestego siódmego grudnia - każąc jej przedtem złożyć podpis na zobowiązaniu do milczenia.

Zapewniali ją, że im jest wszystko wiadome i że jeżeli komukolwiek ośmieli się opowiedzieć o tym spotkaniu, to na podstawie własnego podpisu zostanie natychmiast aresztowana i skazana.

Jakie przekłete fatum kazało im wybrać właśnie ją?... Teraz czekała na wtorek jak na rzeź, nie mając sił do nauki - i wspominała tylko te dni, tak niedawne, kiedy mogła myśleć wyłącznie o swoim Turgieniewie, kiedy nic jej nie gnębiło, a ona, głupia, nie pojmowała nawet, jakie to szczęście.

Oleńka przysłuchiwała się z uśmiechem, raz nawet parsknęła i zakrztusiła się wodą. Aczkolwiek z opóźnieniem, zawinionym przez wojnę, mając już dwadzieścia osiem lat, Oleńka była wreszcie szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa, gotowa wszystkim wszystko wybaczyć, bo niech każdy stara się być szczęśliwym, jak potrafi. Miała swego ukochanego, też aspiranta, i dziś wieczorem miał on przyjść i zabrać ją ze sobą.

- A ja powiadam: wy, Hiszpanie, tak wysoko cenicie cześć ludzką, a przecież - skoro pocałował mnie pan w usta - to jestem już zbezczeszczona!

Na powabnej, chociaż kanciastej twarzy Ludy malowała się rozpacz gwałconej dziewczicy.

Chudziutka Erzsika przez cały ten czas czytała na leżąco „Pisma wybrane” Gałachowa. Książka ta odsłaniała jej cały świat wzniosłych, promiennych postaci, jasny i piękny świat, gdzie tak łatwo dawało się przewyciężyć każde cierpienie. Bohaterów Gałachowa nie nękały nigdy najmniejsze wątpliwości - czy służyć ojczyźnie, czy nie służyć, poświęcać się, czy nie poświęcać. Głębia i jednolitość charakteru tych ludzi budziły w Erzsice podziw. Jeszcze nie widziała tutaj takich ludzi, zapewne za przyczyną słabej

znajomości języka i obyczajów kraju, ale tym bardziej warto było czytać książki, aby dzięki nim poznać takie postacie.

Ale przekręciwszy się na bok odłożyła na chwilę książkę i zaczęła także przysłuchiwać się słowom Ludy. Tutaj, w pokoju 318, poznała już wiele sprzecznych i paradoksalnych zjawisk: to jakiś inżynier wymawiał się przed wyjazdem na wspaniałą syberyjską budowę, wolał zostać w Moskwie i handlować piwem; to znów ktoś obronił rozprawę doktorską, ale nie dostał pracy. (Erzsika szeroko otwierała oczy: „bo to w Związku Sowieckim w ogóle są bezrobotni?”). To znów, żeby dostać moskiewski meldunek, ktoś podobno musiał komuś dobrze posmarować łapę. „Ale to przecież zjawisko momentalne?” (Chciała powiedzieć - chwilowe).

Luda kończyła opowieść o poecie deklamacją - że już teraz nie ma wyjścia, że jeżeli wyjdzie za niego za mąż, to już będzie musiała w jakiś prawdopodobny sposób wykazać, że jednak była dziewicą. I rozpoczęła zwierzać się, jakie mianowicie sposoby zamierza zastosować w noc poślubną.

Żmijka cierpienia przemknęła po czole Muzy. Nietaktem byłoby otwarcie zatkać sobie palcami uszy. Niby przypadkiem obróciła się więc w stronę swego łóżka. Oleńka zawołała ze śmiechem:

- Więc te wszystkie książkowe heroiny niepotrzebnie kajały się i zabijały, żeby tylko nie obrazić swoich narzeczonych?

- A bo idiotki! - wesoło odparła jej Luda. - A to takie proste!

Ale Luda miała jeszcze zasadnicze wątpliwości, czy wydać się za poetę:

- Nie jest członkiem Związku Pisarzy, pisze tylko po hiszpańsku i jak tam będzie w przyszłości z honorariami - po-ję-cia nie-mam!

Erzsika była tak zdumiona, że aż opuściła nogi na podłogę.

- Jak to? - zapytała. - Więc ty... w Związku Sowieckim też wychodzi się za mąż dla p i e n i ę d z y?

- Jak przywykniesz, to zrozumiesz - Luda potrząsnęła głową przed lusterkiem. Wszystkie papiloty już były zdjęte i mnóstwo bardzo jasnych loczków sprężyste drgało na jej głowie. Jednego takiego loczka było dosyć, żeby wziąć na arkan młodego poetę.

- Dziewczynki, ja ciągnę taki wniosek... - zaczęła Erzsika, ale spostrzegła, że Muza dziwnie jakoś patrzy w dół na podłogę, krzyknęła więc i szybko podciągnęła nogi na pościel.

- Co? Przeleciał? - zawołała krzywiąc twarz z odrazą.

Dziewczęta roześmiały się. Nic nie przeleciało. Tu, w trzysta osiemnastce, czasem nawet za dnia, a w nocy to już zupełnie beczelnie tupocząc łapami i popiskując biegały sobie okropne rosyjskie szczury. W ciągu wszystkich lat swojej podziemnej walki z reżimem Horthy'ego Erzsika niczego tak się nie bała, jak teraz tego, że szczur wskoczy na jej łóżko i będzie po niej biegać. We dnie, kiedy koleżanki śmiały się, strach jakoś mijał, ale po nocach Erzsika zawijała się w kołdrę ze wszystkich stron, chowała pod nią głowę i przysięgała sobie, że jeżeli dożyje do rana, to ucieknie ze Stromynki. Nadia z chemii przynosiła truciznę, rozkładały ją po kątach, szczury cichły na jakiś czas, a potem znów robiły swoje.

I Przed dwoma tygodniami wahania Erzsiki skończyły się; nie kto inny, tylko właśnie ona nabierając rano wody z wiadra wyłowiła kubkiem utopionego szczurka. Trzęsąc się z obrzydzenia, wciąż mając przed oczyma jego ostry, pełen skupienia i spokoju pyszczek, Erzsika tegoż dnia pobiegła do węgierskiej ambasady, prosząc, aby umieszczono ją w prywatnym mieszkaniu. Ambasada zwróciła się do ministerstwa spraw zagranicznych ZSSR, ministerstwo spraw zagranicznych do ministerstwa szkolnictwa wyższego, ministerstwo szkolnictwa wyższego do rektora uniwersytetu, rektor do swojego wydziału administracyjno-gospodarczego, wydział zaś odparł, że prywatnych mieszkań chwilowo nie ma, skarga zaś na szczury rzekomo występujące na Stromynce jest pierwszym zażaleniem tego rodzaju. Korespondencja potoczyła się w odwrotnym kierunku tą samą drogą. Ambasada obiecała mimo wszystko Erzsice, że jakiś pokoik dostanie.

Teraz Erzsika siedziała z kolanami pod brodą w swoim brazylijskim szlafroku i wyglądała jak egzotyczny ptaszek.

- Ach, dziewczęta - mówiła żalnym i śpiewnym głosem. - Tak mi się podobacie. Wcale bym od was nie odeszła, jakby nie szczury.

To była prawda i nieprawda zarazem. Dziewczęta jej się podobały, ale żadnej z nich Erzsika nie mogłaby opowiedzieć o swoich obawach ani o węgierskiej samotności na kontynencie. Po procesie Laszlo Rajka działo się u niej w kraju coś tajemniczego. Chodziły wieści, że już aresztowani są komuniści, z którymi razem była w konspiracji. Siostrzeńca Rajka, który również uczył się na uniwersytecie moskiewskim - a z nim razem innych węgierskich studentów, odwołano na Węgry i nikt z nich więcej nie przysyłał listów.

Do zamkniętych drzwi ktoś zapukał w umówiony sposób („nie chować żelazka, swój!”). Muza wstała i przypadając na nogę (kolano ją bolało, już dokuczał reumatyzm) podniosła haczyk. Szybko wkroczyła Dasza - twarda dziewczyna z dużymi, lekko

skrzywionymi ustami.

- Oj, dziewczuchy! - zanosiła się śmiechem, ale nie zapomniała zamknąć za sobą haczyka. - Ledwie odczepiłam się od kawalera! I to od kogo? Zgadnijcie!

- Taki urodzaj na kawalerów? - zdziwiła się Luda grzebiąc w swojej walizce.

Istotnie, uniwersytet budził się po wojnie jak z omdlenia. Mężczyzn było bardzo mało i wszyscy jacyś niewydarzeni.

- Chwileczkę! - włączając się do gry Oleńka podniosła rękę i patrzyła na Daszę wzrokiem hipnotyzera (żelazko postawiła sztorcem). - Żuchwa?

„Żuchwą” nazywano aspiranta, który trzy razy z rzędu ściał się na egzaminie z materializmu historycznego i dialektycznego, po czym - jako beznadziejny bałwan - został wydalony z aspirantury.

- Bufetowy! - zawołała Dasza, ściągnęła czapkę z nausznikami z mocno związanych, ciemnych włosów i powiesiła ją na kołku. Wciąż stała jeszcze przy drzwiach w taniutkim swoim paletku z barankowym kołnierzem, kupionym na talon przed trzema laty w uniwersyteckiej spółdzielni.

- Ach, ten??!

- Jadę tramwajem, a tu on wchodzi - śmiała się Dasza. - Od razu mnie poznał. „Do jakiego przystanku?” Co było robić, wysiedliśmy razem. „Już pani teraz nie pracuje w tej łaźni? Tyle razy tam chodziłem - a pani nie ma i nie ma”.

- Powinnaś była... - śmiech z Daszy przeszedł na Oleńkę i objął ją całą jak ogień. - Powinnaś była... powiedzieć... powinnaś!... - ale w żaden sposób nie mogła powiedzieć, o co jej chodzi, i upadła na łóżko zanosząc się śmiechem, nie mnąc jednak rozłożonego tam kostiumu.

- Jaki bufetowy? Jaka łaźnia? - wciąż pytała Erzsika.

- Powinnaś była powiedzieć!... - siliła się mówić Oleńka, ale wciąż nowe ataki śmiechu aż nią trzęsły. Wyciągnęła ręce i ruchami palców próbowała wyrazić to, co nie przechodziło jej przez gardło.

Zaśmiała się Luda, a nawet nie pojmująca niczego Erzsika. Surowa, nieładna twarz Muzy złagodniała w uśmiechu. Zdjęła okulary i przetarła je.

- Dokąd to pani idzie? Kogo tu pani, powiada, ma, w studenckim miasteczku? - chichotała i dławiała się śmiechem Dasza. - A ja powiadam... dozorczynię mam znajomą!... rękawiczki mi... na drutach... robi!...

- Ręka?wiczki?...

- Na drutach!!!...

- Ale ja też chcę wiedzieć! Ale jaki bufetowy? - nie mogła się doprosić Erzsika.

Oleńkę trzeba było dobrze klepnąć po plecach. Jakoś się uspokoiła. Dasza zdjęła palto. Nosiła obcisły szary sweterek, najzwyczajszą spódnicę ściągniętą mocno paskiem i widać było, jak jest giętka, dobrze zbudowana, zdolna do ciężkiej pracy choćby przez cały dzień. Odrzuciła kolorową kapę i ostrożnie usiadła na skraju swego łóżka, zasłanego z nabożną prawie starannością - poduszka była specjalnie wzbita, tak samo jasiek z koronkową narzutką, na ścianie wisiały haftowane serwetki. I powiedziała do Erzsiki:

- To było jeszcze jesienią, jak było ciepło, przed twoim przyjazdem... No, gdzie tu znaleźć faceta? Przez kogo się zapoznać? Ludka mi poradziła - żeby iść do Sokolnickiego parku, ale koniecznie samej. Dziewczyny wszystko sobie psują przez ten zwyczaj chodzenia we dwie.

- Jak kogo złapać, to tylko tak - odezwała się Luda. Starła się ostrożnie zetrzeć plamkę z trzewika.

- No więc poszłam - kontynuowała Dasza, ale już nie tak wesołym tonem. - Spaceruję, czasem sobie siadę, na drzewa sobie popatrzę. I rzeczywiście, prawie zaraz przysiadł się jakiś jeden, nawet z wyglądu niczego. Kto zacz? Okazuje się - bufetowy, pracuje w lokalu. A pani gdzie?... Tak się jakoś spieszyłam, nie powiem mu przecież, że aspirantka i w ogóle, uczona baba - to postrach dla mężczyzny...

- No, tego już nie mów! Tak to można dojść diabli wiedzą do czego - przerwała jej raptem Oleńka niechętnym tonem.

W tym świecie, tak zdziesiątkowanym i tak spustoszone, z którego ledwo wypchnięto żelazne cielsko wojny, w którym ziały tylko czarne jamki tam, gdzie powinni byli śmiechem i ruchem dawać o sobie znać rówieśnicy albo ludzie starsi o pięć, o dziesięć, o piętnaście lat - te grubiańskie, nie wiadomo przez kogo wymyślane, bezsensowne słowa „uczona baba” nie powinny były przecież zatrząskiwac okna przed tym jasnym, ostrym promieniem, co im jednak przecież został, co im dźwięczał, co je wzywał.

- ... więc powiedziałam, że pracuję w łaźni jako kasjerka. No i przyczepił się - w jakiej łaźni, na jakiej zmianie. Ledwie uciekłam...

Niedawne ożywienie zupełnie opuściło Daszę. Jej ciemne oczy patrzyły żalostliwie.

Przez cały dzień siedziała nad książkami w Bibliotece Leninowskiej, później zjadła

skąpy i niesmaczny obiad w stołówce i wracała do domu w ponurym nastroju, mając przed sobą pusty wieczór niedzielny, który niczego jej nie obiecywał.

Niegdyś, jeszcze w średnich klasach obszernej, drewnianej szkoły w ich siole, Dasza lubiła uczyć się i dostawać dobre stopnie. Później rada była, że przyjęcie do instytutu pozwoliło jej otrzymać dowód osobisty i zameldować się w mieście. Ale teraz już nie była taka młoda, uczyła się przez osiemnaście lat z rzędu i uprzykrzyło jej się to wkuwanie do bólu głowy - a po co to się uczyć? Najprostsza babska radość - to urodzić dziecko, a tu nie ma z kim go mieć i nie ma dla kogo.

I kiwając się w zadumie Dasza wśród ogólnego milczenia powtórzyła ulubione swoje powiedzonko:

- Nie, dziewczuchy, życie nie jest romanssem...

Przy ośrodku maszyn rolniczych w ich wsi pracuje pewien agronom. Pisuje do Daszy. Bardzo się naprasza. Ale Dasza lada chwila zostanie doktorem nauk i cała wieś powie: no to po co się dziewczucha uczyła? Wyszła za agronoma! To potrafi być brygadzistka z kolchozu... Z drugiej jednak strony Dasza czuła, że doktor nauk będzie z niej podrabiany, zacukany, trwożliwy, a praca na uniwersytecie stanie się nieznośnym ciężarem, nie do udźwignięcia; że nawet jako doktor nauk nie ośmieli się i nie potrafi wznieść na swobodne, wyżynne obszary wiedzy.

Wchodzące w świat nauki kobiety były przez całe życie chwalone a chwalone; tak je opiewano, tyle im obiecywano - więc tym bardziej bolało teraz tryknięcie łbem w nieustępliwą bryłę.

I zerknąwszy zawistnie na pełną nonszalancji i lekkości sąsiadkę, Dasza powiedziała:

- Ludka! Umyj lepiej nogi, radzę ci.

Ludka odwróciła głowę:

- Myślisz?

Niezupełnie przekonana, wydobyła z ukrycia elektryczną kuchenkę i przyłączyła ją do „złodziejki”.

Dasza, zawsze energiczna, chciała odegnać troski jakakolwiek robotą. Przypomniała sobie, że właśnie kupiła coś z bielizny, ale innego rozmiaru, bo trzeba było brać, póki sprzedawano. Teraz wyjęła toto i zabrała się do szycia.

Wszystkie ucichły, tylko stół skrzypiał od ruchów żelazka i można było wreszcie włączyć się w treść listu. Ale nie, nie wychodził jak należy! Muza przeczytała jeszcze raz

ostatnie zdania, zmieniła jakieś słowo, poprawiła kilka niewyraźnych liter... Nie, list był nieudany! Był w nim fałsz i mama z tatką od razu to wyczują. Zrozumieją, że córeczce jest źle, że stało się coś złego - ale czemu to Muza nie napisze im po prostu? Dlaczego - pierwszy raz w życiu - nie mówi im prawdy?...

Gdyby była teraz w pokoju sama, to jęknęłaby głośno. Ryknęłaby sobie na cały głos - i może by jej wtedy zrobiło się źle. A tak mogła tylko odłożyć pióro i podeprzeć głowę rękoma, chowając twarz przed wszystkimi. Więc tak właśnie to się odbywa! Chwila wyboru, chwila decydująca o całym życiu, a nie ma się kogo poradzić! Nikt ci nie pomoże, człowieku! Toć podpisałeś zobowiązanie do milczenia! A we wtorek znowu trzeba będzie stanąć przed tymi dwoma, tak pewnymi siebie, mającymi na podorędziu tyle gotowych słów, gotowych formuł. Jakież miłe było życie jeszcze przedwczoraj. Ale teraz wszystko stracone. Bo przecież tamci nie ustąpią! Ale ty też nie ustąpisz, bo przecież jak można inaczej wypowiadać się na temat pierwiastków hamletycznych i donkiszockich w człowieku - i cały czas mieć w pamięci, że jesteś donosicielką, że masz swój pseudonim - Rumianek albo nawet Aza i że zobowiązałaś się zbierać materiały o tych dziewczętach tutaj albo o swoim profesorze?...

Muza otarła ukradkiem łzy z przymkniętych oczu.

- A gdzie Nadia? - spytała Dasza.

Żadna się nie odezwała. Żadna nie wiedziała.

Ale Dasza przy tym szyciu miała chęć pogadać właśnie o Nadii. Mówiła więc dalej:

- Jak myślicie, dziewczęta, jak długo można? No, zginął człowiek bez wieści. No, piąty rok po wojnie mija. No, można by już chyba zrobić koniec, co?

- Ach, co ty gadasz! Co ty gadasz! - zawołała Muza z męką i podniosła w górę ręce. Szerokie rękawy jej szarej kraciastej sukni opadły do łokci, ukazując białe, miękkie ramiona. - Tylko to jest miłość! Prawdziwa miłość sięga aż za grób!

Soczyste, trochę odęte wargi Oleńki skrzywiły się odrobinę:

- Aż za grób? To jakiś transcendentalizm, moja Muzo. Wdzięczna pamięć, czułe wspomnienia - ale miłość?

- A właśnie, jeśli człowieka w ogóle nie ma - to jak go kochać? - powiedziała Dasza.

- Słowo daję, ja bym jej sama przysłała zawiadomienie o śmierci, gdybym tylko mogła: że zabity, zabity, zabity i że już leży w ziemi! - powiedziała Oleńka z żalem. - Przeklęta wojna, pięć lat minęło - a wciąż czujemy, jak na nas dyszy.

- Podczas wojny - wtrąciła się Erzsika - bardzo dużo zapędziło się daleko, za ocean, może on tam jest, jeszcze żywy.

- No, to się może zdarzyć - zgodziła się Ola. - Wolno jej mieć nadzieję. Ale tak w ogóle... Nadia należy do tych kobiet, które lubią napawać się własnym nieszczęściem. Jedynie własnym. Bez jakiegoś nieszczęścia chyba by im w życiu czegoś było brak.

Dasza przerwała szycie czekając, aż inne się wypowiedzą, i powolutku wodziła ostrzem igły po szwie, jakby to ostrze toczyła. Wiedziała, jak zelektryzuje wszystkie to, co miała zamiar powiedzieć za chwilę.

- Słuchajcie więc, dziewczęta - powiedziała znacząco. - Nadia nam wszystkim głowę kręci, ona kłamie. Wcale nie myśli, że jej mąż nie żyje, i wcale nie czeka, aż się znajdzie tam, gdzie zginął bez wieści. Ona po prostu wie, że jej mąż żyje. I nawet wie, gdzie jest.

Dziewczęta były poruszone:

- Skądś to wzięła?

Dasza patrzyła na nie zwycięskim wzrokiem. Już dawno zadziwiająca spostrzegawczość zjednała jej w pokoju przezwisko „pani detektyw”.

- Po prostu trzeba umieć słuchać. Czy chociaż raz mówiła o nim jak o nieboszczyku? Nie. Stara się nawet nie mówić o nim, że „był”, tylko tak jakoś bez „był” i bez „jest”. No, a jeżeli zginął bez wieści, to przecież mogłaby chociaż razik pomówić o nim jak o umarłym.

- No więc co się z nim stało?

- Jak to! - krzyknęła Dasza odrzucając na bok szycie. - Czy to jeszcze nie jasne?

Nie, to nie było dla nich jasne.

- On żyje, ale ją porzucił! I jej wstyd do tego się przyznać! Poniżenie! Rozumiecie? I wymyśla, że „bez wieści”.

- W to mogę uwierzyć! Mogę uwierzyć! - przyłączyła się Luda, chlupiąc wodą za zasłonką.

- To znaczy, że ona poświęca się w imię jego szczęścia - zawołała Muza. - Widocznie musi mieć jakąś przyczynę, że milczy i nie wychodzi za mąż!

- Więc na co jeszcze czeka? - nie mogła zrozumieć Oleńka.

- Wszystko się zgadza, brawo Daszka! - Luda wyskoczyła zza zasłonki bez szlafroka, w samej halce, gołonoga, przez co wydawała się jeszcze smuklejsza i wyższa. - Rąbnęło ją, więc wymyśliła sobie taką pozę, że będzie święta, że będzie wierna umarłemu. Diabła tam ona się poświęca, cała drży, żeby tylko ktoś ją przytulił, ale nikt jej nie chce! Zdarza się, że

idziesz sobie po ulicy, a każdy się ogląda, bez wyjątku, a ona, choćby nie wiem jak prosiła - nikogo sobie nie znajdzie!

I wróciła za zasłonkę.

- A do niej Szczagow chodzi - powiedziała Erzsika, z trudem wymawiając „szcz”.

- Chodzi - to jeszcze nic nie znaczy! - z pewnością siebie odparła niewidzialna Ludka.

- Trzeba, żeby połąknał przynętę!

- Jaką przynętę? - Erzsika nic nie rozumiała.

Zaśmiały się.

- Nie, spójrzcie na to z innej strony - Dasza uparcie wracała do swej koncepcji. - Może ona jeszcze ma nadzieję odbić tamtej swego męża z powrotem?

Rozległo się umówione pukanie - „nie chować żelazka, swój”.

Wszystkie zamilkły. Dasza podniosła haczyk.

Weszła Nadia - powłócząc nogami, z twarzą obwisłą, wydłużoną, postarzałą, tak jakby chciała potwierdzić słuszność wszystkich drwin Ludy. Dziwne, nie przywitała się z nikim, nawet najbardziej zdawkowo, nie powiedziała „cześć” ani „no, co nowego, dziewczęta?”. Odwiesiła płaszcz i podeszła do swojego łóżka.

Erzsika czytała. Muza znowu ukryła twarz w dłoniach. Oleńka doszywała różowe guziki do swojej kremowej bluzki.

Nikt nie wiedział, jak zacząć rozmowę. Chcąc przerwać wreszcie niezręczną ciszę, Dasza zaciągnęła śpiewnie, jakby kończąc jakąś wymianę zdań:

- Tak, kochane, życie nie jest romanssem...

50

Po widzeniu Nadia miała chęć na jedno: stykać się wyłącznie z takimi samymi nieszczęsnymi jak ona i mówić tylko o tych, co siedzą za kratą. Pojechała z Lefortowa na drugi koniec miasta, na Krasną Presnię, aby przekazać żonie Sołogdina trzy magiczne słowa jej męża.

Ale nie zastała jej w domu (niełatwo było ją zastać, skoro wszystko, co miała zrobić dla siebie i syna w ciągu tygodnia - mogła wykonać tylko w niedzielę). Zostawić dla niej kartkę u sąsiadów też nie bardzo było można: z opowiadań Niny Sołogdinej Nadia wiedziała (zresztą łatwo mogła to sobie wyobrazić) - że sąsiedzi odnoszą się do niej wrogo i szpiegują każdy jej krok.

Nadia wbiegła na strome ciemne schody ożywiona, z góry ciesząc się na rozmowę z

miłą istotą tak samo nieszczęśliwą i tak samo to ukrywającą - schodziła zaś na dół nie zmartwiona nawet, tylko rozbita. I podobnie jak na papierze fotograficznym, zanurzone w bezbarwnym, obojętnym na oko wywoływaczu zaczynają wkrótce wykwić już dawno na nim odbite, ale niewidzialne dotąd kontury - tak samo w duszy Nadii po nieudanej wizycie u Niny Sołogdinej jęły panoszyć się wszystkie te mroczne myśli i złe przeczucia, które zaległy się jeszcze w czasie widzenia, lecz nie od razu dały znać o sobie.

Powiedział jej: „nie dziw się, jeżeli mnie stąd dokądś wywiozą, jeżeli nie będzie listów”... Więc może wyjechać stąd!... I nawet te widzenia raz na rok, nawet to się skończy!?!... I co ona wtedy zrobi?...

I coś tam mówił o górnym biegu Angary...

I jeszcze to - czy aby nie zaczął wierzyć w Boga?... Powiedział przecież coś takiego... Więzienie wypaczy go duchowo, skłoni do mistyki, do idealizmu, nauczy pokory. Charakter mu się zmieni i kiedy wróci, będzie zupełnie, ale to zupełnie innym, obcym człowiekiem...

Ale najgorsze, że mówił jakby z groźbą: „nie łącz zbyt dużych nadziei z końcem mojego wyroku”, „termin - to tylko umowność”. Na widzeniu Nadia zawołała: nie wierzę! To niemożliwe! Ale godzina za godziną mijały. Cała we władzy tych myśli znów przecięła miasto od przedmieścia do przedmieścia, od Krasnej Presni do Sokolników i teraz te myśli nie dały się już odpędzić, kąsały ją wciąż i nie było przed nimi obrony.

Jeżeli ta kara nie ma się nigdy skończyć - to na co jeszcze czekać? Czy to sprawiedliwe: zrobić ze swego życia jakiś dodatek do życia męża? Poświęcić dar własnego jestestwa, czekając na coś, czego nie ma?

Dobrze chociaż, że tam u nich nie ma kobiet!...

Czuła, że w ich dzisiejszym spotkaniu było jakieś niedopowiedzenie, coś, czego nie rozumiała, coś nie do naprawienia...

Do stołówki na Stromyńce też w końcu się spóźniła. Brakowało jeszcze tego drobnego niepowodzenia, aby dopełnić miary. Zaraz przypomniała sobie, że przed dwoma dniami wyszła z tramwaju tylnym wyjściem. Dziesięć rubli teraz to spore pieniądze, sto rubli sprzed wymiany.

Na Stromyńce zaczął już prószyć rzeński śnieg. Chłopiec w nasuniętym na oczy kaszkiecie stał na ulicy i sprzedawał papierosy „Kazbek” na sztuki. Nadia podeszła i kupiła dwa papierosy.

- A zapalki? - zapytała sama siebie głośno.

- Ma tu ciocia zapałki! - powiedział chłopczyk ochoczo i podał jej pudełko. - Ogień gratis!

Nie zastanawiając się, jak to wygląda z boku, Nadia zaraz na ulicy zapaliła papierosa drugą z rzędu zapałką. Zatlił się krzywo, z jednego boku. Oddała dziecku pudełko i nie wchodząc do sieni akademika zaczęła z wolna przechadzać się przed wejściem. Palenie nie stało się jeszcze dla niej nałogiem, ale nie był to pierwszy papieros. Gorący dym ranił gardło i budził wstręt - ale też ból w sercu jakby cichł od tego.

Nadia wypaliła papierosa do połowy, odrzuciła go i poszła na górę do trzystu osiemnastki.

Z odrazą ominęła rozgrzebane łóżko Ludy i ciężko siadła na własnym, marząc tylko o tym, żeby jej teraz nikt o nic nie pytał.

Usiadła - i na poziomie jej oczu znalazły się od razu cztery fascykuły leżące na stole - cztery egzemplarze jej pracy doktorskiej, przepisane już na maszynie. I Nadia zaraz przypomniała sobie całą długą mitręgę z tą rozprawą - robienie rysunków i fotokopii, pierwszą przeróbkę, drugą. Pracę zwrócono jej właśnie z nakazem przerobienia po raz trzeci. Znowu sobie uprzytomniła, że praca jest opóźniona i że nie ma na to żadnego legalnego usprawiedliwienia. Od razu też przypomniała sobie ten tajny spectemat, jedyny, który mógł dać jej teraz zarobek i trochę spokoju. Ale na drodze stała tu straszna ośmiostronicowa ankieta, którą trzeba było złożyć w dziale kadr przed wtorkiem.

Napisać całą prawdę - to znaczyło zostać jeszcze przed końcem tygodnia wypędzoną z uniwersytetu, z akademika, z Moskwy.

Albo - z punktu rozwód...

Już się na to zdecydowała.

Ale była to gorzka decyzja, a sam sposób też był przewrotny i pogmatwany.

Erzsika pościeliła łóżko, jak umiała (nie bardzo jeszcze jej się to udawało, całe życie ścieliła jej łóżko, prała i prasowała gosposia), uszmiłkowała przed lustrem nie usta, lecz policzki i poszła do Biblioteki Leninowskiej.

Muza próbowała czytać, ale szło jej jak po grudzie.

Zauważyła mroczny, ołowiany bezruch, w jakim trwała Nadia, i zerkała na nią niespokojnie, nie ośmielając się jednak jej zagabnąć.

- Aha! - przypomniała sobie Dasza. - Słyszałam dzisiaj, że w tym roku dadzą podwójny zasiłek na zakup książek.

Oleńka drgnęła:

- Żartujesz?!

- Dziewczęta dowiedziały się od samego dziekana.

- Czekaj no, ile to będzie? - na twarzy Oleńki malowała się radość właściwa tylko ludziom niechciwym i nie przyzwyczajonym do pieniędzy. - Trzysta i trzysta - to sześćset, siedemdziesiąt i siedemdziesiąt - to sto czterdzieści, pięć plus pięć... ho, ho! - zawołała i klasnęła w dłonie. - Siedemset pięćdziesiąt!! To rozumiem!

I zanuciła. Miała przyjemny głosik.

- Teraz kupisz sobie pełnego Sołowiowa!

- Jeszcze czego - prychnęła Oleńka. - Zamiast tego lepiej uszyć granatową sukienkę z krepzorzety, wyobrazasz sobie? - Ola uniosła skraj spódnicy koniuszkami palców. - Z podwójnymi falbanami?!

Oleńka niewiele jeszcze miała w majątku. Dopiero całkiem niedawno, w ostatnim roku znów zaczęła tym się interesować. Matka jej chorowała bardzo długo i umarła przed dwoma laty. Od tej chwili Oleńka nie miała już zupełnie nikogo. Zawiadomienia o śmierci ojca i brata nadeszły do nich z frontu w ciągu jednego i tego samego tygodnia czterdziestego drugiego roku. Matka rozchorowała się wtedy ciężko, Oleńka musiała wystąpić z pierwszego roku historii, przepuścić dwa semestry, a później wstąpić od nowa na zaoczny.

Nic z tego nie było poznać teraz po jej dwudziestosześcioletniej, krągłej, małej twarzyczce. Dlatego drażnił ją teraz ten wyraz skamieniałego cierpienia, z jakim siedziała naprzeciw niej Nadia, przytłaczając tym wszystkich.

Ola spytała więc:

- Co ci jest, kochanie? Kiedy wychodziłaś rano, byłaś dużo weselsza. Słowa były niby współczujące, ale w podtekście miały rozdrażnienie. Tajemnicze jakieś półtony zawsze zdradzają nasze prawdziwe intencje.

Nadia nie tylko wyczuła zniecierpliwienie w głosie sąsiadki. Widziała jeszcze nadto, jak tuż przed jej oczyma Oleńka stroiła się, jak przyszpiliła broszkę - rubinowy kwiatek - do klapy żakiecika, jak się perfumowała.

Te perfumy, spowijające Olę niewidzialnym obłoczkiem radości, drażniły jej nozdrza swędem niepowetowanej straty.

Nie zmieniając wyrazu twarzy i wymawiając słowa jakby z wielkim trudem, Nadia odparła:

- Przeszkadzam ci? Psuję ci nastrój?

Patrzyły teraz sobie w oczy nad stołem zawalonym rozprawami. Oleńka wyprostowała się, zacięła usta, jej bródka nabrała twardych konturów.

- Widzisz, Nadiu - powiedziała Oleńka dobitnie. - Nie chciałabym cię obrazić. Ale, jak mawiał nasz wspólny przyjaciel Arystoteles, człowiek jest zwierzęciem towarzyskim. Wolno nam siać radość wśród ludzi, natomiast wprawiać ich w przygnębienie - nie godzi się nam.

Nadia siedziała zgarbiona, w pozie omal starczej.

- A ty nie potrafisz zrozumieć - powiedziała cicho, zupełnie zgaszonym głosem - jak ciężko może być człowiekowi na duszy?

- Znakomicie potrafię zrozumieć! Ciężko ci, chętnie wierzę. Ale nie wolno wmawiać w siebie, że tylko ty jedna cierpisz na tym świecie. Być może inni musieli cierpieć znacznie więcej niż ty. Pomyśl chwilę.

Nie postawiła kropki nad „i”, ale - niby dlaczego jeden zaginiony bez wieści, który jest przecież do zastąpienia, bo mąż jest zawsze do zastąpienia - ma znaczyć więcej od zabitego ojca i zabitego brata, i zmarłej matki, skoro przecież natura nie dała nam sposobu, aby ich zastąpić kimkolwiek?

Powiedziała swoje i jeszcze powstała chwilę, wyprostowana, surowo patrząc na Nadię.

Nadia doskonale rozumiała, że Ola mówi o własnych nieszczęściach. Rozumiała - ale nie przejęła się. Dlatego, że taki na to miała pogląd: każda śmierć jest nie do naprawienia, ale jest w końcu wydarzeniem jednorazowym. Wstrząsa człowiekiem, ale raz tylko. Później zaś niedostrzegalnymi kroczkami, pomalutku odchodzi w świat zdarzeń minionych. I człowiek stopniowo wyzwala się spod władzy nieszczęścia. Przyszpila sobie rubinową broszkę, perfumuje się człowiek i biegnie na randkę.

Nieszczęście zaś Nadii jest niezbywalne - trwa wciąż wokół niej, nie da się odrzucić, jest treścią przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. I nie można wyrwać się z jego klów, cokolwiek by człowiek czynił, jakkolwiek by się miotał.

Ale żeby odpowiedzieć jak należy, trzeba byłoby wyznać wszystko. Sekret był zbyt niebezpieczny.

I Nadia poddała się, ustąpiła, zadała sobie samej kłam, wskazała palcem na maszynopis rozprawy:

- No już, nie gniewajcie się, dziewczęta, nie mam już sił. Skąd je brać do tych wszystkich przeróbek? Jak długo tak można?

Skoro wyjaśniło się, że Nadia wcale nie uważa swojego nieszczęścia za większe od innych, Oleńka od razu spuściła z tonu i powiedziała zgodliwie:

- Ach, masz powyrzucać cudzoziemców? Nie ty jedna przecież, co ty ręce załamujesz?

Powyrzucać cudzoziemców - to oznaczało wszędzie w tekście zamienić zwroty takie, jak „Laue dowiódł” na „uczonym udało się wykazać” albo „jak przekonująco wykazał już Langmuir” na „jak to zostało dowiedzione”, jeżeli zaś jakiś nie tylko Rosjanin, ale nawet Niemiec czy Duńczyk, byle pracujący w Rosji - wykazał się choćby najmniejszą zasługą - należało koniecznie wymienić jego nazwisko ze wszystkimi dodatkami, podkreślić jego bezkompromisowy patriotyzm oraz nieśmiertelne osiągnięcia naukowe.

-

Co tam cudzoziemcy, już dawno wyrzuciłam. Teraz kazali wyrzucić profesora Bałandina...

- Naszego, sowieckiego?

- ... i całą jego teorię. A przecież na niej wszystko u mnie się trzyma. Tymczasem okazało się, że on... że jego...

I oto do tej samej przepaści, do tego samego Hadesu, gdzie dręczył się w okowach mąż Nadii - stoczył się niespodzianie także profesor Bałandin.

- No, nie można wszystkiego tak brać sobie do serca! - nalegała Oleńka. Miała też czym się pochwalić: - A ta moja historia z Azerbejdżanem?...

Nie było żadnych widomych powodów, aby ta dziewczyna ze środkowej Rosji miała zająć się iranistyką. Gdy wstępowała na wydział historii, nic podobnego jej się nie marzyło. Ale jej młody (i żonaty) promotor, u którego pisała rozprawkę na temat Rusi Kijowskiej, zaczął się za nią uganiać i nalegał, aby po dyplomie zabrała się do specjalizacji z dziejów tejże Rusi Kijowskiej. Oleńka w panice przerzuciła się na włoskie Odrodzenie, ale Włoski Renesans też nie był staruszkim i gdy tyDco mógł zostać z nią sam na sam, poczynął sobie w duchu Renesansu. Zrozpaczona Oleńka wyprosiła sobie wreszcie przeniesienie na seminarium starego profesora iranisty, zaczęła pisać pod jego kierunkiem rozprawę doktorską i już by ją spokojnie zakończyła, gdyby na stronie gazet nie wypłynął nagle problem irańskiego Azerbejdżanu. Ponieważ Oleńka nie podkreśliła w swojej pracy odwiecznej skłonności tej prowincji do zjednoczenia się z Azerbejdżanem, obecnie radzieckim, jako że ubrdało jej się, iż prowincja ciążyła raczej ku Iranowi - więc zwrócono jej rozprawę z żądaniem poprawek.

- Powinnaś dziękować, że każą ci robić te poprawki jeszcze zawczasu. Bywają gorsze rzeczy. O, Muza nam opowiedziała...

Ale Muza już nie słuchała. Na swoje szczęście zdołała jednak zatopić się w lekturze i teraz wszystko dookoła niej przestało istnieć.

- ... na wydziale literatury jedna taka miała pracę doktorską o Zweigu, przed czterema laty, już dawno ma docenturę. I nagle wykryli, że w jej rozprawie trzykrotnie mówi się, iż „Zweig jest kosmopolitą”, ale że autorka ten fakt pochwała. Więc wezwano ją do Komisji Naczelnej i odebrano dyplom. Okropność!

- No wiesz, Nadia! Jesteś na chemii i jeszcze narzekasz?! - wtrąciła się Dasza. - Co mamy robić my, na ekonomii politycznej? Kłaść rękę w sam ogień? Ale nic, jakoś się żyje. Chwała Bogu, pomógł pan Stuzajła-Olabyszkin.

Rzeczywiście, wszyscy wiedzieli, że Dasza dostała już trzeci z kolei temat rozprawy. Pierwszy dotyczył „Problemów żywienia zbiorowego w epoce socjalizmu”. Temat ten, zupełnie jasny jeszcze dwadzieścia lat temu, kiedy każdy pionier, w tej liczbie również Dasza, wiedział doskonale, że kuchnie rodzinne wkrótce już poznikają, że ogniska domowe wygasną i że wyzwolone z tej pańszczyzny kobiety pobierać będą śniadania i obiady w kuchniach-fabrykach - otóż temat ten z upływem lat stał się nader mglisty, a nawet niebezpieczny. Jak na dłoni widać było, że jeżeli ktoś jeszcze jadał w stołówce, na przykład sama Dasza, to jedynie z przeklętego musu. Kwitły za to najbujniej dwie inne formy żywienia zbiorowego: restauracje, ale tu niezbyt jasno dawały się wyodrębnić socjalistyczne zasady żywienia - oraz najnędrniejsze knajpy, handlujące w zasadzie tylko wódką. W teorii dalej bytowały kuchnie-fabryki, jako że Wielki Koryfeusz w ciągu tych dwudziestu lat nie znalazł okazji, aby wypowiedzieć się o problemach żywienia. Dlatego też ryzyko jakiegokolwiek własnej myśli było tu ogromne. Dasza namęczyła się jak się patrzy i promotor wreszcie zmienił jej temat, ale nowy też wziął przez lenistwo myślowe z tego samego spisu: „Handel przedmiotami użytku codziennego w epoce socjalistycznej”. Tu także materiału było niewiele. Chociaż we wszystkich przemówieniach i dyrektywach powtarzano, że towary użytku codziennego mogą, a nawet powinny być wyrabiane i sprzedawane - ale w praktyce towary te, w porównaniu ze stalą walcowaną czy z taką ropą naftową, zaczynały mieć jakiś naganny charakter. I czy przemysł lekki będzie się coraz wspanialej rozwijać, czy też coraz szybciej zanikać - tego wcale nie wiedziała rada naukowa, która temat zdążyła odrzucić zawczasu. I tu oto przyjaciele pomogli radą i Dasza wyblagała wreszcie dla siebie

temacik: „Stuzajła-Olabyszkin, przedstawiciel rosyjskiej ekonomii politycznej dziewiętnastego wieku”.

- Czyś ty bodaj znalazła gdzieś portret tego twojego dobroczyńcy? - ze śmiechem spytała Oleńka.

- A właśnie, nigdzie nie mogę znaleźć!

- Z twojej strony to czarna niewdzięczność! - Oleńka usiłowała teraz rozweselić jakoś Nadię, ale w istocie dzieliła się tylko tym ożywieniem, jakie opanowało ją przed randką. - Ja bym już znalazła i powiesiłabym nad łóżkiem. Doskonale go sobie wyobrażam: bardzo dostojny piernik, ziemianin z niezaspokojonymi ambicjami kulturalnymi. Po obfitym śniadanku siadał sobie w luźnym szlafroku przy oknie na tej swojej głuchej prowincji, jak we dworze państwa Łarinów, tych z „Oniegina”, gdzie nikt nic nie wiedział o burzach historii - i patrząc, jak dziewczka Pałasza karmi prosięta, snuł rozmyślenia:

... O tym, jak państwo się bogaci i z czego żyje, tudzież jak Rozkwita, choć mu złota brak... *

* Aleksander Puszkina, „Eugeniusz Oniegin”, przeł. Julian Tuwim.

- Ach, cacany! A wieczorkiem - ucinął sobie roberka!... - Oleńka zaniósła się śmiechem.

Luda tymczasem wdziała już swoją błękitną suknię, odsłoniwszy tym samym nie zasłane łóżko (Nadia wzdrygała się aż, zerkając z widoczną przykrością w stronę tej rozbebeszonej pościeli). Teraz stała przed lustrem i z początku odświeżyła tusz na brwiach i rzęsach, a później nadzwyczaj starannie ukarmino-wała sobie wargi w kształt serduszka.

- Zwróćcie jednak uwagę, kochane - odezwała się nagle Muza, tak jak tylko ona potrafiła, z taką naturalnością, jakby wszystkie czekały tylko na jej opinię. - Czym różnią się bohaterowie rosyjskiej literatury od zachodnioeuropejskich? Najulubieńsi bohaterowie zachodnich pisarzy zawsze walczą o karierę, sławę, pieniądze. A rosyjski bohater nie je, nie pije, tylko szuka sprawiedliwości i dobra. Może tak nie jest?

I znów pogрузyła się w lekturze.

- Przecież ci światło potrzebne, dlaczego nic nie mówisz - uzaliła się nadjiią Dasza i zapaliła lampę.

Luda już wzięła boty i sięgnęła po płaszcz. Ale Nadia ostrym gestem wskazała na jej łóżko i powiedziała z odrazą:

- Ty znowu każesz nam sprzątać po sobie tę obrzydliwość?

- Ależ bardzo proszę, nie sprzątaj! - wybuchnęła Luda i oczy jej się zapaliły. - I żebyś nie śmiała nawet tykać mojej pościeli!! - podniosła głos aż do krzyku. - I nie praw mi morałów!!

- Powinnaś to rozumieć sama! - z kolei Nadia straciła panowanie nad sobą, rwało się z niej na zewnątrz wszystko, czego nie mogła wypowiedzieć. - Ty nas obrażasz!... Może my tu mamy coś innego na głowie niż te twoje wieczorne rozrywki?

- Zazdrosna? Brak amatorów?

Jedna i druga miały twarze wykrzywione, odpychające, jak to kobiety w gniewie. Oleńka otworzyła już usta, żeby też osadzić Ludę, ale w tych „wieczornych rozrywkach” wyczuła obraźliwą aluzję.

- Nie ma czego zazdrościć! - głucho krzyknęła Nadia łamiącym się głosem.

- Jeżeli pomyliłaś się - krzyczała Luda coraz donośniej, czując, że jest górą - i zamiast do klasztoru poszłaś na aspiranturę, to siedź cicho w kącie i nie baw się w teściową. Dosyc tego! Stara panna!

- Ludka! Jak śmiesz! - krzyknęła Dasza.

- A co ona tutaj nos wtyka?... Stara panna! Stara panna! Pechowa idiotka!

Muza też się ocknęła i wymachując groźnie przed nosem Ludy swoją książką, też jęła wykrzykiwać:

- Kołtuneria! Rozpanoszona kołtuneria!

Cała piątka krzyczała, żadna nie chciała słuchać, co wołają inne, ani znać cudzych racji.

Z tętniącą głową, nic już nie pojmując, wstydząc się swojego wybuchu i niezdolna do ukrycia łkań - Nadia, jak stała, w tych najlepszych swoich rzeczach, które wkładała na widzenie, rzuciła się na łóżko i przykryła sobie głowę poduszką.

Luda zaś upudrowała się na nowo, rozrzuciła zręcznie na kołnierzu popielicowego futerka jasne loki, opuściła na oczy woalkę i nie ścieląc łóżka, tylko narzuciwszy na nie koc w trybie ustępstwa - wyszła z pokoju.

Mówiły coś do Nadii, ale ani drgnęła. Dasza zdjęła jej pantofle i owinęła nogi brzegiem kołdry.

Później ktoś zapukał, Oleńka wyfrunęła na korytarz, wróciła w mig, wsunęła wijące się kosmyki pod czapeczkę, szybko wdziała peliszkę z żółtym kołnierzem i odmienionym krokiem ruszyła w stronę drzwi.

(Szła tak, bo radość, ale też - bo walka...) Trzystaosiemnastka posłała więc w świat swoje dwie pięknie ubrane i wdzięczne zalotnice.

Ale razem z nimi podziało się gdzieś ożywienie i śmiech, w pokoju zrobiło się teraz jeszcze smutniej.

Wielkie miasto, ta Moskwa, a nie było dokąd iść...

Muza już nie czytała, zdjęła okulary i ukryła twarz w dużych dłoniach.

Dasza powiedziała:

- Głupia ta Olga! Przecież poigra sobie z nią i puści kantem. Słyszałam, że ma gdzieś kogoś innego. Podobno nawet z dzieckiem.

Muza podniosła twarz:

- Ale Ola niczym nie jest przecież związana. Jeżeli okaże się, że to ktoś taki, to może go przecież zostawić.

- Jak to, nie związana! - krzywo uśmiechnęła się Dasza. - Jaki ci jeszcze związek potrzebny, jeżeli...

- No, ty zawsze wszystko wiesz! No skąd ty właściwie możesz wiedzieć? - oburzyła się Muza.

- Ale co tu jest do gadania, jeżeli ona zostaje u nich na noc?

- O! To nic! To niczego jeszcze nie dowodzi! - sprzeciwiała się Muza.

- Zresztą teraz tylko w ten sposób. Inaczej chłopca nie utrzymasz.

Dziewczęta zamilkły, każda trzymała się swego.

Śnieg za oknem padał coraz gęściej. Już robiło się ciemno. Cicho bulgotała woda w kaloryferze pod oknem.

Było coś nie do zniesienia w myśli, że przez cały niedzielny wieczór trzeba będzie zdychać w tej norze.

Dasza myślała o wzgardzonym przez siebie bufetowym, mężczyźnie zdrowym i silnym. Dlaczego właściwie musiała go odepchnąć? No, niechby ją w tych ciemnościach zaprowadził do jakiegoś klubu przedmiejskiego, gdzie nikt z uniwersytetu nie zagląda. Niechby tam pomacał ją, choć pod jakimś płotem.

- Muzka, chodźmy do kina, błagam cię! - powiedziała Dasza.

- A co grają?

- „Indyjski grobowiec”.

- Ale to przecież szmira! Zwyczajna szmira!

- Ale niedaleko, w sąsiednim korpusie!

Muza nie odpowiedziała.

- No, przecież tak nudno!

- Nie pójdę - powiedziała Muza. - Znajdź sobie jakąś robotę.

I nagle elektryczność przygasła - w żarówce widać było tylko żarzący się mętnie purpurowy drucik.

- Jeszcze tego brakowało! - jęknęła Dasza. - Faza wysiadła. Można się p8wiesić.

Muza siedziała jak kamienna figura. Nadia na łóżku ani drgnęła.

- Muzka, chodźmy do kina!

Rozległo się pukanie do drzwi.

Dasza wyjrzała i zaraz wróciła:

- Nadia! Przyszedł Szczagow. Wstaniesz?

51

Nadia długo łkała i gryzła skraj kołdry, żeby się uspokoić. Całą twarz miała słoną i mokrą. Nasunięta na głowę poduszka głużyła wszystkie dźwięki.

Rada byłaby wybiec z tego pokoju dokądś, wrócić aż późną nocą. Ale nie miała dokąd iść w tym wielkim mieście, w Moskwie.

To nie pierwszy już raz kłuto ją tutaj w akademiku takimi słowami: Świekra! Zręda! Zakonnica! Stara panna! Najbardziej bolało, że wszystkie te epitety były takie niesprawiedliwe. Jakaż ona była dawniej wesoła!

Ale czy to łatwo przez pięć lat tak udawać - wciąż nosić maskę, od której twarz cierpnie i wydłuża się, głos staje się szorstki, a myśli - bezwzględne? Może naprawdę stała się już nieznośną starą panną?

Tak trudno zobaczyć siebie samą. W akademiku, gdzie nie można już tupnąć nóżką na mamę, jak to w domu bywało, w akademiku, wśród takich samych dziewczyn zaczyna człowiek dopiero widzieć w sobie złe strony.

Oprócz Gleba już nikt a nikt nie potrafi jej zrozumieć...

Ale Gleb też nie może jej zrozumieć...

Nie dał jej żadnej rady - co ma robić, jak ma żyć.

Tylko tyle powiedział - że wyrok wcale się nie skończy...

Pod szybkimi, umiejętnie wymierzanymi ciosami mężowskich słów oberwało się w niej i zapadło wszystko to, czym codziennie podnosiła się na duchu, czym podtrzymywała w

sobie wiarę, zdolność do czekania, całą swoją nieprzystępność dla innych.

Kara ma nie mieć końca!

Więc to znaczy, że ona jest mu już niepotrzebna... I to znaczy, że tylko sama siebie gubi...

Leżała dalej na brzuchu. Otwartymi, znieruchomiałymi oczyma wpatrywała się przez szparkę między poduszką a kołdrą w kawałek ściany - i nie mogła zrozumieć, nie starała się nawet zrozumieć, skąd się teraz bierze światło. Zdawało się, że jest już bardzo ciemno, mimo to rozróżniała na znajomej, olejno malowanej ścianie pęcherzyki po niezręcznych maźnięciach pędzla.

I nagle przez poduszkę Nadia usłyszała szczególne, drobne, gęste postukiwanie w sklejkę, którą pokryte były drzwi. I jeszcze zanim Dasza zapytała: „Nadia! Przyszedł Szczagow. Wstaniesz?” - Nadia już zdążyła zrzucić poduszkę z głowy, zeskoczyła na podłogę w samych pończochach, poprawiła przekreconą spódnicę, czesała włosy grzebieniem i jednocześnie szukała stopami pantofli.

W martwym i mętnym blasku półprzygasłej żarówki Muza zobaczyła ten jej pośpiech i wzdrygnęła się.

Dasza zaś rzuciła się do łóżka Ludy, szybko utkała je kocem i zebrała na kupę porozrzucane szmatki.

Wpuściły gościa do pokoju.

Szczagow wszedł w swoim starym, frontowym szynelu narzuconym na plecy. Był wysoki. Miał w sobie jeszcze wojskowy dryl: mógł się pochylić, ale garbić się nie mógł. Jego ruchy były skąpe, przemyślane.

- Powitać szanowne panie - powiedział z żartobliwą łaskawością. - Przyszedłem dowiedzieć się, jak wy tu sobie radzicie bez światła, chcę nauczyć się samemu. Zdechnąć można, takie nudy!

(Co za ulga! - w żółtym półmroku nie widać, że oczy spuchnięte są od płaczu).

- Więc gdyby nie te ciemności, toby pan nie przyszedł? - odpowiedziała mu Dasza, wpadając w ten sam ton.

- A w żadnym wypadku. W pełnym świetle kobiece twarze tracą czar, widać na nich ślady złośliwych min, zawistnych spojrzeń (mógł kto pomyśleć, że on był tu niedawno), przedwczesne zmarszczki, nadmiar szminki. Gdybym był kobietą, to wywalczyłbym takie prawo, żeby lampy paliły się tylko na pół fazy. Wtedy każda prędko by za męża wyszła.

Dasza spojrzała na Szczagowa surowo. Zawsze mówił w ten sposób. Nie podobało jej się to. Jakież frazesy. Dopatrywała się w nim nieszczerości.

- Można usiąść?

- Prosimy bardzo - odparła Nadia spokojnym głosem gospodyni, w którym nie było śladu niedawnej goryczy, łez ani zmęczenia.

Jej natomiast podobał się jego powściągliwy sposób bycia, niespieszna mowa, niski, twardy głos. Z całej jego postaci bił spokój. I jego żarty też były raczej miłe.

- Drugi raz przecież nie poproszą, surowe tu niewiasty. Siadam więc czym prędzej. A więc, co tu się dzieje u panien doktorantek?

Nadia milczała. Nie mogła właściwie dużo z nim mówić, bo posprzeczali się onegdaj i Nadia - ni stąd, ni z owąd, z tym rodzajem intymności, której wcale między nimi nie było - uderzyła go wtedy tęczką po grzbiecie i uciekła. Było to głupie, dziecinne, i teraz obecność innych dziewcząt sprawiała jej ulgę.

Odpowiedziała Dasza.

- Wybieramy się do kina. Jeszcze tylko nie wiemy z kim.

- A jaki film?

- „Indyjski grobowiec”.

- Ooo, idźcie koniecznie. Jak mawiała pewna pielęgniarka „dużo strzelania, dużo trupów i w ogóle wspaniały film!”

Szczagow siedział w niedbałej pozie przy ogólnym stole:

- Ale za pozwoleniem, szanowne moje panny, myślałem, że zastanę tu bal, a tymczasem trafiłem na mszę żałobną. Może jakaś różnica zdań z rodzicami? A może tak was przygnębiła ostatnia uchwała egzekutywy? Ale do aspirantów to się chyba nie odnosi.

- Jaka uchwała? - półgębkiem zapytała Nadia.

- Uchwała w kwestii sprawdzenia przy pomocy delegatów naszego środowiska, wszystkiego, co dotyczy pochodzenia społecznego studentów; czy na przykład podali prawdziwe dane co do rodziców. Tu otwierają się szerokie możliwości - być może ktoś przed kimś się zwierzył albo mówił przez sen, a może ktoś przeczytał cudzy list, no i te rzeczy...

(Znowu będą grzebać, znowu węszyć! O, jak to się już uprzykrzyło! Dokąd się wyrwać?...) - Co, panno Muzo? Pani niczego nie ukryła?

- Jakie to niskie! - zawołała Muza.

- No, wcale was nie bawi? W takim razie może opowiedzieć wam szalenie zabawną

historię o tajnym głosowaniu wczoraj na radzie wydziałowej... ?

Szczagow mówił do wszystkich, ale zerkał tylko na Nadię. Dawno już zastanawiał się, czy Nadia chce czegoś od niego. Każde nowe zdarzenie coraz jaśniej dawało mu to do zrozumienia.

... To przystawała sobie obok stolika w klubie, kiedy Szczagow grał z kimś w szachy, i sama chciała zagrać albo prosiła, żeby nauczył ją szachowych otwarć.

(Boże mój, ale przecież szachy to tylko dla zabicia czasu!) To zapraszała go na koncert, w którym miała brać udział.

(Ależ to takie naturalne! - człowiek zawsze chce, żeby jego grę pochwalił ktoś znajomy!) To pewnego dnia okazało się, że ma „przypadkiem” dwa bilety do kina i zaprosiła właśnie jego.

(Ach, po prostu zachciało jej się niewinnej iluzji, żeby nareszcie pokazać się gdzieś z kimś. Oprzeć się na czyimś ramieniu.) To w dniu jego urodzin podarowała mu notesik - ale jakoś tak niezręcznie wetknęła mu go w kieszeń i zaraz chciała uciekać - co za pomysły? Dlaczego właściwie uciekać?

(Ach, przez kontuzję, po prostu chwila konfuzji!) On wtedy dopędził ją w korytarzu i zaczął się mocować, chcąc niby zwrócić podarunek, objął ją przy tym - ona zaś nie od razu zaczęła się wyrywać, pozwoliła przytrzymać się chwilę.

(Tyle już lat nic podobnego z nią się nie zdarzało, że aż jej ścierpły ręce i nogi.) A teraz ten figiel z teczką?

Jak z każdą inną, jak z każdą inną - tak samo z Nadią Szczagow był kamiennie powściągliwy. Wiedział, jak wciągają człowieka wszystkie te sprawy z babami i jak trudno z nich się potem wywikłać. Ale może to jest wołanie samotnej kobiety o pomoc? Któż jest tak opanowany, aby odmówić? Taki sztywny?

Teraz także Szczagow wyszedł ze swojego pokoju i poszedł do trzystaosiemnas-tki - nie tylko przekonany, że zostanie tam na pewno Nadię, ale zaczynając już czuć niepokój, że coś może zająć między nimi.

... Historia z głosowaniem wzbudziła trochę śmiechu, ale tylko z grzeczności.

- No, to co z tym światłem, będzie czy nie? - nawet Muza straciła już cierpliwość.

- Ale coś mi się zdaje, że moje opowieści wcale was tu nie bawią. Zwłaszcza Nadieżdy Iljinczy. O ile mogę w tych ciemnościach ocenić, jest ponura jak chmura gradowa. Wiem nawet, dlaczego. Przedwczoraj wlepili jej karę, dziesięć rubli - i przez te

dziesięć rubli tak się dręczy, szkoda jej pieniędzy.

Zaledwie Szczagow wypowiedział ten żart, Nadię jakby coś podrzuciło na krzesło. Porwała swoją torebkę, szarpnęła zamek, wyciągnęła coś na chybił trafił, potargała histerycznymi ruchami i cisnęła strzępy na stół, pod nos Szczagowowi.

- Muza, ostatni raz - idziesz czy nie? - bolesnym tonem krzyknęła Dasza chwytając swój paltocik.

- Idę! - głucho odpowiedziała Muza i zdecydowanym krokiem podeszła do wieszaka.

Szczagow i Nadia nie obejrzeliby się za wychodzącymi.

Ale kiedy drzwi zamknęły się za dziewczętami - Nadii zrobiło się trochę straszno.

Szczagow podniósł potargane strzępki do oczu. Były to szeleszczące kawałki jeszcze jednej dziesięciorublowki...

Szczagow podniósł się (płaszcz opadł na oparcie krzesła), ominął etażerkę i podszedł do Nadii zatrzymując się między jej łóżkiem a stołem „do rozpraw”; był o wiele od niej wyższy. Ujął jej małe ręce w swoje wielkie dłonie.

- Nadia! - po raz pierwszy nazwał ją po prostu po imieniu.

Nadia stała bez ruchu, czując, że słabnie i że serce jej bije. Wzburzenie, z jakim podarła dziesięciorublowkę, minęło tak samo szybko, jak przyszło. Dziwna myśl strzeliła jej do głowy - że żaden nadzorca nie nachyla teraz nad nimi swojego byczego łba. Że mogą tutaj mówić, o czym tylko zechcą. I że sami zadecydują, kiedy się pożegnać.

Widziała bardzo blisko jego twarde i proste rysy; dostrzegła teraz, że prawa i lewa połowa tej twarzy niczym nie różnią się od siebie.

Puścił jej dłonie i musnął palcami jej łokcie, jedwab bluzki.

- Nadia! - jeszcze raz powiedział bardzo cicho.

- Proszę puścić!... - powiedziała Nadia głosem pełnym znużenia i żalu.

- Jak mam panią zrozumieć? - zapytał wędrując palcami po bluzce od łokci do barków.

- Co zrozumieć? - spytała niewyraźnie.

Ale nie starała się go odsunąć!...

Wówczas ścisnął dłońmi jej ramiona i przyciągnął ją.

Tylko żółty półmrok nie pozwalał zobaczyć, jak jej krew uderzyła do twarzy.

Wparła mu dłonie w pierś i odepchnęła się od niego.

- Jak pan mógł pomyśleć?...

- A licho wie, co w ogóle o pani myśleć! - wymamrotał Szczagow ze złością, puścił ją

i podszedł do okna.

Woda w kaloryferze bulgotała cicho. Nadia poprawiła włosy drżącymi rękoma. Zapalił papierosa, palce mu drżały.

- Czy - pani - wie - zapytał, oddzielając wyrazy - jak się - pali - suche - siano?

- Wiem - powiedziała zobojętniałym głosem. - Ogień do samego nieba, a później kupka popiołu.

- Do samego nieba! - potwierdził.

- Kupka popiołu - powtórzyła.

- Więc proszę powiedzieć, dlaczego pani rzuca i rzuca, i rzuca zapalki w to suche siano?

(A bo to ona rzucała?... Ależ jak mógł jej nie zrozumieć?... No, po prostu człowiek chce się czasem podobać, choć na chwilę. No, chce chociaż przez chwilę poczuć, że nie jest gorsza od innych, że nie przestała błyszczeć.) - Wyjdźmy stąd! Dokądkolwiek! - zażądała.

- Nigdzie stąd nie pójdziemy. Zostaniemy tu.

Wrócił teraz do swojego spokojnego sposobu palenia; zaciskał ustnik władczyimi wargami trochę z boku i to podobało się Nadii.

- Nie, bardzo proszę, chodźmy dokąds! - nalegała.

- Tu albo nigdzie - przerwał jej bezwzględny tonem. - I muszę uprzedzić: ja mam narzeczoną.

52

Nadię ze Szczagowem zbliżała do siebie ta okoliczność, że oboje nie pochodzili z Moskwy. Miejscowi koledzy, których Nadia spotykała w gronie doktorantów i w laboratoriach, nosili w sobie truciznę nie istniejącej wyższości, tego „moskiewskiego patriotyzmu”, jak go sami nazywali. Niezależnie od swoich postępów w studiach Nadia uchodziła wśród nich za niższą istotę.

Musiało to mieć swój wpływ na jej stosunek do Szczagowa, który też był prowincjuszem, ale przebijał się przez to środowisko tak, jak łamacz lodów niedbale rozcina dziobem ciepłą wodę. Pewnego razu w czytelni jakiś młodzieńcki kandydat nauk, próbując w jej obecności poniżyć Szczagowa, obrócił ku niemu głowę lekceważącym, węzowym ruchem i zapytał:

- A towarzysz właściwie... z jakiej miejscowości?

Szczagow spojrział na rozmówcę z góry i odpowiedział z leniwym współczuciem,

kiwając się lekko w tył i w przód:

- Wy tych okolic nie znacie. Ja jestem z miejscowości frontowej. Ze wsi okopowej.

Dawno wiadomo, że substancja życiowa wy sycą naszą biografię z nie wszędzie jednakową gęstością. Każdy ma w swoim życiu szczególną epokę, w której jego cechy przejawiały się najpełniej, kiedy jego uczucia osiągnęły największą głębię, a sam on zarysował się najwyraziściej we własnych i cudzych oczach. I choćby nawet później przytrafiło się człowiekowi coś zewnętrznemu nawet ważnego - wszystko to już jest tylko krokiem na drodze w dół; rozpamiętujemy, odgrywamy wciąż na nowo, śpiewamy w innej tonacji, przeżywamy z nowym wzruszeniem to, co niegdyś raz tylko dźwięczało nam w duszy. Dla jednych taką epoką bywa dzieciństwo. Zostają oni na całe życie w głębi duszy dziećmi. Dla innych - pierwsza miłość, i właśnie tacy ludzie rozpowszechniają legendę, że kochać można tylko raz. Dla jeszcze innych taką erą był okres ich największego bogactwa, znaczenia, władzy - ci znowu bezzębnymi już dziąsłami międlą wciąż te same opowieści o minionej swojej wielkości. Dla Nierżyna taką epoką stało się więzienie. Dla Szczagowa - front.

Szczagow zaznał na wojnie i skwaru, i mrozu. Wzięli go do wojska w pierwszym miesiącu wojny. Puścili do cywila dopiero w czterdziestym szóstym. i w ciągu całych czterech lat wojny rzadko zdarzał mu się dzień, kiedy rano mógł sobie powiedzieć, że dożyje wieczora; nie służył w wysokich sztabach, a na tyłach bywał tylko w szpitalu. Cofał się w czterdziestym pierwszym spod Kijowa, a w czterdziestym drugim - znad Donu. Choć wojna miała na ogół biorąc coraz lepszy przebieg, jednak musiał się wycofywać jeszcze w czterdziestym trzecim i nawet w czterdziestym czwartym, spod Kowla. W przydrożnych rowach, w mokrych okopach i wśród ruin popalonych domów poznawał cenę menażki zupy, godziny spokoju, a także sens prawdziwej przyjaźni, sens życia w ogóle.

Te wspomnienia kapitana saperów Szczagowa nie mogły się zabiżnić nawet w ciągu dziesięcioleci. Nie uznawał jeszcze żadnego innego podziału ludzi, jak tylko na żołnierzy i całą resztę. Nawet na moskiewskich ulicach, które już nic nie pamiętały, dalej uważał, że tylko słowo „żołnierz” jest rękojmią ludzkiej rzetelności i życzliwości. Doświadczenie nauczyło go niedowierzania tym, którzy nie przeszli przez próbę ognia na froncie.

Po wojnie okazało się, że cała rodzina Szczagowa zginęła, a domek, gdzie mieszkali bliscy, został zdmuchnięty przez bombę. Całym majątkiem Szczagowa było to, co miał na sobie i w zdobycznej walizce przywiezionej z Niemiec. Co prawda, aby złagodzić

zdemobilizowanym oficerom całe to przejście do cywila, płacono im jeszcze przez dwanaście miesięcy pensję zależną od rangi, gażę za nic.

Jak wielu frontowych żołnierzy, Szczagow po powrocie z wojny nie poznał kraju, którego bronił przez cztery lata: rozwiały się gdzieś ostatnie kłęby różowej mgły równości, której wspomnienie zachowało się wśród młodzieży. Kraj stał się bezwzględny, wyzuty z sumienia, otwarły się przepaście między ledwie żywą nędzą, a bezczelnie pieniącym się bogactwem. Frontowcy, którym udało się wrócić, zdawali się przez krótki czas lepszymi, niż byli idąc na wojnę; wrócili oczyszczeni przez bliskość śmierci i tym bardziej uderzały ich zmiany, wybujałe gdzieś na dalekim zapleczu.

Ci niedawni żołnierze wszyscy tu teraz byli, chodzili po ulicach, jeździli metrem, ale byli poprzebierani i już się wzajemnie nie poznawali. I nie wiadomo dlaczego, uznawali za obowiązujące nie swoje frontowe zasady, tylko te, które tu zastali.

Warto było ścisnąć głowę dłońmi i zastanowić się: o cośmy się właściwie bili? To pytanie zadawał sobie niejedyn - i szybko szedł za kraty.

Szczagow o nic nikogo nie pytał. Nie należał do tych niespokojnych natur, które wszędzie i zawsze szukają sprawiedliwości powszechnej. Zrozumiał, że świat toczy się swoim torem, że zatrzymać tego biegu nie sposób - można tylko wskoczyć na stopień, albo i nie wskoczyć. Było jasne, że teraz dygnitarska córka już przez sam fakt swojego pochodzenia ma w perspektywie jedwabne życie i że nie pójdzie pracować do fabryki. Nie można było sobie wyobrazić, żeby zdymisjonowany sekretarz rejkomu zgodził się stanąć przy warsztacie. Normy w fabrykach wykonują nie ci, co je wymyślili, tak samo, jak do ataku idą nie ci, co wydali rozkaz atakowania.

Nie było w tym właściwie nic nowego dla naszej planety, mogło być to coś nowego tylko dla kraju rewolucji. Ale szczególną krzywdą było to, że nie uznawano prawa zdobytego przez kapitana Szczagowa podczas opętanej jego służby, prawa udziału w życiu, które on właśnie wywalczył. Prawa tego powinien był teraz dochodzić po raz wtóry - w walce bez krwi, bez wystrzałów, bez granatów - musiał zatwierdzać je w buchalterii i opatrywać urzędowym stemplem.

I jeszcze się przy tym uśmiechać.

Szczagow tak spieszył się na front w czterdziestym pierwszym, że nie zatroszczył się o absolutorium po piątym roku ani o dyplom. Teraz, po wojnie, musiał nadrobić te braki i starać się o tytuł doktora nauk. Specjalizował się w mechanice teoretycznej i jeszcze przed

wojną zamyślał pracować w tej dziedzinie naukowo. Wtedy było łatwiej. Po wojnie zaś został świadkiem nagłego i powszechnego wybuchu zainteresowań czysto naukowych, w każdej dziedzinie, mniejsza w jakiej - od chwili podwyżki gaż.

Cóż, nastawił się na jeszcze jedną dłuższą kampanię. Niemieckie łupy z walizki stopniowo upłynniał na bazarze. Wcale nie zwracał uwagi na zmienną męską modę, żadnych tam garniturów i kamaszy, donaszał demonstracyjnie to, w czym go zdemobilizowano: buty z cholewami, bryczesy z diagonalu, bluza z angielskiej wełny khaki z czterema baretkami orderowymi i dwiema naszywkami za frontowe rany. Ale właśnie ten zachowany szyk frontowy zbliżał Szczagowa w oczach Nadii do takiego samego frontowca, kapitana Nierżyna.

Bezbronna wobec niepowodzeń i zniewag, Nadia czuła się jak mała dziewczynka w kontakcie z dobrze opancerzoną mądrością życiową Szczagowa i pytała go o rady. (Ale również przed nim z takim samym uporem kłamała, że Gleb zaginął na froncie bez wieści).

Nadia sama nawet nie zauważyła, jak i kiedy wciągnęła ją ta gra - „przypadkowy” bilet do kina, zartobliwa bójka z powodu notesika. A dzisiaj, zaledwie Szczagow wszedł do pokoju i jął przekomarzać się z Daszą - Nadia od razu zrozumiała, że przyszedł do niej, po nią i że nieuchronnie coś między nimi zajdzie.

I chociaż dopiero co tak gorzko opłakiwała rozbite swoje życie - teraz, gdy podarła czerwońca, poczuła się jak w nowej skórze, napięta, gotowa do nowych przeżyć.

I serce jej nie czuło w tym żadnej sprzeczności.

Szczagow zaś, powściągnąwszy podniecenie wywołane przez krótkie z nią zapasy, znowu wrócił do swojego opanowanego sposobu bycia.

Teraz dał tej dziewczynie jasno już do zrozumienia, że nie może liczyć na niego jako na przyszłego męża.

Usłyszawszy, co miał jej do powiedzenia o narzeczonej, Nadia utykającym krokiem podeszła do okna, stanęła koło Szczagowa i w milczeniu zaczęła wodzić palcem po szybie.

Było mu jej żal. Miał ochotę przerwać milczenie i całkiem zwyczajnie, z dawno zapomnianą szczerością wyjaśnić sprawę: biedna aspirantka bez stosunków i bez perspektyw - cóż mogłaby mu dać? On zaś ma słuszne prawo do swojego kawałka placka (zdobyłby go może w inny sposób, gdyby talenty nie były u nas trzebione w połowie drogi). Miał też ochotę zwierzyć się jej: chociaż jego narzeczonea żyje bez trosk i na cudzy rachunek, to jednak nie bardzo ją to zepsuło. Mieszka w pięknych apartamentach, w niesłychanie

przyzwoitym, niedostępnym dla byle kogo domu, gdzie bywają tylko ludzie z wyższego kręgu. W sieni portier, na schodach - chodniki, gdzie jeszcze teraz tego szukać? I, co najważniejsze, wszystkie zajęcia można ubić tym jednym strzałem. Czy można wymyślić coś lepszego?

Ale tylko pomyślał o tym wszystkim, nie powiedział nic.

Nadia zaś tuląc skroń do szyby i patrząc w ciemność za oknem powiedziała markotnie:

- No i dobra. Pan ma narzeczoną. A ja mam męża.

Szczagow odwrócił się ku niej, zaskoczony:

- Zaginął bez wieści?

- Nie, nie zaginął - powiedziała Nadia prawie szeptem.

(Co za lekkomyślność!...) - Ma pani nadzieję, że on żyje?

- Ja go widziałam... dzisiaj...

(Zdradziła się przed nim, ale niech nie uważa jej za dziewczyninę wieszającą mu się na szyi!) Szczagow nie musiał długo namyślać się nad tym, co usłyszał. Nie zakładał na kobiecy sposób, że Nadia jest porzucona. Wiedział, że „zaginiony bez wieści” prawie zawsze oznacza displaced person - i że taka persona, jeżeli tylko wracała do kraju, to najczęściej za kratki.

Podszedł do Nadii i ujął ją za łokieć:

- Gleb?

- Tak - szepnęła prawie bezdźwięcznie.

- Co z nim? Siedzi?

- Siedzi.

- Ba-ba-ba! - powiedział Szczagow jakby z ulgą. Namyślał się chwilę i szybko wyszedł z pokoju.

Wstyd i beznadzieja tak ogłuszyły Nadię, że nie dosłyszała nowego tonu w głosie Szczagowa.

Uciekł? A niech tam. Dobrze, że powiedziała wszystko. Była teraz znów sam na sam z uczciwym swoim brzemieniem.

Drucik w lampie ledwie się tlił, nic się nie zmieniło.

Wlokąc za sobą nogi jak z ołowiu, Nadia przecięła cały pokój, wygrzebała z kieszeni palta drugiego papierosa, z trudem sięgnęła po zapalki i zapaliła. Ohydna tytoniowa gorycz

sprawiła jej dziwną przyjemność.

Przechodząc obok jednego z krzeseł, zobaczyła zwisający z niego bezkształtnie płaszcz Szczagowa.

Ale też wybiegł z pokoju! Tak się przestraszył, że aż zapomniał o płaszczu.

Było bardzo cicho, ale z sąsiedniego pokoju, gdzie było radio, dobiegała... tak... dobiegała... etiuda f-mol Lista.

Ach! Ona też ją przecież kiedyś grywała w młodości - ale czy zrozumiała ją wtedy?... To palce tylko grały, a dusza nie odzywała się echem na dźwięk tego słowa - disperato - rozpaczliwie...

Opierając czoło o środkową szybę, Nadia wparła rozłożone dłonie w dwa boczne, zimne szkła.

Stała tak, jak ukrzyżowana na czarnej okiennej kratownicy.

Miał człowiek w życiu jeden maleńki, ciepły punkcik - i już go nie ma.

Zresztą po kilku chwilach pogodziła się z tą stratą. Znowu była żoną swojego Gleba.

Patrzyła w ciemność, starając się odgadnąć kontury komina więzienia Matros-skaja Tiszyna. Disperato! Rozpaczliwie! Ta bezsilna rozpacz, podrywająca się z klęczek i znów waląca się na ziemię! To uparte, wysokie cis - ten zapamiętały kobiecy krzyk! krzyk! krzyk nie znajdujący wyjścia!...

Rząd latarni uchodził gdzieś w czarne mroki przyszłości, której wcale nie chciało się dożyć...

Godzinę podano zaraz po finale etiudy - była szósta wieczór.

Nadia całkiem już zapomniała o Szczagowie, gdy ten znów się pojawił bez pukania.

Miał w ręku dwie szklaneczki i butelkę.

- No, żołnierska żono! - powiedział z szorstką werwą. - Nie rozklejaj się. Masz tu szklanekę. Póki łeb jeszcze na karku, można mieć nadzieję. Pijemy - za zmartwychpowstanie!

TOM DRUGI

53

W niedzielę od szóstej wieczór nawet w szaraszce zaczynała się kompletna przerwa w pracy aż do następnego ranka. Nie sposób było uniknąć tej przykrej pauzy, ponieważ w niedziele frajerzy dyżurowali tylko na jednej zmianie. Była to szkaradna tradycja, której jednak w żaden sposób nie mogli zwalczyć tutejsi majorowie i podpułkownicy, ponieważ im samym też nie chciało się poświęcać niedzielnych wieczorów na pracę. Tylko Mamurin - Żelazna Maska lękał się tych pustych wieczorów, kiedy wolnych pracowników nie było, kiedy zapędzano do gmachu i trzymano pod kluczem wszystkich zeków, którzy mimo wszystko też byli w pewnym sensie ludźmi - i kiedy mógł tylko samotnie krążyć pustymi korytarzami instytutu obok zalakowanych, zaplombowanych drzwi bądź też nudzić się w swojej pustelni, między umywalką, szafą a łóżkiem. Mamurin próbował doprowadzić do tego, by Siódemka pracowała również w niedzielne wieczory, ale nie mógł przełamać konserwatyizmu dyrekcji specwięzienia, która nie miała ochoty na przepisowe podwojenie liczby wart wewnątrz żony.

W ten oto sposób przeszło dwustu osiemdziesięciu więźniów - wbrew wszelkim wymogom rozsądku i regulaminom pracy więziennej - w niedzielne wieczory beczelnie sobie wypoczywało.

Wypoczynek ten miał taki charakter, że mógłby jakiemuś profanowi wydać się diabelską torturą. Ciemności panujące na zewnątrz i specjalna, niedzielna czujność nie pozwalały dyrekcji więzienia zarządzić w tych godzinach przechadzki po spacerniku ani seansu filmowego w szopie. Po rocznej korespondencji z wszelkimi możliwymi wysokimi instancjami zapadło także postanowienie, że obecność instrumentów muzycznych typu „harmonia”, „gitara”, „bałałajka” i „organki ustne”, a tym bardziej jakichś większych - również jest w szaraszce niedopuszczalna, ponieważ ich głośnie akordy mogłyby ułatwić zadanie sprawcom ewentualnych podkopów w kamiennych fundamentach (oficerowie operacyjni nieustannie sprawdzali przez swoich konfidentów, czy więźniowie nie mają przypadkiem jakichś fujarek i piszczałek własnej roboty, gra zaś na grzebieniu powodowała wezwanie do gabinetu i sporządzenie specjalnego protokołu). Tym bardziej nie mogło być nawet mowy o zezwoleniu na instalację w mieszkalnych celach odbiorników radiowych albo najmizerniejszych patefonów.

Co prawda, więźniowie mieli prawo korzystania z biblioteki zakładu karnego. Ale specwizieniec nie miało środków na zakup książek ani nawet szafy dla ich przechowywania. Po prostu wyznaczono Rubina na stanowisko bibliotekarza więziennego (sam o to bardzo prosił, mając nadzieję, że to mu da dostęp do dobrych książek). I wydano mu pewnego razu setkę podartych, nie trzymających się kupy tomów, jak „Mumu” Turgieniewa, „Listy” Stasowa, „Historia Rzymu” Mommsena - każąc puścić je w ruch wśród więźniów. Więźniowie zaś dawno już wszystkie te książki przeczytali albo nie chcieli ich brać do ręki, tylko zebrali o coś do czytania u frajerów, co zresztą dawało operom szerokie pole do stosownych badań.

W czasie wypoczynku więźniowie mieli do dyspozycji dziesięć cel na dwóch piętrach, dwa korytarze - górny i dolny, wąskie drewniane schody łączące piętra i klozet pod tymi schodami. Wypoczynek polegał na tym, że zekom wolno było bez żadnych ograniczeń leżeć na swoich łózkach (a nawet spać, jeżeli mogli zasnąć w takim hałasie), siedzieć na pościeli (krzesel nie było), chodzić po pokoju i z pokoju do pokoju nawet w samej bieliźnie, palić, ile się komu podoba w korytarzach, dyskutować o polityce w obecności konfidentów oraz bez żadnych przeszkód i restrykcji korzystać z klozetu. (Ci, którzy długo siedzieli w więzieniu i chodzili za potrzebą dwa razy na dobę i to na rozkaz - chyba docenią wielkie znaczenie tego gatunku nieśmiertelnej wolności). Pełnia wypoczynku polegała na tym, że ów czas należał do więźnia, nie do władzy. Dlatego też w powszechnym odczuciu był to prawdziwy wypoczynek.

Więźniarski wypoczynek polegał na tym, że z zewnątrz zamykano ciężkie żelazne drzwi i nikt więcej nie otwierał ich, nie wchodził przez nie, nikogo nie wzywał i nie szarpał. W ciągu tych krótkich godzin świat zewnętrzny żadnym dźwiękiem, słowem ani obrazem nie mógł przeniknąć do środka, by w czyjejkolwiek duszy wzbudzić niepokój. Sens wypoczynku sprowadzał się do tego, że cały świat zewnętrzny - wszechświat ze wszystkimi gwiazdami, planeta ze swymi kontynentami, stolice z całym swoim blaskiem i całe państwo, jego bankiety i wachty produkcyjne - wszystko to zapadało się w niebyt, rozpływało się w czarnym oceanie, niedostrzegalnym prawie za kratami okien, za żółtym, ćmiącym blaskiem reflektorów żony.

Zalana wewnątrz nie gasnącym nigdy światłem z prądnic MBP, piętrowa arka dawnej dworskiej cerkwi o burtach grubości czterech i pół cegły, niefrasobliwie i bez celu płynęła przez ten czarny ocean ludzkich losów i złudzeń, zostawiając za sobą smugi światła mżącego

z iluminatorów.

W ciągu takiej nocy z niedzieli na poniedziałek mógł rozpaść się na kawałki księżyc, mogły spiętrzyć się nowe Alpy na Ukrainie, ocean mógł pochłonać Japonię, mógł zacząć się potop wszechświatowy - a zamknięci w swojej arce więźniowie o niczym by nie wiedzieli aż do porannego apelu. Nie mogły ich zresztą zaskoczyć depesze od krewnych, dokuczliwe telefony, atak dyfterytu u dziecka ani nocne aresztowanie.

Płynący tą nawą byli sami w stanie nieważkości i myśli ich były nieważkie. Nie byli głodni, ani też syci. Nie znali tu szczęścia i dlatego nie bali się, że je utracą. Ich głów nie zaprzętały drobne służbowe intrygi, komeraże, kariery, ich barki nie były obciążone troską o mieszkanie, opał, chleb i przyodziewek dla dzieci. Miłość, odwieczne źródło ludzkich radości i cierpień, nie była zdolna wstrząsnąć nimi swoim dreszczem ani swoją agonią. Wymierzone im kary tak były długie, że nikt nie myślał nawet o czasie, który nastąpi po wyjściu z więzienia. Mężczyźni wyróżniający się rozumem, wykształceniem, zapasem doświadczeń życiowych, ale zwykle zbyt związani ze swymi rodzinami, aby móc udzielać się przyjaciółom - tu tylko im byli oddani.

Ostry blask lamp odbijał się od białych sufitów, od bielonych ścian i tysiącami promyków przeszywał jasne ich głowy.

Stąd, z tej arki tak pewnie dążącej przez mrok, łatwo było ogarnąć okiem pokrętny, zbłąkany potok przekłętej Historii, cały za jednym zamachem, jak z wielkiej wysokości, a tak dogłębnie, do kamyczków na dnie, jakby się człowiek w nim zanurzył.

Podczas tych niedzielnych wieczorów materia i ciało dawały ludziom zapomnieć o sobie. Duch męskiej przyjaźni i filozofii unosił się pod wzdętym jak żagiel stropem.

Może to właśnie był ów stan błogości, który daremnie starali się określić i wskazać ludziom starożytni myśliciele?

54

W półkolistej izbie na drugim piętrze, pod wysokim, sklepionym stropem absydy panowała wesołość i przestrzeni dla myśli było dość.

Wszystkich dwudziestu pięciu mieszkańców tej izby zebrało się w niej o szóstej wieczór jak jeden mąż. Jedni natychmiast rozebrali się do bielizny, chcąc jak najszybciej uwolnić się od uprzykrzonej więziennej skóry, żeby runąć z rozmachem na swoje łóżko (albo z małpią szybkością wdrapać się na górę), inni także padali na pościel, ale nie zdejmowali nawet kombinezonów, ktoś już stał na górnej koi i wymachując rękoma krzyczał coś do

przyjaciela przez całą szerokość izby, inni zaś nic jeszcze nie robili, tylko dreptali w miejscu i rozglądali się, czując całym swoim jestestwem przedsmak oczekujących ich godzin swobody i nie wiedząc jeszcze, jak by tu najprzyjemniej je rozpocząć.

Wśród tych ostatnich był też Izaak Kagan, czarny i kudłaty, niziutki „dyrektor od akumulatorów”, jak go nazywano. W doskonały nastrój wprawiło go już samo przyjscie do dużej i jasnej izby, ponieważ jego stacja akumulatorowa, w której czternaście godzin dziennie grzebał się jak kret, znajdowała się w ciemnym piwnicznym pomieszczeniu z kiepską wentylacją. Był zresztą zadowolony z tej swojej piwnicznej pracy i powtarzał, że w obozie dawno by już się przekręcił (nigdy nie chciał być jednym z tych chwalipiętów, co twierdzili, że „w obozie żyło im się lepiej niż na wolności”).

Na wolności Izaak Kagan, niedouczony inżynier, magazynier w przedsiębiorstwie zaopatrzenia technicznego, starał się żyć po cichutku, w sposób nie zwracający uwagi i boczkiem jakoś przemknąć się przez epokę wielkich osiągnięć. Wiedział, że stanowisko magazyniera jest spokojniejsze i bardziej dochodowe od wielu innych. Pod maską opanowania ukrywał namiętność prawie płomienną: pasję zysku. Żył tylko nią. Nie kusila go żadna polityczna działalność. Za to - kiedy tylko mógł, to i w swoim magazynie przestrzegał zasad sobotniego wypoczynku. Ale Bezpieczeństwo, nie wiedząc czemu, postanowiło również Kagana zaprząć do swojego wózka i zaraz zaczęto go wzywać do tajnych gabinetów i do pozornie niewinnych mieszkań, przeznaczonych na punkty spotkań. Starano się go zmusić, aby został seksotem. Okropnie tego Kagan nie chciał. Nie miał w sobie tyle otwartości i śmiałości (a kto ją miał?), żeby powiedzieć im prosto w oczy, że to świństwo, natomiast z niewyczerpaną cierpliwością potrafił milczeć, bełkotać od rzeczy, zwlekać, stosować uniki, wiercić się na krześle - tak że w końcu nie podpisał zobowiązania. Nie żeby w ogóle niezdolny był do donosu. Nie mrugnawszy nawet okiem potrafiłby złożyć donos na kogoś, kto skrzywdził go albo poniżył. Ale nie miał serca, żeby składać donosy na ludzi, którzy byli dla niego dobrzy albo przynajmniej obojętni.

Jednakże ten upór sprawił, że Bezpieczeństwo zagięło na niego parol. Nigdy nie można przewidzieć z góry wszystkiego. W jego magazynie doszło kiedyś do szczególnej rozmowy. Ktoś skłął jakieś narzędzia, kto inny - zaopatrzenie, jeszcze kto inny - planowanie. Izaak nawet pary z gęby nie puścił wypisując sobie przez ten czas faktury chemicznym ołówkiem. Ale rzecz się wydała (chyba była ukar-towana), rozmówcy zeznali gładko, co kto powiedział, i na podstawie paragrafu dziesiątego dostali wszyscy po dziesięć lat. Również

Kagan przetrzymał pięć konfrontacji, ale nikt nie potrafił dowieść, że wymówił choć jedno słowo. Gdyby artykuł 58 miał węższy zakres - musiano by Kagana wypuścić. Ale śledczy wiedział, co jest jego ostatnią bronią - ten sam artykuł miał jeszcze punkt 12 - powstrzymanie się od donosu. Właśnie za to powstrzymanie wlepiono Kaganowi dziesięć takich samych, astronomicznych lat.

Z obozu wydostał się Kagan do szaraszki dzięki niezwyklej bystrości umysłu i dowcipowi. W trudnej chwili, kiedy przepędzono go ze stanowiska „zastępcy blokowego” i zaczęto gwałtem posyłać na wyrąb lasu, Kagan napisał list adresowany na ręce przewodniczącego rady ministrów, towarzysza Stalina. Z listu wynikało, że jeśli rząd stworzy mu, to jest Izaakowi Kaganowi, odpowiednie warunki, to niżej podpisany podejmuje się rozwiązać problem kierowania przez radio kutrami torpedowymi.

Była to słuszna kalkulacja. U nikogo w rządzie serce nawet by nie drgnęło, gdyby Kagan napisał po ludzku, że jest mu bardzo, ale to bardzo źle i że błaga o ratunek. Ale ważny wojenny wynalazek wart był tego, by autora natychmiast sprowadzić do Moskwy. Kagana przywieziono do Marfina i rozmaici wyżsi oficerowie z błękitnymi i granatowymi galonami przyjechali na rozmowy z nim i żądali, aby czym prędzej wcielił swój śmiały techniczny pomysł w życie, nadając mu kształt gotowej konstrukcji. Jedząc już jednak biały chleb z masłem, Kagan wcale się nie spieszył. Z całą zimną krwią odpowiadał, że nie jest osobiście specjalistą od torped i - rzecz jasna - musi mieć kogoś takiego pod ręką. Po dwóch miesiącach przysłano mu specjalistę od torped (zeka). Ale tutaj Kagan oznajmił rezolutnie, że osobiście nie jest wcale mechanikiem okrętowym i że naturalnie ktoś taki jest mu koniecznie potrzebny. Po następnych dwóch miesiącach sprowadzono z kolei mechanika okrętowego (zeka). Kagan westchnął i przypomniał, że to nie radiofonia jest jego specjalnością. Inżynierów-radiowców w Marfinie było wielu i jednego z nich natychmiast odkomenderowano do pomocy Kaganowi. Kagan zebrał wszystkich tych współpracowników razem i oznajmił zupełnie spokojnie, tak że nikt nie mógł zarzucić mu nawet cienia szyderstwa: „A więc drodzy przyjaciele, skoro nareszcie zgromadzono was tu wszystkich razem, to będziecie mogli wspólnym wysiłkiem i bez niczyjej pomocy wynaleźć te zdalnie kierowane kutry. Jakże bym ja śmiał doradzać wam, specjalistom, j a k to właściwie zrobić?!” Istotnie, tych trzech wysłano wkrótce do szaraszki pracującej dla marynarki wojennej, Kagan zaś zdążył już przez ten czas urządzić się w stacji akumulatorów i wszyscy się do niego przyzwyczaili.

W tej chwili Kagan próbował zaczepić leżącego na łóżku Rubina, ale z daleka, tak żeby Rubin nie mógł mu dać kopniaka.

- Lwie Grigoryczu! - mówił swoim zwyczajem bełkotliwie i niezupełnie wyraźnie, za to powoli. - Najwyraźniej opuściło pana poczucie społecznego obowiązku. Masy domagają się rozrywek. Tylko pan potrafi je zapewnić. A tymczasem wetknął pan nos w książkę.

- Izaak, bądźcie łaskawi się odchromolić - zbył go Rubin. Zdążył już położyć się na brzuchu narzuciwszy na plecy obozowy wacik; nie zdjął kombinezonu (okno między nim a Sołogdinem uchylone było „na grubość Majakowskiego”, ciągnęło stamtąd przyjemnie śnieżnym chłodkiem) - i czytał.

- Nie, poważnie! - natrętny Kagan nie chciał się odzepić. - Wszyscy chcielibyśmy jeszcze razik posłuchać arcydzieła pańskiego talentu, bajki „Kruk i lis”.

- A kto na mnie nakapował kumowi? Czy aby nie pan? - odgryzł się Rubin.

Poprzedniego wieczoru niedzielnego Rubin ku ogólnej wesołości zaimprovizował parodię baśni Kryłowa o kuku i lisie. Pełno w niej było lagrowych terminów i zwrotów zupełnie nie nadających się dla damskich uszu, za co go pięciokrotnie wywoływano na „bis” i podrzucano w górę. W poniedziałek zaś wezwał go major Myszyn i rozpoczął dochodzenie w sprawie demoralizowania wrogów ludu przez więźnia Rubina; w związku z tym kilku świadków musiało złożyć zeznania, sam zaś Rubin - oryginał swojej baśni z odpowiednimi objaśnieniami.

Tego dnia Rubin już przepracował po obiedzie dwie godziny w nowej, przydzielonej mu izbie, wybrał typowe dla poszukiwanego przestępcy elementy układu cech mowy i m o r f e m y, przepuścił je przez fonowizor, rozwiesił mokre wstęgi papierowe do suszenia i snując już pierwsze domysły, konstruując już pierwsze podejrzenia - ale bez zapału do tej nowej pracy - przyglądał się, jak Smołosidow zabezpieczał drzwi łąkowymi pieczęciami. Następnie w strumieniu zeków, jak w stadzie wracającym z pastwiska, Rubin wszedł do mieszkalnej części więzienia.

Jak zawsze, pod jego poduszką, pod materacem, pod łóżkiem i na nocnym stoliku, obok jakichś wiktuałów leżało kilkanaście książek (przysyłano mu je w paczkach), które uważał za najbardziej interesujące w świecie (tylko on tak myślał i dlatego nikt ich nie ruszał): słowniki - chińsko-francuski, łotewsko-węgierski i rosyjsko-sanskrycki (już przez dwa lata Rubin ślęczał nad olbrzymią, w duchu Engelsa i Marra pisaną pracą, w której wszystkie wyrazy we wszystkich istniejących językach wyprowadzał z pojęć „ręka” oraz

„praca ręczna” - nie podejrzewając, że minionej nocy Wielki Językoznawca podniósł już nad karkiem Marra brzeszczot ideologicznej gilotyny); prócz tego leżała tam „Inwazja jaszczurów” Czapka, antologia opowiadań nadzwyczaj postępowych (to znaczy, sympatyzujących z komunizmem) pisarzy japońskich; „For Whom the Bell Tolls” Hemingwaya (jakoś go u nas nie bardzo już tłumaczono, ponoć przestał być zaliczany do postępowych); nigdy nie tłumaczona na rosyjski powieść Uptona Sinclaira, a także pamiętniki pułkownika Lawrence’a po niemiecku, ponieważ zaliczono je jako łupy do inwentarza firmy Lorenz.

Na świecie było niezliczone mnóstwo książek, zupełnie niezbędnych, najpierwszorzędnějších i chciwa chęć przeczytania ich wszystkich nigdy nie pozwoliła Rubinowi napisać żadnej własnej książki. Teraz Rubin gotów był czytać do późnej nocy, wcale nie myśląc o jutrzejszym dniu roboczym. Ale pod wieczór Rubin dopiero się rozkręcał, jego dowcip, skłonność do dyskusji i krasomówczych popisów przybierały szczególne rozmiary. I wcale niewiele mu było trzeba, aby zgodzić się na publiczne popisy. Byli w szaraszce ludzie, którzy nie dowierzali Rubinowi, mając go za kapusia (z powodu zbyt marksistowskich, wcale nie ukrywanych przezeń poglądów), ale nie było nikogo, kto by się nie zachwycał jego talentami kawalarza.

Wspomnienie o „Kroku i lisie”, nafaszerowanym doskonałymi cytatami z knajackiego żargonu, było takie żywe, że teraz też w ślad za Kaganem wielu obecnych w izbie zaczęło głośno żądać od Rubina jakiegoś nowego wica. I kiedy Rubin w końcu wstał, kiedy - mroczny, brodaty - wyłonił się spod wiszącej nad nim górnej nary jak z jaskini, wszyscy porzucili swoje zajęcia i przygotowali się do słuchania. Tylko Dwojetiosow na górnej koi obcinał sobie paznokcie u nóg tak, że zrzynki bryzgały daleko, i Abramson pod swoim kocem kontynuował czytanie, nawet się nie odwracając. W drzwiach stłoczyli się ciekawscy z innych cel, stojący wśród nich w rogowych okularach Tatar Bułatów ostro pokrzykiwał:

- Prosimy! Prosimy!

Rubin wcale nie miał ochoty zabawiać publiczki, wśród której byli ludzie natrzęsający się ze wszystkiego, co było mu drogie; wiedział też, że nowy wic nieuchronnie spowoduje już w poniedziałek nowe kłopoty, szarpanie nerwów, przesłuchania u „Szyszkiń-Myszkiń”. Ale to on był właśnie bohaterem rosyjskiego przysłowia, wedle którego są ludzie, co dla konceptu dobrego nie pożałują ojca rodzzonego - toteż nasrożył się na niby, poważnie rozejrzał się po obecnych, poczekał, aż zupełnie się uciszą, i oznajmił:

- Towarzysze! Zdumiony jestem waszą lekkomyślnością. O jakich tu wicach może być mowa, jeżeli wśród nas chodzą sobie spokojnie zuchwali, ale wciąż jeszcze nie wykryci przestępcy? Żadne społeczeństwo nie może się rozwijać bez sprawiedliwego systemu sądowego. Uważam za konieczne, aby nasz dzisiejszy wieczór rozpocząć od niewielkiego procesiku. Niejako dla zaprawy.

- Słusznie!

- A kogo będzie się sądzić?

- Wszystko jedno, kogo! Grunt, że ma rację! - rozległy się głosy.

- Zabawne! Bardzo zabawne! - zachęcał mówcę Sołogdin sadowiac się wygodnie.

Dziś zasłużył sobie na wypoczynek jak nigdy, a odpoczywać należało racjonalnie.

Ostrożny Kagan, czując, że sprowokowana przez niego samego gra grozi przekroczeniem granic rozsądku, zaczął cofać się nieznacznie w stronę ściany, aby usiąść z daleka na swoim łóżku.

- Kogo się sędzi, tego dowiecie się w toku przewodu sądowego - wyjaśnił Rubin (sam jeszcze nie miał konceptu) - ja chyba podejmę się obowiązków prokuratora, ponieważ funkcja ta zawsze budziła we mnie szczególne emocje (wszyscy w szaraszce wiedzieli, że Rubin miał wśród prokuratorów swoich osobistych wrogów i że od pięciu już lat wojował z Generalną i z Naczelną Prokuraturą Wojskową). - Glebie! Ty będziesz przewodniczącym kompletu sędziowskiego. Sformuj sobie szybko swoją trójkę - bezstronną, obiektywną, no, jednym słowem, całkowicie ci posłuszną.

Nierżyn siedział bez butów na swojej górnej koi. Każda godzina tego niedzielnego dnia coraz bardziej oddalała go od nastroju porannego widzenia i spajała coraz bardziej z tak dobrze mu znanym światem więziennym. Apel Rubina nie natrafił w nim na sprzeciw. Przesunął się do poręczy łóżka, opuścił nogi między prętami i w ten sposób ukazał się jakby na trybunie górującej nad izbą.

- No, kto chce być za ławnika? Niech tu dwóch włązi!

Więźniów było w izbie wielu, wszyscy chcieli obejrzeć sobie ten sąd, ale nikt nie kwapił się do godności ławnika - z przezorności albo z obawy przed śmiesznością. W sąsiedztwie Nierżyna, też na górnym piętrze leżał i znów czytał poranną gazetę Ziemiela, technik od pomp. Nierżyn stanowczym ruchem szarpnął za dziennik:

- Od ucha do ucha! Już dosyć jesteś wykształcony! Bo jeszcze ci się zachce pozycji mocarstwowej. Zbieraj się. Będziesz ławnikiem!

W dole rozległy się oklaski:

- Prosimy, Ziemia, prosimy!

Ziemia był uступliwy i nie potrafił długo się sprzeciwić. Uśmiechnął się nieskładnie i zwiesił przez poręcz łysiejącą głowę:

- Być wybrańcem mas - to wielki honor! Toć ja, przyjaciele, nie znam się na tym, ja nie potrafię...

Ogólny śmiech („nikt się nie zna! nikt nie potrafi”) był mu odpowiedzią i dowodem zgody na wybór.

Z drugiej strony Nierżyna leżał Ruska Doronin. Rozebrał się cały, naciągnął koc aż na sam czubek nosa i jeszcze schował pod poduszkę swoją szczęśliwą, pełną upojenia głowę. Nie chciał nic słyszeć ani widzieć, nie chciał być widziany przez nikogo. Tylko jego ciało tutaj było - myśli zaś i dusza mknęły w ślad za Klarą, która jechała teraz do domu. Przed samym wyjściem zdążyła skończyć pleciony koszyczek na choinkę i nieznacznie wręczyła go Ruście w podarunku. Koszyczek ten Ruska trzymał teraz pod kołdrą i pokrywał pocałunkami.

Widząc, że apelowanie do Ruski byłoby teraz daremne, Nierżyn rozglądał się w poszukiwaniu drugiego kandydata.

- Amantaj! Amantaj! - wołał na Bułatowa. - Chodź tu, będziesz ławnikiem.

Okulary Bułatowa błyszczały zadziornie.

- A poszedłbym, tylko tam nie ma gdzie usiąść! Już tu zostanę przy drzwiach, będę woźnym trybunalskim!

Chorobrow (zdążył już ostrzyć Abramsona i dwóch jeszcze innych, strzygł teraz pośrodku izby nowego klienta, a ten siedział przed nim, goły aż do pasa, żeby nie mieć potem kłopotu ze ścinkami włosów w bieliźnie) krzyknął:

- A po co drugi ławnik? Wyrok już dawno w kieszeni, ani chybi?! Wal z jednym!

- Też racja - zgodził się Nierżyn - po co nam darmożjady? Więc gdzie oskarżony?

Woźny! Wprowadzić oskarżonego! Prosimy o ciszę!

I pukał dużą cygarniczką w poręcz łóżka. Rozmowy cichły.

- Sąd! Sąd! - żądano. Publiczność siedziała i stała.

- Czyli znajdę się na niebiesiech - Ciebie znajdę, Panie, czyli w głąb piekieł zejdem - Ty tam jesteś, Panie - z dołu, spod sędziowskiego siedziska melancholijnie odezwał się Potapow. - Czyli w przepaściach morskich się pogrązę - i tam dosięgnie mnie prawica

Twoja! (Potapow pamiętał lekcje religii jeszcze z gimnazjum i w jego uporządkowanej, inżynierskiej głowie zachowały się teksty wykładów katechizmu).

Z dołu, spod łóżka ławniczego dał się słyszeć wyraźnie brzęk łyżeczki mieszającej herbatę w szklance.

- Walentula! - groźnie huknął Nierzyn. - Ile razy było mówione - nie dzwonić łyżeczką!

- Pod sąd! - wrzasnął Bułatów i kilkoro usłużnych rąk zaraz wyciągnęło Priancykowa z półmroku dolnej koi na środek izby.

- Dostyc tego! - wyrywał się Priancykow zacietrzewiony. - Mam dostyc prokuratorów! Mam dostyc waszych sądów! Jakie prawo ma jeden człowiek do sądenia drugiego? Chacha! Śmieszne! Ja tobą gardzę, chłoptasiu! - krzyknął do przewodniczącego trybunału. - Mam was w dupie!

Podczas gdy Nierzyn kompletował ławę sędziowską, Rubin wpadł już na pomysł. Jego ciemne oczy rozbłysły uciechą z konceptu. Machnął szeroko ręką w stronę Priancykowa:

- Dajcie spokój temu piskłęciu! Walentula z jego wiarą w sprawiedliwość powszechną może być doskonałym adwokatem z urzędu. Dać mu stołek!

Każdy żart przechodzi przez taką niewidzialną rubież, za którą albo staje się trywialny i przykry, albo nagle uskrzydla go natchnienie. Rubin, owinąwszy się kocem jak togą, wszedł na nocną szafkę w samych skarpetkach i zwrócił się do przewodniczącego:

- Obywatelu rzeczywisty radco stanu! Podsądny uchylił się od stawiennictwa, zatem będziemy go sądzić zaocznie. Proszę zaczynać.

W tłumie stłoczonym koło drzwi stał też rudowąsy stróż Spiridon. Na jego mądrej, obwisłej już i porzniętej licznymi zmarszczkami twarzy rysowała się jednocześnie surowość i miłe rozbawienie. Ceremonii sądowej przyglądał się spode łba.

Za plecami Spiridona widać było wydłużoną, woskową i szczupłą twarz profesora Czelnowa. Miał na głowie swoją wełnianą czapeczkę.

Nierzyn skrzeknął:

- Uwaga, towarzysze! Otwieram sesję sądu wojennego szaraszki Marfino. Rozpatrywać dziś będziemy sprawę... ?

- Igora Olegowica, syna Swiatosława... - odpowiedział prokurator.

Zorientowawszy się w lot, Nierzyn ciągnął dalej przez nos, tak monotennie, jakby czytał z kartki:

- Rozpatrzeniu podlega sprawa Olegowica Igora, syna Swiatosława, księcia na Nowogrodzie Siewierskim i Putywlu, urodzonego... mniej więcej... Do diabła, co ten sekretarz wyprawia, dlaczego mniej więcej?... Uwaga! Z powodu niedostarczenia sądowi tekstu na piśmie akt oskarżenia wygłosi prokurator.

55

Rubin zaczął mówić tak płynnie i gładko, jakby jego oczy rzeczywiście ślizgały się po papierze (jego sprawa była cztero - krotnie wałkowana w sądach i formułki sądowe wyślubiły mu się w pamięci):

- Akt oskarżenia w sprawie śledczej numer pięć milionów łamane przez trzy miliony sześćset pięćdziesiąt jeden tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt cztery wytoczonej OLEGOWICOWIIGOROWI, synowi Swiatosława.

Olegowic I. S. pozwany jest w niniejszej sprawie przez organy bezpieczeństwa państwowego. W trakcie czynności śledczych zostało ustalone, że Olegowic, będąc dowódcą niezwyciężonej armii rosyjskiej, zajmując stanowisko księcia i pełniąc funkcję witezia rycerskiego zastępu, okazał się podłym zdrajcą Ojczyzny. Jego zdradziecka działalność w tym się przejawiała, że sam, dobrowolnie poddał się śmiertelnemu wrogowi naszego ludu, obecnie już zdemaskowanemu chanowi Konczakowi - ponadto zaś poszedł do niewoli wraz ze swym synem Włodzimierzem Igorowicem, bratem i bratankiem oraz z całym swoim rycerskim zastępem w pełnym składzie, wraz z wyposażeniem bojowym oraz zawartością taborów, za których zgodność z inwentarzem odpowiadał materialnie.

Zdradziecka jego działalność przejawiała się także w tym, że - zaraz na samym początku pozwoliwszy się omamić przez prowokacyjne zaćmienie słońca, zaaranżowane przez reakcyjne duchowieństwo - nie stanął na czele masowej polityczno-oświatowej akcji w swoim zastępie, wyruszającym, aby „z szłomu swego upić wód donieckich” * - nie wspominając już o anty-sanitarnym stanie rzeki Don w tych latach, przed wprowadzeniem podwójnego chlorowania. Zamiast tego wszystkiego oskarżony ograniczył się, już w obliczu nieprzyjaciela, do zupełnie nieodpowiedzialnego apelu skierowanego do własnych oddziałów:

Sami wroga przemożem, Wszystka chwała się ku nam przechyli!

(materiały dowodowe śledztwa, tom 1, arkusz 36) Zgubne dla naszej Ojczyzny znaczenie porażki poniesionej przez nowogrodz-ko-siewiersko-kursko-putywlsko-rylski zastęp najlepiej jest scharakteryzowane w słowach wielkiego księcia kijowskiego

Swiatosława:

Wsiewołodzie, Igorze! Wy za sławą w pogoni, Wcześniej kraj połowiecki zaczęliście gromić, Ale sławy nie dali mieczowi

(materiały dowodowe śledztwa, tom 1, arkusz 88) Omyłką naiwnego Swiatosława (uwarunkowaną przez jego ślepotę klasową) jest jednak, że winę za złą organizację całej kampanii i za rozdrobnienie rosyjskiego wysiłku wojennego przypisuje on jedynie „wczesności”, to znaczy młodości oskarżonego, nie rozumiejąc, że chodzi tu o dawno przygotowany akt zdrady.

Samemu przestępcy udało się uciec przed śledztwem i sądem, ale świadek BORODIN** Aleksander Porfiriewicz, a także świadek, który woli tu zachować

* Wszystkie cytaty ze „Słowa o wyprawie Igora” w przekładzie Juliana Tuwima. ** Chodzi oczywiście o kompozytora rosyjskiego, Aleksandra Borodina, autora opery „Książę Igor”. Z jej libretta pochodzą przytaczane dalej cytaty.

anonimowość i którego dalej nazywać będziemy AUTOREM SŁOWA, przy pomocy niezbitych dowodów demaskują ohydny rolę księcia I. S. Olegowica - nie tylko w Iraku samej bitwy, którą wydał w niekorzystnych dla rosyjskiego dowództwa warunkach meteorologicznych:

Wiatry, wnuki Strzyboga, strzałami od morza wieją, Na wojsko Igorowe...

oraz taktycznych:

Idą Połowcy od morza, idą pohańcy od Donu, Ławą na wojów walą, od tej i tamtej strony...

(tamże, tom 1, arkusze 123, 124, zeznania Autora Słowa), lecz również jeszcze ohydniejsze zachowanie się jego (oraz arystokratycznej jego latorośli) w niewoli. Warunki, w których obaj oni trzymali byli w tak zwanej niewoli wskazują, że w gruncie rzeczy cieszyli się największymi łaskami chana Konczaka, co obiektywnie było też zapłatą, jakiej nie poskąpiło połowieckie dowództwo za zdradzieckie wydanie mu w ręce rosyjskiego zastępu.

Tak na przykład zeznania świadka Borodina wyraźnie wskazują, że księżę Igor miał w niewoli do dyspozycji konia - i to nawet nie jednego;

Chcesz, to bierz sobie konia wedle woli!

(tamże, tom 1, arkusz 233) Chan Konczak tak przy tym mawiał do księcia Igora:

Przeczą masz się tu za jeńca.

A czy nie gościem raczej jesteś dla mnie?

(tamże, tom 1, arkusz 281) i zaraz niżej:

Sam powiedz, bo to jeńcom gdzie tak dobrze?

(tamże, tom 1, arkusz 300) Połowiecki chan ujawnia cały cynizm swoich stosunków z księciem-zdrajcą: To odwaga, tak, to dzielność twoja tak mi ciebie miłym uczyniły

(materiały dowodowe, tom 2, arkusz 5) Przy śledztwie bardziej szczegółowym udało się wykryć, że te cyniczne stosunki miały miejsce długo jeszcze przed bitwą nad rzeką Kajała:

Byłeś mi zawsze miły

(tamże, arkusz 14, zeznania świadka Borodina), a nawet:

O, nie twoim wrogiem, ale wiernym druhem, Twoim sojusznikiem, twoim dobrym bratem, Oto kim być wolę...

(tamże) Wszystko to wskazuje obiektywnie na oskarżonego jako na aktywnego zausznika chana Konczaka, długoletniego połowieckiego agenta i szpiega.

Na podstawie wyszczególnionego powyżej, Olegowic Igor syn Światosława, urodzony w roku 1151, w mieście Kijowie, Rosjanin, bezpartyjny, dotąd nie karany, obywatel ZSRR, z zawodu witeź, zatrudniony na stanowisku witezia zastępu w randze księcia, odznaczony orderami Warega I stopnia, Jasnego Słoneczka i medalem Złotej Tarczy, zostaje oskarżony o to, że:

dopuścił się ohydnej zdrady swego kraju, obciążonej dodatkowo dywersją, szpiegostwem i długoletnią działalnością agenturalną na rzecz chanatu połowieckiego, to znaczy, o przestępstwa wymienione w artykułach 58 par. 1 p. b, 58 par. 6, 58 par. 9 i 58 par. 11 KK RFSRR.

Oskarżony przyznał się do inkryminowanych czynów. Prócz tego za oskarżeniem przemawiają zeznania świadków, poemat i opera.

Na podstawie artykułu 208 KPK RFSRR sprawa niniejsza skierowana została do prokuratora celem wdrożenia przeciw oskarżonemu postępowania sądowego.

Rubin odetchnął i rozejrzał się dookoła triumfująco. Porwany potokiem fantazji nie mógł się już zatrzymać. Dochodzący od drzwi i łóżek śmiech jeszcze bardziej go podniecał. Powiedział już o wiele więcej niebezpiecznych rzeczy, niżby chciał, biorąc pod uwagę obecność kilku kapusiów i osób wrogo nastawionych do ustroju.

Spirydon ze swoimi szczeciniastymi, siwo-rudymi włosami sterczącymi mu na głowie

bez żadnego ładu w stronę czoła, uszu i karku, nie zaśmiał się ani razu. Patrzył na sąd ponurym okiem. Ten pięćdziesięcioletni Rosjanin po raz pierwszy słyszał o średniowiecznym księciu, co znalazł się w niewoli - ale znana atmosfera sądowa i nie znosząca sprzeciwu prokuratorska pewność siebie pozwoliły mu przeżyć jeszcze raz własne koleje i dobrze zrozumieć całą niesprawiedliwość argumentacji prokuratora, a też i całą gorzką dolę biednego księcia.

- Ponieważ oskarżony jest nieobecny, a ponowne przesłuchanie świadków zbędne - odezwał się Nierzyn wciąż tym samym nosowym, monotonnym głosem - przechodzimy do wypowiedzi stron. Głos zabierze znowu prokurator.

- A pewno, pewno - przytaknął zgodliwy ławnik.

- Towarzysze sędziowie! - krzyknął Rubin złowróźnie. - Niewiele mogę dodać do tego łańcucha strasznych oskarżeń, do tego brudnego kłębaka zbrodni, który został rozwikłany przed waszymi oczyma. Przede wszystkim - pragnę w jak najbardziej zdecydowany sposób zaprotestować przeciw dość rozpowszechnionej, zalatującej stęchlizną opinii, że ranny ma moralne prawo do pójścia do niewoli. Takie opinie nie mają nic wspólnego z naszym światopoglądem, towarzysze! A tym bardziej w wypadku księcia Igora. Powiadają niektórzy, że był sanny na polu walki. A kto potrafi tego dowieść dzisiaj, po siedmiuset sześćdziesięciu pięciu latach? Czy ktokolwiek widział odnośne zaświadczenie, podpisane przez szefa służby zdrowia dywizji? W każdym razie w materiałach dowodowych śledztwa nie znalazłem takiego zaświadczenia, towarzysze sędziowie!...

Amantaj Bułatów zdjął okulary. Bez ich zadziornego, męskiego blasku widać było w jego oczach tylko smutek.

I on, i Priancykow, i Potapow, i jeszcze wielu zebranych tu wokół poszło do więzienia za taką samą „zdradę Ojczyzny” - za dobrowolne pójście do niewoli.

- Dalej - grzmiał prokurator - chciałbym szczególnie mocno podkreślić całą obrzydliwość postępowania oskarżonego wśród Połowców. Księżę Igor myśli wcale nie o swojej ojczyźnie, tylko o żonie:

Jesteś sama gołąbeczko, Jesteś sama...

Analizując formalnie ten stan rzeczy, możemy go łatwo zrozumieć, bo Ja-roslawna, jego druga żona, jest młodziutka, na takiej babie specjalnie znowu polegać nie można, ale patrząc głębiej w sedno widzimy w postaci księcia Igora przykład podłego sobkostwa! A dla kogo - pytam - tańczono sławetne połowieckie tańce? Też dla niego! A to jego nędzne

latorośle nawiązuje jednocześnie stosunki płciowe z córką Konczaka, chociaż małżeństw z cudzoziemcami kategorycznie zabraniają naszym obywatelom odpowiednie, kompetentne organy! I wszystko to się dzieje w momencie największego napięcia stosunków sowiecko-połowieckich, kiedy...

- Chwileczkę - wtrącił się kudłaty Kagan siedzący na łóżku - skąd prokuratorowi wiadomo, że na Rusi była już wtedy władza sowiecka?

- Woźny! Proszę wyprowadzić tego płatnego agenta! - Nierzyn zapukał w stół. Ale Bułatów nie zdążył jeszcze się ruszyć, kiedy Rubin odparował już cios z łatwością:

- Proszę bardzo, mogę odpowiedzieć! Przekonywa nas o tym dialektyczna analiza tekstów. Znajdujemy następujące zdanie o Autorze Słowa:

... I porporzec purpurowy, Buńczuk krasny, drzewce w srebrze - walecznemu Igorowi
Chyba jasne, prawda?

Szlachetny książę Włodzimierz Halicki, szef rejonowej komendy uzupełnień w Putywlu, zwołuje pospolite ruszenie ze Skuła i Jeroszką na czele dla obrony rodzinnego miasta - a książę Igor przez ten czas podziwia gołe nogi połowieckich dziewczek? Dodam w nawiasie, że także te jego skłonności gotowi byśmy byli zrozumieć, ale przecież sam Konczak proponuje mu do wyboru „każdą z tych ślicznotek” - więc czemuż on żadnej nie chce, gadzina? Kto z obecnych tutaj uwierzy, żeby człowiek mógł sam sobie odmówić baby, co? I właśnie tu dochodzimy do zrozumienia całej głębi cynizmu, tu aż do końca możemy zdemaskować oskarżonego: bo czym jest tak zwana jego ucieczka z niewoli i dobrowolny powrót do kraju?! Ależ kto uwierzy, że człowiek, któremu proponowano „konia wedle woli, złota wedle woli” - ni stąd, ni zowąd dobrowolnie wraca do kraju i to wszystko porzuca, co? Jak to jest w ogóle możliwe?...

Właśnie to, właśnie to pytanie zadawano na śledztwie powracającym jeńcom, także Spiridon tego pytania się doczekał: po co byś ty w ogóle wracał do kraju, gdyby cię tam nie zwerbowano?!...

Można zrozumieć to tylko w następujący sposób - książę Igor został zwerbowany przez połowiecki wywiad i przerzucony w celu prowadzenia działalności rozkładowej w państwie kijowskim!

Towarzysze sędziowie! Podobnie jak wykipię teraz szlachetnym oburzeniem. Z całym właściwym mi humanitaryzmem żądam - powiesić go - sukinsyna! A ponieważ kara śmierci u nas nie istnieje - to wlepić mu dwadzieścia pięć lat i piątkę na przytarcie rogów! Prócz

tego, proponuję, ażeby włączyć do uzasadnienia wyroku co następuje: operę „Książę Igor” jako zupełnie amoralną i propagującą wśród naszej młodzieży nastrój życzliwości dla zdrady - zdjęć z afisza! Świadka w niniejszym procesie, Borodina A. P. pociągnąć do odpowiedzialności karnej, stosując areszt jako środek zapobiegawczy, ponadto pociągnąć do odpowiedzialności dwóch arystokratów: 1) Rimskiego 2) Korsakowa, bo gdyby wyżej wymienieni nie dopisali zakończenia do tej nieszczęsnej opery, to nigdy by sceny nie zobaczyła. Skończyłem! - Rubin ciężko zeskoczył ze stołka. Gadanie już go znużyło.

Nikt się nie śmiał.

Priancykow, nie prosząc o pozwolenie, wstał z krzesła i w głębokiej ciszy odezwał się głosem cichym i zdetonowanym:

- *Tantpis*, panowie! *Tant pis!* Jaki to wiek mamy, jaskiniowy czy dwudziesty? Co to znaczy - zdrada? Wiek rozbicia atomu! półprzewodników! mózgow elektronowych!... Panowie, kto ma prawo sądzić drugiego człowieka? Kto ma prawo pozbawić go wolności?

- Przepraszam, czy to już obrona? - wtrącił się grzecznie profesor Czełnow i wszyscy obrócili głowy w jego stronę. - Ja chciałbym tylko jeszcze w trybie nadzoru prokuratorskiego dodać kilka faktów, które przeoczył mój znakomity kolega i...

- Ależ oczywiście, oczywiście, profesorze! - podtrzymał go Nierzyn - jesteśmy zawsze po stronie oskarżenia, zawsze gotowi walczyć z obroną i zawsze w związku z tym radzi jesteśmy zmienić tok procesu. Prosimy!

Usta profesora Czełnowa wygięły się w powściągliwym uśmiechu. Mówił zupełnie cicho i tylko dlatego było go dobrze słychać, że słuchano go z szacunkiem. Jego zblakłe oczy patrzyły niejako obok wszystkich obecnych, tak jakby ktoś obracał przed nim karty kroniki. Pomponik na jego wełnianej czapeczce zaostrzał jeszcze jego twarz i podkreślał wyraz koncentracji.

- Chciałbym przypomnieć - powiedział matematyk - że książę Igor byłby zdemaskowany jeszcze przed nominacją na witezia, mianowicie przy pierwszej próbie wypełnienia kwestionariusza naszej specankiety. Jego matka nie była Rosjanką, lecz córką księcia połowieckiego. Mając w żyłach pół krwi połowieckiej - książę Igor przez długie lata był aliantem Połowców. „Wiernym sojusznikiem i najlepszym druhem” był on dla Konczaka jeszcze przed swoją wyprawą! W 1180 roku, po klęsce poniesionej z rąk następców Monomacha, uciekał przed nimi wspólnie z chanem Konczakiem, jednym czólnem! Później Światosław i Ruryk, synowie Roścysława, zapraszali Igora do udziału we wszechrosyjskich

wielkich kampaniach przeciw Połowcom, ale Igor uchylił się pod pretekstem gołedzi - „Bowień szreń nazbyt już wielka”. Może dlatego, że już wtedy Swoboda Konczakówna wyswatana była za Włodzimierza, syna Igora? Wreszcie w rozpatrywanym tu 1185 roku kto pomógł Igorowi uciec z niewoli? Także Połowiec! Połowiec Owłur, którego Igor następnie „zrobił wielmożnym panem”. A Konczakówna przywiozła później Igorowi wnuka... Za ukrywanie tych faktów proponowałbym pozwać przed sąd również Autora Słowa, następnie - krytyka muzycznego Stasowa, który przegapił zdradzieckie tendencje w operze Borodina, no i wreszcie hrabiego Musina-Puszkina, bo musiał przecież mieć coś wspólnego ze spaleniem się jedyne go rękopisu „Słowa”? Jasne jest, że ktoś, komu to było wygodne, starał się z a t r z e ć ślady.

I Czelnow cofnął się w tłum, dając do zrozumienia, że skończył.

Po jego wargach błąkał się wciąż ten sam uśmiech.

Wszyscy milczeli.

- Ale kto w końcu będzie bronić podsądnego, przecież każdemu potrzebny jest obrońca - oburzył się Izaak Kagan.

- Nie ma co bronić tej gadziny - krzyknął Dwojetiosow. - Jeden Be-i pod ścianę!

Sołogdin był nachmurzony. To, co mówił Rubin, było bardzo śmieszne, erudycja zaś Czelnowa tym bardziej zasługiwała na szacunek, ale księżę Igor był chlubą historii rosyjskiej, przedstawicielem jej rycerskiego, to znaczy najślawniejszego okresu - dlatego też nie wypadało stroić sobie z niego żartów, nawet aluzyjnych. Sołogdin czuł, że został w nim niemiły osad.

- Nie, nie, jak państwo życzą, a ja się zabieram do obrony! - powiedział całkiem już rozochocony Izaak obrzucając audytorium chytrym spojrzeniem. - Towarzysze sędziowie! Jako sumienny obrońca z urzędu przyłączam się w stu procentach do wszystkich argumentów oskarżyciela. - Przeciągał słowa i miał kluski w gębie. - Moje sumienie każe mi tutaj stwierdzić, że księcia Igora warto nie tylko powiesić, lecz również poćwiartować. To prawda, że nasze humanitarne prawo już od przeszło dwóch lat nie uznaje kary śmierci i jesteśmy zmuszeni zastępować ją byle czym. Nie rozumiem jednak, dlaczego prokurator ma tak podejrzanie dobre serce? (Wartałoby wziąć pod światło również prokuratora!) Dlaczego w drabinie kar opuszcza od razu dwa stopnie i dochodzi do dwudziestu pięciu lat ciężkich robót? A przecież w naszym kodeksie jest kara bardzo niewiele różniąca się od kary śmierci, kara o wiele straszniejsza niż dwadzieścia pięć lat katorgi.

Izaak przeciągał sprawę, aby wywołać tym większe wrażenie.

- Co to za kara, Izaak? - krzyczeli doń niecierpliwie. Z tym większą powolnością i z miną tym bardziej naiwną odparł:

- Artykuł dwudziesty, punkt a.

Ilu ich tu było z przebogatym więziennym doświadczeniem, żaden z nich nie słyszał o takim artykule. Dogrzebał się, spryciarz!

- No i co jest w tym artykule? - ze wszystkich stron wykrzykiwano nieprzyzwoite rozwiązania zagadki. - Wyróżnić mu... ?

- Ciepło, ciepło - potakiwał Izaak beznamiętnie. - Właśnie, właśnie, wykastrować człowieka duchowo. Artykuł dwudziesty, punkt a - uznać za wroga ludu pracującego i wypędzić z granic Związku Sowieckiego! Niech tam sobie zdycha na Zachodzie! Skończyłem.

Ze skromniutko pochyloną głową, mały, kudłaty, poszedł w stronę swojego łóżka. Wybuch śmiechu zatrzęsł całą izbą.

- Że jak? Że jak? - ryknął i zakrztusił się Chorobrow, klient zaś jego aż podskoczył, bo maszynka szarpnęła go za włosy. - Wypędzić? Więc jest taki punkt?

- Proś o zwiększenie kary! Proś o podwyższenie! - krzyczano doń ze wszystkich stron. Chłopiec Spirydon uśmiechał się chytrze.

Wszyscy naraz zabrali się do gadania, dzieląc się na grupki.

Rubin znowu leżał na brzuchu starając się wniknąć w treść słownika mongolsko-fińskiego. Przeklinał swoje idiotyczne zamięrowanie do popisów, wstydził się zagranej roli.

Przecież chciał napiętnować swoją ironią tylko niesprawiedliwość sądów, ludzie natomiast nie wiedzieli, gdzie tu granica, i naigrawali się nad tym, co najdroższe - nad socjalizmem.

56

Tymczasem Abramson wciąż tak samo wtulony ramieniem i policzkiem w sutą poduszkę łykał i łykał swojego „Monte Christo”. Odwrócił się tyłem do wszystkiego, co działo się w izbie. Żadna komedia sądowa już go nie interesowała.

Obrócił tylko leciutko głowę, gdy zabrał głos Czełnow, ponieważ nie znał jeszcze tych szczegółów. W ciągu dwudziestu lat zesłań, etapów, więzień śledczych, izolatorów, łagrów i szaraszek, Abramson - ongiś nie chrypnący nigdy, łatwo wpadający w ferwor mówca, wyzbył się wszelkich emocji, stał się nieczuły na cierpienie własne i cudze. Odgrywana teraz

w izbie komedia procesu sądowego poświęcona była fali czterdziestego piątego, czterdziestego szóstego roku. Abramson mógł teoretycznie uznać - i nawet brał pod uwagę - tragiczny charakter losu jeńców, ale mimo wszystko była to tylko jedna fala, jedna z wielu i to wcale nie najciekawsza. Jeńcy dlatego byli interesujący, że zwiedzili wiele zamorskich krajów („żywi fałszerze historii” jak żartował Potapow), ale z tym wszystkim ich fala była szara, były to bezradne ofiary wojny, nie zaś ludzie, którzy z własnej woli wybrali sobie walkę polityczną jako drogę życia.

Każda fala zeków w NKWD, na podobieństwo każdego pokolenia mieszkańców ziemi, ma swoją własną historię i bohaterów.

Trudno też jednej generacji zrozumieć drugą.

Abramsonowi wydawało się, że c i ludzie nie idą w żaden paragon z tamtymi - z tytanami, którzy, podobnie jak on sam, w końcu lat dwudziestych dobrowolnie wybrali jensejskie zesłanie, choć mogli tylko wyrzec się własnych słów wypowiedzianych na zebraniu partyjnym i cieszyć się dalej wszelką pomyślnością - każdemu z nich dawano to do wyboru. T a m c i nie mogli pogodzić się z wypaczeniem i pohańbieniem rewolucji, gotowi byli sami siebie dać w ofierze, aby ją oczyścić. To zaś „młode, nieznane plemię” w trzydzieści lat po Październiku wkraczało spokojnie do celi i syjąc chłopskimi przekleństwami powtarzało to samo, za co należało się rozstrzelanie jeszcze w czasach wojny domowej.

Dlatego też Abramson, nie czujący osobistej wrogości wobec nikogo z nich ani nie wadzący się z nikim, w sumie nie trawił zeków tego rodzaju.

Zresztą w ogóle Abramson (tak sam siebie przynajmniej zapewniał) dawno już przechorował wszystkie aresztanckie spory, spowiedzi i opowieści o widzianych wypadkach. Może kiedyś - w młodości - ale teraz dawno już nie był ciekaw rozmów toczonych w drugim kącie celi. Działalność zawodowa też już dawno przestała być dla niego czymś wartym przywiązania. Brać udziału w życiu rodziny też nie mógł, ponieważ pochodził z innych okolic, nigdy nie otrzymywał odwiedzin, zaś listy przechodzące przez ręce więziennej cenzury były już przez piszących je zubożone, wszystkie soki były z nich odciągnięte. Nie poświęcał też wiele uwagi gazetom - zorientowany był w ich treści przebiegłszy oczyma same nagłówki. Radiowych audycji muzycznych słuchać mógł nie więcej niż godzinę dziennie, słownych zaś jego nerwy w ogóle nie wytrzymały, podobnie jak kłamliwych książek. I chociaż gdzieś głęboko, za siedmioma murami serca zachował nie tylko żywe, ale wręcz

bolesne zainteresowanie dla losów świata i losów tej doktryny, której oddał niegdyś swoje życie - to zewnętrznie starał się zachować całkowitą obojętność wobec otoczenia. W ten sposób - nie zastrzelony na czas, nie dobity na czas, nie zaszczuty na czas - Abramson lubił teraz ze wszystkich książek nie te, które paliły ogniem prawdy, lecz te, które dawały rozrywkę i pozwalały mu znieść jakoś jego więzienne niekończące się lata.

... Tak, w jensejskiej tajdze, w dwudziestym dziewiątym roku oni nie czytali „Monte Christo”... Nad Angarą, do dalekiego, głuchego sioła Doszczany, dokąd trzeba było jechać saniami trzysta wiorst przez tajgę, przybywali z głuszy jeszcze o sto wiorst dalszej, pozornie, aby świętować nadejście Nowego Roku, w istocie zaś na konferencję zesłańców, dla przedyskutowania sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej. Mrozy przekraczały 50 stopni. Żelazna burzujka w żaden sposób nie mogła ze swego kąta nagrzać całej, zbyt obszernej syberyjskiej chaty z rozwalonym rosyjskim piecem (właśnie dlatego też tę chatę przydzielono zesłańcom). Ściany chaty przemarzły na wskroś. Wśród nocnej ciszy od czasu do czasu ścięte drzewa trzaskały głośno, jakby kto ze strzelby wypalił.

Konferencję otworzył Sataniewicz referatem o polityce partii w kwestii chłopskiej. Zdjął czapkę, pozwalając kołysać się swemu czarnemu czubowi, ale został w półkożuszku z wiecznie sterczącym z kieszeni zbiorem angielskich idiomów („trzeba znać wroga” - wyjaśniał). Sataniewicz w ogóle lubił grać rolę lidera. Został później rozstrzelany, zdaje się na Workucie, podczas strajku.

W swoim referacie Sataniewicz przyznawał, że jest pewne racjonalne ziarno w drakońskich, stalinowskich metodach, jakimi poskromiono konserwatywną klasę chłopską: bo bez bata ten reakcyjny żywioł runąłby na miasta i zatopił rewolucję. (Dziś z kolei można dojść do wniosku, że mimo owego poskramiania, chłopstwo i tak runęło na miasta, zatopiło je, nasyciło burżuazyjną swoją substancją, którą przesiąkł nawet sam aparat partyjny, nadwątlony przez czystki - co w rezultacie rewolucję zgubiło).

Ale im żarliwiej dyskutowano nad jego referatem a potem nad innymi, tym bardziej, niestety, rozlatywała się jedność małej garstki zesłańców: okazało się, że nie chodzi o jeden czy dwa rozmaite poglądy, było ich tyle, ilu obecnych. Nad ranem, już pomęczeni, zamknęli oficjalną część konferencji, nie podejmując żadnej wspólnej rezolucji.

Później jedli i pili z przydzielonych im naczyń, umajonych świerkowymi gałązkami, leżącymi na grubych, nierównych dechach stołu. Odtajałe gałązki pachniały śniegiem i żywicą, kłuły dłonie. Pili samogon. Wznosząc toasty klęli się, że nikt z obecnych nigdy nie

podpisze kapitulancckiego odwołania.

Z miesiąca na miesiąc oczekiwali oni politycznej burzy w Związku Radzieckim!

Później śpiewali słynne pieśni rewolucyjne: „Warszawiankę”, „Nasz sztandar płynie ponad trony”, „Czarnego barona”. Potem dyskutowali jeszcze o byle czym, o jakichś drobiazgach.

Róża, robotnica z charkowskiej cygarfabryki, siedziała na pierzynie (przywiozła ją na Syberię aż z Ukrainy i bardzo była z tego dumna), paliła papierosa za papierosem i pogardliwie potrząsała swoją strzyżoną, kędzierzawą głową: „Nie znoszę inteligencji! Obrzydliwe są dla mnie te wszystkie jej ‘subtelności’ i ‘zawiłości’. Ludzka psychologia jest znacznie prostsza, niż chcieli ją przedstawić przedrewolucyjni pisarze. Naszym zadaniem jest uwolnienie ludzkości od zbytecznego balastu duchowego!”

I tak jakoś doszli w rozmowie aż do kobiecych ozdób. Jeden z zesłańców - Patruszew, były prokurator z Odessy, w ślad za którym akurat niedawno temu przyjechała narzeczona z Rosji, zawołał z wyzwaniem: „Czemuż to chcecie zubożyć przyszłe społeczeństwo, dlaczego to nie mam marzyć o takich czasach, kiedy każda dziewczyna będzie mogła mieć perły? kiedy każdy mężczyzna będzie mógł przybrać diademem głowę swojej wybranej?”

Ależ hałas się podniósł! Z jakąż zaciekłością zaświstały w powietrzu cytaty z Marksa i Plechanowa, z Campanelli i Feuerbacha!

Społeczeństwo przyszłości!... Z jaką łatwością mówiono o nim!...

Wzeszło słońce Nowego Dziewięćset Trzydziestego Roku i wszyscy wyszli, by patrzeć na brzask. Poranek był krzepki, mroźny, ze słupami różowego dymu bijącego prosto w górę, w różowe niebo. Po białej, szerokiej Angarze baby gnały bydło, do wodopoju, do przerębla oznaczonego choinkami. Mężczyzn ani koni nie było - popędzono ich na leśne żniwa, do boru.

I minęły dwa dziesiątki lat. Przekwitło i opadło wszystko, co w ówczesnych ich toastach było kwestią dnia. Rozstrzelano tych, co byli aż do końca nieugięci. Rozstrzelano także tych, którzy skapitulowali. I tylko w samotnej głowie Abram-sona, ocalałej pod cieplarnianym kloszem szaraszek, wybujało - jak niewidzialne drzewo - zrozumienie i pamięć o tych latach...

Abramson miał książkę przed oczyma, ale nie czytał.

Wtedy właśnie na skraju jego pościeli przysiadł Nierzyn.

Ci dwaj poznali się przed trzema laty w butyrskiej celi - tej samej, gdzie siedział też

Potapow. Abramson kończył wtedy swoją pierwszą więzienną dychę, zadziwiał kolegów z celi swoim lodowatym, aresztanckim autorytetem, głębokim sceptycyzmem w stosunku do każdej więziennej kwestii, sam zaś żył w duchu tylko szaleńczą nadzieją na bliski powrót do rodziny.

Zabrano ich w różne strony. Abramson został zresztą wkrótce przez nieuwagę wypuszczony - ale tylko na taki okres, aby rodzina jego zdążyła zwinąć manatki i przenieść się do miasteczka Sterlitamak, gdzie milicja zgodziła się Abramsona zameldować. Gdy tylko rodzina przyjechała - zaraz go zatrzymano i przeprowadzono dochodzenie w jednej tylko kwestii - czy to on właśnie był na zesłaniu od 29-go do 34-go roku i czy następnie siedział w więzieniu? I wyjaśniewszy, że owszem, że już w pełni odsiedział i odbył nawet z nawiązką wszystko, na co go skazano - Kolegium Specjalne dało mu za to jeszcze dziesięć lat. Kierownictwo zaś szaraszek dowiedziało się dzięki wielkiej wszechzwiązkowej kartotece aresztowanych, że stary fachowiec znowu siedzi, i z całą przyjemnością wyciągnęło go znów do szaraszki. Abramson został przywieziony do Marfina i, jak to zawsze w świecie więziennym, zaraz spotkał swoich starych znajomych, między innymi - Nierżyna i Potapowa. I kiedy po pierwszym spotkaniu stali tak i palili na schodach, Abramson miał wrażenie, że nie wracał na rok na wolność, że nie widział swojej rodziny, że nie zdążył przez ten czas nagrodzić żony dzieckiem, że to był sen, bezlitosny dla więźniarskiego serca, i że jedyna prawdziwa rzeczywistość w świecie - to więzienie.

Nierżyn przysiadł się, aby zaprosić Abramsona do stołu - bo jednak postanowiono uczcić jego urodziny. Abramson z opóźnieniem pogratulował Nierżynowi i zapytał patrząc spod okularów - kto jeszcze będzie. Świadomość, że trzeba będzie nakładać kombinezon, rozbijając sobie tak cudownie, konsekwentnie, w samej tylko bieliźnie spędzaną niedzielę, że trzeba odkładać zabawną książkę i brać udział w jakichś imieninach - nie sprawiała Abramsonowi najmniejszej nawet przyjemności. Co najważniejsze, wcale nie sądził, że będzie mu tam miło, był prawie pewien, że rozgorzeje jakiś spór polityczny, że, jak zawsze, będzie on bezpłodny, że nic nikomu nie da, ale że nie będzie można uniknąć wplątania się, a dać się wplątać też nie wolno, ponieważ swoich chowanych głęboko, tyle już razy spotwarzanych myśli nie wolno zwierzać „młodemu” więźniom, jak nie wolno im pokazywać własnej żony bez odzieży.

Nierżyn wymienił zaproszonych. Rubin był jedyną w całej szaraszce osobą naprawdę bliską Abramsonowi, a jeszcze trzeba było zbesztać go za dzisiejszą farsę, niegodną

prawdziwego komunisty. Sołogdina i Priancykowa Abramson nie lubił. Dziwne to, ale Rubin i Sołogdin uchodzili za przyjaciół, może dlatego, że razem leżeli na butyrskich pryczach. Administracja więzienia też ich nie bardzo rozróżniała i w przeddzień rocznicy październikowej obu razem wysłała na „święteczną izolację” do Lefortowa.

Ale co było począć, Abramson zgodził się. Został zawiadomiony, że uczta rozpocznie się między łózkami Potapowa i Priancykowa za pół godziny, skoro tylko Andreicz skończy ubijanie kremu.

W trakcie rozmowy Nierzyn zdążył zauważyć, co Abramson czyta, i powiedział:

- Też miałem kiedyś okazję przeczytać w więzieniu „Monte Christo”, tylko nie do końca. Zwróciło moją uwagę, że chociaż Dumas bardzo się stara o wrażenie grozy, to jednak pokazuje zamek If jako więzienie zupełnie patriarchalne. Nie mówiąc już o lekceważeniu dla takich miłych drobiazków jak codzienne wynoszenie kibla z celi, co Dumas jako typowy frajerek przemilcza - niech pan zgadnie, dlaczego właściwie Dantesowi udała się ucieczka? Dlatego, że u nich całymi latami nie było w celi kipiszów, podczas gdy przepisy wymagają, ażeby je robić co tydzień, no i ma pan rezultaty: podkop nie został wykryty. Następnie u nich tam w ogóle nie zmieniano dyżurnych klawiszów - powinni zaś - jak to wiemy z najbardziej bezpośredniego doświadczenia - być zmieniani co dwie godziny, żeby jeden funkcjonariusz mógł przyłapać drugiego na jakimś niedopatrzeniu. A w zamku If całymi dobami nikt do celi nie wchodził, ani nawet nie zaglądał. Nie mieli nawet w tych celach judasza wprawionego w drzwi - tak że ten cały If to nie więzienie, tylko morskie uzdrowisko! Dopuszczalne było nawet zostawienie w celi metalowego rondla - i Dantes nim właśnie dłubał sobie w ziemi. Wreszcie umarłego spokojnie i ufnie zaszyli w brezent nie przypalając go nawet w kostnicy czerwonym żelazem i nie przebijając go bagnetem na wartowni. Dumas powinien był nie tyle dbać o grozę, ile o elementarną metodyczność.

Nierzyn nigdy nie czytał książek po prostu dla rozrywki. Szukał w książkach sojuszników albo wrogów, o każdej przeczytanej książce wyrokował dbając o uzasadnienie i swój werdykt lubił narzucać innym.

Abramson wiedział o tym jego przykrym zwyczaju. Wysłuchał go nie podnosząc głowy z poduszki, spokojnie patrząc przez swoje kwadratowe okulary.

- Więc przyjdę - odparł, ułożył się wygodniej i znów zabrał się do lektury.

Nierzyn oddalił się, aby pomóc Potapowowi przy robieniu kremu. W ciągu głodowych

lat niemieckiej niewoli i sowieckich więzień Potapow doszedł do przekonania, że proces zucia jest w naszym życiu wcale nie czymś godnym pogardy czy wstydlwym, lecz jedną z tych rozkosznych rzeczy, w których głębi odsłania się nam istota bytu.

Porami herbat i kolacji, Śniadań, obiadów - nie bez racji Oznaczać lubię pory dnia

- powtarzał za Puszkinem ten znany w całej Rosji specjalista od wysokich napięć, który całe swoje życie oddał transformatorom o mocy tysięcy KVA, KVA, KVA (kilowoltamperów).

Jako że Potapow należał do tych inżynierów, których ręce potrafią nadążyć za głową, więc szybko stał się wybitnym kucharzem; w Kriegsgefangenenlager wypiekał pomarańczowy tort z samych łupin ziemniaczanych, zaś będąc w szara-szkach skupił się na cukiernictwie i osiągnął w tej dziedzinie szczyty.

Teraz krzątał się koło dwóch zestawionych razem nocnych stolików w ciemnym przejściu między swoim łóżkiem a koją Priancykowa - przyjemny półmrok panował tu dlatego, że materace górnych łóżek zasłaniały lampy. Dzięki temu, że izba była półkolista (koje stały promieniście), przejście było z początku wąskie, a ku oknu się rozszerzało. Ogromny parapet, szeroki na cztery i pół cegły, też był cały wykorzystany przez Potapowa, wszędzie były porozstawiane puszki po konserwach, pudełka z masy i miseczki. Potapow celebrował swoje kucharskie czynności ucierając z dwóch jaj i zagęszczonego kakao (część tych darów przyniósł i podrzucił mu Rubin, który często dostawał paczki z domu i zawsze dzielił się nimi) - coś, co nie miało nazwy w żadnym ludzkim języku. Burknął teraz na Nierzyna, że się gdzieś zawieruszył, i kazał mu wydostać skądś brakujące jeszcze kieliszki (mieli już nakrętkę od termosu, dwie zlewki z laboratorium i dwa naczynka z przetłuszczonego papieru, które Potapow skleił na wzór tych kubeczków, w jakich na wolności sprzedaje się lody). Nierzyn zaproponował, aby dwa brakujące kieliszki zastąpić miseczkami do golenia i zobowiązał się uczciwie wymyć je gorącą wodą.

W półkolistej izbie zapanował spokojny nastrój niedzielnego wypoczynku. Jedni siadali na łózkach, żeby pogwarzyć z leżącymi kolegami, inni czytali i przerzucali się uwagami z sąsiadami, jeszcze inni leżeli w milczeniu, bez ruchu, z rękoma pod głową i oczyma wbitymi w biały sufit.

Wszystko to składało się na ogólny gwar.

Technik od pomp, Ziemiela, folgował sobie: leżał na górnej koi w samych kalesonach (na górze było gorąco) gładził się po owłosionej piersi i ze zwykłym swoim pocziwym

uśmiechem mówił do Mordwina Miszki leżącego dwa rzędy dalej:

- Jakbyś chciał wiedzieć, to wszystko zaczęło się od półkopiejki.

- Dlaczego od półkopiejki?

- Dawniej, w dwudziestym szóstym, dwudziestym ósmym roku, jeszcze mały byłeś, nad każdą kasą wisiała tabliczka: „Żądajcie półkopiejki reszty!”, bo była taka monетка - półkopiejka. Kasjerki wydawały bez jednego słowa. I w ogóle na dworze był NEP, czyli spokojne lata.

- Nie było wojny?

- Co za wojna, ale głupi! To było jeszcze przed wszystkimi wojnami, no, spokojne lata. Takie dzieje... Podczas NEP-u w biurze pracowało się sześć godzin, nie jak teraz. I jakoś dawano sobie radę. A jak musiał człowiek zostać jeszcze na kwadrans - to już mu nadgodziny lecały. No i jak myślisz, co pierwsze zniknęło? Półkopiejki! Od tego się wszystko zaczęło. Później - zniknął cały miedziany bilon. Jeszcze później, w trzydziestym roku - srebrny, w ogóle drobnych zabrakło. Nikt nie wyda ci reszty, choćbyś pękł. I od tej chwili nie ma porządku. Nie ma drobnych - no to zaczęto liczyć wszystko na ruble. Żebrak nie prosi już na rany Chrystusa, żeby mu dać kopiejeczkę, tylko żąda - „Obywatele, dajcie rubla!” Jak pobierasz pensję w biurze, to lepiej nawet nie pytaj, ile ci się tam kopiejek jeszcze należy, bo wyśmieją, że sknera! Tylko że głupio się śmieją! Te półkopiejki - to cały szacunek dla człowieka, a jak ci nie dają sześćdziesięciu kopiejek reszty z rubla - to znaczy, że wolno ci narobić na głowę. Nie broniliśmy tej półkopiejki i zaraz pół życia na marne.

W innym kącie, też na górze, jakiś więzień oderwał się od książki i powiedział do sąsiada:

- Ale durne były te carskie rządy! Słuchaj - niejaka Saszeńka, rewolucjonistka, przez osiem dni i nocy głodowała, żeby tylko naczelnik więzienia ją za coś przeprosił - i ten kretyn przeprosił. Spróbowałbyś zażądać, żeby naczelnik z Krasnej Presni cię przeprosił!

- U nas by ją, idiotkę, już na trzeci dzień nakarmili przez kizkę i jeszcze by drugi wyrok przysobaczyli, za prowokację. Gdzieżeś to wyczytał?

- U Gorkiego.

Leżący opodal Dwojetiosow poderwał się:

- Kto tu czyta Gorkiego? - zapytał groźnym basem.

- Ja.

- A po cholere?

- A co mam czytać?

- A idź lepiej do wychodka, posiedź sobie ze smakiem! Też mi mądrale, humaniści, prac waszą mać.

W dole pod nimi trwała odwieczna więzienna dyskusja na temat: kiedy lepiej iść do mamra. Już sam sposób stawiania sprawy zawierał fatalistyczne założenie, że więzienia nikt nie uniknie. (W więzieniach w ogóle panowała skłonność do przesady w sprawie liczby więźniów i podczas gdy w rzeczywistości było ich wszystkiego dwanaście-piętnaście milionów, ogół zeków był przekonany, że jest ich dwadzieścia a może nawet trzydzieści milionów. Zek był w zasadzie przekonany, że na wolności nie ma już prawie mężczyzn). „Kiedy lepiej iść do mamra?” - to znaczyło: w młodości czy na starość? Jedni (zwykle są to młodzi) - z optymistycznym zapałem dowodzą w takich wypadkach, że lepiej iść do mamra za młodu: zdąży wtedy człowiek nauczyć się, co to jest w ogóle życie, co w nim jest cenne, a co głównie warte, i już mając mniej więcej trzydzieści pięć lat, kiedy odpękał swoją dychę, może ułożyć sobie życie w rozsądny sposób. Ten zaś, który idzie do mamra na starość, wrywa sobie tylko włosy, że żył nie tak, jak należy, że cała jego przeszłość - to jeden łańcuch pomyłek, których nie sposób już naprawić. Inni (zwykle starsi wiekiem) w takich wypadkach z nie mniejszym zapałem i optymizmem utrzymywali, że jest zupełnie odwrotnie, że ten, kto idzie do mamra na starość - przechodzi jakby na spokojną emeryturę lub do klasztoru, że w ciągu swoich najlepszych lat miał wszystko, czego się żąda od życia (we wspomnieniach zeków to „wszystko” sprowadza się do kobiecego ciała, dobrych ubrań, pożywnego jedzenia i alkoholu), w obozie zaś ze starego i tak siedmiu skór nie zedrą. Młodego natomiast, powiadali, zeszmacą tam i pokaleczą tak, że potem nawet bab mu się odechce.

Taki spór trwał dzisiaj w półkolistej celi i tak zawsze dyskutują skazańcy, jedni żeby znaleźć pociechę, inni - żeby dotknąć starych ran, ale prawda jakoś wcale nie mogła się wykluc z ich argumentów i żywych przykładów. W niedzielne wieczory wyglądało na to, że iść do mamra - zawsze dobrze, a kiedy wstawali w poniedziałek rano - było jasne, że iść do mamra zawsze źle.

A przecież to też nieprawda...

Spór na temat „kiedy lepiej iść do mamra” należał do takich, które nie wprawiają dyskutantów w rozdrażnienie, lecz mają działanie uspokajające, pogrążając ich w filozoficznej melancholii; ten spór nigdy i nigdzie nie kończył się wybuchem.

Tomasz Hobbes powiedział kiedyś, że w imię słusznego twierdzenia: „suma kątów w trójkącie zawsze równa się 180 stopniom” przelewano by krew tylko w tym przypadku, gdyby twierdzenie to sprzeczne było z którymiś interesami.

Ale Hobbes nie znał duszy więźnia.

Na ostatnim łóżku koło drzwi była właśnie w toku taka dyskusja, która mogła doprowadzić do mordobicia albo przelewu krwi, mimo, że jej przedmiot nie zahaczał o niczyje interesy; do elektryka przyszedł tokarz, żeby wypełnić przyjacielską pogawędką wolny wieczór. W rozmowie doszli jakoś do Siestroriecka, a następnie - do pieców, jakimi ogrzewa się domy w tym miasteczku. Tokarz mieszkał sam w Siestroriecku przez jedną zimę i dobrze pamiętał tamtejsze piece. Elektryk nigdy osobiście tam nie mieszkał, ale miał szwagra zduna, pierwszorzędnego zduna, który budował piece właśnie w Siestroriecku i mówił o nich coś zupełnie innego niż tokarz. Ich sprzeczka, która zaczęła się od zwykłych przekomarzań, doszła już do drżenia w głosie, do obelg, już zagłuszyła wszystkie rozmowy w celi - przeciwnicy mieli uczucie dręczącej bezradności, nie mogli czarno na białym dowjeść swojej racji, daremnie szukali wśród otoczenia jakiegoś rozjemcy - i nagle przypomnieli sobie, że stróż Spirydon dobrze zna się na piecach, a w każdym razie powie temu drugiemu, że takich niedorzecznych pieców nie ma nie tylko w Siestroriecku, ale w ogóle nigdzie. I obaj popędzili szukać stróża - ku zadowoleniu całej celi.

Ale w pośpiechu nie domknęli za sobą drzwi - i z korytarza przedostały się odgłosy sprzeczki nie mniej zapienionej - kiedy właściwie rozpoczyna się druga połowa dwudziestego wieku - 1 stycznia 1950 czy 1 stycznia 1951? Ten spór widać trwał już od dawna i sprowadził się teraz do takiej kwestii: 25 grudnia jakiego właściwie roku urodził się (albo umownie urodził się) Chrystus?

Drzwi zatrzaśnięto. Głowa przestała puchnąć od hałasu, w izbie zrobiło się cicho i słychać było, jak Chorobrow tłumaczy łysemu konstruktorowi leżącemu na górnej pryczy:

- Kiedy nasi wezmą się do pierwszego lotu na księżyc, to przed startem, koło rakiety, będzie zwołany wiec, ma się rozumieć. Załoga rakiety podejmie zobowiązanie: oszczędzić paliwa, przekroczyć w trakcie lotu maksymalną prędkość kosmiczną, nie zatrzymywać się w drodze dla remontu pojazdu, a na księżycu wylądować tylko na „bardzo dobrze” albo „celująco”. Z trzech członków załogi jeden będzie politrukiem. W trakcie lotu będzie on wśród pozostałych dwóch członków załogi bezustannie prowadzić pracę polityczno-oświatową na temat potrzeby lotów kosmicznych i zaprzęgnie ich do robienia gazetki

ściennej.

Usłyszał to Priancykow, który biegł właśnie przez izbę z ręcznikiem i mydłem. Baletowym krokiem podskoczył do Chorobrowa i powiedział z miną tajemniczą i mroczną:

- Proszę się uspokoić. Będzie zupełnie inaczej.

- A jak będzie?

Priancykow przyłożył palec do ust gestem zapożyczonym z filmu kryminalnego:

- Bo i tak pierwsi polecą na księżyc Amerykanie!

Roześmiał się dźwięcznie jak dziecko.

I wybiegł.

Grawer przysiadł na łóżku Sołogdina. Jeszcze dłuższą chwilę toczyli rozmowę o kobietach. Grawer miał jakieś czterdzieści lat, był prawie zupełnie siwy, ale twarz miał całkiem młodą. Podkreślało to jego męską urodę.

Grawer był dziś w znakomitym nastroju. To prawda, rano popełnił omyłkę: zjadł swoją nowelę skręciwszy z niej papierową pigułę, chociaż, jak się okazało, mógł przenieść ją przez rewizję i pokazać żonie. Ale za to podczas widzenia dowiedział się, że w ciągu tych miesięcy żona pokazała jego poprzednie nowele kilku zaufanym ludziom i że wszyscy oni są zachwyceni... Oczywiście, pochwały znajomych i krewnych mogły być przesadzone i niezupełnie zasłużone, ale kto u diabła ocenia w ogóle sprawiedliwie? Lepiej czy gorzej, ale grawer chciał ocalić dla wieczności prawdę - krzyk duszy o tym, co zrobił Stalin z milionami rosyjskich byłych jeńców. I teraz był pełen dumy i radości, już ostatecznie zdecydowany, żeby pisać nowele dalej! Zresztą udało mu się całe dzisiejsze widzenie: żona była mu oddana, starała się o jego zwolnienie, niedługo powinny już być pozytywne skutki.

I szukając ujścia dla tych radosnych myśli, długo już zwierzał się temu niegłupiemu, ale zupełnie przeciętnemu Sołogdinowi, który ani w przeszłości, ani w perspektywie nie mógł zaliczyć sobie takich cudów, jak on.

Sołogdin leżał na wznak, zupełnie swobodnie, położywszy na piersi rozwartą książeczkę grzbietem do góry, darząc rozmówcę tylko krótkimi błyskami oczu. Ze swoją lekko kędzierzawiącą się, płową bródką, jasnymi oczyma, wysokim czołem i prostymi rysami starorosyjskiego witezia, Sołogdin był niesamowicie, nieprzyzwoicie aż przystojny.

Był dziś w znakomitym nastroju. Czuł, jak mu pierś przepełnia radość zwycięstwa nad aparatem do absolutnej szyfracji. Jego wyjście na wolność było teraz kwestią jednego roku. Zawrotna kariera mogła oczekiwać go zaraz za bramą. Ponadto, dziś jego ciała nie dręczyło

jak zwykle pożądanie, uzyskał spokój, tak jakby go ktoś odszumował.

I szukając ujścia dla poczucia swojego tryumfu, tak sobie, dla rozrywki, leniwie prześlizgiwał się nad zawiłościami czyjejs tam, zupełnie mu obojętnej historii, jaką opowiadał właśnie ten obcy, niegłupi, ale zupełnie przeciętny człowiek, który ani w przeszłości, ani w perspektywie nie mógł zaliczyć sobie takich cudów, jak Sołogdin.

Często słuchał ludzi tak, jak gdyby w ten sposób okazywał im łaskę i jedynie z grzeczności starał się tego nie okazywać.

Z początku grawer opowiedział mu o swoich dwóch żonach w Rosji, następnie przeszedł do wspominków o życiu w Niemczech i o ślicznych Niemeczkach, z którymi tam romansował. Przeprowadził porównanie między Rosjankami a Niemkami i doszedł do nowego dla Sołogdina wniosku. Powiedział, że mając za sobą doświadczenia z jednymi i drugimi, woli Niemki; że rosyjskie kobiety są zbyt samodzielne, niezależne, zbyt czujne jakby w miłości - ich baczone oczy cały czas badają ukochanego, wyszukują w nim słabe strony, to znajdują, że za mało w nim szlachetności, to znów, że za mało męstwa - rosyjska kochanka wydaje ci się zawsze kimś równorzędnym; podczas gdy Niemka w rękach ukochanego gnie się jak trzcina, kochanek jest dla niej bogiem, jest największy i najlepszy na świecie, zdaje się na jego łaskę i niełaskę, nie śmie marzyć nawet o niczym innym, tylko - jakby odgadnąć jego życzenia. Dlatego to w towarzystwie Niemek grawer czuł się mężczyzną i panem w o wiele większym stopniu.

Rubin był na tyle nieostrożny, że wyszedł palić na korytarz. Ale podobnie jak każdy przechodzień stara się nałuskać trochę grochu w polu, tak samo wszyscy w szarazce zaczepiali Rubina. Opędziwszy się z trudem od nonsensownej sprzeczki na korytarzu, przecinał właśnie izbę spiesząc się do swoich książek, ale ktoś z leżących nisko chwycił go za spodnie i zapytał:

- Lwie Grigoriczu! Czy to prawda, że w Chinach listy z donosami można posyłać bez znaczków?

Rubin wyrwał się, chciał iść dalej. Ale inżynier energetyk leżący na górnym poślaniu zwiesił rękę, chwycił Rubina za kołnierzyk kombinezonu i zaczął mu bardzo dobitnie kłaść w ucho zakończenie jakiegoś dawnego sporu:

- Lwie Grigoriczu! Należy tak przebudować sumienie ludzkie, aby ludzie mogli chlubić się jedynie tym, co zrobią własnymi rękoma, i żeby wstyd im było być nadzorcami, rozkazodawcami, takimi, co tylko ozorem pracują... Niechby małżeństwo dziewczyny z

urzędnikiem było wstydem dla całej jej rodziny - o, taki socjalizm tobym uznał!

Rubin wyrwał kołnierz z jego garści, przedostał się do swego łóżka i położył się na brzuchu. Znow sięgnął po słownik.

58

Siedmiu ich rozsiadło się przy stole zestawionym z trzech nocnych szafek nierównej wysokości, przykrytych arkuszem trawiastozielonego, ponemieckiego papieru. Sołogdin z Rubinem przysiedli się do Potapowa, na jego łóżko, Abramson i Kondraszow - do Priancykowa, solenizant zaś siedział w głowach stołu, na okiennym parapecie. Nad nimi drzemał Ziemiela, inni sąsiedzi byli gdzieś dalej. Między piętrowymi kojami powstał jakby osobny przedział. Pośrodku stołu w plastikowej miseczce leżał chrust przyniesiony przez Nadię - specjał nigdy tu nie oglądany. Dla siedmiu męskich gąb było to śmiesznie mało. Dalej były zwykle biszkopty i biszkopty posmarowane kremem, które zyskały dzięki temu rangę ciastek. Były jeszcze śmietankowe ciągutki otrzymywane drogą długotrwałego gotowania puszki skondensowanego mleka. Za plecami Nierżyna, w litrowym słoiku z ciemnego szkła ukryta była zaś pewna tajemnicza ciecz, do której potrzebne były kieliszki. Podstawą tej mikstury była odrobina spirytusu wytargowana od zeków z pracowni chemicznej za wysoką cenę. Spirytus był rozcieńczony wodą w proporcji jeden do czterech i zabarwiony kakaowym kondensatem. Płyn był brązowawy, alkoholu w nim było niewiele, niemniej wzbudzał niecierpliwe pożądanie.

- No, panowie - powiedział Sołogdin przybierając efektowną pozę; oczy błyszczały mu nawet w tym półmroku. - A co, jeżeli spróbujemy sobie uprzytomnić, kto z nas i kiedy brał udział w uczcie po raz ostatni?

- Ja, wczoraj, z Niemcami - mruknął Rubin, który nie znosił patosu.

To, że Sołogdin wszystkich zawsze nazywał panami, Rubin objaśniał sobie jako rezultat urazu psychicznego po dwunastu latach więzienia. Było nie do pomyślenia, żeby ktoś w trzydziestym trzecim roku rewolucji używał tego zwrotu poważnie. Ten właśnie uraz musiał wypaczyć większość poglądów Sołogdina. Rubin starał się zawsze o tym pamiętać i trzymać nerwy na wodzy, chociaż nieraz musiał wysłuchiwać wielu dziwactw.

(Dla Abramsona zaś takim samym dziwactwem było już to, że Rubin uctował sobie z Niemcami. Nawet internacjonalizm musi przecież mieć rozumne granice!) - Nieee - upierał się Sołogdin - mam na myśli prawdziwą ucztę, prawdziwy stół, panowie! - Miał satysfakcję za każdym razem, gdy mógł zastosować tę tytułaturę. Był zdania, że aż nazbyt wiele miejsca

na ziemi dano „towarzyszom”, na wąskim zaś zagonie więziennego gruntu powinni przełknąć tych jego „panów” nawet ci, którym to się nie podoba. - Niezbędne atrybuty to - ciężki obrus w blade kwiaty, wino w kryształowych dzbanach, no i oczywiście wytworne kobiety!

Chciał odsunąć początek uczyty, żeby dłużej delektować się oczekiwaniem, ale Potapow zazdrosnym i wszystkowidzącym wzrokiem gospodyni ogarnął stół i gości; wtrącił się mrukliwie, jak to miał w zwyczaju:

- Rozumiecie chłopcy, póki

Postrach północnych wart i rontów

nie złapał nas jeszcze z tą miksturką, to korzystajmy i przejdźmy do części oficjalnej.

I dał znak Nierzynowi, że można nalewać.

Podczas gdy napój rozlewano do kieliszków, wszyscy milczeli, każdy bezwiednie przypominał sobie to i owo.

- Dawno to było - westchnął Nierzyn.

- Wcale sobie nie przypominam - otrząsnął się Potapow. Ze wściekłego wiru przedwojennej pracy mógł wyłowić chyba tylko wspomnienie o jakimś przyjęciu ślubnym - ale nie potrafiłby powiedzieć na pewno, czy był to jego własny ślub, czy cudzy.

- Nie, dlaczego nie? - ożywił się Priancykow. - *Avec plaisir!* Zaraz wam wszystko opowiem. Było to w Paryżu w czterdziestym piątym...

- Chwileczkę, Walentula - przyhamował go Potapow - a więc?...

- Za winowajcę dzisiejszej uroczystości! - głośniejszy niżby należało powiedział Kondraszow i wyprostował się jeszcze bardziej. - Niechże nam...

Ale goście jeszcze nie zdążyli wziąć się za kieliszki, gdy Nierzyn podniósł się z miejsca - siedząc na parapecie mógł sobie na to pozwolić - powiedział cicho:

- Przyjaciele! Wybaczcie, że wykraczam przeciw tradycji! Ja... - musiał nabrać tchu, bo poczuł wzruszenie. Miał wrażenie, jakby w nim coś rozgrzało się i scaliło od ciepła bijącego z tych siedmiu par oczu.

- Bądźmy sprawiedliwi! Nie wszystko w naszym życiu jest takie czarne! Przecież właśnie tego szczęścia - swobodnej, męskiej biesiady przy licealnym stole*, nieskrępowanej wymiany myśli, bez bojaźni, bez ukrywania się - tego szczęścia nikt z nas nie miał przecież na wolności.

- Właściwie to samej wolności też jakby prawie nie było - uśmiechnął się Abramson.

Jeżeli nie liczyć dzieciństwa, to spędził on na wolności w istocie mniejszą część swego życia.

- Przyjaciele! - ciągnął z jeszcze większym zapalem Nierzyn. - Mam trzydzieści jeden lat. W ciągu tych lat byłem już i na wozie, i pod wozem. I zgodnie z wykresem sinusoidy będą może jeszcze w moim życiu przyływy czcnych sukcesów, fałszywej wielkości. Ale przysięgam wam, że nigdy nie zapomnę, czym jest ta prawdziwa ludzka wielkość, którą poznałem w więzieniu! Jestem dumny, że moja dzisiejsza skromna rocznica zgromadziła koło mnie takich świetnych ludzi. Nie wstydzmy się tej odrobiny wzniosłości! Wnieśmy toast ku czci przyjaźni rozkwitającej w więziennych lochach!

Papierowe szklaneczki bezdźwięcznie trącały o szklanki i kieliszki z plastiku. Potapow uśmiechnął się ze skruchą, poprawił swoje okulary w drucianej oprawie i dzieląc wyraźnie sylaby wyrecytował:

Znani z talentów znakomitych Zacni członkowie bractwa tego, Zwykli się zbierać u Nikity, Albo u liii przezornego.

Brunatny napój pili powoli, starając się zgłębić cały jego aromat.

- A swoją siłę ma! - pochwalił Rubin. - Brawo Andreicz!

- Siłę ma - potwierdził Sołogdin. Był dzisiaj w takim nastroju, że wszystko by chwalił. Nierzyn zaśmiał się:

* Aluzja do słynnych dysput licealistów z Carskiego Sioła, gdzie kształcił się Puszkina. Swoim ucztom i dyskusjom z Delwigiem, Kuchelbeckerem i in. poświęcił sporo wierszy.

- Rzadki to wypadek, żeby Lew i Mitia byli jednego zdania! Nie pamiętam już, kiedy to było.

- Nie; dlaczego, kochany? A pamiętasz, jakeśmy się zgodzili ze Lwem kiedyś na Nowy Rok, że żonie zdrady wybaczyć nie wolno, a mężowi wolno?

Na twarzy Abramsona pojawił się znużony uśmiech:

- Ba, jaki mężczyzna by się z tym nie zgodził?

- A właśnie ten egzemplarz - Rubin wskazał palcem na Nierzyna - utrzymywał wtedy, że można to wybaczyć również kobiecie, że tu nie ma różnicy.

- Naprawdę pan tak mówił? - szybko zapytał Kondraszow.

- Ale kokiet! - dźwięcznie zaśmiał się Priancykow - jak to w ogóle można porównywać?

- Sama budowa ciała i sposób spółkowania dowodzą, że różnica jest tu olbrzymia! -

zawołał Sołogdin.

- Nie, trzeba sięgnąć głębiej - zaprotestował Rubin - widzimy tu wielki plan przyrody. Dla mężczyzny jest dosyć obojętna jakość kobiety, zależy mu zaś - dziwna rzecz - na ilości. Dzięki temu zostaje na placu bardzo niewiele kobiet zupełnie pominiętych.

- I dlatego to działalność donżuanów jest dobroczynna! - Sołogdin podniósł rękę w eleganckim, uprzejmym geście.

- Kobiety natomiast dbają o jakość, trzeba wam wiedzieć! - potrząsnął długim palcem Kondraszow. - Ich zdrady to akty poszukiwania jakości! - i w ten sposób doskonali się progenitura!

- Nie miejcie do mnie pretensji, przyjaciele - usprawiedliwiał się Nierzyn - przecież rosłem w tych czasach, kiedy nad naszymi głowami trzepotały czerwone płótna ze złotymi literami Równość! Później, rzecz jasna...

- Też mi równość! - burknął Sołogdin.

- A cóż to wam się nie podoba w równości? - zapytał ostro Abramson.

- A to, że nic ma jej nigdzie w całej przyrodzie! Nic i nikt nie rodzi się jako równe innym, to wymysł jakichś durniów, tych, no... wszystkoznajów. - (Trzeba było domyślić się, że chodzi mu o encyklopedystów). - Przecież oni nie mieli pojęcia o dziedziczności! Ludzie rodzą się naznaczeni nierównością duchową, nierównością woli, nierównością zdolności...

- Nierównością majątkową, nierównością klasową - dodał tym samym tonem Abramson.

- A gdzie pan widział równość majątkową? A czyście wy ją wprowadzili? - Sołogdin już się zaperzał. - Nigdy jej nie będzie! Jest osiągalna tylko dla nędzarzy i dla świętych!

- Później, rzecz jasna - trwał przy swoim Nierzyn, przerywając zaogniony spór - życie nieźle dało po głowie mnie i innym durniom, ale wtedy wydawało się, że jeśli równe są wszystkie narody, wszyscy ludzie, to chyba także kobiety i mężczyźni są równi, i to we wszystkim?

- Nikt tu do pana nie ma pretensji! - powiedział Kondraszow z tym samym pośpiechem. - Niech się pan tak prędko nie poddaje!

- Te bzdury można ci wybaczyć jedynie ze względu na twój szczeniący wiek - oświadczył Sołogdin. (Był starszy o pięć lat).

- Teoretycznie Gleb ma rację - powiedział Rubin z pewnym skrępowaniem.

- Ja także gotów jestem skruszyć sto tysięcy kopii za sprawę równości mężczyzn i

kobiet - ale objąć własną żonę po tym, jak ją obejmował inny? - brrr! biologicznie nie potrafię!

- Ależ panowie, wręcz śmiesznie o tym dyskutować! - krzyknął Priancykow, ale, jak zwykle, nie dano mu skończyć.

- Panie Lwie, istnieje najprostsze wyjście - twardo oznajmił Potapow. - Niech pan sam nie obejmuje nikogo prócz własnej żony!

- No, wie pan... - bezradnie rozłożył ręce Rubin topiąc szeroki uśmiech w korsarskiej brodzie.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, ktoś wszedł. Potapow i Abramson obejrżeli się. Nie, to nie był funkcjonariusz.

- A Kartagina powinna być zniszczona? - Abramson skinął w stronę litrowego słoja.

- I czym prędzej, tym lepiej. Kto ma chęć na siedzenie w karczerze? Wikienticz, nalewaj!

Nierzyn rozlał resztkę, skrupulatnie przestrzegając zasady równego podziału.

- No, tym razem pozwoli pan wypić zdrowie solenizanta? - spytał Abramson.

- Nie, moi bracia. Z praw solenizanta korzystam tylko po to, aby łamać tradycję. Ja... widziałem dzisiaj moją żonę. I zobaczyłem w niej... wszystkie nasze żony, zadręczone, zastraszone, zaszczute. My tu cierpimy dlatego, że nie wiemy, gdzie się podziać - a one? Wypijmy - za nie, za te, co się dobrowolnie przykuły do...

- Tak! To święta ofiara! - zawołał Kondraszow.

Wypili.

Pomilczeli chwilę.

- Ale śnieg! - powiedział Abramson.

Wszyscy się obejrżeli. Za plecami Nierżyna, za przymglonymi szybami nie było widać samego śniegu, tylko migwały czarne cętki - cienie padających płatków rzucone na okna więzienia przez reflektory i światła żony.

Gdzieś tam, za kurtyną tej szczodrej śnieżycy była teraz Nadia Nierżyna.

- Nawet śnieg dla nas pada nie biały, tylko czarny, taka nasza doła! - zawołał Kondraszow.

- Wypiliśmy za przyjaźń. Wypiliśmy za miłość. I wzniosie, i ładnie - pochwalił Rubin.

- W miłość nigdy nie wątpiłem. Ale żeby prawdę rzec, przed frontem i przed więzieniem wcale nie wierzyłem w przyjaźń, zwłaszcza taką, co to wiecie... „dać duszę

swoją za druhów swoich... „. Jak to czasem bywa - życie rodzinne jest, a przyjaźni nie ma, co?

- Często tak się sądzi - odparł Abramson. - O, już od stu pięćdziesięciu lat powszechnie jest śpiewana taka pieśń - „Pośród rozległych pól”, żądają jej teraz w koncertach życzeń. A jak wniknie człowiek w tekst - to słyszy samo tylko żalosne skomlenie, żale jakiejś nędznej duszyczki:

Każdy ci będzie przyjacielem, Póki nie przyjdzie czarny dzień.

- Oburzające!!! - malarz aż się szarpnął wstecz. - Jak można jeden dzień choćby przeżyć z takimi poglądami? Toć łatwiej się powiesić!

- A słuszniej byłoby odwrócić to twierdzenie: dopiero jak nadejdzie czarny dzień, dowiadujesz się, że masz przyjaciół.

- Kto napisał tę pieśń?

- Mierzlakow.

- I nazwisko też sobie wybrał! Ix>wka, co to za Mierzlakow?

- Poeta, starszy od Puszkina o jakieś dwadzieścia lat.

- Znasz oczywiście jego życiorys?

- Profesor uniwersytetu moskiewskiego. Tłumacz „Jerozolimy wyzwolonej”.

- No i powiedzcie, czego ten Lowka nie zna? Chyba wyższej matematyki.

- Niższej też.

- Ale zawsze musi powiedzieć: „wyprowadźmy poza nawias”, „jeśli podnieść te braki do kwadratu”...

- Panowie! A ja wam dam przykład, że Mierzlakow ma rację! - zachłystując się z pośpiechu jak dziecko posadzone z dorosłymi przy jednym stole, wtrącił swoje trzy grosze Priancykow. Niczym nie ustępował żadnemu ze swoich sąsiadów, był niezwykle bystry, dowcipny, jego szczerść zjednywała mu serca. Ale nie było w nim męskiego hartu ani godnej prezencji, przez co wyglądał o piętnaście lat młodziej i wielu odnosiło się do niego jak do wyrostka. - To już dawno dowiedzione: najgorszym zdrajcą okazuje się właśnie ten, co je z tobą z jednej menażki! Miałem bliskiego przyjaciela, z którym razem uciekaliśmy z hitlerowskiego obozu, razem ukrywaliśmy się... Później znalazłem się w rodzinie poważnego business-mana, jego zaś zapoznano. z pewną francuską hrabiną...

- Co pan powie? - zdumiał się Sołogdin. Hrabiowskie i książęce tytuły zachowały dla niego niezwalczony urok.

- Nic dziwnego! Rosyjscy jeńcy żenili się nawet z markizami!

- Co pan powie?

- A kiedy generał-pułkownik Golikow zabrał się do tej swojej oszukańczej repatriacji - a ja, rzecz jasna, nie tylko że nie dałem się nabrać, ale ostrzegałem wszystkich naszych idiotów - nagle spotykam tego mojego najlepszego przyjaciela. I wyobraźcie sobie: to właśnie on mnie sprzedał, oddał w ręce KGB!

- Co za łotr! - zawołał malarz.

- Było to tak...

Prawie wszyscy już znali historię Priancykowa.

Dla Rubina było jasne, że wesoły, sympatyczny Walenty Priancykow, z którym można było bardzo pięknie przyjaźnić się w szaraszce, był w czterdziestym piątym roku gdzieś w Europie figurą, obiektywnie biorąc, reakcyjną i że to, co on nazywał zdradą ze strony przyjaciela (to znaczy - że ten przyjaciel pomógł Walentemu wbrew jego woli wrócić na łono ojczyzny), było wcale nie zdradą, tylko patriotycznym obowiązkiem.

Jedna historyjka ciągnęła za sobą następną. Potapow przypomniał książeczkę, którą wręczano każdemu repatriantowi: „Ojczyzna przebacza, Ojczyzna wzywa”. Napisane było w niej wyraźnie, że istnieje dekret prezydium Rady Najwyższej, nakazujący nie wdrażać postępowania sądowego nawet wobec tych repatriantów, którzy służyli w niemieckiej policji. Dziełka te, pięknie wydane, bogato ilustrowane, pełne mglistych aluzji do pewnych zmian w systemie kołchozów i w ustroju społecznym Związku, odbierane były już w trakcie rewizji na granicy, samych zaś repatriantów pakowano do suk i wieziono do kontrwywiadu. Potapow własnymi oczyma czytał taką książeczkę i chociaż sam repatriował się bez żadnego związku z tym dziełkiem, wściekała go szczególnie ta mała, wstrętna łobuzerka wielkiego państwa.

Abramson drzemał, jego okulary znieruchomiały. Wiedział z góry, zacznie się to głupie gadanie. Ale przecież trzeba było jakoś całą tę zgraję ściągnąć z powrotem do kraju.

Rubin i Nierzyn, którzy w kontrwywiadzie i celach więziennych przez pierwszy powojenny rok tak się zdążyli wyprażyć w potoku jeńców płynącym z Europy, jakby sami też całe cztery lata poniewierali się w niewoli - już przestali się interesować repatrianckimi opowiadaniem. Tym chętniej zaczęli w swoim końcu stołu namawiać Kondraszowa na rozmowę o sztuce. Ogólnie biorąc, Rubin uważał Kondraszowa za malarza nie bardzo wybitnego, za człowieka niezupełnie poważnego, jego wypowiedzi wydawały mu się

oderwane od wszelkiego gruntu gospodarczego i historycznego, ale z rozmów z nim - sam sobie z tego nie zdając sprawy, zawsze czerpał trochę wody życia.

Malarstwo dla Kondraszowa nie było sposobem zarobkowania ani zespołem wiadomości fachowych. Malarstwo było dla niego jedynym sposobem bycia. Wszystko naokół Kondraszowa - pejzaże, przedmioty, charakter ludzki, barwa - dźwięczało. Dźwięczało w jednym z dwudziestu czterech tonów pełnej gamy i Kondraszow potrafił bez wahania wymienić właściwy ton (Rubinowi na przykład odpowiadał dźwięk d-moll). Wszystko też, co było wokół niego - ludzki głos, chwilowy nastrój, powieść albo właśnie dźwięk gamy - miało swój kolor i Kondraszow bez żadnych wahań potrafił wymienić ten kolor (fis-dur - to był granat ze złotem).

Obojętność była jedynym stanem ducha, którego nigdy nie znał Kondraszow. Znany był za to ze swoich pasji i animozji oraz bardzo kategorycznych sądów. Był wielbicielem Rembrandta i zupełnie nie uznawał Rafaela. Uwielbiał Walentego Sierowa i był zawziętym wrogiem pieriedwiżników*. Niczego nie potrafił przeżywać połowicznie, mógł albo bezgranicznie się zachwycać, albo bezgranicznie oburzać się czymś. Nie chciał słyszeć o Czechowie, od Czajkowskiego odżegnywał się z dreszczem zgrozy („on mnie dławi! odbiera mi nadzieję i chęć do życia!”), ale z chorałami Bacha i z koncertami Beethovena czuł się tak zżyty, jakby je osobiście napisał.

Kondraszow został teraz wciągnięty do rozmowy o tym, czy malarstwo powinno naśladować naturę, czy też nie.

- Chce pan na przykład namalować otwarte okno, przez które widać letni ogród wczesnym rankiem - mówił Kondraszow. Głos miał młody, przechodzący w dyszkant w chwilach wzruszenia, i wystarczyło zamknąć oczy, aby móc sobie wyobrazić, że rozmawia się z młodzieńcem. - Jeśli uczciwie naśladować przyrodę namaluje pan wszystko tak, jak pan widzi - to czy to jednak będzie wszystko? A śpiew ptaków? A świeżość poranku? A ta niewidzialna, lecz wyczuwalna wszędzie czystość? Przecież rysując odczuwa pan to wszystko, to się staje częścią pańskiego pojęcia o letnim poranku - jak więc zawrzeć to w obrazie? Jak przekazać to odbiorcy? Widać - trzeba dodać coś dla uzupełnienia! Kompozycja, kolor, tylko to ma pan do dyspozycji.

- Więc nie wolno po prostu kopiować?

- A pewno, że nie! Zresztą w ogóle - Kondraszow już wpadał w swoje * Grupa malarzy-naturalistów urządzająca objazdowe (*pieriedwiżnyje*) wystawy w Rosji w ostatniej

ćwierci XIX wieku. podniecenie - każdy pejzaż (i każdy portret) zaczyna się od chwili zachwyty nad modelem, kiedy człowiek sobie myśli: ach, jakie to wspaniałe! ach, jakie to bycze! ach, gdyby udało się namalować tak, jak to teraz widzę! Ale kiedy zaczyna się robota, człowiek nagle widzi: zaraz! zaraz, toż tam, w modelu są jakieś niedorzeczności, nie, jakaś bzdura, nic się kupy nie trzyma! O, w tym miejscu i jeszcze w tym, i w tamtym! Przecież powinno być nie tak, tylko tak! I tak się właśnie maluje! - Kondraszow patrzył na sąsiadów z wyrazem zawadiackiej przewagi.

- No, ojcaszku, takie „powinno być” - to bardzo niebezpieczny przepis! - zaprotestował Rubin. - Z żywych ludzi zaczniecie robić jeszcze aniołów, diabłów, stawiać ich na koturny. Jeżeli pan maluje portret Andrzeja Potapowa, to na portrecie powinien być Potapow.

- A co to znaczy - pokazać go takim, jakim on jest? - buntował się malarz. - Zewnętrznie - owszem, powinien być podobny, to dotyczy proporcji twarzy, wykroju oczu, koloru włosów. Ale czy nie jest nieostrożnością twierdzić, że w ogóle można rozumieć i widzieć rzeczywistość właśnie taką, jaka jest? A szczególnie już - rzeczywistość uduchowioną? A któż to tak rozumie to wszystko i widzi?... I jeżeli - patrząc na portretowanego zobaczę w nim jakieś zdolności duchowe większe niż te, które on dotychczas w życiu przejawiał - to dlaczego nie mam pokusić się o ich pokazanie? Może to temu człowiekowi pomoże odnaleźć siebie samego i lepsze pierwiastki w sobie?

- Ależ z pana jest stuprocentowy socrealista! - Nierzyn klasnął w dłonie. - Foma Oskołupow po prostu nie wie, z kim ma do czynienia!

- Z jakiej racji mam pomniejszać duszę modela?! - Kondraszow groźnie błysnął swoimi przyrośniętymi do nosa okularami. - Powiem wam więcej: nie tylko portretowanie, ale wszelkie stosunki międzyludzkie może mają jako swój cel najważniejszy właśnie to: zobaczyć w drugim człowieku i uzmysłwić mu coś takiego, co powinno mieć prawo do życia! Co?

- Jednym słowem - machnął ręką Rubin - pojęcia obiektywizmu pan ani tu, ani nigdzie nie uznaje!

- A tak!!! Jestem nieobiektywny i tym się chlubię! - grzmiał Kondraszow.

- Cooo? Jak, jak, co pan mówi? - Rubin był oszołomiony.

- Tak! tak! Nieobiektywizm to przedmiot mojej dumy! - Kondraszow młócił rękoma i tylko górna koja nie pozwalała mu na rozmach. A pan, kochany Lwie, a pan? Pan też jest

nieobiektywny, pan tylko uważa się za obiektywnego, a to coś znacznie gorszego! Moja wyższość nad panem na tym polega, że zdaję sobie sprawę z mojego braku obiektywizmu! I uważam to za swoją zasługę! I jestw tym moje”ja”!

- Ja nie jestem obiektywny? - Rubin nie mógł wyjść ze zdumienia. - Nawet ja? Któż tedy zasłużył na to określenie?

- Ależ nikt!! - triumfował malarz. - Nikt!!! Nikt nigdy nie był i nigdy nikt nie będzie! Każdy akt poznania jest przecież zawczasu zabarwiony emocjonalnie - może nie mam racji? Prawda, która powinna być wnioskiem z długich badań - otóż czy ta mglista prawda nie jest przez nas przeczuwana jeszcze przed początkiem owych badań? Bierzemy do ręki książkę, autor wydaje nam się z jakichś tam przyczyn niesympatyczny, jeszcze książki nie otworzyliśmy, a już czujemy, że chyba nam się nie będzie podobać - i w rezultacie naprawdę nam się nie podoba! A pan na przykład zajął się porównywaniem stu rozmaitych języków. Pan zdążył się dopiero obłożyć słownikami, ma pan przed sobą roboty jeszcze na czterdzieści lat - a pan już w tej chwili jest przekonany, że wykaże pan, iż wszystkie słowa pochodzą od wyrazu „ręka”. Czy to obiektywizm?

Nierzyn głośno roześmiał się nad Rubinem, to mu się podobało. Rubin roześmiał się również - jak można było gniewać się na człowieka tak szczerego!

Kondraszow nie chciał mówić o polityce, ale Nierzyn zaraz skorzystał z okazji:

- Proszę zrobić jeszcze jeden krok, panie Hipolicie! Błagam o jeszcze jeden krok! No - a Marks? Jestem pewien, że nie wgłębiał się jeszcze w żadne analizy gospodarki, jeszcze nie zgromadził żadnych statystyk, a już wiedział, że kapitalizm doprowadza klasę robotniczą do stale postępującej nędzy, że ta klasa jest najlepszą warstwą ludzkości, a to znaczy - do niej należy przyszłość. ! Lewku, z ręką na sercu - czy możesz temu zaprzeczyć?

- Dziecino - powiedział Rubin tonem pouczenia. - Gdyby nie wolno było zawczasu przewidywać rezultatów...

- Słyszysz pan?! I na tym oni budują swoje pojęcie postępu! Jak ja nienawidzę tego bezmyślnego słowa „postęp”!

- No a w sztuce - żadnego postępu nie ma i nie może być!

- Otóż to! Otóż to, właśnie tak! - ucieszył się Nierzyn. - Siedemnasty wiek miał Rembrandta i nasz wiek ma tego samego Rembrandta - niech go ktoś spróbuje prześcignąć. Tymczasem technika siedemnastego wieku wydaje nam się dzisiaj barbarzyństwem. Albo, powiedzmy, jakie były najnowsze wynalazki w siedemdziesiątych latach zeszłego wieku?

Dla nas to jakieś głupstwa. Ale w tych samych latach napisana została „Anna Karenina”.
Masz dziś może coś lepszego pod ręką?

- Przepraszam, bardzo przepraszam, maestro - złapał go za słowo Rubin. - W takim razie daje pan prawo przynajmniej inżynierom do mówienia o postępie? Tam już nie jest bezmyślny?

- Ach ty, pasożycie! - roześmiał się Gleb. - To się nazywa chwyt poniżej pasa.

- Ten argument, kochany Glebie - wtrącił się Abramson - można skierować w zupełnie odwrotną stronę. To może znaczyć, że inżynierowie i uczeni tych wszystkich stuleci zrobili jednak coś niecoś i stąd postęp. Artystyczne zaś snoby, jak widać, błaznowały sobie tymczasem. A pochlebcy...

- Sprzedawali się! - zawołał Sołogdin. Nie wiedzieć czemu krzyknął to z radością.

Nawet ludzie tak biegunowo różni jak on i Abramson poddawali się biegowi wspólnych myśli!

- Brawo, brawo! - Priancykow również krzyczał. - Gogusie! Pozerzy! Przecież to samo mówiłem wam wczoraj w akustycznej! - (Mówił zeszłego wieczoru o wyższości jazzu, ale teraz już mu się wydawało, że Abramson wypowiada dokładnie te same myśli.) - Ja was chyba wszystkich pogodzę! - uśmiechnął się przekornie Potapow. - Była w tym stuleciu taka historyczna chwila, w której pewien inżynier elektryk razem z pewnym matematykiem, boleśnie odczuwając istnienie pewnych luk w beletrystyce ojczystej, stali się twórcami noweli. Niestety, nowela ta nie została nigdy napisana - bo twórcy nie mieli ołówka.

- Andreicz! - zawołał Nierżyn. - A może mógłby ją pan zrekonstruować?

- Ano, spróbuję, a nuż dam radę. Chyba mi pomożecie jeden z drugim. W końcu był to w moim życiu jedyny opus. Można było zapamiętać.

- Ciekawe, ciekawe, panowie! - ożywiony Sołogdin już sadowił się wygodniej. Bardzo lubił takie momenty więziennych spotkań.

- Ale, rozumiecie sami, jak uczy nas Lew Grigoricz, żadnego utworu artystycznego nie można zrozumieć nie znając historii jego powstania oraz zamówienia społecznego.

- Andreicz, robi pan postępy.

- A wy, drodzy goście, zjedzcie nareszcie te ciastka, dla kogo je szykowałem! Geneza tego utworu jest następująca: latem 1946 roku w przepełnionej do nieprzyzwoitości celi butyńskiego sanatorium leżeliśmy z tu obecnym Glebem Wikienticzem ramię w ramię, naprzód pod narami, później na narach, dusząc się z braku powietrza, postępując z głodu i

nie mając nic innego do roboty prócz rozmów i obserwowania różnych ciekawych zwyczajów. I któryś z nas powiedział pierwszy: - A co, gdyby tak...

- Andreicz, to pan pierwszy powiedział: a co, gdyby tak... Element zasadniczy, który znalazł się również w tytule, w każdym razie był pana dziełem.

- A co, gdyby tak... powiedzieliśmy sobie razem z Glebem Wikientiewiczem, a co, gdyby tak ni stąd, ni zowąd...

- No nie męcz pan już dłużej! Jakaście ją nazwali?

- No cóż. Nie marząc nawet o uznaniu spróbujmy przypomnieć sobie we dwójkę tę opowieść z zamierzchłych czasów, co? - głuchy, schrypnięty głos Potapowa zabrzmiał tak, jakby bibliofil cytował tekst z zakurzonego foliału. - Tytuł opowiadania brzmiał: „Uśmiech Buddy”.

59

Akcja naszej zajmującej opowieści przebiega w okresie tego przesławnego, buchającego zarem lata 194... roku, kiedy to więźniowie, w ilości znacznie przewyższającej legendarne czterdzieści beczek, rozebrani, w samych tylko przepaskach na biodrach mdleli od gęstego zaduchu, za rybio-mętnymi blinarni znanego w całym świecie więzienia butyrskiego.

Cóż wam powiedzieć o tej tak pożytecznej i pełnej ładu instytucji? Rodowód swój prowadziła od koszar zbudowanych za panowania Katarzyny. W surowych czasach tej carycy nie pożałowano cegieł na forteczne mury i sklepienie łuki.

Szacowny zamek zbudowano Tak, jak należy - więc zamczyście.

Po śmierci jaśnie oświeconej korespondentki Woltera te dudniące echem sklepienia, pod którymi rozlegał się ciężki tupot żołdackich buciorów, opustoszały na długie lata. Ale w miarę sukcesów tak przez wszystkich w naszej ojczyźnie pożądanego postępu, panujący potomkowie wspomnianej wyżej władczej damy uznali, że będzie pożyteczne posyłać tam bez żadnej różnicy zarówno kacerzy zagrażających prawosławnemu tronowi, jak zacieklej obskurantów, co sprzeciwiali się postępowi.

Murarska kielnia i tynkarska szpachla pomogły rozdzielić te amfilady na setki całkiem przytulnych i obszernych cel, a dzięki niezrównanej sztuce ojczystych naszych kowali powstały niepokonane kraty w oknach i prycze z giętych rur, opuszczane na noc, a podnoszone w dzień. Najznakomitsi majsterkowie z grona naszych pełnych talentu pańszczyźnianych rękodzielników dodali każdy po złotym listku do wieńca nieśmiertelnej

chwały butyrskiego zamku: tkacze tkali konopne wory naciągane na ramy łóżek; hydraulicy stworzyli przemysłny system odprowadzania nieczystości; blacharze sporządzili bardzo pojemne cztero - i sześciowiad-rowe kible zaopatrzone w uchwyty, a nawet w pokrywy; cieśle powyrzynali w drzwiach specjalne szpary dla przesuwania misek z bałandą; szklarze zaś powstawiali w te drzwi specjalne oka; ślusarze pozakładali zamki; wybitni zaś specjaliści od szkła zbrojonego, w nowożytnej już epoce narkoma Jeżowa, zanurzyli siatkę z drutu pancernego w roztopionym szkłe mlecznym i stworzyli w ten sposób jedyne w swoim rodzaju b l i n c e, zasłaniające przed wraźnymi oczyma więźniów ostatni kącik więziennego podwórca, jaki jeszcze mogli zobaczyć, budynek więziennej kaplicy, też zresztą przerobionej na więzienie, i skrawek błękitnego nieba.

Ponieważ wygodną było rzeczą zatrudniać kluczników raczej bez ukończonych studiów wyższych, opiekunowie butyrskiego sanatorium poczuli się zmuszeni do tego, aby w ściany cel wmurować dokładnie po dwadzieścia pięć ram na prycze, co dawało podstawy do prostego rachunku: cztery cele - to sto głów, jeden korytarz - to dwieście głów.

I tak oto przez długie dziesięciolecia kwitł ten zakład leczniczy, jakoś przy tym nie było słycać ani narzekań ze strony opinii, ani też skarg aresztantów. (Że nie było narzekań i skarg wnieść można stąd, że nadzwyczaj rzadko pojawiały się na stronicach przedrewolucyjnych „Birżewych Wiedomości”, zupełnie zaś ich nie było w „Izwiestiach Raboczich i Kriestianskich Dieputatow”).

Ale czas nie pracował na korzyść generała-majora, naczelnika więzienia butyrskiego. Już w pierwszych dniach wojny trzeba było przekroczyć przepisaną prawem normę dwudziestu pięciu głów, upychając w celach dodatkowych pasażerów, dla których już prycz nie starczyło. Kiedy zaś ów przyływ przybrał groźne rozmiary, prycze zostały raz na zawsze opuszczone, konopne worki z nich zdjęto, a na wierzch położono dechy i generał-major z pomocnikami, bardzo uradowani, upychali w celach po pięćdziesięciu ludzi, a po historycznym i zbawczym dla świata zwycięstwie nad hitleryzmem - nawet po siedemdziesięciu pięciu, co zresztą nie sprawiało żadnych kłopotów klucznikom, bo łatwo mogli sobie wyliczyć, że w korytarzu mają teraz sześćset głów, za co dopłacono im specjalne premie.

Nie miało sensu, żeby w takiej ciasnocie niszczyły się książki, szachy czy domino, zresztą i tak ich nigdy nie starczało. Z biegiem czasu zmniejszono wrogom ludu rację chleba, rybę zastąpiono mięsem płazów oraz błonkoskrzydłych, kapustę zaś i pokrzywę - mieszanką

paszową dla bydła. I straszliwa Wieża Pugaczowowska, gdzie caryca trzymała na łańcuchu ludowego bohatera, teraz doczekała się przekształcenia na zwykły silos.

Potok ludzki zaś płynął, pojawiali się wciąż nowi więźniowie, blakła i paczyła się tradycja legend więziennych, ludzie nie pamiętali, nie wiedzieli już nawet, że ich poprzednicy wylegiwali się na jutowych workach i czytali zabronione książki (zapomniano je wycofać jedynie z bibliotek więziennych). Czy wnoszono do celi w dymiącym kociołku bulion z ichtiozaura, czy też polewkę z kiszanej trawy - więźniowie podciągali nogi na deski nar, z powodu ciasnoty przyciskali kolana do piersi i opierając nadto przednie odnóża tuż koło zadnich, w tej psiej pozie, szczerząc zęby, czujnie jak kundle przyglądali się, czy aby sprawiedliwie rozdziela im się tę bryję do misek. Miski losowano stojąc tyłem - „od kibla do okna” i „od okna do kaloryfera”, następnie zaś mieszkańcy nar i jaskiń pod narami, omal nie przewracając sobie wzajemnie misek łapami i ogonami, zabierali się do ćpania pożywnej ciecicy i tylko to mlaskanie siedemdziesięciu pięciu pysków mąciło filozoficzne milczenie celi.

I wszyscy byli zadowoleni. Ani w organie związków zawodowych „Trud”, ani w cerkiewnym piśmie „Wiestnik Moskowskoj Patriarchii” - żadnych skarg nie było.

Wśród innych cel znajdowała się także cela siedemdziesiąta druga - i nie wyróżniała się niczym. Wisiał już nad nią wyrok przeznaczenia, ale spokojnie drzemący pod jej narami i przerzucający się na jej narach przekleństwami więźniowie nic jeszcze nie wiedzieli o potwornościach, jakie im los gotuje. W wigilię fatalnego dnia jak zwykle długo kokosili się na cementowej podłodze koło kibla, leżeli w samych przepaskach dookoła bioder na swoich dechach, wachlując się wciąż w dusznym skwarze (celi nie wietrzono od zimy do zimy), łapali muchy i opowiadali sobie wzajem, jak dobrze było podczas wojny w. Norwegii, w Islandii, na Grenlandii. Zgodnie z własnym wyczuciem czasu, które dało im długie doświadczenie - więźniowie wiedzieli, że zostało nie więcej niż pięć minut do chwili, kiedy dyżurny klawisz ryknie im przez drzwi: „no, kłaść się, już po dzwonku!”

I nagle serca zeków drgnęły, bo szcęknął zamek! Drzwi się rozwarły i stanął w nich przystojny, sprężysty kapitan w białych rękawiczkach, nad-zwy-czaj-nie podniecony. Za nim cisnęła się świta lejtnantów i sierżantów - szepecących coś bezustannie. W grobowym milczeniu zeków wyprowadzono na korytarz z rzeczami. (Wśród zeków natychmiast zrodziły się szept, że prowadzą ich na rozstrzelanie). W korytarzu oddzielono od nich pięć razy po dziesięciu ludzi i wepchnięto ich do sąsiednich cel, akurat w samą porę, żeby zdążyli

znaleźć sobie jeszcze po kawałku miejsca do spania. Ci szczęściarze uniknęli strasznego losu pozostałych dwudziestu pięciu. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyli ci ostatni ze swojej drogiej, siedemdziesiątej drugiej celi - była jakaś maszyna piekielna z rozpylaczem wjeżdżająca w drzwi. Następnie kazano im obrócić się przez prawe ramię i w takt uderzeń kluczy o sprzączki pasów oraz strzelania palcami (były to przyjęte przez butyrskich nadzorców sygnały „prowadzę zeka!”), przeprowadzono ich przez szereg wewnętrznych drzwi stalowych, przez kilka kondygnacji schodów - aż do hallu, który nie był ani podziemiem do rozstrzeliwań, ani lochem tortur, tylko szeroko był znany wśród ludu więziarskiego jako rozbieralnia słynnej butyrskiej łaźni. Rozbieralnia miała wygląd przewrotnie niewinny, wręcz zwyczajny: ściany, ławki i podłoga wyłożone czekoladowymi, czerwonymi i zielonymi kafelkami, dalej - szyny, po których z kamer dezynfekcyjnych wyjeżdżały łomocąc wagoniki z piekielnymi haczykami do wieszania zawieszanej więziarskiej odzieży. Bijąc się mimochodem po twarzach i zębach (bowiem trzecie przykazanie aresztanckie głosi: „jak dają - to łap”) zeki rozchwyтали rozpalone jeszcze haki, powiesili na nich swoje nieszczęsne szmaty, pociemniałe, poru-działe, a miejscami przepalone od codekadowych dezynfekcji - i dwie roz-prażone służebnice piekieł - dwie stare kobiety, ignorując pogardliwie uprzykrzoną nagość więźniów, z łomotem wtoczyły wagoniki do Tartaru i zatrzasnęły za sobą żelazne wrota.

Dwudziestu pięciu więźniów zostało w zamkniętej ze wszystkich stron rozbieralni. Mieli w ręku tylko chustki do nosa albo zastępujące je kawałki podartych koszul. Ci z nich, którzy zachowali jeszcze cienką warstwę na wskroś wygarbowanego mięsa w potulnej okolicy ciała, dzięki której możemy w ogóle siedzieć - otóż ci faworyci losu siedzieli na ciepłych kamiennych ławach wyłożonych szmaragdowymi i malinowo-brunatnymi kafelkami. (Butyrskie łaźnie zbyt-kownością swojego wystroju znacznie przewyższają słynne Sandunowskie i podobno wielu zagranicznych amatorów specjalnie oddawało się w ręce Czeki, aby tylko zaznać przyjemności kąpania się w tych łaźniach).

Inni więźniowie, wychudzeni już tak bardzo, że nie mogli siadać na niczym twardym - chodzili z końca w koniec rozbieralni ani myśląc zasłaniać tego, czego powinni się sromać, przy czym prowadzili gorące spory pragnąc przeniknąć tajemnicę przyszłości.

Bo dawno już ich wyobraźnia Pragnęła strawy tej fatalnej

Jednakże tyle godzin kazano im czekać w rozbieralni, że spory zdążyły ucichnąć, ciała pokryć się gęsią skórą, a żołądki przyzwyczajone do snu od dziesiątej wieczór tęsknie

domagały się pokarmu. Wśród więźniów zwyciężyło stronnictwo pesymistów utrzymujących, że przez okrągłe kratki w ścianach i w podłodze już sączy się trujący gaz i że za chwilę wszyscy oni zginą. Niektórzy czuli nawet mdłości.

Nagle huknęły drzwi - i wszystko uległo zmianie. Nie stało się jak zwykle, nie weszło dwóch nadzorców w usmolonych fartuchach z brudnymi maszynkami do strzyżenia owiec w rękę, i nie rzuciło na ziemię pary najbardziej tępych w świecie nożyc, aby więźniowie mogli łamać sobie nimi paznokcie, o nie! - czterech fryzjerczyków wtoczyło cztery zwierciadlane toaletki na kółeczkach, zastawione wodą kolońską, fiksatuarem, lakierem do paznokci, a nawet teatralnymi perukami. Następnie pojawiło się czterech pełnych godności, bardzo przystojnych majstrów fryzjerskich, z których dwaj byli Ormianami. Po czym, tuż obok, w gabinecie fryzjerskim zabrali się wcale nie do strzyżenia włosów łonowych, czemu zwykle towarzyszyło gniecenie nożycami najdelikatniejszych organów - nie, dziś co najwyżej przysypywali te organy różowym pudrem. Najlżejszym tchnieniem brzytwy muskali wynędzniałe aresztanckie policzki i łechtali ucho cichym szeptem: „czy aby nie drażni?”. Głównie dziś wcale nie golono do skóry, a nawet proponowano peruczki. Podbródków nie tylko nie skalpowano, ale na życzenie klientów zostawiano nawet zaczątki przyszłych bród i faworytów. Fryzjerczykowie zaś tymczasem leżąc omal na ziemi, obcinali klientom paznokcie u nóg. Wreszcie, gdy znaleźli się już w drzwiach łaźni, nie wlano im w garść po dwadzieścia gramów cuchnącego szarego mydła, nie! - w drzwiach stał sierżant i za pokwitowaniem wydał każdemu gąbkę, córę wysp koralowych, i kawałek mydła toaletowego „Nimfa bzów” pełnej wagi.

Później, już jak zwykle, zamknięto ich w łaźni i pozwolono myć się do woli. Ale więźniowie nie mieli głowy do kąpieli. Ich spory gorętsze były niż biltyrski wrzątek. Teraz wzięła wśród nich górę partia optymistów głoszących, że Stalin z Berią uciekli do Chin, Mołotow z Kaganowiczem przeszli na katolicyzm, że w Rosji nastał tymczasowy rząd socjaldemokratyczny i że już się zaczęły wybory do Konstytuanty.

Tu z kanonicznym łoskotem otworzyły się wszystkim wam dobrze znane wyjściowe drzwi łaźiebne - i w fioletowym westybulu już czekały na wchodzących zupełnie niezwykle rzeczy: każdy dostał włochaty różowy ręcznik i... pełną miskę owsianej kaszy, co odpowiada sześciodniowej porcji zapracowanego łagier-nika. Więźniowie cisnęli ręczniki na podłogę i z niewiarygodną szybkością, bez żadnych łyżek czy innych środków pomocniczych, wychłęptali kaszę. Nawet obecny przy tym stary major służby więziennej zdziwił się i kazał

przynieść jeszcze po misce kaszy. Uporali się z tą i jeszcze z następną. Co było później - tego nigdy nikt z was by nie zgadł! Przynieśli nie przemarzłe, nie zgniłe, nie czarne, tylko, no, można nawet powiedzieć, jadalne kartofle.

- To wykluczone! - zaprotestowali słuchacze - tu już przesoliłeś.

- Ale kiedy tak właśnie było! Co prawda, kartofle były tak zwanego świńskiego gatunku, drobne, w mundurkach - i może nawet syci więźniowie nie jedliby już ich, ale piekielna perfidia polegała na tym, że przyniesiono je nie w porcjach, ale w jednym wspólnym kubku. Z dzikim wyciem, szturchając się mocno i bijąc, włączając sobie wzajem na gołe plecy, zeki rzucili się na wiadro i po chwili naczynie, już puste, z brzękiem potoczyło się po kamiennej podłodze. Właśnie w tej chwili przyniesiono jeszcze soli, ale sól nie była już potrzebna.

Przez ten czas gołe ciała wyschły. Stary major kazał zekom podnieść z podłogi włochate ręczniki i wygłosił do nich przemówienie.

- Drodzy bracia! - rozpoczął. - Jesteście wszyscy uczciwymi sowieckimi obywatelami, izolowanymi od społeczeństwa jedynie na krótki czas, jedni na dziesięć, inni na dwadzieścia pięć latek, za pewne niewielkie wykroczenia. Jeszcze do niedawna, nie bacząc na niebosiężny humanitaryzm teorii marksizmu-leninizmu, nie bacząc na jasno sformułowaną wolę partii i rządu, nie bacząc na często udzielane osobiście przez towarzysza Stalina wskazówki - kierownictwo więzienia butyrskie-go pozwalało sobie na poważne błędy i wypaczenia. Teraz to zostanie naprawione (puszczą do domów! - bezczelnie pomyśleli sobie więźniowie), od tej chwili będziecie tu u nas jak w sanatorium (siedzimy dalej! - spuścili nosy na kwintę). Poza wszystkim, co wolno wam było robić dawniej, obecnie pozwala się dodatkowo:

a) modlić się do swoich bogów, b) leżeć na pryczach i w nocy, i we dnie, c) bez żadnych przeszkód wychodzić z celi do wychodka, d) pisać pamiętniki.

Poza wszystkim, co dawniej było zabronione, zabrania się dodatkowo:

a) wycierać nos w państwowe prześcieradła i firanki, b) po jedzeniu prosić o repetę, c) przy wejściu do celi dostojnych gości sprzeciwiać się w czymkolwiek rozkazom kierownictwa więzienia bądź skarżyć się na nie, d) brać bez pozwolenia ze stołu papierosy „Kazbek”.

Każdy, kto wykroczy przeciw jednej z tych reguł, dostanie 15 dni zimnego karceru obostrzonego i będzie zesłany do najdalszych obozów bez prawa korespondencji.

Zrozumiano?

Zaledwie major skończył to przemówienie - nie wytoczyła się wcale z kamer na dudniących wagonikach bielizna i dziurawe waciaki zeków, o nie! Piekło nie wyrzygało z powrotem łachmanów! - tylko weszły cztery młodziutkie garderobiane, chowając oczy, rumieniąc się, miłymi uśmiechami dając do zrozumienia więźniom, że nie wszystko jeszcze dla nich jako mężczyzn jest stracone - i zaczęły im rozdawać błękitną, jedwabną bieliznę. Następnie wręczyły więźniom krochmalone koszule, krawaty dyskretnych kolorów, jaskrawo żółte amerykańskie buty pochodzące z *lend-lease*'u oraz garnitury ze sztucznego koworkotu.

Oniemieli ze zgrozy i zachwytu więźniowie karnym dwuszeregiem zostali zaprowadzeni z powrotem do swojej siedemdziesiątej drugiej celi. Ale, na Boga, jakże się zmieniła!

Jeszcze będąc na korytarzu wstąpili na puszysty chodnik zachęcająco wiodący aż do wychodka. A przy wejściu do celi owiały ich strugi świeżego powietrza i nieśmiertelne słońce zabłysło wprost przed ich oczyma (wśród bezustannej krzątaniny noc zdążyła tymczasem minąć i ranek był już na dworze). Okazało się, że w ciągu nocy kraty wymalowano na niebiesko, zdjęto z okien blince, a na dachu byłej butyrskiej cerkwi stojącej wewnątrz podwórca umocowano zwierciadło obrotowe i specjalnie wyznaczony funkcjonariusz tak je regulował, ażeby odbite promienie słoneczne bez przerwy padały w okna siedemdziesiątej drugiej celi. Ściany celi, jeszcze wczoraj oliwkowo ciemne, teraz były wymalowane jasną olejną farbą, na której malarze w wielu miejscach umieścili wizerunki gołąbków trzymających w dzióbkach szarfy z napisami: „Chcemy pokoju!” i „Pokój światu!”.

Po zapluskwionych dechach nie zostało nawet śladu. Na ramy prycz naciągnięte były brezentowe spody, a na nich leżały kołdry i puchowe poduszki; spod kokieteryjnie odrzuconych rogów kołder wyglądały bielutkie prześcieradła. Koło każdej z dwudziestu pięciu prycz stał nocny stolik, wzdłuż ścian ciągnęły się półki z książkami Marksa, Engelsa, św. Augustyna i Tomasza z Akwinu, pośrodku celi stał stół przykryty nakrochmalonym obrusem, na nim zaś popielniczka i nieroz-pieczętowana paczka „Kazbeków”. (Wszystkie czary tej niezwykłej nocy udało się przeprowadzić przez księgi buchalteryjne i jedynie dla gatunkowych papierosów „Kazbek” nie można było znaleźć umotywowania budżetowego. Naczelnik więzienia postanowił błysnąć „Kazbekiem” na własny rachunek, dlatego też kara za przekroczenie punktu d) była tak surowa).

Ale największej przemianie uległ ką, gdzie dawniej stał kibel. Cała ściana była wyskrobana i pomalowana na nowo, w górze paliła się duża lampka wotywna przed ikoną Matki Boskiej z Dzieciątkiem, błyszczały okładziny na wizerunku świętego cudotwórcy, Mikołaja Mirlikijskiego, stała na specjalnej etażerze biała statuetka katolickiej Madonny, a w płytkiej niszy zostawionej jeszcze przez murarzy leżały Biblia, Koran, Talmud i stał mały, ciemny tors Buddy. Budda miał oczy lekko zmrużone, kąty warg rozciągnięte i mogło się wydawać, że ciemny brąz ożywia uśmiech.

Obzarcy kaszą z ziemniakami i wytrąceni z równowagi niesłychaną ilością wrażeń, więźniowie rozebrali się i od razu zasnęli. Podmuchy Eola kołysały w oknach kolorowe firaneczki broniące dostępu muchom. Nadzorca stał w uchylonych drzwiach i pilnie baczył, żeby nikt nie gwizdnął „Kazbeków”.

Wylegiwali się tak najspokojniej do południa, kiedy to wbiegł nad-zwy-czaj-nie podekscytowany kapitan w białych rękawiczkach i zarządził pobudkę. Gromadka zeków szybko się przyodziła i zaścieliła łóżka. Do celi został jeszcze wepchnięty z pośpiechem okrągły stolik przykryty białym obrusem, na którym rozłożono „Ogoniok”, „ZSRR się buduje” oraz czasopismo „Ameryka”. Wtoczono jeszcze dwa staroświeckie, przykryte pokrowcami fotele na kółkach - i zaległa złowróźbna, nieznośna cisza. Kapitan przechadzał się między pryzami na paluszkach i zgrabną białą trzcinką bił po palcach każdego, kto wyciągał rękę po czasopismo „Ameryka”.

W dręczącej ciszy więźniowie nasłuchiwali. Jak dobrze wam wiadomo z własnego doświadczenia, słuch to najważniejszy ze zmysłów zeka. Wzrok więźnia ograniczony jest zazwyczaj przez ściany i blince, powonienie jego obrażają wciąż nieznośne fetory, jego dotyk nie znajduje żadnych nowych obiektów. Za to słuch rozwija się niezwykle. Każdy dźwięk, nawet w najdalszym kącie korytarza, natychmiast zostaje zidentyfikowany, daje wytłumaczenie rozmaitych wypadków zachodzących w więzieniu i pozwala określić porę dnia: czy niedługo już będą roznosić wrzątek, czy wyprowadzają już na spacer albo czy przynieśli komuś paczkę.

Słuch przyniósł też początek rozwiązania zagadki; od strony 75 celi doszedł żelazny łoskot i do korytarza weszła jakaś ludzka gromada. Słyszało się spokojne rozmowy, kroki tłumione przez dywany, następnie dały się rozróżnić głosy kobiet, szelest spódnic i wreszcie pod samymi drzwiami 72 celi rozległ się pełen uprzejmości głos naczelnika butyrskiego więzienia:

- A teraz pani Roosevelt na pewno będzie miała chęć na zwiedzenie jakiejś celi. No, jakiej? A pierwszej lepszej. Powiedzmy nawet - tej. Sierżancie, otwórzcie siedemdziesiątkę dwójkę.

I do celi weszła pani Roosevelt w towarzystwie sekretarza, tłumacza, dwóch dostojnych matron z komitetu kwaków, naczelnika więzienia oraz jeszcze kilku osób w cywilu bądź w mundurach MSW. Kapitan w białych rękawiczkach usunął się na bok. Wdowa po znakomitym mężu stanu, niewiasta postępową i rozgarniętą, bardzo zasłużoną dla sprawy obrony praw człowieka - pani Roosevelt powzięła więc zamiar odwiedzenia dzielnego sojusznika i przekonania się na własne oczy, jak też przebiega rozdział paczek UNRRA (do Ameryki dotarły złośliwe wieści, że paczki UNRRA nie dochodzą do rąk zwykłych obywateli) i czy aby szanowana jest w Związku Sowieckim wolność sumienia. Już jej pokazano trzech zwykłych sowieckich obywateli (byli to odpowiednio poprzebierani działacze partyjni i wyższe szarże MBP), którzy w swoich zgrzebnych ubiorach roboczych dziękowali Stanom Zjednoczonym za bezinteresowną pomoc. Następnie pani Roosevelt zażądała, aby pokazano jej więzienie. Jej życzeniu stało się zadość. Usiadła więc teraz na jednym z foteli, świta stanęła półkolem i z pomocą tłumacza zaczęła rozmowę z więźniami.

Obrotowe lustro wciąż zalewało celę słonecznym blaskiem. Technienie Eola poruszało franki.

Pani Roosevelt bardzo się spodobało, że cela, wybrana na chybił trafił i tak nagle, była do tego stopnia czysta, że zupełnie nie było w niej much, i że - mimo iż był to dzień powszedni - w kącie paliła się lampka wotywna.

Więźniowie z początku byli skrepowani i siedzieli bez ruchu, ale kiedy tłumacz przełożył na rosyjski pytanie dostojnej damy, czy nikt z więźniów nie pali tylko ze względu na czystość powietrza - jeden z nich wstał z nonszalancją, otworzył pudełko „Kazbeków”, sam zapalił i podsunął papierosy sąsiadowi.

Twarz generała-majora pociemniała.

- My walczyliśmy z nałogiem - powiedział on dobitnie - bowiem tytoń to trucizna.

Jeszcze jeden z więźniów przysiadł się do stołu i zaczął przeglądać czasopismo „Ameryka”, nie wiedząc czemu - z wielkim pośpiechem.

- Za co ukarani są ci ludzie? Na przykład ten pan, który czyta pismo? - spytała dostojna dama.

(„Ten pan” dostał dziesięć lat za nieopatrzoną znajomość z amerykańskim turystą).

Generał-major odparł:

- Ten człowiek jest aktywnym hitlerowcem, służył w gestapo, osobiście podpalił rosyjską wieś i, uczciwszy uszy, zgwałcił trzy rosyjskie chłopki. Ilość zamordowanych przezeń niemowląt nie da się ściśle określić.

- Czy skazany został na powieszenie? - krzyknęła pani Roosevelt.

- Nie, mamy nadzieję, że się jeszcze poprawi... skazany jest na dziesięć lat ucziwej pracy.

Na twarzy więźnia malował się wyraz cierpienia, ale nie wtrącał się, tylko w dalszym ciągu pożerał pismo w gorączkowym pośpiechu.

Właśnie w tej chwili wpadł przypadkiem do celi prawosławny pop z dużym krzyżem z masy perłowej na piersi. Zapewne miał swój zwykły obchód i był nadzwyczajnie skonfundowany zastawszy w celi kierownictwo i zagranicznych gości.

Chciał już się wymknąć, ale jego skromność przypadła do gustu pani Roosevelt, która poprosiła, by bez żenady wykonywał swoje obowiązki. Duchowny z miejsca wetknął jednemu ze zmieszanych więźniów kieszonkową Ewangelię, usiadł na pryczy innego więźnia i tak przemówił do skamieniałego z wrażenia słuchacza:

- Prosiłeś mnie więc zeszłym razem, mój synu, abym opowiedział ci o cierpieniach Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Pani Roosevelt poprosiła generała-majora, aby w jej obecności zadać więźniom *I f* pytanie - czy nikt z nich nie ma żadnych skarg, które można by przedstawić Organizacji Narodów Zjednoczonych. Generał-major zapytał groźnym tonem:

- Uwaga! Komu było mówione o „Kazbekach”? Kabaryny wam się zachciewa? I więźniowie, dotąd milczący jak zakłęci, teraz zaczęli wołać z oburzeniem jeden przez drugiego:

- Obywatelu naczelniku, toż nie ma co palić!

- Uszy puchną bez palenia!

- Machorka w tamtych portkach przecież została!

- Skąd mieliśmy wiedzieć?!

Wybitna działaczka widziała szczere oburzenie więźniów, słyszała ich tchnące prawdą okrzyki - i z tym większym zainteresowaniem wysłuchiwała tłumaczenia:

- Oni jednomyślnie protestują przeciw prześladowaniu Murzynów w Ameryce i proszą, żeby ONZ rozpatrzyła ten problem.

Taka oto miła rozmowa trwała około piętnastu minut. Po ich upływie dyżurny korytarzowy zameldował naczelnikowi więzienia, że przyniesiono obiad. Pani Roosevelt poprosiła, żeby rozdawano go przy niej bez żadnych ceregieli. Drzwi się rozwarły i ładne, młodziutkie kelnerki (zdaje się, że były to te same garderobiane, tylko poprzebierane) przyniosły wazy pełne najzwyklejszego rosółu z drobiu z makaronem i zaczęły nalewać go do talerzy. I nagle jakby zew pierwotnego instynktu odmienił dystyngowanych aresztantów w jednym mgnieniu oka: wskoczyli w butach na swoje pościele, kucnęli podciągając kolana pod brodę, oparli dłonie tuż koło stóp i w tej psiej pozie z wyszczerzonymi zębami, czujnie przyglądali się, czy aby sprawiedliwie rozlewa im się pokarm. Damy z patronatu były zaszokowane, ale tłumacz im wyjaśnił, że jest to rosyjski zwyczaj narodowy.

Nie udało się namówić więźniów, aby usiedli przy stole i jedli platerowanymi łyżkami. Zdążyli już wyciągnąć skądś swoje drewniane, starte ze starości - i ledwie prawosławny kapłan pobłogosławił dary Boże, ledwie kelnerki rozniosły talerze, uprzedzając siedzących na łózkach więźniów, że na stole stoi specjalny talerz na kości - gdy rozległ się jednogłośny, straszliwy, ssący chłupot, następnie jeden groźny chrzęst miażdżonych kurzych kości - i wszystko, co było na talerzach, zniknęło raz na zawsze. Talerz na odpadki okazał się niepotrzebny.

- Może oni są głodni? - dała wyraz dziwnemu przypuszczeniu nasza dostojna dama. -
Może chcieliby jeszcze?

- Dokładki nikt nie chce? - zapytał generał chrapliwym głosem.

Ale nikt nie chciał dodatkowej porcji, znając mądre przysłowie obozowe: „Prokurator już ci dołoży”.

Jednakże klopsiki z ryżem zostały pochłonięte przez zeków z tą samą nieopisaną szybkością.

Kompot im się tego dnia nie należał, ponieważ był to dzień powszedni.

Przekonawszy się o kłamliwości insynuacji rozpowszechnianych na Zachodzie przez wrogie elementy, pani Roosevelt z całą świtą wyszła na korytarz i tam rzekła:

- Ale jak prymitywne są ich maniery, jak niski jest stopień rozwoju tych nieszczęsnych! Można żywić jednak nadzieję, że za jakieś dziesięć lat nauczy się ich tutaj kultury. To wspaniałe więzienie!

Pop wyskoczył z celi zaraz za świtą, starając się zdążyć przed zatrzaśnięciem drzwi.

Kiedy goście opuścili już korytarz, do celi wbiegł kapitan w białych rękawiczkach:

- Wsta-ać! - krzyknął. - W dwuszeregu! Na korytarz!

I zauważywszy, że nie wszyscy właściwie zrozumieli jego słowa, dopomógł opieszalym nie szczędząc własnej podeszwy.

Dopiero w tej chwili się wyjaśniło, że pewien przebiegły zek dosłownie zrozumiał zezwolenie na pisanie pamiętników i w czasie, gdy inni spali, zdążył jeszcze rano nagryzmolić dwa rozdziały: „Jak mnie torturowano” i „Spotkania na Lefortowie”.

Pamiętniki natychmiast skonfiskowano, a nadgorliwemu ich autorowi wytoczono nową sprawę śledczą - za podłe oczernianie organów bezpieczeństwa państwowego.

I znowu w takt strzelania palcami i pobrzękiwania „Prowadzę zeka” odkon-wojowano ich przez mnóstwo stalowych drzwi aż do rozbieralni, która wciąż tak samo mieniła się swoją wieczną malachitowo-rubinową urodą. Tam ściągnięto z nich wszystko do jedwabnej, błękitnej bielizny włącznie, przy czym przeprowadzono szczególnie staranną rewizję, podczas której u pewnego zeka pod językiem znaleziono wyrwane z Ewangelii Kazanie na Górze. Za czyn ten otrzymał natychmiast uderzenie w jeden, a potem w drugi policzek. Następnie zabrano im koralowe gąbki i „Nimfę bzów”, przy czym każdy jeszcze raz musiał się podpisać.

Weszli dwaj nadzorcy w zasmolonych fartuchach i tępyimi, brudnymi maszynkami zaczęli strzyc więźniom wżgórki łonowe, następnie - tymi samymi maszynkami - ich twarze i głowy. Wreszcie włąli każdemu do garści po dwadzieścia gramów płynnego, cuchnącego erzac-mydła i zamknęli wszystkich w łaźni. Nie było rady, więźniowie jeszcze raz się wykąпали.

Później z rytualnym łoskotem otworzyły się drzwi wyjściowe i wszyscy znaleźli się w fioletowym westybulu. Dwie stare kobiety, służebnice piekielne, z dudnieniem wytoczyły z kamer parowych wagoniki, gdzie na rozpalonych haczykach wisiały dobrze znane naszym bohaterom łachmany.

Posępni wrócili do celi 72, gdzie na zapluskwionych dechach znów leżało ich pięćdziesięciu towarzyszy. Koledzy płonęli z ciekawości, aby dowiedzieć się, co się stało. Okna były znowu zasłonięte blincami, gołąbki zamalowano ciemnooliw-kową farbą, w rogu zaś stał kibel o pojemności czterech wiader.

I tylko w niszy, zapomniany, uśmiechał się zagadkowo mały brązowy Budda...

jeszcze porządne chromowe długie buty, wdział wyprasowany, niegdyś paradny, swój mundur z przykręconymi wypucowanymi orderami, z naszywkami za rany (niestety, mundury katastrofalnie wychodziły w Moskwie z mody i wkrótce miał już Szczagow być skazany na niełatwe współzawodnictwo w dziedzinie cywilnych ubrań i butów) - i pojechał na drugi koniec miasta, na Kałuską Rogatkę, dokąd był zaproszony na przyjęcie do prokuratora Makarygina. Zaproszenie przekazał mu frontowy kolega Ernest Sauńkin-Gołowanow.

Przyjęcie było dziś obliczone na młodzież i w ogóle na przyjaciół rodziny. Wydane było z okazji otrzymania przez prokuratora drugiego orderu Czerwonego Sztandaru Pracy. Prawdę rzec, zaproszona młodzież niewiele miała wspólnego z rodziną i powodem całej uroczystości, ale papcio brzęknął kiesą i w rezultacie można było zabawić się trochę. Powinna była tam przyjść również ta dziewczyna, o której Szczagow opowiadał Nadii jako o swojej narzeczonej (ale nie padło między nimi ostatnie słowo i konieczny był jeszcze pewien nacisk). Właśnie dlatego Szczagow dzwonił do Ernesta z prośbą o zaproszenie.

Przygotował sobie zawczasu kilka wstępnych zdań i wchodził właśnie po tych schodach, na których Klarze ciągle zwidywała się szorująca je kobieta. Zmierzał do mieszkania, gdzie przed czterema laty, czołgając się na kolanach w dziurawych watowanych portkach, układał klepki posadzki ten sam człowiek, któremu Szczagow omal nie zabrał żony.

Domy też miewają swoje losy...

Pomijając to, że powinien był tego wieczoru przybliżyć do siebie i choć trochę przywiązać niewiastę, którą upatrzył sobie na narzeczoną, Szczagow miał jeszcze nadzieję i chęć na smaczne i obfite jedzenie. Wiedział, że potrawy będą znakomite, i to w nieogarnionej ilości, ale wiedział też, że przekleństwo takich przyjęć na tym polega, iż goście będą starać się nie tyle pochłaniać te potrawy z należną uwagą i rozkoszą, lecz raczej zabawiać się nawzajem rozmową i przeszkadzać sobie, okazując daniom sztuczne lekceważenie. Zadaniem Szczagowa było bawić swoją sąsiadkę i zachowywać umiarkowanie grzeczny wyraz twarzy, żartować i replikować na cudze żarty, a jednocześnie napychać a napychać swój żołądek po ciężkich doświadczeniach w studenckiej stołówce.

Tam na przyjęciu nie spodziewał się, że spotka choćby jednego prawdziwego frontowca, brata, towarzysza przepraw przez pola minowe, takiego, co to razem z nim biegł przez orne pola drobnym, męczącym truchtem - tym truchtem, jaki nosił ogłuszające miano

ataku. Z tych wszystkich braci i towarzyszy - pozabijanych, posianych na konopnych opłotkach wiejskich, pod ścianą stodoły, wśród zasieków - on sam tylko tu przyszedł, do tego ciepłego, zasobnego świata i nie po to, żeby rzucić pytanie: „A gdzieście wy wtedy byli, skurwysyny?!”, ale po to, żeby przyłączyć się do tych tu i nażreć.

Ale czy to jeszcze pora na takie dzielenie ludzi: żołnierz - nie żołnierz? Przecież już się poniekąd krępią nosić te frontowe ordery, które niegdyś taką cenę i taki blask miały. Czy to w ogóle można tyrpać każdego: „A ty gdzieś był?” Jeden walczył, drugi się dekował, ale teraz to się przemieszało, wyrównało wszystko. To prawo czasu, prawo niepamięci. Umarłym - chwała, a żywym - życie.

Szczagow nacisnął guzik. Otworzyła mu Klara, jak się domyślił.

W ciasnym, małym korytarzyku wisiało już sporo męskich i damskich futer. Już tu docierał ciepły nastrój tłumnego przyjęcia: wesół gwar, muzyka z radioli, brzęk talerzy i cały radosny bukiet kuchennych zapachów. Nim Klara zdążyła poprosić gościa, aby się rozebrał, zadzwonił wiszący opodal telefon. Klara podniosła słuchawkę, zaczęła mówić, lewą ręką dając znaki gościowi, aby zdjął płaszcz.

- Ink?... Dobry wieczór... Jak to? Jeszcze nie wyjechałeś... Ależ natychmiast!... Papa będzie obrażony... Czemu masz taki zgaszony głos?... Możesz nie chcieć, ale przyjdź!... Zaczekaj tylko, zaraz zawołam Narę... Nara! - krzyknęła w stronę mieszkania. - Twój ślubny dzwoni, chodź! Niech pan się rozbierze! (Szczagow już zdjął płaszcz). Proszę zdjąć kalosze! (Przyszedł bez kaloszy)... Słuchaj, on nie chce przyjechać.

Poprzedzona falą zapachu zamorskich perfum, do korytarza weszła siostra Klary, Dotnara, żona dyplomaty, jak uprzedził Szczagowa Gołowanow. Uderzała w niej nie tyle uroda, ile ta okazałość kształtów i płynność kroku, które przesądziły o sławie rosyjskiego typu kobiety. Nie była przy tym tęga, ani nawet dorodna. Po prostu - nie była sikorką, co to kryguje się, wierci i mizdrzy, a wszystko z niepewności. Ta kobieta kroczyła tak, jakby tylko jej własnością były te deski podłogi, które zostawiała za sobą, i te, na które właśnie stąpnęła, jakby tylko do niej należał ten obszar przestrzeni, który jej ciało zajmowało przed chwilą i za chwilę miało zająć.

Wzięła słuchawkę. Stała w przejściu do pokoju, ale Szczagowa nic nie piliło, aby wyminąć tę pachnącą przeszkodę w jasnowiśniowej sukni. Patrzył na nią trochę z góry. Coś niezupełnie zwykłego w jej ubiorze (Szczagow nie bardzo wiedział, czy to dzięki brakowi poduszeczek na ramionach, jakie inne nosiły; czy może dlatego, że barki przechodziły

płynną linią w ramiona i że linia ta wydawała się być wymodelowana przez naturę w sposób nieprześcigniony) sprawiało, że Dotnara wydawała się tak smukła i kobieca, jak nikt. Dziwnym szczegółem jej stroju było również to, że rękawy nie należały do samej sukni (suknia była bez rękawów), lecz do narzuconego na wierzch bolerka obramowanego futrem.

I nikt z tych trojga stojących na dywanie w przytulnym korytarzyku ani przez chwilę nie przeczuwał, że w niewinnej czarnej, polerowanej słuchawce, w całej tej błahej rozmowie o przyjeździe na wieczorek tańczący utajona już była czyjaś zguba, ta zguba, która czatuje na człowieka nawet w gnatach martwego konia. *

Od chwili, gdy Rubin kazał nagrać jeszcze pewną ilość telefonicznych rozmów każdego z podejrzanych, słuchawka w mieszkaniu Innocentego została przez niego samego podniesiona po raz pierwszy - i w centralnym węźle ministerstwa bezpieczeństwa zaszeleściła taśma magnetofonowa z utrwalonym głosem Wołodina.

Ostrożność kazała co prawda Wołodinowi raczej w ciągu tych dni telefonem się nie posługiwać, ale żona wyjechała z domu pod jego nieobecność i zostawiła karteczkę, że trzeba być koniecznie dziś wieczorem u teścia.

Zadzwonił, żeby się wymówić od wizyty.

Wczoraj - ale czy to było wczoraj? czy może dawno-dawno-dawno... - po telefonie do ambasady zaczęło go coś mulić i mulić. Wcale nie oczekiwał, że tak się przejmie, nie mógł przewidzieć, że tak się będzie o siebie bał. W nocy ogarnął go strach przed nieuchronnym aresztowaniem. I nie mógł się doczekać poranka, tak bardzo chciał wyrwać się z domu. Dzień następny przeżył w nerwach, nie rozumiał i nie słyszał nawet, co ludzie mówią do niego. Złość na siebie za głupi wyskok i ohydny obezwładniający strach nawarstwiały się w nim, a pod wieczór przemieniły się w zobojętnienie: niech się dzieje co chce.

Innocenty na pewno czułby się lepiej po ostatniej, pełnej lęków nocy, gdyby dzisiejszy, tak dręcząco długi dzień był dniem powszednim, nie zaś świątecznym. Mógłby wówczas czerpać ważne wskazówki choćby z biegu - albo zahamowań - sprawy jego wyjazdu do Nowego Jorku, do głównej siedziby ONZ. Ale wedle

* Aluzja do ballady Puszkina o księciu Olegu, któremu stary wróż przepowiedział, że zginie z winy swego dawno zabitego rumaka. czego tu się orientować w niedzielę, skąd wiedzieć, czy spokojem, czy też groźbą tchną nieruchawe puste godziny?

Przez całą minioną dobę dręczyło go przeświadczenie, że jego telefon był szaleństwem, próbą samobójstwa - i że wcale może nie przyniósł pożytku. Toć sądząc z

zachowania tego attache-niedorajdy, tamci w ogóle niegodni byli, żeby ich bronić.

Nie było żadnych dowodów, że Innocenty został zdemaskowany, ale głos przecucia, ów dar tajemniczy, nie dawał Wołodinowi spokoju. Czuł w sobie narastanie zwiastunów nieszczęścia - i dlatego nigdzie nie chciało mu się jechać, na żadne zabawy.

Starał się teraz przekonać żonę, rozciągając słowa jak to zawsze, gdy trzeba mówić o rzeczach niemiłych, żona nalegała - i wyraźne „morfemy” jego „indywidualnego układu cech mowy” odbijały się na wąziutkiej brunatnej taśmie magnetycznej, aby już następnego ranka przekształcić się w fonogramy i w postaci mokrej wstęgi znaleźć się o dziewiątej przed oczyma Rubina.

Dotti nie mówiła tym kategorycznym tonem, który sobie przyswoiła w ciągu ostatnich miesięcy, lecz - rozczulona może znużonym głosem męża - bardzo łagodnie poprosiła go, aby przyjechał choć na godzinkę.

Innocenty zgodził się. Jednakże kładąc słuchawkę nie od razu cofnął rękę i stał jeszcze chwilę, jakby czegoś nie dopowiedział.

Zrobiło mu się żal nie tej żony, z którą teraz żył razem - i jakby nie żył, a którą za kilka dni miał porzucić na zawsze - tylko płowowłosej maturzystki z lokami do ramion, którą zapraszał do „Metropolu”, żeby tańczyć z nią między stolikami, dziewczuszki, z którą niegdyś razem zaczęli bliżej przyglądać się życiu. Zapłonęła między nimi wtedy ta łatwopalna namiętność, nie słuchająca żadnych argumentów, nie chcąca nic wiedzieć o żadnym odraczaniu małżeństwa. Instynkt, który nas prowadzi wśród fałszywych pozorów i ozdobnych kłamstw, pozwolił im znaleźć się nawzajem i nie dał już więcej się rozstać. Małżeństwu temu była przeciwna matka Innocentego, już wówczas ciężko chora (ale jaka matka nie sprzeciwia się ożenkowi syna?!), sprzeciwiał się również prokurator (ale jaki ojciec z lekkim sercem odda obcemu osiemnastoletnią śliczną córkę?!). A jednak wszyscy musieli się zgodzić! Młodzi się pobrali i byli tak doskonale szczęśliwi, że stało się to przysłowiowe w ich środowisku.

Ich pożycie małżeńskie zaczęło się pod najlepszą gwiazdą. Należeli do tego kręgu, w którym nie wie się, co to znaczy chodzić pieszo albo jeździć kolejką podziemną, w którym jeszcze przed wojną latało się samolotami, zamiast korzystać z bezpośrednich wagonów sypialnych, w którym nie troszczy się nawet o urządzenie mieszkania; w każdym ich nowym miejscu pobytu - pod Moskwą, w Teheranie, na syryjskiej riwierze albo w Szwajcarii, na młodą naszą parę już czekała doskonale urządzona dacza, willa, apartament. Poglądy na

życie mieli zupełnie podobne. Uważali oboje, że między pragnieniem a spełnieniem nie powinno być żadnych przeszkód ani zakazów. „My jesteśmy jedynymi prawdziwymi ludźmi - mawiała Dotnara. - Nie udajemy i nie ukrywamy nic: bierzemy sobie to, na co mamy ochotę!”. Ich hasłem było: „żyje się tylko raz!”. Z uwagi na to trzeba było brać z życia wszystko, co miało do ofiarowania, z wyjątkiem chyba tylko dziecka, dlatego że dziecko - to stwór wysysający z człowieka soki i nie płacący za to ani żadnymi ofiarami ze swojej strony, ani nawet wdzięcznością.

Mając podobne poglądy młoda para doskonale harmonizowała z warunkami, w których żyła, i warunki te zupełnie im odpowiadały. Starali się skosztować wszystkich nowych owoców, choćby najbardziej cudaczych. Znać smak wszystkich najlepszych koniaków i poznać różnicę między winami z doliny Rodanu a winami z Korsyki i jeszcze wszelakimi innymi winami wyciskanymi w winnicach całego globu. Mieć wszystkie suknie. Umieć zatańczyć każdy taniec. Zażywać kąpiele we wszystkich uzdrowiskach. Być na dwóch aktach każdego głośnego przedstawienia. Przewertować wszystkie sławne książki.

W ciągu sześciu najlepszych lat męskiego i kobiecego życia dawali sobie to właśnie, czego od siebie nawzajem chcieli. Owe sześć lat - były to prawie w całości te same lata, podczas których ludzkość łkała wśród ciągłych rozstań, ginęła na frontach i pod ruinami miast, kiedy ogarnięci szalem dorośli kradli dzieciom skórki razowego chleba. I ból świata nie kładł się cieniem na twarze Innocentego i Dotnary.

Przecież ma się tylko jedno życie!...

Pod koniec szóstego roku ich pożycia małżeńskiego, kiedy już wróciły do baz bombowce i zamilkły działa, kiedy drgnęła nowym impulsem rozwoju zieleni pokryta czarną sadzą i kiedy ludzie przypomnieli sobie, że ma się tylko jedno życie - w ciągu tych właśnie miesięcy Innocenty, mając dostęp do wszystkich rzeczy na świecie, które można było wchłonąć węchem, odczuć, wypić, zjeść, objąć garścią - zaznał ohydneho poczucia przesyty i niesmaku.

Przestraszył się tego doznania, zaczął walczyć z nim jak z chorobą, czekał, aż samo przejdzie, ale nie przechodziło. Najgorsze, że nie mógł zrozumieć jego istoty - na czym właściwie polega? Miał niby wszystko, a właśnie czegoś było mu brak. Miał dwadzieścia osiem lat, cieszył się zdrowiem i oto zaczęło mu się wydawać, że i własne jego życie, i wszystko, co je otacza, naznaczone jest piętnem tępej bezwyjściowości.

I weseli jego kompani, z którymi tak bardzo się przyjaźnił, przestali mu się jakoś

podobać - ten zaczął wydawać się niezbyt mądrym, ów - trochę gruboskórnym, tamten znów - zbyt zakochanym w sobie.

Ale poczuł się inny i odstrychnął się nie tylko od przyjaciół, lecz także od jasnowłosej Dotti, jak już dawno na cudzoziemską modłę nazywał Dotnarę - od swojej żony, od której dotąd w myślach się nie separował.

Ta kobieta, którą niegdyś tak się przejął, którą nigdy się nie przesycił, której usta nigdy mu się nie uprzykrzyły, nawet w chwilach szczęśliwego znużenia - nikt inny nie miał takich ust, żadnej innej takiej nie spotkał i dlatego Dotti była jedyną wśród wszystkich pięknych i rozumnych - otóż okazało się, że ta kobieta zaskakuje go brakiem subtelności i nieznośną pewnością swoich opinii.

Zwłaszcza jej uwagi na temat literatury, malarstwa, teatru wydawały się teraz zupełnie nie na miejscu, raziły uszy swoim prymitywizmem, brakiem wnikliwości - zwłaszcza że wypowiadała je tak apodyktycznie. Jedynie milczało się z nią po dawnemu miło, ale rozmowa była coraz trudniejsza.

Ich stojące na mocnych fundamentach wykwintne życie zaczęło trochę jakby krępować Innocentego, ale Dotti nawet nie chciała słyszeć o żadnych zmianach. Co więcej, jeżeli dawniej Dotti przechodziła obok rzeczy i bez żadnego żalu żegnała się z jednymi, by powitać nowe, jeszcze lepsze - o tyle teraz zrodziła się w niej nienasycona chęć zatrzymania na zawsze w swoim ręku wszystkich rzeczy ze wszystkich jej mieszkań. Dwa lata pobytu w Paryżu Dotti wykorzystała po to, aby wciąż posyłać do Moskwy ogromne kartony z kuponami materiałów, pantoflami, sukniami, kapeluszami - Innocenty zaś czuł, że to mu sprawia już przykrość. Dawał jej to do zrozumienia, ale im bardziej różniły się ich zamiary, tym kategoryczniej Dotti była przekonana o własnej słuszności. Czy dopiero teraz nabrała tego zwyczaju, czy tylko dawniej on nie zauważał - ale zaczęła głośno żuć, mlaskała nawet, zwłaszcza przy jedzeniu owoców.

Ale nie przyjaciele byli problemem, nawet nie żona, tylko sam Innocenty. Brak mu było wciąż czegoś, czego zaś - tego nie mógł zrozumieć.

Już dawno Innocentego uważano za epikurejczyka - tak nazywano go i chętnie to akceptował, chociaż sam dobrze nie wiedział, co to takiego. I oto pewnego dnia w Moskwie, w domu, gdy nie miał nic innego do roboty, przyszła mu do głowy zabawna myśl, żeby poczytać, co też właściwie propagował mistrz? I zaczął w trzech szafach bibliotecznych, jakie zostały po zmarłej matce, szukać książki o Epikurze, która - jak to pamiętał z

dzieciństwa - powinna była gdzieś tam być.

Samą tę robotę - penetrowanie starych szaf, Innocenty rozpoczął ze wstrętnym uczuciem skrępowania, niechęci do nachylania się, przekładania ciężarów, wciągania kurzu w płuca. Nie był przyzwyczajony nawet do takiego wysiłku i bardzo się zmęczył. Ale jakoś się przemógł i poczuł tchnienie dziwnej świeżości bijące z głębi tych starych szaf, pachnących tak osobliwie i swojsko. Znalazł zresztą również książkę o Epikurze i później przeczytał ją nawet, ale nie w niej odkrył to, f co wydało mu się najważniejsze, tylko w listach i w pamiątkach po matce, której nigdy nie rozumiał; przywiązany był do niej jedynie w dzieciństwie. Nawet śmierć jej zniósł prawie obojętnie.

Pierwsze, najdawniejsze spojrzenie na osobę ojca - skojarzyło się Innocentemu z latami dzieciństwa, ze srebrnymi trąbkami pionierskimi wzniesionymi ku sztukateriom na suficie, z dziarską piosenką śpiewaną przy ognisku. Samego ojca Innocenty nie pamiętał, ojciec zginął w dwudziestym pierwszym roku w tambowskiej guberni, przy tłumieniu chłopskiego powstania, ale wszyscy dokoła mówili mu o nim bez ustanku - o sławnym przywódcy marynarzy, którego imię tak zasłynęło podczas wojny domowej. Słyszając te pochwały wszędzie i ze wszystkich ust, Innocenty przyzwyczał się do dumy z ojca, z jego walki za sprawę ludu, walki przeciw bogaczom, co tonęli w zbytku. Natomiast do wiecznie zatroskanej, wciąż czymś przejętej i zasmuconej, zawsze obłożonej książkami i termoforami matki odnosił się niemalże z góry i, jak to zwykle bywa z jedynakami, wcale nie pomyślał, że dla matki istniał nie tylko on, jego dzieciństwo i jego potrzeby, lecz również splot jej życiowych spraw; że dręczą ją choroby; że musiała umrzeć w czterdziestym siódmym zaledwie roku życia.

Jego rodzice bardzo krótko prowadzili wspólne życie, prawie go nie było. Ale nawet o tym prawie Innocenty w dzieciństwie ani pomyślał, nie przychodziło mu do głowy, żeby zapytać o to matkę.

A teraz wszystko to wysnuwało się przed nim z listów i pamiętników matki. Ich małżeństwo nie było małżeństwem, tylko raczej czymś nagłym jak burza; w tamtych latach wszystko było takie. Zetknęli się dzięki niezwykłym okolicznościom, inne okoliczności nie pozwalały im widywać się często, jeszcze inne zmusiły ich do rozstania. Matka, którą poznał w tych dziennikach, okazała się wcale nie jakimś dodatkiem do ojca, jak to sobie syn wyobrażał, tylko kimś z innego, własnego świata. Innocenty dowiedział się też dopiero teraz, że matka przez całe życie kochała innego mężczyznę nie mogąc nigdy z nim się połączyć. I

może aż do śmierci nosiła - tylko dla ułatwienia synowi kariery - obce jej nazwisko.

Związane kolorowymi wstążeczkami z miękkich jedwabi, leżały w szafach paczki listów od przyjaciółek matki, od znajomych, przyjaciół, artystów, malarzy i poetów, których nazwiska były teraz zupełnie zapomniane albo wymieniane z dodatkiem obelg. W przedpotopowych zeszytach obłożonych w granatowy safian były mamine pamiętniki pisane po rosyjsku i po francusku dziwnym charakterem pisma - jak gdyby raniony ptak miotał się po kartce i chwiejnym pazurkiem wydrapywał dziwaczny swój ślad. Wiele stronic zajmowały wspomnienia z literackich wieczorków i przedstawień. Chwytał za serce opis wyczekiwania przez mamę w tłumie takich samych płaczących z radości entuzjastów, przez całą białą, czerwcową petersbuską noc, na przyjazd pociągu z trupą Teatru Artystycznego. Bezinteresowny zapal bił z tych stronic. Dzisiaj nie było już takich zespołów teatralnych, zresztą trudno sobie było wyobrazić, żeby ktoś nie spał przez całą noc z okazji przyjazdu teatru - prócz osób odkomenderowanych przez wydział kultury celem wręczenia odpowiednio zaksięgowanych bukietów. I na pewno już nikomu nie przyjdzie do głowy, aby przy takiej okazji płakać.

Dzienniki mamy prowadziły go coraz dalej i dalej. Znalazł stroniczki zatytułowane: „Notatki o etyce”.

„Litość - to pierwszy odruch każdej dobrej duszy” - tak napisała mama.

Innocenty zmarszczył się. Litość? Toż to uczucie wstydlive i poniżające - zarówno tego, kto się lituje, jak człowieka, nad którym litować się trzeba. Tego uczono go w szkole.

„Nigdy nie sądz, że masz więcej słuszności niż inni. Szanuj cudze zdanie, nawet zdanie przeciwnika”.

To też było dosyć staromodne. Jeżeli mój światopogląd jest słuszny, to jak mogę szanować tych, którzy nie zgadzają się ze mną?

Zdawało mu się, że nie on to czyta, tylko że mama tak mówi, słyszał jej kruchy głos:

„Co jest w świecie najcenniejszego? Okazuje się, że świadomość, iż t y nie bierzesz udziału w niczym niesprawiedliwym. To, co niesprawiedliwe, jest od ciebie silniejsze, trwa i będzie trwać, ale niech nie trwa dzięki tobie”.

Gdyby nawet sześć lat temu Innocenty znalazł te pamiętniki - to pewno by nie zauważył tych myśli. Teraz czytał je zaś powoli i wciąż się dziwił. Nie było w nich niby niczego takiego niezwykłego, były nawet rzeczy wyraźnie niesłuszne, ale Innocenty nie mógł wyjść ze zdumienia. Staromodne były nawet te wyrazy, których używała mama i jej

przyjaciółki. Pisały serio dużą literą: Prawda, Dobro i Piękno; Dobro i Zło; Imperatyw Etyczny. W języku, którego używał Innocenty i otaczający go ludzie, stosowane były pojęcia konkretniejsze i dlatego łatwiej było je zrozumieć: ideowość, humanitaryzm, wierność, celowość.

Ale chociaż Innocenty był niewątpliwie ideowy i humanitarny, i wierny sprawie, i dążył niezłomnie do wytkniętego celu (tę ostatnią cnotę najbardziej sobie cenili i starali się rozwijać jego rówieśnicy), to jednak siedząc na niskiej ławeczce pod starą szafą poczuł nagle, że znalazł coś, czego mu było brak.

Były tu też stare albumy z jasnymi, wyraźnymi zdjęciami sprzed lat. W kilku osobnych paczkach zebrane były programy teatralne z Petersburga i Moskwy. Była jeszcze gazeta teatralna „Widz” i „Herold Kinematografii” - jak to? więc w tamtych czasach już to wszystko było? I stosy, stosy najróżniejszych czasopism, już od samych ich nagłówek ćmiło się w oczach: „Apollon”, „Złote Runo”, „Hyperborejczyk”, „Pegaz”, „Świat Sztuki”. Reprodukcje nieznanymi obrazów, rzeźb (nawet ich śladów próżno byłoby szukać w Galerii Tretiakowskiej!), teatralnych dekoracji. Wiersze nieznanymi poetów. Niezliczone tomiki beletrystycznych dodatków do czasopism - z setkami nazwisk pisarzy europejskich, o których Innocenty nigdy nie słyszał. Co tam pisarze! - tu były dziesiątki wydawnictw, o których nie wiedział nic, tak jakby zapadły się do Hadesu: „Gryf”, „Szypow-nik”, „Skorpion”, „Musaget”, „Alcjona”, „Społochy”, „Logos”.

Kilka dni przesiedział tak na ławeczce przed otwartymi drzwiami szaf, wdychając i wdychając to trujące powietrze, te zapachy maminego świątka, do którego jego ojciec, okręcony pasem z granatami, wtargnął kiedyś w czarnym ceratowym płaszczu z nakazem rewizji w rękę.

Cała w pstrokaciźnie prądów umysłowych, w ideowych kontrowersjach, w swobodzie wyobraźni, wstrząsana przecuciem niepokoju - patrzyła na Innocentego z tych żółknących stronic Rosja ostatniej przedrewolucyjnej dekady, tego dziesięciolecia, które kazano Innocentemu w szkole i w instytucie uważać za najbardziej haniebne i niewydarzone w całej historii kraju, za tak beznadziejne, że gdyby bolszewicy nie przyszli z pomocą, to ta Rosja sama z siebie zgniłaby i rozpadła się.

Owszem, nazbyt rozgadane było to dziesięciolecie, czasem zanadto pewne siebie i zanadto już wyczerpane z siły. Ale ile też puściło rozmaitych pędów! i jakie pokłosie myśli dało!

Innocenty zrozumiał, że był dotąd okradany.

Dotnara zjawiała się wtedy zapraszając męża na jakiś kremlowski wieczór. Innocenty spojrział na nią bezmyślnie, później zmarszczył czoło i wyobraził sobie to zbiegowisko nadętych facetów, na którym wszyscy raźnie staną na baczość, kiedy wzniesiony zostanie pierwszy toast za zdrowie towarzysza Stalina, później będą dużo jeść i pić, już bez towarzysza Stalina, i wreszcie zasiądą do gry w karty, a wszystko robić będą głupio.

Z mglistych jakichś przestrzeni wrócił spojrzeniem do swojej Dotti i poprosił, aby pojechała sama.

Dotnarze wydawało się dziwactwem, że mąż woli gmeranie w starych albumach od udziału w przyjęciu urządzonym dla żywych ludzi. Związane z mglistymi, ale nigdy nie umierającymi wspomnieniami dzieciństwa, wszystkie te odnalezione w szafach przedmioty mówiły Innocentemu wiele, jego żonie zaś - zgoła nic.

Matka zwyciężyła w końcu: wstała z grobu i odebrała swego chłopca synowej.

Wybity ze starej koleiny, Innocenty nie mógł się już na nowej drodze zatrzymać. Jeżeli raz go oszukano - to mogło się to zdarzyć jeszcze raz? I jeszcze? I jeszcze?

W ciągu ostatnich lat rozleniwił się, odechciało mu się wszelkiej nauki (zdolności do francuskiego, które zdecydowały o jego karierze, nabrał jeszcze w dzieciństwie, i to dzięki matce) - teraz zaś rzucił się na książki. Wszystkie stępione i znużone pasje zestrzeliły się w nim teraz w jedną tylko: czytać! czytać!

Okazało się, że czytanie to też umiejętność, że to nie to samo, co wodzenie oczyma po rządkach liter. Innocenty dokonał odkrycia - jest dzikusiem wychowanym w jaskiniach nauki o społeczeństwie, odzianym w surowe skóry walki klas. Całe jego wykształcenie sprowadzało się do tego, że pewnym książkom ufać ma ślepo i bezwarunkowo, inne zaś książki odrzucać bez czytania. Ponieważ Innocenty w młodości był konsekwentnie separowany od książek nieprawomyślnych, zakazanych, a czytał tylko zalecane, to nauczył się raz na zawsze wierzyć każdemu słowu pisanemu, zdając się całkowicie na autora. Tak samo teraz, czytając autorów wzajemnie sobie przeczących, długo nie potrafił przeciwstawić się im, poddając się całkowicie naprzód jednemu z nich, potem drugiemu, potem trzeciemu. Najtrudniej było nauczyć się namysłu nad treścią książki po jej przeczytaniu.

... Dlaczego wypadła z sowieckich kalendarzy, niby drobiazg bez znaczenia, data rewolucji lutowej 1917 roku? Toć wstydzą się nawet nazwać ją rewolucją. Tylko dlatego, że obyła się bez gilotyny? Od jednego szturchnięcia zleciał z tronu car, rozleciał się sześćsetletni reżim - i nikt nie rzucił się, aby podnieść koronę, a wszyscy śpiewali, śmiali się,

gratulowali sobie wzajem - a dla takiego dnia nie znalazło się miejsce w kalendarzu, w którym starannie podkreślone są dni Urodzin Żdanowa i Szczerbakowa, tych tłustych wieprzków?

Skądinąd zaś podniesiony jest do godności największej rewolucji w dziejach ów Październik, który jeszcze w latach dwudziestych we wszystkich naszych książkach nazywany był p r z e w r o t e m. Chwileczkę, o cóż to oskarżano w październiku siedemnastego roku towarzyszy Kamieniewa i Zinowiewa? O to, że zdradzili burżuazji sekret, datę wybuchu rewolucji! Ale czy można powstrzymać wybuch wulkanu, choćby się nawet zobaczyło, co wzbiera w kraterze? Czy można zagrozić drogę huraganowi, mając w rękę komunikat meteorologiczny? Można zdradzić tajemnicę, tylko jeżeli chodzi o nieduży spisek! Otóż właśnie brak było Październikowi cech żywiołowego wybuchu ludowego, to tylko spiskowcy zgromadzili się na dany sygnał...

Wkrótce potem skierowano Innocentego do Paryża. Miał tam dostęp do wszystkich odmian światowej myśli i do całej emigracyjnej literatury rosyjskiej (tyle że oglądał się na boki przy straganie bukiuisty). Mógłby teraz czytać, czytać a czytać! - gdyby jeszcze poza tym nie musiał chodzić do pracy.

Tę swoją służbę, tę pracę, którą dotychczas uważał za najlepszą, największą wygraną losu - po raz pierwszy ujrzał teraz jako coś wstrętnego.

Być sowieckim dyplomatą to znaczyło nie tylko co dzień deklamować żalosne formuły, z których wyśmiewali się ludzie obdarzeni zdrowym rozsądkiem. To znaczyło jeszcze mieć tę dwoistość w piersi i to dubeltowe oblicze, o których mówił Klarze. Najważniejsza robota była nie ta jawna, tylko tajna: spotkania z tajemniczymi osobnikami, zbieranie informacji, przekazywanie instrukcji i wypłata jur-gieltu.

Za młodu, za tych wesołych lat poprzedzających jego kryzys, Innocenty nie uważał tej działalności za godną potępienia, widział w niej jakąś zabawną stronę, pracowało mu się łatwo. Teraz ta robota budziła w nim podskórny sprzeciw, napełniała wstydem.

Dawniej Innocenty trzymał się zasady, że życie ma się tylko jedno.

Teraz jakimś nowym zmysłem odnalazł w sobie i w świecie nowe prawo: że sumienie też ma się tylko jedno.

I tak jak nie można odzyskać życia, które się oddało, tak samo nie można zachować raz utraconego sumienia.

Ale nie miał, nie miał Innocenty koło siebie nikogo, z kim mógłby podzielić się

swoimi przemyśleniami. Nawet z żoną nie mógł tego zrobić. Jak nie zrozumiała i nie dzieliła z nim nagle przywróconych, czułych myśli o umarłej matce, tak samo nie mogła zrozumieć, jak można interesować się wydarzeniami, które przecież minęły i nigdy więcej nie wrócą. A że zaczął nagle gardzić swoją pracą - to by ją wprowadziło w przerażenie, przecież właśnie na tej pracy opierało się całe ich życie pełne blasku i pomyślności.

Rozdźwięk z żoną doszedł w zeszłym roku do tego punktu, w którym zwierzenia stają się już niebezpieczne.

Ale w ojczyźnie, podczas urlopu, też nie *znalazł* Innocenty nikogo bliskiego. Poruszony naiwnym opowiadaniem Klary o tej sprzątacze na schodach, miał przez chwilę żywą nadzieję, że chociaż z nią będzie mógł pomówić szczerze. Jednakże już pierwsze zdania w trakcie pierwszych kroków tej przechadzki uświadomiły Innocentemu, że to niemożliwe, że tu gąszcz nieprzebyty, że zbyt wiele splotów trzeba by tu przeciąć, rozerwać. I jakoś nie mógł się zdobyć nawet na to, co wydawało się zupełnie naturalne, co zmniejszyłoby dystans - żeby siostrze żony na tę żonę się poskarżyć.

I znalazł przyczynę. Uświadomił sobie istnienie takiego dziwnego prawa: bezpłodne są starania o porozumienie z kobietą, która cię nie pociąga cieleśnie - nie wiedzieć czemu zamykają się wtedy usta, ogarnia człowieka bezsilna niechęć do wynurzeń, do gadania, nie sposób znaleźć szczerych i prostych słów.

A do wujka wcale wtedy nie pojechał, nic z tego nie wyszło. Zresztą po co? Strata czasu. Zaczęłoby się tylko puste, uprzykrzone wypytywanie o życie za granicą.

Minął jeszcze rok - w Paryżu i w Rzymie. Urządził się tak, żeby do Rzymu pojechać bez żony. Została sama w Moskwie. Za to po powrocie dowiedział się, że dzielił ją przez ten czas z pewnym oficerem sztabu generalnego. Nawet temu nie przeczyła, tylko z upartą stanowczością przerzucała winę na Innocentego: a bo dlaczego zostawił ją samą?

Ten zawód nie sprawił mu bólu, poczuł raczej rodzaj ulgi. Przez cztery miesiące pracował potem w centrali, cały czas w Moskwie, ale już oboje byli sobie obcy. O rozwodzie jednak nie było mowy - rozwód to koniec dyplomatycznej kariery. Innocenty zaś spodziewał się przeniesienia do Nowego Jorku, do ONZ.

Nowa misja podobała mu się - i zarazem budziła lęk. Innocentemu sama idea Organizacji Narodów Zjednoczonych wydawała się sympatyczna - nie jako schemat urzędowy, tylko jako instytucja, jaką mogłaby się stać, gdyby zapanował duch kompromisu i życzliwej krytyki. Był zresztą zwolennikiem idei światowego rządu. Bo cóż innego mogłoby

uratować naszą planetę?... Ale w takiej intencji włączali się do prac ONZ Szwedzi albo Birmańczycy, albo Etiopczycy. Jego zaś wcale nie po to pchała tam żelazna pięść. Także tam posyłano go dla wypełniania tajnych zleceń, ze skrytą intencją, z fałszem zakodowanym w pamięci i z poufną instrukcją pełną jadu.

W czasie tych moskiewskich miesięcy znalazł więc czas, aby pojechać do Tweru, do wujka.

61

Nie przypadkiem adres nie zawierał numeru mieszkania: zdziwiło to Innocentego, ale nie musiał długo szukać. Okazało się, że chodziło o parterowy, koślawy, drewniany domek luźno stojący wśród takich samych chałupek przy brukowanej uliczce bez drzew i parkanów. Jak tu przeniknąć do tej starej dziupli, jak tu wejść - czy przez furtkę, czy przez spaczoną drzwi z kwaterami zdobionymi żłobionym ornamentem? Innocenty nie od razu się połapał, pukał więc to tu, to tam. Ale nikt nie otwierał, nikt się nie odzywał. Potrząsnął furtką, ale była zaklinowana, pchnął drzwi, nie ustąpiły. I nikt się nie pojawił.

Dom był tak nędzny, że znów pomyślał sobie: nie trzeba tu było przyjeżdżać. Odwrócił się chcąc znaleźć kogoś, kto mógłby udzielić mu informacji, ale zaulek, ba, cała okolica wydawała się pusta w blasku południa. W końcu wyszedł zza rogu jakiś starzec z dwoma pełnymi wiadrami. Niósł je z natężeniem, raz nawet się potknął, ale szedł dalej. Jeden bark miał jakby wyższy.

Szedł właśnie w tę stronę na skos przez jezdnię, w ślad za własnym cieniem; spojrzął na przybysza, ale zaraz opuścił wzrok. Innocenty zostawił swoją walizkę na chodniku i odszedł od niej na krok, potem zrobił drugi:

- Wujek Awenir?

Wujek nie pochylił się, tylko przykucnął i ostrożnie, żeby nie wylać, postawił swoje wiadra. Wyprostował się. Z krótko strzyżonej siwej głowy ściągnął placek brudnożółtej czapczyny ocierając pięścią pot. Chciał odpowiedzieć, ale nic nie powiedział, rozłożył tylko ręce, a Innocenty zaraz się pochylił (wujek był niższy o pół głowy), pokłuił swój gładki policzek o wujkową niegoloną brodę i wąsy, ręką zaś trafił akurat na krzywą, sterczącą łopatkę, przez którą to ramię było niższe.

Wujek odsunął się i podniósł obie ręce, aby położyć je na ramionach Innocentego. Przyjrzał mu się. Chciał odezwać się jakoś górnio, ale powiedział:

- Jakiś taki... chudy jesteś...

- A ty też...

Wujek był nie tylko chudy, ale widać było wyraźnie, że wynędzniał i niedomagał, niemniej nawet w tym słońcu wujkowe oczy nie miały w sobie starczej mgiełki i starczej rezygnacji. Uśmiechnął się prawym kątem ust:

- Co tam ja!... Ja nie bywam na bankietach... ale ty - dlaczego niby?

Innocenty ucieszył się, że za radą Klary nakupił wędlin i wędzonej ryby, czego w Twerze na pewno nie można by było dostać. Westchnął:

- Kłopoty, wujku...

Wujek przyglądał mu się wzrokiem żywym, pełnym jeszcze bystrości:

- Zależy, jakie kłopoty. Bo jak byle co, to machnij ręką.

- A z daleka nosisz tę wodę?

- Jeden róg, drugi i jeszcze połowa. Niedaleko.

Innocenty pochylił się, żeby podnieść wiadra: okazały się ciężkie jak z żeliwa.

- E-he-he... - wujek szedł za nim. - Dobryś do roboty! Brak przyzwyczajenia...

Wyprzedził go i otworzył drzwi. W korytarzyku chwycił za pałaki i pomógł postawić wiadra na ławce. Elegancka granatowa walizka została postawiona na nierównej podłodze z chybottliwych, źle dopasowanych desek. Drzwi zaraz zostały zamknięte na skobel, tak jakby wujek bał się, że ktoś go napadnie.

Korytarz miał niziutki sufit, małe okienko w drzwiach, dwoje drzwiczek do schowków i dwoje drzwi do mieszkania. Innocenty poczuł się całkiem nieswojo. Takiego ubóstwa nigdy jeszcze nie widział. Zły był na siebie, że tu przyjechał, i już myślał, co by tu skłamać, żeby nie być zmuszonym do spędzenia tu nocy i żeby wyjechać jeszcze tego wieczoru.

W głębi domu wszystkie drzwi do pokojów i między izbami były wykrzywione, jedne obito wołokiem, inne zaś, dwuskrzydłowe, pokryte były żłobionym staroświeckim wzorkiem. Przechodząc przez nie musiało się schylać głowę, zresztą trzeba było dbać, aby nie stuknąć nią o nisko wiszące lampy. W trzech niewielkich komnatkach wychodzących na ulicę ciężko było oddychać, ponieważ okna między podwójnymi ramami raz na zawsze uszczelnione były watą i kolorowym papierem; otwierały się w nich tylko lufciki, ale w nich także wisiały frędzelki ze starych gazet: ich stały ruch odstraszał pono muchy.

W takim koślawym, przytłoczonym starością budynku, duszącym się z braku światła i powietrza, gdzie ani jeden ze sprzętów nie stał prosto, w takim siedlisku nędzy Innocenty nie bywał jeszcze nigdy, chyba tylko w książkach o czymś takim czytał. Nawet nie wszystkie

ściany były pobielone, niektóre tknięte były tylko burą farbą kładzioną wprost na deski, rolę dywanów spełniały stare, pożółkłe i zakurzone gazety; ich grube warstwy leżały tu wszędzie: zasłonięte nimi były szyby w szafach, nisza kredensu, zwisały z karniszów, wyłożony był nimi zapiecek. Innocenty był w potrzasku. Wyjechać stąd jeszcze dzisiaj.

Wujek zaś, wcale się nie wstydząc, nawet z pewną dumą oprowadzał go i pokazywał swoje włości: domowe szambo letnie i zimowe, umywalkę i urządzenie do zbierania w niej wody deszczowej. W tym gospodarstwie nie marnowały się chyba nawet obierzyny z jarzyn.

A co będzie, jak jeszcze przyjdzie jego żona! I jaką tu pościel mają, można, sobie wyobrazić!

Ale z drugiej strony to był rodzony brat mamy, wiedział wszystko o jej życiu od samego dzieciństwa, to był w ogóle jedyny bliski krewny Innocentego - i wymknąć się teraz to by znaczyło niczego się nie dowiedzieć i nie przemyśleć do końca nawet własnych dziejów.

Zresztą sama prostolinijność wujka, nawet ten jego uśmiech półgębkiem - wszystko to rozczulało Innocentego. Już po chwili rozmowy wyczuł w tym człowieku coś, czego nie zapowiadały dwa krótkie listy.

W latach powszechnej nieufności, w latach zdrady, bliskie pokrewieństwo daje przecież jakąś nadzieję, że ten człowiek nie jest nasłany, że nie przyszedł na przespīgi, tylko trafił do ciebie w sposób naturalny. Największym mądralom nie powie człowiek tego, co może powiedzieć krewniakowi, choćby nawet ciemnemu.

Wujek nie tyle był chudy, ile suchej budowy; mięsa ci miał na kościach tyle, że już mniej być nie mogło. Jednakże właśnie tacy ludzie długo żyją.

- Wujku, ile ty masz lat, ściśle biorąc?

(Innocenty nie znał nawet nieściśle liczby).

Wujek spojrzał na siostrzeńca uważnie; odpowiedź jego była zagadkowa:

- Ja jestem rówieśnik.

Patrzył dalej bez mrugnięcia.

- Czyj rówieśnik?

- A jego samego.

Nie odwracał wzroku.

Innocenty uśmiechnął się bez przymusu, nie był zaskoczony: nawet w tych latach, kiedy wszyscy pieli z zachwyty, tamten człowiek ranił jego smak swoimi złymi manierami,

niezdarnymi przemówieniami, swoją oczywistą tępota.

Nie widząc tedy ani wiernopoddańczego zaskoczenia, ani szlachetnego oburzenia, wujek rozpogodził się i burknął żartobliwie:

- Trudno i darmo, nie wypada mi przed nim umrzeć. Należy mi się dalsze miejsce.

Zaśmiali się obaj. Tak oto pierwsza iskra szczerości przebiegła między nimi. Potem było już lżej.

Wujek odziewał się okropnie: pod marynarką nosił koszulę, że lepiej nie mówić; sama marynarka miała przetarte, zaszyte i znowu przetarte klapy, poły i kołnierz; na spodniach więcej było łąt niż pierwotnego materiału, przy tym łąty były rozmaite - szare, kraciate i w paski; buty tyle razy były naprawiane, żelowane i łątane, że wydawały się sabotami katorżnika. Wujek wyjaśnił skądinąd, że to tylko jego ubranie robocze i że dalej niż do studni i do piekarni tak nie chadza. Ale jakoś się nie przebierał.

Nie zatrzymując się dłużej pod dachem, wujek wyszedł teraz z Innocentym na dwór. Na dworze było bardzo ciepło; ani chmurki, ani wietrzyka.

Podwórzec miał wszystkiego dziesięć na trzydzieści metrów, ale za to cały należał do wujka. Odgradzały go od sąsiadów nędzne jakieś budki i przerzedzone parkaniki, ale przecież odgradzały. Na tym podwórku zmieściło się i cementowe klepisko, i brukowana droga, i rezerwuar na wodę deszczową, i poidło, i drewnutnia, i letni piekarnik, a nawet ogródek. Wujek prowadził siostrzeńca i pokazywał mu każdy pień, każdy korzeń takich roślin, których Innocenty nawet by nie poznał po samych liściach, bez kwiatów i owoców. Był tu krzak chińskiej róży, krzak jaśminu, krzak bzu, a za nimi klomb z nasturcjami, makami i astrami. Były dwa rozłożyste wybujale krzewy czarnej porzeczki i wujek skarżył się, że tego roku zakwitły pięknie, ale jagód prawie nie miały, bo w trakcie kwitnienia zwarzył je mróz. Była też jedna wiśnia i jedna jabłonka z gałęziami podpartymi, bo tak ciążyły jej owoce. Chwasty były wszędzie wypielone i rosło tylko to, co rósć powinno. Natrudziły się w tym ogrodzie kolana i palce; Innocenty nie mógł tego ocenić. Jednakże to i owo zrozmiał:

- Wujku, ale ci tu było ciężko! Toż tu trzeba było grzbiet zginać, kopać, dźwigać!

- A ja się tego nie boję. Nosić wodę, rąbać drwa, kopać ziemię - to wszystko normalna ludzka rzecz, byle nie za dużo. Już prędzej tchu zabraknie w tych czteropiętrowych klatkach, jak się wspólnie mieszka z przodującą klasą.

- Z kim?

- Z proletariatem. - Stary znów rzucił na niego badawcze spojrzenie. - Jeden gra w domino, jakby ćwieki wbijał, a radia to nie wyłącza od hymnu do hymnu. Na sen zostaje pięć godzin pięćdziesiąt minut. Rzną butelkami przechodniom pod nogi. Śmiecie wyrzucają na środek ulicy. Zastanawiałeś się kiedy, dlaczego tacy ludzie są przodującą klasą?

- No tak - pokiwał głową Innocenty. - Jakoś nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego to ma być przodująca klasa.

- A jest najdziksza! - krzyknął wujek. - Chłopi współżyją z ziemią, z przyrodą, stąd biorą jakieś zasady. Inteligenci biorą je z pracy myśli. A ci - przez całe życie wśród martwych ścian, martwymi maszynami wyrabiają martwe przedmioty - więc skąd ma im to przyjść do głów?

Szli dalej, przysiadali na chwilę, rozglądali się.

- To, co tu widzisz - to nietrudne. Tyle tu mam roboty, ile należy. Wylewam pomyj też, ile należy. Skrobię podłogę - sumiennie, jak należy. Wyrzucić popiół, napalić w piecu - w tym nic złego nie ma. Ale na posadzce - o, na posadzce to nie życie. Tam trzeba giąć kark, tam człowiek podleje. Wycofałem się już zewsząd. Już nie mówię - nauczycielem, ale bibliotekarzem też nie mogłem być.

- A bo to tak trudno być bibliotekarzem?

- A spróbuj tylko. Dobre książki trzeba ludziom odradzać, a złe chwalić. Trzeba oszukiwać i robić wodę z niedojrzałych mózgow. Możesz mi wymienić jakąś taką pracę, żeby była rzetelna, zgodna z sumieniem?

Innocenty w ogóle nie orientował się, jakie też rodzaje prac bywają. Jego własna - z sumieniem nie była w zgodzie.

A ten dom - to własność Raisy Timofiejewny. Już od dawna. I do pracy chodzi też tylko Raisa Timofiejewna; jest pielęgniarką. Już ma dorosłe dzieci, ale mieszkają oddzielnie. Zaopiekowała się wujkiem, kiedy już z nim było bardzo źle - i na duszy, i na ciele, kiedy był w biedzie. Poratowała go i zawsze jej za to będzie wdzięczny. Pracuje na dwóch etatach. Więc wujkowi wcale nie przykro jest warzyć jadło, myć naczynia i w ogóle odwalać te babskie roboty. To wcale nietrudne.

Za krzakami, pod samym płotem, jak to bywa w prawdziwym ogrodzie, wkopana była ustronna ławeczka; wujek przysiadł na niej z siostrzeńcem.

- To nie takie trudne - ciągnął wujek z uporem starczego, ale zdrowego rozsądku. - To rzecz normalna, mieszkać nie na asfalcie, tylko na swoim kęsie ziemi, którą można samemu

przekopać, choćby nawet ten kęs był nie większy niż trzy łopaty na dwie. Toż on już dziesięć lat tak sobie żyje i jest zadowolony, nie szuka wcale lepszego losu. Mniejsza, że te płoty są zmurszałe i pełne szpar, a jednak to obrona, to jego twierdza. Z zewnątrz przenika tu tylko samo zło - albo radio, albo nakaz podatkowy, albo upomnienie o jakichś obowiązkach. Każde pukanie obcej ręki do drzwi to zawsze jakaś przykrość, nikt tu jeszcze nie przyszedł z czymś miłym.

Ale to wszystko nietrudne. Są trudniejsze rzeczy.

Jakie to?

Cały w łątach, z tym plackiem na głowie, wujek spod oka patrzył na Innocentego, z ostatnim już cieniem nieufności. Ani dwóch godzin, ani dwóch lat nie starczyłoby, żeby dojść do tego punktu z kimś obcym. Ale ten chłopak to i owo już zrozumiał i był swojakiem, zresztą - zobaczymy, czy wytrzymasz, chłopcze!

- Najciężej człowiekowi - powiedział w końcu wujek takim tonem, jakby dawał upust czemuś, co już się w nim dawno przepaliło - najtrudniej to wywieszać flagę w państwowe święta. Właściciele domów mają obowiązek wywieszać flagi. - (A teraz albo się ten upust cały otworzy, albo cały zamknie!) - Ta przymusowa wierność rządowi, którego człowiek może wcale... nie szanuje.

Po to właśnie ma człowiek oczy! - żeby odróżnić wariata od mędrca w tej wynędzniałej, udręczonej postaci, która tu przed tobą się jąka. Gdyby nosił togę akademicką, był dobrze upasiony i mówił krągłe, bez pośpiechu - wszyscy zgodnie by twierdzili, że to mędrzec.

Innocenty nie zachnął się i nie zgłaszał sprzeciwu. Mimo to wujek poszukał schronienia za szerokimi plecami uznanego autorytetu:

- Czytałeś coś Hercena? Uważnie czytałeś?

- Coś tam czytałem... owszem.

- Hercen pyta - wujek przysunął się w zapale, nacierając na siostrzeńca przygiętym swoim barkiem (kręgosłup skrzywił mu się jeszcze w młodości od ślęczenia nad książkami) - gdzie są granice patriotyzmu? Dlaczego miłość ojczyzny ma obejmować również każdy jej rząd? Dlaczego ma się wspomagać go, gdy ten rząd działa w sposób zgubny dla ludu?

Słowa proste i mocne. Innocenty powtórzył pytającym tonem:

- Dlaczego miłość ojczyzny ma obejmować... ?

Ale to było już pod przeciwległym parkanem, gdzie wujek bacznie przyjrzał się

szczelinom: toć sąsiedzi mogą podsłuchać.

Teraz potoczyła się rozmowa. Innocenty już nie dusił się w izbach i przestał myśleć o wyjeździe. Dziwne - godziny bieły teraz niepostrzeżenie i było coraz ciekawiej. Wujek zaczął nawet zwawiej się uwijać - do kuchni i z powrotem, do kuchni i z powrotem. Mówili o mamie, oglądali stare pocztówki i wujek niektóre mu podarował. Ale był przecież o wiele starszy od mamy i wspólnej młodości przecież nie mieli.

Wróciła z pracy Raisa Timofiejewna, czerstwa kobieta lat pięćdziesięciu; powitała go bez życzliwości. Innocentemu udzieliło się zmieszanie wujka i poczuł w sobie dziwną obawę, że ta kobieta zwarzy teraz ich porozumienie. Siedli przy stole nakrytym ciemną ceratą; ni to był obiad, ni to kolacja. Nie było jasne, co by oni tu mieli do jedzenia, gdyby Innocenty nie przywiózł ze sobą pół walizki jadła i nie posłałby wujka po wódkę. Narwali tylko trochę swoich pomidorów. I jeszcze trochę ziemniaków.

Ale hojność swojaka i wyszukane potrawy zapaliły radość w oczach Raisy Timofiejewny i uwolniły Innocentego od poczucia winy - że dawniej wcale tu nie bywał i że dziś tu przyjechał. Wypili po kieliszku, potem na drugą nogę. Raisa Timofiejewna jęła się skarżyć, jak źle sobie poczyna ten jej dziwak: nie tylko nie potrafi utrzymać się na żadnej posadzie przez ten swój niedobry charakter, ale już dobrze, niechby przynajmniej w domu siedział spokojnie! Nie! Wyrzuca te swoje ostatnie grosze na jakieś gazety albo na „Nowoje Wriemia”, co przecież tyle kosztuje - i nie ma z tego żadnej przyjemności, wścieka się tylko przy czytaniu, potem przesiaduje całe noce, smaruje jakieś odpowiedzi na artykuły, ale do redakcji też ich nie posyła, a po kilku dniach to je nawet pali, bo trzymać tego w domu też nie sposób. Ta pusta skrobanina zabiera mu pół dnia. A jak jeszcze przyjedzie jakiś lektor, to chodzi na te odczyty o sytuacji międzynarodowej i za każdym razem człowiek się boi, że już nie wróci do domu, bo jeszcze wstanie i zada jakieś pytanie. Ale nie, żadnych pytań, wraca do domu zdrów i cały.

Wujek prawie nie przerywał młodej żonie, uśmiechał się tylko z miną grzesznika. Ale ten jego uśmiech półgębkiem nie dawał widoku na poprawę. A Raisa Timofiejewna też skarżyła się jakby nie całkiem serio, już dawno pogodziła się z losem. I tych ostatnich groszaków też nie żałowała.

Ten przyciemny, goły i nędzny dom z niemalowanymi ścianami stał się o wiele przytulniejszy po zamknięciu okiennic - tych zapomnianych w naszych czasach tarcz, chroniących przed natarczywością świata. Każda okiennica dociskana była od zewnątrz

żelazną sztabą; do jej końca doczepiony był trzpień, który wsuwano do wnętrza przez szczelinę w futrynie, aby tam jego uszko zaklinować z kolei skobelkiem. Nie chodziło o zabezpieczenie przed złodziejami, bo nic tu ukraść nie było można, choćby nawet okna otwarto na oścież, ale po założeniu tych sko-belków coś się w duszach rozluźniało. Zresztą inaczej być nie mogło: ścieżynka chodnika przebiegała pod samymi oknami i przechodnie co i rusz wdzierali się do pokoju swoim tupaniem, gadaniem i wyzwiskami.

Raisa Timofiejewna wcześniej poszła spać, wujek zaś, cichutko chodząc po środkowym pokoju i cicho mówiąc (słuch też miał bez skazy), zdradził siostrzeńcowi jeszcze jeden swój sekret: te pożółkłe gazety ponawieszane grubymi warstwami niby jako ochrona przed słońcem czy kurzem - to był sposób bezkarnego przechowywania najciekawszych niegdyśszych wiadomości. („A czemu to obywatel przechowuje właśnie tę gazetę? - Ja nie przechowuję, tak sobie leży!”) Żadnych podkreśleń ani ptaszków, ale wujek wiedział na pamięć, co w której można znaleźć. I porozwieszał je też tak, żeby nie trzeba było za każdym razem rozrzucać pliku.

Stojąc obok siebie na dwóch krzesłach - wujek w okularach - przeczytali w gazecie z 1940 roku takie słowa Stalina: „Wiem, jak lud niemiecki kocha swojego Fuhrera, i dlatego wznoszę toast za jego zdrowie!”. A znów w gazecie z 1924 roku wiszącej na oknie Stalin bronił „wiernych leninowców Kamieniewa i Zinowiewa” przed oskarżeniami o sabotowanie październikowego przewrotu.

Innocenty zapalił się i wciągnął w to polowanie; nawet przy świetle słabej czterdziestoświecówki długo by jeszcze tak się krzątali i szeleścili odczytując wyblakłe, półzatarte rzędkie liter, ale gdy żona za ścianą zakaszła z wyrzutem, wujek zmieszał się i powiedział:

- Jutro też dzień będzie, toć nie wyjeżdżasz? A teraz trzeba gasić, dużo prądu wychodzi. Powiedz no, dlaczego taki ten prąd drogi? Wciąż budujemy te elektrownie - a nic taniej.

Zgasili światło. Ale spać im się nie chciało i w trzecim, malutkim pokoiku, gdzie było posłanie dla Innocentego i gdzie wujek przysiadł obok niego na pościeli, jeszcze ze dwie godziny rozmawiali szeptem z zapamiętaniem zakochanych, którym nie trzeba dla ich gruchań żadnego światła.

- Tylko fałsz, nic tylko fałsz! - powtarzał wujek. W ciemności jego głos nie miał w sobie żadnego drżenia, nie wydawał się głosem starca. - Przecież żaden rząd odpowiedzialny

za swoje słowa... „Pokój ludom, wbij bagnet w ziemię!” - i ledwie rok minął, a już specoddziały do walki z dezercją wylapywały chłopków po lasach i rozstrzeliwały dla przykładu! Car tak nie robił... „Robotnicza kontrola w zakładach pracy” - a gdzieś ty widział tę robotniczą kontrolę chociaż przez miesiąc? Wszystko wzięła w garść centrala. Toż gdyby w siedemnastym roku ktoś powiedział, że normy produkcji będą co roku podwyższać - to któż by wtedy za nimi poszedł? „Precz z tajną dyplomacją, z tajnymi nominacjami!” - a tu od razu wszędzie ten napis „tajne” albo „ściśle tajne”. W jakim też innym kraju ludzie wiedzą o własnym rządzie mniej niż u nas?

W ciemnościach szczególnie łatwo było przeskakiwać przez dziesiątki lat i spraw - i oto już wujek klarował, że przez całą wojnę czterdziestego pierwszego roku we wszystkich okręgowych miastach stacjonowały garnizony NKWD, których nikt nie myślał ślać na front. A tymczasem car całą swoją gwardię oddał na przemiał, żadnych sił wewnętrznych przeciw rewolucji nie miał. A ten niewyda-rzony Rząd Tymczasowy nie operował w ogóle żadnymi wojskami...

I znów o tej ostatniej, sowiecko-niemieckiej. - Co ty o tej wojnie myślisz?

Jak rozwiązały się języki! Innocenty z łatwością mówił teraz takie rzeczy, których nawet by nie sformułował, gdyby nie ten dialog:

- Myślę, że to była wojna tragiczna. Obroniliśmy ojczyznę, aby ją utracić. Stała się ostatecznie folwarkiem Wąsala.

- Naszych padło nie jakieś tam siedem milionów - nalegał wujek. - I po co? Tylko żeby jeszcze mocniej zaciągnąć sobie obrozę. Najbardziej niefortunna wojna w historii Rosji...

I znów - o drugim zjeździe sowietów: z dziewięciuset rad tylko trzysta przysłało swoich delegatów, zjazd nie był więc pełnoprawnym, nie wolno mu było zatwierdzać leninowskiego Sownarkomu.

- Co też wujek mówi?...

Już sobie dwa razy życzyli dobrej nocy, już wujek pytał, czy zostawić drzwi otwarte, bo trochę duszno - ale tu jakoś im się zgadało o bombie atomowej i wujek wrócił, szepcząc gniewnie:

- Nigdy sami jej nie potrafią zrobić!

- Kiedy właśnie mogą - cmoknął Innocenty. - Słyszałem nawet, że niedługo wypróbują pierwszą bombę.

- Brechty! - powiedział wujek z przekonaniem. - Rozgłosić rozgłoszą, ale kto to sprawdzi?... Nie mają takiej techniki, dwudziestu lat by tu trzeba.

Wyszedł za próg i znowu wrócił:

- Ale jeżeli zmajstrują - to koniec z nami. Nigdy już wolności się nie doczekamy.

Innocenty leżał na wznak i łykał oczyma gęstą ciemność.

- Tak, to będzie okropne... Toż nie będą jej trzymać w lamusie. A znów bez bomby nie ośmielią się zacząć wojny.

- Ale wojna to też nie jest wyjście - wujek znów zawrócił od progu. - Wojna - to zagłada. Najstraszniejsze na wojnie są nie ruchy wojsk, nie pożary, nie naloty bombowe - na wojnie to jest najstraszniejsze, że w majestacie prawa oddaje się myśl w ręce tępoty... zresztą to samo u nas mamy - bez żadnej wojny. No, śpij już.

Robót domowych nie można lekceważyć: następnego dnia do zwykłych prac trzeba było dodać jeszcze wczorajsze, zaległe. Rano, idąc na rynek, wujek zdjął dwa pliki gazet, więc Innocenty zabrał się do nich niezwłocznie, przy dziennym świetle, bo już wiedział, że wieczorem ich nie przeczyta. Wyszłe, zakurzone arkusze raziły dotyk, na opuszkach palców zostawał obrzydliwy nalot. Z początku Innocenty mył ręce i starannie je wycierał, ale wkrótce przestał na ów nalot i zwracać uwagę, podobnie jak przestał widzieć wszystkie ułomności tego domu, jego spaczone podłogi, ślepawe okna, a także zaniedbany wygląd wujka. Im starszy był rocznik pisma, tym ciekawsze było czytanie, i już wiedział, że dziś nie wyjedzie.

Późno, już przed wieczorem, znów siedli we trójkę do obiadu. Wujek ożywił się, poweselał, wspominał lata studiów na wydziale filozoficznym i beztroski, hałaśliwy ruch rewolucyjny wśród studentów w latach, gdy trudno było o miejsce bardziej interesujące niż więzienie. Ale do żadnej partii nigdy się nie zapisał, widział bowiem w każdym programie partyjnym plan gwałtu nad wolnością ludzką i nie dostrzegał w partyjnych przywódcach proroczego daru wyższości nad resztą ludzi.

W przerwach tych wspominków Raisa Timofiejewna opowiadała o swoim szpitalu, o życiu pełnym zawziętości, w którym wciąż trzeba ujadać i odgryzać się.

Znów zamknęli okiennice i założyli sztaby. Teraz wujek otworzył kufer w składziku i stamtąd - w świetle naftowej lampy, bo elektryczność nie dochodziła - zaczął wyciągać ciepłe rzeczy, a raczej szmaty. Podnosząc wysoko lampę pokazał w końcu siostrzeńcowi swój skarb ukryty na dnie. Malowane gładkie dno kufra wyściełała „Prawda” z drugiego

dnia październikowego przewrotu. Tytuł na pierwszej kolumnie głosił: „Towarzysze! Własną krwią zapewniłście możliwość zwołania na czas Konstytuanty, gospodyni ziemi rosyjskiej!”

- To było jeszcze przed wyborami do Konstytuanty, rozumiesz? Jeszcze nie wiedzieli, jak mało posłów będzie miała ich partia.

Starannie i powoli włożyli wszystko na powrót do kufra.

Sprawa Konstytuanty była punktem, w którym przecięły się losy najbliższych krewnych Innocentego. Jego ojciec Artiom należał do tego oddziału spieszonych marynarzy, którzy rozpędzili tę pogardzaną konstytutkę, wujek zaś Awenir manifestował w obronie tego wymarzonego Zgromadzenia.

Manifestacja, w której wziął udział wujek, zebrała się przy Trockim moście. Dzień był łagodny, zimowy i pochmurny, ale bez wiatru i śniegu, tak że wielu przyszło w rozpiętych na piersi okryciach. Mnóstwo studentów, licealistów, dziewcząt. Pocztownicy, telegrafisci, urzędnicy. I w ogóle - kupa rozmaitych ludzi, takich jak wujek. Przeważały czerwone sztandary socjalizmu i rewolucji. Były też ze dwa kadeckie, biało-zielone. Druga zaś manifestacja, ciągnąca z fabryk News-kiego Przedmieścia - była cała socjaldemokratyczna i szła pod czerwonymi sztandarami.

Ta opowieść przypadła znów na czas późnego wieczoru, znów gadało się w ciemnościach, żeby nie drażnić Raisy Timofiejewny. Dom był szczelnie zamknięty, ciemny i pełen napięcia - jak wszystkie domy Rosji w tej głuchej, zatraconej epoce porachunków i mordów, kiedy wszyscy nasłuchiwali groźnych kroków na ulicy i czujnie patrzyli przez szczeliny w okiennicach, jeśli akurat świecił księżyc.

Ale dzisiaj księżyc nie było, uliczna latarnia stała daleko, deski okiennic były szczelne - i wewnątrz izby stężała taka ciemność, że tylko odbłask nie zasłoniętego kuchennego okna, słabo przenikający przez drzwi uchylone na korytarz, pozwalał odróżnić czasem od nocnego mroku nie tyle kontury wujkowej głowy, ile jej ruchy. Nie wspomagany błyskaniem oczu ani grą bruzd na twarzy, głos wujka przenikał do uszu siostrzeńca z tym większą i niezależną od wieku siłą przekonania:

- Szliśmy bez radości, bez pieśni, w milczeniu. Rozumieliśmy, jak ważny to dzień, ale można też powiedzieć, żeśmy nie rozumieli, iż będzie to jedyny dzień jedyne rosyjskiego wolnego parlamentu - jedyny na przestrzeni pięciuset lat przeszłości i stu lat przyszłości. I komu właściwie ten parlament był potrzebny? Iluż to nas zebrało się z całej Rosji? Jakieś pięć tysięcy... Zaczęto do nas strzelać z bram, z dachów, w końcu nawet z chodników.

Strzelali nie w powietrze, tylko prosto w piersi... Przy tych, co padli, zostawało dwóch, trzech, pozostali szli dalej. Nikt z naszych nie strzelał w odwet, nikt nie przyszedł z rewolwerem... Do Pałacu Taurydzkiego nawet nie pozwolono nam bliżej podejść, gęsto tam było od marynarzy i strzelców łotewskich. O naszym losie decydowali Łotysze: nie przeczuwali, co też stanie się z ich Łotwą... Na prospekcie Litiejnym przecięła nam drogę czerwona gwardia: „Rozejść się! Na chodnik!”. I zaczęli strzelać salwami. Jeden czerwony sztandar nam wyrwali... o tych czerwonogwardzistach niejedno bym ci mógł powiedzieć... złamali drzewce, deptali sztandar... część naszych poszła w rozsypkę, inni rzucili się do ucieczki. Uciekającym strzelano więc w plecy. Jak łatwo tym czerwonym się strzelało! Do bezbronnych ludzi, w plecy! A pomyśl tylko - przecież jeszcze nie było żadnej wojny domowej! Ale dusze i obyczaje już były gotowe. Wujek sapnął głośno.

- ... albo rocznica 9 Stycznia - czarno-czerwona w kalendarzu. A o rewolucji 1905 roku nawet szeptać nie wolno.

Znów zadyszał głośno.

- I jeszcze ten podły chwyt: dlaczego niby wystrzelano tę naszą demonstrację? Dlatego, że ponoć kaledińska, w obronie pułkownika Kaledina, który gdzieś tam szykował wojska, a w końcu krokiem nie ruszył. A co mieliśmy wspólnego z Kaledinem? Wróg wewnętrzny - o, to nie każdy zrozumie: przecież chodzi wśród nas, mówi naszym językiem, żąda jakiejś wolności dla wszystkich. Trzeba koniecznie odseparować go od nas, związać z wrogiem zewnętrznym i wtedy już łatwo, już można spokojnie do niego strzelać.

Milczenie w ciemnościach jest osobliwie jasne, nic go nie rozprasza.

Skrzypnęła stara siatka, Innocenty podciągnął się wyżej, wsparł się o zagłówek.

- A co było w Pałacu Taurydzkim, w siedzibie Konstytuanty?

- Wieczór Trzech Króli? - wujek westchnął głęboko. - No cóż? Tam wdarł się *ochlos*, motłoch. Ogłuszające gwizdy... bluzgi wyzwisk zupełnie zagłuszały mówców. Kolby wałą o podłogę bez powodu, bez ustanku. To była ta ochrona. Kogo i przed kim chroniła? Majtkowie i żołnierzyki, połowa zalana w dym - rzygali w bufecie, spali na otomanach, foyer zapluli łupinami pestek. Postaw się teraz na miejscu jakiegoś deputowanego, inteligenta, i powiedz - jak tu walczyć z tym ścierwem? Przecież nawet nie wolno wziąć go za ramię, nie sposób zrobić mu najmniejszej uwagi, bo to będzie zaraz bezczelna kontrrewolucja, zbrodnia przeciw świętej ochlokracji. Przepasani są na krzyż taśmami cekaemów, za pasem to ci mają granaty i mauzery. W sali posiedzeń Konstytuanty stoją

wśród publiczności z tymi swoimi karabinami, w przejściach też stoją z bronią w ręku i celują w mówców, wodzą za nimi lufami, dla wprawy, uważasz. Ktoś tam mówi o demokratycznym pokoju, o nacjonalizacji gruntów - a tu dwadzieścia luf celuje w niego, muszka w szczybinie. Zastrzelą i zbyte, żadnych przeprosin, następny do golenia!.. Trzeba to wreszcie zrozumieć: pyski mówcom zatyka się lufą! - o to chodziło. Tacy byli, kiedy Rosję zdobywali, tacy byli zawsze, tacy będą do śmierci. Pod innym względem mogą się zmienić, ale pod tym - nigdy... A Swierdłow wyrywa dzwonek marszałkowi-seniorowi, odpycha go, nie pozwala zacząć obrad. W łoży rządowej Lenin chichocze, rozkoszuje się widowiskiem, a narkom Karelin, lewicowy eser - aż pęka ze śmiechu!! Nie rozumie jeszcze, że tylko początek jest trudny i że za pół roku jego towarzyszy też wytępią... No, a co dalej, to już sam wiesz, widziałeś w kinie... Komisarz Dybenko, nomen-omen, posłał szwadron dla przerwania zbędnego posiedzenia. Z pistoletami, z taśmami na krzyż, podchodzą więc marynarze do stołu prezydialnego...

- I mój ojciec też?

- Twój ojciec też. Wielki bohater wojny domowej. To było właśnie wtedy, kiedy mama... no, uległa mu... oni wręcz delektowali się takimi rzewnymi panienkami z dobrych domów. To były dla nich też rozkosze rewolucji.

Innocenty cały płonął - paliło go czoło, uszy, policzki, szyja. Oblewał go żar, jakby sam brał udział w podłości. Wujek oparł się nogą o jego kolano, nachylił się bliżej, bliźniutko i zapytał:

- Czyś ty nigdy nie pomyślał, że naprawdę grzechy ojców spadają na dzieci?... I że trzeba je z siebie zmyć?

62

Pierwsza żona prokuratora, która była wraz z mężem na fron - tach wojny domowej, potrafiąca dobrze strzelać z karabinu maszynowego, chodząca zawsze w swojej skórzanej kurtce i trzymająca się ostatnich dyrektyw komórki partyjnej - chyba nie byłaby zdolna doprowadzić Makarygina do obecnego stanu pomyślności; ba, gdyby nie umarła przy narodzinach Klary - to trudno byłoby nawet wyobrazić sobie jej dalsze życie.

W przeciwieństwie do niej Aleutina Nikanorowna, obecna żona Makarygina, wypełniła dawne wąskie ramy rodziny obfitą treścią, przesyciła sokami to, co dawniej było suche. Aleutina Nikanorowna niezbyt jasne miała pojęcie o klasowych schematach i niewiele w swoim życiu się nasiedziła na szkoleniu politycznym. Ale za to była zupełnie pewna, że

dobra rodzina jest nie do pomyślenia bez dobrej kuchni i bez bielizny pościelowej oraz obrusów w najlepszym gatunku, a razem ze stabilizacją, jako ważna zewnętrzna oznaka dobrobytu, powinny pojawić się w mieszkaniu srebra, kryształy i dywany. Aleutina Nikanorowna potrafiła z wielkim talentem zdobywać to wszystko niedrogo, nie przeoczyła nigdy korzystnych wyprzedaży, w specjalnych sklepach dla pracowników aparatu sprawiedliwości, w komisach i na rynkach w przyłączonych właśnie do ZSRR prowincjach. Jeździła specjalnie do Lwowa i do Rygi, kiedy jeszcze trzeba było po to mieć przepustki, a także po wojnie, kiedy staruszki Łotyszki chętnie i prawie za bezcen sprzedawały na targu ciężkie obrusy i serwisy. Znakomicie знаła się na kryształach, nauczyła się doskonale je rozróżniać: mleczne, „mrożone”, bakaraty, rubinowe, złote, miedziane, selenowe, żółcistozielone kadmowe, granatowe kobalty. Zbierała nie te dzisiejsze, toporne, krzywobokie kryształy z państwowej taśmy, szlifowane przez obojętne ręce, ale antykwaryczne, w które wszczepione były iskry i refleksy duszy majstra, który je wykonał; w latach dwudziestych i trzydziestych sporo tego towaru skonfiskowano na mocy wyroków sądowych, aby go później rozsprzedać wśród swoich.

Także tego wieczoru stół był znakomicie zastawiony i nader obfity; ze zmianą dań ledwie radziły sobie dwie służące Baszkirki, jedna stała, druga wzięta na wypomóżkę od sąsiadów. Obie Baszkirki były jeszcze podlotkami, z tej samej wioski, zeszłego lata ukończyły tę samą dziesięciolatkę w Czekmaguszy. Na pełnych napięcia i zarumienionych od kuchennego ognia twarzach pokojówek rysowała się powaga i usłużna gotowość. Były zadowolone, że taka praca im się trafiła, i miały nadzieję, że jeżeli nie tej wiosny, to następnej tyle już zarobią i tak się wystroją, że dla każdej znajdzie się moskiewski mąż i nie trzeba będzie wracać do kołchozu. Aleutina Nikanorowna, kobieta postawna i jeszcze niestara, z aprobatą wodziła za nimi oczyma.

Szczególny kłopot sprawiło gospodyni to, że w ostatniej chwili zmienił się charakter przyjęcia: miała być zaproszona sama młodzież, a spośród starszych - głównie rodzina, bo dla swoich współpracowników Makarygin wydał bankiet już przed dwoma dniami. Dlatego zaproszony został stary przyjaciel prokuratora jeszcze z czasów wojny domowej, Serb Duszan Radowicz, były wykładowca dawno zlikwidowanego Instytutu Czerwonej Profesury. Dopuszczono także przybyłą do Moskwy po zakupy przyjaciółkę gospodyni z lat młodości, żonę instruktora rejkomu w rejonie Zarieczeńskim. Lecz nagle wrócił z Dalekiego Wschodu (z głośnego procesu japońskich wojskowych oskarżonych o przygotowywanie wojny

bakteriologicznej) generał-major Słowuta, również prokurator, bardzo ważna figura - koniecznie należało go zaprosić. Jednak przed Słowutą wstydzono się teraz tych prawie że nielegalnych gości, tej prawie-już-nie-koleżanki i owego nie-bardzo-przyjaciela. Słowuta mógł pomyśleć, że u Makaryginów bywa hołota. Aleutynie Nikanorownie zatrulo to i skomplikowało cały wieczór. Posadziła więc swoją nieszczęśliwą z powodu niewydarzonego męża przyjaciółkę jak najdalej od Słowuty i wciąż jej przypominała, by mówiła ciszej i jadła nie tak łapczywie: z drugiej strony gospodyni było przyjemnie, kiedy ta kosztowała każdej potrawy, pytała o przepisy i wszystko ją zachwycalo, zarówno zastawa, jak i goście.

Właśnie z powodu Słowuty tak usilnie nalegano, by przyszedł Innocenty, i to koniecznie w mundurze dyplomaty ze złotymi palmami, aby wraz z drugim zięciem, znamienitym pisarzem Mikołajem Gałachowem uświetnić bankiet. Jednak ku rozgoryczeniu teścia dyplomata się spóźnił, było już po kolacji, a młodzież rozpoczęła tańce.

Innocenty w końcu ustąpił, wdział ten przeklęty mundur. Jechał rozbity, w domu nie mógł wytrzymać, zresztą gdzie indziej też czuł się źle. Lecz kiedy ze skwa-szoną miną wszedł do tego mieszkania, wypełnionego ludźmi, wesołym gwarem, śmiechem, żywymi barwami - wydało mu się, że właśnie tu jego aresztowanie jest czymś zupełnie niemożliwym! Zaraz też poczuł się zwyczajnie, a nawet jakoś szczególnie lekko. Wypił z ochotą, chętnie też spróbował tej czy innej potrawy - przeszło doba nie mógł prawie nic przełknąć, teraz zaś radośnie wezbrał w nim głód.

Jego szczere ożywienie poprawiło humor także teściowi i ułatwiło rozmowę w tej, honorowej, części stołu, gdzie Makarygin starał się mozolnie, aby Radowicz nie palnął czegoś ostrego, żeby Słowucie było cały czas przyjemnie, i żeby Gałachow się nie nudził. Teraz obniżył swój dudniący głos i zaczął żartobliwie wyrzucać Innocentemu, że nie uradował go na starość wnukami.

- Co on sobie myśli z tą swoją żoną? - skarżył się prokurator. - Też mi para, ani słówka, młody baran i jałówka! Żyją, jakby sami byli na świecie, jedzą, piją, o nic się nie troszczą. Urządzili się! Używają sobie życia! Spytajcie go tylko, przecież z niego, łajdaka, epikurejczyk. Dobrze? Innocenty, przyznaj się - wierzysz w Epikura.

Nie można było nawet żartem nazwać członka wszechzwiązkowej partii komunistycznej - młodoheglistą, neokantystą, subiektywistą, agnostykiem albo, nie daj Boże - rewizjonistą. „Epikurejczyk” natomiast było to określenie tak niewinne, że wcale nie przeszkadzało nikomu być dalej ortodoksyjnym marksistą.

W tym momencie Radowicz, na wylot znający każdy szczegół życia Twórców Ruchu, zdążył się wtrącić:

- Cóż, Epikur to porządny człowiek, materialista. Sam Karol Marks napisał rozprawę o Epikurze.

Radowicz miał na sobie wytarty półwojskowy frencz, a skóra jego twarzy przypominała ciemny pergamin naciągnięty na czaszkę. (Wychodząc na ulicę zakładał jeszcze do niedawna budionnówkę, ale zaczęła zatrzymywać go milicja).

Innocenty rozgrzewał się, błyszczącymi oczyma patrzył na niczego nie domyślających się sąsiadów. To był śmiały krok - włączyć się do pojedynku tytanów! Wydawał się sobie w tej chwili ulubieńcem bogów. I Makarygin, i nawet Słowuta, którzy w jakiejś innej chwili mogli wzbudzić w nim pogardę, byli - mu teraz po ludzku sympatyczni, byli gwarantami jego bezpieczeństwa.

- Epikur? - przyjął wyzwanie z iskrzącymi się już oczyma. - Jestem jego wyznawcą, nie wypieram się. Ale będziecie zapewne zdziwieni, jeśli powiem, że „epikurejczyk” jest to jedno z tych określeń, których się na ogół nie rozumie. Kiedy się chce powiedzieć, że dany człowiek lubi zbyt wiele mieć z życia, że jest lubieżny, rozpustny, że nawet po prostu świnia z niego, to się mówi: „epikurejczyk”. Nie, chwileczkę, ja mówię poważnie - nie pozwolił Makaryginowi przerwać sobie i pomachiwał w zapale pustym, złożonym fuzerem, który trzymał w długich delikatnych palcach - tymczasem prawda o Epikurze jest zupełną odwrotnością tego, co myślimy o nim. Otóż wcale nie zaleca nam orgii. Wśród trzech podstawowych przeszkód stojących na drodze do ludzkiego szczęścia Epikur wymienia nienasycone żądze! Co? Epikur powiada: właściwie człowiekowi potrzeba bardzo niewiele i właśnie dlatego jego szczęście nie jest zależne od fatum! Uwalnia on człowieka od lęku przed ciosami losu i dlatego nasz Epikur to wielki optymistą!

- Co ty powiesz?! - zdziwił się Gałachow i wydobył skórzany notesik z białym kościanym ołóweczkiem. Mimo swego rozgłosu Gałachow miał prosty sposób bycia, mógł do rozmówcy mrugnąć, klepnąć go po ramieniu. Pierwsze siwe włosy błyszczały już malowniczo nad jego smagłąwą, trochę już tyjącą twarzą.

- Nalej mu, nalej! - powiedział Słowuta do Makarygina, wskazując na pusty pucharek Innocentego - bo nas tu zagada.

Teść nalał, Innocenty wypił z rozkoszą. Dopiero teraz, kiedy tak zgrabnie udało mu się wziąć ją w obronę, filozofia Epikura po raz pierwszy wydała mu się godna uznania.

Słowuta z twarzą jeszcze niestara, ale już nalana, odnosił się do Makarygina trochę z wysoka (miał już przyznaną drugą gwiazdę generalską), ale ze znajomości z Gałachowem bardzo był zadowolony i wyobrażał sobie z góry, jak to dziś wieczorem w tym domu, dokąd miał jeszcze zamiar wstąpić, opowie tak po prostu, że przed godziną pił sobie z Kolką Gałachowem i że ten mu opowiadał... ale Gałachow też przyjechał niedawno, też się spóźnił i jakoś nic dzisiaj nie chciał opowiedzieć, na pewno obmyślał jakąś nową powieść? I Słowuta, przekonany, że niczego więcej się nie dowie, chciał już zbierać się do odejścia.

Makarygin namawiał jak umiał Słowutę do pozostania i nareszcie przekonał go, że trzeba jeszcze przecież złożyć ofiarę na „ołtarzu tytoniowym” gospodarza. Makarygin dumny był ze swojej kolekcji tytoni, miał ją w gabinecie. Sam palił zwykle bułgarski fajkowy, którego dostarczali mu znajomi, wieczorami zaś, kiedy już był przepalony, przechodził na cygara. Ale lubił robić wrażenie na gościach, częstując ich po kolei coraz to innym gatunkiem.

Drzwi do gabinetu były zaraz obok, Makarygin otworzył je, zapraszając zarówno Słowutę, jak zięciów. Jednak zięciowie odmówili, zostawiając starszych panów własnemu losowi. Prokurator zaniepokoił się, żeby mu teraz Duszan nie wszedł w paradę, dlatego w drzwiach gabinetu przepuścił Słowutę przodem i pogroził Radowiczowi palcem.

Szwagrowie zostali sami przy pustym końcu stołu. Osiągnęli już ten szczęśliwy wiek (Gałachow był starszy o kilka lat), kiedy uchodzili jeszcze za młodych, ale już nie byli zmuszani do tańców - mogli więc oddać się rozkoszom męskiej rozmowy wśród nie dopitych butelek, przy dźwiękach dalekiej muzyki.

Gałachow wpadł faktycznie przed tygodniem na pomysł pisania o spisku imperialistów i walce naszych dyplomatów o pokój, przy tym chciał napisać tym razem nie powieść, tylko sztukę - ponieważ w ten sposób łatwiej mógł prześliznąć się nad wieloma nieznanymi sobie okolicznościami, szczegółami wnętrza i ubiorów. Teraz miał akurat świetną okazję, aby dowiedzieć się czegoś od swojego szwagra, jednocześnie szukając w nim typowych cech sowieckiego dyplomaty i zbierając wiadomości o charakterystycznych przejawach życia na zachodzie, gdzie toczyć się miała akcja sztuki i gdzie sam Gałachow był tylko bardzo krótko, na jednym z postępowych zjazdów. Gałachow zdawał sobie sprawę, że to nie całkiem w porządku - pisać o życiu, którego się nie zna, ale w ostatnich latach zaczęło mu się wydawać, że życie za granicą - albo jakieś historie sprzed wieków, albo nawet fantastyczne opowieści o mieszkańcach księżycy - wszystko to tematy łatwiejsze do opisanie

niż otaczająca go rzeczywistość, tak zawiła, tak usiana minami, gdziekolwiek skieruje człowiek kroki w poszukiwaniu materiału.

Służące robiły hałas przy zmianie nakrycia przed podaniem herbaty. Gospodyni miała na wszystko oko, a po wyjściu Słowuty przestała już uciszać przyjaciółkę, która kończyła opowieść o tym, jak to w rejonie Zarieczeńskim nie ma kłopotów z leczeniem, lekarze są w porządku, a dzieci całego aktywu od niemowlęctwa mają specjalną opiekę, że zawsze jest dla nich mleko i nie brakuje zastrzyków z penicyliny.

W sąsiednim pokoju głośno wydzierał się adapter, a w jeszcze dalszym rozlegał się metaliczny trajkot telewizora.

- Zadawanie pytań to przywilej pisarzy - potakiwał Innocenty, zachowując w oczach ten sam zwycięski błysk, z którym bronił Epikura. - Przypominają mi oficerów śledczych. Wciąż pytają i pytają, kto winien.

- My jednak szukamy w człowieku nie jego zbrodni, tylko jego zalet, jego pięknych cech.

- Właśnie dlatego wasza robota i wysiłek sumienia są sobie zupełnie przeciwstawne. Więc chcesz pisać książkę o dyplomatach?

Gałachow uśmiechnął się.

- Chcesz - nie chcesz - to nie wygląda tak po prostu, jak w noworocznych wywiadach dla prasy. Ale trzeba mieć w zapasie materiały... Nie z każdym dyplomata można sobie pogadać. Dobrze, że ma się kogoś takiego w rodzinie.

- Wybierając mnie dowiodłeś swojej przenikliwości. Inny dyplomata przede wszystkim nałgałby ci ile wlezie. Przecież mamy coś niecoś do ukrycia.

Patrzyli sobie w oczy.

- Rozumiem. Ale... tej strony waszej działalności... chyba nie trzeba będzie poruszać, tak że ona mnie...

- Aha. To znaczy, że interesujesz się przede wszystkim życiem codziennym naszych ambasad, rozkładem dnia, no, charakterem przyjęć, chcesz wiedzieć, jak się wręcza papiery uwierzytelniające...

- Nie, sięgnijmy głębiej! Jak przełamuje się w duszy sowieckiego dyplomaty...

- Aaa, jak przełamuje się... no to już wiem! Zrozumiałem. Mogę ci o tym mówić aż do końca wieczoru. Tylko że... naprzód mi wytłumacz... Już całkiem porzuciłeś tematykę wojenną? Już ci się wydaje wyczerpana?

- Wyczerpać jej się nie da - Gałachow pokiwał głową.
- Tak, udało wam się z tą wojną. Kolizje, tragedie - skąd byście wzięli je w innym wypadku?

Innocenty patrzył z rozbawieniem.

Po czole pisarza przebiegł cień troski. Westchnął:

- Temat wojny jest utrwalony w moim sercu raz na zawsze.
- Bo też stworzyłeś w tej dziedzinie arcydzieła!
- I chyba już ten temat zawsze będzie moim. Aż do śmierci będę do niego wracał.
- A może lepiej nie wracać?
- Trzeba wracać! Dlatego, że wojna wydobywa z ludzkiej duszy na wierzch...
- Z duszy? - tu się zgadzam! Ale spójrz, do czego sprowadziła się w końcu u nas frontowa i wojenna literatura. Oto, co dla niej najważniejsze: jak zachowywać się na pozycjach, jak prowadzić ogień huraganowy, „nie zapomnimy, nie wybaczymy”, rozkaz dowódcy jest dla podwładnych jedynym prawem. Ale to przecież o wiele lepiej jest powiedziane w regulaminie służbowym. Aha, jeszcze pokazujecie nam, jak to trudno tym biednym dowódcom wodzić palcem po mapie.

Gałachow nachmurzył się. Dowódcy to byli jego ulubieni bohaterowie wojenni.

- Mówisz o mojej ostatniej powieści?
- Ależ nie, Mikołaju! Tylko czy naprawdę literatura piękna musi być powtórzeniem regulaminów służbowych? Albo gazet? Albo haseł? Na przykład Majakowski uważał za sprawę honoru, żeby wzmiankę gazetową brać jako motto do wiersza. To znaczy, że miał sobie za honor, żeby nie wznosić się ponad poziom gazety! Ale po co wtedy literatura? Przecież pisarz - to wychowawca innych ludzi, przecież tak myślano zawsze?

Szwagrowie nie tak często się widywali, znali się mało. Gałachow odpowiedział ostrożnie:

- To, coś powiedział, jest słuszne tylko w stosunku do reżimu burżuazyjnego.
- No pewnie - łatwo zgodził się Innocenty. - U nas są w mocy zupełnie inne prawa... Nie, nie to chciałem... - Pokręcił dłonią. - Kola, uwierz mi, czuję w tobie coś sympatycznego. I dlatego mam teraz wyjątkową chęć, żeby cię spytać... po przyjacielsku... Czy myślałeś o tym kiedy?... jak ty sam widzisz własną pozycję w rosyjskiej literaturze? Można już wydać twoje dzieła w sześciu tomikach. Masz trzydzieści siedem lat, Puszkina w tym wieku był już sprzątnięty. Nie grozi ci to niebezpieczeństwo. Ale wszystko jedno, nie

ucieknie przed tym pytaniem - kim właściwie jesteś? Jakimi nowymi myślami wzbogaciłeś naszą udręczoną epokę?... Rzecz jasna, prócz tych bezdyskusyjnych, które ci daje realizm socjalistyczny. Tak w ogóle, Kola, powiedz mi - już nie kpiąco, raczej z udręką spytał Innocenty - nie wstydzisz się czasami za to nasze pokolenie?

Na czole i policzkach Gałachowa zadrgały zmarszczki.

- Dotykasz... drażliwej sprawy... - odparł, wbijając wzrok w serwetę. - Który z rosyjskich pisarzy nie przymierzał sobie po kryjomu puszkowskiemu fraka?... tołstojowskiej rubachy?... - Obrócił na serwecie dwukrotnie swój ołówek i spojrzał na Innocentego oczyma, które nie chciały nic ukrywać. Miał ochotę powiedzieć teraz to, czego w towarzystwie pisarzy powiedzieć nie mógł. - Kiedy byłem jeszcze szczeniakiem, na początku pięćdziesiątek, wciąż mi się wydawało, że skonam ze szczęścia, jeżeli zobaczę swoje nazwisko wydrukowane nad wierszem. I zdawało mi się, że to już będzie początek nieśmiertelności... ale...

Wymijając puste krzesła szła w ich stronę Dotnara.

- Ink! Kola! Nie odpędzicie mnie? Nie za mądra dla mnie wasza rozmowa?

Pojawiła się zupełnie nie w porę.

Szła ku nim - i jej widok, jej nieunikniona obecność w życiu Innocentego przypomniały mu nagle całą grozę tego, co go czeka, a to proszone przyjęcie, to przerzucanie się żarcikami - zupełnie przestało go bawić. Serce mu się ścisnęło. Gardło wypełniła gorąca suchość.

A Dotti stała i czekała na odpowiedź bawiąc się końcami paska swojej re-glanowej bluzy. Jasne loki padały jej swobodnie na ramiona, tak samo jak przed dziewięć laty - umiała zachować swoje atuty nie ulegając modzie. Wiśniowy kolor materiału podkreślał rumieńce na policzkach. Leciutko drżała jej górna warga - znał doskonale i bardzo lubił to drżenie - kiedy słuchała komplementu i kiedy wiedziała, że się podoba. Ale dlaczego teraz?...

Tak długo starała się podkreślić swoją niezależność od niego i samodzielność poglądów na życie. Ale teraz coś w niej jakby się załamało - może tknęło ją przecucie rozstania? - stała się ustępliwa, łagodniejsza. I to drżenie warg...

Innocenty nie mógł jej wybaczyć długiego okresu niechęci do porozumienia, obcości, zdrady. Zdawał sobie sprawę, że nie mogła zmienić się tak szybko - ale ta jej uległość grzała mu duszę, więc przyciągnął ją za rękę, aby usiadła obok. Takiego gestu nie było między nimi przez całą jesień, było to niemożliwe.

Demonstrując całą giętkość swego smukłego ciała, Dotti posłusznie usiadła obok męża i przylgnęła do niego tak, by nie przekroczyć granic przyzwoitości, ale pokazać zarazem wszystkim, że męża kocha i że jest im dobrze razem. Innocentemu przemknęło przez myśl, że dla przyszłości Dotti byłoby lepiej, aby nie manifestowała zbyt tej nieistniejącej intymności. Jednak głaskał tylko miękkim ruchem jej ramię przez wiśniowy rękaw. Biały kościany ołówek czekał daremnie.

Gałachow wbił łokieć w serwetę, podparł się ciężko i patrzył nie na Wołodinów, tylko na duże okno oświetlone latarniami placu Kałuskiego. Spowiadać się przy babach - to już było w ogóle niemożliwe. A i bez bab niełatwe.

... Ale... ale... zaczęto drukować całe jego poematy; setki teatrów na prowincji wystawiały jego sztuki w ślad za stołecznymi; dziewczęta przepisywały jego wiersze i uczyły się ich na pamięć; podczas wojny centralne organy chętnie oddawały mu całe kolumny, wypróbował swoje siły jako reporter, nowelista i krytyk; ukazała się w końcu jego powieść i dostał nagrodę stalinowską, potem drugą, trzecią. I cóż? Dziwna rzecz: rozgłos był, ale nieśmiertelności jakoś nie było.

Sam nawet nie zauważył, czym i kiedy obciążył skrzydła, jak osadził na ziemi swojego ptaka nieśmiertelności. Być może wznosił się on w górę tylko w tych niewielu wierszach, które powtarzały dziewczęta. Zaś jego sztuki, jego opowiadania i jego powieść umierały w jego przytomności, zanim sam autor zdążył skończyć trzydzieści siedem lat.

Ale czemu to koniecznie ma człowiekowi zależeć na nieśmiertelności? Większość kolegów Gałachowa nie uganiała się za żadną nieśmiertelnością uważając, że o wiele ważniejsza jest pozycja w życiu doczesnym. Pies z nią tańcował, z tą całą nieśmiertelnością, czy nie ważniejsza to rzecz móc dzisiaj wpływać na bieg życiowych spraw? No i wpływali. Ich książki służyły masom, wydawane były w zawrotnych nakładach, zakupywane były z bieżących funduszy przez wszystkie biblioteki, dodatkowo jeszcze urządzano specjalne miesiące książki, żeby tylko więcej ich upchnąć. To prawda, że o wielu faktach pisać nie można. Ale oni pocieszali się w ten sposób, że przecież kiedyś warunki się zmienią i że będą mogli wrócić jeszcze raz do tych spraw, oświetlić je z właściwej strony, korygując stare książki i wydając je w nowej wersji. A teraz trzeba było opisywać choćby tę czwartą, ósmą, szesnastą, tę, bierz ją diabli, trzydziestą drugą część prawdy, którą wolno było - choćby o miłości czy o przyrodzie, zawszeć to lepiej niż nic.

Ale Gałachowa gnębiło, że pisać stawało się coraz trudniej z każdą nową stronicą.

Zmuszał się do pisania według rozkładu godzin, walczył z ziewaniem, z lenistwem umysłu, z ubocznymi myślami, z nasłuchiowaniem, czy ktoś nie przyszedł, zdaje się, że listonosz, warto by przerzucić gazetki. Dbał o to, żeby gabinet był przewietrzony i żeby temperatura nie przekraczała osiemnastu stopni Celsjusza, żeby biurko było wypucowane. Bo inaczej w żaden sposób nie mógł pisać.

Zaczynając nowy duży utwór za każdym razem się zapalał, przysięgał samemu sobie i przyjaciołom, że tym razem nikomu nie ustąpi pola, że teraz już na pewno napisze książkę co się zowie. Z zapalem siadał do pisania pierwszych stron. Ale bardzo prędko zdawał sobie sprawę, że pisze nie sam - że już się pojawiła obok i coraz jaśniej rysuje się przed oczyma postać istoty, dla której tę książkę pisze, której oczyma bezwiednie czyta każdy, dopiero co napisany akapit. Tą Istotą nie był Czytelnik, brat, przyjaciel, rówieśnik ani nie jakiś krytyk syntetyczny - tylko zawsze, nie wiedzieć czemu, bardzo znany, najważniejszy z krytyków - Jermiłow.

Gałachow wyobrażał sobie, jak Jermiłow, oparłszy na piersi swój szeroki podbródek, czyta jego nowy utwór, jak skrobie już przeciw niemu olbrzymi (już tak się zdarzało) artykuł na całą kolumnę „Literaturnej Gaziety”. Artykuł będzie nosił tytuł: „Zza jakich mórz wieją te wiatry?” albo „Jeszcze raz o pewnych modnych tendencjach na naszej słusznej drodze”. Będzie się zaczynał nie od otwartego ataku, tylko od jakichś najświętszych cytatów z Bielinskiego lub Niekrasowa, z którymi chyba tylko łotr by się nie zgodził. I zaraz te słowa nieznacznie a sprytnie przekręci, użyje ich w zupełnie innym sensie - i wtedy to się wyjaśni, że Bielinski albo Hercen świadczą jak najgoręcej przeciw nowej książce Gałachowa wykazując, że jest to osobowość pisarska antysocjalna, antyhumanistyczna, o bardzo chwiejnym kośćcu światopoglądowym.

W ten sposób, akapit za akapitem, starając się odgadnąć możliwe zarzuty Jermiłowa i przygotować się do nich zawczasu, Gałachow przyzwyczajał się szybko do wygładzania ostrych kantów, i książka sama przez się nabierała kształtów tchórzliwie opływowych, rozchodziła się miękkimi kręgami. I mając już za sobą połowę pracy, Gałachow widział, że książkę jakby mu ktoś zamienił, że znów się nie udała...

- A co do cech naszych dyplomatów - mówił Innocenty, ale głosem jakby nieobecnym, z twarzą wykrzywioną kwaśnym uśmiechem. - Cóż. Sam możesz bez trudu je sobie wyobrazić. Wielka ideowość. Przywiązanie do zasad. Bezwarunkowe oddanie naszej sprawie. Osobiste głębokie przywiązanie do towarzysza Stalina. Nieustępliwość w

wykonywaniu instrukcji z Moskwy. U niektórych - doskonała, u innych nieco gorsza znajomość języków obcych. No i niekiedy duża skłonność do uciech cielesnych, ponieważ, jak to się mówi, ma się tylko jedno życie...

63

Radowicz był pechowcem z zasady i z tradycji; już w trzydziest - tych latach odwoływano mu wykłady, książki wycofywano z druku, prócz tego zaś dręczyły go jeszcze choroby: miał w klatce piersiowej odłamek kołczakowskiego pocisku, od piętnastu lat ślimaczyła mu się rana dwunastnicy i od długiego czasu już co rano sam sobie aplikował męczący zabieg płukania żołądka przez przełyk, bez czego nie mógł jeść ani w ogóle żyć.

Ale los dbający przecież o umiar w rozdawnictwie łask i ciosów - uratował Radowicza właśnie przez nadmiar nieszczęść: mimo że był znaną w kominternow-skich kręgach osobistością, ocalał w latach najbardziej krytycznych właśnie dzięki temu, że prawie nie wychodził ze szpitala. Choroby pomogły mu też uniknąć najgorszego w zeszłym roku, kiedy to wszystkich zamieszkałych w ZSRR Serbów albo zmuszano do przystąpienia do ruchu antytitowskiego, albo wsadzano do więzienia.

Bardzo dobrze zdając sobie sprawę ze swojej podejrzanej sytuacji, Radowicz kosztem największego wysiłku wciąż się hamował nie pozwalając sobie na otwarcie ust, nie dając innym wciągać się w fanatyczne spory i próbując prowadzić jedynie blady żywot inwalidy.

Teraz też trzymał się na wodzy i pomagał mu w tym stolik tytoniowy. Taki stolik - owalny, z mahoni, stał w gabinecie na specjalnym miejscu i zastawiony był tutkami, maszynką do nabijania papierosów, kolekcją fajek na statywie oraz dużą popielnicą z perłowej masy. Koło stolika zaś stała jeszcze tytoniowa szafeczka z karelskiej brzozy, z mnóstwem szufladek, a w każdej było miejsce na specjalny gatunek papierosów, cygaretek, cygar, tytoni fajkowych, a nawet tabaki.

Słuchając teraz w milczeniu opowiadania Słowuty o szczegółach przygotowań do wojny bakteriologicznej, o straszliwych zbrodniach japońskich oficerów przeciw ludzkości - Radowicz rozkoszował się zapachami bijącymi z szufladek tytoniowej szafki, nie mogąc się zdecydować na wybór. Palenie - to było dla niego samobójstwo, wszyscy lekarze kategorycznie zabraniali mu palenia, ale ponieważ tak samo nie wolno mu było pić ani jeść (dziś przy kolacji też prawie wcale nie jadł) - to jego węch i smak były szczególnie wyczulone na różnice między różnymi gatunkami tytoniu. Życie bez palenia wydawało mu się bezskrzydłe, często skręcał sobie kozie nóżki z najordynarniejszej, rynkowej

machorki, którą wolał palić będąc w trudnych warunkach materialnych. W Sterlitamaku, w dobie ewakuacji, chadzał do dziadków na ogródki działkowe, kupował listki, sam je suszył i siekał. W jego starokawalerskim stanie robota przy tytoniu też sprzyjała pracy myślowej.

Właściwie gdyby nawet Radowicz wtrącił się do rozmowy - to nie powiedziałby nic strasznego, bo jego sposób myślenia przebiegał nie bardzo daleko od państwowych torów. Jednak stalinowska kohorta - nie znosząca najmniejszych różnic odcieni bardziej niż zasadniczej odmienności kolorów - zaraz by mu ścięła łeb właśnie za te bagatelki, co do których się różnił.

Ale szczęśliwie jakoś Radowicz milczał i rozmowa przeszła od Japończyków do właściwości cygar, na których Słowuta zupełnie się nie znał i o mało nie stracił tchu nieostrożnie zaciągnąwszy się. Następnie zaczęli mówić o tym, że prokuratorzy z upływem lat wcale nie mają mniej roboty, tylko nawet więcej, chociaż ich liczba rośnie.

- A co mówi statystyka przestępstw? - spytał Radowicz z pozorną obojętnością, zakuty w pancerz swojej pergaminowej skóry. Statystyka nic nie mówiła; była niema i niewidzialna, nikt nie wiedział nawet, czy w ogóle jeszcze jest na świecie. Ale Słowuta odpowiedział:

- Statystyka mówi, że liczba przestępstw u nas się zmniejsza.

Nie znał danych statystycznych, lecz właśnie z tym poglądem spotkał się na łamach prasy. I dodał równie szczerze:

- Mimo wszystko, sporo jeszcze tego. Spadek po dawnym ustroju. Ludzie są bardzo zepsuci. Burżuazyjna ideologia ich zepsuła.

Trzy czwarte podsądnych wyrosło już po siedemnastym roku, ale Słowucie to nawet nie przychodziło do głowy; nigdzie nie czytał o tym. Makarygin potrząsnął głową - jego nie trzeba o tym przekonywać!

- Kiedy Włodzimierz Iljicz mówił nam, że rewolucja w dziedzinie kultury będzie o wiele trudniejsza niż Październikowa - tośmy sobie tego nie mogli wyobrazić! A teraz dopiero widzimy, jaki był przewidujący.

Makarygin miał stromo sklepioną czaszkę i odstające uszy.

Gabinet zaciągał się dymem od ich zespołowego palenia.

Połowę niewielkiej powierzchni polerowanego biurka Makarygina zajmował ogromniasty przybór do pisania, z półmetrową prawie miniaturą wieży Spaskiej z zegarem i gwiazdą na czubku. W dwóch masywnych kałamarzach (na kształt innych wież kremlowskich) nie było atramentu - Makarygin dawno już nie miał okazji pisać w domu, na

wszystko bowiem starczało mu czasu w biurze, listy natomiast pisał wiecznym piórem. W bibliotecznych szafach z Rygi stały za szklanymi drzwiami kodeksy, zbiory praw, komplety czasopisma „Sowieckie Państwo i Prawo”, zbierane przez wiele lat, Wielka Encyklopedia Sowiecka, stare wydanie (to błędne, z wrogami ludu), nowe wydanie Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej (też z wrogami ludu) i Mała Encyklopedia Sowiecka (też z pomyłkami, też z wrogami ludu).

Wszystkiego tego Makarygin dawno już nie brał do ręki, ponieważ wszystko - włącznie z obowiązującym obecnie, ale beznadziejnie już zapóźnionym w stosunku do życia kodeksem karnym z 1926 roku - wszystko więc zostało w praktyce zastąpione przez plik bardzo ważnych, a po większej części poufnych instrukcji, które znał wedle ich numerów - 083 albo 005 łamane przez 2742. Instrukcje te, w których skupione były wszystkie tajniki wymiaru sprawiedliwości, mieściły się w jednym niedużym skoroszycie, jaki miał w biurze. Tu zaś, w gabinecie, trzymał książki nie po to, żeby je czytać - tylko żeby robiły wrażenie. Jedyne zaś książki, które Makarygin uznawał i czytał do poduszki, a także w pociągach i w sanatoriach, schowane miał w zamczystej szafie: były to kryminały.

Nad biurkiem prokuratora wisiał wielki portret Stalina w mundurze generalis-simusa, na etażerce zaś stał maleńki biust Lenina.

Słowuta - brzuchaty, wylewający się z munduru, z karkiem opadającym wałkami na obcisły wysoki kołnierz - rozejrzał się po gabinecie i powiedział z uznaniem:

- Pięknie mieszkaś, Makarygin!

- Gdzie tam... chyba poproszę o przeniesienie na okręgowego.

- Na okręgowego?... - zastanowił się Słowuta. Jego otłuszczona twarz o wydatnej szczęce nie była obliczem myśliciela, ale o co naprawdę chodzi, to rozumiał w lot. - Masz chyba rację.

Obaj rozumieli, o co chodzi, a Radowicz nie musiał tego wiedzieć: szef prokuratury okręgu oprócz gaży dostaje także premie, zaś w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej dochrapać się tego można dopiero u szczytu kariery.

- A starszy zięć ma trzy nagrody?

- Trzy - przytaknął prokurator z satysfakcją.

- A młodszy - jest radcą już pierwszej klasy?

- Chwilowo jeszcze drugiej.

- Ale żwawy, diabeł, dojdzie do ambasadora! A najmłodszą za kogo chcesz wydać?

- Kiedy uparta dziewczucha, Słowuta, jużem ją wydawał, ale nie chce iść za męż.

- Wykształcona? Inżynierka sobie szuka? - kiedy Słowuta śmiał się, to jakby odpychał się brzuchem i całym ciałem od niewidzialnej ściany. - Osiemset rubelków miesięcznie? Ty ją lepiej za czekistę wydaj, za czekistę, to pewniejsze.

Że to pewniejsze, Makarygin wiedział doskonale. Siebie samego nawet uważał za pechowca, ponieważ nie udało mu się zostać czekistą. Najędźniejszy pełnomocnik operacyjny w jakiejś prowincjonalnej dziurze ma więcej władzy i dostaje więcej na rękę niż wybitni stołeczni prokuratorzy. I całą prokuraturę w ogóle uważa za gadalnię, nie wiadomo, za co im płacą. To właśnie było raną, ukrytą raną Makarygina, że nie udało mu się zostać czekistą.

- No, dziękuję ci, Makarygin, ładnie, żeś nie zapomniał, ale nie trzymaj mnie już dłużej, bo na mnie czekają. I profesor też niech będzie zdrowy, po co w ogóle chorować.

- Wszystkiego najlepszego, towarzyszu generale.

Radowicz wstał, żeby się pożegnać, ale Słowuta nie podał mu ręki. Radowicz pełnym obrazem spojrzeniem odprowadził szerokie, okrągłe plecy gościa, którego Makarygin odprowadził aż do samochodu. Zostawszy sam na sam z książkami, Radowicz natychmiast się do nich zabrał. Przesunął ręką wzdłuż półki i po pewnym wahaniu wyciągnął jakiś tomik. Już szedł z nim do fotela, ale zauważył na stole książeczkę w pstrej, czerwono-czarnej okładce, więc ją też zabrał.

Ale ta książka sparzyła jego nieżywe, pergaminowe ręce. Była to nowość dopiero co wydana (i od razu w milionie egzemplarzy): „Tito - marszałek zdrajców” jakiegoś Renaud de Jouvenela.

W ciągu ostatnich dwunastu lat przeszły przez ręce Radowicza krocie i krocie książek chamskich, lokajskich, na wskroś kłamliwych, ale zdawało mu się, że takiego świństwa jeszcze w rękę nie trzymał. Przeglądając stronicę tej nowości doświadczonego spojrzeniem starego bibliofila, po dwóch minutach już miał pojęcie - komu i po co jest taka książka potrzebna, co za gadzina z jej autora i wiele też nowej żółci nagromadzi ona w ludzkich duszach przeciw niewinnej Jugosławii. I doszedłszy do zdania: „nie ma potrzeby zastanawiać się szczegółowo nad motywami, które skłoniły Laszlo Rajka do przyznania się do winy; skoro się przyznał - to musiał być w i n i e n” - Radowicz odrzucił książkę ruchem pełnym obrzydzenia.

A pewno! Nie ma potrzeby zastanawiać się szczegółowo nad motywami! Nie ma

potrzeby szczegółowo się zastanawiać, jak oficerowie śledczy i oprawcy bili Rajka, jak morzyli go głodem, bezsennością, jak - być może - rozciągali go na podłodze i czubkiem buta rozgniatali mu organy płciowe (w Sterlitamaku stary więzień Abramson, z którym Radowicz od pierwszej chwili znalazł wspólny język, zdążył mu opowiedzieć o sposobach NKWD). Skoro się przyznał - to musiał być winien!... - *summa* stalinowskiej sprawiedliwości!

Ale zbyt bolesna, zbyt drażliwa była teraz sprawa Jugosławii, żeby dotykać jej w rozmowie z Piotrem. I gdy Makarygin wrócił, z mimowolną czułością zerkając boczkiem na swój nowy orderek, wiszący obok przyznanych dawniej, już zaśniedziałych, Duszan przycupnął już w fotelu i czytał tom encyklopedii.

- Nie rozpieszczają prokuratorów orderami - westchnął Makarygin - na trzydziestolecie, owszem, wydawali, ale poza tym rzadko kto dostaje.

Miał ochotę pogawędzić o orderach i dlaczego teraz dano order właśnie jemu, ale Radowicz wciąż czytał, skurczony we dwoje. Makarygin wyciągnął nowe cygaro i z rozmachem opadł na otomanę.

- No, to ładnie z twojej strony, Duszan, żeś niczego nie palnął. Miałem stracha.

- A co ja mogłem palnąć? - Radowicz zdziwił się nawet.

- Co? - prokurator obciął czubek cygara. - A cokolwiek bądź! Ty ze wszystkim jesteś na bakier. - Zapalił. - O, mówił tu nam Słowuta o Japończykach, a tobie już wargi drżały, żeby się sprzeciwić.

Radowicz wyprostował się:

- Bo pachnie prowokacją o dziesięć tysięcy kilometrów!

- Chybaś zwariował, Duszan! Przy mnie nie pozwalaj sobie na takie gadanie. Jak w ogóle możesz o naszej partii...

- Żadne tam partie. Słowuty - to jeszcze nie partie! A dlaczegoż to my właśnie teraz, w czterdziestym dziewiątym roku, bierzemy się do demaskowania jakichś przygotowań z czterdziestego trzeciego? Przecież faceci już cztery lata siedzą u nas w niewoli. Stonkę ziemniaczaną też nam Amerykanie zrzucają z samolotów, co?

Odstające uszy Makarygina poczerwieniały.

- A dlaczego nie? Jeżeli nawet to trochę naciągane, widać polityka państwa tego wymaga.

Pergaminowy Radowicz znów zaczął wertować tom.

Makarygin palił w milczeniu. Po co też go zaprosił, zblamował się tylko przed Słowutą. Te wszystkie stare przyjaźnie - to głupstwa, są piękne tylko we wspomnieniach. Facet nie potrafi okazać nawet tej grzeczności, która zwykłym gościom przystoi, nie zastanowi się, co gospodarzowi jest na rękę, a co go trapi.

Makarygin palił. Przyszły mu do głowy te niemiłe kłótnie z najmłodszą córką. W ostatnich miesiącach, gdy siadali do stołu bez gości, we trójkę, to nie było mowy o sjeście czy rodzinnym ciepłe, ale gryźli się jak stado psów. Parę dni temu wbijała gwóźdź w obcas pantofelka i śpiewała przy tym jakieś bezmyślne słowa; melodia była aż nazbyt znana ojcu. Powiedział więc, starając się o opanowanie:

- Do takiej roboty mogłabyś sobie, Klaro, wybrać jakąś inną pieśń. „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata” - z tą pieśnią na wargach ludzie umierali i szli na katorgę.

Ona zaś, przez upór, zresztą diabli wiedzą przez co, cała się zjeżyła:

- Też mi dobroczyńcy, pomyślałby kto! Na katorgę szli! Teraz też idą!

Prokuratora aż zamurowało, tak bardzo mu się ten wyskok wydał bezczelny i bezpodstawny. Do takiego stopnia stracić wszelkie zrozumienie perspektywy historycznej! Ledwie trzymając się na wodzy, żeby nie uderzyć córki, wyrwał jej pantofel z ręki i prasnął nim o podłogę.

- Jak w ogóle możesz porównywać?! Partia klasy robotniczej - i to śmiecie faszystowskie?!...

Kamienny łeb, uparta, choćby ją człowiek trzasnął, też nie zapłacze! Stoi ci tak przed nim, jedna noga obuta, druga w samej pończosze:

- Papo, dosyć tych deklamacji! Ty - i klasa robotnicza? Byłeś kiedyś dwa lata robotnikiem, a trzydzieści lat już jesteś prokuratorem! Robotnik - a w domu nawet młotka nie ma! Byt określa świadomość, samiście nas nauczili.

- Ale byt społeczny, idiotko! i świadomość - społeczna!

- Jaka tam znowu społeczna? Jedni mają pałace, inni budy, jedni mają auta, drudzy - w dziurawych butach chodzą, to jaka tu może być wspólna społeczna świadomość?

Ojcu „nie starczyło tchu, jak to zwykle, żeby krótko i przystępnie dać tym młodym durniom pojęcie o mądrości nabytej przez starsze pokolenie.

- Kretynka!... ty... nic nie rozumiesz i uczyć też się nie chcesz!...

- No to naucz mnie! Naucz! Skąd się biorą twoje zarobki? Za co ci płacą te tysiące, jeżeli niczego nie produkujesz?

Prokurator jakoś nie znalazł odpowiedzi; niby sprawa jasna, ale nie da się z punktu wyklarować. Krzyknął więc tylko:

- A tobie w twoim instytucie płacą tysiąc osiemset niby za co?

- Duszanie, Duszanie - Makarygin westchnął z przygnębieniem. - Co mam robić z córką?

Przy twarzy Makarygina jego wielkie, odstające uszy były czymś w rodzaju skrzydeł sfinksa. Dziwnie było widzieć na tej twarzy wyraz kontuzji.

- Duszan! Jak mogło dojść do tego? Albośmy to mogli myśleć goniąc Kołczaka, że takiej wdzięczności doczekamy się od naszych dzieci? Jeżeli już muszą zobowiązać się do czegoś przed partią, stojąc na jakiejś trybunie, to te sukine dzieci tak te święte słowa terkoczą, jakby im było wstyd.

Opowiedział historię z pantoflem.

- A właściwie jak powinienem był jej odpowiedzieć?

Radowicz wydobyl z kieszeni brudnawy strzep irchy i zaczął przecierać nim szkła okularów. Kiedyś Makarygin wszystko to wiedział, a teraz jakby nic do niego nie docierało.

- Jak miałeś odpowiedzieć?... Że chodzi o zakumulowaną pracę. Wykształcenie, specjalizacja - to wszystko akumulacja pracy. Za to trzeba więcej płacić. - Nałożył okulary. Spojrzał ostro na prokuratora. - Ale tak w ogóle, to dziewczyna ma rację. Nam to z góry przepowiadano.

- Cooo? - zdumiał się prokurator.

- Trzeba umieć uczyć się u wrogów! - Duszan podniósł rękę z wyciągniętym suchym palcem. - „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata”? Ty zarabiasz tysiące? A sprzątaczką dwieście pięćdziesiąt rubli?

Policzek Makarygina zadrgał kurczowo. Wściekł się ten Duszan z zawiści, że sam nic nie ma.

- Zupełnie zwariowałeś w tej swojej jaskini! Straciłeś kontakt z rzeczywistością! Może mam jutro iść i prosić, żeby mi też płacili dwieście pięćdziesiąt rubli? I jak potem będę żyć? Zresztą posłaliby mnie do czubków! Przecież nikt inny jeszcze się nie zrzekł!

Duszan wyciągnął rękę w stronę popiersia Lenina.

- A podczas wojny domowej Iljicz nie pozwolił podawać sobie masła. Ani białego chleba. I jakoś nikt go nie posyłał do czubków?

W głosie Duszana słyszało się łkanie. Makarygin zasłonił się rozczapierzoną dłonią:

- Cyt! I ty w to wierzysz? Lenin nie odmówił sobie masła. I w ogóle na Kremlu już wtedy była niezła mensa.

Radowicz poderwał się na zeszywniało od siedzenia nogi, pokuśtykał w stronę półki i zdjął z niej fotografię młodej kobiety w skórzanej kurtce, z mauzerem:

- A Lena nie zgadzała się przypadkiem ze Szlapanikowem*, nie pamiętasz czasem? A nie przypominasz sobie, co mówiła robotnicza opozycja? Ale...

- Odstaw to! - rozkazał pobladły Makarygin. - Ani mi się waż tykać jej pamięci! Żubr! Żubr!

- Nie, nie jestem żubrem! Chcę tylko leninowskiej czystości! - Radowicz zniżył głos. - U nas nic o tym nie piszą. Ale w Jugosławii robotnicy sami kierują przedsiębiorstwami, tam...

Makarygin uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Jesteś Serbem, trudno wymagać obiektywizmu od Serba. Rozumiem to i wybaczam ci. Ale...

Ale dalej była już tylko bariera. Radowicz przygaśł, zamilkł i znów stał się skurczonym, pergaminowym człowieczkiem.

- No, kończ, kończ, ty żubrzu! - podjudzał go Makarygin głosem pełnym wrogości. - Więc twoim zdaniem półfaszystowski reżim w Jugosławii - to jest właśnie socjalizm? A u nas co - zwyrodnienie? Znamy skądś te słówka! Dawnośmy je słyszeli, tylko ci, co je pierwsi mówili, są już na tamtym świecie! Powinieneś jeszcze tylko powiedzieć, że w walce ze światem kapitalistycznym jesteśmy skazani na przegraną, prawda?

- Nie! Nie! - z przekonaniem, w proroczym natchnieniu zawołał Radowicz, znów zrywając się na równe nogi. - Nigdy do tego nie dojdzie! Świat kapitalistyczny przeżarty jest o wiele gorszymi, antagonistycznymi sprzecznościami! I, jak to genialnie przepowiedział Włodzimierz Iljicz, ja też wierzę głęboko, że wkrótce będziemy świadkami zbrojnego starcia o rynki zbytu między Stanami Zjednoczonymi i Anglią!

* Aleksander Szlapanikow - przywódca tzw. opozycji robotniczej w 1921 roku, egalitarysta. Komisarz pracy w pierwszym rządzie sowieckim.

64

W salonie zaś tańczono przy dźwiękach adapteru, bardzo dużego, nowego typu. Makaryginowie mieli pełną szafkę płyt - były tam przemówienia Ojca Narodów z jego rozciąganiem głosek, postękiwaniem i akcentem gruzińskim (jak we wszystkich

prawomyślnych domach stały na półce, ale jak wszyscy normalni ludzie Makaryginowie nigdy ich nie nastawiali); i pieśni, że „Stalin naszą gwiazdą jest przewodnią... „ i o samolotach, co to są „na pierwszym miejscu”, i o dziewczynach, co „dopiero później przyjdzie na nie czas” (ale słuchać tych płyt tutaj tak samo nie wypadało, jak w ziemiańskim salonie mówić serio o biblijnych cudach). Dziś natomiast nastawiano płyty importowane, nie sprzedawane w zwykłych sklepach, nie nadawane przez radio. Były wśród nich nawet emigracyjne z nagraniami Leszczenki.

Meble nie pozwalały tańczyć wszystkim parom naraz, więc tańczono na zmianę. Wśród obecnej tu młodzieży były dawne koleżanki Klary z kursów i pewien kolega, który po dyplomie pracował teraz w punkcie zagłuszania zagranicznych radiostacji; była ta dziewczyna, krewniaczka prokuratora, dla której przyszedł tu Szczagow; był kuzynek pani prokuratorowej, lejtnant wojsk wewnętrznych, którego uważano za oficera wojsk ochrony pogranicza, bo miał zielone wypustki (w istocie zaś służył w kompanii kwaterującej przy Dworcu Białoruskim i zajmującej się sprawdzaniem dokumentów kolejowych pasażerów i w razie potrzeby - zabieraniem ich do kozy); szczególnie zaś wyróżniał się młody człowiek, nader odpowiedzialnego wyglądu, już z baretką orderu Lenina, trochę niedbale, trochę na ukos osadzoną w butonierce, z przylizanymi, rzędnącymi włosami.

Młodzian ten miał dwadzieścia cztery lata, ale starał się zachowywać co najmniej jak trzydziestolatek, nader powściągliwie gestykulował i z godnością przygryzał dolną wargę. Był już jednym z cenionych referentów w sekretariacie Prezydium Rady Najwyższej; zasadnicza jego praca polegała na szkicowaniu zawczasu tekstów przemówień deputowanych Rady, które miały być wygłoszone w przyszłości. Pracę tę młody człowiek uważał za bardzo nudną, ale stanowisko było wielce obiecujące. Aleutina Nikanorowna uważała za wielki sukces, że udało jej się ściągnąć go na przyjęcie. Wydać zaś za niego Klarę było jej niedosiężnym marzeniem.

Dla młodego człowieka natomiast jedynym interesującym momentem dzisiejszego wieczoru była obecność Gałachowa i jego żony. Już trzy razy zaprosił do tańca Dinerę; importowany, atlasowy „mongol” otulał jej ciało i tylko alabastrowe ramiona wrywały się od łokcia w dół z tej błyszczącej, lakierowanej drugiej skóry. Schlebiała mu uwaga, jaką go obdarzyła tak znamienita kobieta, toteż nadskakiwał jej ze szczególną ostentacją i starał się być przy niej także po zakończeniu tańców. Ona zaś spostrzegła siedzącego samotnie w rogu otomany Sauńkina-Gołowanowa, co to nie umiał ani tańczyć, ani zachować się swobodnie

gdziekolwiek poza swoją redakcją. Dinera skierowała się zdecydowanie w stronę tej kwadratowej postaci zwieńczonej kwadratową głową. Referent sunął tuż za nią.

- Erneście! - krzyknęła z wesołym wyzwaniem podnosząc alabastrową rękę. - A czemu to nie widziałam pana na premierze „Dziewięćset dziewiętnastego”?

- Byłem wczoraj - ożywił się Gołowanow. I skwapliwie przysunął się do poręczy prostokątnej otomany, chociaż już i tak siedział na samym skraju.

Dinera usiadła na kanapie. Referent też się przysiadł. Uchylić się od wymiany zdań z Dinera było zupełną niemożliwością, szczęście, że przynajmniej pozwalała na repliki. To o niej mowa była w epigramacie, który cała literacka Moskwa powtarzała:

Milczenie z tobą miłsze niż rozmowa, I tak byś mi nie dała dojść do słowa.

Dinera, nie skrępowana żadnymi urzędowymi obowiązkami ani stanowiskiem partyjnym, ostro (choć w granicach dobrego wychowania) atakowała dramaturgów, scenarzystów i reżyserów, nie szczędząc nawet własnego męża. Jej śmiałe opinie współgrały ze śmiałymi toaletami i ze śmiałością jej ogólnie znanego życiorysu. Było jej do twarzy z tym wszystkim. Jej sądy mile wyróżniały się na tle mdłych poglądów tych, którzy musieli liczyć się ze swoimi literackimi posadkami. Atakowała krytykę literacką w ogóle, artykuły zaś Gołowanowa w szczególności. Gołowanow cierpliwie się uśmiechał i zawsze chętnie wyjaśniał Dinerze anarchistyczny charakter jej omyłek i drobnomieszczańskich odchyłeń. Tę żartobliwą wojnę przyjaciół uprawiał w towarzystwie Dinery tym chętniej, że jego własny los literacki bardzo był zależny od Gałachowa.

- Niech pan sobie przypomni - z marzycielską intonacją powiedziała Dinera próbując opaść na oparcie otomany, które okazało się jednak zbyt sztywne i niewygodne. - U tego samego Wiszniewskiego w „Tragedii optymistycznej” - ten c h ó r składający się z dwóch marynarzy, te ich repliki: „Czy nie za wiele aby krwi w tej tragedii?”, „Nie więcej niż u Szekspira” - to przecież było oryginalne! Idzie więc teraz człowiek znowu na sztukę Wiszniewskiego - i co widzi? realistyczny utwór, owszem, postać Wodza robi wrażenie, no i... to ma być wszystko?

- Jak to? - zdumiał się referent. - To dla pani za mało? Nie przypominam sobie, żeby komuś udało się w sposób tak wzruszający pokazać Josifa Wissarionowicza! Na sali mnóstwo osób płakało.

- Ja sama miałam łzy w oczach! - osadziła go Dinera. - Ja nie o tym! - I mówiła dalej do Gołowanowa: - Ale w tej sztuce prawie nie ma nazwisk! Bierze udział: trzech zupełnie

jednakowych sekretarzy partyjnych, siedmiu dowódców, czterech komisarzy - istny protokół posiedzenia! I znowu ci sami marynarze-"braciszkwowie", koczujący z jednej sztuki do drugiej, od Biłocerkowskiego do Ławreniowa, od Ławreniowa do Wiszniewskiego, od Wiszniewskiego do Sobolewa (Dinera kiwała głową na boki od nazwiska do nazwiska i mrużyła przy tym oczy), z góry przy tym wiadomo, kto dobry, a kto zły i czym się wszystko skończy...

- A dlaczego to się pani nie podoba? - zdziwił się Gołowanow. Bardzo się ożywił, gdy rozmowa stawała się rzeczowa, z twarzy zaczynał przypominać wężącego ogara i już biegł za gorącym tropem. - Czy tak niezbędna jest pani czysto zewnętrzna, pozorna atrakcyjność? A jak było w życiu? Czy w prawdziwym życiu nasi ojcowie mieli jakieś wątpliwości, czym skończy się wojna domowa? Albo czy może my nie wiedzieliśmy, czym skończy się Wojna Narodowa, nawet wtedy, kiedy wróg dotarł do moskiewskich przedmieść?

- A czy dramaturg ma jakiegokolwiek wątpliwości, jak będzie powitana jego sztuka? Niech mi pan wytłumaczy, Erneście, dlaczego nasze sztuki nigdy nie robią kłapy? Dlaczego nasi dramaturgowie nigdy się nie boją, że premiera skończy się klapą? Słowo honoru, że kiedyś się zniecierpliwę, wetknę dwa palce w usta i jak gwizdnę!!!...

Dinera w bardzo miły sposób pokazała, jak to robi, chociaż było jasne, że tak trzymając palce gwizdnąć się nie da.

- Zaraz wytłumaczę - Gołowanow wcale się nie zmieszał. - Sztuki nigdy u nas nie padają na premierze (i dojść do tego nie może!) dlatego, że między dramaturgiem a publicznością istnieje zupełna jedność zarówno poglądów estetycznych, jak ogólnych.

To już zaczynało być nudne. Referent raz i drugi poprawił swój bladobłękitny krawacik, wstał i zostawił dyskutantów sam na sam. Jedna z koleżanek Klary, szczuplutka, sympatyczna, przez cały wieczór nie spuszczała z niego oka w sposób zupełnie widoczny, więc postanowił teraz z nią zatańczyć. Właśnie grano two-step. A później jedna z baszkirskich pokojówek zaczęła roznosić lody. Referent odprowadził swoją tancerkę do balkonowej niszy, gdzie stały dwa krzesła, posadził ją tam i powiedział komplement na temat jej umiejętności tanecznych.

Uśmiechała się zachęcająco i najwidoczniej chciała coś powiedzieć.

Odpowiedzialny młody człowiek nie po raz pierwszy stykał się z kobietą gotową czynić mu awanse i wcale mu się to jeszcze nie uprzykrzyło. Tej też wystarczy przecież

powiedzieć tylko jedno: gdzie i kiedy ma przyjść. Zmierzył wzrokiem jej nerwową szyjkę, jej niewysoką jeszcze pierś i korzystając z tego, że firanki częściowo ich zasłaniały, łaskawie przykrył ręką jej dłoń, którą trzymała na kolanie. Panienska zaczęła mówić z podnieceniem:

- Witaliju Jewgieniewiczu! Jaki to szczęśliwy przypadek, że mogłam pana tutaj spotkać! Niech się pan nie gniewa, że ośmielałam się przeszkadzać panu w trakcie wypoczynku. Ale w sekretariacie Rady Najwyższej w żaden sposób nie można do pana się dostać. - (Witalij zdjął swoją rękę z dłoni panienski). - U was w sekretariacie już od pół roku leżą przysłane z obozu akta mojego ojca, którego w obozie tknął paraliż. Jest też moja prośba o ulaskawienie. - (Witalij bezradnie wcisnął się w głębi fotela i dłużył łyżeczką w lodowej kulce. Panienska zapomniała o swoich lodach, trąciła w niewładze łyżeczkę, która zsunęła się, zostawiając plamę na jej sukni, i potoczyła się aż do drzwi balkonowych, gdzie już została). - Całą prawą stronę ciała ma sparaliżowaną! Jeszcze jeden udar - a umrze. Już i tak jest skazany, po co wam jeszcze trzymać go w obozie?

Wargi referenta skrzywiły się.

- To nietaktownie z pani strony zwracać się do mnie tutaj, wie pani? Numer telefoniczny naszej centrali nie jest dla nikogo tajemnicą, proszę zadzwonić, wyznaczę dzień, kiedy będzie mogła być pani przyjęta. Zresztą z jakiego artykułu pani ojciec siedzi? Z pięćdziesiątego ósmego?

- Nie, nie, co też pan! - zawołała z ulgą panienska. - Alboż to bym ja śmiała w ogóle niepokoić pana, gdyby siedział z pięćdziesiątego ósmego? Chodzi o dekret z siódmego sierpnia!

- Wszystko jedno, z siódmego sierpnia też się nie rozpatruje.

- Ale to przecież okropne! On umrze w obozie! Po co trzymać w więzieniu kogoś, komu grozi pewna śmierć?

Referent podniósł oczy na panienskę.

- Jeżeli będziemy rozumować w ten sposób - co wtedy w ogóle zostanie z wymiaru sprawiedliwości? - uśmiechnął się. - Przecież został sądownie skazany! Niech się pani w to wmyśli! Co to znaczy wobec tego, że „umrze w obozie”? Ktoś w końcu musi umierać także w obozie. I jeśli czas mu już umrzeć, to czy nie wszystko jedno, gdzie umrze?

Wstał bardzo zagniewany i poszedł sobie.

Za przeszklonymi drzwiami balkonu na Rogatce Kałuskiej migały reflektory, światła hamulcowe, czerwone, żółte i zielone sygnalizatory, a śnieg wciąż sypał i sypał.

Nietaktowna panienska podniosła łyżeczkę, odstawiła filiżankę, cichutko przemknęła przez salon, z dala od oczu Klary i gospodyni przekradła się do jadalni, gdzie właśnie podawano herbatę i torty, ubrała się w korytarzu i wyszła.

Minąwszy w drzwiach strapioną chudą panienskę, Gałachow, Innocenty i Dot-nara weszli do salonu. Gołowanow, podniecony rozmową z Dinerą, w nagłym błysku natchnienia znalazł sposób, aby zatrzymać swojego protektora:

- Panie Mikołaju! Halt! Niech pan się przyzna! Przecież w najgłębszej głębi duszy pan wcale nie jest pisarzem! A kim?... - (Brzmiało to jak powtórzenie pytania Innocentego i Gałachow zmieszał się). - Żołnierzem!

- A pewno, że żołnierzem! - odparł Gałachow z mężnym uśmiechem.

I zmrużył oczy, jakby patrzył w dal. Żadne chwile pisarskiej sławy nie zostawiły mu w sercu takiego poczucia dumy, a przede wszystkim - takiego wrażenia czystości, jak ten dzień, kiedy licho go poniosło, aby nadstawić karku i dotrzeć aż do sztabu półodciętego batalionu, żeby trafić pod nawałę artyleryjską i pod ostrzał z miotaczy min, a później w roztrzęsionym przez bomby bunkrze, późno wieczorem jeść z jednej menażki w czwórkę ze sztabem batalionu i czuć się z tymi bywałymi wojakami jak równy z równym.

- Wobec tego niech pan pozwoli przedstawić sobie mojego frontowego przyjaciela - kapitana Szczagowa!

Szczagow stał wyprostowany starając się, aby okazywaniem zbytniego szacunku nie ujął sobie nic z godności. Wypił sobie przyzwicie - tyle właśnie, aby nie czuć podszwami ciężaru własnego ciała. Sama podłoga zaczęła mu się wydawać jakby bardziej ustępliwa, podobnie jak przystępniejsza zaczęła mu się wydawać cała ta ciepła, jasna rzeczywistość i ten z dawna zadomowiony zbytek, porozstawiany i porozwieszany wokół; Szczagow wszedł w jego obręb z suchością w żołądku i nie zagojonymi ranami jeszcze jako zwiadowca, ale już przeczuwał, że to będą jego przyszłe dziedziny.

Szczagow wstydził się już swoich skromnych orderków tu, gdzie bezwąsy smarkacz niedbale i na ukos wtykał w klapę baretkę orderu Lenina. Znakomity zaś pisarz na widok orderów bojowych, medali i dwóch naszywek za frontowe rany z rozmachem walnął go dłonią w dłoń przy powitaniu:

- Major Gałachow! - uśmiechnął się tamten. - Gdzie pan wojował? Siądźmy, proszę mi wszystko opowiedzieć.

I usiedli na tapczanie pokrytym kilimem, zmuszając Innocentego i Dotti, aby skupili

się ciasniej. Chcieli posadzić obok siebie również Ernesta, ale ten dał im tajemniczy znak i zniknął. Istotnie, spotkanie frontowców nie mogło przecież obejść się bez butelki! Szczagow powiedział, że z Gołowanowem zaprzyjaźnili się w Polsce, tego obłądnego piątego września czterdziestego czwartego roku, kiedy nasi z marszu doszli aż do Narwi i przeprawili się przez nią,omalże na deskach, wiedząc, że pierwszego dnia zawsze łatwiej, a później nawet zębami człowiek nie da rady. Rwali bezczelnie naprzód przez niemieckie pozycje wąskim kilometrowym korytarzykiem, a Niemcy parli, żeby go przeciąć, z północy trzysta czołgów, z południa - dwieście.

Ledwie zaczęły się frontowe wspomnienia - Szczagow zapomniał o tym języku, którym posługiwał się codziennie na uniwersytecie, Gałachow zaś o żargonie redakcji i sekcji literackich, tym bardziej zaś - o tym sztucznym, wysilonym języku, w którym pisane są książki. Po prostu nie można za pomocą tego wyświechtanego i tchórzliwego języka dać w rozmowie pojęcia o frontowym życiu, pełnym soku i dymu. I już po dziesiątym słowie poczuli, jak bardzo by im się przydały przekleństwa, niestety, tutaj niedopuszczalne.

Właśnie zjawił się Ernest z trzema kieliszkami i z butelką nie dopitego koniaku. Przyniósł sobie krzesło, żeby lepiej widzieć obu i nalał im do trzymanyh w rękę kieliszków.

- Za żołnierską przyjaźń! - powiedział Gałachow i przymrużył oczy.

- Za tych, co nie wrócili! - Szczagow podniósł swój kieliszek.

Wypili. Gołowanow obejrzał się ukradkiem i schował pustą butelkę za tapczan. Nowy chmiel uderzył im do zamroczonych głów. Aleksy pchnął rozmowę w swoją stronę: jak to tego pamiętnego dnia właśnie on, świeżo upieczony korespondent wojenny, dopiero dwa miesiące po dyplomie uniwersyteckim, pierwszy raz w życiu jechał na pozycje i jak to przypadkową ciężarówką (ciężarówka ta wiozła miny przeciwczołgowe dla Szczagowa) przeskoczył pod niemieckimi miotaczami min z Długosiodła do Kabata korytarzykiem tak wąskim, że „północni” Niemcy śmigali minami w okopy Niemców „południowych” i właśnie w tym samym miejscu, tego samego dnia, pewien nasz generał, wracając z urlopu na front z całą rodziną, zajechał swoim willisem prosto do Niemców. I ani śladu.

Przysłuchując się ich rozmowie Innocenty zapytał, jak to jest ze strachem przed śmiercią. Gołowanow już się rozpędził i powiedział, że w takich desperackich sytuacjach człowiek śmierci się nie boi, że zapomina o niej. Szczagow podniósł brwi i skorygował go:

- Śmierci człowiek się nie boi, póki go nie r a b n a. Nic a nic się nie bałem, póki nie

poczułem na własnej skórze. Przeżyłem niezłe bombardowanie - i odtąd zacząłem bać się bomb, ale tylko bomb. Zdarzyła mi się kontuzja pod ogniem artyleryjskim - i zacząłem bać się armat. A w ogóle, to prawda, że nie trzeba bać się gwizdu kuli, bo skoro ją słyszysz, to już nie ciebie trafi, a tej kuli, co cię zabije - i tak nie usłyszysz. Śmierć jest jakby czymś postronnym: póki żyjesz - to jej nie ma, a jak przyjdzie - to ciebie już nie będzie.

Ktoś nastawił płytę „Wróc do mnie, maleńka!”.

Dla Gałachowa wspomnienia Szczagowa i Gołowanowa były nieciekawe - raz, że nie był świadkiem tej operacji, nie znał Długosiodła, Kabata i Nowego Miasta; dwa, że nie należał do podrzędnych korespondentów jak Gołowanow, tylko do korespondentów strategicznych. Bitwy rysowały mu się nie jako walki o jakiś zgniły mostek drewniany czy o wsiowe, konopne opłotki - tylko w szerokim zakresie, w generalsko-marszałkowskim aspekcie celowości. I ściągnął rozmowie cugle:

- Tak. Wojenka, wojenka! Idziemy na nią jako niemrawe mieszczuchy, a wracamy mając w piersi serca z brązu... Erneście! Czy na waszym odcinku śpiewano „Pieśń korespondentów frontowych”?

- A jakże! - I Gołowanow zanucił początek.

- Nera! Nera! - zawołał Gałachow. - Chodź no tutaj! Zaśpiewamy o frontowych korespondentach - chodź na pomoc!

Dinera podeszła szybko.

- Proszę bardzo, przyjaciele! - i potrząsnęła głową. - Proszę bardzo! Ja też byłam na froncie! Adapter wyłączono i zaczęli śpiewać we trójkę, przy czym braki muzykalności wynagradzała szczerść:

Od Moskwy do granicy Nie ma okolicy, Gdzie by nie widziano nas na froncie.

Z notesem w plecaku, Z naganem - w ataku, Nam nie straszny jest mróz ani słońce.

Wszyscy się zesłi, żeby ich posłuchać. Młodzież z ciekawością przyglądała się znakomitemu człowiekowi; nie co dzień się takich spotyka.

Od wiatru i gorzały Gardła nam zgorzały, Na morały odpowiemy zaś pokrótce:

Trochę powojujcie, Trochę pokoczujcie, A na pewno dogadamy się przy wódce.

Już przy pierwszych słowach piosenki Szczagow, z tym samym uśmiechem na wargach, wewnątrz zlodowaciał i zrobiło mu się wstyd niewczesnych zapędów przed tymi, których tu, rzecz jasna, nie było, którzy pili dniewprowską wodę jeszcze w Czterdziestym Pierwszym i żuli nowogrodzkie igliwie w Czterdziestym Drugim. Ci pismacy

słabo znali ten front, z którego teraz robili przedmiot ubóstwienia. Nawet najodważniejsi z korespondentów tak czy siak różnili się od liniowców, jak chodzący za pługiem hrabia różni się od chłopca-rolnika: żaden rozkaz ani regulamin nie zmuszał ich do pozostawiania na pozycjach, dlatego nikt im nie zabraniał - ani nie uznaliby za zdradę - strachu, prób ratowania własnego życia, ucieczki z pola bitwy. Dlatego istniała przepaść między sposobem myślenia żołnierza, któremu nogi wrosły w ziemię pierwszej linii okopów, który nie ma gdzie się podziać i może za chwilę tu właśnie zginąć - a skrzydlatego korespondenta, który za dwa dni może znaleźć się w swoim moskiewskim mieszkaniu. I jeszcze jedno: skąd mieli tyle gorzały, że nawet gardła im zgorzały? Z przydziałów dowódcy armii? Żołnierz przed atakiem dostawał sto pięćdziesiąt, dwieście gramów...

O, nie w czołgu srogim Szliśmy prosto w ogień, Zginie pismak? Szkoda łez i basta!

W aucie roztrzęsionym, Z piórem do obrony, Pierwsi wdzieraliśmy się do miasta.

Z tym wkraczaniem do miast - rzecz sprowadzała się do dwóch, trzech anegdot, kiedy to nie bardzo wyznając się na mapach sztabowych, korespondenci dobrymi szosami (osobowe samochody złych dróg nie znosiły) wpadali do „niczyjego” miasta i zaraz wyskakiwali stamtąd jak oparzeni.

Ze zwieszoną nisko głową Innocenty słuchał, też rozumiejąc słowa piosenki po swojemu. O wojnie nic nie wiedział, ale wiedział za to sporo o sytuacji naszych korespondentów. Nasz korespondent nie był bynajmniej tym reporterem-hołyszem, o jakim mówiło się w piosence, który może stracić swoją pracę w gazecie, jeżeli spóźni się z sensacyjnym meldunkiem. Wystarczyło, żeby nasz korespondent pokazał zaledwie rąbek swojej legitymacji, aby natychmiast przyjmowano go jak ważniaka, jak osobę mającą tytuł do dawania „wskazówek”. Mógł zdobywać wiadomości ścisłe albo i nieścisłe, mógł posłać je do swojej gazety na czas albo i poniewczasie, ale sukces jego własnych korespondencji zależał nie od szybkości i ścisłości informacji, lecz od właściwego ich naświetlenia, od prawidłowego światopoglądu. Mając zaś prawidłowy pogląd na sprawy, korespondent nie miał już właściwie specjalnych powodów, aby pchać się na pole bitwy czy tym bardziej do samego piekła, bo właściwe formuły mógł znaleźć także na tyłach.

Dotti objęła ramię męża całą dłonią i siedziała cichutko nie próbując ani brać udziału w rozmowie, ani nawet wnikać w te mądre wypowiedzi; tak było najlepiej i najmilej. Chciała tylko siedzieć obok niego, jako wzór posłusznej żony, żeby wszyscy widzieli, jak też im dobrze ze sobą.

Nie wiedziała wcale, jak prędko zaczną nią poniewierać, jak ją będą dręczyć - wszystko jedno, czy Innocenty będzie aresztowany tutaj, czy też wyrwie się stąd i zostanie już t a m.

Dopóki troszczyła się tylko o siebie, póki była brutalna, póki szukała przewagi próbując narzucić mu swoje nikczemne opinie, poty Innocenty myślał: a niech tam, niech pocierpi, to jej się przyda, to ją odmieni.

Ale oto zdarzyła jej się chwila czułości - i poczuł dźgnięcie współczucia dla niej. I zdziwienie.

Tu go wszystko raziło, nic mu tu nie było miłe i dawno by już z tego głupiego przyjęcia poszedł sobie, gdyby go w domu nie czekało coś jeszcze przykrzejszego.

Z półmroku sąsiedniego pokoju, gdzie udało jej się jako tako poprawić drżący i krzywy obraz w małym telewizorze, Klara przeszła do dużego salonu i stanęła w drzwiach.

Zdumiała się widząc, jak zgodnie i grzecznie siedzą sobie Innocenty z Narą, i zrozumiała po raz nie wiadomo który, jak niezbadane i niedoścignione są sekrety stanu małżeńskiego.

Wcale nie była rada z tego przyjęcia, urządzonego w gruncie rzeczy tylko dla niej, czuła się wytracona z równowagi, zdrażnięta. Szastała się, żeby wszystkich godnie powitać i zabawić - a sama czuła coraz większą pustkę. Nic jej nie bawiło, nikt z gości jej nie interesował. I nowa suknia z matowozielonej krep-satyny, z błyszczącymi szamerunkami na kołnierzyku, staniku i mankietach tak samo mało ją zdołała, jak wszystkie tej sukni poprzedniczki.

Wymuszona i wbrew woli zawarta znajomość z tym konusowatym krytykiem, znajomość bez uczucia, bez czułości, nie miała w sobie nic autentycznego, była jakby przeciwna naturze. Pół godziny posiedział drętwo na kanapie, pół godziny sprzeczał się bez sensu z Dinerą, później pił z tymi frontowcami, a Klara nie czuła żadnej chęci, żeby go zabrać stąd, porwać, pociągnąć.

A tymczasem to już była ostatnia chwila, właśnie dzisiaj, już tylko teraz. Już mijało jej południe i jeśli tę chwilę przegapi, to dalej będzie tylko gorzej, starzej, w ogóle nic nie będzie.

I czy to nie dziś rano, właśnie dziś rano, w tej samej Moskwie - była ta wspaniała rozmowa, to zachwycone spojrzenie błękitnych oczu tego chłopca, ten pocałunek, co wywrócił jej duszę na nice, to przyrzeczenie, że będzie się c z e - kać? Czy to dziś właśnie

Klara przez trzy godziny wyplatała koszyczek na choinkę?

To nie na tym świecie było, to nie mogło się zdarzyć naprawdę. Jej dwadzieścia pięć lat nie mogło się tym zamknąć. To jej się tylko przyśniło.

65

Tam, na górnej koi, to oko w oko z krągłą, sklepioną powalą wznoszącą się nad nim jak kopuła niebios, to wciskając twarz w rozgrzaną poduszkę, która mu się wydawała łonem Klary, Rościsław omdlewał ze szczęścia. Pół dnia minęło już od pocałunku, który ściał go z nóg, a jemu wciąż jeszcze szkoda było kazić swoje szczęśliwe wargi pustą gadaniną albo żarłocznością. „Przecież mogłaby pani na mnie c z e k a ć!” - tak jej powiedział. Ona zaś odpowiedziała mu tak: „Czemu miałabym nie móc? Mogłabym... „

- ... Takie dinozaury, jak ty, mogą żyć tylko wiarą - doszedł do niego spod dolnej koi głos soczysty i młody, ale przemawiający szeptem urywanym i przygłuszonym, żeby nie za daleko niosło. - Właśnie tylko wiarą, ale jaką, fałszywą! A n a u k i to u was nigdy śladu nie było!

- No wiesz, nasza dyskusja staje się bezprzedmiotowa. Jeżeli marksizm nie jest nauką, to co nią jest? Kazania Jana Złoustego? Albo wywody Chomiakowa o właściwościach duszy słowiańskiej?

- Prawdziwej nauki toście nawet nie wǳali! Nie jesteście twórcami żadnej opoki! I dlatego nic was nie łączy z nauką! Przedmioty wszystkich waszych roztrząsań - to nie zjawiska, ale zjawy! W prawdziwej zaś nauce wszystkie twierdzenia z należytą ścisłością wyprowadzane są z podstawowego, sprawdzonego założenia!

- Złotko! Komilfonsio! Przecież właśnie tak jest u nas: cała teoria ekonomii jest wyprowadzona z jednej jedynej komórki - z jednostki towarowej. A cała filozofia - z trzech praw dialektyki.

- Uchwytne wnioski z wiedzy rzeczowej dają się sprawdzić tylko przez ich zastosowanie w życiu!

- Dziecinko! Co ja słyszę? Kryterium praktyki w gnoseologii? Toż z ciebie żywiółowy - Rubin wysunął grube swoje wargi, zwinął je w ryjek i słodko zaseplenił - materialista. Chociaż trochę prymitywny.

- I znowu wymigujesz się od uczciwego męskiego starcia! Ty znowu wolisz obrzucać swojego rozmówcę ptasimi słowami!

- A ty znów nie rozmawiasz, tylko bawisz się w zaklinanie! Pytia! Pytia z Marfina!

Dlaczego właściwie wyobrażasz sobie, że płonę chęcią dyskusowania z tobą? A może tak samo mnie to nudzi jak wbijanie staremu piaskarzowi do głowy, że słońce nie krąży dookoła ziemi? A niech se stary do śmierci z tym żyje, *nechaj jomu budel* - Nie chcesz ze mną wieść sporów, bo tego nie umiesz! Wy wszyscy nie umiecie się spierać, bo unikacie ludzi myślących inaczej i żeby nie zakłócić ładu waszego światopoglądu! Zbieracie się tylko w swoim gronie i jeden przed drugim wyłazicie ze skóry, prześcigając się w wykładniach poglądów waszych mistrzów. Zapożyczacie od siebie wzajem tylko pomysły pasujące do waszych i rozdmuchujecie je - do rozpuku... A na wolności - (głos przycichł) - gdzie czuwa Czeka, kto z wami ośmieli się posprzeczać? Kiedy zaś traficie do więzienia, choćby tutaj - (teraz głośniej) - tu spotykacie prawdziwych rozmówców! - i wtedy zachowujecie się jak ryby na piasku! I potrafcie tylko wrzeszczeć i urągać.

- Coś mi się zdaje, że jak dotąd wrzeszczałeś na mnie głośniej niż ja na ciebie.

Sołogdin i Rubin, jakby zamknięci w magicznym kręgu swoich sporów, wciąż jeszcze siedzieli przy pustym już stole imieninowym. Abramson dawno wrócił do swojego „Monte Christo”, Kondraszow-Iwanow - do rozmyślań o wielkości Szekspira, Priancykow pobiegł wertować zeszłoroczny „Ogoniok”, który pojawił się skądś. Nierzyn poszedł w odwiedziny do stróża Spirydona. Potapow, do końca wierny obowiązkom gospodyni, umył naczynia, odstawił szafki na miejsca i położył się, przykrywając głowę poduszką, aby mu hałas i światło nie przeszkadzały. Wielu w izbie już spało, inni cicho czytali albo gwarzyli i nadeszła taka pora, kiedy człowiek nie wiedział dobrze, czy dyżurny nie zapomniał przypadkiem wyłączyć światła i zastąpić go niebieskimi nocnymi lampkami. Ale Sołogdin z Rubinem wciąż siedzieli na pustej pościeli Priancykowa przy ostatniej zostawionej im nocnej szafce.

Tylko Sołogdin nie miał jeszcze dość sporów: to był dzień jego zwycięstw, to poczucie kipiało w nim i wcale nie cichło. Jego rozkład zajęć przewidywał zresztą, że każdy wieczór niedzielny przeznaczony był na rozrywki. A czy mógł ktoś wymyślić lepszą zabawę niż ta: zawstydzić i zapędzić w kozi róg obrońcę panującej ciemnoty!

Dla Rubina zaś dzisiejsza dyskusja była nużąca i bezsensowna. Nie dość, że miał na karku nie zakończoną jeszcze robotę, ale na domiar zwalono na niego nowe, arcytrudne zadanie: miał stworzyć z niczego całą nową gałąź nauki i musiał brać się do tego samotnie już jutrzejszego ranka, więc powinien był szczerdzić sił jeszcze z wieczora. A ponadto czekały na niego dwa listy: jeden od żony, drugi od kochanki. Kiedyż miał odpowiedzieć na

nie, jak nie dzisiaj! - żonie posłać ważne rady co do wychowania dzieci, zaś kochankę podtrzymać na duchu czułym słowem. Poza tym wołały z daleka Rubina słowniki: mongolsko-fiński, hiszpańsko-arabski i jeszcze inne, nie licząc Czapka, Hemingwaya, Lawrence'a. A poza tym wszystkim - komiczny spektakl sądu, złośliwostki sąsiadów, uroczystość imienin - wszystko to przez cały wieczór przeszkadzało mu w zabraniu się do opracowania na czysto pewnego projektu, ważnego dla całego społeczeństwa.

Ale więzienne rygory sporów wymagały ścisłego przestrzegania. W żadnej dyskusji Rubin nie miał prawa być pokonany, jako że reprezentował tu, w szaraszf

I ce, przodującą ideologię. Jak przykuty do stołu musiał tedy odsiedzieć swoje z tym Sołogdinem i wbijać mu do łba elementarz, znany przedszkolaczkom. Sołogdin nalegał, łagodniej już i ciszej:

- Prawdziwy spór, mówię ci to z obozowego doświadczenia, powinien być prowadzony na zasadzie pojedynku. Za obopólną zgodą wybieramy rozjemcę - możemy poprosić choćby Gleba. Bierzemy kawał papieru, dzielimy go prostopadłą linią na połowy. Na górze, przez całą szerokość stronicy piszemy, czego spór dotyczy. Następnie każdy na swojej połowie, w najjaśniejszym i najkrótszym kształcie, określa swoje stanowisko wobec wymienionego wyżej zagadnienia. Aby nie było przypadkowej omyłki w doborze słów - czas potrzebny na określenie stanowiska nie podlega ograniczeniom.

- Co ty, durnia ze mnie robisz? - półsennie odparł Rubin przymykając zmarszczone powieki. Na widocznej nad brodą części jego twarzy malowało się głębokie znużenie. - I co, do rana mamy tak się spierać?

- Przeciwnie! - wesoło zawołał Sołogdin pobłyskując oczyma. - Na tym polega wspaniała osobliwość prawdziwego męskiego starcia! Puste przepieranie się i młócka słomy - to może trwać całymi tygodniami, ale spór na papierze można skończyć nawet w ciągu dziesięciu minut: od razu staje się jasne, że przeciwnicy albo mówią o rzeczach rozmaitych, albo też, że nic ich nie różni. Gdy zaś okaże się, że przedłużenie sporu jest uzasadnione - wówczas zaczynają po kolei zapisywać swoje dowody na przydzielonych im połowach stronicy. Jak przy pojedynku: pchnięcie! - obrona! - wystrzał! - wystrzał! No i masz: niemożność wykręcenia się, wyparcia się użytych wyrażen, zastąpienia jednego słowa przez inne - doprowadza do tego, że po dwóch-trzech wymianach ciosów widać jasno, kto zwyciężył, a kto został pokonany.

- I czas nie podlega ograniczeniom?

- Aby dotrzeć do prawdy - nigdy!

- A potem na rapiery, co?

Zarumieniona twarz Sołogdina nachmurzyła się:

- Wiedziałem z góry. Pierwszy na mnie wjeżdżasz...

- A mnie się zdaje, że to ty pierwszy!...

- ... dajesz mi rozmaite przezwiska, masz ich sporo w zapasie: wstecznik! zachowawca! (unikał cudzoziemskiego, nieporęcznego słowa „reakcjonista”), odznaczony sługus duchowieństwa (znaczyć to miało „dyplomowany lokaj klerykalizmu”)!... Masz w zanadrzu więcej wyzwisk niż określeń naukowych. Kiedy zaś ja przyciskam cię do muru i przedkładam, abyśmy zaczęli wieść spór uczciwy - ty nie masz czasu, nie masz chęci, jesteś znużony! Jednakże znaleźliście i czas, i chęć, aby wywrócić na nice cały kraj!

- Już nawet pół świata! - grzecznie poprawił go Rubin. - Dla zajęć rzeczowych zawsze mamy i czas, i siły. Ale to mielenie ozorem? No i o czym mamy dyskutować? Jużemy sobie wszystko powiedzieli.

- O czym? Masz prawo wyboru! - szarmanckim, szerokim gestem odpowiedział Sołogdin, jakby ustępując prawa do wyboru broni i miejsca pojedynku.

- Wobec tego już wybrałem: o niczym!

- To wbrew zasadom!

Rubin z rozdrażnieniem szarpnął kosmyk czarnej brody:

- Wbrew jakim zasadom? Co to za jakieś zasady? Inkwizycja? Zrozum, aby dyskusja była owocna, przeciwnicy muszą mieć choćby jakąkolwiek wspólną platformę, zgadzać się choćby co do najogólniejszych spraw...

- Właśnie, właśnie! To chcesz usłyszeć: żeby obaj rozmówcy uznali istnienie nadwartości i panowania wyrobników! - (Tak w Języku Krańcowej Jasności nazywała się „dyktatura proletariatu”). - I żebyśmy tylko o to się kłócili, czy ten przecinek Marks napisał na czczo czy raczej Engels po obiedzie.

Nie, nie sposób było pozbyć się tego dręczyciela! Rubin wybuchnął:

- Ależ zrozum, zrozum, że to nie ma sensu! Ty i ja - o czym tacy ludzie w ogóle mogą rozmawiać? Przecież czegokolwiek tkniesz, o czymkolwiek zechcesz gadać - okaże się, że jesteśmy ludźmi z różnych planet. Przecież dla ciebie na przykład pojedynki nawet dzisiaj są najlepszym sposobem rozstrzygnięcia konfliktów!

- A spróbuj dowieść czegoś odwrotnego! - Sołogdin wyprostował się promieniejąc. -

Gdyby istniały pojedynki, to kto by się ośmielił na oszczerstwa? Kto by miał czelność odpychać słabszych łokciami?

- Właśnie twoi pojedynkowicze!... Dla ciebie w ogóle mroki średniowiecza, tępi, zarozumiali rycerze, wyprawy krzyżowe - to chyba zenit historii!

- To są szczyty ludzkiego Ducha! - przytaknął Sołogdin wypinając pierś.

- Wspaniałe zwycięstwo ducha nad ciałem! To niepowstrzymane dążenie do świętości z mieczem w ręku!

- I pełne juki nagrabionych łupów? Z ciebie po prostu nieznośny hidalgo!

- A ty - biblijny fanatyk!... to znaczy opętaniec! - odparował Sołogdin.

- Przecież dla ciebie Bielinski albo Czernyszewski, ba, wszyscy nasi luminarze - to tylko niedouczeni popi synkowie?!

- Seminarzyści w surdutach! - dodał Sołogdin, już rozbawiony.

- Przecież dla ciebie - mniejsza już o naszą, ale nawet francuska rewolucja w sto pięćdziesiąt lat po jej wybuchu jest tylko tępym buntem motłochu, omamem zrodzonym przez diabelskie popędy, próbą zniszczenia narodu - może nie?

- Ależ oczywiście!! I spróbuj temu zaprzeczyć! Cała wielkość Francji kończy się w XVIII wieku! A co nadeszło po tym buncie? Garstka zabłąkanych wybitnych jednostek? Zwyrrodnienie narodu! Rządy bawiące się w chowanego, światowe pośmiewisko! Bezsila! Brak woli! Nicość! Popiół!!! Sołogdin zachichotał demonicznie.

- Dzikus! Jaskiniowiec! - oburzył się Rubin.

- I nigdy już Francja nie stanie na nogi! Chyba tylko z pomocą Kościoła rzymskiego!

- Albo taka sprawa: dla ciebie Reformacja to nie naturalny akt wyzwolenia się ludzkiego rozumu spod kościelnego jarzma, tylko...

- Bezmyślne zaślepienie! Luterzańskie diabelstwo! Mina pod Europą! Samozagłada! Coś gorszego od obu wojen światowych!

- No proszę. Proszę!... A nie mówiłem!... - wtrącił Rubin. - Wykopalisko! Ichthiozaur! O czym tu mamy dyskutować? Sam chyba widzisz, jakieś się zaplątał. Czy nie lepiej przerwać ten spór po dobroci?

Nie uszło uwagi Sołogdina, że Rubin już wstaje i chce odejść. Nie wolno było na to pozwolić! - kończyła się zabawa, a przecież jeszcze się nie zaczęła. Sołogdin z punktu sięgnął sobie cugle i złagodniał nad podziw:

- Wybacz, Lewku, zagalopowałem się. To prawda, godzina późna i wcale nie nalegam,

żeby zabierać się do naczelných zagadnień. Ale pozwól, że wypróbujemy samą zasadę takiego sporu-pojedynku, obierając sobie jakiś przedmiot łatwy a wytworny. Dam ci do wyboru kilka spraw. Ot, choćby dziedzina piśmiennictwa. To twoja dziedzina, nie moja.

- A idźże ty...

Była to właśnie chwila, w której można się było wycofać bez narażania się na niesławę. Rubin już wstał, ale Sołogdin zdążył jeszcze dorzucić:

- Zgoda! Zagadnienie z nauki o obyczajach: o znaczeniu dumy w ludzkim życiu! Rubin wzruszył ramionami ze znudzeniem: - Przecież nie jesteśmy pensjonarkami. - I wstał.

- Zgoda, więc takie zagadnienie... - Sołogdin chwycił go za ramię.

- A idźże ty - Rubin opędził się od niego ręką bez gniewu. - Nie mam czasu na kpiny, a dyskutować z tobą poważnie? Ty jesteś dzikus! Jaskiniowiec! Masz w głowie wszystko przekręcone! Jesteś chyba ostatnim na całej planecie, który nie uznaje trzech zasad dialektyki. A z nich przecież wszystko bierze początek.

Sołogdin odsunął ten zarzut ruchem swojej jasnej, różowej dłoni:

- Dlaczego nie uznaję? Już znałem.

- Cooo? Ty znałeś dialektykę? - Rubin ułożył swoje grube mięsiste wargi w ryjek i słodko zaseplenił: - Cacus! Niech cię ucałuję! Znałeś?

- Nie tylko - znałem - ja myślałem nad nią! Dwa miesiące rozmyślałem co rano! A ty nigdyś nie myślał!

- Nawet rozmyślałeś? Mądrzejesz z każdym dniem. Ale o co tedy mamy się sprzeczać?

- Cooo?! - oburzył się Sołogdin. - Znowu nie ma o co? Jak brak wspólnej podstawy - to nie ma co się spierać, jak jest wspólna podstawa, to nie ma o co się spierać! Nieee, teraz to już racz przystąpić do sporu!

- Ale co to za przymus? O czym właściwie mamy dyskutować?

Sołogdin podniósł się z miejsca w ślad za Rubinem i z zapalem wymachiwał rękoma:

- Bądź łaskaw! - przyjmuję walkę w najbardziej dla mnie trudnych warunkach. Będę bić się bronią wyrwaną z twoich własnych łap! Będziemy wiedli spór o to, że ty sam nie rozumiesz trzech wielkich praw! Tańczycie jak ludożercy dokoła ogniska, nie rozumiejąc wcale, czym jest ogień. Gadając o tych trzech wielkich prawach sto razy ci dowiodę, że pleciesz trzy po trzy!

- No to spróbuj! - nie mógł nie zawołać Rubin, wściekły na siebie, że znów dał się

wplątać w spór.

- Ależ proszę. - Sołogdin usiadł. - Siadaj.

Rubin stał dalej.

- No, od czego by tu najlepiej zacząć? - delektował się Sołogdin. - Te zasady wskazują nam kierunek rozwoju? Czy tak?

- Kierunek?

- Tak!! W jakim kierunku będzie rozwijać się ten... ee (zakrztusił się)... proces?

- Oczywiście.

- W czym ty to widzisz? Gdzie właściwie? - chłodno dopytywał się Sołogdin.

- No, w samych tych prawach. Są one odbiciem ruchu.

Rubin także usiadł. Zaczęli rozmawiać ciszej, rzeczowym tonem.

- Które właściwie prawo określa ten kierunek?

- No, pewno, że nic pierwsze... drugie. Chyba również trzecie.

- Mhmm. Trzecie - określa? Więc jak go określić?

- Co?

- Jak to co? Ten kierunek!

Rubin nachmurzył się:

- Słuchaj, a po co w ogóle ta scholastyka?

- To ma być scholastyka?? Nie znasz się na naukach ścisłych. Jeżeli prawo nie mówi nam nic o stosunkach wielkości, wymiernych liczbowo, a nadto jeszcze nie znamy kierunku zmian - to wtedy nic nie wiemy, ni cholery. Dobrze. Weźmy z innej strony. Ty tak łatwo i często powtarzasz „zaprzeczenie zaprzeczenia”. Ale co ty rozumiesz pod tymi pojęciami? Na przykład, czy możesz mi odpowiedzieć: czy zaprzeczenie zaprzeczenia zdarza się zawsze w przebiegu rozwoju, czy nie zawsze?

Rubin zamyślił się w głębi ducha na chwilę. Pytanie było nieoczekiwane. Zwykle nie stawiano tak tej kwestii. Ale, jak to przyjęte jest w dyskusji, nie okazując po sobie, że się stropił, odparł szybko:

- W zasadzie - tak... Przeważnie.

- Tu cię mam!! - radośnie ryknął Sołogdin. - Masz cały swój żargon: „w zasadzie”, „przeważnie”. Wymyśliliście tysiące takich słówek właśnie po to, żeby nie mówić rzetelnie. Powiedzieć ci tylko „zaprzeczenie zaprzeczenia”, a w głowie masz już odbity wzór: ziarno - źdźbło - a z niego dziesięć nowych ziaren. Już obrzydło! Uprzykrzyło się! Odpowiedz mi

wprost: kiedy twoja „negacja negacji” ma miejsce, a kiedy - nie ma miejsca? Kiedy wolno jej oczekiwać, a kiedy jest niemożliwa?

Rubin nie czuł już ani śladu ospałości i znużenia, cały się sprężył i starał się skupić wszystkie swoje rozproszone myśli, aby dotrzymać pola w tym niepotrzebnym nikomu, ale przecież ważnym sporze.

- No, jakie to ma praktyczne znaczenie „kiedy ma miejsce”, „kiedy nie ma miejsca”!

- Ładne rzeczy! Jakie rzeczowe znaczenie ma jedno z trzech zasadniczych praw, z których pono wszystko bierze początek! No jak tu z tobą rozmawiać?!

- Ty stawiasz wóz przed koniem! - oburzył się Rubin.

- Znowu żargon! Żargon! To znaczy, chciałem powiedzieć, język och we śny.

- Wóz przed koniem! - upierał się Rubin. - A my uważalibyśmy za hańbę wyprowadzanie analizy konkretnych zjawisk wprost z gotowych praw dialektyki. I dlatego wcale nie musimy wiedzieć, „kiedy ma miejsce” i „kiedy nie ma miejsca”...

- A ja ci tu zaraz odpowiem! Tylko że ty mi z miejsca odpalisz, żeś już to wiedział, że to jasne, że samo przez się... Słuchaj więc: jeżeli odtworzenie dawnej jakości przedmiotu możliwe jest przez ruch w odwrotnym kierunku, to w ogóle nie ma żadnego „zaprzeczenia zaprzeczenia”! Na przykład, jeżeli nakrętka jest mocno zakręcona i trzeba ją odkręcić - to odkręcaj sobie. Masz tu proces odwrotny, przejście ilości w jakość i żadnego tam zaprzeczenia zaprzeczenia. Jeżeli zaś - przy ruchu w odwrotnym kierunku - okazuje się niemożliwością odtworzenie poprzednio posiadanej jakości, to rozwój może przejść przez stopień zaprzeczenia, ale tylko wtedy, jeżeli dopuszczalne w nim są takie powtórzenia. Inaczej mówiąc: zmiany nieodwracalne będą nosić cechy „zaprzeczenia” tylko tam, gdzie możliwe jest zaprzeczenie samych tych zaprzeczeń!

- Iwan - to człowiek, nie-Iwan - to nie człowiek - mruknął Rubin - gimnastyka na poręczach...

- Wróćmy do nakrętki. Jeżeli przy jej zakręcaniu zerwałeś gwint, to przy odkręcaniu już jej nie przywrócisz dawnej jakości - całości gwintu. Odtworzyć tę jakość można teraz tylko w jeden sposób: oddać nakrętkę do przetopienia, następnie wykonać w walcowni sześciograniasty pręt, odciąć, wytoczyć i wreszcie nagwintować nową nakrętkę.

- Słuchaj, Mitia - wtrącił Rubin pojednawczym tonem - no, przecież nie można wykładać na serio zasad dialektyki za pomocą nakrętki.

- Dlaczego nie można? Czym nakrętka gorsza jest od ziarna? Bez nakrętek żadna

maszyna nie będzie trzymała się kupy. Tak więc, każdy z wyliczonych tu stanów jest nieodwracalny, jest więc zaprzeczeniem stanu poprzedniego, a nowa nakrętka w stosunku do starej, zresztą, jest zaprzeczeniem zaprzeczenia. Czy to proste? - i wzniósł ku górze ostrą francuską bródkę.

- Chwileczkę! - spróbował połapać się Rubin. - W czym właściwie zadałeś kłam moim zasadom? Przecież z twoich własnych słów wynikało, że trzecie prawo wskazuje kierunek procesów rozwojowych?

Z dłonią przyłożoną do piersi Sołogdin skłonił się nisko:

- Lewku, gdyby ci nie była właściwa bystrość myślenia, to pewno nie miałbym zaszczytu rozmawiać z tobą! Owszem, wskazuje! Ale to, co prawo wskazuje, trzeba jeszcze nauczyć się pojmować! Czy potrafisz? Nie bić czołem przed prawem, tylko pracować z jego pomocą? O, wnioskujesz, że twoje prawo jednak wskazuje ten kierunek. Ale powiedzmy sobie: czy zawsze? W przyrodzie ożywionej? Nieożywionej? W społeczeństwie?

- No, cóż - powiedział Rubin z namysłem. - Może w tym wszystkim jest jakieś racjonalne ziarno. Ale tak w ogóle - pachnie igraszkami słownymi.

- Igraszki słowne - to wasze półko! - w nowym ataku zacietrzewienia machnął dłonią Sołogdin. - Trzy prawa! Trzy wasze zasady! - machał teraz jak mieczem w tłumie Saracenów! - Toć żadnej z nich nie rozumiecie, chociaż wszystko z nich wyprowadzacie!

- Toż słyszysz, że n i e wyprowadzamy!

- Nie wyprowadzacie z praw? - zdumiał się Sołogdin, jakby uwiązł w bruździe.

- Nie!

- Więc czym są dla was - piątym kołem u wozu? No to skąd wiecie, w którą stronę pójdzie rozwój społeczeństwa?

- Słuchaj! - Rubin zaczął klarować partnerowi zajadle, z zaśpiewem w głosie. - Coś ty - pień dębowy czy człowiek? Przy rozpatrywaniu każdej kwestii wychodzimy z konkretnej analizy materiału, rozumiesz? Każda kwestia społeczna da się wyprowadzić z analizy stosunków klasowych.

- Więc na co je macie? - darł się Sołogdin nie zwracając uwagi na ciszę panującą w izbie. - Te trzy zasady - w ogóle wam niepotrzebne?!

- Nie, dlaczego, bardzo potrzebne - szybko zastrzegł się Rubin.

- Ale po co?! Jeżeli żadnych wniosków z nich nie wyciągacie? Jeżeli nawet kierunku rozwoju z nich nie trzeba odczytywać, bo to wszystko igraszki słowne? Jeżeli wystarczy

tylko powtarzać jak papuga „negacja negacji” - to na diabła one potrzebne?...

... Potapow, który daremnie próbował odgrodzić się poduszką od ich coraz głośniejszej rozmowy, zerwał wreszcie poduszkę z ucha i podniósł się z pościeli rozsierdzony:

- Słuchajcie no, przyjaciele! Nie chce się wam spać, to szanujcie cudzy sen, jeżeli już... - i wskazał palcem na leżącego ukosem na górnej koi Ruškę - jeżeli już nie możecie znaleźć odpowiedniejszego miejsca.

I gniew Potapowa, lubiącego spokój i porządek, i głęboka już cisza w całej półkolistej izbie, z której dopiero teraz dobrze zdali sobie sprawę, i obecność konfidentów (Rubin mógł zresztą swoje twierdzenia wykrzykiwać bez żadnego lęku) - wszystko to zmusiłoby do otrzeźwienia każdego normalnego człowieka.

Ale ci dwaj otrzeźwieli tylko odrobinę. Ich długi - nie pierwszy i nie dziesiąty - spór dopiero się zaczynał. Zrozumieli, że lepiej wyjść z izby, ale nie mogli już ani zamilknąć, ani dać się rozdzielić. Wychodząc, żgali się po drodze słowami, póki nie połknęły ich drzwi na korytarz.

I prawie zaraz po ich wyjściu zgasło białe światło, zapaliło się nocne, niebieskie.

Ruska Doronin czuwał najbliżej obu dysputantów, był jednak jak najdalszy od tego, by zbierać na nich „materiały”. Usłyszał nie dopowiedzianą aluzję Potapowa, zrozumiał, chociaż nie widział jego wyciągniętego palca - i poczuł, jak dławi go obraza nic do odparcia, najgorsza, z ust człowieka, na którego zdaniu nam zależy.

Kiedy rozpoczynał tę ostrą, podwójną grę z pełnomocnikiem operacyjnym, sądził, że przewidział wszystko. Zmylił czujność Szykina, był teraz w przededniu oczywistego triumfu z tymi stu czterdziestoma siedmioma rublami - ale był bezbronny wobec podejrzliwości przyjaciół! Samotny jego spisek, właśnie dlatego, że był tak niezwykły i tak dobrze ukryty - stał się przedmiotem pogardy i powodem hańby. Dziwiło go, jak mogli ci dojrzały, rozsądni, doświadczeni ludzie nie mieć w sobie dość wielkoduszności, aby zrozumieć go i uwierzyć, że nie jest zdrajcą.

I jak to zawsze bywa, kiedy tracimy ludzkie względy - staje się nam potrójnie drogi ten, co mimo wszystko kocha nas dalej.

A jeżeli to jeszcze kobieta?...

Klara!... Ona zrozumie! Zaraz jutro wyzna jej swój szalony zamiar - a ona zrozumie.

I bez żadnej nadziei, bez żadnej zresztą chęci na sen, wił się w swojej rozgrzanej pościeli, to przypominając sobie badawczy wyraz oczu Klary, to z coraz większą śmiałością

obmyślając plan ucieczki pod drutami, jarem w stronę szosy - a tam od razu autobusem do samego centrum.

A dalej Klara mu już pomoże.

W siedmiomilionowej Moskwie trudniej znaleźć człowieka niż na całej gołej Workucie. Do Moskwy właśnie trzeba uciec...

66

Przyjaźń Nierżyna ze stróżem Spirydonem Rubin i Sołogdin pobłaźliwie nazywali „chodzeniem w lud” i poszukiwaniem tej wielkiej siermiężnej prawdy, której jeszcze przed Nierżynem daremnie szukali Gogol, Niekrasow, Hercen, słowianofile, narodnicy, Dostojewski, Lew Tołstoj i wreszcie - Wasisualij Łochankin*.

Rubin i Sołogdin sami nie szukali rzeczonyj siermiężnej prawdy, znaleźli już bowiem Prawdę Absolutną, całkowicie jasną.

Rubin dobrze wiedział, że pojęcie „ludu” jest pojęciem pozornym, jest nieprawomocnym uogólnieniem, bowiem każdy lud dzieli się na klasy, a nawet te klasy z biegiem czasu ulegają zmianom. Szukać wyższych pojęć o życiu u przedstawicieli klasy chłopskiej było zajęciem żalonym, bezpłodnym, tylko bowiem proletariat jest bez reszty konsekwentny i rewolucyjny, do niego to należy przyszłość i tylko jego kolektywizm oraz bezinteresowność może stać się źródłem wyższych pojęć o życiu.

Ze swojej strony Sołogdin był wcale nie mniej przekonany, że „lud” jest to niemrawa glina historii, z której lepi się grube, nieociosane, ale przecież niezbędne nogi Kolosa Ducha. „Lud” - to pojęcie określające zbiór ludzi mało ciekawych, szarych, pospolitych, zajętych wyłącznie przyziemną krzątaniem koło spraw swego bytu codziennego. Jedyne samotne, wybitne jednostki, jak rozdzwonione gwiazdy rzucone na ciemny nieboskłon życia, promieniują owymi wyższymi pojęciami.

I obaj byli pewni, że Nierżyn przejdzie przez to jak przez chorobę, że wydorosłeje, że się opamięta.

I rzeczywiście, Nierżyn wpadał już w najrozmaitsze skrajności i to na długo.

* Jeden z bohaterów powieści satyrycznej z okresu NEP-u „Złote cielę” I. Ufa i J. Piętrowa, półinteligent w pretensjach.

Cierpiąca za udręczonych braci rosyjska literatura zeszłego wieku wyryła w jego wyobraźni - podobnie jak to było ze wszystkimi jej oddanymi czytelnikami - wizerunek Ludu siwowłosego, łączącego w sobie mądrość, czystość moralną i wielkość duchową,

wizerunek w srebrnej okładzinie i z aureolą.

Ale to wszystko było gdzieś osobno - na półkach bibliotecznych czy gdzieś tam - we wsiach, na polach, na rozstajach dziewiętnastego wieku. Niebiosa zaś nad tym wszystkim były z wieku dwudziestego i gdy się rozwarły, okazało się, że dawno już tych wszystkich miejsc nie ma w Rosji.

Nie było zresztą już żadnej Rosji, tylko Związek Sowiecki i było w tym państwie duże miasto. W mieście owym żył młodzieniec imieniem Gleb. Z rogu obfitości nauk spływały na niego wszelkie dary, spostrzegł, iż dana mu jest bystrość myśli, ale że są tacy, co potrafią myśleć jeszcze bystrzej i przewyższają go zasobami swojej wiedzy. I Lud dalej stał sobie na półce, a rzecz tak się rozumiała: liczą się tylko ci ludzie, którzy zawarli w swojej głowie skarby kultury światowej, encyklopedyści, znawcy starożytności, wielbiciele piękna, mężowie uczeni i różnorako uzdolnieni. I trzeba należeć do tych wybrańców! A komu szczęście nie dopisze, ten niech sobie płacze.

Ale zaczęła się wojna i Nierzyn trafił zrazu jako koniuch do taborów. Dławiąc się poczuciem krzywdy, nie umiając sobie poradzić, uganiał się na popasie za końmi, żeby je zapędzić krzykiem albo skoczyć któremu na grzbiet. Nie potrafił jeździć konno, nie umiał zakładać uprzęży, nie umiał brać siana widłami i nawet gwóźdź pod jego młotkiem zawsze musiał się skrzywić, jakby ze śmiechu nad niezgrabiaszem. I czym przykrzejsze życie pędził Nierzyn, tym głośniej rżał nad nim cały nie golony, sypiący wyzwiskami, bezlitosny, bardzo nieprzyjemny Lud.

Później Nierzyn dochrapał się stopnia oficera artylerii. Znów odmłodniał, nabrał pewności w ruchach, chodził obciśnięty pasem i wdzięcznie pomachiwał zerwaną witką, bo nic innego nie miał do dźwigania. Chwacko jeździł na stopniu pędzącej ciężarówce, kłął z tupetem na przeprawach, zawsze - choćby i po północy czy podczas ulewy - gotów był do marszu i prowadził za sobą posłuszny, oddany, sprawny i dlatego bardzo miły Lud. I ten jego własny, niewielki Lud słuchał zgodliwie pogadanek politycznych Nierzyna o tamtym wielkim Ludzie, co to piersią własną...

A później Nierzyn został aresztowany. Od razu w pierwszych więzieniach śledczych i etapowych, w pierwszych obozach, które ogłuszyły go tępymi, morderczymi ciosami, przeraziła go ukryta istota niektórych „wybrańców”: tam, gdzie tylko wytrwałość, silna wola i wierność wobec przyjaciół stanowiły o prawdziwej pozycji więźnia i decydowały o losie jego towarzyszy - ci subtelni, wrażliwi, wykształceni wielbiciele piękna bardzo często

okazywali się tchórzami, gotowymi do pośpiesznej kapitulacji, wprawnymi w wynajdywaniu usprawiedliwień dla własnej podłości; szybko potrafili przekształcać się w zdrajców, żebraków i obłudników. Nierzynomalże i samego siebie nie zobaczył takim samym jak tamci. Wtedy odwrócił się od tych, do których zaliczać się uważał za honor. Teraz zaczął nienawistnie wyśmiewać to, co niedawno wielbił. Teraz chciał jak najprędzej stać się kimś zwyczajnym, wytrzebić w sobie ostatnie ślady inteligenckiej uprzejmości i mięczakowości. W okresie swoich czarnych klęsk, w lochach swojego kalekiego losu Nierzyn doszedł do wniosku, że cenni i warci uwagi są tylko ci ludzie, którzy własnymi rękoma rąbią drzewo, skrawają metale, orzą glebę i leją żelazo. Od ludzi pracujących w najzwyczajniejszy sposób Nierzyn starał się teraz nauczyć i tego, co umiały ich mądre, do wszystkiego sposobne ręce, i jeszcze ich filozofii życiowej. W ten sposób krąg zamknął się dla Nierzyna i doszedł on do przekonania modnego w ubiegłym wieku, że trzeba iść w lud, zstąpić ku niemu ze swoich wyżyn.

Ale za tym zamkniętym kręgiem ciągnął się jeszcze ogonek spirali - dla naszych dziadów niepojętej. Inaczej niż tamci wykształceni panicze z dziewiętnastego wieku - wykształcony zek Nierzyn nie musiał po to, aby iść w lud, przebierać się i szukać stopą szczebelków drabiny: całkiem po prostu szurnięto go w ten lud, w dziurawych watowanych portkach, w zasmolonym waciaku - i kazano wypełniać normę. Los zwyczajnych ludzi Nierzyn dzielił nie jako pobłażliwy, zawsze czymś się różniący i dlatego obcy, pan - lecz jako jeden z wielu, niczym się nie różniący, równy wśród równych.

I nie po to, aby bardziej upodobnić się do chłopów, tylko po to, żeby zdobyć swoją codzienną kromkę mokrego chleba, musiał Nierzyn nauczyć się wbijać prosto gwoździe i przycinać deski tak, żeby pasowały. I po tej okrutnej łagrowej nauce pozbył się jeszcze jednego złudzenia. Zrozumiał, że zstępować dalej nie miał po co ani do kogo. Okazało się, że Lud nie miał nad nim żadnej przedwiecznej, siermiężnej przewagi. Razem z tymi ludźmi siadając w śniegu na rozkaz konwojenta i razem chowając się przed dziesiętnikiem w ciemnych zakamarkach budowy, razem dźwigając nosze z cementem na mrozie i susząc onuce w baraku - Nierzyn zobaczył z całą jasnością, że ci ludzie wcale nad nim nie górują. Nie bardziej wytrwale niż on znosili głód i pragnienie. Z nie większą siłą ducha stawali przed kamiennym murem dziesięcioletniego wyroku. Nie byli ani bardziej przewidujący, ani bardziej obrotni w ciężkich chwilach etapów i rewizji. Byli za to bardziej ślepi i ufni w stosunku do kapusiów. Łatwiej szli na lep ordynarnych matactw zwierzchności. Wyczekiwali

amnestii, na którą Stalinowi trudniej było się zgodzić niż na własną śmierć. Jeżeli jakiś łagrowy dzierzymorda uśmiechnął się - bo był w lepszym nastroju - prześcigali się, żeby odpowiedzieć uśmiechem na ten uśmiech. Nadto byli o wiele bardziej łasi na byle drobnostki: na „dodatkowe” sto gramów skisłej kaszy, pokraczne łagrowe portki, byle trochę nowsze albo kolorowe.

Większości z nich brak było tego własnego punktu widzenia, który staje się dla człowieka droższy niż życie.

Co mu zostało? Być sobą.

Po raz nie wiadomo który odchorowawszy swoją kolejną pasję, Nierżyn - czy aby raz na zawsze? - zaczął pojmuwać Lud w inny jeszcze sposób, o jakim nigdzie nie czytał: Lud - to nie wszyscy mówiący naszym językiem, ale też nie wybrańcy naznaczeni ognistym piętnem geniuszu. Nie urodzenie, nie dzieła rąk własnych i nie skrzydła wykształcenia rozstrzygają, czy ktoś staje się członkiem ludu.

Tylko - dusza.

Duszę zaś każdy sam sobie wykuwa, rok po roku.

Trzeba się starać tak zahartować, tak wyszlifować duszę, żeby się stać człowiekiem.

A przez to dopiero - częścią swojego ludu.

Człowiek w taką duszę wyposażony zazwyczaj nie osiąga w życiu ani bogactwa, ani stanowisk. Właśnie dlatego 1 u d jest przeważnie nieobecny na szczytach społecznej hierarchii.

67

Rudego, krągłogłowego Spirydona, z którego twarzy (jeśli nie znało się go dobrze) nie można było w żaden sposób wyczytać, czy kpi, czy komu świadczy, Nierżyn chciał sobie zjednać zaraz po jego przybyciu do szaraszki. Chociaż byli tu inni cieśle, ślusarze, tokarze, ale Spirydon tak zdecydowanie różnił się od nich czymś swoistym, że nie mogło być wątpliwości, iż właśnie on jest tym przedstawicielem Ludu, od którego należało przejmować.

Jednak Nierżyn natrafił na trudności: nie mógł znaleźć pretekstu, aby zbliżyć się do Spirydona, nie miał jeszcze o czym z nim mówić, nie spotykali się przy pracy, a mieszkali też osobno. Nieduża grupa robociarzy mieszkała w osobnej izbie, wypoczywała też na osobności i kiedy Nierżyn zaczął odwiedzać Spirydona - Spirydon, a także jego sąsiedzi doszli do zgodnego wniosku, że Nierżyn - kapuje i szuka żeru dla k u m a.

Chociaż sam Spirydon uważał się za ostatniego z więźniów szaraszki i chociaż nie można było sobie wyobrazić, po co by oper miał go obstawiać, jednak wiadomo było, że nie brzydzą się oni żadną padliną i dlatego warto było mieć się na baczności. Przy wejściu Nierżyna do izby Spirydon udawał, że promienieje, prosił siadać na pryczy i z głupawą miną zaczynał opowiadać coś, co miało się do polityki jak piernik do wiatraka: jak ryby można łowić ościeniem podczas tarła, jak na cichych rozlewiskach dają się brać pod skrzela rohatynką z łożyny albo łapać na podrywkę; jak to on sam chodził „na łosia, na rudego miszkę” (a znów czarnego niedźwiedzia z białym krawatem to już lepiej się strzec!); jak trawa miodunka żmije precz odgania, a znowu trawa ostnica bardzo łatwa do koszenia. Miał jeszcze długie opowiadanie, jak to w dwudziestych latach zalecał się do swojej Marfy Ustinowny, kiedy grała w kółku dramatycznym, w wiejskim klubie; raili jej jednego bogatego młynarza, ale ona z samej miłości dogadała się ze Spirydonem, że z nim ucieknie - i na święty Piotr pożenili się ukradkiem, i już było po wszystkim.

Nieruchawe, chore oczy Spirydona dodawały przy tym od siebie spod gęstych rudawych brwi: „no i co tu łazisz, wilcze nasienie? Nic się nie dowiesz, widzisz przecie”.

Rzeczywiście, każdy kapuś dawno już by zrezygnował i odczepił się od nieustępliwej ofiary. Nikomu by cierpliwości nie starczyło, żeby chodzić do Spirydona w każdy niedzielny wieczór i wysłuchiwać jego myśliwskich wynurzeń. Ale Nierżyn, z początku odwiedzający Spirydona z pewnym skrępowaniem, właśnie Nierżyn, pragnący zachłannie tu, w więzieniu, uporządkować sobie w głowie wszystko, czego nie zdążył na wolności - nie dał się zrazić, choć mijał miesiąc po miesiącu, i nie tylko nie sprzykrzył sobie opowiadań Spirydona, ale czuł, że go orzeźwiają, że tchną wilgocią wschodów nadrzecznych, świeżością polnych wiatrów; przenosiły go też w ten okres, jedyny w dziejach Rosji - w siedmioletni okres NEP-u, który nie miał sobie równego ani podobnego na rosyjskiej wsi - od pierwszych karczowisk w dziewiczej puszczy, jeszcze przed Rurykiem, aż do ostatniej komasacji kołchozów w wielkie jednostki. W czasie tego siedmioletnia Nierżyn był jeszcze dzieciakiem i bardzo żałował, że nie urodził się wcześniej.

Wysłuchując się w ciepły, schrypnięty głos Spirydona, Nierżyn nigdy, żadnym chytrym pytaniem nie spróbował przeskoczyć na teren polityki. I Spirydon stopniowo zaczął nabierać ufności, sam się nieznacznie wciągał w swoje opowiadania o dawnych czasach, napięcie stałej czujności zluźniało się, głębokie bruzdy na czole zaczęły się wygładzać, czerwona twarz zaczęła jaśnieć spokojem.

Jedynie nadwątlony wzrok przeszkadzał Spiridonowi czytać książki w szarasz-ce. Starając się przystosować do Nierżyna, wtrącał czasami (najczęściej - nie w porę) takie słowa, jak „pryncypialne”, „piriod” i „analogicznie”. A w czasie gdy Marfa Ustinowna grywała w wiejskim kółku dramatycznym, słyszał te słowa ze sceny, a także zapamiętał nazwisko Jesienina.

- Jesienin? - Nierżyn był zaskoczony. - Ale fajnie! Mam go tutaj w szaraszce, a to teraz rzadkość.

I przyniósł malutką książeczkę w obwolucie osypanej jesiennymi klonowymi liśćmi, jak z wycinanki. Był ciekaw, czy zdarzy się teraz cud - czy półpiśmienny Spiridon zrozumie i doceni Jesienina.

Żaden cud nie nastąpił. Spiridon nie pamiętał ani linijki z tego, co kiedyś usłyszał, ale odniósł się z uznaniem do „Bardzo piękna była Tania” i do „Młócki”.

A po jeszcze dwóch dniach major Szykin wezwał Nierżyna i kazał oddać Jesienina do cenzury. Kto doniósł, tego Nierżyn się nie dowiedział. Ale doznawszy szykan od kuma i straciwszy Jesienina trochę jakby przez Spiridona, Gleb ostatecznie zyskał jego zaufanie. Spiridon zaczął mówić mu „ty” i swoje rozmowy toczyli teraz nie w izbie, tylko w niszy pod schodami więziennymi, gdzie nikt ich nie słyszał.

Od tej chwili, w ciągu ostatnich pięciu-sześciu niedziel opowieści Spiridona nabrały dawno oczekiwanej głębi. Wieczór po wieczorze przesuwano się przed Nierżynem życie jednego jedynego ziarnka piasku - rosyjskiego chłopca, który w roku rewolucji miał siedemnaście lat i przekroczył już czterdziestkę, gdy zaczęła się wojna z Hitlerem.

Jakież wodospady zwały się na niego! Jakie fale przetaczały i starały się zetrzeć rudy łeb Spiridona! Mając czternaście lat musiał zostać gospodarzem (ojca wzięto na niemiecki front, tam zginął) i wyszedł ze starymi do koszenia („przez pół dnia jużem się kosić nauczył”). Mając lat szesnaście pracował w hucie szkła i chodził na wiece pod czerwonym sztandarem. Jak ziemię dano chłopom - wrócił na wieś i wziął, co mu przydzielono. W roku tym on z matką, z małymi braćmi i z siostrami dobrze się natrudzili i na Pokrowę już mieli ziarno w sąsiedku. Tyle że po Godach zaczęto to ziarno mocno doić z miasta - żeby oddać i oddać. A po Wielkiej Nocy - rocznik Spiridona, który skończył już osiemnaście lat, zaczął dziewiętnasty - zabrali do Czerwonej Armii. Iść do wojska i zostawiać ziemię na łasce boskiej było głupio, więc Spiridon razem z innymi chłopakami poszedł do lasu i tam byli sobie za zielonych („daj nam spokój, to i tobie spokój damy”).

Potem w lesie też zrobiło się ciasnawo i tak jakoś trafili do białych (biali wpadli w ich strony na krótko). Biali wciąż chcieli się dowiedzieć, czy nie ma wśród nich komisarza; nie mieli komisarza, ich prowodyra biali rąbnęli na postrach, pozostałym kazali nałożyć na czapki trójkolorowe kokardy i wydali karabiny. A w ogóle to porządek u białych był przedwojenny, jak za cara. Powojowali kapkę za białych - aż tu wzięli ich do niewoli czerwoni. (Zresztą nie bronili się tak bardzo, sami poszli). Czerwoni oficerów rozstrzelali, a żołnierzom kazali zdjąć z czapek kokardy i nałożyć czerwone wstążki. I Spirydon utrzymał się u czerwonych aż do końca wojny domowej. Na Polskę też maszerował, a po polskiej wojnie armię ich przechrzcili na armię pracy, nijak do domu nie chcieli puścić, a jeszcze później, na Popielec, - zawieźli ich do Pitra i w pierwszy tydzień postu chodzili prosto przez morze, po lodzie, jakisś fort kazano im brać*. Ale już potem Spirydon wyrwał się do domu.

Wrócił na wieś wiosną i od razu zabrał się do tej kochanej, odwojowanej roli. Wrócił z wojny nie taki, jak inni, nie rozpuszczony, nie jak byle wietrznik. Szybko stanął na nogi („Jak gospodarz dobry - to przez dziedziniec idąc, też rubla znajdzie”), ożenił się, konia sobie sprawił...

Chociaż władza opierała się na biedocie, ale w tych czasach ludzie woleli nie biednieć, tylko bogacić się, i biedota, taka jak Spirydon, też tylko o tym myślała, żeby przecie czegoś się dochrapać - ma się wiedzieć, ci, co się roboty nie bali. I puścili wtedy w świat takie słówko intensywnik. Słowem tym nazywano takich, co chcą gospodarować dobrze, ale bez parobków (z parobkami - to rozumu nie potrzeba), tylko naukowym sposobem, ze smykałką. I wtedy też stał się Spirydon Jegorow z żoniną pomocą właśnie takim intensywnikiem.

„Kto się dobrze ożeni, ma pół życia w kieszeni” - zawsze powtarzał Spirydon. Marfa Ustinowna była największym szczęściem i największym sukcesem w jego życiu. Dzięki niej Spirydon nie pił i unikał jałowych zbiegowisk. Co rok rodziła mu dzieci, dwóch synów, później córkę - ale ich pojawienie się nawet na piędź nie oderwało jej od męża. Ciągnęła jakby w jednym zaprzęgu - żeby się tylko zagospodarować! Była piśmienna, czytała pismo „Domowy Agronom” - i w ten sposób Spirydon został intensywnikiem.

Intensywników starano się zachęcić, dawano im pożyczki, ziarno siewne. Powodziło im się, pieniądź lgnął do pieniędzy, zamierzali już nawet z Marfą wybudować dom z cegieł, ani wiedząc, że ich dobrobyt zaraz się skończy. Spirydon był szanowany, zapraszano go do stołów przydialnych, bo też - i bohater wojny domowej, i członek partii.

I właśnie wtedy spaliło im się wszystko - ledwie dzieci zdążyli z ognia wynieść. I stali

się teraz golcami, byli niczym.

Ale czasu nie stało na biadanie. Ledwie pogorzelnicy zaczęli wygrzebywać się ze swojej niedoli - przyszło z dalekiej Moskwy rozporządzenie o rozkułaczeniu. I wszystkich tych intensywników, co ich bez umiaru namnożono - teraz bez żadnego umiaru przechrzczo na kułaków i doprowadzono do zguby. Marfa ze Spirydonom musieli się cieszyć, że nie zdążyli wybudować sobie domu z cegieł.

* Mowa o antybolszewickim powstaniu marynarzy w Kronsztadzie w marcu 1921 r. , stłumionym krwawo podczas X Zjazdu RKP(b).

Drugi już raz los zadawał im zagadki i bieda obracała się w zysk.

Zamiast żeby pod konwojem GPU jechać na pewną śmierć do tundry - Spirydon Jegorow sam został wyznaczony „komisarzem do spraw kolektywizacji”, miał pchać ludzi do kołchozów. Zaczął na postrach nosić rewolwer u pasa, sam wyganiał ludzi z domów i odsyłał pod strażą milicjantów - z pustymi rękoma, bez dobytku, kułaków i niekułaków, kogo tam wyznaczono podług spisu.

Jak na tym, tak i na innych zakrętach swojej drogi życiowej Spirydon nie dawał się rozgryźć tak od razu, nie był łatwym obiektem analizy klasowej. Nierzyn nie robił mu teraz wyrzutów, nie jątrzył go, ale mógł się domyślać, że ciężko było wtedy Spirydonowi na duszy. Zaczął pić i to tak, jakby cała wieś dawniej do niego należała, i jakby ją teraz przepuszczał. Przyjął urząd komisarski, ale rządził źle. Nie widział, że chłopci wyrzynają bydło, że przychodzą do kołchozu bez żywego rogu i kopyta.

Za to wszystko Spirydona przepędzono z komisarskiego stolca, ale tego było im mało, zaraz kazano mu skrzyżować ręce na plecach i dwaj milicjanci z naganami w rękę, jeden z przodu, drugi z tyłu, odprowadzili go do więzienia. Pod sąd poszedł szybko („u nas przez cały ten piriód wszystkich bardzo prędko sądzą”), dostał dziesięć lat za „kontrrewolucję gospodarczą” i zesłano go do kopania Kanału Białomorskiego, a kiedy ten Białomorkanał został skończony - to go przerzucono na kanał Moskwa-Wołga. Przy kopaniu kanałów Spirydon pracował już to jako robotnik ziemny, już to jako cieśla, pijkę dostawał dużą i tylko turbował się o Marfę, która została z trojgiem dzieci.

Później sprawę Spirydona rozpatrzono na nowo. Gospodarczą kontrrewolucję zmieniono mu na „nadużycie” i przez to z obcego socjalnie elementu przeszedł on do elementów socjalnie bliskich. Wezwali go i oznajmili, że teraz można mu powierzyć karabin samoochrony. I chociaż wczoraj dopiero Spirydon, jako porządny zek, wyzywał

konwojentów od ostatnich, a członków samoochrony - jeszcze gorzej, to dziś przyjął ten wręczony mu karabin i zabrał się do konwojowania swoich wczorajszych towarzyszy, ponieważ to zmniejszyło termin jego kary i pozwalało posyłać czterdzieści rubli miesięcznie do domu.

Wkrótce naczelnik łagru, który miał dwa romby na kołnierzu, złożył mu gratulacje z powodu zwolnienia. Spirydon wymeldował się - nie z powrotem do kolchozu, tylko na fabrykę, zabrał Marfę z dziećmi i wkrótce już jego nazwisko znalazło się na honorowej tablicy najlepszych dmuchaczy szkła. Starał się o nadgodziny, żeby odkuć się za to wszystko, co stracił od samego pożaru. Już myśleli o małej chatce z ogródkiem i czego by tu uczyć dzieci. Dzieci miały piętnaście, czternaście i trzynaście lat, kiedy zaczęła się wojna. Front bardzo szybko zbliżył się do ich osady. Władze wypychały na Wschód kogo tylko się dało i całą ich osadę zdołano wywieźć.

Na każdym takim zakręcie losu Nierzyn pilnie teraz wypatrywał, co jeszcze nowego zmałuje ten Spirydon. Spodziewał się już, że zostanie, żeby doczekać się Niemców, bo miał przecież żal o te obozy. Ale nie! Spirydon zachowywał się z początku, jakby wyszedł z najlepszej patriotycznej powieści; co miał majątku - to zakopał w ziemi, a jak tylko fabryczne maszyny odesłano pociągami, a robotnikom rozdano wozy - posadził na taką furę troje dzieci i żonę i - „nie moje konie, nie mój wóz, co tam, byleby mnie wiózł!” - od Poczepu cofał się aż do samej Kaługi, jak wiele tysięcy innych.

Ale pod Kaługą coś trzasło, coś się załamało, potok uchodźców jakoś się rozbił, już ich były nie tysiące, tylko setki, zresztą mężczyźni spodziewali się, że w pierwszej z brzegu komendzie uzupełnień wezmą ich do wojska, a rodzinom każą jechać dalej.

I wtedy ledwie się tylko okazało, że będzie musiał teraz rozstać się z rodziną, Spirydon, jakby zupełnie nie mając wątpliwości co do słuszności swoich poczynań - skręcił w stronę lasu, przeczekał, aż się front przetoczy i na tej samej furze z tym samym koniem zawiózł rodzinę z powrotem, od Kaługi do Poczepu. Wrócił do swojej rodzinnej wsi i zamieszkał w czyjejś pustej chacie. I wtedy im powiedzieli: z ziemi, co należała do kolchozu, każdy może brać, ile zdoła obrobić - i niech obrabia. I Spirydon wziął, i zabrał się do orki i zasiewów bez żadnych wyrzutów sumienia, nie bardzo tam przejmując się komunikatami wojennymi, pracując starannie i z zapałem, jakby to były jeszcze te dawne lata, kiedy nie było ani kolchozów, ani wojny.

Przychodzili do niego partyzanci, powiadali - chodź, Spirydon, teraz trzeba walczyć, a

nie orać. - Ktoś musi orać - odpowiadał Spirydon. I nie dał się ruszyć z ziemi. Do partyzantów brali nas musowo, tak teraz mówił, nie tak to było, żeby ludziska, czy to starzy, czy młodzi, kawałka chleba do ust nic brali, tylko cap za nóż - i na Niemca, tylko że zrzucali na spadochronach moskiewskich instruktorów i ci dopiero zmuszali chłopów groźbami albo stawiali ich w położeniu bez wyjścia.

Wtedy partyzanci umyślili zabić niemieckiego motocyklistę, i to nie za opłotkami, tylko pośrodku ich wsi. Partyzanci znali niemieckie porządki. Niemcy zaraz przyjechali, wszystkich wypędzili z domów i spalili całą wieś do fundamentów.

I znowu Spirydon nie miał żadnych wahań co do tego, że przyszedł czas, aby porachować się z Niemcami. Odwioził Marfę z dziećmi do teściowej i bez chwili zwłoki poszedł do lasu, do tych samych partyzantów. Dano mu automat, granaty i Spirydon sumiennie, z pojęciem, tak jak pracował w fabryce albo u siebie na roli - strzelał niemieckich wartowników przy torach, odbijał transporty, pomagał wysadzać mostki, a w święta chodził do rodziny. I wychodziło na to, że jednak - jest z rodziną.

Ale front wracał. Spirydon miał nawet obiecane, że dostanie partyzancki medal, jak nasi przyjdą. I powiedziane też było, że ich teraz przyjmą do sowieckiej armii, koniec ich leśnego życia.

Ale z tej wsi, gdzie Marfa teraz mieszkała, Niemcy wysiedlili wszystkich, chłopak przybiegł z tą nowiną.

I w jednej chwili, nie czekając na powrót naszych, na nic już więcej nie czekając, nic nikomu nie mówiąc, Spirydon zostawił automat i dwa bębny do niego i popędził za swoją rodziną. Zmieszał się z potokiem wysiedlonych jako cywil i znowu obok tej samej fury, smagając tego samego konika, posłuszny oczywistej dla niego racji tego nowego postanowienia - ruszył dobrym krokiem zatłoczoną szosą od Poczepu na Słuck.

Tu Nierzyn wziął się tylko za głowę, kołysząc ją na boki.

- Aj-aj-aj-aj! Jak to też mogło się zdarzyć? W głowie mi się nie mieści! Przecież tyś szedł po lodzie zdobywać Kronsztad, tyś nam władzę sowiecką budował, tyś zapędzał ludzi do kołchozów...

- A tyś nie budował?

Nierzyn czuł się zagubiony. Uchodziło za pewnik, że władzę sowiecką budowali ojcowie, że wówczas, w siedemnastym, osiemnastym roku odbywało się to w sposób bardzo solenny albo że każdy robił to po świadomym namyśle.

Spirydon uśmiechnął się; teraz widać to było lepiej:

- A tyś nie zauważył, że też budowałeś? - przyciskał Nierzyna do muru.

- Nie zauważyłem - zaszeptał Nierzyn, tasując w pamięci wydarzenia trzech lat swojego dowodzenia na froncie.

- Zdarza się... Sieje człowiek żyto, a wyrasta lebioda...

Ale przecież trzeba było do końca przeprowadzić ten eksperyment socjalny, więc Nierzyn zapytał tylko:

- No i co dalej, Daniłycz?

Co dalej! Mógł, ma się rozumieć, znowu skrócić do lasu i już nawet raz skrócił, ale niedobre miał spotkanie z bandytami, ledwie uratował przed nimi córkę. Więc dalej ruszył z ludzką falą. A już potem przyszło mu na myśl, że nasi mu nie uwierzą, tak czy owak sobie przypomną, że do partyzantów poszedł nie od razu, że uciekł od nich, zresztą siedem grzechów, jeden sąd - więc dojechał do Słucka. A tam podstawiali wagony i dawali talony na wyżywienie aż do Reńskiego okręgu. Z początku rozeszła się taka plotka, że z dziećmi nie będą zabierać, i Spirydon już się rozglądał, jak by tu zawrócić. Ale wszystkich zabrali, oddał więc za byle co furę z koniem i wyjechał. Pod Moguncją skierowali go z chłopcami do fabryki, a Marfę z córką posłali do roboty do bauera.

I w tej właśnie fabryce pewnego dnia niemiecki majster uderzył synka Spirydona, tego młodszego. Spirydon niewiele myśląc rzucił się z toporem na majstra. Wedle praw niemieckiej Rzeszy - już mówmy tylko o prawach - za samo takie podniesienie topora należało Spirydona rozstrzelać. Ale majster się opanował, sam podszedł do buntownika i powiedział, jak to teraz powtarzał Spirydon:

- Ja sam - fater. Ja cię ferszteje, rozumiem.

I nie zameldował wyżej! A wkrótce Spirydon dowiedział się, że tego samego ranka majster dostał wiadomość o śmierci syna w Rosji.

Zahartowany, dobrze nieraz bity, Spirydon wspominał tego reńskiego majstra i ocierał łzę rękawem bez żadnego wstydu:

- Po tym to już nie mam przeciw Niemcom zajadłości. Że chatę spalili i że tyle zła - ale to wszystko ten fater przeważył. Przecież jednak wzięło człowieka! - no i masz Niemca...

Ale to był jeden z tych rzadkich, bardzo rzadkich momentów wahań co do własnej słuszności w duszy rudego, upartego chłopca. W ciągu wszystkich tych ciężkich lat, podczas których tak okrutnie szedł na dno i wynurzał się znowu, żadne tam wątpliwości nie odbierały

Spirydonowi sił w decydujących chwilach. W ten sposób codzienna praktyka Spirydona zaprzeczała najlepszym stronicom Montaigne'a i Charrona.

Mimo straszliwej ignorancji Spirydona Jegorowa i braku zdolności do pojmowania wyższych emanacji ludzkiego ducha i społeczeństwa - jego działania i decyzje cechowała zawsze dobrze wyważona trzeźwość. I skoro wiedział, że wszystkie wioskowe psy zostały wystrzelane przez Niemców, to chociaż nie miał na to ogólnego poglądu, a tylko tyle zrozumiał, co sam zobaczył, jednak odrąbany krowi łeb kładł spokojnie w śnieg, czego by nigdy nie zrobił w innych warunkach. I chociaż nigdy, rzecz jasna, nie uczył się on ani geografii, ani języka niemieckiego, to przecież, kiedy bardzo ciężko im już było ze starszym synem przy budowie okopów w Alzacji (jeszcze Amerykanie szli do nich z samolotów) - uciekł z synem i nikogo nie pytając, ani nie czytając niemieckich drogowskazów, za dnia chowając się gdzieś, idąc tylko nocą, przez nieznanomy kraj, na przełaj, jakby wronim lotem przebył dziewięćdziesiąt kilometrów i dom w dom trafił do tego bauera spod Moguncji, u którego pracowała żona. Tam doczekali się w bunkrze, w ogrodzie, przybycia Amerykanów.

Żadne z wiecznych i przeklętych pytań o kryteria prawdziwości wrażeń zmysłowych, o wzajemną zgodność naszego poznania z cechami poznawanego **I - i** przedmiotu - nie odbierało spokoju Spirydonowi. Był przekonany, że widzi, słyszy, chwyta węchem i rozumie wszystko - nieomylnie.

Tak samo w dziedzinie nauk moralnych wszystko u Spirydona było dopasowane do siebie bez żadnych tarć. Nikogo nie obmawiał. Klął i złorzeczył, tylko kiedy musiał. Zabijał tylko na wojnie. Bił się tylko o narzeczoną. Nie mógł nikomu ukraść choćby szmatki, choćby kruszyny, ale spokojnie i z całym przekonaniem okradał państwo, gdy tylko zdarzyła się taka okazja. A że opowiadał, jak to przed ślubem „używał sobie z babami” - to przecież również pan naszych rojeń, Aleksander Puszkina, przyznawał się, że przykazanie „nie będziesz pożądał żony bliźniego swego” wydaje mu się wyjątkowo trudne do wypełnienia.

I teraz, pięćdziesięcioletni, zamknięty w więzieniu, prawie ślepy, skazany chyba na to, aby tu za kratami umrzeć - Spirydon nie wykazywał żadnej tendencji do świętości albo do melancholii, albo do skruchy ani tym bardziej do poprawy (jak to się nazywało w nomenklaturze łagrów) - tylko ze swoją pracowitą miotłą w ręku codziennie od świtu do nocy zamiatał podwórzec i w ten sposób bronił swego życia przed administratorem i pełnomocnikiem operacyjnym.

Jakakolwiek władza była na dworze, Spirydon z każdą był zawsze na bakier.

Tym, co Spiridon kochał - była ziemia.

Tym, co miał swojego - była rodzina.

Pojęcia „ojczyzna”, „religia” i „socjalizm”, których nie używało się w zwykłych codziennych rozmowach, zdawały się być Spiridonowi zupełnie nieznane - uszy miał jakby niedrożne dla tych słów, a język jakby mu się nie nagiął, żeby je wymówić.

Jego ojczyzną była - rodzina.

Jego religią była - rodzina.

I socjalizm też dla niego mieścił się w pojęciu rodziny.

I wszystkich siewców tego, co rozumne, dobre i wieczne - pisarzy i mówców, nazywających Spiridona bogonością (nie wiedział zresztą o tym wcale), popów, socjaldemokratów, ochoczych agitatorów i etatowych propagandzistów, białych ziemian i czerwonych przewodniczących, którzy w ciągu tych wszystkich lat wtrącali się do życia Spiridona, posyłał on - z musu nie mówiąc tego głośno, ale za to z pasją:

- A może byście tak poszli do jasnej i ciężkiej?...

68

Nad ich głowami stopnie drewnianych schodów huczały i po - skrzypywały od stąpań i szurgotu. Czasami sypał się z góry mialki kurz i kruszyny brudu, ale ani Spiridon, ani Nierzyn prawie na to nie zwracali uwagi. Siedzieli na dawno nie sprzątaney podłodze w swoich wybrudzonych, znoszonych, ze stwardniałymi już tyłkami, granatowych kombinezonach spadochroniarskich i obejmowali kolana rękoma. Siedzieć tak, nie mając nawet polan na podpórkę, nie bardzo było im wygodnie, trochę ciągnęło do tyłu, dlatego ramionami i grzbietami starali się *znaleźć* oparcie w ukośnie biegnących listwach przybitych od spodu do schodów. Patrzyli przed siebie, ale widzieli tylko oblaźłą, boczną ścianę klozetu.

Nierzyn, jak zwykle kiedy trzeba było w coś się wgłębić, lepiej pojąć - dużo palił i porozgniatał niedopałki układał rzędkiem obok nadgniętego gzymsu, od którego w górę aż do schodów ciągnął się trójkąt brudnej ściany z odbitym tynkiem. Spiridon zaś, chociaż dostawał jak i wszyscy papierosy „Biełomor-kanal”, przypominające mu jeszcze raz rysunkiem na pudełku zatraconą robotę w zatraconym kraju, gdzie o mało nie posiał własnych kości - stanowczo wymawiał się od palenia, ściśle stosując się do zakazu niemieckich lekarzy, co przywrócili mu trzy dziesiąte wzroku w jednym oku, co zwrócili mu światło dzienne.

Spirydon zachował wdzięczność i szacunek dla tych niemieckich lekarzy. Kiedy już był ślepy bez żadnych nadziei, wtykali mu oni długą igłę między kręgi, długo kazali nosić opatrunki z maścią na oczach, potem zdjęli te opatrunki w pół-ciemnym pokoju i rozkazali - „patrz!”. I świat znów wyłonił się z ciemności! Przy świetle małej lampki nocnej, która wydawała się Spirydonowi jaskrawsza od słońca, rozróżnił jednym okiem ciemny zarys głowy swojego zbawcy, pochylił się i pocałował go w rękę.

Nierzyn wyobraził sobie skupioną zwykle, a w tym momencie złagodniałą nagle twarz reńskiego doktora. Tak, wydał mu się chyba rudym barbarzyńcą ze wschodnich stepów ten człowiek, któremu zdjął właśnie opatrunki. Jego ciepły głos, jego pełna uniesienia wdzięczność aż nazbyt wymownie świadczyły, że ten dzikus był może stworzony, aby wieść znacznie lepsze życie, i nie z własnej winy stał się takim, jakim się stał.

Uczynek zaś jego, z punktu widzenia Niemców, był istotnie więcej niż barbarzyński.

Było to już po wojnie. Spirydon z całą rodziną mieszkał w amerykańskim obozie dla wysiedleńców. I spotkał jednego kumotra z tej samej wsi, którego Spirydon nazywał „kum-suczka” za jakieś tam wyczyny przy zakładaniu kołchozu. Z tym kumotrem-suczka razem jechali niegdyś do Słucka, w Niemczech zaś ich rozdzielono. Ale teraz trzeba było oblać jakoś szczęśliwe spotkanie, a że nic innego nie było pod ręką, więc przyniósł ten krajan butelkę spirytusu. Nikt tego spirytusu nie próbował i niemieckiego napisu nikt nie przeczytał, ale napój miał tę zaletę, że był bezpłatny. Cóż, ostrożny, nieufny, wyratowany z takich oparów Spirydon też przecież nie był wolny od rosyjskiego „jakoś to będzie” - dobra, odbijaj flachę, kmotrze! Wydudlił Spirydon pełną szklankę, a resztę wypił kum-suczka duszkiem. Dobrze chociaż, że nie było przy tym synów, bo też by dostali po kieliszku. Zbudziwszy się po południu, Spirydon przestraszył się, że tak wcześnie zrobiło się ciemno w pokoju, wyrzwał przez okno, ale tam też niewiele światła zobaczył i długo nie mógł zrozumieć, dlaczego wartownik pod amerykańskim sztabem po drugiej stronie ulicy nie ma górnej połowy ciała, a dolną ma. Chciał jeszcze ukryć nieszczęście przed Marfą, ale pod wieczór całun zupełnej ślepoty zasłonił również dolną część pola widzenia.

A kumowi-suczce się zmarło.

Po pierwszej operacji okuliści powiedzieli: trzeba rok przeżyć w zupełnym spokoju. - Później zrobią ci jeszcze jedną operację; na lewe oko będziesz widział jak dawniej, a na prawe pół na pół. - Obiecali to zupełnie poważnie i lepiej było zaczekać - ale...

- Nasi łągali, sukine dzieci, że uszy mogły spuchnąć. I kołchozów tak jakby już nie

było i że wszystko będzie wam wybaczone, i że bracia z siostrami czekają, a dzwony już biją. Tylko amerykańskie trzewiki zzuwać i na bosaka do domu lecieć.

Nie! I jak tu takiego zrozumieć?

- Daniłycz! - powiedział Nierzyn z naciskiem, jakby jeszcze był czas na przestrogi. - Toć sam niedawno mówiłeś... o tej lebiodzie. Co za bies cię tam pchał? Jak mogłeś uwierzyć?

Wszystko wokół oczu Spirydona, i powieki, i skronie, i policzki, pokryło się drobnymi zmarszczkami. Powiedział z uśmiechem:

- Ja?... Ja, Glebku, pewien byłem, że mnie przyskrzynią. Już mnie ci Amerykanie rozpuścili, nigdy bym nie wrócił z dobrawoli.

- Ale przecież oni brali ludzi na rodzinną przynętę, żeby wracali do swoich. A ty miałeś całą rodzinę koło siebie, co cię tak ciągnęło do Sowietów?

Spirydon westchnął.

- Od razu powiedziałem do Marfy Ustinowny: dziewucho, całe jezioro ci obiecują, a czy pozwolą chociaż z kałuży siorbnać?... A ona mnie tylko tak lekko po łbie poklepała i powiada: chłopcze, żebyś tylko znowu miał swoje oczki, to resztę już się zobaczy. Poczekajmy do drugiej operacji. Ale u wszystkich trojga dzieci raptem jakby się zapaliło: tatusiu! mamusiu! a do domu! a do kraju! Co tu czekać na operację, czy to u nas w Rosji mało doktorów? Toć rozbiliśmy Niemców, a kto rannych leczył? Chcemy skończyć rosyjską szkołę!... Ten starszy to już tylko dwa lata miał do ukończenia. A córeczka Wiera omal oczu nie wypłacze - co wy chcecie, żebym ja za Niemca wyszła? A bo to mało było Rosjan nad Renem, ale wciąż się dziewuszyńnie wydaje, że tego najważniejszego narzeczonego przegapi... A ja w łeb się drapię, ech, dzieci, dzieci, doktorów to w Rosji dosyć, tylko żyje się tam jak w rzeźni; waszemu tacie jarzmo kark już natarło, was też to nęci? Ale nie, widocznie każdy musi sam się sparzyć.

Tak oto własne dzieci wydały Spirydona na zgubę; nie jego pierwszego.

Krótkie, szorstkie jego wąsy, siwo-rude, drgały, kiedy to wspominał.

- W te ich ulotki wcale nie wierzyłem i wiedziałem, że przed ciupą się nie uchronię. Ale sobie myślałem, że ostatecznie całą winę na mnie jednego da się zwalić, bo też co tu dzieci winne? Mnie tam więzienie pisane, ale dzieci - niech ta sobie żyją. Ale te ścierwa wszystko załatwili po swojemu: przepadł i mój łeb, i moich chłopaków.

Na stacji granicznej mężczyźni zostali od razu oddzieleni od kobiet i wieźli ich już

dalej osobno. Rodzina Jegorowów, która przez całą wojnę trzymała się razem, teraz została rozproszona. Nikogo nie pytano, czy z Briańska rodem, czy spod Saratowa. Żonę z córką bez żadnego sądu zesłali do permskiego obwodu, gdzie córka pracuje teraz w gospodarstwie leśnym przy pile mechanicznej. Spirydona zaś i obu jego synów posłali za druty, oddali pod sąd i za zdradę Ojczyzny wlepili wszystkim trzem po dziesiątaku. Z młodszym synem Spirydon trafił razem do solikamskiego łagru i mógł się nim jeszcze chociaż przez dwa lata opiekować. Drugiego syna cisnęli gdzieś aż na Kołymę.

Taki był dom. Taką szkołę miały dzieci. Takiego narzeczonego - córka.

Przez przeżycia podczas śledztwa, a później przez obozowe niedojadanie (oddawał jeszcze codziennie synkowi pół swojej pajki), oczy Spirydona nie tylko nie odzyskały zdrowia, ale ostatnie, lewe, też już gasło. Wśród tej wilczej szarpaniny w jakimś głuchym leśnym podobozie prosić lekarzy, żeby ratowali mu wzrok - znaczyło prawie tyle, co modlić się o wniebowstąpienie za życia. Nie tylko leczyć wzrok Spirydona, ale nawet zastanowić się, gdzie by można było to zrobić - było ponad siły szarego, łagrowego szpitalika.

Ściskając głowę rękoma Nierzyn starał się zgłębić zagadkę swojego przyjaciela. Nie z góry i nie z dołu patrzył teraz na tego chłopca, którego los przycisnął do muru - tylko ramieniem dotykając ramienia i zaglądając prosto w oczy. Wszystkie ich rozmowy już od dawna, i to z coraz większą siłą, skłaniały Nierzyna do pewnego pytania. Całe życie Spirydona prowokowało to pytanie. I dziś chyba nadszedł czas, aby je zadać.

Zawiła droga życiowa Spirydona, jego ciągłe wędrówki z jednej strony frontu na drugą - czy to nie było czymś więcej niż zwykłym przejawem instynktu samozachowawczego? Czy nie zbiegało się to jakoś z tołstojowskim twierdzeniem, że nie ma na świecie ani winnych, ani niewinnych?... Że węzłów historii świata py-szałkowaty miecz nie rozrąbie? Czy nie przejawiała się w tych prawie instynktownych postępkach rudego chłopca - wszechobejmująca filozofia sceptycyzmu?...

Eksperyment socjalny zaplanowany przez Nierzyna mógł dać dziś - tu, pod schodami - zupełnie nieoczekiwane i wspaniałe wyniki!

- Frasuję się, Glebie - mówił tymczasem Spirydon i zrogowaciała, stwardniała dłonią przeciągnął po twarzy, jakby chciał siłą zedrzeć skórę z policzka - już cztery miesiące przecież nie miałem listów z domu, co powiesz?

- Toż mówiłeś, że list jest u Gada?

Spirydon spojrział z wyrzutem (oczy miał przygaszone, ale nigdy nie wydawały się

szkliste, jak u ślepych od urodzenia, i dlatego ich wyraz był zrozumiały):

- Po czterech miesiącach czekania? Cóż może być w takim liście?

- Jak jutro dostaniesz - zaraz przyjdź, przeczytam.

- Już ja tam duchem przylecę.

- Może na poczcie zawieruszył się któryś? Może kum jeden z drugim schował pod sukno? Daniłycz, nie szarp sobie nerwów bez powodu.

- Jak to, bez powodu, kiedy w sercu coś mnie gniecie. Boję się o Wierkę. Dziewczyna ma dwadzieścia jeden lat, bez ojca, bez braci, matka też nie tak blisko.

Nierzyn widział fotografię Wiery Jegorowej zrobioną poprzedniej wiosny. Duża dziewczyna, tęgawa, z wielkimi ufnymi oczyma. Ojciec przeprowadził ją przez całą światową wojnę i uchronił od wszelkiego bólu. Ręcznym granatem bronił jej w mińskich lasach, kiedy źli ludzie chcieli ją, piętnastoletnią, zgwałcić. Ale co mógł dla niej zrobić teraz - tu, za kratami?

Nierzyn wyobraził sobie nieprzebyte permskie lasy; strzelaninę pił benzynowych; ohydny ryk traktorów wyciągających pnie z kniei; ciężarówki ryjące zadami błoto i podnoszące w górę chłodnice, jakby z błaganiem; rozwścieczonych czarnych traktorzystów, co to oduczuli się już odróżniać przekleństwo od ludzkiego słowa - a wśród nich dziewczyninę w brezentowej kurcie, w portkach podkreślających drażniąco jej kobiece kształty. Śpi wśród nich przy ogniskach, żaden nie przepuści okazji, żeby ją pomacać. Pewno, że niedaremnie serce Spirydonowi się ściska.

Ale co tu mogły dać słowa nędznej pociechy? Lepiej już oderwać go od tych jnyśli i podbudować w nim to, czego Nierzyn szukał jako przeciwwagi dla swoich „wykształconych przyjaciół. Może usłyszy tu dzisiaj ludowe, siermiężne uzasadnienie sceptycyzmu i może wtedy sam umocni się w tej wierze?

Położywszy dłoń na ramieniu Spirydona, opierając się dalej plecami o ukośną listwę schodów, Nierzyn z oporami, kołując, zaczął formułować swoje pytanie:

- Już dawno chciałem cię zapytać, Spirydonie, tylko zrozum mnie właściwie. Słucham ja, słucham o tej twojej tułaczce. Ciężkie masz życie, no ale chyba nie ty jeden, więcej jest takich... więcej. Wędrowałeś, niosło cię to tu, to tam, wciąż szukałeś piątego kąta - ale chyba nie bez powodu?... Albo inaczej, jak myślisz, Daniłycz - jakie... (o mało nie powiedział „kryterium”) jaką miarkę powinniśmy przykładać do życia, żeby je zrozumieć? No, na przykład, czy są ludzie na świecie, którzy umyślnie chcą złego? Co właśnie tak myślą: a no,

wyrządę ludziom krzywdę? Tak ich przycisnę, żeby im się żyć odechciało? Chyba nie ma takich, prawda? Ty tu powiadasz: siali żyto, a wyrosła lebioda. Ale jednak siali to żyto czy może im się tylko zdawało? A może wszyscy ludzie chcą tylko dobra - myślą raczej, że chcą tego, tylko że nie są przecież bez grzechu, popełniają omyłki, a zdarzają się też całkiem opętani, rozwydrzeni. No i w końcu tyle zła sobie nawzajem czynią. Wmawiają w siebie, że postępują dobrze, a w gruncie rzeczy postępują źle.

Chyba niezbyt jasno się wyrażał. Spirydon patrzył boczkiem, pochmurnie, węsząc może jakiś podstęp.

- No, a teraz powiedzmy, że ty się w czymś mylisz, a ja chcę tę pomyłkę poprawić, mówię ci o tym, jak umiem, a ty nie chcesz słuchać, usta mi nawet zatykasz - to co mam robić? Może dać ci pałką w łeb? Jeszcze pół biedy, jeżeli mam rację, ale jeżeli mi się to tylko zdaje, jeżeli wbiłem sobie do głowy” że to ja mam słuszność? Jeżeli ja ciebie zepchnę i siądę na twoim miejscu, i zawołam „jazda!”, ale nikt nie posłucha - to też będę musiał kłaść ludzi trupem? No, jednym słowem chodzi o to: jeżeli nie można mieć pewności, że ma się zawsze słuszność - to czy wolno wtrącać się do innych, czy nie? I podczas każdej wojny nam się zdaje, że mamy rację, i to samo myślą o sobie tamci. Czy to w ogóle możliwe, żeby człowiek na tym świecie się dowiedział, kto jest w swoim prawie, a kto nie ma racji? Kto to może powiedzieć?

- A ja ci powiem! - odezwał się z gotowością Spirydon. Zajaśniał radością i mówił z taką ochotą, jakby go pytano, jaki dyżurny przyjdzie na służbę jutro rano. - Ja ci powiem: wilczur jest w swoim prawie, a ludożerca - nie!

- Jak-jak-jak? - Nierżynowi zaparło aż dech od prostoty i siły tego twierdzenia.

- A tak - z surowym przekonaniem powtórzył Spirydon obracając się ku Nierżynowi - wilczur ma rację, a ludożerca nie ma.

I pochylony, dysząc Nierżynowi gorącym oddechem spod wąsów, dodał:

- Glebie, gdyby mi teraz ktoś powiedział: nadlatuje tu samolot z bombą atomową. Będziesz pochowany jak pies pod tymi schodami i całą swoją rodzinę zasypie, i jeszcze milion ludzi przepadnie - ale razem z wami zginie Ojcaszek Wąsaty i cały ten ich anształt, żeby nawet śladu nie zostało, żeby już ludzie nie cierpieli po obozach, po kołchozach - chcesz tego, Spirydonie? - Spirydon cały się natężył podpierając zgiętymi barkami te schody, co go tłoczyły, a razem z nimi całe sklepienie i całą Moskwę. - Dasz mi wiarę, Glebie? Bo już nie do wytrzymania! Bo już dłużej nie poradzę! No to bym powiedział - i obrócił łeb w

stronę tego samolotu: - A dobra! Jazda! Rzuć tę bombę! Niech się wali!!!

Twarz jego skazona była zmęczeniem i udręką. Na przekrwione dolne powieki z oślepych oczu wypłynęła łza.

69

Obejmujący dyżur w niedzielny wieczór skromny młody lejtnant z kwadratową plamką wąsików pod nosem osobiście prze - szedł się po dzwonku dolnym i górnym korytarzem spec - więzienia, zapędzając więźniów do cel, do spania (w niedziele zwykle nie mieli na to ochoty). Być może, że odbyłby jeszcze drugą taką przechadzkę, ale nie mógł więcej się oderwać od młodej, jędrnej felczerki z działu sanitarnego. Felczerka miała w Moskwie męża, ale była dla niego niedostępna przez całą dobę swego dyżuru w żonie, więc lejtnant bardzo poważnie liczył, że tej nocy dopnie swego, ona zaś z hałaśliwym chichotem wciąż mu się wyrywała i powtarzała tylko:

- Co za figle?!

Dlatego też na powtórny obchód posłał swojego pomocnika, podoficera. Podoficer wiedział, że lejtnant aż do białego rana nie wychyli nosa z działu sanitarnego i że nie będzie go kontrolować - nie bardzo więc się starał zapędzić więźniów do łóżek, bo w ciągu wielu lat służby sprzykrzyło mu się być psem, i dlatego, że sam rozumiał: dorośli ludzie nie zapomną się przespać przed jutrzejszą robotą.

Nie wolno zaś było gasić światła w korytarzach i na schodach specwięzienia, mogło to bowiem okazać się okolicznością sprzyjającą przy buncie albo próbie ucieczki.

W ten więc sposób nikt nie przepędził Rubina i Sołogdina, podpierających ścianę w dużym, głównym korytarzu. Była już pierwsza, ale o śnie zapomnieli.

Wciągnął ich beznadziejny, zaciekły spór, którym - jeśli tylko nie bójką - zwykły się kończyć rosyjskie radosne obrzędy.

Był to ten osobliwy więzienny zaciekły spór, o jakim mowy nie mogło być na wolności, gdzie wszyscy musieli podzielać poglądy władzy.

Nie doszło jakoś do sporu-pojedyńku na papierze. W ciągu tej godziny - a może więcej czasu upłynęło - Rubin i Sołogdin już przewentylowali dwa pozostałe prawa dialektyki, ich dyskusja nie mogła znaleźć żadnego punktu zaczepienia, nie potrafiła zwolnić biegu na żadnej połoninie - więc objając się tylko o ich piersi, staczała się coraz szybciej aż na dno wulkanicznego krateru.

- Skoro więc nie ma p r z e c i w i e ń s t w, to nie ma też ich j e d n o ś c i?!

- No to co?

- Jak to - „no to co”? Boicie się własnego cienia! Tak czy nie?

- Owszem. To słuszne.

Sołogdin wpadł w zachwyty. Wykrył u przeciwnika słaby punkt i, jak w natchnieniu, godził w Rubina pochylonym łbem; rysy mu się zaostrzyły.

- A zatem, nie istnieje to, co nie zawiera w sobie sprzeczności? Dlaczego więc obiecaliście ludziom nadejście społeczeństwa bezklasowego?

- „Klasa” to przecież dla ciebie ptasie słowo!

- Nie wykręcaj się! Wiedzieliście, że społeczeństwo bez wewnętrznych sprzeczności nie istnieje, nie może istnieć, a jednak bezczelnie obiecujecie jego nadejście? Wy!...

Obaj mieli po pięć lat w dziewięćset siedemnastym roku, ale jeden przed drugim nie wymawiali się od brania odpowiedzialności za całą historię ludzkości.

- ... Zaklinaliście się, że zniesiecie ucisk, a narzuciliście nam jeszcze gorszych ciemności cielei! I po to trzeba było wymordować tyle milionów ludzi?

- Jesteś zupełnie ślepy! - zawołał Rubin rezygnując z ostrożnego szeptu, niepomyślnie już, że chciał szczerzyć przeciwnika, rwącego mu się do gardła. (Zresztą wykrzykiwanie własnych argumentów niczym mu nie groziło - jako obrońcy ustroju.) - Toż kiedy znajdziesz się sam w społeczeństwie bezklasowym, to nie poznasz go, tak jesteś zaślepiony nienawiścią!

- Ale teraz, teraz - czy jest bezklasowe? Chociaż raz do końca się przyznaj! Chociaż raz nie wykręcaj się! Nowa klasa, klasa rządząca - jest u nas ta klasa czy jej nie ma?

Ach, jak trudno było Rubinowi znaleźć odpowiedź na to właśnie pytanie! Bo Rubin sam tę klasę dobrze widział. A jeśli ta klasa zapanuje, to przecież rewolucja straci cały swój sens.

Ale żaden cień słabości, żaden odblask wahania nie odbił się na wysokim czole prawowiernego.

- Ale czy jest społecznie odseparowana, ograniczona? - krzyczał Rubin. - Czy można wyraźnie określić, kto rządzi, a kto wypełnia rozkazy?

- Mooożna! - odparł Sołogdin równie głośno. - Foma, Antoni, Szyszkin-Myszkina - ci rządzą, a my...

- Ale czy istnieją jakieś stałe opłatki? Dziedziczenie nieruchomości? Wszystko, co mają - to jest służbowe! Dziś - książę, a jutro psy wiąże. Może nie?

- Tym gorzej! Jeżeli każdy członek władzy może być w każdej chwili utracony, to jaki ma sposób, żeby przetrwać? Odgadywać jutrzejsze rozkazy. Szlachcic mógł wierzgać przeciw władzy, jak mu się podobało - przywileju urodzenia nikt nie mógł go pozbawić!

- Ta twoja kochana szlachta! - choćby ten Syromacha!

(W szaraszce Syromacha był czempionem donosicieli).

- Albo kupcy? Sam rynek zmuszał ich do zmyślności i ruchliwości! A co waszych zmusza?! Nie, pomyśl chwilę, co to za pomiot! Nie mają pojęcia o honorze, o wychowaniu, o wykształceniu, nic sami nie wymyślą, wolności nienawidzą, a utrzymać się w siodle mogą tylko siłą własnej podłości...

- Wystarczy mieć krzywą rozumu, żeby zrozumieć, że ta grupa jest służebna, tymczasowa, że w miarę obumierania państwowości...

- Obumierania?- wrzasnął Sołogdin. - Sami? Nie zgodzą się! Dobrowolnie? Nie wyniosą się, póki im się nie da po karku. Wasze państwo zostało stworzone wcale nie po to, żeby bronić się przed otaczającymi je państwami tych... posiadaczy! Jedynie po to, żeby okrucieństwem umocnić swoją przeciwną przyrodzie istotę! I gdybyście nawet zostali sami na całej ziemi, to wciąż jeszcze umacnialibyście tę swoją państwowość!

Sołogdin miał za sobą długie lata przymusu milczenia i ukrywania myśli. Tym więcej wyzwoleniczej satysfakcji miał teraz, rzucając swoje poglądy w twarz sąsiadowi i chętnemu słuchaczowi, a zarazem przekonanemu bolszewikowi, czyli - tym samym - człowiekowi odpowiedzialnemu za wszystko.

Natomiast Rubin - poczynając od pierwszej celi frontowego kontrwywiadu, poprzez cały łańcuch następnych cel - z szaleńczą odwagą wciąż na nowo prowokował wściekłość śledczych swoją dumną deklaracją wstępną: że jest marksistą i że nie wyrzeknie się tych poglądów nawet za kratami. Przyzwyczał się do sytuacji owczarka osaczonego przez sforę wilków, nauczył się walczyć w pojedynkę przeciw czterdziestu, albo i pięćdziesięciu adwersarzom. Spiekły mu już wargi od tych bezowocnych sporów, ale przecież miał obowiązek, miał obowiązek tłumaczyć tym ślepcom, że są ślepi, miał obowiązek walczyć z wrogami we wspólnej celi, bo to przecież dla ich własnego dobra, bo przecież w przeważającej większości to nie żadni wrogowie, tylko zwykli sowieccy ludzie, ofiary Postępu i uchybień systemu penitencjarnego. Poczucie osobistej krzywdy przyćmiło nieco ich świadomość, ale gdyby jutro rozpoczęła się wojna z Ameryką i gdyby tym ludziom dano broń do ręki, to przecież prawie każdy z nich zapomniałby o swoim złamanym życiu,

przebaczył udręki, przestałby myśleć o gorzkim losie swojej rodziny i z ochotą, ofiarnie ruszyłby na obronę socjalizmu, jak zrobiłby to sam Rubin. I ten Sołogdin też by tak postąpił w trudnej chwili. Inaczej być nie może. Bo inaczej byłiby wszyscy psubratami i zdrajcami.

Brnąc jak po piargu, skacząc z jednego ostrego kamienia na drugi, ich spór dowlókł się w końcu do tej właśnie kwestii.

- Więc co za różnica?! Co za różnica?! A zatem - były zek, który odsiedział dziesięć lat nie wiadomo za co, staje się dla ciebie zdrajcą, jeżeli obróci broń przeciw swoim nadzorcom! A znów Niemiec, któregoś odpowiednio rozpracował i posłał na ich zaplecze, to znaczy Niemiec, co się sprzeniewierzył swojej ojczyźnie i swojej przysiędze - to dopiero prawdziwie postępowy człowiek?!

- Ależ co za porównanie?! - zdumiał się Rubin. - Przecież obiektywnie biorąc mój Niemiec jest za, a twój zek jest przeciw socjalizmowi! Czy to w ogóle można porównać?

Gdyby substancja, z której ulepione są oczy, mogła topić się od żaru wyrażanych emocji, to oczy Sołogdina wyciekłyby z orbit błękitnymi strużkami - z taką furią wpatrywał się w Rubina.

- Gadaj tu z tobą! Od trzydziestu lat wyznajecie dewizę - (w gorączce sporu wyrwało mu się obce słowo, ale należało do rycerskiego leksykonu) - „cel uświęca środki”. A jak zapytać się wprost, czy uznajesz tę zasadę - to będziesz się zarzekał! Będziesz się zarzekał, jestem pewien!

- Nie, dlaczego właściwie - odparł nagle Rubin z chłodnym spokojem. - Jako dyrektywy dla mnie osobiście - nie uznaję. Ale jeśli rozpatrzyć rzecz w społecznym aspekcie? Nasz cel jest pierwszym w historii ludzkości celem tak szlachetnym, że możemy sobie nawet powiedzieć: ten cel uświęca środki użyte dla jego osiągnięcia.

- Ach, nawet tak! - Sołogdin dostrzegł odsłonięte miejsce i natychmiast wbił klingę. - Więc zapamiętaj: im cel jest szlachetniejszy, tym szlachetniejsze powinny być też środki! Perfidne środki niweczą sam cel!

- Co to znaczy właściwie - perfidne? Jakie to są te perfidne środki? A może ty w ogóle negujesz środki rewolucyjne?

- A bo to u was rewolucja? U was są tylko morderstwa, krew z topora! Gdyby ktoś zdołał sporządzić choćby tylko spis zabitych i rozstrzelanych, to świat by zamarł z przerażenia!

Ich sprzeczka, nigdzie się nie zatrzymując, jak nocny ekspres waliła obok stacji,

latań, to przez bezludny step, to przez rozjarzone miasta, mknęła przez ciemne i jasne okolice ich pamięci - i wszystko, co na chwilę wychynęło z niebytu, chwiejnym światłem albo niewyraźnym echem zabarwiało rozdygotaną szamotaninę ich wczepionych w siebie myśli.

- Żeby wygłaszać opinie o sytuacji kraju, trzeba chociaż trochę go znać! - powiedział z gniewem Rubin. - Dwanaście lat kińiesz już w tych łagrach, zresztą przedtem też - coś ty właściwie widział w kraju? Patriarsze Prudy w Moskwie? Albo wyjeżdżałeś w niedzielę na wieś do Kołomienskoje.

- Kraj?! Ty mi tu będziesz wygłaszać sądy o kraju? - wołał Sołogdin tłumiąc krzyk, jakby go kto dusił. - Wstyd! Powinieneś się wstydzić! Ilu to ludzi przeszło przez Butyrki, przypomnij sobie - Gromów, Iwantiejew, Jaszyn, Błochin, wszyscy naświetlali ci bardzo trzeźwo sprawy, wszyscy opowiadali, jak ich własne życie się toczyło - i alboś ty ich słuchał? A tu? Wartapietow albo nawet ten, jak mu tam...

- Ktooo? A po co mam ich słuchać? Zaślepięncy! Wycie zwierzęcia, któremu przytrzaśnięto łapę. Swój własny pech życiowy usiłowali zaprezentować jako ogólny krach socjalizmu. Ich obserwatorium - to kibel w celi, ich punkt widzenia - to punkt obrzydzenia!

- Ale kim są, kim są ci, których zdolny byłbyś wysłuchać?

- Ależ młodzież! Młodzież jest z nami! A młodzież - to przyszłość!

- Młodzież?! Toście sobie uroili! Młodzież kicha na te wasze... jasnodążenia! - (Nie chciał powiedzieć - ideały).

- Ależ jak ty śmiesz wydawać opinie o młodzieży?! Ja razem z młodzieżą walczyłem na froncie, chodziłem z nią na wyprawy zwiadowcze, a ty o niej słyszałeś najwyżej od jakiegoś zafajdanego świszczypały na etapie. Ależ jak możesz twierdzić, że młodzież jest bezideowa, jeśli w kraju jest dziesięć milionów komsomolców?

- Kom-so-moł??... Tyś zupełnie zdumiał? Wasz Komsomoł to tylko przetwórnia odpadów papierowych na członkowskie legitymacje.

- Jak śmiesz! Sam jestem starym komsomolcem! Komsomoł to był nasz sztandar! nasze sumienie! cała romantyka, cała ofiarność nasza - to był Komsomoł!

- By-ył! Był i przepadł!

- I wreszcie do kogo to mówię? Przecież ty byłeś komsomolcem w tym samym okresie!

- I zapłaciłem za to! Za to jestem ukarany. Mefistofeles i ta jego przynęta! Toć każdy,

kto da się skusić... Małgorzata! A potem - utrata czci! Śmierć brata! Śmierć dziecka! Szaleństwo! Zguba!

- Zaczekaj chwilę. Ty - i Małgorzata? Nie może być, żeby ci nic nie zostało w duszy z tych komsomolskich czasów!

- Przesłyszałem się, czy już mówicie teraz o duszy? Jak zmienił się wasz język w ciągu tych dwudziestu lat! Już teraz jest w nim i „sumienie”, i „dusza”, i „szarganie świętości”... A gdybym któreś z tych słówek wymówił w twoim świętym Komsomole w takim dwudziestym siódmym roku! Co?... To wyście znieprawili całe młode pokolenie Rosji...

- A owszem - jeśli ciebie wziąć za dowód!

- ... A później tak samo zabraliście się do Niemców, do Polaków...

I tak już brnęli dalej i dalej, nie dbając o porządek argumentów, o zgodność przesłanek i wniosków, nie czując nic i nie widząc tego korytarza, w którym prócz nich zostało jeszcze tylko dwóch półsfiksowanych szachistów ze swoimi figurami i kaszlący bez przerwy stary kowal z papierosem, i gdzie tak dobrze widoczne były ich niespokojne, gestykulujące ręce, rozpalone twarze i mierzące w siebie wzajem ukośnie dwie brody - wielka, czarna i jasna, starannie przystrzyżona.

- Gleb!...

- Glebie!... - jeden przez drugiego zawołali, widząc Spirydona z Nierzynem wychodzących spod schodów, które prowadziły do wychodka.

Każdy z nich przywoływał Gleba, oczekując niecierpliwie, że podwoi własne szeregi. Ale Gleb sam już szedł w tę stronę, zatrwożony ich krzykami i gestykulacją. Nawet nie słysząc ani słowa, postronny dureń też by się domyślił, że to jest wielka polityczna kłótnia.

Nierzyn podszedł do nich szybkim krokiem i, nim jeszcze zdążyli podrzucić mu swoją kość niezgody, dał każdemu z nich po kuksańcu:

- Gdzie tu rozum? Gdzie rozum?!

Zawarli niegdyś taki układ trójstronny na wypadek słownej zwady: każdy miał hamować dwóch pozostałych (toć wszędzie są szpicle) - a ci musieli go słuchać.

- Czyście powariowali? Jużeście sobie zarobili na nowy wyrok! Jeszcze wam mało? Dymitrze! Pomyśl o rodzinie!

Ale już nie było mowy o cichym rozejmie; strażacka sikawka też by tu nie pomogła.

- Posłuchaj tylko! - Sołogdin potrząsnął go za ramię. - On ma za nic wszystkie nasze

cierpienia, to wszystko dla niego jest zgodne z prawem! Jedyne, jakie w ogóle ten człowiek uznaje - to cierpienia Murzynów na plantacjach!

- A tak, nieraz to mówiłem lewkowi: ciocia Erna dla obcych miłosierna, pełna litości - a swoim każe pościć.

- Co za ciasnota poglądów! Ty nie jesteś internacjonalistą! - krzyknął Rubin, patrząc na Nierżyna jak na kieszonkowca schwytanego za rękę. - Posłuchałbyś tylko, co on tu napłótl: że carska władza była błogosławieństwem dla Rosji! Te wszystkie zabory, wszystkie podłości, czarnomorskie cieśniny, Polska, Azja Środkowa...

- Moim zdaniem - powiedział Nierżyn stanowczo - aby uratować Rosję, trzeba było dawno już zwrócić wolność wszystkim jej kolonom! Wysiłki naszego narodu trzeba skierować wyłącznie na wewnętrzny rozwój kraju.

- Dziecinada! - krzyknął opryskliwie Sołogdin. - Dać wam tylko swobodę działania, to wraz potracicie wszystkie ziemie naszych ojców... Powiedz mu lepiej, czy ta ich komsomolska romantyka warta jest choćby pół grosza? Uczyli chłopskie dzieci, żeby donosiły na własnych rodziców! Kruszyny chleba nie pozwalali przełknąć tym, co siali i żeli! A on mi tu jeszcze ośmiela się bełkotać coś o cnotach!

- Też mi szlachetny! Uważasz się za chrześcijanina? A jaki z ciebie chrześcijanin?

- Nie bluźnij! Nie tykaj tego, czego nawet nie rozumiesz!

- Ty myślisz, że skoro nie jesteś złodziejem ani szpiclem, to już wystarczy, żeby być chrześcijaninem? A gdzie twoja miłość bliźniego? Słusznie mówią o takich jak ty: tą samą ręką się żegna, którą potem nóż ostrzy. Nie darmo tak się zachwycasz średniowiecznymi bandytami! Wykapany konkwistador!

- Pochlebiasz mi! - Sołogdin wyprostował się z dumną miną.

- Pochlebiam? Zgroza, zgroza! - Rubin złapał się obiema rękoma za łysiejącą już głowę. - Słyszysz, Glebie? Ty mu chociaż powiedz: po co te ciągle pozy! Już mnie od nich mdli! Wciąż się zgrywa na Aleksandra Newskiego!

- O, to nie jest już dla mnie pochlebstwo.

- Że niby jak?

- Dla mnie Aleksander Newski wcale nie jest bohaterem ani świętym. To nie jest dla mnie pochwała.

Rubin przycichł i zerknął na Nierżyna. Obaj byli zaskoczeni.

- Czym ci się tak naraził Aleksander Newski? - zapytał Gleb.

- A tym, że zagroził Rycerzom Mieczowym drogę do Azji, zaś drogę do Rosji katolicyzmowi! A tym, że był wrogiem Europy! - Sołogdin dyszał jeszcze ciężko, jeszcze w nim wszystko wrzało.

- A to coś nowego!... To coś nowego!... - zaczepił Rubin z nadzieją, że zada nowy cios.

- A po co Rosji katolicyzm? - zapytał Nierzyn tonem przewodniczącego trybunału.

- A po to!!! - błyskawicznie odparł Sołogdin. - Dlatego, że wszystkie narody, które miały nieszczęście przyjąć prawosławie, zapłaciły za to kilkoma stuleciami niewolnictwa! Dlatego, że cerkiew prawosławna nie mogła przeciwstawić się państwu! Lud był i bezbożny, i bezbronny! Kraj był skoślawiony, bo był to kraj niewolników!

Nierzyn wytrzeszczył oczy.

- Nic nie rozumiem. Czy to nie ty mi zarzucałeś brak patriotyzmu? Dopiero co mówiłeś, że ziemie ojców pójdą w rozsypkę...

Ale Rubin już wypatrzył lukę w linii obrony przeciwnika.

- A jak tam twoja święta Ruś? - wypalił. - A Język Krańcowej Jasności? I ta twoja walka z ptasimi słowami?

- I rzeczywiście - powiedział Nierzyn - co z tym Językiem Krańcowej Jasności, jeżeli tu wszystko koślawe?

Sołogdin rozpromienił się. Pokręcił rozczapierzonymi dłońmi:

- To zabawa, panowie! Rozgrywka!! Ćwiczę chwyt opuszczania przyłbicy! Ćwiczenia są przecież konieczne! Trzeba uczyć się łamać opór. Całe życie jesteśmy w więzieniu i trzeba starać się jak najlepiej ukrywać swoje prawdziwe poglądy.

- Ale ty łzesz na każdy temat! - zapłonął Rubin nowym gniewem. - Kraj wam się nie podoba! A czy to nie wasi pobożnisie i utracjusze doprowadzili ten kraj do Chodynki, do Cuszimy, do Puszczy Augustowskiej*?

- Ach, to już was bolą klęski Rosji? Mordercy! - jęknął Sołogdin. - A kto, jak nie wy, zarznął ją w siedemnastym roku?

- Gdzie tu rozum? Rozum! - Nierzyn dał każdemu po szturchańcu pięścią w bok. Ale dyskutanci nie dali się wytrącić z transu; nie poczuli nawet kuksańców, ba, już nikogo nie widzieli przez czerwoną mgłę.

- Ty myślisz, że kolektywizacja będzie ci kiedykolwiek wybaczona?

- Przypomnij sobie, coś mi powiedział w Butyrkach! Że żyłeś jedną tylko myślą: żeby zbić milion! Na co zda ci się ten milion w Królestwie Niebieskim?

Znali się już od dwóch lat. I teraz wszystko, czego dowiedzieli się o sobie w przyjacielskich, poufnych rozmowach - starali się obrócić przeciw partnerowi, i to w sposób najbardziej krzywdzący, najbardziej dotkliwy. Wszystko sobie teraz potrafili przypomnieć i cisnąć przyjacielowi w twarz.

- No, skoro nie rozumiecie ludzkiego języka, to piszcie na siebie nowy wyrok - zachnął się Nierzyn, machnął ręką i poszedł sobie. Pocieszał się tym, że na korytarzu nie było już nikogo, a w izbach wszyscy spali.

- Wstyd! Gwałciciel dusz! Twój wychowankowie rządzą Wschodnimi Niemcami.

- Nędzny pyszałek! Jaki to dumny ze swojej szlacheckiej krwi!

- Skoro zakładasz, że Szyszkin-Myszkin działa na rzecz słusznej sprawy, to dlaczego nie chcesz im pomóc, dlaczego nie p o k a p o w a ć, powiedz?... A Szyszkin wypisze ci dobrą opinię. I twoja sprawa zostanie rozpatrzona jeszcze raz.

* Chodynka - błonia pod Moskwą, na których dwa tysiące osób zdeptał tłum w panice podczas koronacji cara Mikołaja II w maju 1896 roku. Cuszima - miejsce największej klęski floty rosyjskiej podczas wojny z Japonią (1904-1905). W Puszczy Augustowskiej zakończyła się rejterada armii generała Samsonowa po bitwie z Niemcami pod Tannenbergiem (sierpień 1914).

- Za takie słowa leje się w mordę.

- Nie, zastanów się. Skoro my wszyscy siedzimy za służenie, a tylko ty - niewinnie, to znaczy, że łapsy mają słuszość... nie cofaj się przed wnioskiem!

Już teraz tylko wymyślali sobie bez żadnego ładu, już jeden drugiego nie słyszał. Każdy z nich chciał jedynie uderzyć przeciwnika jak najboleśniej.

- Popatrz, jakieś się załgał! Wszystko załgane! A wieszysz tak, jakbyś nie wypuszczał z ręki krucyfiks!...

- Nie chciałeś podjąć sporu o godności w życiu człowieka, a przydałoby ci się trochę godności gdzieś pożyczyć. Co roku dwukrotnie składasz prośbę o ułaskawienie...

- Łzesz. Nie proszę o ułaskawienie, tylko o powtórne rozpatrzenie sprawy.

- Spotykasz się z odmową i mimo to dopraszasz się dalej. Jesteś jak psina na łańcuchu - władzę nad tobą ma ten, kto trzyma łańcuch w ręku!

- A ty byś nie dopraszał się wolności? Po prostu nie masz możliwości jej zdobycia. Ale gdybyś miał jakąkolwiek możliwość, tobyś pełzał na brzuchu!

- Nigdy! - Sołogdin aż się zatrząsł.

- A ja ci to mówię! Po prostu za mało masz zdolności, żeby się wyróżnić!

Zadręczyli się już do zupełnej niemocy. Innocenty Wołodin nie mógłby sobie wcale wyobrazić, że na jego los ma taki wpływ nużący i nudny nocny spór dwóch aresztantów w pewnym samotnym, zakratowanym budynku na przedmieściu Moskwy. Obaj chcieli być oprawcami, ale byli tylko ofiarami w tej zwadzie. Starli się w niej właściwie już nie oni, bo pogubili swoje drogowskazy; to było starcie dwóch śmiertelnych, odmiennych ładunków elektrycznych.

Właśnie obecność tych ładunków czuli oni w sobie wzajemnie i to bardzo wyraziście, z całą pewnością; była to pasja wczorajszych, albo i jutrzejszych zaślepionych, oszalałych zdobywców, uodpornionych przeciw wszelkim racjom rozsądku, nieczułych na nie, jak te mury więzienne.

- Nie, powiedz mi tylko: jeżeli zawsze myślałeś w ten sposób, to jak mogłeś wstąpić do Komsomołu? - Rubin omal sobie włosów z głowy nie wrywał.

Po raz wtóry w ciągu tej półgodziny Sołogdin odsłonił się niepotrzebnie, tak był rozdrażniony:

- A jak mogłem nie wstąpić? Czyście wy komu zostawili możliwość niewstępowania? Gdybym nie został komsomolcem, tobym wyższą uczelnię zobaczył jak własne uszy! Glinę bym musiał kopać!

- Więc udawałeś? Byłeś podłym obłudnikiem!

- Nie! Po prostu walczyłem z wami pod przyłbicą!

- Ale jeżeli nadejdzie wojna - Rubin czuł ucisk w piersi, złe przeczucie odbierało mu ostatnie siły - i jeżeli dadzą ci do ręki broń...

Sołogdin wyprostował się, skrzyżował ręce na piersi i odsunął się jak od trędowatego:

- Ty może sobie myślisz, że broniłbym wtedy was?

- To już krwią pachnie! - Rubin ścisnął pięści, kiście miał owłosione.

Gadać dłużej, a nawet przejść do duszenia czy do walki na pięści - wszystkiego tego byłoby teraz za mało. Po tym, co tu powiedzieli, warto było tylko chwycić za automaty i walić seriami, bo tylko taki język byłby zrozumiały dla adwersarza.

Ale automatów nie mieli.

Więc poszli w różne strony, jeszcze się dławiąc - Rubin z opuszczoną głową, Sołogdin - z wysoko zadartą.

Jeżeli przedtem Sołogdin jeszcze się wahał, to teraz wiedział, że z rozkoszą zada cios

tej sforcie: nie dawać im tego szyfratora! nie dawać! Nie stawać w zaprzęgu tego ich przeklętego wozu! Przecież później człowiek nie zdoła dowieść, jacy oni byli słabi i niezdolni! Krzyk podniosą, rozdzwonią, roztrąbią, że wszystko było przejawem praw, które sami ustanowili, że inaczej nie mogło się zdarzyć. Piszą przecież własną historię, nie zaniedbują się w tej robocie! Wszystkie bebechy dziejów wywracają na nice.

Rubin schował się za węglem i ścisnął dłońmi głowę, w którą biły miarowe fale bólu. Teraz dopiero świtał mu pomysł na ten jedyny, miazdzący cios, którym mógł nagrodzić Sołogdina i całą ich zgraję. Nic innego nie da rady tym miedzianym czołom! Żadnych konkretnych argumentów ani historycznych usprawiedliwień nie starczy, aby w końcu przyznali człowiekowi rację! Bomba atomowa! o, tylko to przemówi im do rozumu. Trzeba przewyciężyć w sobie chorobę, słabość, niechęć do tej roboty i jutro z samego już rana wczepić się, przywachać do śladu tego anonimowego łotra, uratować bombę atomową dla Rewolucji.

Pietrow! - Siagowityj! - Wołodin! - Szczewronok! - Zawarzin!

70

Innocenty z Dotnarą wracali do domu taksówką już dobrze po B północy.

Na bezludne ulice, bieląc kontuary domów, kładł się gęsty śnieg. Otulał wszystko spokojem i niepamięcią. Fala ciepła, jaka w domu teścia ogarnęła go odruchowo w odpowiedzi na objawy jej niespodzianej potulności, ta fala nie odpływała nawet teraz, z dala od ludzkich oczu. Dotti niefrasobliwie paplała o przyjęciu, o gościach, o kłopotach i nadziejach związanych z mariażem Klary. Innocenty przysłuchiwał się życzliwie. Dał sobie folgę. Odpoczywał od niepojętego napięcia tych dni i, dziwna rzecz, z nikim nie byłoby mu teraz tak łatwo odpocząć, jak z tą niegdyś kochaną, uprzykrzoną, wyklinaną, odepchniętą, wiarołomną kobietą, z tą istotą, mimo wszystko, nierozłączną, z towarzyszką jego wędrówki.

Nieopatrznie otoczył plecy żony ramieniem.

Tak jechali dalej.

Dotknięcie tej kobiety, którego sam sobie odmawiał, rozczuliło go znowu.

Zerknął na nią boczkiem, spojrzał na jej wargi. Na te jedyne w świecie, przyłgnięcie do których może trwać i trwać, i trwać bez przesytu. Innocenty wiedział już, jak rzadko to się zdarza; bez mała nigdy. Wiedział też z doświadczenia, że nie sposób znaleźć w jednej kobiecie tego wszystkiego, co chcielibyśmy mieć. Usta, włosy, ramiona, cerę i mnóstwo innych jeszcze wdzięków należałoby po kruszynie zbierać, zdzierać z innych, na co

przyroda wcale nie ma ochoty. A jeszcze trzeba by zgromadzić odruchy duszy i cechy zachowania, i przymioty rozumu, i cały sposób bycia.

Że Dotti nie wszystkim tym się odznaczała, to można wybaczyć. Nikt nie jest doskonały. Ale miała z tego wiele. I nagle przysłała mu do głowy taka myśl. A gdyby ta kobieta nie była nigdy jego żoną czy kochanką, gdyby należała jawnie do kogoś innego i gdyby objął ją tak w samochodzie, a ona pokornie zgodziłaby się jechać do niego, to co by czuł teraz w stosunku do niej? Dlaczego w takiej sytuacji nie miałby pretensji, że przeszła przez wiele cudzych rąk, tak wiele? Bo jeżeli to własna żona - to przecież despekt.

Najdziwniejsze i najbardziej zawstydzające było to, że właśnie taka, jaka była - zepsuta - pociągała go w sposób jeszcze bardziej zabójczy. Poczul to teraz.

I cofnął ramię.

Rzecz jasna, łatwiej było dumać o tym wszystkim, niż myśleć, że zaczęły się łowy na niego. O tym, że może czatują już na niego w domu, na klatce schodowej. Albo nawet już w mieszkaniu. Przecież o n i potrafią wszędzie wejść, wszystko otworzyć.

Już to sobie wyobrażał dokładnie, z całą ostrością: właśnie tak! urządzili w mieszkaniu zasadzkę i czekają. I gdy tylko otworzy drzwi - wypadną na korytarz i go złapią.

Może to były ostatnie chwile jego życia na wolności - te minuty na tylnym siedzeniu auta, gdy spokojnie obejmował Dotti, nie mającą o niczym pojęcia.

A może nadeszła właśnie chwila, żeby jej coś powiedzieć? Spojrzał na nią ze współczuciem, z czułością nawet - Dotti zaś natychmiast wchłonęła w siebie to spojrzenie i górna jej warga drgnęła rzewnie, jak u łani...

Ale co właściwie mógłby jej w dwóch słowach powiedzieć - nawet po odjeździe taksówkarza, po zapłaceniu za przejazd? Że nie należy mieszać pojęcia ojczyzny z pojęciem rządu?... Że byłoby zbrodnią pozostawienie tak nieludzkiej broni w rękach niepoczytalnego reżimu? Że naszemu krajowi wcale nie trzeba wojskowej potęgi - i że właśnie bez niej możliwe będzie życie?

Tego nie zrozumie prawie nikt, kto wyrósł w środowisku władzy. Nie rozumieją członkowie Akademii, zwłaszcza ci, którzy sami majstrują tę bombkę. Cóż więc potrafi zrozumieć wystrojona i łasa na zbytek żona dyplomaty?

Przypomniał sobie także ten nieznośny zwyczaj Dotti, aby burzyć cały nastrój serdecznej rozmowy jakąś niestosowną, toporną, grubiańską uwagą. Brak jej wyczucia, nigdy nie była subtelna - więc jak też może zrozumieć coś, czego nigdy nie doświadczyła?...

Jadąc windą nie patrzył jej w oczy. Nie odezwał się do niej na klatce schodowej. Przekręcił pierwszy klucz, wsunął w szparkę angielski, przepuścił ją przodem - czyli pchał do potrzasku! - zresztą, może i lepiej, że wejdzie pierwsza? nic na tym nie straci, on zaś zdąży jeszcze się zorientować i - nie, nie ucieknie, ale będzie miał przynajmniej te pięć sekund na namysł!...

Dotti weszła, przekręciła kontakt.

Nikt się na nich nie rzucił. Żadnych cudzych palt. Ani śladu bezceremonialnych kroków na podłodze.

Już mu serce mówiło, że nie ma nikogo! A więc - na jeden zatrzask, na drugi! I nie otwierać za nic! - Że niby śpią, że nie ma nikogo...

Ciepłe poczucie bezpieczeństwa otwierało objęcia człowiekowi. To z Dotti dzielił tę ufność i radość.

Z uczuciem wdzięczności pomógł jej zdjąć płaszcz.

Ona zaś skłoniła przed nim głowę tak, że zobaczył kark z tym jej kędziorkiem - i nagle powiedziała skruszonym tonem, wyraźnie:

- Zbij mnie. Jak chłop bije swoją babę... Zbij, a dobrze.

I spojrzała mu prosto w oczy. Wcale nie żartowała. Zobaczył też znamię płaczu, tylko jej właściwe. Nigdy nie płakała ciurkiem, jak wszystkie kobiety, tylko jedna jedyna łza zwilżała jej oczy i zaraz one wysychały, wysychały zupełnie, aż do ciemnej pustki.

Ale Innocenty nie był chłopem. Nie wiedział, jak zabrać się do bicia żony. Nie przychodziło mu nawet do głowy, że to w ogóle możliwe.

Położył jej dłonie na ramionach.

- Dlaczego jesteś czasem taka szorstka?

- Bywam chamką, kiedy sama czuję duży ból. Zadaję ból komuś i za tym bólem się chowam. Zbij mnie, no!

- Wczoraj i dziś tak mi jest jakoś ciężko, tak ciężko - poskarżył się Innocenty.

- Ja wiem - już wracając z głębi skruchy na swój tron wyszeptala Dotti soczystymi, soczystymi, soczystymi wargami. - I ja cię zaraz uspokoję.

- Bardzo wątpię - uśmiechnął się żałośnie. - To nie w twojej mocy.

- Wszystko jest w mojej mocy - powiedziała głębokim głosem i nasz Innocenty zaczął w to wierzyć. - Na co moja miłość by się zdała, gdybym nie potrafiła cię uspokoić.

I już Innocenty przyłgnął do jej warg, wracając do miłej przeszłości. Dławiący duszę

ucisk groźby zelżał i przemienił się w inne dławienie, słodkie. Przeszli przez amfiladę pokoi; szli w objęciu i nie myśleli już o zasadzkach. Innocenty zatonął w ciepłym, macierzyńskim wszechświecie. Nie czuł więcej chłodu; otaczała go Dotti.

71

Nareszcie cała szaraszka spała.

Dwustu osiemdziesięciu zeków spało przy niebieskim świetle, z twarzą wbitą w poduszkę albo z poduszką pod karkiem, dysząc cicho, obrzydliwie chrapiąc albo krzycząc coś bez związku, kuląc się z zimna albo rozkopując się z gorąca. Spali na obu piętrach budynku, na swoich dwupiętrowych pryczach. Widzieli we śnie: starcy - swoich bliskich, młodzi - kobiety, jedni - to, co stracili, inni - pociągi, jeszcze inni - cerkiew, a inni znów swoich sędziów. Sny mieli rozmaite, ale we wszystkich tych snach nie zapominali ani na jedną nieznośną chwilę, że są więźniami, że jeżeli wałęsają się po zielonej trawie albo po mieście, to znaczy, że uciekli, że kogoś wyprowadzili w pole, że zdarzyło się jakieś nieporozumienie, że już ich gonią. To zupełne, szczęśliwe wyzwolenie od kajdan, które wymyślił Longfellow w „Śnie niewolnika” - nie było im dane. Szok po niezasłużonym aresztowaniu, po dziesięcio - i dwudziestopięcioletnim wyroku, i szczekanie psów strażniczych, i młotki konwojentów, i szarpiący nerwy dzwonek rannej pobudki w łagrze - przesączyły się aż do szpiku ich kości poprzez wszystkie warstwy narosłe w ciągu życia, przez wszystkie odruchy warunkowe i nawet bezwarunkowe - do tego stopnia, że śpiący więzień przede wszystkim pamięta, że jest w więzieniu, a potem dopiero czuć może, że coś go przypieka czy że dym dusi, i dopiero wtedy zrywa się, bo pożar.

Spał zdegradowany Mamurin w swojej pojedynce. Spali strażnicy z drugiej, wypoczywającej zmiany. Spali również strażnicy ze zmiany dyżurującej, mającej czuwać. Dyżurna felczerka w punkcie sanitarnym, co to przez cały wieczór opędzała się przed lejtnantem z kwadratowymi wąsikami, niedawno ustąpiła mu nareszcie i teraz oboje spali już spokojnie na wąskiej kozetce w opatrunkowej. I w końcu, pilnujący żelaznych okutych drzwi między klatką schodową a skrzydłem więziennym, mały, szary nadzorca widząc, że nikt nie przychodzi na kontrolę i że nikt nie odpowiada na sygnały telefoniczne - też zasnął na siedząco złożony głowę na blacie stolika i nie zaglądając już więcej przez judasza w drzwiach na korytarz specwięzienia - choć robić mu to kazano.

I doczekawszy się wreszcie tej późnej nocnej godziny, kiedy więzienny ład w Marfinie uległ zawieszeniu - dwieście osiemdziesiąty pierwszy więzień cicho wyszedł z półkolistej

izby mrużąc oczy przed ostrym światłem i deptając po stertach niedopałków. Buty wzuł byle jak, bez onuc, miał na sobie stary, wyszar-gany frontowy płaszcz, narzucony na bieliznę. Jego mroczna, czarna broda była potargana, rzednące włosy na ciemieniu opadały w różne strony, twarz miała wyraz cierpiący.

Daremnie próbował zasnąć! Teraz wstał, żeby przejść się trochę po korytarzu. Niejeden już raz stosował ten środek: dzięki przechadzce ustępowało rozdrażnienie, przechodził palący ból w karku i ściskanie w okolicach wątroby.

Ale chociaż wyszedł na spacer, bibliofilskim zwyczajem zabrał ze sobą kilka książek. Jedna była założona ołówkowym brulionem „Projektu przybytków świeckich”. Miał też ze sobą niedbale zatemperowany ołówek. To wszystko, jak również pudełko lekkiego tytoniu i fajkę Rubin położył na długim, brudnym stole i zaczął równym krokiem chodzić po korytarzu tam i z powrotem, przytrzymując poły rękoma.

Zdawał sobie sprawę, że wszystkim innym więźniom też tu ciężko - zarówno tym, którzy siedzą nie wiadomo za co, jak tym, którzy są nastroszeni wrogo i których wrogowie tu wsadzili. Ale swoją własną sytuację (dotyczyło to jeszcze Abramsona) uważał za tragiczną w arystotelesowskim sensie. Cios zadały mu te ręce, które ukochał najbardziej. Obojętni biurokraci za to właśnie go wsadzili, że kochał wspólną sprawę - i to tak mocno, że aż to żenowało. Oficerom straży więziennej i więziennym nadzorcom, których działania były konsekwencją zupełnie słusznego, sprawiedliwego, postępowego prawa - Rubin musiał na mocy tragicznej sprzeczności codziennie się przeciwstawiać. Towarzysze - najczęściej nie byli wcale jego towarzyszami i we wszystkich celach robili mu wyrzuty, wyzywali go, omal nie kęśali - dlatego, że widzieli tylko swoje nieszczęście i nie chcieli widzieć wielkiej Zgodności z Prawem. Sprzeciwiali mu się nie gwoli prawdy, ale żeby odegrać się na nim za to, czego nie śmieli rzucić w twarz służbie więziennej. Szczuli go, nie dbając wcale, że każda taka zwada wywracała mu wnętrzności na nice. I w każdej celi, przy każdym nowym spotkaniu i każdej dyskusji Rubin czuł się zobowiązany, lekceważąc sobie ich złorzeczenia, wykazywać niestrudzenie, że w proporcjach wielkich liczb i w ramach zasadniczego nurtu wszystko idzie właśnie jak należy, że kwitnie przemysł, że rolnictwo daje coraz wspanialsze plony, burzliwie rozwija się nauka i kultura gra wszystkimi kolorami tęczy. Każda taka cela, każde takie starcie były epizodem walk na froncie, gdzie Rubin stawał jako jedyny obrońca socjalizmu.

Jego przeciwnicy często interpretowali swoją znaczną liczbę w celach w ten sposób,

że to oni - są ludem, a Rubinowie to tylko jednostki. Ale wszystkie fibry jego duszy mówiły mu, że to kłamstwo! Lud był poza więzieniem, z tamtej strony drutów kolczastych. Lud zdobywał Berlin, spotkał się nad Łabą z Amerykanami, lud ciągnął na wschód pociągami demobilizacyjnymi, poszedł rekonstruować Dnieproges, przywrócić życiu Donbas, odbudować Stalingrad. Poczucie solidarności z tymi milionami nie pozwoliło mu właśnie poddawać się samotności w zajadłej więziennej walce przeciw dziesiątkom kolegów z celi.

Rubin zapukał w szklaną szybkę w żelaznych wrotach raz, drugi, za trzecim razem - już silniej. Dopiero wtedy twarz zaspanego, szarego klawisza pokazała się w okienku.

- Źle się czuję - powiedział Rubin. - Muszę dostać proszek. Zaprowadźcie mnie do felczera.

Klucznik zamyślił się.

- Dobrze, zadzwonię.

Rubin kontynuował spacer.

Był rzeczywiście postacią tragiczną.

W całym więzieniu nie było nikogo, kto by wcześniej od niego przestąpił próg aresztu.

Dorosły kuzyn, którego szesnastoletni Lewek uwielbiał, zlecił mu przechowanie czcionek drukarskich. Lewek podjął się tego z zachwytem. Ale nie ustrzegł się wścibstwa chłopca od sąsiadów. Chłopak go podpatrzył i sypnął Lewka. Lewek nie zdradził kuzyna - wymyślił historyjkę o znalezieniu czcionek pod schodami.

Pojedyncza cela charkowskiego więzienia wewnętrznego sprzed lat dwudziestu przypominała się teraz Rubinowi, podczas gdy wciąż tak samo miarowo i ciężko spacerował po korytarzu.

Tamto więzienie zbudowane było na wzór amerykański - otwarta, wielopiętrowa studnia z żelaznymi pomostami wzdłuż pięter i takimiż schodami; na dnie - strażnik regulujący ruch za pomocą chorągiewek. Każdy dźwięk rozchodził się tu gromkim echem. Lewek słyszy, jak kogoś z łoskotem wloką po schodach - i nagle rozdzierający krzyk wstrząsa całym więzieniem:

- Towarzysze! Pozdrowienia z zimnej kabaryny! Precz ze stalinowskimi katami!

Biją go (ten charakterystyczny dźwięk przy waleniu w coś miękkiego!), zatykają mu usta, wycie jest teraz przerywane i w końcu już go nie słychać - ale trzystu więźniów w trzystu pojedynkach rzuca się do drzwi, łomocze i wrzeszczy zaciekle.

- Precz z krwawymi psami!

- Smakuje robotnicza krew?

- Znów jak za cara?

- Niech żyje leninizm!

I nagle z kilku różnych cel rozlega się opętańczy śpiew:

Wyklęty powstań ludu ziemi... I oto cały już, niewidzialny tłum więźniów śpiewa z zapamiętaniem:

Bój to jest nasz ostatni, Krwawy skończy się trud!...

Nie widać tego, ale wielu musi mieć, jak Lewek, łzy uniesienia w oczach. Więzienie huczy jak podrażniony rój. Garstka kluczników przyczaiła się na schodach, nieśmiertelny proletariacki hymn napełnił ich zgrozą...

O, jakie fale bólu w karku! Jak ściska pod żebrami, z prawej strony!

Rubin znów zapukał w okienko. Zrobił to raz i drugi - i wreszcie w polu widzenia pojawiła się zaspana twarz tego samego strażnika. Odsunął ramkę ze szkłem i burknął:

- Już dzwoniłem. Nikt nie odpowiada.

I chciał już zasunąć ramkę, ale Rubin przeszkodził mu w tym, przytrzymując szkło ręką:

- Więc idźcie tam, przecież macie nogi! - krzyknął z męką i rozdrażnieniem. - Ja się źle czuję, rozumiecie? Nie mogę spać! Wezwijcie felczera!

- No, dobra - zgodził się klawisz.

I zasunął szkło.

Rubin zaczął znowu swój spacer, wciąż tak samo beznadziejnie mierząc krokami zapłutą, zaśmieconą podłogę smrodliwego korytarza; czas mijał tak samo powoli.

I w ślad za obrazem charkowskiego więzienia wewnętrznego, które wspominał zawsze z dumą, chociaż to dwutygodniowe zamknięcie w pojedynce wisiało później nad wszystkimi jego ankietami, nad całym jego życiem i przyczyniło się do zaostrenia obecnej kary - stanęły mu teraz w pamięci inne sceny, ukrywane, na wspomnienie których palił się ze wstydu.

... Któregoś dnia wezwano go do gabinetu partyjnego w wytwórni traktorów. Lewek uważał się za jednego z twórców wytwórni. Pracował w redakcji gazetki zakładowej. Wciąż latał po cechach, zachęcał do pracy młodych, dodawał otuchy starym robotnikom, wywieszał na ścianach „błyskawice” o sukcesach brygad wyczynowych, o lukach w produkcji i o skutkach niedbalstwa.

Miał dwadzieścia lat. Wszedł do gabinetu partyjnego w swojej rubaszce z wysokim kołnierzem zapinanym z boku. Wszedł z tą samą bezpośredniością, z jaką zdarzyło mu się wejść kiedyś do gabinetu sekretarza KC Ukrainy. Podobnie jak wtedy, gdy powiedział po prostu: „witaj, towarzyszu Postyszew!” - wyciągając przy tym prawicę na powitanie, tak samo tutaj zawołał do czterdziestoletniej kobiety z przyszyżonymi włosami, przykrytymi czerwoną chusteczką:

- Witaj, towarzysko Pachtina! Wzywałaś mnie?

- Dzień dobry, towarzyszu Rubin - uścisnęła jego dłoń. - Siadaj.

Usiadł.

W gabinecie był jeszcze ktoś trzeci, nie wyglądający na robotnika. Nosił krawat, garnitur i żółte półbuty. Siedział z boku, przeglądał jakieś papiery i nie zwracał na nich uwagi.

Gabinet komitetu partyjnego był surowy jak kościelna kruchta, dominowały w nim dwa kolory - ogniście czerwony i czarny, bardziej poważny.

Kobieta rozpoczęła z zażenowaniem, jakoś niemrawo mówić z Lewkiem o fabrycznych sprawach, o których zwykle dyskutowali z ferworem. Nagle wyprostowała się i powiedziała twardo:

- Towarzyszu Rubin! Powinieneś rozbroić się przed partią!

Lew był zdumiony. Jak to? Czy nie oddaje partii wszystkich swoich sił i zdrowia, nie odróżniając już przy pracy dnia od nocy?

Nie! To za mało.

Więc co jeszcze ma robić?!

Ten trzeci wtrącił się teraz grzecznym tonem. Zwracał się per „wy” - to także drażniło proletariackie uszy. Oświadczył, że trzeba rzetelnie i niczego nie ukrywając opowiedzieć wszystko, co Rubinowi jest wiadome o jego kuzynie, który zdążył się tymczasem ożenić; czy to prawda, że był dawniej aktywnym członkiem opozycyjnej organizacji, a teraz ukrywa to przed partią?

Oczekiwali odpowiedzi już, zaraz, natychmiast i oboje wlepili w niego wzrok...

Oczywiście właśnie tego brata ciotecznego Lewek uczył się patrzeć na rewolucję. Właśnie od niego dowiedział się, że nie wszystko wygląda tak pięknie i beztrąsko jak na manifestacji pierwszomajowej. Tak, rewolucja była wiosną - dlatego wiele w niej było błota i trzeba było w tym błocie brodzić, szukając ukrytego pod nim, twardego gruntu.

Ale przecież minęły już cztery lata. Przecież zamilkły już wszelkie spory wewnątrz partii. Nie tylko trockistów, ale nawet zwolenników Bucharina zaczęto już zapominać. A to wszystko, co niegdyś propagował herezjarcha Trocki, i za co wypędzono go ze Związku Sowieckiego - Stalin imitował teraz niewolniczo i nieudolnie. Z tysięcy kruchych „czołenek” zdołano już przecież - gorzej czy lepiej, to mniejsza - skonstruować „transatlantyk” kolektywizacji. Już dymiły wielkie piece Magnitogorska, a traktory z czterech pierwotnych fabryk przeorywały kolchozową glebę. I „518”, i „1040”^{*} były już tak jakby zrealizowane. Wszystko to obiektywnie służyło Rewolucji Światowej - czy warto więc było teraz wojować z powodu brzmienia nazwiska tego człowieka, którego imię nosić będą wszystkie te olbrzymie dokonania? (Lewek zmusił się zresztą do tego, by pokochać nawet to imię. A tak, już je kochał!) I po co teraz właśnie aresztować, mścić się na tych, którzy kiedyś tam pozwalali sobie na spory?

- Nie wiem. On nigdy nie był w żadnej opozycji - mówiły usta Lewka, ale rozsądek mu podpowiadał, że - rozpatrując rzecz dorosłym okiem, bez chłopięcego romantyzmu z poddasza rodem - wypieranie się nie miało już sensu.

Krótkie, energiczne gesty towarzyszkę z partkomu. Partia! Czy istnieje w ogóle cokolwiek, co moglibyśmy postawić ponad Partią? Jak można kłamać... przed obliczem Partii?! Jak można ukrywać cokolwiek... przed Partią?! Partia nie karze, ona jest tylko naszym sumieniem. Przypomnij sobie, co mówił Lenin...

Dziesięć luf pistoletowych wymierzonych prosto w twarz nie napędziłyby strachu Rubinowi. Żaden zimny karczer ani zesłanie na wyspy Sołowieckie nie zmusiłyby go do mówienia prawdy. Ale przed obliczem Partii?! - nie był w stanie ukryć niczego ani kłamać w tym czarno-czerwonym konfesjonale.

I Rubin powiedział - kiedy i gdzie był czynny cioteczny brat, co robił.

Kobieta-spowiednik zamilkła.

A ugrzeczniony jegomość w żółtych półbutach powiedział:

- A więc, jeżeli tylko dobrze was zrozumiałem... - i odczytał to, co zdążył zapisać na arkuszu.

- A teraz proszę podpisać. O, tutaj.

Rubin aż się poderwał:

- Kim jesteście?! Przecież wy - to nie Partia!

- Dlaczego nie Partia? - gość poczuł się obrażony. - Też jestem członkiem Partii.

Jestem funkcjonariuszem śledczym GPU.

* Chodzi o bardzo rozpowszechnione w tym czasie hasło, mówiące o 518 nowych budowach pierwszej pięciolatki i 1040 stacjach maszynowo-traktorowych.

... Rubin znów zapukał w okienko. Strażnik, widać dopiero co wyrwany ze snu, sapnął:

- No i czego pukasz? Tyłem razy dzwonił, a nikt nie odpowiada.

Oczy Rubina zapłonęły oburzeniem:

- Prosiłem, żebyście tam poszli, a nie dzwonili! Serce mi bardzo dokucza!! Mogę przecież umrzeć!

- E tam, nie umrzesz - tonem pojednawczym, a nawet współczującym zaśpiewał klucznik. - Do rana jakoś dociągniesz. No, sam pomyśl - mam pójść i opuścić posterunek! - krzyknął.

- Ależ jaki idiota zajmie wam tymczasem posterunek! - krzyknął Rubin.

- Nie o to chodzi, że zajmie, tylko że regulamin zabrania. Służyłeś ty w wojsku?

Rubin czuł tak silne pulsowanie w głowie, że omal sam uwierzył w możliwość swojej nagłej śmierci. Widząc zmienioną jego twarz strażnik jednak się zdecydował:

- No, dobra, odejdz od oka, nie pukaj więcej. Przeleczę się.

I chyba poszedł.

Rubinowi zdawało się, że ból też stopniowo ustępuje. Znów zaczął przemierzać korytarz.

Przed oczyma pamięci snuły mu się dalej wspomnienia, których nie chciał budzić. Gdyby zdołał o nich zapomnieć - to wróciłby do zdrowia.

Wkrótce po tym charkowskim więzieniu, chcąc się zrehabilitować w oczach Komsomołu oraz pragnąc sobie i jedynej prawdziwie rewolucyjnej klasie dowieść, jak być potrafił pożyteczny - Rubin z mauzerem u boku pojechał na kolektywizację wsi.

A kiedy uciekał trzy wiorsty na bosaka, ostrzeliwując się przed rozwścieczonymi chłopami - co też widział wtedy w tym fakcie? „Wreszcie i mnie udało się łyknąć trochę wojny domowej”. I to wszystko.

To rozumiało się samo przez się! - rozkopywać doły ze schowanym ziarnem, nie pozwalać gospodarzom mleć mąki i wypiekać chleba, nie pozwalać im nabrać wody ze studni. I jeżeli nawet chłopskie dziecko umierało - to zdechnijcie lepiej, nicponie, razem ze swoim dzieckiem, a chleba napiec wam się nie da. I już nie budziła współczującej grozy,

tylko stała się czymś tak powszednim jak tramwaj w mieście, ta samotna fura zaprzężona w chabetę z opuszczonym łbem, która ciągnęła o świcie przez przyczojoną, zmartwiałą wieś. Biczyskiem po furtce:

- Nieboszczyki są? Wynoście.

I w następną furtkę:

- Nieboszczyki są? Wynoście.

A wkrótce już nawet tak:

- Ej! Jest tam jeszcze kto żywy?

A teraz to wpiło się w głowę. Wypalone jest rozżarzone stemplem. I dalej pali. I czasami jakby słyssał: twoje rany - właśnie za to! Więzienie - też za to! I twoje choroby - za to!

A niech tam. Zasłużenie. Ale jeżeli zrozumiał, że to była okropność, jeżeliby nigdy więcej nie chciał tego powtórzyć, jeżeli już to odpokutował? - to jak oczyścić się z tego? Komu ma powiedzieć: o, tego nigdy nie było! Będziemy odtąd uważać, że tego wszystkiego nie było!...

Czego też nie wyciśnie jedna bezsenna noc ze smutnej, błędzącej duszy?...

Tym razem sam strażnik odsunął szybkę. Odważył się jednak opuścić posterunek i pójść do sztabu. Okazało się, że tam wszyscy się pospali i nikt nie podchodził do brzęczącego telefonu. Zbudzony podoficer wysłuchał raportu, sklął strażnika za opuszczenie posterunku i wiedząc, że lejtnant śpi z felczerką, nie ośmielił się ich budzić.

- Nic się nie da zrobić - powiedział strażnik przez okienko. - Sam poszedłem i meldowałem. Powiedzieli, że nie wolno. Trzeba odłożyć do rana.

- Ale ja umieram! Ja umieram! - chrypiał mu Rubin przez okienko. - Bo rozbiję tę szybę! Zawołajcie zaraz dyżurnego! Ogłoszę głodówkę!

- Jaką znowu głodówkę? Czy ci teraz jeść dają, czy co? - odparł klawisz roztropnie. - Rano przyniosą śniadanie - to sobie ogłosisz... Pospaceruj sobie jeszcze, pospaceruj. Zadzwoń jeszcze raz.

Nikt z szeregowców, sierżantów, lejtnantów, pułkowników i generałów, całkiem zadowolonych ze swojego stanowiska i zarobków, nie zawracał sobie głowy ani losami bomby atomowej, ani jakiegoś zdychającego aresztanta.

Ale ten zdychający aresztant musiał pokonać to wszystko, wznieść się jeszcze wyżej.

Walcząc z mdłościami i bólem Rubin starał się chodzić po korytarzu tak samo

miarowo jak przedtem. Przypomniała mu się baśń Kryłowa „Brzeczot”. Baśń ta na wolności jakoś nie zrobiła na nim wrażenia, ale w więzieniu zafrapowała go.

Rapieru ostra klinga, już sędziwa, Trafiała do lamusa, stąd - do kosza. I nabył Brzeczot z kupą żelaziwa Chłopina na jarmarku, za pół grosza. Chłopina Brzeczotem obrzywał łyko, strugał łuczywa. Stal była teraz cała w szczerbach i rdzy. Pewnego dnia Jeż zobaczył Brzeczot w chacie pod ławą i spytał:

... Czemuż to takie życie musisz pędzić?

Czy nie wstyd ci, Brzeczocie jeszcze krzepki, Strugać łuczywa, albo łupać szczepki?

I Brzeczot odpowiedział Jeżowi tak, jak to setki razy odpowiadał sobie samemu Rubin:

W ręku rycerza wrogów bym przerażał! Tu - moje cnoty mierzą gospodarza... Nie ja się tego wstydzę, lecz Ten, co nie pojął mego przeznaczenia!...

72

Rubin poczuł słabość w nogach i usiadł, ciężko wpierając pierś w ostrą krawędź stołu. Chociaż z całą zajadłością odrzucał argumenty Sołogdina, jednak dosięgły go one tym boleśniej, że musiał w głębi ducha uznać ich częściową słuszność. Owszem, są komsomolcy niegodni tej tektury, w którą oprawiono ich legitymacje. Owszem, szczególnie wśród młodszego pokolenia zręby moralności zachwiały się, ludzie przestali już rozumieć, co to jest postęp moralny, postęp piękny. Ryba i społeczeństwo gniją od głowy, z kogo więc ma młodzież brać przykład?

W dawnych systemach społecznych wiedziano, że dla podtrzymania moralności potrzebna jest cerkiew i cieszący się autorytetem pop. A nawet i dziś - jaka polska chłopka pozwoli sobie na poważny krok życiowy nie zasięgając przedtem rady księdza?

Dziś dla państwa sowieckiego ważniejsze może od budowy kanału Wołga-Don albo Angarstroju - jest ratowanie poziomu moralnego obywateli!

Jak to osiągnąć? - Ma temu służyć „Projekt utworzenia przybytków świeckich”, którego szkic Rubin już przygotował. Właśnie tej nocy, korzystając z bezsenności, trzeba ostatecznie go wyszlifować, a przy najbliższym widzeniu postarać się przerzucić na tamtą stronę. Zostanie przepisany na maszynie i przesłany do KC partii. Autor nie może posłać projektu zwyczajnie, pod własnym nazwiskiem - bo w KC jeszcze czują się dotknięci, że takich rad udziela im więzień polityczny. Ale nie można również posłać anonimowo. Niech więc podpisze się któryś z frontowych przyjaciół - dla wspólnego dobra Rubin chętnie

zrezygnuje z autorskiej sławy.

Starając się przezwyciężyć pulsujący ból głowy, Rubin nabił fajkę „Złotym Runem”, zresztą odruchowo, bo nie chciało mu się teraz wcale palić, czuł nawet wstręt do tytoniu - jednak zapalił i zaczął przeglądać projekt.

W płaszczu narzuconym na bieliznę, przy gołym, źle wyheblowanym stole, zasypanym kruszynami chleba i popiołem z papierosów, w stęchłym powietrzu zaśmieconego korytarza, przez który od czasu do czasu przebiegał za swoją nocną potrzebą któryś z zaspanych zeków - bezimienny autor przeglądał swój bezinteresownie sporządzony projekt, rozwinięty na wielu arkuszach papieru pokrytego szerokim, pośpiesznym pismem.

W uwagach wstępnych była mowa o konieczności podniesienia jeszcze wyżej - już i tak wysokiego - poziomu moralności publicznej i o potrzebie nadania jeszcze większego znaczenia obchodom rocznic rewolucyjnych i świętom państwowym, a także uroczystościom rodzinnym, którym brak dotąd charakteru solennego. W charakterze środka zaradczego wysunięta była w projekcie propozycja wybudowania w całym państwie serii przybytków świeckich, majestatycznych i wzniesionych w punktach panujących nad całą okolicą.

Następnie - w kilku rozdziałach dzielących się z kolei na paragrafy, opisana została strona organizacyjna sprawy tak, jakby nie można było liczyć na inicjatywę zwierzchności: gdzie należy budować przybytki świeckie - na jaką ilość mieszkańców w ośrodkach miejskich i na ile jednostek podziału terytorialnego przypadać ma każdy z nich; jakie mianowicie ważne rocznice powinny być obchodzone w tych przybytkach, przypuszczalny czas trwania poszczególnych obrzędów. Obchód dojścia do pełnoletniości miał być celebrowany - przy masowym udziale publiczności - w ten sposób, że młodzieńcy mieli składać grupami specjalną przysięgę, zawierającą formuły przyrzeczeń odnoszących się do ojczyzny, rodziców i ogólnych zasad etycznych.

W projekcie podkreślano się, że stroje personelu powinny być niezwykle, odznaczać się podniosłą wspaniałością i unaoczniać niejako śnieżną czystość tych, którzy mieli je nosić. Że formuły obrzędowe powinny być wygłaszane rytmicznie, że nie należy lekceważyć możliwości oddziaływania na żaden z organów zmysłów: od pięknych woni unoszących się w powietrzu świątyni, od melodyjnej muzyki i chórów, od olbrzymich witraży i reflektorów, od artystycznych fresków, mających nadto służyć sprawie rozwoju zainteresowań artystycznych u publiczności - aż do całej architektury świątynnej.

Każde słowo w tym projekcie trzeba było dobierać z wielką męką i subtelnością

spośród wielu synonimów. Ograniczeni, powierzchowni ludzie mogliby z byle nieostrożnego słowa wyciągnąć wniosek, że autor proponuje po prostu budowę świątyni chrześcijańskich - tylko że bez Chrystusa. A tu wcale nie o to chodziło! Amatorzy historycznych analogii mogliby zarzucić autorowi, że naśladuje robes-pierre'owski kult Najwyższej Istoty - ale, ma się rozumieć, to było zupełnie co innego!!

Za najbardziej oryginalną część projektu autor uważał rozdział dotyczący nowych... nie, nie duchownych, ale - wedle jego nomenklatury - służebników przybytku. Autor był zdania, że główny warunek powodzenia projektu sprowadza się do tego, czy uda się (albo nie uda) stworzyć w całym kraju korpus służebników, cieszących się autorytetem, otoczonych miłością i zaufaniem mas ze względu na ich zupełnie nieskazitelne, przykładowe, wolne od wszelkiej prywaty życie. Proponował, aby instancje partyjne przeprowadziły selekcję kandydatów na kursy służebników, gwarantując uwolnienie z wszelkich innych prac, którymi owi kandydaci musieli dotychczas się trudnić. Po wstępnym okresie, który cechować będzie ostry niedobór kadr, kursy te, mające z upływem lat zwiększyć swój zakres czasowy i programowy, powinny dawać w końcu elewom świetne i szerokie wykształcenie, czyniąc z nich ponadto wybitnych krasomówców. (Nieulekły autor projektu utrzymywał, że krasomówstwo w naszym kraju znalazło się w upadku - zapewne dlatego, że nie trzeba już nikogo przekonywać, ponieważ cała ludność i tak bez żadnych zastrzeżeń popiera ukochaną swoją władzę).

A że wciąż jeszcze nikt nie przyszedł do więźnia umierającego o niewłaściwej godzinie - to wcale Rubina nie dziwiło. Dostyc się napatrzył podobnych wypadków w celach kontrwywiadu i więzień przejściowych.

Dlatego też, kiedy klucz zazgrzytał w drzwiach, pierwszym odruchem Rubina był lęk, że w środku nocy zastaną go teraz przy niedozwolonym zajęciu, co pociągnie za sobą nieuchronną, nudną karę, więc szybko zgarnął swoje papiery, książkę, tytoń i już chciał ukryć się w pokoju, ale było za późno; przysadzisty, tęgomordy podoficer już go zobaczył i stojąc w drzwiach zawołał.

Rubin oprzytomniał. I od razu znów poczuł cały ciężar swojego osamotnienia, chorobliwej bezradności i zranionej godności.

- Słuchajcie - powiedział idąc powoli w stronę zastępcy dyżurnego - trzecią godzinę z rzędu nie mogę się doprosić felczera. Złożę skargę do departamentu więziennictwa MBP i na was, i na felczera.

Podoficer odparł pojednawczym tonem:

- Rubin, w żaden sposób nie można było wcześniej, to nie ode mnie zależało. Chodźmy.

To prawda - od niego zależało tylko tyle, żeby wywołać lejtnanta, skoro już się dowiedział, że podnosi raban nie byle kto, tylko jeden z najbardziej niebezpiecznych zeków. Dłuższą chwilę nie miał żadnej odpowiedzi, później wysunęła nos felczerka i zaraz schowała się za drzwiami. Następnie lejtnant z chmurną miną wyszedł z punktu sanitarnego i pozwolił podoficerowi przyprowadzić Rubina.

Teraz Rubin wdział wojskowy płaszcz jak należy i zapiął na guziki, żeby nie widać było bielizny. Podoficer poprowadził go podziemnym korytarzem więzienia, po czym wyszli na dziedziniec po schodni pokrytej już śnieżnym puchem. Noc była jak z obrazka, cicha, szczodre białe płatki wciąż padały, mętne i ciemne zatoki nocnych ciemności i cały skraj nieboskłonu wydawały się pokreskowane mnóstwem białych smug. Podoficer i Rubin przecięli podwórzec zostawiając głębokie ślady w sypkim, puszystym śniegu.

Tu, pod tym miłym, pełnym chmur, szaroburym, prześwitującym w blasku nocnych latarni niebem, czując na zadartej w górę brodzie i na rozpalonej twarzy dziecinne, niewinne dotknięcia sześciopromiennych, zimnych gwiazdek, Rubin zamarł, zamknął oczy. Przeszło go poczucie spokojnej błogości, tym ostrzejsze, im krócej trwało - cała słodycz bytowania, całe szczęście płynące stąd, że się nigdzie nie idzie, o nic nie prosi, niczego nie chce - tylko by stać tak całą długą noc w osłupieniu, w zachwyceniu, w stanie łaski, jak stoją drzewa - i niech śnieg dalej tak pada.

W tej samej chwili od strony torów, które biegły niespełna kilometr od Marfina, rozległ się długi, zachłystujący się gwizd parowozu - ten szczególny, sam jeden wśród nocy, chwytający za serce gwizd parowozu, który w zenicie naszych lat każe wspomnieć o dzieciństwie, bo w dzieciństwie obiecywał nam, że osiągniemy tak wiele w zenicie lat.

Gdyby chociaż z pół godziny mógł tak postać sobie - to zupełnie by wrócił do równowagi, znów byłby zdrow na duszy i ciele i napisałby najczulszy wiersz o gwizdzie nocnych parowozów.

Ach, gdyby nie musiał iść za konwojentem!...

Ale konwojent obejrzał się już podejrzliwie - czy aby więzień nie zaplanował sobie nocnej ucieczki.

I Rubin skierował swoje kroki tam, gdzie mu kazano.

Felczerka aż poróżowiła, bo sen miała młodzieńczy i zdrowy. Krew biła jej do policzków. Miała na sobie biały fartuch, ale widać było, że wdziała go nie na wojskową bluzę i spódnicę, tylko na gołe ciało. Każdy inny więzień o dowolnej godzinie, Rubin zaś - o każdej innej porze, na pewno by to zauważył i postarałby się jak najdokładniej obejrzeć zarysy jej figury - ale w tej chwili Rubin był myślami daleko od tej ordynarnej baby, która kazała mu się całą noc męczyć.

- Proszę o proszki przeciwbólowe i o coś na bezsenność, byle nie luminal, bo muszę zasnąć szybko.

- Nic nie ma na bezsenność - odmówiła mu machinalnie.

- Ja bardzo proszę! - powtórzył Rubin z naciskiem. - Mam jutro od samego rana robotę zleconą przez ministra. A nie mogę zasnąć.

Napomknienie o ministrze i świadomość, że Rubin nie odejdzie, tylko będzie stać i molestować o ten proszek (a sądząc z pewnych oznak liczyła, że lejtnant zaraz tu wróci) - skłoniły felczerkę do postąpienia wbrew jej zwyczajom.

Zdecydowała się dać mu lekarstwo.

Wydostała z aptecznej szafki proszki i zmusiła Rubina do połknięcia ich na miejscu (więzienny regulamin sanitarny kazał uważać każde lekarstwo za narzędzie ewentualnej walki i nie pozwalał dawać ich więźniom do rąk - musieli od razu je zażywać).

Rubin spytał, która godzina, dowiedział się, że już pół do czwartej, i wyszedł. Przecinając znowu podwórzec spojrzął z czułością na nocne lipy, oświetlone z dołu blaskiem pięćset - i dwustuwatowych lamp żony, głęboko, bardzo głęboko wciągnął w płuca pachnące śniegiem powietrze, pochylił się, pełną garścią kilka razy nabrał gwiazdzistego puchu i tym puchem, nieważkim, bezcielesnym, lodowatym otarł twarz, szyję, nabrał go pełne usta.

I dusza jego pojednała się z całą świeżością świata.

73

Drzwi ze stołowego do sypialni były nie domknięte i wyraźnie rozległo się pojedyncze, głośnie uderzenie ściennego zegara; dźwięk jeszcze chwilę gubił się w pogłosach, zanim ugasł.

W pół do jakiejś godziny. Adam Rojzman miał ochotę spojrzeć na ręczny zegarek, przyjaźnie tykający na nocnym stoliku, ale bał się, że obudzi żonę zapalając światło. Żona spała trochę na boku, trochę na brzuchu, przypadła twarzą do mężowskiego ramienia.

Byli już piąty rok po ślubie, ale nawet w półśnie Rojzman czuł, jak przepełnia go

tkliwość, że ma ją obok siebie, że ona śpi tak jakoś śmiesznie, grzejąc między jego łydkami swoje malutkie, wciąż ziębnące stopki.

Adam dopiero co zbudził się z jakiegoś głupiego snu. Chciał zasnąć znowu, ale już zdążył mu się przypomnieć wieczorny dziennik radiowy, później - biurowe przykrości, zaczęły tłoczyć się myśli jedna po drugiej, otworzył oczy na dobre i w końcu naszała go ta nocna trzeźwość, przy której sensu już nie mają żadne próby zaśnięcia.

Hałas, tupot i zgrzyt przesuwanych mebli, które przez cały długi wieczór dochodziły z góry, z mieszkania Makaryginów - zdążyły już dawno ucichnąć.

W szparze między firankami widać było przez okno słabiutką, szarawą poświatę nocną.

W nocnej bieliźnie, leżąc na wznak bez snu, Adam Beniaminowicz Rojzman nie czuł w sobie tej stanowczości, którą daje pozycja służbowa, i tego prawa do rozkazywania ludziom, które we dnie dawały mu epolety majora MBP i znaczek laureata nagrody stalinowskiej.

Leżał na wznak i jak każdy zwykły śmiertelnik czuł, że świat jest pełen ludzi, że jest okrutny i że żyć w nim nie jest łatwo.

Wieczorem, właśnie gdy u Makaryginów tak wesoło się bawiono, przyszedł do Rojzmana pewien jego dawny przyjaciel, też Żyd. Przyszedł bez żony, markotny i mówił o nowych szykanach, ograniczeniach, zwolnieniach z pracy, a nawet o deportacjach.

To nie było nic nowego. To zaczęło się jeszcze zeszłej wiosny. Z początku rozgrywało się na terenie krytyki teatralnej i wyglądało na niewinne wymienianie w nawiasach dawnych, żydowskich nazwisk. Później prześliznęło się do literatury. W jakiejś drugorzędnej gazetce, zajmującej się wszystkim prócz bezpośrednich swoich zadań, literackich, ktoś użył cichcem jadowitego słóweczka - kosmo-p o l i t a. Znalezione termin! Wspaniałe, dumne słowo, jednoczące wszystkie kręgi wszechświata, słowo, którym zaszczycano geniuszy najbardziej szlachetnych - Dantego, Goethego, Byrona - słowo to w gazecie wyleniało, zeszło się, pomarszczyło, zasyczało i zaczęło znaczyć tyle co gudłaj.

A później popęzło już dalej i wstydliwie poszukało schronienia w teczkach personalnych za dobrze zamkniętymi drzwiami.

A teraz to zimne tchnienie przesączało się już do kręgów technicznych. Rojzman, który dotychczas niepowstrzymanie, błyskotliwie kroczył ku sławie - dobrze odczuł, jak chwiejna stała się jego pozycja właśnie w ciągu ostatniego miesiąca. Czyżby pamięć go

zawiodła? Przecież podczas rewolucji i długo jeszcze po niej słowo „Żyd” uchodziło za o wiele bardziej prawomyślne od słowa „Rosjanin”. Rosjanina trzeba było jeszcze sprawdzać - a kim byli jego rodzice? Czym się trudnili przed siedemnastym rokiem? Żyda zaś nie było co sprawdzać: Żydzi wszyscy jak jeden mąż sprzyjali rewolucji.

I oto... ukrywając się za plecami drugorzędnych postaci, Josif Stalin brał teraz do ręki bicz prześladowcy Żydów.

Kiedy jakaś grupa ludzi jest dyskryminowana bądź za to, że jej członkowie byli ciemżycielami albo tworzyli kastę panującą - bądź za ich polityczne poglądy, czy nawet za podejrzane znajomości, zawsze można to usprawiedliwić w sposób racjonalny (albo pseudoracjonalny?). Bo wtedy człowiek wie, że sam sobie wybrał ten los, że mógł przecież w końcu nie należeć do tej grupy. Ale - narodowość?...

(Wewnętrzny nocny oponent natychmiast przypomniał Rojtmanowi: ale przecież pochodzenia społecznego też nikt sobie nie wybierał? A jednak było się za nie prześladowanym).

Nie, największa krzywda według Rojtmana na tym polegała, że człowiek z całej duszy chce być swoim, takim jak wszyscy, a tu właśnie go nie chcą, odpychają, powiadają mu: ty jesteś obcy. Przybłąda. Gudłaj.

Ścienny zegar w jadalni zaczął bić bez pośpiechu, z godnością, ale po czterech uderzeniach zamilkł. Rojtman oczekiwał piątego uderzenia i ucieszył się, że to dopiero czwarta. Zdąży jeszcze pospać.

Poruszył się lekko. Żona zamruczała przez sen, odwróciła się na drugi bok, ale plecami też się instynktownie przytuliła do męża.

Synek też spał cichutko w jadalni. Nigdy nie krzyknie w nocy, nie zawoła.

Trzyletni mądrała był dumą młodych rodziców. Adam Beniaminowicz opowiadał z zachwytem o jego figlach i przyzwyczajeniach nawet więźniom w Akustycznej, z typową dla ludzi szczęśliwych niedelikatnością nie zdając sobie sprawy, jak to może boleć ich, pozbawionych radości ojcostwa. (Toż był to temat bardzo poręczny - rzecz ludzka, a ponadto neutralna.) Synek trajkotał dziarsko, ale wymowę miał niepewną, we dnie - naśladował matkę (pochodziła znad Wołgi i ze szczególnym naciskiem wymawiała samogłoskę „o”), wieczorem zaś ojca, gdy ten wracał z pracy (Adam z kolei nie tylko grasejował, lecz w ogóle miał liczne wady wymowy).

Jak to w życiu bywa, skoro szczęście już się zdarzy, to nie chce znać granic. Miłość i

ożenek, później przyjsie na świat synka - to wszystko zbiegło się dla Rojtmana z końcem wojny i z przyznaniem mu nagrody stalinowskiej. Zresztą, wojna też mu nie dokuczyła: w spokojnej Baszkirii, mając zapewniony przydział żywnościowy wysokiej klasy, Rojtman i jego koledzy, dziś pracujący w Marfinie, zajęci byli konstruowaniem pierwszego systemu szyfracji telefonicznej. Dziś ten system wydaje się prymitywny, ale wtedy zostali dzięki niemu laureatami.

Z jakim zapalem pracowali wtedy! Gdzie się podział ówczesny entuzjizm twórczy, pęd do poszukiwań, chwile uniesień?

Z jasnością, która dana jest człowiekowi tylko przy czuwaniu w ciemnościach, kiedy nic z zewnątrz nie przeszkadza zajrzeć w głąb własnego jestestwa, Rojtman zrozumiał raptem - czego właściwie brak mu było w ciągu ostatnich lat. Tak, na pewno - to mu dokuczało, że wszystko robił teraz już nie własnymi rękoma.

Rojtman nie zauważył nawet, kiedy i jak przestał być twórcą i stał się tylko zwierzchnikiem innych twórców...

Jak oparzony cofnął ramię, którym żonę obejmował, poprawił sobie poduszkę i znów położył się na grzbiecie.

Tak, tak, tak! To łatwe, to nęci! - w sobotę wieczorem jadąc do domu na całe półtorej doby, myśląc już tylko o rozkoszach domowego zacisza i o planach na niedzielę - móc powiedzieć: „Walenty Martynyczu! Więc jutro pan przemyśli jeszcze sprawę usunięcia ekstralinearnych wad fonii? Panie Lwie! Przejrzy pan sobie jutro ten artykuł z «Proceedings»? Zechce pan zasadnicze myśli ująć na piśmie w tezy?” W poniedziałek rano człowiek wraca wypoczęty do pracy - a na biurku czeka już na niego, jak w bajce - napisane po rosyjsku streszczenie artykułu z «Proceedings», Priancykow zaś referuje, w jaki sposób można usunąć wady ekstralinearne, a może nawet sam już je usunął w niedzielę.

Duża wygoda!...

I więźniowie nie mają pretensji do Rojtmana, lubią go nawet. Dlatego, że zachowuje się wobec nich nie jak strażnik, tylko po prostu jak przyzwoity człowiek.

Ale radość tworzenia, błysk zjawiających się nagle rozwiązań i gorycz niespodzianych porażek - to wszystko już go opuściło!

Zrzucił kołdrę, usiadł na łóżku, objął rękoma kolana, przycisnął do nich brodę.

Czym właściwie zajmował się przez te wszystkie lata? Intrygami. Walką o pierwszeństwo w instytucie. Razem z grupą przyjaciół robił wszystko, żeby oczernić i

zepchnąć ze stolca Jakonowa - bo byli zdania, że wykorzystuje mir, jakim się cieszy, i swoją pewność siebie, aby usunąć ich w cień i samemu zdobyć nagrodę stalinowską. Wiedząc, że Jakonow ma masło na głowie z powodu swojej przeszłości, że nie przyjęto go właśnie dlatego do partii, mimo że bardzo się o to starał - „młodzi” wykorzystywali do ataku teren zebrania partyjnych: czynili przedmiotem dyskusji jego sprawozdanie, a gdy już je wygłosił - prosili, aby wyszedł z sali obrad, albo też w jego obecności („głosują tylko członkowie partii”) debatowali i proponowali własną rezolucję. I zawsze Jakonow był w takich rezolucjach przedmiotem krytyki. Rojtmankowi było go nawet chwilami żal. Ale nie widział innego wyjścia.

Jakiego złowieszczonego znaczenia nabrało nagle to wszystko! Prowadząc nagonkę przeciw Jakonowowi „młodzi” nie pomyśleli nawet, że spośród ich pięciu - czterech jest żydowskiego pochodzenia. Jakonow teraz nie omija żadnej okazji, aby przypominać z trybuny, że kosmopolityzm jest najgorszym wrogiem socjalistycznej ojczyzny.

Wczoraj, po burzy rozpętanej przez ministra, owego fatalnego dla Marfina dnia, więzień Markuszew wysunął pomysł połączenia obu systemów - klippera z woko-derem. Najprawdopodobniej to idiotyzm, ale mógł być zaprezentowany kierownictwu jako zasadnicza reforma - dlatego też Jakonow rozkazał natychmiast przenieść cały wokoder do Siódemki i przydzielił też do niej Priancykowa. Rojtmank w obecności Seliwanowskiego zaczął protestować, wdał się w spór, ale Jakonow pobłażliwie, jakby mitygując zbyt zapalczywego przyjaciela, poklepał go po ramieniu.

- Panie Adamie! Niech pan nie karze towarzyszkowi wiceministrowi myśleć, że swoje prywatne interesy stawia pan ponad interesami Departamentu Techniki Specjalnej.

Na tym właśnie polegał tragizm obecnej sytuacji: bili człowieka po mordzie - a nie wolno było płakać. Dusili w biały dzień - i jeszcze żądali, żeby ofiara biła brawo w pozycji na baczność!

Zegar wybił piątą - ale Rojtmank nie słyszał nawet połowy uderzeń.

Nie tylko spać mu się nie chciało. Ale nawet łóżko już robiło się za ciasne.

Bardzo ostrożnie, noga za nogą Adam wysliznął się z pościeli, wsunął stopy w nocne pantofle. Starając się nie robić żadnego hałasu wyminął krzesło stojące na drodze, podszedł do okna i rozchylił jedwabne firanki.

O-o, ile śniegu napadało!

Naprzeciw, po drugiej stronie dziedzińca, rozciągał się odległy, zapuszczony kąt Parku

Nieskucznego - jar o stromych zaśnieżonych zboczach, na których wznosiły się uroczyście sosny, całe w bieli. Wzdłuż ram okiennych też już narosły z zewnątrz skośne pasemka puszystego śniegu.

Ale śnieżycy już się kończyła.

Czuł kolanami gorąco bijące z kaloryferów pod oknem.

Co również mu przeszkadzało w nadążaniu za postępem w nauce, to te ciągle posiedzenia, te papierki, które zupełnie go zadręczyły. Co poniedziałek - szkolenie polityczne, co piątek - szkolenie techniczne, dwa razy na miesiąc - zebrania partyjne, dwa razy posiedzenia egzekutywy, a jeszcze co miesiąc trzeba dwa-trzy wieczory spędzić w ministerstwie, bo wzywają, raz na miesiąc specjalne zebrania w sprawie przestrzegania czujności, co miesiąc trzeba składać kolejny plan pracy naukowej, co miesiąc musi się wysyłać sprawozdania z wykonania tego planu, raz na trzy miesiące trzeba, diabli wiedzą po co, pisać charakterystyki wszystkich więźniów (roboty na cały dzień), a jeszcze co pół godziny ktoś z podwładnych przychodzi z zapotrzebowaniem do podpisu - byle kondensatorek wielkości irysa, każdy metr drutu i każda lampa radiowa muszą mieć kontrasygnatę kierownika pracowni, bo inaczej magazyn nic nie wyda.

Ach, dość tej mitręgi i tej całej walki o pierwszeństwo! - posiedzieliby lepiej człowiek nad schematami, potrzyzymałby w ręku kolbę lutowniczą, zobaczyłby w zielonkawym okienku elektronicznego oscylografu swoją wytęsknioną krzywą - i mógłby wtedy beztrąsko sobie śpiewać boogie-woogie, jak Priancykow. Ma trzydzieści jeden lat, a już uważałby to za szczęście - żeby nie czuć już więcej ciężaru epoletów, zapomnieć o powadze, wrócić do zainteresowań z chłopięcych lat - coś konstruować, fantazjować trochę.

Pomyślał o chłopięcych czasach i kaprys pamięci kazał mu - z bezlitosną jasnością nocnych dumań - przypomnieć sobie pewien epizod zapomniany dawno, od wielu lat nie dopuszczany do świadomości.

Dwunastoletni Adam z pionierską chusteczką na szyi, ze szlachetnym oburzeniem, od którego aż głos mu drżał, stał przed przybyłymi na zebranie pionierami z całej szkoły - i oskarżał, i żądał usunięcia z pionierskich szeregów, a także z sowieckiej szkoły, chłopca, który okazał się agentem wroga klasowego. Przemawiali przed nim i po nim - Mitia Sztitelman, Miszka Luksemburg i wszyscy oni demaskowali swego szkolnego kolegę, Olega Roźdiestwińskiego, zarzucając mu antysemityzm, chodzenie do cerkwi, obce klasowo pochodzenie. Raz po raz rzucali unicestwiający spojrzenie na podsądnego - drżącego

chłopca. Był to koniec lat dwudziestych, chłopcy entuzjasmowali się jeszcze polityką, gazetkami ściennymi, samorządem szkolnym, publicznymi dyskusjami. Wszystko to działo się w południowym mieście, Żydzi stanowili chyba połowę klasy. Chociaż byli przeważnie synami prawników, dentystów, a nawet drobnych kupców - wszyscy oni mieli się za proletariuszy i bronili tego przekonania z całą zaciekleścią.

Oleg - blady, chudziutki, pierwszy uczeń, unikał wszelkich rozmów o polityce i z jawną niechęcią wstąpił do zastępu pionierskiego. Chłopcy z kółka entuzjastów nabrali podejrzania, że Oleg - to obcy element. Zaczęli go śledzić, starali się na czymś przyłapać. Pewnego razu Oleg dał się złapać; powiedział mianowicie: „każdy człowiek ma prawo mówienia wszystkiego, co myśli”. - „Jak to wszystkiego? - rzucił się na niego Sztitelman. - O, Nikoła woła na mnie ‘żydowska mordą’ - to też ma być dozwolone?”

I od tego rozpoczęła się sprawa Olega! Znaleźli się kompani-donosiciele, Szurik Burikow i Szurik Worozbit, którzy widzieli, jak oskarżony wchodził z mamą do cerkwi i że przyszedł pewnego razu do szkoły z krzyżykiem na szyi. Zaczęły się zebrania, posiedzenia komitetu uczniowskiego, komitetu klasowego, apele pionierskie, masówki - i wszędzie przemawiali dwunastoletni Robespierzy, piętnując w obliczu uczniowskich mas tego współnika antysemitów i przemytnika religijnego opium, który od dwóch tygodni nie mógł jeść ze strachu, ukrywał w domu, że wyrzucono go z zastępu i że wkrótce będzie wylany ze szkoły.

Adam Rojtman nie był wodzirejem w tej sprawie, inni go wciągnęli, ale nawet teraz wstyd palił mu policzki.

Błędne koło krzywdy! Błędne koło! I nie ma z niego wyjścia, jak nie ma wyjścia z pieniackich sporów z Jakonowem.

Trzeba by naprawić świat, ale od czego zacząć? Od innych? A może od siebie?...

W głowie czuł już ten ciężar, a w piersi - tę pustkę, które pozwalają człowiekowi zasnąć. Odwrócił się i cichutko wsunął się pod kołdrę. Trzeba koniecznie zasnąć, zanim wybije szósta.

A od samego rana - skoncentrować się na fonoskopii! To jest wielki atut! W razie powodzenia ten projekt może się rozrósć aż do rozmiarów instytutu nauko...

74

Pobudka w szaraszce wypadła o siódmej.

Ale w poniedziałek jeszcze grubo przed pobudką do izby, w której umieszczono

robotników, wszedł strażnik, chwycił stróża za ramię i potrząsnął. Spirydon chrapnął ciężko, zbudził się i przy świetle niebieskiej żarówki przyjrzał się strażnikowi.

- Ubieraj się, Jegorow. Lejtnant wzywa - powiedział strażnik cicho.

Ale Jegorow leżał z otwartymi oczyma i nawet nie drgnął.

- Słyszysz, powiadam ci, że lejtnant woła.

- A co mu jest? Usnął się? - leżąc dalej bez ruchu zapytał Spirydon.

- Wstawaj, wstawaj - tarł go strażnik. - Nie wiem, co tam takiego.

- Eee-ee-eeech! - Spirydon przeciągnął się szeroko, założył porośniętą szczecinę ręce za kark i przeciągle ziewnął. - I kiedyż nareszcie taki dzionek przyjdzie, że nie wstanie już człowiek z ławy!... Która będzie godzina?

- A niedługo już szósta.

- Jeszcze szóstej nie ma?! No idź już, dobra.

I leżał dalej.

Strażnik zerknął jeszcze na niego boczkiem i wyszedł.

Niebieska lampka oświetlała poduszkę Spirydona aż do skośnej krawędzi cienia górnej koi. Tak, w półcieniu i w półświecie Spirydon leżał z rękoma pod głową i wcale się nie ruszał.

Żał mu było snu, którego nie obejrzał do końca.

Jechał na wozie wyładowanym chrustem (a pod warstwą chrustu - schowane przed okiem leśnika - leżały okrągłaki), jechał tak jakby ze swojego lasu do swojej wsi, ale nieznaną drogą. Droga była nieznaną, ale wszystko na niej Spirydon obojgiem oczu (były tak jakby zdrowe!) widział we śnie bardzo wyraźnie: i korzenie wzdymające się w poprzek drogi, i drzewo niegdyś piorunem rozszczepione, i sosnową drągowinkę, i głęboki piach, w którym grzęzły koła. Czuł jeszcze Spirydon we śnie wszystkie różnorakie zapachy przedjesiennego lasu i oddychał nimi głęboko. Dlatego tak oddychał, bo dobrze pamiętał we śnie, że jest zekiem, że dostał dziesięć lat i piątkę na przytarcie rogów, że uciekł widać z szaraszki, że już go na pewno szukają i że póki psów jeszcze za nim nie posłano - trzeba zdążyć zawieźć żonie i dzieciom trochę drzewa na opał.

Ale najwięcej radości w tym śnie miał stąd, że koń był nie byle jaki, tylko najulubieriszy ze wszystkich, jakie Spirydon miał w życiu - kobyłka Grzywna, różowej maści - pierwszy jego koń, kupiony gdy miał trzy lata, do jego własnego gospodarstwa, zaraz po wojnie domowej. Byłaby cała siwa, gdyby w tej siwiźnie nie rozsiała się

równomiernie gniada szerstka mieniąca się czerwienią; dlatego mówiono, że jest różowej maści. Dzięki temu koniowi stanął Spirydon na nogi, tę też kobyłkę zakładał do dyszla, kiedy potajemnie wioził do ślubu swoją narzeczoną, Marfę Ustinownę. I jadąc teraz Spirydon czuł radosne zdumienie, że Grzywna żyje aż do dzisiaj, że wciąż tak samo jest młoda, tak samo bez zatrzymania wciąga wóz pod górkę i tak samo gorliwie wyszarpuje go z piachu. Całą mądrość Grzywna miała w uszach - wysokich, siwych, wrażliwych uszach. Ich drobnymi ruchami, nie obracając łba, mówiła gospodarzowi, że rozumie, czego mu od niej teraz trzeba, i że da sobie radę. Pokazać Grzywnie bat, nawet z daleka i ukradkiem, to by znaczyło ciężko ją obrazić. Powożąc Grzywną Spirydon nigdy ze sobą nie brał bata. We śnie chciał już prawie zleźć z kozła i pocałować Grzywnę w chrapy, taki był rad, że Grzywna jeszcze młoda i że chyba teraz doczeka się końca jego kary, ale nagle na zjeździe do brzegu rzeczki Spirydon zauważył, że wóz ma załadowany nieporządnie, że przykrycie z chrustu mu się roztrzęsło i że wszystko do reszty może mu się rozwalić, właśnie jak będzie jechał przez bród.

Zeskoczył z wozu, jakby go kto zepchnął - a to właśnie strażnik szturchnął go w ramię.

Spirydon leżał teraz i wspominał nie tylko swoją Grzywnę, ale dziesiątki koni, w które zdarzyło mu się orać i jeździć w ciągu całego życia (każdy z nich wbił mu się w pamięć jak żywy człowiek), i jeszcze tysiące innych koni, którym się tylko przyglądał z boku - i ciężko mu było, że tak niepotrzebnie, bez żadnego rozumu wytępiono u nas najlepszych chłopskich pomocników - bo jedne zdechły bez owsa i siana, inne zatłuczono przy robocie, jeszcze inne sprzedano Tatarom na mięso. To, co robiono z jakąś myślą - Spirydon mógł zawsze zrozumieć. Ale nie mógł zrozumieć, dlaczego pomarnowano konie. Bajali wtedy, że zamiast konia będzie pracować traktor. Tymczasem wszystko spadło na babskie barki.

Ale żeby to tylko konie! A czy to aby nie sam Spirydon wyrąbywał sady owocowe na futorach, żeby ludziom nie żal tam było niczego, żeby łatwiej dali się zebrać do kupy?...

- Jegorow! - głośno już krzyknął strażnik przez drzwi, jeszcze dwóch więźniów wrywając ze snu.

- Toć idę, idę, kurtka na wacie! - natychmiast odpowiedział mu Spirydon opuszczając bose nogi na podłogę. I powłókł się w stronę kaloryfera, na którym wisały suche już onuce.

Drzwi zamknęły się za strażnikiem. Sąsiad kował zapytał:

- Dokąd to?

- Państwo wołają. Żebym chleba darmo nie żarł - odpowiedział rozeźlony stróż.

U siebie w domu Spirydon nie potrafił się wylegiwać, w więzieniu zaś nie lubił zrywać się o ćmaku. Wstawać przed brzaskiem i pod batem - dla więźnia nie może być nic gorszego.

Ale w Siewurallagu pobudka jest o piątej.

Tak, że tu trzeba było kłaść uszy po sobie.

Okręciwszy żołnierskimi owijaczami kraj wатовanych spodni i górną część cholewki żołnierskich buciorów - Spirydon, już obuty i kompletnie ubrany, włożył jeszcze w granatowy kombinezon, na wierzch nałożył czarny kaftan, nasadził na łeb czapkę z nausznikami, przepasał się przetartym brezentowym pasem i wyszedł. Został wypuszczony za okute drzwi więzienia i dalej nikt mu już nie towarzyszył. Spirydon ruszył podziemnym korytarzem szurając żelaznymi podkówkami po cemencie, wreszcie wyszedł na podwórzec po schodni.

Nic nie widząc w śnieżnej pomroce, Spirydon wymacał nogami, że śniegu napadało dokładnie na półtora łokcia. To znaczy, że padał całą noc i to gęsto. Brodząc w śniegu Spirydon poszedł tam, gdzie światło mżyło przez uchylone drzwi sztabu.

Na próg więziennego sztabu wyszedł właśnie dyżurny - lejtnant z plugawymi wąsikami. Opuściwszy niedawno pokój felczerki, skonstatował fatalny nieporządek: wszędzie pełno śniegu. Dlatego kazał zawołać stróża. Założywszy teraz obie dłonie za pas, lejtnant zawołał:

- Dawaj, Jegorow, prędzej! Od głównego wejścia w stronę wartowni, a potem oczyść między sztabem a kuchnią. No i tu... na spacerniku... Dawaj!

- Jak wszystkim dawać - nic dla męża nie zostanie - mruknął Spirydon skracając tam, gdzie była łopata, i zapadając się w świeżym śniegu po kolana.

- Co? Coś ty powiedział? - spytał go lejtnant groźnym tonem.

Spirydon obejrzał się:

- Ja mówię - jawohl, szefie, jawohl! - (Niemcy też tak czasem „gyr-gyr”, a Spirydon im tylko - „jawohl”). - Proszę tam powiedzieć w kuchni, żeby mi trochę kartofli podrzucili.

- Dobra, sprzątaj już.

Spirydon zachowywał się zawsze rozsądnie, zwierzchności nie drażnił, ale dzisiaj był w osobliwie cierpkim nastroju - i dlatego, że w poniedziałek od samego rana, nawet jeszcze nie ocknąwszy się dobrze, znów musiał harować, i z powodu tego listu z domu, a Spirydon przeczuwał, że są w nim złe wieści. I gorycz całego jego pięćdziesięcioletniego dreptania po ziemi zebrała się teraz razem i paliła w piersi jak zgaga.

Śnieg przestał już sypać. Lipy stały bez drgnienia. Bielały w ciemności. Ale nie był to już wczorajszy szron, który stopniał w południe, tylko śnieg, który spadł w nocy. Ale ciemne niebo i cicha pogoda kazały Spiridonowi przypuszczać, że ten śnieg długo się nie utrzyma.

Spiridon był ponury, kiedy się zabierał do pracy, ale jak się rozgrzał, jak odwalił pierwsze pół setki łopat, poszło mu jakoś sporzej i nawet jakby chęć do pracy się znalazła. I Spiridon, i jego żona już tacy byli: gdy im ciężko było na sercu, ulgi szukali w pracy. Zaraz było lżej.

Spiridon zaczął oczyszczać nie drogę dla panów naczelników, tę od wartowni, jak mu kazano, tylko jak mu własny rozum podpowiadał: najprzód ścieżynkę do kuchni, a potem kolistą drogę na szerokość trzech drewnianych łopat - dla swoich, dla zeków, na spacerniku.

Wciąż myślał o córce. I on, i żona już mieli życie za sobą. Synowie, chociaż za drutami, ale to mężczyźni. Jak się młody nauczy zaciskać zęby - to mu się kiedyś jeszcze przyda. Ale córka?...

Chociaż Spiridon nic nie widział jednym okiem, a drugim ledwie na trzydzieści procent, ale rozejrzał się po całym obszarze podwórca, jakby kto cyrklem zakreślił - jeszcze w półmroku, akurat o siódmej zobaczył na schodni pierwszych amatorów przechadzki. Byli to Potapow i Chorobrow, którzy wstawali wcześniej od innych i zdążyli umyć się jeszcze przed pobudką.

Powietrze wydawało się posilne, warte było każdej ceny.

- Daniłycz, co to ma być - zapytał Chorobrow podnosząc kołnierz czarnego wyświechtanego paltota, w którym niegdyś został aresztowany - w ogóle spać się nie kładłeś?

- A bo to pozwolą spać, gady? - odparł Spiridon. Ale nie miał już w sobie porannej złości. W ciągu tej godzinnej milczącej pracy wszystkie ponure myśli o tych, co go tu trzymali, gdzieś się rozplynęły. Nie mówiąc tego wyraźnie, słowami - Spiridon w głębi serca już sobie przełożył, że jeżeli nawet córka sama sobie jakiej biedy napytała, to jej też teraz niełatwo, i odpowiedzieć trzeba będzie łagodnie, bez złorzeczeń.

Ale nawet ta najważniejsza myśl o córce, która spłynęła na niego z nieruchomych przedranych lip, też już zaczęła być wypierana przez drobne, codzienne myśli - o dwóch deskach, które gdzieś śnieg zasypał, i o tym, że miotłę trzeba by teraz osadzić na grubszym stylisku. Tymczasem przyszła już pora, żeby oczyścić drogę od wartowni - dla samochodów i dla frajerów. Spiridon wziął łopatę na ramię i zniknął za węglem szaraszki.

Sołogdin, stąpając lekko i zręcznie, w waciaku narzuconym tylko na nie bojące się mrozu ramiona, wyszedł, żeby popracować przy drwach. (Kiedy tak sobie szedł, to myślał sam o sobie, ale jakby z boczku spoglądając: „hrabia Sołogdin kroczy”). Po wczorajszej bezsensownej szamotaninie z Rubinem, po wysłuchaniu jego denerwujących zarzutów, pierwszy raz od dwóch lat spał w szaraszce źle - i teraz rankiem szukał powietrza, samotności i przestrzeni, bez której źle się myśli. Napiłował sporo klocków, teraz tylko rąbać.

Potapow w żołnierskim płaszczu, zafasowanym jeszcze przy szturmie Berlina, kiedy posadzili go na czołgu razem z innymi desantowcami (zanim poszedł do niewoli, był oficerem, ale byłym jeńcom żadnych rang nie uznawano) - powoli spacerował z Chorobrowem, przypadając na poranioną niegdyś nogę.

Chorobrow dopiero co zdołał zwalczyć senność i umyć się, ale już jego myśli były pełne właściwej mu, stale czujnej uwagi. Słowa, jakie z siebie wyrzucał, zdawały się opisywać czczą pętlę w ciemnym powietrzu, wracały jak bumerang i godziły w piersi samego Chorobrowa:

- Czyśmy to dawno temu czytali, że fordowski konwejer przekształca robotnika w maszynę i że jest to najbardziej nieludzki symbol kapitalistycznego wyzysku? Ale minęło piętnaście lat i ten sam konwejer pod nazwą produkcji taśmowej jest u nas sławiony jako najdoskonalsza i najnowsza forma wytwarzania! W czterdziestym piątym roku Czang Kaj-szek był naszym sojusznikiem. W czterdziestym dziewiątym udało się go obalić - a więc został gadem i mówiło się klika. Teraz znowu próbują obalić Nehru i piszą, że jego reżim w Indiach podparty jest policyjnymi pałkami. Jeśli uda go się utracić, to będą pisać: klika Nehru, która uciekła na wyspę Cejlon. Jeżeli się nie uda, to pisać o nim będą - nasz szlachetny przyjaciel Nehru. Bolszewicy tak bezwstydnie przystosowują się do chwilowego stanu rzeczy, że przydałoby się teraz jeszcze raz przeprowadzić powszechny chrzest Rusi, a już by oni wyszukali w dziełach Marksa jakąś odpowiednią wskazówkę, powiązalıby też ten chrzest z internacjonalizmem i ateiz-mem.

Potapow bywał rankami zawsze w melancholijnym nastroju. Ranek był jedyną porą dnia, kiedy mógł pomyśleć o zmarnowanym życiu, o synu rosnącym bez ojcowskiej opieki, o żonie usychającej w samotności. Później kołowrotek pracy wciągał go i nie było już czasu na żadne dumania.

W słowach Chorobrowa było, jak mu się zdawało, zbyt wiele rozdrażnienia i

skłonności do obsadzania Zachodu w roli sędziego naszych spraw. Potapow zaś uważał, że spór narodu z władzą powinien być rozstrzygnięty (jakim sposobem, tego zresztą nie wiedział) jako spór między swoimi. Dlatego niezdarnie wyrzucając do przodu okaleczoną stopę kroczył w milczeniu. I starał się tylko oddychać jak najgłębiej i jak najbardziej miarowo.

Robili krąg za kręgiem.

Spacerujących było już więcej. Przechadzali się samotnie albo parami czy we trzech. Z różnych powodów woleli treści swoich rozmów nie rozgłaszać i dlatego nie starali się deptać sobie po piętach czy wyprzedzać się bez potrzeby.

Dopiero świtało. Zaciągnięte śniegowymi chmurami niebo nie kwapiło się z odbijaniem światła brzasku. Latarnie rzucały jeszcze żółte kręgi na śnieg.

W powietrzu stała ta świeżość, którą daje tylko dopiero co spadły śnieg. Pod nogami nie skrzypiał, tylko zbijał się miękko.

Wysoki, tyczkowaty Kondraszow w pilśniowym kapeluszu przechadzał się w towarzystwie malutkiego, szczupłego Gierasymowicza (ten nosił cyklistówkę), swego sąsiada z celi. Gierasymowicz nie sięgał Kondraszowowi nawet do ramienia.

Gierasymowicz, zupełnie zgębiony wczorajszym widzeniem, aż do końca niedzielnego dnia przeleżał w łóżku, jakby był chory. Pożegnalny krzyk żony wstrząsnął nim.

Znaczyło to, że jego odsiadka nie mogła przebiegać dalej tak, jak biegła dotąd. Natasza nie była w stanie wytrzymać trzech ostatnich lat i trzeba było koniecznie coś przedsięwziąć. „Ale przecież ty już masz coś w zanadrzu!” - powiedziała mu z wymówką, wiedząc, jaki jest zdolny.

On zaś istotnie coś chował - i nie byle co, tylko rzecz zbyt cenną, aby oddawać ją w takie ręce, jak psu pod ogon.

Ach, gdyby chodziło o jakąś drobnostkę, o bagatelkę, wystarczającą do przedterminowego zwolnienia, ale tak się nie zdarza. Ani wiedza, ani życie samo nie darują nam niczego bezpłatnie.

Aż do świtu Gierasymowicz nie mógł znaleźć spokoju. Dzisiejszego ranka zmusił się do wyjścia na dziedziniec, zziębnięty, opatulony i chciał zaraz wracać do więzienia, ale spotkawszy Kondraszowa zgodził się zrobić z nim kółeczko - i wciągnął się w rozmowę, której starczyło na cały spacer.

- Jak to?! Pan nic nie wie o Pawle Dmitriewiczu Korinie? - dziwił się Kondraszow, tak jakby każdy uczeń musiał to wiedzieć. - Ooo! Podobno namalował - tylko nikt tego nie oglądał - niezwykły obraz „Ruś niktąca”! Jedni mówią, że ma sześć metrów długości, inni - że dwanaście. Tępią go, nie robią mu wystaw, ten obraz maluje w sekrecie i może nawet po jego śmierci to dzieło opieczują.

- A co tam namalował?

- Powtarzam, co mi mówiono, nie mogę ręczyć. Podobno - zwykły rosyjski gościniec wśród pagórków i przylasków. Gościńcem ciągnie gromada ludzka, wszystkie twarze pełne zadumy. Rysunek każdej twarzy - bardzo wyrazisty. Twarze, jakie można jeszcze zobaczyć na starych rodzinnych fotografiach, już ich nie ma w naszym otoczeniu. Są to twarze pełne światła, stare rosyjskie oblicza chłopów, oraczy, wyrobników - wypukłe czoła, szerokie brody, cera świeża do ósmego krzyżyka, takie też spojrzenie, takie myśli. Albo twarzyczki dziewcząt, których uszu niewidzialne złoto broni przed wyzwiskiem, dziewcząt, których nie można wyobrazić sobie w bydlęcej przepychance na tanecznym parkiecie. I stateczne staruchy. Srebrnowłosi kapłani w ornatach; kroczą razem z innymi. Zakonnicy. Deputowani Dumy Państwowej. Żelaźni studenci w tużurkach. Gimnazjaliści szukający wiecznej prawdy. Dumne z urody swojej damy w sukniach z początku stulecia. Ktoś bardzo podobny do Korolenki. I znów chłopci, chłopci, chłopci... Najstraszniejsze, że ci ludzie wcale nie trzymają się razem. Rozpadła się więź międzyludzka! I nie rozmawiają ze sobą. Nie patrzą na siebie wzajem, może wcale się nie widzą. Nie dźwigają żadnych tobołów, bagaży. Oni kroczą; i nie tym jakimś konkretnym gościńcem, tylko tak, w ogóle. Oni odchodzą... Widzimy ich ostatni raz...

Gierasymowicz zatrzymał się raptownie: - Przepraszam, chcę zostać sam!

Zrobił w tył zwrot i ruszył w odwrotnym kierunku; malarz znieruchomiał z podniesioną ręką.

Gierasymowicz czuł w sobie żar. Nie tylko zobaczył ten obraz tak wyraźnie, jakby go sam namalował, ale pomyślał sobie, że... Zaczynało już szarzeć.

Strażnik chodził po dziedzińcu i krzyczał, że spacer skończony. W podziemnym korytarzu powracający rześcy więźniowie niechętnie szturchali przepychającego się ku wyjściu, chorobliwie bladego Rubina z brodą na kształt chmury. Przespał dzisiaj nie tylko piłowanie (nie sposób było tam iść po kłótni z Sołogdinem), ale również poranny spacer. Po krótkim, wymuszonym śnie czuł w całym ciele ciężar i otępienie, jakby nabite było wata.

Czuł nadto niedobór tlenu, jakiego nie znają ci, którzy mogą oddychać, kiedy chcą. Próbował teraz wyrwać się na dwór po jeden choćby haust świeżego powietrza i przygarść śniegu do nacierania.

Ale strażnik stojący u szczytu schodni już go nie puścił. Rubin zatrzymał się tuż pod schodnią, w zalanej cementem jamie, do której jednak nawiało trochę śniegu i dokąd dochodziło świeże powietrze. Tutaj też trzykrotnie zakręcił wyprostowanymi ramionami, oddychając przy tym głęboko, Zresztą więźniowie są wiecznie niezadowoleni, wszystko jedno, czy im dobrze, czy źle...

następnie nabrał śniegu z dna jamy, obtarł nim twarz i powlókł się z powrotem do więzienia. Szedł za nim jeszcze zgłodniały, rozgrzany Spirydon, który oczyścił już drogę dla samochodów aż do samej wartowni.

W sztabie więzienia dwaj lejtnanci, przekazujący dyżur, ten z kwadratowymi wąsikami i obejmujący służbę lejtnant Żwakun, otworzyli kopertę, aby zapoznać się z przysłanymi im przez majora Myszyzna zleceniami.

Lejtnant Żwakun - ordynarny, szerokomordy, bardzo zamknięty chłop, służył podczas wojny jako sierżant sztabowy, pełniąc funkcję kata dywizji (czyli „wykonawcy wyroków sądu wojskowego”) i tam dosłużył się awansu. Bardzo cenił sobie swoją służbę w specwizieniu nr 1 i nie bardzo dowierzając swoim umiejętnościom, przeczytał dwukrotnie rozporządzenie Myszyzna, żeby tylko czego nie pomylić.

Za dziesięć dziewiąta zaczęli obaj obchód cel sprawdzając listę obecności. Wszędzie też obwieścili to, co im kazano:

„Wszyscy więźniowie w ciągu trzech dni mają dać majorowi Myszynowi spis swoich krewnych w linii prostej według następującego schematu: kolejny numer, nazwisko, imię oraz imię ojca krewnego, stopień pokrewieństwa, miejsce pracy i adres domowy.

Za krewnych w linii prostej uważani są: matka, ojciec, żona ślubna, syn i córka z legalnego związku. Wszyscy pozostali - bracia, siostry, ciotki, kuzynowie, wnuczeta i babki uważani są za krewnych w linii nieprostej.

Od pierwszego stycznia na korespondencję i widzenia będzie zezwalać się jedynie krewnym w linii prostej wymienionym w spisie, który więzień przedstawi.

Ponadto, od pierwszego stycznia rozmiary comiesięcznego listu zostają unormowane i nie mogą przewyższać podwójnej stronicy z zeszytu”.

Była to tak zła wiadomość, takie to było bezwzględne, że nie można było tego od razu

objąć myślą. Dlatego nikt nie rozpaczał ani nie oburzał się głośno. Jedyne gniewne i drwiące okrzyki ścigały Żwakuna:

- Do siego roczku!
- Wszystkiego najlepszego!
- Ku-ku!
- Piszcie donosy na rodzinę!
- A szpicle sami znaleźć nie mogą?
- Dlaczego wielkość liter jeszcze nie unormowana? Jakże duże mają być litery?

Żwakun licząc więźniów starał się jednocześnie zapamiętać, co i kto wykrzykiwał, żeby później donieść majorowi.

75

Szli do pracy w przygnębieniu.

Nawet ci z nich, którzy dawno już siedzieli - też byli oszo - łomieni okrucieństwem nowego przepisu. Okrucieństwo miało tu dwie strony. Jedną na tym polegała, że zachować cienką, życiodajną nitkę kontaktu z najbliższymi będzie można teraz tylko za cenę policyjnego donosu na nich. A przecież wielu z nich na wolności potrafiło ukryć aż do dziś, że mają kogoś bliskiego za kratami - i tylko to zapewniało tamtym pracę i mieszkanie. Po drugie - okrucieństwo polegało na tym, że usuwano za nawias nie zarejestrowane urzędowo żony i dzieci, a także braci, siostry, tym bardziej kuzynów. Ale po wojnie z jej bombardowaniami, ewakuacją, głodem - niektórym zekom zostali tylko tacy krewni. A ponieważ do aresztowania nikomu nie pozwalają się przygotować, nikt się przed nim nie spowiada, nie przystępuje do komunii, nie rozlicza się z życia - więc też wielu zostawiło na wolności wierne swoje przyjaciółki, zostawiło je bez czarnego stempla urzędu stanu cywilnego w paszporcie. I oto takie przyjaciółki uznano teraz za obce osoby...

Wewnątrz okalającej kraj potężnej Żelaznej Kurtyny opuszczono wokół Marfina jeszcze jedną - ciasną, głuchą, stalową.

Nawet najbardziej zaprzysiężeni entuzjaści pracy opuścili teraz ręce. Po dzwonku snuli się jeszcze długo, zbierali się grupami w korytarzach, palili, rozmawiali. Gdy zasiedli zaś przy swoich biurkach i warsztatach, znów zabierali się do palenia, znów prowadzili rozmowy, a wszystkich najbardziej absorbowowało takie pytanie: czy to możliwe, że w centralnej kartotece MBP aż do tej pory nie są skompletowane i usystematyzowane informacje o wszystkich krewnych zeka. Nowicjusze i naiwniacy uważali, że безпеka jest

wszechmocna, wszytkowiedząca i że wcale jej nie potrzeba tych spisów i donosów. Ale starzy, kuci na cztery nogi więźniowie poważnie kiwali głowami: tłumaczyli, że resort bezpieczeństwa państwowego jest takim samym bezmyślnym i niezdarnym organizmem jak cała nasza machina państwowa; że kartoteka krewnych wcale nie jest uporządkowana; że za obitymi czarną skórą drzwiami często nikomu nie chce się bawić w „łapanie pcheł” (premie i tak dostają) i zajmować wyłuskiwaniem danych z niezliczonych kwestionariuszy; że kancelarie więzienne nie robią na czas zestawień z ksiąg widzeń i paczek; że dzięki temu spis krewnych, którego żądają Klimentiew i Myszyn, jest najbardziej skutecznym ze śmiertelnych ciosów, jakie więzień może zadać swoim najbliższym.

Taki był przedmiot tych rozmów - a pracować nikomu się nie chciało.

Ale tego poranka rozpoczynał się ostatni tydzień roku, w trakcie którego - było to pragnieniem więziennej zwierzchności - trzeba było zdobyć się na heroiczny wysiłek, aby wykonać roczny plan 1949 roku, jak również plan z grudnia - a także rozpracować i zatwierdzić roczny plan na 1950 rok, dalej - plan pierwszego kwartału, podobnie jak plan na miesiąc styczeń i wreszcie plan na pierwszą dekadę stycznia. Wszystko, co było tej pracy częścią papierową - miała wykonać zwierzchność sama. Wszystko, co było robotą - mieli wykonać więźniowie. Dlatego takie dzisiaj było ważne, żeby więźniowie kipieli entuzjazmem.

Kierownictwo instytutu nie miało żadnego pojęcia o katastrofalnym porannym oświadczeniu kierownictwa więzienia, działającego w zgodzie z własnym planem rocznym.

Nikt nie mógłby oskarżyć Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego o trzymanie się zasad Ewangelii! A przecież miało ono pewną cechę ewangeliczną: nie wiedziała prawica, co czyni lewica.

Na twarzy majora Rojtmana po goleniu nie widać już było śladów nocnej rozterki. Zwołał on naradę produkcyjną pracowni akustycznej z udziałem wszystkich zeków i wszystkich wolnych pracowników właśnie po to, aby poinformować ich o nowych planach. Rojtman miał murzyńskie usta i podłużną, rozumną twarz. Jego chuda pierś w zbyt dużej bluzie przekreślona była na ukos paskiem koalicyjnym, który wydawał się szczególnie niepotrzebny, nie na miejscu. Major chciał sam nabrać otuchy i dodać jej podwładnym, ale miazmaty rozkładu przeniknęły już pod sklepienie pracowni: w samym jej środku ziała pustka, tam, gdzie stał niedawno wokoder; nie było już Priancykowa, perły w koronie akustyki; nie było Rubina, który zamknął się w towarzystwie Smołosidowa na trzecim

piętrze; sam Rojzman zresztą chciał jak najprędzej zakończyć zebranie i też tam iść.

Z frajerów brak było Simoczki, która znów wzięła za kogoś zastępstwo i miała przyjść dopiero po obiedzie. Dobrze, że chociaż jej nie ma! chociaż to jedno sprawiało ulgę Nierzynowi! Jak mógłby porozumiewać się z nią teraz znakami i karteczkami?

Podczas zebrania Nierzyn siedział wpierając plecy w sprężyste, giętkie oparcie swojego krzesła i trzymając nogi na dolnej poprzeczce cudzego biurka. Przeważnie wyglądał przez okno.

Za oknami zaczął wiać zachodni wiatr, bardzo chyba wilgotny. Zachmurzone niebo nabrało barwy ołowiu, śnieg zaczął mięknąć i zapadać się. Nadciągała jeszcze jedna bezsensowna, zgniła odwilż.

Nierzyn siedział niewyspany, oklapnięty. Bruzdy na jego twarzy były w tym szarym świetle ostrzejsze. Opanował go znany wielu więźniom nastrój ponie- i działkowego ranka, kiedy człowiekowi się wydaje, że nie ma już wcale sił, aby ruszać się i żyć.

Co to znaczy jedno widzenie na rok! Miał to widzenie dopiero wczoraj. Wydawało się, że to, co najważniejsze, najniezbędniejsze zdoła powiedzieć tak, aby na długo starczyło! I oto już dziś... ?

Kiedy jej znowu o tym mógł powiedzieć? Napisać? Ale jak? Czy wolno mi ujawniać twoje miejsce pracy?... Po tym, co było wczoraj, i tak jest jasne, że nie można.

Czy tak to jej wyjaśnić: ponieważ nie mogę im podać twoich danych, więc korespondencję musimy przerwać. Ależ adres na kopercie sam już będzie donosem! W ogóle nic nie pisać? Ale co ona sobie pomyśli? Dopiero wczoraj uśmiechałem się do niej, a od dziś zamilknę na wieki?

Poczuł nagle, jak imadło - ale nie żadne poetycko-metaforyczne, tylko olbrzymie, ślusarskie, z ząbkowanymi szczękami, z obustronnym wgłębieniem na ludzką szyję - ścisła mu coraz bardziej pierś i już odbiera dech.

Nie można było znaleźć wyjścia! Każde było złe.

Uprzejmy, krótkowzroczny Rojzman miękko patrzył przez swoje anastygmacyjne szkła i tonem wcale nie rozkazującym, tylko znużonym i przechodzącym czasem w błagalny - mówił o planach, o planach, o planach.

Był to jednak siew na kamieniu.

W ciasnocie, wśród stłoczonych krzeseł i biurek, w zaduchu i w bezruchu, wciśnięty jak w ślusarskim imadle, Nierzyn siedział z wyrazem przygnębienia na twarzy; kąty warg

skrzywiły mu się boleściwie. Półprzymkniętymi oczyma spoglądał obojętnie na ciemny parkan, na wieżyczkę z tkwiącym na niej strażnikiem, a sterczała akurat naprzeciw jego okna.

Ale ta jego mina, obojętna i ponura, skrywała kipiący w nim gniew.

Przezną lata i z wszystkich tych ludzi, którzy słyszeli, tak jak on, odczytane tego ranka obwieszczenie, z tych wszystkich ludzi - teraz przygnębionych, zrozpaczonych albo rozwścieczonych - jedni pójdą do piachu, inni dadzą się ułagodzić albo zmiękną, jeszcze inni o wszystkim zapomną, zaprą się, z ulgą zadepczą ślady swojej więziennej przeszłości, a jeszcze inni wykręca kota ogonem i zaczną nawet głosić, że to wszystko było przejawem nie żadnego okrucieństwa, tylko rozsądku, i może nawet nikt z nich nie zechce przypomnieć dzisiejszym oprawcom, co wyczyniali oni z ludzkimi sercami!

Chociaż góry są wysokie, ale obejść można bokiem. Ciężkie życie miał chłopczyna, ale umiał zapominać.

Cóż to za niezwykła cecha ludzka - ta zdolność zapominania! Zapomnieli, co sobie przyrzekli w Siedemnastym. Zapomnieli, co naobiecowali w Dwudziestym Ósmym. Co roku schodzić coraz niżej, ze stopnia na stopień, zadowalać się coraz mniejszą częścią godności, wolności, odzienia, strawy - a od tego też coraz krótsza staje się - pamięć i coraz bardziej rośnie chęć, żeby ukryć się w jakiejś jamce, w rozpadlinie, w szczelinie, byleby jakoś tam przetrwać.

Ale tym bardziej rosło w Nierżynie poczucie, że jest jego obowiązkiem, może nawet powołaniem, zrobić to wszystko za nich. Czuł, że staje się zdolnym do upartego trzymania się tej drogi, myślał, że uda mu się nie zapomnieć tego i nie ostygnąć nigdy.

I za wszystko, za wszystko, za wszystko, za tortury podczas śledztwa, za zdychających w obozie *dochodiagów*, i za dzisiejsze poranne obwieszczenie - cztery ćwieki ku ich pamięci! Cztery ćwieki wbite w dłonie i w golenie za ich kłamstwa - i niech tak wiszą i cuchną, póki Słońce nie zgaśnie, póki życie nie zastygnie na naszej planecie.

I jeżeli nikt lepszy się nie znajdzie - to te cztery ćwieki Nierżyn sam wbije.

O nie, w tym żelaznym imadle daleko mu do sceptycznego uśmiechu Pirrona.

Nierżyn trochę słuchał, ale też puszczał mimo uszu to, co mówił Rojtman. Dopiero kiedy ten zaczął powtarzać słówka takie, jak „soc-zobowiązanie”, „soc-współzawodnictwo”, Gleb aż wzdrygnął się ze wstrętu. Z planami jakoś już się pogodził. Sam dosyć zręcznie układał plany. Starał się, żeby dziesięć solidnych punktów planu rocznego nie groziło

nagromadzeniem zbyt ciężkich prac: żeby prace te albo już były częściowo odwalone, albo nie wymagały szczególnego wysiłku, albo sprowadzały się do pobożnych życzeń. Ale za każdym razem - gdy taki świetnie wystrugany i wypolerowany na glanc plan posyłany był zwierzchnikom do zatwierdzenia, po czym wracał już zatwierdzony i uważany był za szczytowy wyraz możliwości - natychmiast, na przekór temu uznaniu i przekonaniu, że możliwości są wyczerpane, jakby po to, żeby zadrwić z mentalności więźnia politycznego, miesiąc w miesiąc kazano Nierzynowi wymyślać dodatkowo jakieś socjalistyczne zobowiązania, mające na celu przekroczenie wymyślonego przezeń planu.

Po Rojtmanie przemawiał jakiś frajer, po nim znowu jakiś zek. I wtedy Adam Beniaminowicz zapytał:

- A co teraz powie nasz Gleb Wikientiewicz?

Cztery ćwieki!! - oto co mógł powiedzieć Nierzyn.

Ale nawet nie drgnął. Z ciemnego łona jego mózgu nie wyszły na świat jego cztery żelazne ćwieki. Przeciw tym bezlitosnym zwierzętom trzeba użyć ich broni, zwierzęcego sprytu! Jakby tylko czekał na podobne pytanie, Nierzyn ochoczo wstał, zdradzając wyrazem twarzy szczere zainteresowanie problemem:

- Grupa zajmująca się kwestią artykulacji wykonała plan 1949 roku przedterminowo i zgodnie ze wszystkimi wskaźnikami. Jestem aktualnie zaabsorbowany rozpracowaniem matematycznych aspektów podstaw artykulacji całości frazeologicznych w świetle teorii prawdopodobieństwa; pracę tę doprowadzić mógłbym planowo do końca w marcu, co pozwoli w sposób naukowo uzasadniony przystąpić do prac artykulacyjnych na materiale pełnego zdania. Ponadto w pierwszym semestrze, nawet w wypadku nieobecności Lwa Grigoricza, za pomocą aparatury przystąpię do obiektywnej, zaś za pomocą metody opisowej - do subiektywnej klasyfikacji ludzkich głosów.

- Tak, tak, tak, głosów! To bardzo ważne! - wtrącił się Rojtman przypomniawszy sobie o swojej fonoskopii.

Surowa bladość twarzy Nierzyna pod rozwichrzoną czapą jego włosów była żywym świadectwem męczeństwa w służbie nauki, nauki artykulacji.

- A ponadto należy wzmóc ruch współzawodnictwa, to na pewno nam pomoże - dodał z przekonaniem. - Dodatkowe socjalistyczne zobowiązania także postaramy się sformułować jeszcze przed Nowym Rokiem. Uważam, że naszym obowiązkiem jest w nowym roku pracować jeszcze więcej i jeszcze lepiej niż w tym, który właśnie mija. - (A w tym roku

udało mu się nie zrobić niczego.) Przemawiało jeszcze dwóch innych zeków. I chociaż byłoby najprostszą rzeczą, gdyby szczerze powiedzieli Rojtmmanowi i wszystkim zebranym, że nie mogą myśleć nawet o planach i że ręka im nie lgnie do żadnej roboty, bo dzisiaj odebrano im ostatnią resztkę więzi rodzinnej - przecież nie tego spodziewało się po nich kierownictwo. Kierownictwo oczekiwało jakościowego skoku w robocie. I nawet gdyby ktoś bąknął coś podobnego - Rojtmman zamrugałby tylko nerwowo i zmieszał na chwilę, ale zebranie potoczyłoby się dalej tą samą utartą drogą.

Po naradzie Rojtmman, przeskakując stopnie zwawo jak wyrostek, pobiegł na drugie piętro i zapukał do drzwi tajnego pomieszczenia, gdzie ślęczał Rubin.

A tam już toczyła się zgadywanka. Zaczęło się porównywanie taśm z nasłuchu.

76

Dwaj operzekeiści dzielili między siebie pracę w obiekcie Marfino - major Myszyn był więziennym kumem, major Szykin był k u m e m działu naukowo-produkcyjnego. Należąc do dwóch rozmaitych pionów służbowych i otrzymując gażę z różnych kas, nie byli dla siebie konkurentami. Ale jakieś lenistwo, czy co, przeszkadzało im we współpracy: każdy z nich miał gabinet w innym budynku i na innym piętrze, telefonicznie operzekeiści nie rozmawiają o sprawach służbowych, będąc zaś tej samej rangi każdy z nich uważał, że to ten drugi powinien pierwszy się kłaniać. Tak jakoś pracowali; jeden panował nad nocnymi duszami, drugi nad dziennymi - i całymi miesiącami nie stykali się ze sobą, chociaż w kwartalnych sprawozdaniach i planach każdy z nich pisał o konieczności ścisłego skoordynowania całej roboty operacyjnej w obiekcie Marfino.

Czytając pewnego dnia „Prawdę” major Szykin zadumał się nad tytułem artykułu „Ulubione zajęcie”. (W artykule mowa była o agitatorze, który najbardziej w świecie ukochał zajęcie polegające na wyjaśnianiu czegoś innym ludziom: robotnikom - jak ważne jest zwiększenie wydajności pracy, żołnierzom - jaką cnotą jest ofiarność, wyborcom - jak słuszna jest polityka bloku komunistów i bezpartyjnych). Szykinowi spodobał się ten termin. Doszedł do wniosku, że sam chyba też nie omylił się wybierając drogę życiową; nie ciągnęło go do żadnego innego zawodu nigdy w życiu; lubił swoje zajęcie, a ono jego lubiło.

Swego czasu Szykin skończył szkołę specjalną GPU, następnie - kursy doskonalenia oficerów śledczych, ale niezbyt długo trudnił się pracą śledczą, dlatego też nie mógł uważać się za specjalistę w tej dziedzinie. Zajmował się pracą operacyjną w kolejowym GPU; był pełnomocnikiem NKWD obarczonym zadaniem specjalnym - tropienia wrogich głosów w

urnach podczas tajnych wyborów do Rady Najwyższej; podczas wojny był szefem wojennej cenzury w sztabie armii, później działał w komisji repatriacyjnej, następnie w obozie kontrolno-filtracyjnym, potem został specinstruktorem do spraw wysiedlania Greków z Kubania do Kazachstanu, by wreszcie zostać pełnomocnikiem operacyjnym w instytucie naukowo-badawczym Marfino. Wszystkie te rodzaje zajęć były określane jednym mianem: operczekista.

Było to zaiste ulubione zajęcie Szykina. Ale któż z jego towarzyszy go nie lubił!

Zawód Szykina miał wiele zalet. Po pierwsze, od czasów wojny domowej dawno już przestał być zawodem niebezpiecznym, każda operacja wykonywana była tak, aby należna przewaga była zapewniona: dwóch albo trzech uzbrojonych ludzi - przeciwko jednemu nieuzbrojonemu, zaskoczonemu, czasem wyrwanemu ze snu wrogowi.

Następnie - praca ta była doskonale opłacana, dawała prawo do najlepszych, wydzielonych sklepów, do najlepszych mieszkań - skonfiskowanych skazańcom, do gaź wyższych niż w wojsku i do pierwszorzędných sanatoriów.

Praca ta nie była wyczerpująca: o żadnych normach nie było mowy. Wprawdzie przyjaciele opowiadali Szykinowi, że w trzydziestym siódmym i czterdziestym piątym funkcjonariusze śledczy harowali jak konie, ale sam Szykin nigdy nie był w takim kołowrocie i nie bardzo wierzył w te opowieści. Zdarzały się szczęśliwe okresy, kiedy można było miesiącami drzemać przy biurku. Ogólną cechą roboty w bezpiece był brak pośpiechu. Do naturalnej powolności, właściwej każdemu człowiekowi systemu, dochodziła tu jeszcze opieszałość celowa, stosowana po to, f aby większy mieć wpływ na psychikę więźnia i uzyskać od niego zeznania. Służyło temu powolne temperowanie ołówków, wybór pióra, wybór papieru, cierpliwe notowanie wszelkich drobiazgów i danych osobistych w protokole. Ta wszechobecna powolność w pracy bardzo korzystnie odbijała się na systemie nerwowym i była przyczyną długowieczności pracowników resortu.

Wcale nie mniej cenił sobie Szykin sam tryb swojej pracy. Cała ona składała się właściwie z prostych czynności rejestracyjnych, z gołej ewidencji (i tu przejawiała się w niej najbardziej charakterystyczna cecha socjalizmu). Żadna rozmowa nie kończyła się tak, jak to z rozmowami bywa, tylko musiała prowadzić do napisania donosu albo podpisania protokołu, bądź zobowiązania - do zachowania milczenia, nieopuszczania danej miejscowości, nieudzielania informacji, nieskładania fałszywych zeznań - lub wreszcie do podpisania kwitu, że się to lub owo otrzymało. Właśnie ta cierpliwa uwaga, ta pedanteria,

którą odznaczał się Szykin, były tu potrzebne, aby nie zakradł się do tych papierków chaos, aby je odpowiednio podzielić, wciągnąć do skoroszytów i zawsze móc znaleźć. (Sam Szykin jako oficer nie mógł wykonywać fizycznych prac i dlatego zszywała te papiery specjalnie skierowana z wydziału ogólnego, wyszkolona w metodyce spraw poufnych, chuda i wysoka pannica z bielmem na oku).

Ale najprzyjemniejszą dla operczekisty Szykina cechą tej pracy było to, że dawała ona władzę nad ludźmi, poczucie potęgi własnej i że otaczała człowieka nimbem tajemniczości.

Dumą Szykina łechtał ten szacunek, to onieśmienie, jakie budził w swoich współpracownikach, również czekistach, ale przecież nie operacyjnych. Wszyscy oni - w ich liczbie inżynier - pułkownik Jakonow - na każde żądanie Szykina musieli mu zdawać sprawę ze swoich czynności, Szykin natomiast przed nikim z tych ludzi nie był odpowiedzialny. Kiedy kroczył - z tą swoją sinawą twarzą, z ostrzyżoną na jeża siwiejącą głową, z dużą teczką pod pachą - po chodniku szerokich schodów, gdy dziewczęta-lejtnantki MBP skromnie ustępowały mu z drogi nawet na tych szerokich stopniach, kiedy witały go pierwsze - Szykin z dumą czuł, że jest kimś ważnym i wyjątkowym.

Gdyby ktoś powiedział Szykinowi - ale nikt mu tego nigdy nie mówił - że zasłużył sobie rzekomo na nienawiść, że jest dręczycielem innych ludzi - Szykin zareagowałby niekłamanym oburzeniem. Nigdy dręczenie innych ludzi nie stanowiło dla niego przyjemności ani celu. To prawda, zdarzają się tacy, widział ich w teatrze, w kinie, to sadyści, namiętni miłośnicy tortur, nie ma w nich nic ludzkiego - ale są to z reguły białogwardziści albo faszyści. Przecież Szykin tylko wykonywał swój obowiązek i jedynym jego celem było, aby nikt nie mógł zrobić niczego szkodliwego i żeby nie miał żadnych szkodliwych myśli.

Pewnego razu na głównych schodach szaraszki, z których korzystali zarówno wolni jak więźniowie, znaleziono pakiecik, w którym było sto pięćdziesiąt rubli. Znaleźli go dwaj technicy lejtnanci i nie mogli ani schować, ani odszukać chyłkiem właściciela, właśnie dlatego, że ich było dwóch. Zanieśli więc pieniądze do majora Szykina.

Pieniądze na schodach, po których chodzą więźniowie, pieniądze rzucone pod nogi tym, którym surowo zabrania się je mieć - to była już sprawa państwowej wagi! Ale Szykin wolał jej nie rozdmuchiwać, tylko wywiesił w klatce schodowej ogłoszenie.

„Kto zgubił pieniądze - 150 rub. na schodach, może odebrać je u majora Szykina w dowolnej porze”.

Była to niemała suma. Ale taki respekt i onieśmienie budził Szykin, że mijały dni i tygodnie, a nikt nie zgłaszał się po przekłętą zgubę, ogłoszenie wyblakło, zakurzyło się, jeden róg już się oderwał, aż wreszcie ktoś dopisał niebieskim ołówkiem, drukowanymi literami:

ŻRYJ SAM, PSIE Dyżurny zdarł ogłoszenie i odniósł je majorowi. Długo jeszcze po tym fackie Szykin myszkował w laboratoriach i porównywał odcienie niebieskich ołówków. Ordynarne wyzwisko sprawiło Szykinowi ból, jakże niezasłużony. Przecież wcale nie chciał przywłaszczać sobie cudzych pieniędzy. O wiele bardziej sobie życzył, żeby ten człowiek się zgłosił i żeby można było rozpracować sprawę, bardzo pouczającą, taką, którą można by później błysnąć na wszystkich zebraniach poświęconych problemowi czujności - a pieniądze oddać mu, proszę bardzo.

Ale z drugiej strony nie ma powodu wyrzucać ich na ulicę! - i po upływie dwóch miesięcy Szykin podarował je tej właśnie tyczkowatej pannicy z bielmem, która raz w tygodniu zszywała u niego papiery.

Wzorowego dotąd małżonka i ojca, Szykina, jakby jakiś diabeł opętał i przykuł do tej sekretarki z jej trzydziestoma ośmioma latkami, z grubymi nalanymi łydami, a sięgał jej major zaledwie do ramienia. Znalazł w niej coś, czego mu dotąd brakowało. Ledwie mógł się doczekać dnia, gdy przychodziła, i tak zapomniał o ostrożności, że podczas remontu, kiedy przeniesiono go tymczasowo do innego gabinetu, nie ustrzegł się wsypy: słyszeli i nawet przez dziurkę od klucza widzieli wszystko dwaj więźniowie - cieśla i tynkarz. Wieść szybko się rozeszła i więźniowie mieli dużo uciechy obgadując swojego pasterza. Chcieli nawet napisać list do żony Szykina, ale nie znali jej adresu. Wobec tego donieśli zwierzchności.

Ale nie udało im się wysiudać opera. Generał-major Oskołupow udzielił wtedy Szykinowi upomnienia, ale nie za flirty z sekretarką (było to sprawą zasad moralnych sekretarki) i nie za to, że do zbliżeń między nimi dochodziło w godzinach pracy (Szykin miał bowiem nienormowany dzień pracy), tylko za to, że dowiedzieli się o tym więźniowie.

W poniedziałek 26 grudnia major Szykin przyszedł do pracy parę minut po dziewiątej rano. Gdyby nawet przyszedł w porze obiadowej, też nikt by nie śmiał mu tego wytknąć.

Na drugim piętrze, naprzeciw gabinetu Jakonowa była w murze nisza, wgłębienie nigdy nie oświetlane elektryczną lampą, z którego prowadziło dwoje drzwi - jedno do gabinetu Szykina, drugie do lokalu partyjnego. Każde z tych drzwi obciążone były czarną

skórą i nie miały napisów. To sąsiedztwo i ciemności panujące w niszy bardzo były dla Szykina wygodne: nie można było podpatrzeć z boku, w której z tych izb znikają ludzie.

Wchodząc do gabinetu Szykin spotkał się z sekretarzem egzekutywy Stiepanowem, chorowitym, szczupłym jegomościem w okularach pobłyskujących mętnie jak ołów. Uścisnęli sobie dłonie. Stiepanow zaproponował cicho:

- Towarzyszu Szykin! - (Nigdy do nikogo nie zwracał się inaczej niż po nazwisku). - Wpadnijcie, stukniemy parę bil.

Mowa była o bilardzie stołowym, należącym do majątku organizacji partyjnej. Szykin czasem rzeczywiście wpadał, żeby pobawić się bilami, ale dzisiaj czekało na niego mnóstwo ważnych spraw, więc z godnością pokręcił tylko przecząco swoją srebrną głową.

Stiepanow westchnął i poszedł grać w bilard sam ze sobą.

Szykin wszedł do gabinetu i położył pedantycznie teczkę na stole. (Wszystkie papiery Szykina były tajne albo supertajne, zamykał je w kasie pancерnej i nigdy z gabinetu nie wynosił - ale straciłby autorytet, gdyby chodził bez teczki. Dlatego wynosił w teczce do domu „Ogoniok”, „Krokodyla” i „Dookoła Świata”; gdyby abonował je sam, to sporo musiałby płacić). Następnie przeszedł się po dywanie w stronę okna, postać chwilę i wrócił do drzwi. Sprawy jakby czekały na niego, przyczajone tu, w tym gabinecie, za kasą, za szafą, za otomaną, a teraz wszystkie go opadły i domagały się jego uwagi.

Spraw miał a spraw!...

Potarł rękoma swoją krótką, siwiejącą czuprynę.

Po pierwsze - trzeba było skontrolować pewne ważne przedsięwzięcie, obmyślane przez niego w ciągu długich miesięcy, zatwierdzone niedawno przez Jakonowa, wprowadzone do regulaminu, znane już personelowi, ale wciąż jeszcze kulejące. Był to nowy tryb prowadzenia tajnych dzienników pracy. Wnikliwie analizując sprawy czujności w instytucie Marfino, major Szykin doszedł do wniosku, z którego bardzo był dumny, że wciąż jeszcze nie ma mowy o prawdziwej tajności! Wprawdzie w każdej pracowni stoją ogniotrwałe stalowe szafy, wysokie na chłopa z górą; jest ich pięćdziesiąt sztuk, zostały przywiezione jako trofea z firmy Lorenz. To prawda, że dokumenty poufne, półpoufne i leżące obok poufnych zamykane są w tych szafach w obecności specjalnych dyżurnych na przerwę obiadową, na przerwę kolacyjną i na noc. Ale tragiczne niedopatrzenie polega na tym, że chowa się tylko prace zakończone i znajdujące się w stadium końcowym. Do stalowych szaf wciąż jeszcze nie chowa się pierwszych błysków myśli, pierwszych hipotez,

niejasnych propozycji - właśnie więc tego, z czego brać się mają tematy przyszłorocznych prac, to znaczy - te, co decydują o perspektywach. Sprytnemu szpiegowi, orientującemu się w technice, wystarczy tylko przekraść się przez druty kolczaste do żony, *znaleźć* gdzieś na śmietniku strzępek bibuły z odbiciem takiego rysunku technicznego albo schematu, następnie wykraść się z żony - i już amerykański wywiad zdołał się dowiedzieć, jaki jest kierunek naszych prac. Będąc człowiekiem sumiennym, major Szykin pewnego razu zmusił stróża Jegorowa, aby ten w jego obecności wywalił na ziemię i rozsortował całą zawartość śmietnika na podwórku. Przy tej okazji znalezione zostały dwie mokre, wytarzone w popiele i w śniegu kartki papieru, na których na pewno kiedyś wyrysowane były schematy. Szykin bez śladu obrzydzenia wziął to świństwo za rożki i położył przed Jakonowem na biurku. I Jakonow nie wiedział, gdzie oczy schować!

W ten sposób włączono też do planu projekt Szykina dotyczący wprowadzenia indywidualnych, poufnych dzienników pracy. Odpowiednie bruliony zostały natychmiast sprowadzone ze składów MBP; każdy z nich zawierał dwieście dużych stron. Ponumerowano je, zszyto sznurem, końce zaś tego sznura zalakowano. Dzienniki miały być teraz rozdane wszystkim, prócz ślusarzy, tokarzy i stróża. Więźniowie zostali zobowiązani do pisania wyłącznie na stronach dziennika - i więcej na niczym innym. Dawało to nie tylko tę korzyść, że odtąd miało już więcej nie być brudnopisów, tak bardzo przecież niebezpiecznych, lecz ponadto jeszcze osiągnięty mógł być ważniejszy cel: kontrola myśli! Ponieważ w tym dzienniku każda notatka musiała być zaopatrzona w datę, major Szykin mógł teraz kontrolować każdego więźnia - ile i nad czym myślał w środę i co nowego wymyślił w piątek. Dwieście pięćdziesiąt takich dzienników to jakby dwustu pięćdziesięciu majorów, nieznużenie pochylonych nad głową każdego zeka. Wszyscy więźniowie są chytry i leniwi, zawsze starają się odsunąć na bok robotę, jeżeli to im tylko umożliwić. Aby kontrolować robotników, wystarczy przyjrzeć się ich wyrobom. Mieć pod kontrolą inżynierów, mieć pod kontrolą uczonych - na tym właśnie polegał wynalazek majora Szykina (niestety, operczekiści nie dostają nagród stalinowskich!). Dziś właśnie należało skontrolować, czy dzienniki zostały już rozdane i czy pojawiły się w nich pierwsze notatki. Drugą ze spraw, które czekały dziś na Szykina, była kwestia skompletowania spisu więźniów do transportu zapowiedzianego przez departament więziennictwa w tych dniach. Należało też uzgodnić ścisłą datę transportu.

Absorbowała jeszcze Szykina zaczęta z rozmachem, ale tymczasem słabo się

rozwijająca „sprawa uszkodzenia warsztatu tokarskiego”, która wynikła przy okazji przenoszenia przez dziesięciu zeków tego warsztatu z trzeciej pracowni do działu mechanicznego, kiedy to wykryto pęknięcie wspornika. W ciągu tygodniowego śledztwa zapisano już osiemdziesiąt stron protokołów, ale w żaden sposób nie można było dojść prawdy: wszyscy podejrzani byli starymi wygami.

Trzeba było jeszcze przeprowadzić śledztwo, by wyjaśnić, skąd wzięła się powieść Dickensa; Doronin doniósł, że czytano ją w półkolistej celi i że widział ją w rękach Abramsona. Wezwać na rozmowę samego Abramsona, drugowyro-c z n i a k a, to byłaby strata czasu. Należało więc wezwać wolnych z jego otoczenia i od razu nastraszyć, że wszystko się wykryło.

Mnóstwo miał dziś Szykin do roboty! (A przecież nie wiedział jeszcze, co nowego przyniosą mu konfidenci! Nie wiedział też, że wypadnie mu rozpatrzyć sprawę natrzęsania się z procedury sądowej - pod maską przedstawienia „Sąd nad księciem Igorem”!) Szykin w desperacji znów potarł skronie i czoło, żeby mu ten nadmiar kłopotów jakoś utrząsł się, uporządkował.

Niepewny jeszcze, od czego zacząć, Szykin postanowił przede wszystkim wejść w kontakt z masami, to znaczy przejść się trochę korytarzem w nadziei, że spotka któregoś ze swoich konfidentów, a ten ruchem brwi da mu do zrozumienia, że ma pilną wiadomość i nie może czekać, aż przyjdzie jego wyznaczona w planie godzina.

Ale zaledwie doszedł do stolika dyżurnego, już usłyszał, jak ten rozmawia przez telefon o jakimś nowym zespole.

Co? Skąd ten pośpiech? Więc w ciągu jednego niedzielnego dnia, kiedy Szykina tu nie było, już zdążyli uformować nowy zespół?

Dyżurny wszystko mu opowiedział.

O, to był cios! - przyjechał wiceminister, zjechali generałowie - a Szykina nie było w zakładzie! To była wielka przykrość dla majora. Żeby wiceminister mógł sobie pomyśleć, że Szykin mało dba o czujność! I żeby nie uprzedzić, nie ostrzec zawczasu; nie wolno przecież do tak odpowiedzialnego zespołu angażować tego przeklętego Rubina - dwulicowca, człowieka na wskroś fałszywego; zaklina się, że wierzy w zwycięstwo komunizmu - a nie chce zostać konfidentem! I do tego jeszcze nosi, łajdak, tę demonstracyjną brodę! Zgolić!

Z ukrywanym pośpiechem, ostrożnie przebiegając stopkami w dzieciennych bucikach, krągłogłowy Szykin udał się do pokoju numer dwadzieścia jeden.

Miał zresztą bata na Rubina: w tych dniach złożył on (dwa razy do roku składa) podanie do Sądu Najwyższego z prośbą o ponowne rozpatrzenie jego sprawy. Od Szykina zależało, czy podanie będzie opatrzone charakterystyką pozytywną, czy też obrzydliwie negatywną (jak to dotychczas miało miejsce).

Drzwi numer dwadzieścia jeden były drewniane, bez szyb. Major pchnął je, lecz nie ustąpiły. Zapukał. Nie było słycać kroków, ale drzwi nagle się otworzyły. Na progu stał Smołosidow ze swoim czarnym, nie wróżącym nic dobrego czubem. Nawet nie drgnął widząc Szykina i drzwi szerzej nie otworzył.

- Dzień dobry - powiedział Szykin niewyraźnie, bo nie był przyzwyczajony do takiego traktowania. Smołosidow był operczekistą w jeszcze ściślejszym sensie niż sam Szykin.

Czarniawy Smołosidow stał pochylony, z podniesionymi lekko krzywymi rękoma. Przypominał boksera. I milczał.

- Ja... mnie... - Szykin był skonfundowany. - Proszę mnie wpuścić, muszę zapoznać się z waszym zespołem.

Smołosidow zrobił pół kroku wstecz i, tarasując dalej wejście do pokoju, kiwnął zgiętym palcem na Szykina. Szykin przecisnął się przez półotwarte drzwi i spojrzał na to, co mu teraz wskazywał Smołosidow. Na drugiej połowie drzwi, od wewnątrz, zawieszony był papierek:

„Spis osób mających prawo wstępu do pokoju 21.

1. Wiceminister BP - Seliwanowski 2. Szef departamentu - generał-major Bulbaniuk 3. Szef departamentu - generał-major Oskołupow 4. Szef zespołu - inż. major Rojtman 5. Lejtnant Smołosidow 6. Więzień Rubin Zatwierdził Minister Bezpieczeństwa Państwowego Abakumow”

Szykin przejęty nabożnym szacunkiem wycofał się do korytarza.

- Kiedy... chciałem tylko wezwać Rubina... - powiedział szeptem.

- Nie ma mowy! - odparł Smołosidow takim samym szeptem.

I zatrzasnął drzwi.

77

Rankiem, podczas rąbania drew na świeżym powietrzu, Sołogdin rozmyślał o swojej wczorajszej decyzji; poddawał ją próbie. Pomysły, które zdają się oczywiste, gdy głowę ogarnia już półsen - okazują się niedorzeczne w świetle poranka. Rąbiąc drwa przez cały ranek nie zdołał zapamiętać ani jednego polana, ani jednego własnego uderzenia - bo

rozmyślał. Ale nie dokrzczana do końca kłótnia mąciła mu jasność myśli. Przychodziły mu do głowy wciąż nowe, zabójcze argumenty, którymi wczoraj nie zdążył naszpikować Rubina; przychodziły za późno.

Ale najwięcej przykrości i goryczy czuł wtedy, gdy przypominał sobie, jak to wczorajszy spór z Rubinem bezsensownie zmienił kierunek, jak ten Rubin zaczął zachowywać się tak, jakby miał prawo być sędzią Sołogdina. Można było wykreślić Lewka Rubina z tablicy honorowej przyjaciół i postarać się go zapomnieć - ale nie sposób było wykreślić rzuconego przezeń wyzwania. Już zostało w pamięci i jątrzyło. Toż Rubin odbierał Sołogdinowi prawo do robienia wynalazków.

A w ogóle ten spór był bardzo pożyteczny, jak każdy akt walki. Pochwała - to kłapa bezpieczeństwa, obniża nasze wewnętrzne ciśnienie i dlatego zawsze nam szkodzi. I odwrotnie - obelga, nawet najbardziej niesprawiedliwa, jest tylko paliwem dla naszego kotła, bardzo się więc przydaje.

Oczywiście, wszystko, co kwitnie, chciałoby żyć. Dymitr Sołogdin, obdarzony nieprzeciętnymi zaletami ducha i ciała, miał prawo do swojego żniwa, chciał zebrać śmietankę z mleka.

Ale przecież sam wczoraj mówił: wzniosły cel wymaga równie wzniosłych środków.

Więzienny komunikat usłyszany przy herbacie powitał Sołogdin promiennym uśmiechem. Oto jeszcze jeden dowód jego przenikliwości. Już zawczasu zaprzestał korespondencji i jego żona nie będzie wydana na męki niepewności.

A w ogóle usztywnianie reżimu więziennego było jeszcze jednym dowodem, że cała sytuacja ulegnie zaostrzeniu i że nie będzie żadnego wychodzenia z więzienia w trybie tzw. „końca kary”. Chyba, że ktoś dostanie zwolnienie przedterminowe.

Albo więc wynalazek i takie zwolnienie, albo żadnych widoków na życie.

O dziewiątej Sołogdin w czołówce całego pelotonu aresztantów wspiął się po schodach i wszedł do biura konstruktorskiego - żwawy, pełen młodzieńczego wigoru, z jasną bródką, całą w kędziorkach („oto właśnie kroczy hrabia Sołogdin”).

Jego lśniący triumfem wzrok trafił nagle na spojrzenie Larysy; chłonęła go oczami.

Jak wrywała się do niego przez całą noc! Jak cieszyła się teraz, że ma prawo siedzieć koło niego i podziwiać go! Może uda się podrzucić mu liścik.

Ale to nie była chwila na takie rzeczy. Sołogdin ukłonił się jej grzecznie nie podnosząc oczu i niezwłocznie zaprzągnął Larysę do roboty: trzeba skoczyć do warsztatów

mechanicznych i dowiedzieć się, ile właściwie wytoczyli już tam nitów, o których była mowa w zamówieniu nr 114. Nalegał, aby dowiedziała się tego nie mieszkając.

Larysa spojrzała na niego zaskoczona i zmieszana, a potem wyszła.

Szary poranek tak skąpił światła, że paliły się sufitówki i lampy na stołach kreślarskich.

Sołogdin zdjął szary, brudny arkusz przyszpilony do jego stołu pluskiewkami i spojrzał na rozłożony pod nim rysunek techniczny centralnego węzła mechanizmu szyfrującego.

Dwa lata życia strawił przy tej robocie. Dwa lata surowego reżimu dla własnego intelektu. Dwa lata najlepszych godzin porannych - bo w środku dnia nie tworzy się nic wielkiego.

I to wszystko psu na budę? Oto bezczelnie płytka kwestia: czy można kochać tak nędzny kraj? Ten naród bez Boga, sprawca tylu zbrodni, nie czujący przy tym żadnej skruchy - czy ten naród niewolników wart jest takich ofiar, tylu świątłych głów bezimiennie idących pod topór? Jeszcze sto, ba, jeszcze dwieście lat ten naród będzie zadowolony, że ma swoje koryto - więc dla kogóż to rzucać na stos pochodnię myśli?

Czy nie ważniejsza to rzecz - ocalić, uchować tę pochodnię? Później, w stosownym momencie, można będzie wymierzyć znacznie silniejszy cios.

Stał tak i chłonał widok swojego dzieła.

Zostało mu wszystkiego kilka godzin albo nawet minut na bezbłędne rozwiązanie najważniejszego zadania całego jego życia.

Oderwał od stołu główny arkusz. Papier załopotał jak żagiel fregaty.

Jedna z kreślarek, jak każdego poniedziałku, obchodziła stoły konstruktorów i odbierała stare, niepotrzebne arkusze, aby je zniszczyć. Arkuszy nie wolno było drzeć i wrzucać do kosza; spisywało się je komisyjnie i później paliło na podwórku.

(A w ogóle to było niedopatrzenie ze strony majora Szykina: zanadto ufał ogniowi. Czemu to nie utworzył, obok biura konstruktorskiego, jeszcze jednego - operkonstruktorskiego, które zajmowałoby się rozpatrywaniem wszystkich projektów niszczonych w pierwszym z tych biur?) Sołogdin wziął gruby, miękki ołówek, przekreślił nim niedbale swój projekt kilka razy i zasmarował go tu i ówdzie. Później odczepił pluskiewki, naderwał papier z jednej strony, złożył go razem z brudnym arkuszem ochronnym, podłożył pod spód jeszcze jeden, już niepotrzebny, zmiął wszystko razem i

podał kreślarce:

- Bardzo proszę, trzy arkusze.

Potem usiadł, dla picu otworzył repertorium techniczne i zerkał ostrożnie, co dalej dzieje się z jego papierem, wypatrywał, czy aby ktoś z konstruktorów nie podejrze, aby przejrzeć arkusze.

Ale właśnie zwołano zebranie. Wszyscy skupili się i przysiedli.

Podpułkownik, szef biura, bez wstawania z krzesła i szczególnego nacisku mówił o wypełnieniu planów, o nowych projektach i o kontrzobowiązaniach socjalistycznych. Wstawił ten punkt do planu, ale sam nie wierzył, że pod koniec przyszłego roku gotowy już będzie techniczny projekt absolutnego szyfratora, i teraz kreślił perspektywy tak, aby zostały jakieś zapasowe furtki dla jego konstruktorów.

Sołogdin siedział w tylnym rzędzie i nad głowami siedzących patrzył w ścianę swoimi jasnymi oczyma. Cerę miał gładką, świeżą, nikt nie mógłby przypuścić, że Sołogdin myśli teraz o czymkolwiek albo że jest zatroskany. Wyglądało raczej na to, że wykorzystuje zebranie tylko dla odpoczynku.

A tymczasem - myślał bardzo intensywnie. I podobnie jak w przyrządach optycznych obracają się pryzmaty, coraz to inną swoją płaszczyzną odbijając promienie, tak samo w nim przez cały ten czas obracały się na nierównoległych i nieprzecinających się osiach i sypały skrami - jego własne myśli.

I nagle prościutkie podejrzenie, najprostsze z prostych, ugodziło go jak ciśnięty przez kogoś kamyk: a może jest już śledzony od przedwczorajszego dnia, od kiedy Antoni zobaczył ten arkusz? Niech go tylko dziewczyny wyniosą za drzwi - a tam już ktoś przejmie od nich jego szyfrator.

Zaczął wiercić się, jakby go coś ukłuło. Z trudem dotrwał do końca narady i podbiegł do kreślarek. Pisały już protokół odbiorczy.

- Dałem wam tu jeden arkusz przez pomyłkę... przepraszam... chodzi o ten... o ten tutaj.

Wrócił z nim do swojego rajzbretu. Obrócił rysunkiem w dół. Rozejrzał się. Larysy nie było. Nikt nie patrzył. Wielkimi nożycami szybko i nieskładnie przeciął arkusz na połowę, każdą połowę na ćwierci i każdą ćwiartkę jeszcze na czworo.

O, tak to już będzie lepiej. Major Szykin popełnił jeszcze jeden błąd. Mógł ich przecie zmusić do kreślenia rysunków na numerowanych, zszytych i opieczętowanych kartach!

Poszedł w ką i całe 16 skrawków wetknął sobie za pazuchę, pod szeroki kombinezon. Paczkę zapalek zaś zawsze miał w szufladzie. Służyła do drobnych autodafe...

Krokiem pełnym determinacji wyszedł z kreślarni. Z głównego korytarza skręcił w bok, do toalety.

W jej pierwszej izbie zek Tiuniukin, znany donosiciel, mył ręce pod kranem. W drugiej izbie oprócz pisuarów były cztery osobne kabiny. Pierwsza była zajęta (Sołogdin sprawdził szarpiąc klamkę). Dwie środkowe półotwarte, a więc puste, czwarta była zamknięta, ale klamka ustąpiła. Miała wewnątrz mocny skobelek. Sołogdin wszedł do środka, zatrzasnął drzwi i zamarł na chwilę.

Wydobył zza pazuchy dwa skrawki, wyciągnął zapaliki marki „Pobieda” - i czekał. Nie zapalił draski w obawie, że płomień odbije się blaskiem na suficie i że zapach spalenizny szybko rozejdzie się po całym wychodku.

Wszedł ktoś jeszcze. Po chwili wyszedł, a za nim ten z pierwszej kabiny. Sołogdin potarł zapalnik. Fosfor zapłonął, główka odłamała się i wylądowała na jego piersi. Łepok drugiej zatlił się bez takich przygód, ale płomyk nie zdołał objąć koślawego, ciemnego patyczka. Płomień pyknął parokrotnie i zgasł, zostawiając opieszalą smużkę dymu.

Sołogdin bluznął po cichu najprostszym z obozowych wyzwisk. Niepalne, ognioodporne zapaliki! W jakim jeszcze kraju znajdziesz podobne? Kto by coś podobnego mógł wymyślić? „Pobieda”! Jak oni w ogóle doszli do tego swojego zwycięstwa?

Trzecia zapalnik od razu się złamała. Czwarta połamana była już od urodzenia. Piąta miała fosfor tylko z jednego boczku.

Wściekły Sołogdin wyluskał całą garstkę zapalek od razu i zapalił je wszystkie naraz. Zapłonęły. Przytknął do nich papier. Watman palił się opornie. Sołogdin obrócił papier ogniem w dół. Po chwili płomień zaczął parzyć palce. Sołogdin ostrożnie ustawił płonące skrawki sztorcem w klozetowej misce, na skraju wody. Wyciągnął jeszcze garść skrawków i dodał do tych, co już płonęły, dbając, aby dopaliły się do końca. Czarny, zjeżony popiół spłynął do wody jak w stoczni.

Drugi zwitek już płonął. Sołogdin dokładał do niego z góry skrawek po skrawku. Płomień przygasł i wzbiła się smuga drażniącego dymu.

A właśnie ktoś wszedł i zamknął się w kabinie o dwa przedziały od Sołogdina. A dym walił!

Mógł to być przyjaciel.

Ale mógł to być też wróg.

Być może zapach dymu wcale tam nie dochodził. Ale może ten człowiek poczuł już odór tlenu i za chwilę krzyknie na alarm.

Drapało w gardle, ale Sołogdin potrafił powstrzymać kaszel.

I nagle cały papier ostro zapłonął, i żółty słup światła strzelił w sufit. Palilo się, że aż ha, ścianki miski obeschły i można było się obawiać, że pękną od gorąca.

Zostały jeszcze dwa skrawki, ale Sołogdin już ich nie dorzucił. Sterta dopaliła się. Spuścił wodę z szumem. Zmiotła i zabrała ze sobą cały kłęb czarnego popiołu.

Czekał teraz bez ruchu. Weszło jeszcze dwóch gadając o byle czym:

- On się tylko rozgląda, jakby tu na cudzym grzbiecie do rajy dojechać...

- A ty kontroluj na oscylografie i zrób szlus z tą jego kooperacją!

Wyszli, ale zaraz przyszedł jakiś inny i zamknął się w kabinie.

Sołogdin stał w ukryciu, w poniżeniu. Nagle przyszło mu do głowy, żeby zerknąć na te dwa ostatnie skrawki. Jeden był z górnego kąta, z marginesu rysunku. Sołogdin oderwał zarysowany kawałek, resztę wrzucił do kubła. Na drugim skrawku narysowane było za to samo serce urządzenia. Sołogdin jął bardzo starannie rwać go na kawałki tak drobniutkie, że ledwie mógł przytrzymać je paznokciem.

Znowu spuścił wodę i gdy jeszcze grzmiała w rurach, szybko wyszedł na korytarz.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Przez korytarz główny kroczył już powoli. I pomyślał sobie: palisz fregatę swojej nadziei, a boisz się tylko, żeby nie pękła miska klozetowa i żeby ktoś sadzy nie zobaczył.

Wrócił do biura, z roztargnieniem wysłuchał tego, co mu Jomina miała do powiedzenia o nitach, i poprosił, aby przyspieszyła kopiowanie.

Nie rozumiała go.

I nie mogłaby zrozumieć.

On sam nie rozumiał tego jeszcze. Tu wcale nie wszystko było jasne. Nie dbając już o pozór „zapracowania”, nie otwierając szkatułki na cyrkle ani książek, ani szkicownika, Sołogdin siedział podpierając głowę i patrząc przed siebie niewi-dzącymi oczyma.

Lada chwila miał podejść do niego ktoś i zawezwać do inżyniera-pułkownika. I rzeczywiście - wezwano go, ale do podpułkownika.

Z pracowni filtrów przysłano kogoś ze skargą, że dotychczas jeszcze nie mają w rękę dawno zamówionego rysunku technicznego dwóch małych wsporników. Podpułkownik nie

był grubianinem, skrzywił się tylko i powiedział:

- No, panie Dymitrze, czy to naprawdę takie zawile? Zamówienie przyszło jeszcze w czwartek.

Sołogdin wyprężył się:

- Przepraszam. Są już prawie skończone. Za godzinę będą gotowe.

Nawet się jeszcze do nich nie zabrał, ale nie można przecież było się przyznać, że ma tam roboty wszystkiego na godzinę.

78

Z początku w życiu marfińskich frajerów znaczną i zasadni - czą rolę grał związek zawodowy.

Któż nie zna tej dźwigni socjalistycznej produkcji? Któż, jeśli nie związki zawodowe, z właściwą im szlachetnością, mógł wyblagać u rządu przedłużenie roboczego dnia i tygodnia, zwiększenie norm produkcyjnych i obniżkę płacy? Gdy mieszkańcy miast nie mieli co jeść albo nie mieli gdzie mieszkać (częstokroć brak im było i tego, i tamtego) - któż wtedy przychodził im z pomocą? Ależ związek zawodowy - zezwalając swoim członkom w nierobocze dni przekopywać ogródki, a budować domy rządowe w godzinach wypoczynku. Związki zawodowe były ostoją wszystkich zdobyczy rewolucji i krzepnącej potęgi całej zwierzchności. Nikt skuteczniej niż zebranie ogólne związku zawodowego nie mógł doprowadzić do wyrzucenia z pracy jakiegoś uprzykrzonego kwerulanta czy innego poszukiwacza sprawiedliwości, którego administracja nie ośmielała się wylać w inny sposób. Niczyj podpis na protokole nieprzydatności dla celów urzędowych jakichś sprzętów - bardzo przydatnych jednak dla dyrektorskiego mieszkania - nie wyglądał tak szczerze i naiwnie, jak podpis przewodniczącego komórki związkowej. Utrzymywały się zaś związki zawodowe własnym kosztem - kosztem tego trzydziestego procentu roboczej płacy, z której państwo nie mogło zabrać więcej niż 29 procent na wszystkie swoje podatki i przymusowe pożyczki.

Zarówno w szerokim, jak i wąskim sensie tego pojęcia związki zawodowe były zaiste codzienną szkołą komunizmu.

Mimo to związek zawodowy w Marfinie został zlikwidowany. Stało się to tak: pewien wysoko postawiony towarzysz z moskiewskiego komitetu partii dowiedział się i aż jęknął: „Co wam się ubrdało?” I nawet nie dodał „towarzysze”. „Toż to pachnie trockizmem! Marfino to jednostka wojskowa, co tu mają do roboty związki zawodowe?”

I tego samego dnia związku w Marfinie nie stało.

Ale jakoś nie wpłynęło to wcale na tryb życia w Marfinie. Nadzwyczajnie tylko wzrosło znaczenie organizacji partyjnej, które i tak już było niemałe. I w obwodowym Komitecie partii uznano za rzecz konieczną, aby mieć w Marfinie etatowego sekretarza. Przejrzawszy kilka ankiet personalnych nadesłanych z działu kadr, biuro obkomu postanowiło polecić na to stanowisko STIEPANOWA Borysa Siergiejewicza, urodzonego w roku 1900 we wsi Łupa-cze, powiat bobrowski, pochodzenie społeczne - proletariat wiejski, po rewolucji - wiejski milicjant, bez zawodu, obecna kategoria społeczna - urzędnik, wykształcenie - 4 klasy i dwuletnia szkoła partyjna, należy do partii od 1921 roku, funkcje partyjne pełni od 1923 roku, wahań przy realizacji linii partii - nie miał, do opozycyjnych grup - nie należał, w armiach i urzędach białogwardyjskich - nie służył, w ruchu rewolucyjnym i partyzanckim udziału nie brał, na terytorium okupowanym przez Niemców nie był, za granicą nie był, języków obcych - nie zna, był kontuzjowany w głowę, posiada order „Czerwonej Gwiazdy” oraz medal „Za zwycięstwo nad Niemcami w Wielkiej Wojnie Narodowej”.

W chwili, gdy obkom zalecił kandydaturę Stiepanowa, znajdował się on w rejonie wołokołamskim, był agitorem w czasie kampanii żniwnej. Wykorzystując każdą chwilę wypoczynku kołchoźników, nawet przerwy na obiad czy papierosa, Stiepanow natychmiast kazał im się zbierać przy biwaku polowym (ponadto wieczorami zwoływał ich do kancelarii kołchozu) i nieustannie wyjaśniał im, zgodnie z niezwykłą doktryną Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina, jak wielkie ma znaczenie, aby rola zasiewana była rokrocznie i to ziarnem wysokiej jakości; żeby później z tego ziarna wyrosły kłosa i żeby w nich nowego ziarna było, o ile możliwości, więcej niż tego, co zasiano; żeby następnie ziarno to zebrano w czasie żniw bez żadnych strat i żeby w całości, bez manka oddano je państwu jak najszybciej. Nie znając spoczynku, zaraz potem szedł do traktorzystów i wyjaśniał im, w świetle tej samej, nieśmiertelnej doktryny, całe znaczenie oszczędności paliwa, dbałości o wyposażenie, podkreślał, że przestoje są zupełnie niedopuszczalne, ponadto zaś - bez szczególnej chęci odpowiadał na ich pytania dotyczące niedbalstwa przy remoncie maszyn oraz braku odzieży ochronnej.

W tym samym czasie zebranie ogólne organizacji partyjnej obiektu Marfino z wielkim entuzjazmem przyjęło zalecenia obkomu i jednogłośnie wybrało Stiepanowa na stanowisko swojego etatowego sekretarza, nie wiedząc jeszcze nawet, jak on wygląda. Właśnie w tym czasie posłany został do rejonu wołokołamskiego na stanowisko agitatora pewien działacz

spółdzielczy, którego trzeba było usunąć ze stanowiska w rejonie jęgorowskim za złodziejstwo. W Marfinie zaś urządzono Stiepanowowi gabinet tuż obok gabinetu pełnomocnika operacyjnego - i zaraz mógł się on zabrać do swoich kierowniczych funkcji.

Rozpoczął od przejęcia wszystkich spraw od poprzedniego, nieetatowego sekretarza. Poprzednim sekretarzem był lejtnant Kłykaczow. Kłykaczow był szczupły jak chart - zapewne dlatego, że bardzo ruchliwy i że nie pozwalał sobie ani na chwilę wypoczynku. Równocześnie kierował pracownią łamania szyfrów, kontrolował grupę kryptograficzną i statystyczną, prowadził seminarium komsomolskie, był duszą „grupy młodych”, a prócz tego jeszcze sekretarzem egzekutywy. I chociaż zwierzchność uważała go za wymagającego pracownika, więźniowie zaś - za przyczepnego, nowy sekretarz od razu nabrał podejrzeń, że sprawy partyjne w instytucie Marfino są zapuszczone. Praca partyjna wymaga bowiem od człowieka całkowitego oddania się jej.

Tak się też okazało. Zaczęło się przekazywanie akt. Trwało przez tydzień. Stiepanow, nie wychodząc w ogóle z gabinetu, przejrzał wszystkie papiery co do jednego, poznając każdego członka partii - naprzód dzięki teczce personalnej i fotografii, a dopiero później - osobiście. Kłykaczow poczuł na sobie ciężką rękę nowego sekretarza.

Jedno niedopatrzenie po drugim wychodziło na jaw. Nie mówiąc już o lukach w materiale ankietowym członków, o niedoborze zaświadczeń w teczkach personalnych, nie mówiąc już o braku wyczerpujących charakterystyk w aktach każdego członka i kandydata - dał się zaobserwować wadliwy sposób traktowania wszystkich w ogóle inicjatyw; wprowadzano je w życie, ale nie dokumentowano ich formalnie, przez co same te inicjatywy przybierały charakter widmowy.

- Ale kto uwierzy? Kto uwierzy wam teraz, że naprawdę to przeprowadziliście?! - mówił Stiepanow trzymając rękę z dymiącym papierosem nad łysiną.

I cierpliwie wyjaśniał Kłykaczowowi, że wszystko tu robione było na papierze (dlatego, że tylko ustnie można to było poświadczyć), a nie w rzeczywistość i (to znaczy nie na papierze, nie formalnie).

Na przykład, co z tego, że drużyna sportowa instytutu (mowa była, ma się rozumieć, nie o więźniach) rżnie sobie w siatkówkę (mając już nawet zwyczaj zarywać czas pracy)? Może tak jest naprawdę. Może tam rzeczywiście sobie grają. Ale ani my sami, ani nikt z kontroli nie będzie przecież wychodzić na podwórzec, żeby popatrzeć, czy tam piłka sobie skacze. A dlaczego ci siatkarze, co tyle już się nagrali i tyle mają doświadczenia - dlaczego

właściwie nie mają podzielić się tym doświadczeniem w specjalnej sportowej gazetce ściennej „Czerwona piłka” albo, powiedzmy, „Honor dynamowca”? Gdyby później Kłykaczow taką gazetkę ścienną jak najstaranniej zdjął ze ścianki i włączył do dokumentacji partyjnej, to jaka jeszcze inspekcja mogłaby w ogóle wątpić, że inicjatywa „gra w siatkówkę” została rzeczywiście zrealizowana i że działo się to pod kierunkiem partii? A w aktualnych warunkach - kto się zgodzi wierzyć Kłykaczowowi na słowo?

Tak było ze wszystkim, ze wszystkim. „Słowo to nie żaden dokument” - z tym arcymądrym powiedzonkiem na ustach Stiepanow rozpoczął urzędowanie.

Jak ksiądz nie wierzy, że ktoś może kłamać w konfesjonale - podobnie Stiepanowowi nie przychodziło do głowy, że można łąć również na piśmie.

Jednakże Kłykaczow, chłopak kościsty, o zapadłych bokach, nie zamierzał sprzeczać się ze Stiepanowem, tylko nieprzerwanie i z manifestacyjną wdzięcznością w oczach potakiwał i gotów był uczyć się od niego. Stiepanow szybko więc zaczął Kłykaczowa traktować łagodniej, zdradzając tym samym, że nie jest złym człowiekiem. Z uwagą wysłuchał obaw Kłykaczowa odnoszących się do tego, że na czele tak ważnego, tajnego instytutu stoi inżynier-pułkownik Jakonow, który nie tylko ma dosyć mętne dane personalne, lecz jest po prostu obcym elementem. Stiepanow zakonotował to sobie dobrze. Kłykaczowa zaś zrobił swoją prawą ręką, kazał mu przychodzić jak najczęściej i z całą życzliwością udzielał mu rad opartych na własnym, tak cennym doświadczeniu partyjnym.

W ten sposób Kłykaczow szybciej i bliżej niż inni poznał nowego p a r t o r g a. To za jego złośliwym przykładem „młodzi” zaczęli nazywać partorga „Pastuchem”. Ale właśnie dzięki Kłykaczowowi „młodzi” mieli z Pastuchem wcale niezłe stosunki. Szybko zrozumieli, że o wiele lepiej dla nich będzie mieć na tym stanowisku nie członka własnej grupy, tylko postronnego, obiektywnego legalistę.

A był z niego legalista! Gdy mówiono mu, że kogoś tam szkoda, że w stosunku do kogoś jeszcze warto być pobłażliwym nie stosując prawa w całej jego surowości - bolesna zmarszczka przecinała wyniosłe, bo sięgające aż do ciemienia czoło Stiepanowa, barki Stiepanowa pochylały się, jakby mu ktoś zadał na plecy nowy ciężar. Ale, czując w sobie święty ogień głębokiego przekonania, znajdował siły, aby się wyprostować i zwrócić się do swoich rozmówców kolejno patrząc im w oczy, dzięki czemu białe kwadraciki - odbicia okien - ostro przesuwwały się po ołowianej powierzchni jego szkielec:

- Towarzysze! Towarzysze! Co ja słyszę? Jak mogliście w ogóle powiedzieć coś

podobnego? Zapamiętajcie - trzeba bronić prawa w każdych okolicznościach! Trzeba bronić prawa, nawet kiedy to nie jest łatwe!! Bronić prawa nawet ostatkiem sił!! - i tylko tak, tylko w ten sposób można naprawdę pomóc temu, dla kogo człowiek ma ochotę od prawa odstąpić! Dlatego, że przepisy prawne właśnie tak są ułożone, żeby służyć społeczeństwu i człowiekowi, my zaś tego często nie rozumiemy i krótkowzrocznie chcemy prawo obejść!

Ze swej strony Stiepanow był zadowolony z „młodych”, z ich zamiłowania do zebrzań partyjnych i do partyjnej krytyki. W nich też widział załączek tego zdrowego kolektywu, jaki starał się utworzyć wszędzie, gdzie pracował. Jeżeli kolektyw nie demaskował przed kierownictwem gwałcicieli prawa w swoim środowisku, jeżeli kolektyw wołał na zebraniach milczeć - taki kolektyw Stiepanow z całym przekonaniem uważał za niezdrowy. Jeżeli zaś kolektyw całą hurmą rzucał się na jednego ze swoich członków i właśnie na takiego, co było trzeba - taki kolektyw uważany był za zdrowy nie tylko przez Stiepanowa, także przez ludzi stojących wiele wyżej od niego.

Stiepanow miał wiele ugruntowanych przekonań, z których nie potrafiłby zrezygnować. Na przykład był przekonany, że każde zebranie powinno kończyć się przyjęciem grzmiącej rezolucji, biczującej poszczególnych członków kolektywu i mobilizującej cały kolektyw do nowych sukcesów produkcyjnych. Bardzo lubił otwarte zebrania partyjne, na których bywali też wszyscy bezpartyjni i gdzie można było z całym przekonaniem wymyślać im ile wlezie, oni zaś nie mieli prawa ani głosować, ani się bronić. Jeżeli zaś przed głosowaniem rozlegały się rozżalone albo nawet oburzone głosy: „Co to takiego? To zebranie? Czy może sąd?”

- Chwileczkę, towarzysze, chwileczkę! - władcym tonem osadzał Stiepanow każdego z mówców czy nawet przewodniczącego zebrania. Drżącą ręką wsypywał sobie naprędce proszek do ust (po kontuzji miewał silne bóle głowy przy każdym zdenerwowaniu, a denerwował się, gdy ktoś targał się na słuszną sprawę), wychodził na środek sali, stawał pod samym żyrandolem, tak że każdy mógł widzieć wielkie krople potu na jego wyniosłej łysinie - jak to, więc występujecie przeciw krytyce i samokrytyce? - I wymachując ostro pięścią, tak jakby wbijał swoje myśli słuchaczom do głowy, klarował: - Samokrytyka jest najwyższym prawem, siłą napędową naszego społeczeństwa, głównym motorem postępu! Czas już zrozumieć, że kiedy krytykujemy członków naszego kolektywu, to nie po to, by oddać ich pod sąd, tylko po to, żeby utrzymywać każdego z naszych pracowników w ciągłym, bezustannym napięciu twórczym! I tu nie może być dwóch zdań, towarzysze! Ma się

rozumieć, nie każda krytyka jest nam potrzebna, to już na pewno! Potrzebna jest nam krytyka konstruktywna, to znaczy krytyka nie wymierzona przeciwko naszej doświadczonej kadrze kierowniczej! Nie należy mylić wolności krytyki z wolnością dla anarchistycznych, drobnomieszczańskich wyskoków!

Podchodził później do karafki z wodą, by zapić jeszcze jeden proszek.

Tak oto triumfowała generalna linia partii. I tak się zawsze zdarzało, że cały zdrowy kolektyw, nie wyłączając tych członków, których biczowała i mieszała z błotem rezolucja („przestępcze niedbalstwo w stosunku do prowadzonych prac”, „graniczące z sabotażem lekceważenie wyznaczonych terminów”) - jednomyślnie głosował za rezolucją.

Czasami nawet tak się zdarzało, że Stiepanow, lubiący rezolucje szeroko rozbudowane, Stiepanow, który dziwnym przypadkiem zawsze znał zawczasu treść mających nastąpić przemówień, a także końcową opinię zebranych - nie zdążył jednak w pośpiechu napisać rezolucji jeszcze przed zebraniem. W takich wypadkach, po słowach przewodniczącego:

- Głos dla zreferowania projektu rezolucji ma towarzysz Stiepanow! - etatowy sekretarz ocierał pot z czoła i z łysiny i odzywał się w takie słowa:

- Towarzysze! Byłem bardzo zajęty i dlatego w projekcie rezolucji nie zdążyłem ująć w ścisłą formę niektórych okoliczności, nazwisk i faktów.

Albo:

- Towarzysze! Zostałem dziś wezwany do Naczelnego Zarządu i z tego powodu nie wykończyłem jeszcze projektu rezolucji...

I w obu wypadkach:

- Dlatego proponuję, abyśmy przegłosowali rezolucję w ogólnych zarysach, a jutro ja już ją w spokoju dopracuję.

I kolektyw marfiński okazywał się na tyle zdrowym, że bez sprzeciwu podnosił ręce, wcale nie wiedząc (i nie dowiadując się nigdy), kogo mianowicie będą w tej rezolucji łajać, a kogo wychwalać.

Pozycję nowego partorga bardzo umacniała jeszcze ta okoliczność, że jego siły moralnej nie osłabiały żadne przyjacielskie stosunekczki. Wszyscy zwali go z szacunkiem „Borys Siergieicz”. Traktował to jak rzecz naturalną, nigdy jednak sam nikogo w ten sposób nie nazywał, i nawet przy bilardzie (którego sukno zawsze zieleniało w lokalu egzekutywy) w zapale gry wykrzykiwał:

- Łup w tę bilę, towarzyszu Szykin!

- Lu go od bandy, towarzyszu Kłykaczow!

Stiepanow w ogóle nie lubił, aby ludzie apelowali do jego wyższych, najlepszych pobudek. Jednocześnie sam też nie liczył na te pobudki u innych. Dlatego też, gdy tylko wyczuł w kolektywie jakieś niezadowolenie albo sprzeciw wobec swoich inicjatyw, to nie bawił się w oracje, nie usiłował nikogo przekonać, tylko brał duży arkusz papieru, pisał u góry dużymi literami: „Proponuję wymienionym niżej towarzyszom wykonać w takim a takim terminie takie a takie partyjne zadania”, następnie kreślił na papierze rubryki: kolejny numer, nazwisko, własnoręczny podpis - i kazał sekretarce obejść z tym arkuszem wszystkich zainteresowanych. Wymienieni towarzysze czytali, w rozmaity sposób dawali wyraz swojej wściekłości, ale nie mogli nie podpisać się na białym, obojętnym arkuszu, skoro zaś już się podpisali, to nie mogli się wymówić od wykonania zlecenia.

Etatowy sekretarz wolny był od wszelkich wahań i błąkań we mgle. Wystarczyło oznajmić przez radio, że nie ma już więcej bohaterskiej Jugosławii, jest natomiast klika Tity, jak już po pięciu minutach Stiepanow tłumaczył ludziom decyzję Kominformu z taką dobitnością, z takim przekonaniem, jakby już całe lata ona w nim dojrzewała. Jeśli zaś ktoś nieśmiało zwracał uwagę Stiepanowa na sprzeczność między wczorajszymi a dzisiejszymi instrukcjami, na złe zaopatrzenie instytutu, na niską jakość krajowej aparatury albo na kłopoty mieszkaniowe - etatowy sekretarz aż się uśmiechał i okulary aż mu zaczynały błyszczeć, wiedział bowiem z góry, co miał teraz do powiedzenia:

- Co robić, towarzysze. Wciąż ta biurokratyczna mitręga. Ale jest przecież jakiś postęp w tej dziedzinie, temu nie można zaprzeczyć!

A jednak pewne ludzkie słabostki miał nawet Stiepanow, co prawda, w bardzo ograniczonym zakresie. Tak na przykład, lubił, kiedy wysoka zwierzchność go chwaliła i kiedy szeregowi członkowie partii podziwiali jego doświadczenie. Lubił, bo też należało mu się to sprawiedliwie.

Prócz tego - pijał wódkę, ale tylko jeśli go częstowano albo stawiano na stole i zawsze skarżył się przy tym, że wódka jest zabójcza dla jego zdrowia. Dlatego też nigdy sam jej nie kupował i nigdy nią nikogo nie częstował. To już były chyba wszystkie jego wady.

„Młodzi” spierali się czasem w swoim gronie, kim właściwie jest Pastuch. Rojtman mawiał:

- Przyjaciele! To jest prorok kałamarza. To zmaterializowany duch drukowanej

instrukcji. Tacy ludzie zjawiają się nieuchronnie w okresach przejściowych.

Ale Kłykaczow uśmiechał się krzywo:

- Żółtodzioby! Niechby któryś z nas trafił mu na talerz, to zaraz zeżre, gównojad. Nie myślcie sobie, że on głupi. W ciągu tych pięćdziesięciu lat nieźle nauczył się żyć! Wam się wydaje, że to tak sobie - po każdym zebraniu mieć w ręku ostrą rezolucję przeciw komuś? On w ten sposób pisze historię Marfina! Po prostu bardzo przezornie kolekcjonuje sobie materiały: w przypadku jakichkolwiek zmian każda inspekcja będzie mogła się przekonać, że etatowy sekretarz dawno już sygnalizował i starał się zwrócić uwagę opinii na braki.

W stroniczej interpretacji Kłykaczowa Stiepanow był intrygantem, człowiekiem fałszywym, myślącym tylko o tym, aby za wszelką cenę postawić na nogi swoich trzech synów.

Stiepanow rzeczywiście miał trzech synów, którzy nieustannie domagali się od ojca pieniędzy. Wszystkim trzem kazał studiować na uniwersytecie historię. Była to rachuba niby słuszna, ale Stiepanow nie wziął pod uwagę (podobnie jak nie przewidział tego ogólny plan edukacji narodowej), że tymczasem zostały obsadzone wszystkie etaty nauczycieli historii we wszystkich szkołach, uczelniach technicznych i na kursach krótkoterminowych, z początku w Moskwie, później w obwodzie moskiewskim, a później do samego Uralu. Pierwszy syn skończył studia i nie został w Moskwie, żeby wziąć z czasem rodziców na utrzymanie, tylko pojechał do Chanty-Mansyjska. Drugiemu zaproponowano Ułan Ude, kiedy zaś trzeci dorośnie, to nie będzie mógł chyba znaleźć niczego odpowiedniego bliżej niż na Borneo.

Tym zazdrośniej ojciec trzymał się swojej pracy - i małego domku na przedmieściach Moskwy, z dwunastoma setnymi hektara sadu, z beczkami kiszzonej kapusty i z dwiema, trzema świniami przeznaczonymi na upas. Żona Stiepanowa, niewiasta trzeźwa, być może nawet trochę zacofana, widziała w hodowli świń główny cel życia i podstawę rodzinnego dostatku. Dawno już powzięła stanowczy zamiar, żeby pojechać w niedzielę z mężem w teren i tam kupić prosię. Właśnie z powodu tej (udanej) operacji Stiepanow nie przyszedł ostatniej niedzieli do pracy, chociaż czuł niepokój w sercu po pewnej sobotniej rozmowie i ciągnęło go do Marfina.

W sobotę w Zarządzie Politycznym dosięgnął Stiepanowa bolesny cios. Pewien działacz, bardzo odpowiedzialny, ale - mimo swoich odpowiedzialnych trosk - także bardzo korpulentny (miał tak na oko ze sześć, siedem pudów), popatrzył na chudy, wyżłobiony

przez okulary nos Stiepanowa i spytał leniwym barytonem:

- Aha, Stiepanow, a jak tam u ciebie z gudłajami?

- Z gu... z kim? - Stiepanowowi wydawało się, że nie dosłyszał.

- Z żydkami. - I widząc, że Stiepanow dalej nie rozumie, wyjaśnił: - No, z parchami, rozumiesz?

Zupełnie zaskoczony i bojąc się nawet powtórzyć to obosieczne słowo, za które jeszcze tak niedawno dawano dziesięć lat, jak za agitację antysowiecką, a kiedyś nawet rozstrzeliwano, Stiepanow mruknął niewyraźnie:

- A są...

- No to co ty tam tak długo myślisz?...

Ale tu zadzwonił telefon, odpowiedzialny towarzysz podniósł słuchawkę i więcej już ze Stiepanowem nie rozmawiał.

Zdezorientowany Stiepanow przerzucił w Zarządzie całą paczkę dyrektyw, instrukcji i wskazówek, ale czarne litery na białym papierze chytrze omijały szerokim łukiem kwestię żydowską.

Przez całą niedzielę, podczas wyprawy po prosię, Stiepanow rozmyślał, rozmyślał i z desperacji wciąż drapał się po piersiach. To starość chyba przytępiła mu zdolność przewidywania! A teraz - co za wstyd! - taki doświadczony pracownik jak Stiepanow przegapił jakąś ważną nową kampanię i nawet w pośredni sposób okazał się wplątany we wraże intrygi, bo przecież ta cała grupa Rojtmana i Kłykaczowa...

W poniedziałek rano Stiepanow przyjechał do pracy bardzo zdetonowany. Kiedy Szykin odmówił mu rozegrania partyjki w bilard (Stiepanow miał nadzieję, że dowie się czegoś od Szykina), duszący się z braku instrukcji etatowy sekretarz zamknął się w lokalu partyjnym i przez bite dwie godziny zawzięcie szturchał metalowe bile grając sam przeciw sobie i wysyłając je czasami aż za burtę. Olbrzymia wisząca na ścianie, kryta brązem płaskorzeźba przedstawiająca cztery profile Protoplastów, roztasowane jak wachlarz, była świadkiem kilku wspaniałych zagrań, kiedy to po dwie i po trzy bile naraz szły do dziury. Ale postacie wyobrażone na płaskorzeźbie były spiżowo obojętne. Oczy każdego geniusza wpatrzone były tylko w kark poprzedniego i nie podpowiedziały Stiepanowowi, w jaki sposób ma on nie tylko uratować zdrowy kolektyw, ale nawet umocnić go w danych okolicznościach.

Całkiem zmordowany usłyszał wreszcie dzwonek i przypadł do słuchawki.

Dawano mu znać, po pierwsze, aby tego wieczoru - zamiast zwykłego szkolenia partyjnego i komsomolskiego aktywu - zwołał wszystkich na wykład „Materializm dialektyczny jako światopogląd najbardziej postępowy”, który wygłosi lektor komitetu obwodowego. Po drugie, do Marfina jedzie już samochód z dwoma towarzyszami, którzy udzielą mu odpowiednich wskazówek w sprawie walki z czołobitnością wobec Zachodu.

Etatowy sekretarz ożywił się, poweselał, wbił dubleta i schował kij bilardowy za szafę.

To jeszcze podnosiło go na duchu, że kupione wczoraj różanouche prosię bardzo chętnie, bez żadnych grymasów zjadło porcję parzonych kartofli rano, a także wieczorem. Pozwalało to mieć nadzieję, że da się utuczyć i dobrze, i tanio.

79

Major Szykin siedział w gabinecie inżyniera-pułkownika Jakonowa.

Rozmawiali jak równy z równym, w zupełnie przyjaznej atmosferze, chociaż każdy z nich pogardzał swoim partnerem i znieść go nie mógł.

Jakonow lubił używać na zebraniach terminu „my, czekałsi”. Ale w oczach Szykina był jak dawniej - wrogiem ludu szwendającym się po zagranicach, odsiadującym później wyrok, ułaskawionym, przyjętym nawet w poczet pracowników bezpieczeństwa, ale n i e wolnym od winy! Nieuchronnie, nieuchronnie musi znowu nadejść dzień, w którym organy zdemaskują Jakonowa i znowu go zaaresztują. Szykin gotów był z rozkoszą zerwać mu wtedy epolety osobiście! Pedantycznego majora, pokurcza o wielkim łbie, obrażała po prostu wielkopańska pobłażliwość inżyniera-pułkownika, ta dygnitarska pewność siebie, z którą dźwigał on brzemień władzy. Dlatego Szykin zawsze starał się podkreślić znaczenie swojej osoby i roboty operacyjnej, nie docenianej przez pułkownika.

Zaproponował, aby na najbliższym zebraniu poświęconym sprawom czujności uwzględnić w porządku dziennym referat Jakonowa o problemach czujności w instytucie, z ostrą krytyką wszelkich braków. Dobrze byłoby powiązać takie zebranie ze sprawą odesłania niesumiennych zeków do obozów i z wprowadzeniem nowych, tajnych dzienników pracy.

Inżynier-pułkownik Jakonow, wycieńczony wczorajszym atakiem, z niebieskimi workami pod oczyma, ale z twarzą, jak dawniej, mile zaokrągloną - potakiwał majorowi, w głębi zaś duszy, za rzędami murów i okopów, dokąd nie wtargnęło jeszcze niczyje spojrzenie, jeżeli nie liczyć żony, myślał właśnie, jaka to obrzydliwa, szarowłosa, posiwiiała nad donosami wesz z tego majora Szykina, jak idiotycznie małostkowe są wszystkie jego

czynności, jakie kretyńskie są jego propozycje.

Jakonow miał do rozporządzenia tylko jeden jedyny miesiąc. Za miesiąc jego głowa mogła znaleźć się na pieńku. Trzeba by wyrwać się z urzędowego pancerza, zerwać z bezwładem uprzywilejowanej pozycji - usiąść samemu nad technicznymi rysunkami, pomyśleć trochę w ciszy.

Ale skórzany fotel nienaturalnej wielkości, który zajmował inżynier-pułkownik, był przykładem pewnej sprzeczności wewnętrznej; pułkownik, odpowiadając za wszystko, nie mógł zarazem tknąć niczego własnymi rękoma. Mógł tylko podnosić słuchawkę i podpisywać papiery.

Także ta babska wojenka z grupą Rojtmana kosztowała go wiele sił. Wojnę tę prowadził z musu, niechętnie. Nie był w stanie przepędzić ich z instytutu, chciał tylko zmusić do bezwzględnego posłuszeństwa. Oni natomiast chcieli go wyrzucić i zdolni byli go unicestwić.

Szykin mówił dalej. Jakonow ominął wzrokiem jego twarz i patrzył gdzieś obok. Oczy miał otwarte, ale duchem był nieobecny; duch ten opuścił na chwilę mdłe ciało Jakonowa ściśnięte frenczem i przeniósł się do jego domu.

Mój dom! Mój dom - to moja twierdza! Jak mądrzy są Anglicy, którzy pierwsi zrozumieli tę prawdę! Na twoim maleńkim, własnym terytorium ważne są tylko twoje prawa. Cztery ściany i dach szczelnie odgradzają cię od ukochanej ojczyzny. Na progu domu witają cię uważne, promieniejące cichym blaskiem oczy żony. Rozszczebiotane dziewczynki (niestety one również wessane będą przez szkołę, jakże podobną do tej ogłupiającej państwowej pracy) rozśmieszają człowieka i przywracają mu pogodę ducha, gdy jest już całkiem zmordowany wiecznym szczuciem i szarpaniną. Żona już nauczyła obydwie angielskiego. Usiądzie przy pianinie i zagra miłego walczyka Waldteufła. Krótkie są te chwile, ma się je tylko podczas obiadu i późnym wieczorem, już na progu nocy - ale za to nie ma w twoim domu ani dostojnych, nadętych durniów, ani wścibskich i złośliwych smarkaczy.

Wszystko, co składało się na pracę Jakonowa, pełne było takich udręk, poniżeń, gwałtów nad własną wolą, administracyjnego bałaganu - ponadto Jakonow czuł już tak bardzo ciężar lat, że z wielką chęcią wyrzekłby się tej pracy, gdyby mógł, po to, żeby zamknąć się wyłącznie w swoim malutkim przytulnym świątku, w swoim domu.

Nie, nie znaczyło to wcale, że świat zewnętrzny nie interesował go - przeciwnie,

interesował, nawet bardzo. Trudno mu było nawet wskazać w historii świata jakiś okres, który by wart był większej uwagi niż nasz. Polityka międzynarodowa była dla niego rodzajem szachów - ustokrotnionych Szachów. Tylko że Jakonow wcale nie chciał siadać do gry albo, co gorsza, być pionkiem w tej grze, główką pionka, filcową podeszwą pionka. Jakonow chciał tylko przyglądać się grze z boku, delektować się nią - w wygodnej piżamie, w starym krześle na biegunach, w pokoju pełnym książek.

Jakonow miał wszystkie dane, by prowadzić taki tryb życia. Znał dwa obce języki i zagraniczne radio bez chwili przerwy udzielało mu wszelkich informacji. Ministerstwo, abonując zagraniczne czasopisma techniczne i wojskowe, bez żadnej zwłoki rozsyłało je do swoich tajnych instytutów naukowych. Czasopisma zaś te miały zwyczaj częstego drukowania artykułików o polityce, o następnej wojnie światowej, o przyszłym ustroju politycznym naszej planety. Obracając się wśród wyższych kręgów Jakonow chcąc nie chcąc też musiał słyszeć o pewnych sprawach nie znanych gazetom. Chętnie brał też do ręki tłumaczone na rosyjski książki o dyplomacji i pracy wywiadu. Nadto miał jeszcze na karku własną głowę, a w niej sporo ostrych myśli. Jego gra w Szachy polegała na tym, że ze swojego krzesła na biegunach przyglądał się partii Wschód-Zachód i starał się z zaobserwowanych ruchów wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Komu sprzyjał? W głębi duszy - Zachodowi. Ale dobrze wiedział, kto zwycięży, i ani szeląga by nie postawił przeciw niemu: zwycięzcą będzie Związek Sowiecki. Jakonow zrozumiał to już po swojej podróży na Zachód w 1927 roku. Zachód był skazany właśnie dlatego, że tak dobrze mu się powodziło, że nie miał chęci ryzykować życia, aby tego dobrego życia bronić. A najznakomitsi myśliciele i działacze Zachodu szukając usprawiedliwień dla tej chwiejności, dla tej chęci odroczenia rozgrywki - sami siebie oszukiwali wiarą w puste a dźwięczne obietnice Wschodu, w jego kryształową ideowość. Wszystko, co nie pasowało do tego schematu, było odrzucane jako oszczerstwo albo uznawane za zjawisko przejściowe.

Działało tu ogólnoswiatowe prawo: zwycięża najokrutniejszy. Respektują to prawo, niestety, całe dzieje i wszyscy prorocy.

We wczesnej młodości usłyszał był i dobrze zapamiętał popularne powiedzonko „wszyscy ludzie to łajdaki”. I przez całe swoje późniejsze życie widział wciąż tylko dowody słuszności tej maksymy. Im bardziej też wkorzeniała mu się w duszę, tym więcej znajdował dowodów na jej rzecz i tym łatwiej jakoś mu się żyło. Jeżeli bowiem wszyscy ludzie są

łajdakami, to nigdy nic nie wolno robić „dla ludzi”, trzeba myśleć tylko o sobie. I nie ma żadnych tam „społecznych ołtarzy”, i niech nikt nie śmie żądać, abyśmy na nich cokolwiek składali w ofierze. I wszystko to bardzo dawno i bardzo niezawile sformułował sam lud: „koszula bliższa ciału”.

Dlatego urzędowi strażnicy ankiet i dusz nie mieli żadnego powodu, aby obawiać się Jakonowa ze względu na jego przeszłość. Rozmyślając nad życiem Jakonow doszedł do wniosku: do więzienia trafiają tylko ci, którym w jakiejś chwili nie starczyło rozsądku.

Kto jest naprawdę mądry, ten potrafi wszystko przewidzieć i tak się wykręcić, żeby zawsze cieszyć się wolnością. No i po co spędzać za kratami to życie, które trwa tylko tak długo, jak długo człowiek oddycha? Nie! Jakonow zerwał ze światem zeków nie tylko na pokaz, ale również wewnątrz. Swoich czterech pięknych pokoi z balkonem i siedmiu tysięcy miesięcznie nie dostałby z innych rąk albo nie tak prędko by się ich dochrapał. Owszem, zrobili mu wiele złego, postępowali wobec niego bezmyślnie, często nieudolnie, zwykle okrutnie - ale przecież w tym okrucieństwie była siła, to był jej najbardziej oczywisty przejaw!

Nie mogąc wycofać się z tej pracy raz na zawsze, Jakonow sposobił się do wejścia w poczet członków partii komunistycznej, gdyby go tylko zechciano przyjąć.

Szykin tymczasem podał mu spis zeków wyznaczonych do jutrzejszego transportu. Uzgodnionych zawczasu kandydatów było szesnastu, teraz zaś Szykin z aprobatą dopisał jeszcze dwa nazwiska wzięte z biurkowej agendy Jakonowa. W korespondencji z Zarządem Więziennictwa była mowa o dwudziestu. Brakującą jeszcze dwójkę trzeba było wyznaczyć szybko, aby nie później niż o piątej wieczór móc przekazać spis podpułkownikowi Klimentiewowi.

Ale jakoś opornie im szło z tymi nowymi kandydaturami. Tak już zawsze się składało, że najlepsi specjaliści i pracownicy byli bardzo podejrzani z operacyjnego punktu widzenia, zaś ulubieńcami opera byli durnie, szaląputy i nieroby. Właśnie dlatego trudno było uzgadniać spisy przeznaczonych do wysyłki.

Jakonow rozłożył ręce.

- Zostawcie mi spis. Jeszcze pomyślę. I wy też nad tym pomyślcie. Stelefonuje-my się.

Szykin bez pośpiechu podniósł się z krzesła i (powinien był się powstrzymać, ale przecież nie zdołał) temu niegodnemu zaufania człowiekowi poskarżył się na dziwne kroki ministra; do dwudziestego pierwszego pokoju wpuszcza się więźnia Rubina, wpuszcza się

Rojtmana - a właśnie jego, Szykina, podobnie zresztą jak pułkownika Jakonowa w ich własnym obiekcje się nie wpuszcza, dobre, co?

Jakonow podniósł brwi przymykając jednocześnie powieki, tak że na chwilę zupełnie zaniewidział. Mówił jakby:

„Tak, majorze, tak, przyjacielu, to mnie też boli, ale nie śmiem podnosić oczu na słońce”.

W rzeczywistości zaś Jakonow uważał całą sprawę dwudziestego pierwszego pokoju za niepewny interes. Kiedy owej nocy z soboty na niedzielę w gabinecie Abakumowa usłyszał od Riumina o tym telefonie, przejęło go uczucie podziwu dla zuchwałstwa tych dwóch nowych posunięć w międzynarodowej partii Szachów. Burza, którą później przeżył, kazała mu znowu zapomnieć wszystko. Wczorajszego ranka, gdy po ataku serca zrobiło mu się trochę lepiej, chętnie poparł Seliwanowskiego, gdy ten zaproponował przekazanie całej sprawy Rojtmanowi (a sprawa przecież śliska, Rojtman to gorączka, może nareszcie skręci kark). Ale zaciekawienie tym zuchwałym telefonem dalej go muliło i Jakonow czuł jednak przykrość, że nie wpuszczają go do pokoju 21.

Szykin wyszedł. Jakonow zaś przypomniał sobie najprzyjemniejszą ze spraw, jakimi dziś miał się zająć, bo wczoraj nie zdążył. A przecież, jeżeli dobrze pchnąć naprzód sprawę absolutnego szyfratora, to właśnie ona może uratować go w oczach Abakumowa za miesiąc.

Zadzwoił do biura konstruktorskiego i zlecił, aby Sołogdin zjawił się u niego z nowym projektem.

Nie minęły dwie minuty, a Sołogdin już zapukał i wszedł do gabinetu z pustymi rękoma - przystojny, z kędzierzawą bródką, w zatłuszczonym kombinezonie.

Jakonow prawie nigdy dotąd nie rozmawiał z Sołogdinem; nie było jakoś powodu, aby wzywać go do tego gabinetu. A podczas wizyt w biurze konstruktorskim albo gdzieś na korytarzu inżynier pułkownik nie dostrzegał nawet osoby tak mało znaczącej. Ale teraz (zerknąwszy przedtem do spisu imion i patronimików leżącego pod szkłem) z całą serdecznością i wielkopańską gościnnością Jakonow spojrzął na wchodzącego i powiedział, podkreślając słowa szerokim gestem:

- A, Dymitr Aleksandrowicz? Bardzo rad jestem pana widzieć.

Sołogdin podszedł bliżej z rękoma jakby przyspawanymi do boków, uklonił się w milczeniu, wyprostował się i stanął bez ruchu.

- A więc pan przyszykował nam w tajemnicy niespodziankę? - zagruchał Jakonow. -

W tych dniach, bodajże w sobotę, zobaczyłem u Włodzimierza Erastowicza pański projekt głównego węzła absolutnego szyfratora... Czemu pan nie siada?... Obejrzałem go tylko pobieżnie i szalenie chciałbym rozpatrzeć go bardziej szczegółowo.

Patrząc prosto w pełne sympatii oczy Jakonowa, stojąc w półobrocie, nieruchomo jak podczas pojedynku, kiedy za chwilę strzelać ma przeciwnik, Sołogdin odparł dzieląc słowa:

- Myli się pan, pułkowniku. Istotnie, pracowałem nad szyfratorem, ile mi na to siły pozwalały. Ale to, co z moich wysiłków wynikło i co pan widział, jest tworem pokracznie niedoskonałym, zresztą na miarę moich bardzo przeciętnych zdolności.

Jakonow wyprostował się w swoim fotelu i życzliwym tonem zaprotestował:

- Noo, chyba nie, mój kochany, tylko bez tej fałszywej skromności. Chociaż pracę pańską tylko pobieżnie przejrzałem, jestem o niej bardzo wysokiego zdania. A Włodzimierz Erastowicz, który dla nas obu jest sędzią najwyższym, wyraża się o niej w sposób zdecydowanie pochwalny. Teraz każę, żeby nam tu nikt nie przeszkadzał, niech pan przyniesie swój arkusz, podzieli się swoimi uwagami i nad resztą zastanowimy się wspólnie. Jeżeli pan chce, to zaprosimy Włodzimierza Erastowicza?

Jakonow nie był tępym kierownikiem przedsiębiorstwa, którego interesuje jedynie wynik albo jakość produkcji. Był inżynierem, niegdyś nawet pełnym fantazji, więc teraz już cieszył się z góry na tę subtelną przyjemność, której dostarczyć może kontakt z długo hołubioną ludzką myślą. Była to jedyna przyjemność, którą miał jeszcze ze swojej pracy. Patrzył na Sołogdina błagalnie i uśmiechał się łakomie.

Sołogdin też był inżynierem, już od czternastu lat. Więźniem zaś był od dwunastu.

Zaschło mu w gardle i mówił z trudem:

- Niemniej, pułkowniku, pan myli się całkowicie. To był tylko szkic wcale niewart pańskiej uwagi.

Jakonow sposepniał i sierdząc się już trochę powiedział:

- No dobrze, zobaczymy, zobaczymy, proszę przynieść arkusz.

Na jego epoletach, złotych z błękitnym kantem, widniały trzy gwiazdy, trzy duże gwiazdy ustawione w trójkąt. Starszy lejtnant Kamyszan, oper z Górnej Zakrytki, w okresie, w którym bijał Sołogdina, też dostał zamiast dawnych kubików takie same złote z niebieskim kantem, rozstawione w trójkąt trzy gwiazdy, tylko mniejsze.

- Ten szkic więcej nie istnieje. - Głos mu zadrżał. - Znalazłszy w nim ogromne, niemożliwe do poprawienia błędy, ja go... spaliłem.

(Wbił swoją szpadę i dwakroć obrócił klingę w ranie.) Pułkownik zbladł. W złowróznej ciszy słycać było, jak ciężko sapie.

Sołogdin starał się oddychać cicho i spokojnie.

- To znaczy... Jak?... Własnymi rękoma?

- Nie, dlatego. Oddałem do spalenia. Według przepisów. Dziś u nas palono papiery. - Mówił głucho, niewyraźnie. Nie było w tym ani śladu jego butnej pewności siebie.

- To może jeszcze nie został spalony? - zawołał Jakonow z żywą nadzieją.

- Spalony. Widziałem przez okno - odparł Sołogdin jak nożem uciął.

Jedną ręką zaciskając poręcz krzesła, drugą wpijając się w marmurowy przycisk, jakby chciał rozbić nim głowę Sołogdina - pułkownik z wysiłkiem dźwignął duże swoje ciało i pochylił się nad biurkiem, cały podany naprzód.

Z lekko odrzuconą wstecz głową Sołogdin stał w swoim granatowym kombinezonie jak na piedestale.

Obu inżynierom nie trzeba już było żadnych pytań ani wyjaśnień. Patrzyli sobie w oczy tak, jakby przebiegały między nimi prądy niesłyszanej częstotliwości i niewymiernego napięcia.

„Ja cię zniszczę!” - bluzgało z oczu pułkownika.

„A zasuń mi ten trzeci wyroczek, draniu!” - krzyczały oczy więźnia.

Wydawało się, że za chwilę grom tu strzeli.

Ale Jakonow ścisnął dłonią czoło i oczy, jakby światło go raziło, odwrócił się i podszedł do okna.

Opierając się mocno o najbliższe krzesło Sołogdin opuścił oczy; ogarnęła go niemoc.

„Miesiąc. Tylko miesiąc. Więc jestem zgubiony?” - pułkownik nagle zobaczył to jasno, ze wszystkimi detalami.

„Trzeci wyrok. Już bym tego nie przeżył” - Sołogdinowi serce zamierało.

Jakonow znowu odwrócił się i patrzył na Sołogdina.

„Jesteś przecież inżynierem! Jak mogłeś?!” - pytał spojrzeniem.

Ale oczy Sołogdina też rozbłysły:

„Byłeś przecież więźniem! Już zapomniałeś wszystko?!”

Spojrzeniem pełnym nienawiści i fascynacji, bo widzącym w tym drugim własny, nie spełniony jeszcze los, patrzyli na siebie obaj i nie mogli oczu oderwać.

I widmo żółtoskrzydłej Agnieszki drugi raz w ciągu tych dni przemknęło przed

oczyma Antoniego.

Jakonow mógł teraz krzyczeć, walić pięścią, telefonować, posyłać do więzienia - Sołogdin był przygotowany na to także.

Ale Jakonow wyciągnął czystą, miękką, białą chusteczkę i przetarł nią powieki. I spojrzął na Sołogdina jasnymi oczyma.

Sołogdin starał się wytrzymać jeszcze właśnie tych kilka minut.

Jedną ręką inżynier-pułkownik oparł się o parapet, drugą zaś w milczeniu kiwnął na Sołogdina.

Sołogdin zrobił w jego stronę trzy twarde kroki.

Garbiąc się trochę, jakby ciążyły mu już lata, Jakonow zapytał:

- Jesteście z Moskwy, Sołogdin?

- Owszem.

- Spójrzcie no tam - powiedział Jakonow. - Czy widzicie na szosie przystanek autobusowy?

Było go dobrze widać z okna. Sołogdin spojrzął w tym kierunku.

Ę - Stąd jest tylko pół godziny do centrum Moskwy - powiedział Jakonow cicho. - Do tego autobusu moglibyście sami wsiąść w czerwcu-w lipcu tego roku. Aleście tego nie chcieli. Wolno mi sądzić, że w sierpniu już byście mogli wyjechać na pierwszy urlop, chyba nad Morze Czarne? Kąpać się, kąpać! Ileście lat już nie wchodzili do wody? Przecież więźniów nigdy się nie puszcza!

- Dlaczego? Przy spalaniu drzewa - powiedział Sołogdin.

- Ładna kąpiel! Ale was poślą na taką północ, Sołogdin, gdzie rzeki nigdy nie odmarzają...

Więc to tak? Nie dość tej ofiary z całej przyszłości, z dobrego imienia. Trzeba im jeszcze oddać chleb, spłynąć krwią, zedrzeć z siebie skórę, iść do katorżnego łagru...

- Sołogdiin! - śpiewnie i z udręką zajęczał Jakonow i wsparł obie ręce na barkach aresztanta, jakby sam za chwilę miał upaść. - Przecież pan na pewno potrafi to wszystko jeszcze raz odtworzyć! Mnie się nie mieści w głowie, żeby mógł istnieć na świecie człowiek sam dla siebie niezycliwy. Proszę mnie objaśnić: dlaczegoście spalili ten rysunek?

Błękit oczu Dymitra Sołogdina był tak samo nieugięty, nieprzekupny, nieskalany. A w czarnym kółeczku jego źrenicy Jakonow widział swoją dorodną głowę.

Błękitny krążek z czarną dziurką pośrodku - a za nimi cały nieodgadniony świat

przeżyć tego właśnie, pojedynczego człowieka.

Jak to dobrze mieć mocną głowę. Człowiek decyduje wtedy o przebiegu całej sprawy, aż do ostatniej chwili. Cały bieg wydarzeń zależy od ciebie. I po co tu narażać się na zgubę? Dla kogo? Dla tego bezbożnego, zatraconego, zepsutego ludku?

- A jak myślicie? - odpowiedział Sołogdin pytaniem. Jego soczyste wargi, różowiejące między wąsami a bródką, wygięły się odrobinę, jakby miał się uśmiechnąć.

- Nie rozumiem - Jakonow zdjął ręce z jego ramion i poszedł w stronę biurka. - Samobójców nie rozumiem.

I usłyszał za plecami głos znowu dźwięczny i pewny siebie:

- Obywatelu pułkowniku! Człowiek ze mnie mało znaczący, nikomu nie znany. Nie chciałem swojej wolności oddać za byle co.

Jakonow szybko odwrócił się ku niemu.

- ... Gdybym nie spalił rysunku, tylko położył go tu w gotowej formie - nasz podpułkownik, wy sami, Foma Gurianowicz, zresztą każdy, mogliby mnie jutro wypchnąć do transportu, a rysunek podpisać dowolnym nazwiskiem. Znamy podobne przykłady. A z więzień etapowych, pozwolę sobie panu powiedzieć, bardzo nieporęcznie jest wysyłać skargi: ołówki zabierają, papieru nie dają, podania posyłają nie tam, gdzie trzeba... Więzień odesłany transportem nie może w niczym mieć racji...

Jakonow słuchał Sołogdina prawie że z zachwytem (ten człowiek spodobał mu się z punktu, kiedy tylko przestąpił próg).

- Więc pan by się zgodził zrekonstruować swój projekt?! - to nie inżynier pułkownik pytał, tylko zdesperowany, zadręczony, nad niczym już nie władny człowiek.

- To, co było na moim arkuszu - w ciągu trzech dni! - błysnął oczyma Sołogdin. - A za pięć tygodni dostarczę panu pełny projekt ze wszystkimi obliczeniami i technicznymi wskazówkami. Czy to pana urządza?

- Miesiąc! Miesiąc! To musi być miesiąc!! - nie nogami po podłodze, tylko rękoma po biurku przebierał Jakonow starając się zbliżyć do tego piekielnego inżyniera.

- Zgoda, będzie pan miał za miesiąc - chłodno zapewnił go Sołogdin.

Ale tu ogarnęła Jakonowa nieufność.

- Chwileczkę - powiedział. - Dopiero co mi pan/mówił, że to był nędzny szkic, że znalazł pan w nim poważne, nie dające się naprawić błędy...

- Oo! - szczerze zaśmiał się Sołogdin. - Płata mi czasem figle brak fosforu, tlenu i

barwnych wrażeń, wkraczam wtedy w jakieś pasmo mroku. Ale w tej chwili zgadzam się z profesorem Czełnowem: tam jest wszystko w porządku!

Jakonow też się uśmiechnął czując ulgę, ziewnął sobie i usiadł w fotelu. Delektował się opanowaniem Sołogdina, sposobem, w jaki prowadził on tę rozmowę.

- Ryzykowna to była gra, szanowny panie. Przecież to mogło skończyć się zupełnie inaczej.

Sołogdin lekko rozczapierzył palce.

- Chyba nie, pułkowniku. Mam wrażenie, że prawidłowo oceniłem sytuację instytutu i... pańską zarazem. Pan przecież zna francuski? *Le hasard est roi!* Jego Wysokość Przypadek! Bardzo rzadko zdarza się nam w życiu - a wtedy trzeba w odpowiedniej chwili dosiąść go - i to skacząc dokładnie na sam grzbiet!

Sołogdin mówił i zachowywał się tak po prostu, jakby rozmawiał z Nierżynem przy drwach. Teraz on z kolei usiadł, wciąż spoglądając wesoło na Jakonowa.

- Więc co jest do zrobienia? - spytał inżynier-pułkownik przyjaznym tonem.

Sołogdin odpowiedział jak z nut, jakby dawno już wszystko było zdecydowane:

- Fomę Gurianowicza wolałbym ominąć przy pierwszych krokach. Jest to właśnie ta osoba, która lubi dopisywać się w charakterze współnika. Z pańskiej strony podobnych chwytów nie przewiduję. Chyba się nie mylę?

Jakonow radośnie kiwnął głową. O, jak wiele zyskiwał nawet bez tego!

- Ponadto przypominam, że arkusz chwilowo nie istnieje, spalony. Teraz, jeżeli panu na moim projekcie zależy - to proszę, aby znalazł pan sposób zameldowania o mnie bezpośrednio ministrowi, w najgorszym razie - wiceministrowi. I niech rozkaz o mojej nominacji na funkcję głównego konstruktora podpisze on osobiście. Będzie to dla mnie gwarancja i wtedy wezmę się do roboty. I utworzymy zespół specjalny.

Drzwi gabinetu nagle się otwały. Wszedł bez pukania łysy, chudy Stiepanow. Jego szkła pobłyskiwały martwo.

- Antoni Nikołajewiczu! - oznajmił surowo. - Musimy porozmawiać, ważna sprawa.

Stiepanow mówił do kogoś nie po nazwisku! To było wprost niewiarygodne.

- A więc mam czekać na rozkaz? - Sołogdin podniósł się z krzesła.

Inżynier-pułkownik skinął głową. Sołogdin wyszedł stąpając lekko i twardo. Jakonow nie od razu potrafił się zorientować, o czym właściwie z takim ożywieniem mówi partorg.

- Towarzyszu Jakonow! Dopiero co byli u mnie towarzysze z Zarządu Politycznego i

nielicho zmyli mi głowę. Popełniłem duże i poważne błędy. Dopuściłem, aby w naszej organizacji partyjnej zagnieździła się grupa, nazwijmy to tak - kosmopolitów, przybłędów. A ja tymczasem przejawiałem polityczną krótkowzroczność, ja was nie poparłem wtedy, kiedy próbowali was zaszczyć. Ale powinniśmy z całą odwagą przyznawać się do swoich pomyłek! Więc my teraz sobie z wami przygotowujemy rezolucję, później zwołamy otwarte zebranie partyjne - i wymierzmy potężny cios w czołobitność.

Pozycja Jakonowa, wczoraj jeszcze tak beznadziejnie zachwiana, poprawiła się nagle i zdecydowanie.

80

Przed przerwą na obiad dyżurny Żwakun wywiesił w korytarzu specwężenia spis osób wezwanych do majora My szyna w go - dzinach przerwy. Według wersji oficjalnej w takich spisach wymienieni byli więźniowie, na których imię nadeszły z zewnątrz listy i przekazy pieniężne.

Procedura wydawania zekowi listu otoczona była w specwężeniach nimbem tajemnicy. Zadanie to nie mogło być, w tak trywialny sposób jak na wolności, powierzone byle włóczędze listonoszowi. Za szczelnie zamkniętymi drzwiami, w cztery oczy, kum, który list już przeczytał i sprawdził, że nie ma w nim żadnych grzesznych ani buntowniczych myśli, wręczał go więźniowi dodając odpowiednie pouczenia. List był oddawany w kopercie z całą szczerością otwartej, co dobijało w nim ostatnie ślady intymności łączącej krewnego z krewnym. List po przejściu przez wiele rąk, posiekany na cytaty do dossier, opatrzony czarną, rozmazaną pieczęcią cenzury - tracił swój nędzny sens osobisty, a zyskiwał ważną rangę dokumentu państwowego. (W niektórych szarazkach tak dobrze to pojmowano, że w ogóle nie oddawano listu więźniowi, tylko pozwalano mu go przeczytać, w zasadzie tylko raz, w gabinecie kuma, każąc w końcu listu stwierdzić podpisem fakt przeczytania; jeżeli zaś zek, czytając list od żony czy matki, próbował sobie coś z niego wypisać dla pamięci - budziło to takie podejrzenia, jakby ośmielił się kopiować dokumenty sztabu generalnego. Na przysyłanych z domu fotografiach zek z takiej szarazki też musiał stwierdzać podpisem, że je widział, po czym zdjęcia były wszywane do jego więziennych akt).

Tak więc spis został wywieszony - i sformowała się kolejka po listy. Stawali w tym ogonku również ci, którzy nie odebrać listy chcieli, tylko nadać - według przepisu należało wręczać listy osobiście kumowi, a wolno było pisać raz na miesiąc. Wszystkie te operacje dawały majorowi Myszynowi dogodną możliwość spotkań z jego konfidentami, którzy też

mogli zjawiać się wtedy u niego dodatkowo i bez obawy. Żeby zaś nie wyszło na jaw, z kim prowadzi dłuższe rozmowy, więzienny kum zatrzymywał czasem w swoim gabinecie także uczciwych zeków, co innych zbijało z tropu.

Stojący w ogonku podejrzewali się więc nawzajem. W niektórych wypadkach wiedzieli dokładnie, kto na nich donosi, ale uśmiechali się tylko przymilnie, żeby nie drażnić takiego syna.

Aczkolwiek sowiecka ciupologia nie opierała się bezpośrednio na dorobku myślowym Katona Starszego”ściśle trzymała się jego zaleceń: nie pozwalać, aby niewolnicy zbyt się ze sobą przyjaźnili.

Po dzwonku na obiad sznur zeków wyskoczył z podziemnego korytarza na dziedziniec. Przecinali go bez waciaków i czapek, bo nie chłodem wiało, tylko wilgocią, i znikali w drzwiach sztabu więziennego. Ponieważ tego ranka ogłoszono nowe przepisy w sprawie korespondencji, ogonek był szczególnie długi - ze czterdziestu ludzi; nie mieścili się już w korytarzu. Pomocnik dyżurnego, narwany podoficer komenderował nimi gorliwie, nie szcędząc swego kwitnącego zdrowia. Odliczył dwudziestu pięciu ludzi, pozostałym kazał odejść i wrócić podczas przerwy na kolację, tych zaś, co już byli w korytarzu, ustawił wzdłuż ściany z daleka od gabinetów kierownictwa i sam cały czas cyrkulował pilnując porządku. Każdy zek po kolei musiał minąć kilkoro drzwi, zapukać do gabinetu majora Myszyna i wchodzić dopiero po uzyskaniu zezwolenia. Gorliwy podoficer dyrygował tym ruchem przez całą przerwę obiadową.

Chociaż Spirydon długo prosił, żeby wydano mu list już rano, Myszyn powiedział stanowczo, że dostanie dopiero podczas obiadu, razem z innymi. Ale pół godziny przed przerwą wezwał do siebie Spirydona major Szykin. Gdyby Spirydon zeznał co trzeba, gdyby się przyznał - to przecież zaraz dostałby swój list, zdążyłby. Ale się uparł, zapierał się - i major Szykin nie mógł go puścić, póki nie skruszał. Dlatego też odżałował swoją przerwę obiadową (do stołówki dla frajerów major i tak chodził nie podczas przerwy, nie lubił tłoku) - i dalej sondował Spirydona.

Pierwszym w kolejce po listy był Dyrsin, wynędzniały inżynier z Siódemki, jeden z jej najlepszych pracowników. Nie dostawał listów już przeszło trzy miesiące. Daremnie pytał o nie Myszyna. Wciąż słyszał od niego, że „nie”, „nie piszą”. Daremnie prosił Mamurina, żeby interweniować na poczcie - nikt nie interweniował. I oto dzisiaj zobaczył swoje nazwisko w spisie. Walcząc z bólem świdrującym mu piersi, zdążył przybiec jako pierwszy. Z całej

rodziny została mu tylko żona, zadręczona przez dziesięcioletnie oczekiwanie, tak samo jak on.

Podoficer machnięciem ręki pozwolił Dyrsinowi iść do majora - i pierwszym z kolei okazał się uśmiechnięty łobuzersko Ruska Doronin ze swoją gęstą, falującą, jasną czupryną. Widząc, że zaraz za nim stoi w kolejce Łotysz Hugo, jeden z tych, którym się zwierzył, Ruska potrząsnął głową, mrugnął i powiedział szeptem:

- Idę po pieniądze. Ciężko zapracowane.

- Możecie iść! - zakomenderował podoficer.

Doronin ruszył z kopyta mijając powracającego, przygnębitego Dyrsina.

- No i co? - już na podwórzu spytał Dyrsina jego kolega z pracy i przyjaciel, Amantaj Bułatów.

Nie dogolona, zawsze zatroskana twarz Dyrsina jeszcze bardziej się wyciągnęła.

- Nic nie wiem. Powiedział - że list jest, ale że bym po przerwie przyszedł porozmawiać.

- A to kurwy! - z całym przekonaniem powiedział Bułatów i oczy błysnęły mu za okularami. - Dawno to mówię, listy kładą ci pod sukno. Powiedz, że odmówisz pracy!

- To drugi wyrok wlepią - westchnął Dyrsin. Garbił się zawsze i wciągał w ramiona głowę, jakby ktoś go kiedyś dobrze huknął po niej z tyłu. Bułatów też westchnął. Był taki wojowniczy, bo miał jeszcze długo siedzieć. Ale zek staje się tym bardziej potulny, im mniej zostało mu do końca kary. Dyrsin ostatni już rok rozmiękał na drobne.

Niebo było jednolicie szare, bez ciemnych nawarstwień i prześwitów. Nie czuło się jego głębi, nie wydawało się kopułą, tylko brudną brezentową płachtą naciągniętą nad ziemią. Pod ostrym, wilgotnym wiatrem śnieg osiadał, otwierały się w nim brudne pory, jego poranna biel już nieznacznie żółkła. Zbijał się pod nogami w bure, śliskie gule.

Więzienny spacer szedł zwykłą koleją. Nie można wyobrazić sobie pogody tak złej, żeby więdnących z braku powietrza więźniów szaraszki skłoniła do rezygnacji ze spaceru. Po długim siedzeniu w zamkniętych izbach sprawiały im nawet przyjemność te ostre podmuchy wilgotnego wiatru, wypierały im z płuc zatęchłe powietrze i zatęchłe myśli z głów.

Wśród spacerujących miotał się grawer. Brał pod rękę to jednego, to drugiego zeka, robił z nim parę okrążeń i prosił o radę. Jego sytuacja była wyjątkowo okropna, jak mu się zdawało; przecież siedząc w więzieniu nie mógł zawrzeć ślubu ze swoją pierwszą żoną - i

teraz będzie ona traktowana jak nieślubna; nie miał prawa więcej do niej pisać. Nawet o tym napisać, że więcej nie napisze - też nie mógł, bo wyczerpał już w grudniu swój miesięczny limit. Wszyscy mu współczuli. Rzeczywiście był w absurdalnej sytuacji. Ale każdemu własny ból przesłaniał cudze zmartwienia.

Skłonny do skrajności Kondraszow, wysoki, trzymający się tak prosto, jakby kij połknął, kroczył powoli patrząc znieruchomiałymi oczyma ponad głowami kolegów i w ponurym upojeniu mówił do profesora Czelnowa, że przy takim deptaniu godności ludzkiej - żyć dalej, to znaczy poniżać się samemu. Każdy odważny człowiek ma zaś prosty sposób przerwania tego łańcucha udręczeń.

Profesor Czelnow w swojej odwiecznej włóczkowej czapeczce i w pledzie narzuconym na ramiona spokojnie cytował malarzowi jak dla więźniów stworzone konsolacje Boecjusza.

Pod drzwiami sztabu skupiła się już grupa ochotnicza łowców szpicli - był w niej Bułatów, którego głos rozlegał się po całym dziedzińcu; Chorobrow; dobroduszny Ziemiela; starszy technik z pracowni próżniowej, Dwojetiosow, noszący z zasady tylko dziurawą obozową Majkę; bystry, wścibski Priancykow; Maks - z ramienia Niemców; jeden z Łotyszów.

- Ojczyzna powinna znać swoich kapusiów! - powtarzał Bułatów podtrzymując w nich zamiar wytrwania na miejscu.

- Kiedy my w zasadzie i tak wiemy - odpowiadał Chorobrow stojąc na progu i przesuwając wzrokiem po stojących w ogonku. O niektórych z nich mógł powiedzieć z dużym prawdopodobieństwem, że stoją tu, by odebrać swoje judaszowe srebrniki. Ale wzbudzili podejrzenia, oczywiście, najmniej zręczni.

Ruska wrócił do kolegów wesóły, ledwie się powstrzymując od wymachiwania nad głową swoim przekazem pieniężnym. Natychmiast pochyłili się nad blankietem stykając się głowami; przekaz pochodził od mitycznej Klaudii Kudriaw-cewej, która posyłała Rościsławowi Doroninowi 147 rubli.

Wracając z obiadu i stając na samym końcu ogonka, przyjrzał się tej grupie swoim przymglonym okiem ober-kapusia król konfidentów, Artur Syromacha. Przyjrzał się im, bo miał przyzwyczajenie, żeby rejestrować wzrokiem, co tylko można, ale nie przypisał jeszcze znaczenia temu, co zobaczył.

Ruska zabrał swój przekaz i oddalił się, jak to było umówione.

Jako trzeci poszedł do kuma inżynier energetyk, mężczyzna czterdziestoletni, który wczoraj w zamkniętej „arce” proponował zrównać ministrów z asenizatorami, a później bawił się na górnych kojach w dziecinną bitwę na poduszki.

Jako czwarty szybkim i lekkim krokiem wszedł Wiktor Lubimiczew, chłopak „swoją dechę”. Pokazywał w uśmiechu duże, równiutkie zęby i wszystkich więźniów, młodych i starych, zjednywał sobie mówiąc każdemu „braciszku”. W tym bezpretensjonalnym zwrocie przejawiała się czystość jego duszy.

Energetyk wyszedł na próg z otwartym listem w ręku. Pogrążony w czytaniu nie od razu znalazł stopą schodki. Nic dalej nie widząc odszedł na bok i nikt z grupy „myśliwych” go nie zaczepił. Bez palta i czapki, na wietrze rozwiewającym mu włosy, nie posiwiałe jeszcze mimo przeżyć, czytał po ośmiu latach rozłąki pierwszy list od córki Ariadny. Idąc w czterdziestym pierwszym roku na front (a z frontu do niewoli, a z niewoli do więzienia), zostawił w domu jasnowłosą, sześciolletnią dziewczuszkę, która nie chciała puścić jego szyi przy pożegnaniu. I kiedy w jenieckim baraku trzeba było chodzić po warstwie tyfusowych wszy, trzeszczących pod nogą, kiedy cztery godziny trzeba było stać w kolejce po chochlę mętnej i śmierdzącej bałandy - jasny, kochany kłębuszek wiązał go przecież nitką Ariadny i kazał mu przecież dotrwać do końca i wrócić. Ale gdy wrócił do kraju i od razu poszedł do więzienia - nie zdołał zobaczyć córki; została z matką w Czelabińsku, dokąd je ewakuowano. I matka Ariadny, znalazłszy sobie na pewno już kogoś innego, długo nie chciała wyjawiać córce, że jej ojciec żyje.

Pochyłym, starannym szkolnym charakterem pisma bez poprawek i skreśleń córka pisała mu teraz:

„Kochany papo!

Nie odpowiadałam ci dlatego, że nie wiedziałam od czego zacząć i co ci pisać. Chyba mi to wybaczysz, bo bardzo dawno cię nie widziałam i przyzwyczaiłam się do myśli, że mój ojciec zginął. Nawet mi jakoś dziwnie, że mam teraz nagle ojca.

Pytasz, jak mi się żyje. Żyje mi się tak, jak innym. Możesz mi pogratulować - zostałam przyjęta do Komsomołu. Prosisz, żebym napisała ci, czego mi potrzeba. Mam, oczywiście, chęć na wiele rzeczy. Teraz składam pieniądze na boty i na uszycie wiosennego płaszczka. Papo! Prosisz, abym przyjechała do ciebie na widzenie. Czy to na pewno takie pilne? Jechać gdzieś tak daleko i szukać tam ciebie - musisz przyznać, że to nie należy do przyjemności. Kiedy będziesz mógł - to przecież sam przyjedziesz. Życzę ci sukcesów na

polu zawodowym. Chwilowo tyle i do zobaczenia.

Całuję.

Ariadna.

Papo, czy widziałeś film «Pierwsza rękawiczka»? Wspaniały! Staram się nie przepuścić ani jednego filmu”.

- Sprawdzimy Lubimiczewa? - spytał Chorobrow czekając na wyjście Wiktora.

- No wiesz, Terenticz! Lubimiczew - to swój chłopak! - zakrzyczeli go.

Ale Chorobrow górnym węchem wyczuł coś w tym człowieku. I właśnie teraz Lubimiczew dziwnie długo siedział u kuma.

Wiktor Lubimiczew miał oczy duże i pełne otwartości. Natura obdarzyła go zwinnym ciałem sportowca, żołnierza i kochanka. Życie jednym szarpnięciem zabrało go z bieżni dla młodych lekkoatletów i rzuciło do obozu koncentracyjnego w Bawarii. W tym ciasnym przybytku śmierci, dokąd wepchnęli rosyjskich żołnierzy wrogowie, a Stalin nie dopuścił Czerwonego Krzyża - w tym małym, wypełnionym do ostatka siedlisku grozy przetrwać mogli tylko ci, którzy najostrzej się odcięli od ograniczonych i względnych pojęć, takich jak dobro i sumienie. Ci, którzy potrafili zdradzić własnych towarzyszy będąc tłumaczami; ci, co umieli walić pałką po twarzy swoich rodaków, gdy zostali kapo; ci, którzy potrafili odbierać od ust chleb umierającym z głodu, gdy zostali kucharzami albo rozdawcami chleba. Były jeszcze dwie inne możliwości przetrwania - przy kopaniu grobów i czyszczeniu latryn. Za kopanie mogił i czyszczenie klozetów hitlerowcy dawali dodatkową chochlę bałandy. Ale z latrynami dawało sobie radę dwóch ludzi. Grabarzy zaś trzeba było z pięćdziesięciu. Codziennie dziesięć fur wywoziło trupy. Latem czterdziestego drugiego roku przyszła kolej na samych grabarzy. Wiktor Lubimiczew chciał żyć, z całą niewyżytą jeszcze pasją młodego ciała. Postanowił, że jeśli ma umrzeć, to niech będzie ostatni i już zaczynał dogadywać się z nadzorcami, ale tu zdarzyła się szczęśliwa okazja - do obozu przyjechał jakiś typ i chociaż w Czerwonej Armii był politrukiem - teraz swoim nosowym, bełkotliwym głosem namawiał jeńców, żeby poszli bić komunistów. Niektórzy zapisywali się. Wśród nich - komsomolcy... Za wrotami obozu stała niemiecka kuchnia polowa i ochotników natychmiast karmiono kaszą po samo gardło. Lubimiczew wszedł w skład własowskiego legionu i wojował we Francji; wyłapywał w Wogezach partyzantów z ruchu oporu, a później bronił Wału Atlantyckiego przeciw aliantom. W czterdziestym piątym roku, podczas wielkich łowów, udało mu się jakoś przecisnąć przez oczka sieci. Przyjechał do domu, ożenił się z

dziewczyną o takich samych jasnych oczach i takim samym zwinnym, młodym ciele i musiał zostawić ją zaraz po miesiącu, bo został aresztowany za dawne grzechy. Więzienia akurat w tym czasie gościły uczestników tego samego ruchu oporu, z którym Wiktor wojował w Wogezach. W Butyrkach rznąli sobie w domino, wspominali dni spędzone we Francji, bitwy, w których razem brali udział - i czekali na paczki od rodzin. Następnie zaś wszyscy dostali tak samo po dziesięć lat. W ten sposób całe życie Lubimiczewa nauczyło go i wychowało w tym duchu, że od byle chłopaka z ulicy aż do członków Biura Politycznego chyba nikt żadnych „przekonań” nie miał i mieć nie może - nie wyłączając tych, którzy ich wszystkich sądzili. Nie podejrzewając niczego, z oczyma pełnymi otwartości, trzymając w ręku papierek przypominający pocztowy przekaz pieniężny, Wiktor nie tylko nie usiłował ominąć grupy „myśliwych”, ale sam do nich podszedł i zapytał:

- Braciszku! Kto już był na obiedzie? Co tam na pieczyste? Warto iść? Wskazując palcem blankiet, który Wiktor trzymał w opuszczonej dłoni, Chorobrow spytał:

- Co, dużoś pewno pieniędzy dostał? Już ci nasz obiad niepotrzebny?

- Gdzie tam dużo! - chciał wykręcić się Lubimiczew próbując schować blankiet do kieszeni. Nie zadał sobie trudu, żeby schować go wcześniej, bo wszyscy bali się jego siły i nikt by nie śmiał żądać odpowiedzi. Ale podczas gdy rozmawiał z Chorobrowem, Bułatów pochylił się i niby żartem, wyginając skosem szyję, przeczytał:

- Fuu! Tysiąc czterysta siedemdziesiąt rubli! Możesz sobie teraz gwizdać na garkuchnię pana naczelnika!

Gdyby to zrobił inny zek, Wiktor dałby mu żartem blachę w czoło wcale nie pokazując blankietu, ale z Amantajem nie mógł sobie na to pozwolić; ten człowiek nie powinien był podejrzewać sąsiada, że ukrywa swoje bogactwo, Amantaj szanował kodeks łagrów. Więc Lubimiczew powiedział:

- Jaki tam tysiąc, patrz!

I wszyscy zobaczyli: 147 r. 00 k.

- Patrzajcie! To nie mogli przysłać równo sto pięćdziesiąt! - zauważył Amantaj z zimną krwią. - No to idź, na drugie sznycel.

Ale Lubimiczew nie zdążył jeszcze stąpić kroku, jeszcze nie zamilknął głos Bułatowa - jak Chorobrow zatrząsł się cały. Chorobrow wypadł z roli. Zapomniał, że trzeba trzymać się na wodzy, uśmiechać się i dalej ciągnąć polowanie. Zapomniał, że najważniejsze - to rozpoznać kapusiów, że wytrzebić ich nie można i tak. Po tym, co sam wycierpiał przez

szpiclów, napatrzywszy się, ilu kolegów przez nich zginęło - Chorobrow nienawidził tych skrytych zdrajców bardziej niż kogokolwiek w świecie. Chłopak, który mógł być synem Chorobrowa, młodzian mogący służyć rzeźbiarzom za model - okazał się z dobrowoli taką gadziną!

- Tty ddraniu! - powiedział Chorobrow drżącymi ustami. - Naszą krwią chcesz sobie zarobić na zwolnienie? Czego ci tu brakowało?

Lubimiczew, zawsze w sportowej formie, odwrócił się i podniósł pięść, aby wymierzyć krótki, bokserski cios.

- Uch, ty ścierwo wiackie! - powiedział.

- Terenticz, co ty wyprawiasz! - Bułatów jeszcze wcześniej rzucił się, żeby odciągnąć Chorobrowa.

Olbrzymi, niezgrabny Dwojetiosow w dziurawym waciaku chwycił lewą dłonią podniesioną prawicę Lubimiczewa i wpił się w nią.

- Chłopczyku, chłopczyku! - powiedział z lekceważącym uśmiechem, tym pieśczośliwym prawie szeptem, któremu towarzyszy napięcie całego ciała. - Może pogadamy jak partyjny z partyjnym.

Lubimiczew ostro odwrócił się do napastnika i jego otwarte, jasne oczy znalazły się naprzeciw krótkowzrocznych, wysadzonych oczu Dwojetiosowa.

I nie podniósł już drugiej ręki. W tych sowich oczach i w sile, z jaką chłopska łapa trzymała jego pięść, wyczuł, że jeden z nich za chwilę nie runie zwyczajnie, tylko padnie trupem.

- Chłopczyku, chłopczyku! - powtórzył Dwojetiosow. - Na drugie sznycel. Idź, sznycel stygnie.

Lubimiczew wyrwał się i z dumnie podniesioną głową poszedł w stronę schodni. Jego atłasowe, duże policzki płonęły. Myślał, jak tu porachować się z Chorobrowem. Nie zdał sobie jeszcze sprawy, jak głęboką ranę zadało mu to oskarżenie. Gotów był z każdym iść o zakład, że dobrze zrozumiał mechanizm życia, a tu się okazało, że jeszcze go nie rozumie.

Jak mogli się domyślić? Jakim cudem?

Bułatów odprowadził go spojrzeniem i złapał się za głowę:

- Mamo kochana! Komu teraz wierzyć?

Cała ta scena ograniczyła się do kilku drobnych ruchów i nie zwróciła uwagi ani zeków spacerujących po dziedzińcu, ani dwóch nieruchomych strażników na skrajach

spacernika. Tylko Syromacha, mrużąc ze znużoną miną swoje leniwe oczy, widział zdarzenia po kolei przez drzwi, przypomniał sobie zachowanie Ruski - i zrozumiał wszystko!

Porwał się jak oparzony.

- Chłopaki! - zwrócił się do stojących przed nim - zostawiłem schemat pod napięciem.

Puśćcie mnie bez kolejki! Ja raz-dwa!

- Każdy ma schemat pod napięciem!

- Każdy ma dziecko! - odpowiedziano mu ze śmiechem. Nikt nie chciał go puścić.

- To polecę, żeby wyłączyć! - oznajmił zatroskany Syromacha i ominąwszy dużym łukiem myśliwych zniknął w głównym budynku. Bez tchu wbiegł na drugie piętro. Ale gabinet majora Szykina był zamknięty od wewnątrz, klucz tkwił w dziurce. Mogło tam właśnie odbywać się badanie. Albo czułe spotkanie z tyczkową sekretarką. Syromacha wycofał się czując, że opuszczają go siły.

Z każdą chwilą topniały teraz najlepsze kadry - i nic nie można było zaradzić!

Powinien był wrócić teraz do ogonka, ale instynkt tropionego zwierzęcia okazał się silniejszy od chęci zdobycia zasługi; strach go zdejmował na myśl o przejściu obok tej rozwścieczonej grupki na podwórku. Mogli zaczepić Syromachę nawet bez powodu. Zbyt dobrze znano go już w szaraszce.

Tymczasem na dziedzińcu doktor chemii Orobincew, mały, w okularach, w pięknym futrze i czapce, które nosił na wolności (nie zdążył być nawet w etapowym więzieniu i jeszcze nikt go nie o b r o b i ł), po wyjściu od Myszyzna zebrał wokół siebie takich samych naiwniaków, w tej liczbie również łysego konstruktora, i dawał im interview. Wiadomo, że ludzie wierzą przede wszystkim w to, w co chcą wierzyć. Ci, którzy chcieli wierzyć, że wymagany od nich spis krewnych nie jest żadnym donosem, tylko rozsądnym zarządzeniem rejestracyjnym - zbrali się właśnie teraz dookoła Orobincewa. Orobincew już zaniósł swój pedantycznie podzielony na rubryki spis, oddał go, porozmawiał sam z majorem Myszyzmem i teraz autorytatywnym tonem powtarzał jego wyjaśnienia: gdzie wpisywać nieletnie dzieci i co robić, kiedy ma się ojczyma. W jednym tylko punkcie Myszyzn uraził właściwe Orobincewowi poczucie dobrego tonu. Orobincew zwierzył mu się mianowicie, że nie pamięta dobrze miejsca urodzenia żony. Myszyzn zaśmiał się, szeroko otwierając gębę: „Toście ją z burdelu wzięli, czy co?”

Teraz łatwowieczne króliki słuchały Orobincewa, nie chcąc mieć nic wspólnego z drugą grupą, która zebrała się wokół Abramsona, koło trzech lip osłaniających ich przed wiatrem.

Abramson, paląc leniwie papierosa po obfitym obiedzie, pouczał swoich słuchaczy, że wszystkie te zakazy korespondencji nie są żadną nowością, że zdarzały się już gorsze, że ten zakaz też nie jest na wieki wieczne, tylko aż do najbliższej zmiany na stanowisku jakiegoś ministra czy generała, dlatego też nie trzeba upadać na duchu, o ile możliwości - powstrzymać się od składania tych spisów, a z czasem wszystko rozejdzie się po kościach. Abramson miał od urodzenia oczy podłużne i wąsko wycięte, kiedy więc zdejmował okulary, wznagało się wrażenie, że znudzony jest już oglądaniem więziennego świata; wszystko powtarzało się wciąż od nowa i żadną niespodzianką nie mógł go zadziwić archipelag GUŁag.

Abramson tak długo już siedział, że wrażliwość jego uległa jakby przytępieniu, i to, co dla innych było tragedią, odczuwał zaledwie jako drobną modyfikację codzienności. Tymczasem myśliwi, których przybyło, złapali jeszcze jednego kapusia - wciąż żartując wyciągnęli blankiet na 147 rubli z kieszeni Izaaka Kavana. Zanim wydobyto ten przekaz na światło dzienne, Kavan, zapytany, co dostał od kuma, odparł, że nic nie dostał, i sam się dziwi, po co go wzywano. Kiedy zaś przekaz wyrwano mu siłą i próbowano go zawstydzić - Kavan nie tylko nie poczerwieniał, nie tylko, że nie chciał uciec, ale chwytając za poły wszystkich po kolei swoich demaskatorów zaczął przysięgać natrętnie, dokuczliwie, że to zupełne nieporozumienie, że pokaże im list od żony, w którym pisała mu, że na poczcie nie starczyło jej trzech rubli i musiała posłać 147. Chciał nawet, żeby poszli z nim do stacji akumulatorów, a tam zaraz odnajdzie im to pismo i wszystkim pokaże. Trzęsąc swoją kudłatą głową i nie czując, że szal obsunął mu się z szyi i prawie włókł się po ziemi, Kavan sypał bardzo prawdopodobnymi wyjaśnieniami, dlaczego z początku próbował ukryć fakt nadejścia przekazu. Kavan miał w sobie jakąś wrodzoną przyczepność. Gdy człowiek zaczął z nim rozmawiać, to już w żaden sposób nie mógł się odzepić, chyba że przyznał mu stuprocentową rację i zrezygnował z ostatniego słowa. Chorobrow, najbliższy jego sąsiad w sypialni, wtajemniczony w dzieje jego aresztowania za powstrzymanie się od donosu, nie miał teraz siły, żeby porządnie na niego się rozgniewać, więc powiedział tylko:

- Ach, Kavan, Kavan, łajdaku ty, łajdaku! Na wolności tysiącami cię nie skusili, a tu za półtorej setki się sprzedałeś!

A może tak go nastraszyli powrotem do łagru?...

Ale Izaak, wcale nie zmieszany, wciąż się usprawiedliwiał i pewno by ich przekonał, gdyby nie złapali jeszcze jednego kapusia, tym razem Łotysza. Przestali zważać na Kavana, więc sobie poszedł.

Drugą zmianę wezwano na obiad, pierwsza zaś wyległa na spacernik. Nierżyn wyszedł po schodni, miał na sobie wojskowy płaszcz. Od razu zauważył Ruškę Doronina, stojącego na skraju spacernika. Triumfującym, roziskrzonym spojrzeniem Ruska przyglądał się przygotowanemu przez siebie polowaniu, to znów zerkał w stronę ścieżki wiodącej na dziedziniec dla frajerów i na ten odcinek szosy, gdzie wkrótce już miała wyjść z autobusu Klara; dziś przypadał jej wieczorny dyżur.

- No?! - uśmiechnął się do Nierżyna i wskazał palcem myśliwych. - Już pan słyszał o Lubimiczewie?

Nierżyn podszedł blisko i uściskał go lekko.

- Na rękach by cię nosić! Ale teraz się o ciebie boję.

- Ho, ho! Dopiero się rozpędzam, to tylko pierwsze kwiatki!

Nierżyn pokręcił głową, uśmiechnął się i ruszył dalej. Spotkał idącego na obiad rozpromienionego Priancykowa, który nakrzyczał się swoim ciekim głosem do woli, skacząc dookoła złapanych konfidentów.

- Ha, ha, dziecino! - zawołał. - Przegapił pan całe przedstawienie! Gdzie Lew?

- Ma pilną robotę. Wcale nie wyszedł na przerwę.

- Co? Pilniejszą niż w Siódemce? Ha, ha! To niemożliwe.

I pobiegł dalej.

Trzymając się osobno, pogrążeni w rozmowie, przecięli krąg spacernika wysoki Bobynin, co nawet w słotne dni nie nosił czapki na krótko strzyżonej głowie, i drobniutki Gerasymowicz w brudnej cyklistówce i krótkim paletku z podniesionym kołnierzem. Wydawało się, że Bobynin mógłby Gerasymowicza połknąć jednym haustem.

Gerasymowicz kulił się pod uderzeniami wiatru, trzymał ręce w bocznych kieszeniach; tak był drobny, że przypominał wróbla.

Ale tego wróbla z ludowego przysłowia - co to ma serce większe od kota, swojego prześladowcy.

81

Bobynin chwilę przed tym kroczył wielkimi krokami po głównym kręgu spacernika, nie widząc wcale albo nie chcąc widzieć całej awantury ze szpiclami, kiedy drobniutki Gerasymowicz podszedł do niego po cięciwie, niby mała łódka sterująca skosem w stronę wielkiego okrętu.

- Panie Aleksandrze!

Tak zaczepiać kogoś i przeszkadzać podczas przechadzki nie uchodziło wśród mieszkańców szaraszki za szczyt dobrego wychowania. Do tego wszystkiego wcale się dobrze nie znali, właściwie - prawie wcale. Ale Bobynin włączył kontrpartę:

- Słucham pana.

- Mam tu taką kwestię... naukowo-badawczą.

- Bardzo proszę.

Więc poszli teraz razem niezbyt szybkim krokiem.

Jednakże Gerasymowicz milczał przez całe pół okrążenia. Ale w końcu wydusił z siebie:

- Czy nie czuje pan niekiedy wstydu?

Bobynin ze zdziwienia pokręcił aż kowadłem swojej głowy i popatrzył na sąsiada (ale się nie zatrzymał). Później spojrzął przed siebie, na lipy, na szopę, na ludzi, na główny budynek.

Namyślał się przez trzy czwarte okrążenia i wreszcie powiedział:

- I jeszcze jak!

Znowu ćwierć okrążenia.

- No to - dlaczego?

Pół okrążenia.

- Człowiekowi szkoda jednak życia, do diabła...

Ćwierć okrążenia.

- ... aż się wierzyć nie chce.

Jeszcze ćwierć.

- ... chociaż bywają takie chwile... Wczoraj powiedziałem ministrowi, że nie mam już czego żałować. Ale skłamałem: a zdrowie? a nadzieja? I od razu jest się pierwszym kandydatem... Wyjść na wolność w niepodeszłym jeszcze wieku i spotkać tę właśnie kobietę, która... I dzieci... A w końcu ta przekłeta ciekawość, o, teraz też ciekawe, jak to się skończy... Oczywiście sam sobą gardzę za to uczucie... Chociaż są takie chwile... Minister chciał mnie rozgnieść, ale go odparłem. Oczywiście, człowiek się wciąga, to jasne... A pewno, że wstyd...

Milczeli chwilę.

- No to niech pan nie mówi, że to wina systemu. Samiśmy winni.

Całe okrążenie.

- Panie Aleksandrze! No, a gdyby obiecali panu, że wypuszczą na wolność, ale musi

pan zrobić im bombę atomową?

- A pan? - Bobynin zerknął z ciekawością na sąsiada.

- Nigdy w życiu.

- Jest pan pewien?

- Nigdy.

Okrażenie. Ale szli jakby inaczej.

- Myśli sobie człowiek niekiedy: co to za ludzie, którzy robią bomby atomowe dla nich?! A potem spojrzy człowiek na nas samych: - a pewno tacy jak my... Może nawet chodzą na szkolenia polityczne...

- Ależ tam!

- A dlaczego nie?... To ich bardzo podtrzymuje na duchu.

Pół ćwiartki.

- Bo ja tak myślę - mówił Gerasymowicz. - Uczony to albo powinien wiedzieć o polityce wszystko - znać raporty wywiadu, tajne plany, i nawet powinien być przekonany, że sam może wziąć rządy w ręce - ale to niemożliwe... Albo też w ogóle nie zaprzętać tym sobie głowy, jakby to były fusy albo czarna skrzynka. Roztrząsać zaś sprawę z czysto moralnego punktu widzenia: czy wolno mi oddać całą tę potęgę w ręce ludzi nikczemnych i po prostu nędznych? I zaraz widzę ten naiwny poślizg po błocie: „przecież zagraża nam Ameryka”... To dziecinny lapsus, uczony tak nie może rozumować.

- Dobrze - odparł wielkolud - a jak tam rozumują za oceanem? Jaki prezydent rządzi w tej Ameryce?

- Nie wiem, może tam też to samo. Może lepiej - nikomu... My, uczeni, nie mamy tej możliwości, żeby spotkać się na jakimś własnym terenie i dogadać się między sobą. Ale wyższość naszego intelektu nad wszystkimi politykami świata pozwala każdemu z nas, nawet w samotnej celi więziennej, znaleźć właściwe, powszechnie stosowalne rozwiązanie i postępować zgodnie z nim.

Okrażenie.

- No, tak...

Jeszcze jedno kółko.

- Tak, chyba tak...

Ćwierć obwodu...

- Może jutro, obiadową porą, zrobimy sobie dalszy ciąg tego kolokwium, dobrze? Pan

ma na imię... Hilary... ?

- Tak. Pawłowicz.

Jeszcze jedno niepełne okrążenie, podkowa.

- I szczególnie to się stosuje do Rosji. Dziś opowiadano mi o pewnym obrazie - „Rosja, która odchodzi”. Nie słyszał pan?

- Nie.

- No, zresztą ten obraz jeszcze nie jest namalowany i może o co innego w nim chodzi. Dla mnie ważna jest nazwa, sam pomysł. W Rosji byli konserwatyści, reformatorzy, działacze państwowi - i nie ma ich. W Rosji byli duchowni, kaznodzieje, domorośli teologowie, heretycy, raskolnicy - i nie ma ich już. Byli w Rosji pisarze, filozofowie, historycy, socjologowie, ekonomiści - i już ich nie ma. Byli wreszcie rewolucjoniści, konspiratorzy, miotacze bomb, buntownicy - ich też już nie ma. Byli rękodzielnicy, co rzemykiem wiązali sobie włosy, rolnicy z brodą po pas, chłopci powożący trojkami, zuchowaci kozacy, wolni włóczędzy - nikogo, nikogo z nich już nie ma, włochata, czarna łapa wszystkich ich zmiotła w trakcie pierwszego tuzina tych lat. Ale jeden jedyny strumyczek przesączył się przez to pole zarazy - to my, elita techniczna. Nas, inżynierów i uczonych, jednak mniej powystrzelano i zesłano niż innych. A dlatego, że ideologię to im zmyśli byle szuja, podczas gdy fizyka słucha wyłącznie głosu swojego gospodarza. Myśmy zajmowali się naukami przyrodniczymi, a nasi bracia - społeczeństwem. No i proszę, my jeszcze żyjemy, a naszych braci już nie ma. Któż ma przejąć teraz tę nie zakończoną rolę humanistycznej elity, jak nie my? Jeżeli m y nie wtrącimy się do tego procesu, to kto?... I czy to nie jest w naszej mocy? Nie mając go w zasięgu ręki, określiliśmy, ile waży Syriusz B i zmierzylśmy amplitudę drgań elektronu - więc czy musimy zabłądzić w społecznym gąszczu? A tymczasem - co właściwie robimy? My w tych szarazkach przynosimy im na tacach silniki odrzutowe! rakiety V! szyfrujące telefony! a może nawet bomby nuklearne - byleby tylko nam było trochę lżej? I - b o t o i n t e r e s u j ą c e ! Jakaż to z nas elita, jeżeli tak łatwo nas kupić?

- To bardzo poważna sprawa - Bobynin chuchnął jak miech kowalski. - Jutro pogadamy jeszcze, zgoda?

Dzwonili już, trzeba było wracać do pracy.

Gerasymowicz spotkał jeszcze Nierżyna i umówił się z nim po dziewiątej wieczór na tylnych schodach, w atelier malarskim. Obiecał przecież, że pogada z nim o rozsądnym

ustroju społecznym.

82

W porównaniu z zajęciami majora Szykina zajęcia majora Myszyzna miały swoje odrębne cechy, jak również swoje plusy i minusy. Najważniejszym plusem była możliwość czytania cudzych listów, ich wysyłania albo niewysyłania. Minusem było, że Myszyn nie miał wpływu na odsyłanie ludzi do łagrów, zawieszanie wypłat za pracę, określanie kategorii wyżywienia, wyznaczanie terminów widzeń z krewnymi i stosowanie rozmaitych szykan przy robocie.

Zazdroszcząc tyłu rzeczy konkurencyjnej instytucji - majorowi Szykinowi, który pierwszy dowiadywał się nawet o więziennych nowinach, major Myszyn tym gorliwiej zajmował się podglądaniem przez półprzejrystą firankę wszystkiego, co działo się na spaceraiuku (Szykin pozbawiony był tej możliwości z powodu niefortunnej lokalizacji swego okna na drugim piętrze). Obserwacja więźniów w ich codziennym bytowaniu również dostarczała Myszynowi pewnych materiałów. Siedząc w swoim ukryciu mógł uzupełniać informacje dostarczane przez konfidentów - widział, kto z kim chodzi, czy rozmawia z ożywieniem, czy też obojętnie. A potem, wydając albo odbierając list, lubił zaskakiwać więźnia nagłym pytaniem:

- Aha, a o czym to rozmawialiście wczoraj z Pietrowem podczas przerwy obiadowej?

Czasami nawet otrzymywał w ten sposób od skonfundowanego rozmówcy pożyteczne informacje.

Podczas dzisiejszej przerwy obiadowej Myszyn kazał poczekać kilka minut kolejnemu zekowi i też wyjrzał sobie na podwórze. (Polowania na kapusiów jednak nie zobaczył, bo odbywało się w drugim końcu budynku).

O trzeciej, kiedy przerwa już się skończyła, a tych, co nie zdążyli się zgłosić, rozproszył już służbisty podoficer - Myszyn kazał wpuścić Dyrsina.

Iwan Seliwanowicz Dyrsin obdarzony był przez naturę wąską twarzą o zapadniętych policzkach, niewyraźną dykcją i nazwiskiem trochę śmiesznym dla rosyjskiego ucha. Na wyższą uczelnię trafił niegdyś prosto od warsztatu, przez wieczorową szkołę dla dorosłych, i uczył się średnio, lecz uporczywie. Miał zdolności, ale nie umiał się nimi popisać, więc całe życie spychano go na bok i krzywdzono. W Siódemce wykorzystywali go wszyscy, chyba że ktoś bardzo nie chciał. Ponieważ jego dycha, trochę zredukowana przez zaliczenia, niedługo miała się skończyć - Dyrsin drżał przed zwierzchnością coraz więcej. Lękał się najbardziej,

że wlepią mu drugi wyrok, niemało takich wypadków widział podczas wojny.

Swój pierwszy wyrok też dostał w jakiś niedorzeczny sposób. Na początku wojny wsadzono go za antysowiecką agitację - na podstawie donosu sąsiadów mających chętkę na jego mieszkanie (w rezultacie dostali je). Wyjaśniło się wprawdzie, że agitacji takiej nie prowadził, ale m ó g ł ją prowadzić, bo słuchał niemieckiego radia. Niemieckiego radia wprawdzie nie słuchał, ale m ó g ł słuchać, ponieważ miał w domu nielegalnie odbiornik radiowy. Odbiornika wprawdzie nie miał, ale mógł z powodzeniem mieć, ponieważ był z zawodu inżynierem radiowcem i w trakcie rewizji znaleziono u niego w jakimś pudełku dwie lampy katodowe.

Dyrsin najadł się do syta obozów w czasie wojny - i tych, gdzie ludzie jedli mokry owies kradnąc go koniom, i tych, gdzie mąkę zagniatano ze śniegiem pod tabliczką „Filia obozu” przybitą na pierwszej lepszej sośnie w tajdze. W ciągu ośmiu lat pobytu Dyrsina w kraju GUŁagu zmarło dwoje ich dzieci, a żona zamieniła się w kościstą staruchę. Po ośmiu latach przypomniano sobie, że jest inżynierem, przywieziono go tutaj, zaczęto karmić śmietankowym masłem, ponadto mógł żonie posyłać sto rubli miesięcznie.

A teraz w niewytłumaczalny sposób przestały nadchodzić listy od żony. Może nawet zmarła?

Major Myszyn siedział trzymając na biurku splecione dłonie. Na biurku nie było żadnych papierów, kałamarz był zamknięty, pióro suche, a twarz majora - nalana, purpurowoliliowa - była pozbawiona (jak zresztą zawsze) jakiegokolwiek wyrazu. Czoło miał tak spęczniałe, że ani zmarszczki starości, ani bruzdy od rozmyślań nie mogły się na skórze zaznaczyć. Policzki też miał nalane. Twarz Myszyna przypominała gębę glinianego bałwana, wypalonego w piecu z dodatkiem różowej i fioletowej farbki emaliowej. Oczy zaś miał zawodowo niewyraziste, nieżywe jakby, ziejące tą osobliwą, arogancką pustką, którą ludzie tej kategorii zachowują także na emeryturze.

Nigdy jeszcze nie było czegoś podobnego! Myszyn poprosił Dyrsina, żeby usiadł (inżynier zaczął już zastanawiać się po cichu, co za nowe nieszczęście ściągnął sobie na głowę i co będzie treścią protokołu). Następnie major pomilczał dłuższą chwilę (jak każda instrukcja) i wreszcie powiedział:

- Wciąż się użalacie. Chodźcie i użalacie się każdemu. Że drugi miesiąc listy nie nadchodzą.

- Więcej niż trzy miesiące, obywatelu naczelniku - nieśmiało sprostował Dyrsin.

- Niech będzie trzy, co za różnica? A czy pomyśleliście kiedy, jakim też człowiekiem jest wasza żona?

Myszyn mówił bez pośpiechu, słowa wymawiał wyraźnie i ze zwykłą rutyną robił przerwy między zdaniami.

- Co też za człowiek jest z pańskiej żony, co?

- Ja... nie rozumiem... - wymamrotał Dyrsin.

- Co tu jest do rozumienia? Jakie jest jej polityczne oblicze?

Dyrsin zbladł. Okazało się, że nie na wszystko był przygotowany i nie wszystko nauczył się znosić. Żona musiała coś napisać w liście i teraz ją, w przededniu jego zwolnienia...

I pomodlił się za nią w głębi duszy. (Modlić nauczył się w łagrze).

- Ona jest malkontentką, a malkontenci nam nie są potrzebni - oznajmił major surowo.

- To jakiś dziwny przypadek ślepoty; niczego dobrego w naszym życiu nie dostrzega, tylko rozdmuchuje to, co złe.

- Rany boskie! Co się z nią wydarzyło?! - zawołał Dyrsin, a głowa mu się chwiała.

- Z nią? - Myszyn robił coraz dłuższe pauzy. - Z nią? Nic. (Dyrsin odetchnął). -

Chwilowo.

Bez żadnego pośpiechu wyjął z szuflady list i podał go Dyrsinowi.

- Dziękuję bardzo! - powiedział Dyrsin ledwo chwytając dech. - Czy mogę odejść?

- Nie! Tu przeczytajcie. Bo takiego listu nie mogę pozwolić wam zanieść do celi. Co pomyślą sobie więźniowie o warunkach życia na wolności po przeczytaniu takiego listu? Czytajcie.

I zastygł jak fioletowy bożek, gotów godnie dźwigać brzemień służbowych trosk.

Dyrsin wyjął list z koperty. Sam tego nie zauważył, ale ten list mógł niemile zaskoczyć cudze oko swoim wyglądem; dawał jakby pojęcie o kobiecie, która go wysłała: napisany był na chropawym papierze, prawie pakowym, i ani jedna linijka tekstu nie ciągnęła się równo, wszystkie zaginały się, bezwolnie ciążyły w prawo, ku dołowi. Pismo nosiło datę osiemnastego września:

„Mój drogi! Usiadłam do pisania, a nie mogę, bo tak spać mi się chce. Jak przychodzę z pracy, to od razu na działkę, kopujemy z Maniuszką kartofle. Drobne, nie obrodziły. Podczas urlopu nigdzie nie jeździłam, nie miałam w czym, już same szmaty. Chciałam zaoszczędzić trochę pieniędzy na podróż do ciebie - nie udało mi się. Nika jeździła do ciebie

tamtym razem, ale jej powiedzieli, że nie ma tu takiego, a też ojciec z matką zaczęli ją besztać - po co pojechała, tak jej mówią, teraz ciebie też pod lupę wzięli, zaczną cię śledzić. W ogóle jesteśmy z nimi w bardzo naciągniętych stosunkach, a z L. W. oni w ogóle nawet nie rozmawiają.

Żyje nam się ciężko. Babcia trzeci rok przecież leży, już nie wstaje, cała wyschła, nie może ani umrzeć, ani wyzdrowieć, wszystkich nas zadręczyła. W domu okropny smród przez babcię, a tu jeszcze ciągle kłótnie, z L. W. ja też nie rozmawiam, Maniuszką ostatecznie rozeszła się z mężem, wciąż niedomaga, dzieci nie chcą się jej słuchać, jak wracamy z pracy, to coś strasznego, słyhać same przekleństwa, nie ma dokąd uciec, kiedy to wszystko się skończy?

No, całuję mocno. Bądź zdrow”.

Nie było nawet podpisu ani słowa „twoja”.

Wyczekawszy cierpliwie, aż Dyrsin przeczyta raz i drugi ten list, major Myszyn ruszył parokrotnie białymi brwiami i fioletowymi wargami, po czym powiedział:

- Nie oddałem wam tego listu, kiedy tu nadszedł. Myślałem, że to chwilowe przygnębienie, a przecież wy musicie pracować w rześkim nastroju. Oczekiwałem, że następny list będzie jak należy. Ale spójrzcie, co ona przysłała w zeszłym miesiącu.

Dyrsin spojrzał na majora w milczeniu, jego nieskładna twarz nie wyrażała żadnej pretensji, tylko ból. Wziął, a potem otworzył drżącymi palcami drugą, dawno już rozciętą kopertę, i wyjął list. Linijki pisma były tak samo poprzetręcane, zabłąkane. Tym razem była to kartka z zeszytu:

„30 października.

Mój drogi! Masz pretensję, że rzadko piszę, ale ja przychodzę z roboty późno i prawie codziennie chodzę do lasu po chrust, a potem już wieczór i taka jestem zmęczona, że po prostu walę się z nóg, w nocy sypiam marnie, babcia nie daje. Wstaję wcześnie, o piątej rano, o ósmej powinnam już być przy pracy. Chwała Bogu, że jesień ciepła, ale co będzie, jak zima nadejdzie! Węgla ze składu człowiek się nie doprosi, tylko dla kierownictwa albo po znajomości. Niedawno wiązka drzewa spadła mi z pleców, ciągnę więc chrust po ziemi, sił już nie ma, żeby podnieść, i tylko myślę: «wykapana starucha, co ciągnie cały wóz chrustu». Zrobiła mi się w pachwinie ruptura od tego dźwigania. Nika była tu podczas wakacji, bardzo wyładniała, nie zajrzała do nas nawet. Nie mogę o tobie myśleć bez bólu. Nie mogę liczyć już na nikogo. Póki mam jeszcze siły, będę pracować, i wciąż się tylko boję,

że któregoś dnia zlegnę tak jak babcia. Babci zupełnie nogi odjęło, cała opuchła, nie może o własnych siłach ani położyć się, ani wstać. A do szpitala nie biorą tak ciężko chorych, nie opłaca się im. Muszę ją wspólnie z L. W. za każdym razem podnosić. Ona robi pod siebie, smród u nas straszny, to nie życie, tylko katorga. Ma się rozumieć, ona nie jest winna, ale już nie mam siły, żeby to dłużej znosić. Chociaż wciąż radziłeś, żeby się nie sprzeczać, to jednak kłócimy się codziennie, od L. W. nie usłyszy człowiek innego słowa, tylko świnia albo ścierwo. A Maniuszka klnie znowu swoje dzieci. Czy nasze też byłyby takie same, gdyby dożyły? Wiesz, często rada jestem, że ich już nie ma. Walerek w tym roku poszedł do szkoły, wciąż mu czegoś potrzeba, a pieniędzy brak. Co prawda, Maniuszka dostaje alimenty od Pawła, z wyroku sądowego. No, tymczasem nic więcej już nie ma do pisania. Bądź zdrow, całuję cię. Myślał człowiek, że podczas świąt się wyśpi - ale kazali iść na demonstrację... „

Dyrsin zamarł cały czytając ten list. Przyłożył dłonie do twarzy, jakby chciał się umyć i nie mógł.

- No? Przeczytaliście, czy jak? Bo wygląda, że wcale nie czytacie. Człowiek z was dorosły. Wykształcony. Posiedzieliście w więzieniu, rozumiecie więc, co to za list. Za takie listy podczas wojny parę lat dawano. Demonstracja - to dla wszystkich sama radość, a dla niej? Węgiel! Węgiel dają nie kierownictwu, wszystkim obywatelom, tylko według kolejności, to się rozumie. W sumie, nie wiedziałem, czy ten list wam dać, czy nie, ale nadszedł trzeci, znowu taki sam. Po namyśle doszedłem do wniosku - z tym trzeba zrobić koniec. I wy sami musicie to załatwić. Napiszcie jej taki, wiecie, optymistyczny list, żeby w nim krzepa była, podtrzymajcie kobietę na duchu. Wytłumaczcie jej, że nie trzeba się użalać, że wszystko jakoś się ułoży. Proszę, już oni tam się wzbogacili, spadek dostali. Macie, czytajcie.

Listy ułożone były w porządku chronologicznym. Trzeci nosił datę 8 grudnia.

„Mój drogi! Mam dla ciebie smutną nowinę: 26 listopada 1949 roku o dwunastej pięć po południu zmarła babcia. Umarła, a tu w domu ani kopiejki, chwała Bogu, że Misza dał dwieście rubli, wszystko udało się załatwić tanio, ale, rozumie się, pogrzeb był biedny, ani popa, ani muzyki, zwyczajną furą odwieźliśmy trumnę na cmentarz, tam zwalono ją do jamy. Teraz w domu jest trochę ciszej, ale też pusto jakoś. Sama jestem chora, w nocy okropnie się pocę, nawet poduszka i prześcieradła są mokre. Przepowiedziała mi Cyganka, że umrę zimą, a ja tylko rada będę, że skończy się takie życie. L. W. ma chyba gruźlicę, kaszle i nawet krew jej się rzuca ustami, a jak przyjdzie z roboty - to zaraz pełno wyzwisk, zła jak wiedźma.

Razem z Maniuszka zadręczyły mnie całkiem. Jestem jakaś pechowa - do tego wszystkiego jeszcze cztery zęby mi się zepsuły, a dwa wypadły, trzeba by wstawić, ale pieniędzy też nie ma, zresztą, to czekanie w kolejce!

Twoje pobory za trzy miesiące, trzysta rubli, przyszły bardzo w porę, już bardzo marzliśmy, nadeszła moja kolejka w składzie węgla (byłam 4576-a), ale dają sam pył, po co to w ogóle brać? Do twoich trzystu Maniuszka dodała swoje dwieście, dałyśmy w łapę kierowcy i przywiózł nam grubego węgla. A kartofli do wiosny nie starczy - z dwóch działek, wyobraź sobie, a niczegośmy nie nakopały, deszczu nie było, nieurodzaj.

Z dziećmi ciągle awantury. Walery przynosi dwójki i pałki, po szkole pęta się nie wiadomo gdzie. Maniuszkę wezwał dyrektor, że co to za matka, która nie może poradzić sobie z własnymi dziećmi. A Żeńka ma dopiero sześć lat, ale obaj używają już najgorszych wyzwisk, jednym słowem ulicznicy. Wszystkie moje pieniądze idą na nich, a tu Walery niedawno zaczął wyzywać mnie od suk i to człowiek musi wysłuchiwać od takiego pętaka, co będzie, jak powyrastają? W maju będziemy musiały przeprowadzić formalności spadkowe, podobno to ma kosztować dwa tysiące, a skąd je wziąć? Helena z Miszą chcą się sądzić, żeby odebrać pokój L. W. Póki babcia żyła, to ile razy ją namawialiśmy, nigdy nie chciała powiedzieć, komu co ma przyspać. Misza z Heleną też chorują.

Ja ci przecież pisałam jesienią, zdaje mi się nawet, że dwa razy, jak to możliwe, żeś nie dostał? Gdzie mogły się podziać?

Posyłam ci znaczek za 40 kop. No, co tam słyhać, zwolnią cię czy nie? Bardzo ładne naczynia przyszły do sklepu, aluminiowe, garnuszki, miski.

Całuję cię mocno. Bądź zdrow”.

Mokra plamka wsiąkła w papier, rozpuściło się w niej trochę atramentu. Znow nie można było zrozumieć, czy Dyrsin wciąż jeszcze czyta, czy już skończył.

- A więc - zapytał Myszyn - sprawa jest dla was jasna?

Dyrsin siedział bez ruchu.

- Napiszcie odpowiedź. Ale z krzepą. Może nawet przekroczyć cztery stroniczki, pozwalam. Pisaliście jej kiedyś, żeby miała ufność w Bogu. A niech tam już lepiej wierzy w Boga, czy jak... Bo do czego to podobne?... Komu to potrzebne?... Uspokójcie ją, napiszcie, że niedługo wrócicie. Że będziecie mieć dobrą pensję.

- Ale czy mnie puszczą do domu? Czy nie ześlą?

- A to już jak tam kierownictwu będzie trzeba. Ale dodać otuchy żonie to wasz

obowiązek. To jednak w końcu wasz towarzysz życia. - Major zamilkł na chwilę. - A może wolelibyście już teraz jaką młodszą, co? - zagabnął życzliwie.

Nie siedziałby tak spokojnie, gdyby wiedział, że w korytarzu, pod jego drzwiami, mdlejąc z niecierpliwości, przestępuje z nogi na nogę jego najulubiejszy konfident, Syromacha.

83

W tych rzadkich chwilach, kiedy Artur Syromacha nie był zajęty walką o życie, kiedy nie czynił wysiłków, aby przypodo - bać się zwierzchności lub pracować, kiedy ogólne rozluźnienie następowało po zwierzęcym napięciu - był tylko apatycznym młodym mężczyzną, zgrabnej zresztą postaci, o twarzy aktora znużonego występami, z oczyma niewyraźnego, szaro-mętno-niebieskiego koloru, zawsze jakby osłoniętymi mgłą smutku.

Dwa razy już się tak zdarzyło, że w zapale kłótni ktoś prosto w oczy nazwał Syromachę szpiclem - obu tych zeków wkrótce zesłano do łagrów. Nikt więc już mu więcej nie mówił tego głośno. Bano się go. Przecież donosiciela nigdy nie wzywa się na konfrontację. Może ich oskarżono o przygotowanie ucieczki? terror? bunt? Zek nigdy tego się nie dowie, każą mu po prostu zabierać się z rzeczami. Czy wysyłają ich prosto do obozów? A może znów do więzienia śledczego? Taka już jest natura ludzka i ta jej właściwość dobrze była wykorzystywana w każdej epoce; póki jeszcze człowiek ma możliwość zdemaskowania zdrajcy i uratowania swoich towarzyszy kosztem własnego życia - żyje w nim ciągle jakaś nadzieja, wciąż jeszcze wierzy w pomyślny finał, jeszcze czepia się nędznych resztek dóbr doczesnych - i dlatego jest milczący i potulny. Kiedy zaś już został schwytany i powalony, kiedy nie ma już nic więcej do stracenia - wtedy gotów jest do heroicznej walki, ale swoją wściekłość może wyładować tylko na kamiennych ścianach pojedynki. Albo też tchnienie zwiastowanej mu kary śmierci czyni go obojętnym wobec ziemskich spraw.

Nie zerwawszy mu maski, nie schwytawszy z donosem w ręku, ale też nie mając wątpliwości, że jest szpiclem - jedni unikali Syromachy, inni zaś uważali, że bezpieczniej jest nawet przyjaźnić się z nim, grać w siatkówkę i rozmawiać o babach. Tak samo żyło się z innymi kapusiami. Tak wyglądało spokojne życie w szaraszce; pod jego powierzchnią toczyła się walka na śmierć i życie.

Artur jednak potrafił rozmawiać nie tylko o babach. „Saga rodu Forsyte'ów” należała do ulubionych jego książek i mówił o niej wcale niegłupio. (Co prawda, bez żadnych

trudności odrywał się od dzieła Galsworthy'ego, by poczytać sobie zaszargany kryminał). Artur miał także dobry słuch, lubił hiszpańskie i włoskie melodie, umiał bardzo muzykalnie zagwizdać coś z Verdiego, z Rossiniego, a na wolności, w pogoni za pełnią życia, raz do roku wpadał na koncert do Konserwatorium.

Syromacha pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej. W początkach naszego wieku jeden z Syromachów był kompozytorem, drugi natomiast skazany został na katorgę za przestępstwo pospolite. Jeszcze inny Syromacha z całym przekonaniem stanął po stronie rewolucji i służył w Czecha.

Kiedy Artur osiągnął pełnoletniość, poczuł - w zgodzie ze swoimi skłonnościami i potrzebami - że koniecznie musi mieć stale własne fundusze. Uregulowane, pełne mozołu życie z codziennym ślęceniem „od - do”, z liczeniem dwa razy na miesiąc zarobków zmniejszonych o podatki i pożyczki - to nie było dla niego. Chodząc do kina, Artur serio przymierzał się do wszystkich sławnych artystów filmowych i bez trudu wyobrażał sobie, jak to skoczyłby do Argentyny w towarzystwie Deanny Durbin.

Ma się rozumieć, że żaden instytut, żadne wykształcenie nie gwarantowało dostępu do takich zbytków. Artur rozglądał się za jakimś innym rodzajem pracy, pozwalającej na urozmaicony tryb życia i przeskakiwanie z miejsca na miejsce - a taka praca też jakby go szukała. Tak doszło do spotkania. Chociaż ta praca nie zaspokajała wszystkich możliwych jego potrzeb, ale podczas wojny uchroniła go od mobilizacji, a więc zawdzięczał jej życie. I gdy durnie gdzieś tam gnili w gliniastych okopach, Artur z niewymuszonym wdziękiem wkraczał do restauracji Savoy, gdzie wszyscy mogli podziwiać jego pociągłą twarz o gładziutkich, jasnych policzkach. (O, ta chwila przekraczania progu restauracji, kiedy ciepłe, pachnące dobrą kuchnią powietrze owiewa człowieka razem z dźwiękami muzyki, kiedy otwiera się widok na całą roziskrzoną salę, kiedy cała ta sala widzi człowieka i gdy można wybrać sobie odpowiedni stolik!) W duszy Artura dźwięczały hymny radości - znalazł właściwą drogę. Oburzało go, że inni ludzie uważają ten rodzaj pracy za podły. Brać się to mogło tylko z niezrozumienia istoty rzeczy albo z zawiści! Było to zajęcie dla ludzi utalentowanych, wymagało spostrzegawczości, pamięci, wynalazczości, zdolności do maskowania się, do gry aktorskiej - była to wręcz praca artystyczna. Owszem, trzeba było się z nią ukrywać, nie mogła istnieć bez tajemnicy - ale to wynikało z jej założeń technologicznych, to tak samo jak spawacz, który musi mieć szkła ochronne. Bo inaczej Artur za nic by nie robił z niej sekretu - nic haniebnego w tej pracy nie było!

Pewnego razu, nie mogąc się zmieścić w swoim budzecie, Artur przyłączył się do pewnego towarzystwa, które połazczyło się na społeczne pieniądze. Został aresztowany. Artur wcale nie miał o to żalu: dałeś się złapać, to sam jesteś winien. Ledwie tylko znalazł się za kolczastym drutem, w sposób zupełnie naturalny poczuł się znowu w dawnej skórze, a to, że teraz tutaj trafił, narzucało mu jedynie trochę inną formę pracy.

Pełnomocnicy operacyjni też nie zostawili go własnemu losowi. Nie posłano go na wyrąb lasu ani do kopalni, lecz otrzymał funkcję przy oddziale kulturalno-wychowawczym. Było to jedyne w całym łagrze światelko, jedyny kącik, gdzie” można było schronić się pół godziny przed apelem, wziąć do rąk gitarę albo wspomnieć swoje dawne, dziś aż nieprawdopodobne dzieje. Każdy obozowy Koper Pomidorowicz (tak nazywali złodzieje niepoprawnych inteligentów) czuł, jak go tam ciągnie - i Artur był tu na właściwym miejscu ze swoją artystyczną duszą, współczującymi oczyma, stołecznymi wspomnieniami i umiejętnością prześlizgiwania się w rozmowie z tematu na temat.

W ten sposób Artur szybko załatwił kilku pojedynczych agitatorów; jedną antysowiecką grupę; dwie ucieczki, jeszcze nie przygotowane, ale już ponoć zamierzone; a także obozową sprawę lekarzy, którzy mieli w celach sabotażu przedłużać proces leczenia więźniów - to znaczy pozwalali im wypocząć trochę w szpitalu. Wszystkie te króliki dostały dodatkowe wyroki, Arturowi zaś Trzeci Oddział odliczył od kary dwa lata.

Znalazłszy się w Marfinie, Artur także i tutaj nie wzgardził swoją tak owocną pracą. Stał się ulubiericem i oczkiem w głowie obu majorów-kumów - oraz najgroźniejszym donosicielem w szaraszce. Czerpiąc oburącz z jego donosów obaj kumowie nie zwierzali mu się jednak z własnych tajemnic i dlatego Syromacha nie wiedział teraz, dla kogo z nich dwóch będzie ważniejsza rewelacja w sprawie Doronina. Nie wiedział, czyim kapusiem był Doronin.

Wiele razy już pisano, że ludzie w gromadzie mogą zadziwić swoją niewdzięcznością i skłonnością do zdrady. Ale bywa też na odwrót! Nie jednemu, nie trzem, ale dwudziestu paru zekom, z całą szaloną nieostrożnością, z rozrzutną nierozwagą Ruska Doronin powierzył swój pomysł prowadzenia podwójnej gry. Każdy z wtajemniczonych zwierzył się jeszcze kilku innym, tajemnica Doronina stała się własnością prawie połowy więźniów. Mało brakowało, żeby w celach rozmawiano o niej na głos. I chociaż co piąty, co szósty więzień szaraszki był donosicielem - ani jeden z nich niczego się nie dowiedział albo nie doniósł, jeśli nawet coś słyszał! I najbardziej spostrzegawczy, obdarzony najlepszym nosem,

król donosicieli, Artur Syromacha też niczego się nie domyślał aż do dziś dnia!

Ale Syromacha nie mógł wdrzeć się do gabinetu! Nie wolno było tracić głowy, dobijać się do zamkniętych drzwi Szykina, a nawet zbyt często do nich podchodzić. Przed gabinetem zaś Myszyna stała kolejka! Rozpędzono ją wprawdzie po trzeciej, po dzwonku, ale w czasie gdy najbardziej natarczywi i uparci więźniowie użerali się w korytarzu ze sztabowym dyżurnym (Syromacha z wyrazem cierpienia na twarzy, trzymając się za brzuch, stanął pod drzwiami felczera i czekał na rozejście się grupy) - już został do Myszyna wezwany Dyrsin. Syromacha wykalkulował sobie, że Dyrsin nie miał powodu, aby długo zatrzymywać się u kuma - a tymczasem siedział tam i siedział, i siedział. Ryzykując gniew Ma-murina, że tak długo nie zjawia się w Siódemce, pełnej czadu z palników, topionej kalafonii i nowych projektów - Syromacha na próżno czekał chwili, gdy Dyrsin wyjdzie od Myszyna.

Ale nie wolno było się zdradzać nawet przed zwyczajnym strażnikiem sterczącym w korytarzu! Straciwszy cierpliwość, Syromacha biegł znowu na drugie piętro do Szykina i wracał na korytarz pod drzwi Myszyna, żeby znowu biec do Szykina na górę. Tym razem mu się poszczęściło: gdy stał w ciemnej niszy pod drzwiami majora, usłyszał charakterystyczny, skrzypiący głos stróża, jedyny w tym rodzaju w całej szaraszce.

Od razu więc zapukał w umówiony sposób. Drzwi się uchyliły i Szykin pokazał się w szparze.

- Bardzo pilne! - szeptem powiedział Syromacha.

- Chwileczkę - odparł Szykin.

Lekkim krokiem, żeby nie natknąć się na wychodzącego stróża, Syromacha poszedł na drugi koniec długiego korytarza, natychmiast zawrócił energicznie i bez pukania pchnął drzwi Szykina.

84

Po tygodniowym śledztwie dotyczącym „sprawy uszkodzenia tokarki” istota sprawy wydawała się majorowi Szykinowi wciąż jeszcze zagadką. Ustalił tylko, że ta tokarka z otwartym kołem trybowym schodkowego typu, z ręcznym przesuwem tylnego kleszczaka i z suportem poruszonym tak ręcznie, jak mechanicznie, tokarka wyprodukowana przez krajowy przemysł w szczytowym okresie pierwszej wojny światowej, w 1916 roku - została na zlecenie Jakonowa odłączona od silnika elektrycznego i przekazana w opisanym stanie z laboratorium numer 3 do inwentarza warsztatów mechanicznych. Ponieważ obie strony nie

potrafiły uzgodnić kwestii transportu, wydano rozkaz, aby pracownia własnymi siłami zadbała o zniesienie tokarki do podziemnego korytarza, warsztaty zaś miały ją ręcznym sposobem przenieść po schodni i następnie przez dziedziniec aż do własnego budynku. (Istniała krótsza droga, nie wymagająca znoszenia tokarki do piwnicy, ale w takim wypadku byłoby konieczne wypuszczenie zeków na podjazd przed paradnym wejściem, dobrze widzialnym z szosy i z parku, co było, ma się rozumieć, niedopuszczalne z punktu widzenia czujności).

Jasna rzecz, teraz doszło już do niepowetowanych strat, Szykin mógł mieć cichą pretensję także do siebie samego; nie przypisując znaczenia tak ważnej operacji, nie nadzorował jej osobiście. Ale przecież w historycznej perspektywie omyłki wybitnych działaczy zawsze są lepiej widoczne - a spróbuj człowieku ich uniknąć!

Tak się złożyło, że pracownia nr 3, mająca w składzie swojego personelu jednego naczelnika, jednego więźnia płci męskiej, jednego inwalidę i jedną panienkę, nie była w stanie przenieść tokarki własnymi siłami. Dlatego, w sposób zupełnie nieodpowiedzialny, wezwano do pomocy z różnych cel zupełnie przypadkowych ludzi w liczbie dziesięciu (nikt nie sporządził nawet ich spisu! - i major Szykin wiele musiał się napracować, żeby później z dwutygodniową zwłoką, konfrontując rozmaite zeznania, skompletować pełny spis podejrzanych) - i właśnie tych dziesięciu zeków zniosło w końcu ciężką tokarkę po schodach, z wysokiego parteru aż do piwnicy. Jednak warsztaty mechaniczne (z jakichś tam technicznych powodów ich naczelnik wcale nie ubiegał się o tokarkę) nie tylko nie dostarczyły na czas siły roboczej, ale nawet nie posłały kontrolera dla dokonania formalnego odbioru. Dziesięciu zmobilizowanych zeków po zniesieniu tokarki do piwnicy rozlazło się nie czując nad sobą kierowniczej ręki. Tokarka zaś jeszcze przez kilka dni zawadzała w przejściu (sam Szykin potykał się o nią przechodząc przez korytarz podziemny). W końcu przyszli po nią ludzie z warsztatu, ale zauważyli pęknięcie wspornika, przyczepili się do tego i jeszcze przez całe trzy dni nie chcieli zabrać tokarki, póki ich do tego w końcu nie zmuszono.

Ten właśnie fatalny, pęknięty wspornik posłużył za podstawę do nadania biegu „sprawie”. Tokarka była obecnie nieczynna może wcale nie z powodu tego pęknięcia (Szykin spotkał się także i z taką opinią), ale znaczenie pęknięcia było o wiele ważniejsze niż sam techniczny fakt. Pęknięcie oznaczało, że w instytucie działają wciąż jeszcze nie zidentyfikowane wrogie siły. Pęknięcie oznaczało, że kierownictwo instytutu ślepo ufa

zecom i dopuszcza się przestępczego niedbalstwa. Gdyby udało się dobrze przeprowadzić śledztwo, wykryć przestępcę, wydobyć na jaw prawdziwe motywy zbrodni - można by wtedy nie tylko ukarać tego i owego, a temu i owemu udzielić surowej przestrogi, ale rozpocząć również - od tego pęknięcia - poważną kampanię wychowawczą wśród kolektywu. No i w końcu honor zawodowy majora Szykina wymagał rozplatania tego złowrogiego kłębaka!

Ale to nie było łatwe. Stracono dużo czasu. Więźniowie-tragarze zdążyli wzajemnie się ubezpieczyć, to była przestępcza zmowa. Ani jeden wolny pracownik (fatalne przeoczenie!) nie był obecny przy tym noszeniu. Wśród dziesięciu tragarzy znalazł się tylko jeden informator - i to byle jaki - największym dotąd jego osiągnięciem był donos w sprawie prześcieradła podartego na gorsy. Całą pomocą z jego strony było jedynie ustalenie listy tej dziesiątki. W ogóle zaś cała dziesiątka, bezczelnie licząc na swoją bezkarność utrzymywała, że tokarkę dostarczono do suterenu w całości, że nie wleczono jej po żelaznych schodach i że o żaden stopień wspornikiem nie zawadziła. Ponadto - wynikało z ich zeznań - że za to miejsce, gdzie stwierdzono później pęknięcie, to znaczy za wspornik pod tylnym kleszczakiem, jakoś nikt nie trzymał, tylko wszyscy złapali się za wsporniki pod trybami i pod trzpieniem. Chcąc dotrzeć do prawdy major rysował nawet kilkakrotnie schemat tokarki i pozycję każdego z tragarzy. Ale łatwiej było przy tym śledztwie nauczyć się tokarskiego rzemiosła, niż znaleźć winnego. Jedynym, którego można było oskarżyć - nawet nie o sabotaż, zaledwie o zamiar sabotażu - był inżynier Potapow. Rozeźlony trzygodzinnym badaniem w końcu się wygadał:

- Gdybym chciał wam to koryto zepsuć, to bym po prostu garść piasku sypnął w łożyska i tyle! Po co łamać wspornik?

(To zdanie ze słownika typowego dywersanta Szykin natychmiast wpisał do protokołu, ale Potapow nie chciał go podpisać).

To śledztwo było tak trudne dlatego, że Szykin był tym razem pozbawiony zwykłych środków dochodzenia prawdy: pojedynki, karceru, pyskobicia, zostawiania o chlebie i wodzie, nocnych badań i nawet elementarnego przenoszenia poszczególnych podejrzanych do osobnych cel. W tym wypadku koniecznie musieli być dalej zdolni do wydajnej pracy, dlatego też musieli być normalnie żywieni i wyspani.

Mimo to już w sobotę udało się Szykinowi wyrwać jednemu z podejrzanych zeznanie, zgodnie z którym - gdy schodzili już z ostatnich stopni i zbliżali się do wąskich drzwi -

napatoczył im się stróż Spirydon i z wołaniem: „Poczekajta, wiara, ja też pomogę!” - dołączył do nich jako jedenasty i niósł już potem aż do końca. Ze schematu zaś wynikało jasno, że nie mógł złapać się za nic innego, jak tylko za wspornik tylnego kleszczaka.

Tę nową, sutą nić Szykin postanowił rozplatać właśnie dziś, w poniedziałek, odkładając na bok dwa poranne donosy o sędzie nad kniazem Igozem. Przed samym obiadem wezwał do siebie rudowłosego stróża, który przyszedł ze dworu tak jak stał - w waciaku przepasanym wystrzępionym brezentowym paskiem. Zdjął swoją kłapouchą czapkę i z miną pełną skruchy miał ją w rękach, zupełnie jak klasyczny chłop, co przyszedł do pana dziedzica prosić o kawałek gruntu. Stał przy tym cały czas na gumowej wycieraczce, żeby nie zabrudzić podłogi. Rzuciwszy karcące spojrzenie na jego mokre buciory, Szykin surowym wzrokiem zmierzył następnie całą jego postać. Nie poprosił go bliżej, sam zaś siedział na fotelu i w milczeniu czytał jakieś papiery. Od czasu do czasu - tak jakby z tych papierów dowiadywał się o przerażających zbrodniach Jegorowa - Szykin spoglądał na niego ze zdumieniem i zgrozą, jak na krwiożerczą bestię, która nareszcie znalazła się w klatce (wszystko to były chwytły zgodne z instrukcją i mające destrukcyjnie działać na psychikę więźnia). W ten sposób pół godziny minęło w zupełnym milczeniu, zza drzwi gabinetu dał się słyszeć dzwonek na przerwę obiadową, w czasie której Spirydon spodziewał się otrzymać list z domu - ale Szykin jakby nie słyszał tego dzwonka; cały czas wertował grube skoroszyty, przekładał coś z jednej szuflady do drugiej, czytał jakieś dokumenty i raz po raz z ponurą miną i jadowitym zdumieniem rzucał krótkie spojrzenia na przygnębionego, zgarbionego, skruszonego Spirydona.

Ostatnie krople wody z butów Spirydona spłynęły wreszcie na wycieraczkę, buciory wyschły i Szykin powiedział:

- A no, podejdz tu bliżej! (Spirydon podszedł). - Stój. Tego tu znasz, czy nie? - i pokazał mu trzymaną w ręce fotografię jakiegoś chłopaka w niemieckim mundurze, bez czapki.

Spirydon pochylił się, przymrużył oczy i powiedział przeproszającym tonem:

- Ja, widzi obywatel major, troszki niedowidzę. Żebym tak mógł obmacać...

Szykin nie sprzeciwiał się. Dalej trzymając w jednej ręce swoją kudłatą czapkę, Spirydon drugą ręką wziął zdjęcie obłapiwszy je wszystkimi pięcioma palcami za skraje i obracając tak i owak w stronę okna, zaczął przesuwając tuż przed lewym okiem, oglądając jakby po kawałku.

- Nie - westchnął z ulgą. - Nie widziałem.

Szykin odebrał mu zdjęcie.

- Bardzo niedobrze - powiedział ze współczuciem. - Zapieranie się tylko szkodę wam przyniesie. No cóż, siadajcie - wskazał mu krzesło stojące najdalej od biurka. Mamy dziś dłuższą rozmowę, na stojaka się tego nie załatwi.

I znowu zamilkł, schyliwszy się nad papierami.

Spirydon cofnął się i usiadł na krześle. Z początku położył czapkę na sąsiednim foteliku, ale przyjrzawszy się skórzanej, czystej tapicerce, przełożył czapkę na kolana. Swój okrągły łeb wciągnął w ramiona i pochylił do przodu; wyglądał jak wcielenie skruchy i potulności.

W duszy zaś powtarzał sobie jak najspokojniej:

„Adi, ty gadzie! Ach, ty psie! Kiedyż ja teraz list odbiorę? Czy aby już go tu masz?”

Dla Spirydona, który widział w swoim życiu już dwa śledztwa zwykłe, jedno nadzwyczajne, a także tysiące więźniów, którzy mieli śledztwo za sobą - gra Szykina była przejrzysta jak szkło. Wiedział jednak, że trzeba udawać bezgraniczną wiarę.

- No więc, przyszły nowe materiały na was - ciężko westchnął Szykin. - Okazuje się, że w Niemczech nieźleście nabroili!...

- Może to wcale nie ja! - uspokoił go Spirydon. - Bo nas, Jegorowów, dajcie wiarę, obywatelu majorze, było tyle, co much w tych Niemczech. Podobno nawet jeden generał Jegorow był!

- No jak to, nie wy! Jak to nie wy! Spirydon Daniłowicz, proszę bardzo - Szykin puknął palcem w jedną z teczek. - Ten sam rocznik, wszystko to samo.

- Rocznik też? W takim razie to na pewno nie ja, nie ja! - z przekonaniem oświadczył Spirydon. - Ja przecież u Niemców dodałem sobie trzy lata dla świętego spokoju.

- Aha! - przypomniał sobie Szykin, twarz mu się rozjaśniła, głos pozbył się tonu przykrej konieczności służbowej i major odsunął na bok wszystkie papiery. - Żeby nie zapomnieć. Ty, Jegorow, może pamiętasz, z dziesięć dni temu przносиłeś taką tokarkę? Ze schodów do piwnicy.

- No-no - powiedział Spirydon.

- Więc gdzie wam trzasła właściwie, jeszcze na schodach, czy już w korytarzu?

- Kto trzasnął? - zdziwił się Spirydon. - Nikt tam nikogo nie trzaskał.

- Nie kto kogo, tylko maszynę!

- Bóg z wami, obywatelu majorze, kto by tam tokarkę trzaskał? Zrobiła komu krzywdę, czy co?

- Właśnie ja sam się dziwię - dlaczegoście ją rozbili? Może wam upadła?

- Jeszcze by, upadła?! Toć my ją pod te nóżki, ostrożnie, jak małe dziecko.

- A ty sam? Za coś ją trzymał?

- Ja? A za ten bok.

- Za który?

- No ten z mojej strony.

- Ale jakeś ją brał - za tylny wspornik, czy za trzpień?

- Obywatelu majorze, ja się tam na tych trzpieniach nie rozumiem, ja wam tak jakoś pokażę! - rzucił czapkę na sąsiednie krzesło, podniósł się i odwrócił, tak jakby wciągał maszynę przez drzwi do gabinetu. - Ja niby na samym dole, nie? Zadem. A oni dwaj, znaczy się, uwięźli w tych drzwiach, nie?

- Jacy dwaj?

- A licho ich wie, dzieci z nimi nie chrzcilem. Aż mi się gorąco zrobiło. Stać! krzyczę - dajcie się lepiej złapać! A ciężka ta armata, że hej!

- Jaka armata?

- No, nie rozumiecie? - zapytał Spiridon przez ramię, już rozsierdzony. - No ta, co ją nieśli.

- Tokarka, tak?

- A no, tokarka! I zadałem ją sobie! O, tak. - Pokazał i cały się naprężył w przysiadzie. - Wtedy jeden przecisnął się bokiem, drugi też się jakoś przepchał, a we trójkę - to już na pewno się utrzyma. Fuu! (Wyprostował się). I dodał: - U nas, zanim kolchozy nastąpiły, to nie takie ciężary się nosiło. Dać by ze sześć bab na tę tokarkę, to ani chybi całą wiorstę nieść będą. Gdzie ta tokarka? A chodźcie, zaraz ją przeniesiemy, tak, dla śmiechu!

- Więc nie upuściliście jej? - zapytał major z groźbą w głosie.

- Toć mówię, że nie!

- Więc kto ją połamał?

- Patrzajcie, to jednak ją uchechłali? - zdumiał się Spiridon. - No, no... - przestał pokazywać, jak nieśli, znów usiadł na swoim krześle i zamienił się cały w słuch.

- Jakeście ją brali - to była cała?

- Czegom nie widział, tego nie powiem, może ta i była połamana.

- No, a kiedyście ją stawiali - to jaka była?

- O, tu to już na pewno była cała!

- Ale przecież wspornik był pęknięty?

- Żaden tam pęknięty - odparł Spirydon z przekonaniem.

- Jakiś to mógł zobaczyć, diable ślepy? Przecież ślepy jesteś?

- Ja, obywatelu majorze, to do papierków jestem ślepy, rzeczywiście - ale jak co do gospodarstwa, to wszystko widzę. Wy na przykład i inni obywatele oficerzy, jak przechodzie podwórcem, to rzucacie niedopałki, a ja wszystko dokładnie zbieram, nawet z białego śniegu, wszyściutko. Proszę zapytać rządcę.

- No to jakże? Postawiliście tę tokarkę i zaczęliście ją specjalnie oglądać?

- A jak inaczej, po robocie siedliśmy na jednego cuga, to już musowo. I poklepaliliśmy tokarkę.

- Poklepaliliście? Czym?

- A ręką, tak, po boku, jak konia gorącego. Jeden inżynier to jeszcze powiedział: „Dobra tokarka! Mój dziad był tokarzem, też na takiej robił”.

Szykin westchnął i wziął czysty arkusz.

- Bardzo to smutne, że tu też nie chcesz się przyznać. Spiszemy teraz protokół. Jasne, że to ty połamałeś tokarkę. Gdyby kto inny to zrobił - to przecież byś wskazał winnego.

Powiedział to pewnym siebie głosem, ale wewnętrzną pewnością już stracił. Chociaż był panem sytuacji, chociaż to on prowadził dochodzenie, stróż zaś odpowiadał z całą ochotą i z wieloma szczegółami, ale pierwsze godziny badania poszły na marne - i długie milczenie, i fotografie, i specjalny ton rozmowy, i żywa dyskusja o tokarce - ten rudy więzień, z którego twarzy nie zniknął usługny uśmiech, wciąż pokornie przygarbiony - teraz już się nie podda, skoro nie zrobił tego od razu.

Spirydon, jeszcze gdy mówił o generale Jegorowie, już doskonale się orientował, że wzywano go tu nie przez żadne Niemcy, że fotografia była lipna, że kum lał wodę, wezwał go zaś właśnie z powodu tokarki - dziw byłby nad dziwy, gdyby go nie wezwano, tamtych dziesięciu przez cały tydzień otrząsano jak gruszę. I, przyzwyczajony przez całe życie okłamywać władzę, Spirydon teraz też bez trudu włączył się do tej smutnej zabawy. Ale te wszystkie ciche rozmowy były dla niego czymś takim, jak drapanie tarką po skórze. To go bolało, że list znów się od niego oddalał. I jeszcze jedno: chociaż w gabinecie Szykina było ciepło i sucho, ale roboty na podwórcu nikt za Spirydona nie odwali i cała ona gromadziła

mu się na jutrzejszy dzień.

Czas mijał, dawno już przebrzmiał dzwonek na koniec przerwy, Szykin zaś kazał Spiridonowi złożyć swój podpis stwierdzający, że świadom jest odpowiedzialności z artykułu 95 za składanie fałszywych zeznań, zapisał swoje pytania i jak tylko mógł, tak przekreślił w sprawozdaniu odpowiedzi Spiridona.

Wtedy to rozległo się ostre pukanie do pokoju.

Wysławszy za drzwi Jegorowa, który mu się uprzykrzył swoją tępotą, Szykin powitał w gabinecie rzeczowego Syromachę o węzowych ruchach, umiejącego zawsze w dwóch słowach powiedzieć to, co najważniejsze.

Syromacha wszedł miękkim, szybkim krokiem. Przyniesiona przezeń nowina i szczególna pozycja wśród konfidentów zrównywały go dziś z majorem. Zamknął za sobą drzwi i, nie pozwalając Szykinowi przekreślić klucza, dramatycznie cofnął się o krok. Zgrywał się. Wyraźnie, ale tak cicho, że nie można było podsłuchać tego przez drzwi, oznajmił:

- Doronin chodzi i wszystkim pokazuje przekaz na sto czterdzieści siedem rubli. Zasypał Lubimiczewa, Kagana i jeszcze pięciu ludzi. Zebrali się całą grupą i polują sobie na podwórku. Doronin jest wasz?...

Szykin szarpnął kołnierz i rozerwał go, dając folgę ściśniętej szyi. Oczy wyszły mu na wierzch. Tłusty kark poszarzał. Rzucił się do telefonu. Twarz jego, zawsze pełna wyższości i zadowolenia z siebie, teraz naznaczona była obłędem.

Syromacha nie krokiem, ale jakby miękkim skokiem wyprzedził Szykina i nie pozwolił mu podnieść słuchawki.

- Towarzyszu majorze! - upomniał go (jako więzień nie śmiał używać słowa „towarzysz”, ale miał obowiązek mówić tak jako przyjaciel!) - nie bezpośrednio! nie dajcie mu się przygotować!

To było elementarne prawo więzienne! - ale nawet to musiano mu przypomnieć.

Cofając się i lawirując tak, jak gdyby widział stojące na drodze meble, Syromacha podszedł do drzwi. Nie spuszczał z majora oka.

Szykin upił parę łyków wody.

- To ja już pójdę, towarzyszu majorze? - powiedział Syromacha tonem raczej twierdzącym niż pytającym. - Czego się jeszcze dowiem - to powiem wieczorem albo rano.

Wytrzeszczone oczy Szykina powoli przytomniały.

- Dziewięć gramów dostanie gadzina! - wychrypiał - już ja to załatwię!

Syromacha wyszedł bez hałasu, jak z pokoju chorego. To, co zrobił, zrobił z przekonania i wcale nie chciał od razu mówić o nagrodzie.

Nie miał wcale pewności, że Szykin będzie nadal majorem bezpieczeństwa.

Nie tylko w szaraszce Marfino, ale w całej historii ministerstwa nie zdarzył się jeszcze podobny wypadek. Króliki miały prawo zdychać, ale prawa do obrony nie miały.

Nie z gabinetu Szykina, tylko za pośrednictwem dyżurnego, którego biurko stało w korytarzu, poproszono naczelnika pracowni próżniowej, aby kazał Doroninowi natychmiast zgłosić się do inżyniera pułkownika Jakonowa.

Chociaż była dopiero czwarta po południu, w zawsze ciemnej pracowni próżniowej dawno już paliły się lampy pod sufitem. Naczelnik pracowni był nieobecny, więc podniosła słuchawkę Klara. Przyszła na wieczorny dyżur później niż zwykle, dopiero przed chwilą. Weszła do pracowni w futrzanej czapeczce i pelisie, zaczęła rozmawiać z Tamarą - i chociaż Ruska nie spuszczał z niej rozplómiętego wzroku - jeszcze ani razu nie spojrzała w jego stronę. Słuchawkę ujęła dłonią w purpurowej rękawiczce, pochyliła się lekko, mówiąc coś do telefonu. Ruska zaś stał za swoją pompą o trzy kroki od niej, wpijając się oczyma w jej twarz. Wyobrażał już sobie, jak to dziś wieczorem, kiedy wszyscy pójdą na kolację, obejmie tę najdroższą głowę. Gdy był blisko Klary, przestawał dostrzegać otoczenie.

Podniosła oczy (wcale go nie szukała, czuła, że jest blisko) i powiedziała:

- Panie Rościsławie! Antoni Nikołajewicz pilnie pana wzywa.

Byli na widoku, wszyscy ich słyszeli, więc nie mogła nawet mówić inaczej - ale jej oczy były już inne! Jakby je kto zamienił! Były powleczone jakąś martwą matowością...

Stosując się mechanicznie do rozkazu i nie myśląc nawet, co oznaczać może nieoczekiwane wezwanie do inżyniera-pułkownika - Ruska szedł przed siebie i myślał tylko o wyrazie tych oczu. Już na progu odwrócił się i zobaczył, że Klara odprowadzała go wzrokiem, ale zaraz odwróciła głowę.

Wiarołomne oczy! Odwróciła się z lękiem.

Co mogło się z nią stać?...

Myśląc tylko o niej poszedł na górę do dyżurnego, zupełnie odrzuciwszy zwykłą swoją czujność, zapominając, że trzeba być zawsze gotowym na nieoczekiwane pytania i niespodziany atak, jak tego wymagał spryt więźniarski. Dyżurny zaś, zastępując mu drogę do drzwi Jakonowa, wskazał w głębi czarnej niszy na drzwi majora Szykina.

Gdyby nie rada Syromachy, gdyby Szykin zadzwonił do pracowni próżniowej osobiście - Ruska od razu byłby przygotowany na najgorsze, obleciałby z dziesięciu przyjaciół, uprzedził ich - zażądałby od Klary chwili rozmowy, żeby dowiedzieć się, jak to jest z nią właściwie, uniósłby z sobą albo pełną zachwytu wiarę w nią, albo mógłby sam uwolnić się od nakazu wierności. Teraz, przed samymi drzwiami kuma, zbyt późno domyślił się, o co chodzi.

Nie bardzo już można było w obecności dyżurnego wahać się, zawracać z drogi, mimo to Ruska rzucił się ku schodom - ale właśnie na ostatni ich stopień wkraczał wezwany telefonicznie dyżurny z części więziennej, lejtnant Żwakun, były kat.

I Ruska poszedł do Szykina.

Na przestrzeni kilku kroków zdążył wziąć się w ryzy, wyraz twarzy całkiem mu się zmienił. Dzięki dwuletniemu treningowi w okresie, gdy słano za nim listy gończe, dzięki szczególnemu awanturniczemu geniuszowi, który go cechował - zdołał bez wszelkiego oporu poskromić to, co go tak wzburzyło, błyskawicznie wkroczył w krąg nowych myśli i niebezpieczeństw, i z wyrazem chłopięcej otwartości, beztroskiej gotowości, zameldował już przy wejściu:

- Czy wolno? Słucham, obywatelu majorze.

Szykin siedział w dziwnej pozie opierając się piersią o biurko. Jedna ręka mu zwisała i hojdała się jak kańczug. Wstał z miejsca, podszedł do Doronina i tą łapą-kańczugiem z dołu trzasnął go w twarz.

Drugą ręką też się już zamachnął! - ale Doronin odskoczył od drzwi i stanął w obronnej pozie. Krew sączyła mu się z ust, kosmyk białych włosów opadł mu na oko.

Nie sięgając już mu teraz do twarzy, niski Szykin stał przed nim szczerząc zęby i groził bryzgając śliną:

- Ach, ty draniu! Zdrada?! Możesz pożegnać się z życiem, Judaszu! Jak psa cię rozstrzelamy! W piwnicy!

Mijało już dwa i pół roku od chwili, gdy najbardziej humanitarny z mężów stanu raz na zawsze skasował karę śmierci. Ale ani major, ani jego zdemaskowany informator nie ulegali iluzjom: co zrobić z niewygodnym człowiekiem, jeżeli nie rozstrzelać?

Ruska wyglądał dziko, włosy mu się rozczochrały. Krew ściekała po brodzie, warga puchła w oczach.

Jednakże wyprostował się i powiedział zuchwale:

- Co do rozstrzelania - to warto się namyślić, obywatelu majorze. Ja was też mogę wsadzić. Cztery miesiące wszystkie ślepe kury śmieją się nad wami - a pen-syjkę to pobieracie. Oj, zdejmą wam te pagony! Względem rozstrzelać - to jeszcze warto się namyślić...

85

Nasza zdolność do bohaterskich czynów, to znaczy postęp - ków, które wydają się przerastać siły człowieka, zależy część - ciowo od naszej woli, częściowo zaś - jak wolno przypuszczać - już przy urodzeniu mieszka w nas, albo i nie mieszka. Czyn taki jest najtrudniejszy do spełnienia wtedy, jeżeli jest wynikiem wielkiego wysiłku woli wcale do tego nie przygotowanej. Jest łatwiejszy, jeżeli przychodzi jako rezultat wysiłku długoletniego i starannie kierowanego. Najłatwiej zaś dokonać takiego czynu, jeżeli wydaje się nam czymś naturalnym i prostym, jak oddychanie.

Tak właśnie żył Ruska Doronin wtedy, gdy szukano go po całym kraju - z całą naturalnością i dziecięcą pogodą. Miał zapewne we krwi już od samego urodzenia tętno ryzyka, płomień przygody.

Ale Innocenty, czyścioszek, dziecko szczęścia, nie potrafiłby ukrywać się pod cudzym nazwiskiem i wałęsać się po całym kraju. Nie przychodziło mu nawet do głowy, że mógłby w jakikolwiek sposób przeciwstawić się swojemu aresztowaniu, jeżeli zostało ono postanowione.

Zadzwoił do ambasady w nagłym porywie i źle się do tego przygotował. Dowiedział się o całej sprawie nagle i za późno już było czekać, aż za kilka dni znajdzie się sam w Nowym Jorku. Dzwonił, jakby go coś opętało, chociaż wiedział, że wszystkie telefony są na podsłuchu i że w ministerstwie tylko kilku ludzi zna tajemnicę Georgija Kowala.

Po prostu rzucił się w przepaść, bo nagle pojął, jakie to nieznośne, że tak bezczelnie ukradną tę bombę i że za jakiś rok będą już nią potrząsać. Rzucił się w przepaść w nagłym porywie uczuciowym, ale nie wyobrażał sobie wtedy, jak miażdżące będzie zderzenie z jej kamiennym dnem. Być może tliła się jeszcze w nim zuchwała nadzieja, że zdoła przecież wyfrunąć, uniknąć odpowiedzialności, polecieć za ocean, odprężyć się tam i opowiedzieć wszystko korespondentom.

Nie doleciał jeszcze do dna, ale już poczuł w sobie pustkę i stracił wszelki wigor. Pękła w nim struna krótkotrwałego zdecydowania i strach miażdżył go już i wypalał.

Stało się to szczególnie jasne w poniedziałek rano - kiedy trzeba było zmusić się, aby

znów zacząć codzienne życie, jechać do pracy i z lękiem sprawdzać, czy nie zmieniły się spojrzenia i głosy ludzi z otoczenia, czy nie zwiastują one czegoś groźnego.

Starał się zachowywać jeszcze godność, ale wewnątrz był już jednym rumowiskiem, nie potrafiłby już opierać się, szukać wyjścia, ratować się.

Nie było jeszcze jedenastej, kiedy sekretarka powiedziała Innocentemu - nie dopuszczając go do swego szefa, że, jak słyszała, nominacja Wołodina wstrzymana została przez wiceministra.

Ta nowina, chociaż niezupełnie jeszcze sprawdzona, tak wstrząsnęła Innocentym, że nie znalazł w sobie sił, aby uzyskać audiencję i przekonać się, jak naprawdę sprawa wygląda. Nic innego nie mogło zmienić raz już powziętej decyzji o jego wyjeździe! Na jego nominacji do aparatu ONZ była już wiza Wyszyńskiego, stanowisko zawarowane było dla przedstawiciela ZSRR... Więc został zdemaskowany...

Pociemniało mu nagle w oczach, poczuł ciężar własnych rąk, wrócił do gabinetu i stać go było tylko na to, żeby zamknąć drzwi na klucz i wyjąć go z zamka (żeby wydawało się, iż wyszedł). Mógł sobie na to pozwolić; sąsiad urzędujący przy drugim biurku jeszcze nie wrócił z delegacji.

Wszystko w jego wnętrzu ohydnie zwiotczało. Czekał na pukanie do drzwi. Czuł lęk, rozdzierający lęk, że za chwilę wejdą i aresztują go. Mignęła mu nawet myśl, żeby nie otwierać. Niech wyważą drzwi.

Albo powiesić się przed ich wejściem.

Albo wyskoczyć przez okno, z drugiego piętra. Wprost na ulicę. Dwie sekundy - i wszystko skończone. I zgaśnie świadomość.

Na biurku leżało grube sprawozdanie ekspertów, nie odrobiona jeszcze powinność Innocentego. Miał sprawdzić je przed wyjazdem, ale nie mógł nawet patrzeć na to bez odrazy.

Czuł ziąb, dreszcze go brały, chociaż w gabinecie było dobrze napalone.

Ta wstrętne niemoc wewnętrzna! Czekać tak bezsilnie na zagładę... Innocenty rzucił się na kanapę. Padł na brzuch, wyciągnął się na całą długość, tylko tak czuł, że mebel daje mu oparcie czy rodzaj uspokojenia.

Myśli mu się plątały.

Więc to on? on! to on ośmielił się dzwonić do ambasady! I po co? Wy telefonować do Embassy of Canada... A kto wy jest? A skąd ja wiedzieć, czy wy mówić prawda?... Ach, ci

zadufani Amerykanie! Doczekają się w końcu kolektywizacji swoich farm! Zasłużyli sobie na to...

Nie trzeba było dzwonić. Toż żał siebie samego. Mając trzydzieści lat już żegnać się z życiem. I chyba wśród tortur.

Nie, nie żałował, że zadzwonił. Zapewne tak było trzeba. Jakby go kto wtedy za rękę prowadził. Nie czuł wtedy lęku. Nie o to chodzi, że nie żałował - po prostu brak mu już było woli, żeby czegokolwiek żałować lub nie żałować. Pod ciśnieniem paralizującego niebezpieczeństwa leżał prawie nie oddychając, przyłgnąwszy do kanapy i chciał już tylko, żeby wszystko prędzej się skończyło, żeby go już prędzej zabrali, czy co.

Ale szczęśliwie nikt nie pukał, nikt nie próbował otworzyć drzwi. Telefon też nie zadzwonił ani razu.

Zapadł w drzemkę. Tłoczyły mu się w głowie ciężkie i nedorzeczne sny, rozsadały czaszkę, zmuszały do przebudzenia. Budził się jeszcze bardziej znużony, zadręczony, bo we śnie kilka razy już próbowali go aresztować, już go zatrzymywali. Ale wstać z kanapy, odpędzić koszmara, nawet zmienić pozycję - na to wszystko nie miał sił. I znów ciągnęła go w głąb ohydna, senna niemoc. Wreszcie zasnął jak kamień - i obudził się słysząc dochodzące z korytarza hałasy przerwy i czując, że z jego otwartych odrętwiałych ust obficie śący się na kanapę ślina.

Podniósł się, odryglował drzwi, wyszedł, żeby się umyć. Roznoszono herbatę z kanapkami.

Nikt nie zjawił się, żeby go aresztować. Koledzy w korytarzu, w kancelarii ogólnej witali się z nim jak zwykle, nikt nie zmienił stosunku do niego.

To jeszcze niczego nie dowodziło. Nikt przecież tutaj nie mógł mieć o niczym pojęcia.

Ale te zwyczajne spojrzenia i głosy innych ludzi dodały mu otuchy. Poprosił dziewczynę-gońca, aby mu przyniosła herbaty możliwie najgorętszej i najmocniejszej. Z przyjemnością wypił dwie szklanki. To go też podniosło na duchu.

A jednak brak mu było sił, żeby dostać się do szefa i dowiedzieć się wszystkiego...

Samobójstwo byłoby tu najrozsądniejszą rzeczą, byłoby przejawem instynktu zachowawczego i współczucia wobec siebie samego. Ale tylko w tym wypadku, gdyby wiedział na pewno, że nie uniknie aresztowania.

A jeżeli nie.

Nagle zadzwonił telefon. Innocenty wzdrygnął się, serce - nie od razu, po chwili -

głośno mu zabiło.

Tymczasem to była Dotti. Jej głos w słuchawce był zadziwiająco melodyjny. Był głosem żony, która odzyskała swoje prawa. Pytała, co słyhać, i proponowała, żeby razem pójść dokądś wieczorem.

I znowu Innocenty poczuł przyływ ciepła i wdzięczności. Niedobra żona, czy tam dobra, a jednak to najbliższy człowiek!

Nie powiedział jej o cofnięciu nominacji. Ale już wyobrażał sobie, jak bezpiecznie poczuje się wieczorem w teatrze - nie zaaresztują go przecież na widowni, na oczach publiczności!

- Dobrze, weź bilety na coś wesołego - powiedział Innocenty.

- Może do operetki? - zapytała Dotti. - Idzie jakaś „Akulina”. A poza tym nigdzie nic nie ma. W Centralnym Teatrze Wojska na małej scenie „Prawo Likurga”, premiera. Na dużej - „Głos Ameryki”. W MChAcie - „Niezapomniany 1919”.

- „Prawo Likurga”? Za ładnie się nazywa. Takie nazwy mają zawsze najgorsze sztuki. Weź już na „Akulinę”, niech będzie. A potem skoczmy sobie do restauracji.

- Okej! okej! - śmiała się i cieszyła Dotti.

(Całą noc by tam człowiek przesiedział, żeby nie zastali w domu! Przecież oni przychodzą w nocy!) Czuł stopniowy nawrót słabych prądów woli. No dobrze, przypuśćmy, że go podejrzewają. Ale przecież Szczewronok i Zawarzin są bezpośrednio wtajemniczeni we wszystkie szczegóły, podejrzenie powinno zwrócić się przede wszystkim przeciw nim. Podejrzenie to jeszcze nie dowód!

Dobrze, powiedzmy, że grozi aresztowanie. Ale nie ma sposobu, żeby temu przeciwdziałać. Ukrywać coś? Nie ma nic do ukrycia. Więc oco tu się martwić? Wróciły mu znowu siły, mógł chodzić po pokoju i rozmyślać.

No cóż, powiedzmy nawet, że zostanie aresztowany. Może wcale nie dziś i nawet nie w tym tygodniu. Czy warto przez to rezygnować z życia? Czy raczej na odwrót - delektować się nim zapamiętałe w ciągu tych ostatnich dni?

I dlaczego taki lęk go ogarnął? Do diabła, tak dowcipnie bronił wczoraj Epikura - czemu teraz nie korzysta z jego nauk? Są w nich całkiem niegłupie myśli.

Przyszło mu jednocześnie do głowy, że warto przejrzeć notatniki, czy nie ma w nich czegoś, co lepiej zniszczyć, i że w jednym ze starych notesów są chyba cytaty z Epikura. Zaczął je wertować, odsunawszy sprawozdanie ekspertów, i znalazł: „Intymne uczucia

zadowolenia i niezadowolenia są najwyższymi kryteriami dobra i zła”.

Zajęty czym innym umysł Innocentego nie usiłował przeniknąć tej myśli. Czytał dalej:

„Trzeba zdawać sobie sprawę, że nieśmiertelności nie ma. Nieśmiertelność nie istnieje i dlatego śmierć dla nas nie jest złem, bo po prostu nas nie dotyczy; póki my istniejemy - śmierci nie ma, kiedy zaś śmierć nadchodzi - nie ma już nas”.

A to dobrze powiedziane! - Innocenty wyprostował się. Zaraz, kto to, kto to niedawno mówił to samo? Ach, ten frontowiec, wczoraj na przyjęciu.

Innocenty wyobraził sobie ogród w Atenach, siedemdziesięcioletniego, smagłego Epikura w tunice, stojącego na marmurowym podwyższeniu i głoszącego swoją naukę - siebie zaś tuż przed nim, ubranego współcześnie i siedzącego w niedbałej pozie, jakoś tak po amerykańsku, na słupku.

„Wiara w nieśmiertelność zrodziła się z żądy trapiącej ludzi nienasyconych, bez umiaru i rozsądku wykorzystujących ten czas, jaki nam darowała natura. Ale mędrzec potrafi uznać ten czas za wystarczający do obejścia całego kręgu dostępnych człowiekowi rozkoszy, kiedy zaś nadejdzie chwila śmierci - potrafi odejść od stołu życia, ustępując miejsca innym. Mędrcomi dość jest jednego ludzkiego życia, głupiec zaś nie wiedziałby, co począć z całą wiecznością”.

Świetnie powiedziane! Ale masz ci los: co robić, jeżeli nie natura odrywa cię od stołu, gdy masz siedemdziesiąt lat, tylko MBP - gdy masz dopiero trzydzieści?...

„Nie należy bać się cierpień fizycznych. Kto zna granice cierpienia, tego strach się nie ima. Długie cierpienie - zawsze jest znośne, wielkie zaś - nie trwa długo. Mędrzec nie utraci spokoju ducha, nawet gdy go będą torturować. Pamięć znów go obdarzy dawnymi radościami zmysłowymi i duchowymi. Na przekór chwilowym cierpieniom ciała - odbuduje w nim równowagę duchową”.

Innocenty zaczął chodzić po gabinecie z ponurą miną.

Tak, nie śmierć była tym, czego się bał. A co, jeżeli po aresztowaniu zaczną dręczyć jego ciało?

Epikur powiada, że można przezwyciężyć ból tortury. O, gdybyż mieć taką pewność!

Wcale jej w sobie nie znajdował.

Umrzeć? Może wcale by nie było szkoda umierać, gdyby ludzie wiedzieli, że był taki obywatel świata i że uratował ich od wojny nuklearnej.

Bomba atomowa w rękach komunistów - i planeta zginie.

Zastrzelą w piwnicy jak psa, akta zaś sprawy zamkną na tysiąc spustów.

Innocenty podniósł głowę, tak jak czynią to ptaki, aby woda spłynęła do ściśniętego skurczem gardła.

Ależ nie, gdyby świat się o nim dowiedział - nie byłoby mu wcale lżej, tylko jeszcze straszniej: bo już takie ciemności nas ogarnęły, że nie odróżniamy zdrajców od przyjaciół. Kim był książę Kurbski? - zdrajcą. Kim był Iwan Groźny? - był ojcem rodzonym.

Tylko że tamten Kurbski uciekł z carstwa Iwana Groźnego, a Innocenty nie zdążył.

Gdyby roztrąbili historię jego czynu, rodacy z rozkoszą by go zaraz ukamienowali! Któż by go zrozumiał? Najwyżej tysiąc ludzi na dwieście milionów. Kto jeszcze pamięta, że odrzucono rozsądny plan Amerykanina Barucha: wyrzec się w ogóle broni atomowej i amerykańskie bomby wziąć pod klucz oddając go w ręce międzynarodowe? Bo najważniejsze: jak ośmielił się on decydować coś w imieniu swojej ojczyzny, podczas gdy takie prawo ma tylko ten, co zasiada na najwyższym stołku, nikt inny?

Nie pozwoliłeś ukraść bomby Twórcy Nowego Świata, Kowalowi Szczęścia? - to znaczy, że nie dałeś jej swojej Ojczyźnie!

A po cóż ona tej Ojczyźnie? Na cóż ona tej głuchej wiosce? tej ślepowej karlicy? tej staruszce z uduszonym kurczakiem? temu kulawemu chłopu w łatanej odzieży?

I któż w tej całej wsi będzie miał do niego pretensję, że zatelefonował? Nikt z poszczególnych jej mieszkańców nawet nie zrozumie, o co chodzi. Ale kiedy ich ściągną na spęd ogólny - to potępią Innocentego jednogłośnie...

Potrzebne im są drogi, tkaniny, deski, szyby, oddajcie im ich mleko, ich chleb, a może też dźwięk ich dzwonów - ale na diabła im bomba atomowa? Ale najbardziej boli, że Innocenty swoim telefonem może wcale nie zapobiegł kradzieży.

Ażurowe strzałki brązowego zegara wskazywały za pięć czwartą. Zapadał już zmierzch.

86

W zapadającym zmroku czarny długi ZIM przejechał przez otwarte przed nim szeroko wrota wartowni, dodał gazu na asfaltowych krętych ścieżkach mafrińskiego podwórca, odśnie - żonych szeroką łopatą Spirydona i czarnych teraz po odwilży, wyminął stojącą przed wejściem „Pobiedę” Jakonowa i hamując z rozpędu zatrzymał się jak wkopany przed paradnym gankiem.

Adiutant generała-majora wyskoczył z miejsca obok kierowcy i szybko otworzył tylne

drzwi wozu. Opasły Foma Oskołupow w szaroniebieskim przyciasnym szynelu i karakułowej generalskiej papasze wyszedł z samochodu, rozprostował plecy i - gdy adiutant otworzył przed nim podwójne drzwi - ruszył na górę, bardzo zaaferowany. Na pierwszym półpiętrze za staroświeckimi stojącymi lampami znajdowała się szatnia. Posługaczka wybiegła z niej gotowa przyjąć od generała płaszcz (i wiedząc, że ten go nie zdejmie). Generał nie zdjął ani płaszcza, ani czapki, szedł w górę jedną stroną podwójnych schodów. Kilku zeków i pośledniejszych frajerów, którzy w tym czasie wyszli na schody, zaraz się ulotniło. Generał w karakułowej papasze wspinał się coraz wyżej, kroczył majestatycznie, ale starał się iść szybko, jak tego wymagały okoliczności. Adiutant zostawił w szatni swój płaszcz i dogonił generała.

- Idź poszukać Rojtmana - powiedział mu przez ramię Oskołupow - i masz go uprzedzić: za pół godziny przyjdę do nowego zespołu po wyniki.

Z podestu trzeciego piętra nie skręcił do gabinetu Jakonowa, tylko poszedł w przeciwnym kierunku - do Siódemki. Dyżurny zobaczył jego oddalające się plecy i przypadł do telefonu, żeby odnaleźć i uprzedzić Jakonowa.

W Siódemce panował rozgardiasz. Nie trzeba było być specjalistą (Oskołupow wcale nim nie był), żeby zrozumieć, iż na b i e ż ą c o nic tu nie ma, że wszystkie zestawy instrumentalne, przez tyle miesięcy docierane, teraz są rozdzielone, rozłączone, rozerwane. Małżeństwo klippera z wokoderem zaczęło się od tego, że nowożeńców posiekano na drobne części, na bloki, omalże nie na poszczególne kondensatory. Tu i ówdzie wił się dymek z kalafonii i papierosów, słuchać było zgrzyt ręcznego świdra, odgłosy sprzeczek przy pracy, nad wszystkim zaś unosił się zaciekły wrzask telefonującego Mamurina.

Ale nawet wśród tego dymu i hałasu było dwóch takich, co od razu zauważyli wchodzącego generała-majora: byli to Lubimiczew i Syromacha (starali się zawsze mieć drzwi w zasięgu swoich czujnych oczu). Nie były to dwie rozmaite osoby, tylko jeden zaprzęg, niezmordowany i ofiarny, było w nich nieustanne oddanie, szybkość, gotowość do pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę i do wysłuchiwania wszelkich uwag zwierzchności. Na zebraniach inżynierów Siódemki Lubimiczew i Syromacha obecni byli jak równi wśród równych. Co prawda w bałaganie, jaki w Siódemce panował, tego i owego się nauczyli.

Widząc Oskołupowa obaj rzucili kolby lutownicze na podstawki. Syromacha skoczył, żeby uprzedzić Mamurina, który stał i krzyczał do telefonu, a Lubimiczew porwał jego

wyściełany fotelik i w prysiadach zaniósł go generałowi, odgadując z jego ruchów, gdzie należy sprzęt postawić. Gdyby zaniósł kto inny - można by to uznać za lizusostwo, ale w wykonaniu Lubimiczewa był to jedynie szlachetny gest młodzieńca pragnącego pomóc osobie starszej i godnej szacunku. Stawiając fotelik i zasłaniając go sobą przed wszystkimi prócz Oskołupowa, Lubimiczew lokajskim ruchem ręki, który tylko generał mógł docenić, strzepnął z siedzenia niewidoczny pyłek, odskoczył na bok i - razem z Syromacha - zamarł w radosnym oczekiwaniu na pytania i rozkazy.

Foma Gurianowicz usiadł nie zdejmując papachy i odpinając tylko kilka guzików płaszcza.

W pracowni zapanowała cisza, nie słyhać było więcej elektrycznego świdra, papierosy zostały zgaszone, wołania umilkły i tylko Bobynin siedząc w swoim kącie basem dawał wskazówki elektromonterom, Pnancykow zaś wciąż brodził półprzytomnie z gorącą kolbą w rękę dookoła swojego zrujnowanego wokodera. Pozostali wytężyli wzrok i słuch czekając, co generał powie.

Ocierając pot po ciężkiej rozmowie telefonicznej (wyklócał się z naczelnikiem warsztatów mechanicznych, które spartaczyły podstawki do aparatury), Mamurin podszedł bliżej i znużonym gestem przywitał się ze swoim dawnym kolegą, a teraz niedosiężnym przełożonym (Foma podał mu trzy palce). Mamurin doszedł już do tego stopnia śmiertelnej bledości, kiedy wydaje się przestępstwem, że takiemu człowiekowi w ogóle pozwolono wstać z łóżka. O wiele ciężiej niż jego koledzy dygnitarze odczuł wszystkie ciosy, jakie posypały się w ciągu minionej doby - gniew ministra i demontaż klippera. Jeżeli warstwa mięśni pod jego skórą w ogóle jeszcze mogła bardziej wyschnąć, to wyschła w ciągu tej nocy. Jeżeli kości ludzkie w ogóle mogą tracić na wadze, to jego kości stały się prawie nieważkie. Więcej niż rok Mamurin żył tylko sprawą klippera i wierzył, że klipper jak baśniowy konik garbusek wyrwie go z niedoli. Nic - nawet przejście Priancykowa z wokoderem pod dach Siódemki - nie mogło osłodzić mu tej katastrofy.

Foma Gurianowicz znał sztukę kierowania sprawami, o których nie miał pojęcia. Dawno już pojął, że wystarczy w tym celu tylko doprowadzić do ścierania się poglądów podwładnych - i w następstwie decydować. Postąpił teraz tak samo. Rozejrzał się chmurnie i zapytał:

- No to co będzie? Jak wam idzie?

I tym samym zmusił podwładnych do zabrania głosu.

Zaczęła się nikomu niepotrzebna, nudna rozmowa, odrywająca tylko ludzi od roboty. Zabierali głos niechętnie, wzdychali, a jeżeli odezwało się od razu dwóch, to obaj ustępowali sobie nawzajem pierwszeństwa.

Dwa tony przeważały w tej rozmowie: „trzeba” i „trudno będzie”. „Trzeba”

- w tym przodował opętany Markuszew, wspomagany przez Lubimiczewa i Syromachę. Niski, pryszczaty, energiczny Markuszew przez całe dnie i noce, jak w gorączce, szukał sposobu, by zyskać sławę i przedterminowe zwolnienie. Zaproponował połączenie klippera i wokodera nie dlatego, że z technicznego punktu widzenia pewien był sukcesu, lecz dlatego, że przy tym połączeniu na pewno ulegała degradacji rola Bobynina i Priancykowa, rola zaś Markuszewa rosła i chociaż on sam nie bardzo lubił pracować dla cudzej chwały, kiedy nie miał nadziei na wykorzystywanie plonów takiej pracy - w tej chwili nie posiadał się z oburzenia, że jego koledzy z Siódemki tak upadli na duchu. W obecności Oskołupowa uskarżał się więc pośrednio na opieszałość innych inżynierów.

Był człowiekiem należącym do tego bardzo liczego gatunku, z którego ciemieży fabrykują ludzi na swój obraz i podobieństwo.

Na obliczu Lubimiczewa i Syromachy wypisana była boleść z wiarą pospołu.

Wtuliwszy przejrzysto-cytrynową twarz w nieważkie dłonie, Mamurin milczał - po raz pierwszy od chwili, gdy zaczął komenderować Siódemką.

Chorobrow z trudnością skrywał złośliwy blask palący mu się w oczach. Niemałą radość sprawiało mu, że był świadkiem pogrzebu dwuletnich wysiłków ministerstwa bezpieczeństwa. Najostrzej tu sprzeciwiał się Markuszewowi i najwięcej trudności przypominał.

Oskołupow zaś, nie wiedzieć czemu, najbardziej przyczepił się do Dyrsina, oskarżając go o brak entuzjazmu. Dyrsin zaś, gdy denerwował się albo musiał znosić niesprawiedliwe zarzuty - zupełnie prawie tracił głos. Przez tę niekorzystną przypadłość zawsze on właśnie okazywał się winowajcą.

Tymczasem wszedł Jakonow i z grzeczności włączył się do rozmowy, w obecności Oskołupowa, właściwie bezmyślnej. Następnie przywołał Markuszewa i wspólnie z nim na jakimś skrawku papieru, na kolanach, zabrał się do szkicowania pierwszego wariantu schematu.

Foma Gurianowicz najchętniej wszedłby na drogę bitą, dobrze poznaną w ciągu lat dyrygowania, przemyślaną aż do intonacyjnych szczegółów, drogę wymyślań i ścierania w

pył. To właśnie umiał najlepiej. Ale zrozumiał, że teraz wymysły nie pomogą.

Może Foma Gurianowicz wyczuł, że ta rozmowa nie przyczyni się do sukcesu, a może chciał odetchnąć innym powietrzem, póki trwał jeszcze ulgowy i fatalny miesiąc zwłoki - dość, że w środku dyskusji, nie wysłuchując do końca Bułatowa, podniósł się z miejsca i z ponurą miną ruszył ku drzwiom, każąc całemu personelowi Siódemki dręczyć się myślą, do czego też doprowadzili swoją opieszałością samego dyrektora departamentu.

Wierny ustalonej etykietce Jakonow musiał także dźwignąć swoje wielkie, ociążałe ciało z krzesła i ruszyć w ślad za papachą, która sięgała mu ledwie do ramienia.

W milczeniu, ale już ramię w ramię szli przez korytarz. Dyrektor departamentu właśnie dlatego nie lubił, żeby inżynier naczelny kroczył obok niego - że Jakonow był wyższy od niego o głowę, o tę swoją podłużną, dużą głowę.

Teraz Jakonow nie tylko powinien był opowiedzieć generałowi-majorowi o zadziwiającym, nieprzewidzianym postępie prac nad szyfratorem, lecz także miałby z tego swoją własną korzyść. Od razu rozproszyłby w ten sposób bawolą niechęć, z jaką Foma spoglądał na niego po nocnej audiencji u Abakumowa.

Ale nie miał przecież projektu w ręku. Zadziwiające zaś panowanie nad sobą, które zademonstrował mu Sołogdin, jego determinacja - by raczej dać się wywieźć na pewną śmierć, ale nie oddać projektu za darmo - wszystko to skłoniło Jakonowa do spełnienia obietnicy. Postanowił zameldować o wynalazku dzisiaj w nocy Seliwanowskiemu, nad głową Fomy. Oczywiście, Fomę to rozwścieczy, ale prędko będzie zmuszony zaprzestać gniewu.

Ale Jakonow oparł się nie tylko na tej prostej kalkulacji. Widział, jaki Foma jest zasepiony, jak drży o swój los - i z przyjemnością pozwolił mu się jeszcze męczyć przez kilka dni. Antoni Nikołajewicz jako inżynier czuł nawet coś w rodzaju obrażonej dumy w związku z tym projektem, jakby sam go sporządził. Jak to słusznie Sołogdin przewidział, Foma na pewno postarałby się wkręcić do zespołu jako współautor. Gdyby teraz dowiedział się o tym - nawet nie spojrzawszy na rysunek techniczny natychmiast kazałby zamknąć Sołogdina w oddzielnym pokoju i utrudnić dostęp tym, którzy powinni mu pomagać. Wezwałby potem Sołogdina, zaczęłby go straszyć, wyznaczyłby krótkie, nieprzekraczalne terminy. Potem co dwie godziny dzwoniłby z ministerstwa i poganiał Jakonowa. W końcu zaś przechwalałby się, że tylko dzięki jego nadzorowi sprawa szyfratora *znalazła*, się na dobrej drodze.

Wszystko to było tak dawno znane i tak nudne, że Jakonow chwilowo milczał z całą satysfakcją.

Jednakże po przyjściu do gabinetu pomógł Oskołupowowi zdjąć płaszcz, czego nigdy by nie uczynił przy świadkach.

- Co u ciebie robi ten Gerasymowicz? - zapytał Foma Gurianowicz i usiadł na fotelu Antoniego nie zdejmując z głowy papachy.

Jakonow usiadł na krześle stojącym z boku.

- Gerasymowicz? Zaraz, kiedy go przenieśli do nas ze Spirydonowki? Chyba w październiku? No tak, od tego czasu robił telewizor dla towarzysza Stalina.

Ten właśnie, z brązową dedykacją „Wielkiemu Stalinowi - czekiści”.

- Wezwij no go.

Jakonow zadzwonił.

Spirydonowka była to inna moskiewska szaraszka. Ostatnimi czasy w Spirydonowce zespół pod kierownictwem inżyniera Bobra skonstruował bardzo dowcipny i pożyteczny aparacik - przystawkę do zwyczajnego, miejskiego telefonu. Dowcip na tym polegał, że urządzenie działało właśnie wtedy, kiedy telefon był nieczynny, kiedy słuchawka spokojnie leżała na widelkach: wszystko, co mówione było w tym pomieszczeniu, dawało się słyszeć na punkcie kontrolnym urzędu bezpieczeństwa. Aparacik przypadł do gustu i został zatwierdzony do produkcji. Kiedy wybierano kogoś do podsłuchu, pojawiała się zaraz uszkodzenie na linii, ofiara sama prosiła o przysłanie montera, monter zjawiał się bez zwłoki i w trakcie reperacji zakładał w agregacie podsłuchowy aparacik.

Sięgająca w przyszłość myśl kierownictwa (myśl kierownictwa powinna zawsze sięgać w przyszłość) koncentrowała się teraz na innych, podobnych urządzeniach. Do pokoju zajrzał dyżurny:

- Więzień Gerasymowicz.

- Niech wejdzie - skinął głową Jakonow. Siedział daleko od swojego biurka, na małym krześle i przelewał się wprost przez boczne krawędzie siedzenia.

Gerasymowicz wszedł poprawiając binokle na nosie i zaraz potknął się o dywan. W porównaniu z tymi dwiema grubymi rybami wydawał się szczególnie szczupły i mały.

- Stawiam się na wezwanie - powiedział sucho. Podeszedł bliżej i wzrok wbił w ścianę między Oskołupowem i Jakonowem.

- Hm - odparł Oskołupow. - Siadajcie.

Gerasymowicz usiadł. Mieścił się na połowie krzeselka.

- Wy... jak go tam... starał się przypomnieć sobie Foma Gurianowicz. - Wy... jesteście optykiem, co, Gerasymowicz? Krótko mówiąc, wasza specjalność to nie ucho, tylko oko, prawda?

- Owszem.

- I was, wiecie... tego... - (Foma pogmerał językiem w gębie, jakby przecierał nim zęby) - was chwałą. Tak, tak.

Zamilkł na chwilę. Zmrużywszy jedno oko, przyjrzał się Gerasymowiczowi drugim.

- Znacie ostatnią pracę Bobra?

- Słyszałem.

- Hm. A wiecie, żeśmy zaproponowali, żeby dać Bobrowi przedterminowe?

- Nie wiedziałem.

- To teraz będziecie wiedzieć. Ile jeszcze macie do odsiedzenia?

- Trzy lata.

- To duuużo! - Oskołupow zdziwił się tak, jak gdyby inni siedzieli u niego tylko po kilka miesięcy. - Oj, jak duuużo! - (Niedawno chcąc dodać ducha pewnemu nowicjuszowi, Foma powiedział: „Dziesięć lat? Głupstwo! Ludzie siedzą po dwadzieścia pięć!”). - Warn też by się przedterminowe przydało, co?

Jak dziwnie to się zgadzało z wczorajszymi błaganiami Nataszy!... Przemógł się (bo nie pozwalał sobie na żadne wyrozumiałe śmieszki w rozmowach ze zwierzchnością) i uśmiechnął się krzywo:

- Skąd je dostać? Nie wala się na korytarzu.

Foma Gurianowicz zakołysał się na fotelu:

- Hm! Przy telewizorach na przedterminowe sobie nie zarobicie, to jasne! A ja was w tych dniach przeniosę do Spiridonowki i mianuję kierownikiem zespołu. Jak w ciągu sześciu miesięcy wykonacie projekt - to jesienią będziecie w domu.

- O jakie zadanie chodzi, czy mógłbym wiedzieć?

- Tam zadań cała kupa, tylko łapać. Chodzi na ten przykład o taki pomysł: żeby móc wmontować mikrofony w ławki w parkach - tam faceci szczerze sobie paplają, czego się tylko człowiek nie nasłucha! Ale - to nie wasz fach?

- Nie, to nie moja dziedzina.

- Ale dla was też coś jest, bardzo proszę. Są nawet dwa zadania, jedno ważne i drugie

też zaszczytne. I oba właśnie z waszej dziedziny - niech Antoni Nikołajewicz potwierdzi (Jakonow kiwnął głową). Jedno - to nocny fotoaparat na te... no jak tam ich... podczerwone promienie. Żeby, rozumiecie, można było w nocy na ulicy sfotografować człowieka, jak sobie z kimś idzie, i żeby ten do śmierci nawet nie mógł się domyślić. Za granicą już są takie próby, tu potrzebne jest tylko... twórcze zapożyczenie. No i żeby taki aparat był jak najprostszy w obsłudze. Nasi agenci nie mają takiej głowy jak wy. A znowu ta druga rzecz to... Dla was taka rzecz to tyle co splunąć, a nam jest strasznie potrzebna. Zwyczajny fotoaparacik, tylko taki maciupęńki, żeby go można było wmontować w każdą futrynę przy drzwiach. I żeby automatycznie, jak tylko ktoś drzwi otworzy, fotografował takiego, co przejdzie przez próg choćby tylko we dnie i przy elektryczności. W ciemnościach można się obejść, dobra, niech wam będzie. Dobrze byłoby taki aparacik skierować do seryjnej produkcji. No więc jak? Podejmiecie się?

Swoją wąską, wychudłą twarz Gerasymowicz odwrócił ku oknu i nie patrzył na generała-majora.

W słowniku Fomy Gurianowicza nie było wyrazu „smętny”. Dlatego też nie umiałby powiedzieć, jaki wyraz miała w tej chwili twarz Gerasymowicza.

Zresztą nie miał zamiaru szukać żadnych określeń, czekał na odpowiedź.

Tak się spełniły modlitwy Nataszy!...

Jej wyschła twarz ze szklanymi, zastygłymi w zmarszczkach łzami stanęła przed oczyma Hilarego.

Po raz pierwszy od wielu lat myśl o powrocie do domu nappełniła mu serce całą swoją realnością, bliskością i ciepłem.

A trzeba było zrobić tylko to, co ten Bober: wsadzić za kraty na swoje miejsce setkę, dwie, naiwnych, gapiowatych frajerów.

Z wysiłkiem, zająkliwie Gerasymowicz zapytał:

- A... przy telewizorach... nie mógłbym zostać?

- Odmawiacie?! - zdziwił się i nachmurzył Oskołupow. Twarz jego z osobliwą łatwością przybierała gniewny wyraz. - Z jakiego powodu?

Wszystkie prawa okrutnej krainy zeków mówiły Gerasymowiczowi, że żałować opływających w dostatki, krótkowzrocznych, niedoświadczonych, niebitych frajerów to takie samo dziwactwo, jak odmowa zarzynania świń tuczonych na sadło. Frajerzy pozbawieni byli nieśmiertelnej duszy, którą zek sobie zdobywa w trakcie odsiadywania nieskończonych kar,

frajerzy chciwie i nieudolnie wykorzystują darowaną sobie wolność, tkwią po uszy w małostkowych planach i częściej krzątaninie.

Natasza zaś towarzyszyła mu przez cały czas. Natasza czekała na niego już dwukrotnie. Natasza zaczynała już gasnąć, a razem z nią zgaśnie też jego życie.

- Po co tu powody? Nie mogę. Nie dam sobie rady - bardzo cicho, bardzo słabym głosem odpowiedział Gerasymowicz.

Jakonow, dotąd słuchający z roztargnieniem, spojrział teraz na Gerasymowicza z ciekawością i uważnie. Proszę, to chyba jeszcze jeden wypadek pachnący irracjonalizmem. Ale wszechświatowe prawo „bliższa ciału koszula” nie mogło przecież nie *znaleźć* tu zastosowania.

- Po prostu odzwyczailiście się od poważnych zadań, dlatego strach was oblatuje - starał się go przekonać Oskołupow. - Kto jeszcze, jeżeli nie wy? Dobra, dam wam czas do namysłu.

Gerasymowicz drobną dłonią podparł czoło i milczał. Owszem, tu nie chodziło o bombę atomową. W porównaniu z kwestią losu całego globu - to była istna drobnostka.

- Ale nad czym właściwie macie się namyślać? Toż to wasz profil, wasz fach!

Ach, mógł przecież milczeć! Można było potem łać w o d ę. Jak to przyjęte jest wśród zeków, można było przyjąć zlecenie, a później kluczyć, zwlekać, nic nie robić. Ale Gerasymowicz podniósł się i z pogardą spojrział na brzuchatego, tępomordego faceta o zwisłych policzkach, siedzącego przed nim w generalskiej papasze.

- Nie! To nie mój fach! - krzyknął z ostrym piskiem. - Wsadzać ludzi do więzienia - to nie mój fach! Ja nie jestem od łapania ludzi! Dostyc, że my siedzimy...

87

Rano Rubin był jeszcze pod ciężkim wrażeniem sprzeczki. Przychodziły mu do głowy wciąż nowe argumenty, których nie zdążył wysunąć w nocy. Ale w miarę jak dnia przybywało, udało mu się wyrównać rachunki w odwet za nocne starcie. Siedział w supertajnej spokojnej izdebce na drugim piętrze z ciężkimi storami po bokach okna i drzwi, ze starą kanapą i lichym dywanikiem. Miękka tkanina zagłuszała dźwięki, ale i tak prawie ich nie było, ponieważ to, co miał na taśmach, Rubin odbierał przez słuchawki, Smołosidow zaś milczał przez cały dzień obracając swą grubo ciosaną twarz w stronę Rubina z takim wyrazem, jakby ten był wrogiem, a nie człowiekiem zaprzęgniętym do wspólnej pracy. Ze swojej strony Rubin też odnosił się do Smołosidowa nie inaczej jak do automatu

przekładającego tarcze z taśmą.

Nakładając słuchawki Rubin znowu i znowu wsłuchiwał się w fatalną rozmowę z ambasadą, a następnie w pięć szpilek z głosami podejrzanych, które mu dostarczono. To wierzył własnym uszom, to znów nie chciał im więcej wierzyć i sięgał po fioletowe wykresy na fonogramach, na których odbite już były wszystkie rozmowy. Długie wielometrowe wstęgi papieru nie mieściły się nawet na dużym stole, opadając białymi zwojami na podłogę z prawa i z lewa. Rubin sięgał porywczo po swój album z wzorami fonogramów dzielonych to wedle dźwięków - „fonemów”, to według „zasadniczych tonów” rozmaitych głosów męskich. Kolorowym, czerwono-niebieskim ołówkiem, spisany aż do tępych ogryzków (temperowanie ołówków było dla Rubina pracą wymagającą długich zabiegów), podkreślał na wstęgach te miejsca, które zwróciły jego szczególną uwagę.

Rubin wciągnął się w robotę. Jego ciemnobrązowe oczy pałały. Szeroka, nie-czesana ciemna broda skołtuniła się, była osypana siwym popiołem z palonej bez przerwy fajki i papierosów, podobnie jak rękawy zatłuszczonego kombinezonu z urwanym guzikiem, jak stół, wstęgi, fotel i album z wzorami.

Rubin przeżywał właśnie ten zagadkowy rodzaj podniecenia, którego jeszcze nie zdołali wyjaśnić fizjologowie: zapominając o wątrobie, o nadciśnieniu i bólach, świeży, mimo że noc miał męczącą, nie czując głodu, chociaż ostatnią rzeczą, jaką jadł, były ciastka z wczorajszego imieninowego stołu - znajdował się w stanie tego napięcia, gdy ostry wzrok odróżnia każde ziarnko piasku, kiedy pamięć z całą gotowością oddaje to wszystko, co w niej latami się nagromadziło.

Ani razu nie spytał, która godzina. Raz tylko, zaraz po przyjściu, chciał otworzyć lufcik, bo był spragniony świeżego powietrza, ale Smołosidow mruknął ponuro: „Nie wolno! Mam katar” i Rubin musiał go posłuchać. Później już ani razu przez cały dzień nie wstał z miejsca i nie podchodził do okna, żeby popatrzeć, jak mięknie i szarzeje śnieg pod wilgotnym tchnieniem zachodniego wiatru. Nie słyszał pukania Szykina i odprawy, jaką mu dał Smołosidow. Jak przez mgłę widział przyjście i wyjście Rojtmana; nie odwrócił się do niego i cedził mu coś przez zęby w odpowiedzi na pytania. Nie dotarł do jego świadomości ani dzwonek na przerwę obiadową, ani sygnał na powrót do pracy. Instykt zeka święcie przestrzegającego rytuału posiłków ledwie w nim się przebudził dopiero wtedy, gdy Rojtman szarpnął go za ramię pokazując, że na oddzielnym stoliku stoi jajecznicza, pierożki ze śmietaną i kompot. Nozdrza Rubina drgnęły. Twarz wydłużyła mu się ze zdumienia, ale

świadomość nie brała w tym jeszcze udziału. Przyjrzał się ze zdziwieniem tym boskim potrawom, jakby chcąc zrozumieć ich właściwe przeznaczenie, następnie przysiadł się do stolika i zaczął szybko jeść nie czując wcale smaku i chcąc tylko jak najprędzej wrócić do pracy.

Rubin nie docenił tych dań, ale Rojtmana kosztowały one znacznie więcej, niż gdyby płacił za nie z własnej kieszeni; dwie godziny przesiedział przy telefonie uzgadniając i ustalając to menu najprzód z Departamentem Techniki Specjalnej, następnie z generałem Bulbaniukiem, później z Naczelnym Zarządem Więziennictwa, z kolei z Działem Zaopatrzenia i wreszcie z podpułkownikiem Klimentiewem. Ci, do których dzwonił, uzgadniali kwestię ze swojej strony z księgowymi i różnymi innymi osobami. Trudność polegała na tym, że Rubinowi należała się trzecia więzienna kategoria, Rojtman zaś chciał zyskać dla niego na kilka dni, ze względu na zadanie państwowe szczególnej wagi - kategorię pierwszą, a nadto jeszcze dietetyczną. Kiedy już wszystko było uzgodnione, więzienie zaczęło zgłaszać obiekcje organizacyjne: brak wymaganych produktów w kuchennym magazynie, brak zaplanowanego funduszu na opłacenie dodatkowych czynności kucharza przy gotowaniu osobnych potraw.

Teraz Rojtman siedział naprzeciw Rubina i patrzył na niego, ale nie jak pracodawca, który oczekuje plonów niewolniczego wysiłku, lecz z łagodnym uśmiechem, jak na duże dziecko, zachwycając się nim jednocześnie, zazdroszcząc mu entuzjazmu, czekając na odpowiednią chwilę, by móc wniknąć w sens jego wielogodzinnej pracy i też się do niej włączyć.

Rubin zjadł wszystko, z jego twarzy znikło napięcie, nabrała przytomniejszego wyrazu. Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się.

- Niepotrzebnie mnie pan tak nakarmił, panie Adamie. *Satur venter non student libenter*. I główną część drogi wędrowiec przebywa przed obiadem.

- Ale niech pan spojrzy na zegarek! Przecież już piętnaście po trzeciej!

- Cooo? A myślałem, że jeszcze nie ma dwunastej!

- Lwie Grigoriczu, płonę z ciekawości - co pan ustalili?

Nie brzmiało to wcale jak rozkaz zwierzchnika, lecz powiedziane było proszącym tonem, jakby obawiał się, że Rubin może mu odmówić. W chwilach szczerości Rojtman był bardzo miły, mimo swego niezgrabnego wyglądu i grubych warg, zawsze rozchylonych, bo miał polipy w nosie.

- To tylko początek! Zaledwie pierwsze wnioski!

- No, a jakie?

- Niektóre są jeszcze dyskusyjne, ale jeden jest niewątpliwy: fonoskopia, dyscyplina naukowa, która narodziła się dwudziestego szóstego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku, ma jednak swoje racjonalne ziarno!!

- Czy nie poniósł pana entuzjazm? - przestrzegł go Rojzman. Niemniej, gorąco *życzył* sobie, żeby słowa Rubina okazały się prawdziwe, choć jako przedstawiciel nauk ścisłych wiedział, że humanista Rubin może dać pierwszeństwo entuzjazmowi przed nauką sumiennością.

- A czy ktoś widział kiedyś, żebym się ślepo czymś entuzjazmował? - o mało nie obraził się Rubin i wygładził swoją splątana brodę. - Nasze prawie dwuletnie zbieranie danych, wszystkie te dźwiękowe i głoskowe analizy mowy rosyjskiej, studiowanie fonogramów, klasyfikacja głosów, naukowy podział układu cech mowy wedle narodowych, grupowych, a także indywidualnych koordynat - wszystko, co Antoni Nikołajewicz uważał za daremną stratę czasu, zresztą co tu ukrywać? czasem myśmy sami miewali wątpliwości! - wszystko to daje teraz spotęgowane rezultaty. Trzeba będzie chyba tutaj Nierzyna przenieść, jak pan myśli?

- Jeżeli firma będzie się rozwijać - to dlaczego nie? Ale tymczasem powinniśmy wykazać, że jesteśmy zdolni do życia i wykonać pierwsze zadanie.

- Pierwsze zadanie! To pierwsze zadanie równa się połowie całego programu badań! Nie tak prędko.

- Ale... przecież... Lwie Grigoriczu?! Czy pan naprawdę nie rozumie, jak pilnie to jest potrzebne?

Jeszcze jak rozumiał! „Potrzebne” i „pilne” - tymi dwoma słowami karmił się i żył komsomolec Lewek Rubin. To były najważniejsze hasła trzydziestych lat. Nie było stali, nie było prądu, nie było chleba, nie było tkanin - ale wszystko to było potrzebne i to pilnie - więc budowano wielkie piece i puszczano w ruch walcownie. Później, przed wojną, zatopiony w niefrasobliwych badaniach historycznych, dłubiąc w szczegółach niespiesznego osiemnastego wieku, Rubin pofolgował sobie. Ale zawołanie „pilnie potrzebne!” było, oczywiście, bliskie jego duszy i walczyło z przyzwyczajeniem starannego wykańczania każdej pracy.

I rzeczywiście, jak tu się nie spieszyć, jeżeli największy zdrajca ojczyzny może ujść

kary?...

Okno dawało już niewiele światła. Zapalili górną lampę, usiedli przy biurku i zabrali się do rozpatrywania podkreślonych już czerwonym ołówkiem przykładów, charakterystycznych dźwięków, zbitek spółgłosek, linii intonacyjnych. Wszystko to robili we dwójkę nie zwracając uwagi na Smołosidowa, on zaś (przez cały dzień nie wyszedł z pokoju ani na chwilę) siedział przy taśmie magnetycznej pilnując jej jak ponury czarny pies i patrzył im w karki. To jego nieustępliwe, ciężkie spojrzenie przeszywało im czaszki jak gwóźdź i świdrowało mózg. Obecność Smołosidowa pozbawiała ich drobnej, ale przecież najważniejszej rzeczy - poczucia swobody; był świadkiem ich wahań i będzie przecież świadkiem ich dziarskich raportów, gdy staną przed zwierzchnością...

Oni zaś raz po raz przechodzili od wątpliwości do zupełnej pewności i na odwrót. Dla Rojtmana hamulcem było wykształcenie matematyczne, ale popychały go naprzód służbowe zależności. Dla Rubina wędzidłem była obiektywna chęć stworzenia autentycznej, nowej dyscypliny naukowej, ale dawało mu ostrogi przyzwyczajenie nabyte w czasie pięciolatek.

I doszło do tego, że obaj uznali za wystarczający spis pięciu podejrzanych. Nie wysuwali pedantycznych żądań, aby zarejestrować głosy tych czterech, których zatrzymano przy metrze Sokolniki (zresztą zatrzymani zostali zbyt późno), ani jeszcze tych kilku osób z MBP, których im w ostatecznym wypadku obiecał Bulbaniuk. Nie brali też pod uwagę tej ewentualności, że w ogóle mógł telefonować nie ktoś wtajemniczony, tylko jakaś postronna osoba - na jego zlecenie.

Nie tak łatwo było dać sobie radę nawet z tą piątką! Porównywali głos przestępcy z pięcioma innymi. Porównywali fonogram głosu przestępcy z pięcioma taśmami.

- Proszę popatrzeć, jak wiele daje nam analiza fonogramów! - gorączkował się Rubin.
- Słyszymy, że z początku przestępca mówi jakby innym głosem, próbuje go zmieniać, a co zmieniło się na fonogramie? Obserwujemy przesunięcie rejestrów intensywności - układ zaś indywidualnych cech mowy wcale się nie zmienił! Na tym polega najważniejsze nasze odkrycie - układ cech mowy! Gdyby nawet przestępca do samego końca mówił zmienionym głosem, to i tak by nie ukrył swoich charakterystycznych cech!

- Ale my jeszcze nie bardzo wiemy, jakie są granice zmienności głosu - uparcie przypominał Rojtman. - Być może w mikrointonacjach amplituda zmian jest o wiele szersza.

Jeżeli słuchowo można było mieć wątpliwości, kiedy głosy są podobne, a kiedy niepodobne, to na fonogramach, przy zmianie rysunku pokazującego amplitudę i

częstotliwość fal głosowych - różnice wydawały się wyraźniejsze. (Co prawda, mieli kłopoty wynikające z prymitywizmu ich fonoskopu: był mało selektywny w stosunku do kanałów częstotliwości, a rozpiętość amplitud przekazywał w postaci nieczytelnego rozmazu. Usprawiedliwiała ich to, że przyrząd nie był przeznaczony do tak odpowiedzialnej pracy).

Z pięciu podejrzanych można było Zawarzina i Siagowitego odrzucić z całą pewnością (jeśli w ogóle założyć, że przyszła nauka pozwalała wyciągać wnioski z pojedynczych rozmów). Już bez takiej pewności można było odrzucić również Piętrowa (Rubin w zapale twierdził, że Pietrow z całą pewnością nie wchodzi w grę). Głosy zaś Wołodina i Szczewronoka przypominały głos przestępcy częstotliwością fal tonu zasadniczego, miały wspólne z nim dźwięki: o, r, ł, sz, i podobne układy indywidualnych cech mowy.

Badając te właśnie podobne głosy można by teraz rozwinąć wiedzę o fonoskopii i wypracować jej metodykę. Tylko analiza drobnych różnic mogła doprowadzić do rozwoju jej przyszłej, subtelnej aparatury. Rubin i Rojtman prężyli piersi z poczuciem twórczej dumy. W myślach widzieli już przyszłą organizację prac i badań podobną do przyjętej w daktyloskopii: centralna fonoteka, gdzie znajdować się będą fonogramy głosów wszystkich tych, którzy kiedykolwiek stali się przedmiotem podejrzeń. Każda rozmowa przestępców będzie rejestrowana i zbrodniarz będzie mógł zostać wykryty bez żadnych wątpliwości, jak złodziej, który zostawił ślady swoich palców na drzwiach pancерnej kasy.

Ale właśnie w tej chwili adiutant Oskołupowa uchylił drzwi i dał znać, że gospodarz zaraz przyjdzie.

Obaj się ocknęli. Nauka nauką, ale chwilowo trzeba było uzgodnić wspólne wnioski i solidarnie bronić ich wobec dyrektora departamentu.

Właściwie Rojtman był zdania, że i tak już osiągnęli sporo. Wiedząc, że przełożeni nie lubią hipotez, lubią natomiast jednoznaczność, Rojtman ustąpił Rubinowi, zgodził się uważać głos Piętrowa za nie podlegający podejrzeniom i postanowił z całą stanowczością zameldować generałowi-majorowi, że podejrzani są nadal tylko Szczewronok i Wołodin oraz że w ciągu najbliższych kilku dni będzie można przeprowadzić dodatkowe, różnicujące badania.

Z drugiej strony komplikował sprawę ten fakt, że wedle dostarczonych danych, właśnie dwaj z tych trzech, co przeszli selekcję, mianowicie Siagowityj i Pietrow nie znali obcych języków ani za grosz, Szczewronok znał angielski i holenderski, Wołodin natomiast

mówił po francusku doskonale, po angielsku - płynnie i po włosku nieźle. A przecież to mało prawdopodobne, aby w tak kluczowej chwili, kiedy nic się nie klei, bo rozmówca po prostu nie rozumie - człowiek nie spróbował krzyknąć czegoś w znanym mu przecież języku.

- Lwie Grigoriczu - mówił rozmarzony Rojzman - ogólnie biorąc nie powinniśmy gardzić psychologią. Warto jednak wyobrazić sobie - jaki powinien być ten człowiek, który zdecydował się na taki telefon? Co mogło nim kierować? A później porównać z cechami konkretnych podejrzanych. Trzeba będzie domagać się, żeby w przyszłości nam, fonoskopistom, dawano nie tylko głos podejrzanego i jego nazwisko, lecz również krótkie informacje o jego pozycji, rodzaju pracy, codziennym życiu, może nawet całe ich biografie. Wydaje mi się, że mógłbym już teraz pozwolić sobie na psychologiczną etiudę na temat naszego przestępcy.

Ale Rubin, który wczorajszego wieczoru w dyskusji z malarzem twierdził, że obiektywne poznanie wolne jest od apriorycznych zabarwień emocjonalnych, teraz już sobie upodobał jednego z dwóch podejrzanych i tak odpowiedział:

- Ja już zastanawiałem się nad psychologicznymi komponentami i gdyby rzucić je na szalę, to obciążąłyby Wołodina - w rozmowie z żoną - (ta rozmowa z żoną mimowolnie zbijała z tropu Rubina: głos żony Wołodina w telefonie tak był śpiewny, że aż wyprowadzał człowieka z równowagi i gdyby coś jeszcze trzeba było załączyć do nagranej taśmy, to Lew poprosiłby o fotografię tej kobiety) - jest jakiś dziwnie osowiały, przygnębiony, nawet apatyczny, co jest bardzo typowe dla przestępcy obawiającego się, że już go tropią, niczego zaś podobnego nie ma w wesołym niedzielnym szczebiocie Szczewronoka, owszem, zgoda - ale ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy od razu przy pierwszych krokach zaczęli opierać się nie na obiektywnych danych naszej dyscypliny naukowej, tylko na ubocznych okolicznościach. Mam już spore doświadczenie w pracy z fonogramami i powinien mi pan wierzyć: wiele prawie nieuchwytnych objawów pozwala być absolutnie pewnym, że przestępcą jest Szczewronok. Po prostu z braku czasu nie mogłem wszystkich tych oznak zmierzyć przyrządami na taśmie i przetłumaczyć na język cyfr. - (Nigdy na to filologowi jakoś nie starczało czasu!) - Ale gdyby mnie ktoś wziął teraz za gardło i powiedział: masz wymienić tylko jedno nazwisko i zaręczyć, że to jest właśnie przestępca - to prawie bez wahania wymieniałbym Szczewronoka!

- Ale my przecież nie będziemy w ten sposób postępować - sprzeciwił się Rojzman łagodnie. - Dobrze, popracujmy suwakiem, proszę, przetłumaczmy na język cyfr - i dopiero

potem mówmy.

- Ale ile to nam czasu zajmie?! Przecież to jest tak pilnie potrzebne!

- Ale jeżeli prawda tego wymaga?

- Ale proszę popatrzeć samemu, proszę tylko spojrzeć!... - i przekładając znowu wstęgi fonogramu, posypując je znów popiołem, Rubin zapalczywie zaczął dowodzić, że właśnie Szczewronok jest winien.

Przy tym zajęciu zastał ich też generał-major Oskołupow, który wszedł na swoich krótkich nogach powolnym, dostojnym krokiem. Znali go dobrze i już po nasuniętej na oczy papasze, po skrzywionej górnej wardze poznali, że przyszedł bardzo niezadowolony.

Zerwali się z krzeseł, on zaś usiadł w kącie kanapy, wsadził ręce do kieszeni i burknął rozkazująco:

- No?!

Rubin milczał zgodnie z etykietą, pozwalając mówić Rojtmanowi.

W czasie raportu Rojtmana gęba Oskołupowa o zwisłych policzkach przybrała wyraz głębokiej zadumy, powieki przymknęły się sennie. Generał nie wstał nawet, żeby obejrzeć wybrane wstęgi fonogramu.

Rubin cierpiał męki słuchając Rojtmana - widział, że nawet wśród ścisłych określeń stosowanych przez tego rozumnego człowieka ginie ta treść, to natchnienie, które czuł w sobie w trakcie pracy badawczej. Rojtman powiedział w podsumowaniu, że podejrzanymi są Szczewronok i Wołodin, ale że dla wniosków ostatecznych potrzebne są jeszcze nowe taśmy ich rozmów. Później zerknął na Rubina i dodał:

- Ale, zdaje się, że Lew Grigoriewicz chce jeszcze coś dorzucić czy poprawić?

Foma Oskołupow był dla Rubina dawno zrąbanym kawałem drewna. Ale był teraz zarazem jakby okiem władzy i - nolens volens - przedstawicielem tych postępowych sił, którym Rubin oddawał wszystkie swoje siły. Dlatego też Rubin zabrał głos denerwując się, potrząsając wstęgami i albumami fonogramów. Prosił generała, aby zechciał zrozumieć, że chociaż ich wniosek jest chwilowo niejednoznaczny, to jednak dwuznaczność wcale nie jest charakterystyczną cechą nowej nauki, fonoskopii, że po prostu zbyt krótki był termin dla wykrystalizowania się ostatecznego wniosku, że potrzebne są jeszcze zarejestrowane na taśmie rozmowy, ale jeżeli już mówić o prywatnym przekonaniu Rubina, to...

Gospodarz słuchał już bez śladu senności, za to z grymasem odrazy. Nie czekając końca tych wyjaśnień przerwał Rubinowi:

- Znów na dwoje babka wróżyła! Na diabła mi ta wasza „nauka”? Ja muszę złapać przestępcę. Meldujcie jak należy, odpowiedzialnie: macie tutaj przestępcę? Leży tu u was na stole? Tak czy nie? Nie ma go gdzie indziej? Może być tylko wśród tej piątki?

Patrzył na nich spode łba. A oni stali przed nim bez żadnego oparcia. Papierowe wstęgi trzymane przez Rubina spływały w skrętach na podłogę. Jak czarny bazyliśzek, Smołosidow przypadł do magnetofonu za ich plecami.

Rubin stropił się. Spodziewał się rozmowy wcale nie w tym aspekcie.

Rojtman, bardziej przyzwyczajony do manier swojej zwierzchności, odezwał się z możliwą tu odwagą:

- Owszem, generale. Ja, właściwie... My, właściwie... jesteśmy pewni, że to ktoś z tej piątki.

(A co mógł jeszcze powiedzieć?...) Foma lekko zmrużył jedno oko.

- Odpowiadacie za te swoje słowa?

- Więc my... no tak... odpowiadamy za to...

Oskołupow ociężale dźwipał się z kanapy:

- Uważajcie, nikogo za język nie ciągnąłem. Zaraz pojedę i zamelduję ministrowi. Obydwóch sukinsynów zaaresztujemy.

(Powiedział to patrząc tak wrogo, że można było sądzić, że to właśnie ich obydwóch zamkną).

- Zaczekajcie - sprzeciwił się Rubin. - Jeszcze chociaż jedną dobę! Dajcie nam możliwość wyprowadzenia zupełnie ścisłych dowodów!

- Jak się tam śledztwo zacznie - to proszę bardzo, postawcie śledczemu mikrofon na biurku i rejestrujcie ich nawet po trzy godziny.

- Ale przecież jeden z nich będzie niewinny! - krzyknął Rubin.

- Jak to - niewinny? - zdziwił się Oskołupow i dopiero teraz szeroko otworzył swoje zielone oczy. - Taki całkiem niewinny, zupełnie?... Organy już wszystkiego dojdą, przekonają się.

I wyszedł nie mówiąc dobrego słowa adeptom nowej dyscypliny wiedzy.

Oskołupow miał taki styl rządzenia: nikogo z podwładnych nigdy nie chwalić - żeby jeszcze więcej się starali. Nie był to nawet jego własny styl, ten styl wprowadził On Sam.

A im było przykro.

Usiedli na tych samych krzesłach, na których niedawno marzyli o wielkiej przyszłości

rodzącej się nauki. Milczeli.

Jakby ktoś rozdeptał to wszystko, tę całą koronkową i kruchą robotę, którą przeprowadzili. Jakby fonoskopia wcale nie miała być nauką.

Jeżeli zamiast jednego można aresztować dwóch - to dlaczego już nie wszystkich pięciu dla większej pewności?

Rojtman wyraźnie poczuł, jak niepewny jest los nowego zespołu. Przypomnił sobie, że Akustyczna jest na poły rozpędzona - i znów go nawiedziło dzisiejsze nocne poczucie nieprzytulności świata i samotności.

A w Rubinie wygasł nieprzerwany, wielogodzinny ogień wyrzeczenia. Przypomnił sobie, że boli go wątroba i boli głowa, i wypadają włosy, i że starzeje się jego żona, i że siedzieć ma jeszcze więcej niż pięć lat, i że w ostatnich latach przekłęci biurokraci spychają kraj na siłę wcale nie tam, gdzie trzeba - i że właśnie obrzucono błotem Jugosławię.

Ale obaj nie mówili tego, co myślą, tylko po prostu siedzieli i milczeli.

Smółosidow też milczał za ich plecami.

Na ścianie Rubin już sobie był przybił mapę Chin z komunistycznym terytorium zakreskowanym czerwonym ołówkiem.

Tylko ta mapa jeszcze dodawała mu otuchy. A jednak mimo wszystko, mimo wszystko - idziemy ku zwycięstwu...

Ktoś zapukał i wywołał Rojtmana. Zaczynało się szkolenie partyjno-komsomol-skie i powinien był teraz zapewnić obecność wszystkich podwładnych, nie mówiąc już o swojej własnej.

88

Nie tylko w szaraszce Marfino, ale w całym Związku Sowiec - kim poniedziałek - na mocy uchwały KC partii - był dniem szkolenia politycznego. Tego dnia zarówno uczniowie starszych klas, jak gospodynie domowe w swoich komitetach blokowych, jak weterani rewolucji, a także siwowłosi członkowie Akademii Nauk od szóstej wieczór aż do ósmej siedzieli w szkolnych ławkach wertując konspekty przygotowane w niedzielę (zgodnie z dyspozycjami nie do odrzucenia samego Wodza wymagało się, aby obywatele nie tylko znali na pamięć wszystkie odpowiedzi, ale żeby również prowadzili własnoręczne konspekty).

Historię Partii Nowego Typu studiowano bardzo dogłębnie. Każdego roku 1 października zaczynało się zgłębianie omyłek narodników, błędów Plechanowa oraz walki Lenina i Stalina z ekonomizmem, legalnym marksizmem, oportunistycznym, rewizjonizmem,

anarchizmem, rezygnacjonizmem, likwidatorstwem, poszukiwaniem Boga oraz inteligenckim brakiem kręgosłupa. Nie żałując czasu poddawano rozbiorowi paragrafy statutu partii zatwierdzone przed półwiekiem (a od tego czasu dawno już zmienione) i rozpatrywano różnicę między starą „Iskrą” a nową „Iskrą”. Omawiano krok naprzód i dwa kroki wstecz, a także krwawą niedzielę, ale tu przychodziła kolej na słynny Czwarty Rozdział „Krótkiego Kursu”, w którym wyłożone były filozoficzne podstawy ideologii komunistycznej - i, nie wiedzieć czemu, wszystkie grupy więzły jakoś w tym rozdziale. Jako że powodem tego zjawiska z pewnością nie mogły być braki albo niezborność samego materializmu dialektycznego czy mętny sposób wykładania jego zasad przez autora (autorem tego rozdziału był sam Najlepszy Wychowanek i Przyjaciel Lenina), to jedyną przyczyną mógł być kłopot, jaki myślenie dialektyczne sprawiało nieoświeconym masom oraz nieuchronne zbliżanie się wiosny. W maju bowiem, gdy studiowanie Czwartego Rozdziału osiągnąć miało apogeum, masy pracujące składały należny okup podpisując doroczną pożyczkę państwową - i szkolenie przerywano.

Gdy zaś w październiku grupy samokształceniowe znów się zbierały, to - wbrew jasno wyrażonej i śmiałej chęci Wielkiego Sternika, aby czym prędzej przejść do palących zagadnień współczesnych, do bieżących braków i niezbędnych dla postępu przeciwieństw - trzeba było uznać, że w ciągu letnich miesięcy masy pracujące przerobiony materiał całkowicie zapomniały, że Czwarty Rozdział jest ledwie napoczęty i pracownicy propagandy otrzymywali zlecenie, aby wrócić raz jeszcze do błędów Narodnej Woli, pomyłek Plechanowa oraz walki z ekonomizmem tudzież z legalnym marksizmem.

Tak działo się wszędzie, co rok i rok po roku. A dzisiejszy wykład w Marfinie na temat „Materializm dialektyczny jako światopogląd najbardziej postępowy” miał budzić osobliwe i wielkie zainteresowanie tym właśnie, że powinien był wyczerpać aż do samego dna problematykę Czwartego Rozdziału, poruszyć przy okazji olśniewającą tematykę genialnego dzieła Lenina „Materializm i empiriokrytycyzm”, wyrwać się tym samym poza obręb zaklętego kręgu i pozwolić wreszcie, aby partyjne i komsomolskie kółka samokształceniowe wyszły z Marfina na główny gościniec współczesnej myśli i pochyliły się nad dziejami pracy i walki naszej partii w epoce pierwszej wojny imperialistycznej oraz przygotowań do rewolucji lutowej.

Interesować musiało marfińskich frajerów jeszcze to, że dziś niepotrzebne były konspekty (kto już napisał, ten miał zapas na kolejny poniedziałek, kto chciał ściągnąć od

kolegi, ten mógł zrobić to później). Równie atrakcyjnym aspektem tego wykładu było to, że prowadzić go miał nie szeregowy agitator, tylko lektor obwodowego komitetu partii Rachmankuł Szamsetdinow. Robiąc przed obiadem obchód wszystkich pracowni, Stiepanow nie czynił wcale tajemnicy z pogłoski, że lektor uchodzi podobno za natchnionego mówcę. (Jeszcze jednej cechy lektora Stiepanow nie znał sam: Szamsetdinow był bliskim przyjacielem Mamutowa - nie tego Mamutowa z kancelarii Berii, tylko jego rodzonego brata, naczelnika łagru przy chowrińskiej fabryce broni. Ów Mamułow utrzymywał dla swoich własnych potrzeb pańszczyźniany teatr, którego trupa składała się z wybitnych, niegdyś moskiewskich, a dzisiaj aresztowanych aktorów, którzy teraz bawili pana naczelnika i jego współbiesiadników, do spółki z dziewczynami starannie wybieranymi z etapowego więzienia Na Krasnej Presni. Przyjaźń łącząca go z obu braćmi była przyczyną szacunku, którym cały moskiewski komitet obwodowy darzył Szamset-dinowa, dlatego to ów lektor pozwalał sobie na wiele swobody i nie dukał słowa po słowie z gotowych tekstów, ale oddawał się natchnionemu krasomówstwu).

Mimo że wykład zapowiedziany był należycie, mimo całej jego atrakcyjności, marfińscy frajerzy schodzili się nań dość leniwie i szukali pretekstu, aby zostać dłużej w laboratoriach. Ponieważ w każdej pracowni zawsze musiał zostać wolny dużurny - toć nie można było zeków zostawić bez nadzoru! - naczelnik laboratorium próżniowego, który sam nigdy palcem nie kiwnął, nagle oznajmił, że pilne zajęcia wymagają jego obecności przy warsztacie pracy, i posłał na wykład swoje dwie dziewczyny, Tamarę i Klarę. Tak samo postąpił zastępca Rojtmana w pracowni akustycznej - został sam, a dyżurnej Simoczce kazał iść się uczyć. Major Szykin też się nie zjawił, ale jego działalności, osnutej mgłą tajemnicy, nie mogła kontrolować nawet partia.

Kto zaś w końcu się zjawił, przychodził z opóźnieniem i zwodniczy instynkt samozachowawczy kazał mu siadać w tylnych rzędach.

W instytucie była specjalna sala dla zebrań i wykładów. Raz na zawsze wniesiono tam kupę krzeseł, nanizano po osiem na długie żerdzie i przymocowano na stałe (kierownik gospodarczy musiał uciec się do tego sposobu, bo inaczej krzesła rozproszyłyby się po całym budynku). Izba była niewielka, rzędy krzeseł poustawiano ciasno i kolana siedzących z tyłu uciskała boleśnie żerdź najbliższego rzędu. Dlatego ci, co przychodzili zawczasu, starali się swój szereg krzeseł odsunąć jakoś do tyłu, żeby zrobić trochę miejsca dla nóg. Co młodszy ze zgromadzonych reagowali na to pretensjami, żartami, śmiechem. Ale oto starania

Stiepanowa i jego umyślnych doprowadziły do tego, że kwadrans przed siódmą wszystkie rzędy krzeseł wreszcie się zapełniły i tylko w drugim i trzecim, przesuniętych do przodu, nikt już nie mógł usiąść.

- Towarzysze, towarzysze! Jak wam nie wstyd! - okulary Stiepanowa błyskały mętnie jak ołów - przez was towarzysz z komitetu obwodowego traci czas na czekanie! (Lektor czekał w gabinecie Stiepanowa nie tracąc nic ze swej godności).

Rojtman wszedł do salki przedostatni. Nie znajdując już innego miejsca - wszystkie były zajęte przez zielone kitle przetykane gdzieśgdzie pstrymi sukienkami kobiet - musiał usiąść w pierwszym rzędzie, na lewym skrzydle, trąc niemal kolanami o stół prezydialny. Stiepanow poszedł tymczasem po Jakonowa; chociaż ten nie był członkiem partii, ale na tak ważnej prelekcji powinien być obecny, zresztą temat chyba go interesował. Jakonow przemknął się drobnym kroczkiem wzdłuż ściany przenosząc jakby chyłkiem swoje zbyt okazałe ciało obok ludzi, którzy w tej chwili nie byli już jego podwładnymi, tylko partyjno-komsomolskim kolektywem. Nie znalazłszy wolnego miejsca w tylnych rzędach Jakonow usiadł w pierwszym, ale na prawym skrzydle, jakby i tu był przeciw Rojtmanowi.

Stiepanow wprowadził teraz lektora. Było to chłopisko duże, o szerokich barkach i wielkiej głowie, z czupryną roztrzepaną i bujną, już tkniętą popiołem siwizny. Zachowywał się w sposób bardzo niewymuszony, jakby wszedł do tej sali tylko po to, żeby wypić kufel piwa ze Stiepanowem. Nosił jasny garnitur z bostonu, tu i ówdzie wymięty, tak jakby nie dbał o elegancję, na szyi miał kolorowy krawat z węzłem wielkości pięści. Nie miał w ręku żadnych zeszytów ani notatek i wszedł od razu *in medias res*:

- Towarzysze! Każdy z nas chciałby wiedzieć, czym właściwie jest otaczający nas świat - krzyknął.

Pochylił swój masywny korpus nad stołem prezydialnym nakrytym czerwonym płótnem używanym do transparentów, zawiesił głos - i wszyscy zamienili się w słuch. Miało się wrażenie, że on naprawdę zaraz w dwóch słowach wyjaśni, czym jest ten świat, co nas otacza. Ale lektor wyprostował się nagle, jakby ktoś ze słuchaczy dał mu powąchać amoniaku, i zawołał z oburzeniem:

- Wielu filozofów próbowało dać odpowiedź na to pytanie! Ale nikt przed Marksem nie potrafił tego zrobić! A to dlatego, że metafizyka nie uznaje zmian jakościowych! Niełatwa to rzecz, ma się rozumieć - tu wyłuskał dwoma palcami złoty zegarek z kieszeni - wyjaśnić wam to wszystko w ciągu półtorej godziny, ale - tu zegarek schował - ja postaram

się o to.

Stiepanow, który przysiadł z boczku stołu prezydyjnego, ale twarzą do publiczności, bąknął:

- Tak krótko? Chętnie posłuchamy.

Kilka dziewcząt poczuło klucie w sercu (spodziewały się, że zdążą do kina). Lektor szerokim, pełnym wyrozumiałości gestem rąk pokazał, że także on musi słuchać się zwierzchności.

- Takie są reguły! - powściągnął zapały Stiepanowa. - Cóż więc pomogło Marksowi i Engelsowi dać nam prawdziwe pojęcie o naturze i społeczeństwie? Genialnie sformułowany przez nich i rozwinięty przez Lenina i Stalina system filozoficzny, który nosi nazwę materializmu dialektycznego. Pierwszym wielkim członem materializmu dialektycznego jest dialektyka materialistyczna. Postaram się pokrótce określić jej główne zasady. Zazwyczaj mówi się o pruskim filozofie Heglu jako o tym, który sformułował naczelną zasadę dialektyki. Ale to absolutnie, powiadam - absolutnie niesłuszne! Hegłowska dialektyka stała na głowie, to nie ulega wątpliwości! Marks i Engels postawili ją na nogi, wyłuskali z niej racjonalne ziarno, idealistyczną zaś skorupę odrzucili! Marksistowska metoda dialektyczna jest wroga! wroga jest wszelkiemu zastojowi, wroga metafizyce i popowskiemu religianctwu! Dialektyka ma wszystkiego cztery przesłanki fundamentalne. Pierwsza z tych przesłanek to... no, krótko mówiąc, wzajemny związek zjawisk! Związek wzajemny, nie zaś chaotyczne współistnienie izolowanych podmiotów. Przyroda i społeczeństwo to - jakby tu wam najprościej rzecz wyjaśnić? - to nie skład mebli, gdzie wszystkiego pełno, a związku między tymi rzeczami żadnego nie ma. W przyrodzie wszystko się wzajemnie wiąże, wszystko się wiąże - i tę prawdę powinniście zapamiętać, to wam pomoże w waszych badaniach naukowych!

W sytuacji szczególnie korzystnej byli teraz ci, którzy nie leniąc się przyszli o dziesięć minut wcześniej i teraz siedzieli w tylnych rzędach. Stiepanow błyskał okularami, ale jego wzrok tam nie sięgał. Przystojny lejtnant o gwardyjskiej posturze naskrobał liścik i posłał go do Toni, Tatareczki z pracowni akustycznej; też była lejtnantem, ale nosiła zagraniczny, dziergany purpurowy sweterek, a pod nim cienką cywilną sukienkę. Tonią rozłożyła liścik na kolanach chowając się za plecami siedzącego przed nią słuchacza. Czarny kosmyk włosów opadł jej na czoło, co uczyniło ją jeszcze bardziej pociągającą. Przeczytała liścik, zarumieniła się lekko i zaczęła prosić sąsiadów o pióro albo ołówek.

- ... No, przykładów można by tu przytoczyć więcej. Druga przesłanka dialektyki to - że wszystko jest w ruchu. Wszystko się rusza, nie ma i nie było w naturze żadnego spokoju, to fakt! I wiedza powinna rozpatrywać wszystko właśnie w ruchu, w procesie rozwoju - ale przy tym nie wolno nigdy zapominać, że nie jest to ruch w jakimś zamkniętym obwodzie, bo inaczej nigdy byśmy nie doszli do naszego współczesnego wysokiego poziomu życia. Ruch ten odbywa się natomiast jakby po spiralnych schodach. Dowody tu niepotrzebne, wszystko dąży w górę, w górę, o takim ruchem...

Wymachując zamasyżycie ręką pokazał, jak to się odbywa. Lektor nie krępował się ani dobozem słów, ani ruchów ciała. Porozsuwał krzesła na podium, zyskał jakieś trzy metry kwadratowe przestrzeni i przechadzał się za stołem prezydialnym, przestępował z nogi na nogę, kołysał się przygniatając swoim masywnym korpusem oparcie krzesła, które lada chwila mogło się złamać. Wyrażenia „niewątpliwie” i „oszczędźmy tu sobie dowodów” wymawiał w sposób szczególnie dźwięczny i kategoryczny, tak jakby na mostku kapitańskim dowodził tłumieniem jakiegoś powstania - a wypowiadał je nie w punktach przypadkowych, lecz tam, gdzie koniecznie trzeba było czymś podeprzeć jego wywody, już i tak dobitne.

- Trzecia zasada dialektyki - to przechodzenie ilości w jakość. Bardzo ważna ta zasada pomoże wam zrozumieć, czym jest rozwój. Nie myślcie, że rozwój to zwyczajny rozrost. Tu warto byłoby koniecznie powołać się na Darwina. Engels objaśnia nam tę zasadę posiłkując się dowodami naukowymi. Weźmy na przykład wodę, choćby tę, co stoi tu w karafce - ma jakieś osiemnaście stopni, jest to zwyczajna woda. Spróbujcie ją zagrzać, proszę bardzo. Zagrzejcie ją do trzydziestu stopni - i to wciąż będzie ta sama woda. Zagrzejcie ją do osiemdziesięciu stopni - i dalej będzie to ta sama woda. No, a jeżeli zagrzać ją do stu? W co się wtedy zamieni? W parę!!!

Był to okrzyk tak triumfalny, że ten i ów ze słuchaczy aż się wzdrygnął.

- W parę! A można ją przekształcić tak samo w lód! Co powiecie? To właśnie jest przejście ilości w jakość! Poczytajcie „Dialektykę przyrody” Engelsa, tam pełno jest jeszcze innych pouczających przykładów, które pomogą wam w rozwiązywaniu waszych codziennych trudności. A podobno teraz nasza sowiecka nauka potrafi już skraplać nawet powietrze. A dlaczego sto lat temu nikt nie mógł zdobyć się na takie osiągnięcie? A dlatego, że nieznanne było jeszcze prawo przechodzenia ilości w jakość! I tak jest ze wszystkim, towarzysze! Teraz przytoczę wam przykłady z dziejów rozwoju społeczeństwa...

Jeszcze przed pojawieniem się armii lektorów i bez żadnej namowy z ich strony Adam Rojtman doskonale wiedział, że materializm dialektyczny potrzebny jest uczoneму jak powietrze i że bez tej teorii nie sposób zrozumieć zjawisk przyrody. Ale przesiadując na zebraniach, seminariach i prelekcjach takich jak dzisiejsza Rojtman niemal fizycznie czuł, jak jego mózg obraca się powoli, wznosząc się spiralnym ruchem. Chociaż myśl jego stawiała opór, Rojtman poddawał się przemożnej sile tych obrotów, podobnie jak znużony człowiek zapada w sen. Chciał się nawet otrząsnąć. Mógłby przeciwstawić mówcy znakomite przykłady z dziedziny atomistyki albo mechaniki fal. Ale nie miał śmiałości, aby się wtrącić albo pouczać towarzysza z obkomu. Patrzył tylko z wyrzutem swoimi migdałowymi oczyma, przesłoniętymi anastygmatycznymi szklami, na lektora, który wymachiwał rękoma nad samą jego głową. Lektor perorował grzmiącym głosem:

- A zatem, przemiana ilości w jakość może mieć charakter wybuchowy albo e-wo-lucyjny, to fakt! Przełom o charakterze wybuchowym nie wszędzie jest nieunikniony. Nasze socjalistyczne społeczeństwo rozwija się i będzie się rozwijać bez żadnych eksplozji, to niewątpliwe! Ale socjal-renegaci, socjal-zdrajcy, słowem prawicowi socjaliści wszelkiej maści bezczelnie oszukują lud utrzymując, że przejście od kapitalizmu do socjalizmu także może być stopniowe, bez eksplozji. Jak to - bez eksplozji?! To znaczy - bez rewolucji? Bez rozbicia maszyny państwowej? Drogą parlamentarną? Niech te bajędy opowiadają swoim małym dzieciom, ale nie dorosłym marksistom! Uczył nas Lenin i uczy nas genialny teoretyk, towarzysz Stalin, że burżuazja nigdy nie odda władzy bez walki zbrojnej!!

Kudły lektora wzbijały się przy każdym podrzucie głowy. Prelegent wysmarkał się; chustkę do nosa miał dużą, z błękitnym szlaczkiem. Spojrzał na zegarek, ale nie błagalnym wzrokiem zapóźnionego mówcy, lecz spod oka, z pewnym niedowierzaniem. Przyłożył na chwilę zegarek do ucha.

- Czwartą zasadą dialektyki - krzyknął tak, że niektórzy słuchacze znowu zadygotali - jest, no... prawo sprzeczności! Sprzeczności! To, co stare, i to, co nowe, negatywne i pozytywne! Sprzeczności są wszędzie, towarzysze, to nie żadna tajemnica! Mogę tu przytoczyć dowody naukowe, proszę bardzo - elektryczność! Bo jeżeli potrzeć szkiełko o jedwab - to wyjdzie plus, a jeżeli żywicę o futro - to będzie minus. Ale tylko jedność tych przeciwieństw, ich synteza, daje energię naszemu przemysłowi! Przykładów nie trzeba daleko szukać, towarzysze, znajdujemy je na każdym kroku: ciepło - to plus, a mróz - to minus. I w życiu społecznym widzimy tę samą bezwzględną jedność przeciwieństw między

elementami dodatnimi i ujemnymi. Jak widzicie - materializm dialektyczny wchłonął w siebie wszystkie najwspanialsze osiągnięcia wiedzy. Wykryte przez twórców marksizmu wewnętrzne sprzeczności procesu rozwoju przejawiają się nie tylko w przyrodzie nieożywionej, lecz również są zasadniczą siłą motoryczną wszystkich formacji społecznych, od pierwotnej wspólnoty aż do imperializmu, który gnije na naszych oczach. I jedynie w naszym społeczeństwie bezklasowym tym bodźcem, tą siłą są niewątpliwie nie żadne wewnętrzne sprzeczności, tylko krytyka i samokrytyka, śmiało atakująca wszystkich bez różnicy.

Prelegent ziewnął i nie zdążył w porę zasłonić ust. Zasmusował się nagle, na jego twarzy zjawily się jakieś pionowe zmarszczki, dolną szczęką zatargał hamowany spazm. Zupełnie nowym tonem, zdradzającym wielkie znużenie, próbował jeszcze zakończyć swoje wywody w tej samej stojącej pozycji.

- Opozycjoniści i kapitulanci z kliki Bucharina bluźnili bezczelnie twierdząc, że istnieją u nas jakieś sprzeczności klasowe, ale...

Zmęczenie zbiło go z nóg; zamrugał, siadł na krześle i dokończył zdania cichym, leniwym głosem:

- ... ale nasz Komitet Centralny odparł zwycięsko ten atak.

I całą środkową część wykładu recytował już w ten sposób. Wydawało się, że dotknęło go jakieś nagłe cierpienie, bądź też, że stracił wszelką nadzieję, iż te przekłete półtorej godziny kiedykolwiek się skończy.

Mówił pogrzebowym głosem, przechodząc chwilami do szeptu, jak gdyby wszystko sprzysięgło się przeciw niemu i przeciw słuchaczom. Przedzierał się przez niewidzialne chaszcze nie widząc żadnego z nich wyjścia:

- Tylko materia jest absolutna, a wszystkie prawa nauki są względne... Tylko materia jako taka jest absolutna, a każda poszczególna forma materii jest względna... Nic nie jest absolutne, prócz materii, a ruch jest jej wiecznym atrybutem... Ruch jest absolutny, a bezruch względny... Absolutnej prawdy nie ma... każda prawda jest względna... Pojęcie piękna jest względne... Pojęcia dobra i zła - są względne.

Mniejsza, czy Stiepanow słuchał wykładu, czy nie - ale samym swoim wyglądem (a siedział wyprostowany błyskając okularami w stronę audytorium) demonstrował, że świadom jest wagi tej politycznej imprezy i że pełen jest powściągliwej radości, iż tak poważne wydarzenie kulturalne ma miejsce w murach Marfina.

Jakonow i Rojtman słuchali prelegenta z pewnym wysiłkiem, bo siedzieli zbyt blisko. Jakaś dziewczyna z czwartego rzędu, w dżersejowej sukni, cała wychyliła się do przodu i słuchała z lekkim pąsem na policzkach, bo poczuła w sobie ambitną chętkę zadania jakiegoś pytania prelegentowi. Tyle tylko, że nie wiedziała, o co pytać.

Uważnie patrzył na lektora także Kłykaczow; jego wąska, podługowata głowa sterczała wśród mundurowej ciżby zebranych. On także nie słuchał, bo sam prowadził wykłady polityczne, mógł przemawiać na ten temat jeszcze nawet lepiej i wiedział dobrze, z jakich materiałów instrukcyjnych prelegent czerpie. Kłykaczow obserwował lektora po prostu z nudów; najpierw zastanawiał się, ile też prelegent może zarobić miesięcznie, później spróbował określić jego wiek i wyobrazić sobie jego sposób bycia. Facet mógł mieć koło czterdziestki, ale siwizna, bruzdy na twarzy, czerwony, obrzmiały nos - świadczyły raczej o pięć-dziesiątaku albo były dowodem, że na wiele sobie w życiu pozwala i życie już się za to mści.

Inni nie słuchali całkiem otwarcie. Tonia i przystojny lejtnant zdążyli już naskrobać po cztery liściki, pewien inny lejtnant i Tamara wciągnęli się w czułą grę. On jej ścisnął naprzód jeden paluszek, potem drugi, wreszcie całą rączkę, ona biła go za to po palcach, wrywała łapkę i wszystko zaczynało się od nowa. Zabawa wciągała ich coraz bardziej i tylko na ich twarzach, które Stiepanow mógł dobrze widzieć, oboje starali się z przebiegłością uczniów zachować zupełną powagę. Naczelnik czwartej grupy rysował naczelnikowi pierwszej grupy (wszystko na kolanach, bo Stiepanow patrzył) schemat dodatkowego agregatu do urządzenia, które już puścił w ruch.

Ale do nich wszystkich wywody lektora docierały choćby urywkowo - zaś Klara Makarygina (miała na sobie jasnoniebieską gładką suknię) bez żenady oparła łokcie o stojące przed nią krzesło, skrzyżowała ramiona i wtuliła w nie twarz. Była głucha i ślepa na wszystko, co działo się w tej sali, brnęła przez tę czarno-różową mgłę, która kłębi się pod ściśniętymi powiekami. Mieszanina radości, popłochu i tęsknoty przepelniała ją od chwili, gdy wczoraj pocałowali się z Ruską. Wszystko poplątało się beznadziejnie. Po co był jej potrzebny Eryk? Ale czy można było go się wyrzec? Jak można było teraz nie czekać na Ruškę? Ale jak można było na niego czekać? I jak to było możliwe, żeby należeć z nim do jednej grupy roboczej, napotykać jego spojrzenia i rozmawiać jak gdyby nigdy nic? Przenieść się do innej grupy? Ale czy inżynier-pułkownik nie wezwał Ruski właśnie po to, żeby go przenieść? Wezwał go do siebie przed dwiema godzinami i chłopak dotąd nie wraca.

Klarze łatwiej było znieść, że Ruska nie wrócił przed szkoleniem, i pobiegła chętnie na wykład, żeby odsunąć spotkanie. Jednakże dziś wieczór nie będą przecież mogli uniknąć jakichś wyjaśnień. Wychodząc chłopak odwrócił się w drzwiach i spojrzał na nią z nieznośnym wyrzutem. I rzeczywiście, jaka to będzie podłość - wczoraj składać mu przyrzeczenie, a dzisiaj...

(Nie wiedziała, że nigdy w życiu już się nie spotkają: Ruškę aresztowano i wtrącono do małego ciasnego boksu w sztabie więzienia. A w pracowni próżniowej, właśnie w tej chwili, major Szykin w towarzystwie szefa laboratorium włamywał się do biurka Ruski i przeszukiwał szuflady).

Prelegent znów odzyskał siły. Ożywił się, wstał z krzesła i wymachując potężną pięścią wyszydzał nędzną formalną logikę, poroniony płód Arystotelesa i średniowiecznej scholastyki, skompromitowany dzięki wysiłkom marksistowskiej dialektyki.

Właśnie do Marfina nadchodziły najświeższe amerykańskie periodyki i niedawno - z korzyścią dla całej akustycznej - Rubin przetłumaczył artykuł o nowej nauce, cybernetyce; przeczytał go Rojtman i jeszcze kilku oficerów. Cybernetyka oparta jest akurat na tej sto razy obalanej logice formalnej: „tak” to tak, a „nie” to nie i trzeciej możliwości nie ma. „Dwuelementowa algebra logiczna” George’a Boole’a ukazała się zaś w tym samym roku co „Manifest komunistyczny”, tylko nikt na to nie zwrócił uwagi.

- Drugim wielkim działem materializmu dialektycznego jest materializm filozoficzny - grzmiał prelegent. - Materializm wzrósł w walce z reakcyjną filozofią idealizmu, której twórcą był Platon, a następnie jej najbardziej typowymi przedstawicielami byli biskup Berkeley, Mach, Avenarius, Juskiewicz i Walentinow.

Jakonow jęknął tak, że aż wszyscy na niego spojrzeli. Skrzywił więc twarz w grymasie i chwycił się za bok. Co o tym myśli, mógłby powiedzieć chyba tylko Rojtmanowi, jednakże - właśnie jemu nie mógł tego powiedzieć. Siedział więc dalej z miną pełną pokory i uwagi. Oto na co musi tracić cenne chwile tego swojego wybląganego miesiąca!...

- Nie trzeba tracić czasu na dowodzenie, że materia jest substancją wszystkiego, co istnieje! - huknął prelegent. - Materia jest niezniszczalna, to niewątpliwe! i są na to dowody naukowe. Na przykład, spróbujmy zasiać w ziemi ziarno - czy ono tym samym znika? Ależ nie! Przekształca się w roślinę, w dziesięć podobnych ziaren. Była sobie kałuża - słońce ją wysuszyło. No to co, czy woda zniknęła? Oczywiście, że nie!! Woda przekształciła się w obłok, w parę! Ot co! Tyko podły sługa burżuazji, dyplomowany lokaj klechów, fizyk

Ostwald miał czelność twierdzić, że „materia znika”. Ależ z tego nawet dzieci się śmieją! Genialny Lenin w swoim nieśmiertelnym dziele „Materializm i empiriokrytycyzm” w oparciu o najbardziej postępowy światopogląd obalił te bajędy Ostwalda i zapędził go w kozi róg!

Jakonow pomyślał: a gdyby tak ze stu takich prelegentów wcisnąć w te krzesła i przeczytać im wykład o formule Einsteina i trzymać ich bez obiadu, dopokąd ich tępe, leniwe głowy nie zastanowią się choćby nad tym - gdzie podziewają się w ciągu jednej sekundy cztery miliony ton materii słonecznej?

Ale on sam tu siedział bez obiadu. Już mu tu wypruto wszystkie żyły. Miał jeszcze tylko nadzieję, że wykład prędko się skończy.

Wszyscy słuchacze odczytu myśleli tylko o jednym - kiedy można będzie się rozejść? Wszyscy wyjechali z domów tramwajami, autobusami i kolejką elektryczną o ósmej, a niektórzy nawet o siódmej rano i nikt z nich nie miał nadziei na powrót do domu wcześniej niż o wpół do dziesiątej wieczór.

Ale z największym napięciem czekała na koniec pogadanki Simoczka, chociaż i tak zostawała na dyżurze i nie musiała spieszyć się do domu. Lęk i radosne oczekiwanie wzbierały i opadały w niej na przemian gorącymi falami i czuła słabość w nogach jak po szampanie. Przecież to dziś był właśnie ten wieczór poniedziałkowy, na który umówiła się z Glebem. Nie mogła pozwolić, żeby ta uroczysta, najwspanialsza chwila mignęła jakoś zniecka i mimochodem - dlatego właśnie nie czuła się jeszcze onegdaj w pełni do niej przygotowana. Ale cały dzień wczorajszy i pół dzisiejszego minęły dla niej jak wigilia wielkiego święta. Odsiedziała swoje u krawcowej, wciąż ją nagląc, żeby skończyła szycie nowej, bardzo twarzowej sukni. W domu szorowała się zawzięcie postawiwszy blaszaną wannę pośrodku ciasnego moskiewskiego mieszkania. Wieczorem długo zakręcała włosy na papiloty, rano zaś długo je rozczesywała i wciąż przeglądała się w lustrze pragnąc się przekonać, że przy niektórych zwrotach głowy może się nawet podobać.

Powinna była zobaczyć Nierzyna o trzeciej, zaraz po przerwie na obiad, ale Gleb, otwarcie sobie lekceważąc więzienny regulamin (trzeba mu dziś udzielić nagany za to! dlaczego się naraża!), spóźnił się po obiedzie. Tymczasem Sima została posłana do innej grupy dla przeprowadzenia inwentarza i spisu jakichś części, wróciła do akustyki dopiero przed szóstą - i znów nie zastała Gleba, chociaż jego biurko zavalone było czasopismami i teczkami, a lampa się paliła. Poszła więc na wykład nie widząc go i nic nie wiedząc o

strasznej nowinie - o tym, że wczoraj, nieoczekiwanie, po rocznej przerwie Gleb miał widzenie z żoną.

W nowej sukience, z coraz większymi wypiekami na policzkach wpatrywała się we wskazówki dużego elektrycznego zegara. Zaraz po ósmej powinni byli zostać wreszcie z Glebem sami... Malutka, mieszcząca się bez trudu na wąskim miejscu wśród ciasno ustawionych krzeseł, Sima ledwie była widoczna za plecami sąsiadów, tak że z daleka jej krzesło wydawało się puste.

Tempo prelekcji uległo wyraźnemu przyspieszeniu, podobnie jak każda orkiestra przyspiesza rytm przechodząc do ostatnich taktów walca albo polki. Wszyscy to wyczuli i z lekka się ożywili. Goniąc jedna drugą i mieszając się w pośpiechu z pienistymi bryzgami śliny, wylatywały z ust mówcy skrzydlate myśli szybując nad głowami słuchaczy:

- Teoria staje się materialną siłą... Trzy cechy materializmu... Dwa wyróżniki procesu produkcji... Pięć typów stosunków produkcyjnych... Przejście do socjalizmu niemożliwe jest bez dyktatury proletariatu... Skok do królestwa wolności... Burżuazyjni socjologowie dobrze to rozumieją... Moc i aktualność marksizmu-leninizmu... Towarzysz Stalin podniósł materializm dialektyczny na nowy, jeszcze wyższy poziom... Czego w dziedzinie teorii nie zdążył zrobić Lenin - tego dokonał towarzysz Stalin... Zwycięstwo w Wielkiej Wojnie Narodowej... Wspaniałe rezultaty... Nieogarnione perspektywy... Nasz genialny, nasz mądry... nasz wielki... nasz ukochany...

Podczas gdy grzmiały oklaski, zerknął na swój zegarek kieszonkowy. Była za kwadrans ósma. W przepisany czas zmieścił się z lichwą.

- Są może jakieś pytania? - w głosie prelegenta był odcień pretensji.

- Tak, jeżeli to możliwe... - powiedziała dziewczyna w dżersejowej sukience, siedząca w czwartym rzędzie; była cała w pąsach. Wstała z miejsca i zapytała w zdenerwowaniu, bo wszyscy na nią patrzyli:

- Towarzysz tu powiedział, że burżuazyjni socjologowie wszystko to rozumieją. I rzeczywiście, bo to wszystko jest takie jasne, tak przekonywające... To dlaczego oni piszą w swoich książkach, że wszystko jest na odwrót? Czy naumyślnie oszukują ludzi?

- A dlatego, że straciliby swoje dochody! Przecież im za to dużo płacą! Płacą im pieniędzmi wyciśniętymi z kolonii! Ich wyznanie wiary - to pragmatyzm, w przekładzie na rosyjski to znaczy: co mi daje zysk, to jest zgodne z prawem. To oszuści i szmaty polityczne!

- Wszyscy? - cieniutkim ze zgrozy głosem wykrzyknęła dziewczyna.

- Co do jednego!! - powiedział lektor z przekonaniem i z rozmachem potrząsnął swoimi posypanymi popiołem kudłami.

89

Suknia Simy miała kolor brązowy i uszyta była z uwzględnieniem zalet i wad figury jej właścicielki: góra przypominająca zakieciak ściśle opinała talię, wąską jak u osy, ale na piersi nie była obcisła, tylko zbluzowana w miękkie plisy, przy przejściu zaś w spódnicę - aby poszerzyć trochę figurę - naszyte były dwie luźne falbany, jedna matowa, druga błyszcząca. Nieważkie i cieniutkie ręce Simoczki ukryte były w rękawach, na górze sutych i luźnych. Kołnierzyk miał pewną naiwną i miłą osobliwość; wykrojony był z długiego pasma tego samego materiału, a zwisające jego końce związane były na piersiach w kokardę przypominającą skrzydełka srebrao-brunatnego motyla.

I te, i jeszcze inne szczegóły tego stroju przyjaciółki Simy oglądały i oceniały na schodach obok garderoby, kiedy wyszła odprowadzić je po wykładzie. Panował tam tłok i hałas, mężczyźni pospiesznie wdzielali wojskowe płaszcze i palta, zapalając papierosy jeszcze przed wejściem, dziewczyny zaś balansowały pod ścianami na jednej nodze wzuwając botki.

W tym pełnym podejrzeń świecie mogło wydać się czymś dziwnym, że na służbowy, wieczorny dyżur Simoczka włożyła po raz pierwszy sukienkę uszytą na sylwestra. Ale Simoczka wyjaśniła koleżankom, że po dyżurze jedzie na imieniny do wujka, gdzie będą kawalerowie.

Koleżanki zaaprobowwały suknię, oświadczyły, że Sima jest w niej „po prostu śliczna”, i wypytywały, gdzie kupiła ten *crepe-satin*.

Simę opuściła nagle śmiałość i zwlekała z powrotem do pracowni.

Dopiero za dwie minuty ósma weszła do akustyki z bijącym sercem, chociaż pochwały dodały jej otuchy. Więźniowie oddawali już poufne papiery do przechowania w kasie pancерnej. Środek sali był pusty, osierociał po przeniesieniu wokodera do Siódemki, więc Sima zaraz zobaczyła biurko Nierżyna.

Gleba już nie było. (Czy nie mógł zaczekać?...) Lampa na biurku była już zgaszona, drewniana żaluzja zaciągnięta, poufne materiały już oddane. Jeden osobliwy szczegół zwracał jednak uwagę: środek biurka nie był pusty, jak zawsze przed przerwą, tylko leżało na nim duże, otwarte czasopismo amerykańskie i otwarty słownik. Mógł to być tajny sygnał dla niej: „zaraz wracam!”.

Zastępca Rojtmana wręczył Simie klucze od szafy pancерnej i od pokoju oraz pieczętę (pracownia musiała być co noc opieczętowana). Simoczka obawiała się, że Rojtman znowu pójdzie do Rubina, a wtedy trzeba będzie oczekiwać w każdej chwili jego powrotu do akustyki. Ale nie, Rojtman też był tutaj, już w płaszczu, w czapce; wciągając skórzane rękawiczki naglił zastępcę, żeby ubierał się szybko. Miał niewesołą minę.

- Cóż, niech tu teraz Serafima Witaliewna sama dowodzi. Wszystkiego dobrego - pożegnał się życzliwie.

W korytarzach i salach instytutu rozległ się długi dzwonek elektryczny. Więźniowie hurmem wychodzili na kolację. Bez uśmiechu, patrząc w ślad za ostatnimi, Simoczka przeszła się po pracowni. Kiedy nie uśmiechała się, jej twarz przybierała bardzo surowy wyraz, szczególnie z powodu długiego noska z ostrym grzbietem, który pozbawiał ją wdzięku.

Została sama.

Teraz mógł już przyjść!

Chodziła po laboratorium i wyłamywała sobie palce.

Co za pech! - jedwabne firanki zasłaniające zawsze okna dziś zostały zdjęte do prania. Trzy okna były teraz bezradnie odsłonięte i z ciemnego podwórca można było cichcem podpatrywać. Co prawda, nie można zobaczyć, co dzieje się w głębi pokoju, bo akustyka jest na piętrze. Ale niedaleko jest ogrodzenie, a bezpośrednio naprzeciw ich okna - wieżyczka z wartownikiem. Stamtąd widać już wszystko.

Albo może zgasić wtedy światło? Drzwi można zamknąć, wszyscy pomyślą, że dyżurna dokądś wyszła.

Ale jeżeli zaczną wyłamywać drzwi, dobierać klucze?...

Simoczka podeszła do budki akustycznej. Zrobiła to bezwiednie, nie myśląc nawet o wartowniku, który nie mógł aż tam zajrzeć. Na progu tej ciasnej komórki przypadła do grubych, pustych w środku drzwi i zamknęła oczy. Nie chciało jej się nawet wchodzić tam bez niego. Chciała, żeby on ją tam wciągnął, wniósł na rękach.

Słyszała od koleżanek, jak to się wszystko odbywa, ale wyobrażała sobie dość mgliście i jej zdenerwowanie jeszcze się potęgowało, a policzki coraz bardziej pąsowiały.

To, czego w młodości trzeba było ponoć najbardziej strzec, już zdążyło stać się ciężarem!...

Tak! Bardzo by chciała, żeby było dziecko i żeby mogła je wychowywać, dopóki

Gleba nie wypuszczą! Wszystkiego pięć lat!

Podeszła z tyłu do jego obrotowego, giętego, żółtego krzesła i objęła oparcie jak żywego człowieka.

Zerknęła bokiem na okno. W niedalekich ciemnościach można było domyślić się kształtów wieżyczki i odróżnić tam ciemny koncentrat wszystkiego, co wrogie jest miłości - wartownika z karabinem.

W korytarzu rozległy się twarde, szybkie kroki Gleba. Simoczka frunęła do swojego biurka, usiadła, sięgnęła po trzystopniowy wzmacniacz leżący na stole z nie osłoniętymi lampami i zaczęła go oglądać trzymając w ręku mały śrubokręt. Serce tak jej biło, że czuła pulsowanie w skroniach.

Nierzyn przymknął drzwi cicho - żeby nie było słychać w opustoszałym korytarzu. Przez wolny już od rusztowań Priancykowa środek izby zobaczył Simę jeszcze z daleka; przycupnęła za swoim biurkiem jak przepióreczka za kępą.

Sam ją nazwał przepióreczką.

Simoczka podniosła na Gleba rozjaśnione oczy - i zamarła; jego twarz była mroczna, nic dobrego ten wyraz nie wróżył.

Przed jego wejściem była pewna, że on najprzód podejdzie, żeby ją pocałować, ona zaś go powstrzyma - przecież okna odsłonięte, wartownik patrzy.

Ale on nie okrążył stołu, tylko surowo, ze smutkiem odezwał się pierwszy:

- Okno odsłonięte, nie mogę podejść, Simoczka. Witaj! - opuścił ręce, oparł się o biurko i stojąc nad nią patrzył z góry. - Żeby tylko nikt nam nie przeszkodził, bo musimy teraz wszystko omówić na nowo.

- Omówić na nowo?

- Na nowo...

Otworzył swoje biurko. Żaluzje opadły jedna za drugą z dźwięcznym stukiem. Nie patrząc na Simę Nierzyn zdecydowanymi ruchami wyjmował i rozkładał rozmaite książki, czasopisma, skoroszyty - tak dobrze znany jej materiał do kamuflażu.

Simoczka zastygła ze śrubokrętem w ręku i nie odrywała wzroku od jego bezokiej twarzy. Cały czas myślała tylko o tym, że sobotnie wezwanie Gleba do Jakonowa dawało teraz złe owoce, że teraz go tępią albo chcą prędko wyekspediować. Ale jeśli tak, to dlaczego Gleb nie podejdzie do niej i nie pocałuje?

- Stało się coś? Co się stało? - zapytała łamiącym się głosem i przełknęła z trudnością.

Usiadł. Przyciskając łokciami pootwierane czasopisma objął rozczapierzonymi palcami głowę i spojrzał na dziewczynę otwarcie. Nie było jednak szczerości w tym spojrzeniu.

Cisza była głucha. Ani dźwięku. Dzieliły ich dwa biurka, dwa biurka jasno oświetlone czterema górnymi oraz dwiema stojącymi lampami, leżące w zasięgu szybkostrzelnych spojrzeń wartownika z wieżyczki.

Ten wzrok wartownika był jak kurtyna z drutów kolczastych powoli zapadająca pomiędzy nimi.

Gleb powiedział:

- Simoczka! Miałbym się za łajdaka, gdybym się dzisiaj przed tobą nie wyświadał.

_?

- Trochę zbyt... lekkomyślnie odniosłem się do ciebie, bez zastanowienia...

-??

- Ja wczoraj... widziałem żonę... Mieliśmy widzenie.

Simoczka skuliła się, zrobiła się jeszcze mniejsza. Skrzydełka jej kokardy na kołnierzyku bezsilnie opadły na aluminiową podstawkę wzmacniacza. I brzęknął śrubokręt padając na stół.

- Dlaczego więc pan... w sobotę... nic nie mówił? - zdławionym głosem powiedziała Sima.

- Simoczka, jak możesz! - przeraził się Gleb. - Czy byłbym zdolny ukryć to przed tobą?

(A właściwie, dlaczego nie?...) - Dowiedziałem się sam wczoraj rano. Zupełna niespodzianka. Cały rok nie widzieliśmy się, przecież wiesz. Ale teraz, kiedyśmy się znowu zobaczyli...

Jego głos był pełen udręki. Rozumiał, jak cierpi ta dziewczyna słuchając go, ale mówić też nie było lżej... Przecież ona nie wszystko zrozumie i nie wszystko da się tu wypowiedzieć... Toż on sam nie wszystko jest w stanie pojąć. A jak marzył człowiek o tym wieczorze, o tej godzinie! Przez całą sobotę czuł, że płonie, całą noc wiercił się w pościeli! I oto nadeszła ta chwila i nie ma przeszkód! - mniejsza o firanki, ten pokój należy do nich, są w nim oboje, jest wszystko, co trzeba! - wszystko, oprócz...

Jakby wypruto mu duszę. Została tam, na widzeniu. Dusza jest jak latawiec: wzbiła się, trzepoce gdzieś w górze, a koniec nitki trzyma żona.

Ale podobno dusza do takich spraw nie jest potrzebna!

Dziwne, jest potrzebna.

Nie miało sensu mówić tego wszystkiego Simie, ale coś powiedzieć przecież trzeba było. I czując się do tego zmuszonym Gleb mówił, gorliwie szukając jakichś godziwych usprawiedliwień:

- Zrozum... ona przecież wciąż na mnie czeka - już pięć lat od aresztowania, ale co ja mówię - i do tego całą wojnę. Inne to nie czekają. Jak byłem w obozie, to mnie dokarmiała... posyłała paczki. Ty też chcesz czekać na mnie, ale to nie... nie... nie potrafiłbym... sprawić jej...

Tamtej nie! - a tej? Mógłby się powstrzymać! Cichy wystrzał z chrypnącego gardła trafił już w cel. Przepióreczka już była zabita. Cała się zapadła i wparła głowę w gęstą palisadę radiowych lamp i kondensatorów trzystopniowego wzmacniacza.

Słyszał jej łkania ciche jak oddech.

- Simoczka, nie płacz! Przepióreczko, po co to! - przemawiał łagodnie, ale - zza dwu biurk, nie ruszając się z miejsca.

A ona płakała prawie bezdźwięcznie; widział tylko prosty przedziałek w jej włosach. Jej bezbronność przeszła go ostrzem skruchy.

- Przepióreczko! - mamrotał pochylony nad biurkiem. - No nie płacz. Proszę cię... To moja wina...

Kiedy płakała tamta - to bolało. A kiedy płacze ta? To już nie do zniesienia!

- Wiesz, sam nie mogę pojąć, co właściwie do niej czuję...

Zdawałoby się, że nic by go nie kosztowało, gdyby teraz do niej podszedł, przytulił, pocałował - ale nawet to było niemożliwe, tak czyste mu się wydawały własne wargi i ręce po wczorajszym spotkaniu.

Jaki to zbawienny traf, że zdjęto z okien te firanki!...

Nie zrywał się więc z krzesła, nie obiegał biurk, tylko siedząc powtarzał żałośliwie, żeby już nie płakała.

Ona zaś płakała.

- Przepióreczko, przestań już!... No, może jeszcze wszystko się jakoś ułoży... Może, kiedy minie trochę czasu...

Podniosła głowę i między jednym spazmem a drugim obrzuciła go dziwnym spojrzeniem.

Nie zrozumiał tego spojrzenia i pochylił się nad słownikiem.

Nie miała sił długo zadzierać głowy i znów opuściła ją na podstawkę wzmacniacza.

To w ogóle dziwactwo, co ma do tego widzenie? Co mają do tego wszystkie kobiety, te z wolności, skoro tu jest więzienie? Dziś - to niemożliwe, ale za kilka dni dusza wróci do gniazda i wszystko znowu stanie się możliwe.

Jak może być inaczej? Toć wyśmiano by go, gdyby ktoś się dowiedział. Ocknij się, człowieku, poczuj na sobie swoją łagrową skórę! Czy ktoś ci każe później z nią się żenić? Dziewczyna czeka, bierz ją jak swoją!

Albo - kawa na ławę, chociaż nie trzeba tego głośno mówić: alboś t ę właśnie sobie wybierał? Wybrałeś najwyżej to miejsce dwa biurka dalej. I którakolwiek by tam siedziała - też byłbyś w prawie!

Ale dziś akurat - to niemożliwe.

Odwrócił się w stronę okna. Przycisnąwszy czoło i nos do szyby, popatrzył w stronę wartownika. Ośleplę od bliskich reflektorów oczy nie widziały wieżyczki. Ale w dali tu i ówdzie płonęły poszczególne ogniki rozplywające się w mętne gwiazdy, a za nimi i wyżej - rozpostarta na jednej trzeciej nieboskłonu, odbita w nim biaława luna pobliskiej stolicy.

Przez okno nie widać było, że na dworze wszystko taje.

Simoczka podniosła twarz.

Gleb natychmiast odwrócił się w jej stronę.

Od jej oczu biegły po policzkach błyszczące mokre smużki, których wcale nie wycierała. Blask oczu i oświetlenie, i kobieca zmienność wyrazu twarzy sprawiły, że stała się teraz niemal pociągająca.

A może jednak... ?

Simoczka uporczywie wpatrywała się w Gleba.

Ale nie mówiła ani słowa.

Poczuł zażenowanie i powiedział:

- Przecież ona całe życie mi oddała! Kto by tak potrafił? Jesteś pewna, że ty byś umiała?

Łzy wcale nie wysychały na jej twarzy; policzki były jakby znieczulone.

- Ona z panem nie chce się rozwieść? - cicho i powoli zapytała Simoczka.

Jak umiała wyczuć, gdzie jest sedno! Ale nie miał ochoty opowiadać jej o wczorajszej nowinie. To wszystko nie było takie proste.

- Nie.

To było pytanie zbyt jednoznaczne. Gdyby nie było takim, gdyby nie było w nim tonu żądania, gdyby kontur był rozmazany, gdyby rzeczy nie nazwała tak ściśle, gdyby ona tylko patrzyła, patrzyła, patrzyła - to może by się człowiek podźwignął z krzesła, może by podszedł do kontaktu, ale zbyt jasne pytania popychają do logicznych odpowiedzi.

- Czy jest... ładna?

- Tak. Dla mnie - tak... - obwarował się Gleb.

Simoczka westchnęła spazmatycznie. Sama sobie przytaknęła w milczeniu widząc błyszczące punkciki na zwierciadlanej powierzchni lamp radiowych.

- No to nie będzie czekać na pana.

Simoczka nie była w stanie pogodzić się z tym, że ta niewidzialna kobieta ma jakiegokolwiek prawa ślubnej żony. Żyła niegdyś trochę z Glebem, ale to było przed ośmiu laty. Przez ten czas Gleb walczył, siedział w więzieniu, ona zaś na pewno żyła z innymi - nie mogła przecież młoda, ładna, bezdzietna kobieta wytrzymać przez osiem lat! I przecież ani na tym widzeniu, ani za rok, ani za dwa Gleb nie mógł należeć do niej, a do Simoczki - mógł. Simoczka już dzisiaj mogła zostać jego żoną!... Ach, ta kobieta, która okazała się nie widziadłem, nie pustym imieniem - i po co ona wystarała się o widzenie z więźniem? Jaka to chciwość nienasycona kazała jej wyciągać rękę do człowieka, który nigdy nie będzie należeć do niej?!

- Nie będzie na pana czekała - powtórzyła Simoczka.

Im celniej i pewniej go dźgała, tym bardziej go bolało.

- Kiedy ona już przeczekala osiem lat - odparł. Jego analityczny umysł zaraz zresztą dodał poprawkę: - Oczywiście im bliżej końca, tym będzie trudniej.

- Ona nie będzie czekać na pana! - stanowczym szeptem powtórzyła Simoczka.

I otarła sobie nadgarstkiem wysychające łzy.

Nierzyn wzruszył ramionami. Mówiąc uczciwie - tak się to skończy. W ciągu tych lat rozejdą się ich życiowe drogi i zmienią się ich charaktery. Sam przecież wciąż powtarzał żonie: rozejdźmy się. Ale dlaczego Simoczka tak zawzięcie dotykała tej rany, jakim prawem?

- Cóż, niech nie czeka! Niech nawet wcale mnie się nie doczeka. Tylko żeby niczego nie mogła mi zarzucić! - Tu otwierało się pole dla nowego wątku. - Simoczka! Wcale nie uważam, że jestem dobrym człowiekiem. Jestem raczej bardzo złym człowiekiem, jeżeli

przypomnę sobie to, co robiłem na froncie w Niemczech, jak zresztą my wszyscy. I jeszcze teraz - to z tobą... Ale tego nauczyłem się tam, w świecie udawanej beztroski. Poddawałem się sugestii, dawałem sobie wmówić, że to, co dozwolone, nie jest złe. Ale im bardziej szedłem na dno, tym... dziwna rzecz... nie będzie na mnie czekać? Niech nie czeka. Byleby mnie nie gryzło...

Była to jedna z jego ulubionych myśli. Mógłby długo jeszcze mówić o tym - tym bardziej, że nic innego nie było do powiedzenia.

Ona zaś prawie nie słyszała tej tyrady. Cały czas chyba mówił o sobie. Ale co ona ma robić? Ze zgrozą wyobraziła sobie, jak wróci do domu, jak wycedzi coś przez zęby w odpowiedzi na dokuczliwe pytania matki, jak rzuci się na łóżko.

Łóżko, na które całe miesiące kładła się z myślami o nim. Co za wstyd, jakie poniżenie - jak szykowała się do tego wieczoru! jak myła się, jak perfumowała!...

Ale jeżeli jedna godzina krępującego więziennego widzenia mogła przeważać ich wielomiesięczną bliskość w tym pokoju - to cóż jeszcze było do zrobienia?

Rozmowa była skończona, to jasne. Wszystko powiedziane zostało bez żadnych łagodzących wstępów. Nie było żadnych podstaw do nadziei. Należało teraz wejść do budki, tam jeszcze popłakać i doprowadzić się do porządku.

Ale Sima nie miała siły ani żeby go wyprosić, ani żeby wyjść stąd samej. Przecież to ostatni już raz, jak łączy ich ta nić pajęcza!

Gleb zamilkł widząc, że ona wcale go nie słucha, że niepotrzebne jej są jego wniosłe rozważania. Więc siedzieli oboje w milczeniu.

Już mu jej nie było tak żal. Bo czym jest dla niej ta historia? Bo to sprawa na całe życie? Naskórkowy epizod. Jakoś jej przejdzie. Znajdzie kogoś... Żona - to co innego.

I wtedy Gleb poczuł, że siedzieć z nią tu i milczeć - jest mu trudno. Wiele już lat żył wśród mężczyzn, najważniejsze ich rozmowy trwały krótko. Jeżeli wszystko zostało powiedziane, wszystko wyczerpane - to po co jeszcze siedzieć i milczeć? Ten bezmyślny kobiecy upór!

Nie odwracając głowy, aby nie zauważyła, samymi tylko oczyma, spode łba, zerknął na ścienny zegar. Było jeszcze dwadzieścia minut do kontrolnego dzwonka. Dwadzieścia minut na wieczorny spacer! Ale wstać i wyjść teraz - to byłby afront. Trzeba odsiedzieć swoje.

Kto dziś obejmie dyżur wieczorem? Zdaje się, że Szusterman. A jutro rano - minor.

Simoczka siedziała zgarbiona nad wzmacniaczem i bezcelowymi ruchami obruszała i wyjmowała lampy z gniazdek po to, żeby je zaraz wstawiać z powrotem.

Dawniej w tym wzmacniaczu niczego nie mogła pojąć. I dalej nic nie pojmowała.

Czynny umysł Nierżyna domagał się jednak jakiegoś zajęcia, ruchu. Na wąskim pasku papieru przyciśniętym kałamarzem, gdzie co rano zapisywał program audycji radiowych, znalazł notatkę:

20. 30 - Rs. p i rm (Obch) Znaczyło to: „Rosyjskie pieśni i romanse w wykonaniu Obuchowej”.

Taka okazja! I do tego podczas przerwy, w ciszy. Koncert już się zaczął, ale czy wypada włączyć radio?

Na lewo od Gleba, na odległość ręki stał odbiorniczek nastawiony na odbiór trzech moskiewskich programów, podarunek Walentuli. Nierżyn zerknął spod oka na zastygłą Simę i po złodziejsku, ukradkiem włączył odbiornik nastawiając najmniejszą siłę głosu.

Zaledwie lampy się rozgrzały, dał się słyszeć akompaniament instrumentów smyczkowych i w ślad za nim rozlał się po całym pokoju niski, pełen głuchej namiętności, niepodobny do żadnego innego, głos Obuchowej.

Simoczka wzdrygnęła się. Spojrzała na odbiornik. Podniosła oczy na Gleba.

Obuchowa śpiewała o czymś, co było im obojgu bliskie, aż nazbyt bliskie:

Nie, to nie ciebie kocham tak żarliwie...

Że też tak musiało się zdarzyć!... Gleb wyciągnął rękę, próbując niepostrzeżenie wyłączyć radio.

Simoczka spłotła dłonie na wzmacniaczu i znów zapłakała, zapłakała.

Bo nawet własnych, gorzkich słów nie miał w zapasie na te ich wspólne, krótkie chwile.

- Przebacz mi! - powiedział Gleb wstrząśnięty. - Przebacz mi! Przebacz mi!!

Nie przekręcał wyłącznika. Ciepły odruch kazał mu obejść dookoła biurko. Nie myśląc wcale o wartowniku ścisnął dłońmi głowę Simoczki i pocałował jej włosy nad czołem. Simoczka płakała bez łkań, bez spazmów, niepowstrzymanie, z ulgą.

90

Wytrącony z równowagi, dobity nadto przez wiadomość o aresztowaniu Ruski (rozeszło się to jeszcze przed dwiema godzinami, ledwie Szykin włamał się do jego biurka, rzecz się potwierdziła, kiedy przy wieczornym apelu zabrakło Ruski, a dyżurni nawet o

niego nie pytali), Nierzynomalże zapomniał o spotkaniu, na które umówił się z Gerasymowiczem.

Regulaminowy rozkład dnia kazał mu po 15 minutach znowu wrócić do dwóch zestawionych biurtek, do otwartego dziennika zajęć i do przewróconego wzmacniacza, na którym nie zaschły jeszcze łyzy Simoczki. I teraz Gleb i ta dziewczyna skazani byli na siedzenie naprzeciw siebie jeszcze przez dwie godziny (i jutro, i pojutrze, i co dzień, i tak dzień po dniu), na chowanie oczu w papiery i na ustawiczne omijanie się.

Ale na dużym elektrycznym zegarze wielka wskazówka już przed kwadransem minęła krótkimi skokami godzinę dziewiątą i Nierzyn przypomniał sobie. Nie był teraz w nastroju zbyt przychylnym dla rozważań o rozumnym ustroju społecznym - ale może tak było nawet lepiej. Zamknął lewą szafkę biurka, gdzie trzymał swoje najważniejsze notatki, nie zebrał rozłożonych papierów i nie zgasił stojącej lampy; z papierosem w zębach wyszedł na korytarz. Powolnym i niedbałym krokiem podszedł do oszklonych drzwi na tylne schody i pchnął je. Jak można było się spodziewać, drzwi nie były zamknięte.

Leniwie obejrzał się za siebie. Nie było nikogo na całym drugim korytarzu. Przekroczył szybko próg, znalazł się na cemencie klatki schodowej, zamknął drzwi przytrzymując je ręką, żeby nie robić hałasu. Zaczął wspinać się po schodach w mroku gęstniejącym i rozjaśnianym tylko jarzeniem się papierosa.

Okno Żelaznej Maski było ciemne. Drżąca smuga słabego blasku padała na górny podest tylko z okna zewnętrznego.

Nierzyn dwukrotnie potknął się o jakieś rupiecie leżące na schodach i zawołał cicho, stojąc na górnych stopniach:

- Jest tam kto?

- A kto idzie? - odezwał się w ciemnościach głos równie przygłuszony; trudno było poznać, czy to na pewno Gerasymowicz.

- Ależ to ja - powiedział Nierzyn skandując słowa, żeby łatwiej go było poznać i starając się ogieńkiem papierosa oświetlić własne rysy.

Gerasymowicz błysnął na chwilę ostrym światelkiem kieszonkowej latarki wskazując nim ten sam pieńek, na którym Nierzyn wczorajszego dnia siedział po widzeniu. Zgasił lampkę i usiadł sam na podobnym pieńku.

Przyczajone na ścianach, gęsto wisiały nad nimi obrazy pańszczyźnianego malarza.

- No i widzi pan, jakie z nas barany w sprawach konspiracji, chociaż tak długo już

siedzimy w ciupie - powiedział Gerasymowicz. - Nie umówiliśmy się co do najprostszych rzeczy: ten, co idzie na spotkanie, nie może być skompromitowany, a ten, co czeka w ciemnościach, nie może odzywać się pierwszy. Trzeba było wymyślić jakieś hasło.

- No chyba - Nierzyn rozsiadł się. - Każdy powinien być zdatny i do tańca, i do różańca. Musi umieć pracować dla chleba i dbać o duszę, i jeszcze dać radę całemu systemowi, sprawnemu aparatowi bezpieczeństwa. A ilu ich będzie? ze dwa miliony? Trzeba mieć siły na kilka wcieleń w czasie jednego życia! - czy to dziwne, że nie dajemy rady?... Jak pan myśli, Mamurin nie leży tam sobie w ciemnościach na swoim łóżeczku? Bo wtedy z równym powodzeniem możemy gawędzić w gabinecie u Szykina.

- Zanim tu przyszedłem, przekonałem się, że siedzi w Siódemce. Gdyby miał wrócić - my pierwsi będziemy o tym wiedzieć. Przechodzę więc od razu do konkretnego.

Powiedział to rzeczowym tonem, ale w głosie czuło się zmęczenie i zubożenie.

- Chciałem właściwie prosić pana o przełożenie tej rozmowy na jakąś inną chwilę... Ale z drugiej strony chodzi o to, że za parę dni już mnie tu nie będzie.

- Wie pan to na pewno?

- Owszem.

- Ja zresztą też wyjadę, tylko nie zaraz. Nie spodobałem się...

- Gdybyśmy z góry wiedzieli, że znajdziemy się w jednym transporcie, to moglibyśmy poczekać z rozmową, czasu tam będzie dość. Ale więzienne doświadczenie przecież mówi, żeby nie marnować żadnej okazji do takich rozmów.

- Owszem. Doszedłem do takiego samego wniosku.

- No więc, pan wątpi, czy w ogóle można ustanowić jakiś rozumny ustrój?

- Bardzo wątpię. Właściwie zupełnie w to nie wierzę.

- A tymczasem to rzecz wcale nie taka zawiła. Tylko że to zadanie elity, a nie oślego motłochu. Intelktualnej, technicznej elity. I trzeba budować społeczeństwo nie „demokratyczne”, nie „socjalistyczne”, są to wszystko atrybuty nie odnoszące się do sedna sprawy. Trzeba budować społeczeństwo zgodne z rygorami intelektu. Będzie ono miało tym samym rozumny ustrój.

- No nieee... - powiedział z rozczarowaniem Nierzyn. - Toż to cały kopiec. Trzema zdaniem taki pan kopiec usypał, że przez trzy wieczory nie damy teraz rady. Po pierwsze - to, co intelektualne, czy różni się od tego, co racjonalne? A to dobrze już znamy, francuscy racjoniści już nam jedną rewolucję załatwili, dziękuję bardzo.

- Bo z nich były gaduły, a nie racjoniści. Intelktualiści jeszcze nie przeprowadzili swojej rewolucji.

- I nie przeprowadzą. To są mędrkowie... Społeczeństwo intelektualne - co to właściwie znaczy dla pana? Znaczy chyba, że ma być bez reguł etycznych i bez religii?

- Niekoniecznie. To można zastrzec sobie zawczasu.

- Zawczasu! Ale pan tego nie brał pod uwagę. No, wyobraźmy sobie takie społeczeństwo: inżynierowie są, kapłanów nie ma. Wszystko funkcjonuje doskonale, gospodarka zgodna z nauką, każdy robi swoje - i dostatek szybko rośnie. Ale to nie wystarcza, pan to musi zrozumieć! Cele społeczeństwa nie mogą być materialne!

- To sprawa dla późniejszej korekty. A póki co - w ogromnej większości krajów...

- O tym póki co ja nie chcę nawet gadać! Bo później będzie za późno! Przecież pan chce mi tu mówić o rozumnym ustroju!... Następnie: - „nie socjalistyczne” - to mnie wcale nie obchodzi, forma własności ma trzeciorzędne znaczenie i jeszcze nie wiadomo, jaka jest lepsza. Ale że ma być „nie demokratyczne” - to budzi we mnie strach. Co to ma znaczyć? Dlaczego?

W gęstym mroku Gerasymowicz odpowiadał, starając się o dobór wyrażeń ścisłych, stosownych i odrzucając wszystko, co zbędne - tak powstaje dobra proza i tak mówią ci, którzy mieli ochotę na namysł.

- Spragnieni jesteśmy wolności i wydaje nam się, że trzeba nam wolności bezgranicznej. Wolność zaś musi mieć granice, inaczej nie będzie w społeczeństwie ładu. Ale nie o te granice chodzi, w jakie nas wtłoczono. I jeszcze trzeba ucziwie o tym ludzi uprzedzić, nie łudzić obietnicami. Demokracja wydaje nam się słońcem, co nigdy nie zachodzi. A czym jest demokracja? - jest to dogadzanie chamskiej większości. Dogadzanie zaś większości oznacza: to stawka na przeciętność, wzorowanie się na tym, co najbardziej płaskie, wycinanie wszystkiego, co wznosi się nad poziom. Stulecie albo tysiąc bęcwałów swoimi wyborczymi głosami przecina drogę najlepszej głowie.

- Hmm... - mrucał zaskoczony Nierzyn. - To dla mnie rzecz nowa... jakoś nie rozumiem... nie wiem... trzeba to przemyśleć... przyzwyczailem się, że demokracja... ale co zamiast demokracji?

- Sprawiedliwa nierówność! Nierówność uzasadniona obecnością prawdziwych talentów, wrodzonych czy ujawniających się w procesie rozwoju. Można to nazwać państwem autorytarnym albo władzą duchowej elity. Dać władzę ofiarnym, zupełnie

bezinteresownym i szerzącym światło ludziom.

- Panie kochany! W ideale brzmi to bardzo fajnie. Ale kto i jak będzie dobierać tę elitę? I najważniejsze - jak przekonać wszystkich innych, że to jest właśnie elita? Przecież u nikogo nie jest napisane na czole, że to mędrzec, a uczciwość też nie bije sama w oczy... Przecież nam też obiecywano, że w socjalizmie będą rządzić same anioły, a spójrz pan, co za ryje wyszły na wierzch... Tu powstaje cały huk pytań. A co zrobić z partiami, a właściwie jak tu obyć się bez partii i dawnego typu i, broń nas, Panie Boże, Nowego Typu? Ludzkość czeka na proroka, który by nauczył, jak obejść się w ogóle bez partii! Wszelka partyjność to przecież to samo trzymanie się większości i dyscypliny, ten sam przymus mówienia tego, czego człowiek nie myśli. Wszelka partia kaleczy osobowość ludzką i sprawiedliwość. Lider opozycji krytykuje rząd nie dlatego, że rząd naprawdę się pomylił, tylko dlatego, że opozycja straciłaby inaczej rację bytu.

- No i widzi pan, z królestwa demokracji sam pan idzie na moje podwórko.

- Jeszcze nie idę! To wciąż drobnostki... A co do rządów autorytarnych? Oczywiście, potrzebny jest w państwie jakiś autorytet, ale jaki? Moralny! Władza nie może siedzieć na bagnietach. Musi być kochana i szanowana. Żeby ten ktoś powiedział: rodacy, nie róbcie tego, to coś złego! - I żeby wszyscy od razu pojęli: ależ tak, to wstrętne! przestańmy! nie róbnmy tego! Gdzie pan znajdzie coś takiego?... Bo mówi się „rządy autorytetu”, a wykluwa się z tego - totalitaryzm. Mnie by podobało się coś takiego jak w Szwajcarii, pamięta pan - u Hercena? Tam władza tym silniejsza, im niższego szczebla: najwięcej władzy ma walne zgromadzenie mieszkańców wioski, najbardziej bezsilnym człowiekiem w państwie jest - prezydent... Powiedzmy, że żartuję... a tak w ogóle, to czy nie za wcześnie na takie rozhowory? Rozsądny ustrój! Najrozsądniej byłoby teraz zastanowić się, jak pozbyć się tego nierozsądnego? Tego też nie umiemy, chociaż to bliższy cel.

- To właśnie jest głównym tematem naszej rozmowy - odparł spokojny głos z głębi mroku. Mówił tak po prostu, jakby chodziło o zmianę przepalanej lampy w radioaparacie: myślę, że to nam, rosyjskiej technicznej inteligencji przypadło zadanie zmiany systemu rządów w Rosji.

Nierzyn wzdrygnął się. Nie dlatego zresztą, że to go zaskoczyło: już w zewnętrznych cechach Gerasymowicza wyczuł coś pokrewnego sobie, chociaż nie miał dotąd okazji, aby z nim pomówić.

Cichy, miarkowany głos brzmiał w ciemności powściągliwie i zarazem solennie; to

dlatego Nierzyn poczuł, że dreszcz przebiegł mu wzdłuż grzbietu.

- Niestety, spontaniczna rewolucja jest w naszym kraju niemożliwa. Nawet w dawnej Rosji, gdzie można było z całą swobodą, bez żadnych prawie przeszkód deprawować lud, potrzebne były trzy lata wojny - i to jakiej! aby ten lud rozhuścić! A u nas płaci się głową za dowcip opowiedziany przy herbacie; co tu gadać o rewolucji?

- Po co to „nietety”?! - odparł Nierzyn. - Niech diabli porwą rewolucję: przecież ta pańska elita pierwsza pójdzie pod nóż. Wszystkim wykształconym łby przetrąca, wszystko, co piękne i dobre - porujniają.

- Dobrze, zapomnijmy to „nietety”. Ale dlatego też wielu spośród nas zaczęło liczyć na pomoc z zewnątrz. Wydaje mi się to poważną i szkodliwą omyłką. Nie taki głupi jest ten werset Międzynarodówki, gdzie się mówi, żeby od nikogo nie czekać zmiłowania - „z własnego prawa bierz nadania i z własnej woli sam się zbaw!” Trzeba zrozumieć, że im więcej jest na Zachodzie swobód i dostatku, tym mniej jego mieszkańcy mają chęci, aby walczyć za sprawę tych durniów, którzy sami pozwolili się na kark. I ci panowie mają rację, oni nie otwierali swoich bram bandytom. Myśmy zasłużyli sobie na ten reżim i na tych przywódców, więc sami musimy dopić tę breję do końca.

- Tamci też się doczekają.

- Doczekają się, rzecz jasna. Pomyślność ma w sobie pierwiastek samobójczy. Żeby przedłużyć jej trwanie jeszcze o rok, jeszcze o jeden dzionek - ludzie gotowi są oddać na pożarcie nie tylko wszystkie cudze, ale także wszystkie własne świętości, ba, zdolni są wyrzec się zdrowego rozsądku. W ten sposób wyhodowali Hitlera, tak też wyhodowali sobie Stalina, oddali im po połowie Europy, teraz oddają Chiny. Z miłą chęcią oddadzą Turcję, jeżeli w ten sposób chociaż na tydzień odroczą powszechną mobilizację we własnym kraju. Dlatego zginą, rzecz jasna. Ale my - jeszcze wcześniej.

- Jeszcze przed nimi.

- Niestety na tym polega, że liczenie na Amerykę odziera nasze sumienia z poczucia odpowiedzialności i osłabia naszą wolę: uważamy, że dano nam prawo, aby nie walczyć, poddać się, żyć, jak każą okoliczności, i stopniowo ulegać zwyrodnieniu. Wcale nie sądzę, że nasz lud z biegiem lat na coś tam otwiera oczy, że coś w nim rzekomo dojrzewa... Powiadają, że całego narodu nie można gnębić bez końca. Nieprawda! Można! Widzimy przecież, jak nasz naród dał się wewnątrz spustoszyć, jak zdziczał, jak opadła go obojętność, nie tylko wobec losów własnego kraju; jak obojętny jest już nie na los sąsiada,

ale nawet na los własny i los własnych dzieci. Obojętność, ten ostatni odruch samoobrony organizmu, stała się naszą cechą wyróżniającą. Stąd ten zalew wódki - rozmiarów niesłychanych nawet jak na Rosję. Mam na myśli ten rodzaj strasznej obojętności, kiedy to człowiek widzi, że jego życie jest nie to, żeby poszczerbione, skaleczone - tylko tak beznadziejnie pokruszone, tak w dół i w poprzek zapaskudzone, że godzi się ciągnąć je dalej tylko w nadziei na wódczane zamroczenie. O, gdyby u nas ogłoszono zakaz wódki, to rewolucja zaraz by wybuchła. Ale żądając 44 rubli za litr, który jego samego kosztuje dziesięć kopiejek, komunistyczny Shylock nie będzie sobie zawracał głowy prohibicją.

Nierzyn już się nie odzywał, nawet się nie ruszał. Gerasymowicz widział jego twarz w słabym, niejasnym odbłasku reflektorów żony, padającym z sufitu. Wcale nie znając tego człowieka, Gerasymowicz ośmielił się powiedzieć mu coś takiego, czego najlepsi przyjaciele nie mieli odwagi wyszeptać sobie na ucho w tym kraju.

- Żeby znieprawić naród - wystarczyło trzydziestu lat. Żeby go naprawić - czy wystarczy trzystu? Dlatego trzeba się śpieszyć. Ponieważ powszechna, ludowa rewolucja jest niemożliwa, nadzieje zaś na pomoc z zewnątrz są tylko szkodliwe - widzę jedno jedyne wyjście: najzwyczajszy przewrót pałacowy. Jak mawiał Lenin: dajcie nam organizację rewolucjonistów - a wywrócimy Rosję do góry dnem! Zmajstrowali tę organizację - i wywrócili Rosję.

- O, nie daj Boże!

- Sądzę, że bez szczególnych kłopotów można stworzyć podobną organizację mając naszą więzienną znajomość ludzi i naszą umiejętność rozpoznawania zdrajców na pierwszy rzut oka - tak jak to my, rozmawiając po raz pierwszy, rozumiemy, że możemy sobie ufać. Potrzeba wszystkiego od trzech do pięciu tysięcy odważnych, przedsiębiorczych i umiejących władać bronią ludzi, plus - jakiś przedstawiciel inteligencji technicznej...

- Jeden z tych, co robią bombę atomową?

- ... który by nawiązał kontakt z dowództwem wojska...

- Z tymi nadętymi bałwanami?

- ... żeby zapewnić sobie ich życzliwą neutralność. Zresztą, chodzi o usunięcie jedynie Stalina, Mołotowa, Berii i jeszcze paru ludzi. I natychmiast trzeba będzie ogłosić przez radio, że cała wyższa, średnia i niższa nomenklatura może być spokojna o swoje stanowiska.

- Spokojna?! I to jest ta pańska elita?...

- Chwilowo! Chwilowo. To jest ta osobliwość krajów totalitarnych: trudno w nich

zrobić przewrót, ale *rządzić* po przewrocie - już łatwo. Machiavelli powiadał, że jakby się przepędziło sułtana, to można by już jutro we wszystkich meczetach głosić chwałę Chrystusa.

- Oj, tu łatwo się potknąć! Jeszcze nie wiadomo, kto tu kogo prowadzi: czy sułtan ich, czy oni - sułtana, tylko że tego nie wiedzą. A jeszcze widzę ci ja neutralność tych generalskich knurów, co to całe dywizje hurmą pędzili na pola minowe, żeby tylko samych siebie uratować przed zesłaniem do karnego batalionu! Toć oni każdego na kawałki rozszarpią za deskę ze swojego chlewu!... A Stalin przecież umknie podziemnym korytarzem!... I tych pańskich pięć tysięcy założycieli przecież rozpieprzą karabinami maszynowymi z tajnych punktów ostrzału, jeżeli już wcześniej nie załatwią ich donosiciele... I jeszcze to - Nierzyn był cały w nerwach - że pięciu tysięcy takich jak pan w całej Rosji w ogóle nie ma! I wreszcie - tylko za kratami, a nie na wolności, w rodzinnym gronku, męczyzna myśli tak swobodnie, nie czuje się skrępowany w postanowieniach i gotów jest do ofiar! - ale siedząc w więzieniu nic pan nie zwojuje! Pan chciał, żebym wskazał na jakieś braki w tym projekcie? Ależ on składa się wyłącznie z braków!! To dobra naučka dla naszej fizyczno-matematycznej pychy: działalność to też sprawa specjalizacji, i to jeszcze jakiej! Nie można ująć jej w geometryczne wykresy! Ale nawet nie o to chodzi! nawet nie o to! - mówił teraz już zbyt głośno jak na te tylne, głuche schody. - Miał pan nieszczęście wyszukać sobie doradcę właśnie we mnie! A ja w ogóle nie wierzę, ażeby na tej ziemi można było zbudować coś dobrego i mocnego. Jak mogę brać się do porad, skoro nie potrafię własnych nóg wyrwać z bagna wątpliwości?

Z lodowatym spokojem Gerasymowicz upominał go:

- Tuż przed wynalezieniem analizy widma świetlnego August Comte utrzymywał, że ludzkość nigdy nie zdoła poznać chemicznego składu materii gwiazdnej. A za chwilę już go poznano! Patrząc, jak pan kroczy na spacerach w rozwianym frontowym płaszczu - i widzę wtedy innego człowieka.

Nierzyn zacukał się. Przypomniawszy sobie wczorajsze powiedzenie Spirydona „wilczur jest w swoim prawie, a ludożerca nie”. I jak to Spirydon modlił się do samolotu, żeby zrzucił bombę atomową na jego głowę. Podobna prostolinijność mogła narzucić się sercu, ale Nierzyn bronił się wszystkimi siłami:

- Owszem, czasami też daję sobie folgę. Ale pański projekt jest zbyt poważny, aby oceniać go porywami serca. Może pan pamięta tę opowieść France'a o staruszce z Syrakuz?

- modliła się przecież, żeby bogowie dali jak najdłuższe życie znieawidzonemu tyranowi, bo drugie doświadczenie dowiodło jej, że każdy następny tyran bywa jeszcze okrutniejszy? Owszem, nasz reżim jest ohydny, ale skąd pewność, że ten w a s z będzie lepszy? A jeżeli będzie gorszy? Ach, bo przecież pan ma dobre chęci?! A może ci poprzednicy też mieli dobre chęci? Siali żyto, a wyrosła lebioda!... Co tam nasza rewolucja! Niech pan spojrzy wstecz na... dwadzieścia siedem wieków! Na wszystkie te zakręty bezmyślnego szlaku, od tego pagórka, gdzie wilczyca karmiła bliźniaki, od tej doliny oliwnej, którą cudowny marzyciel przecinał na swoim osiołku - aż do naszych wspaniałych wyżyn, do naszych ponurych jarów, gdzie słycać tylko zgrzyt gąsienic samobieżnych dział, do naszych skutych lodem przełęczy, gdzie łągowe fufaje przeszywa siedemdziesięciostopniowy wiatr z Ojmiakonu! - jakoś nie widzę, po cośmy się tam gramolili? czemu spychaliśmy się nawzajem w przepaść? Przez setki lat poeci i prorocy bawili nas pieniemi o świetlanych wyżynach Przyszłości! - fanatycy! Zapomnieli, że na wyżynach wieją huragany, że mało co tam rośnie, że nie ma wody, że z tych wyżyn tak łatwo spaść na złamanie karku! O tu, niech pan poświeci, wisi taki obraz - Zamek świętego Graala...

- Widziałem.

- Ten jeździec dotarł tam do celu i zobaczył go - ale to bzdura! Nikt nie dotrze, nikt nie zobaczy! Dajże mi pan wrócić do skromnej, malutkiej dolinki - byleby trawa tam była i woda.

- Wracać, iść wstecz? - dzieląc słowa, cicho ale dobitnie powiedział Gerasymowicz.

- Gdybym to ja wiedział, że w ludzkich dziejach istnieje jakieś naprzód i jakieś wstecz! Ale ten polip nie ma ani przodu, ani tyłu. Nie ma dla mnie słowa bardziej pozbawionego sensu niż „postęp”. Panie Hilary, o jakim postępie mowa? Skąd? I dokąd? Czy w ciągu dwudziestu siedmiu wieków ludzie stali się lepsi? zacniejsi? albo chociaż - szczęśliwsi? Nie, stali się gorsi, podlejsi i nieszczęśliwsi! I wszystko to dzięki najpiękniejszemu ideałom!

- Nie ma postępu? nie ma postępu? - Gerasymowicz też cisnął w kąt ostrożność; mówił głosem jakby odmłodzonym. - To niewybaczalne u człowieka mającego do czynienia z fizyką. Pan nie widzi różnicy między szybkościami mechanicznymi a elektromagnetycznymi?

- Na diabła mi lotnictwo? Najzdrowiej poruszać się pieszo albo na konikach! Na co mi wasze radio? Żeby strychować wielkich pianistów? Albo żeby prędzej wysłać na Syberię

mój nakaz aresztowania? Niech go wiozą pocztowymi końmi!

- Jak można nie rozumieć, że jesteśmy w przededniu wprowadzenia prawie bezpłatnej energii, co oznacza nieskończoną obfitość wszelkich dóbr. Roztopimy lody Arktyki, damy ciepło Syberii, przemienimy pustynie w zielone puszcze. Za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat będziemy brodzić w stertach różnych towarów, będziemy je mieć za darmo, jak powietrze. Czy to nie postęp?

- Obfitość - to nie postęp! Postępem nazwałbym nie nadmiar dóbr materialnych, tylko powszechną gotowość do dzielenia się tym, czego właśnie brak! Ale wy nie zdążycie! Nie zdążycie ogrzać Syberii! Nie zazielenia się wam pustynie! Wszystko to, za przeproszeniem, rozpierdolą bomby atomowe! Wszystko rozpierdolą odrzutowce!

- Niech pan jednak spróbuje spojrzeć na te zakręty beznamiętnym okiem! To nie był tylko jeden ciąg omyłek - czołgaliśmy się, ale przecież w górę. Delikatne nasze pyszczki pokrwawiliśmy sobie o kanty skał, ale w końcu jesteśmy już na przełęczy...

- Na Ojmiakonie!...

- Ale jednak nie palimy już jeden drugiego na stosach.

- Bo i po co targać tyle drewna, kiedy są komory gazowe!

- A jednak zbiegowiska, gdzie argumentem była pała, zostały zastąpione przez parlamenty, gdzie zwyciężać mogą racje! Jednak zamiast jaskiniowych praw pojawił się habeas corpus act! I nikt nie każe nam w noc poślubną odsyłać żony do pana dziedzica! Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, że obyczaje jakoś jednak łagodnieją, że rozsądek jakoś jednak góruje nad oszołomstwem...

- Nie widzę tego!

- Że mimo wszystko zaczynamy rozumieć, czym jest jednostka ludzka!

W całym gmachu zadźwięczał naraz długi sygnał dzwonka elektrycznego. Znaczyło to: za kwadrans jedenasta, czas składać wszystkie tajne materiały do szaf pancernych i zakładać pieczęcie na laboratoria.

Obaj wstali i na głowy ich padł słaby odblask latarni oświetlającej zonę.

Binokle Gerasymowicza zamigotały jak dwa diamenty.

- Więc jak? Jaki wniosek? Oddać całą planetę na stracenie? Nie szkoda to jej?

- Szkoda - niepotrzebnym już szeptem, szeptem pełnym rezygnacji powiedział Nierzyn. - Szkoda planety. Lepiej umrzeć, niż dożyć tego.

- Lepiej nie pozwolić na to, niż umrzeć! - odparł Gerasymowicz z powagą. - Teraz

nadchodzą lata powszechnej zagłady albo powszechnego wysiłku, żeby wszystko naprawić - i co pan proponuje, jakie inne wyjście pan widzi? Pan - frontowy oficer, stary więzień!

- Nie wiem... nie wiem... - widać było w tym ćwierćblasku, jak Nierzyn się męczy. - Póki nie było jeszcze bomby atomowej, to ustrój sowiecki - cherlawy, nieruchawy, zżerany przez pasożyty - skazany był na upadek, próby czasu by nie wytrzymał. Ale teraz, jeżeli nasi będą mieli w rękę tę bombę - to zgroza. Teraz można liczyć chyba tylko...

- Na co?! - przynaglił go Gerasymowicz.

- Być może... nowe stulecie... informacja bez ograniczeń...

- Przecież panu radio niepotrzebne.

- Pewno, zagłuszają... Chcę powiedzieć, że może w nowej epoce pojawi się taki sposób - żeby słowo mogło kruszyć beton?

- A wytrzymałość materiałów? Trochę to jej przeczy.

- Przeczy także ichniemu materializmowi! A jednak?... Pan przecież pamięta - na początku było Słowo. To znaczy, że Słowo jest trwalsze niż beton. To znaczy, że Słowo - to nie byle co? A ten przewrót wojskowy?... Nie, to niemożliwe...

- Ale jak pan to sobie konkretnie wyobraża?

- Nie wiem. Powtarzam, nie wiem. To - tajemnica. Tak jak grzyby z jakiejś tajemniczej przyczyny pojawiają się nie po pierwszym, nie po drugim, tylko po którymś tam deszczu - i nagle wszędzie ich pełno. Wczoraj nie sposób było uwierzyć, że te dziwolągi mogą w ogóle rósć, a dzisiaj już są wszędzie. Tak samo staną na równe nogi szlachetni ludzie i słowo ich skruszy betonowe mury.

- Ale najpierw przyniosą pełne wiadra i kosze tych waszych szlachetnych głów - wyrwanych, usieczonych, ukręconych...

91

Poniedziałek wbrew złym przeczuciom minął bez kłopotów. Chociaż lęk nie opuszczał Innocentego, poczucie równowagi, które zagościło w nim po południu, też już go nie opuszczało. Teraz trzeba było koniecznie ukryć się na cały wieczór w teatrze, żeby nie być zmuszonym do strachu przy każdym dzwonku do drzwi.

A tymczasem zadzwonił telefon. Było to przed pójściem do teatru, w chwili, gdy Dotti wychodziła z łazienki.

Innocenty nie ruszył się; patrzył na telefon jak pies na jeża.

- Dotti! Podnieś słuchawkę! Nie ma mnie w domu i nie wiesz, kiedy wrócę. Bierz ich

diabli, cały wieczór zepsują!

Doti była jeszcze ładniejsza niż wczoraj. Kiedy podobała się komuś, ładniała zawsze. W rezultacie podobała się jeszcze bardziej - i stawała się przez to coraz ładniejsza.

Jedną ręką zbierając poły płaszcza kąpielowego miękkim krokiem podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę gestem władczo-łaskawym.

- Tak... nie ma go w domu... kto, kto?... - i nagle jej twarz rozjaśniła się uprzejmym uśmiechem; wzruszyła ramionami jak zawsze, kiedy decydowała się na ustępstwa. - Dobry wieczór, towarzyszu generale!... Tak, teraz poznałam... - Szybko przykryła ręką słuchawkę i powiedziała szeptem: - Szef! Bardzo uprzejmy.

Innocenty zawahał się. Uprzejmy szef dzwoniący osobiście wieczorem... Żona zauważyła jego wahanie:

- Chwileczkę, właśnie słyszę, że drzwi się otworzyły, może to on. Tak, tak jest! Ink! Nie rozbieraj się, chodź tu prędko, generał przy telefonie!

Gdyby nawet po drugiej stronie przewodu stał człowiek cały składający się z podejrzeń, to też mógłby po okrzyku Dotnary zobaczyć niemal na jawie, jak Innocenty pośpiesznie wyciera nogi w drzwiach, jak przemierza dywan i bierze do ręki słuchawkę.

Głos szefa był pełen życzliwości. Szef zawiadamiał: właśnie zatwierdzona została ostatecznie nominacja Innocentego, w środę samolot do Paryża, jutro trzeba będzie przekazać sprawy bieżące, teraz zaś dobrze byłoby zjawić się na pół godzinki dla uzgodnienia pewnych szczegółów. Samochód już po niego posłano.

Po odłożeniu słuchawki Innocenty był już innym człowiekiem. Nabrał powietrza w płuca, wydmuchał je z taką rozkoszną powolnością i gruntownością, że miało jak gdyby czas, żeby najpierw rozejść się po całym jego ciele, a później, ulatniając się zabrać ze sobą cały ciężar wątpliwości i obaw.

Nie sposób było uwierzyć, że można tak iść, tak iść po linie - i nie spaść, chociaż wichur wieje z flanki.

- Wyobraź sobie, Dotik, lecę w środę! A teraz...

Ale Dotik trzymała ucho przytulone do słuchawki i już wszystko sama wiedziała. Ale kiedy teraz podniosła głowę, nie było już w niej radości: samotny wyjazd Innocentego, jeszcze przedwczoraj zrozumiały i dopuszczalny, dziś byłby upokorzeniem i raną.

- Jak myślisz? - zapytała, śmiesznie przechylając główkę na bok. - „Pewne szczegóły” - to i o mnie chodzi?

- Tak, mmmożliwe...

- A coś ty tam w ogóle mówił o mnie?

A tak, coś tam mówił. Mówił coś, czego nie mógłby jej teraz powtórzyć, zresztą - odrobić tego też by już nie mógł.

Ale odzyskana wczoraj pewność siebie pozwalała teraz Dotti mówić bez skrępowania:

- Kochanie, przecież robiliśmy razem wszystkie nasze odkrycia! Oglądaliśmy razem wszystkie nowe rzeczy! A do kraju tych Zamorskich Diabłów chciałbyś jechać beze mnie? Nie, absolutnie się nie zgadzam, powinieneś myśleć o nas obojgu.

To było jeszcze najlepsze z tego, co przecież powie w przyszłości. Przecież będzie potem przy cudzoziemcach powtarzać najgłupsze urzędowe frazesy, od których wędzną mu uszy. Będzie wymyślać na Amerykę - i jednocześnie kupować tam, co się tylko da. Ach nie, zapomniał przecież, że wszystko potoczy się innym torem. Przecież on tam zrzuci maskę - i co z tego w ogóle zmieści się w tej głowinie?

- Wszystko świetnie się ułoży, Dotti, tylko nie od razu. Chwilowo jadę, żeby tam się przedstawić ludziom, objąć stanowisko, poznać tego i owego...

- A ja chcę od razu! Mam na to chęć już, teraz! Jak ja tu zostanę sama?

Nie wiedziała, co ją czeka... Nie wiedziała, co to znaczy mieć krągłą, napiętą linę pod gładką podeszwą. A przecież teraz trzeba odepchnąć się od tej liny i szybować taki kawał, a siatki ochronnej może wcale nie ma. I nie może szybować obok drugie ciało - pulchne, miękkie, niezdolne do ofiar. Innocenty uśmiechnął się mile i poklepał żonę po plecach:

- No, spróbuję. Dotychczas inaczej ze mną mówili, teraz - zobaczymy. Ale w każdym razie, nie denerwuj się, ja cię przecież bardzo szybko...

Pocałował ją w policzek, obcy już. Dotti nie była wcale przekonana. Wczorajszego porozumienia jakby już nie było.

- A tymczasem ubieraj się, możesz się nie spieszyć. Na pierwszy akt i tak już nie zdążymy, ale myślę, że całość „Akuliny” nic na tym... A na drugi... Zresztą, zadzwonię jeszcze z ministerstwa.

Ledwie zdążył włożyć mundur, gdy już zadzwonił do drzwi kierowca. Nie był to Wiktor, który zwykle z nim jeździł, ani Kostia. Kierowca był szczupły, ruchliwy, miał sympatyczną, inteligentną twarz. Zbiegł ze schodów wesoło, idąc prawie obok Innocentego i wywijając uwiązany na sznurku kluczem od stacyjki.

- Jakoś was sobie nie przypominam - powiedział Innocenty dopinając na schodach

palto.

- A ja nawet pamiętam waszą klatkę schodową, dwa razy już tu przyjeżdżałem. - Kierowca miał uśmiech szczery i zarazem przebiegły. Takiego cwaniaka dobrze byłoby mieć zawsze do dyspozycji.

Ruszyli. Innocenty siedział z tyłu. Nie zwróciło jego uwagi, że szofer dwukrotnie próbował powiedzieć coś żartem, odwracając głowę przez ramię. Później skręcił nagle ostro w stronę chodnika i zatrzymał się tuż przy krawężniku. Jakiś młodzieniec we wciętym płaszczu i w miękkim kapeluszu stał na skraju trotuaru podnosząc palec.

- Nasz mechanik, z garażu - wyjaśnił sympatyczny kierowca i chciał otworzyć mu prawe przednie drzwiczki, ale nie mógł tego zrobić, zamek się zaciął.

Kierowca zaklął w granicach miejskiego dobrego tonu i poprosił:

- Towarzyszu radco, może usiądzie obok was? To mój naczelnik, nie wypada.

- Ależ proszę - chętnie zgodził się Innocenty robiąc miejsce. Był jak pijany, podniecony, w myślach już odbierał delegację i wizę, widząc w wyobraźni, jak pojutrze rano wsiada do samolotu na lotnisku Wnukowo, ale nie zazna spokoju aż do Warszawy, bo tam też może go jeszcze dogonić telegram z rozkazem powrotu.

Mechanik, zaciskając kątem ust długiego, dymiącego papierosa, pochylił się, wszedł do auta pytając z lekką nonszalancją:

- Nie przeszkadzam? - i opadł na siedzenie obok Innocentego.

Samochód szybko ruszył dalej.

Innocenty na moment skrzywił się pogardliwie („Cham”), ale znów pogрузzył się w swoich myślach nie zwracając uwagi na trasę. Mechanik zadymił już swoim papierosem pół samochodu.

- Może by tak okna uchylić! - zwrócił mu uwagę Innocenty podnosząc jedną tylko, prawą brew.

Ale mechanik nie zrozumiał ironii i nie odkręcił szyby, tylko rozwaliwszy się na siedzeniu wy dobył z wewnętrznej kieszeni jakiś arkusik, rozłożył go i podsunął Innocentemu:

- Towarzyszu naczelniku! Możecie mi to przeczytać? Ja poświecę.

Samochód skręcił w jakąś ciemną ulicę, jakby w Puszczną. Mechanik zapalił kieszonkową latarkę i oświetlił nią malinowy papierek. Innocenty wzruszył ramionami, z widoczną odrazą wziął w palce arkusik i zaczął czytać niedbale, jakby tylko dla siebie:

„Zatwierdzam. Zast. Prokuratora Generalnego ZSRR... „

Dalej był zaabsorbowany swoimi myślami, nie mógł się oderwać od nich i zrozumieć, co jest z tym mechanikiem? Niepiśmienny, czy co? Nie rozumiał treści papierka? Albo może pijany i chce się wywnętrzyć?

„Nakaz aresztowania... czytał, wciąż jeszcze nie wnikając w treść, ... Wołodina Innocentego Artemiewicza, urodzonego w 1919... „ i dopiero tutaj poczuł, jakby jedna wielka igła przeszła go od stóp do głów. Poczul gorąco w całym ciele. Otworzył usta - ale jeszcze nic nie powiedział - i jeszcze nie opadła mu na kolana ręka z malinowym arkusikiem, a już „mechanik” wpił mu się w ramię i huknął groźnie:

- No, spokój, spokój, nie waż mi się ruszyć, bo przyduszę!

Świecił latarką Wołodinowi prosto w oczy i dmuchał mu w twarz dymem.

I zabrał arkusik.

I chociaż Innocenty już przeczytał, że jest aresztowany, a oznaczało to przepaść, kres jego życia - w tej krótkiej chwili nie mógł znieść tylko tego chamstwa, tych zaciśniętych palców, dymu i światła bijącego w twarz.

- Proszę puścić! - zawołał, próbując swoimi słabymi palcami uwolnić ramię. Do jego świadomości teraz już dotarło, że to naprawdę nakaz i naprawdę - jego aresztowania, ale wydawało mu się po prostu nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, że trafił właśnie na ten samochód i że pozwolił mechanikowi zabrać się z nimi - więc wyobrażał sobie, że trzeba wyrwać się tylko do szefa, do ministerstwa, a nakaz będzie anulowany.

Jedną ręką kurczowo szarpał klamkę lewych drzwi, ale ta też nie ustępowała. Tu też się zacięło.

- Słuchajcie! - zawołał gniewnie do kierowcy. - Odpowiedcie za to! Co to za prowokacja?

- Służę Związkowi Sowieckiemu, panie radco! - kpiarskim tonem odparł mu szofer przez ramię.

Zgodnie z przepisami ruchu drogowego samochód objechał dokoła cały rozjarzony plac Łubianki, jakby zataczał pożegnalny krąg i dawał Innocentemu możliwość przyjrzenia się po raz ostatni temu światu i czteropiętrowym, wysokim gmachom Starej i Nowej Łubianki, gdzie życie jego miało dobiec kresu.

Pod sygnalami świetlnymi na rogach skupiały się auta i wypryskiwały do przodu, miękko przetaczały się trolejbusy, ryczały autobusy, zbitymi grupami przechodzili ludzie - i

nikt z nich nie znał ani nie widział ofiary w ich przytomności wleczonej na kaźń.

Czerwona chorągiewka, oświetlona reflektorem ukrytym w załomach dachu, trzepotała się nad kolumnkami wieżyczki wieńczącej gmach Starej Wielkiej Łubianki. Była jak ten czerwony kwiatek z opowieści Garszyna, kwiatek, w którym skupiło się zło całego świata. Dwie niewzruszone, kamienne, wykute w półleżącej pozie najady z pogardą patrzyły w dół, na malutkich, szybko przebierających nóżkami obywateli.

Samochód przejechał wzdłuż fasady słynnego w całym świecie budynku - pobierającego myto dusz ze wszystkich kontynentów - i skręcił na ulicę Wielką Łubiańską.

- Puść mnie! - Innocenty wciąż usiłował wyrwać się z palców mechanika, zaciśniętych nad jego obojczykiem, przy samej szyi.

Czarne żelazne wrota natychmiast odemknęły się, gdy tylko samochód obrócił ku nim maskę, i zaraz zatrzasnęły się za nim.

Samochód wjechał na dziedziniec przez ciemną sień.

Ręka mechanika za bramą zwolniła uścisk. Innocenty w ogóle przestał ją czuć na szyi, gdy znaleźli się na podwórku. Wychodząc przez swoje drzwi agent powiedział rzeczowo:

- Tu wysiadamy!

I było już jasne, że jest zupełnie trzeźwy.

Kierowca też wyszedł przez swoje nie zablokowane drzwi.

- Wysiadać! Ręce do tyłu! - zakomenderował. Powiedział to lodowatym tonem; kto by teraz poznał niedawnego żartownisia?

Innocenty wysiadł z auta-pułapki przez prawe drzwi, wyprostował się i - chociaż wcale nie było zrozumiałe, dlaczego właściwie powinien słuchać rozkazu - posłuchał i założył ręce do tyłu.

Aresztowanie miało charakter trochę brutalny, ale wcale nie tak straszny, jak to sobie człowiek wyobraża, kiedy jeszcze czeka. Przyszło nawet pewne uspokojenie - nie trzeba już się bać, nie trzeba już walczyć, nie trzeba już nic wymyślać. Drętwe, błogie uspokojenie, rozlewające się po całym ciele rannego.

Innocenty rozejrzał się po podwórku nierówno oświetlonym jedną, dwiema latarniami i blaskiem z kilku okien na różnych piętrach. Mały dziedziniec był dnem studni otoczonej czterema wysokimi ścianami.

- Nie rozglądać się! - krzyknął „kierowca”. - Marsz!

W ten sposób, gęsiego, Innocenty szedł pośrodku, minawszy obojętnych strażników w

mundurach MBP, przeszli pod niskim sklepieniem, zeszli po schodkach na drugi podwórzec - dolny, kryty dachem, ciemny, skręcili w lewo i znaleźli się przed czystym, frontowym wejściem przypominającym drzwi do gabinetu znanego lekarza.

Za drzwiami ciągnął się króciutki, bardzo czysty korytarz, zalany światłem elektrycznym. Wydawało się, że jego świeżo malowana podłoga była dopiero co wyszorowana i wyłożona chodnikiem.

„Kierowca” zaczął dziwnie klaskać językiem, jakby cmokał na psa. Ale żadnego psa nie było.

Korytarz był przegrodzony szklanymi drzwiami. Zasłaniały je od wewnątrz wypełzłe firanki. Drzwi były zabezpieczone kratką z ukośnych prętów, przypominającą płotki dookoła dworcowych skwerków. Na drzwiach zamiast lekarskiej tabliczki widniał napis:

IZBA PRZYJĘĆ ARESZTOWANYCH.

Ale nie było żadnej kolejki.

Zadzwonili - dzwonek był staroświecki, z pokrętłem. Po chwili zza firanki wyjrzał, a później otworzył drzwi obojętny strażnik o pociągłej twarzy. Miał błękitne epolety z białymi, sierżanckimi belkami na poprzek. „Kierowca” wziął od „mechanika” malinowy blankiet nakazu aresztowania i pokazał go strażnikowi. Ten przeczytał go ze znudzoną miną, tak jak senny aptekarz czyta w nocy receptę - i odszedł w głąb z „kierowcą”.

Innocenty i „mechanik” zostali w głębokiej ciszy przed zatrzaśniętymi drzwiami.

„Izba przyjęć aresztowanych” - przypominała tabliczka i sens to miało taki jak „Kostnica”. Innocenty nie miał nawet głowy do tego, żeby przyjrzeć się chłystkowi w wąskim płaszczu, który zagrał z nim taką komedię. Może Innocenty powinien był protestować, krzyczeć, domagać się sprawiedliwości? Zapomniał nawet, że ręce kazano mu założyć do tyłu i wciąż tak je trzymał. Wszystkie myśli w nim zastygły i jak w hipnozie wpatrywał się w napis „Izba przyjęć aresztowanych”.

Dał się słyszeć miękki obrót angielskiego zamka w drzwiach. Strażnik o pociągłej twarzy kazał im wejść i sam poszedł pierwszy, także klaszcząc językiem jak na psa.

Ale i tu żadnego psa nie było.

Korytarz był tak samo jaskrawo oświetlony i lśnił taką samą szpitalną czystością. Doszli do dwojga drzwi pomalowanych oliwkową farbą. Sierżant odemknął jedno z nich i powiedział:

- Proszę wejść.

Innocenty wszedł. Zanim zdążył się zorientować, że była to pusta izba z dużym niezgrabnym stołem, paroma taboretami, pozbawiona okna-już „kierowca” skądś z boku, „mechanik” zaś z tyłu rzucili się na niego i czworgiem rąk objęli go, zręcznie przeszukując mu liczne kieszenie.

- Co to znowu za bandytyzm? - słabo krzyknął Innocenty. - Jakim prawem?

- usiłował się trochę opierać, ale wewnętrzna świadomość, że to wcale nie bandytyzm i że ci ludzie wykonują po prostu obowiązek służbowy, pozbawiła jego ruchy energii, a jego głos - stanowczości.

Zerwali z niego złoty zegarek, wyciągnęli dwa notesy, złote pióro wieczne i chustkę do nosa. Zobaczył jeszcze w ich rękach wąskie srebrne epolety i zdziwił się nawet, że są takie same jak jego - dyplomatyczne - i że mają taką samą ilość gwiazdek. Wypuścili go z brutalnego uścisku. „Mechanik” podał mu chusteczkę do nosa.

- Bierzcie.

- Po waszych brudnych łapach? - piskliwie krzyknął Innocenty i wzdrygnął się cały.

Chusteczka upadła na podłogę.

- Dostaniecie kwit na kosztowności - powiedział „kierowca” i obaj wyszli pośpiesznie.

Wąskolicy sierżant za to nie spieszyl się. Zerknął na podłogę i poradził:

- Chusteczkę lepiej weźcie.

Ale Innocenty nie schylił się.

- Jak to? Zerwali ze mnie epolety? - dopiero tu domyślił się i oburzył, stwierdziwszy, że na mundurze pod płaszczem nie ma już pagonów.

- Ręce do tyłu! - obojętnie powiedział sierżant. - Wyjdźcie!

I zacmokał.

Ale psa nie było.

Minęli zakręt i znaleźli się w jakimś innym korytarzu, gdzie po obu stronach ciągnęły się, blisko siebie położone, nieduże oliwkowe drzwi znaczone owalnymi lusterkami numerów. Między rzędami drzwi przechadzała się niemłoda, zniszczona kobieta w wojskowej spódnicy i mundurowej bluzie z takimi samymi błękitnymi pagonami i takimi samymi sierżanckimi tasiemkami. W chwili, gdy zjawili się zza zakrętu, kobieta zaglądała przez jeden z otworów w drzwiach. Gdy podeszli bliżej, spokojnie opuściła klapkę zamykającą otwór i spojrzała na Innocentego tak, jakby przechodził dzisiaj tędy już setki razy i nic dziwnego w tym nie było, że przechodzi jeszcze raz. Miała ponury wyraz twarzy.

Wetknęła długi klucz w stalowy zewnętrzny zamek na drzwiach numer 8, otworzyła drzwi z łoskotem i skinęła na Innocentego:

- Wejdźcie tu.

Innocenty przestąpił próg i, zanim zdążył się odwrócić czy poprosić o wyjaśnienia, drzwi zatrzasnęły się za nim i zamek głośno szczęknął.

A więc tu miał teraz przebywać! - dzień? może miesiąc? może całe lata? Nie można było nazwać tej klitki pokojem ani nawet celą - bo, jak nas do tego przyzwyczaiła literatura, w celi powinno być choćby najmniejsze okienko i przestrzeń, po której można by krążyć. Tu zaś nie tylko chodzić, nie tylko leżeć, ale nawet usiąść nie można było porządnie. Stał tu stolik i taboret zajmując prawie całą powierzchnię podłogi. Kiedy usiadło się na taborecie, już nie sposób było wyciągnąć nóg.

Niczego więcej nie było w tej komórce. Do wysokości piersi wymalowano ją farbą olejną na oliwkowo, wyżej zaś - ściany i sufit pobielono i oświetlono oślepiająco dużą żarówką, chyba dwustuwatową, wiszącą pod sufitem w drucianej osłonie.

Innocenty usiadł. Jeszcze przed dwudziestoma minutami myślał, jak to przyjedzie do Ameryki i jak chyba od razu opowie historię tego telefonu do ambasady. Przed dwudziestoma minutami całe minione życie jawiło mu się jako jedna harmonijna całość, każdy przypadek w nim oświetlony był łagodnym blaskiem rozwagi i spojony z innymi wydarzeniami nitami sukcesu. Ale po upływie tych dwudziestu minut - tu, w ciasnej pułapce, całe jego minione życie z tą samą niezbitą siłą rysowało mu się jako stek omyłek, kupa czarnych ruin.

Z korytarza nie dochodziły żadne dźwięki, tylko dwa razy gdzieś blisko otwarto i zamknięto drzwi. Co minutę podnosiła się malutka przesłona i przez szklany wziernik wpatrywało się w Innocentego samotne badawcze oko. Drzwi miały cztery palce grubości - i przez całą tę grubość od samego szkiełka wyżłobiony był stożkowato rozszerzający się lejek obserwacyjny. Innocenty domyślił się: wyżłobiono go po to, żeby aresztant nigdzie w tej katowni nie mógł się ukryć przed wzrokiem nadzorcy.

Było mu ciasno i duszno. Zdjął ciepły płaszcz zimowy, zerknął smutno na miejsce po wyrwanych „z mięsem” pagonach. Nie widząc na ścianach żadnego gwoździa położył palto i czapkę na stoliku.

Dziwne, ale teraz, gdy piorun aresztowania już uderzył w jego życie, Innocenty nie czuł strachu. Przeciwnie, zamrożona dotąd jego myśl znów zabrała się do dzieła analizując

popelnione omyłki.

Dlaczego nie przeczytał nakazu do końca? Czy był wypisany prawidłowo? Czy miał stempel? Wizę prokuratora? Owszem, wiza prokuratora była na samym początku. Którego dnia nakaz wystawiono? Jaki powód aresztowania wpisano? Czy szef wiedział o wszystkim, kiedy go wzywał? Wiedział, oczywiście. Więc to wezwanie było oszukańcze? Ale po co takie dziwne sposoby, całe to przedstawienie z „kierowcą” i „mechanikiem”?

W jednej z kieszeni namacał jakiś mały i twardy przedmiot. Wydobył go. Był to cieniutki elegancki ołówek, który wypadł z tulejki przy notesie. Innocentego niezwykle ten ołówek ucieszył: bardzo mógł się przydać! Partacze! Tu, na Łubiance - partacze! - obszukać też dobrze nie umieją! Myśląc, gdzie by najlepiej ołówek schować, Innocenty przełamał go na pół, wetknął po kawałku do butów i strząsnął je tam pod stopy.

Ach, co za przeoczenie - nie przeczytać, o co jest oskarżony! Może areszt wcale nie jest związany z tą nieszczęsną rozmową telefoniczną, może to omyłka, zbieg okoliczności? Jak się teraz dowiedzieć, jaką przyjąć linię obrony?

A może nie było tam w ogóle wzmianki, o co go właściwie oskarżają? Zdaje się, że nie było. Aresztować - i tyle.

Niewiele czasu jeszcze minęło - ale wielokrotnie już słyszał równomierny szum jakiejś maszyny za tylną ścianą komórki. Szum to się wzmacniał, to cichnął. Innocentego zmroziła prosta myśl - jaka maszyna właściwie mogła tu być potrzebna? To więzienie, nie fabryka - po co tu maszyna? Człowiekowi lat czterdziestych, który nasłuchiwał się o mechanicznych sposobach likwidacji ludzi, od razu przychodziło do głowy coś niedobrego. Innocentemu mignęła nawet myśl niedorzeczna, ale jednocześnie jakaś całkiem wiarygodna: że to jest maszyna do mielenia kości zabitych już aresztantów. Zrobiło mu się straszno.

Tak, tymczasem gryzł się tą myślą - co to za przeoczenie, jaka omyłka! Nawet nie przeczytać do końca nakazu, nie obstawać przy swojej niewinności. On tak potulnie dał się aresztować, że to ich przekonało o jego winie! Jak mógł nie protestować? Dlaczego nie protestował? Stawało się jasne, że czekał na aresztowanie, że był na nie przygotowany!

Ta fatalna omyłka go dobijała! Pierwszą myślą było zerwać się, bić rękoma, nogami, krzyczeć na całe gardło, że jest niewinny, żeby otwarto drzwi, ale nad tą myślą zaraz wyrosła inna, dojrzała: że chyba ich się tutaj tym nie zadziwi, że tu często w ten sposób hałasują i krzyczą, że jego milczenie w pierwszych chwilach już i tak pomieszało mu szyki.

Ach, jak mógł tak po prostu wpaść im w ręce! - z własnego mieszkania, z

moskiewskich ulic, on, dyplomata wysokiej rangi - bez żadnego oporu, bez jednego słowa pozwolił się zabrać i zamknąć w tej katowni.

Stąd nie można się wyrwać! O, stąd nie można się wyrwać!...

A może jednak szef czeka na niego? Jak dotrzeć do niego, choćby pod konwojem? Jak wyjaśnić mu?

Nie, wcale mu się w głowie nie rozjaśniało, wszystko komplikowało się i plątało.

Maszyna za ścianą to wyła, to znowu milkła.

Oczy Innocentego, oślepione blaskiem zbyt ostrym jak na wysoką lecz wąską komórkę o pojemności trzech metrów sześciennych, dawno już szukały odpoczynku na jedynym czarnym kwadraciku ożywiającym sufit. Kwadracik ten, przekreślony na krzyż metalowymi pręcikami, wyglądał na otwór wentylacyjny, chociaż nie wiadomo było, skąd i dokąd prowadzi.

I nagle z całą wyrazistością przywidziało mu się, że ten otwór wcale nie służy do wentylacji, że przez niego powoli sączy się trujący gaz, być może nawet produkowany przez tę wyjąca maszynę, że wpuszczają ten gaz od chwili, gdy go tu zamknięto, i że nie ma innego przeznaczenia ta głucha komórka z drzwiami tak ściśle dopasowanymi do progu!

Po to też przyglądają mu się przez otwór w drzwiach, żeby stwierdzić, czy jest jeszcze przytomny, czy już zatruty.

Więc dlatego w głowie mu się mąci! Przecież traci przytomność! To dlatego tak mu tu duszno! Dlatego tak mu w głowie pulsuje!

Gaz się sączy! Bezbarwny! Bezwonny!!

Strach! odwieczny zwierzęcy strach! - ten sam, który drapieżców jednoczy z ich ofiarami, gdy wspólną gromadą uciekają przed leśnym pożarem - strach ogarnął Innocentego. Porzuciwszy wszystkie inne rachuby, wszystkie inne myśli, zaczął walić pięściami i nogami w drzwi, dobijając się widoku żywego człowieka:

- Otworzyć! Otworzyć! Duszę się! Powietrza!!

O, po to otwór obserwacyjny miał kształt lejka, żeby nie można było pięścią rozbić szkła!

Zawzięte oko przylgnęło do szkła z drugiej strony i bez mrugnięcia, złośliwie patrzyło, jak Innocenty ginie.

O, co za wizja! Wyrwane oko, oko bez twarzy, oko, w którym wszystko się skupiło! - i to oko patrzy na twoją śmierć!...

Nie było wyjścia!...

Innocenty padł na taboret.

Gaz go dusił...

92

Wtem drzwi uchylily się zupełnie bez hałasu (choć za - mknęto je z łoskotem).

Strażnik o pociągłej twarzy zjawił się w wąskiej szparze i dopiero tutaj, w tej klitce, nie zaś w korytarzu, spytał cicho, lecz groźnym tonem:

- Dlaczego pukacie?

Innocentemu zrobiło się źle. Jeżeli strażnik nie bał się wejść tutaj, to znaczy, że nie można się jeszcze zatruć.

- Jest mi niedobrze! - powiedział już z mniejszą pewnością siebie. - Proszę dać mi wody!

- Zapamiętajcie sobie! - surowo pouczał go nadzorca. - W żadnym wypadku nie wolno pukać, bo zostaniecie ukarani.

- Ale jeśli się źle czuję? Jeżeli trzeba kogoś zawołać?

- Głośno gadać też nie wolno! Jeżeli już musicie wezwać - w ten sam chmurny, beznamiętny sposób, miarowym głosem wyjaśnił nadzorca - czekajcie, aż podniesie się zasłonka przy oczku, i w milczeniu podnieście palec.

Wycofał się i zamknął drzwi. Maszyna za ścianą znowu ruszyła i umilkła.

Drzwi otworzyły się - tym razem ze zwykłym rumorem. Innocenty zaczął domyślać się: oni byli tu wyuczeni, aby otwierać drzwi z hałasem lub bezgłośnie, jak im było trzeba.

Strażnik podał Innocentemu kubek z wodą.

- Posłuchajcie - Innocenty wziął kubek. - Źle się czuję, muszę się położyć!

- W boksie nie wolno.

- Gdzie? Gdzie nie wolno? (Chciał porozmawiać choćby z tym kawałem drewna!) Ale strażnik już wycofał się za drzwi i zamykał je.

- Słuchajcie, wezwijcie naczelnika! Za co mnie aresztowano? - przypomniał sobie Innocenty.

Drzwi się zamknęły.

Co on powiedział? W boksie? *Box* to po angielsku pudło.

Więc oni taką klitkę cynicznie nazywają pudłem? Cóż, zgadza się.

Innocenty wypił odrobinę. Od razu odechciało mu się pić. Kubeczek miał pojemności

jakieś trzysta gramów, był emaliowany, zielonutki, z dziwnym obrazkiem: kotek w okularach udawał, że czyta książkę, w istocie zaś zerkał bokiem na ptaszka, który zuchwale skakał sobie obok.

Niemożliwe, żeby ten obrazek specjalnie był wybrany dla potrzeb Łubianki. Ale jak tu pasował! Książeczka - to była stalinowska konstytucja, a ten zuchowaty wróbelek - to myśląca jednostka.

Uśmiechnął się nawet i ten krzywy uśmieszek nagle pozwolił mu odczuć cały bezmiar tego, co się z nim stało. Ten uśmiech przyniósł mu równocześnie pociechę, bo poczuł, że jest kroplą w potoku życia.

Nie uwierzyłby, gdyby mu ktoś powiedział wcześniej, że uśmiechnie się w ciągu pierwszej półgodziny przebywania w lochach Łubianki.

(Gorzej było ze Szczewronkiem, siedzącym w sąsiednim boksie, żaden kotek by go teraz nie rozśmieszył). Odsunął palto leżące na stoliku i zrobił miejsce dla kubka.

Szczęknął zamek. Drzwi się otworzyły. Stał w nich lejtnant z papierem w ręku. Za jego plecami widać było postną twarz sierżanta.

W swoim dyplomatycznym, szaro-błękitnym mundurze wyszywanym w złote palmy Innocenty na jego widok podniósł się z taboretu nonszalanckim ruchem:

- Słuchajcie, lejtnancie, o co tu chodzi? Co to za nieporozumienie? Pokażcie no mi nakaz, nawet go nie przeczytałem.

- Nazwisko? - niewyraźnie zapytał lejtnant patrząc na Innocentego szklanym wzrokiem.

- Wołodin - odparł Innocenty godząc się na ustępstwo, aby móc uzyskać z kolei wyjaśnienia.

- Imię, imię ojca?

- Innocenty Artemiewicz.

- Rok urodzenia? - lejtnant przez cały czas zaglądał do swojego papierka.

- 1919.

- Miejsce urodzenia?

- Leningrad.

I właśnie wtedy, kiedy można było dowiedzieć się wszystkiego i radca stanu drugiej klasy spodziewał się wyjaśnień, lejtnant zrobił krok wstecz i drzwi zamknęły się, omal nie przytrzasnąwszy radcy.

Innocenty usiadł i przymknął oczy. Zaczął poznawać siłę tych mechanicznych cęgów.

Maszyna zawarczała.

Po chwili zamilkła.

Zaczęły mu przychodzić do głowy rozmaite drobne i poważniejsze sprawy, które jeszcze przed godziną były takie pilne, że nogi mu się wręcz podrywały, żeby wstać i zaraz tam lecieć.

Ale nie tylko lecieć - choćby zrobić w tym boksie jeden szeroki krok było niemożliwością.

Znów odsłoniło się oko. Innocenty podniósł palec. Drzwi otworzyła ta sama kobieta z niebieskimi epoletami i tępyimi, ciężkimi rysami.

- Potrzebuję... tego... - powiedział jej wyraźnie.

- Ręce do tyłu! Wyjdźcie! - rzuciła rozkazującym tonem i ruchem głowy wskazała kierunek. Innocenty wyszedł na korytarz. W porównaniu z dusznym boksem wydało mu się teraz, że panuje tu miły chłód.

Szli krótką chwilę. Kobieta wskazała na jakieś drzwi:

- Tutaj!

Innocenty wszedł. Drzwi za nim zatrzaśnięto.

Oprócz otworu w podłodze i dwóch żelaznych występów dla stóp cała pozostała, bardzo niewielka powierzchnia podłogi i wszystkie ściany malutkiej komórki były wyłożone czerwonymi kafelkami. We wgłębieniu rzeźwo pluskała woda.

Rad, że chociaż tu odpocznie od stałego podglądania, Innocenty kucnął. Ale coś zgrzytnęło z tamtej strony drzwi. Podniósł głowę i zobaczył, że tu też jest takie samo oko z lejkowatym wgłębieniem i że nieustępliwe, badawcze oczy przyglądają mu się już nie z przerwami, tylko ciągle.

Niemile zażenowany Innocenty wyprostował się. Nie zdążył jeszcze podnieść palca, by dać znać, że jest gotów, gdy drzwi się otworzyły.

- Ręce do tyłu. Wyjść! - powiedziała kobieta obojętnie.

W boksie Innocenty poczuł chęć sprawdzenia, która godzina. Podciągnął bezwiednie mankiety, ale c z a s u już tam nie było.

Westchnął i zaczął przyglądać się kotkowi na kubku, ale nie pozwolono mu na rozmyślanie. Drzwi się otworzyły. Jakiś nowy, barczysty, o grubych rysach mężczyzna w szarym kitlu naciągniętym na mundur zapytał:

- Nazwisko?

- Już mówiłem - oburzył się Innocenty.

- Nazwisko? - nie zmieniając tonu, jak radiotelegrafista wywołujący stację, powtórzył przybyły.

- No, Wołodin.

- Zabierzcie rzeczy. Wyjdźcie - beznamiętnie oświadczył szary kitel.

Innocenty zabrał palto, czapkę ze stolika i wyszedł.

Zaprowadzono go do tego samego pokoju, w którym zerwano z niego epolety, zabrano zegarek i notesy. Chusteczki na podłodze już nie było.

- Posłuchajcie, zabrano mi moje rzeczy! - poskarżył się Innocenty.

- Rozbierzcie się! - odpowiedział nadzorca w szarym kitlu.

- Po co? - zdziwił się Innocenty.

Nadzorca spojrzał mu twardym wzrokiem prosto w oczy.

- Rosjanin? - zapytał surowo.

- Tak. - Zawsze taki wynalazczy, Innocenty tym razem nie zdobył się na żadną inną odpowiedź.

- Rozbierajcie się!

- A bo co?... jak nie Rosjanin - to nie musi? - zażartował smętnie.

Nadzorca czekał w kamiennym milczeniu.

Próbując uśmiechnąć się pogardliwie i wzruszywszy ramionami Innocenty usiadł na taborecie, zzuł buty, zdjął mundur i chciał podać go nadzorcy. Nie przypisując mundurowi żadnego rytualnego znaczenia, Innocenty szanował jednak swój wyszywany złotem uniform.

- Rzućcie to! - szary kitel pokazał palcem podłogę.

Innocenty nie mógł się zdecydować. Nadzorca wyrwał mu z rąk popielaty mundur, cisnął na podłogę i szczeknął:

- Do goła!

- Jak to - do goła?

- Do goła!

- Ależ to zupełnie niemożliwe, towarzyszu! Przecież tu jest zimno, pojmijcie!

- Bo będziecie rozebrani siłą - uprzedził nadzorca.

Innocenty namyślił się. Już raz na niego się rzucono - i wyglądało na to, że mogą to zrobić jeszcze raz. Jeżąc się z zimna i wstrętu, ściągnął z siebie jedwabną bieliznę i - sam

rzucił ją posłusznie na tę samą kupę.

- Zdjąć skarpetki!

Innocenty stał teraz bez skarpetek na drewnianej podłodze bosy. Nogi miał bezwłose, białe i delikatne, jak całe zresztą jego miękkie ciało.

- Otworzyć usta! Szerzej. Powiedzieć „a”, jeszcze raz, dłużej: „a-a-a”! Teraz podnieść język.

Jak przy kupnie konia wraził Innocentemu nieczyste palce do ust, zajrzał za jeden policzek, potem za drugi, następnie odciągnął mu dolne powieki, a gdy przekonał się, że pod językiem, w workach policzkowych i pod powiekami Innocenty niczego nie ukrył, twardym ruchem podbił mu głowę tak, żeby światło zajrzało do nozdrzy, potem obejrzał uszy, ciągnąc za małżowiny, kazał rozczapierzyć palce i sprawdził, że nic nie ma między nimi, wreszcie rozkazał pomachać rękoma i zobaczył, że pod pachami też nic nie ma. Wówczas tym samym mechanicznym, nie znoszącym sprzeciwu głosem zakomenderował:

- Weźcie do ręki członek, ściągnijcie napletek. Jeszcze bardziej. Tak, wystarczy. Podnieście członek na ukos w prawo, na ukos w lewo. Dosyć, opuście go. Stanąć do mnie tyłem. Rozstawić nogi. Szerzej. Pochylić się aż do podłogi. Szerzej nogi! Rozchylcie pośladki rękoma. Tak, dobrze. Teraz przysiad. Szybko! Jeszcze raz!

Myśląc poprzednio o aresztowaniu, Innocenty wyobrażał sobie, że czeka go zapamiętała walka duchowa z państwowym Lewiatanem. Był wewnętrznie spięty, gotowy do jakiejś podniosłej walki o sens własnego losu i o własne przekonania. Ale wcale sobie nie wyobrażał, że wszystko to będzie takie tępe, takie proste, takie wykluczające wszelki sprzeciw. Ludzie, których spotkał tu, na Łubiance, niscy, ograniczeni funkcjonariusze - okazywali zupełną obojętność wobec jego osobowości i postępuku, któremu zawdzięczał swoje aresztowanie, za to byli nadzwyczaj skrupulatni w szczegółach, których Innocenty nie przewidział i na które nie mógł znaleźć rady. Zresztą jakie znaczenie miałyby jego opór i jaki zysk mógł mu przynieść? Za każdym razem z różnych powodów wymagano od niego właściwie tylko drobnostek, nic nie znaczących w porównaniu z oczekującym go wielkim starciem - więc nie warto było nawet walczyć z tymi drobnostkami - ale w sumie cała ta drobiazgowość metodyka procedury zupełnie łamała wolę aresztowanego.

Znosząc te wszystkie poniżenia Innocenty milczał przybity.

Strażnik ruchem głowy kazał Innocentemu podejść do drzwi i usiąść tam na taborecie. Wydawało się, że nie zdoła dotknąć gołą skórą jeszcze tego nowego, zimnego przedmiotu,

ale przecież usiadł i bardzo prędko z przyjemnością się przekonał, że drewniany taboret zaczął go nawet jakby grzać.

Wiele ostrych i przyjemnych doznań Innocenty miał w ciągu swojego życia, ale to było nowe, dotąd nieznanne. Przyciskając łokcie do żeber i podciągając jak najwyżej kolana, poczuł, że mu jeszcze cieplej.

Siedział tak, a prowadzący rewizję stanął nad kupą jego rzeczy i zaczął je przetrząsać, obmacywać i oglądać pod światło. Okazując, że nieobce mu są ludzkie uczucia, niewiele czasu stracił na kałesony i skarpetki. W kałesonach ograniczył się do starannego przesunięcia palcami, cal za cal, wzdłuż wszystkich szwów, zakładek, po czym rzucił je pod nogi Innocentemu. Odpiął gumowe podwiązki, skarpetki wyrócił na lewą stronę i rzucił Innocentemu. Obmacawszy szwy i zakładki podkoszulka również cisnął go pod drzwi, tak że Innocenty mógł wdziać bieliznę i znów poczuć błogie ciepło. Następnie nadzorca wyciągnął duży scyzoryk w ordynarnej drewnianej oprawie, otworzył go i zabrał się do butów. Z pogardą wytrząsnął z nich odłamki małego ołóweczka i ze skupioną miną wielokrotnie zgiął ich podeszwy, szukając wewnątrz czegoś twardego. Rozpruł nożem wewnętrzną wyściółkę i rzeczywiście wyciągnął stamtąd jakiś kawałek stalowej płytki. Odłożył go na stół. Następnie wydobył szydło i przekłuł nim na ukos jeden obcas.

Innocenty przypatrywał mu się znieruchomiałym spojrzeniem i znalazł nawet w sobie siłę, aby pomyśleć, jak musiało się temu człowiekowi uprzykrzyć to obmacywanie rok za rokiem cudzej bielizny, rozcinanie butów i zagłębienie do otworów odbytowych. Chyba dlatego jego gęba miała wyraz twardy i nieprzyjazny.

Ale te błyski ironii gasły w Innocentym w miarę długiego, ponurego wyczekiwania i obserwacji. Nadzorca zabrał się do spruwania z munduru wszystkich złotych haftów, guzików, wypustek. Następnie rozciął podszewkę i pogrzebał również pod nią. Wcale nie mniej czasu zabrało mu badanie szwów i zakładek w spodniach. Jeszcze więcej musiał się natrudzić przy zimowym palcie. Tam, w głębi watoliny, usłyszał chyba, jak coś podejrzanie szeleści (gryps? adresy? trucizna?) - więc rozpruł podszewkę i długo dłuwał w wacie z twarzą tak skupioną i zatroskaną, jakby robił operację serca.

Rewizja trwała bardzo długo, chyba więcej niż godzinę. Nareszcie funkcjonariusz zaczął zbierać swoje trofea: szelki, gumowe podwiązki (wcześniej już wyjaśnił Innocentemu, że to są rzeczy w więzieniu niedozwolone), krawat, szpilkę do krawata, spinki, kawałek stalowej listewki, dwa kawałki ołówka, złote galony, wszystkie mundurowe naszywki i

wielką ilość guzików. Tu dopiero Innocenty w pełni zrozumiał i ocenił rozmiary zniszczenia. Nie pocięte podeszwy, nie rozpruta podszewka, nie wyłaząca spod pach watolina - ale brak prawie wszystkich guzików, właśnie w momencie, kiedy został pozbawiony szelek - dotknął Innocentego bardziej niż wszystkie inne szykany zadane mu tego wieczoru.

- Dlaczegoście mi obcięli guziki? - zawołał.

- Nie należą się - burknął strażnik.

- Jak to? Jak będę chodzić?

- Zawiążecie sznurkiem - chmurnie odparł tamten już w drzwiach.

- Co za bzdury? Sznurek? Skąd go wezmę?...

Ale drzwi już się zatrzasnęły i zostały zamknięte.

Innocenty tym razem nie pukał i nie dochodził swego. Wziął pod uwagę, że na płaszczu jeszcze w paru miejscach trochę guzików mu zostało i że już to powinno go cieszyć.

Szybko się tu uczył.

Podtrzymując rękoma odzież nie zdążył naspacerować się do woli po nowej celi rozkoszując się jej wielkością - gdy znów zgrzytnął klucz i wszedł nowy funkcjonariusz w kitlu białym, chociaż nie pierwszej czystości. Spojrzał na Innocentego jak na rzecz dawno znaną i zawsze znajdującą się w tym pokoju, po czym rzucił krótko:

- Rozebrać się do goła!

Innocenty chciał odpowiedzieć z oburzeniem, chciał zagrozić, ale w istocie z jego ściśniętego od doznanej krzywdy gardła wyrwał się tylko jakiś piskły skrzek, brzmiący zupełnie nieprzekonywająco:

- Ale przecież dopiero co się rozbierałem! To nie można było uprzedzić?! Widocznie nie można było, bo nowo przybyły patrzył tylko znudzonym, nieuważnym wzrokiem, jak szybko więzień rozkaz wykona.

W tutejszych ludziach najbardziej zadziwiła Innocentego ich zdolność do milczenia w chwilach, kiedy normalni ludzie zwykli mówić.

I wchodząc już w rytm bezapelacyjnego, niewolniczego posłuchu Innocenty rozebrał się i zdjął buty.

- Siadać! - funkcjonariusz wskazał mu ten sam taboret, na którym Innocenty już raz tak długo siedział.

Goły aresztant usiadł potulnie nawet nie zastanawiając się - po co. (Właściwy wolnym

ludziom zwyczaj namyślenia się nad swoimi uczynkami przed ich wykonaniem szybko w nim zanikał, ponieważ inni myśleli tu sprawnie za niego). Funkcjonariusz chwycił go mocno palcami za kark. Zimna tnąca powierzchnia maszynki silnie przylgnęła do ciemienia Innocentego.

- Co wy robicie? - wzdrygnął się Innocenty próbując słabym ruchem uwolnić głowę z przytrzymujących ją palców. - Kto wam dał prawo? Jeszcze nie jestem więźniem! (Chciał powiedzieć, że oskarżenie jeszcze nie zostało dowiedzione).

Ale fryzjer, trzymając jego głowę wciąż tak samo mocno, strzygł go dalej w milczeniu. I błysk oporu, który zapalił się w Innocentym, od razu zgasł. Ten wyniosły, młody dyplomata, z taką lekceważącą i niezależną miną schodzący po schodkach z międzykontynentalnych samolotów, takim roztargnionym, przymrużonym okiem patrzący na olśniewające blaski wirujących wokół niego stolic europejskich - był teraz gołym, steranym, kościstym mężczyzną z ostrzyżoną do połowy głową.

Miękkie, jasnokasztanowe włosy Innocentego bezdźwięcznie opadały smutnymi płatami jak śnieg. Chwycił w locie jeden taki kłaczek i roztarł go tkliwie w palcach. Zdał sobie sprawę, jak kochał siebie i swoje uciekające w dal życie.

Jeszcze pamiętał, do jakiego wniosku doszedł: że potulność będzie uznana za dowód winy. Pamiętał, że postanowił okazywać sprzeciw, protestować, prowadzić spory, domagać się rozmowy z prokuratorem - ale na przekór rozsądkowi jego wola ulegała paraliżowi - odczuwał spokojną obojętność człowieka zamierzającego na śniegu.

Skończywszy ze stryżeniem głowy fryzjer kazał mu wstać, podnieść po kolei ręce i wystrzygł mu pachy. Następnie sam kucnął i tą samą maszynką zaczął strzyć Innocentemu wzgórek łonowy. Innocenty był zaskoczony, czuł drażniące łaskotanie, drgnął bezwiednie, fryzjer warknął na niego.

- Mogę się ubrać? - zapytał Innocenty, gdy procedura się skończyła.

Ale fryzjer nic nie odpowiedział i zamknął drzwi.

Tym razem Innocenty postanowił być sprytniejszy i nie spieszył się z ubieraniem. Tam, gdzie go ostrzyżono, czuł teraz niemiłe klucie. Gładząc dłonią głowę (nie przypominał sobie od dzieciństwa, żeby mu kto ostrzygł głowę do skóry) znajdował tam dziwną krótką szczecinę i nierówności czaszki, których nie znał.

W końcu jednak włożył bieliznę, a gdy zaczął wciągać spodnie - szcęknął zamek i wszedł jeszcze jeden nadzorca z mięsistym fioletowym nosem. Trzymał w ręku spory

tekturowy prostokąt.

- Nazwisko?

- Wołodin - już bez sprzeciwu odpowiedział aresztant, chociaż mdliło go od tych niezliczonych powtórzeń.

- Imię, imię ojca?

- Innocenty Artemiewicz.

- Rok urodzenia?

- 1919.

- Miejsce urodzenia?

- Leningrad.

- Rozebrać się do goła.

Tracąc już poczucie rzeczywistości - rozebrał się znów. Jego podkoszulek rzucony na brzeg stołu upadł na ziemię, ale to nie wzbudziło w nim wstrętu i już się nie schylił, by go podnieść.

Nadzorca z fioletowym nosem zaczął nieufnym okiem taksować Innocentego przyglądając mu się z różnych stron i wciąż zapisując swoje obserwacje na tekturce. Ze szczególnej uwagi, którą poświęcał pieprzykom i rysom twarzy, Innocenty zrozumiał, że zapisuje znaki szczególne.

Ten także wyszedł.

Innocenty w otępieniu usiadł na taborecie już się nie ubierając.

Znów zgrzytnęły drzwi. Weszła tęga czarnowłosa dama w śnieżnobiałym fartuchu. Miała grube rysy, pogardliwą minę i maniery inteligentki.

Innocenty poderwał się, żeby odnaleźć kalesony i przykryć swoją nagość, ale kobieta rzuciła na niego wzgardliwe, zupełnie nie kobiece spojrzenie, wysunęła dolną wargę, i tak już wydatną, i zapytała:

- Powiedźcie no, czy macie wszy?

- Jestem dyplomatą - obraził się Innocenty twardo patrząc w jej czarne ormiańskie oczy i wciąż zasłaniając się kalesonami.

- No i co z tego? Na co się skarżycie?

- Za co mnie aresztowano? Chcę przeczytać nakaz! Chcę mówić z prokuratorem! - wykrzyknął Innocenty ożywiwszy się.

- Nie o tym mowa - skrzywiła się kobieta ze znużeniem. - Nie przyznajecie się do

chorób wenerycznych?

- Co?

- Na rzeżączkę, syfilis, wrzód miękki chorowaliście? Na trąd? Gruźlicę? Nic innego wam nie dolega?

I wyszła nie czekając na odpowiedź.

Wszedł pierwszy strażnik, ten o pociągłej twarzy. Innocenty przyjrzał mu się nawet z sympatią, bo strażnik nie znęcał się nad nim i nic złego mu nie zrobił.

- Dlaczego się nie ubieracie? - surowo zapytał strażnik. - Ubrać się szybko.

Nie było to takie łatwe! Zostawszy sam Innocenty długo nie mógł sobie dać rady ze spodniami bez szelek i większości guzików. Nie mogąc korzystać z doświadczeń dziesiątków poprzednich pokoleń więźniarskich Innocenty zastanowił się i sam rozwiązał zadanie, podobnie jak miliony jego poprzedników. Domyślił się, skąd wziąć „sznurki”: sznurowadła od butów posłużyły mu do ściągnięcia spodni w pasie i w rozporku. (Dopiero teraz Innocenty zauważył, że z jego sznurowadeł urwano metalowe końcówki. Nie wiedział dlaczego. Tymczasem lubiańskie instrukcje zakładały, że z takich końcówek więzień może zмайstrować sobie przyrząd służący do samobójstwa). Mundur zostawił już nie zapięty.

Sierżant zajrzał przez otwór, stwierdził, że aresztant ubrał się, otworzył drzwi, kazał założyć ręce do tyłu i przeprowadził do innego pokoju. Czekał tam już znany Innocentemu nadzorca z fioletowym nosem.

- Zdjąć buty! - powiedział na powitanie.

Nie było to teraz trudne, bo buty bez sznurowadeł same spadały z nóg (skarpetki bez podwiązek też opadały i zbiegały się pod stopą).

Pod ścianą stał lekarski przyrząd do mierzenia wzrostu, z pionową białą skalą. Fioletowy nos przycisnął do niej plecy Innocentego, opuścił mu na ciemną przesuwalną listewkę i zapisał wzrost.

- Można wzuć buty - powiedział.

A strażnik w drzwiach uprzedził:

- Ręce do tyłu!

Ręce do tyłu! - chociaż boks numer osiem był o dwa kroki, po drugiej stronie korytarza, na ukos.

I znów Innocenty był zamknięty w swoim boksie.

Za ścianą ciągle to wyła, to milkła tajemnicza maszyna.

Innocenty z paltem w ręku bezsilnie opadł na taboret.

Od chwili, gdy znalazł się na Łubiance, widział tylko oślepiające elektryczne światło, bliskie, ciasne ściany i obojętnie milczących kluczników. Procedury, jedna głupsza od drugiej, wydawały mu się szykanami. Nie wiedział, że układają się w logiczny, przemyślany łańcuch: wstępna rewizja przez agentów operacyjnych, którzy go aresztowali; ustalenie tożsamości aresztowanego; przyjęcie aresztowanego (zaocznie w kancelarii) kwitowane przez administrację więzienia; gruntowna rewizja przy przyjęciu do więzienia; pierwsza procedura sanitarna; rejestracja znaków szczególnych; oględziny lekarskie. Procedury oszołomiły go, pozbawiły trzeźwego rozeznania i woli oporu. Miał tylko jedno męczące pragnienie, pragnienie snu. Sądził, że chwilowo dano mu spokój. Nie mogąc urządzić się inaczej - a w ciągu trzech pierwszych łubiańskich godzin dorobił się już pewnych nowych pojęć o życiu - postawił taboret na stoliku, rzucił na podłogę swoje palto z cienkiego sukna, z szarym karakułowym kołnierzem i położył się na nim wzdłuż przekątnej boksu. Plecy opierały się na podłodze, uniesiona głowa o jedną ze ścian, a zgięte w kolanach nogi wcisnął w drugi kąt. Ale w pierwszej chwili, zanim członki mu odrętwiały - czuł w nich błogość.

Nie zdążył jednak zapaść w sen i zasklepić się w nim, gdy już drzwi się otworzyły ze specjalnym, zgrzytliwym turkotem.

- Wstańcie! - syknęła kobieta.

Innocenty ledwie poruszył powiekami.

- Wstańcie! Wstańcie!! - rozległo się nad nim.

- Ale jeżeli chce mi się spać?

- Wstańcie... - władczym i gromkim już głosem krzyknęła kobieta schylając się nad nim, jak Meduza z upiornego snu.

Innocenty z trudem podniósł się ze swojej skurczonej pozycji.

- To zaprowadźcie mnie tam, gdzie można trochę pospać - powiedział apatycznie.

- Nie wolno! - ucięła Meduza z niebieskimi pagonami i zatrzasnęła drzwi.

Innocenty oparł się o ścianę pragnąc odczekać, aż kobieta napatrzy mu się do syta, raz po raz podnosząc zasłonkę oka.

Doczekał się, aż poszła sobie i znów położył się na płaszczu.

Już świadomość jego gasła, gdy drzwi znowu zgrzytnęły.

Jakiś nowy, wysoki, silny mężczyzna, który nadawałby się dobrze na kowala albo

kamieniarza, stanął na progu w białym fartuchu.

- Nazwisko? - zapytał.

- Wołodin.

- Z rzeczami!

Innocenty zabrał palto i czapkę i ze zmętniałym wzrokiem, chwiejnym krokiem wyszedł za strażnikiem. Był znużony do ostateczności i nie wyczuwał nawet, czy podłoga pod nogami jest równa. Nie znajdował w sobie żadnej siły ani chęci ruchu i gotów był położyć się wprost na środku tego korytarza.

Przez jakieś wąskie przejście w grubej ścianie wprowadzono go do innego korytarza, znacznie brudniejszego. Korytarz wiódł do łazienego przedsionka. Tam wydano Innocentemu kawałek zwykłego mydła mniejszy niż pudełko zapalek i kazano się myć.

Innocenty długo nie mógł się zdecydować. Przyzwyczajony był do zwierciadlanej czystości łazienek wyłożonych kafelkami i ten drewniany przedsionek, który w oczach przeciętnego człowieka byłby zupełnie czysty, jemu wydawał się siedliskiem brudu. Z trudem znalazł wystarczająco suche miejsce na ławce, rozebrał się tam i z uczuciem odrazy zrobił parę kroków po drewnianych kratkach z widocznymi śladami bosych i obutych stóp. Z przyjemnością wcale by się nie rozbierał i nie kąpał, ale drzwi otworzyły się i kowal w białym fartuchu rozkazał mu iść pod prysznic.

Za zwyczajnymi, wcale nie więziennymi, cienkimi drzwiami z dwoma nie zaszklonymi wycięciami - były prysznice. Nad czterema drewnianymi kratkami, które w oczach Innocentego też były brudne, zwisały cztery blaszane lejki, z których mogła lać się znakomita gorąca i zimna woda, czego też Innocenty nie docenił. Cztery źródła wody dla jednego człowieka! - a Innocenty nie odczuł żadnej radości (gdyby wiedział, że w świecie zeków najczęściej cztery osoby przypadają na jeden prysznic, to może by docenił swoją szesnastokrotną przewagę!). Ohydne, cuchnące mydło (w ciągu trzydziestu lat życia ani razu nie trzymał niczego takiego w ręku i nawet nie wiedział, że coś podobnego istnieje!) z obrzydzeniem wyrzucił jeszcze w przedsionku. Teraz w ciągu paru minut opłukał się trochę, przede wszystkim chcąc zmyć resztki włosów, które go kłuły - i z uczuciem, że wcale się tu nie wykąpał, tylko raczej zabrudził - wrócił, żeby się ubrać.

Ale daremnie. Ławki były puste, cała jego wspaniała, chociaż poszarpana teraz odzież została zabrana i tylko kalosze ze sterczącymi z nich butami wepchnięte były pod ławkę. Drzwi na zewnątrz były zatrzaśnięte, oko zasłonięte. Innocenty nie miał innego wyjścia,

mógł tylko usiąść w pozie „Myśliciela” Rodina i na golasa rozmyślać, schnąc powoli.

Następnie wydano mu grubą, zniszczoną od prania więzienną bieliznę z czarnymi stemplami „Więzienie Wewnętrzne” na plecach i na brzuchu i bawełnianą, opatrzoną takimiż pieczęciami, złożoną we czworo kwadratową szmatkę. Innocenty nie od razu zgadł, że pełniła ona rolę ręcznika. Bielizna miała guziki niciano-tekturowe, ale nawet tych nie starczało; były też tasiemki, ale częściowo pourywane. Krótkie kalessony okazały się dla Innocentego za ciasne i piły w kroku. Koszula za to była zbyt duża, jej rękawy sięgały aż do palców. Nie chciano mu bielizny wymienić, bo Innocenty już ją nieostrożnie zużył przymierzając.

W tej niedopasowanej bieliźnie długo jeszcze siedział na ławce. Powiedziano mu, że jego odzież jest w „odwyszalni”. Było to nowe dla Innocentego słowo. W ciągu całej wojny, kiedy kraj był pełen komór do dezynfekcji, nie trafił na żadną z nich. Ale do bezmyślnych szykan dzisiejszej nocy zupełnie pasowała również „odwyszalnia” (wyobrażał sobie swoją odzież prażącą się na jakiejś wielkiej patelni).

Innocenty próbował trzeźwo rozpatrzeć swoją sytuację i obmyślić sposoby zachowania się - ale myśli plątały mu się i rozpełzały: głowę zaprzętały mu to za wąskie gacie, to patelnia, na której leżał właśnie jego mundur, to badawcze oko zagląające przez otwór z uchyloną zasłonką.

Prysznic odpędził senność, ale opadło go nużące osłabienie. Miał ochotę położyć się na czymś suchym i niezbyt zimnym - i tak leżeć bez ruchu, odzyskując uchodzące siły. Ale kłaść się gołymi żebrami na wilgotnych, kanciastych deskach ławki (rozdzielone były szerokimi szparami) - na to nie mógł się zdecydować.

Otworzyły się drzwi, ale nie przynieśli jeszcze odzieży z odwyszalni. Obok łazienego nadzorcy stała rumiana dziewczyna w cywilnej sukni; miała szeroką twarz. Wstydliwie zasłaniając luki w swojej bieliźnie Innocenty podszedł do progu. Panienska kazała Innocentemu podpisać się na kopii i wręczyła mu różowy kwit, gdzie było napisane, że 26 grudnia br. Więzienie Wewnętrzne MBP ZSRR przyjęło od Wołodina LA. na przechowanie: zegarek w kopercie z złotego metalu, nr zegarka... nr mechanizmu... ; pióro wieczne w futerale z złotego metalu z podobną stalówką; broszkę do krawata z czerwonym kamieniem w oprawie; spinki z granatowymi kamieniami - jedną parę.

I znów skulony Innocenty musiał czekać. Nareszcie przynieśli jego odzież. Palto wróciło w całości, było chłodne, zakiet natomiast, spodnie i wierzchnia koszula były

wymięte, wypłowiałe i jeszcze gorące.

- Czyż nie można było oszczędzić munduru, tak samo jak palta? - oburzył się Innocenty.

- Palto jest na futrze. Trzeba znać przepisy! - pouczył go kowal.

Nawet własne ubranie po powrocie z odwyszalni stało się obrzydłe, obce. Czując, że ma na sobie niewygodne, cudze rzeczy, Innocenty znów został odprowadzony do boks numer 8.

Poprosił o wodę i chciwie wypił dwa kubki. Kubek był ten sam, z kotkiem.

Tu zjawiała się jeszcze jedna pannica i za pokwitowaniem wydała mu niebieskie zaświadczenie, że dziś 27-go grudnia Więzienie Wewnętrzne MBP ZSRR przyjęło od Wołodina I. A. jeden podkoszulek jedwabny, jedną parę jedwabnych kalesonów, szelki i krawat.

Wciąż tak samo buczała tajemnicza maszyna.

Zostawszy sam Innocenty skrzyżował ręce na stoliku, położył na nich głowę i spróbował pospać na siedząco.

- Nie wolno! - powiedział otwierając drzwi nadzorcy z nowej zmiany.

- Czego nie wolno?

- Nie wolno kłaść głowy!

Innocenty dalej czekał. Myśli mu się plątały.

Znów przyniesiono mu kwit, tym razem na białym papierku, że Więzienie Wewnętrzne MBP ZSRR przyjęło do depozytu od Wołodina I. A. 123 (sto dwadzieścia trzy) ruble.

I znowu przyszedł - Innocenty nie widział go dotąd - mężczyzna w granatowym kitlu, pod którym nosił garnitur z drogiego, brązowego materiału.

Gdy wręczano kwity, za każdym razem sprawdzano też nazwisko. Teraz też przepytano Innocentego od początku: nazwisko? imię, imię ojca? rok urodzenia? miejsce urodzenia? - następnie zaś nowo przybyły powiedział rozkazująco:

- Bez.

- Co? - zdziwił się Innocenty.

- No, bez rzeczy! Ręce do tyłu! - w korytarzu rozkazy wydawano półgłosem, żeby w innych boksach nie słyszano.

Cmokając językiem wciąż na tego samego niewidzialnego psa, mężczyzna w

brązowym garniturze poprowadził Innocentego przez główne wyjście i jeszcze przez jakiś korytarz do dużego pokoju o wyglądzie już nie więziennym - z portierami zasłaniającymi okna, z miękkimi meblami i biurkami. Posadzono Innocentego na krześle pośrodku pokoju. Pomyślał, że teraz zacznie się badanie.

Tymczasem zaś zza portiery wyjechało polerowane, brązowe pudło aparatu fotograficznego, z dwóch stron oświetlono Innocentego ostrym światłem, sfotografowano go en face, a także z profilu.

Naczelnik, który tu Innocentego przyprowadził, brał teraz kolejno każdy palec jego prawej ręki i ocierał go brzuścem o lepki czarny walek wymazany tuszem, tak że końce wszystkich pięciu palców poczerniały. Następnie mężczyzna w granatowym kitlu rozczapierzył równomiernie palce Innocentemu, silnie przycisnął je do białego arkusza i zaraz oderwał. Na blankiecie zostało pięć czarnych plam z białymi liniami papilarnymi.

Tak samo uczerniono i odbito na papierze palce lewej ręki.

Nad odbitkami na blankiecie widniał napis:

Wołodin, Innocenty Artemiewicz, 1919, m. Leningrad, a jeszcze wyżej - dużymi, czarnymi, drukowanymi literami: PRZECHOWYWAĆ BEZTERMINOWO!

Przeczytawszy tę formułę Innocenty wzdrygnął się. Było w niej coś mistycznego, przerastającego ludzkie i ziemskie sprawy.

Mydłem, szczotką i zimną wodą pozwolono mu umyć ręce. Lepka farba schodziła z trudem, zimna woda spływała po niej do umywalki. Innocenty skoncentrował się na tarcu końców palców namydloną szczotką i nie zadawał sobie nawet pytania, ile jest logiki w tym, że kąpiel poprzedziła to smarowanie rąk.

Jego wytracony z równowagi, znużony umysł opanowała teraz ta kosmiczna formuła:

PRZECHOWYWAĆ BEZTERMINOWO!

93

W całym życiu Innocentego nie było jeszcze takiej długiej, bezkresnej nocy. Nie spał ani chwili i tyle najrozmaitszych myśli przewaliło się przez jego głowę, że w ciągu miesiąca spokojnego życia mniej ich bywa. Miał dość czasu na rozmyślania - i podczas długiego prucia złotych haftów z munduru dyplomatycznego, i podczas półgołego przesiadywania w łaźni, i w licznych boksach, które zwiedził.

Był uderzony trafnością nagłówka kwestionariusza: „Przechowywać bezterminowo.

Istotnie-, czy uda im się dowieść, że to on telefonował, czy nie - skoro go aresztowali,

to już stąd nie wypuszczą. Znał łapę Stalina - kto się raz w jej zasięgu znalazł, ten już do życia nie wracał. Czekало go albo rozstrzelanie, albo dożywotnia izolacja w samotnej celi. Coś mrozącego krew, w rodzaju klasztoru Suchanowskiego, o którym krążą legendy. To nie będzie szlisselburski dom starców; nie wolno będzie we dnie siadać, nie będzie wolno mówić całymi latami. I nikt nigdy nie dowie się o nim, a on sam nic nie będzie wiedział, co dzieje się w świecie, choćby nawet całe kontynenty przeszły pod inny sztandar albo ludzie wylądowali na księżycu. Ostatniego zaś dnia, kiedy stalinowską bandę już prowadzić będą na arkanie do nowej Norymbergi - Innocentego i jego niemych sąsiadów z klasztornego korytarza powystrzelają w ich izolatkach, jak to już zrobili przed ucieczką komuniści w 41-ym, a hitlerowcy w 45-ym.

Ale czy on boi się śmierci?...

Jeszcze wieczorem Innocenty był rad każdemu drobnemu wydarzeniu, każdemu otwarciu drzwi przerywającemu to samotne siedzenie w pułapce. Teraz natomiast miał chęć przemyślenia do końca czegoś, co niezupełnie jeszcze rozumiał - i był zadowolony, że zaprowadzono go do dawnego boksu i że długo mu nie przeszkadzano, chociaż wciąż zaglądano przez judasza.

Nagle jakby mu zwiąło cienką mgłę z mózgu: bardzo wyraziście stanęło mu przed oczyma to, co przeczytał poprzedniego dnia:

„Wiara w nieśmiertelność zrodziła się z żądzы trapiącej ludzi nienasyconych. Mędrzec potrafi uznać czas, jaki darowała nam natura, za wystarczający do obejścia całego kręgu dostępnych człowiekowi rozkoszy... „

Ach, czy tu chodzi o rozkosze! Miał przecież pieniądze, ubrania, ludzki szacunek, kobiety, trunki, podróże - ale wszystkie te przyjemności posłałby z chęcią do diabła w zamian za sprawiedliwość! Doczekać się końca tej szajki i posłuchać ich żalnego bełkotu przed ławą sędziowską!

Tak wiele przywilejów przypadło mu w udziale! - ale nigdy nie cieszył się tym, co najcenniejsze: prawem do swobodnego wypowiedania własnych myśli. I nie dana mu była wolność jawnego obcowania z ludźmi intelektualnie mu bliskimi. Iluż było innych, takich samych jak on, nieznanых mu ani z twarzy, ani z nazwiska - za ceglanymi murami tego budynku! I jak ciężko umierać nie zetknąwszy się z nimi myślą ani sercem!

Dobrze to być filozofem pod cieniem rozłożystych gałęzi w czasach cichych, nieruchawych i pogodnych!

Teraz, kiedy nie miał ołówka ani notesu, tym droższe mu było wszystko, co wypływało z ciemnych głębin pamięci. Przypomnił sobie z całą wyrazistością: „Nie trzeba bać się cierpień fizycznych. Długie cierpienie zwykle jest znośne, wielkie zaś - nie trwa długo”.

A na przykład siedzenie bez snu, bez powietrza przez całą dobę w takim boksie, gdzie nie można wyprostować nóg, jest cierpieniem drugim? małym czy wielkim? Albo - dziesięć lat w pojedynkę i żeby słowa nie wolno było głośno powiedzieć?...

Tam, w gabinecie fotografii i daktyloskopii Innocenty zauważył, że zbliża się druga w nocy. Chyba już niedługo trzecia. Głupia myśl załęgła mu się w głowie, pędząc przez myśli poważne: jego zegarek złożono teraz w przechowalni. Póki nakręcony - będzie sobie chodził. Później stanie, nikt go już nie nakręci i wskazówki zatrzymają się w jakiejś pozycji, która nie zmieni się aż do śmierci właściciela albo konfiskaty zegarka wraz z resztą majątku. Ciekawe, jaką godzinę będzie wtedy wskazywać?

Czy Dotti czeka na jego przyjazd do operetki? Chyba czekała? Czy dzwoniła do ministerstwa? Pewno nie dzwoniła; od razu przyszli do niej na rewizję. Ogromne mieszkanie! Pięciu ludzi nie da rady przez całą noc. I czy co znajdą, durnie?...

Dotti nie aresztują - uratuje ją separacja, w jakiej żyli od roku.

Dotti przeprowadzi rozwód, wyjdzie za mąż.

Teść już nie będzie awansować - taka plama! Ale będzie charkał, ale będzie się go wypierał!

Wszyscy, którzy znali radcę Wołodina, wiernopoddańczo wykreślą go teraz z pamięci.

Przywali go głucha lawina - i nikt na świecie nigdy się nie dowie, jak wąty delikacik Innocenty próbował uratować cywilizację!

Przecież chciałby człowiek dożyć i przekonać się, jak to będzie dalej?

W toku dziejów zwycięża zawsze jedna z walczących stron, ale nigdy - idee tylko jednej strony. Idee kojarzą się ze sobą, żyją własnym życiem. Zwycięzca zapożycza u zwyciężonego czasem niewiele, czasem dużo, a niekiedy nawet wszystko.

Świat się zjednoczy. Ustanie wrogość wzajemna ludów. Znikną granice państw, armie. Zwołany zostanie parlament światowy. Dojdzie do wyborów prezydenta planety. Prezydent obnaży głowę przed człowieczeństwem i powie:

- Z rzeczami!

- Co?...

- Z rzeczami!
- Z jakimi rzeczami?
- No, z tymi ciuchami.

Innocenty wstał z taboretu trzymając w ręku palto i czapkę, szczególnie mu teraz miłe, dlatego że nie zniszczyła ich dezyfekcja. W szparze drzwi, odsuwając klucznika, pojawił się smagły, zuchowaty (gdzie znaleźli tych gwardzistów? Po co im tu oni?) podoficer z błękitnymi pagonami, zajrzał do papierka i zapytał:

- Nazwisko?
- Wołodin.
- Imię, imię ojca?
- Innocenty Artemiewicz.
- Rok urodzenia?
- 1919.
- Miejsce urodzenia?
- Leningrad.
- Z rzeczami. Wyjść!

I ruszył pierwszy cmokając umownie.

Tym razem wyszli na dwór; w ciemnościach krytego podwórca zeszli jeszcze po kilku stopniach w dół. Czy nie prowadzą aby na rozstrzelanie? - pomyślał sobie. Podobno rozstrzelują zawsze w piwnicach i zawsze w nocy.

W tej trudnej chwili podtrzymała go zbawcza myśl: po co by wtedy wydawano te trzy kwity? Nie, to nie rozstrzelanie!

(Innocenty jeszcze wierzył, że wszystkie macki współgrają ze sobą mądrze!) Wciąż tak samo cmokając, zuchowaty podoficer wprowadził go do budynku i przez ciemną sień doszedł do windy. Jakaś kobieta, trzymająca stos żółtawoszarej wyprasowanej bielizny, stała z boku i przyglądała się, jak Innocenty wchodzi do windy z konwojentem. I chociaż ta młoda praczka była nieładna, chociaż jej pozycja społeczna była zupełnie poślednia i chociaż patrzyła na Innocentego tym samym nieprzeniknionym, kamiennie obojętnym spojrzeniem, co wszystkie inne tutejsze kukły ludzkie, to Innocentemu w jej obecności - podobnie jak przy dziewczętach z przechowalni, które przynosiły mu kolorowe kwity - zrobiło się przykro, że kobieta widzi go w takim oberwanym, żalonym stanie i może myśleć teraz o nim z politowaniem.

Ta myśl zniknęła tak samo szybko, jak się zjawiała: tak czy owak przecież -"przechowanie bezterminowe"...

Podoficer zamknął drzwi windy i przycisnął guzik - ale numery pięter nie były uwidocznione.

Ledwie odezwały się silniki windy - Innocenty od razu rozpoznał buczenie tej tajemniczej maszyny, która miała mleć kości aresztantów za ścianą jego boks.

Uśmiechnął się smutno.

Zresztą ta przyjemna omyłka dodała mu otuchy.

Winda stanęła. Podoficer wyprowadził Innocentego na klatkę schodową, a stamtąd od razu do szerokiego korytarza, w którym raz po raz migali nadzorcy z niebieskimi pagonami i białymi wypustkami. Jeden z nich zamknął Innocentego do boks bez numeru, tym razem jednak większego, o powierzchni jakichś dziesięciu metrów kwadratowych, oświetlonego niezbyt ostro, ze ścianami pomalowanymi aż do sufitu oliwkową farbą olejną. Ten boks, czy może cela, był pusty, sprawiał wrażenie nie bardzo czystego, zamiast podłogi miał wydeptaną cementową nawierzchnię, w jego ścianę wpuszczona była drewniana, niezbyt szeroka ławka, na której mogło usiąść trzech ludzi naraz. Było tu chłodnawo, co zwiększało ogólne wrażenie nieprzytulności. Tu także był w drzwiach otwór obserwacyjny.

Z zewnątrz dochodził szurgot butów. Jak widać, nadzorcy wciąż przychodzili; w więzieniu wewnętrznym kwitło życie nocne.

Innocenty myślał przedtem, że będzie wsadzony na stałe do ciasnego, jaskrawo oświetlonego, dusznego boks nr 8 - i dręczył się tym, że nie ma tam gdzie nóg wyciągnąć, że światło razi w oczy i że oddychać trudno. Teraz zrozumiał swoją omyłkę, przyjął, że będzie umieszczony w tym dużym, nieprzytulnym, anonimowym boksie - i martwił się, że nogi będą mu marznąć na cementowej podłodze, że ciągły ruch i szurgot za drzwiami będą go drażnić, a brak światła go zadręczy. Jak tu brak było okna! - niechby zupełnie malutkie, takie nawet, jakie zdobi w operowej dekoracji ścianę więziennego lochu - ale nawet tego nie było.

Czytając wspomnienia emigrantów nie można było sobie tego wyobrazić: korytarze, schody, mnóstwo drzwi, pełno oficerów, sierżantów, obsługi, wszystko to wędruje w środku nocy po całej Wielkiej Łubiance, ale nigdzie nie ma ani jednego aresztanta, nie można spotkać ani jednego człowieka takiego jak ty, nie słyhać nigdzie ani jednego nieurzędowego słowa, zresztą, urzędowych też prawie nie słyhać. Wydaje się człowiekowi, że całe to

ogromne ministerstwo nie śpi tej nocy tylko ze względu na niego, że zajęte jest tylko nim i jego przestępstwem.

Miażdżące działanie pierwszych godzin więzienia opiera się na pomysle oddzielenia więźnia od wszystkich innych aresztantów, aby nikt nie dodał mu otuchy, żeby tylko na niego parł ten cały system, stanowiący z kolei oparcie dla rozgałęzionego olbrzymiego aparatu.

Myśli Innocentego nabrały cierpiętniczej barwy. Telefon, który onegdaj jeszcze wydawał mu się szlachetnym czynem zasługującym na miejsce we wszystkich podręcznikach historii XX wieku, dzisiaj był w jego oczach nie przemyślanym, bezcelowym samobójstwem. Wciąż miał w uszach lekceważący, pyszałkowaty głos amerykańskiego attache i jego ułomną ruszczyznę: „A pan kto jest?” Co za dureń, co za dureń! On chyba nawet o tym nie zameldował ambasadorowi. Więc wszystko na próżno. O, jakimi głupcami stają się ludzie syci!

Teraz można by w tym boksie wreszcie pospacerować, ale znękany, zadręczony przez procedury Innocenty nie miał już na to sił. Przemierzył celę dwa razy, usiadł na ławce i ramiona zwisły mu wzdłuż łydek jak szmaty.

Ile wielkich a nieznanych potomnym zamysłów pogrzebały już te ściany, wessały już te boksy!

Przeklęty, przeklęty kraj! Cała gorycz, którą musi łykać, okazuje się lekarstwem jedynie dla innych. Sam nic z tego nie ma!... Jak szczęśliwa jest taka Australia! - leży tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, i żyje sobie bez żadnych bombardowań, bez pięciolatek, bez dyscypliny.

I po co było uganiać się za jakimiś atomowymi złodziejami! Pojechałby człowiek do Australii i żyłby sobie tam jak normalna istota!...

Dziś albo jutro Innocenty wyleciałby do Paryża, a stamtąd do Nowego Jorku!...

I kiedy wyobraził sobie swój wyjazd nie w oderwaniu, tylko właśnie w ciągu rozpoczynającej się doby - to aż zaparło mu dech, tak zawrotnie nieosiągalna wydała mu się teraz wolność. Teraz z żalości można było rwać pazurami ściany celi!...

Ale ponowne otwarcie drzwi uchroniło go przed tym pogwałceniem regulaminu więziennego. Znowu sprawdzono jego „dane”, na co Innocenty odpowiadał jak przez sen, i kazano iść „z rzeczami”. Ponieważ Innocenty trochę zmarzł w boksie, miał teraz czapkę na głowie, a palto narzucił na ramiona. Chciał wyjść w ten sposób nie wiedząc, że to dawało mu

możliwość niesienia pod paltem dwóch nabitych pistoletów albo dwóch kindżałów. Kazano mu włożyć palto jak należy i ręce w rękawach założyć za plecy.

Znow rozległo się cmokanie, zaprowadzono go na klatkę schodową z windą i kazano zejść po schodach na dół. W sytuacji Innocentego najpożyteczniej by było zapamiętać, ile zrobił zakrętów, ile kroków przeszedł, żeby później, w wolnej chwili, zorientować się w rozkładzie więzienia. Ale tak bardzo zmienił się jego stosunek do świata, że szedł jak nieprzytomny i nie zauważył, ile pięter kazano mu zejść - a tu, zza jakiegoś zakrętu, wyszedł im na spotkanie inny, wysoki nadzorca, tak samo cmokający, z takim samym natężeniem jak ten, który prowadził Innocentego. Strażnik Wołodina ostrym ruchem otworzył drzwi zielonej budki z dykty, tarasującej i tak już ciasny podest schodów, wepchnął tam Innocentego i zatrzaskał drzwi opierając się o nie. Wewnątrz było tylko miejsce do stania. Rozproszone światło padało z góry. Jak się okazało, budka nie miała daszka i docierał tam blask lampy z klatki schodowej.

Naturalnym odruchem ludzkim byłby głośny protest, ale Innocenty zaczynał się przyzwyczajać do niezrozumiałych łubiańskich wyskoków i wciągać w milczącą tutejszą zabawę, był więc posłuszny i cichy: robił to, czego od niego wymagało więzienie.

Ach, dlatego wszyscy na Łubiance cmokali: w ten sposób zawiadamiali, że prowadzą aresztanta. Nie wolno było, żeby więzień spotkał się z więźniem! Nie wolno było spojrzeć sobie w oczy i nabrać otuchy!...

Ten drugi przeszedł obok, Innocenty został wypuszczony z budki i ruszył dalej. I właśnie tu, na stopniach ostatniego półpiętra, Innocenty zauważył, jak bardzo starte są te stopnie! Niczego podobnego nie widział nigdy w ciągu całego życia. Od skrajów aż ku środkowi starte były głębokimi łukami dochodzącymi do połowy ich grubości.

Wzdrygnął się: ile nóg w ciągu tych trzydziestu lat! Ile to razy trzeba było szurać po kamieniu podeszwą, żeby go zeszlifować tak głęboko! I z każdych dwóch, którzy tędy szli, jeden był strażnikiem, drugi - więźniem.

Na podeście schodów znaleźli się przed zamkniętymi drzwiami z dobrze zamkniętym, zakratowanym okienkiem. Tu Innocenty został poddany jeszcze jednej operacji - kazano mu stanąć twarzą do ściany. Mimo to, patrząc bokiem dostrzegł, że jego konwojent nacisnął dzwonek elektryczny, później okienko otworzyło się nieufnie i znowu się zamknęło. Klucz zachrobotał głośno, drzwi się rozwarły, wyszedł stamtąd ktoś dla Innocentego niewidzialny i zaczął od pytania:

- Nazwisko?

Innocenty obejrzał się naturalnie, bo ludzie przyzwyczajeni są do patrzenia na siebie w trakcie rozmowy i zdążył rozróżnić jakąś twarz nie męską i nie kobiecą, pulchną, obwisłą, z dużą czerwoną plamą od oparzenia, a pod tą gębą złote epolety lejtnanta, ale lejtnant zaraz krzyknął na Innocentego:

- Nie oglądać się!

I dalej zadawał te same uprzykrzone pytania, na które Innocenty odpowiadał białej ścianie, jaką miał przed oczyma.

Przekonawszy się, że aresztant wciąż uważa się za tę samą osobę, która wskazana jest na kartce, i wciąż jeszcze pamięta miejsce i rok swojego urodzenia, gąbczasty lejtnant sam zadzwonił do drzwi, które tymczasem za nim zamknięto. Znowu podniosła się nieufnie kłapa w okienku, ktoś wyjrzał przez szparę, zamknął kłapę i otworzył drzwi hałasując kluczem.

- Wejść! - powiedział ostro lejtnant z ogniem na gąbczastej gębie.

Przeszli przez próg i drzwi za nimi zamknęły się ze zgrzytem klucza.

Innocenty ledwie zdążył zobaczyć rozchodzący się w trzy strony - przed siebie, na prawo i na lewo - mroczny korytarz z szeregiem drzwi, ze stołem stojącym na lewo od wejścia, z szafką centrali telefonicznej, z grupą jakichś nowych strażników - a już lejtnant rozkazał mu niezbyt głośno, ale bardzo dobitnie w panującej tu ciszy:

- Twarzą do ściany, nie ruszać się!

Co za głupia sytuacja - patrzeć z bliska na granicę między oliwkową farbą i białym tynkiem, czując jednocześnie na karku kilka par wrogich oczu!...

Lejtnant musiał chyba zajrzeć do jego karty, bo minęła chwila, zanim powiedział bardzo wyraźnym szeptem; cisza wciąż była głęboka:

- Do trzeciego boksu!

Od stołu oderwał się jeden ze strażników i starając się nie dzwonić swoimi kluczami ruszył po parcianym chodniku wyściełającym prawy korytarz.

- Ręce do tyłu! Marsz! - bardzo cicho rzucił Innocentemu.

Z jednej strony ciągnęła się wciąż ta sama, obojętna oliwkowa ściana; załamywała się trzykrotnie. Po drugiej stronie przesuwwały się drzwi, na których wisały owalne blaszki z numerami:

„47” „48” „49”

a pod nimi klapki na judaszach. Czując przyływ ciepła pomyślał, że tak niedaleko są

przyjaciele i zachciało mu się podejść, podnieść klapkę, przyłożyć na chwilę oko do szkła i spojrzeć na życie zamknięte w celi - ale strażnik kazał mu iść szybko, a co ważniejsze - Innocenty zdążył już nasiąknąć więzienną potulnością, chociaż czego właściwie miał się jeszcze bać człowiek, co wplątał się w walkę o bombę nuklearną?

Nieszczęściem dla ludzi, a szczęściem dla ich władców, człowiek ma taką naturę, że póki życia - zawsze jeszcze ma coś do stracenia. Nawet dożywotniego więźnia, pozbawionego już ruchu, nieba, rodziny i majątku, można jeszcze na przykład - przenieść do mokrego karceru, odebrać mu ciepłą strawę, bić pałką - i te małe, ostatnie już kary tak samo są dla człowieka bolesne, jak bolesny był upadek z wyżyn sukcesu i pomyślności. I aby uniknąć tych dotkliwych, ostatnich może kar, więzień mechanicznie stosuje się do przepisów znienawidzonego, poniżającego regulaminu więziennego, który powoli zabija w nim człowieka.

Za nowym zakrętem drzwi zbliżały się do siebie gęsto i lusterka blaszek głośiły na nich teraz:

Strażnik odemknął drzwi trzeciego boksu i gestem trochę tu komicznym, bo szerokim i zamasyście gościnnym, rozwarł je przed Innocentym. Innocenty zwrócił uwagę na komizm tej chwili i przyjrzał się lepiej strażnikowi. Był to chłopak barczysty, niewysoki, o czarnych, gładkich włosach i oczach niesymetrycznych, jakby przeciętych krzywym uderzeniem szabli. Miał wygląd nie wróżący niczego dobrego, ani śladu uśmiechu na wargach czy w oczach, ale z dziesiątków łubiańskich obojętnych pysków widzianych tej nocy tylko nieprzyjemna twarz ostatniego strażnika mogła wzbudzić jakąś sympatię.

Innocenty rozejrzał się po boksie, gdzie go zamknęto. W ciągu tej nocy widział już tyle boksów, że mógł uważać się za specjalistę. Z Bogiem sprawa: trzy i pół stopy szerokości, siedem i pół długości, drewniany parkiet, duża i szeroka ława prawie na całą długość ściany, wpuszczona w nią jedną krawędzią, a przy samych drzwiach - mały, drewniany sześciokątny stolik, stojący luzem. Boks był, rozumie się, bez żadnych okien, w górze ział tylko zakratowany otwór wentylacyjny. Boks tym się jeszcze wyróżniał, że był bardzo wysoki - miał ze trzy i pół metra i na wszystkie te metry składała się biała ściana, lśniąca w świetle dwustuwatowej żarówki wiszącej nad drzwiami w osłonie z drutu. Dzięki lampce w boksie było ciepło, ale światło aż rznąło w oczy.

Więzienne nauki należą do tych, które człowiek sobie przyswaja szybko i dokumentnie. Tym razem Innocenty nie robił sobie iluzji; nie spodziewał się, że na długo

zostawią go w tym wygodnym boksie, ale - widząc długą, gołą ławę - zrozumiał ten były sybaryta, który z każdą godziną przestawał być sybarytą, że jego pierwszym i najważniejszym obowiązkiem jest wykorzystać teraz okazję do snu. I tak jak małe zwierzątko pozbawione matczynej opieki z podszeptu własnej natury odgaduje wszystkie niezbędne dla siebie sposoby zachowania, podobnie Innocenty szybko rzucił na ławę płaszcz, robiąc z rękawów i kołnierza gnieciuch w rodzaju poduszki. I natychmiast się położył. Poczul się wygodnie. Zamknął oczy i zaczął sposobić się do snu.

Ale nie mógł zasnąć! Tak mu się chciało spać, kiedy mu nie pozwalano! Teraz przebrnął już przez wszystkie stadia zmęczenia i dwukrotnie ze stanu świadomości przechodził na chwilę w drzemkę - i oto gdy mógł sobie pospać - sen nie nadchodził! Podniecenie, które stale w nim budzono na nowo, rozhuštało się i w żaden sposób nie chciało ustąpić. Borykając się z różnymi przypuszczeniami, spóźnionymi żalami i wciąż nowymi pomysłami, Innocenty próbował równomiernie oddychać i miarowo liczyć. Strasznie szkoda nie móc usnąć, kiedy całym ciałem czuje się ciepło, żebrami gładkość ławy, kiedy nogi można wyciągnąć na całą długość, a strażnik jakoś człowieka nie budzi!

Na takim leżeniu minęło pół godziny. Już nareszcie zaczynały się mącić myśli, a od nóg w górę ciała popęzło obezwładniające ciepło.

I nagle Innocenty zdał sobie sprawę, że w ogóle nie można zasnąć przy tym obłądnie jaskrawym świetle. Nie tylko przesączało się pomarańczową łuną przez zamknięte powieki, ale namacalnie, z nieznośną siłą tłoczyło gałki oczne. To ciśnienie światła, którego nigdy przedtem nie doświadczał, teraz zupełnie wyprowadzało go z równowagi. Próżno było przewracać się z boku na bok i szukać pozycji, w której by światło tak nie dokuczało. Zdesperowany Innocenty wreszcie usiadł i opuścił nogi.

Zasłonka na jego oku często się podnosiła, słyszał ten szelest - więc przy kolejnym szmerze szybko podniósł palec.

Drzwi otwarły się zupełnie bezszelestnie. Zyzol w milczeniu patrzył na Innocentego.

- Proszę was, wyłączcie tę lampę! - odezwał się Innocenty z błaganiem.

- Nie wolno - powiedział zyzol zupełnie obojętnie.

- No to zamieńcie ją! Wkręćcie jakąś mniejszą! Po co taka wielka żarówka na taki mały... boks?

- Mówcie ciszej! - odparł strażnik bardzo cicho. Istotnie, za jego plecami obszerny korytarz i całe więzienie trwały w grobowym milczeniu. - Tu się mówi tylko wtedy, kiedy

wolno.

A jednak było coś żywego w tej martwej twarzy! Wyczerpawszy temat i wiedząc, że drzwi zaraz się zamkną, Innocenty poprosił:

- Dajcie chociaż napić się wody!

Strażnik skinął głową i zamknął drzwi bez szelestu. Nie było słyhać, jak poszedł precz po parcianym chodniku i jak wrócił; kluczem lekko brzęknął w zamku i już stanął w drzwiach z kubkiem wody. Tak samo jak na pierwszym piętrze więzienny kubek ozdobiony był wizerunkiem kotka, tylko bez okularów, bez książki i bez ptaszka.

Innocenty pił z przyjemnością i między jednym łykiem a drugim popatrzył na czekającego w progu strażnika. Ten zaś przekroczył próg jedną nogą, przymknął drzwi, na ile pozwalała mu szerokość jego barów, mrugnął zupełnie nieregularnie i zapytał cicho:

- Kim ty byłeś?

Jak dziwnie to zadźwięczało! Ludzkie słowa, pierwsze tej nocy! Wstrząśnięty żywym tonem pytania, cichym, konspiracyjnym głosem strażnika - i dobity tym celowo użytym, bezlitosnym słówkiem „byłeś” - Innocenty odparł szeptem, wchodząc jakby w zмовę z nadzorcą:

- Dyplomatą. Radcą stanu.

Strażnik pokiwał głową ze współczuciem i powiedział:

- A ja byłem marynarzem Floty Bałtyckiej! - odczekał chwilę. - Za coś tu trafił?

- Sam nie wiem - najeżył się Innocenty. - Bez żadnego powodu.

Strażnik pokiwał głową ze współczuciem.

- Wszyscy tak z początku mówią - powiedział zgodliwie. I nagle rzucił: - A pokakać byś nie chciał?

- Jeszcze nie - odparł Innocenty ze ślepotą nowicjusza nie dostrzegając, że ta propozycja była największą koncesją, jakiej mógł udzielić strażnik, i jednym z największych przywilejów na świecie, dostępnych więźniowi tylko według planu.

Po tej rozmowie pełnej treści drzwi się zamknęły i znów Innocenty wyciągnął się na ławie daremnie walcząc ze światłem gniotącym mu bezbronne powieki. Próbował zasłonić oczy ręką - ale ręka prędko mu drętwiała. Pomyślał, że dobrze byłoby teraz skrócić w powróśło chustkę do nosa i przykryć nią oczy - ale gdzie teraz była jego chusteczka?... Ajajaj, czemu nie podniósł jej wtedy z podłogi? Jaki głupi szczeniak był z niego jeszcze wczorajszego wieczoru!

Drobiazgi - jakaś chustka do nosa, puste pudełko od zapalek albo guzik z masy plastycznej - to najbliżsi przyjaciele więźnia! Zawsze w końcu przyjdzie chwila, kiedy któryś z nich okaże się niezbędny i na pewno pomoże!

Nagle drzwi się otworzyły. Zyzol z rąk do rąk podał Innocentemu czerwony materac w pasy. O, co za cudo! Łubianka nie tylko nie przeszkadzała spać - troszczyła się również o sen aresztanta!... Materac był złożony na pół, w środek wciśnięta była mała poduszka z pierza, powłoczka, prześcieradło - obie z pieczęcią „Więzienie Wewnętrzne”. Był nawet stary kocyk.

Co za rozkosz! Teraz nareszcie sobie pośpimy! Pierwsze wrażenia w tym więzieniu były chyba zbyt pesymistyczne! W przecuciu rozkoszy (i pierwszy raz w życiu robiąc to własnoręcznie) Innocenty oblókł poduszkę, rozścielił prześcieradło (materac odrobinę zwiślał z ławki, bo była wąska), zrzucił ubranie, położył się, przykrył oczy rękawem frencza - teraz nic mu już nie przeszkadzało! i już zaczął zapadać w sen, ten właśnie sen, który nosi nazwę objąć Morfeusza. Ale drzwi otwarły się z hałasem i strażnik powiedział:

- Wyjąć ręce spod koca!

- Jak to wyjąć?! - krzyknął Innocenty prawie z płaczem. - Po coście mnie obudzili! Tak trudno było mi zasnąć!

- Wyjąć ręce! - powtórzył strażnik z zimną krwią. - Ręce powinny leżeć na widoku.

Innocenty posłuchał. Ale to nie było takie proste zasnąć teraz z rękoma na kocu. To był diabelski pomysł! Naturalne, zakorzenione, mimowolne przyzwyczajenie polega na tym, że człowiek woli chować ręce we śnie, żeby przytulić je do ciała.

Innocenty długo się wiercił szukając sposobu, żeby dostosować się do nowej szykany. Ale w końcu sen zaczął brać górę. Słodko-trujący czad osnuwał jego świadomość.

Nagle doszedł go jakiś hałas z korytarza. Trzaskały drzwi, najpierw dalej, potem coraz bliżej. Za każdym razem padało jakieś słowo. Już rozległo się tuż obok. Potem drzwi Innocentego też się otwarły:

- Pobudka! - kategorycznym tonem oznajmił marynarz Floty Bałtyckiej.

- Jak to? Dlaczego? - krzyknął Innocenty. - Całą noc nie spałem!

- Szósta godzina. Pobudka, jak w zegarku! - powtórzył marynarz i poszedł dalej z tą wiadomością.

Tu Innocenty poczuł już zupełnie niezwalczoną potrzebę snu. Runął na pościel i od razu odrętwiał.

Ale natychmiast - zdążył pospać nie więcej niż dwie minuty - zyzol otworzył drzwi z hałasem i powtórzył:

- Pobudka! Pobudka! Materac zwinąć w rulon!

Innocenty podniósł się na łokciu i mętym wzrokiem spojrział na swojego dręczyciela, który przed godziną wydawał mu się taki sympatyczny.

- Ależ ja nie spałem, zrozumcie!

- Nic nie chcę wiedzieć.

- Dobrze, zwinę materac, wstanę - i co dalej będę robić?

- A nic. Siedzieć.

- A dlaczego?

- Dlatego, że szósta rano, już wam było mówione.

- No to usnę na siedząco!

- Nie pozwolę. Będę budzić.

Innocenty wziął się za głowę i zaczął się kiwać na boki. Coś w rodzaju współczucia przemknęło przez twarz zyzola.

- Chcecie się umyć?

- Chyba tak - powiedział po namyśle Innocenty i sięgnął po ubranie.

- Ręce do tyłu! Marsz!

Umywalnia była za zakretem. Nie mając już nadziei na sen Innocenty zdecydował się zdjąć koszulę i umyć zimną wodą do pasa. Pluskał do woli wodą na cementową podłogę dużej, zimnej umywalni. Drzwi były zamknięte i zyzol mu nie przeszkadzał.

Może nawet człowiek z niego, ale dlaczego nie uprzedził go o podstępnie, o tym, że pobudka będzie o szóstej?

Zimna woda splukała z Innocentego jadovitą niemoc niedospanego snu. W korytarzu spróbował zapytać o śniadanie, ale strażnik mówić mu nie dał. W boksie odpowiedział:

- Śniadania nie będzie.

- Jak to nie będzie? A co będzie?

- O ósmej rano będzie pajka, cukier i herbata.

- Co to znów za pajka?

- Chleb, znaczy się.

- A kiedy śniadanie?

- Nie należy się. Od razu obiad.

- I cały czas mam siedzieć?

- No, dosyć pustego gadania!

Już zamykał drzwi, gdy Innocenty zdążył podnieść rękę.

- No, co jeszcze? - marynarz Floty Bałtyckiej otworzył drzwi szerzej.

- Obcięto mi guziki i rozpruto podszewkę - komu dać to do szycia?

- Ile tych guzików?

Przeliczyli.

Drzwi się zamknęły i wkrótce otworzyły się znowu. Zyzol przyniósł igłę, dziesięć odciętych już kawałków nici oraz kilka guzików różnych wymiarów i gatunków - kościane, z masy plastycznej i drewniane.

- Co mi po takich guzikach? Przecież nie takie mi obcięto?

- Bierzcie! Takich też brak! - krzyknął zyzol.

Innocenty pierwszy raz w życiu zabrał się do szycia. Nie od razu domyślił się, jak wiązać supełek na końcu nitki, jak prowadzić ścieg, jak kończyć przyszywanie guzika. Nie mogąc korzystać z tysiącletniego doświadczenia rodu ludzkiego, Innocenty doszedł własnym przemyśleniem do umiejętności szycia. Wiele razy się kłuł, aż go rozboleły delikatne opuszki palców. Długo przyszywał podszewkę munduru i układał wybebeszoną watolinę w palcie. Niektóre guziki poprzyszywał nie tam gdzie trzeba, tak że połę jego munduru się pofałdowały.

Ale niespieszna, wymagająca skupienia praca nie tylko skróciła oczekiwanie, lecz ponadto zupełnie uspokoiła Innocentego. Rytm jego wewnętrznych odruchów stał się miarowy. Nie czuł więcej strachu ani przygnębienia. Jasno zrozumiał, że nawet to gniazdo legendarnych okropności - więzienie Wielka Łubianka nie takie znów jest straszne, że tutaj też żyją ludzie (ach, jak bardzo chciał się z nimi spotkać!). Człowiek, który nie spał całą noc, nie jadł nic, którego życie w ciągu dziesięciu godzin uległo rozbiciu, znalazł teraz w sobie zdolność do głębszego spojrzenia, rozumienia istoty rzeczy, chwycił ten drugi oddech, który kamieniejącemu ciału zapaśnika przywraca wytrwałość i świeżość.

Jakiś inny strażnik zabrał igłę.

Następnie przyniesiono półkilogramową skibę czarnego, wilgotnego chleba z trójgraniastą dokładką i dwiema kostkami cukru.

Wkrótce też do kubka z kotkiem nalano mu z czajnika podbarwionej, gorącej cieczy i obiecano repetkę.

Wszystko to znaczyło: jest ósma rano dwudziestego siódmego grudnia.

Innocenty wrzucił całodzienny zapas cukru do kubka i chciał, już zupełnie zapominając o fasonie, pomieszać palcem, ale palec nie wytrzymał temperatury wrzątku. Beltając więc kubkiem kuliście wypił z rozkoszą płyn (jeść wcale mu się nie chciało) i podniesieniem ręki poprosił o nową porcję.

Drugi kubek, już bez cukru, Innocenty wchłonął z dreszczem rozkoszy, jeszcze ostrzej czując herbaciany aromat.

Myślał teraz z jasnością nigdy przedtem nie odczuwaną.

W ciasnym przejściu między ławą i przeciwległą ścianą, zaczepiając o zwinięty w rulon materac, zaczął się teraz przechadzać w oczekiwaniu walki - trzy kroczki naprzód, trzy kroczki wstecz.

Zdawało mu się, że widzi starcie między amerykańską Statuą Wolności i naszą, robotniczo-chłopską, wirującą w tańcu, widzianą już w setkach filmów. I oto on wtrynił się przedwczoraj między te dwa kolosy, w najstraszniejszym punkcie - i zostanie zgnieciony.

Ale inaczej nie mógł. Nie mógł pozwolić sobie na obojętność.

Padło na niego...

Jak to mówił wujek Awenir? Jak to właściwie powiedział Hercen: „Gdzie kończy się patriotyzm? Dlaczego miłość ojczyzny... ?”

Przypomniał sobie wujka Awenira i poczuł falę ciepła; to było najważniejsze wspomnienie. Iluż to mężczyzn, ile kobiet często widywał całymi latami, z iloma przyjaźnił się, z iloma się bawił - a tymczasem twerski wujek ze śmiesznego domeczku, z którym tylko dwa dni spędził, okazał się tu, na Łubiance, najpotrzebniejszy. Najważniejszy człowiek w całym życiu.

Depcząc siedem stóp ślepej podłogi Innocenty próbował przypomnieć sobie jak najwięcej z tego, co mówił mu wtedy wujek. To i owo przypomniał sobie. Ale nie wiedzieć czemu co innego dźwięczało w uszach:

„Intymne uczucia zadowolenia i niezadowolenia są najwyższymi kryteriami dobra i zła”.

To nie słowa wujka, tylko jakaś bzdura. Ach, to Epikur, wczoraj jeszcze tego nie rozumiał. Ale dzisiaj jest już jasne: dobrem jest to, co mi się podoba, a co mi się nie podoba - to jest złem. Stalin na przykład ma przyjemność z zabijania - a więc to jest dla niego dobrem? Iść do więzienia za to, że chciałeś uratować innych - to oczywiście żadna

przyjemność, ale czy to zło?

Jakie to się mądre wydaje, kiedy tych filozofów czyta człowiek na wolności. Ale teraz dobro i zło dla Innocentego wyodrębniły się w sposób konkretny i rozdzielają je widomie te jasnoszare drzwi, te oliwkowe mury, ta pierwsza więzienna noc.

Z wysokości walki i cierpienia, na którą się wzniósł, mądrość wielkiego filozofa starożytności zaczęła mu się wydawać niemowlęcym gaworzeniem albo wręcz busolą dla dzikusów.

Zgrzytnęły drzwi.

- Nazwisko? - ostro rzucił jakiś nowy strażnik o wschodnich rysach.

- Wołodin.

- Na przesłuchanie! Ręce do tyłu!

Innocenty skrzyżował ręce na plecach i wyszedł z boksu zadzierając wysoko brodę, jak ptak pijący wodę. Dlaczego miłość ojczyzny ma obejmować również... ?

94

W szaraszce też była pora śniadania i porannej herbaty. Ten dzień, który z rana zapowiadał się zupełnie zwyczajnie, z początku tylko tym różnił się od innych, że starszy lejtnant Szusterman czepiał się bardziej niż zwykle; szykował się do zmiany dyżuru i starał się przeszkodzić więźniom spać po dzwonku na pobudkę. Spacer też nie był miły; po wczorajszej odwilży nocą chwycił mroźnik i wydeptane ścieżki na spacerniku pokryły się śliskim lodem. Wielu zeków wychodziło tylko po to, żeby zrobić jedno okrążenie i po paru poślizgach wrócić do więzienia. W izbach zaś więźniowie siedzący na kojach, jedni na dolnych, a inni - podciągając nogi albo zwieszając je - na górnych, nie spieszyli się do wstawania, tylko drapali się w piersi, ziewali i zabierali się od wczesnego ranka do niewesołych żartów nad sobą, nad swoim złym losem, albo też opowiadali sobie sny, co jest ulubionym więziennym zajęciem.

Ale chociaż wśród tych snów było i przejście nad mętłym potokiem po kładce, i wzuwanie długich butów - to nie było snu, który by jasno wróżył hurtową wysyłkę na etap.

Sołogdin rankiem jak zwykle poszedł piłować drwa. W nocy miał okno otwarte, a wychodząc otworzył je jeszcze szerzej.

Rubin, z głową zwróconą w stronę tego samego okna, nie zamienił z Sołog-dinem ani słowa. Tę noc też spędził bezsennie, położył się późno, poczuł teraz chłodny przeciąg od strony okna, nie wtrącał się do tego, co robił krzywdziciel, tylko włożył futrzaną czapkę z

opuszczonymi nausznikami, włożył fufajkę; tak ubrany nakrył się kołdrą aż po czubek głowy i leżał pod nią skulony, nie wstając na śniadanie, za nic sobie mając upomnienia Szustermana i hałas panujący w izbie. Starał się odespać swoje.

Potapow wstał jeden z pierwszych, pospacerował, był też jednym z pierwszych przy śniadaniu. Już zdążył wypić herbatę, zaścielił łóżko w kanciasty równo-ległoscian i siedział czytając gazetę - ale całą duszą rwał się do roboty (miał dzisiaj wycechować ciekawe urządzenie miernicze swojego własnego pomysłu).

Na śniadanie były jagły, dlatego wielu nie poszło wcale do jadalni.

Gerasymowicz wręcz przeciwnie, długo siedział przy śniadaniu, metodycznie i bez pośpiechu posilając się małymi drobinkami kaszy. Patrząc z boku nie sposób było domyślać się w nim teoretyka przewrotu pałacowego.

Z drugiego kąta na poły pustej jadalni Nierzyn patrzył na niego i zastanawiał się, czy miał rację polemizując wczoraj. Wątpienie jest rękojmią rzetelności procesu poznawczego, ale do jakiej granicy wolno się cofać podając coś w wątpliwość? Bo istotnie, jeżeli nigdzie w świecie nie będzie już miejsca na wolne słowo, jeżeli „Times” wypełni się posłusznie przedrukami z „Prawdy”, jeżeli Murzyni znad Zambezi będą podpisywać pożyczki państwowe, kołchoźnicy znad Loary będą harować za dzienną stawkę, zaś partyjne knury - wypoczywać w kalifornijskich ogrodach otoczonych dziesięcioma płotami - to po co jeszcze żyć?

Jak długo można chować się za swoje „nie wiem”?

Ledwie tknąwszy śniadania Nierzyn wrócił na swoją górną koję, padł na wznak i patrzył w głąb sklepienia nad głową.

W celi rozmawiano o Ruście. Nie wrócił na noc, nie było wątpliwości, że jest aresztowany. W sztabie więziennym była mała ciemna klitka; tam go zamknęli.

Mówiono niezupełnie otwarcie, nie nazywano go na głos podwójnym agentem, ale to się rozumiało. Rozmowa obracała się dookoła tego, że dowalić nowego wyroku już mu nie mogą, ale żeby mu tylko nie zamienili dwudziestu pięciu lat łagru na dwadzieścia pięć lat izolacji (w tym roku zaczęto już budować specjalne więzienia złożone z cel-pojedynek i coraz bardziej wchodziło w modę zamykanie w tych izolatorach). Rozumie się, że Szykin nie oskarży Ruski o podwójną grę. Ale przecież wcale nie musi oskarżać człowieka właśnie o to, czym zawinił; jeżeli jest blondynem, można zarzucić mu, że ma czarne włosy - a wyrok dać taki, jaki się należy blondynowi.

Gleb nie wiedział, jak daleko zaszła u Ruski sprawa z Klarą i czy wypada jakoś ją uspokoić? I jak mianowicie?

Rubin zrzucił kołdrę i ukazał się obecnym w swojej futrzanej czapce i fufajce, wszyscy się roześmiali. Nie miał zresztą nic przeciw temu, aby śmiano się z jego osoby, nie znosił tylko wyśmiewania się z socjalizmu. Zdjąwszy czapkę, ale nie zdejmując fufajki i nie zamierzając jeszcze wstać, aby się ubrać, bo nie miało to już teraz większego sensu (czas na spacer, mycie i śniadanie tak czy owak był stracony), Rubin poprosił kogoś, aby nalano mu szklankę herbaty, i siedząc na pościeli z poczochną brodą zupełnie machinalnie wkładał do ust kawałki białego chleba z masłem i wlewał gorący płyn ze szklanki - sam zaś, nawet nie przetarłszy oczu, zatopił się w lekturze powieści Uptona Sinclaira, którą trzymał w tej samej ręce, co szklankę. Był w jak najgorszym nastroju.

Poranny obchód szedł już swoim trybem. Obejmował dyżur minor. Liczył głowy, Szusterman zaś odczytywał komunikaty. Po wejściu do półkolistej izby Szusterman oznajmił podobnie jak w poprzednich salach:

- Uwaga! Komunikuje się więźniom, że po kolacji nikogo nie będzie się wpuszczać do kuchni po wrzątek i w sprawie wrzątku nie wolno pukać ani wzywać dyżurnego!

- Czyje to rozporządzenie? - ryknął z wściekłością Priancykow wyskakując z pieczary między piętrowymi kojami.

- Komendanta więzienia - z powagą odparł Szusterman.

- Kiedy zostało wydane??

- Wczoraj.

Priancykow potrząsnął pięściami wyciągając nad głowę cienkie, chude ramiona, jakby wzywał na świadków niebo i ziemię.

- To niemożliwe!! - protestował z oburzeniem. - W sobotę wieczorem sam minister Abakumow obiecał mi, że w nocy będzie wrzątek. To przecież logiczne! Przecież my pracujemy do północy!

Odpowiedział mu ogólny wybuch śmiechu.

- To nie pracuj do północy, bucu - mruknął basem Dwojetiosow.

- Nie możemy trzymać nocnego kucharza - Szusterman znalazł logiczne uzasadnienie.

I zaraz potem, biorąc listę z rąk minora, Szusterman złowróbnym tonem, który wszystkim kazał zamilknąć, oznajmił:

- Uwaga! Dziś nie idą do pracy i szykują się do transportu... Z waszej celi:

Chorobrow! Michajłow! Nierzyn! SiomuszkinL. Przygotować do zwrotu rzeczy z majątku państwowego!

Obaj dyżurni wyszli.

Ale czterech wyczytanych zakręciło się po pokoju, jakby ich trąba powietrzna porwała.

Nikt już nie pił herbaty i nie jadł kanapek, ludzie cisnęli się do siebie nawzajem. Czterech na dwudziestu pięciu - to było niezwykle, obfite żniwo. Wszyscy naraz zaczęli gadać, podniecone głosy mieszały się z przygnębionymi i pełnymi sztucznego lekceważenia. Niektórzy stawali na górnych kojach wymachując rękoma, inni brali się za głowy, tamci dowodzili czegoś zapalczywie bijąc się w piersi, owi już zrywali powłoczki z poduszek, w ogóle zaś cały pokój zamienił się w takie siedlisko wszelkiego nieszczęścia, rezygnacji, wściekłości, zawziętości, skarg i domniemań - a wszystko to stłoczone w nieopisanej ciasnocie, przemieszane paroma warstwami, że Rubin stanął na łóżku w całej okazałości, w fufajce, ale w kalesonach i ryknął gromko:

- Historyczna data! Poranek przed kaźnią strzelców!* I rozłożył ręce. Podniecony jego wygląd wcale nie znaczył, że Rubin cieszył się z wiadomości o transporcie. Tak samo by się śmiał, gdyby jego samego wysyłano. Dla niego nie było nic świętego - jeżeli mógł to obrócić w żart.

Etap - jest takim samym fatalnym progiem w życiu więźnia jak rana w życiu żołnierza. Podobnie jak rana może być lekka albo ciężka, uleczalna albo śmiertelna, tak samo etap może być bliski albo daleki, może oznaczać wytchnienie albo śmierć.

Kiedy się czyta opisy okropności katorgi u Dostojewskiego - to człowiek aż się dziwi: jak łatwo i spokojnie odsiadywano tamte wyroki! Przecież w ciągu dziesięciu lat kary nie mieli ani jednego transportu!

Życie zeka przebiega w stałym punkcie, zek przyzwyczajają się tam do swoich kolegów, do swojej pracy, do swojej zwierzchności. Choćby jak najdalszy był od żądy zysku, chcąc nie chcąc staje się właścicielem różnych różności: wkrótce już ma w majątku fibrową walizkę przyslaną z wolności albo zmajstrowaną w obozie z dykty. Ma też w posiadaniu ramkę, w którą wstawia fotografię żony lub córki, szmaciane papucie, w których po robocie łązi po baraku, a w dzień dobrze chowa przed rewizją; może się też zdarzyć, że przyschły mu jakoś do tyłka niezaliczone, bawełniane porcięta, albo że udało mu się nie oddać do magazynu znoszonych butów - i wszystko to stara się ukryć między jedną inwentaryzacją a

drugą. Ma nawet własną igłę, guziki dobrze poprzyszywa i zawsze chowa kilka na zapas. Miewa też tytoń w kapciuchu.

Jeżeli zaś jest jeszcze frajerem - to ma w majątku proszek do zębów i czasami je czyści. Kolekcjonuje listy od rodziny, z czasem zdobywa własną książkę i dzięki niej może drogą wymiany przeczytać wszystkie książki w obozie.

Ale oto, jak piorun, uderza w jego mały świat wiadomość o etapie - zawsze bez ostrzeżenia - zawsze tak obliczona, żeby zaskoczyć zeka znienacka, zawsze w ostatniej chwili. I oto lecą do dziury w klozecie rwane szybko na strzępy listy najbliższych. I oto konwój - jeżeli transport przewidziany jest bydłęcymi, czerwonymi wagonami - obcina zekowi wszystkie guziki, tytoń zaś i proszek do zębów rozwiewa z wiatrem, jako że można nim w drodze oslepić konwojenta. I oto konwój - jeżeli transport ma się odbyć wagonami stołypinowskimi - zaciekle miażdży buciorami walizki nie chcące wleźć do wąskiej celki na kołach, łamiąc jednocześnie ramkę fotografii. W obydwu wypadkach zabierają książki, których * Aluzja do znanego w Rosji obrazu Surikowa. Chodzi o egzekucję carskich strzelców, którzy podnieśli bunt przeciw Piotrowi Wielkiemu, stając po stronie jego siostry, Zofii. w drodze mieć nie wolno; igłę, którą można przepiłować kratę i zakłuć na śmierć konwojenta; wyrzucają na śmieci szmaciane papucie i zabierają na rzecz obozu dodatkową parę portek. I wolny już od grzechu własności, od skłonności do życia osiadłego, od marzeń o mieszczańskim ciepłku (które jeszcze Czechów tak słusznie napiętnował), od przyjaciół i od przeszłości - zek zakłada ręce do tyłu i w kolumnie czwórkowej („jeden krok w lewo albo w prawo, a eskorta otwiera ogień bez uprzedzenia”) w otoczeniu psów i konwojentów rusza do wagonów.

Każdy z was widział go w tej chwili na naszych stacjach kolejowych - ale starał się jak najszybciej opuścić tchórzliwy wzrok, wiernopoddanie odwrócić się, żeby lejtnant z konwoju nie powziął czasem jakiego podejrzenia i też człowieka nie zatrzymał.

Zek wchodzi do wagonu - i wagon zostaje przyczepiony zaraz za pocztowym. Z obu stron zakratowany na głucho, bez okien od strony tamburów, wagon ten jedzie sobie w zgodzie ze zwykłym rozkładem jazdy i wiezie w swoim dusznym, zamkniętym wnętrzu setki wspomnień, oczekiwań i obaw.

Dokąd to wiozą człowieka? Nikt tego nie powie. Co oczekuje zeka u końca drogi? Kopalnie miedzi? Leśna poręba? A może - tak pożądana pomoc przy robotach polnych, gdzie czasem uda się upiec sobie ziemniaczka i można nażreć się do syta buraków pastewnych?

Czy zek złapie szkorbut albo dystrofię już pierwszego miesiąca ogólnych robót? A może uda mu się dać nogę albo spotkać znajomego i złapać funkcję, zostać dyżurnym, sanitariuszem albo nawet pomocnikiem magazyniera? I czy dozwolona tam będzie korespondencja? Może całe lata nie będą teraz jego listy docierać do nikogo i rodzina zacznie go uważać za umarłego?...

Może wcale nie dojedzie na miejsce przeznaczenia? Może umrze w bydłym wagonie na biegunkę? Mogą przecież sześć dni i nocy wieźć transport bez chleba? A może konwojenci zatłuką go młotkami za czyjąś ucieczkę? Albo może w końcu drogi będą z nieogrzewanego wagonu wyrzucać jak belki zlodowaciałe trupy więźniów?

Czerwone transporty miesiąc idą do Sowgawani...

Świeć, Panie, nad duszą tych, co nie dojechali!

I chociaż z szaraszki puszczano jeszcze grzecznie, jeszcze nawet pozwalano zatrzymywać brzytwy - aż do pierwszego więzienia przejściowego - wszystkie te pytania z nieustającą siłą drażyły serca tych dwudziestu więźniów, których nazwiska wyczytano z listy transportowej przy wtorkowym obchodzie rannym.

Beztroskie, półswobodne życie zeków z szaraszki dla nich już się skończyło.

95

Jakkolwiek Nierżyn był już we władzy kłopotów związanych z transportem - rozпалиło się w nim i zaostrzyło pragnienie odegrania się przed wyjazdem na majorze Szykinie. I gdy rozległ się dzwonek wzywający innych do pracy, lekceważąc sobie rozkaz pozostania w części mieszkalnej i czekania na nadzorcę - Nierżyn (tak samo jak i pozostałych dziewiętnastu) rzucił się do drzwi wyjściowych. Wbiegł na trzecie piętro i zapukał do Szykina. Pozwolono mu wejść.

Szykin siedział za biurkiem ponury, z ciemną twarzą. Coś w nim uległo zachwianiu po wczorajszym dniu. Przepaść otwarła mu się pod jedną nogą i wciąż jeszcze zdawało mu się, że grunt się pod nim usuwa.

Ale jego nienawiść do tamtego szczeniaka nie znajdowała prostego i szybkiego ujścia! Wszystko, co mógł Szykin zrobić (i co było dla niego najbezpieczniejsze) to wydręczyć Doronina w karcerach, osmarować go z całego serca w charakterystyce i odesłać z powrotem na Workutę, gdzie z takim życiorysem na pewno trafi do brygady z obostrzonym reżimem i prędko odwali kitę. I rezultat będzie taki sam, jakby go rozstrzelano z wyroku.

Dzisiejszego ranka nie wezwał Doronina na przesłuchanie, bo oczekiwał rozmaitych

protestów i kłopotów ze strony wyznaczonych do etapu.

Nie mylił się. Wszedł Nierzyn.

Major Szykin dawno już nie mógł znieść tego chudego, krnąbrnego zeka z jego uporem i nieustępliwością, z jego bezczelną znajomością kodeksu. Szykin dawno już namawiał Jakonowa, żeby wysłać Nierzyna ciupasem i teraz ze złośliwą satysfakcją patrzył na wrogi wyraz twarzy wchodzącego.

Nierzyn miał wrodzony talent do zamykania treści skargi bez namysłu w kilku krótkich, nieodpartyach słowach i wygłaszania ich bez żadnej pauzy w ciągu tej małej chwili, gdy uchyla się w drzwiach celi kłapa dla przesuwania misek z jadłem. Umiał też zmieścić te słowa na kawałku bibulasto-toaletowego papieru, wydawanego w więzieniach dla pisania podań. W ciągu pięcioletniej odsiadki potrafił też wypracować specjalny, dobitny sposób rozmowy ze zwierchnością - w języku zeków nazywa się to odgrywać się kulturalnie. Używał wyłącznie wyrażeń grzecznych, ale pogardliwie ironiczny jego ton - któremu jednak nic nie można było formalnie zarzucić - był tonem rozmowy kogoś starszego z kimś młodszym.

- Obywatelu majorze! - powiedział już na progu. - Przyszedłem odebrać bezprawnie zarekwirowaną mi książkę. Mam powody sądzić, że sześć tygodni jest to termin wystarczający w warunkach, jakie daje sieć komunikacyjna Moskwy, aby przekonać się, że książka ta nie jest przez cenzurę zakazana.

- Książka? - zdziwił się Szykin (bo nie potrafił tak szybko - *m?iS. tzi* mądrzejszej odpowiedzi). - Co za książka?

- Przypuszczam również - ciągnął gładko Nierzyn - że obywatel wie, o jakiej książce mowa. O utworach wybranych Sergiusza Jesienina.

- Je-sie-ni-na? - major Szykin wparł się ostro plecami w oparcie krzesła, jakby teraz dopiero sobie przypomniał i jakby wstrząśnięty był brzmieniem tego buntowniczego nazwiska. Siwiejący jeź na jego głowie nastroszył się z oburzenia i wstrętu. - Jak w ogóle mogliście się ośmielić, żeby domagać się Je-sie-ni-na?

- A dlaczego nie? Toć wydany jest u nas, w Związku Sowieckim.

- To jeszcze nie wszystko!

- Prócz tego wydany został w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, to znaczy, że publikacja nie należy do objętego zakazem cenzury okresu tysiąc dziewięćset siedemnaście myślnik tysiąc dziewięćset trzydzieści osiem.

Szykin nachmurzył się.

- Skąd wzięliście taki okres?

Nierzyn odpowiadał tak płynnie, jakby zawczasu nauczył się wszystkich odpowiedzi na pamięć:

- Wyjaśnił mi to łaskawie pewien obozowy cenzor. W trakcie przedświątecznej rewizji zabrano mi słownik języka rosyjskiego Dala na tej podstawie, że była to edycja z roku 1935 i dlatego podlegała poważnej kontroli. Kiedy zaś dowiodłem cenzorowi, że słownik jest fotomechaniczną kopią wydania z 1881 roku, cenzor chętnie mi książkę zwrócił i wyjaśnił, że przedrewolucyjne wydania nie budzą żadnych obiekcji, ponieważ wrogowie ludu jeszcze wówczas nie rozwijali swojej działalności. A tu faktycznie zachodzi ten przykry wypadek, że Jesienin został wydany w 1940-ym.

Szykin przez chwilę milczał z powagą.

- Niechby nawet. Ale wy - zapytał z naciskiem - wyście czytali tę książkę? Wyście ją całą czytali? Możecie stwierdzić to na piśmie?

- Aby żądać ode mnie oświadczeń na piśmie zgodnie z artykułem 95 KK RFSRR nie macie teraz podstaw prawnych. Ustnie zaś mogę stwierdzić: mam ten brzydki zwyczaj, że czytam te książki, które są moją własnością i na odwrót - staram się mieć tylko te książki, które czytam.

Szykin rozłożył ręce.

- Tym gorzej dla was!

Chciał w tym miejscu pozwolić sobie na znaczącą pauzę, ale Nierzyn wypełnił ją swoją repliką:

- Tak więc powtarzam swoją prośbę sumarycznie. Zgodnie z siódmym punktem rozdziału B regulaminu więziennego proszę o zwrot bezprawnie zabranej mi książki.

Otrząsając się z tego potoku słów Szykin podniósł się z krzesła.

Póki siedział przy biurku wydawało się, że jego wielka głowa należy do człowieka okazałego wzrostu - gdy zaś podniósł się z miejsca, zrobił się o wiele niższy, zwłaszcza rzucały się w oczy jego króciutkie kończyny. Z twarzą coraz ciemniejszą podszedł do szafy, otworzył ją i wydobyl zgrabny tomik Jesienina, z obwolutą osypaną klonowymi listkami.

W kilku miejscach widniały zakładki. Dalej nie proponując Nierzynowi, aby usiadł, Szykin wygodnie rozparł się w swym fotelu i zaczął bez pośpiechu przerzucać stronicę od zakładki do zakładki. Nierzyn także spokojnie usiadł, oparł dłonie na kolanach i ciężkim,

nieustępliwym wzrokiem obserwował Szykina.

- No, proszę, na przykład - westchnął major i bez żadnego wyczucia, mieszając tkanę wiersza jak ciasto, przeczytał:

Ach, wy cudze, nieżywe dłonie, Wy tym pieśniom gardło zdławicie. Tylko będzie kłosom, jak koniom Ciągłe dawny gospodarz śnić się.

- O jakim tu mowa gospodarzu? Czyje to dłonie? Więzień patrzył na pulchne, białe dłonie opera.

- Jesienin był ograniczony klasowo i wielu rzeczy nie rozumiał do końca. Jak Puszkina, jak Gogol...

Coś nowego pojawiło się w głosie Nierżyna, coś, co kazało Szykinowi zerknąć na niego spość łba z pewnym strachem. A jak teraz, całkiem po prostu, weźmie i rzuci się na towarzysza majora: przecież nie ma już nic do stracenia? Na wszelki wypadek Szykin uchylił drzwi.

- A to jak należy zrozumieć? - przeczytał wróciwszy do swego fotela:

Białą różę z czarną ropuchą Chciałem tutaj pożenić na ziemi...

No i dalej w tym duchu... Do czego to aluzja? Ściśnięte skurczem gardło więźnia drgnęło.

- Bardzo po prostu - odpowiedział. - Nie trzeba próbować pogodzić białej róży prawdy z czarną ropuchą łajdactwa!

Jak czarna ropucha siedział przed nim krótkoręki, wielkogłowy, czarniawy na gębie kum.

- Ale, obywatelu majorze - Nierżyn mówił szybko, jedno słowo goniło drugie - ja nie mam czasu bawić się tu z wami w literacką analizę. Czeka na mnie konwój. Sześć tygodni temu obywatel mi oświadczył, że zażąda informacji od cenzury. Czy obywatel major pytał? Szykin wzruszył ramionami i zamknął żółtą książeczkę.

- Nie muszę opowiadać się przed wami! Książki wam nie oddam i wszystko jedno, nie będziecie mogli jej wywieźć.

Nierżyn podniósł się z gniewem, nie odrywając oczu od Jesienina. Wyobrażał sobie, jak tę książeczkę niegdyś trzymały litościwe ręce żony, jak pisała mu na niej:

„Tak samo będzie ci przywrócone wszystko, coś utracił!”

Słowa bez żadnego wysiłku sypały mu się z ust:

- Obywatelu majorze! Mam nadzieję, że obywatel nie zapomniał, jak to przed dwoma

laty domagałem się, ażeby Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego zwróciło mi zarekwirowane bez żadnej nadziei na zwrot polskie złote, i chociaż w przeliczeniu suma zmniejszyła się dwudziestokrotnie, to jednak otrzymałem je po rozpatrzeniu tej sprawy przez Radę Najwyższą. Mam nadzieję, że obywatel major nie zapomniał, jak domagałem się tych pięciu gramów mąki do zasmażek? Śmiano się ze mnie, ale w końcu to wyprawowałem! Przykładów jest co niemiara! Uprzedzam was, że nie oddam wam tej książki! Będę zdychać na Kołymie, a wydrę wam ją! Zapelnę skargami na was wszystkie skrzynki KC i Rady Ministrów. Oddajcie po dobremu!

I major bezpieczeństwa państwowego nie dotrzymał placu temu pozbawionemu praw, skazanemu na zagładę, posyланemu na powolną śmierć zekowi. Rzeczywiście, zwracał się do cenzury i ku swemu zdziwieniu otrzymał odpowiedź, że książka formalnie nie jest zakazana. Formalnie!! Czujny nos podpowiadał Szykinowi, że to zaniedbanie, że ta książka koniecznie powinna być zakazana. Ale warto było uchronić swoje imię od skarg tego niezmordowanego pieniacza.

- Dobrze - ustąpił major. - Zwracam ją wam. Ale zabrać jej tak czy siak nie pozwolimy.

Nierzyn wyszedł na schody z uczuciem triumfu, przyciskając do piersi miłą, błyszczącą, złotą obwolutę. To był symbol dobrego losu właśnie w chwili, kiedy wszystko się waliło.

Na podeście schodów minął grupę więźniów rozmawiających o najnowszych wydarzeniach. W samym jej centrum (ale tak, żeby nie podpaść) perorował Sy-romacha:

- Do czego to doszło?! Ta-akich chłopaków wysyłać na etap! Za co? Albo ten Ruska Doronin? Co za gad go sypnął, co?

Nierzyn pospiesznie zmierzał do akustyki i kalkulował, jak by tu jak najszybciej zniszczyć swoje notatki, zanim nie przydzielą do niego strażnika. Istniała zasada, aby wyznaczonym do transportu nie pozwalać chodzić luzem po szaraszce. Tylko znacznej liczbie wysyłanych, a być może także łagodności ciapowatego minora, który stale pozwalał sobie na niedopatrzania, Nierzyn zawdzięczał ostatnie, krótkie chwile wolności.

Otworzył drzwi akustyki i zaraz zobaczył otwarte drzwiczki szafy pancerniej, a przy nich - Simoczkę, znów w nieładnej, pasiastej sukience, z szarą chustką z koziej wełny na ramionach.

Ani słowa, ani spojrzenia jeszcze nie zdążyli wymienić po wczorajszej okrutnej

rozmowie.

Jeszcze nie zobaczyła, ale już poczuła, że to wszedł Nierzyn, i zmieszała się, zastygła, jakby zastanawiając się, co właściwie ma wyjąć z szafy.

On zaś nie namyślał się, nie bawił w rozważania - tylko wszedł między rozchylone żelazne drzwiczki szafy i powiedział szeptem:

- Serafimo Witaliewna! Po wczorajszej rozmowie - byłoby czymś nieludzkim, gdybym jeszcze zwracał się do pani. Ale grozi zagłada plonom wielu lat mojej pracy. Czy mam to spalić? Czy nie wzięłaby pani tego?

Już wiedziała o jego wyjeździe. Podniosła smutne oczy, które tej nocy się nie zmrużyły, i powiedziała:

- Proszę dać.

Ktoś zbliżał się do pracowni. Nierzyn odskoczył, podszedł do swojego biurka i zobaczył wchodzącego Rojtmana. Twarz Rojtmana wyrażała zakłopotanie. Z niezręcznym uśmiechem powiedział:

- Panie Glebie! Tak mi przykro! Nikt mnie nie uprzedził o tym... Pojęcia nie miałem... A dziś już nic się nie da zrobić.

Nierzyn z zimnym rozzaleniem spojrział na człowieka, o którym do dnia wczorajszego myślał, że jest szczery.

- Ech, panie Adamie! Nie pierwszy dzień przecież tu jestem. Takich rzeczy nie robi się bez udziału kierownika pracowni.

I zabrał się do opróżniania szuflad biurka. Na twarzy Rojtmana zjawiał się wyraz bólu.

- Ależ panie Glebie, proszę mi wierzyć, nikt mnie nie pytał, nikt nie uprzedził...

Mówił to na głos w przytomności całego laboratorium. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Jak przykuty wpatrywał się w Nierzyna robiącego porządku na biurku. Rzeczywiście nikt go się nie radził.

- Materiały z badań nad artykulacją mam oddać Serafimie Witaliewnie? - zapytał Nierzyn beztroskim tonem.

Rojtman nic nie odpowiedział i powoli wyszedł z pokoju; był zgnębiony.

- Proszę to przyjąć, panno Serafimo - powiedział Nierzyn i zaczął przenosić na jej biurko teczki, skoroszyty, wykresy.

Do jednej z teczek włożył już swój skarb - trzy notesy. Ale jakiś niewidzialny doradca wewnętrzny powstrzymał mu rękę.

Ale jeżeli nawet jej wyciągające się ręce są ciepłe - to czy na długo starczy tej panińskiej lojalności?

Przełożył notesy do kieszeni, a teczki dalej znosił na biurko Simoczki.

Płonęła biblioteka w Aleksandrii. Płonęły, ale nie poddawały się kroniki po klasztorach. I sadza z łubiańskich kominów - sadza z palonych papierów, papierów, papierów - padała na zeków wyprowadzanych na spacer aż na ogrodzony dach więzienny.

Może więcej popalono wielkich myśli, niż ich opublikowano...

Jeżeli tylko głowę uniesie cało - to czyż nie potrafi tego odtworzyć?

Nierzyn potrząsnął zapalkami, wybiegł, zamknął się w ubikacji.

I po dziesięciu minutach wrócił blady, obojętny...

Przez ten czas do pracowni przyszedł Priancykow.

- Ależ jak to można? - wykrzykiwał. - Zrobili z nas tu drewna! Już się nawet nie oburzamy! Wysyłać transportem! To można robić z bagażem, ale kto dał prawo tak ludzi traktować?

Gorące słowa Walentuli znajdowały echo w sercach zeków. Przejęci transportem, w ogóle dziś w laboratorium nie pracowali. Etap, transport - to zawsze była chwila przestrogi, przypomnienia, że „wszyscy tam kiedyś będziemy”. Transport zmuszał każdego zeka, nawet nie zagrożonego bezpośrednio, by pomyślał chwilę o niepewnym swoim losie, o toporze GUŁagu wciąż wiszącym nad głową. Nawet jeżeli zek niczym nie zawinił, na dwa latka przed końcem kary odsyłany był bez apelacji z szaraszki do łagru, żeby zapomniał o wszystkim i został w tyle za rozwojem badań. Tylko skazani na dwadzieścia pięć lat nie mieli w perspektywie końca kary, więc operzy lubili przyjmować ich do szaraszek.

Nierzyna otoczyła malownicza grupa zeków. Niektórzy obsiedli nawet stoły zamiast krzeseł, podkreślając tym jakby, że chwila jest uroczysta. Byli w nastroju filozoficznym i melancholijnym.

Podobnie jak na pogrzebie wychwala się wszystkie dobre strony nieboszczyka, tak teraz przypominano na chwałę Nierzyna, jak to potrafił wyciskać wszystko z przepisów, ile to razy bronił wspólnych interesów. Ktoś przytoczył sławną historię z mąką do zasmażek: dosłownie zasypał skargami zarząd więziennictwa i ministerstwo spraw wewnętrznych twierdząc, że codziennie urywa się pięć gramów mąki osobiście jemu (według regulaminu więziennego nie wolno było składać skarg kolektywnych ani zażaleń - że czegoś tam brak innym, wszystkim. Chociaż w zasadzie więzień powinien był reedukować się w duchu

socjalistycznym, ale zabraniało mu się obrony wspólnych interesów). Zeki z szaraszki jeszcze w tym okresie nie czuli sytości i walka o pięć gramów mąki bardziej ich pasjonowała niż wydarzenia międzynarodowe. Fascynująca epopeja zakończyła się zwycięstwem Nierżyna; usunięto ze stanowiska „kapitana od gaci”, pomocnika naczelnika specwizji do spraw gospodarczych, a ze zwróconych pięciu gramów mąki cała załoga szaraszki miała dwa razy w tygodniu dodatkową porcję klusek. Przypomniano też walkę Nierżyna o przedłużenie niedzielnych spacerów, choć ta skończyła się porażką.

Sam Nierżyn prawie że nie słuchał tych panegiryków. Nadszedł dla niego moment działania, energia wprost go rozsadzała. To, co najgorsze - już się stało i tylko od niego zależało, żeby przyszłość nie była taka zła. Przekazał Simoczce materiały z badań nad artykulacją, a pomocnikowi Rojtmana - wszystkie tajne akta, podarł na strzępy i spalił wszystkie papiery osobiste, złożył w kilku stosach wszystko, co należało do biblioteki, a teraz wydobywał z szuflad całą resztę i rozdawał kolegom. Już było wiadomo, kto dostanie jego obrotowe żółte krzesło, kto niemieckie biurko z żaluzjami, kto - kałamarz, kto zaś - rulon kolorowego, marmurkowego zdobycznego papieru. Nieboszczyk z wesołym uśmiechem sam rozdawał swoją schedę, spadkobiercy zaś znosili mu po dwie, po trzy paczki papierosów (takie były prawa szaraszki: na t y m świecie papierosy były w obfitości, na t a m t y m świecie były droższe od chleba).

Z działu supertajnego przyszedł Rubin. Oczy miał smutne, obwisły mu dolne powieki.

Porządkując książki Nierżyn powiedział do niego:

- Gdybyś lubił Jesienina, tobym ci go teraz podarował.

- Jak to? Wywojowałeś?

- Ale Jesienin niewystarczająco zbliżył się do proletariatu.

- Nie masz pędzelka do golenia - Rubin wydobył z kieszeni wytworną według więziennych pojęć pędzelek, osadzony w polerowanym trzonku z masy plastycznej - a ja i tak poprzysiągłem nie golić się aż do dnia rehabilitacji, więc go sobie weź!

Rubin nigdy nie mówił „dzień wyjścia na wolność”, bo mogło to oznaczać przepisany prawem koniec kary, zawsze zaś mawiał „dzień rehabilitacji”, ponieważ wciąż starał się o ponowne rozpatrzenie swojej sprawy.

- Dziękuję stary, ale tyś tak się tu zdomowił, że zapomniałeś o porządkach w łagrze. Kto w łagrze pozwoli mi na to, abym sam się golił?... Pomożesz odnieść książki?

I zabrali się do układania i porządkowania książek i czasopism. Gapie rozeszli się.

- No, jak tam twój podopieczny? - cicho zapytał Gleb.
- Podobno już ich aresztowano tej nocy. Dwóch najważniejszych.
- Jak to - dwóch?
- Dwóch podejrzanych. Historia łącznie ofiar.
- A może je go nie złapali?
- Myślę, że go już mają. Obiecali przysłać nagrania z przesłuchań jeszcze przed obiadem. Porównamy.

Nierzyn podniósł głowę znad kupki książek.

- Słuchaj no, po co w końcu Związkowi Sowieckiemu ta cała bomba atomowa? Ten chłopak nie tak głupio to pomyślał.

- Moskiewski pozer, drobny chłystek, możesz mi wierzyć.

Obładowani mnóstwem woluminów opuścili pracownię i poszli po schodach na górę. W niszy korytarza na górnym piętrze przystanęli, aby poprawić rozsypujące się stopy i odpocząć chwilę.

Oczy Nierzyna, które w czasie porządkowania paliły się ogniem niezdrowego podniecenia, teraz przygasły i znieruchomiały.

- No i patrz - powiedział przeciągając słowa - nawet trzech lat nie spędziliśmy razem, cały czas toczyliśmy spory i kpiliśmy z siebie, a teraz, kiedy cię tracę, chyba na zawsze, czuję tak jasno, że jesteś jednym z najbardziej mi...

Głos mu się załamał.

Duże, czarne oczy Rubina, w których tyłu innych widziało tylko iskry gniewu, teraz pełne były ciepła i wstydliwego rozczulenia.

- Tak się już złożyło - przytaknął. - Chodź, pocałujmy się, stary koniu.

I przycisnął Nierzyna do swojej czarnej, korsarskiej brody.

I zaraz potem, ledwie weszli do biblioteki, dogonił ich Sołogdin. Twarz miał bardzo zatroskaną. Zbyt mocno trzasnął oszklonymi drzwiami, szyby brzękły i bibliotekarka obejrzała się z niezadowoloną miną.

- Tak, Glebie, tak! - powiedział Sołogdin. - Stało się, wyjeżdżasz.

Nie dostrzegając stojącego obok „biblijnego fanatyka” Sołogdin patrzył tylko na Nierzyna.

Również Rubin nie znalazł w sobie żadnego pociągu do zgody z „nieznośnym hidalgo” i odwrócił wzrok.

- Więc wyjeżdżasz. Szkoda. Wielka szkoda.

Ileż to razy rozmawiali ze sobą przy piłowaniu, ile to się nadyskutowali podczas przechadzek! Ale teraz nie na miejscu i nie na czasie były te zasady myślenia i działania, które Sołogdin chciał mu wpoić i jakoś nie zdążył.

Bibliotekarka zniknęła za regałem. Sołogdin powiedział niemal bezgłośnie:

- Daj jednak spokój z tym swoim sceptycyzmem. To po prostu wygodny chwyt, żeby nie walczyć.

Tak samo cicho odpowiedział mu Nierzyn:

- Ale twoje wczorajsze słowa... o tym kraju zatraconym, skoślawionym... to chwyt jeszcze wygodniejszy. Już nic nie rozumiem.

Sołogdin błysnął błękitem oczu i zębami:

- Za małośmy z tobą gadali, jesteś zacofany. Ale słuchaj, czas to pieniądz. Jeszcze nie jest za późno. Zgódź się zostać licznikiem - a ja, być może, zdążę sprawić, abys tu został. W pewnym tutejszym zespole. - (Rubin ze zdziwieniem zerknął na Sołogdina). - Ale trzeba będzie dobrze się natyrać, rzetelnie cię uprzedzam.

Nierzyn westchnął.

- Dziękuję ci, Mitia. Sam miałem taką możliwość. Ale jeśli tyrać - to kiedy się rozwijać? Jakoś już się nastawiłem na ten eksperyment. Przysłowie powiada: nie w morzu się tonie, tylko w kałuży. Chcę wplaw przez morze, spróbuję.

- Tak? Rób, jak uważasz, rób, jak uważasz - szybko i rzeczowo mówił Sołogdin. - Wielka szkoda, Glebie, wielka szkoda.

Twarz miał markotną, spieszył się i ledwie potrafił ten pośpiech powściągnąć.

Stali tak we trójkę i czekali, a tymczasem bibliotekarka z farbowanymi włosami, mocno uszminekowanymi ustami i grubo upudrowaną twarzą, też lejtnant bezpieczeństwa, leniwie sprawdzała kartę biblioteczną Nierzyna.

A Gleb, bolejący nad waśnią swoich przyjaciół, w głuchoj ciszy biblioteki powiedział do nich szeptem:

- Kochani, powinniście się pogodzić!

Ani Sołogdin, ani Rubin nawet nie drgnęli.

- Mitia! - nalegał Gleb.

Sołogdin sparzył go swoim błękitnym spojrzeniem.

- Dlaczego zwracasz się właśnie do mnie? - zdziwił się.

- Lewku!

Rubin popatrzył ze znudzoną miną.

- Wiesz, dlaczego konie długo żyją? - i po krótkiej pauzie odpowiedział: - Dlatego, że nigdy nie bawią się w wyjaśnienia zasadnicze.

Po załatwieniu spraw inwentarzowych i służbowych, naglony przez strażnika, żeby pakował to, co miał w celi - Nierzyn z rękoma pełnymi paczek z papierosami spotkał na korytarzu Potapowa spieszącego dokądś ze skrzynką pod pachą. Przy pracy Potapow chodził wcale nie tak jak na spacerze. Mimo że kulał, kroczył szybko, wyprężoną szyję wyciągał do przodu, a głowę odrzucał do tyłu, mrużył oczy i patrzył nie pod nogi, ale gdzieś w dal, tak jakby chciał głową i spojrzeniem wyprzedzić swoje niemłode stopy. Potapow koniecznie chciał pożegnać się z Nie-rzynem i z innymi odjeżdżającymi, ale zaledwie wszedł rano do laboratorium, już wewnętrzna logika pracy wciągnęła go, zagłuszając wszelkie pozostałe uczucia i myśli. Zdolność zupełnego pograżenia się w pracy i zapominania o życiu była podstawą jego inżynierskich sukcesów przed aresztowaniem, czyniła z niego niezastąpionego robota pięciolatek, tutaj zaś pomagała mu znosić więzienne niewygody.

- To by było wszystko, Andreicz - zatrzymał go Nierzyn. - Nieboszczyk był w dobrym humorze i wciąż się uśmiechał.

Potapow przemógł się. Znowu spojrzał po ludzku. Wolną ręką sięgnął do karku, jakby chciał się podrapać w tył głowy.

- Ku-ku-u...

- Podarowałbym panu Jesienina, ale pan przecież i tak prócz Puszkina...

- Wszyscy tam w końcu będziemy - powiedział Potapow ze smutkiem.

Nierzyn westchnął.

- Gdzie się teraz znowu spotkamy? W kotłaskim etapowym? W indyjskich kopalniach? Jakoś nie chce się wierzyć, ażebyśmy mogli tak sami z siebie spotkać się zwyczajnie na miejskim trotuarze?

Potapow przymrużył oczy i wyskandował:

Kto czuł i kochał, tego trwoży Dzień niepowrotny widmem czczym. Już ten się złuda nie upija...

Z drzwi Siódemki wysunęła się głowa szalenie zapalonego do pracy Marku-szewa.

- Andreicz! Gdzie są filtry? Przecież robota czeka! - krzyknął z rozdrażnieniem.

Współautorzy „Uśmiechu Buddy” objęli się niezgrabnie. Paczki „Bielomorów”

posypały się na podłogę.

- Rozumie pan - powiedział Potapow - tarło, straszny pośpiech.

Tarłem Potapow nazywał chaotyczny, krzykliwy, bezładny i zadyszany styl pracy, który panoszył się w instytucie Marfino, nie w nim jednym zresztą, styl nazywany przez gazety „szturmowszczyzną”.

- Proszę pisać! - dodał Potapow i obaj zaśmiali się. Nic nie było bardziej naturalnego niż podobna prośba przy pożegnaniu, ale w więzieniu takie życzenie brzmiało jak szyderstwo. Między poszczególnymi wyspami archipelagu GUŁag korespondencja była uniemożliwiona.

I oto już ze skrzynką filtrów pod pachą, z szyją wyciągniętą do przodu i głową odrzuconą wstecz Potapow pomknął przez korytarz, jakby nawet wcale nie przypadając na nogę.

Nierzyn również ruszył spiesznie - do półkolistej izby, gdzie zaczął układać swoje rzeczy, przemyślnie odgadując z góry wszystkie zasadzki rewizji oczekujących go naprzód w Marfinie, a później w Butyrkach.

Strażnik wchodził już dwukrotnie, żeby go przynaglić. Inni wyznaczeni do transportu poszli już sami albo byli zapędzeni do sztabu więzienia. Gdy Nierzyn był już prawie gotów, wszedł do izby Spirydon wnosząc ze sobą świeżość powietrza z dworu. Ubrany był w swój czarny, ściągnięty pasem kaftan. Zdjął rudą czapkę z dużymi nausznikami, ostrożnie zagiął rożek czyjejś pościeli niedaleko od Nierzyna i - żeby nie zbrukać białego prześcieradła swoimi brudnymi watowanymi portkami - przysiadł na stalowej siatce.

- Spirydonie Daniłycz! Spójrz no tutaj! - powiedział Nierzyn i podsunął mu książkę.
- Już tu mam Jesienina!

- Oddał, gad? - po mrocznej twarzy Spirydona, zmarszczonej dziś bardziej niż zwykle, przebiegł promyk.

- Nie tak mi o książkę szło, Daniłycz - tłumaczył Nierzyn - ile o to, żeby nas po mordzie nie bili.

- A właśnie - przytaknął Spirydon.

- Bierz, bierz sobie książkę. Będiesz miał po mnie pamiątkę.

- Nie da rady zabrać? - zapytał Spirydon nieuważnie.

- Zaczekaj no - Nierzyn wziął książkę, otworzył ją i zaczął szukać jakiejś stronicy. - Zaraz ci znajdę, przeczytasz tu...

- No, to ruszaj, Glebie - niewesoło powiedział Spirydon. - Jak tam żyć w obozie - sam już wiesz: dusza rwie się do roboty, a nogi do szpitala.

- Teraz już nie jestem zielony, nie boję się. Spróbuję popracować. Wiesz, jak to mówią - nie w morzu się tonie, tylko w kałuży.

I dopiero w tej chwili Nierzyn spostrzegł, że Spirydon jest jakoś bardzo nieswój; samo rozstanie z przyjacielem tego nie objaśniało. I tu dopiero przypomniał sobie, że wczoraj - przez nowe szykany więziennego kierownictwa, przez polowanie na kapusiów, aresztowanie Ruski, przez rozmowę z Simoczka, z Gerasymowiczem - zupełnie zapomniał, że Spirydon miał dostać list z domu. Odłożył więc książkę.

- A list?! Dostałeś list, Daniłycz?

Spirydon trzymał już był rękę w kieszeni właśnie na tym liście. Teraz go wydobył - koperta złożona była wpół i już przetarta na zgięciu.

- Tu jest... Ale kiedy nie masz czasu... - wargi Spirydona drgnęły.

Ileż to razy od wczorajszego dnia ta koperta zginała się i znów rozginała! Adres napisany był dużym, krągłym, ufnym charakterem pisma córki Spirydona, takim, jaki jej został po piątej klasie szkoły powszechnej, bo chodzić do wyższych klas Wierze nie było już dane.

Jak to już mieli w zwyczaju, Nierzyn zaczął czytać list na głos:

„Kochany mój tatusiu!

Nie tylko pisać, ale nawet żyć już więcej nie mam śmiałości. Jacy to niedobrzy ludzie są na świecie, co mówią różne słowa - a oszukują... „

Nierzynowi głos się zapadł. Podniósł wzrok na Spirydona, zobaczył jego otwarte, prawie ślepe, nieruchome oczy pod krzaczastymi grubymi brwiami. Ale nie miał nawet sekundy na namysł, nie zdążył znaleźć rzetelnego słowa pociechy - bo już drzwi się otworzyły i wpadł rozgniewany Nadielaszyn.

- Nierzyn! - krzyknął. - Jak z wami po dobremu, to na głowę człowiekowi włazicie? Wszyscy już gotowi, tylko na was czekają!

Nadzorcy chcieli jak najspieszniej zgromadzić w sztabie wyznaczonych do transportu, jeszcze przed przerwą na obiad, żeby nie mogli już z nikim się spotkać. Nierzyn jedną ręką objął Spirydona za gęsto zarośnięty, niestrzyżony kark.

- Prędzej! Prędzej! Ani chwili dłużej - pilił minor.

- Daniłycz-Daniłycz - mówił Nierzyn obejmując rudego stróża.

Spirydon westchnął, w piersi mu zachrypiało, machnął ręką.

- Żegnaj, Glebie.

- Żegnaj na zawsze, Spiry donie Daniłyczu!

Pocałowali się. Nierzyn zabrał rzeczy i wyszedł szybko razem z dyżurnym.

A Spirydon ręką obrosłą wieloletnim, nie dającym się zmyć brudem, sięgnął po leżącą na łóżku otwartą książkę w obwolucie osypanej klonowymi liśćmi, założył ją listem córki i poszedł do swojej izby.

Nawet nie zauważył, że stracił kolanem swoją kudłatą czapkę i że została na podłodze.

96

W miarę jak wyznaczonych na etap więźniów spędzano do sztabu, byli oni poddawani rewizji, po zrewidowaniu zaś wpy - chano ich do zapasowej pustej izby, gdzie stały dwa gołe stoły i jedna grubo ciosana ława. Nie odstępował ich ani na krok sam major Myszyn, czasami zaglądał też pułkownik Klimentiew. Spasionemu, fioletowemu majorowi nieporęcznie było pochylać się nad workami i walizkami (zresztą - nie przystało ze względu na rangę), ale jego obecność przyczyniała się do szczególnej gorliwości podkomendnych hintów. Z zapalem grzebali więc we wszystkich aresztanckich szmatach, węzełkach, a szczególnie już czepiali się wszelkich papierków. Istniała instrukcja, że wyjeżdżający ze specwizienia nie mieli prawa zabierać ze sobą ani świstka zapisanego, zarysowanego czy zadrukowanego. Dlatego większość zeków zawczasu spaliła wszystkie listy, zniszczyła kajety z notatkami dotyczącymi ich fachu i rozdarowała książki.

Jeden z więźniów, inżynier Romaszow, który miał do końca kary tylko sześć miesięcy (odpękał już dziewiętnaście i pół roku) otwarcie wiozł dużą tekę wiele lat zbieranych wycinków, notatek i prac obliczeniowych dotyczących montażu elektrowni wodnych (sądził, że jedzie do Kraju Krasnojarskiego i bardzo liczył na to, że zatrudnią go tam w jego fachu). Chociaż teczkę przeglądał osobiście inżynier-pułkownik Jakonow i napisał na niej, że zgadza się na jej zabranie, chociaż major Szykin już posyłał ją do Zarządu i tam też postawili swoją wizę - cała ta wielomiesięczna opętańcza przezorność i uporczywa praca Romaszowa okazała się daremna; major Myszyn oznajmił teraz, że jemu nic o tej teźce nie wiadomo, i kazał ją więźniowi odebrać. Zabrano ją więc i wyniesiono, zaś inżynier Romaszow popatrzył tylko w ślad za nią ostygłymi, do wszystkiego przyzwyczajonymi oczyma. Przeżył już kiedyś wyrok śmierci i transport bydlęcymi wagonami do Sowgawani, i na Kołymie w szybie podstawił już nogę pod ceber do windowania rudy, żeby goleń trzasnął pod cebrem i

potem szpitalnym leżeniem ratował się przed białą śmiercią na polarnych robotach ogólnych. Nad zagładą plonów dziesięcioletniej pracy nie warto teraz było leż ronić.

Inny więzień, niziutki, łysy konstruktor Siomuszkin, który w niedzielę z taką starannością zajmował się cerowaniem skarpetek, był nowicjuszem, siedział wszystkiego jakieś dwa lata i to cały czas po więzieniach albo w szaraszce i teraz ogromnie był przerażony wyjazdem do łagru. Ale nie bacząc na przestrach i rozpacz, usiłował uratować dla siebie malutki tomik Lermontowa, który był dla niego i jego żony relikwią rodzinną. Błagał majora Myszyzna o zwrot książeczki, załamywał ręce jak dzieciak; ku zgorszeniu doświadczonych, znających swoją godność zeków usiłował wedrzeć się do gabinetu podpułkownika (nawet go nie wpuszczono) - i nagle wyrwał Lermontowa z rąk kuma (przestraszony Myszyn skoczył w stronę drzwi), z siłą, której nikt w nim nie podejrzewał, jednym szarpnięciem oderwał książkę od okładki, zieloną wytłaczaną okładkę cisnął gdzieś na bok, stronice zaś książeczki zaczął drzeć na pasy, spazmatycznie płacząc i krzycząc:

- Macie! Żyrcie! Napchajcie się! - i rozrzucał je po całym pokoju.

Kipisz trwał dalej.

Wychodzący po rewizji więźniowie z trudem poznawali się nawzajem: rozkazano im rzucić na jedną kupę granatowe kombinezony, na drugą - więzienną bieliznę z pieczęciami, na trzecią płaszcze, jeżeli jeszcze nie były obszarpane, i teraz przebierali się we własne rzeczy albo w odzież na zmianę. Przez lata pracy w szaraszce nie dorobili się nowych ubrań. I nie było to wynikiem złośliwości ani skąpstwa ze strony kierownictwa. Kierownictwu patrzyło na palce oko księgowości.

Do tego niektórzy z nich, mimo surowej zimowej pory, zostawali teraz bez ciepłej bielizny i wkładali na siebie majtki i gimnastyczne koszulki przez wiele lat butwiejące w ich workach w magazynie, takie same nie prane, jak w dniu przybycia z obozu; inni wzuwali niezgrabne obozowe okulaki (u kogo takie okulaki znaleziono w worku, temu zaraz zabierano półbuty „wolnościowego” typu razem z kaloszami), jeszcze inni - podkute buty ze sztucznej skóry, dzieci zaś szczęścia - walonki.

Walonki!... Najbardziej wyzute z praw stworzenie ziemskie, gorzej zabezpieczone przed przyszłą niedolą niż żaba, kret albo mysz polna - zek jest bezbronny wobec kaprysów losu. Jeśli nawet znajdzie schronienie w najgłębszej ciepłej norce, to i tak nie może być pewien, że już następnej nocy nie będzie narażony na wszystkie okropności zimy, że nie wyciągnie go ręka z błękitną wypustką na rękawie i nie rzuci na biegun północny. Biada

wtedy nogom nie obutym w walonki! Po przyjeździe na Kołymę ciężarówką, zek dotknie ziemi dwoma odmrożonymi soplami lodu. Zek bez własnych walonek całą zimę żyje psim swędem, łże, oszukuje, musi znosić upokorzenia ze strony najnędrniejszych istot albo sam musi innych gnębić, byleby tylko nie dostać się do zimowego transportu. Ale zek we własnych walonkach może nie znać strachu! Zuchwale patrzy zwierzchności w oczy i z uśmiechem Marka Aureliusza odbiera rozkaz wyjazdu.

Chociaż na dworze była odwilż, wszyscy, którzy mieli własne walonki, w ich liczbie Chorobrow i Nierżyn - częściowo żeby mniej taszczyć na grzbiecie, ale przede wszystkim, żeby poczuć ich uspokajające, rześkie ciepło całymi nogami - wziali walonki i dumnie przechadzali się po pustym pokoju, chociaż jechali dziś tylko do więzienia butyrskiego, a tam wcale nie było zimniej niż w szaraszce. Tylko nieustraszony Gerasymowicz nie miał nic własnego i magazynier dał mu „na zmianę” zbyt szeroki dla niego, w żaden sposób nie dający się zapiąć kaftan o przydługich rękawach, „już używany”, i także już używane buty ze sztucznej skóry z tępymi noskami.

Wyglądał w tym ubraniu szczególnie śmiesznie, bo nie zdjął swoich binokli.

Ku radości Nierżyna kipisz poszedł gładko. Jeszcze wczoraj, przewidując szybkie pójście na etap, sporządził sobie dwa arkusiki gęsto zapisane ołówkiem i to w sposób dla innych niezrozumiały: już to dzięki opuszczaniu samogłosek, już to przez wtrącanie greckich liter i całej mieszaniny słów - rosyjskich, angielskich, niemieckich, łacińskich, do tego jeszcze poskracanych. Żeby przemycić je przez kipisz, Nierżyn każdy arkusik naderwał, poskręcał, zmiął, jak to się robi z papierem w niezbyt wytwornych celach, i wreszcie wetknął do kieszeni obozowych portek. Przy rewizji nadzorca zobaczył te kawałki papieru, ale ich nie odebrał, źle przewidując ich zastosowanie. Jeżeli w Butyrkach nie zabrać ich do celi, tylko zostawić z rzeczami w depozycie, to mogą ocaleć.

Na arkusikach tych streszczone były w postaci tez niektóre fakty i myśli wypisane z papierów spalonych tego rana.

Rewizja była skończona, wszystkich dwudziestu zeków wypchnięto razem ze skontrolowanymi rzeczami do pustej poczekalni, drzwi się za nimi zamknęły i aż do przyjazdu suki pilnować miał ich wartownik postawiony przed wejściem. Inny jeszcze strażnik otrzymał rozkaz chodzenia pod oknami, gdzie - ślizgając się co krok - miał odpędzać zeków, którzy mogli przyjść się pożegnać podczas przerwy obiadowej.

W ten sposób uległy zerwaniu wszystkie związki dwudziestu wyjeżdżających z tymi,

co pozostali w szaraszce - pozostawało dwustu sześćdziesięciu jeden.

Wyznaczeni na etap jeszcze tu byli, ale właściwie już ich nie było.

Rozsiedli się byle jak na swoich rzeczach i na ławach; z początku wszyscy milczeli.

Każdy myślał jeszcze o rewizji - co im zabrano, co udało się przenieść.

Myśleli o szaraszce - jakie to dobrodziejstwa stracili teraz, jaką część kary w niej odbyli i jaka im jeszcze została.

Więźniowie lubią liczyć lata: i te już stracone, i te, które dopiero mają stracić.

Ponadto rozmyślali o bliskich, z którymi nie od razu uda się nawiązać łączność, i że znowu trzeba będzie prosić ich o pomoc, bowiem GUŁag to taki kraj, w którym dorosły mężczyzna, pracując dwanaście godzin dziennie, jakoś nie może zarobić na swoje utrzymanie. Rozmyślali o mylnych krokach - albo świadomych decyzjach, które skazały ich na ten nowy etap.

I o tym, dokąd też ich teraz poślą? Co ich czeka u kresu drogi? I jak się tam urządzić?

Różne to były myśli, ale wszystkie niewesołe.

Każdy szukał jakiejś pociechy i nadziei.

Dlatego też, gdy znowu zaczęli rozmawiać i ktoś powiedział, że może wcale ich nie wiozą do łagru, ale do innej szaraszki, zaczęli się przysłuchiwać nawet ci, którzy zupełnie w to nie wierzyli.

Wszak i Chrystus w Ogrójcu, dobrze znając swoje gorzkie przeznaczenie, wciąż jeszcze modlił się i żywił nadzieję.

Naprawiając uchwyt walizki, który ciągle mu się urywał, Chorobrow klął głośno:

- Ach, psie nasienie! Co za gady! Zwyczajnej walizki też nie potrafią zrobić! Przez pół roku - pierwszomajowy czyn społeczny, drugie pół roku - zobowiązania na rocznicę rewolucji, kiedy jest czas na robotę? Patrzcie, jakaś swołocz wprowadziła racjonalizację: kawał drutu zaginają dwoma końcami i tak wsuwają luźno w uszko rączki. Póki walizka pusta - jakoś trzyma, ale spróbuj ją wypakować, to co? Zaprowadzili ciężki przemysł, urwana nać, ale tak, że ostatni carski remiecha spaliłby się ze wstydu!

I kawałkami cegły, sypiącymi się z pieca postawionego tą samą szybkościową metodą, Chorobrow ze złością wbijał końce drutów w uszko. Nierzyn dobrze rozumiał Chorobrowa. Przy każdym zetknięciu z poniżeniem, lekceważeniem, pogardą, szykaną, Chorobrow wpadał we wściekłość - ale czy można o tym mówić spokojnie? Czy można wytwornymi słówkami wyrazić krzyk poniżanego człowieka? Właśnie teraz, gdy już przebrał się w strój

obozowy, gdy już jechał do łagru, Nierzyn sam czuł, że został mu przywrócony ważny składnik męskiej swobody: móc każde pięć słów przeplatać przekleństwem.

Romaszow półgłosem tłumaczył nowicjuszom, jakimi trasami wozi się zwykle więźniów na Syberię. Porównując kujbyszewskie więzienie etapowe z gorkowskim i kirowskim, bardzo chwalił to pierwsze.

Chorobrow przestał pukać i z taką złością cisnął cegłą o podłogę, aż się rozpadła na czerwony proszek.

- Nie chcę tego słyszeć! - wrzasnął na Romaszowa i chuderławą, ostrą jego twarz wykrzywił ból. - Ani Górki nie siedział w tamtym mamrze, ani Kujbyszew, bo inaczej pochowano by ich dwadzieścia lat wcześniej. Mów po ludzku: samarskie etapowe, niżnonowogrodzkie, wiackie! Już od kiblował dwudziestaka, po co im się podlizywać?

Tymczasem Nierzyn czując, że w nim również wzbiera tupet, wstał z ławy, przez wartownika wezwał Nadiełaszyna i oznajmił pełnym głosem:

- Obywatelu dyżurny! Widzimy przez okno, że od pół godziny ludzie jedzą już obiad. Dlaczego nam go się nie przynosi?

Minor przestąpił niezręcznie z nogi na nogę i powiedział ze współczuciem:

- Wy już dzisiaj... jesteście skreśleni z zaopatrzenia...

- Jak to, skreśleni? - i słysząc za plecami solidarny szmer Nierzyn zaczął rąbać: - Zameldujcie naczelnikowi więzienia, że bez obiadu nigdzie nie pojedziemy i nie pozwolimy załadować się siłą!

- Dobrze, zamelduję! - natychmiast ustąpił lejtnant. I ze skruszoną miną ruszył do komendanta.

Nikt w izbie nie miał wątpliwości, czy w ogóle warto się w to bawić. Napiwek wzgardliwej szlachetności, którym szafują żyjący w dostatku frajerzy - dla zeków jest bzdurą.

- Słusznie!

- Zasuń im!

- Już biorą za gardło, gady!

- Śledziarze! Trzy lata człowiek pracował, a jednego obiadu mu pożałowali!

- Nigdzie nie pojedziemy! Bardzo po prostu! Co nam mogą zrobić!?

Nawet ci, którzy zawsze byli potulni i posłuszni, teraz nabrali śmiałości. Wolny wiatr etapowych więzień już im dmuchał w twarz. Ten ostatni obiad z mięsem niósł w sobie nie

tylko ostatni dar sytości przed miesiącami i latami bałandy - w tym ostatnim mięsnym obiedzie wyrażała się ich ludzka godność. Nawet ci, którym w gardle zaschło z podniecenia, którzy zupełnie teraz nie mogli jeść, nawet ci, zapomniawszy o ciężkiej trosce, czekali teraz i domagali się tego obiadu.

Z okna widać było ścieżkę łączącą sztab z kuchnią. Było widać, jak do drwalni podjechała tyłem ciężarówka, a na jej platformie leżała duża choinka; jej wierzchołek i świerkowe łapy zwisały na boki. Z szoferki wyszedł więzienny administrator, z platformy zeskoczył strażnik.

Tak, podpułkownik dotrzymał słowa. Jutro, pojutrze postawią choinkę w półkolistej izbie; zamknięci w więzieniu ojcowie, oderwani od własnych dzieci, sami się w dzieci zamieniają, obwieszają ją zabawkami (nie żałując roboczego dnia na ich majstrowanie), powieszają koszyczek Klary i jasny miesiąc w szklanej klatce; staną kołem, wąsaci, brodaci i zagłuszając śpiewem wilcze wycie swojego losu zaśmieją się gorzko, sunąc w krąg:

Choinka w lesie rodzi się, Choinka w lesie rośnie...

Było widać, jak patrolujący pod oknami strażnik odpędza Priancykowa, który usiłował dorwać się do siedzących w zamknięciu zeków i krzyczał coś potrzęsając wzniesionymi rękoma.

Było widać, jak minor Nadielaszyn dreptał w stronę kuchni z miną zafrasowaną, potem do sztabu, znowu do kuchni i potem znów do sztabu.

Widzieli jeszcze, jak kazano ściągać choinkę z ciężarówki Spiridonowi, nie pozwalając mu skończyć obiadu. Ocierał w biegu wąsy i zaciągał pas.

Minor nie podreptał już, tylko prawie pobiegł w końcu do kuchni i wkrótce wyprowadził stamtąd dwie kucharki niosące kocioł, a za nimi podkuchenną. Podkuchenna niosła stos głębokich talerzy. Nie chcąc pośliznąć się i rozbić naczyń, kobieta zatrzymała się. Minor zawrócił i wziął część.

W izbie wszyscy się ożywili, to było zwycięstwo.

Obiad zjawił się w drzwiach. Zaraz też na brzegu stołu zaczęto rozlewać zupę, więźniowie zaś brali talerze i zanosili do swoich kątów, stawiając je na parapetach okiennych i walizkach. Niektórzy usiłowali jeść na stojąco opierając się o stół. Ławek koło niego nie było.

Minor wyszedł razem z kucharkami. W pokoju zapanowało to prawdziwe milczenie, które zawsze powinno towarzyszyć jedzeniu. Ci, co jedli, tak myśleli: zawieszona zupa, może

jeszcze trochę zbyt rzadka, ale wyraźnie czuje się w niej mięso; teraz biorę łyżkę do ust, teraz jeszcze jedną, łykam ten płyn z oczkami tłuszczu, z białymi włóknkami rozgotowanego mięsa; ciepłym strumieniem spływa mi wzdłuż przełyku, teraz wlewa się do żołądka - a krew i mięśnie zawczasu już wypełniają się radością w przeczuciu nowej porcji siły i nowej treści dla swoich komórek.

„Dla mięsa kobieta za mąż idzie, dla barszczu człowiek się żeni” - przypomniał sobie Nierzyn przysłowie. Rozumiał je w tym sensie, że mąż ma zdobywać mięso, a żona ma gotować na nim barszcz. Lud w swoich przysłowiach nie mędrkował i nie usiłował udawać wzniosłych zamiarów. W krociach tysięcy przysłów lud mówił o sobie samym szczerzej niż Tołstoj i Dostojewski w drukowanych spowiedziach.

Kiedy zupa już się kończyła i aluminiowe łyżki skrobnęły o dno talerzy - ktoś powiedział śpiewnie i bezosobowo:

- No taaak...

A z któregoś kąta dobiegło:

- Dobrze by zjeść na zapas, chłopaki!

Jakiś malkontent wtrącił:

- Czerpali z samego dna, a przecież nie gęsta. Pewno całe mięso dla siebie wzięli.

Jeszcze ktoś inny powiedział smętnie:

- Kiedyż to teraz doczekamy się choćby i tego!

Wówczas Chorobrow puknął łyżką po swoim pustym już talerzu i powiedział dobitnie, a słyhać było, jak protest już mu dławi gardło:

- Nie, przyjaciele, lepszy chleb z wodą niż pieróg ze sromotą!

Nikt mu nie odpowiedział.

Nierzyn zaczął pukać i domagać się drugiego dania. Minor zjawił się natychmiast.

- Już zjedzone? - zapytał z życzliwym uśmiechem, przypatrując się wysyłanym do obozu zekom. I gdy przekonał się, że ich twarze mają wyraz dobroduszny, towarzyszący sytości - powiedział to, czego więzienne doświadczenie kazało mu nie mówić wcześniej: - A drugiego, niestety, zabrakło. Już kocioł myją, o... Bardzo przepraszam.

Nierzyn obejrzał się na innych - czy podnieść raban? Ale, jak to u Rosjan, już im się odechciało.

- A co tam było na pieczyste? - zapytał ktoś basem.

- Gulasz - powiedział minor ze wstydlwym uśmiechem.

Paru westchnęło. o deser jakoś nikt się nie upomniał.

Za ścianą rozległ się warkot silnika samochodowego. Minor został wezwany, mógł wreszcie odejść bez kłopotu. W korytarzu zadudnił surowy głos podpułkownika Klimentiewa.

Zaczęto ich pojedynczo wyprowadzać.

Nie było sprawdzania personaliów, bo miejscowy konwój miał ich odwieźć aż do Butyrek i tam dopiero przekazać innym. Ale za to - liczyli. Odliczali każdego, kto stawiał jeden krok, tak już znany i tak fatalny - na wysoki stopień więziennej karetki, z głową nisko zgiętą, żeby nie uderzyć o żelazną framugę, z plecami przywalonymi ciężarem łańców, niezgrabnie zaczepiających o boczne ścianki przełazu.

Nikt ich nie odprowadzał - przerwa na obiad już się skończyła, zeków zapędzono ze spacernika pod dach.

Tył karetki stykał się prawie z progiem sztabu. Przy wsiadaniu - chociaż nie towarzyszyło mu zaciekle ujadanie owczarków - panował tłok i kurczowy pośpiech, który wygodny jest tylko dla konwojentów, ale zaraża również zeków, nie pozwalając im rozejrzeć się i zdać sobie sprawę z własnej sytuacji.

W ten sposób wsiadło po kolei osiemnastu i ani jeden z nich nie podniósł głowy, aby pożegnać się z wysokimi, pełnymi spokoju lipami, które długie lata szumiały nad nimi we wszystkich jasnych i ciemnych chwilach.

Ale dwóch, którzy zdołali się jednak rozejrzeć - Chorobrow i Nierzyn - rzuciło okiem nie na lipy, tylko na bok samochodu, specjalnie, żeby przekonać się, jakiego też jest koloru.

Przezucie ich nie omyliło.

Mijały już czasy, kiedy po ulicach śmigały ołowianoszare i czarne suki, budząc paniczny lęk w przechodniach. Swego czasu to było właśnie potrzebne. Ale dawno już nadeszły lata rozkwitu - i wygląd suk też powinien był odzwierciedlać te miłe cechy epoki. Ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby skonstruować karetki tego samego kształtu, co wozy do transportu żywności, malować je z zewnątrz tak samo, w pomarańczowe i niebieskie pasy, dając napisy w czterech językach:

CHLEB. PAIN. BROT. BREAD. albo:

MIASO. VIANDE. FLEISCH. MEAT. i teraz, wsiadając do suki, Nierzyn zdołał zboczyć o krok i przeczytać: MEAT.

Następnie przecisnął się z innymi przez pierwsze, wąskie i drugie - jeszcze węższe

drzwiczki, przydeptał komuś nogi, przesunął swój worek po czyichś kolanach i usiadł.

Trzytonowa karetka nie była wewnątrz dzielona na boksy, to znaczy na dziesięć żelaznych pudeł, do każdego z których pakowano jednego aresztanta. Nie, była to karetka typu „ogólnego”, to znaczy - przeznaczona nie do przewozu więźniów śledczych, lecz już skazanych. Znacznie zwiększało to jej pojemność. W tylnej części - między dwojgiem żelaznych drzwi z maleńkimi, zakratowanymi okienkami - karetka miała ciasny przedział dla konwojentów, gdzie - po zamknięciu wewnętrznych drzwi od zewnątrz, a zewnętrznych od środka - ledwie mieściło się ich dwóch, też zresztą z podkurczonymi nogami. Z kierowcą i naczelnikiem konwoju porozumiewali się przez specjalny przewód akustyczny wbudowany w karoserię. Tylny przedział był tak ciasny, bo wydzielono z niego jeszcze mały zapasowy boks dla ewentualnego buntownika. Cała pozostała przestrzeń karetki składała się na jedną, dużą, niską metalową pułapkę na myszy, gdzie według normy miało się mieścić dwudziestu ludzi. (Jeśli zaś drzwi przy zamykaniu dało się dobrze docisnąć czterema buciorami, to można było upchać nawet większą ilość).

Wzdłuż trzech ścian tej wspólnej pułapki ciągnęły się ławki i niewiele już miejsca zostawało pośrodku. Komu się udało, ten usiadł, ale to wcale nie był najlepszy los, bo kiedy karetka się zapełniła, na ich ściśniętych kolanach, na podwiniętych, drętwiejących nogach rychło znalazły się cudze bagaże i nawet inni więźniowie - a w tym tłoku nie miało sensu mieć pretensji czy przeproszać kogoś, ruszyć się zaś czy zmienić pozycji nie można było przez całą godzinę. Strażnicy wepchnęli ostatniego więźnia, wparli się w drzwiczki i zatrzęsnęli je.

Ale zewnętrzne drzwi do ich przedziału jeszcze się nie zamykały. Jeszcze jedna postać weszła na tylny stopień, nowy cień mignął za kratką okienka wentylacyjnego.

- Chłopaki! - rozległ się głos Ruski. - Jadę do Butyrek na śledztwo! Kto tu jest? Kogo wywożą?

Wszyscy zaczęli krzyczeć naraz - odpowiedziało mu wszystkich dwudziestu zeków, obaj strażnicy też krzyknęli, żeby zamilkł, a z progu sztabu Klimentiew huknął, żeby strażnicy nie gapili się i nie pozwalali więźniom na rozmowy.

- Ciszej, takie syny! - ryknął ktoś w karecce.

Zrobiło się cicho i było słyhać, jak strażnicy kokoszą się i przebierają nogami, chcąc jak najprędzej wepchnąć Ruškę do boksu.

- Kto cię sypnął, Ruska? - krzyknął Nierzyn.

- Syromacha.
- To gaad! - od razu się rozległo.
- A ilu was? - krzyknął Ruska.
- Dwudziestu.
- Kto taki?...

Ale już go wepchnęli do boksu i zamknęli.

- Nie łam się, Ruska! - krzyczano mu. - Spotkamy się w łagrze!

Jak długo otwarte były drzwi zewnętrzne, do wnętrza karetki przedostawało się jeszcze trochę światła. Ale oto i one się zamknęły, głowy konwojentów odgrodziły ich od ostatnich niepewnych promyków przesączających się przez kratki w dwojgu drzwiach, zaterkotał silnik, samochód drgnął i ruszył z miejsca; teraz twarze zeków oświetlały nikłe odbłaski tylko wtedy, gdy wóz silniej się zakołysał.

Ta krótka wymiana okrzyków między jedną celą a drugą, ta gorąca iskra przeskakująca czasem między głazami i żelazem, powoduje zawsze wielkie podniecenie wśród więźniów.

- A co powinna robić elita w łagrze? - ryknął Nierzyn prosto w ucho Gerasymowiczowi; tylko on mógł to usłyszeć.

- To samo, tylko z dubeltowym staraniem - odkrzyknął Gerasymowicz.

Nie zdążyli ujechać daleko, a już karetka się zatrzymała. Jasne, to była wartownia.

- Ruska - krzyknął jakiś zek. - Czy biją?

Odpowiedział nie od razu i głucho:

- Biją...

- A prac by tak Szyszkina-Myszkin! - zawołał Nierzyn. - Nie daj się, Ruska!

I znów kilku naraz krzyknęło - aż nie można było słów rozróżnić w zgiełku.

Ruszyli, przejechali obok wartowni, potem ostro ich szarpnęło w prawo, co oznaczało zwrot w lewo, na szosę.

Przy tym skręcie ramiona Gerasymowicza i Nierzyna mocno się do siebie przycisnęły. Popatrzyli wzajem na siebie, próbując zobaczyć swoje twarze w półmroku. Łączyło ich już coś więcej niż ciasnota karetki.

Ilia Chorobrow, pokrzykując w tym tłoku i w ciemnościach, tak prawił:

- Nie szkodzi, chłopaki, nie żałujcie, że nas wywieźli. Co to za życie w tej szaraszce? Idzie człowiek korytarzem - w Syromachę może wdepnąć. Co piąty - kapuje, nie zdąży

człowiek w klozecie bąka puścić - zaraz kum o tym wie. Niedziel już od dwóch lat nie dawali, łajdaki. Praca dwanaście godzin dziennie! Za dwa deka masła cały mózg kładź im na talerz. Teraz korespondencji z rodziną zabronili! Prac ich mać! I tak ma człowiek pracować? Ależ to jakieś piekło!

Chorobrow umilkł, dyszał oburzeniem.

W ciszy, która nastąpiła, przy akompaniamencie równego warkotu silnika cicho pracującego na asfalcie, wyraźnie rozległy się słowa Nierżyna:

- Nie, Terenticz, to nie piekło. To nie piekło! Jedziemy teraz do piekła. Wracamy do piekła. A szaraszka - to najwyższy, najlepszy, pierwszy krąg piekielny. To prawie raj...

Nie mówił już nic więcej czując, że to niepotrzebne. Wszyscy wiedzieli przecież, że to, co ich czeka, będzie niepomernie gorsze niż szaraszka. Wszyscy wiedzieli, że w obozie będzie się wspominać szaraszkę jak złoty jakiś sen. Ale teraz - żeby nabrać otuchy, żeby uwierzyć w słuszność swojej sprawy - trzeba było wieszać psy na szaraszce, żeby nikt nie żałował, żeby nikt sobie nie wyrzucał jakiejś popełnionej omyłki.

Gerasymowiczowi przyszedł do głowy argument, którego Chorobrow nie dopowiedział:

- Kiedy zacznie się wojna, to zeków z szaraszki, co tyle tajemnic znają, spiszą na rozkurz, jak to robili hitlerowcy.

A Chorobrow powtarzał swoje:

- No tak, chłopaki, lepszy chleb z wodą niż pieróg ze sromotą.

Zasłuchani w warkot silnika więźniowie umilkli.

Tak, czekała na nich tajga i tundra, biegun zimna Ojmiakon i kopalnie miedzi w Dżekazganie. Znow czekał na nich kilof i taczka, głodowa porcja mokrego chleba, szpital, śmierć. Czekало ich wszystko, co najgorsze.

Ale w duszy mieli spokój.

Czuli w sobie męstwo właściwe ludziom, którzy stracili wszystko, bez reszty - męstwo, którego nabywa się z trudem, ale już na długo.

Telepiąc w swoim wnętrzu stłoczonymi, ściśniętymi ciałami ludzkimi - wesoły pomarańczowo-niebieski furgon jechał już ulicami miasta, minął jeden z dworców i zatrzymał się na skrzyżowaniu. Przed tym samym czerwonym sygnałem zahamowało lśniąć ciemnobordowym lakierem auto korespondenta gazety „Liberation” jadącego na stadion „Dynamo”, na mecz hokejowy. Korespondent przeczytał na furgonie:

MIASO. VIANDE. FLEISCH. MEAT.

Przypomnił sobie, że widział już dzisiaj w różnych dzielnicach Moskwy niejeden taki samochód. Wyjął notes i napisał długopisem, też ciemnobordowym:

„Na ulicach Moskwy raz po raz spotkać można autofurgony do przewożenia żywności, bardzo czyste, odpowiadające wszelkim sanitarnym wymogom. Trudno nie uznać zaopatrzenia stolicy za doskonałe”.

SŁOWNICZEK

frajer - naiwniak, więzień nowicjusz, nie przestępca; w tym tekście

GUŁag (Głównoje Uprawlenije Łagieriej) - Centralny Zarząd Obozów;

hint - dozorca, strażnik więzienny

kipisz - rewizja

kum - *oper*

ochweśny język - gwara złodziejska, grypsera

okulaki - buty na drewnianej podeszwie, drewniaki

oper (od *opieratiwnyj upołnomoczennoj* - pełnomocnik operacyjny) – ofi operacyjny; pracownik MSW lub KGB kierujący siecią donosicieli, *seksotów*, podlegający kierownictwu więzienia czy łagru; zwany też *kumem pachan* - herszt bandy

pajka - racja żywnościowa

seksot (od *sekrietnyj sotrudnik* - tajny współpracownik) - konfident, donosici kapuś, szpicel

szaraszka (od slangowego *szaraga*

- paczka, klika i od *szaraszkina konto* - sitwa, złodziejska spółka; źle zarządzane przedsiębiorstwo) – więzienie specjalne, tajny instytut naukowo-badawczy, w którym pod kontrolą organów bezpieczeństwa pracowali uczeni i inżynierowie, skazani zwykle wcześniej za „sabotaż Szaraszka” nazywano również w zwykłych łagrach grupę uprzywilejowanych (lichorych), którym przysługiwał najlepszy wikt

urka - bandyta, zawodowy przestępca

zek - więzień

Opracował Romuald Niedzieli